



DAN  
SIMMONS

# ILION

# Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

1. Równina Ilionu
2. Wzgórza Ardis, Dwór Ardis
3. Równina Ilionu
4. W pobliżu Conamara Chaos
5. Dwór Ardis
6. Olimp
7. Centrum Conamara Chaos
8. Ardis
9. Ilion i Olimp
10. Krater Paryski
11. Równina Ilionu
12. Pas planetoid
13. Sucha Dolina
14. Niska orbita okołomarsjańska
15. Równina Ilionu
16. Ocean Południowy
17. Mars
18. Ilion
19. Golden Gate w Machu Picchu
20. Marsjańskie Morze Tetydy
21. Ilion

22. Wybrzeże Chryse Planitia
23. Las sekwojowy, Teksas
24. Ilion, Indiana i Olimp
25. Las sekwojowy, Teksas
26. Środkowowschodnie okolice Valles Marineris, pomiędzy Eos Chasma i Coprates Chasma
27. Równina Ilionu
28. Basen Śródziemny
29. Candor Chasma
30. Obóz Achajów, Wybrzeże Ilionu
31. Jerozolima
32. Namiot Achillesa
33. Jerozolima i Basen Śródziemny
34. Wybrzeże Ilionu, Indiana
35. Dwanaście kilometrów ponad płaskowyżem Tharsis
36. Basen Śródziemny
37. Ilion i Olimp
38. Atlantyda i orbita okołozemska
39. Olimp, Ilion i Olimp
40. Pierścień równikowy
41. Olympus Mons
42. Olimp i Ilion
43. Pierścień równikowy
44. Olympus Mons
45. Równina Ilionu, Ilion
46. Pierścień równikowy

47. Dwór Ardis
48. Ilion i Olimp
49. Pierścień równikowy
50. Ilion
51. Pierścień równikowy
52. Ilion i Olimp
53. Pierścień równikowy
54. Równina Ilionu i Olimp
55. Pierścień równikowy
56. Równina Ilionu
57. Olimp
58. Pierścień równikowy
59. Równina Ilionu
60. Pierścień równikowy
61. Równina Ilionu
62. Ardis
63. Olimp
64. Dwór Ardis
65. Indiana, 1200 r.p.n.e.

Podziękowania

Od autora

Dramatis Personae

Dan Simmons

# ILION

Przełożył Grzegorz Komerski

Wydawnictwo Mag  
Warszawa 2017

Tytuł oryginału:

*Ilium*

Copyright © 2003 by Dan Simmons

Copyright for the Polish translation

© 2015 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:

Urszula Okrzeja

Korekta:

Magdalena Górnicka

Ilustracje na okładce oraz wewnętrzne:

Irek Konior

Opracowanie graficzne okładki:

Jarosław Musiał

Projekt typograficzny, skład i łamanie:

Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-7480-932-0

Wydanie II

Wydawca: Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax 228134743

[www.mag.com.pl](http://www.mag.com.pl)

Wyłączny dystrybutor: Firma Księgarska Olesiejuk

spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 227213000

[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

Skład wersji elektronicznej

[pan@drewnianyrower.com](mailto:pan@drewnianyrower.com)

*Dedykuję tę książkę Wabash College;  
studentom, wykładowcom i dziedzictwu.*

*Tymczasem myśli, zmęczone rozkoszą,  
W świat szczęśliwości większej się przenoszą;  
Umysł – ocean, gdzie każdy gatunek  
Znajdzie swój własny wierny wizerunek –  
Wznosi się przecież nad rzeczy gotowe  
I tworzy światy inne, morza nowe,  
Choć stawia ponad wszystko, co stworzone,  
W zielonym cieniu dumanie zielone.*

– Andrew Marvell „Ogród”  
(przełożył St. Barańczak)

*Można zdobyć wiele: stada baranów i wołów,  
cenne trójnogi i konie o grzywach złotołomiennych,  
lecz nie zdobędziesz już nigdy człowieczej duszy, nie złowisz  
ani jej w locie nie wstrzymasz, gdy z warg na zawsze uleci.*

– Achilles w księdze IX „Iliady” (406-409)  
(przełożyła K. Jeżewska)

*Serce bijące gorzko, czekające.*

– Kaliban w wierszu Roberta Browninga „Kaliban o Setebosie”  
(przełożył T. Kubikowski)



# 1

## *Równina Ilionu*

Gniew.

Opiewaj, o Muzo, gniew Achillesa, gniew syna Peleusa, zbrodniczego mężobójcy, któremu śmierć jest przeznaczeniem.

Zanoś pieśń o gniewie, który kosztował Achajów tak wielu dobrych ludzi, który tak liczne, pełne życia i serdeczne dusze posłał poza wrota posępnego Domu Śmierci. Zaśpiewaj też, o Muzo, o gniewie bogów, kapryśnie władających z wyżyn nowego Olimpu; opowiedz nam, śpiewaczko, o gniewie postludzi, choć ci dawno już zniknęli; oraz o gniewie nielicznych ocalałych ludzi prawdziwych, tych bezużytecznych, których zaprzęta tylko własny los. Wspomnij też, o Muzo, w swej pieśni gniew istot świadomych i czujących, lecz nie do końca ludzkich, które śnią pod lodami Europy, umierają w siarkowych popiołach i przychodzą na świat w skutych siarczystym mrozem dolinach Ganimedesa.

Nie zapomnij również, o Muzo, o mnie samym. O nieszczęsnym, ponownie i wbrew woli narodzonym Hockenberrym – o biednym martwym doktorze Thomasie Hockenberrym, przez przyjaciół nazywanym Hockenbushem, tych przyjaciół, którzy dawno temu obrócili się w pył w zapomnianym przed wiekami świecie. Głoś pieśń o moim gniewie. Tak, również o moim gniewie, o Muzo, choć jakże drobnym i nieznaczącym w porównaniu z wściekłością nieśmiertelnych Olimpijczyków lub furią Achillesa, zabójcy bogów.

Chociaż jednak nie, o Muzo. O mnie nie śpiewaj wcale. Znam cię dobrze. Byłem twym sługą i niewolnikiem, o Muzo, ty dziwko niezrównana. I nie ufam ci, o Muzo. Nie dowierzam ci ani trochę.

\* \* \*

Skoro przypadła mi – niechętnie, przyznam, pełniona – rola chóru tej opowieści, mogę ją rozpocząć w dowolnie wybranym przez siebie momencie. Rozpocznę ją więc właśnie od tej chwili...

Nastaje dzień podobny wszystkim innym z ponad dziewięciu lat, jakie minęły od moich ponownych narodzin. Budzę się w koszarach scholii. Jak okiem sięgnąć, pod błękitnym niebem ciągną się połacie czerwonego piasku. Otaczają mnie wielkie, kamienne głowy. Ze snu wrywa mnie wezwanie Muzy. Zabójcze cerberydy obwąchują mnie i przepuszczają.

Szybką kryształową windą wjeżdżam na trawiasty wierzchołek Olimpu – siedemnaście mil w górę, po wschodnim zboczu góry. Tam, gdy już zaanonsowano me przybycie do pustej willi Muzy, odbieram polecenia od schodzącego ze służby scholiasty, zakładam morfującą bransoletę i bojowy pancerz, wsuwam za pas paralizator, po czym teleportuję się kwantowo – tekuję – na zalaną wieczornym światłem równinę Ilionu.

Jeżeli kiedykolwiek próbowaliście sobie wyobrazić oblężenie tego miasta – czym ja zajmowałem się zawodowo przez ponad dwadzieścia lat – pogódźcie się teraz z faktem, iż wasza wyobraźnia z pewnością zadaniu nie sprostała.

Przekonałem się o tym na sobie. Rzeczywistość jest dalece bardziej cudowna i straszliwa niż obrazy odmalowane w wierszach ślepego poety.

Przede wszystkim miasto. Ilion. Troja. Jedno z najwspanialszych, ufortyfikowanych *poleis* starożytności – wyrasta z równiny nieco ponad dwie mile od plaży, na której teraz stoję, lecz mimo odległości wciąż jest wyraźnie widoczne i piękne. Wydaje się, że ze swojego wzniesienia włada całą okolicą. Wysokie mury migocą płomieniami tysięcy ognisk i pochodni. Wieże nie są wcale tak niebotyczne, jak starał się nas przekonać Marlowe, lecz mimo to oszałamiające – strzeliste, okrągłe, obce i olśniewające.

Następnie mamy Achajów, Danajów i rzesze pozostałych najeźdźców – ściśle rzecz ujmując, nie są jeszcze Grekami, gdyż od powstania tego narodu dzielą nas z górą dwa tysiące lat. Ja jednak pozwolę sobie ich w ten sposób określać. Greckie obozy ciągną się wzdłuż tutejszego wybrzeża długimi

milami. Prowadząc zajęcia z „Iliady”, wykladałem studentom, że wojna trojańska, wbrew całej swej homeryckiej glorii, w rzeczywistości była prawdopodobnie konfliktem pomniejszym – ot, marne kilka tysięcy wojowników z Grecji wystąpiło przeciwko porównywalnej liczbie Trojan. Nawet najbardziej uczeni członkowie scholii – grupy uczonych badających „Iliadę” od niemal dwóch mileniów-szacowali na podstawie eposu, że czarnymi okrętami, które dziewięć lat temu spoczęły na pobliskiej plaży, nie mogło przybyć więcej niż pięćdziesiąt tysięcy wojowników z Achai i pozostałych greckich krain.

Jakże się mylili! Obecnie ocenia się, że Ilion najechało ponad dwieście pięćdziesiąt tysięcy Greków, a Trojan wraz z wojskami sojusznicznymi zebrała się mniej więcej połowa tej liczby. Wygląda na to, że aby wziąć udział w tej bitwie ochoczo stawili się wielcy wojownicy i bohaterowie z każdej, nawet najmniejszej, greckiej wyspy – wszak wojna oznacza łupy – i przywieźli ze sobą żołnierzy, sprzymierzeńców, służących, niewolników i konkubiny.

Widok jest powalający: mila za milą jasno oświetlonych namiotów, obozowych ogni, zasieków z naostrzonych pali, mile rowów obronnych wykopanych w twardej glebie powyżej plaży – nie w celu zapewnienia sobie ochrony i kryjówki, lecz by zniechęcić trojańską kawalerię do szarż. A całe to mrowie namiotów i ludzi – wypolerowane groty i gładkie tarcze – wszystko rozbłyskuje w blasku płomieni tysiący ognisk dających wojownikom ciepło i strawę. Migocą też stosy pogrzebowe.

Bo tutaj zwłoki się pali.

Zaraza nęka szeregi Greków już od kilku tygodni. Najpierw zaczęły zdychać osły i psy, potem padli pierwsi pojedynczy żołnierze i niewolnicy, aż wreszcie, nagle, dziesięć dni temu, rozpętała się prawdziwa epidemia, powalając więcej achajskich i danajskich herosów, niż zdołali to uczynić Trojanie w ciągu długich miesięcy oblężenia. Osobiście podejrzewam tyfus. Grecy są jednak święcie przekonani, że źródłem choroby jest gniew Apolla.

Widywałem go z oddali – zarówno na Olimpie, jak i tutaj – i rzeczywiście typ jest dość paskudny. Apollo to patron łuczników, pan srebrnego łuku, bóstwo „niosące śmierć z oddali” i chociaż nosi tytuł boga zdrowia, włada również chorobami. Co więcej, jest w tym starciu najważniejszym spośród

Olimpijczyków sojusznikiem Trojan i gdyby mógł spełnić swą wolę, Achajowie wymarliby do ostatniego. Bez względu na to, czy tyfus narodził się w zbrukanych gnijącymi trupami rzekach i studniach, czy przyniosły go srebrne strzały Apolla, są Grecy zupełnie słusznie przeświadczeni, że bóg życzy im klęski.

W tej chwili Achajscy królowie – a we własnym kraju i własnych oczach królem jest każdy z tych greckich wodzów – zbierają się w cieniu namiotu Agamemnona, by naradzić się co do sposobu odparcia zarazy. Zmierzam w ich stronę powoli, a nawet nieco niechętnie, mimo że po ponad dziewięciu latach dłużącego się oczekiwania i obserwacji oblężenia dzisiejszy wieczór powinien się okazać najbardziej emocjonującym ze wszystkich dotychczasowych. Dzisiaj bowiem homerycka „Iliada” zaczyna się naprawdę.

Oczywiście oglądałem już część opisanych w eposie wydarzeń, te, które poeta przeniósł w momenty bardziej sprzyjające artystycznej wizji. Widziałem na przykład tak zwany „katalog okrętów”, kiedy to spisano i wymieniono greckie siły. Homer umieścił tę chwilę w drugiej księdze „Iliady”, lecz ja byłem jej świadkiem już ponad dziewięć lat temu, podczas koncentracji sił przed wyprawą. Doszło do tego w Aulidzie, cieśninie dzielącej Eubeeę i kontynentalną część Grecji.

Przypatrywałem się też *epipolesis*, dokonanemu przez Agamemnona przeglądowi wojsk, który w dziele Homera pojawia się w księdze czwartej, lecz w rzeczywistości odbył się niebawem po wylądowaniu armii pod Ilionem. Jakiś czas po owym wydarzeniu nastąpiło to, co, nauczając, określałem mianem *teichoskopii*, czyli „widoku z muru”, kiedy Helena pokazywała Priamowi i pozostałym przywódcom Trojan achajskich bohaterów i wymieniała ich imiona. *Teichoskopia* znalazła się w księdze trzeciej „Iliady”, lecz – podobnie jak *epipolesis* - faktycznie wydarzyła się niedługo po przybyciu greckich statków.

O ile pojęcia rzeczywistości i faktów mają tu w ogóle jakieś zastosowanie.

Tym się nie kłopotczmy, dzisiaj bowiem zwołano zgromadzenie przed namiotem Agamemnona i dzisiaj dojdzie do sporu pomiędzy królem i Achillesem. Od tego właśnie zaczyna się akcja „Iliady” i wiem, że powinienem na tym niezwykłym wieczorze skoncentrować całą energię

i przywołać na pomoc cały zasób swej naukowej wiedzy. Jednakże, prawdę powiedziawszy, mam to wszystko w dupie. Niech się pysznia. Niech się chełpia. Niechże Achilles dobiedzie miecza – no dobrze, przyznaję, że tę akurat scenę chętnie bym zobaczył. Ciekawe, czy żeby go powstrzymać, Atena naprawdę stawia się tu osobiście, czy, też jej interwencja była po prostu homerycką metaforą zdrowego rozsądku, który ostatecznie postanowił się odezwać w sercu Achillesa? Całe życie czekałem, by znaleźć na to pytanie odpowiedź, a teraz gdy od jej uzyskania dzieli mnie ledwie minuty, z jakiegoś niezrozumiałego powodu... No, mam to w dupie.

Dziewięć lat uciążliwego, mozolnego odzyskiwania wspomnień sprzed bolesnego zmartwychwstania. Dziewięć lat bezustannej wojny i pozowania na herosa, nie mówiąc nawet o dziewięciu latach życia w niewoli u bogów i Muzy. Tak, te dziewięć lat wywarło na mnie silne piętno. Jeśli o mnie chodzi, równie dobrze mógłby się na niebie pojawić nagle B-52

i zrzucić na zwaśnionych Greków i Trojan bombę atomową. Pieprzyć tych wszystkich bohaterów i ich drewniane rydwany.

Mimo szczerzej niechęci zmierzam ciężkim krokiem ku namiotowi Agamemnona. W końcu to przecież moja praca, moje zadanie. Gdybym tego spotkania nie prześledził i nie złożył raportu Muzie, straciłbym posadę. Bogowie przemieliliby mnie z powrotem w strzępki nitek DNA, z których mnie wskrzesili, i to – jak się czasem ładnie powiada – byłoby tyle.

## 2

### *Wzgórza Ardis, Dwór Ardis*

Daeman zmaterializował się w pobliżu domu Ady. Kilka razy zamrugał z głupekowatym wyrazem twarzy, rażony promieniami czerwonego słońca. Na niebie nie było ani jednej chmury. Blask zachodu płonął pomiędzy wysokimi drzewami na grani, rozświetlając oba wirujące z wolna na kobaltowym niebie pierścienie B i R. Daeman poczuł się nieco zdezorientowany. Tutaj zapadał wieczór, a drobną sekundę wcześniej, gdy faksował się z przyjęcia w Ułanbacie – Tobi obchodził akurat swoją Drugą Dwudziestkę – było jeszcze rano. Odkąd złożył Adzie ostatnią wizytę minęło już wiele lat, a wyjąwszy domytych znajomych i przyjaciół, których odwiedzał najczęściej -Sedmana w Paryżu, Ono w Bellinbadzie, Risir na klifach Chomu, kilku innych osób – nigdy nie miał pojęcia na jakim kontynencie, tudzież o której godzinie wylądaje. W gruncie rzeczy to nie miało szczególnego znaczenia – chłopak i tak nie znał nazw ani rozkładu kontynentów, a jeszcze mniejsze pojęcie miał o geografii i sprawach takich jak koncepcja stref czasowych.

Dezorientacja była jednak rzeczywista. Uciekł mu cały dzień. A może właśnie jeden dzień zyskał? W każdym razie, powietrze pachniało tutaj inaczej – było bardziej duszne, wilgotne, dzikie.

Daeman rozejrzał się. Stał pośrodku standardowej platformy faksowej. Konstrukcja była typowa: z permabetonowego okręgu sterczały fikuśne żelazne słupki podtrzymujące jak w ogrodowej altance kopułę z żółtego kryształu. W samym centrum kręgu tkwił słup oznaczony tradycyjnym, lecz niezrozumiałym dla niego symbolem. Poza platformą, w całej dolinie nie było widać żadnej innej budowli. Tylko trawa, drzewa, szemrzący w oddali

strumień i krzyżujące się na niebie pierścienie, obracające się powoli niczym obręcze gigantycznego żyroskopu.

Wieczór był ciepły i bardziej wilgotny niż w Ułanbacie. Platformę zbudowano w niecce łąki otoczonej niskimi wzniesieniami. Dwadzieścia stóp dalej czekał mocno już sfatygowany, dwuosobowy, jednokołowy kabriolet. Tuż nad kozłem unosił się równie wiekowy serwitor, a pomiędzy drewnianymi dyszlami stał samotny wojnik. Daeman odwiedził ostatni raz Ardis już ponad dziesięć lat temu, lecz w jednej chwili przypomniał sobie wręcz barbarzyńskie niewygody tutejszego życia. Przecież to absurd – co trzeba mieć w głowie, żeby nie zbudować domu tuż przy faksowężle?

– Daeman Uhr? – upewnił się serwitor, mimo że przecież musiał znać tożsamość gościa.

Daeman burknął coś w odpowiedzi i wyciągnął rękę, w której trzymał swój podniszczony neseser. Małeńki serwitor podleciał bliżej, przejął bagaż wyściełanymi miękkim materiałem chwytakami i zapakował go do krytego płótnem bagażnika. Chłopak zajął miejsce w kabrioecie.

– Czekamy jeszcze na kogoś?

– Przybył pan jako ostatni z gości – odparł serwitor.

Z nikłym brzęczeniem wleciał z powrotem na kozioł i rozkazująco cmoknął. Wojniks poderwał dyszle i ruszył biegiem w kierunku zachodzącego słońca. Jego rdzewiejące kończyny i koło kabrioletu prawie nie wzbijały kurzu ze żwirowej drogi. Daeman rozsiadł się wygodnie na obitym zieloną skórą siedzeniu, wsparł dłonie na główce laski i zaczął się rozkoszować przejażdżką.

Nie przybył do Ady po prostu w odwiedzin. Pojawił się tutaj, by ją uwieść. Tym właśnie zajmował się najczęściej – uwodził młode kobiety. Aha, kolekcjonował jeszcze motyle. Fakt, że Ada miała około dwudziestu pięciu lat, a on dobijał powoli swojej Drugiej Dwudziestki, zupełnie mu nie przeszkadzał. Podobnie jak ten drugi fakt-Ada była jego kuzynką.

Zakazujące kazirodczych związków tabu wygasło już dawno temu. Zresztą Daeman nigdy nawet nie słyszał o dryfie genetycznym. A gdyby słyszał, pozostawiłby naprawienie ewentualnych szkód konserwatorni. Konserwatornia potrafiła wyleczyć wszystko.

Dekadę temu chłopak odwiedził Dwór Ardis w ramach rodzinnej wizyty – oraz po to, by uwieść kuzynkę Ady, Virginie.

Oczywiście wyłącznie dla zabicia nudy, gdyż Virginia miała mniej więcej tyle uroku, co przeciętny wojnik. Wtedy jednak, po raz pierwszy w życiu, zobaczył Adę nago. Przemierzał właśnie niekończące się korytarze dworu w poszukiwaniu oranżerii, gdzie miano podać śniadanie. W pewnej chwili znalazł się przy wejściu do pokoju dziewczyny. Drzwi były uchylone, a za nimi widać było wysokie, lekko wypaczone lustro. Szklana tafla ukazywała odbicie Ady, obmywającej się ze znużoną miną gąbką w miednicy. O kuzynce Daemana dało się powiedzieć wiele, lecz nie to, by przesadnie dbała o higienę – potwierdził to odkrycie później. Niemniej ten obraz – uroda młodej kobiety wykluwającej się właśnie z poczwarki wieku dziewczęcego – pochłonął go bez reszty. Jego, mężczyznę niewiele wówczas starszego niż Ada była obecnie.

Zresztą nawet wówczas, gdy jej biodra i uda wciąż zdradzały dziecięce krągłości, a piersi były zaledwie gotowymi do rozkwitnięcia pączkami, Ada stanowiła widok, dla którego warto było przystanąć. Była blada – jej skóra nie traciła jasnego pergaminowego odcienia, bez względu na to, jak długo dziewczyna przebywała na słońcu – a szare oczy, malinowe usta i

kruczoczarne włosy składały się na całość żywcem wyjętą z marzeń domorosłego miłośnika erotyki. W myśl zaleceń ówczesnej mody kobiety powinny golić pachy, lecz ani młoda Ada, ani – Daeman miał na to niekłamną nadzieję – jej bardziej dorosłe wcielenie nie przykładały do tego nakazu wagi większej, niż do pozostałych kulturowych nakazów.

W tym wspomnieniu wizerunku z lustra – które niczym motyl zostało starannie przebite szpilką, zamknięte za szkłem i zawieszzone w galerii pamięci Daemana – zastygło wciąż dziewczęce, lecz już zmysłowe ciało, ciężkie i jasne piersi, śmietankowa cera, uważne spojrzenie oraz ogólne wrażenie bladości, podkreślonej czterema plamkami czarnych włosów – wijący się znak zapytania na głowie (zwykle nosiła niestarannie upiętą fryzurę, chyba że właśnie się bawiła, co zajmowało jej większość czasu), przecinki pod pachami i dwa idealnie ukształtowane wykrzykniki – wciąż nieprzemienione przez czas i dojrzewanie w trójkąt – prowadzące prosto w cień między udami.

Na usta siedzącego w kabriolecie Daemana wypłynął uśmiech. Nie miał



pojęcia, z jakiego powodu Ada zaprosiła go po tylu latach na swoje urodziny – lub urodziny osoby, której dwudziestkę mieli obchodzić – był jednak pewien, że zanim powróci do swej zwykłej rzeczywistości bankietów, długich wizyt u przyjaciół i przelotnych romansów ze światowymi kobietami, uwiedzie i tę dziewczynę.

Wojniks ciągnął pojazd bez wysiłku. Mimo że truchtał żwawo, nie było słyhać niczego poza chrzęstem żwiru pod jego odnóżami i nikłym szmerem starzejących się żyroskopów kabrioletu. W dolinie kładły się już pierwsze cienie, lecz wąska, wiodąca na przełęcz droga wciąż była oświetlona ostatnimi przebłyskami dnia. Na grzbiecie mignęło im słońce, a zaraz potem zjechali w szerszą dolinę, gdzie po obu stronach ciągnęły się łąny jakiegoś niezidentyfikowanego, niskiego zboża.

Nad polami szybowwały rolnicze serwitory. Skojarzyły się Daemanowi z lewitującymi piłkami do krykieta.

Dotychczas prowadząca na zachód droga odbiła na południe-z perspektywy chłopaka w lewo. Krytym, drewnianym mostem przecięli rzekę, po czym wspięli się na bardziej strome wzgórze i wjechali do starego lasu. Mglisto przypominał sobie, że dziesięć lat temu – tego samego dnia, gdy ujrzał w lustrze nagą Adę – łowił tutaj motyle. Złapał wtedy rzadką odmianę rusałki żałobnika i rozkosz tej chwili zlała się w jego pamięci z emocjami, jakich doświadczył, patrząc na blade ciało i czarne włosy dziewczyny. Przypomnił sobie spojrzenie, jakim obrzuciła go oglądana w zwierciadle Ada, kiedy na moment przerwała mycie. Żadnego zainteresowania. Nie była zła ani zadowolona. Nieskromna, lecz nienachalna.

W zasadzie beznamiętna. Posłała dwudziestosiedmioletniemu Daemanowi, który zamarł z pożądania na korytarzu, takie samo spojrzenie, jakim on obdarzał chwytnie przez siebie motyle.

Kabriolet zbliżał się do Dworu Ardis. Pod wiekowymi dębami, wiązami i jesionami panował mrok, lecz wzdłuż drogi rozstawiono żółte latarnie. Głębiej w pierwotnym lesie majaczyły podobne różnokolorowe szlaki, wyznaczające zapewne trasy do innych miejsc.

Wojniks wyprowadził ich wreszcie spomiędzy drzew i oczom Daemana ukazał się wieczorny pejzaż: jaśniejący na szczycie wzniesienia Dwór Ardis;

wysypane białym żwirem ścieżki i drogi łączące dom Ady z innymi ośrodkami; szeroka, zielona murawa, ciągnąca się spod samej rezydencji przez ponad ćwierć mili, aż do granicy kolejnego lasu. Jeszcze dalej pobłyskująca rzeka, w wodzie odbijały się promyki umierającego na niebie słońca. Za przełęczą na południowym zachodzie widać było odległe, równie gęsto zalesione wzgórza – czarne teraz, stęsknione za światłem – a za nimi jeszcze następne wzniesienia, stapiające się z mrocznymi chmurami na horyzoncie.

Daeman zadygotał na całym ciele. Na śmierć zapomniał, że dom Ady znajduje się w pobliżu zamieszkanym przez dinozaury lasów. Przypomniał sobie strach, jaki ogarnął go przy poprzedniej wizycie, mimo że Virginia i Vanessa oraz wszyscy pozostali zapewniali, że tereny łowieckie naprawdę groźnych gadów znajdują się ponad pięćset mil dalej.

Wszyscy z wyjątkiem piętnastoletniej Ady, która obdarzyła go wyrachowanym, lekko rozbawionym spojrzeniem, które – jak się niebawem przekonał – było jej sztandarowym wyrazem twarzy. Potem, by w ogóle zechciał się przespacerować po lesie, musieli go kusić, sugerując spotkania z motylami. Teraz – co nagle stało się jasne – będą potrzebować silniejszych argumentów. Owszem, zdawał sobie sprawę, że w towarzystwie serwitorów i wojniksów jest całkowicie bezpieczny, ale nie miał najmniejszej ochoty dać się pożreć wymarłym gadom i ocknąć w konserwatorni ze wspomnieniem tak kompromitującego końca.

Rozłożysty wiąz, rosnący na nachylonym ku posiadłości stoku został upstrzony dziesiątkami latarni; wzdłuż okrągłego podjazdu i białych, żwirowych ścieżek w ogrodzie stały pochodnie. Wojniksy trzymały wartę przy wytyczających granice rezydencji żywopłotach i na skraju mrocznego lasu. Nieopodal wiązu Daeman zauważył długi stół – migotliwa poświata falujących w wieczornym wietrze płomyków odbijała się w zastawie – kilkoro gości szykowało się już do bankietu.

Chłopak spostrzegł również z zadowoleniem – w głębi ducha był snobem – iż większość zebranych mężczyzn jest odziana w ziemistej barwy burnusy, pełniące tu rolę wieczorowych płaszczy. W kręgach wpływowej socjety, w jakich zwykle się obracał, moda na ten ubiór przeminęła już kilka miesięcy temu.

Kabriolet przetoczył się po okrągłym podjeździe prosto pod główne wrota dworu i zatrzymał w snopie żółtego światła padającego z otwartych drzwi. Wojniks opuścił drewniane dyszle na ziemię tak delikatnie, że Daeman nawet nie wyczuł, kiedy zetknęły się z ziemią. Serwitor obleciał pojazd, by wziąć bagaż, a gość wysiadł i z przyjemnością poczuł pod stopami stały grunt. Wciąż lekko kręciło mu się w głowie – przypadłość nieuchronna po każdym faksowaniu.

Z dworu wypadła mu na powitanie Ada. Daeman zatrzymał się w pół kroku i dość głupio uśmiechnął. Dziewczyna okazała się nie tylko piękniejsza niż zapamiętał; takiej urody nie oczekiwał w najśmielszych snach.

# 3

## *Równina Ilionu*

Przywódcy Greków gromadzą się karnie przed namiotem Agamemnona, zbiera się też tłum zaciekawionych gapiów. Spór pomiędzy królem i Achillosem już w tej chwili nabiera temperatury.

Powinienem był wcześniej wspomnieć, że przed przybyciem na miejsce morfowałem w Biasa – ale nie tego pylijskiego dowódcę, który służy w armii Nestora, lecz w kapitana poddanego rozkazom Menesteusa. Ów nieszczęsny Ateńczyk zapadł na tyfus i – aczkolwiek przeżyje i weźmie udział w walce, pojawiając się w księdze trzynastej – rzadko opuszcza swój namiot, rozbity kawałek dalej na plaży. Jako oficera otacza go aura posłuchu, wystarczająca, by przypadkowi świadkowie rozstąpili się przede mną i umożliwili dostęp do głównego kręgu. Nikt jednak nie spodziewa się, że w trakcie nieuchronnie zbliżającej się kłótni Bias zabierze głos.

Spóźniłem się haniebnie na większą część dramatycznej sceny, kiedy to Kalchas, syn Testora, „pierwszy w swym urzędzie”, wyjawiał Achajom rzeczywiste przyczyny gniewu Apolla. Jeden ze stojących obok dowódców szepce do mnie, że Kalchas, zanim przemówił, zażądał nietykalności – poprosił Achilleusa o ochronę, na wypadek gdyby tłumowi bądź któremuś z wodzów nie przypadły do gustu jego słowa. Achilles wyraził zgodę. Kalchas wtedy powiedział to, co połowa z nich podejrzewała skrycie już wcześniej: Chryzes, kapłan Apolla, błagał o zwrot porwanej córki, a zdecydowana odmowa Agamemnona dotknęła boga do żywego.

Przedstawiona przez Kalchasa wersja wypadków mocno Agamemnona rozgniewała.

– Dosłownie łajno mu z ust popłynęło – szepce kapitan, zanosząc się śmiechem, w którym czuć woń wina. Ten oficer, o ile się nie mylę, ma na imię Orus i zostanie za kilka tygodni zgładzony przez Hektora, gdy trojański heros już na dobre zacznie masakrować Achajów.

Orus opowiada mi, że ledwie kilka minut wcześniej Agamemnon zgodził się oddać tę właśnie niewolnicę, dziewczynę imieniem Chryzeida.

– Posiadanie tej branki bardzo jest mi miłe i byłaby w mym domu pociechą jedyną, większą niż Klitajmestra! – wykrzyknął Atryda i zaraz potem zażądał rekompensaty w postaci innej, równie cieszącej oko niewolnicy.

Wedle relacji z trudem trzymającego pion Orusa, Achilles odpowiedział, wołając, iż Agamemnon jest „łakomcą”

1

„człkiem bezwstydnego czoła”, po czym dodał, że Argiwowie – to kolejne po Achajach, Danajach i tym podobnych przezwisko przeklętych greckich najeźdźców – w obecnej sytuacji nie są w stanie przekazać szacownemu wodzowi dodatkowych zdobyczy. Być może pewnego dnia, o ile losy wojny obrócą się na ich korzyść – obiecał mężobójca Achilles – król otrzyma swoją wymarzoną dziewczynę. Tymczasem przykazał Agamemnonowi zwrócić Chryzeidę jej ojcu i zamknąć gębę.

– W tym momencie król Agamemnon Atryda wylał z ust nie tylko łajno, ale i stado srających nim kóz – mówi, śmiejąc się, Orus. Rechoce na tyle głośno, że stojący dokoła dowódcy zaczęli obracać ku nam spojrzenia.

Przytakuję skinieniem i odwracam się ku głównym aktorom sceny. Agamemnon, jak zwykle, znajduje się w centrum uwagi. Atryda wygląda dokładnie tak, jak powinien wyglądać naczelny wódz tego rodzaju armii –

wysoki, z brodą poskręcaną w klasyczne loki, godne półboga czoło i przeszywające spojrzenie. Muskularny, natarty oliwą, odziany w najlepszy strój i zbroję. Naprzeciwko niego, w samym środku kręgu stoi Achilles. Silniejszy, młodszy i jeszcze piękniejszy niż Agamemnon. Achilles bez mała wymyka się możliwościom kronikarskiego pióra. Gdy ujrzałem go po raz pierwszy – ponad dziewięć lat temu, przy okazji wspomnianego katalogu okrętów – stwierdziłem, że jest to najbardziej boski z boskich ludzi, jacy kiedykolwiek kroczyli po tej ziemi, tak bardzo wydał mi się władczy

i imponujący. Od tamtej pory zmądrzałem i doszedłem do wniosku, że Achilles – mimo swej urody i siły – jest człowiekiem względnie głupim – ot, taki bardziej przystojny Arnold Schwarzenegger.

Wokół obu adwersarzy zwarł się krąg bohaterów, o których opowiadałem studentom przez całe swoje poprzednie życie. Oglądając ich na własne oczy, ani razu nie poczułem zawodu. Blisko Agamemnona, lecz w oczywisty sposób nie w jego stronnictwie, trzyma się Odyseusz – o całą głowę niższy od króla, lecz obdarzony szerszą piersią, poruszający się wśród władców Grecji niczym byk między krowami. Raz po raz rzuca spojrzenia zdradzające niebywałą inteligencję i spryt, które uwidaczniają się również w pokrywających dojrzałe oblicze zmarszczkach. Nigdy z Odysem nie rozmawiałem, lecz tęsknię za tym spotkaniem i mam nadzieję, że nastąpi jeszcze przed końcem wojny, zanim podejmie swą słynną wędrówkę.

Po prawicy Agamemnona mamy Menelaosa, jego młodszego brata i męża Heleny. Myślę, że dorobiłbym się obrzydliwych bogactw, gdybym dostawał choć dolara za każdym razem, kiedy słyszałem, jak Achajowie szeptali między sobą, że gdyby tylko Menelaos był sprawniejszym kochankiem – lub „miał większego kutasa” jak trzy lata wstecz delikatnie ujął to w rozmowie z przyjacielem Diomedes – Helena nie zbiegłaby z Parysem do Mionu, a herosi najdalszych greckich archipelagów nie musieliby trawić dziewięciu lat na tym przeklętym oblężeniu. Miejsce po lewej stronie władcy zajmuje Orestes – nie ten rozpieszczony królewski synalek, który pewnego dnia pomści zabitego ojca i dochrapie się własnego dramatu, lecz lojalny włóczęga, którego czeka śmierć z ręki rzeźnika Hektora już podczas najbliższego odważniejszego wypadu Trojan.

Tuż za plecami Agamemnona stoi Eurybates, herold monarchy-tej postaci również nie należy mylić z Eurybatesem, heroldem Odyseusza. Ramię w ramię z nim widzę ptolemeuszowego syna, Eurymedona. Przystojniak, woźnica rydwana Agamemnona – nie ten o wiele mniej piękności Eurymedon, który prowadzi wóz Nestora. (Tak, mnie również zdarza się żałować, że zamiast wszystkich tych patronimików i przydomków greccy herosi nie noszą normalnych nazwisk).

Ponadto w otaczającym Atrydę półkręgu stanęli dzisiejszego wieczoru

Ajaksowie – Wielki i Mały. Przywódcy armii przybyłych z Salaminy i Lokrydy. Akurat ich nikt i nigdy ze sobą nie pomyli – chyba że z powodu imienia – ponieważ Ajaks Wielki posturą przypomina bramkarza hokejowej drużyny, podczas gdy Ajaks Mały kojarzy się raczej z kieszonkowcem.

Euryalus, trzeci co do ważności wojownik z Argolidy stoi przy boku swego pana, Stenelosa, mężczyzny z wargą zniekształconą do tego stopnia, że nie jest w stanie wymówić własnego imienia. Towarzyszy nam również szczerzy i uczciwy Diomedes, najwyższy dowódca argolidzkiego kontyngentu. Dzisiaj nie wygląda na zadowolonego. Stoi ze splecionymi na piersi rękoma, wzrok wlepia w ziemię. Stary Nestor – mówiący „wyrazami słodszy od miodu” – znalazł się w pobliżu połowy ludzkiego kręgu i wydaje się jeszcze mniej szczęśliwy niż Diomedes, zwłaszcza gdy widzi, że Agamemnon i Achilles spierają się coraz bardziej zajadle.

Jeżeli sprawy potoczą się zgodnie z opowieścią Homera, Nestor już za kilka minut wygłosi swoją sławetną mowę, bezskutecznie próbując zawstydzić naraz Agamemnona i rozwścieczonego Achilleusa i nakłonić ich, by podali sobie ręce, zanim na wewnętrznych swarach skorzystają wroddy Trojanie. Przyznaję, że mam ochotę tego przemówienia wysłuchać.

choćby ze względu na zawarte w nim odniesienie do stoczonyj wieki temu wojny z centaurami. Centaury interesują mnie od zawsze, a Homer każe Nestorowi opowiadać o nich bardzo rzeczowo i konkretnie. Na kartach „Iliady” pojawiają się wzmianki o dwóch tylko gatunkach mitycznych stworzeń. Jednym z nich są chimery, drugim właśnie centaury. Czekam więc na ten fragment w napięciu, trzymając się cały czas na uboczu, poza zasięgiem wzroku Nestora. Unikam go, ponieważ Bias – człowiek, w którego morfowałem – jest jednym z podwładnych starca i wolałbym uniknąć rozmowy.

W tej chwili jednak nic podobnego mi nie grozi – uwaga Nestora i wszystkich pozostałych skupiona jest na wymianie ostrych słów i kropelek śliny, jaka wciąż trwa między Agamemnonem i Achillesem.

W pobliżu Nestora zebrała się grupa ludzi, którzy nie opowiedzieli się wyraźnie po stronie jednego z adwersarzy. Są to: Menesteus (który za kilka tygodni, o ile wydarzenia potoczą się zgodnie z tekstem, zostanie zgładzony

przez Parysa), Eumelus (dowodzący Tessalczykami z Feraju), Poliksynos (jeden z wodzów Epejczyków), jego przyjaciel Talpius, przewodzący Etolczykom Toas, Leonteus i Polipoetes w charakterystycznych strojach z Argiwy, a także Machaon ze swoim bratem Podaliriosesem oraz kilkoma tesalskimi oficerami, którzy trzymają się nieco z tyłu. Jest również umiłowany przyjaciel Odyseusza Leukus (przeznaczenie skazało go na śmierć z ręki Antipusa, która nastąpi już za kilka dni) i wielu innych, których przez lata zdążyłem bardzo dobrze poznać. Zresztą nie tylko z wyglądu. Pamiętam również brzmienie ich głosów, rozpoznaję osobiste style walki, sposoby toczenia sporów i zwyczaje towarzyszące składaniu ofiar bogom. Jeśli jeszcze o tym nie wspomniałem, trzeba wam wiedzieć, iż starożytni Grecy nie robią niczego na pół gwizdka – kiedy już się za coś zabierają, wykonują zadanie, przykładając do niego wszystkie swe siły i talenty i ponosząc przy tym, jak napisał pewien dwudziestowieczny uczonec, „pełne ryzyko porażki”.

Naprzeciw Agamemnona, po prawicy Achillesa, stoi Patroklos – najbliższy przyjaciel mężobójcy, którego śmierć – zamorduje go Hektor – sprowokuje prawdziwy gniew Achillesa i najkrwawszą rzeź w historii wojen. Obok niego widzę Tlepolemosa, pięknego syna mitycznego herosa Heraklesa, który zbiegł z domu po zamordowaniu wuja ojca i niedługo polegnie powalony przez Sarpedona. Między Tlepolemosem, a Patroklosem ustawił się stary Fojniks (druh i dawny nauczyciel Achillesa), szepczący coś do Orsycholusa, syna Dioklesa, który swoją drogą zostanie niebawem uśmiercony przez Eneasza. Po lewicy wściekłego Achillesa zauważam Idomeneusa – ten, według poematu, wcale nie był w aż tak zażyłych stosunkach z mężobójcą, jak pokazała rzeczywistość.

Oczywiście w kręgu najważniejszych bohaterów jest znacznie więcej osób. Niezliczone rzesze herosów stoją też za moimi plecami, ale najważniejsze, byście wiedzieli, że tutaj nikt nie pozostaje anonimowy, ani w eposie Homera, ani w rzeczywistości rozgrywającej się tutaj, na równinie pod Mionem. Każdego z wojowników określa imię ojca, przeszłość, posiadane ziemie, żony, dzieci i stan zamożności. Nikomu nie zapomina się tego wszystkiego ani na moment, nawet w trakcie starć, zarówno zbrojnych, jak i czysto retorycznych. Taka mnogość informacji do zapamiętania wykończyłaby niejednego



naukowca.

– Wiem, bogom podobny Achillesie, że jesteś wiecznym oszustem! Oszukujesz, grając w kości, posługujesz się kłamstwem na polu walki i w miłości, a teraz próbujesz zwieść i mnie! – wydziera się Agamemnon. – Ale nie, ze mną ci się to nie powiedzie. Mnie w ten sposób nie omamisz! Masz piękną niewolnicę Bryzeidę, równie urodziwą jak moja Chryzeida. Chcesz zachować swój łup, a mnie puścić z gołymi rękami?! Niedoczekanie twoje. Wolałbym przekazać dowodzenie naszą armią stojącemu tu Ajaksowi... lub Idomeneusowi... albo chytremu Odysowi... bądź nawet tobie, Achillesie... owszem, nawet tobie!... niż zostać w tak perfidny sposób wystrychniętym na dudka.

– Zatem uczyn to bez zwłoki – rzuca wzgardliwie syn Peleusa. – Najwyższy już czas, by poprowadził nas prawdziwy przywódca.

Oblicze Agamemnona oblewa się purpurą.

– Dobrze. Idź, zepchnij czarny okręt na fale. Obsadź go wioślarzami i wypełnij darami dla bogów... Odbierz mi Chryzeidę, jeśliś tak śmiały... lecz ty sam będziesz musiał złożyć ofiarę, Achillesie, zabójco mężów. I wiedz, że ja w zamian odbiorę ci inny łup, zabiorę śliczną Bryzeidę.

Przystojną twarz Achillesa wykrzywia gniew.

– Bezwstydniku! Brak wstydu jest twą zbroją, a chciwość ci płaszczem, ty tchórze o psim pysku!

Agamemnon podchodzi do przeciwnika o krok bliżej, wypuszcza z dłoni berło i chwyta za rękojeść miecza.

Achilles odpowiada identycznym krokiem naprzód i podobnie jak król kładzie rękę na broni.

– Trojanie nigdy nie wyrządzili nam szkody, Agamemnonie, za to ty owszem. To nie włócznicy z Mionu sprowadzili nas na te brzegi, lecz twa zachłanność. Walczymy w twojej sprawie, ty gigantyczna beko wstydu. Przypłynęliśmy tutaj za tobą, byś mógł odzyskać honor, ty i brat twój, Menelaos, mąż, który nawet własnej żony nie potrafił utrzymać w sypialni...

Po tych słowach do przodu wrywa się Menelaos. On również łapie za miecz. Wodzowie i ich ludzie przechodzą na stronę to jednego, to drugiego bohatera i krąg się rozpada, dzieli na trzy obozy – zwolenników Agamemnona,

tych, którzy chcą walczyć u boku Achillesa, i osób neutralnych, zebranych w pobliżu Odysa i Nestora. Ci ostatni sprawiają wrażenie na tyle zniesmaczonych, że chętnie zasiekliby obu pniaczy.

– Odpływamy! Zabieram swoich ludzi! – woła Achilles. – Wracamy do Ftyi. Lepiej zatonać w pustym statku płynącym do domu po porażce, niż zostać tutaj i tracić godność, napełniając kielich Atrydzie i mnożąc przeznaczone mu łupy.

– Wybornie, uciekajcie! – wrzeszczy Agamemnon. – Dezerterujcie! Nie będę wam przeszkadzać. Nigdy nie usłyszysz, bym cię prosił, żebyś został i dla mnie walczył. Jesteś wielkim wojownikiem, Achillesie, lecz cóż z tego? Tę zdolność otrzymałeś od bogów, nie jest twoją zasługą. Tak kochasz bitwy, krew i szlachtowanie wrogów? Zbierz swych czołobitnych Myrmidonów i odejź! – wypluwa z siebie władca.

Achilles dosłownie dygoce ze złości. Wyraźnie widać, że czuje się rozdarty pomiędzy ochotą, by odwrócić się na pięcie, zwołać swe oddziały i na zawsze odpłynąć spod Mionu, oraz przemożną pokusą, by dobyć miecza i rozplatać Agamemnonowi brzuch niczym ofiarnej owcy.

– Wiedz jednak, Achillesie – ciągnie król, którego wrzaski przechodzą w straszliwy szept, doskonale słyszalny przez każdego z setek zebranych mężczyzn – że bez względu na to, czy zostaniesz, czy odejdziesz, zrezygnuję ze swojej Chryzeidy, jako że wymaga tego ode mnie sam bóg, sam Apollo. W zamian jednak zatrzymam twoją Bryzeidę i wtedy wszyscy się dowiedzą o ile znamienitszym mężczyzną jest Agamemnon od tego gburowatego chłystka, Achillesa!

W tym momencie Achilles traci nad sobą resztki panowania i dobywa miecza. W tym punkcie „Iliada” musiałaby się zakończyć – śmiercią Agamemnona, Achillesa lub ich obu – a Achajowie musieliby rozplątać się do domów, Hektor dożyłby w spokoju sędziwej starości, a wspaniały Mion trwałby przez tysiąc lat i być może rzucił wyzwanie Rzymowi, lecz w tym samym mgnieniu za plecami Achillesa pojawia się Atena.

Widzę ją. Achilles zatacza się i odwraca wykrzywioną oburzeniem twarz. Naturalnie również ją dostrzega. Nikt inny jednak bogini nie zauważa. Nie rozumiem zasad, na jakich opiera się technologia maskująca, ale działa równie

skutecznie, kiedy posługuję się nią ja i gdy do jej pomocy uciekają się Olimpijczycy.

W tej chwili dziwić może nie tylko niewidzialność Ateny – uświadamiam to sobie natychmiast. Bogowie ponownie zatrzymali czas. To ich ulubiona sztuczka, dzięki której mogą bezpiecznie i potajemnie rozmawiać ze swymi ludzkimi pupilkami. Lubią ten efekt, choć nie widuję go często. Zastygły otwarte usta Agamemnona – drobinki śliny wiszą nieruchomo w powietrzu – nie dobywa się z nich żaden dźwięk, nie drga szczęka, nie porusza się nawet jeden mięsień, nie mrugają powieki ciemnych oczu. To samo spotkało wszystkich zebranych. Zamarli, stoją jak urzeczeni lub zaczarowani, zamrożeni w czasie. Szybująca mewa zatrzymała się nad nami w locie. Fale zawisają wygięte ku plaży, nie opadają na brzeg. Powietrze stało się gęste jak syrop i więźniemy w nim wszyscy, niczym owady w stygnącym bursztynie.

W tym wszechświecie bezruchu poruszają się wyłącznie Pallas Atena, Achilles i – choć tylko po to, by się lekko nachylić i lepiej ich słyszeć-ja sam.

Dłoń wojownika wciąż spoczywa na rękojeści miecza – wysuniętego już do połowy z finezyjnie zdobionej pochwy – lecz Atena chwyta go za pukle długich włosów, obraca gwałtownie przodem do siebie i Achilles nie waży się w tej chwili wyciągnąć broni na dobre. Oznaczałoby to sprzeciwienie się boskiej woli.

Oczy herosa nadal jednak płoną – raczej szaleństwem niż zdrowym ogniem – i Achilles wykrzykuje w tę gęstą jak melasa ciszę, która zawsze zapada, gdy czas ustaje w biegu.

– Dlaczego, córo Zeusa?! Do diaska, dlaczego właśnie w tej chwili? Dlaczego przybywasz do mnie teraz, o bogini? Czy chcesz napawać się widokiem poniżenia, jakiego doznaję od Agamemnona?

– Ustąp! – rzuca Atena.

Jeżeli nigdy nie widzieliście olimpijskiego boga na własne oczy, mogę wam jedynie powiedzieć, że są nadnaturalnie wysocy – dosłownie. Atena, na przykład, ma przynajmniej dwa metry dziesięć wzrostu. Są przy tym uderzająco piękni.

Domyślam się, że to zasługa nanotechnologii i laboratoriów genetycznych. W postaci Ateny zbiegają się kobieca uroda, boski autorytet i czysta, niczym

nieskażona aura władzy, o intensywności, jakiej nawet nie przeczuwałem, zanim przywrócono mnie do istnienia w cieniu Olimpu.

Dłoń bogini nie odrywa się od pukli Achillesa. Atena odciąga mu głowę, zmusza do odwrócenia wzroku od znieruchomiłego Agamemnona i jego sług.

– Nigdy mu nie ustąpię! – krzyczy wojownik. Nawet w tym zastygłym powietrzu, które tłumi i spowalnia wszystkie dźwięki, w tonie mężobójcy słyhać się. – Ten wieprz, król od siedmiu boleści, zapłaci za swą arogancję życiem!

– Ustąp – powtarza Atena. – Hera, bogini o marmurowych ramionach, przysłała mnie tu z nieba, bym uśmierzyła twój gniew. Ustąp.

W obłądne spojrzenie Achillesa wkrada się cień zwątpienia. Hera, żona Zeusa, jest najpotężniejszą spośród olimpijskich sojuszników Achajów, a także osobistą patronką Achillesa.

– W tej chwili połów kres waśni – rozkazuje bogini. – Wypuść miecz z dłoni, Achillesie. Przeklnij Agamemnona, jeśli musisz, lecz nie zabijaj go. Wypełnij nasz rozkaz, a złożę ci obietnicę... Wysłuchaj nas teraz, a pewnego dnia twa zniewaga zostanie wynagrodzona świetlistymi darami po trzykroć więcej wartymi niż ta chwila. Jeżeli postąpisz nam wbrew, umrzesz. Okaż Herze i mnie posłuszeństwo, Achillesie, a otrzymasz sowitą nagrodę. Wiem, że tak się stanie, gdyż znam przeznaczenie bogów i ludzi.

Achilles paskudnie się krzywi, uwalnia szarpnięciem włosy i posepnieje, lecz miecz wędruje z powrotem do pochwy.

Czuję się tak, jakbym obserwował jedyne dwie żywe istoty w parku pełnym posągów.

– Nie mogę sprzeciwić się wam obu, moja bogini – odzywa się heros. – Człowiek winien ugiąć kark przed boską wolą, nawet jeśli gniew kaleczy mu serce. Lecz słuszne i uczciwe jest również, gdy bogowie wysłuchują modlitw chylącego przed nimi głowę męża.

Kąciki oczu Ateny drgają i delikatny uśmieszek przemyka przez jej oblicze, po czym bogini znika – tekuje się z powrotem na Olimp, a czas zaczyna płynąć normalnym tempem.

Agamemnon kończy swoją wściekłą połaćkę.

Achilles, z mieczem u boku, wkracza na środek kręgu.

– Ty wiecznie pijana beko na wino! – woła mężobójca. – Człowieku o psich oczach i sercu łani. Przywódco, któryś nigdy nie poprowadził nas do walki, ani nie szykowałeś zasadzek z najlepszymi pośród Achajów. Ty, któremu zbrakło odwagi, by złupić Ilion, więc rabujesz namioty własnych żołnierzy. Królu, który włada jedynie najpodlejszymi durniami, wysłuchaj mej obietnicy, mej uświęconej przysięgi... – Setki otaczających mnie ludzi jak jeden mąż wstrzymują oddech. Są bardziej wstrząśnięci zapowiedzią niezwykłego przyrzeczenia, niż gdyby Achilles po prostu zakłuł Agamemnona jak kundla. – Przysięgam ci, że pewnego dnia synowie Achai gorzko zatęsknią za Achillesem! – woła mężobójca, tak głośno, że wojownicy grający w kości w namiotach oddalonych nawet o sto metrów zamierają, by wysłuchać do końca. – Wszyscy, cała twoja armia! Lecz wówczas, Atrydo, zapłaczesz w głębi ducha, gdyż nic już was nie ocali, nikt nie uratuje przed pałającym żądzą mordy Hektorem, który zetnie was jak żniwiarz kosi łąny pszenicy. I tego samego dnia z rozpaczy wydrzesz sobie serce z piersi i zjesz je, wyrzucając sobie, że tak bardzo upokorzyłeś najlepszego pośród Achajów.

To powiedziawszy, Achilles odwraca się na swej sławetnej pięcie i wychodzi z kręgu. Rozlega się chrzęst kroków na przybrzeżnym żwirze w mroku między namiotami. I trzeba mu oddać jedno...

Ten mężczyzna potrafi kończyć z rozmachem.

Król spleta ręce na piersi i kręci głową. Rozlegają się rozmowy, podnoszą się poruszone głosy. Nestor występuje naprzód, by wygłosić swoją mowę o „spólnej sprawie”, wojnie podczas której zjednoczeni Grecy „centauirom dumne starli karki”. Wyłapuję pewną rozbieżność. U Homera, podczas przemówienia Nestora, Achilles wciąż się jeszcze wścieka.

Mój akademicki umysł scholiasty skrzętnie ten fakt odnotowuje, lecz myśli skupiam już na czymś bardzo, ale to bardzo odmiennym.

To właśnie w tej chwili, gdy przypominam sobie zabójcze spojrzenie, jakie Achilles rzucił Atenie, zanim bogini szarpnęła go za włosy i zmusiła do posłuchu, kiełkuje we mnie plan tak śmiały, tak jawnie skazany na porażkę, samobójczy i cudowny zarazem, że na moment tracę dech w piersi.

– Aby dobrze się czujesz, Biasie? – pyta stojący obok Orus.

Zaskoczył mnie. Skonsternowany, przez mgnienie oka nie potrafię sobie

przypomnieć kim jest on, oraz kim właściwie jest ów Bias. Zapomniałem o postaci, pod którą się podszyłem. Kręcę głową i opuszczam krąg, przeciskając się przez tłum sławetnych morderców.

Żwir chrzęści pod moimi stopami, lecz nie słychać tego heroicznego echa, jakie towarzyszyło odchodzącemu Achillesowi. Kieruję się nad wodę i gdy tylko wychodzę poza zasięg spojrzeń, porzucam kształt Biasa. Gdyby ktokolwiek mnie w tej chwili zobaczył, ujrzałby Thomasa Hockenberry'ego, mężczyznę w średnim wieku, w okularach, zgarbionego pod nedorzecznie ciężkim rynsztunkiem achajskiego włócznika. Morfująca bransoleta i bojowy pancerz scholiasty nikną pod warstwami wełny i futra.

Ocean jest ciemny. Ciemny jak czerwone wino – ubarwiam w myślach, lecz w ogóle mnie to nie bawi.

Czuję – wcale nie po raz pierwszy – przemożną ochotę, by skorzystać z maskowania i lewitacyjnej upręży i odlecieć stąd – po raz ostatni poszybować nad Mionem. W świetle pochodni przyjrzeć się jeszcze skazanym przez los mieszkańcom miasta, po czym odfrunąć na południowy zachód. Przemierzyć ciemne jak czerwone wino morze – Egejskie – i dolecieć do wciąż niegreckich wysp i kontynentu. Mógłbym sprawdzić co słychać u Klitajmestry i Penelopy, u Telemacha i Orestesa.

Doktor Thomas Hockenberry, zarówno za młodu, jak i dorosły, zawsze znacznie lepiej dogadywał się z kobietami i dziećmi niż z dojrzałymi mężczyznami.

Kłopot w tym, że proto-greckie damy i ich pociechy są znacznie bardziej krwiożercze i porywcze niż wszyscy dojrzały mężczyźni, których doktor Hockenberry poznał w swym poprzednim, zupełnie bezkrwawym życiu.

Zatem dalekie loty mogę spokojnie odłożyć na później. W zasadzie lepiej zupełnie o nich zapomnieć.

Fale przybijają do brzegu. Jedna za drugą. Swojski, niezmienny rytm uspokaja.

Zrobię to. Podjęciu decyzji towarzyszą emocje podobne lataniu – nie, nie lataniu, lecz ekscytacji w tej krótkiej chwili nieważkości, jakiej doznaje człowiek rzucający się w przepaść. Już wiem, że o powrocie na stały grunt nie ma mowy. Runę lub poszybuję.

Zrobię to.

# 4

## *W pobliżu Conamara Chaos*

Batyskaf europejskiego morawca Mahnmuta odsądził już od krakena na trzy kilometry i wciąż zwiększał dzielący ich dystans, co teoretycznie powinno natchnąć jego maleńki, robo-organiczny organizm niejaką pewnością, lecz tak się wcale nie działo. A to dlatego, że macki krakenów dość często rozrastały się do pięciokilometrowej długości.

Dokuczliwa przykrość. Co gorsza, kraken po prostu przeszkadzał. Mahnmut już niemal skończył nową analizę sonetu sto szesnastego i pilno mu było przesłać ją na lo, do Orphu. Gdyby więc coś połknęło batyskaf w tej chwili, uznaliby to za zdarzenie co najmniej niefortunne.

Ponownie wyszperał krakena sonarem, sprawdził, że ta wielka i wygłodniała galaretowata breja rzeczywiście nadal go ściga, po czym połączył się z reaktorem na czas wystarczający, by batyskaf przyspieszył o trzy dodatkowe węzły.

Kraken, który ze swych odmętów zapędził się za nim aż do otwartych kanałów w okolicach Conamara Chaos, nie wytrzymał tempa. Mahnmut zdawał sobie sprawę, że dopóki obaj płyną z taką prędkością, ścigający go potwór nie zdoła rozpostrzeć macek i pochwycić batyskafu. Gdyby jednak mały okręcik natknął się po drodze na jakąś przeszkodę – dajmy na to rozległą kolonię fluorescencyjnych krasnorostów – i musiał zwolnić, bądź, co gorsza, zaplątał się w ich połyskujące, obrzydliwe pasma, kraken runąłby na niego jak...

– Noż, cholera – rzucił Mahnmut, rezygnując z dalszych prób znalezienia godnego porównania.



Siedział w ciasnej kabinie, otoczony monotonnym szumem mechanizmów. Czujniki morawca były podłączone do układów batyskafu, a wirtualne obrazowanie ukazało mu właśnie wielkie skupiska świecących krasnorostów. Płynął prosto w ich stronę. Jaśniejąca plecha rozrastała się w prądach izotermicznych, karmiąc się siarczanem magnezu, którego krwistoczerwone formacje unosiły się pod lodowym szelfem niczym korzenie roślin.

Zanurzenie, pomyślał Mahnmut i stateczek zanurkował dwadzieścia kilometrów głębiej, unikając najniżej zawieszonych kolonii krasnorostów ledwie o kilkadziesiąt metrów. Kraken skierował się za nim. Gdyby stwór potrafił się złowieszczo uśmiechać, zrobiłby to właśnie w tej chwili – na tej głębokości krakeny polowały z zabójczą skutecznością.

Mahnmut niechętnie usunął sonet sto szesnasty z wirtualnego pola widzenia i przeanalizował dostępne możliwości działania. Nie miał ochoty dać się pożreć niecałe sto kilometrów od Centrum Conamara Chaos. Oczywiście to wszystko wina cholernych biurokratów. Nim kazali morawcowi wracać do bazy, powinni byli wykurzyć z okolicy morskie potwory.

Krakena mógł naturalnie zabić, lecz w pobliżu nie było żadnej żniwiarki, a zanim firma zdążyłaby jakąś zorganizować i dostarczyć, trup monstrum stałby się karmą dla żyjących wśród krasnorostów pasożytów, solnych rekinów, pogonoforów i swych własnych pobratymców. Nie, do takiego marnotrawstwa nie wolno mu było dopuścić.

Mahnmut wyłączył wirtualny wzrok i rozejrzał się po kabinie, jakby w nadziei, że widok niewielkiego wnętrza natchnie go lepszym pomysłem. Faktycznie, natchnął.

Na konsolecie, w towarzystwie oprawionych w skórę tomów Szekspira i wydruku pracy Helen Vendler, stała lampa lawowa – ironiczny prezent od jego dawnego partnera, morawca Urtzweila. Dostał ją bez mała dwadzieścia jowiszowych lat temu.

Mahnmut uśmiechnął się i ponownie włączył wirtualny wzrok na wszystkich częstotliwościach pasma. W tak niewielkiej odległości od centrali musiał przecież znaleźć jakieś diapiry. A krakeny nie cierpiały diapirów.

Tak. Piętnaście kilometrów na południowy wschód wypatrzył całe ich pole, unosiły się z wolna ku pokrywającej powierzchnię warstwie lodu, równie

leniwie jak kawałki wosku w jego lampie. Mahnmur ustawił kurs na najbliższy diapir i przyspieszył o pięć węzłów. Tak dla bezpieczeństwa, o ile ktokolwiek w ogóle mógł czuć się bezpiecznym w zasięgu macek dorosłego krakena.

Diapiry były kawałkami miękkiego lodu, ogrzanego w głębinach przez kominy hydrotermalne i gorące strefy grawitacyjne. Unosiły się w słonych od epsomitu wodach ku lądolodowi, jaki dawniej pokrywał sto procent powierzchni Europy, a teraz, dwa tysiące ziemskich lat po rozpoczęciu prac przez krioboty, nadal zajmował ponad dziewięćdziesiąt osiem procent obszaru księżycy. Wytypowany przez morawca diapir miał około piętnastu kilometrów średnicy i prędko zbliżał się do szelfu.

Krakeny nie lubiły diapirów ze względu na ich właściwości elektrolityczne. W ich sąsiedztwie nie korzystały z zabójczych ramion i szczęk, ani nawet ze swoich delikatnych czulek.

Batyskaf Mahnmur doścignął diapir z dziesięciokilometrową przewagą nad krakenem. Morawiec zwolnił, przygotował kadłub do zderzenia, wsunął czujniki i sondy, po czym wwiercił się w głąb miękkiej lodowej bryły. Posługując się sonarem i systemem nawigacji satelitarnej, sprawdził rozkład szczelin w krze oraz kanałów nawigacyjnych, od których nadal dzielił go mniej więcej ośmiokilometrowy słup wody. Za kilka minut diapir zderzy się z grubą lodową pokrywą, przebije się przez spękaliny i wytryśnie wysoką na sto metrów fontanną mokrej brei. W krótkim czasie ta okolica Conamary Chaos upodobni się do amerykańskiego Parku Yellowstone z czasów Zapomnianej Ery, słynącego z wrzących źródeł i czerwonych siarkowych gejzerów. Następnie piana i drobiny lodu rozproszą się w powietrzu i powoli, jakby w zwolnionym tempie, opadną na powierzchnię ściągane panującym na Europie ciężeniem, wynoszącym jedną siódmą ziemskiego. Sypnie gęsty deszczu ze śniegiem, który szybko zastygnie w cienkiej, sztucznej atmosferze księżycy – ciśnienie wynosiło tu ledwie sto milibarów-tworząc na i tak fantazyjnych lodowych połączeniach nowe abstrakcyjne formacje.

Mahnmur nie mógł umrzeć w ścisłym tego słowa znaczeniu – był co prawda częściowo organiczny, jednak nie dało się o nim sensownie powiedzieć, że „żyje”. Niemniej, mimo że zaprojektowano go do znoszenia dużych obciążeń, zdecydowanie nie miał zamiaru stać się częścią fontanny, tudzież dodatkiem do

lodowej rzeźby, która uwięziłaby go na następny tysiąc europejskich lat. Przez chwilę, prowadząc kalkulacje, zapomniał o krakenie, a nawet o słońcu sto sześćdziesiątym. Wyliczył tempo wznoszenia się diapiru, szybkość, z jaką batyskaf przedzierał się przez mięknący lód, oraz prędkość zbliżania się do skutej lodem powierzchni oceanu. Otrzymane wyniki przesłał do maszynowni i zbiorników z balastem. Zgodnie z planem miał wyrwać się z południowej ściany diapiru pół kilometra przed kolizją z lądolodem i

maksymalnie przyspieszyć, by wybić się awaryjnie ponad powierzchnię dokładnie w chwili, gdy potężna fala pozostałości diapiru wystrzeli z kanału. Następnie zamierzał skorzystać z dodatkowego przyspieszenia – szacunkowe dane wskazywały że prędkość batyskafu wzrośnie o sto kilometrów na godzinę – by umknąć przed lodową nawałnicą, korzystając z pojazdu jak z deski surfingowej przez połowę brakującego do Centrum Conamara Chaos dystansu. Ostatnie dwadzieścia kilometrów będzie musiał pokonać już na powierzchni, po osłabnięciu fali. Co do tego nie miał jednak wyboru. Tak czy inaczej, zanosilo się na wynurzenie w wielkim stylu.

O ile kanał nawigacyjny nie okaże się zablokowany. I o ile z Conamary nie wypłynie nim akurat inny batyskaf w przeciwnym kierunku. W takim przypadku, przez kilka nędznych minut pozostających do zniszczenia jego i „Mrocznej damy”, Mahnmur najadłby się wstydu za całe życie.

Oczywiście nie musiałyby się już przejmować krakenem. Te stworzenia nie zbliżały się do lodowej powierzchni bliżej niż na pięć kilometrów.

Po wprowadzeniu do systemów wszystkich koniecznych poleceń, wiedząc, że zrobił wszystko co w jego mocy, by zapewnić sobie przetrwanie i przybyć do bazy na czas, Mahnmur wrócił do analizy sonetu.

Batyskaf – dawno temu ochrzczony mianem „Mrocznej damy” – ostatnie brakujące dwadzieścia kilometrów do Centrum Conamara Chaos pokonał szerokim na tysiąc metrów kanałem, płynąc po falującym pod czarnym niebem morzu. Nad powierzchnią Europy wschodził Jowisz w trzeciej kwarcie, rozpalając kłęby chmur przytłumionymi barwami.

Małeńka lo sunęła na tle giganta tuż nad zmrożonym horyzontem. Po obu stronach kanału majaczyły wysokie na kilkaset metrów, pokryte głębokimi rozpadlinami klify, których mdłe ściany migotały pod ciemniejącym

nieboskłonem szarością i przygaszonymi odcieniami czerwieni.

Czując rosnącą ekscytację, Manhmur wyświetlił szekspirowski sonet.

Sonet 116

*Niechaj do prawych umysłów złączenia  
Żadne warunki nie będą przydane.*

*Miłością nie jest miłość, co się zmienia  
Lub jako rzeczy jest powyginane.*

*Nie. Miłość znak to we wieczności stały.*

*Co nie wstrząśnięty jest nawet przez burze,  
Gwiazda dla barki, którą wichry gnały,  
Wartość nieznana, światło lśniące w górze.*

*Nie błaznem czasu miłość jest, choć zgodnie  
Z prawami jego więdną nasze wdzięki.*

*Nie zmienia się w godziny i tygodnie,  
Lecz do zagłady trwa, do skrajów męki.*

*Gdy sprawdzą na mnie – kłamstwo to rzecz płocha,  
Nigdy nie pisał, nigdy nikt nie kochał[ 1].*

W ciągu lat zdążył ten sonet znienawidzić. Właśnie tego typu bzdury ludzie z Zapomnianej Ery recytowali na ślubach.

Kicz i tandeta. Szekspira zdecydowanie było stać na więcej.

Jednakże, kiedy Manhmur znalazł mikrozapisy krytycznych prac kobiety nazwiskiem Helen Vendler– uczzonej żyjącej i piszącej w jednym z dawno minionych stuleci, dziewiętnastym, dwudziestym lub dwudziestym pierwszym (dokładnej daty aktywności autorki nie udało się jednoznacznie ustalić) – natknął się na klucz do odczytania utworu. Otóż istniała koncepcja, w myśl której sonet sto szesnasty nie był wcale, jak zakładano przez wieki, przesłodzoną pochwałą, lecz wyrazem gwałtownego odtrącenia.

Przejrzał wynotowane słowa kluczowe. Znajdował je w każdym wersie – najpierw „żadne”, „nie” i „nigdy”, a potem w wersie czternastym „nigdy”, „nie”, „nigdy”, „nikt” i znowu „nie”. Brzmiały jak echo wypowiedzianego przez króla Leara nihilistycznego „nigdy, nigdy, nigdy, nigdy, nigdy”.

Tak, zdecydowanie było to odtrącenie. Do odkrycia pozostawało tylko co, lub kogo, autor tak naprawdę odtrącał?

Manhmur wiedział, że sonet sto szesnasty stanowi część cyklu skierowanego do „Młodzieńca”, niemniej zdawał sobie sprawę, że wyraz

„Młodzieniec” jest jedynie listkiem figowym, dodanym w późniejszych, bardziej skromnych latach poety. Miłosne wiersze nie były wcale adresowane do żadnego młodzieńca, lecz po prostu do chłopca, najwyżej trzynastolatka. Morawiec zapoznał się z krytycznymi tekstami z drugiej połowy dwudziestego stulecia i wiedział, iż ówczesni uczeni uznawali sonet za wypowiedź wprost – za homoseksualne, skierowane do kochanka wyznanie Szekspira.

Mahnmur rozumiał jednak również – opierając się na innych opracowaniach z późnego okresu Zapomnianej Ery i wcześniejszych – że tego rodzaju politycznie motywowane interpretacje są zgoła dziecinne.

Szekspirowskie sonety składały się w dramat. O tym Mahnmur był głęboko przekonany. Jego bohaterami byli zarówno „Młodzieniec” jak i „Mroczna dama”. Cykl powstawał na przestrzeni wielu lat. Poszczególne utwory nie stanowiły owocu burzliwych, młodzieńczych namiętności, lecz były dziełem dojrzałego, w pełni rozwiniętego talentu dramaturga. Jaki więc był ich temat przewodni? Miłość. A co Anglik sądził o owym uczuciu? Co myślał „tak naprawdę”?

Tego już nikt i nigdy miał się nie dowiedzieć – Mahnmur przeczuwał, że Bard był zbyt przebiegły, nadmiernie cyniczny i skryty, by kiedykolwiek wyjawiać swe prawdziwe myśli. Jednak w pisanych jedna za drugą sztukach Szekspir demonstrował jak silne targające ludźmi emocje – miłości nie wyłączając – czynią z nich głupców. A autor, podobnie jak król Lear, uwielbiał głupców i błaznów. Przecież błaznem Fortuny był Romeo. Hamlet – błaznem losu. Makbet – ambicji, Falstaff... Nie, ten nie był niczym trefnisiem... chociaż zgłupiał z miłości do księżniczki Hala i kiedy ten młodzieniec go odrzucił, usechł z tęsknoty i uwiądnął z pękniętym sercem.

Mahnmur rozumiał także, że poeta z sonetów, nazywany czasem „Willem”, nie jest – wbrew twierdzeniom licznych, niezbyt dociekliwych naukowców – historycznym Williamem Szekspirem, lecz tylko kolejnym dzieckiem artystycznej wyobraźni dramaturga, literackim konstruktem pozwalającym pisarzowi poznawać i przemierzać zawile ścieżki miłości.

Czy było zatem możliwe, że ów „poeta” był – na podobieństwo nieszczęsnego, szekspirowskiego hrabiego Orsino – błaznem miłości? Człowiekiem zakochanym w uczuciu jako takim?

Taka interpretacja bardzo przypadła Mahmmutowi do gustu. Wiedział, że szekspirowskie „prawych umysłów złączenie”

starszego poety i młodzieńca nie było homoseksualnym związkiem, a raczej prawdziwą komunią wrażliwości, aspektem miłości wysławianym na długo, zanim Bard pojawił się na świecie. Na pierwszy rzut oka sonet sto szesnasty wydawał się szampowym wyznaniem miłości i pod niebiosa wynosił trwałość uczucia, lecz jeżeli w rzeczywistości był utworem zwiastującym odtrącenie i odmowę...

Nagle Mahmmut ujrzał oczami wyobraźni całość układanki. Podobnie jak wielu wielkich pisarzy, Szekspir nie ujawniał w swych wierszach wszystkiego. Jeżeli jednak byłby to utwór o odtrąceniu, ku czemu byłoby skierowane? Cóż takiego mógł starszy, zadurzony poeta usłyszeć od tajemniczego młodzieńca, co domagało się tak stanowczej, gwałtownej reakcji?

Mahmmut rozprostował palce głównego manipulatora, sięgnął po rysik i zaczął pisać...

*Drogi Will u...*

*Bez wątpienia życzylibyśmy sobie obaj, by nasze prawych umysłów złączenie -jako że mężczyźni nie mogą się cieszyć sakramentalną unią ciał – było równie rzeczywiste i stałe, jak prawdziwe małżeństwo. To jednak niemożliwe.*

*Ludzie się zmieniają, Will. Zmienne są także okoliczności. A gdy znikają pewne ludzkie cechy, lub gdy odchodzą sami ludzie, zamiera również i miłość. Kochałem Cię, Will, darzyłem Cię szczerą miłością, ale Ty się zmieniłeś. Zmieniłeś się, wskutek czego przemiana dotknęła zarówno mnie, jak i naturę naszego uczucia.*

*Szczerze oddany Młodzieniec* Mahmmut odczytał swój list i wybuchnął śmiechem, lecz zaraz umilkł, uświadomił sobie bowiem, jak w świetle tej literackiej próby zmienia się wymowa sonetu. Teraz, w miejsce przesłodzonej afirmacji nieprzemijającej miłości pojawiała się w wierszu gwałtowna niezgoda na odrzucenie ze strony młodego, skoncentrowanego na sobie samym człowieka.

Spróbował odczytać dziełko na nowo: *Niechaj do prawych umysłów*

*złączenia Żadne (tak zwane) „warunki” nie będą przydane.*

*Miłością nie jest miłość, co „się zmienia”*

*Lub „jako rzeczy jest powyginane”.*

Nie!

Emocje Mahnmuta osiągnęły swój pułap. Teraz cały sonet, ba, cały cykl układał się w spójną i sensowną całość.

Z miłości wyrażającej się „prawych umysłów złączeniem” zostało bardzo niewiele, może jedynie gniew, wzajemne oskarżenia, pretensje, kłamstwa i niewierność. Jednym słowem, porzucone zostaną wszystkie romantyczne doznania, które wyczerpią się do sonetu sto dwudziestego szóstego, kiedy to „Młodzieniec” wraz z koncepcją idealnej miłości znikną, a w ich miejsce pojawią się wyuzdane cielesne uciechy, oferowane przez „Mroczną damę”. Mahnmut przeniósł swą świadomość w przestrzeń wirtualną i zaczął układać elektroniczną notkę do swego wiernego, wieloletniego rozmówcy, Orphu z lo.

Zawyły alarmowe syreny. Przed wirtualnymi oczyma Mahnmuta zamigotały ostrzegawcze światła. Kraken! – przemknęło mu w pierwszej chwili przez myśl, lecz przecież bestia za nic nie wynurzyłaby się na powierzchnię, a co dopiero mówić o pojawieniu się w otwartym kanale.

Morawiec zarchiwizował sonet wraz z notatkami, usunął list z kolejki nadawczej i uruchomił zewnętrzne czujniki batyskafu.

„Mroczna dama” znajdowała się pięć kilometrów od Centrum Conamara Chaos, w rejonie objętym już systemem zdalnego sterowania doków. Przekazał nawigację automatyce i przyjrzał się rosnącym przed batyskafem lodowym urwiskom.

Z oddali Centrum Conamara Chaos wyglądało identycznie jak pozostałe części powierzchni Europy-spiętrzone grzbiety zmrożonych klifów, sięgające na dwieście lub trzysta metrów w górę; potrzaskane lodowe masy, kanały nawigacyjne i lodowe soczewki. Niemniej po chwili rejsu ukazały się również znaki świadczące o tym, że okolica jest zamieszкана: czarna paszcza doku batyskafów, sunące po urwiskach windy, otwierające się w lodowych ścianach okna, mrugające światła pozycyjne, migocące także na modułach powierzchniowych, węzłach mieszkalnych i szpicach anten. A ponad tym wszystkim – tam gdzie kończył się klif i zaczynało czarne niebo – zobaczył

kilka międzyksiężycowych promów, dla ochrony przed burzami przycumowanych na lądowisku.

Statki kosmiczne w Centrum Conamara. Niecodzienny widok. Mahmmut wpłynął do doku, przestawił systemy batyskafu w tryb oczekiwania i zaczął się wypinać z urządzeń i układów statku. Przez cały ten czas myślał.

Po jaką cholere mnie tu wezwali?

Następnie poddał się traumatycznemu doznaniu ograniczenia zmysłów. Dostosował receptory do wymogów ciasnego, humanoidalnego ciała i wysiadł z batyskafu. Ruszył korytarzem wśród oświetlonych niebieskimi lampami lodowych ścian i pojechał windą ku znajdującym się daleko w górze węzłom mieszkalnym.

1 Przełożył Aleksander Mierzejewski.



# 5

## *Dwór Ardis*

Wieczorny poczęstunek dla tuzina osób podano na stole pod upstrzonym lampionami drzewem: sarnina i pieczeń ze świeżo upolowanego dzika, pstrąg z płynącej poniżej dworu rzeki, wołowina prosto z pastwisk rozciągających się pomiędzy Ardis a platformą faksową, białe i czerwone wina z okolicznych winnic, świeża kukurydza, dynie, sałaty i groszek z ogrodu, a także importowany faksem kawior.

– Czyje urodziny będziemy świętować? I która to właściwie Dwudziestka?  
– zaciekawiał się Daeman, gdy serwitorki zaczęły nakładać biesiadnikom pierwsze dania.

– Rocznicą jest moja, ale to nie Dwudziestka – odpowiedział przystojny, kędzierzawy mężczyzna imieniem Harman.

– Słucham? – Daeman rozciągnął wargi w uśmiechu, chociaż nie zrozumiał. Przejął paterę z dynią, poczęstował się i podał ją siedzącej obok damie.

– Harman obchodzi urodziny co roku – wyjaśniła Ada, zajmująca honorowe miejsce u szczytu stołu. Uroda odzianej w czarno-płową, jedwabną suknię dziewczyny działała na niego niemal jak fizyczny dotyk.

Chłopak pokręcił głową, nadal nie do końca pojmował. Dorocznych jubileuszy nie zauważał praktycznie nikt, a jeszcze mniej liczni je celebrowali.

– Czyli nie świętujemy dzisiaj twojej biologicznej Dwudziestki? – skierował uwagę do Harmana, po czym skinął głową unoszącemu się obok serwitorki, który dolał mu wina.

– Nie. Chociaż właśnie dziś wypadają moje biologiczne urodziny – powtórzył z uśmiechem zagadnięty. – Dziewięćdziesiąte dziewiąte.

Wstrząśnięty Daeman na moment znieruchomiał, po czym prędko, ukradkiem rozejrzał się, podejrzewając, że padł właśnie ofiarą dowcipu zrozumiałego jedynie dla prowincjuszy – oczywiście dowcipu w bardzo złym guście. Mimo wszystko, z dziewięćdziesiątego dziewiątego jubileuszu nikt nie powinien robić sobie żartów. Uśmiechnął się więc lekko i zamilkł w oczekiwaniu na puentę.

– Harman mówi poważnie – rzuciła swobodnie Ada. Pozostali goście milczeli. Z lasu dolatywało nawoływanie nocnych ptaków.

– Ja... bardzo przepraszam-wydukał Daeman.

– Przyznam się, że nie mogę się tego roku doczekać. – Harman powiódł spojrzeniem dokoła. – Mam wiele planów.

– Rok temu Harman przeszedł sto mil po dnie Bruzdy Atlantyckiej – wtrąciła Hannah, młoda, krótkowłosa przyjaciółka Ady.

W tej chwili Daeman nabrał pewności. Natrzęsają się z niego.

– Przecież tamtędy nie da się przejść.

– Cóż, ja to zrobiłem – rzucił Harman, ogryzając kolbę kukurydzy. – Oczywiście, jak już powiedziała Hannah, przeprowadziłem tylko krótki rekonesans. Sto mil od wybrzeża Ameryki Północnej i z powrotem. Nietrudnego.

Daeman uśmiechnął się raz jeszcze, za nic nie chciał wyjść na durnia.

– Ale w jaki w ogóle sposób udało ci się dotrzeć do Bruzdy, Harman Uhr? W jej pobliżu nie ma nawet jednego faksowężła.

Nie miał co prawda pojęcia, gdzie szukać tej Atlantyckiej Bruzdy, nie wiedział czym jest Ameryka Północna i nie był do końca przekonany, w którym właściwie miejscu znajduje się Atlantyk, był za to pewien, że żaden z trzystu siedemnastu faksowężłów nie leży w pobliżu Bruzdy. W swoich dotychczasowych podróżach skorzystał z nich wszystkich co najmniej raz i nigdy nie zwiedził legendarnego miejsca.

Harman odłożył ogryzioną kukurydzę.

– Piechotą, Daeman Uhr. Bruzda ma swój początek na wschodnim wybrzeżu Ameryki Północnej i biegnie wzdłuż czterdziestego równoleżnika, aż do krainy nazywanej w Zapomnianej Erze Europą. Ostatnim państwem narodowym zajmującym przybrzeżne tereny u wylotu Bruzdy była, o ile się nie mylę,

Hiszpania. Od ruin starożytnej Filadelfii, ty możesz ją znać pod nazwą Węzła 124, obecnie jest to posiadłość Lomana Uhr, można do Bruzdy dotrzeć po kilkugodzinnym spacerze. Gdyby wystarczyło mi odwagi i gdybym zabrał ze sobą dość prowiantu, dotarłbym do samej Hiszpanii.

Daeman pokiwał uprzejmie głową. Uśmiechnął się. Facet plótł trzy po trzy. Najpierw nieprzystojne przechwałki dziewięćdziesiątymi dziewięćdziesiątymi urodzinami, potem bajdurzenie o równoleżnikach, jakichś miastach z Zapomnianej Ery i pieszych wyprawach. Przecież nikt normalny nie chodzi piechotą dalej niż kilkaset metrów! Jaki w tym sens? Wszystko, co może człowieka interesować, znajduje się w pobliżu faksowęzłów, a do tych kilku odległych od platform kuriozów – na przykład posiadłości Ady – dojeżdżało się wygodnie kabrioletem bądź bryczką. Lomana Daeman znał. Naturalnie, że znał – niedawno bawił się w jego rezydencji na Trzeciej Dwudziestce Ono – jednak cała reszta monologu Harmana? Nie, zwykle pozbawione sensu głodne kawałki. Zapewne dobiegający kresu swych dni facet najzwyczajniej w świecie ześwirował. No cóż, teraz i tak został mu tylko ostatni faks do konserwatorni, a resztę załatwi wniebowstąpienie.

Daeman rzucił okiem na Adę. Miał nadzieję, że dziewczyna zainterweniuje i zmieni temat, lecz gospodyni nadal łagodnie się uśmiechała, jakby zgadzała się ze wszystkim co wygadywał Harman. W poszukiwaniu pomocy rozejrzał się po twarzach reszty współbiedniaków, lecz i oni uprzejmie słuchali – co więcej, słuchali z wyraźnym zaciekawieniem. Jakby plecenie podobnych farmazonów stanowiło stały element prowincjonalnych kolacyjek.

– Nie najgorszy pstrąg, prawda? – Daeman zagadnął sąsiadkę z lewej strony. – Pani również smakował?

Siedząca po drugiej stronie stołu kobieta, zażywna i rudowłosa, zapewne sporo po Drugiej Dwudziestce, wsparła swój wydatny, spiczasty podbródek na niewielkiej piątce i zwróciła się do Harmana.

– Jak tam było? To znaczy w Bruździe?

Kędzierzawy, mocno opalony mężczyzna próbował się wymigać, lecz pozostali goście – w ich liczbie młoda blondynka, którą Daeman zapytał o pstrąga i która tak nieelegancko zbyła jego ciekawość milczeniem – zaczęli uparcie nalegać na opowieść. Ostatecznie uległ i poprosił o ciszę, unosząc

dłoń.

– Dla człowieka, który nigdy Bruzdy nie widział, fascynujący jest już sam widok z brzegu. Korytarz ma mniej więcej osiemdziesiąt metrów szerokości i ciągnie się na wschód aż po horyzont. Wydaje się, że w oddali przejście stopniowo się zwęża, aż wreszcie, w miejscu gdzie ocean spotyka się z niebem, przeobraża się w cieniutkie, jasne pasemko. Wrażenie towarzyszące wchodzeniu na Bruzdę jest... nieco dziwne. W miejscu, gdzie Bruzda łączy się z plażą, piasek nie jest wcale wilgotny. Nie obmywają go fale. Z początku cała uwaga wędrowca kieruje się na boki. Człowiek schodzi coraz niżej i ogląda dwie pionowe ściany wody. Jest tak, jakby od spienionego morza oddzielała śmiałka jedynie szklana szyba. Ścian bruzdy trzeba dotknąć. Nie sądzę, by ktokolwiek oparł się pokusie. Bariera jest gąbczasta, niewidoczna i chłodna od wody, delikatnie ugina się pod naporem oceanu, lecz mimo to zachowuje szczelność. Potem schodzi się głębiej, wciąż po suchym piasku, jako że od stuleci morskie dno moczy jedynie deszcz. Podłoże jest więc stwardniałe. Wszędzie dokoła walają się zasuszone szczątki morskich zwierząt i roślin. Są z mumifikowane tak doskonale, że sprawiają wrażenie skamieniałych. Po pierwszych kilkunastu metrach ściany wody z obu stron sięgają już nad głowę. A za nimi pojawiają się cienie. Małe rybki, zaciekawione, podpływają do granicy morza i powietrza. Czasem przemyka sylwetka rekina, widać blade światełka, które okazują się galaretowatymi, bliżej niezidentyfikowanymi stworzeniami. Co jakiś czas zwierzęta zderzają się z niewidoczną ścianą Bruzdy zimnymi łbami i gwałtownie się cofają, wyraźnie przestraszone. Po przejściu mili woda sięga już tak wysoko, że na dnie robi się ciemno. Kilkanaście mil dalej ściany korytarza wznoszą się na ponad tysiąc stóp. A na niebie, które zmienia się tam w wąską kreskę, widać gwiazdy. Nawet w biały dzień.

– Niemożliwe! – rzucił chudy mężczyzna o piaskowych włosach, siedzący kilka miejsc od Daemana. Chłopak przypomniał sobie, że facet ma na imię Loes. – Żartujesz, prawda?

– Nie – odparł Harman. – To wszystko prawda. – Uśmiechnął się. – Szedłem w ten sposób przez około cztery dni.

Nocami spałem. Zawróciłem dopiero, kiedy skończyły mi się zapasy.

– Tylko jak w takich warunkach odróżniałeś dzień od nocy? – zapytała jedna z przyjaciółek Ady, wysportowana dziewczyna imieniem Hannah.

– Owszem, niebo jest w głębi Bruzdy czarne, a gwiazdy widać bez przerwy – wyjaśnił Harman – ale ocean po obu stronach mieni się wszystkimi odcieniami błękitu. Od jasnoniebieskiego daleko w górze, po mroczną czerń na poziomie dna.

– Natknąłeś się po drodze na coś szczególnie interesującego? – zaciękawiała się Ada.

– Widziałem wraki. Zatopione statki. Z Zapomnianej Ery i jeszcze starsze. Naprawdę starożytne. A także jeden, który mógł być... nowszy. – Znowu się uśmiechnął. – Jeden z nich zbadałem dokładniej. Wielki, zardzewiały kadłub przebijał północną ścianę Bruzdy. Leżał na boku. Do środka dostałem się przez wyrwę w burcie. Wspinałem się po drabinkach, chodziłem po pochyłych pokładach. Drogę oświetlałem sobie małą latarką, którą zabrałem z domu. W pewnym momencie, w przestronnym pomieszczeniu – zdaje się, że w dawnych czasach nazywano je ładownią – trafiłem na ścianę Bruzdy. Rozciągała się od podłogi po powałę. Pionowa ściana wody. Tuż za nią pływały ryby. Przytknąłem twarz do tej zimnej, niewidzialnej bariery i oglądałem pąkle, mięczaki, morskie węże i inne stworzenia. Pokrywały wszelkie możliwe powierzchnie, polowały jedne na drugie. Po mojej stronie wszystko we wraku było suche. Stara, łuszcząca się rdza. Byłem tam jedyną żywą istotą, nie licząc małego białego kraba, który również musiał zapędzić się w to miejsce z dalekiego lądu.

Zerwał się wiatr. Szumiące nad ich głowami drzewo odezwało się głośniejsze. Lampiony się zakołysały, a ich miękkie światło zagrało na jedwabnych i bawełnianych strojach, pomalowało kobiece fryzury, położyło się ciepło na dłoniach i obliczach zasłuchanych gości.

Wszyscy wpatrywali się w Harmana jak urzeczeni. Nawet Daeman poczuł się zaintrygowany, mimo że z ust mężczyzny wciąż płynął potok farmazonów.

Rozstawione wzdłuż ścieżki w żelaznych stojakach pochodnie trzaskały i sypały iskrami przy każdym silniejszym podmuchu.

– No, a wojniky?-odezwała się sąsiadka Loesa; Daeman nie umiał sobie przypomnieć jej imienia. Chyba Emmę?-Jest ich tam więcej niż na lądzie?

I czy są ruchome, czy stoją w miejscu?

– Tam wojniksów nie ma. W ogóle.

Wszystkich замуrowało. Daeman poczuł się równie wstrząśnięty, jak wcześniej, kiedy Harman oświadczył, że ma już dziewięćdziesiąt dziewięć lat. Poczuł lekkie zawroty głowy. Niewykluczone, że podane wino było mocniejsze niż przypuszczał.

– W ogóle nie ma wojniksów... – powtórzyła Ada. W jej tonie zabrzmiało nie tyle zaskoczenie, ile dziwny smutek. – Wnieśmy toast. – Dziewczyna sięgnęła po kieliszek.

Serwitory podleciały, by napełnić naczynia. Biesiadnicy chwycili za szkło. Daeman odczekał aż przestanie mu się kręcić w głowie i z pewnym wysiłkiem przywołał na twarz uprzejmy uśmiech.

Ostatecznie Ada toastu nie wygłosiła, lecz wypili wszyscy – włącznie z ociągającym się przez chwilę Daemanem.

\* \* \*

Pod koniec posiłku wiatr nasilił się jeszcze bardziej. Nadciągające chmury przesłoniły pierścienie B i R. W powietrzu pojawiła się woń ozonu, a ciemniejące na zachodzie wzgórza zniknęły za kurtyną deszczu. Uczestnicy przyjęcia przenieśli się więc do środka, po czym, podzieleni na mniejsze grupki, poszukiwali rozrywek w licznych salach rezydencji.

W południowej oranżerii serwitory odegrały koncert muzyki kameralnej, kilka osób dało się skusić krytemu szklanym dachem basenowi w tylnej części budynku, a na szerokim parapecie widokowej werandy na piętrze zaaranżowano bufet z wieczornymi przekąskami. Część par zniknęła w sypialniach, by się kochać, jeszcze inni zaszyli się w zacisznych zakątkach, założyli całuny i przenieśli się pod Troję.

Daeman ruszył za Adą, która zaprowadziła go wraz z Hanną i Harmanem do biblioteki na drugim piętrze. Wiedział, że, aby zrealizować plan i uwieść dziewczynę jeszcze przed końcem weekendu, musi przy niej spędzać każdą wolną minutę.

Chłopak doskonale rozumiał, że uwodzenie jest zarazem dziedziną

naukową, jak i formą sztuki – powodzenie gwarantował odpowiednio zmieszany koktajl talentu, rygorystycznego przestrzegania zasad, odpowiedniej dozy kontaktu i sposobności. Najważniejszy był, oczywiście, kontakt.

Przechadzając się po bibliotece obok Ady, Daeman wyraźnie czuł żar jej ciała bijący spod sukni z czarno-płowego jedwabiu. Dolna warga dziewczyny – zauważył to już dziesięć lat temu – była niezwykle kształtna, wydatna i oszałamiająco karminowa. Wręcz stworzona, by ją kąsać. Kiedy w rozmowie z Harmanem i Hanną gospodyni uniosła rękę, by podkreślić wysokość regałów, Daeman zauważył pod cieniutką tkaniną delikatne, subtelne falowanie jej prawej piersi.

Naturalnie, kilka bibliotek zwiedzał już wcześniej, lecz tak przestronnej nie widział nigdy. Pomieszczenie musiało sobie mierzyć ponad sto stóp długości, sufit wisiał pięćdziesiąt stóp nad podłogą. Wzdłuż trzech ścian, w połowie wysokości sali, biegła antresola, dostęp do wyżej ustawionych tomów na obu poziomach sali zapewniały przesuwne drabinki.

W ścianach otwierały się liczne alkowy i wnęki. Na otoczonych wygodnymi kanapami i fotelami stołach czekały otwarte księgi. Półki z książkami wisiały nawet nad olbrzymim oknem w wykuszu najdalszej od drzwi ściany. Daeman był pewien, że zgromadzone tu autentyczne książki starego typu musiały już wiele stuleci temu (w grę prawdopodobnie wchodziły nawet milenia) zostać naszpikowane zapobiegającymi rozkładowi nanochemikaliami. Wszystkie te bezużyteczne artefakty wykonane były przecież – na litość boską! – ze skóry i papieru, pokrytych farbą drukarską bądź atramentem. Mimo tych zabiegów cała wyłożona mahoniową boazerią biblioteka, wraz z oblanymi plamami ciepłego światła, antycznymi, obitymi skórzaną tapicerką meblami i posępnymi górami książek, tchnęła starością i zgnilizną. Daeman nie potrafił zrozumieć, z jakiego powodu rodzina Ady utrzymuje w Ardis to mauzoleum ani dlaczego Harman i Hannah koniecznie chcieli je obejrzeć.

Kędzierzawy mężczyzna, który twierdził, że trwa ostatni rok jego życia oraz że wybrał się na pieszą wędrówkę po Bruździe Atlantyckiej, aż znieruchomiał z zachwyty.

– Tutaj jest precudownie! – Wspiął się na drabinkę, przejechał na niej wzdłuż kilku regałów, po czym musnął dłonią okładkę opasłego, oprawnego

w skórę tomiszczą.

Daeman wybuchnął śmiechem.

– Myślisz, że zadziała funkcja czytania, Harman Uhr?

Zagadnięty odpowiedział uśmiechem, lecz wydawał się tak pewny siebie, że Daeman przez moment podświadomie oczekiwał, iż z książki popłynie po jego przedramieniu strumień złotych symboli, sygnalizujący odnalezienie i analizę treści. Sam Daeman nigdy oczywiście nie widział zapomnianej funkcji w działaniu, lecz opowiadała mu o niej babcia i inni starcy, opisujący rozrywki swych prapradziadków.

Nie popłynęło nawet jedno słowo. Harman cofnął rękę.

– A tobie do niej nie tęskno, Daeman Uhr?

Daeman ponownie głośno się roześmiał – nie po raz pierwszy tego dziwnego wieczoru – lecz zaraz potem wyczuł na sobie wyraźnie spojrzenia obu dziewczyn, które przyglądały mu się ciekawie, acz z pewną domieszką konsternacji.

– Nie, oczywiście, że nie – odparł. – Dlaczego miałoby mi jej brakować? Czy mógłbym z tych staroci wyczytać cokolwiek interesującego o naszym współczesnym świecie?

Harman wdrapał się nieco wyżej.

– Nie ciekawi cię, na przykład, dlaczego zniknęli z Ziemi postudzie? I dokąd się udali?

– Ani trochę. A udali się do swoich rodzinnych miast na pierścieniach. Przecież każdy o tym wie.

– Tylko dlaczego? – spytał Harman. – Po tysiącach lat kierowania naszym życiem i sprawowania nad nami opieki.

Z jakiego powodu nas zostawili?

– Bzdura! -fuknął Daeman, nieco bardziej opryskliwie niż zamierzał. – Nikogo nie zostawili. Specjalne posterunki wciąż nas pilnują. Z góry.

Harman pokiwał głową, jakby doznał nagłego olśnienia. Jego drabinka podjechała na mosiężnej szynie kilka kolejnych metrów ku górze. Czubkiem głowy dotknął niemal antresoli.

– A co powiesz o wojnikach?

– Co miałbym o nich powiedzieć?



– Zdarzyło ci się może zastanawiać, dlaczego przez długie stulecia pozostawały w zupełnym bezruchu, a obecnie są tak aktywne?

Daeman otworzył usta, lecz na to pytanie nie miał gotowej odpowiedzi.

– Wszystkie te teorie, twierdzenia, że wojniksy zaczęły się ruszać dopiero po ostatnim faksowaniu, to nic więcej jak stek wierutnych bzdur. Mity i folklor.

Ada podeszła krok bliżej.

– Daemanie, naprawdę nie zastanawiałeś się, skąd pochodzą?

– Kto, moja droga?

– Wojniksy.

Chłopak odpowiedział szczerym i donośnym śmiechem.

– Oczywiście, że nie, moja droga. Wojniksy były tutaj od zawsze. Są wieczne. Podobnie jak słońce i gwiazdy znikają nam czasami z oczu, ale są bezustannie obecne.

– Tak jak słońce i gwiazdy... i pierścienie? – dopytała ściszym głosem Hannah.

– Otóż to – przytaknął Daeman, zadowolony, że przynajmniej jedna z dziewczyn pojęła.

Harman zdjął z regału grubą księgę.

– Daeman Uhr, Ada wspominała, że jesteś znakomitym lepidopterologiem.

– Kim, przepraszam?

– Znaczący motyli.

Chłopak poczuł, że zalewa się rumieńcem. Zawsze robiło mu się przyjemnie, kiedy ktoś potrafił go docenić. Nawet jeżeli był to nieznajomy. I nawet jeśli temu nieznajomemu ewidentnie brakowało piątej klepki.

– Nie uważam się za znawcę, Harman Uhr. Jestem zwykłym, skromnym kolekcjonerem, który liznął co nieco wiadomości od wuja.

Harman zszedł z drabinki i przeniósł ciężki tom na pulpit.

– Zatem mam tu coś, co powinno cię zaciekawić. – Otworzył zabytkową okładkę.

Na błyszczących stronicach widniały barwne wizerunki motyli.

Daeman podeszedł bliżej. Odebrało mu mowę. Wujek nauczył go nazw mniej więcej dwudziestu gatunków. Koledzy zbieracze podpowiedzieli mu nazwy

kilku innych odmian motyli, jakie miał w swojej kolekcji. Wyciągnął dłoń i musnął palcem ilustrację przedstawiającą pająka królowej.

– Paź królowej – odezwał się Harman. – *Papilio machaon*.

Daeman nie zrozumiał dwóch ostatnich słów, lecz obdarzył starszego mężczyznę pełnym podziwu spojrzeniem.

– Ty również je zbierasz, Harman Uhr!

– Skądże znowu! – Harman wskazał obrazek znajomo wyglądającego, czarno-pomarańczowego motyla. – A to danaid wędrowni.

– Zgadza się – potwierdził skonfundowany chłopak.

– Admirał. Perłowiec. Przeplatka. Modraszka. Osetnik. Niepylak apollo. – Harman dotykał kolejnych rysunków. Daeman zdołał rozpoznać zaledwie trzy okazy.

– Widzę, że świetnie się znasz na motylach.

Harman zaprzeczył ruchem głowy.

– Jeszcze minutę temu nie podejrzewałem nawet, że te owady mają swoje nazwy.

Daeman zerknął na dłoń rozmówcy.

– Włączyłeś funkcję czytania, Harman Uhr!

Harman ponownie pokręcił głową.

– Nie. Nikt już nie może jej uruchomić. Podobnie jak nikt nie ma dostępu do funkcji komunikacyjnej, geolokacyjnej, dostępu do datasfery czy możliwości samofaksowania z dala od węzłów.

– W takim razie... – zaczął Daeman i zaraz urwał, do głębi skonfundowany. Czyżby wszyscy ci ludzie z jakiegoś powodu się na niego uwzięli? Przyjechał na ten weekend do Ardis w dobrych zamiarach. Oczywiście planował uwieść Adę, ale to przecież nic złego. A oni odpłacali mu tymi bezustannymi... kpinami i gierkami?

Ada, zupełnie jakby wyczuła wzbierający w chłopaku gniew, musnęła jego ramię smukłymi palcami.

– Daeman Uhr, Harman nie uruchomił funkcji czytania – zapewniła półgłosem. – Po prostu niedawno nauczył się czytać.

Daeman otworzył szeroko oczy. Wyjaśnienie dziewczyny było mniej więcej tak samo sensowne, jak świętowanie dziewięćdziesiątych dziewiętych

urodzin, tudzież wygadywanie głupstw o spacerach po Bruździe Atlantyckiej.

– To pewna konkretna umiejętność – podjął cicho Harman. – Podobnie jak wiedza o odmianach motyli, bądź twoje sławetne talenty w dziedzinie... zabawiania dam.

Słyszając ostatnie zdanie, Daeman otworzył szeroko oczy. Czyżby moje drugie hobby było aż tak powszechnie znane? – przemknęło mu przez myśl.

– Harman obiecał, że i nas nauczy tej sztuczki... Czytania – wtrąciła Hannah. – Moim zdaniem to może się, mimo wszystko, okazać przydatne. Jeżeli poznam z książek tajniki odlewnictwa, pewnie uniknę poparzeń.

Odlewnictwo? Wyraz obił się kiedyś Daemanowi o uszy, ale nie zapamiętał jego znaczenia. Nie miał pojęcia, jaki mogło mieć związek z ogniem czy aktywowaniem funkcji czytania. Oblizał nerwowo wargi.

– Skończmy może z tymi dziwacznymi gierkami. Czego wy właściwie ode mnie chcecie?

– Poszukujemy statku kosmicznego – odparła Ada. -1 mamy powody sądzić, że zdołasz nam pomóc.

# 6

## *Olimp*

Po zakończeniu zmiany w noc konfrontacji Achillesa z Agamemnonem, tekuję się z powrotem do olimpijskich koszar scholiastów. Swoje obserwacje i wnioski notuję, zapisuję myśli w kamieniu tekstowym i zanoszę to wszystko do niewielkiego białego pokoju Muzy, z którego okien roztacza się widok na jezioro w kalderze. Ku memu zaskoczeniu, zastaję tam gospodynię we własnej osobie. Rozmawia właśnie z innym scholiastą.

Kolega nazywa się Nightenhelser. Jest zbudowany jak tur i niezwykle towarzysko usposobiony. W ciągu spędzonych z nim na Olimpie czterech lat zdążyłem się dowiedzieć, że mieszkał, pracował naukowo i zmarł na początku dwudziestego stulecia, gdzieś na amerykańskim Środkowym Zachodzie. Widząc mnie w wejściu, Muza kończy rozmowę z Nightenhelserem i odprawia go przez wykute z brązu drzwi ku windzie, która zwozi scholiastę z Olimpu do zbudowanych na czerwonej równinie koszar.

Muza przywołuje mnie skinieniem palca. Wchodzę głębiej, składam kamień tekstowy na marmurowym stole i cofam się o krok, przekonany, że odprawi mnie bez słowa. Do tego właśnie sprowadzają się zwykle nasze kontakty. Z zaskoczeniem jednak widzę, że jeszcze w mojej obecności podnosi kamień i zaciska na nim palce. Przymyka powieki, koncentruje się.

Wciąż stoję w bezruchu i czekam. Przyznaję, że zaczynam się denerwować. Serce wali mi jak młotem, a splecione na plecach dłonie – znieruchomiałem w niezgrabnej parodii wojskowego „spocznij” – pokrywa śliska warstewka potu. Już wiele lat temu zrozumiałem, iż bogowie wcale nie czytają w myślach. Ich nieziemska biegłość w odgadywaniu myśli śmiertelników –

herosów i scholiastów-wynika z zaawansowanej znajomości zasad rządzących mimiką ludzkiej twarzy, mimowolnymi ruchami gałek ocznych i podobnymi detalami. Oczywiście mogę się mylić. Może rzeczywiście są telepatami. Jeśli tak – i gdyby uznali za stosowne przeniknąć mój umysł akurat w chwili kiedy wieczorem doznałem na plaży objawienia i podjąłem decyzję – jestem już trupem. Po raz drugi.

Widziałem co spotyka scholiastów, którzy drażnią Muzę, o zagniewaniu ważniejszych bóstw uprzejmie nawet nie wspomnę. Kilka lat temu – dokładniej w piątym roku oblężenia – pracował z nami scholiasta z dwudziestego szóstego stulecia. Okrągłutki, zuchwały Azjata, noszący niecodzienne nazwisko Bruster Lin. Mimo że Bruster Lin był pośród nas najbardziej inteligentnym, przenikliwym i lotnym uczonym, wrodzona bezczelność wpędziła go do grobu. Dosłownie.

Pewnego dnia wygłosił jeden ze swoich ciętych, ironicznych komentarzy. Poszło o pojedynek Parysa z Menelaosem, jedno jedyne starcie dwóch facetów, które mogło rozstrzygnąć losy całej wojny. Walka na śmierć i życie pomiędzy trojańskim kochankiem Heleny i jej achajskim małżonkiem zorganizowana została na oczach dwóch wiwatujących armii; Parys lśnił urodą w swej złotej zbroi, a Menelaos stanął do boju, posyłając złowrogie spojrzenia. Starcie nie wskazało jednak zwycięzcy. A to dlatego, że Afrodyta, widząc że jej ulubieńcowi Parysowi grozi przemiał na karmę dla czerwi, zainterweniowała i przeniosła go z placu prosto do sypialni Heleny, gdzie – to problem łączący wszystkich zniewieściałych liberałów w dziejach ludzkości – okazał się wojownikiem znacznie bardziej sprawnym niż na polu bitwy.

Tak więc, gdy Bruster Lin wygłosił jedną ze swych przezabawnych uwag na temat tego epizodu, Muza nie znalazła w niej nic szczególnie śmiesznego. Pstryknęła palcami i miliardy trylionów posłusznych nanocytów krążących w ciele nieszczęsnego scholiasty wystrzeliły jednocześnie na zewnątrz niczym hordy nanolemingów. Bruster Lin – który nawet nie zdążył przestać się uśmiechać – rozpadł się na naszych oczach na tysiąc krwawych kawałków, a jego wyszczerzona głowa potoczyła się pod nogi reszty scholiastów. Staliśmy akurat na baczność, lecz nikt nie ważył się drgnąć.

Lekcja była surowa i wzięliśmy ją sobie głęboko do serca. Żadnych

własnych opinii i komentarzy. Żadnych żarcików z wysublimowanych rozrywek Olimpijczyków. Za drwiny płaci się życiem.

Muza otwiera oczy i obrzuca mnie spojrzeniem.

– Hockenberry, od jak dawna z nami pracujesz? – zaczyna tonem, jaki pamiętam ze swego poprzedniego życia.

Posługiwali się nim kadrowi, gdy zamierzali wylać z roboty urzędnika średniego szczebla.

Zdaję sobie sprawę, że pytanie jest retoryczne, lecz gdy człowieka pyta bogini – nawet pomniejszego rzędu – należy odpowiadać nawet na retoryczne pytania.

– Dziewięć lat, dwa miesiące i osiemnaście dni, moja bogini.

Muza kiwa głową. Jestem najstarszym pozostającym przy życiu scholiastą. To znaczy, jestem tym scholiastą, któremu udało się przeżyć najdłużej. A ona świetnie o tym wie. Być może więc fakt, że oficjalnie zwróciła uwagę na moją długowieczność, stanowi dla mnie elegię i już za moment rozbryznę się w mgiełce nanocytów.

Zawsze kładłem studentom do głów, że Muz – córka Mnemosyne – było dziewięć: Klio, Euterpe, Talia, Melpomena, Terpsychora, Erato, Polihymnia, Urania i Kaliope. Każda z nich (przynajmniej wedle późnogreckiej tradycji) sprawowała patronat nad określoną formą artystycznej wypowiedzi, na przykład grą na flecie, tańcem czy układaniem heroicznego eposów. Jednakże w trakcie dziewięciu lat, dwóch miesięcy i osiemnastu dni służby w roli obserwatora wydarzeń na równinie Mionu widziałem i słyszałem o tylko jednej Muzie-tej siedzącej właśnie przede mną za marmurowym stołem, wysokiej bogini. Z powodu jej ostrego tonu nazwałem ją w myślach Kaliope, aczkolwiek to imię oznacza „obdarzoną pięknym głosem”. Nie umiem stwierdzić, czyjej głos jest piękny, czy nie – osobiście słyszę w nim raczej wycie syreny alarmowej niż melodyjne brzmienie skrzypiec – za to nauczyłem się, że kiedy wygłasza tym tonem rozkaz, reakcja może być jedna: wykonać!

– Chodź ze mną – rzuca. Wstaje płynnym ruchem i wychodzi z białej marmurowej komnaty bocznymi drzwiami.

Padł rozkaz. Wykonuję.

Muza dorównuje sylwetką pozostałym bóstwom – co oznacza, że mierzy

sobie ponad dwa metry wzrostu, lecz zachowuje przy tym idealne proporcje ciała. Jest być może nieco mniej ponętna niż niektóre inne boginie, lecz i tak zbudowana niczym dwudziestowieczna lekkoatletka i nawet przy zmniejszonym ciężeniu Olimpu muszę co chwila podbiegać, by za nią nadążyć.

Przechodzimy po dobrze utrzymanym zielonym trawniku pomiędzy białymi budynkami i przystajemy przy rydwanie.

Powiedziałem „rydwan”, bo też pojazd faktycznie przypomina z grubsza rydwan – jest niski, mniej więcej w kształcie podkowy, wsiada się z boku. Brakuje jednak koni, lejców i woźnicy. Muza chwyta za burtę i wzywa mnie gestem do siebie.

Z wahaniem i łomocącym w szaleńczym tempie sercem wsiadam i staję obok bogini. Muza przebiega długimi palcami po złotym klinie, będącym prawdopodobnie czymś w rodzaju deski rozdzielczej. Zaczynają migotać lampki. Rydwan pomrukuje, trzaska, otacza go nagle siatka elektrycznych wyładowań i unosimy się w powietrze. Gdy zawracamy, przed pojazdem pojawia się nagle para holograficznych koni i rzeczywiście wygląda to tak, jakby ciągnęły rydwan po niebie.

Rozumiem oczywiście, że hologramy zostały wymyślone na użytek Greków i Trojan, lecz i ja odnoszę bardzo silne wrażenie, że szybujemy ciągnięci przez prawdziwe zwierzęta. Przytrzymuję się mocno metalowej poręczy i rozstawiam szerzej nogi, chociaż przyśpieszenie jest zupełnie nieodczuwalne, nawet kiedy rydwan skacze i przechyla się w ostrym zakręcie sto stóp nad skromną świątynią Muzy. Zaraz potem mkniemy już ku głębokiej niecce kalderowego jeziora.

Rydwan bogów! – zachwycam się w duchu i natychmiast składam ten wybuch dziecinnej radości na karb zmęczenia i zwiększonej dawki adrenaliny.

Oczywiście podziwiałem te pojazdy już tysiące razy wcześniej. Bez przerwy fruwały w tę i z powrotem po niebie Olimpu bądź nad równinami Mionu, wożąc bogów zaprząniętych swoimi niebiańskimi sprawami, lecz zawsze dotąd oglądałem je z ziemi, skąd konie wyglądają jak żywe. Sam rydwan z kolei okazuje się znacznie mniej solidny, kiedy stoi się w środku, pędząc tysiąc stóp ponad szczytem góry – ściśle rzecz biorąc wulkanu – którego wierzchołek wznosi się dodatkowe osiemdziesiąt pięć tysięcy stóp

nad poziomem pustyni.

Na tej wysokości atmosfera powinna być już w zasadzie szczątkowa, a skały skute lodem. Powietrze jest jednak równie gęste i nadające się do oddychania jak siedemnaście mil niżej, w tulących się do wulkanicznych urwisk koszarach scholiastów. Zamiast wiecznej zmarzliny szeroki wierzchołek pokrywają zielone trawniki, rosną tutaj też drzewa i pyszną się białe gmachy, których skala i przepych sprawiają, że Akropol wydaje się w porównaniu z nimi wiejskim wychodkiem.

Znajdujące się w samym centrum terenu kalderowe jezioro ma kształt rozciągniętej na bez mała sześćdziesiąt mil cyfry osiem. Przelatujemy nad nim z prędkością prawie naddźwiękową. Wiatr nie urywa nam głów wyłącznie dlatego, że chroni nas jakiegoś rodzaju pole siłowe lub boskie czary, tłumiące zarazem wszelkie dźwięki. Poniżej, na brzegach jeziora, zauważam setki budynków. Wszystkie są otoczone hektarami wypielęgnowanej murawy i ozdobnych ogrodów – domyślałam się, że to rezydencje bogów. Po błękitnej tafli jeziora krążą leniwie potężne, zjeżone wiosłami autotryremy.

Scholiasta Bruster Lin powiedział mi kiedyś, że w jego ocenie Olimp u podnóża jest wielkości Arizony, podczas gdy sam trawiasty wierzchołek dorównuje powierzchnią stanowi Rhode Island. Kiedy usłyszałem nazwy miejsc z tamtego drugiego świata, z innej epoki i innego życia, poczułem się dość nieswojo.

Ściskam oburącz wąską krawędź burty i przenoszę spojrzenie poza olimpijski szczyt. Panorama zapiera dech w piersi.

Lecimy dostatecznie wysoko, by ukazała się nam krzywizna planety. Na północnym zachodzie, aż po łukowaty horyzont, ciągnie się bezkresny, błękitny ocean. Na północnym wschodzie z kolei widać wybrzeże. Wyobrażam sobie, że mimo wielkich odległości dostrzegam linię potężnych kamiennych głów, wyznaczającą tam granicę lądu i morza. Bezpośrednio na północy mamy sierpowaty, bezimienny archipelag, widoczny również z okien koszar scholiastów, jako że leży tylko kilka mil od plaży. Dalej nie ma już nic, tylko błękit aż po biegun. Kiedy spoglądam na południowy wschód, widzę trzy inne wysokie wulkany. Chociaż wychodzą ponad horyzont, to wyraźnie nie są tak potężne jak Olimp, lecz w odróżnieniu od boskiej siedziby, gdzie panuje



kontrolowany mikroklimat, ich wierzchołki bielą się śnieżnymi czapami. Jednym z nich – jak się domyślam – jest Helikon, dom mej Muzy i jej sióstr, o ile oczywiście istnieją. Południe i południowy zachód zajmują setki mil pól uprawnych, a następnie dzikie knieje, czerwona pustynia i chyba znów lasy, aż ziemia zlewa się wreszcie z chmurami i mgłą, w której, nawet wyężdżając wzrok, nie mogę rozróżnić żadnych szczegółów.

Muza kołuje w powietrzu i obniża lot ku zachodniemu brzegowi jeziora kalderowego. Dopiero teraz okazuje się, że białe plamki, które widziałem, gdy frualiśmy nad wodą, są w istocie wielkimi białymi budowlami. Ogromnymi gmachami ozdobionymi kolumnadami, szerokimi schodami, gigantycznymi frontonami i rzędami posągów. Jestem głęboko przekonany, że tej części Olimpu nie odwiedził jeszcze żaden scholiasta... a w każdym razie żaden stąd nie wrócił, by podzielić się rewelacjami z resztą kolegów.

Kierujemy się ku największemu z olbrzymich budynków. Rydwan ląduje i holograficzne rumaki gasną. Na trawie dokoła stoi bezładnie kilkaset innych podniebnych pojazdów.

Muza dobywa spomiędzy fałd swej szaty niewielki medalion.

– Hockenberry – zwraca się do mnie – otrzymałam polecenie, by zaprowadzić cię do miejsca, w którym nie możesz przebywać. Jedno z bóstw zasugerowało, bym wręczyła ci dwa przedmioty, dzięki którym w razie wykrycia nie zostaniesz natychmiast zgnieciony jak komar. Załóż to.

Muza wręcza mi oba rekwizyty-wspomniany medalion na łańcuszku i skórzany hełm, przypominający pokryty dekoracyjnymi tłoczeniami kaptur. Wisiorek jest mały, lecz dosyć ciężki, być może szczerzłoty.

Muza wyciąga rękę i przekręca jego zewnętrzną obwódkę w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara.

– To jest osobisty teleporter kwantowy. Identycznymi posługują się bogowie – tłumaczy, nieco obniżając głos. – Dzięki niemu możesz się przenieść w dowolne miejsce. Wystarczy, że je sobie wyraźnie wyobrazisz. Ten przyrząd pozwala również śledzić bogów podróżujących poprzez przestrzeń Plancka. Natomiast twojego śladu kwantowego nie wytropi nikt, z wyjątkiem bóstwa, które mi te przedmioty przekazało. Zrozumiałeś?

– Tak – odpowiadam, próbując opanować drżenie głosu. Nie powinienem

tego podarku przyjmować. Przyplacę to głową. Drugi „prezent” okazuje się znacznie bardziej groźny.

– Oto Hełm Śmierci – podejmuje Muza, wkładając mi na głowę ozdobne, skórzane nakrycie, po czym zsuwa mi je na szyję jak zwykły kaptur. – Hełm, który wyszedł spod ręki samego Hadesa. To jedyna rzecz w całym wszechświecie, która pozwoli ci się ukryć przed boskim wzrokiem.

Mrugam gwałtownie z przygłupią miną. Przypominam sobie mgliście jakieś dotyczące „Hełmu Śmierci” przypisy z naukowych opracowań i uświadamiam sobie, że samo imię Hades (po grecku Aides) oznaczało pierwotnie „niewidzialny”. Jeżeli się jednak nie mylę, Homer wspomina o Hełmie Śmierci tylko jeden, jedyny raz, w scenie, w której Atena nakłada go, by umknąć przed spojrzeniami boga wojny, Aresa. Dlaczego, na litość Olimpijczyków, któreś z bóstw postanowiło mi tego diabelstwa użyć? W co oni próbują mnie zrobić? Czuję jak miękną mi kolana.

– Załóż ten hełm – rozkazuje Muza.

Niezręcznie podciągam gruby skórzany kaptur. Pod palcami wyczuwam wszyte wewnątrz urządzenia: układy scalone, nanomaszyny. Hełm jest wyposażony w przezroczyste, giętkie osłony na oczy i przesłaniającą usta siatkę. Gdy nasuwam go do końca, powietrze wokół dziwnie faluje, aczkolwiek poza tym widzę zupełnie normalnie.

– Niebysza! – zdumiewa się Muza. Patrzy prosto na mnie, lecz wyczuwam, że mnie nie widzi.

Przychodzi mi do głowy, że spełniłem właśnie marzenie wszystkich nastolatków świata – stałem się niewidzialny.

Oczywiście, zupełnie przy tym nie pojmuję, w jaki sposób hełm zdołał zamaskować całe moje ciało. Korci mnie, by rzucić się do natychmiastowej ucieczki i skryć przed Muzą i całą resztą Olimpijczyków. Dławię ten niebezpieczny impuls. Gdzieś przecież musi tkwić haczyk. Żaden bóg czy bogini, nawet nie moja podrzędna Muza, nie obdarzyłyby prostego scholiasty tak potężnymi narzędziami bez należytego zabezpieczenia.

– To urządzenie zapewni ci niewidzialność w oczach wszystkich bóstw, z wyjątkiem bogini, która poleciła mi je tobie przekazać – podejmuje Muza półgłosem, wpatrując się w pustkę nad moim prawym ramieniem. – Ona

jednak wciąż będzie cię mogła zobaczyć i wytropić dokądkolwiek się udasz, Hockenberry. I mimo że medalion niweluje wydawane przez właściciela dźwięki, wonie i tłumi nawet bicie serca, to pamiętaj, że zmysły bogów działają w sposób dla ciebie niepojęty. Przez następne kilka minut nie będziesz się ode mnie oddalać. Stąpaj ostrożnie. Nie odzywaj się. Oddychaj tak płytko i powoli, jak tylko zdołasz. Jeżeli zostaniesz wykryty, ani ja, ani twa boska patronka nie zdołamy cię uchronić przed gniewem Zeusa.

Czy ktoś mi powie, w jaki sposób zdjęty przerażeniem człowiek ma oddychać płytko i powoli? Oczywiście potakuję skinieniem, zapomniawszy, że Muza mnie teraz nie widzi.

– Tak, moja bogini – poprawiam się po chwili ochryplym głosem, widząc, że nadal patrzy wyczekująco tam, gdzie mnie akurat nie ma.

– Ujmij mnie za ramię – pada szorstka komenda. – Przez cały czas pozostaniesz przy mnie. Nie odchodź i nie oddalaj się albo zostaniesz zgłodzony.

Chwytam ją za łokieć gestem nieśmiałej panienki na pierwszym dorosłym balu. Muza ma zimną skórę.

\* \* \*

Byłem kiedyś z wycieczką w Budynku Montowania Pojazdów w Centrum Kosmicznym imienia Kennedy'ego na przylądku Canaveral. Przewodniczka opowiadała, że pod wiszącym setki stóp nad betonową posadzką dachem tworzą się niekiedy chmury. Mimo to cały BMP dałoby się ustawić w rogu gigantycznego pomieszczenia, w którym się teraz z Muzą znajdujemy, i wyglądałby tutaj bardzo mizernie. Ot, domek z klocków w gotyckiej katedrze.

Kiedy człowiek myśli o bogach, przed oczyma stają mu ci najbardziej znani, najważniejsi – Zeus, Hera, Apollo i kilkoro innych – w sali zebrały się już setki bóstw, a mimo to wewnątrz zieje pustką. Niesłychanie wysoko, jakby całe mile powyżej, majaczy złota kopuła – Grecy nie znali sekretu konstrukcji kopuł, więc architektura budynku kontrastuje z rygorystycznie klasycznym stylem reszty wielkich gmachów, jakie widziałem dotąd na Olimpie. Pomieszczenie ma niezwykle właściwości akustyczne, kopuła odbija dźwięki

i rozprasza je po całej przytłaczającej hali.

Posadzka wygląda na wykonaną z kutego złota. Bogowie stoją na krętych antresolach, opierają się o marmurowe balustrady i spoglądają w dół. We wszystkich ścianach otwierają się setki łukowato sklepionych wnęk, w których bieleją marmurowe posągi, przedstawiające zebrane tu dzisiaj postacie.

Gdzieś tam rozbłyskują barwne hologramy Achajów i Trojan, wiele spośród nich ukazuje naturalnych rozmiarów mężczyzn i kobiet zajętych toceniem sporów, jedzeniem, kochaniem się bądź spaniem. W pobliżu środka sali złota posadzka obniża się stopniowo, tworząc zagłębienie większe od kilkunastu basenów olimpijskich, w którym wyświetlane są napływające w czasie rzeczywistym obrazy z Mionu – widoki z lotu ptaka, zbliżenia, szerokie panoramy. Rozmowy Greków i obrońców Troi dolatują do nas tak wyraźne, jakby znajdowali się tu razem z nami. Całą tę wypełnioną projekcjami nieckę otaczają bogowie: rozpierają się w kamiennych tronach, wyciągają się wygodnie na miękkich kanapach, stoją odziani w swoje komiksowe togi. A są to bóstwa najważniejsze. Trzon panteonu. Ci, których imiona znają nawet dzieciaki z podstawówki.

Kiedy Muza podchodzi do zagłębienia, pomniejsi bogowie rozstępują się przed nami. Staram się nadażać, nie oderwać dygocącej dłoni od jej złocistego ramienia, nie skrzyknąć sandałem, nie potknąć się, nie kichnąć i nie oddychać. Wychodzi na to, że bogowie faktycznie mnie nie widzą. Zakładam, że gdyby mnie zobaczyli, dowiedziałbym się o tym bez chwili zwłoki.

Muza zatrzymuje się kilka metrów od Pallas Ateny, a ja przysuwam się do niej tak blisko, że czuję się niczym trzyletni chłopczyk, kryjący się za spódnicą mamusi.

Trwa właśnie zajadły spór. Hebe, jedna z mniej istotnych bogiń, krąży między zebranymi, rozlewając do złotych kielichów złocisty nektar. Na tronie siedzi Zeus i już na pierwszy rzut oka widać, że to on jest tutaj królem: Zeus gromowładny, bóg nad bogami.

On wcale nie wygląda na postać z komiksu. Jest w najwyższym stopniu rzeczywisty, niesamowicie wysoki, brodaty, o mięśniach natartych oliwą. Sama jego namacalna i władcza obecność wystarcza, by krew zaczęła stygnąć mi w żyłach.

– W jaki sposób mamy skutecznie trzymać pieczę nad przebiegiem tej wojny? – Zeus zwraca się ostro do zebranych, rzucając jednocześnie Herze, swej małżonce, ostre jak sztylet spojrzenie. – Jak mamy kierować losem Heleny? Czy to w ogóle wykonalne, skoro tak potężne boginie jak Hera z Argos i Atena, patronka żołnierzy, raz po raz dopuszczają się bezpośrednich interwencji? Znakomitym przykładem jest niedawne powstrzymanie ręki Achillesa, który chciał przelać krew Atrydy.

Następnie kieruje swe chmurne, miotające pioruny oczy ku bogini wylegającej się na fioletowych poduchach.

– A ty, wiecznie roześmiana Afrodyto, wiernie trzymająca stronę pięknołicego Parysa, odpędzająca od niego złe duchy i odbijająca celnie rzucone włócznie? W jaki sposób mamy jasno przekazać śmiertelnym wolę bogów, a przede wszystkim, nie bójmy się tego powiedzieć otwarcie, wolę Zeusa, jeśli boginie raz po raz będą chronić swych faworytów, nie licząc się z wyrokami Przeznaczenia? Wiedz, Hero, że wbrew wszystkim twym machinacjom, Menelaos może jeszcze powieźć Helenę z powrotem do domu... Możliwe również, któż zdoła cokolwiek przewidzieć, że to Mion wyjdzie z oblężenia zwycięsko. Bez względu jednak na ostateczny wynik, nie dopuszczę, by zdecydowała o nim garstka boginek.

Hera splata smukłe ramiona na piersi. W homeryckim eposie ciało Hery bardzo często jest określane mianem „śnieżnego”, więc podświadomie spodziewałem się, że skóra na jej rękach będzie bielsza niż u innych bogiń. I chociaż cera Hery rzeczywiście ma mleczny odcień, to wcale nie jaśniejszy niż skóra Afrodyty, Hebe (córci Hery), czy którejkolwiek z bogiń, jakie widzę ze swego miejsca... Z jedynym wyjątkiem Ateny, dziwnie mocno opalonej. Doskonale rozumiem, że epitety w eposach Homera pełnią rolę służebną wobec formy; o Achillesie czytamy co chwila, że jest „szybkonogi”, Apollo „strzały wypuszcza dalekie”, a imię Agamemnona poprzedza zwykle zwrot „narodów król”, lub stwierdzenie, że „trzyma szerokie panowanie”; okręty Achajów są „czarne” i tak dalej. Powtarzanie owych określeń pozwalało spełnić niełatwe wymogi heksametru daktylicznego, co było dla autora ważniejsze niż ich czysto opisowa wartość. Innymi słowy, tak ułożony utwór można było swobodnie zaśpiewać bez naruszania metrum. Zawsze też

podejrzewałem, że niektóre z rytualnych wyrażen Homera – dajmy na to „różanopalca jutrzeńka” – są zwykłymi wypełniaczami, pozwalającymi aoidom zyskać kilka cennych sekund na przypomnienie sobie (lub wymyślenie) ciągu dalszego.

Ze świadomością wszystkich powyższych zastrzeżeń i tak uważnie przyglądam się ramionom Hery, która szykuje się, by odpowiedzieć małżonkowi.

– Synu Kronosa, władco najśrodszy – zaczyna, wciąż ze skrzyżowanymi rękoma – co ty, do cholery, wygadujesz? Jak śmiesz choćby myśleć o zniweczeniu moich wysiłków? Żeby sprowadzić tu armie Achajów, wylałam litry nieśmiertelnego potu. Natrudziłam się, łechcąc rozbuchane ego wszystkich tych herosów, obłaskawiając ich, by nie wyrznęli się nawzajem, zanim wymordują Trojan. Z trudem prawdziwym i wysiłkiem, swoim własnym wysiłkiem, mężu Zeusie, pracowałam, by zesłać niedolę na króla Priama, jego synów i stolicę.

Zeus marszczy czoło i pochyła się na swym tronie, który sprawia wrażenie niezbyt wygodnego. Wielkie białe pięści na przemian zaciskają się i rozluźniają.

Poirytowana Hera wznosi dłonie ku niebu.

– Zrobisz, co zechcesz, jak zwykle zresztą. Nie spodziewaj się jednak, że ktokolwiek z nieśmiertelnych będzie cię za to wychwalać.

Gromowładny podrywa się z miejsca. O ile pozostali bogowie mają po dwa, trzy metry wzrostu, to Zeus musi sobie mierzyć dobrze ponad trzy. Czoło ma w tej chwili nie tyle zmarszczone, ile raczej pokryte głębokimi wąwozami, i zaczyna grzmieć-wcale nie metaforycznie: – Hero! Moja droga, kochana i nienasycona Hero! Cóż takiego uczynił ci Priam bądź jego synowie? Jaka krzywdę ci wyrządzili, że zapalałaś tak nieustępliwą i wściekłą żądzą zniszczenia Mionu?

Hera stoi bez słowa. Ręce opuściła wzdłuż boków. Co jedynie dodatkowo zaognia monarszą wściekłość Zeusa.

– Więcej w tobie krwiożerczych uczuć niż gniewu, bogini! – ryczy. – Nie ustanieś, póki nie roztraskasz bram Troi, nie spocznieś do chwili, kiedy nie zwalisz jej murów i nie pożresz parujących ciał obrońców.

Buńczuczny wyraz twarzy Hery w zasadzie potwierdza słowa oskarżenia.

– No cóż... – grzmi Zeus i nagle traci rezon, w czym do złudzenia przypomina wszystkich skruszonych małżonków w dziejach. – Rób jak uważasz, Hero. Powiem ci jednak coś jeszcze i chcę, żebyś dobrze to sobie zapamiętała. Gdy nadejdzie dzień, w którym to ja poprzysięgnę jakiemuś miastu zniszczenie i obiecuję pożreć jego obywateli, miastu, które ty będziesz kochała równie gorąco, jak ja Kocham Ilion, wtedy nie waż się nawet myśleć o uśmierzeniu mego gniewu.

Bogini zbliża się do męża trzema szybkimi krokami. Jej ruchy kojarzą mi się z gracją atakującego drapieżnika, bądź wdziękiem, z jakim szachowy arcymistrz dostrzega i wykorzystuje nadarzącą się kombinację.

– Znakomicie! Najbardziej ze wszystkich umiłowałam sobie Argos, Spartę i Mykeny, których szerokie aleje są równie wspaniałe i dumne jak ulice przeklętego Mionu. Złup je i zniszcz, mój panie, skoro taka jest wola twego gniewnego serca.

Nie sprzeciwię ci się. Nie będę żywić o to urazy... Nie zyskałabym na tym wiele, gdyż to ty jesteś z nas dwojga silniejszy.

Nie zapominaj jednak o jednym, mój Zeusie. Owszem, jestem ci połowicą, lecz jestem również córą Kronosa i zasługuję na twe poważanie.

– Nawet przez mgnienie oka nie twierdziłem inaczej – mamroce Zeus pod nosem i ponownie zasiada na twardym tronie.

– W takim razie ustąpmy sobie wzajemnie – proponuje Hera, w której głosie pojawia się niemożliwa do przeoczenia domieszka słodyczy. – Ja ulegnę tobie, ty pogodź się z moją wolą. Pomniejsze bóstwa przyklasną. A teraz prędko, mój mężu! Achilles opuścił arenę, a Trojanie i Achajowie zawarli niepewny rozejm. Spraw, by to mieszkańcy Mionu jako pierwsi złamali dane słowo i karki sławetnych Greków.

Zeus wodzi naburmuszonym spojrzeniem, mamroce niewyraźnie pod nosem, wierci się na siedzeniu, lecz wreszcie spogląda na słuchającą uważnie Atenę.

– Udaj się czym prędzej na milczące dziś pole bitwy. Rozkazuję ci sprawić, by Trojanie naruszyli rozejm i przetrącili karki osławionym Achajom.

-1 niech potem zdruzgocą Argiwów – dodaje Hera.

– A dodatkowo, niech potem zdruzgocą Argiwów – powtarza zrezygnowany

Zeus.

Atena znika w rozbłysku kwantowej teleportacji. Zeus z Herą opuszczają wielką salę, pozostali bogowie odchodzą powolnym krokiem, wymieniając się ściszonymi uwagami.

Muza daje mi znak nieznacznym skinieniem palca i wyprowadza mnie za drzwi.

\* \* \*

– Hockenberry – odzywa się bogini miłości, wygodnie rozparta na usłanej poduchami otomanie. Ciężenie, mimo że niewielkie, podkreśla jedwabistą, mleczną zmysłowość jej figury.

To Muza przywiodła mnie do tego tonącego w półmroku pokoju, jednego z wielu na Dworze Bogów. Komnatę rozświetla jedynie blask nikłych płomieni w koksowniku i poświata czegoś, co podejrzenie przypomina komputerowy monitor. Szeptem przykazała mi zdjąć Hełm Śmierci z głowy, co witam z mieszanymi uczuciami. Z ulgą pozbyłem się skórzanego kaptura, lecz wraz z widzialnością powrócił strach.

Zaraz potem wkroczyła Afrodyta, ułożyła się na kanapie i powiedziała: -To wszystko, Melete. Wezwę cię, gdy będziesz potrzebna.

Muza wyszła przez ukryte w ścianie drzwi.

Melete – powtórzyłem w duchu. Imię nie należy do żadnej z dziewięciu córek Mnemosyne. Pochodzi ze znacznie wcześniejszej epoki, kiedy powszechnie uznawano, że muz jest tylko trójka: Melete, patronująca „ćwiczeniu”, opiekująca się „zapamiętywaniem” Mneme oraz Aoide, odpowiedzialna za...

– Hockenberry, na Dworze Bogów widziałam cię wyraźnie – podejmuje Afrodyta, odrywając mnie od uniwersyteckich rozważań. – Gdybym wskazała cię Zeusowi, nie byłbyś w tej chwili nawet garstką popiołu. Także teleportacyjny medalion nie pomógłby ci w ucieczce, gdyż jestem cię w stanie wysledzić w dowolnym punkcie czasu i przestrzeni. Czy rozumiesz, z jakiego powodu tutaj trafiłeś?

Zatem to Afrodyta jest moją patronką. To ona rozkazała Muzie wręczyć mi



oba urzadzenia. Co powinienem zrobic?

Przykleknac? Pac na twarz przed boskim majestatem? Jak sie do niej zwracac? Jeszcze nigdy w ciagu dziewięciu lat, dwuch miesiecy i osiemnastu dni na Olimpie adne bostwo nie zwrocio na mnie najmniejszej uwagi. Nie licząc Muzy.

Ostatecznie decyduje sie na lekki ukon i skromnie odwracam spojrzenie od jej urody. Nie patrze na rozowe sutki przewitujace przez cienka warstwe jedwabiu, nie widze juz delikatnie zakreslonego brzucha, pod ktorym, między udami, widnieje trojkatny cien.

– Nie, moja bogini – odpowiadam wreszcie, gdy juz z wysilkiem przypomnialem sobie o co pytaa.

– A czy wiesz, dlaczego zostaes wytypowany na scholiaste, Hockenberry? Dlaczego twoje DNA unikneo nanocytopowego wstrzasu? I dlaczego, zanim wybrano cie do reintegracji, twoje prace na temat wojny zostay umieszczone w simpleksie?

– Nie, moja bogini. – To moje DNA unikneo jakiegos nanocytopowego wstrzasu?

– A czy wiesz w ogole, miertelny cieniu, czym w ogole jest simpleks?

Czyyby wirusem opryszczki? – myle.

– Nie, moja bogini – odpowiadam.

– Simpleks to prosty obiekt geometrii matematycznej. wiczenie z logistyki. Zwinięty w trzecim wymiarze trojkat badz trapezoid – tumaczy Afrodyta. – Dopiero w przestrzeni wielowymiarowej i z uwzględnieniem algorytmuw okreslajacych nowe zakresy pojęciowe, tworzacych i niwelujacych ewentualne obszary przestrzeni  $N$ , paszczyzna wykluczenia nabiera ustalonych konturow. Czy teraz pojmujesz, Hockenberry? Rozumiesz, jaki ma to zwiazek z przestrzenia kwantowa, z czasem, z toczaca sie na rowninie wojna i wreszcie z twoim wlasnym losem?

– Nie, moja bogini. – Tym razem drzenie mojego gosu jest wyrazne. Przestaje nad nim panowac.

Sysze szelest jedwabiu i podnosze wzrok na czas dostatecznie dugi, by ujrzec najpiękniejsza z kobiet, ktora wasnie poprawia sie wród poduch na otomanie. Mignęy mi jej gladkie uda i jasne ramiona.

– Nieistotne – słyszę. – Ty, tudzież śmiertelnik będący twoim wzorcem, kilka tysięcy lat temu napisałeś książkę. Czy pamiętasz jej treść?

– Nie, moja bogini.

– Hockenberry, jeżeli odpowiesz mi w ten sposób raz jeszcze, rozszarpie cię od krocza do czoła, a z twoich jelit uplotę sobie podwiązki. Dosłownie. Czy chociaż to było dla ciebie wystarczająco zrozumiałe?

Nie jest łatwo rozmawiać, kiedy człowiek nie ma w ustach nawet grama śliny.

– Tak, moja bogini-odpowiadam szeleszczącym, przesuszonym głosem.

– Ta książka liczyła sobie dziewięćset trzydzieści pięć stron i traktowała o jednym, jedynym słowie. *Menin*. Czy teraz sobie przypominasz?

– Nie, moja bo... Obawiam się, że nie pamiętam, Afrodyto. Jestem jednak pewien, że wszystko, co mówisz, jest prawdą.

Znowu zerkam w górę. Zauważam, że bogini lekko się uśmiecha. Wsparła podbródek na lewej dłoni, jej palec układa się wzdłuż policzka ku idealnie zarysowanej ciemnej brwi. Oczy Afrodyty mają odcień wykwintnego koniaku.

– Gniew – tłumaczy szeptem. – *Menin aeide thea...* Czy wiesz, kto w tej wojnie zwycięży, Hockenberry?

Teraz muszę się zastanowić naprawdę szybko. Gdybym nie znał zakończenia eposu, okazałbym się marnym scholiastą – aczkolwiek „Iliada” wcale nie kończy się zniszczeniem Troi, a opisem ceremonii pogrzebowej Patroklosa, przyjaciela Achillesa. Co więcej, wzmianki o drewnianym koniu pojawiają się tylko w kilku uwagach Odyseusza, i to zamieszczonych w zupełnie innym dziele... Jeżeli jednak udam, że znam rezultat tej konkretnej wojny... Podśluchany dopiero co spór potwierdził, że edykt Zeusa, na którego mocy Olimpijczykom nie wolno znać treści homeryckiego eposu, wciąż pozostaje w mocy... Nie chciałbym wykazać się wyniosłością i dać do zrozumienia, że jestem pod jakimkolwiek względem lepszy niż Olimpijczycy i sama Fortuna. Pycha nigdy nie zyskiwała śmiertelnym boskiego poklasku. Poza tym Zeus, a tylko on zna całość „Iliady”, zezwolił reszcie bogów oraz scholiastom dyskutować wyłącznie o wydarzeniach, jakie już nastąpiły.

A ktokolwiek wkurzy Zeusa, nie powinien liczyć na długie i szczęśliwe życie. Niemniej, podobno, wstrząs nanocytowy mi nie grozi... No, ale z drugiej

strony, skoro bogini miłości zapowiada, że zrobi z moich jelit podwiązki, to nie mam najmniejszego powodu jej wątpić.

– Jak brzmiało pytanie, moja bogini? – Na nic lepszego mnie w tej chwili nie stać.

– Znasz zakończenie „Iliady”, lecz gdybym cię o nie zapytała, postąpiłabym wbrew rozkazowi Zeusa – mówi Afrodyta. Jej uśmiech zniknął, zastąpiony nader kobiecym grymasem nadąsanych ust. – Mogę cię jednak zapytać, czy epos przewidział ten konkretny rozwój wypadków. Zatem? Scholiasto Hockenberry, czy według ciebie to Zeus włada wszechświatem, czy więcej do powiedzenia ma Przeznaczenie?

O w dupę! – myślę. Każda możliwa odpowiedź sprawi, że zostanę wypatroszony, a ta piękna kobieta, bogini, wdzieje podwiązki ociekające moimi płynami ustrojowymi.

– Według mnie, bogini, chociaż wszechświat nagina się do woli Zeusa i jest zmuszony zarazem wypełniać kaprysy boskiej siły zwanej przeznaczeniem, to życiem zarówno ludzi, jak i bogów rządzi również *kaos*.

Afrodyta prycha z rozbawieniem. Cała jest taka miękka, namacalna, wabiąca...

– Nie chcemy raczej, by o wyniku tego starcia zdecydował chaos – mówi głosem, w którym nie znajduję już nawet krztyny wesołości. – Obserwowałeś może dzisiaj chwilę, kiedy Achilles wycofał się z walki?

– Tak, moja bogini.

– Wiesz też o tym, że mężobójca zanosił wcześniej modły do Tetydy? Prosił ją, by ukarała Achajów za hańbę, jaką okrył go Agamemnon.

– Nie byłem tego bezpośrednim świadkiem, bogini, lecz wiem że taki rozwój wypadków został przewidziany w... eposie.

– Bezpieczne sformułowanie. Mowa o wydarzeniach z przeszłości. Poza tym Tetyda, morska boginka, jest matką herosa i cały Olimp wie, że Achilles wzywał jej pomocy.

– Nie inaczej – przytakuje Afrodyta. – Ta flądra o mokrych cychach doczłapała się już na dwór i rzuciła się Zeusowi do kolan, zaraz po tym, jak stary dureń wrócił znanad rzeki Okeanos, gdzie jak zwykle łajdaczył się w towarzystwie Etiopów.

Błagała go w imię Achilleasa, by udzielił zwycięstwa Trojanom, a ten pryk wyraził zgodę, co naraziło go na domowy spór z Herą, naczelną patronką Argiwów. Stąd owa scysja, którą miałaś okazję obserwować.

Prostuję się. Staję ze spuszczoneymi wzdłuż ciała rękoma, dłonie kieruję naprzód, lekko skłaniam głowę. Przez cały ten czas obserwuję Afrodytę uważnie, jakby była jadowitą kobrą, aczkolwiek wiem, że gdyby uznała za stosowne mnie zgładzić, zaatakowałaby dalece szybciej i bardziej skutecznie niż najgroźniejszy wąż.

– Czy wiesz, dlaczego przeżyłeś tu dłużej niż jakikolwiek scholiasta w dziejach? – syczy bogini.

Nie przychodzi mi do głowy żadna odpowiedź, która nie doprowadziłaby do mojego rychłego zgonu. Nieco bardziej pochylam głowę i czekam w milczeniu.

– Żyjesz, ponieważ przewidziałam, że będziesz w stanie wyświadczyć mi kiedyś przysługę.

Krople potu perlą się na moim czole. Spływają i pieką w oczy. Wyczuwam też strużki na policzku i karku. Bezwzględny obowiązek scholiastów – od dziewięciu lat, dwóch miesięcy i osiemnastu dni także moim – jest obserwować toczącą się na równinie Mionu wojnę, ale tylko obserwować. Pod żadnym pozorem nie wolno nam wpływać na jej wynik, nie możemy dopuścić się niczego, co mogłoby w choć najdrobniejszy sposób zmienić ostateczny rezultat oblężenia, czy uczynki i decyzje herosów.

– Słyszałeś, co powiedziałam, Hockenberry?

– Tak, moja bogini.

-I nie ciekawi cię, o jakiej przysłudze mówię, scholiasto?

– Ciekawi, moja bogini.

Afrodyta podnosi się z kanapy. Raz jeszcze się kłaniam, lecz słyszę szmer jedwabnej sukni, dobiega mnie nawet odgłos towarzyszący ocieraniu się delikatnych białych ud. Kiedy do mnie podchodzi; czuję woń pachnideł i kobiecości.

Zatrzymuje się tuż obok. Zapomniałem – na chwilę – jak wysokie są boginie, lecz uświadamiam to sobie natychmiast, gdy wyczuwam, że się nade mną pochyla. Piersi zawisają ledwie o kilka cali od moich wpatrzonych

w posadzkę oczu. Przez mgnienie zmagam się z potrzebą zagrzebania twarzy w aromatycznej dolinie jej biustu i chociaż doskonale zdaję sobie sprawę, że byłby to mój ostatni wybryk przed brutalnym końcem, jestem prawie pewien, że nie pożałowałbym. Pokusa jednak przemija błyskawicznie.

Afrodyta składa mi dłoń na spiętym ramieniu, muska tłoczenia na skórze Hełmu Śmierci, po czym delikatnie wiedzie koniuszkami palców po moim policzku. Boję się straszliwie, lecz czuję też wzbierającą, silną i twardą erekcję.

Kiedy słyszę jej cichy, zmysłowy i nieco rozbawiony szept, nabieram pewności, że bogini doskonale wie, co się ze mną dzieje. Więcej, oczekuje tego niczym należnego sobie hołdu. Nachyla się ku mnie tak blisko, że owiewa mnie ciepło jej oddechu. Padają dwa zwięzłe polecenia.

– Będziesz dla mnie szpiegował pozostałych bogów. – Pierwsze, wypowiedziane półgłosem. I to drugie, niemal zagłuszone oszalałym biciem mojego serca: – A gdy nadejdzie właściwa pora, zabijesz Atenę.

# 7

## *Centrum Conamaro Chaos*

Razem z Mahnmutem, w hermetycznej, klimatyzowanej sali konferencyjnej zajęła miejsca piątka galilejskich morawców.

Pochodzącego z Europy robota znał – naczelny integrator z Pwyll nazywał się Asteague/Che – lecz pozostała trójka była prowincjuszowi Mahnmutowi równie obca jak kraken. Morawiec z Ganimedesa cieszył się wysoką i elegancką konstrukcją, atawistycznie humanoidalną, typową dla morawców z jego księżycy. Miał czarną fulerenową powłokę i owadzie oczy. Przybysz z Callisto projektem i rozmiarami bardziej przypominał Mahnmuta – był wysoki na około metra i znacznie mniej kojarzył się z człowiekiem. Chroniła go przezrzysta polimerowa obudowa, pod którą można było wypatrzyć fragmenty syntetycznej skóry, a nawet kawałki prawdziwego ciała. Mógł ważyć trzydzieści, najwyżej czterdzieści kilogramów. Robot z lo natomiast sprawiał wrażenie... imponujące. Wytrzymały, klasycznego projektu morawiec, zbudowany, by bez trudu znosić warunki panujące w plazmowych torusach i siarkowych gejzerach. Był wysoki na co najmniej trzy metry, długi na sześć, a kształtem przywodził na myśl ziemskie skrzypłocze. Podobnie jak one opancerzony i wyposażony w nieprzyswoicze liczne wypustki, siłowniki, obiektywy, witki, czułki, szerokokresowe sensory i chwytaki. Już na pierwszy rzut oka widać było, że długotrwała praca w próżni nie jest mu obca – jego obudowę pokrywały liczne ślady po uderzeniach kosmicznego śmiecia, po wielokroć wygładzane i polerowane tylko po to, by zaraz pojawiły się świeże. W efekcie był równie dziobaty jak naznaczona kraterami powierzchnia jego macierzystej lo.

Wchodząc i ustawiając się w sali, korzystał ze swych potężnych reflektorów grawitacyjnych – nie chciał zarysować podłogi. Ostrożność podpowiedziała Mahnmutowi, by się nie zbliżać za bardzo do olbrzymia. Zajął miejsce po przeciwnej stronie stołu.

Morawce nie przedstawiły się sobie ani w podczerwieni, ani drogą radiową. Mahnmut uznał, że nie będzie się wyrywać.

Podłączył się do regeneracyjnych pępowin, pociągnął łyk i czekał.

Osobiście po prostu lubił oddychać powietrzem pobieranym z zewnątrz i robił to zawsze, kiedy pozwalały mu warunki, lecz zdziwił się, że w sali, w której przebywały morawce z Io i Ganimedesa, istoty zdecydowanie niewymagające atmosfery, ustawiono ciśnienie aż siedmiuset milibarów. W pewnej chwili Asteague/Che nawiązał łączność za pomocą mikromodulacji fal powietrza. Mowa. W dodatku posłużył się ludzkim językiem. Angielskim z Zapomnianej Ery. Dopiero teraz dotarło do Mahnmuta, że salę wypełniono powietrzem nie dla wygody, lecz w celu zapewnienia poufności spotkania. W układzie galilejskim komunikacja dźwiękowa stanowiła najbardziej bezpieczny kanał przekazywania informacji i w systemy jej przetwarzania wyposażono nawet ciężkiego, próżniowego robota z Io.

– Na wstępie chcę wszystkim podziękować za przybycie kosztem waszych zwykłych obowiązków – rozpoczął naczelny integrator z Pwyll – Szczególne wyrazy wdzięczności należą się tym, którzy przylecieli z innych księżyców. Nazywam się Asteague/Che. Witam Korosa III z Ganimedesa, Ri Po z Callisto, Mahnmuta badającego lokalny, europejski biegun południowy oraz Orphu z Io.

Mahnmut aż przeliczył ze zdziwienia i natychmiast otworzył prywatne łącze radiowe.

– Orphu z Io? Mój wieloletni rozmówca, znawca spuścizny Szekspira?

– We własnej osobie. Mahnmut, przyjacielu, to wielka przyjemność móc cię wreszcie spotkać osobiście.

– Niezwykłe! Jakie były szanse, że zetkniemy się w taki akurat sposób?

– Wcale nie tak małe, jak ci się wydaje, przyjacielu. Kiedy tylko usłyszałem, że zostaniesz zaproszony do udziału w tej samobójczej ekspedycji, zacząłem usilnie zabiegać, by i mnie do niej dokooptowano.

– Samobójczej ekspedycji? O czym ty mówisz?

– ...po ponad pięćdziesięciu jowiszowych latach od ostatniego kontaktu z postludźmi... w ziemskiej rachubie będzie to około sześciu stuleci... – ciągnął Asteague/Che – do cna straciliśmy rozeznanie w ich zamiarach i poczynaniach. A brak pewności wywołuje nerwowość. Nastał czas, by zorganizować ekspedycję do centrum Układu Słonecznego, w stronę domu, by tak rzec, i dowiedzieć się, jaki jest obecny ewolucyjny status tych istot, oraz ocenić, czy mogą stanowić dla Galilejczyków bezpośrednie zagrożenie. – Tu Asteague/Che na moment urwał. – A istnieją powody, by sądzić, że tak.

Przezroczysta ściana za europejskim integratorem, przez którą widać było masyw Jowisza wznoszący się ponad zalaną blaskiem gwiazd lodową równiną, zmatowiała i wyświetlone zostały na niej księżyce i planety wirujące w dostojnym tańcu wokół odległej gwiazdy. Zbliżenie ukazało układ Ziemi, Księżycy i pierścieni.

– W ciągu ubiegłych pięciuset ziemskich lat drastycznie spadła aktywność postludzi, mierzona pod względem ilości modulowanych sygnałów radiowych, grawitonowych i neutrinowych – oznajmił Asteague/Che. – Sto lat temu odebraliśmy ostatni tego rodzaju sygnał. Z samej Ziemi dochodzą nas jedynie impulsy śladowe, zapewne wytworzone działalnością robotów.

– Czy nadal egzystuje tam niewielka grupka pierwotnych ludzi? – spytał Ri Po, niewielki morawiec z Callisto.

– Tej informacji nie posiadamy-odparł Asteague/Che, po czym przeciągnął ręką nad pulpitem i na okiennym ekranie pojawiła się Ziemia.

Mahnmut mimowolnie wstrzymał oddech. Na dwóch trzecich powierzchni planety panował dzień. Pod zwałami sunących chmur widać było błękit morza i kilka skrawków brązowych kontynentów. Nigdy jeszcze nie widział Ziemi.

Intensywność barw planety przytłaczała.

– Czy oglądamy transmisję bezpośrednią? – zaciekał się Koros III.

– Owszem. Konsorcjum Pięciu Księżyców zbudowało niewielki teleskop optyczny, który został umieszczony w przestrzeni kosmicznej, tuż za granicą magnetosfery Jowisza. W przedsięwzięciu tym brał między innymi udział obecny tu Ri Po.

– Przepraszam za tak marną rozdzielczość – odezwał się morawiec z Callisto. – Odkąd ostatnio pracowaliśmy ze sprzętem astronomicznym



działającym w zakresie fal światła widzialnego minęło ponad sto jowiszowych lat. W dodatku teleskop powstawał w pośpiechu.

– Czy znaleziono jakiegokolwiek ślady pierwotnych? – zapytał Orphu z lo i dodał przez radio do Mahnmuta: – Pytam o potomków twojego Szekspira.

– Nic rozstrzygającego – odparł Asteague/Che. – Maksimum rozdzielczości teleskopu pozwala otrzymać plamkę o boku nieco poniżej dwóch kilometrów. Nie zaobserwowaliśmy żadnych bezpośrednich świadectw ich obecności, tudzież ich nowych wytworów. Widać tylko ruiny znane już z wcześniejszych map. Wykryliśmy co prawda pewne neutrinowe oznaki faksowania, lecz to mogą być ślady reszkowe, bądź jak wspominałem, działające nadal automaty. Poza tym, muszę przyznać, że ludźmi dawnego typu obecnie nie zajmujemy się prawie wcale. W tej chwili interesują nas głównie postl udzie.



– Mojego Szekspira? Chciałeś powiedzieć: naszego! – odpowiedział lończykowi Mahmmut na prywatnym kanale.

– Musisz mi wybaczyć – odparł Orphu. – Dobrze wiesz, że doceniam sonety Barda, a nawet jego dramaty. Niemniej od dawna fascynuje mnie przede wszystkim Proust.

– Proust?! Ten esteta?! Wolne żarty!

– Wręcz przeciwnie. – W poddźwiękowym zakresie fal rozległ się głuchy

hurgot, który Mahnmut zinterpretował jako śmiech rozmówcy.

Integrator wyświetlił obrazy ukazujące niektóre z milionów orbitalnych modułów mieszkalnych, które otaczały pierścieniami Ziemię. Wiele było białych, pozostałe pobłyskiwały srebrem. W ostrym świetle pobliskiej gwiazdy wyglądały cudownie, lecz wydawały się również niezwykle zimne. I puste.

– Brak komunikacji promowej. Żadnych dowodów na faksową łączność z Ziemią. Zniknęły również konwoje przewożące surowce z pierścieni na Marsa. Ostatni zaobserwowano dwadzieścia jowiszowych lat temu, czyli dwieście czterdzieści kilka ziemskich.

– Podejrzewacie zatem, że postludzie także zniknęli? – zapytał Koros III. – Że z jakiegoś powodu wyginęli? A może wyemigrowali?

– Wiadomo nam tylko, że nastąpiła drastyczna zmiana w zapotrzebowaniu na energię chronoklastyczną, kwantową i grawitacyjną – wyjaśnił integrator. Obudowany jasnożółtym pancerzem robot był wyższy i bardziej humanoidalny niż Mahnmut. Przemawiał spokojnie, niezbyt głośno, modulowanym głosem. – Obecnie skoncentrowaliśmy zainteresowanie na Marsie.

Ekran wypełnił obraz czwartej planety Układu Słonecznego.

Mahnmut koncentrował swe zainteresowanie na Marsie w najlepszym wypadku sporadycznie, a wszystkie znane mu hologramy i zdjęcia planety pochodziły jeszcze z Zapomnianej Ery. Ukazany na ekranie świat w niczym jednak nie przypominał tamtych wizerunków.

W miejsce rdzawoczerwonej powierzchni pojawiło się niebieskie morze, zajmujące większą część północnej półkuli. Do tego gigantycznego akwenu wpadała rzeka Valles Marineris, widoczna pod postacią błękitnej, szerokiej na wiele kilometrów wstęgi. Spore połacie półkuli południowej pozostały rudawe, lecz gdzieś tam było też widać rozległe plamy zieleni. Wulkany na wyżynie Tharsis jak dawniej ciągnęły się mrocznym szeregiem z południowego zachodu na północny wschód. Nad jednym kłębił się nawet wyraźnie dostrzegalny pióropusz dymu. Olympus Mons z kolei wznosił się teraz niecałe dwadzieścia kilometrów od wielkiej zatoki północnego oceanu. Po dziennej połowie planety wędrowały skupiska białych chmur, natomiast poza linią terminatora, w skrytym w ciemności Basenie Hellas migotały

światła. Na północ od wybrzeża równiny Chryse Planitia Mahnmur spostrzegł spiralę huraganu.

– Terraformowali go – wyrwało mu się. – Postłudzie terraformowali Marsa.

– Jak dawno temu? – spytał Ophu z lo.

Galilejczyków nieszczerze ciekawiły losy Marsa – podobnie zresztą jak pozostałych wewnętrznych planet układu (wyjątek stanowiła tu tworzona dawniej przez ludzi literatura) – zatem zmiany na Czerwonej Planecie mogły zajść w dowolnym momencie ostatnich dwóch i pół tysiąca ziemskich lat, kiedy to morawce wzięły rozbrat z ludzkością.

– Cały proces zajął im dwa ubiegłe stulecia – odpowiedział integrator. – Może półtora.

– Niemożliwe – oświadczył Koros III beznamiętnym, niedopuszczającym sprzeciwu tonem. – Marsa nie da się terraformować w tak krótkim czasie.

– Owszem, to rzeczywiście wydaje się nierealne – przytaknął Asteague/Che. – Niemniej przedstawiam wam fakty.

– Czyli postłudzie przenieśli się właśnie na Marsa – wywnioskował Ophu z lo.

– Jesteśmy odmiennego zdania – odezwał się mały Ri Po. – Rozdzielczość naszych zdjęć Marsa jest bardziej znośna niż tych z Ziemi. Dla przykładu, wzdłuż linii brzegowych...

Wyświetlił na ekranie kręty półwysep, położony na północ od Valles Marineris. Potężna rzeka – właściwie rozciągnięte śródlądowe morze – wpadała do zatoki, skąd wąskim przesmykiem przelewała się do wielkiego północnego oceanu.

Zbliżenie ukazało okolicę, w której ląd spotykał się z morzem – miejscami czerwieniały pustynne wzgórza, gdzie indziej widać było zielen gęsto zalesionych równin. Wzdłuż brzegu ciągnął się szereg maleńkich czarnych punkcików. Ri Po ponownie wzmocnił powiększenie.

– Czy to są... rzeźby? – zdumiał się Mahnmur.

– Tak. Prawdopodobnie kamienne głowy – potwierdził Ri Po.

Zmienił ustawienia projektora i pokazał morawcom cień jednego z niewyraźnych obiektów. W kształcie ciemnej plamy dało się rozpoznać zarys

czoła, nosa i wydatnego podbródka.

– Przecież to jakiś absurd – zachnął się Koros III. – Żeby otoczyć tej wielkości rzeźbami cały północny ocean, musieliby dysponować milionami sztuk.

– Według naszych szacunków dokładnie czterema milionami, dwustu trzema tysiącami, pięciuset dziewięcioma – powiedział Asteague/Che. – Prace wciąż trwają. Przyjrzyjcie się, proszę, temu zdjęciu. Wykonano je około dwóch miesięcy temu, gdy Mars znajdował się najbliżej nas.

Na rozmazanym obrazie mrowie maleńkich postaci wlokło na rolkach olbrzymią kamienną głowę. Twarz posągu zwrócona była ku niebu, ciemniejące oczy wpatrywały się w obiektyw teleskopu. Maciupkie ludziki ciągnęły rzeźbę za pomocą długich, uwiązanych do niej lin. Zupełnie jak egipcyscy niewolnicy przy budowie piramid – przemknęło Mahnmutowi przez myśl.

– Ludzie? – odezwał się Oprhu. – Czy może roboty?

– Podejrzewamy, że są to jeszcze inne istoty – podjął Ri Po. – Kwestia rozmiaru. Zwróćcie również uwagę na barwę owych postaci, ustaliliśmy ją dzięki analizie widma.

– Zielona? – rzucił Mahnmut. Z zagadek cenił sobie te literackie, za życiowymi nie przepadał. – Zielone roboty?

– Albo nieznany dotychczas gatunek zielonych humanoidów – zasugerował z całą powagą Asteague/Che.

– A może emzetele? – Ophu zahuczał swym poddźwiękowym śmiechem. – Wiecie, MZL. Małe zielone ludziki – wyjaśnił na kanale ogólnym i znów zachichotał.

– W jakim właściwie celu zostaliśmy tutaj wezwani? – Mahnmut spojrzał na integratora. – Czy mamy cokolwiek wspólnego z terraformowaniem Marsa?

Asteague/Che przestawił okno z powrotem w tryb przezroczystości. W wieczornym świetle atmosferyczne pasy Jowisza i lodowe równiny Europy wydawały się wyjątkowo ponure. Trupio blady pejzaż mocno kontrastował z oglądanymi przed momentem intensywnymi błękitami i bielą wewnętrznych planet układu.

– Planujemy wysłać na Marsa ekspedycję. Specjalny zespół, który zbada

sytuację i złoży szczegółowy raport – powiedział integrator. – Do udziału w misji wytypowani zostaliście właśnie wy. Jeżeli nie wyrażacie zgody, chciałbym to usłyszeć w tej chwili.

Czwórka morawców milczała na wszystkich zakresach fal.

– Opisując założenia misji, rozmyślnie nie wspominałem o powrocie – podjął Asteague/Che. – Nie dysponujemy niezawodną metodą sprowadzenia was z powrotem w okolice Jowisza. Dlatego proszę o wyraźny sygnał, jeżeli któryś z was chce odmówić.

Ponownie nie odezwał się nikt.

– Rozumiem – skostatował europejski integrator. – Wszelkie dotyczące wyprawy szczegóły udostępniemy wam już za parę minut przez sieć, pozwólcie jednak, że osobiście zwrócę uwagę na najważniejsze elementy planu. Do badania Marsa wykorzystamy batyskaf Mahnmuta. Ri Po i Orphu zajmą się sporządzaniem map z orbity. Mahnmut i Koros III wylądują na powierzchni. Szczególnie interesuje nas aktywność w okolicy największego wulkanu planety, Olympus Mons. W rejonie tej góry rejestrujemy bardzo silne i jak dotąd niewyjaśnionej natury fluktuacje kwantowe. Mahnmut wysadzi Korosa III na wybrzeżu, po czym nasz ganimedejski przyjaciel przeprowadzi dokładny rekonesans.

Z archiwów i lektur Mahnmut pamiętał, że żyjący w Zapomnianej Erze ludzie, chcąc zasygnalizować, że zaraz przerwą wypowiedź rozmówcy, chrząkali. Wydał z siebie stosowny odgłos.

– Musicie wybaczyć moją wrodzoną głupotę, ale chciałbym się dowiedzieć w jaki sposób przetransportujemy „Mroczną damę”, mój batyskaf, na Marsa?

– Żadną miarą nie jest to pytanie głupie – przyznał integrator. – Orphu?

Wielki pancerny skrzypłocz obrócił się na swych reflektorach grawitacyjnych i skierował ku Mahnmutowi czarne obiektywy kamer.

– Ostatniego wypadu w głąb układu dokonaliśmy setki lat temu. Wysłanie na Marsa czegokolwiek metodami z tamtego okresu zajęłoby pół jowiszowego roku. Z tego powodu postanowiliśmy skorzystać z nożyc.

Ri Po niespokojnie poruszył się za stołem.

– Wydawało mi się, że nożyce mają być wykorzystywane wyłącznie do podróży na dystansach międzygwiazdnych.

– Konsorcjum Pięciu Księżyców uznało, że naszej ekspedycji przysługuje priorytet-odparł Orphu z lo.

– Rozumiem jednak, że wsadzicie nas przedtem do jakiegoś pojazdu? – upewnił się Koros III. – Czy może będziecie nami strzelać jak kurczakami z trebusza?

Chrobotliwy, poddźwiękowy rechot Orphu wprowadził w drgania cały blat. Porównanie najwyraźniej przypadło mu do gustu.

Mahnmut podłączył się do ogólnej sieci i przeszukał jej zasoby. Trebusz okazał się maszyną obłędną, stosowaną w Zapomnianej Erze przez ludzi z cywilizacji Poziomu Drugiego, jeszcze przed wynalezieniem maszyny parowej. Machina działała w oparciu o proste zasady mechaniki, lecz strzelała z siłą znacznie większą niż katapulty, była w stanie posłać wielkie gązdy na ponad milę.

– Odpowiedni statek kosmiczny już jest gotowy – wyjaśnił Asteague/Che. – Na orbitę Marsa dotrze po kilku dniach lotu.

Konstrukcja pojazdu umożliwi również przewiezienie batyskafu Mahnmuta. Specjalnie dla was zaprojektowano zestaw osłon termicznych, które umożliwią „Mrocznej damie” bezpieczne wejście w atmosferę.

– Dolecieć do Marsa w kilka dni... – Ri Po zamyślił się. – Jakich przeciążeń należy się spodziewać podczas opuszczania plazmowego torusa lo?

– Bez mała trzy tysiące g – odpowiedział Asteague/Che. – Ziemi.

Mahnmut, który nigdy jeszcze nie doznał ciężenia większego niż panujące na Europie (a wynosiło ono niecałą jedną siódmą grawitacji Ziemi) spróbował sobie wyobrazić przeciążenie dwadzieścia jeden tysięcy razy silniejsze. Bez powodzenia.

– Na okres przyspieszania cały pojazd, z „Mroczną damą” włącznie, zostanie wypełniony specjalnym żelazem. Będzie nam wygodnie jak układowi scalonemu w żelatynie – obiecał Orphu z lo.

Stało się jasne, że Orphu brał osobisty udział w budowie statku. Ri Po miał doświadczenie w obserwacjach Ziemi i Marsa. Również Koros III został zapewne uprzedzony o przeznaczonej mu roli dowódcy. Mahnmut odniósł wrażenie, że jedynie on nie brał udziału w przygotowaniach. Prawdopodobnie dlatego, że przypadło mu zadanie trzeciorzędnego znaczenia – miał po prostu

przeprowadzić batyskaf przez marsjańskie morza. Może jednak – zastanowił się – powinienem się z tej awantury wypisać?

– Proust? – zagadnął na prywatnym kanale przybysza z Io.

– Żałuję tylko, że nie polecimy na Ziemię, przyjacielu. Moglibyśmy odwiedzić Stratford-upon-Avon. Kupilibyśmy sobie pamiątkowy kubek.

Podobnymi żartami przierzucali się już od dawna, lecz w nowym kontekście dowcip nabrał świeżości. Mahnmur odpowiedział, nadając przyzwoitej jakości parodię głuchego śmiechu rozmówcy i potężny robot zarechotał tak donośnie, że w gęstym powietrzu sali usłyszeli to wszyscy pozostali.

Ri Po nie tracił czasu na dowcipy. Zajął się wyliczeniami.

– Nożyce powinny nadać nam prędkość początkową równą prawie dwóm dziesiątym prędkości światła. Nawet jeżeli w głębi systemu zaczniemy drastycznie hamować magnetycznym czerpakiem, do celu podejmiemy z mniej więcej jedną tysięczną c. Wychodzi ponad trzysta kilometrów na sekundę. Rzeczywiście dolecimy na Marsa bardzo szybko, nawet jeśli, jak w tej chwili, planeta znajdzie się po drugiej stronie Słońca. Tylko czy ktokolwiek zastanowił się nad problemem ostatecznego wytracenia szybkości?

– Tak – Orphu z Io wyciszył śmiech. – Zastanawialiśmy się.

\* \* \*

Mimo trzydziestu jowiszowych lat istnienia, Mahnmur wciąż nie miał na Europie nikogo, z kim musiałby się pożegnać.

Urtzweil, jego partner badawczy, został przed osiemnastu laty zmiażdżony przez lodowe ściany zamykającej się drogi wodnej w pobliżu Krateru Pwyll. W późniejszym okresie Mahnmur nie związał się już z żadną rozumną istotą.

Szesnaście godzin po konferencji, Centrum Conamara Chaos zleciło wyspecjalizowanemu holownikom orbitalnym podjąć „Mroczną damę” z kanału nawigacyjnego i wynieść ją na orbitę, gdzie próżniowe morawce, pracujące pod nadzorem Orphu z Io, umieściły batyskaf w oczekującym już marstatku. Wiekowe ciągniki międzyksiężycowe sprowadziły marstatek na powierzchnię Io. Mahnmur przedyskutował pobieżnie kwestię ochrzczenia nowego pojazdu z trzema pozostałymi morawcami z zespołu, lecz nie wystarczyło im



wyobraźni. Nazewniczy zapał szybko ostygł i od tej chwili mówili po prostu „statek”.

Podobnie jak większości pojazdów kosmicznych, jakie morawce zbudowały przez tysiące lat swych kosmicznych podróży, także i tego nie można było określić mianem eleganckiego, a przynajmniej nie wedle klasycznych standardów.

Mierzył sto piętnaście metrów długości i składał się w dużej mierze z fulerenowego szkieletu, modułów otulonych pomarszczoną warstwą osłon antyradiacyjnych, półautonomicznych sond oraz istnego gąszczu anten, czujników i przewodów. Od poruszających się w okolicach Jowisza pojazdów ich statek różnił się przede wszystkim połyskliwym magnetycznym rdzeniem dipolowym i ekstrawaganckimi ekranami. Te ostatnie chroniły gruzłowaty dziób, zamontowane wewnątrz cztery dzwony termojądrowych reaktorów oraz pięć wygiętych rogów czerpaka Matloff-Fennelly'ego.

Dziesięciometrowa wypustka na rufie mieściła w sobie złożony, wykonany z boru żagiel. Oba ostatnie urządzenia miały się przydać dopiero przy hamowaniu, a reaktory nie miały nic wspólnego z zapewnieniem początkowego przyspieszenia.

Mahnmut został na – wypełnionym teraz żelazem – pokładzie „Mrocznej damy”, podczas gdy Koros III i Ri Po usadowili się sześćdziesiąt metrów dalej, w dziobowym module sterowniczym, który zwyczajowo nazywali mostkiem. W myśl planu Ri Po miał podczas szaleńczej przejażdżki ku wewnętrznym planetom podjąć trud nawigacji. Koros III z kolei został oficjalnie mianowany dowódcą misji. Wspomniany plan nakazywał również Ganimedaninowi zająć miejsce w batyskafie Mahnmuta – opróżnionym już wtedy z żelaza – na krótko przed lotem „Mrocznej damy” na powierzchnię Marsa. Po lądowaniu w oceanie Mahnmut miał pełnić rolę taksówkarza i dostarczyć Korosa III na wyznaczone przez dowódcę miejsce, skąd planowano rozpocząć zwiad. To właśnie Korosowi załadowano do pamięci detale misji. Mahnmut nie musiał ich znać.

Orphu z kolei zainstalował się w zagłębieniu zewnętrznej powłoki statku, za dziesięcioma zwojami solenoidu, a przed rozporkami olinowania żagla. Z mostkiem i łodzią podwodną utrzymywał kontakt wszelkimi możliwymi

kanalami.

Nawiązał łączność głosową, sieciową i radiową. Jeżeli nie zaprzętały go akurat kwestie techniczne, czas spędzał głównie na rozmowach z Mahnmutem.

– Wiesz, przyjacielu? Nadal niezmiernie interesuje mnie twoja teoria dotycząca dramatycznej konstrukcji sonetów.

Żywię nadzieję, że przetrwamy dostatecznie długo, byś zdążył dokonać analizy dalszych części cyklu.

– Ale ten Proust? – odparł Mahnmut. – Po co ślęczyć nad Proustem, gdy można całe istnienie poświęcić badaniu Szekspira?

– Proust był prawdopodobnie największym z artystów, jacy kiedykolwiek zgłębiali problematykę czasu, pamięci i percepcji – oświadczył Orphu.

Mahnmut odpowiedział falą zakłóceń.

Pokryty licznymi wgnieceniami morawiec z lo przesłał odgłos swego dudniącego rechotu.

– Ech, przyjacielu. Nie mogę się doczekać dnia, kiedy zdołam cię przekonać, że przyjemność i wiedzę można czerpać z lektury ich obu.

\* \* \*

Wiadomość od Korosa III dotarła na ogólnodostępnym kanale.

– Zbliżamy się do torusa plazmowego lo. Myślę, że warto zwiększyć przepustowość łączy wizyjnych.

Mahnmut uaktywnił je wszystkie. Normalnie wolał obserwować otoczenie statku za pomocą optycznych układów Orphu z lo, lecz w tej chwili najciekawsze widoki oferowały przednie kamery statku, wcale niekoniecznie w paśmie światła widzialnego.

Z nieprzerwanie rosnącą prędkością zbliżali się do wielkiej lo, przypominającej czerwonożółtą, plamiastą twarz. Do księżyca podchodzili od spodu płaszczyzny ekliptyki i szykowali się do przelotu nad jego północnym biegunem. Zaraz potem mieli się znaleźć w łączącym lo z Jowiszem magnetycznym tunelu.

Orphu i Ri Po wykorzystali krótką podróż z Europy i ściągnęli nieco danych dotyczących tego obszaru okołojowiszowej przestrzeni. Mahnmut, rodowity

Europianin, przez całe istnienie koncentrował się na sonarze i tylko od czasu do czasu uciekał się do obserwacji czarnych oceanów za pomocą wzroku. Teraz jednak, obdarzony większą liczbą zmysłów, ujrzał, jak hałaśliwą i tłoczną okolicą jest magnetosfera Jowisza. Oglądając układ w zakresie fal radiowych, zobaczył gruby torus plazmowy lo oraz wybiegający z niego pod kątem prostym tunel magnetyczny, łączący się dwoma bliźniaczymi łukami z biegunami gazowego olbrzyma. Daleko poza Jowiszem i jego księżycami, już za linią magnetopauzy, fale magnetyczne rozбивały się niczym białe bałwany na niewidzialnej rafie. Mahnmur słyszał również śpiewające w ciemności za tą rafą wsteczne fale Langmuira i trzaski łamiących się jonowych fal akustycznych, kończących swą daleką podróż ze Słońca.

Samo Słońce wyglądało z okolic Jowisza jak zwyczajna – choć bardzo jasna – gwiazda. Jedna spośród wielu.

Teraz, gdy statek wyminął już lo i zmierzał w stronę magnetycznego tunelu, Mahnmur usłyszał w paśmie fal radiowych syk wydawany przez niewielki księżyc, przedzierający się przez własny torus plazmowy – lo pożerała własny ogon.

Obserwując wyraziste pasy równikowych emisji, musiał wyciszyć radiowy ryk samego tunelu rozlegający się w zakresie fal krótkich i średnich. Cała galilejska przestrzeń stanowiła istny piec, w którym wrzało twarde promieniowanie i elektromagnetyczna aktywność. Mahnmur całe istnienie spędził, odbierając ten jazgot w tle swego wirtualnego słuchu, lecz przelot statku z torusa do tunelu w tak niedużej odległości od Jowisza sprawił, że omiatające statek kaskady udręczonych elektronów skowyczały niczym cmentarne zjawy. Doświadczenie było nowe i Mahnmur stwierdził, że trochę się denerwuje.

Zaraz potem znaleźli się w tunelu.

– Trzymajcie się! – zawołał Koros III, tuż zanim huraganowy szum wykluczył dźwiękową komunikację.

Plazmowy torus lo był wielkim pierścieniem naładowanych cząsteczek, wirujących w sunącej za księżycem smudze dwutlenku siarki, siarkowodoru i innych gazów. Macierzysty księżyc Orphu krążył po swej orbicie z olbrzymią prędkością.

Jeden obrót wokół Jowisza zajmował mu zaledwie jedną i siedemdziesiąt siedem setnych lokalnej doby. Rozcinając zarówno pole magnetyczne gazowego olbrzyma, jak i własny plazmowy torus, Io wytwarzała silny prąd elektryczny – rozciągający się pomiędzy Jowiszem i powierzchnią księżycy cylinder niebywale skoncentrowanych pływów magnetycznych, zwany właśnie tunelem magnetycznym. Ów tunel prowadził do obu biegunów wielkiej planety, ponad którymi wywoływał gwałtowne, niezwykle intensywne zorze polarne. W jego wnętrzu płynął prąd stały o natężeniu około pięciu megaamperów, bezustannie generując moc ponad dwóch trylionów watów.

Kilkadziesiąt lat temu Konsorcjum Pięciu Księżyców uznało, że taka ilość energii nie powinna się marnować.

Statek przemknął ponad północnym biegunem Io. Materiał wyrzucony przez siarkowe wulkany księżycy – szczególnie aktywny był wznoszący się w okolicach równika Prometeusz – wznosił się na sto czterdzieści kilometrów ponad ospowatą twarz Io. Zupełnie jakby zazdrosny księżyc do nich strzelał, próbując nakłonić, by zawrócili, nim znajdą się w miejscu, z którego nie będzie odwrotu.

Za późno. Już się tam znaleźli.

Ri Po nałożył na obraz z przedniej kamery pojazdu graficzne znaczniki nawigacyjne, ukazujące ich tor lotu w tunelu i położenie względem nożyc. Jowisz pędził prosto na nich, gwałtownie wypełniając swym pasiastym cielskim polem widzenia.

Ostrza nożyc – dwuramiennego obrotowego akceleratora magnetycznego, zainstalowanego wewnątrz naturalnego akceleratora cząstek, jakim był tunel – miały po osiem tysięcy kilometrów długości i pokrywały ledwie drobny wycinek rozciągającej się na ponad pół miliona kilometrów krzywizny tunelu.

Były za to ruchome.

– Moment pędu ma wiele cudownych zalet, mój mały przyjacielu – wyłuszczył Mahnmutowi Orphu z Io.

Mimo asysty idących pełną parą holowników, statek niosący w swym łonie ukochany batyskaf Mahnmuta zbliżył się do tunelu magnetycznego z prędkością jedynie dwudziestu czterech kilometrów na sekundę. Poniżej osiemdziesięciu sześciu tysięcy kilometrów na godzinę. Z taką szybkością samo pokonanie

dystansu dzielącego ich od Jowisza zajęłoby ponad cztery godziny. Podróż na Marsa liczyliby w ziemskich latach. Oczywiście nie mieli zamiaru wlec się przez całą drogę.

Pojazd wleciał w pełne trzasków, rozszalałe, huczące pole tunelu magnetycznego, odszukał wierzchołek nożyc i ustawił się równoległe do ich górnego ostrza. Następnie wykorzystał zapewniane przez tunel przyspieszenie i pomknął w głąb liczącego sobie pięć kilometrów średnicy rdzenia nadprzewodzącego akceleratora dipolowego. Ledwie – niczym piłka do krokieta, pokonująca pierwszą z kilku tysięcy bramek – minęli pierwszy zwój solenoidu, ostrza nożyc zaczęły się rozwierać z prędkością kątową bliską (a teoretycznie nawet przewyższającą) prędkości światła. W jednej chwili sunęli jak po rzemieniu trzaskającego bicia, a już w następnej wystrzelili z nożyc, napędzani dwoma trylionami watów energii tunelu.

W ciągu dwóch koma sześciu dziesiątych sekundy przyspieszenie statku – i wszystkiego co się na nim znajdowało – wzrosło od zera do niemal trzech tysięcy g.

Jowisz skoczył ku nim gwałtownie, w mgnieniu oka przemknął pod pokładem i zniknął za rufą.

Mahnmut spowolnił tempo wyświetlania obrazów na swoich monitorach. Chciał w pełni docenić moment odlotu.

– Juhuuuu! – zawołał Orphu ze swojego gniazda w kadłubie.

Nadwerężone uderzeniem potężnego ciągu konstrukcje statku i batyskafu jęczały, zgrzytały i zawodziły, lecz oba pojazdy wykonano z wytrzymałych materiałów. „Mroczna dama” została przecież stworzona do pracy w odmętach oceanów Europy, gdzie niczym niezwykłym nie było ciśnienie rzędu milionów kilogramów na centymetr kwadratowy.

Morawce miały równie solidną budowę.

– Niech mnie cholera... – Mahnmut chciał się odezwać tylko do Orphu, lecz jego słowa przez przypadek trafiły na ogólny kanał.

– Co racja, to racja – przytaknął Ri Po.

Migotliwy owal zorzy polarnej nad biegunem północnym Jowisza i rozpalone znamię w miejscu, gdzie tunel magnetyczny stykał się z atmosferą – zaświeciły przez moment tuż pod nimi i niemal natychmiast zgasły w oddali.

Znajdujący się po drugiej stronie układu Ganimedes – jeszcze parę sekund temu oddalony o milion kilometrów – zbliżył się gwałtownie, mignął w ekranach i także stracili go z oczu.

– Uruk Sulcus – nadał do załogi Koros III i Mahnmut odruchowo pomyślał, że dowódca przeklina lub się dławi, lecz po chwili wyłowił lekko sentymentalną nutę w jego zwykle beznamiętnym głosie. Domyślił się, że Koros wymienił nazwę jednego z rejonów Ganimedesa – tej widocznej przez ułamek chwili kuli brudnego śniegu. Pożegnał się z domem.

Zaraz potem przemknął obok kolejny z księżyców Jowisza, maleńka Himalia. Wyglądała jak oszalały świetlik. Żaden z morawców nigdy jej nie odwiedził, nie było po co.

– Właśnie pokonaliśmy granicę magnetosfery – obwieścił Ri Po ze swym szorstkim akcentem z Callisto. – Witajcie w wielkim świecie. Co do was nie mam pewności, ale dla mnie to debiucik.

Mahnmut zerknął na ekrany. Podesłany przez Ri Po raport informował, że od momentu startu pokonali już dystans równy pięćdziesięciu trzem średnicom Jowisza i wciąż przyśpieszali. Musiał sięgnąć do najgłębszych zakamarków swych pamięciowych zasobów. Okazało się, że średnica gazowego giganta wynosi prawie sto czterdzieści dwa tysiące kilometrów. Dopiero teraz ocenił prędkość statku we właściwej perspektywie. Pojazd wzbił się ponad płaszczyznę ekliptyki, lecz morawiec pamiętał mgliście, że według planu, grawitacja Słońca miała sprowadzić ich z powrotem w kierunku Marsa, znajdującego się w tej chwili po przeciwnej stronie układu. Cóż, nawigacją i tak zajmował się ktoś inny.

Jego zadanie miało się rozpocząć dopiero w momencie lądowania w oceanie czerwonej planety, a żegluga w tamtejszych wodach zapowiadała się bezproblemowo. Dużo słońca, wysokie temperatury, płytkie morza i śmiechu warte ciśnienie.

Nocami drogę będą wskazywać konstelacje, a za dnia satelity, które zaraz po przylocie zamierzali rozmieścić na orbicie.

A promieniowanie? W porównaniu z szalejącym na Europie – nieobecne. W dodatku na Marsie nie było krakenów ani lodu. Naprawdę nie będzie tam lodu! Bułka z masłem.

Naturalnie, jeżeli postłudzie okażą się wrodzy, istniała spora szansa, że morawce nie przetrwają podróży na Marsa lub wejścia w jego atmosferę. Zresztą, nawet gdyby wodowali z powodzeniem, to wiele wskazywało na to, że w okolicy Jowisza raczej nie wrócą. Nic to. Mahnmut i tak nie miał już na nic większego wpływu. Jego myśli uleciały z powrotem do Szekspira.

– Wszyscy cali i zdrowi? – zapytał Koros III.

Morawce nie zgłosiły żadnych usterek. Żeby wyrządzić im poważniejszą krzywdę, trzeba było czegoś więcej niż przyśpieszenia rzędu kilku tysięcy g. Byli w świetnych nastrojach.

Ri Po nadawał właśnie kolejną porcję monottonnych informacji, dotyczących zaplanowanego kursu i podróży kosmicznych w ogóle, lecz Mahnmut praktycznie przestał go słuchać. Zagarnęło go pole grawitacyjne sonetu sto dwadzieścia siedem, pierwszego z cyklu utworów o „mrocznej damie”.

## 8

### *Ardis*

Daeman spał smacznie i śnił o kobietach.

Śniły mu się – co uważał za zabawny i nieco intrygujący zbieg okoliczności – jedynie w samotne noce. Wyglądało na to, że potrzebował regularnej dawki ciepła kobiecego ciała i gdy całodzienne usiłowania zawodziły, odpowiednie doznania zapewniała mu podświadomość. Ocknął się dość późno w swym wygodnym pokoju w Dworze Ardis. Sen rozpadł się na ulotne fragmenty i zniknął. Pozostawił jednak po sobie poranną erekcję i kilka niejasnych wspomnień – widok ciała Ady (lub kogoś bardzo do niej podobnego). Było ciepłe i blade. Spryskane wonnościami. Obdarzone kształtnymi pośladkami, krągłymi piersiami i mocnymi udami. Daeman nie mógł się już doczekać chwili, kiedy weźmie je w ramiona. Tego bowiem pięknego poranka nie miał w zasadzie żadnych wątpliwości. Czuł, że Ada już mu się nie wymknie.

Jakiś czas potem wykąpał się, ogolił i ubrał w odpowiednio do sytuacji (był przecież na wsi) swobodny strój: luźne bawełniane spodnie w biało-niebieskie pasy, kamizelkę z serży, pastelową marynarkę, koszulę z białego jedwabiu i spięty szpilką z rubinem fular. Całości dopełniły czarne, skórzane buty (nieco bardziej wytrzymałe od jego tradycyjnych, wizytowych mokasynów) i ulubiona drewniana laska. Śniadanie zjadł w zalanej słońcem oranżerii, gdzie ucieszył się na wiadomość, że Hannah i ten utrapiony Harman wyjechali wczesnym rankiem.

– Przygotowują się do wieczornego odlewu – wyjaśniła Ada enigmatycznie, lecz Daeman nie poczuł się zainteresowany na tyle, by prosić o dodatkowe wyjaśnienia. Do szczęścia wystarczała mu świadomość, że facet



wreszcie zniknął.

Dziś rano Ada nie poruszała absurdalnych tematów w rodzaju księżek czy statków kosmicznych. Spędziła z nim za to wiele czasu i chętnie przyjęła na siebie rolę przewodniczki. Przypomniała Daemanowi rozkład pomieszczeń dworu, oprowadziła go po krytych dwuspadowym sufitem korytarzach; zwiedzili przestronne piwniczki z winem, tajne przejścia i wiekowe poddasza. Wróciły do niego wspomnienia z pierwszej wizyty w Ardis. Młodziutka, nieopierzona Ada wprowadziła go wtedy po rozklekotanej drabince na lądowisko skoczków, a Daeman – niezmiennie łasy na tego rodzaju objawienia – ujrzał przelotnie raj wszystkich młodych chłopaków świata. Jedno spojrzenie pod spódniczkę idącej przodem dziewczynki: doskonale zapamiętał mlecznobiałe uda i majaczący między nimi cień.

Dzisiaj także wspięli się po tej samej drabince na tę samą platformę, lecz tym razem Ada puściła go przodem, a gdy zgłosił dżentelmeński sprzeciw i zauważył, że pierwszeństwo należy się damom, rozciągnęła wargi w łobuzerskim uśmiechu, wskazującym, że i ona tamtego wydarzenia nie zapomiała.

Dwór Ardis był wysoki. Platforma lądowiska – zbudowana z lśniących mimo starości mahoniowych desek – wisiała pomiędzy spadzistymi dachami sześćdziesiąt stóp nad ziemią i wybiegała ponad żwirowy podjazd, na którym stały wojniksy. Z tej wysokości przypominały zardzewiałe dwunożne skarabeusze. Daeman ostrożnie nie zbliżył się do niezabezpieczonej poręczą krawędzi, lecz Ada odważnie podeszła na sam skraj. Z tęsknotą w oczach powiodła spojrzeniem po trawniku, ciągnącym się spod domu aż po odległą linię lasu.

– Prawda, że człowiek oddałby wszystko za jednego sprawnego skoczka? – odezwała się dziewczyna. – Choćby tylko na kilka dni...

– Nieprawda. Po co mi skoczek?

Ada uniosła smukłą dłoń i skinęła ku drzewom.

– Nawet zwykłym, dziecięcym skoczkiem można było przelecieć nad lasem i rzeką, ponad tamtymi wzgórzami na zachodzie. Ludzie fruwali i fruwali. Całymi dniami, bez przerwy. Dolatywali nawet w okolice, gdzie nie ma faksowęzłów.

– Nie rozumiem tylko po co.

Dziewczyna przyjrzała mu się uważniej.

– Nie jesteś ciekaw? Nie interesuje cię, co tam jest?

Daeman potarł dłonią o kamizelkę, jakby chciał się pozbyć paprochów.

– Nie pleć głupstw, moja droga. Tam nie ma nic zajmującego... Pustka i dzicz... Odludzie. W życiu nie słyszałem, by ktoś mieszkał dalej niż kilka mil od faksowężła. Poza tym, w lasach grasują tyranozauury.

– Tyranozauury? – powtórzyła Ada. – W pobliżu Ardis? Nonsens. Nigdy nikt tu żadnego nie spotkał. Kto ci coś takiego nakładł go głowy, kuzynie?

– Ty sama, gdy odwiedziłem cię po raz ostatni. Pół dwudziestki temu.

– Musiałam chyba żartować. – Ada pokręciła głową.

Daeman pomyślał o wielu długich latach, jakie spędził w lęku przed ponowną wizytą w Ardis. Stały mu przed oczami wszystkie nocne koszmary z tyranozaurami w roli głównej. Nie znalazł odpowiednio ostrej riposty. Po prostu zmarszczył gniewnie czoło.

Ada – zupełnie jakby czytała mu w myślach – uśmiechnęła się łagodnie.

– Kuzynie, zadałeś sobie może kiedykolwiek pytanie – podjęła – dlaczego postłudzie zdecydowali ograniczyć naszą populację do równego miliona? Czemu nie, na przykład, do miliona i jednego? Albo dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu tysięcy dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu? Dlaczego padło akurat na milion?

Słyszając to, Daeman aż zamrugął. Czy istniał jakikolwiek logiczny związek pomiędzy dziecięcymi skoczkami z Zapomnianej Ery, dinozaurami i liczbą żyjących na świecie ludzi, która pozostawała niezmienna od... no... właściwie od zawsze. Nie podobało mu się również, że dziewczyna uparcie nazywa go kuzynem. Niektórzy wciąż jeszcze żywili staroświeckie przesady, wykluczające w obrębie rodziny jakiekolwiek seksualne relacje.

– Droga Ado, moim zdaniem tego typu jałowe dywagacje prowadzą jedynie do niestrawności – stwierdził. – Nawet w tak piękny dzień jak dzisiaj. Może porozmawiamy o czymś bardziej stosownym?

– Ależ proszę bardzo – zgodziła się dziewczyna i podarowała mu swój najśłodszy uśmiech. – Co ty na to, byśmy wrócili na dół i znaleźli pozostałych gości? Potem czeka nas obiad i przejażdżka na miejsce odlewu.

Tym razem weszła na drabinę jako pierwsza.

\* \* \*

Południowy poczęstunek podano na świeżym powietrzu, na patio od północnej strony dworu. Gdy serwitorki zajęły się nakładaniem dań, Daeman wdał się w przyjazną pogawędkę z kilkoma młodszymi osobami. Zauważył, że z okazji mającego nastąpić wieczorem „odlewu” – wciąż nie był pewien, cóż to takiego – do Ardis przefaksowało się kilku kolejnych gości. Po jedzeniu wielu znajomych Ady rozsiadło się na kanapach w domu, bądź na wyniesionych na cienisty trawnik wygodnych leżakach, i nakrywało oczy całunami turyńskimi. Na tej rozrywce spędzało się zazwyczaj około godziny, więc Daeman wybrał się na spacer w kierunku lasu. Po drodze wypatrywał motyli.

Ada dogoniła go u stóp wzgórza.

– Ty nie korzystasz z całunu, kuzynie?

– Nie, nie korzystam – odparł i zreflektował się, że odpowiedź zabrzmiała bardziej obcesowo niż zamierzał. – Przez te niemal dziesięć lat zdołałem się do nich przyzwyczaić, ale wciąż nie widzę w tej modzie nic atrakcyjnego. Widzę jednak, że ty również za nimi nie przepadasz, moja droga?

– Powiedzmy, że nie zawsze mam ochotę – przyznała dziewczyna. Szła lekkim krokiem, kołysząc swobodnie brzoskwiniową parasolką. W miękkim świetle blada cera dziewczyny nabrała czarownego blasku. – Zerkam od czasu do czasu, by sprawdzić co się tam dzieje, ale chyba po prostu nie mam aż tyle czasu, by się od całunu uzależnić.

W odróżnieniu od wielu innych.

– Tak, też zauważyłem, że całuny stały się ostatnio wszechobecne.

Ada przystanąła w cieniu olbrzymiego wiązu, pod szerokimi, niskimi konarami. Złożyła parasolkę.

– Niemniej rozumiem, że przynajmniej spróbowałaś?

– Och, oczywiście, że tak. W połowie mojej drugiej Dwudziestki nie mówiło się o niczym innym. I tak, dobre kilka tygodni spędziłem, śledząc te... ekscesy. – Nie zdołał do końca ukryć związanego ze wspomnieniem niesmaku.

– Od tamtej pory ani razu.

– Kuzynie, czyżbyś był przeciwnikiem przemocy?

Daeman machnął zdawkowo ręką.

– Nie. Po prostu nie podoba mi się ten... brak bezpośredniości.

Ada zaniósła się cichym śmiechem.

– Właśnie. Harman nie korzysta z całunów z tego samego powodu. Zatem nie różnicie się od siebie aż tak bardzo.

Wniosek dziewczyny był do tego stopnia nieprawdopodobny, że Daeman zaniemówił. Rozgarnął laską kępkę suchych liści.

Zamiast wywołać na dłoni funkcję czasu, Ada spojrzała na słońce.

– Wkrótce zaczną się budzić. Słyszałam kiedyś takie powiedzenie: „Godzina pod całunem równa się ośmiu godzinom pełnym wzniosłych doznań”.

– Aha... – Daeman nie był pewien, czy komunał w ustach dziewczyny nie był przypadkiem zawołaną aluzją. Wyraz jej twarzy, jak zawsze przyjemny, lekko rozświetlony tańczącymi w oczach chochlikami, nie zdradzał niczego. Uznał, że nie będzie się nad tym zastanawiać. – Ten dzisiejszy... odlew. Długo to potrwa?

– Zakładam, że większą część nocy.

Zaskoczony Daeman zamrugnął.

– Ale nie będziemy tam chyba biwakować? Podobno mamy pojechać nad rzekę, czy gdzieś... – Pojawiła się interesująca kwestia: czy nocleg pod gołym niebem zwiększy czy zmniejszy jego szanse na uwiedzenie dziewczyny?

– Osobom, które zechcą przenocować na miejscu odlewu, zostaną zapewnione wszelkie wygody – powiedziała Ada. – Hannah obiecuje, że wydarzenie będzie niezwykle widowiskowe. Oczywiście, po północy większość gości uda się z powrotem do dworu.

– Czy w trakcie... hmm... odlewu pojawi się może wino i inne trunki? – spytał Daeman.

– Bez dwóch zdań.

Tym razem to on się rozpromienił. Świetnie, niech inni zostaną i oglądają spektakl. On przez cały wieczór będzie napełniał Adzie kieliszek, podyskutuje o „wzniosłych doznaniach”, a potem wróci z nią do domu (przy odrobinie

szczęścia, jeśli starannie zaaranżuje sytuację, znajdą się w ciasnym kabriolecie sami), gdzie skorzysta ze swego niemałego przecież talentu i – o ile szczęście się od niego nie odwróci – dzisiejszej nocy nie będzie musiał o kobietach jedynie śnić.

\* \* \*

Późnym popołudniem dwudziestka gości – niektórzy wciąż pochłonięci rozprawianiem o obejrzanych pod całunem wydarzeniach, przejęci głupotami w rodzaju opowieści o ranionym zatrutą strzałą Menelaosie – została zwołana przez serwitory. Na „miejsce odlewu” wyruszyli długą karawaną bryczek i kabrioletów. Część wojniksów została zaprzęzona do pojazdów, podczas gdy reszta truchtała obok w charakterze eskorty, co nieco Daemana zdziwiło – skoro w lesie nie czyhały tyranozauiry, nie powinni się przecież niczego obawiać.

Dzięki serii sprytnych zabiegów zdołał zająć miejsce u boku gospodyni, w jadącym na czele kabriolecie. Po drodze Ada pokazywała mu co bardziej interesujące drzewa, urokliwe wąwozy i strumienie. Pojazd toczył się hałaśliwie po bitej drodze. Do rzeki mieli dwie mile. Daeman rozsiadł się na obitej czerwona skórą ławeczce tak, że zajął więcej miejsca niż wymagało jego od urodzenia uroczo zaokrąglone ciało i w nagrodę przez całą podróż czuł na nodze musnięcie uda dziewczyny.

Celem wyprawy – co zauważył, gdy wjechali na wapienny grzbiet nad doliną – nie była sama rzeka, lecz jeden z jej dopływów o korycie szerokim na jakieś sto metrów. Na brzegu tej leniwej rzeczki erozja i zalewy stworzyły szeroką piaszczystą łachę – rodzaj niewielkiej plaży – gdzie stało wysokie, niebudzące większego zaufania rusztowanie, składające się z niezliczonych belek, uciętych konarów, drabin, koryt, ramp i schodów. Konstrukcja skojarzyła się Daemanowi z prymitywną szubienicą, chociaż prawdziwej szubienicy nigdy w życiu – co jasne – nie widział. W dno płytkiej rzeczki wetknięto pochodnie, a sama chwiejna instalacja wznosiła się w połowie na piachu, w połowie nad wodą. Sto metrów dalej, w miejscu gdzie dopływ wpadał do większej rzeki, widniała wąska wysepka, gęsto porośnięta

sagowcami i paprociami. Kiedy z zarośli – do wtóru nieznośnych wrzasków i łopotania skrzydeł – zerwały się ptaki i małe latające gady, Daeman mimowolnie zastanowił się, czy żyją tam również motyle.

Na trawie ponad plażą wyrosły namioty z barwnego jedwabiu, pojawiły się leżaki i długie, nakryte już stoły. Zajęte obsługą imprezy serwitorki dwoiły się i troiły, od czasu do czasu podlatując do któregoś z nadjeżdżających gości.

Daeman wysiadł z kabrioletu i poszedł za Adą. Już po chwili rozpoznał kilka pracujących na cudacznym rusztowaniu osób. Na samej górze, z głową przewiazaną czerwoną chustką, stała Hanna i wiązała właśnie jakieś ostatnie elementy konstrukcji. Nawiedzony Harman, połyskujący nagim, wilgotnym od potu i nietypowo opalonym torsem pracował dwadzieścia stóp niżej. Dokładał do ognia w palenisku. Inni młodzi ludzie, zapewne także znajomi Hanny i Ady, dreptali w tę i z powrotem po drewnianych pomostach i drabinach, taszcząc ciężkie worki piasku, okrągłe kamienie i drewno.

W ulepionej z gliny głównej części konstrukcji szalały płomienie, strzelając iskrami wysoko pod wieczorne niebo.

Wydawało się, że wszyscy realizują jakiś konkretny plan, aczkolwiek Daeman za nic nie był w stanie odgadnąć, czemu ta niepojęta płatanina patyków, koryt, gliny, piasku mogłaby służyć.

Podleciał do niego roznoszący napoje serwitor. Daeman sięgnął po kieliszek i udał się na poszukiwanie zacienionego leżaka.

– To właśnie jest żeliwiak – wyjaśniła Hannah wieczorem, gdy goście zebrali się nad wodą. – Jego budowa zajęła nam prawie tydzień. Wszystkie surowce zwoziliśmy kajakami. Gałęzie trzeba było przyciąć i odpowiednio wygiąć. Każdy element musiał idealnie pasować do reszty.

Jakiś czas temu zjedli smaczną kolację. Promienie słońca wciąż rozświetlały wysokie wzgórza nad rzeką, lecz w samej dolinie zaległy już cienie. Na ciemniejącym niebie coraz wyraźniej jaśniały oba pierścienie. Szybowały ku nim iskry z glinianego paleniska w rusztowaniu. Pracujące miechy posapywały, płomienie huczały w najlepsze. Daeman sięgnął po kolejny już dziś kieliszek-ósmy lub dziesiąty. Zaproponował też napój Adzie, lecz dziewczyna tylko pokręciła głową i z powrotem zasłuchała się w opowieść Hanny.

– Szkielet pieca powstał z odpowiednio ukształtowanych gałęzi. Upletliśmy coś w rodzaju kosza, którego wewnątrz zabezpieczyliśmy żaroodporną gliną. Żeby to osiągnąć, zmieszaliśmy łopatom suchy piasek, bentonit i odrobinę wody.

Z otrzymanej w ten sposób masy ulepiliśmy kule, owinęliśmy je wilgotnymi liśćmi, by nie wyschły, i obłożyliśmy nimi palenisko od środka. Dzięki temu drewniane rusztowanie, mimo wysokiej temperatury, nie staje w płomieniach.

Daeman w ogóle nie rozumiał o czym ta dziewczyna mówi. Po co rozpalać ogień w środku wielkiej, pokracznej konstrukcji z drewna, jeżeli nie chce się jej podpalić? Istny dom wariatów.

– Kilka ostatnich dni – ciągnęła Hannah – spędziliśmy przede wszystkim na podtrzymywaniu ognia i gaszeniu niewielkich pożarów w okolicy. Właśnie z tego powodu wznieśliśmy żeliwiak nad rzeką.

– Cudownie – burknął Daeman. Wstał od stołu i rozejrzał się za czymś do picia.

Hannah i jej przyjaciele – nawet ten irytujący Harman – trajkotali w najlepsze, przerzucając się przy tym bezsensownymi terminami w rodzaju „złoża koksu”, „strefy wiatrów”, „dyszy powietrznej” (ostatnie określenie oznaczało według Hanny niewielki wlot powietrza w ścianie glinianego pieca, przy którym młoda kobieta imieniem Emmę niezmordowanie zmagala się z dźwignią wzdychającego miecha). Padły również określenia „strefa topienia”, „masa formierska”, „otwór spustowy” i „otwór żużlowy”. W uszach Daemana wszystkie te nazwy brzmiały barbarzyńsko i w pewien nieokreślony sposób nieprzyzwoicie.

– Teraz wreszcie przekonamy się, czy to wszystko zadziała – dokończyła Hanna. W głosie dziewczyny było słychać naraz ekscytację i krańcowe zmęczenie.

Zaraz potem kazano gościom stanąć w bezpiecznej odległości od piaszczystego brzegu. Daeman usunął się aż na łączkę, na której jedli kolację, a młodzi ludzie – oczywiście nie zabrakło między nimi przekłętą Harmana – rzucili się w wir gorączkowej pracy. Iskry sypnęły jeszcze wyższym snopem. Hannah wbiegła na szczyt tak zwanego żeliwiaka, a jej towarzysz zajrzał do wyłożonego gliną paleniska i co chwila coś wykrzykiwał. Emmę przez długi

czas nie odstępowała miecha, lecz w końcu dała za wygraną i wyręczył ją chudy facet imieniem Loes. Daeman w roztargnieniu słuchał Ady, która z zapartym tchem tłumaczyła tłoczącym się wokół niej znajomym kolejne szczegóły. Tym razem wyłowił nazwy takie jak „okrężnica”, „klapa podmuchowa”, „schłodzony żużel” (interesujące określenie, zwłaszcza że ogień był jeszcze gorętszy i szalał bardziej niż na początku imprezy) oraz „ciśnienie dmuchu”. Cofnął się o kolejne piętnaście lub dwadzieścia stóp.

– Temperatura do spustu. Dwa tysiące trzysta stopni! – wrzasnął Harman do Hanny.

Szczupła dziewczyna otarła pot z czoła, poprawiła ułożenie jakiegoś elementu żeliwiaka i potwierdziła skinieniem.

Daeman zakołysał trzymanym w dłoni kieliszkiem i zaczął się zastanawiać, kiedy wreszcie znajdzie się z Adą w przytulnym wnętrzu jadącego do Ardis kabrioletu.

Nagle zamieszanie sprawiło, że podniósł wzrok. Był niemal pewien, że zobaczy ogarniające całe rusztowanie płomienie i Hannę z Harmanem gorejących niczym słomiane kukły. Cóż, nie do końca. Hannah rzeczywiście dławiała kocem ogień, jaki pojawił się na drabinie poniżej szczytu żeliwiaka – odpędzając jednocześnie usłużne serwitorki, a nawet wojnika, który zbliżył się, wyczuwając grożące ludziom niebezpieczeństwo. Harman z kolei, wraz z dwójką towarzyszy oderwali się już od paleniska i otworzyli „otwór spustowy”, z którego wyciekła do koryta i popłynęła dalej na plażę przypominająca żółtą lawę substancja.

Część gości ruszyła naprzód, lecz okrzyki Hanny i bijący od strumienia ciekłego metalu żar zmusiły ich do odwrotu.

Niezgrabne, połączone na słowo honoru, drewniane koryta zaczęły dymić, lecz nie zajęły się ogniem. Żółtoczerwony metal tymczasem wciąż wylewał się leniwie z żeliwiaka i wpływał do wkopanej w przybrzeżny piach formy w kształcie krzyża.

Hannah zbiegła pędem na dół i pomogła Harmanowi zablokować otwór spustowy. Oboje zajrzeli przez okienko do paleniska i pogmerali chwilę przy „otworze żużlowym” – Ada wyjaśniła to właśnie jednemu z gapiów i Daeman bez większego zainteresowania odnotował, że to coś zupełnie innego niż otwór



spustowy. Wreszcie dziewczyna ze starszym mężczyzną – dobiegającym już kresu swych dni, jak złośliwie skonstatował w duchu Daeman – oderwali się od żeliwiaka i pognali do formy.

Tłumek na plaży gęstniał. Daeman odstawił kieliszek na tacę mijającego go akurat serwitora i dołączył do reszty.

Od wody ciągnął coraz większy chłód, lecz żar z jarzącej się czerwonym blaskiem formy uderzył Daemana w twarz niczym ognista pięść.

Roztopiona masa zastygała powoli w czerwonoszary krzyż.

– Co to ma być? – zapytał na głos. – Symbol religijny?

– Skąd – rzuciła Hannah. Zerwała z głowy chustę i wytarła zroszoną potem, uwalaną sadzą twarz. Uśmiechała się jak wariatka. – Oglądacie pierwszy odlew z brązu od... Ile czasu minęło, Harmanie? Tysiąc lat?

– Obstawiałbym trzy razy więcej – odpowiedział półgłosem mężczyzna.

Gapie zaczęli szemrać. Rozległy się oklaski.

Daeman wybuchnął śmiechem.

– Ale do czego to służy? – zapytał.

Spocony, półnagi Harman spojrzał mu w oczy.

– A do czego służy nowo narodzone dziecko?

– Właśnie! Do tego zmierzam – odparł Daeman. – Dzieci są hałaśliwe, wymagające, cuchną... Słowem, są bezużyteczne.

Na błyskotliwą uwagę chłopaka nikt nie zwrócił większej uwagi. Ada wyciskała Hannę, Harmana i pozostałych robotników tak serdecznie, jakby rzeczywiście dokonali historycznego przełomu. Goście przeciskali się między sobą.

Harman z Hanną wrócili na rusztowanie i znowu zaczęli majstrować. Zaglądali przez okienka, grzebali w palenisku żelaznymi prętami, jakby spodziewali się, że wycisną z niego więcej lawy. Cóż, najwyraźniej te ich pirotechniczne popisy rzeczywiście potrważą do późnej nocy, przemknęło Daemanowi przez głowę.

Poczuł, że musi się niezwłocznie załatwić. Przeszedł między stołami, rozważył, czy nie skorzystać z wielkiego namiotu, i uznał wreszcie – zgodnie z powszechnym tu pogańskim duchem – że zaspokoi potrzebę na łonie natury. Wspiął się na trawiasty grzbiet i ruszył ku ciemniejszej linii drzew, gdzie zdał

się na przewodnictwo motyla – monarchy wędrownego – który w pewnym momencie przeleciał tuż obok. W samym spotkaniu z owadem nie byłoby może nic niezwykłego, lecz zapadał wieczór, a rok miał się już ku końcowi. Nie była to pora typowa dla tego gatunku. Wyminął ostatniego z trzymających wartość wojniksów i znalazł się wśród strzelistych wiązków i sagowców.

Ktoś – być może nawet Ada – zawołał za nim znad rzeki, lecz Daeman zdążył już rozpiąć guziki rozporoka i nie chciał się zbliżać. Zamiast odpowiedzieć, wszedł więc kolejne dwadzieścia stóp dalej w głąb mrocznego lasu. Potrzebował jedynie minuty spokoju.

– Ach! – jęknął, nie odrywając wzroku od pomarańczowych skrzydełek motyla. Strumień moczu zaszemrał na ciemnej korze drzewa.

Olbrzymi allozaur – potwór długi na trzydzieści stóp – wyskoczył nagle z ciemności. Biegł wielkimi susami z prędkością co najmniej dwudziestu mil na godzinę, co nie przeszkadzało mu zwinnie unikać grubych konarów.

Daeman zdołał jeszcze krzyknąć, lecz, nie chcąc zawrócić i biec z rozpiętymi spodniami, postanowił najpierw je zapiąć.

Owszem, był lubieżnikiem, lecz nieskromności nigdy nie pochwałał. Podniósł swoją ciężką drewnianą laskę i przygotował się do starcia z bestią.

Allozaur skoczył i jednym kłapnięciem pochłonął naraz laskę i rękę chłopaka. Daeman wrzasnął po raz drugi i zatoczył się. Z kikuta trysnęła obfita fontanna krwi.

Wielki gad powalił go na ziemię i odgryzł mu drugie ramię – podrzucił łakomy kęs do góry i schwycił zębami w powietrzu. Zaraz potem przycisnął potężnymi pazurami do ziemi pozbawiony górnych kończyn, wciąż szamocący się tułów Daemana i ponownie opuścił przerażający łeb. Spokojnie, właściwie od niechcienia, przegryzł człowieka na pół i połknął w całości głowę wraz z torsem. Żebra i kręgosłup zgrzytnęły w kłach i zniknęły w gardzieli. Na koniec allozaur zajął się nogami i krocem. Jadł rozrzucając kawałki ciała niczym pies zabawiający się upolowanym szczurem.

Rozległo się zwiastujące faks buczenie. W pobliżu pojawiły się nagle dwa wojniksy i błyskawicznie zabiły dinozaura.

– Mój Boże! – zawołała Ada, która przystanęła na skraju lasu, widząc że wojniksy kończą swe krwawe dzieło.

– Okropność – zauważył Harman i odprawił machnięciem ciekawskich gości. – Nie uprzedziłaś go, żeby nie wychodził poza strzeżony przez wojniksy teren? Nie wspomniałaś o dinozaurach?

– Rozmawialiśmy tylko o tyranozaurach – odparła Ada. Dziewczyna wciąż zasłaniała usta dłonią. – Powiedziałam, że nikt ich tu nie widział.

– Co prawda, to prawda – skwitował Harman.

Stojący nad rzeką żeliwiak nieprzerwanie wypluwał iskry pod ciemniejące niebo.

# 9

## *Ilion i Olimp*

Afrodyta uczyniła mnie swym szpiegiem. Dobrze wiem jak szpiegostwo karzą śmiertelnicy. Czym odpłacą mi bogowie, mogę sobie tylko wyobrazić. Z drugiej strony, chyba wolę nie.

Rankiem, następnego dnia po tym jak zostałem mianowany tajnym agentem bogini miłości, Atena teleportuje się z Olimpu i przybiera postać Trojańczyka, włócznika zwanego Laodokusem. Posłuszna rozkazowi Zeusa, pragnie doprowadzić do zerwania rozejmu. Wypatruje właśnie łucznika Pandarosa, syna Likaona.

Ukryty pod Hełmem Hadesa, korzystam z otrzymanego od Muzy medalionu teleportacyjnego, tekuję się w ślad za Ateną i morfuję w trojańskiego oficera o imieniu Echeplus. Tak przygotowany śledzę przebraną boginię.

Dlaczego wybrałem Echeplusa? Dlaczego imię tego mało istotnego oficera wydaje mi się znajome? Po chwili namysłu uświadamiam sobie, że Echeplusowi zostało jedynie kilka godzin życia. Jeżeli Atena z powodzeniem wykorzysta swą nową postać Laodokusa i umowa zostanie złamana, mój Trojanin zginie z głową przeszytą argiwską włócznią. Tak w każdym razie chciał Homer.

Cóż, dopilnuję przynajmniej, by pan Echeplus odzyskał przed śmiercią swoje ciało i tożsamość.

W „Iliadzie” rozejm został zerwany zaraz po dokonaniu przez Afrodytę cudownym ocaleniu Parysa z pojedynku z Menelaosem. Tutaj jednak, w tej wersji wojny trojańskiej, owo niedoszłe starcie wydarzyło się już wiele lat temu. Samo obecne zawieszenie broni nie jest warte większej uwagi – kilku

zaufanych heroldów króla Priama spotkało się z wysłannikami Achajów i wspólnie wypracowali zawiałą ugodę, na mocy której obie strony miały zyskać czas na organizację festiwalu, ceremonii pogrzebowych czy czegoś w tym guście. Moim skromnym zdaniem, jednym z powodów, dla których obłężenie rozciągnęło się na prawie dekadę, były właśnie tego rodzaju okresy wytchnienia. Grecy i Trojanie obchodzili mniej więcej tyle świąt religijnych, ile istniało w kalendarzu hinduistów z dwudziestego pierwszego wieku.

Ilością świeckich okazji do wzięcia wolnego dorównywali natomiast amerykańskim pocztowcom. To w gruncie rzeczy dość zastanawiające, w jaki sposób w ogóle zdołali znaleźć czas na wzajemne wyrznanie się, pośród tych wszystkich niezliczonych uczt, ceremonii ofiarnych i pogrzebowych rytuałów.

Teraz, gdy tak niedawno poprzysiągłem wystąpić przeciwko bogom (wskutek czego stałem się jeszcze bardziej niż dotąd bezwolnym pionkiem w ich rękach), najbardziej fascynuje mnie pytanie, jak szybko i jak dalece wydarzenia tej prawdziwej wojny odbiegną od homeryckiej relacji. Wcześniejsze odstępstwa od tekstu „Iliady” – na przykład kolejność, w jakiej zbierały się armie, tudzież data nierozstrzygniętego starcia Parysa z Menelaosem – były w istocie błahostkami i łatwo dawały się wytłumaczyć artystycznymi decyzjami Homera, który musiał przecież wtłoczyć pewne dawniejsze wydarzenia w ograniczone ramy czasu akcji eposu, rozgrywającego się w dziesiątym roku wojny. Co się jednak stanie, jeżeli wypadki potoczą się w diametralnie innym kierunku? Gdybym – dajmy na to – podszedł do Agamemnona i wbił swą włócznię (należy co prawda do nieszczęsnego Echepolusa, ale do zabijania nadaje się jak każda) prosto w jego królewskie serce?

Bogowie potrafią sporo, lecz mimo wszystko nie są w stanie wskrzeszać śmiertelników (ani martwych bogów, chociaż ta akurat zbitka zakrawa na oksymoron).

„Kimże jesteś, Hockenberry, by rzucać wyzwanie przeznaczeniu i sprzeciwiać się woli bogów?” – pyta cichy, tchórzliwy głosik, któremu byłem posłuszny przez większość poprzedniego życia.

„Jestem sobą, Thomasem Hockenberrym” – pada zdecydowana odpowiedź mego obecnego ja, mimo że jest ono znacznie mniej konkretne od pierwotnego.

„I mam już serdecznie dosyć tych upojonych władzą i siłą oprychów, którzy zwą się bogami”.

Jako że jestem w tej chwili bardziej szpiegiem niż scholiastą, przystaję w odpowiedniej odległości, by podsłuchać wymianę zdań między ukrytą w ciele Laodokusa Ateną i tym bufonem (a zarazem wyśmienitym łuczniakiem) Pandarosem.

Bogini/Laodokus rozmawia z nim jak Trojańczyk z Trojańczykiem i gra na jego wrodzonej próżności. Zwodzi osła wizją deszczu darów, jakimi obsypie go księżę Parys, jeżeli zgładzi Menelaosa. Posuwa się nawet do porównania Pandarosa z samym Apollem, łuczniakiem niezrównanym, które przestałoby brzmieć śmiesznie, gdyby tylko powiódł mu się ten jeden, jedyny strzał.

Pandaros łyka przynętę wraz z haczykiem i żyłką – tłumacz eposu oddał ten moment następująco „chytra jej rada niebaczemu mężowi do serca przypada” – po czym namawia kolegów, by osłonili go tarczami, a sam przygotowuje długi łuk i dobiera odpowiednią strzałę. Scholiaści oraz dawni naukowcy zajmujący się „Iliadą” od stuleci toczyli dyskusje, czy Grecy i Trojanie zatruli swoje pociski. Większość fachowców, w tym i ja, broniła tezy, że nie. Tego rodzaju zachowanie byłoby-twierdziłszy – po prostu niegodne i sprzeczne z wyśrubowanymi standardami antycznych bohaterów.

Myliliśmy się. Wojownikom obu stron zdarza się stosować truciznę. W dodatku szybko działającą i zabójczą. Swoją drogą, ten wniosek znakomicie wyjaśnia, dlaczego wiele z opisanych w „Iliadzie” ran sprowadzało tak rychłą śmierć.

Pandaros zwalnia cięciwę. Strzał jest zaiste wspaniały. Śledzę spojrzeniem pocisk, który kreśli w powietrzu długi na kilkaset metrów łuk, po czym opada i mknie prosto ku rudowłosemu bratu Agamemnona. Już za moment grot przesyje Menelaosa, który stoi na ziemi niczyjej przed szeregami wojowników i przysłuchuje się rozprawiającym parlamentariuszom. To znaczy, przesyje go, jeżeli nie zainterweniuje jedno z przychylnych Grekom bóstw.

I faktycznie, jedno interweniuje. Wzmocniony wzrok pozwala mi zobaczyć Atenę, która porzuca ciało Laodokusa i tekuje się do boku Menelaosa. Bogini zdecydowała się podjąć podwójną grę-z jednej strony podstępnie namówiła

Trojańczyka do zerwania rozejmu, z drugiej robi w tej chwili wszystko, by Menelaos, jeden z jej ulubieńców, nie zginął. Niewidzialna dla wrogów i przyjaciół, obserwowana tylko przez samotnego scholiastę – czyli mnie – trąca rozpędzoną strzałę dłonią.

Czyni to gestem matki spędzającej muchę z czoła uspiętego synka. (Być może podkradłem to porównanie Homerowi, lecz „Iliadę” czytałem – w oryginale i przekładzie – już tak dawno temu, że o pewności nie może być mowy).

Niemniej, mimo wysiłków bogini, pocisk dosięga celu. Menelaos wydaje z siebie zboląły okrzyk i pada. Strzała sterczy mu z brzucha, tuż powyżej krocza. Czyżby Atena naprawdę nie zdołała go ocalić?

Wybuch zamieszanie. Heroldzi Priama czmychają za linie Trojan, a negocjatorzy Achajów pierzchają pod osłonę tarcz Greków. Agamemnon, który skorzystał z zawieszenia broni i urządził przegląd wojsk, stojących teraz karnymi szeregami (być może chciał potwierdzić swój autorytet, nadwątlony wskutek wczorajszego buntu Achillesa) nadbiega natychmiast i znajduje swego brata wijącego się z bólu na ziemi w otoczeniu grupki oficerów.

Kieruję w ich stronę pałkę, przypominającą z pozoru laskę noszoną przez niższych rangą dowódców armii Ilionu. Ta pałka jednak nie należy do kapitana Echepolusa. Jest moja, to element standardowego wyposażenia scholiasty. Kryje się w niej jednocześnie paralizator i mikrofon kierunkowy, potrafiący wyłowić dźwięki z odległości dwóch mil i przekazać je do słuchawek, z którymi na trojańskiej równinie nie rozstają się nawet na moment.

Na cześć umierającego brata Agamemnon wygłasza cholernie dobrą mowę pogrzebową. Tuli do siebie głowę Menelaosa i peroruje o straszliwej pomście, jaką on – Agamemnon – zamierza w rewanżu za ten mord wyrzucić na Trojanach. Następnie przechodzi do lamentów. Opłakuje Achajów, którzy – mimo krwawej zemsty Agamemnona – najpewniej stracą po śmierci Menelaosa wolę walki, zniechęcą się do wojaczki i odpłyną czarnymi okrętami do domów.

Po cóż bowiem bić się o Helenę, skoro jej zhańbiony zdradą mąż nie żyje? Zaraz potem, nie wypuszczając z rąk pojękującego brata, Agamemnon zaczyna bawić się w wieszczka.

– Pośród tych oto priamowych pól czerwie stoczą twe ciało, a kości rozsypią się w pył. Och, bracie mój, padłeś martwy pod niewzruszonym murem Ilionu, nie wypełniwszy swej misji.

Wesołek, nie ma co. Mowa jak znalazł dla umierającego.

– Poczekaj, bracie, poczekaj – stęka Menelaos przez zaciśnięte zęby. – Nie kładź mnie do grobu tak śpiesznie. Strzała nie tkwi w żadnym z ważnych organów. Spójrz, przebiła mój brązowy pas i zatrzymała się w kałdunie, z którym tak bardzo chciałem się rozstać. A przecież grot mógł osiągnąć żołądka lub nawet jaj.

– Ach, nie inaczej – przytakuje Agamemnon, pochylając się z frasunkiem nad płytką raną. W jego głosie pobrzmiewa, choć nie całkiem wyraźnie, rozczarowanie. Przemowa poszła jak krew w piach, a jestem przekonany, że długo nad nią myślał.

– Niestety, strzała jest zatruta – jęczy nagle Menelaos, jakby chciał starszego brata pocieszyć. Rude włosy lepią się od krwi i trawy. Złoty hełm spadł przy upadku i odtoczył się na bok.

Agamemnon wstaje, wypuszcza z rąk ramiona i głowę ranego – tak szybko, że gdyby nie podtrzymali go oficerowie, Menelaos niechybnie roztrzaskałby sobie czaszkę o kamienisty grunt. Przywołuje swego zaufanego posłańca Taltybiosa, któremu rozkazuje odszukać Machaona, syna Asklepiosa, osobistego lekarza Agamemnona i świetnego fachowca. To ostatnie nikogo nie dziwi. Ponoć Machaon pobierał nauki u samego Chirona, przyjaznego ludziom centaury.

Widok znajomy z pól bitewnych każdej epoki – leżący człowiek krzyczy, bluźni i płacze, gdyż początkowy szok zaczyna ustępować i pojawia się ból. Otaczają go klęczący, bezsilni przyjaciele. Wreszcie przybywa medyk z pomocnikami, zaczyna wydawać polecenia, usuwa z poszarpanego ciała zębaty, brązowy grot, wysysa truciznę i przykłada do rany czysty opatrunek. A Menelaos przez cały ten czas kwiczy jak zarzynane prosię.

Agamemnon pozostawia brata pod okiem Machaona i odchodzi, by wzbudzić w swych ludziach zapał do walki, aczkolwiek Achajowie – nawet dzisiaj, gdy w ich szeregach zbrakło Achilleusa – sprawiają wrażenie dostatecznie skacowanych, posępnych i wściekłych, by zaraz ruszyć do boju.



Nie wymagają żadnej dodatkowej zachęty.

Od nieprzemysłanego strzału Pandarosa minęło ledwie dwadzieścia minut, a o rozejmie nie pamięta już nikt. Grecy nacierają na trojańskie pozycje szerokim na dwie mile frontem. Podnoszą się tumany kurzu. Tryska krew.

Pora wyjść z ciała Echepolusa, biedny drań już wkrótce dostanie włócznią prosto w czoło.

\* \* \*

Ze swego ziemskiego życia nie zachowałem zbyt wielu wspomnień. Nie pamiętam, czy byłem żonaty, czy miałem dzieci, ani gdzie mieszkałem. Przypominam sobie tylko mgliście pełen książek gabinet, w którym czytałem i przygotowywałem się do wykładów. Podobnie słabo pamiętam swój macierzysty uniwersytet w Indianie. W pamięci zachowały mi się budynki z kamienia i cegły, stojące na wzgórzu, skąd roztaczał się cudowny widok na wschód. Życie scholiasty pełne jest dziwnych doznań, a jednym z nich jest stopniowe powracanie przedscholiastycznych wspomnień, które zaczynają odzywać po paru latach, lub nawet już po kilku miesiącach. Być może stanowi to jeden z powodów, dla których bogowie nie pozwalają nam żyć zbyt długo. Jestem tu najstarszym wyjątkiem.

Pamiętam za to zajęcia – twarze studentów, wykłady, toczony przy owalnym stole dyskusje. Pamiętam tchnącą młodzieńczą świeżością dziewczynę, która zapytała, dlaczego właściwie oblężenie Troi tak bardzo się dłużyło. Wiedziony odruchem poczułem ochotę zauważyć, że urodziła się w epoce szybkiego jedzenia i szybkich wojen – McDonald's i konflikt w Zatoce Perskiej. KFC i wojna z terrorem. Jednakże starożytni. Grecy i ich wrogowie, dostojnie celebrowali zarówno posiłki, jak i wojaczkę.

Zamiast wykpiwać nadmiernie szybkie tempo życia i wieczne rozkojarzenie młodzieży, wytłumaczyłem grupie, że dawni herosi wojnę wprost uwielbiali. Wspomniałem, że jednym z greckich określeń walki było *charme*, wywodzące się z tego samego źródłosłowu co *charo* – „radować się”. Odczytałem im scenę, w której dwójka zmagających się ze sobą wojowników opisana zostało jako *charmei gethosunoi* – „rozkoszujący się walką”. Wyłożyłem też greckie

pojęcie *aristeiów*- starć toczonych pojedynczo bądź grupami, będących okazją do wykazania się osobistą sprawnością.

Wyjaśniłem, że dla starożytnych było to niebywale ważne i że toczono na większą skalę bitwy nierzadko przerywano, żeby żołnierze mogli się tego rodzaju widowiskami nasycić.

– Znaczy, że ten... – wydukała tchnąca młodzieńczą świeżością studentka, której mózg pocił się wyraźnie na jałowym biegu, a rwany sposób mówienia zdradzał niedostatek myśli, rozprzestrzeniający się jak zaraza wśród amerykańskich studentów z końca dwudziestego wieku. – No... że jakby tego, wojna mogła się skończyć w sumie szybko, tylko że oni...

no... woleli mieć przerwy na te... aristeiki?

– Właśnie tak. – Westchnąłem i z nadzieją na rychłe wybawienie zerknąłem na zawieszony na ścianie stary zegar.

Dzisiaj, po z górą dziewięciu latach obserwowania *aristeiów* na własne oczy, mogę już z niezbitą pewnością potwierdzić, że te pojedynki, tak ukochane przez Trojan i Argiwów rzeczywiście stanowią jeden z powodów, dla których oblężenie ślimaczy się w tak nieznośny sposób. Czuję teraz to samo, co nawet najbardziej wyrafinowani Amerykanie po zbyt długim pobycie we Francji – chciałbym wrócić do epoki szybkiego jedzenia, to znaczy do szybko toczonych wojen. Jakieś bombardowanko, błyskawiczny desant z powietrza, pif, paf i dobranoc. Wracamy do Penelopy.

Niestety, nie ma szans.

\* \* \*

Echepolus jest pierwszym trojańskim oficerem, który poległ w starciu z nacierającymi Achajami.

Trudno powiedzieć, być może facet wciąż jest zdezorientowany i oszołomiony faktem odzyskania utraconego na jakiś czas ciała, lecz gdy jego oddział zwiera się z greckimi wojownikami Antilochusa, syna Nestora i bliskiego przyjaciela Achillesa, nieborak Echepolus zbyt późno podrywa swą długą włócznię i to Antilochus dźga jako pierwszy. Brązowy grot uderza Trojanina w sam skraj ozdobionego kitą z końskiego włosia hełmu i przebija

mu czaszkę, wybijając oko. Mózg cieknie Echepolusowi przez usta. Trojanin pada, jak chętnie powiadał Homer, niczym zwalona wieża.

W tym momencie wypadki zaczynają się toczyć torem, jaki znam aż za dobrze i który wciąż nie przestaje mnie fascynować. Prawdą jest, że Grecy i Trojanie walczą przede wszystkim o honor, lecz żądza łupów zajmuje mocne drugie miejsce. Ci ludzie są zawodowymi żołnierzami: zabijanie jest ich pracą, a zrabowane dobra są żołdem. Piękna, kunsztownie zdobiona zbroja – tarcze, napierśniki, nagolenice, pas-odebrane pokonanemu przeciwnikowi przysparzają zwycięzcom zarówno honoru, jak i bogactwa. Zdobycie wrażego rynsztunku stanowi w kulturze Greków epoki heroicznej odpowiednik dotknięcia nieprzyjaciela gołą ręką, tak bardzo cenionego przez Dakotów. Tyle że znacznie bardziej lukratywny. Oficerowie noszą bowiem – w najgorszym wypadku – zbroje z cennego brązu, a ci najstarsi szarżą nierzadko zakładają na siebie wysadzane klejnotami wyroby ze złota.

Zatem nad ciałem martwego Echepolusa rozpoczyna się walka o zbroję.

Achajski dowódca zwany Elefenorem dobiega na miejsce jako pierwszy. Chwyta Echepolusa za kostki i ciągnie skrwawione zwłoki przez gąszcz drzewc włóczni i ostrych mieczy, brnie mimo hurgotu zderzających się tarcz. W ciągu minionych lat widywałem już Elefenora w obozie Greków. Oglądałem jego pomniejsze potyczki i muszę przyznać, że imię pasuje do niego jak ulał[2] – to potężny mężczyzna o barach olbrzyma, mocarnych ramionach i muskularnych udach.

Spośród innych wojowników Agamemnona nie wyróżnia się co prawda lotnym umysłem, lecz jest za to wielki, silny i mężny, a przez to niezwykle przydatny w bezpośrednich starciach. I tenże Elefenor, syn Chalkodona, mężczyzna od czerwca trzydziestoosmioletni, władca Eubei i przywódca Abantów, taszczy na moich oczach truchło Echepolusa poza najeżony brązowymi grotami mur Achajów i zaczyna odzierać zwłoki ze zbroi.

Niebawem jednak Agenor z Troi, syn Antenora i ojciec Eheklosa (obu ich spotykałem na ulicach Mionu), przemyka przez mrowie siekących mieczami Greków i zauważa odsłonięty bok wielkiego Elefenora, który właśnie – skulony pod osłoną tarczy – kończy rozbierać martwego Echepolusa. Agenor rzuca się naprzód i jednym pchnięciem wbija włócznię między żebra Greka.

Kości pękają, a serce potężnie zbudowanego Achaja przeobraża się w bezkształtny kawał mięsa. Elefenor rzyga krwią i pada. Tymczasem w pobliżu pojawiają się kolejni kontratakujący Trojanie i wspólnie odpierają grecki szturm.

Agenor uwalnia szarpnięciem włócznię z ciała zabitego i teraz to on rozdziewa Elefenora z pasa, nagolenic i napierśnika.

Kilku obrońców Mionu odnosi niemal nagiego Echepolusa z powrotem ku własnym pozycjom.

Walka skupia się wokół ciał obu zabitych. Grek imieniem Ajaks – to Ajaks Wielki, Telamończyk z Salaminy, którego nie należy mylić z Ajaksem Małym, wodzem wojsk Lokrydy – wyrąbuje przed sobą drogę, wsuwa miecz do pochwy, sięga po włócznię i kładzie trupem młodziutkiego Trojańczyka zwanego Symojzusem, który wysforował się naprzód, by osłonić odwrót Agenora.

Ledwie tydzień wcześniej, w jednym z bezpiecznie skrytych za murami spokojnych parków Mionu, piliśmy z Symojzusem wino i przerzucaliśmy się rubasznymi dykteryjkami (posługiwałem się wówczas ciałem pożyczonym od Stenelosa).

Szesnastoletni Trojanin – wciąż kawaler, nigdy nawet nie spał z kobietą – opowiedział mi, że Antemion, jego ojciec, nadał mu imię na cześć rzeki Symojdy, która opływa ich skromny dom, oddalony o milę od ufortyfikowanego miasta. Kiedy na horyzoncie pojawiły się czarne okręty Achajów, wrażliwy chłopak nie miał nawet sześciu lat, a do armii dołączył marne kilka tygodni temu, gdy tylko ojciec wyraził wreszcie zgodę. Podczas tamtej rozmowy Symojzus przyznał się mi do strachu przed śmiercią – czy raczej nie przed śmiercią jako taką, lecz przed śmiercią niewczesną, która mogłaby nadejść, zanim zdoła dotknąć kobiecej piersi i przekona się, co znaczy kochać.

Z piersi Ajaksa Wielkiego dobywa się dziki okrzyk i Grek pcha włócznią – odtrąca na bok tarczę Symojzusa i trafia go w pierś, tuż nad prawym sutkiem. Gruchocze chłopakowi ramię, po czym napiera silniej i silniej, dopóki krwawe drzewce nie wyziera na stopę z rozoranych pleców młodzika. Symojzus osuwa się chwiejnie na kolana i spogląda w zdumieniu – najpierw

na Ajaksa, zaraz potem na tkwiącą mu w piersi włócznię. Potężny Achaj opiera na twarzy chłopca podeszwę sandała i wyszarpuje broń, pozwalając zwłokom opaść twarzą na wilgotny od krwi piach. Ajaks Wielki bije się pięścią w napierśnik, ryczy i ponagla swych wojowników.

Trojanin Antifos, stojący najwyżej dwadzieścia pięć stóp dalej, ciska w Ajaksa Wielkiego włócznią. Chybia zamierzonego celu, lecz grot wbija się w pachwinę Achajowi imieniem Leukus, kiedy ten pomaga Odyseuszowi odciągnąć zwłoki innego powalonego oficera Mionu. Mocno ciśnięta włócznia przebija podbrzusze i wychodzi przez odbyt. Za ostrzem ciągną się szaroczerwone zwoje jelit. Leukus pada na ciało Trojanina, lecz jeszcze przez jedną straszliwą chwilę pozostaje przy życiu. Szamoce się, ścisną drzewce dłońmi i próbuje wydobyć je z krocza. Osiąga tylko tyle, że na kolana wylewa mu się kolejna porcja wnętrzości. Mocując się z włócznią, nieprzerwanie wrzeszczy i szarpie zakrwawioną rękę swego przyjaciela, Odyseusza.

Ostatecznie oczy Leukusa szklą się i wojownik umiera. Jedną dłoń nadal zaciska ciasno na włóczni Antifosa, z drugiej nie wypuścił odysowego nadgarstka. Odyseusz odrywa od siebie martwe palce i obraca się na pięcie. Gorejącymi pod brązowym hełmem oczyma wypatruje nowego celu – dowolnego celu. Chwilę potem miota włócznią i rzuca się w ślad za nią, tworząc w szeregach Trojan szeroką wyrwę. Natychmiast wpadają w nią kolejni Achajowie.

Włócznia Odysa zabija Demokona, nieślubnego syna Priama, króla Ilionu. Dziewięć lat temu byłem w Troi akurat tego ranka, gdy Demokon stawiał się na pomoc zagrożonej stolicy ojca. Dla nikogo nie było tajemnicą, że Priam wyznaczył go na zarządcę owej słynnej hodowli koni wyścigowych w Abydos, mieście położonym na północny-wschód od Ilionu, na południowym wybrzeżu Hellespontu. Władca uczynił to z myślą, że nieobecny w Mionie chłopak nie będzie drażnił królewskiej małżonki i jego prawowitych synów. Pochodzące ze stajni w Abydos rumaki powszechnie uważano za najszybsze i najpiękniejsze konie na całym świecie. Mówiło się też, że Demokon uznał ten szybki awans na koniuszego w tak szeroko opiewanej hodowli za wielki zaszczyt. W tej chwili młody Trojańczyk zwraca właśnie twarz w stronę, z której dobiega obłąkańczy bojowy okrzyk Odyseusza. Mgnienie potem

brązowy grot uderza go w lewą skroń, przesywa czaszkę na wylot i wychodzi z prawej strony. Rozpędzona włócznia pociąga ciało za sobą i przybija głowę Demokona do burty przewróconego rydwanu. Chłopak nie miał nawet pojęcia od czyjej broni zginął.

Trojanie wycofują się na całej linii, pierzchają przed gniewem Odyseusza i Ajaksa Wielkiego. Próbuje przy tym zebrać z pola ciała swych poległych. Tam, gdzie to niemożliwe, zostawiają je na piachu. Hektor, największy i najbardziej szlachetny z wojowników Ilionu, zeskakuje ze swego generalskiego rydwanu i zaczyna się przeciskać przez ciżbę uciekających, w nadziei że jego miecz i włócznia zdołają jeszcze odwrócić losy starcia. Zachęca Trojan, by utrzymali pozycje, lecz napór Achajów jest w tym punkcie zbyt potężny i wreszcie nawet sam Hektor daje za wygraną, nieprzerwanie starając się donośnym wołaniem utrzymać w swoich szeregach dyscyplinę. Cofający się obrońcy Ilionu nie przestają walczyć, kłują napastników miotanymi włóczniami.

Ja tymczasem, pod postacią szeregowego trojańskiego włócznika, umykam szybciej niż większość. Akurat mnie zarzut tchórzostwa nie jest straszny, więc trzymam się daleko poza zasięgiem wrogich pocisków. Wcześniej ukryłem się przed wzrokiem śmiertelników i ruszyłem naprzód, do miejsca skąd mogłem obserwować stojącą za szeregami Achajów Atenę, do której niebawem dołączyła Hera – obie boginie były równie niewidoczne jak ja. Walka jednak rozgorzała zbyt szybko i wkrótce stała się zanadto zażarta. Po śmierci Echepolusa wycofałem się więc z pierwszych szeregów, z nadzieją że wzmocniony wzrok i czuły mikrofon kierunkowy pozwolą mi śledzić dalsze wydarzenia.

Nagle wszystko zamiera. Powietrze gęstnieje. Włócznie zatrzymują się w locie, krew przestaje tryskać z ran. Ludzie, których od śmierci dzieliły sekundy, otrzymują – zupełnie tego nieświadomi – chwilowe odroczenie wyroku. Milkną wszelkie dźwięki, nie porusza się nic.

Bogowie znowu bawią się czasem.

Jako pierwszy na placu stawia się Apollo. Jego rydwan materializuje się nieopodal Hektora. Następny teleportuje się Ares, bóg wojny. Przez chwilę toczy gorącą dyskusję z Ateną i Herą, po czym przelatuje w zaprzęgu ponad

szeregami walczących i ląduje obok Apolla. Dołącza do nich Afrodyta, spoglądając przy tym przelotnie w moją stronę, tam gdzie udaję znieruchomiałego jak pozostali śmiertelnicy wojownika. Mgnienie oka później uśmiecha się i wdaje w pogawędkę z dwoma sojusznikami obrońców miasta, Aresem i Apollem. Przyglądam się jej kątem oka. Widzę, jak zawzięcie gestykuje, wskazując kolejne okolice frontu niczym obdarzony wyjątkowo bujną piersią generał Patton.

Bogowie szykują się do walki.

Apollo unosi dłoń. Bitewny zgiełk powraca, czas rusza naprzód niczym tsunami pyłu i ruchu. A ludzie znowu zaczynają się ochoczo nawzajem mordować.

2 Elefenor może się kojarzyć z angielskim wyrazem *elephant*- słoń.

# 10

## *Krater Paryski*

Ada, Harman i Hannah kulturalnie odczekali dwa dni – zwyczajowo uznawane za minimalny okres przed złożeniem wizyty człowiekowi, który trafił do konserwatorni – po czym przefaksowali się do Krateru Paryskiego, by odszukać Daemana.

Było późno, ciemno i zimno, a na dodatek – co stwierdzili zaraz po wyjściu spod dachu faksowężła Gardelion – padał deszcz. Harman złapał krytą dorożkę i wojniks powiózł ich na północny zachód po usłanym bielejącymi czaszkami dnia wyschniętej rzeki. Na obu brzegach wznosiły się ruiny starych budynków.

– Jeszcze nigdy tutaj nie byłam – przyznała Hannah.

Młoda kobieta – do Pierwszej Dwudziestki brakowało jej dwóch miesięcy – nie przepadała za wielkimi miastami. Krater Paryski był natomiast jednym z najgęściej zaludnionych faksowężłów na Ziemi. Mniej lub bardziej przejściowo mieszkało tu dwadzieścia pięć tysięcy ludzi.

– Między innymi dlatego faksowałam nas do Gardelionu, a nie w okolice Hotelu Inwalidów, chociaż stamtąd mielibyśmy bliżej. Dom Daemana znajduje się raczej na uboczu – powiedziała Ada. – Pełno w tym mieście starożytnych zabytków.

Warto poświęcić chwilę czasu i trochę się rozejrzeć.

Hannah skinęła głową, lecz nie wydawała się przekonana. Niezliczone szeregi budowli ze stali i kamienia, w większości obleczonych lśniącem eterplastem, wyglądały na opuszczone. W oknach nie paliły się światła. Wszystko sprawiało wrażenie pretensjonalnej tandety. Serwitory i żarkule



przelatywały w sobie tylko znanych sprawach ponad mrocznymi ulicami. Na skrzyżowaniach stały nieruchome, milczące wojniksy. Nie dostrzegła jednak zbyt wielu ludzi. Choć oczywiście, jak zauważył Harman, minęła już dwudziesta druga. A przecież nawet tak kosmopolityczna metropolia jak Krater Paryski musiała kiedyś spać.

– To faktycznie wygląda ciekawie – stwierdziła Hannah, wskazując konstrukcję strzelającą na tysiąc stóp ponad miasto.

– Wczesny okres Zapomnianej Ery. – Harman pokiwał głową. – Niektórzy szacują, że ta budowla jest równie stara jak sam Krater. Inni podejrzewają nawet, że jej początki sięgają czasów miasta, które znajdowało się tu wcześniej. To symbol tego osiedla i jego budowniczych.

– Ciekawe – powtórzyła Hannah.

Niebywale wysoka, niezbyt zgrabna statua nagiej kobiety wyglądała na wykonaną z przejrzystych polimerów. Głowa posągu niknęła chwilami w chmurach. Dziewczyna zauważyła, że obliczu brakuje jakichkolwiek rysów – twórcy obdarzyli je jedynie rozchylonymi w szerokim uśmiechu czerwonymi wargami. Długie na pięćdziesiąt stóp czarne sprężyny spływały ze sferycznej głowy niczym pukle włosów. Statua wspierała się na mocno rozstawionych nogach, jej stopy ginęły za ciemniejszymi na zachodzie domami, a uda dorównywały szerokością rezydencji w Ardis. Także piersi posągu były karykaturalnie olbrzymie i kuliste. Co chwila wypełniały się pianistym, fosforyzującym czerwonym płynem, który następnie ściekał w dół. Poziom cieczy to podnosił się, to opadał i wtedy brzuch i nogi zalewał czerwony wodospad.

Momentami płyn unosił się aż po uśmiechniętą twarz i uniesione ramiona. Bijący od jarzącego się brzucha, biustu i masywnych pośladków blask malował rubinową łuną co wyższe budowle w okolicy.

– Jak się ten posąg nazywa? – zapytała.

– *La putain enorme* – odpowiedziała Ada.

– A co to znaczy?

– Nikt nie wie – odezwał się Harman.

Polecił wojniksowi skręcić w lewo na rozklekotany most i po chwili wjechali na skrawek terenu, który dawniej, gdy w rzece czaszek płynęła

jeszcze woda, był wyspą. Skierowali się ku ruinom starego, sporego budynku. Wśród zburzonych ścian, niczym dziwaczne jajo w kamiennym gnieździe, majaczyła tam niska, jarząca się fioletowym światłem kopuła.

– Zaczekaj tutaj – polecił wojniksowi Harman i poprowadził obie towarzyszki przez porośnięte bluszczem ruiny ku przejrzystej konstrukcji.

Na samym środku leżał biały, wysoki na około czterech stóp kamienny blok. U jego podstawy zauważyli rynienkę, prowadzącą do otwierających się w posadzce studzienek. Tuż za kamienną płytą stał wyrzeźbiony niewprawną dłonią posąg nagiego mężczyzny, trzymającego w ręku gotowy do strzału łuk.

– Marmur – ogłosiła Hannah, gładząc powierzchnię płyty. Na kamieniach знаła się dobrze. – Gdzie my właściwie jesteśmy?

– To świątynia Apolla – odpowiedział Harman.

– A, tak. Słyszałam o tych nowych miejscach kultu – wtrąciła Ada. – Natomiast żadnego jeszcze nie miałam okazji obejrzeć. Byłam zresztą przekonana, że te świątynie stanowią rzadkość. Wiecie, że stawiają je gdzieś po lasach, tak bardziej dla żartu. Kilka ołtarzy i tyle.

– Podobne świątynie można znaleźć w całym Kraterze Paryskim i innych wielkich miastach – wyjaśnił Harman. – Stanowią ośrodki kultu Ateny, Zeusa, Aresa... Wszystkich bóstw z turyńskiego spektaklu.

– A ten rowek i studzienki... – zaczęła Hannah.

– Służą do odprowadzania krwi składanych w ofierze zwierząt – podpowiedział mężczyzna. – Najczęściej bydła i owiec.

Hannah cofnęła się od płyty i splotła ręce na piersi.

– Chcesz przez to powiedzieć, że ludzie... zabijają zwierzęta?

– Nie. – Harman pokręcił głową. – Korzystają z pomocy wojniksów. Jak dotąd.

Ada stanęła w wejściu. Krople deszczu spływały po jaśniejącej kopule, zmieniając ją w fioletowy wodospad.

– Czym to miejsce było... przedtem? Te ruiny?

– Moim zdaniem, w Zapomnianej Erze również działała tu świątynia. Najprawdopodobniej – odpowiedział Harman.

– Też poświęcona Apollinowi? – Hanna stała sztywno, nieruchomo. Ciasno objęła się rękoma.

– Nie wydaje mi się. Wśród gruzów można tu znaleźć potrzaskane posągi. Nie przedstawiają bogów, ludzi ani wojniksów... raczej też nie demony. Dawniej nazywano je gargulcami. Nie jestem pewien co właściwie symbolizują.

– Chodźmy już stąd – rzuciła Ada.

\* \* \*

Pojechali z powrotem na drugi brzeg rzeki czaszek i dalej na zachód, w kierunku krateru. Szerokie bulwary urywały się w miejscu, gdzie na budowlach z Zapomnianej Ery wyrastały nowsze i wyższe konstrukcje. Część z nich musiała zostać wzniesiona bardzo niedawno, zapewne niecały tysiąc lat wcześniej. Strzeliste kratownice z czarnego fulerenu i połyskującego w deszczu trójbambusa sięgały wysoko ku górze. Hannah uruchomiła funkcję wyszukiwania i spróbowała odnaleźć Daemana. Świetlisty prostokąt, który wykwitł nad jej lewą dłonią, jarzył się to barwą bursztynu, to czerwienią lub zielenią. Kierując się jego wskazaniem, szli po schodach, wjeżdżali windami, aż wreszcie dotarli z ulicy na poziom antresoli, skąd przedostali się na zawieszoną piętnaście pięter ponad starymi dachami promenadę. Z niej przedostali się już bezpośrednio na poziom stosów mieszkalnych. Jeszcze na promenadzie Hannah na moment przystanęła i spojrzała w dół, zhipnotyzowana jak większość gości odwiedzających Krater po raz pierwszy. Z identyczną jak oni fascynacją wlepiła wzrok w czerwone oko, jarzące się wiele mil niżej, w bezdennej, czarnej studni. Ada musiała odciągnąć zafascynowaną przyjaciółkę. Chwyciła ją za łokieć i niemal siłą poprowadziła do kolejnej windy.

Co ciekawe, drzwi domicylu Daemana nie otworzył im serwitor, a żywy człowiek. Ada przedstawiła siebie i towarzyszy, a kobieta – musiała dobiegać pięćdziesiątki, wyglądała jak wszyscy ludzie, którzy skończyli trzy lub cztery Dwudziestki – oznajmiła, że ma na imię Marina i jest matką Daemana. Poprowadziła ich kilkoma korytarzami o ścianach pomalowanych na ciepłe kolory i dalej, po wewnętrznych schodach i przez świetlice aż do prywatnej, zbudowanej od strony krateru części budynku.

– Naturalnie, o waszej wizycie uprzedził mnie serwitor – odezwała się Marina, zatrzymując się przed bogato rzeźbionymi mahoniowymi drzwiami. – Natomiast nie wspomniałam o niej Daemanowi. Wciąż jest nieco... poruszony niedawnym wypadkiem.

– Ale chyba go nie pamięta, prawda? – zdziwił się Harman.

– Och, oczywiście, że nie. – Matka Daemana była atrakcyjną kobietą i Ada dostrzegła rodzinne podobieństwo. Marinę łączyły z synem rude włosy i przyjemnie zaokrąglona figura. – Chociaż na pewno wiecie, co się o tych sprawach mówi...

Komórki nie zapominają.

Przecież to nie są te same komórki, natychmiast przemknęło Adzie przez myśl. Nie skomentowała.

– Czyli może nie powinniśmy go odwiedzać? – spytała Hannah. – Może za wcześnie na silniejsze przeżycia?

W tonie przyjaciółki Ada usłyszała znacznie więcej ciekawości niż troski.

Marina machnęła z wdziękiem ręką, jakby chciała powiedzieć: „I tak zaraz się przekonamy”. Zapukała do drzwi, zza których dobiegło stłumione „proszę”, i weszli do środka.

Pokój Daemana był przestronny i ozdobiony udrapowanymi na ścianach intensywnie barwnymi tkaninami. Część sypialna była oddzielona koronkowymi firanami i zwiewnymi zasłonkami z malowanego jedwabiu. Bezpośrednio przed sobą zobaczyli przeszkloną ścianę otwierającą się na prywatny taras. Lampy były przygaszone, lecz jasno oświetlone miasto – rozciągające się pół mili dalej wzdłuż okrągłych brzegów krateru – wyglądało jak mrowie gwiazdozbiorów.

Pobłyskiwały latarnie, żarkule i ciepłe elektryczne światła. Daeman siedział przed zalanym deszczem oknem w głębokim fotelu i w zadumie przyglądał się majaczącej nad miastem łunie. Zaskoczony odwiedzinami Ady, Harmana i Hanny zaprosił ich gestem na ustawione kręgiem miękkie fotele i kanapy. Zajęli miejsca. Marina przeprosiła gości i wyszła.

Szklane drzwi na taras stały otworem i do wnętrza wpłynęło chłodne powietrze, tchnące wilgocią i zapachem mokrego bambusa.

– Chcieliśmy sprawdzić, jak się trzymasz – zaczęła Ada. – A ja,

oczywiście, osobiście chcę przeprosić cię za ten wypadek... Niespecjalnie się wykazałam w roli troskliwej gospodyni.

Daeman wzruszył z uśmiechem ramionami, choć dłonie lekko mu zadrżały. Ułożył je na nakrytych jedwabiem kolanach.

– Pamiętam tylko, że jakieś wielkie zwierzę pędziło przez las. Trzaskały gałęzie. Przypominam też sobie woń padliny, a potem... Potem ocknąłem się już w zbiorniku konserwatorni. Naturalnie, serwitorki o wszystkim mi opowiedziały i muszę przyznać, że cała ta historia byłaby nawet zabawna, gdyby nie była aż tak... odrażająca.

Ada pokiwała głową, nachyliła się i wzięła kuzyna za rękę.

– Naprawdę bardzo mi przykro, Daeman Uhr. W ostatnich latach allozaury bardzo rzadko zapuszczały się w okolice mojej posiadłości. Zawsze też pilnują nas wojniksy...

Daeman spochmurniał, lecz nie cofnął ręki przed dotykem dziewczyny.

– Cóż, mnie jednak nie upilnowały.

– I to mnie właśnie dziwi – wtrącił Harman. Założył nogę na nogę i postukał palcami w wyłożone falistą tekturą oparcie fotela. – Bardzo dziwne. Nie pamiętam nawet, kiedy po raz ostatni wojniksy nie zdołały w podobnej sytuacji ochronić człowieka.

Daeman rzucił mu kosę spojrzenie.

– To znaczy, że dla ciebie, Harman Uhr, sytuacje, w których rekombinowane potwory pożerają ludzi, nie są wcale nowością?

– Ależ skąd. Miałem po prostu na myśli sytuacje, w których ludzie znajdują się w niebezpieczeństwie.

– Raz jeszcze przepaszam – dodała Ada. – Nie wiem jak wytłumaczyć fakt, że wojniksy nie dopełniły obowiązku, ale wiem za to, że moja własna beztroska jest niewybaczalna. Bardzo żałuję, że twój pobyt we Dworze Ardis i poczucie harmonii zostały zakłócone.

– Zakłócone, tak...? To chyba nie jest najszcześniejsze określenie. Zostałem zjedzony przez ważącego sześć ton drapieznika – rzucił Daeman, ale uśmiechnął się zaraz nieznacznie i skłonił delikatnie głowę, by dać znać, iż przeprosiny zostały przyjęte.

Harman pochylił się w fotelu i splótł dłonie. Kołysząc nimi rytmicznie

w górę i w dół, podkreślał wagę każdego kolejnego słowa.

– Daeman Uhr, nie mieliśmy okazji dokończyć wcześniejszej rozmowy...

– Ach, statek kosmiczny. – Ironiczny dotychczas ton Daemana nasiąkł nieskrywanym sarkazmem.

Harman nie pozwolił się zbić z pantałyku. Złączone dłonie mężczyzny wciąż podnosiły się i opadały.

– Tak. Aczkolwiek nie idzie wyłącznie o statek... chociaż to oczywiście nasz cel ostateczny... Mówimy o dowolnym pojeździe latającym. Na początek wystarczy nam skoczek, sonik, lotka. Cokolwiek, co umożliwi zbadanie terenów pomiędzy faksowężłami...

Daeman oparł się wygodniej, jakby chciał nabrać do rozemocjonowanego Harmana dystansu. Zaplótł ręce na piersi.

– Dlaczego tak uparcie do tego wracasz? Czemu nie dacie mi spokoju?

Ada musnęła jego łokieć.

– Daemanie, Hannah i ja słyszałyśmy niedawno, i to od różnych osób, że na jednym z bankietów w Ulanbacie, o ile się nie mylę mniej więcej miesiąc temu, opowiadałeś znajomym, że poznałeś kiedyś człowieka, który twierdził, iż widział statek kosmiczny... Kogoś, kto ponoć latał pomiędzy wężłami...

Daeman jeszcze przez krótką chwilę zdołał utrzymać lekko znudzony i poirytowany wyraz twarzy, po czym dał za wygraną. Wybuchnął śmiechem i pokręcił głową.

– Ech, ta wiedźma...

– Wiedźma? – powtórzyła zdumiona Hannah.

Daeman rozłożył ręce. Z podobnym wdziękiem, z jakim czyniła to jego matka.

– Tak ją przeżywaliśmy. Nie pamiętam jej prawdziwego nazwiska. To wariatka. Dobiega już końca ostatniej Dwudziestki... – Zerknął na Harmana. – Pod koniec życia ludzie zaczynają tracić kontakt z rzeczywistością.

Starszy mężczyzna zignorował z uśmiechem przytyk.

– Na pewno nie pamiętasz jak się nazywała?

– Nie. – Daeman ponownie wzruszył ramionami. Gracja jednak wyparowała.

– W jaki sposób ją poznałeś? – zaciekała się Ada.

– Na ostatnim Paleniu Człowieka. Półtora roku temu. Wyleciało mi z głowy, gdzie tę edycję zorganizowano... W każdym razie okolica była bardzo zimna. Przefaksowałem się po prostu tam, dokąd udali się moi przyjaciele z Chom. Oczywiście imprezy rodem z Zapomnianej Ery nigdy mnie specjalnie nie zajmowały, ale przy takich okazjach zbiera się wiele fascynujących kobietek.

– Byłam tam! – Hannie na to wspomnienie zaświeciły się oczy. – Pamiętam, że obchody zgromadziły jakieś dziesięć tysięcy uczestników.

Harman dobył z kieszeni bluzy wielokrotnie złożoną kartkę i rozprostował ją na stojącej pomiędzy fotelami otomanie.

– Pamiętasz, który to był węzeł? – zapytał dziewczynę.

Hannah pokręciła głową.

– Jeden z na poły opuszczonych, to na pewno. W zasadzie niemal zupełnie zapomniany. Organizatorzy rozesłali zainteresowanym kod węzła dopiero na dzień przed początkiem uroczystości. Tam chyba w ogóle nikt nie mieszka na stałe. Skalista dolina wśród ośnieżonych wzgórz. Pamiętam też, że całą dobę było jasno, przez pięć dni. I strasznie zimno.

Serwitory musiały roztoczyć nad całą doliną pole Plancka. Miejscami rozstawiły też grzejniki. Inaczej nie dałoby się wytrzymać. Aha, i nikomu nie było wolno opuszczać doliny.

Harman przyjrzał się bacznie wyblakłej, naznaczonej śladami częstego składania kartce. Mikropergamin pokryty był zawijasami, kropkami i enigmatycznymi runami przypominającymi symbole z książek. Po chwili dźgnął palcem punkcik ciemniejszy w pobliżu dolnej krawędzi.

– Tutaj. Dawniej była tam Antarktyda. Węzeł nazywa się Sucha Dolina.

Skonsternowany Daeman popatrzył pytająco na mężczyznę.

– To jest mapa. Pracuję nad nią od pięćdziesięciu lat-wyjaśnił Harman. – Mapa, czyli dwuwymiarowe odwzorowanie powierzchni Ziemi, na którym zaznaczyłem wszystkie znane faksowężły wraz z ich kodami. Antarktydą nazywano w Zapomnianej Erze jeden z siedmiu kontynentów. Odnotowałem na jej obszarze siedem węzłów, lecz tylko ten w Suchej Dolinie jest wolny od wiecznej zmarzliny. Słyszałem o tym miejscu, choć osobiście nigdy go nie odwiedziłem.

Tłumaczenia na niewiele się Daemanowi zdały. Nawet obie dziewczyny

popatrzyły po sobie niepewnie.

– Zresztą nieważne – rzucił Harman. – Natomiast, skoro słońce świeciło tam przez całą dobę, to musicie mieć na myśli właśnie Suchą Dolinę. W czasie polarnego lata słońce w jej okolicy nie zachodzi przez długi czas.

– W Chom słońce nie zachodzi w czerwcu – zauważył znudzony już Daeman. – Czy to niedaleko od tej twojej doliny?

– Nie. – Harman wskazał kropkę u góry mapy. – Jestem prawie pewien, że Chom znajduje się tutaj. Na tym dużym półwyspie za kołem arktycznym. Blisko bieguna północnego, nie południowego.

– Biegun północny? – zdumiała się Ada.

Daeman popatrzył na przyjaciółki.

– A ja głupi myślałem, że to wiedźma z Palenia Człowieka była wariatką.

– Zapamiętałeś cokolwiek więcej ze słów tej kobiety? Wiedźmy? – podjął Harman, podekscytowany do tego stopnia, że przestał zwracać uwagę na docinki.

Daeman pokręcił głową.

– Jakiś bełkot – odpowiedział zmęczonym głosem. – Sporo wtedy piliśmy. Rozmawiałem z nią akurat w noc Palenia, a przez to cholerne słońce praktycznie nie sypialiśmy. Czasami tylko udawało mi się zdrzemnąć w jednym z tych wielkich pomarańczowych namiotów. Spotkałem ją w ostatnią noc, kiedy zwykle zaczynają się orgie, i miałem nadzieję, że może...

Chociaż jak na mój gust była jednak zbyt stara.

– Ale naprawdę opowiadała o statku kosmicznym, tak? – Harman usilnie starał się zachować cierpliwość.

Daeman raz jeszcze zdawkowo wzruszył ramionami.

– Jeden z uczestników... młody chłopak, mniej więcej w wieku Hanny... marudził, że od dnia ostatniego faksowania nie mamy już soników i nie można sobie polatać. A ta... wiedźma... przedtem siedziała cicho, zresztą była w sztok pijana...

powiedziała, że owszem, mamy i że jeśli tylko ktoś wie, gdzie ich szukać, znalazłby i skoczki, i soniki. Twierdziła, że sama często z nich korzysta.

– A statek kosmiczny? – ponaglił Harman.

– Mówiła, że jakiś widziała. Nic więcej – odparł Daeman i potarł skronie,



jakby rozboleła go głowa. – W pobliżu muzeum. Zapytałem nawet, o które muzeum chodzi, ale nie wyjaśniła.

– Dlaczego nazwałeś tę starszą kobietę wiedźmą? – zapytała Hannah.

– Wspominałem, że to nie wyszło ode mnie. Wszyscy tak na nią mówili – usprawiedliwił się Daeman. – Moim zdaniem dlatego, że wmawiała nam, że nie przefaksowała się tam jak wszyscy, tylko przyszła piechotą. Co przecież jest wykluczone... Wokół doliny nie ma żadnych innych węzłów czy zabudowań. Poza tym cały teren został zabezpieczony polem Plancka.

– Ma rację – przytaknęła Hannah. – Miejsce, w którym urządzono to ostatnie Palenie Człowieka, było chyba najbardziej odosobnionym, do którego się w życiu faksowałam. W sumie trochę żałuję, że nie udało mi się tej kobiety poznać.

– Ja ją kojarzę tylko z dwóch nocy – podjął Daeman. – Pierwszej i ostatniej. Zresztą, poza tą wariacką rozmową, trzymała się raczej na uboczu.

– Skąd właściwie wiesz, że była stara? – spytała Ada ściszym głosem.

– Znaczący, poza tym, że była najwyraźniej szalona?

– Tak.

Daeman westchnął.

– Staro wyglądała. Zupełnie jak człowiek, który zbyt często odwiedza konserwatornię... – Ściągnął brwi. Zapewne przypomniał sobie niedawną przygodę. – Nigdy nie widziałem, by ktoś wyglądał aż tak staro. O ile się nie mylę, miała nawet te... rowki na twarzy.

– Zmarszczki? – wtrąciła Hannah z zazdrością w głosie.

– I na pewno nie potrafisz sobie przypomnieć jak się nazywała? – uciął Harman.

Daeman pokiwał głową.

– Faktycznie, tamtej nocy ktoś z siedzących przy ogniu zwrócił się do niej po imieniu, ale nie potrafię sobie... Wiecie, nie wylewałem wtedy za kołnierz. W dodatku brak snu...

Harman rzucił okiem na Adę, zaczerpnął głęboko powietrza.

– Czy przypadkiem nie miała na imię Savi?

Daeman poderwał głowę.

– Tak. Myślę, że tak. Savi... Prawie na pewno. Dość niecodzienne imię.-

Zauważył znaczące spojrzenia, jakimi wymienili się Ada z Harmanem. – A co? Czy to ważne? Znacie ją?

– Znasz może legendę o Żydówce Wiecznej Tułaczce? – zapytała dziewczyna.

Daeman odpowiedział zrezygnowanym uśmiechem.

– Tę o kobiecie, która tysiąc czterysta lat temu spóźniła się na ostatnie faksowanie, za co została skazana na nieustanną wędrówkę po świecie? Oczywiście, że słyszałem. Nie wiedziałem tylko, że bohaterka tej opowieści ma jakieś imię.

– Savi – potwierdził Harman. – Nazywa się Savi.

\* \* \*

Do pokoju weszła Marina wraz z dwoma serwitorami, niosącymi kubki grzanego wina i tacę z serem i pieczywem.

Niezręczne milczenie przy stole ustąpiło po chwili niezobowiązującej pogawędce.

– Przefaksujemy się tam jeszcze dzisiaj – oświadczył Harman towarzyszkom. – Do Suchej Doliny. Być może uda się nam odnaleźć jakieś ślady.

Hannah uniosła oburącz parujący kubek.

– To raczej niemożliwe. Przecież Daeman wyraźnie powiedział, że Palenie Człowieka odbyło się ponad osiemnaście miesięcy temu.

– Na kiedy planują następne? – zapytała Ada, która nigdy nie bywała na uroczystościach czerpiących z tradycji Zapomnianej Ery.

– Nigdy nie wiadomo – odpowiedział jej Harman. – Koteria Palenia ustala datę w tajemnicy i informuje o niej dopiero na kilka dni przed terminem. Zdarza się, że trzeba czekać kilkanaście lat. Innym razem następną ceremonię urządzają już po paru miesiącach. Impreza w Suchej Dolinie była jak dotąd ostatnia. Na kolejną zostaną zaproszeni wszyscy, którzy brali udział w dowolnej z trzech poprzednich edycji. Mnie tam nie było, bo akurat wędrowałem po Basenie Śródziemnym.

– Chcę poszukać tej kobiety razem z wami – odezwał się nagle Daeman.

Wszyscy obecni, nawet matka, spojrzeli na niego z najwyższym zdumieniem.

– Jesteś pewien, że już dobrze się czujesz? – upewniła się Ada.

Zignorował pytanie.

– Przydam się wam. Tylko ja widziałem tę całą... Savi.

– Zatem zgoda – powiedział Harman. – Jesteśmy zobowiązani.

– Ale faksujemy się dopiero rankiem – zastrzegł gospodarz. – W nocy mnie stąd nie wyciągniecie. Padam ze zmęczenia.

– Oczywiście – zgodziła się Ada. Popatrzyła na dwójkę towarzyszy. – Wracamy do Ardis?

– Nie ma nawet mowy! – rzuciła Marina. – Jesteście naszymi gośćmi i przenocujecie tutaj. Na górnym poziomie są wygodne pokoje. – Zauważyła subtelne spojrzenie, jakim Ada obrzuciła Daemana. – Od czasu... wypadku mój syn łatwo się męczy i sypia po dziesięć godzin dziennie. Jeżeli zgodzicie się zostać, będziecie mogli wyruszyć kiedy już wstanie.

Naturalnie po śniadaniu.

– Oczywiście – powtórzyła Ada.

Różnica czasu między Kraterem Paryskim i Ardis wynosiła siedem godzin. W rezydencji dziewczyny nie podano jeszcze nawet kolacji. Podobnie jednak jak wszyscy korzystający z węzłów podróźnicy, wszyscy byli przyzwyczajeni do zmiennego trybu dnia.

– Odprowadzimy was do pokojów – powiedziała matka Daemana, wstała i w asyście dwóch sunących za nią serwitorów podeszła do drzwi.

\* \* \*

„Pokoje” okazały się w rzeczywistości niewielkimi domicylami. Eleganckie apartamenty czekały na gości piętro wyżej nad mieszkaniem Mariny i Daemana. Wchodziło się tam po szerokich krętych schodach. Hannah głośno pochwaliła wystrój, lecz zaraz potem postanowiła zwiedzić krater w pojedynkę i zniknęła. Harman życzył wszystkim dobrej nocy i poszedł do swojego domicylu. Ada zamknęła za sobą drzwi, obejrzała pokryte ciekawymi wzorami gobeliny i wyjrzała z balkonu na krater. Deszcz ustał, spomiędzy

rzednających chmur wyjrzały pierścienie i księżyc. Dziewczyna wróciła do środka i zamówiła u serwitów lekką kolację. Następnie przygotowała sobie kąpiel i pół godziny spędziła, rozkoszując się gorącą, aromatyczną wodą. Ból zeszywniałych mięśni ustąpił jak ręką odjął.

Harmana poznała ledwie dwanaście dni wcześniej, lecz już teraz miała wrażenie, że zna ją się od dawna. Fascynował ją zarówno sam mężczyzna, jak i jego zainteresowania. Na tamto przyjęcie – wydawane z okazji letniego przesilenia w położonej niedaleko ruin Singapuru posiadłości znajomej – wybrała się nie dlatego, że chciała. W zasadzie, gdy tylko mogła, unikała faksowania i hucznych bankietów. Bawiła się głównie na niewielkich prywatkach w domach znajomych.

Namówiła ją jednak młodsza przyjaciółka, Hannah. Impreza okazała się na swój sposób przyjemna, zebrało się wielu interesujących ludzi, tym bardziej ciekawych, że gospodyni skończyła niedawno już czwartą Dwudziestkę, a Ada od urodzenia ceniła sobie dojrzałe towarzystwo. Kiedy w pewnej chwili zajrzała do biblioteki, zastała w niej myszkującego wśród książek Harmana. Początkowo mężczyzna okazał się skryty, niemal wycofany, lecz zdołała go nakłonić do rozmowy, posługując się identycznymi sztuczkami, jakimi co bardziej przemyślnie koleżanki wyciągały zwierzenia od niej.

W pierwszej chwili Ada nie wiedziała co myśleć o umiejętności czytania bez uciekania się do odpowiedniej funkcji.

Harman przyznał się do niej dopiero przy okazji ich następnego spotkania, do którego doszło na innym przyjęciu, sześć dni przed weekendem w Dworze Ardis. Jednakże, im dłużej się zastanawiała, tym bardziej czytanie wprawiało ją w zachwyt. Sama od dawna uważała się za osobę dobrze wykształconą – znała wszystkie popularne legendy i ludowe piosenki, potrafiła wyrecytować z pamięci nazwiska członków Jedenastu Rodów wraz z ich przodkami, jednym tchem wymieniała nazwy większości faksowężłów. Niemniej bezmiar wiedzy i ciekawości Harmana zapierał jej dech w piersi.

Mapa, którą pokazał Daemanowi – niedoceniona nawet przez wścibską i skorą do przygód Hannę – niezmiennie Adę fascynowała. Dopóki nowy znajomy nie pokazał jej efektów swej pracy – doszło do tego niecały tydzień temu – nie zetknęła się nawet z ideą mapy. To od Harmana dowiedziała się

także, że Ziemia jest kulą. Jak wielu z jej przyjaciół mogło się pochwalić takim zasobem wiadomości? Ciekawe ilu spośród nich w ogóle zadało sobie pytanie o kształt świata, na którym żyli? Dla większości „świat” sprowadzał się do własnego domu i sieci faksowezłów, pozwalającej utrzymywać kontakty ze znajomymi. Czy ktokolwiek rozważał problem kształtu fizycznej struktury, na której zbudowano portale? Po co mieliby się głowić nad czymś takim?

Już po pierwszym, spędzonym w towarzystwie Harmana weekendzie, Ada zrozumiała, że jego zainteresowanie nieobecnyimi od dawna postludźmi graniczy z obsesją. Nie, napomniała się, wyciągnięta w pełnej ciepłej wody wannie, przelewając między długimi, bladymi palcami bąbelki piany, miękko opadające na jej piersi i szyję, to jest obsesja.

Harman nie był w stanie przestać zastanawiać się nad losem postludzi. „Dlaczego i dokąd odeszli? W jakim celu?” – pytał raz po raz.

Ada, naturalnie, nie знаła na te pytania odpowiedzi, lecz dociekliwość mężczyzny zaraziła z czasem i ją. Dziewczyna traktowała ich wspólne rozważania jak zabawę, przygodę. Dlaczego na Ziemi żyje milion ludzi? Czy tę liczbę ustalili postludzie? Czemu niejeden więcej ani mniej? I dlaczego każdemu z nas przeznaczono równe sto lat życia? Dlaczego postludzie ratują nas nawet przed skutkami własnej głupoty, byśmy mogli dożyć pełnej setki?

Tego rodzaju pytania brzmiały zarazem tak prosto i tak głęboko, że samo ich zadawanie wydawało się niezbyt mądre – trochę jakby dorosły człowiek wypytywał, do czego służy pępek.

Niemniej Ada postanowiła pomóc Harmanowi w poszukiwaniach maszyny latającej, być może nawet statku kosmicznego, którym można by polecieć aż na pierścienie i osobiście porozmawiać o wszystkim z postludźmi. Teraz zdążali śladami legendy z czasów ostatniego faksowania, opowieści o Żydówce Wiecznej Tułaczce, a każdy kolejny dzień przynosił coraz więcej emocji.

Na przykład tych, jakich doznała, kiedy allozaur pożarł Daemana.

Dziewczyna się zarumieniła. Błada skóra oblała się czerwienią aż po linię wody. To jednak straszny wstyd. Żaden z pozostałych gości nie pamiętał podobnego koszmaru. Dlaczego wojniksy nie zdołały go ochronić?

„Czym właściwie są wojniksy?” – zapytał ją Harman dwanaście dni temu. Siedzieli wtedy w zbudowanym w koronach drzew osiedlu pod Singapurem.

„Skąd się tu wzięły? Czy skonstruowali je ludzie z Zapomnianej Ery? A może są wytworem demencji rubikonowej? Chyba że stworzyli je postludzie. Albo też wcale nie pochodzą z tego świata i czasu i przybyły na Ziemię w sobie tylko znanym celu?”.

Ada przypomniała sobie własny, niezręczny chichot – siedzieli na porośniętym pnączami tarasie z kieliszkami szampana w dłoniach – jakim zareagowała, gdy Harman zadał, najzupełniej poważnie, wszystkie te nedorzeczne pytania. Nie umiała wówczas znaleźć na nie odpowiedzi. Jej przyjaciele też ich nie znali. Różnica sprowadzała się jednak do tego, że kiedy sama próbowała o tym z nimi rozmawiać, odpowiadali jeszcze bardziej nerwowym śmiechem. Tak czy inaczej, obecnie Ada patrzyła na wojniksy – z którymi stykała się przecież dzień w dzień od urodzenia – z mieszanką ciekawości i lęku.

Ostatnio zbliżoną reakcję zauważyła również u Hanny.

Kim jesteście? – zastanawiała się też dzisiaj, kiedy wysiedli w Kraterze Paryskim z dorożki i spojrzała na pozostawionego samotnie wojnika. Czekał w zupełnym bezruchu. Nie miał widocznych oczu, po jego zardzewiałym pancerzu i skórzanym kapturze spływały krople deszczu. Zabójcze ostrza były wsunięte. W wyciągniętych przed siebie, ugiętych manipulatorach trzymał dyszle pojazdu.

Ada wyszła z wanny. Wytarła się, przebrała w cienki szlafroczek i poleciała serwitorom, by zostawiły ją samą. Wyszły, przenikając przez jedną z osmotycznych membran w ścianie. Dziewczyna ponownie wybrała się na balkon.

Po prawej stronie, z jej tarasem sąsiadował balkon Harmana. Prywatność zapewniało gęste, splecione z bambusa przepierzenie, wybiegające na trzy stopy poza barierkę. Ada podeszła do tego parawanu, przez chwilę stała przy poręczu – spojrzała w dół na czerwonoooki krater – po czym podniosła wzrok na przecierające się niebo, naznaczone coraz liczniejszymi gwiazdami i obracającymi się pierścieniami. Przełożyła nogę przez balustradę, czując na udzie gładką, wilgotną powierzchnię bambusa i wyszła na drugą stronę. Bosa, po omacku, ruszyła wzdłuż przepierzenia.

Przez moment trzymała się balkonu jedynie palcami dłoni i stóp. Na ślepo

próbowała wyczuć stopą gzyms po drugiej stronie parawanu. Grawitacja starała się ją wessać w rozwartą poniżej pustkę. Ciekawe jakie to uczucie? Spadać w tę przepaść, frunąć ku rozpalonej magmie, ze świadomością, że po kilku okrutnych, przepełnionych absolutną swobodą minutach nastąpi nieuchronna śmierć? Wiedziała, że i na to pytanie nie pozna nigdy odpowiedzi. Nawet gdyby się w tej chwili odepchnęła, gdyby jej gołe palce ześliznęły się z krawędzi przepierzenia, i tak nie zapamiętałaby następnych kilku minut. Nie zachowałyby również wspomnień z pierwszych chwil po przebudzeniu w zbiorniku konserwatorni. Postłudzie nikomu nie pozwalali zapamiętać momentu śmierci.

Dziewczyna przywarła piersiami do pionowej krawędzi przepierzenia, z trudem zachowała równowagę i przerzuciła lewą nogę na drugą stronę. Bosą stopą wyczuła wąską bambusową półeczkę wiodącą na balkon Harmana. Nie odważyła się rzucić okiem, by sprawdzić, czy mężczyzna nie wyszedł przypadkiem odetchnąć świeżym powietrzem lub czy nie stoi w oknie. Całą uwagę skupiła na utrzymaniu stóp na gzymsie. Jej palce raz po raz ślizgały się na wilgotnym trójbambusie.

Wreszcie dotarła na balkon i stanęła na krawędzi. Dłonie zacisnęła na poręczy tak mocno, że zadrżały jej mięśnie ramion. Wyczuła, że opuszczają ją wzmożone przyływem adrenaliny siły, i czym prędzej przerzuciła lewą nogę nad balustradą. Poły szlafroka się rozchyliły i poczuła, że zadrapała sobie wnętrze uda.

Harman siedział ze skrzyżowanymi nogami na wymoszczonym białymi poduchami szezlongu i patrzył prosto na nią.

Balkon oświetlała samotna świeczka w szklanym kloszu.

– Mogłeś mi pomóc – wyszeptała z wyrzutem, nie rozumiejąc czemu mówi tak cicho. Zauważyła, że mężczyzna również jest okryty wyłącznie cienkim, niedbale przewiązanim w pasie szlafrokiem.

– Świetnie sobie radziłaś. Tylko dlaczego właściwie nie przysłaś, korzystając z drzwi?

Ada zaczerpnęła głęboko tchu i – w ramach odpowiedzi – rozwiązała pasek, pozwalając połom swego szlafroka rozsunąć się na boki. Poczowała na podbrzuszu chłodny podmuch znad krateru, przetykany co chwila cieplejszymi

powiewami.

Harman wstał, podszedł, popatrzył dziewczynie w oczy i na powrót zawiązał jej szlafrok, nie dotykając nagiego ciała nawet koniuszkami palców.

– Czuję się zaszczycony – odpowiedział, także zniżając głos do szeptu. – Ale jeszcze nie teraz, Ado. Za wcześnie na to. – Wziął ją za rękę i zaprowadził na szezlong.

Gdy już ułożyli się wygodnie obok siebie, głęboko poruszona sytuacją Ada zalała się rumieńcem. Nie była pewna, czy czerwieni się z powodu odtrącenia, czy może zawstydzila ją własną śmiałość. Harman sięgnął za oparcie leżanki i wyciągnął dwa kremowej barwy całuny turyńskie. Rozwinął je i odwrócił tak, by wszyte w tkaninę mikroobwody znalazły się po właściwej stronie.

– Ale ja nie... – zaczęła Ada.

– Wiem. Proszę cię tylko o ten jeden raz. Mam wrażenie, że wydarzy się coś ważnego. I chciałbym to przeżyć wspólnie z tobą.

Oparła się na miękkiej poduszce i pozwoliła mężczyźnie, by zasłonił jej oczy całunem. Czowała bliskość jego ciała. Prawą dłoń złożył swobodnie na jej lewej.

Zaraz potem napłynęły dźwięki, obrazy i natłok innych doznań.



# 11

## *Równina Ilionu*

Bogowie przybyli się zabawić. A ściślej mówiąc, przyszli, by zabijać.

Bitwa trwa już od jakiegoś czasu. Apollo zagrzewa do boju Trojan, Atena wlewa męstwo w piersi Argiwów. Pozostali bogowie wylegają się w cieniu drzew na pobliskim wzgórzu i od czasu do czasu wybuchają śmiechem. Iryda wraz z resztą sług co chwila dolewa im wina. Pirus, wódz Traków, waleczny sprzymierzeniec Trojan, zabił na moich oczach kamieniem szarookiego Dioresa. Co prawda, przy pierwszym ataku udało mu się jedynie strzaskać współwodzowi Epejczyków kostkę, lecz zaraz potem wysiekł sobie drogę, mordując tych nielicznych, którzy postanowili wytrwale bronić przywódcy – leżącego bezradnie ze zranioną nogą – i nieszczęsny Diores mógł już tylko patrzeć na długą włócznię o zębatym grocie, która przebiła mu brzuch i wyrwała na zewnątrz jelita. Diores przeraźliwie wrzasnął, a Pirus z lubością przekręcił drzewce w ranie.

W tym mniej więcej guście upłynęło ostatnie pół godziny i z ulgą przywitałem chwilę, gdy Pallas Atena uniosła rękę i – widząc, że pozostali obserwujący bitwę Olimpijczycy wyrażają zgodę skinieniami – zatrzymała czas.

Mój ulepszony – dzięki otrzymanym od bogów szkłom kontaktowym – wzrok pozwala mi nieprzerwanie obserwować Atenę stojącą na drugim brzegu morza włóczni. Bogini przerabia właśnie Diomedesa, syna Tydeusa, na prawdziwą maszynę do zabijania. Prawdziwą, ponieważ od tego momentu Diomedes rzeczywiście będzie – podobnie jak bogowie i ja sam – częściowo maszyną. Jego oczy, skóra, a nawet krwinki zostaną ulepszone nanotechnologią

pochodzącą z jakiejś odległej epoki, która nastanie na długo po końcu mego krótkiego życia. Atena zakłada Achajowi podobne do moich szkła, pozwalające dostrzegać bogów i w jakiś sposób, z pomocą odrobiny koncentracji, spowalniać upływ czasu. W efekcie oglądający Diomedesa w ogniu walki wojownicy uznają, że reaguje trzykrotnie szybciej niż dotąd. Homer napisał, że Atena „nowym ogniem Tydejdę zagrzewa”, i wreszcie zdołałem tę metaforę pojąć. Posługując się wszytymi w dłoń i przedramię nanourządzeniami, Atena wzmacnia słabe pole magnetyczne mężczyzny, którego tarcza i hełm, oglądane w podczerwieni, zaczynają się nagle jarzyć i „jak się wydaje, gwiazda, co w czasie jesiennym w oceanie skąpiana światłość żywą ciska”. Teraz, gdy przyglądam się Diomedesowi jaśniejącemu w bursztynowej mgielce zatrzymanego przez boginię czasu, uświadamiam sobie, że Homer miał na myśli Syriusza, Psią Gwiazdę, pod koniec lata świecąca na greckim (i trojańskim) niebie najjaśniej. Również dzisiejszej nocy wyraźnie migoce nad wschodnim horyzontem.

W następnej kolejności Atena wstrzykuje Diomedesowi w udo miliardy molekularnych nanorobotów. Organizm ludzki reaguje na taki zabieg w podobny sposób, jak na każdą infekcję, więc temperatura ciała wojownika wzrasta o co najmniej pięć stopni. Obserwuję w podczerwieni, jak armia nanorobotów sunie ku górze, z nogi do serca, z serca do płuc, ramion i z powrotem do mięśni ud i łydek. Objęte gorączką okolice jaśnieją coraz bardziej.

Również szalejąca dokoła śmierć wstrzymała na te kilka długich minut swe żniwa. Z lewej strony, dziesięć metrów dalej, zauważam rydwan otoczony zastygłym tumanem kurzu, końskiej śliny i ludzkiego potu. Trojański woźnica – niski i zazwyczaj wielce opanowany Fegeos, syn najwyższego kapłana miasta, Hefajstosa i brat niezłomnego Ideusa (z którym przez ostatnie kilka lat co najmniej kilkanaście razy łącałem się Chlebem i sączyłem wino) – skamieniał wychylony naprzód. Lewą ręką przytrzymuje się burty pojazdu, prawa zamarła w momencie rzutu włócznią. Ideus stoi obok brata, zeszywniałymi lejcami smaga zamrożone w czasie konie. Ich rydwan został zatrzymany, gdy pędzili prosto na Diomedesa.

Wojownicy nie mają pojęcia, że Atena zatrzymała upływ czasu i bawi się

swym ulubionym herosem jak lalką, przystrajając go w pola siłowe, zakładając mu szkła kontaktowe i wstrzykując nanoulepszenia. Bogini kojarzy mi się z małą dziewczynką, która dostała na urodziny nową Barbie. Bo pamiętam jakąś małą dziewczynkę, która też lubiła bawić się lalkami Barbie. Możliwe, że to moja siostra. Córki raczej nie miałem, choć oczywiście nie jestem pewien, ponieważ powracające od kilku miesięcy wspomnienia przypominają okruchy szkła, w których odbijają się tylko mgliste, fragmentaryczne obrazy.

Znajduję się na tyle blisko, by wyraźnie zobaczyć rysującą się na opalonym obliczu Fegeosa radość walki i strach zastygły w jego niemrugających, brązowych oczach. O ile Homerycka relacja nie rozminęła się zbytnio z faktami, od śmierci dzieli wojownika niespełna minuta.

Niczym kruki do padliny zlatują się na plac boju kolejni bogowie. Po mojej stronie szeregów walczących materializuje się Ares. Bóg wojny podchodzi do znieruchomiałego rydwanu Ideusa i jego skazanego na śmierć brata. Ruchem dłoni roztacza wokół pędzących ku zatraceniu braci pole siłowe.

Dlaczego Aresowi tak na tych wojownikach zależy? Owszem, bóg wojny nie przepada za Grekami. Zdążył ich podczas tej wojny znienawidzić i kiedy tylko może uśmierca ich wszelkimi dostępnymi metodami. Skąd jednak ta wyraźna troska o los Fegeosa i Ideusa? Czyżby była to po prostu taktyczna zagrywka? Odpowiedź na dokonane przez Atenę ulepszenie Diomedesa? Boskie szachy, w które Olimpijczycy grają wrzeszczącymi i umierającymi wojownikami, ludźmi z krwi i kości, przestały mnie już bawić. To obrzydliwa partia. Niemniej zawilosci jej strategii wciąż mnie intrygują.

Zaraz potem przypominam sobie, że bóg wojny jest przyrodnim bratem Hefajstosa, boga ognia. Jego także zrodziła Hera, żona Zeusa. A Trojanin Dares – ojciec Fegeosa i Ideusa – od dawna wiernie służył patronowi płomieni.

Ta kretańska wojna jest jeszcze bardziej złożona i mniej sensowna niż konflikt w Wietnamie, który pamiętam niejasno z lat młodości.

Jako następna tekuje się Afrodyta, moja nowa przełożona. Pojawia się trzydzieści metrów z lewej strony. Ona również przybywa Trojanom z odsieczą oraz po to, by nasycić się krwawą jatką. Ale...

Tuż zanim czas podejmuje swój zwykły bieg, uświadamiam sobie, że jeśli walka potoczy się torami wytyczonymi przez starożytny poemat, przed upływem godziny sama Afrodyta zostanie raniona przez Diomedesa. Dlaczego zdecydowała się wziąć udział w bitwie, wiedząc, że ucierpi z ręki śmiertelnika?

Odpowiedź jest ta sama co zwykle – uczę się jej boleśnie już od dziewięciu lat, lecz teraz uderza mnie z siłą wybuchu bomby atomowej. Bogowie nie znają dalszego ciągu! Z kolejnymi aktami rozpisanego przez Przeznaczenie dramatu zapoznał się jedynie Zeus.

Wiedzą o tym wszyscy scholiaści – z rozkazu Zeusa nie wolno nam rozmawiać z Olimpijczykami o przyszłych wypadkach, a oni mają zakaz wypytywać o wciąż nieodegrane księgi „Iliady”. Naszym zadaniem jest wyłącznie potwierdzić post factum, że dzieło Homera wiernie oddaje wydarzenia, jakie obserwowaliśmy i zarejestrowaliśmy. Po wielokroć już roztrząsaliśmy z Nightenhelserem – przyglądając się w blasku tonącego w morzu słońca małym zielonym ludzikiem, taszczącym na brzeg kamienne twarze – paradoksy owej boskiej ślepoty na przyszłość.

Ja doskonale wiem, że Afrodyta zostanie dziś zraniona, bogini nie ma o tym pojęcia. W jaki sposób mógłbym tę informację spożytkować? Gdybym zdradził jej ten sekret, dowiedziałaby się o tym Zeus – nie wiem jaką drogą, lecz mam tego niezbitą pewność. Zdezintegrowałby mnie, a Afrodycie wymierzył jakąś inną, mniej srogą karę. Jak zatem mam skorzystać z wiedzy, że bogini, która obdarzyła mnie szpiegowskim ekwipunkiem, zostanie dzisiaj – być może – raniona przez Diomedesa?

Na dłuższe rozważania nie mam jednak czasu. Atena bowiem kończy majstrować przy swoim pupilu i uwalnia czas.

Pole bitwy zalewa prawdziwe światło słońca. Na równinę powracają ogłuszający zgiełk i gwałtowność ruchu. Diomedes podejmuje walkę. Jego twarz, ciało i tarcza goreją i blask ten najwyraźniej dostrzegają również pozostali śmiertelnicy, zarówno Achajowie, jak i wrodzy mu Trojanie.



Ideus strzela wreszcie batem nad końskim grzbietem. Rydwan toczy się z hukiem ku szeregom Greków, wprost na oszołomionego Diomedesa.

Fegeos miota w niego swą włócznią. Ostrze chybia o cal, grot świszczę tuż nad ramieniem tydeusowego syna.

Diomedes, zaczerwieniony, z czołem rozpalonym gorączką i bitewnym zapalem, ciska swoją włócznię. Trafia Fegeosa w sam środek piersi – „między sutki” jak chyba ujął to w oryginale eposu Homer – i Trojanin spada z rydwanu

w tył, zderza się z ziemią i kilka razy turla po piasku. Włócznia pęka i łamie się na drobne kawałki, a zwłoki ostatecznie nieruchomieją. Śmierć na równinie Ilionu, o ile już postanawia przyjść, uderza błyskawicznie.

Ideus zeskakuje z rydwanu, przetacza się po ziemi i dźwiga na równe nogi. Staje z mieczem w dłoni, gotów bronić ciała zabitego brata.

Diomedes podejmuje porzuconą przez kogoś włócznię i ponawia atak. Chce przeszyć Ideusa w taki sam sposób, w jaki zaszlachtował Fegeosa. Trojanin odwraca się w panice i biegnie – zdjęty strachem porzuca leżącego w piasku trupa – lecz Diomedes rzuca mocno i celnie. Długa włócznia zmierza prosto między łopatki uciekającego.

Wtedy nadlatuje Ares, bóg wojny – dosłownie nadlatuje, posługując się identyczną uprzężą lewitacyjną, w jaką bogowie wyposażyli mnie – i raz jeszcze zatrzymuje czas, ratując Ideusa przed frunącą włócznią, która zbliżyła się już do pleców mężczyzny na jakieś dziesięć stóp. Następnie bóg roztacza wokół Trojanina swoje pole siłowe i uwalnia czas na dość długo, by pocisk zdążył odbić się od bariery. Ostatecznie Ares teleportuje przerażonego Ideusa, przenosi go z pola bitwy w bezpieczne miejsce. Wylęknięci obrońcy miasta dostrzegli jedynie, że ich towarzysza porywa czarna jak noc mgła.

Zatem dzięki interwencji Aresa Hefajstos, jego brat, straci dziś tylko jednego ze swych przyszłych kapłanów, stwierdzam w duchu, lecz zaraz potem bitwa z powrotem się zaognia, a ja pośpiesznie się wycofuję. Za Diomedesem nacierają kolejni greccy wojownicy, ich sylwetki wypełniają powstały po śmierci Fegeosa wyłom. Pusty rydwan, toczący się siłą rozpędu po skalistej równinie, wpada w ręce wiwatujących Achajów.

Powraca Ares. Tekuje się i nabiera połowicznej cielesności, próbując raz jeszcze wskrzesić w Trojanach ducha walki.

Swym boskim głosem nakazuje wojownikom zewrzeć szyk i odeprzeć szturm Diomedesa. Mieszkańcy Ilionu są jednak podzieleni – część na widok jaśniejącego napastnika umyka w popłochu, inni posłusznie wypełniają rozkazy wygłaszane piorunującym głosem przez boskiego patrona. Nagle ponad głowami Greków i Trojan pojawia się Atena, chwyta Aresa za rękę i szepce coś rozwścieczonemu bogowi do ucha.

Oboje znikają.

Odwracam się w lewo i zauważam, że Afrodyta – niewidoczna dla walczących, bluźniących i umierających wokół niej ludzi – daje mi gestem znak, bym ruszył za Ateną i Aresem.

Nasuwam na głowę Hełm Śmierci i staję się niewidzialny dla wszystkich Olimpijczyków poza Afrodytą. Uruchamiam wiszący mi na szyi medalion i teleportuję się za Ateną i Aresem, tropiąc ich poprzez czas i przestrzeń równie łatwo, jakbym kroczył po odcisniętych w wilgotnym piasku śladach stóp.

Łatwo jest być bogiem. Zwłaszcza jeśli człowiek ma odpowiedni sprzęt.

Nie tekowali się daleko, zatrzymali się drobne dziesięć mil dalej, na cienistym brzegu Skamandra, szerokiej rzeki przecinającej równinę Ilionu, zwanej przez Greków Ksantosem. Kiedy materializuję się jakieś piętnaście kroków od nich, Ares podrywa głowę i spogląda prosto na mnie. To oczywiste – Hełm Hadesa zawiódł. Zobaczyli mnie i jestem już trupem.

– Co się stało? – pyta Atena.

– Wydawało mi się... Poczułem coś. Jakieś zakłócenie. Szum kwantowy.

Bogini zwraca spojrzenie szarych oczu w moim kierunku.

– Nic tam nie ma. A widzę w całym zakresie widma fazowego naraz.

– Ja przecież też – warczy Ares i odrywa ode mnie wzrok.

Jak mogę najciszej wypuszczam spomiędzy warg drżący oddech. Zatem Hełm Śmierci wciąż mnie chroni. Bóg wojny przechadza się w tę i z powrotem nad rzeką.

– Ale ostatnio Zeusa można się spodziewać dosłownie wszędzie.

– Tak, ojciec wściekł się na nas wszystkich – przyznaje Atena.

– Dlaczego więc go prowokujesz?

Bogini przystaje.

– Prowokuję? Broniąc swych Achajów przed rzezią?

– Nie. Tym, że zmieniłaś w rzeźnika Diomedesa – odpowiada Ares. Po raz pierwszy zauważam nieco rudawy odcień kędzierzawych loków wysokiego, muskularnego boga. – To niebezpieczna gra, Pallas Ateno.

Bogini zanosi się cichym śmiechem.

– Na losy tej wojny wpływamy już od dziewięciu lat. Na litość boską, przecież na tym właśnie polega Gra. Nie zrobiłam nic niezwykłego. Sam

zamierzasz interweniować po stronie Ilionu. Planujesz wybić moich Argiwów jak stado jagniąt. I cóż, czy to już nie jest dla boga wojny niebezpieczne?

– Nie do tego stopnia, jak wyposażanie którejkolwiek ze stron w nanotechnologię. Nie tak, jak udostępnianie wojownikom pól siłowych. Co ty wyprawiasz, Ateno? Próbujesz zmienić śmiertelników w nas? W bogów?

Atena znowu się śmieje, lecz gdy zauważa, że jej wesołość dodatkowo wzmaga gniew Aresa, natychmiast poważnieje.

– Bracie, ulepszyłam Diomedesa tylko na jakiś czas. Niedługi. Dobrze o tym wiesz. Chcę po prostu, by przeżył dzisiejsze starcie. Afrodyta, twoja ukochana siostra, już wcześniej nakłoniła Trojanina Pandarosa, by zranił mojego faworyta, Menelaosa. Jestem pewna, że w tej chwili podszeptuje temu łucznikowi „Zabij Diomedesa”.

Ares wzrusza ramionami. Wiem, że Afrodyta jest jego sojuszniczką i że to ona go podburza. Gestem naburmuszonego chłopca – chłopczyka wysokiego na ponad dwa metry, otoczonego pulsującym polem siłowym – podejmuje z ziemi płaski kamień i ciska go w nurt rzeki.

– Cóż to za różnica, czy Diomedes polegnie dzisiaj, czy w przyszłym roku? Jest śmiertelnikiem. Śmierć czeka go tak czy inaczej.

W tej chwili Atena śmieje się już bez skrępowania.

– Naturalnie, że Diomedes umrze, mój drogi bracie. I oczywiście, że życie jednego śmiertelnika nie ma dla nas... dla mnie większego znaczenia. Pamiętaj jednak, że toczy się Gra. Nie pozwolę tej dziwce Afrodycie odmienić wyroków Przeznaczenia.

– A któż z nas zna wyroki Przeznaczenia? – prychnął Ares. Wciąż nadąsany bóg stoi z zaplecionymi na mocarnej piersi rękoma.

– Ojciec.

– Cóż, wiemy jedynie, że bardzo chętnie o tym wspomina – rzuca kąpiąco Ares.

– Czyżbyś powątpiewał w słowa naszego pana i władcy? – Głos Ateny jest niemal swobodny. Bogini się droczy.

Ares rozgląda się niespokojnie i na moment paraliżuje mnie myśl, że zdradziłem się jakimś dźwiękiem, że zaszurałem butem o płaski głaz, na którym stanąłem, bojąc się zostawić ślady na piasku. Wzrok patrona wojny



omija mnie jednak i tym razem.

– Ja ojca szanuję, Pallas Ateno – odzywa się po chwili tonem, który kojarzy mi się z głosem Richarda Nixona rozmawiającego w gabinecie owalnym ze świadomością, że nagrywa go ukryty mikrofon. Ton człowieka rozumiejącego, że ktoś lub coś utrwała jego kłamstwa. – Jestem wobec naszego umiłowanego Zeusa lojalny i bez reszty mu oddany.

– A ojciec z pewnością te uczucia dostrzega i odwzajemnia. – Atena nawet nie próbuje skrywać ironii.

– Cholera jasna! – Ares podrywa głowę. – Przywiodłaś mnie tu tylko po to, by w tym czasie twoi przekłeci Achajowie wyrznęli kolejnych moich Trojan.

– Oczywiście – rzuca Atena buńczucznie i przez chwilę odnoszę wrażenie, że stanę się świadkiem wydarzenia, jakiego nie widziałem jeszcze ani razu odkąd pojawiłem się na Olimpie, pojedynku dwojga bogów. Do starcia jednak nie dochodzi.

Ares po raz ostatni demonstruje swe rozdrażnienie, bezsilnie kopie w piasek i znika w błysku teleportacji. Atena przyklęka ze śmiechem nad Skamandrem i obmywa twarz chłodną wodą.

– Co za dureń – szepce.

Oczywiście mówi do siebie, lecz mam dziwne wrażenie, że skierowała te słowa do mnie, durnia sądzącego, że ukryje go roztaczane przez Hełm Hadesa pole. Tak, „dureń” to wyjątkowo trafne określenie.

Bogini wraca na pole bitwy. Po chwili poświęconej roztrząsaniu własnej głupoty tekuję się i ja.

\* \* \*

Grecy i Trojanie nieprzerwanie mordują jedni drugich. Żadna nowina.

Odnajduję jedyne widoczne w pobliżu scholiastę. Nieusprawionemu oku Nightenhelser wydaje się zwykłym trojańskim piechurkiem, obdartusem unikającym większego zaangażowania w walkę. Ja jednak wyraźnie dostrzegam otaczającą go zieloną aurę, nadaną przez bogów wszystkim scholiastom, bez względu na postać w jaką się akurat wcielamy. Zdejmuję z głowy Hełm Hadesa, przybieram kształt Falkesa -Trojanina, który wkrótce

padnie zabity przez Antilochusa, i podchodzę do stojącego na niskim wzniesieniu, obserwującego jatkę kolegi.

– Dzień dobry, scholiasto Hockenberry – wita się ze mną Nightenhelser.

Rozmawiamy po angielsku. W pobliżu nie ma ani jednego Trojańczyka, który mógłby wyłować nasze głosy z wszechobecnego szczęku brązowego oręża i terkotu kół rydwanów. Zresztą, w obozach obu walczących stron można usłyszeć najdziwniejsze języki i dialekty, i wszyscy przywykli już do dźwięków obcej mowy.

– Dzień dobry, scholiasto Nightenhelser.

– Zniknąłeś na ostatnie pół godziny. Gdzie byłeś?

– Musiałem odetchnąć – odpowiadam. Bywa i tak. Niekiedy widok rzezi przerasta nawet możliwości scholiastów i teleportujemy się wtedy do Troi, żeby trochę odsapnąć. I wychylić kielich wina. – Straciłem może coś ważnego?

Nightenhelser wzrusza lekko ramionami.

– Mniej więcej dwadzieścia minut temu Diomedes przypuścił szarżę na Trojan i zgodnie z tekstem dostał strzałę.

– Złuku Pandarosa. – Kiwam głową. Tego samego Pandarosa, który przedtem zranił Menelaosa.

– Podburzyła go Afrodyta. Widziałem to na własne oczy – dodaje Nightenhelser. Potężnie zbudowany scholiasta kryje dłonie w kieszeniach zgrzebnego płaszcza. Oczywiście, antyczne płaszcze nie miały żadnych kieszeni. Doszył je sobie sam.

Nowina rzeczywiście wydała mi się interesująca. Homer nie wspominał, że to Afrodyta nakłoniła Pandarosa do postrzelenia Diomedesa. W „Iliadzie” czytamy tylko o jej wcześniejszych namowach do zranienia Menelaosa. Biedny Pandaros stał się dosłownie marionetką w rękach bogów. I to w ostatnim dniu życia.

– Poważnie dostał? Diomedes? – pytam.

– Powierzchnowa rana. W ramię. W pobliżu był Stenelos i szybko wyjął strzałę. Okazało się, że nie jest zatruta. A chwilę temu wśród walczących pojawiła się Atena, wzięła pupilka na stronę i „wlała nową moc w jego członki, stopy i waleczne ramiona”. – Tego przekładu nie znałem.

– Znowu ta ich nanotechnologia – mruczę pod nosem. – Czy Diomedes zdążył już znaleźć i zabić łucznika?

– Jakież pięć minut temu.

-1 Pandaros rzeczywiście wygłosił przed śmiercią tę swoją przydługą mowę? – pytam.

W moim ulubionym tłumaczeniu „Iliady” łucznik opłakuje swój los we fragmencie liczącym aż czterdzieści wierszy.

Następnie wdaje się w rozmowę z trojańskim oficerem imieniem Eneasza – tak, o tego Eneasza chodzi – i razem ruszają na Diomedesa w rydwanie, miotając włóczniami.

– Nie – mówi Nightenhelser. – Kiedy stało się jasne, że Diomedes nie zginął, powiedział tylko „kurwa mać”. Potem wskoczyli z Eneaszem na rydwan. Pandaros cisnął włócznią, która przeszła Achajowi tarczę i napierśnik, lecz nie sięgnęła ciała, i dodał jeszcze „kurde”, na moment, zanim grot włóczni Diomedesa rozplątał mu czoło. Kolejny przykład homerowej tendencji do ubarwiania dialogów.

– A Eneasza? – Potyczka, o której rozmawiamy, miała kluczowe znaczenie nie tylko dla „Iliady”, lecz dla historii w ogóle.

Wielka szkoda, że ją przegapiłem.

– Przed minutą ocaliła go Afrodyta – potwierdza Nightenhelser. Eneasza jest śmiertelnym synem bogini miłości, która otacza go nad wyraz troskliwą opieką. – Diomedes zmiażdżył Eneaszowi biodro kamieniem, dokładnie jak w eposie.

Afrodyta zdążyła jednak osłonić rannego synalka polem siłowym i właśnie w tej chwili unosi go z pola. Diomedes wkurzył się jak rzadko.

Ocieniam oczy dłonią.

– A gdzie on jest teraz? – pytam.

Greckiego bohatera zauważam jeszcze zanim wskazuje mi go Nightenhelser. Szaleje w samym środku walki, w gęstym tłumie walczących, daleko za pozycjami Trojan. Lśniącego Diomedesa otacza krwawa mgiełka. Po obu stronach tnącego, siekącego, rąbiącego i dźgającego Achaja ścielą się wysokie stosy trupów. Usprawniony przez boginię Diomedes wycina sobie drogę przez kolejne fale ludzkiego mięsa, by dopędzić wycofującą się powoli Afrodytę.

– Chryste panie – szepczę.

– Sam widzisz – mówi Nightenhelser. – Przez kilka ostatnich minut zdążył zabić Astynusa i Hypirona, Abasa i Polidosa, a także Ksantosa i Toona i jeszcze Echemona i Chromiusa... Sami oficerowie.

– Ciekawe dlaczego ich tłucze parami? – zastanawiam się na głos.

Nightenhelser przygląda mi się wzrokiem, jakim sam zwykle patrzyłem na niezbyt rozbawionych studentów pierwszego roku.

– Hockenberry, przecież oni walczą w rydwanach. Dwuosobowe załogi. Diomedes zabijał ich, kiedy na niego kolejno szarżowali.

– No tak, racja – przyznaję ze wstydem.

Nie skupiam się na pomordowanych trojańskich oficerach, lecz na cofającej się Afrodycie. Bogini na moment przystaje, nie wypuszczając z ramion ranionego Eneasza. Przechadza się w tę i z powrotem, wyraźnie widoczna dla przepychających się, przerażonych Trojan, umykających przed natarciem Diomedesa. Afrodyta zmusza swych wojowników, by zawrócili i podjęli walkę. Motywuje ich do tego, rażąc elektrycznymi wyładowaniami i popychając uderzeniami pola siłowego.

Diomedes dostrzega boginię i wpada w bojowy szal. Zbierając krwawe żniwo, przedziera się przez ostatni szereg trojańskich obrońców i staje naprzeciw Afrodyty. Nie odzywa się słowem, tylko przygotowuje swą długą włócznię. Bogini spokojnie otacza się polem siłowym, wciąż podtrzymując rannego. Groźba ataku nędznego śmiertelnika nie wydaje się jej poważna.

Zapomniała o tym, że Atena znacznie zwiększyła możliwości Diomedesa.

Wojownik skacze naprzód. Pole siłowe głośno skwierczy i ustępuje. Achaj pcha włócznią, która przebija osobistą osłonę energetyczną Afrodyty, jej jedwabną szatę i boskie ciało. Ostry jak brzytwa grot rozcina błądy nadgarstek, z rany wyzieraają czerwone mięso i bielejąca kość. W powietrze tryskają kropelki krwi. Nie czerwonej, lecz złotej. Ichor.

Bogini przez moment wlepia wzrok w ranę, po czym wydaje z siebie wrzask – nieludzki, potężny i donośny, kobiecy ryk, jaki mógłby się rozleć z baterii wzmacniaczy na koncercie rockowym w piekle.

Wyjąca Afrodyta zatacza się i upuszcza Eneasza na ziemię.

Zamiast kontynuować swój, tak przecież udany, atak na boginię, Diomedes

dobywa miecza i szykuje się do odrąbania głowy nieprzytomnemu Eneaszowi.

Febus Apollo, pan srebrnego łuku, materializuje się pomiędzy oszalałym z wściekłości Diomedesem i leżącym Trojaninem. Utrzymuje Achaja na dystans za pomocą pulsującej półkuli plazmowego pola siłowego. Zaślepiiony żądzą mordy Diomedes uderza mieczem, a jego własne pole błyska czerwonymi wyładowaniami na żółtej powierzchni plazmowej tarczy Apolla. Afrodyta wciąż gapi się na swój rozharatany nadgarstek. Minę ma taką, jakby miała zaraz zemdleć i lec bezradnie u stóp obłąkanego Diomedesa. Dojmujący ból nie pozwala jej skupić się na tyle, by mogła teleportować się w bezpieczne miejsce.

Nagle w swym płomienistym rydwanie pojawia się Ares, jej brat. Stopniowo obniżając lot, roztrąca Trojan i Greków, poszerza plazmowy ślad pojazdu i ląduje obok siostry. Okrutnie cierpiąca Afrodyta zawodzi i z płaczącym się językiem próbuje mu wyjaśnić, że Diomedes zwariował.

– Byłby gotów podnieść rękę nawet na samego ojca Zeusa! – krzyczy, osuwając się w ramiona boga wojny.

– Potrafisz kierować rydwanem? – pyta Ares.

– Nie!

W tym momencie Afrodyta ostatecznie traci przytomność. Przelewa się bratu przez dłonie, wciąż ściskając ranione lewe przedramię zakrwawioną, zbroszoną złotym ichorem prawą dłonią. Widok wywołuje we mnie dziwnie niepokojące wrażenie. Przecież bogowie nie krwawią. A w każdym razie nie krwawili przez ostatnie dziewięć lat.

Iryda, osobista posłanniczka Zeusa, pojawia się na polu bitwy pomiędzy rydwanem i polem siłowym Apolla, tam gdzie bóg nadal osłania porzuconego Eneasza. Cofnięci Trojanie obserwują wypadki wytrzeszczonymi oczyma. Diomedes wciąż zмага się z nieustępliwym polem siłowym. Achajski wojownik wygląda w podczerwieni jak odlany z pulsującej lawy, biją od niego silne fale żaru i wściekłości.

– Zabierz ją do matki – rozkazuje Irydzie Ares, składając nieprzytomną Afrodytę w rydwanie.

Iryda wzbija się plazmowym pojazdem pod niebo i znika.

– Niesamowita sprawa – odzywa się Nightenhelser.

– Zajebista – przytakuję.

Dzisiaj po raz pierwszy od ponad dziewięciu lat widziałem, by grecki lub trojański wojownik z powodzeniem zaatakował któreś z bóstw. Odwracam głowę i napotykam zszokowane spojrzenie Nightenhelsera. Cóż, czasami zdarza mi się zapomnieć, że scholiasta jest ode mnie całą dekadę starszy.

– Znaczy... No, niebывała – tłumaczę się.

Kusi mnie, by udać się za Afrodytą na Olimp i sprawdzić, jak przebieganie spotkanie bogini z Zeusem. Oczywiście czytałem o nim w „Iliadzie”, lecz dzisiejsze wydarzenia tak znacznie odbiegają od homeryckich opisów, że czuję coraz większe zaciekawienie.

Oddalam się pomału od Nightenhelsera – tak pochłoniętego oglądaniem bitwy, że nawet tego nie zauważa – i już mam nasunąć Hełm Hadesa i obrócić krawędź teleportacyjnego medalionu, kiedy coś zaczyna się dziać.

Diomedes wydaje z siebie bojowy okrzyk, niemal równie przenikliwy jak wciąż słyszalne echo zboliałych wrzasków Afrodyty, po czym ponownie rzuca się na Eneasza i Apolla. Tym razem ulepszone nanotechnologicznie ciało i fazowo przesunięte ostrze miecza Achaja przedzierają się przez zewnętrzne warstwy pola siłowego.

Bóg stoi w bezruchu, a Diomedes wycina sobie drogę w migocącej, energetycznej tarczy niczym człowiek zawzięcie odgarniający łopata zasy niewidzialnego śniegu. Zaraz potem rozlega się głos Apolla. Niesamowicie wzmocniony, słysząc go na pewno dobre dwie lub trzy mile stąd.

– Zastanów się, Diomedesie! Odstąp! Dość tego szaleństwa! Jesteś śmiertelnikiem, a podejmujesz walkę z bogami. Nie zostaliśmy ulepieni z jednej gliny. Nigdy nie byliśmy sobie równi i nigdy nie będziemy. – Sylwetka Apolla rośnie w oczach.

Z imponującego, bez mała trzymetrowego mężczyzny przeradza się w sześciometrowego olbrzyma.

Diomedes przerywa natarcie i cofa się, aczkolwiek nie umiem stwierdzić, czy zdjął go lęk, czy może przystanął tylko dla nabrania tchu.

Apollo pochyla się i przestawia pole siłowe w tryb matowy. Migotliwa, otaczająca boga i Eneasza tarcza ciemnieje. Gdy chwilę potem czarna mgła się rozprasza, Apolla już nie ma, lecz Eneasza nadal leży na ziemi ze strzaskanym,

krwawiącym biodrem. Trojańscy żołnierze, nie zwlekając, formują wokół niego ochronny krąg. Nie chcą dopuścić, by Diomedes zamordował ich porzuconego, bezradnego przywódcę.

Tyle że to nie jest Eneasz. Ja wiem, że Apollo pozostawił na miejscu hologram, a prawdziwego księcia uniósł ze sobą na wzgórze Pergamon – do trojańskiej cytadeli, gdzie boginie Leto i Artemida – siostra Aresa – dzięki medycznej nanotechnologii w kilka minut uratują mu życie i zaleczą rany.

Kiedy zamierzam tekować się na Olimp, na pole wraca ukryty przed oczyma śmiertelnych Apollo. Ares, wciąż zagrzewający zza swojej tarczy Trojan, podnosi wzrok.

– Aresie, ludzi zbójco, co w grzyby świetne mienisz grody, czy dozwolisz, by ten parszywy kundel tak bardzo cię znieważał? – Niewidzialny dla Achajów Apollo wskazuje palcem dyszącego ciężko Diomedesa.

– Znieważał? W czym takim uchybił mej czci?

– Ty idioto! – grzmi Apollo na częstotliwości dostępnej wyłącznie uszom bogów, scholiastów i trojańskich psów, które reagują przeraźliwym skowytom. – Ten... śmiertelnik... dopiero co podniósł rękę na patronkę miłości, twoją własną siostrę i rozplątał ścięgna jej nieśmiertelnego przegubu. Diomedes ważył się wręcz zaatakować mnie, jednego z najpotężniejszych bogów. Atena przemieniła go w nadc człowieka właśnie po to, by pohańbić ciebie, krwawego Aresa!

Ares gwałtownie spogląda ku charczącemu Diomedesowi, który po nieudanej szarży na pole siłowe przestał zwracać na boga uwagę.

– Pohańbić mnie? Wystawić na pośmiewisko? – Ares wydziera się tak donośnie, że słyszą go wszyscy, stąd aż na Olimp.

Już kilka lat temu zauważyłem, że jak na boga Ares jest dość tępy. Dzisiaj daje temu kolejny dowód. – Waży się ze mnie kpić? Jak śmie?!!!

– Zabij go! – woła Apollo, wciąż na poddźwiękowej częstotliwości. – Wydrzyj mu serce z piersi i zjedz je. – Po tych słowach pan srebrnego łuku znika.

Ares wpada w obłąkańczy szal. Uznaję, że nie mogę jeszcze opuścić placu. Co prawda, rozpaczliwie chciałbym teleportować się na Olimp i sprawdzić, jak poważna okazała się rana Afrodyty, lecz spektakl jest zbyt ciekawy.

Bóg wojny morfuje w Akamasa, chyżonogiego księcia Tracji, i zaczyna biegać w tę i z powrotem pośród tłumu Trojan, nakłaniając wojowników, by podjęli bój i wypchnęli Greków ze zdobytego po ataku Diomedesa przyczółka. W następnej kolejności Ares przyjmuje postać Sarpedona i wyzywa Hektora. Heros, co do niego niepodobne, trzymał się jak dotąd z dala od frontu. Teraz, zawstydzony oskarżycielskimi słowami Sarpedona, dołącza do swych ludzi. Ares, gdy nabrał już pewności, że Hektor mobilizuje główne siły obrońców miasta, na powrót staje się sobą i staje w kręgu żołnierzy, powstrzymujących Greków przed zbezczeszczeniem hologramu nieprzytomnego Eneasza.

Muszę przyznać, że jeszcze nigdy w ciągu spędzonych pod Troją dziewięciu lat nie widziałem starcia tak zacieklego.

Jeżeli lektura Homera może nas czegokolwiek nauczyć, to z pewnością tego, że człowiek jest kruchym naczyniem, pełnym mięsa krwi i flaków dzbanem, który może pęknąć w dowolnej chwili.

I właśnie pęka.

Achajowie nie pozwalają Aresowi na złapanie drugiego oddechu, lecz chwytają włócznie, wskakują na rydwany i dziko napierają pod przewodem Diomedesa i Odyseusza. Rozlega się przeraźliwe rżenie koni. Rydwany przewracają się i pękają w drzazgi. Woźnice kierują rumaki prosto na zjeżony grotami włóczni mur błyszczących tarcz. Ognisty Diomedes ponownie foruje się na czoło i zabija wszystkich Trojan, którzy wchodzą mu pod miecz, nieprzerwanie przywołując do siebie wojowników.

W tumanie fioletowej mgły wraca do walki Apollo i wypuszcza uzdrowionego Eneasza – prawdziwego – w kłębowisko walczących. Młody wojownik został nie tylko wyleczony. W tej chwili bije od niego takie samo światło, jakim lśnił Diomedes, gdy ulepszyła go Atena. Zwierający szyki za Hektorem Trojanie na widok wskrzeszonego księcia wydają z siebie zwycięski okrzyk i rzucają się do kontrataku.

Teraz obiema stronami konfliktu kierują po przeciwnych stronach Eneasza i Diomedes. Kładą pokotem całe łany wrogich oficerów. Apollo i Ares tymczasem posyłają w ciżbę kolejnych Trojan. Na moich oczach Eneasza ścina nieostrożnych achajskich bliźniaków, Orsilochusa i Kretona.

Menelaos, wylizawszy się z rany, przeciska się obok Odyseusza i pędzi



w kierunku Eneasza. Dolatuje mnie śmiech Aresa.

Bóg wojny byłby wniebowzięty, gdyby rodzony brat Agamemnona, wedle prawa mąż Heleny, człowiek, który rozpętał tę wojnę, tracąc małżonkę na rzecz innego, padł dziś trupem. Eneasza i Menelaos zbliżają się do siebie na odległość ramienia, pozostali walczący cofają się z szacunku dla *aristei* i rozpoczyna się pojedynek. Błyskają włócznie. Pchnięcie i zwód, zwód i pchnięcie.

Nagle Antilochus, brat Nestora i bliski przyjaciel zapomnianego niemal przez wszystkich Achillesa, wyskakuje z kręgu i staje u boku Menelaosa. Boi się, że jeżeli nie wkroczy, grecka sprawa umrze wraz z ich dowodzącym.

Widząc przed sobą aż dwóch legendarnych zabójców, Eneasza ustępuje pola.

Dwieście metrów na wschód od nich Hektor wdiera się w szeregi Achajów z takim zapałem, że wycofuje się przed nim nawet Diomedes z całym oddziałem. Ulepszonym wzrokiem musiał zobaczyć walczącego u boku trojańskiego księcia – niewidzialnego dla pozostałych – Aresa.

Nadal mam ochotę zniknąć i sprawdzić, co się dzieje z Afrodytą, lecz w tej chwili nie mogę się oderwać. Kątem oka zauważam, że Nightenhelser w pocie czoła notuje na swoim ansiblu. Śmiechu warte. Nawet gdyby szlachetni Trojanie i Argiwowie znaleźli jego zapiski, choćby sporządził je po grecku, nie znaczyłyby dla nich nic. Wszyscy zwierający się ze sobą w tej wojnie są niepiśmienni jak dwuletnie dzieci.

Na scenie pojawiają się kolejni bogowie.

Materializują się Hera z Ateną. Małżonka Zeusa usilnie zachęca Atenę, by wkroczyła do akcji. Atena nie protestuje nawet przez chwilę. Hebe, bogini młodości i służka starszych bóstw, pojawia się w teleportacyjnym błysku. Podfruwa rydwanem. Za sterami staje Hera, do załogi dołącza Atena – odrzuca szatę i zapina napierśnik. Zbroja bogini lśni w słońcu.

Podnosi trzaskającą, skrzącą się pulsującymi odcieniami żółci i czerwieni tarczę energetyczną, a z jej miecza biją w ziemię pioruny.

– Spójrz! – Nightenhelser przekrzykuje bitewny zgiełk.

Nad północnym horyzontem ukazują się najprawdziwsze błyskawice. Po gorącym, popołudniowym niebie sunie wysokie przynajmniej na dziesięć kilometrów kłębowisko burzowych chmur. Kłębowisko, które zniemacka

układa się w podniebny portret Zeusa.

– Nie zwlekajcie, żono i córko – dobiega grzmiący głos z samego serca burzy. – Ateno, przekonaj się, czy dorównujesz sprawnością patronowi wojny. Pokonaj go, jeśli zdołasz!

Czarne chmurzyska toczą się nisko ponad mrowiem walczących. Deszcz i błyskawice siekają zmagających się Trojan i Argiwów.

Hera sprowadza rydwan tuż nad głowy greckich wojowników, po czym opuszcza się jeszcze niżej i roztrąca Trojańczyków niczym obleczone w brąz i skórę kręgle.

Atena zeskakuje z pokładu prosto do zwykłego rydwanu, w którym staje obok zbroczonego posoką Diomedesa i jego wiernego woźnicy, Stenelosa.

– Czyżbyś miał już dość, śmiertelniku?! – wrzeszczy na Diomedesa. Jej ostatnie słowo ocieka wzgardą. – Sądysz, że twój ojciec zaprzestałby walki wobec tak wytrwałego przeciwnika? – Pokazuje mu Hektora i Aresa, wciąż siejących zamęt w greckich sztykach, gotujących się do następnego ataku.

– Moja bogini. – Diomedes niemal się zachłystuje. – Hektora chroni nieśmiertelny Ares i...

– A czy ja nie stoję przy tobie?! – ryczy Atena. Choć mierzy już pełne pięć metrów, to nadal rośnie. Jej cień pada na malejącego w porównaniu z nią Achaja.

– Ależtak, moja bogini, lecz...

– Diomedesie, radości mego serca, powal tego Trojanina i zabij wspierającego go boga!

Mina Diomedesa wyraża zdumienie, wręcz strach.

– Śmiertelnikom nie wolno mordować bogów...To niemożliwe...

– Gdzieżeś to wyczytał?! – huczy Atena i pochyla się nad Diomedesem, wlewając w niego porcję świeżej, boskiej energii.

Bogini podnosi nieszczęsnego Stenelosa i odrzuca go na trzydzieści stóp od rydwanu. Przejmuje lejce i popędza konie, kierując je prosto na Hektora, Aresa i całą trojańską armię.

Diomedes mocniej ściska włócznię w dłoni. Naprawdę zamierza zabić boga – chce pozbawić życia samego Aresa.

A Afrodyta chce, bym ja zabił Atenę! – uświadamiam sobie. Serce łomocze

mi głośno, pobudzone grozą i falami rosnącej ekscytacji. Obawiam się, że wypadki na równinie Ilionu już niedługo potoczą się zupełnie inaczej niż w „Iliadzie”.

# 12

## *Pos planetoid*

Statek rozpoczął hamowanie zaraz po wyjściu z magnetosfery Jowisza. Było to konieczne, lecz w efekcie przelot po linii balistycznego łuku nad płaszczyzną ekliptyki, ku znajdującemu się po drugiej stronie Słońca Marsowi, musiał teraz zająć nie kilka godzin, a parę dni. Mahnmutowi i Orphu z lo zupełnie to nie przeszkadzało. W końcu mieli tak wiele do przedyskutowania.

Niebawem po starcie, siedzący na mostku Ri Po i Koros III ogłosili, że rozkładają borowy żagiel. Korzystając z czujników pojazdu Mahnmut obserwował cały proces wypuszczenia i rozwinięcia okrągłej czaszy o pięciokilometrowej średnicy, ciągnącej się za nimi na ośmiu mocnych linach. Kiedy Mahnmut przełączył się na odbiór obrazu z kamery rufowej, żagiel wyglądał jak wycięta wśród bezmiaru gwiazd czarna kolistą plama.

Orphu z lo wyłuskał się ze swojej wnęki w kadłubie, niczym pełzający skrzypłocz przeszedł po burcie i sprawdził wszystkie liny. Pociągał je i szarpał. Korzystając ze swoich raketowych silniczków, przyjrzał się też samej powierzchni żagla w poszukiwaniu ewentualnych szczelin, pęknięć i niedoskonałości. Nie znalazł niczego niepokojącego, więc z niezwykłą w stanie nieważkości gracją wrócił na statek.

Koros III odpalił zmodyfikowany czerpak magnetyczny Matloff'a/Fennelly'ego. Mahnmut odczuł lekki wstrząs i odnotował zmianę potencjału energetycznego urządzeń statku. Zamontowany na dziobie generator wytwarzał pole magnetyczne o średnicy tysiąca czterystu kilometrów, wychwytyjące zbłąkane jony i wiążące wiatr słoneczny.

– Ile czasu zajmie hamowanie do prędkości pozwalającej wylądować na

Marsie? – zapytał na ogólnym kanale, z nadzieją, że odpowie mu Orphu.

Jako pierwszy rozległ się jednak dostoyny głos Korosa III.

– Prędkość statku będzie od tej pory stopniowo spadać, a powierzchnia użytkowa czerpaka stosunkowo rosnać, co utrzyma temperaturę żagła poniżej punktu topienia, to jest dwóch tysięcy kelwinów. Wobec powyższego masa statku wyniesie cztery razy dziesięć do potęgi szóstej, a wytracenie prędkości z 0,1992 c do 0,001 c, czyli do punktu nieelastycznego, zajmie 23,6 standardowych lat.

– Dwadzieścia trzy koma sześć lat standardowych?! – wykrzyknął Mahnmut na otwartym kanale. Na aż tak długą dyskusję nie był przygotowany.

– Wówczas zwolnilibyśmy do i tak niemałej prędkości 300 kilometrów na sekundę – dodał Koros III. – Jedna tysięczna prędkości światła to dość sporo, kiedy wlatuje się w głąb układu.

– Zatem na Marsie czeka nas raczej twarde lądowanie – stwierdził Mahnmut.

Orphu zareagował swym grzmiącym chichotem. Do rozmowy włączył się nawigator z Callisto.

– Pamiętaj, Mahnmut, że nie hamujemy wyłącznie za pomocą żagła. Podróż zajmie niecałe jedenaście standardowych dni. A na orbicie Marsa nasza prędkość wyniesie mniej niż sześć kilometrów na sekundę.

– No, trzeba tak było od razu – odparł Mahnmut. Siedział w sterowni „Mrocznej damy”, ale wszystkie znajome wskaźniki były w tej chwili wyłączone. Dziwne wrażenie. Nie licząc czujników systemu podtrzymywania życia, dane odbierał wyłącznie z sensorów wbudowanych w zupełnie inny statek. – Skąd ta różnica?

– Wiatr słoneczny – odezwał się Orphu. – Osiąga w tej okolicy prędkość około trzystu kilometrów na sekundę i cechuje się gęstością jonową rzędu dziesięć do szóstej protonów na metr sześcienny. Okolice Jowisza opuściliśmy, dysponując połową zbiornika wodoru i ćwiercią zbiornika deuteru. Brakującą ilość paliwa pobierzemy z wiatru słonecznego czerpakiem Matloffa/Fennelly'ego, a gdy tylko miniemy Słońce, odpalimy cztery dziobowe silniki termojądrowe. Wtedy zacznie się prawdziwe hamowanie.

– Wprost nie mogę się doczekać-jęknął Mahnmut.

– Ja również – rzucił Orphu z lo i ponownie zaniósł się dudniącym śmiechem.

Mahnmut stwierdził, że wielki morawiec albo zupełnie nie wyczuwa ironii, albo – przeciwnie – ma zmysły wyostrzone do granic.

Gdy statek znalazł się w odległości około stu czterdziestu milionów kilometrów od Pasa Planetoid, Mahnmut zajął się czytaniem „A la recherche du temps perdu”. Dzieła Marcela Prousta, szerzej znanego pod tytułem „W poszukiwaniu straconego czasu”.

Orphu podesłał mu co prawda bazę danych języka francuskiego, łącznie z jego wszelkimi zawiłościami, dodał do tego tekst samej powieści i zbiór informacji biograficznych o Prouście, lecz Mahnmut ostatecznie zapoznał się z dziełem w pięciu angielskich przekładach. To angielski był jego ulubionym językiem Zapomnianej Ery. Studiował go już od z górą stu pięćdziesięciu ziemskich lat, więc przyswajanie i krytyka literatury przychodziły mu najłatwiej w tej właśnie mowie.

Nie uszło to, oczywiście, uwagi Orphu, który zachichotał i przypomniał mniejszemu morawcowi, że porównywanie Prousta do ukochanego przez Mahnmuta Szekspira stanowi błąd. Obaj autorzy różnili się według niego istotnie – mniej więcej tak jak skalisty, terraformowany świat, ku któremu zmierzali, był odmienny od ich rodzimych jowiszowych księżyców. Mahnmut jednak nie dał za wygraną. Czytał po angielsku.

Kiedy skończył – zdawał sobie sprawę, że lektura, choć kilkakrotna, była z konieczności pobieżna, ale paliło mu się do rozmowy – połączył się przez radio z Orphu. Morawiec z lo przebywał akurat poza swoim stanowiskiem. Ponownie sprawdzał liny borowego żagla. Tym razem, z uwagi na coraz silniejsze, wywołane hamowaniem przeciążenia, zabezpieczył się ratunkową smyczą.

– No więc nie jestem przekonany – zaczął Mahnmut. – Po prostu chyba nie do końca rozumiem skąd twój zachwyt.

Moim zdaniem to mocno przestylizowane dywagacje estety.

– Estety? – Orphu obrócił antenę w kierunku nadajnika. Jego manipulatory pracowicie spawały jeden z nadwerężonych kabli. Mahnmutowi, który oglądał to dzięki tylnej kamerze, biały płomień łuku spawalniczego wydał się gwiazdą

rozbłyskująca na tle ciemniejącego żagla, tuż za nieforemną sylwetką morawca. – Mahnmut, czy masz na myśli Prousta, czy Marcela, narratora?

– A uważasz, że jest tu jakaś różnica? – Zadając naznaczone ironią pytanie, Mahnmut dobrze wiedział, że nie gra fair.

Sam przecież, w ciągu kilkunastu ubiegłych ziemskich lat, przesłał Orphu setki, być może nawet tysiące, listów elektronicznych, w których klarował różnice pomiędzy występującym w sonetach poetą „Willem” a historycznym dramaturgiem o nazwisku Szekspir. W wypadku Prousta, jakkolwiek gęsta i nieprzenikniona wydawała się jego twórczość, sprawa rozdziału autora i postaci musiała przedstawiać się podobnie.

Orphu zło przemilczał pytanie.

– Przyznaj, że Proust ujął cię komizmem swojej wizji. Bo to jest, ponad wszystko, pisarz komiczny.

– Naprawdę był tam jakiś komizm? W całym dziele niewiele mnie bawiło.

Mahnmut mówił poważnie. Nie dlatego, żeby ludzkie poczucie humoru wydawało się morawcom obce. Nawet roboty najwcześniejszego typu, projektowane do podróży kosmicznych – samoewoluujące, obdarzone mocno prymitywną formą świadomości i wysłane przez ludzi na podbój planet jeszcze przed pandemią rubikonu – programowano tak, by rozumiały żarty twórców. Komunikacja z istotami ludzkimi, prawdziwe wzajemne porozumienie, byłaby bez implementacji humoru wykluczona. Ta cecha okazała się tak samo ludzka jak skłonność do popadania w gniew, logicznego rozumowania, odczuwania zazdrości czy dumy. Swoją drogą Mahnmut wszystkie te elementy w sążnistej powieści Prousta widział. No, ale uznawać Prousta za pisarza dowcipnego, a jego postaci za komediowe? Z tym nie potrafił się zgodzić, tej warstwy książki po prostu nie umiał dostrzec, a jeżeli Orphu miał rację, było to przeoczenie poważne. W końcu to nikt inny jak sam Mahnmut spędził długie dziesięciolecia na wyszukiwaniu satyry i opartego na gierkach słownych humoru w dramatach Barda ze Stratfordu. To Mahnmut potrafił wyszperać w szekspirowskich sonetach nawet najbardziej subtelne ślady ironii.

– Wiesz co? – podjął Orphu, wracając ku swej wnęce po jednej z napiętych lin. Za morawcem miarowo pulsowały płomienie silniczków manewrowych. –

Przeczytaj sobie raz jeszcze ten fragment „W stronę Swanna”. To moment, kiedy Swann, zniewolony urodą niewiernej i kapryśnej Odęty, wykorzystuje cały swój talent i zmusza ją za pomocą szantażu emocjonalnego, by nie wybrała się do teatru bez niego. I tym razem, przyjacielu, zwróć większą uwagę na zawarty w tym wyimku humor.

Przesłał Mahnmutowi tekst.

– „Przysięgam ci” – powiedział na chwilę przed jej wyjściem do teatru – „proszę cię, żebyś nie szła, ale gdybym był egoistą, powinienem pragnąć, byś mi odmówiła. Mam tysiąc rzeczy do roboty dziś wieczór; jeśli się zgodzisz zostać, sam wpadnę we własne sidła i będę w wielkim kłopotcie. Ale moje zajęcia, moje przyjemności, to dla mnie nie jest wszystko; muszę myśleć o tobie. Może przyjdzie dzień, kiedy, widząc, jak się na zawsze zraziłem do ciebie, będziesz miała prawo wyrzucić mi, że cię nie ostrzegłem w rozstrzygającym momencie; miłość niedługo zdoła przetrwać surowy wyrok wydany w takiej chwili. Widzisz, »Noc Kleopatry« (co za tytuł!) jest w tym wypadku niczym. Ważne jest to, czy ty jesteś naprawdę istotą na najniższym szczeblu inteligencji, a nawet wdzięku; marnym stworzeniem, niezdolnym oprzeć się przyjemności. Jeżeli jesteś czymś takim, w jaki sposób można by cię kochać? W takim razie nie jesteś nawet kimś, nawet indywiduum, niedoskonałym, ale bodaj zdolnym do udoskonalenia. Jesteś czymś w rodzaju bezpostaciowej cieczy, spływającej po każdej pochyłości; rybą bez pamięci i bez zastanowienia, która, dopóki żyje w swoim akwarium, będzie się tłukła sto razy o szybę, wciąż biorąc ją za wodę. Rozumiesz, ja nie mówię, by twoja odpowiedź koniecznie miała ten skutek, że natychmiast przestanę cię kochać. Oczywiście nie; ale ileż stracisz w moich oczach, kiedy zrozumiem, że ty jesteś nic, że jesteś poniżej wszystkiego, niezdolna wznieść się ponad cokolwiek!

Oczywiście wolałbym cię prosić, żebyś się wyrzekła »Nocy Kleopatry« (skoro mnie zmuszasz, abym splugawił wargi tym ohydny tytułem) ot, jak o coś bez znaczenia, w nadziei że i tak pójdziesz. Ale, zdecydowany sporządzić ten bilans, wyciągnąć takie konsekwencje z twojej odpowiedzi, uważałem za lojalniejsze uprzedzić cię”. Odęta zdradzała od paru chwil oznaki wzruszenia i niepewności. Nie rozumiejąc dokładnie sensu słów



Swanna, rozumiała, że wchodzi one w pospolity rodzaj „scen”, wyrzutów lub błagań. Znajomość mężczyzn pozwalała Odecie – bez troski o jakość słów – wnioskować, że nie mówiliby tak, gdyby nie byli zakochani, a z chwilą gdy są zakochani, nie ma potrzeby się z nimi liczyć, bo będą później jeszcze bardziej zakochani. Toteż byłaby słuchała Swanna z największym spokojem, gdyby nie widziała, że czas mija i że, o ile mu pozwoli mówić dłużej, spóźni się, jak mu to rzekła z tkliwym, upartym i zawstydzonym uśmiechem: „na uwerturę!”.

Siedzący w ciasnej kajucie „Mrocznej damy” Mahnmüt roześmiał się. Rzeczywiście, teraz dostrzegł cały komizm. Co więcej, był to w istocie humor genialny. Czytając ów ustęp za pierwszym razem, skupił się na zazdrości – jakże ludzkim uczuciu – i na wyraźnych manipulacjach Swanna, pragnącego wyrzucić wpływ na Odetę. Teraz jednak wszystko stało się...

jasne.

– Dziękuję – zwrócił się do Orphu, gdy przypominający sześciometrowego skrzyplacza morawiec usadowił się już wygodnie w swym gnieździe. –

Wydaje mi się, że ten dowcip wreszcie do mnie przemówił. Doceniam. Oczywiście, w tym tekście wszystko jest inne niż u Szekspira. Ton, język, struktura. Niemniej wyczuwam również jakiś wspólny element.

Wciąż jednak nie umiem stwierdzić, na czym to podobieństwo polega.

– Może chodzi o obsesję na punkcie zagadki ludzkiej natury? – podsunął Orphu. – Twój Szekspir przygląda się różnym aspektom człowieczeństwa za pomocą badania reakcji bohaterów na wypadki. To, co skrywane najgłębiej, wydobywa na powierzchnię poprzez uczynki postaci. Z kolei bohaterowie Prousta te same aspekty osobowości odkrywają, zanurzając się we wspomnieniach. Pod tym względem Bard przypomina Korosa III, dowódcę naszej wyprawy ku odległym rejonom układu. Mój słodki Proust jest za to trochę jak ty, kiedy spowity w kokon „Mrocznej damy”

wyruszasz w głąbiny, by dopiero tam włączyć sonar i sporządzić mapy podwodnych raf, zbadać ukształtowanie dna i żyjące w odmętach istoty.

Mahnmüt zadumał się nad słowami przyjaciela. Minęło kilka długich nanosekund.

– Ale poza zagłębianiem się w pamięć twój Proust nie robił w celu rozwikłania zagadki ludzkiej natury nic więcej. I nie znalazł odpowiedzi.

– W jego dziele nie idzie wyłącznie o pamięć, mój drogi Mahnmucie, ważny jest również czas.

Mimo że dzieliły ich dziesiątki metrów oraz dwa niemal nieprzenikalne, pancerne kadłuby statku i batyskafu, Mahnmuc odniósł wrażenie, że morawiec z lo zdołał go dotknąć. Poruszył w nim coś bardzo intymnego i doniosłego.

– Czas nie jest zależny od pamięci – mruknął Mahnmuc, w zasadzie tylko do siebie – lecz czy pamięć można rozpatrywać w oderwaniu od czasu?

– Właśnie! – zagrział Orphu. – Trafiłeś w samo sedno. Bohaterowie Prousta, szczególnie tyczy się to „ja”, tudzież „Marcela”, lecz także naszego nieboraka Swanna, mają cztery szanse na złożenie układanki stanowiącej tajemnicę życia.

Wszystkie ich próby kończą się niepowodzeniem, lecz wbrew klęskom, wbrew porażkom narratora, a nawet samego autora, opowieść jako taka wychodzi obronną ręką.

Mahnmuc zastanowił się nad słowami przyjaciela. Przełączył widok na obraz z zewnętrznej kamery, ukazującej z góry szkielet statku i przerażająco czarny okrąg żagla, pod którym znać było planetoidy, cały ich Pas. Wykonał zbliżenie i zobaczył.

Na czarnym tle, koziółkując, leciała samotna asteroida. Naturalnie, o zagrożeniu kolizją nie było mowy. Nie tylko ich statek znajdował się ponad sto pięćdziesiąt milionów kilometrów powyżej płaszczyzny ekliptyki i wymijał Pas z oszałamiającą prędkością, lecz także sama asteroida –

Mahnmuc sięgnął po informacje do stworzonego przez Ri Po banku danych astrogacyjnych i ustalił, że nosiła nazwę Gaspra – frunęła w przeciwnym kierunku. Kosmiczna skała stanowiła jednak pokaźnych rozmiarów miniświat. Wyświetlone w jego polu widzenia informacje wskazywały, że Gaspra ma wymiary dwadzieścia na szesnaście na jedenaście kilometrów, a w powiększeniu (odpowiadającym widokowi z dystansu szesnastu tysięcy kilometrów) pojawił się wyraźnie jej nieregularny, kartoflasty kształt i pokryta zawiłym deseniem kraterów powierzchnia. Co ciekawsze, morawiec zauważył też elementy niezaprzeczalnie sztucznego pochodzenia – wyryte w skale linie proste oraz nienaturalne rozbłyski w głębi czarnych stożków, światełka układające się na płaskim nosie asteroidy w regularne wzory.

– Skałowce – odezwał się cicho Orphu, który przestawił się na odbiór zdjęć z tego samego źródła. – W całym Pasie mieszka ich kilka milionów.

– Czy naprawdę są tak wrogie jak się mówi? – Ledwie Mahnmut zadał pytanie, zrozumiał, że wyszedł na strachliwego.

– Nie wiem. Obstawiam, że tak. Ewolują w środowisku znacznie mniej przyjaznym niż nasze. Konkurencja jest dla nich ważniejsza. Ponoć obawiają się postludzi i jawnie nimi gardzą, a nas, morawców z granic systemu, wprost nienawidzą. Ale czy legendy o ich zajadłości mają pokrycie w faktach? O to trzeba by zapytać Korosa III.

– Korosa? Dlaczego akurat jego?

– Niewielu wie, że mniej więcej sześćdziesiąt ziemskich lat temu stał na czele wysłanej na Pas ekspedycji. Zorganizowali ją Asteague/Che i Konsorcjum Pięciu Księżyców. Z Korosem poleciało dziewięć morawców. Powrócili, poza nim, trzy.

Mahnmut zastanawiał się przez chwilę. Żałował, że nie zna się lepiej na systemach bojowych. Ciekawe, czy skałowce posiadały broń energetyczną lub pociski hiperkinetyczne, które zdołałyby osiągnąć statku i poważnie mu zagrozić?

Raczej mało prawdopodobne – nie przy obecnej szybkości, przekraczającej zero koma sto dziewięćdziesiąt trzy prędkości światła.

– Wspomniałeś o sposobach, w jakie bohaterowie Prousta starali się bez powodzenia rozwiązać tajemnicę życia. Co to za metody?

Wielki próżniowy morawiec wydał z siebie wirtualne chrząknięcie.

– Po pierwsze, instynktownie dążyli szlakiem arystokracji, tytułów, bogatego ziemiaństwa i reguł dziedziczenia – odpowiedział. – Marcel, narrator, próbuje zmierzać tym śladem przez jakieś dwa tysiące stron. Głęboko wierzy, że dobre urodzenie gwarantuje człowiekowi szlachetność charakteru. Okazuje się jednak, że to tylko puste słowa.

– Zamiast szlachetnych dusz odkrywa w tych ludziach zwykły snobizm – skwitował Mahnmut.

– Snobizm nigdy nie jest zwykły. – Orphu wyraźnie się ożywił. – Według Prousta snobizm jest spoiwem społeczeństwa.

Dowolnej społeczności, w dowolnie wskazanej epoce. Autor bada to

zjawisko na wszystkich poziomach aż do końca powieści. Jego przejawy stanowią dla niego źródło niegasnącej fascynacji.

– Moja wygasła – powiedział cicho Mahnmur, z nadzieją że nie urazi przyjaciela nadmiarem szczerości.

Upewnił go o tym poddźwiękowy rechot Orphu, słyszalny przez radio.

– Jaki był drugi kierunek poszukiwań?-dopytał Mahnmur.

– Miłość – rzucił Orphu.

– Miłość? – powtórzył Mahnmur. Bo faktycznie, na ponad trzech tysiącach kart „W poszukiwaniu straconego czasu”

uczucie pojawiało się nierzadko, lecz za każdym razem wydawało się tak... beznadziejne.

– Miłość – zahuczał Orphu. – Zarówno ta sentymentalna, jak i fizyczna, pożądanie.

– Sentymentalna w sensie miłości Marcela, i zdaje się Swanna, jaką żywili wobec członków rodziny? Wobec babci Marcela?

– Nie, mój drogi. W sensie sentymentalnego przywiązania do znajomych przedmiotów i wydarzeń, do pamięci samej w sobie i do ludzi, którzy bywają równie swojscy jak rzeczy.

Mahnmur zerknął na toczącą się przez kosmos Gaspę. Według bazy danych Ri Po, obrót wokół własnej osi zajmował asteroidzie siedem standardowych godzin. Zadumał się nad tym, czy tak mały świat mógłby stanowić dla niego – lub dla jakiegokolwiek rozumnej istoty – źródło silnego sentymentu.

– Cóż, czarne oceany Europy stanowią.

– Słucham?

Organiczną powłokę Mahnmura przebiegło mrowienie. Nie miał pojęcia, że odezwał się na głos.

– Nieważne. Ale dlaczego miłość nie pozwoliła mu znaleźć odpowiedzi na zagadkę ludzkiej natury?

– Dlatego że Proust wiedział, a jego bohaterowie dowiadują się w trakcie, że ani miłość, ani jej bardziej szlachetna kuzynka, przyjaźń, nie wytrzymują starcia z entropią zazdrości, nudy, nadmiernie bliskiej znajomości i egotyzmu –

odpowiedział Orphu i Mahnmur po raz pierwszy od początku rozmowy usłyszał goszczący w tonie wielkiego morawca smutek.

– Zawsze tak jest?

– Zawsze – potwierdził z ciężkim westchnieniem Orphu. – Pamiętasz może ostatnie linijki drugiej części „W stronę Swanna”? „I pomyśleć, że spartoliłem kilka lat życia, że chciałem umrzeć, że przeżyłem swoją największą miłość – dla kobiety, która mi się nie podobała, która nie była w moim typie!”.

– Owszem, zwróciłem na ten passus uwagę – przyznał Mahnmut. – Nie wiedziałem jednak, że powinienem w nim dostrzec znakomity humor, dojmującą gorycz bądź niewysłowiony smutek. Oświecisz mnie, przyjacielu?

– Tam jest wszystko to, co wymieniłeś, przyjacielu – powiedział Orphu z lo. – Wszystko.

– A trzeci szlak ku odpowiedzi na pytanie o życie? – podjął Mahnmut i zwiększył dopływ tlenu do sterówki, by zdmuchnąć pajęczyny przygnębienia, które niebezpiecznie zaczęły oplatać mu serce.

– Sztuka, lecz ten temat zostawmy na kolejną pogawędkę – zaproponował Orphu. Być może wyczuł zmianę nastroju rozmówcy. – Koros III niedługo zwiększy zasięg czerpaka i przyjemnie będzie obejrzeć to w promieniach rentgenowskich.

Zupełnie jak fajerwerki.

\* \* \*

Przecięli orbitę Marsa, lecz tam oczywiście nie było nic do podziwiania. Sama planeta wciąż znajdowała się po drugiej stronie Słońca. Następnego dnia przelecieli przez orbitę Ziemi, ale i na niej nie zobaczyli niczego widowiskowego; Ziemia mknęła przez kosmos daleko pod nimi, na płaszczyźnie ekliptyki. Tylko Merkurego ujrzeli na monitorach z bliska.

Przemknęli niedaleko planety, lecz po krótkim czasie ekrany zalał żar siejącego emisjami elektromagnetycznymi Słońca.

Gwiazdę minęli w odległości zaledwie dziewięćdziesięciu siedmiu milionów kilometrów. Odprowadzające ciepło ze statku włókna prawie rozjarzyły się od zwiększonej temperatury. Boronowy żagiel został złożony i wciągnięty do kopuły na rufie. Orphu pomagał w tej czynności zdalnie sterowanym manipulatorom. Mahnmut obserwował przyjaciela latającego

ponad czarną, zwijaną płachtą. W oślepiającym blasku wyraźnie widział rysy i wgłębienia na jego obudowie.

Dwie godziny przed planowanym rozruchem silników termojądrowych Koros III zaskoczył Mahnmuta, zwołując wszystkich członków załogi na spotkanie w sterówce, znajdującej się z przodu, w pobliżu magnetycznego czerpaka.

W ich statku nie było wewnętrznych korytarzy. Po zakończeniu hamowania, na orbicie Czerwonej Planety, Koros miał wylądować „Mroczną damę”, posługując się linami i chwytakami. Przed wyjściem na kadłub i spacerem na mostek Mahnmuta ogarnęły niejaki wątpliwości.

– Po co mamy tam iść osobiście? Tylko żeby porozmawiać? – zapytał przyjaciela na wewnętrznym kanale. – Przecież ty i tak nie zmieścisz się w sterówce.

– Zawisnę na zewnątrz, za iluminatorem. A komunikację zapewni nam bezpośrednie łącze kablowe.

-1 to jest niby lepsze rozwiązanie niż połączenie konferencyjne?

– Nie mam pojęcia – przyznał Orphu. – Ale za sto czternaście minut odpalamy silniki, więc może podlecę po drodze do ładowni i cię podrzucę?

Tak właśnie zrobili. Mahnmutowi, naturalnie, nie przeszkadzały ani próżnia ani twarde promieniowanie, niemniej myśl o odłączeniu się od statku i pozostaniu w otwartej próżni była mocno niepokojąca. Spotkał się z Orphu w ładowni, gdzie nagroził go niezapomniany widok. „Mroczna dama”, jaskrawo oświetlona oślepiającymi promieniami Słońca, tkwiła w swym luku niczym solny rekin w trzewiach krakena.

Orphu wysunął manipulatory i przeniósł Mahnmuta do zabezpieczonej wnęki własnego pancerza, po czym przypiął się linami do relingów, uruchomił silniczki manewrowe i rozpoczął wędrówkę po ciemnym brzuszysku statku, wzdłuż żeber i dźwigarów solenoidu i dalej naprzód, w kierunku dziobu. Mahnmut zerknął przelotnie na kuliste silniki termojądrowe.

Wyglądały jakby zamontowano je na dziobie w ostatniej chwili. Sprawdził czas – do ich uruchomienia pozostała jeszcze godzina i cztery minuty.

Przypatrzył się uważnie pokrywającej większą część statku powłoce maskującej – czarny porowaty materiał sprawiał, że pojazd (z wyjątkiem

napędu, żagla i kilku innych części) pozostawał teoretycznie niewidzialny dla oka, wszelkiego rodzaju radarów, kamer działających w podczerwieni czy ultrafiolecie, grawitonowych detektorów i sond neutronowych.

– Tylko co nam po niej, skoro przez bite cztery dni będziemy mieć przed sobą cztery słupy atomowego ognia?

Wejścia do sterowni strzegła śluza powietrzna. Mahnmut pomógł Orphu podłączyć specjalnie izolowane kable komunikacyjne, po czym przeszedł przez śluzę i zaczął oddychać w staroświecki sposób.

\* \* \*

– Wieziemy na pokładzie broń – rozpoczął bez wstępów Koros III. Podobnie jak na spotkaniu w centrum, mówił na głos.

Wielofasetowe oczy i czarna, humanoidalna powłoka kapitana odbijały światło czerwonych halogenów.

Trzeci z przebywających w ciasnym, hermetycznie zamkniętym pomieszczeniu morawców – maleńki, pochodzący z Callisto Ri Po – ustawił się tak, żeby widzieć pozostałą dwójkę.

– Słyszysz nas? – zapytał Mahnmut na prywatnym kanale.

Potężna sylwetka Orphu unosiła się w próżni za przednimi iluminatorami.

– Głośno i wyraźnie.

– Dlaczego nam o tym mówisz? – Mahnmut zwrócił się do Kronosa III.

– Uznałem, że ty i Orphu macie prawo wiedzieć. W grę wchodzi wasze istnienie.

Mahnmut popatrzył na nawigatora.

– Ty też o tym wiedziałeś?

– Tylko o systemach obronnych statku – odpowiedział Ri Po. – Aż dotąd nie miałem pojęcia, że dostarczymy jakąś broń na Marsa. Chociaż to przecież logiczne.

– Na Marsa... – powtórzył Mahnmut. – Czyli ta broń podróżuje w ładowni „Mrocznej damy”.

Koros III potwierdził skinieniem głowy-starożytnym, ludzkim gestem potwierdzenia.

– Jakiego typu? – spytał ostrzej Mahnmut.

– Tego nie wolno mi wyjawić – odparł sztywno wysoki Ganimedanin.

– A mnie być może nie wolno transportować broni w batyskafie – warknął Mahnmut.

– Nie masz w tej kwestii głosu – uciął Koros III. Powiedział to jednak z wyraźnym smutkiem.

Mahnmut od razu się nastroszył.

– Ma rację – wtrącił Orphu; Mahnmut zauważył, że słowa padły na ogólnym kanale. – W tym momencie żaden z nas nie ma już wyboru. Musimy zrealizować założony plan.

– Więc dlaczego nam o tym w ogóle mówicie? – zapytał Mahnmut ponownie.

Odpowiedział mu Ri Po.

– Odkąd minęliśmy Słońce, obserwujemy Marsa. Z tej odległości nasze przyrządy zdołały potwierdzić istnienie aktywności kwantowej, zauważonej wcześniej z okolic Jowisza. Zaburzenia okazały się jednak o kilka rzędów wielkości silniejsze niż dotąd oceniano. Ta planeta stanowi zagrożenie dla całego Układu.

– Jak to? – zdziwił się Orphu. – Przecież postludzie eksperymentowali z teleportacją kwantową od stuleci. Zajęli się nią jeszcze w orbitalnych miastach wokół Ziemi.

Koros III pokręcił głową. Dość uroczo – prawie jak człowiek. Aczkolwiek „uroczo” nie było określeniem, które jako pierwsze przemknęło Mahnmutowi przez myśl, gdy spojrzał w owadzie oczy wysokiego, połyskliwie czarnego morawca.

– Różnica skali – wyjaśnił dowódca. – Obecny poziom marsjańskich zaburzeń kwantowych wskazuje na istnienie wyrwy w samej strukturze czasoprzestrzeni. Sytuacja zatem jest daleka od stabilnej. Nie na tym polega racjonalne wykorzystanie tego typu technologii.

– Czy zjawisko, te skoki aktywności mają coś wspólnego z wojnikami? – zainteresował się Orphu.

Większość morawców z okolic Jowisza wiedziała na temat legendarnych wojniksów tylko tyle, że początek bezprecedensowych emisji kwantowych



z Ziemi zbiegł się z pierwszymi świadectwami istnienia tych stworzeń, odebranych za pomocą nasłuchu neutrinowej komunikacji postludzi. Wydarzyło się to ponad dwa tysiące ziemskich lat temu.

– Nie wiemy, czy wojniaki mają z tym jakikolwiek związek. Nie wiemy nawet czy wciąż są na Ziemi – odpowiedział Koros na wspólnym paśmie. –

Powtórzę, że to wyłącznie moralny imperatyw nakazał mi poinformować was wszystkich o obecności broni na pokładzie batyskafu, którym Mahnmut zawiezie mnie do celu. Decyzja o użyciu tego sprzętu nie leży w waszej gestii. Odpowiedzialność spoczywa wyłącznie na mnie, przynajmniej dopóki pozostaję na statku. Obowiązki jego późniejszej obrony, kiedy wraz z Mahnmutem znajdziemy się już na Marsie, przejmie Ri Po. Na powierzchni planety także tylko ja będę mógł podjąć decyzję o ewentualnym użyciu broni.

– Czyli systemy bojowe statku nie nadają się do działań ofensywnych? Nie można z nich skorzystać do ataku na marsjańskie cele? – zapytał Mahnmut.

– Nie – odparł Ri Po. – Nasz statek może tylko się bronić.

– Niemniej na pokładzie „Mrocznej damy” wieziemy broń masowego rażenia, prawda? – dopytał Orphu z lo.

Koros III przez chwilę milczał. Wyraźnie rozważał, czy ważniejsze jest posłuszeństwo rozkazom, czy szacunek wobec praw członków załogi.

– Tak – przyznał wreszcie.

Mahnmut zaczął rozważać jakiego typu broń masowej zagłady może spoczywać w jego ładowni. Bomby jądrowe?

Termojądrowe? Emitery neutrinowe? Ładunki plazmowe? Miotacze antimaterii? Przenośne czarne dziury, zdolne do niszczenia całych planet? Nie miał pojęcia. Przez stulecia istnienia nie nabrał większego obycia z bronią. W zasadzie znał tylko sieci, ościenie i elektrolizery potrzebne do odstraszenia krakenów i chwytania żyjących w morzach Europy istot.

– Korosie – zapytał niezbyt głośno – czy kilkadziesiąt lat temu, kiedy kierowałeś misją w Pasie Asteroid, również miałeś ze sobą podobną broń?

– Nie – odparł dowódca. – Wówczas taka potrzeba nie istniała. Co prawda, morawce z planetoid stały się na drodze ewolucji istotami wojowniczymi i agresywnymi, lecz nie stwarzały zagrożenia dla reszty rozumnego życia w Układzie Słonecznym.

Kronos III wyświetlił aktualny czas. Do uruchomienia silników termojądrowych pozostało czterdzieści jeden minut.

– Jakież pytania?

Orphu miał jedno.

– Dlaczego zostaliśmy wyposażeni w powłokę maskującą, skoro do celu i tak podejmiemy z czterema płomieniami jądrowymi, które dzień i noc będą nas oświetlać jak, nie przymierzając, supernowa? Przecież zobaczy nas cały Mars.

Zaraz... Wy chcecie, żeby zareagowali. Chcecie ich sprowokować do ataku.

– Owszem – potwierdził dowódca. – Uznano, że to najłatwiejsza metoda oceny zamiarów mieszkańców Marsa. Silniki termojądrowe wyłączą się w odległości osiemnastu milionów kilometrów od planety. Jeżeli nie spróbują nas do tego momentu przechwycić, odrzucimy reaktory, solenoid i wszystkie systemy zewnętrzne, po czym wejdziemy na orbitę z aktywnymi układami maskującymi. Obecnie nie wiemy na jakim poziomie rozwoju znajdują się postludzie, bądź inne istoty, które dokonały terraformowania planety i ją w tej chwili zasiedlają. Może to być cywilizacja technologiczna lub nawet bardziej zaawansowana.

Mahnmut zastanowił się nad słowami kapitana. Wynikało z nich, że mieli się pozbyć wszelkich form napędu, jaki mógłby pozwolić na ewentualny powrót.

– Moim zdaniem tak wysoki poziom aktywności kwantowej sugeruje, że pod względem technologii są raczej mocno zaawansowani.

– Niewykluczone – przyznał Ri Po. – Pamiętaj jednak, że we wszechświecie występują też geniusze upośledzeni.

Po tym enigmatycznym stwierdzeniu spotkanie dobiegło końca. Powietrze z mostka zostało wypompowane, a Orphu odwiózł Mahnmuta z powrotem do zamkniętego w ładowni statku batyskafu.

\* \* \*

Cztery termojądrowe silniki uruchomiły się zgodnie z planem. Kolejne dwa dni Mahnmut spędził przyzwiązany do swojego przeciążeniowego fotela. Było to

niezbędne, ponieważ zmierzający w kierunku płaszczyzny ekliptyki – ku Marsowi – statek hamował z przeciążeniem ponad czterystu g. Pomieszczenie, w którym podróżowała „Mroczna dama” ponownie zostało wypełnione ochronnym żelem, lecz w kabinie nie zaznał podobnego luksusu. Zwiększony ciężar i niedostatek aktywności szybko zaczęły Mahnmutowi doskwierać. Sił i naprężeń, jakie musiał znosić podróżujący na zewnątrz kadłuba Orphu, nie próbował sobie nawet wyobrażać. Przednie kamery nie nadawały się w tej chwili do niczego. Zarówno Mars, jak i wszystko inne ginęło w oślepiającym blasku czterech, płonących jak miniaturowe słońca dysz. Mahnmut zabijał czas, oglądając gwiazdy widoczne za rufą, oraz ponowną lekturą fragmentów „W poszukiwaniu straconego czasu”. Zabawiał się wyszukiwaniem różnic i podobieństw między powieścią Prousta a swymi ukochanymi sonetami Szekspira.

Łącząca Mahnmuta i Orphu miłość do martwych języków ludzi i literatury z Zapomnianej Ery nie była wcale wyjątkowa.

Ponad dwa tysiące ziemskich lat temu, pierwsze morawce, które postłudzie szykowali do lotu w okolice Jowisza – miały tam zbadać księżycy i nawiązać kontakt z zamieszkującymi atmosferę gazowego giganta istotami rozumnymi – zostały wyposażone w dane dotyczące ludzkiej historii, kultury i sztuki. Naturalnie, działo się to już po epidemii rubikonu, a jeszcze wcześniej nastąpił Wielki Odwrot, niemniej wciąż istniała nadzieja na ocalenie pamięci i spisanych dziejów ludzkości, nawet gdyby ostatnie faksowanie nie pozwoliło uratować ostatnich dziewięciu tysięcy stu czternastu ludzi dawnego typu. Na przestrzeni stuleci, jakie upłynęły od utraty kontaktu z Ziemią, badania nad ludzką sztuką, historią i literaturą stały się ulubionym zajęciem tysięcy morawców, zarówno tych pracujących w międzyplanetarnej próżni, jak i działających na powierzchni księżyców. Urtzweil-dawny partner Mahnmuta, którego osiemnaście jowiszowych lat temu zniszczyła na Europie ściana lodu w kanale pod kraterem Tyre Macula – szczególnie fascynował się Biblią Króla Jakuba. Egzemplarz tego przekładu świętej księgi wciąż spoczywał w schowku pod składanym biurkiem Mahnmuta, tuż obok zabezpieczonej warstwą żelu lampy woskowej, prezentu od Urtzweila.

Wpatrzony w monitor, w przyciemnione filtrami optycznymi płomienie

buchające z termojądrowych dysz, Mahnmur próbował połączyć swoje wyobrażenie historycznego Marcela Prousta – człowieka, który ostatnie trzy lata życia spędził, nie wychodząc z łóżka w sławetnej wyłożonej korkiem sypialni, otoczony przez nieustannie rosnącą kolekcję tekstów do korekty, starych rękopisów i buteleczek z uzależniającymi miksturami; odwiedzany jedynie od czasu do czasu przez męską prostytutkę lub pracowników firmy instalującej pierwsze paryskie telefony transmitujące operowe spektakle – z tym drugim Marcelem, narratorem sążnistego traktatu o ludzkiej percepcji, jakim było w istocie „W poszukiwaniu straconego czasu”. Mahnmur posiadał dostęp do olbrzymiego zasobu niesamowicie szczegółowych danych archiwalnych – mógł obejrzeć plany Paryża z roku tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego, był w stanie załadować do swej pamięci wszystkie przedstawiające Prousta zdjęcia, szkice czy portrety, obejrzeć obraz Vermeera, który doprowadził bohatera powieści do omdlenia, a także porównać książkowe postacie ze wszystkimi ludźmi, z którymi pisarz zetknął się osobiście.

Nawet jednak ten ogrom informacji nie pomagał mu w zrozumieniu samego dzieła. Mahnmur doskonale wiedział, że sens ludzkiej sztuki dalece wykracza poza ograniczenia jej własnych twórców.

Do rozwikłania zagadki istnienia wiodły cztery tajemne drogi, tak powiedział Orphu. Pierwszą była obsesja, jaką proustowscy bohaterowie żywili wobec dobrego urodzenia, arystokracji, górnych warstw społeczeństwa. Ten kierunek kończył się wszakże ślepym zaułkiem. Mahnmur nie musiał – jak postacie Prousta – brnąć przez trzy tysiące stron opisów wystawnych kolacji, by zdać sobie z tego sprawę.

Mocno natomiast intrygowała go inna droga, ideał miłości. Proust bez wątpienia starał się zbadać wszystkie odcienie ludzkiej miłości (Szekspir czynił podobnie, lecz w diametralnie inny sposób). Przyglądał się krytycznie miłości heteroseksualnej, homo– i biseksualnej, miłości rodzinnej, koleżeńskiej, a także miłości, jaką ludzie darzyli miejsca, przedmioty oraz samo życie. I Mahnmur musiał przyklasnąć wnioskowi Orphu, który stwierdził, iż Proust odrzucił pomysł traktowania tego wzniosłego uczucia jako ścieżki wiodącej ku głębszemu zrozumieniu tajemnicy.

Trzecia droga kierowała pisarza ku sztuce – malarstwu i muzyce – lecz, zdążając nią, Marcel odnalazł tylko piękno.

Prawda wciąż pozostawała przed nim ukryta.

Którędy wiodła czwarta? A skoro i ta zawiodła bohaterów pisarza na manowce, gdzie należy się obrócić, by trafić na właściwy trop? Czy odpowiedź na to pytanie można wyczytać między wierszami dzieła? Niewidoczną dla postaci, lecz być może przeczuwaną przez samego Prousta?

Żeby się tego dowiedzieć, wystarczyło połączyć się z Orphu. Dzisiaj, w ostatnim dniu hamowania, obaj przyjaciele zatopili się we własnych myślach i rzadko się do siebie odzywali. Później zapytam, stwierdził Mahnmut. Albo zrozumieć to wcześniej sam..i przekonam się, czy odkrycie Prousta ma jakiś związek z rozważaniami Szekspira na temat sekretu miłości. Bo przecież pod koniec cyklu sonetów Bard praktycznie odrzucił trzy odmiany uczucia: miłość sentymentalną, romantyczną i cielesną.

Termojądrowe silniki wygasły. Nagły brak ciężenia i milczenie huczącego dotąd rozedrganego kadłuba okazały się niemal przerażające. Kuliste reaktory zostały natychmiast odrzucone, niewielkie silniki raketowe wyniosły je na bezpieczną odległość od statku.

– Odcinam żagiel i solenoid – ogłosił Orphu na kanale ogólnym.

Mahnmut spojrział na monitory i zobaczył ulatujące w próżnię urządzenia. Po chwili przełączył ekran na widok z kamery dziobowej. Mars, wciąż oddalony o osiemnaście milionów kilometrów, był już wyraźnie widoczny. Ri Po nałożył na obraz dane nawigacyjne. Kurs został dobrany znakomicie. Niewielkie wewnętrzne silniki jonowe systematycznie spowalniały statek i korygowały ścieżkę lotu, by wprowadzić pojazd na orbitę biegunową.

– Nie stwierdziliśmy, by podczas podejścia namierzano nas radarem bądź innymi metodami – odezwał się Kronos III. – Brak też jakichkolwiek prób przechwycenia.

Mahnmut stwierdził w głębi ducha, że chociaż dowódca robi to z niekłamaną godnością, to nieco zbyt chętnie wygłasza twierdzenia oczywiste.

– Właśnie zeszyły dane z detektorów pasywnych – powiedział Ri Po.

Mahnmut spojrział na odczyty. Gdyby zbliżali się do – powiedzmy – Europy, ekrany zalałyby informacje o aktywności radiowej, grawitonowej,

mikrofalowej i innych emisjach, związanych z istnieniem cywilizacji technicznej. Wyniki badania Marsa nie wskazywały niczego. Niemniej terraformowana planeta musiała być zamieszкана. Dziobowy teleskop już w tej chwili przekazywał obrazy białych budynków wzniesionych na Olympus Mons, proste bądź łukowato zakrzywione pasma dróg, kamienne głowy ciągnące się szeregiem wzdłuż wybrzeży Morza Północnego, a nawet – gdzieś tam – sugestie ruchu. Instrumenty nie wykryły jednak żadnej aktywności radiowej, przekazów mikrofalowych ani innych świadectw istnienia rozwiniętej technologicznie kultury. Mahnmutowi przypomniało się określenie Ri Po – upośledzeni geniusze.

– Wejście na orbitę Marsa nastąpi za szesnaście godzin – obwieścił Koros.  
– Na miejscu rozpoczniemy dwudziestoczerogodzinny cykl obserwacji. Mahnmut, przygotuj batyskaf do zejścia na powierzchnię za czterdzieści godzin od chwili obecnej.

– Dobrze – rzucił Mahnmut, dławiąc cisnące mu się na usta „tak jest”.

\* \* \*

Przez prawie całą dobę, jaką spędzili na orbicie Marsa, planeta tchnęła ciszą i spokojem. Na Fobosie, w Kraterze Stickneya, odkryli ślady działania rozumnych istot – sprzęt górniczy, szczątki magnetycznego akceleratora, zniszczone kopuły habitatów i automatyczne łożyska. Wszystko to było jednak zimne, przysypane pyłem i poznaczone śladami uderzeń meteorów. Urządzenia tkwiły tam od ponad trzech tysiącleci. Ktokolwiek przeprowadził terraformowanie Marsa, nie miał nic wspólnego ze starożytnymi urządzeniami, pozostawionymi na jego księżycu.

Mahnmut oglądał w przeszłości zdjęcia Marsa z okresu, gdy planeta rzeczywiście zasługiwała na miano czerwonej (osobiście zawsze wydawała mu się raczej pomarańczowa), lecz swój rdzawy odcień straciła już jakiś czas temu. Teleskop pokazał aktualny widok północnego bieguna. W rozdzielczości metra kwadratowego obejrzeliby pozostałości czapy lodowej, wyglądającej teraz jak plama mokrego śniegu – składającego się zresztą z wody, jako że dwutlenek węgla odparował podczas terraformowania do atmosfery. Całość

przypominała białą, zagubioną w błękicie oceanu wyspę. Nad zajmującym większą część powierzchni północnej półkuli morzem sunęły spirale chmur. Wyżyny nie straciły pomarańczowego odcienia, lądowe masy nadal były brązowe, lecz oszałamiającą zielenią pojawiających się miejscami lasów i pól można było dostrzec nawet bez wsparcia teleskopu.

Wciąż nikt nie próbował morawcom przeszkadzać. Nikt nie odezwał się do nich przez radio, nie omiółł wiązkami radaru, nie namierzał laserem ani modulowanymi strumieniami neutrin. Gdy pełne napięcia pierwsze minuty przerodziły się w godziny ciszy i podziwiania pejzaży, czteroosobowa załoga statku zajęła się przygotowaniem do sprowadzenia „Mrocznej damy” na Marsa.

Życie na planecie istniało bez wątplenia – ludzie bądź postludzie, tak przynajmniej sugerowały zebrane z orbity dane, mieszkali na terraformowanym globie w towarzystwie co najmniej jednego innego gatunku: pracujących przy kamiennych głowach ludzików. Te istoty również mogły być ludźmi, tyle że niskimi i zielonymi, co pokazały teleskopowe zdjęcia. Wzdłuż północnych wybrzeży oceanu i po zalanych wąwozach Valles Marineris sunęły statki o białych żaglach, lecz nie było ich wiele. Kilka spostrzegłi również na usianym kraterami morzu, które dawniej nosiło nazwę basenu Hellas.

Świadectwa zamieszkania na Olympus Mons były z kolei niepodważalne. Na zboczu wulkanu zainstalowano przynajmniej jedną windę czy też schody ruchome, w okolicach kaldery morawce zauważyły kilka pojazdów latających. Obecni mieszkańcy Marsa zbudowali również kilka białych domów i tarasowych ogrodów na wysokich stokach wulkanów w regionie Tharsis-Ascraeus Mons, Pavonis Mons i Arsia Mons. Cywilizacja nie objęła jednak swym zasięgiem całej powierzchni planety. Koros III poinformował na kanale ogólnym, że w jego ocenie na czterech wulkanach żyje nie więcej niż trzy tysiące humanoidów o jasnej cerze, natomiast dziesięć namiotowych miast na wybrzeżu zaludnia około dwudziestu tysięcy zielonoskórych robotników.

Tak, Mars był praktycznie pusty. Terraformowany, lecz pusty.

– Czyli możemy się odprężyć i dać sobie spokój z obawami o los wszystkich rozumnych istot w Układzie Słonecznym, prawda? – odezwał się Orphu z lo.

– Przyjrzyj się powierzchni w widmie kwantowym – odpowiedział mu Ri Po.

– Mój Boże... – jęknął zamknięty w kabinie „Mrocznej damy” Mahnmut. Planeta okazała się oślepiająco czerwonym ogniskiem kwantowej aktywności. Linie przepływów zbiegały się na największym wulkanie globu, Olympus Mons.

– Czy to możliwe, by za kwantowy chaos tej skali odpowiadało kilka latających maszyn? – zdziwił się Orphu. – W spektrum elektromagnetycznym nie da się ich wykryć, a na pierwszy rzut oka widać, że z napędu chemicznego nie korzystają.

– Nie – powiedział Koros III. – Te pojazdy, owszem, wykorzystują pole fazowe, poruszają się w nim, ale go nie wytwarzają. Na pewno nie są jedynym źródłem tej burzy.

Mahnmut jeszcze przez moment przyglądał się mapie kwantowej aktywności, po czym postanowił zasugerować plan, nad którym zastanawiał się już od kilku dni.

– Czy nie byłoby sensownie nawiązać z nimi kontakt przez radio lub inną drogą? Albo po prostu wylądować bezpośrednio na Olympus Mons? Pojawić się w charakterze przyjaciół, nie szpiegów?

– Rozważaliśmy taką możliwość – przyznał Koros. – Poziom kwantowych zakłóceń jest jednak na tyle wysoki, że za priorytet uznano zgromadzenie odpowiedniej ilości informacji. Nad tym, czy się ujawnić, pomyślimy dopiero potem.

Oczywiście, zrozumiał z goryczą Mahnmut. Zebrać informacje i koniecznie podrzucić broń masowej zagłady najbliżej wulkanu jak się da. O wojskowej karierze nigdy nawet nie myślał. Morawce nie były projektowane do walki, a idea zabijania istot rozumnych stała w ostrej sprzeczności z zaprogramowanymi regułami, starszymi niż cały gatunek.

Wbrew dręczącym go wątpliwościom zajął się przygotowaniem „Mrocznej damy” do lądowania. Przełączył batyskaf na wewnętrzne źródło zasilania i odpiął przewody systemu podtrzymywania życia. Ze statkiem powiązany był już tylko kablami komunikacyjnymi, które miały zostać odczepione dopiero przy wyjściu z ładowni. „Mroczna dama” została pokryta maskującą powłoką,



a na dziobie i rufie batyskafu pojawiły się silniki manewrowe. Sterowaniem ich pracą podczas wejścia w atmosferę i odrzuceniem w odpowiednim momencie dyrygować miał Koros III. Ostatnią nowością był pierścień bulwiastych zasobników ze spadochronami, służących do spowalniania upadku na powierzchnię. Ich działaniem również miał pokierować dowódca wyprawy. Mahnmut był świadom, że według planu kontrolę nad własnym statkiem odzyska dopiero po wodowaniu w falach oceanu.

– Schodzę do batyskafu – odezwał się dowódca z mostka.

– Udzielam zgody na wejście na pokład – odparł Mahnmut, aczkolwiek Koros o nic nie prosił. Nie pochodził z Europy i nie znał odpowiednich procedur. Mahnmut zobaczył światełko uprzedzające o otwarciu zewnętrznych wrót ładowni.

„Mroczna dama” po raz kolejny została wystawiona na działanie próżni.

Mahnmut przełączył monitor na obraz z kamery ukazującej zagnieźdżonego w kadłubie Orphu. Morawiec z lo natychmiast to zauważył.

– Więc zobaczymy się za jakiś czas, przyjacielu – powiedział. – Do widzenia.

– Mam nadzieję – mruknął Mahnmut. Otworzył dolną śluzę batyskafu i przygotował się do zerwania ostatnich łączy.

– Zaczekaj – rzucił Ri Po. – Coś tu leci z drugiej strony planety.

Zainstalowana na mostku kamera pokazała Korosa III, który zawrócił spod otwartego już wjazdu i cofnął się z powrotem do własnej sterówki. Mahnmut zdjął palec z przycisku odpalającego mikroładunki zwalniające kable łączności.

Rzeczywiście, coś nadlatywało zza krawędzi tarczy Marsa. W tej chwili widzieli jedynie plamkę na radarze. Obracający się teleskop wciąż jeszcze próbował uchwycić obiekt.

– Musieli to wystrzelić z Olimpu, kiedy byliśmy poza zasięgiem wzroku – skomentował Orphu.

– Uwaga, wywołuję go – oznajmił Ri Po.

Mahnmut przestawił aparaturę na odbiór odpowiednich częstotliwości. Plamka nie odpowiedziała.

– Czy wy widzicie to samo, co ja? – zapytał Koros III.

Mahnmut widział. Zbliżający się pojazd nie miał nawet dwóch metrów długości. Przez próżnię sunął ku nim otwarty, bezkonny rydwan, otoczony połyskującym polem siłowym. Wewnątrz stały dwie człekokształtne istoty. Mężczyzna i kobieta, która zajmowała się pilotowaniem. Jej wysoki towarzysz nie robił nic. Wpatrywał się intensywnie przed siebie, jakby naprawdę widział ich zamaskowany, oddalony o jakieś osiem tysięcy kilometrów statek. Kobieta również była postawna, sprawiała przy tym wrażenie osoby niezwykle władczej i dostojnej. Miała jasne włosy. On z kolei nosił krótkie, siwe loki i śnieżnobiałą brodę.

Orphu zaśmiał się w głos.

– Facet wygląda jak Bóg z obrazków – powiedział. – Nie wiem tylko skąd wytrzasnął tę panienkę.

Siwobrody mężczyzna, jakby usłyszał niezbyt delikatny żart, uniósł rękę.

Obraz na monitorze zapłonął bielą i zgasł. Mahnmutem gwałtownie szarpnęło i zawisł w pasach przeciążeniowego fotela. Statek dwukrotnie zadrżał, bardzo mocno, po czym zaczął dziko koziółkować. Siła odśrodkowa miotła morawcem to w prawo, to ku górze, to w lewo.

– Wszyscy cali i zdrowi? – wrzasnął na ogólnym kanale. – Słyszycie mnie?

Przez kilka kolejnych sekund niekontrolowanego lotu odpowiadała mu jedynie cisza przerywana trzaskami na linii.

Wreszcie przez szum zakłóceń przebiły się słowa Orphu.

– Ja cię słyszę, przyjacielu.

– Nic ci się nie stało? Statek ucierpiał? Strzeliliśmy do nich?

– Mam spore uszkodzenia. Nic nie widzę – odparł Orphu wśród zgrzytu zakłóceń. – Ale zanim oślepił mnie ten błysk, zdążyłem zobaczyć co się dzieje. Nie, nie strzeliliśmy do nich, przyjacielu. Ale statek... Została połowa.

– Połowa? – powtórzył ogłupiały Mahnmut. – Jak...

– Zapewne posłużyli się jakimś rodzajem lancy energetycznej. Sterownia zniknęła. Koros i Ri Po też. Wyparowali.

Straciliśmy cały dziób. Górna część kadłuba jest nadpalona. Wirujemy z prędkością dwóch obrotów na sekundę i zaczynamy się rozpadać... Ja z kolei mam rozszczelniony pancierz i zniszczone silniczki manewrowe. Tracę energię i integralność powłoki. Odpalaj batyskaf. Śpiesz się!

– Ale ja nie potrafię! – zawołał Mahnmut. – Koros miał się tym zajmować. Nie wiem jak...

Statkiem szarpnęło raz jeszcze. Zerwały się ostatnie łącza komunikacyjne. Monitory pociemniały. Mahnmut usłyszał przez ściany „Mrocznej damy” głośny syk i zrozumiał, że to dźwięk gotującej się konstrukcji większego statku. Przełączył się na kamery batyskafu, lecz ujrzał tylko rozżarzoną plazmę.

„Mroczna dama” koziółkowała coraz bardziej gwałtownie, aczkolwiek morawiec nie umiał stwierdzić, czy batyskaf wciąż leci w ładowni, czy spada już swobodnie. Włączył kolejne kamery, podwodny napęd pojazdu i system kontroli uszkodzeń.

Połowa układów nie działała wcale lub reagowała z opóźnieniem.

– Orphu?

Cisza. Mahnmut włączył ogólnokierunkowe masery i spróbował połączyć się przez radio.

– Orphu? – powtórzył.

Wciąż brak odpowiedzi. Obroty wzmagały się z każdą chwilą. Ładownia „Mrocznej damy”, wypełniona powietrzem przed planowanym przybyciem Korosa, straciła nagle hermetyczność i batyskaf dodatkowo przyśpieszył.

– Orphu! Idę po ciebie! – krzyknął Mahnmut.

Otworzył wewnętrzną grodz śluzy i rozpiął zabezpieczające pasy. Gdzieś za nim, w rozlatującym się statku lub nawet na pokładzie batyskafu, rozległ się huk eksplozji. Podmuch pchnął morawca prosto na pulpit sterowniczy. Mahnmut runął prosto w czern.

# 13

## *Sucha Dolina*

Rankiem, po solidnym śniadaniu przygotowanym przez serwitorkę matki Daemana w jej mieszkaniu nad Kraterem Paryskim, Ada, Harman, Hannah i Daeman przefaksowali się do miejsca, gdzie odbyła się ostatnia edycja Palenia Człowieka.

Sam budynek węzła był oczywiście oświetlony, lecz na zewnątrz okrągłego pawilonu niepodzielnie królowała głęboka noc. Wyjący wicher dało się słyszeć nawet przez zasłonę półprzepuszczalnego pola siłowego. Harman spojrzał na Daemana.

– Taki kod mam zanotowany na mapie. Dwa, jeden. Osiem, sześć. Myślisz, że dobry? To tutaj?

– Przecież to normalna stacja węzłowa – Młodszy mężczyzna westchnął. – Wszystkie są do siebie podobne. Poza tym, na zewnątrz jest strasznie ciemno. I nikogo tu nie ma. Jak mam poznać, czy to jest miejsce, które odwiedziłem raz w życiu, półtora roku temu. W dodatku za dnia i w tłumie ludzi?

– Mnie ten kod wydaje się znajomy – wtrąciła Hannah. – Co prawda, faksowałam się w ślad za innymi, ale przypominam sobie, że numer był bardzo wysoki. Nigdy przedtem nie podróżowałam do węzła o tak wysokim numerze.

– A niby ile miałaś wtedy lat? – rzucił kpiąco Daeman. – Siedemnaście?

– Trochę więcej – odpowiedziała chłodno dziewczyna.

Daeman był blady i pulchny. Hannah z kolei miała opalone ciało i wyraźnie zarysowane pod skórą mięśnie. Choć nigdy w życiu nie słyszał, by dwójka ludzi wdała się w prawdziwą bójkę – spektaklu turyńskiego nie brał pod uwagę – to nagle uświadomił sobie różnice w budowie ich ciał i cofnął się

o krok.

Ada zostawiła przekomarzających się towarzyszy i podeszła na skraj pawilonu. Smukłymi palcami nacisnęła lekko powierzchnię pola siłowego. Zmarszczyło się i ugięło, lecz nie ustąpiło.

– Pole jest zamknięte – stwierdziła. – Nie wyjdziemy.

– Co ty opowiadasz?! – zganił ją Harman.

Stanął obok dziewczyny i razem z nią zaczął pchać, napierać całym ciężarem na elastyczną lecz solidną tarczę energetyczną. Okazało się, że wcale nie jest półprzepuszczalna, przynajmniej nie dla przedmiotów takich jak ludzkie ciała.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałam – powiedziała Hannah, próbując wyważyć niewidzialną ścianę ramieniem. – Po co otaczać budynek faksowężła polem siłowym?

– Wpadliśmy w pułapkę! – Daeman wywrócił oczyma. – Jak szczury!

– Kretyn – skwitowała Hannah. Dzisiaj niespecjalnie się ze sobą dogadywali. – Przecież w dowolnym momencie możesz faksować się z powrotem. Stoisz tuż obok działającego portalu.

Jakby na potwierdzenie słów Hanny portal zamigotał i wynurzyły się z niego dwa kuliste serwitory ogólnego przeznaczenia. Poszybowały ku grupce ludzi.

– Pole siłowe nie pozwala nam wyjść na zewnątrz – zwróciła się do nich Ada.

– Tak jest, Ada Uhr – odpowiedział jeden z automatów. – Przykro nam, że tak długo musieliście na nas czekać. Ten węzeł jest... rzadko uczęszczany.

– Co z tego? – prychnął Harman. Stał z założonymi na piersi rękoma i mierzył głównego serwitora surowym spojrzeniem. Druga maszyna oddaliła się i zatrzymała przy białej kolumnie, w której znajdował się schowek. – Od kiedy to faksowężły odcina się od świata? – dodał mężczyzna.

– Raz jeszcze serdecznie przepraszam, Harman Uhr – rzucił serwitor zbliżonym do męskiego głosem, powszechnym dla tego typu automatów. – Na zewnątrz panuje skrajnie surowy klimat. Zwłaszcza o tej porze roku. Gdyby państwo opuścili budynek bez termoskór, wasze szanse przetrwania nie byłyby wysokie.

Drugi serwitor wydobył ze schowka cztery cieńsze niż papier molekularne kombinezony i podleciał do czwórki podróżników. Każdemu rozdał po sztuce.

Daeman rozpostarł swój w powietrzu i popatrzył niepewnie dokoła.

– To ma być jakiś dowcip?

– Nie – pocieszył go Harman. – Nosilem już takie.

– Ja też – dodała Hannah.

Daeman raz jeszcze obejrzał termoskórę. Miał wrażenie, że trzyma w dłoniach pasemko dymu.

– Nie wejdzie mi na ubranie.

– I wcale nie musi – wyjaśnił Harman. – Tego rodzaju strój powinien przylegać do ciała. Ma kaptur, ale widzieć i słyszeć będziemy normalnie.

– A czy możemy na te kombinezony włożyć swoje zwykłe ubrania? – zapytała lekko niespokojnym głosem Ada. Po wczorajszym ekshibicjonistycznym wyskoku nie miała ochoty na dalsze przygody. A jeśli nawet, to nie chciała przeżywać ich nago.

Odpowiedział jej pierwszy serwitor.

– Z wyjątkiem obuwia, nie zaleca się stosowania dodatkowych warstw odzienia, Ada Uhr. Termoskóra działa najskuteczniej, kiedy nic nie blokuje osmozy. Ubrania upośledzają jej funkcje.

– Wolne żarty – fuknął Daeman.

– Zawsze możemy przefaksować się z powrotem do domu i zabrać zimowe stroje – przypomniał Harman. – Coś mi jednak mówi, że przy tutejszej pogodzie nie sprawdzą się najlepiej. – Zerknął na barierę pola siłowego. Przerażliwie zawodząca wichura nie słabła ani na moment.

– Nie – podjął drugi automat. – Standardowe kurtki, płaszcze i peleryny nie są skutecznym ubiorem na wędrowki po Suchej Dolinie. Jeżeli wolą państwo inne rozwiązanie, jesteśmy w stanie w pół godziny wyprodukować zimowe stroje zapewniające większą prywatność.

– A, do diabła z tym – odezwała się Ada. – Chcę wreszcie zobaczyć, co jest na zewnątrz.

Stanął na środku pawilonu, tuż przy portalu i na oczach wszystkich zaczęła się rozbierać. Hannah odeszła pięć kroków na bok i również rozpięła koszulę i jedwabne szarawary.

Daeman bezceremonialnie wlepił w nią spojrzenie. Po chwili podszedł do niego Harman, stuknął chłopaka w ramię i zaprowadził pod przeciwległą ścianę, gdzie i oni zrzucili z siebie ubranie. Daeman jednak wciąż raz po raz zerkał przez ramię na obie młode kobiety – w świetle sufitowych halogenów blade ciało Ady przybrało wyraźny żółtawy odcień; Hannah okazała się szczupłą, silna i ogorzała od słońca. Wciągając nogawki termoskóry, dziewczyna rzuciła Daemanowi wściekłe spojrzenie. Natychmiast odwrócił wzrok.

Gdy wszyscy czworo stanęli wreszcie na środku pawilonu, odziani jedynie w buty i kombinezony, Ada wybuchnęła śmiechem.

– Przecież w tym widać więcej, niż gdybyśmy byli zupełnie nacy – powiedziała.

Zawstydzony Daeman przestąpił z nogi na nogę. Miała rację. Harman jednak uśmiechnął się pod maską. Termoskóra faktycznie przypominała raczej warstwę farby niż jakikolwiek strój.

– Dlaczego są różnokolorowe? – zaciekawiał się Daeman.

Ada była jasnożółta, Hannah pomarańczowa, kombinezon Harmana miał intensywnie błękitny odzież, a jego własny – zielony.

– Dzięki temu bez trudu się państwo rozpoznają – wytłumaczył serwitor, choć pytanie nie zostało skierowane do niego.

Ada znów zachichotała – swobodny, niewymuszony i nieskrępowany śmiech dziewczyny przyciągnął spojrzenia obu mężczyzn.

– Wybaczcie – powiedziała. – Ale przecież to dość oczywiste kto jest kim... nawet z daleka....

Harman podszedł do pola siłowego i nacisnął je niebieską dłonią.

– Czy teraz moglibyśmy już wyjść? – zwrócił się do automatów.

Maszyny nie odpowiedziały, lecz energetyczna tarcza nieznacznie zafalowała. Najpierw przeniknęła ją na wylot dłoń, a zaraz po niej całe błękitne ciało mężczyzny. Wyglądało to, jakby przeszedł pod srebrzystą kaskadą wody.

Podróżnicy wkroczyli prosto w wiatr i mrok. Serwitorki ruszyły za nimi.

– Nie potrzebujemy waszego towarzystwa – zwrócił się do nich Harman.

Daeman zauważył, że chociaż lodowate podmuchy porwały każde słowo

starszego towarzysza, to w kapturze termoskóry słyszał go wyraźnie. Molekularne kombinezony musiały być wyposażone w jakiś rodzaj interkomu.

– Proszę o wybaczenie, Daeman Uhr – powiedział główny serwitor – ale potrzebują państwo. Dzięki nam widzą państwo drogę.

Oba automaty oświetlały nierówne podłoże promieniami licznych reflektorów.

Harman pokręcił głową.

– Korzystałem już z termoskór. Wędrowałem w nich po górach i dalekiej północy. Soczewki masek mają wbudowane wzmacniacze światła. – Dotknął skroni i manewrował przy niej ręką przez krótką chwilę. – No i proszę. Teraz widzę was doskonale. A jakie piękne mamy dziś gwiazdy!

– O rany! – zachwyciła się Ada, gdy również włączyła noktowizor.

W miejsce niewielkich plam światła bijącego z lamp serwitorów, zobaczyła naraz całą Suchą Dolinę. Odbijające poświatę nocnego nieba skały i kamienie stały się wyraźnie widoczne. Kiedy uniosła wzrok, rozgwieżdżony nieboskłon zaparł jej dech w piersi. Popatrzyła w bok. Oświetlony pawilon faksowężła buchał teraz jasnością jak rozzarzony piec. Termoskóry pobłyskiwały kolorowo.

– To po prostu... cudowne – zawtórowała przyjaciółce Hannah.

Skacząc z kamienia na kamień, oddaliła się na dwadzieścia kroków od grupy. Znajdowali się na dnie szerokiej, skalistej doliny, z obu stron otoczonej łagodnie wznoszącymi się zboczami. Powyżej jaśniały zalane blaskiem gwiazd śnieżne równiny. W samej niecce jednak białego puchu nie było. Po niebie, niczym stada fosforyzujących owiec, gnały chmury.

Wiatr wył nieprzerwanie, raz po raz atakując ich silnymi podmuchami.

– Zimno mi – poskarżył się Daeman. Korpulentny młodzieniec przestępował z nogi na nogę. Na stopach miał tylko cienkie pantofle.

– Możecie już wracać do pawilonu – zwrócił się do serwitorów Harman. – Nie jesteście potrzebni.

– Z całym szacunkiem, Harman Uhr, oprogramowanie nie zezwala nam pozostawić ludzi bez eskorty w sytuacji, w której istnieje ryzyko obrażeń lub zabłądzenia – odparł jeden z automatów. – Możemy jednak trzymać się sto metrów z tyłu, jeżeli poprawi to państwu samopoczucie.



– Owszem, poprawi – potaknął Harman. -1 wyłaczcie te przekłete reflektory. W noktowizji świecą stanowczo zbyt jasno.

Serwitory posłuchały i wycofały się w kierunku faksowężła. Hannah poprowadziła grupkę dnem doliny. W okolicy nie rosło ani jedno drzewo. Nie było nawet trawy. Poza czterema barwnymi ludzkimi sylwetkami nie dało się wypatrzyć żadnych śladów życia.

– Czego właściwie szukamy? – zapytała Hannah, pokonując rów, którym latem mógł płynąć wąski strumień. O ile lato w Suchej Dolinie w ogóle nastawało.

– Czy to rzeczywiście jest miejsce, w którym odbywało się Palenie Człowieka? – Harman zignorował jej pytanie.

Daeman i Hannah rozejrzeli się dokoła. Po dłuższej chwili odezwał się chłopak.

– Możliwe. Tylko, wiecie, wtedy stało tu mnóstwo namiotów. Małych i dużych. Były też ubikacje i kopuły mieszkalne, a cała dolina była osłonięta polem siłowym. No i te wszystkie grzejniki, Płonący Człowiek. Było jasno i w ogóle... inaczej.

Na pewno nie panował wtedy aż tak sakramencki ziąb. – Nieśmiało przeskoczył z nogi na nogę. – Hannah? A twoim zdaniem?

– Sama nie wiem. Tamta dolina była tak samo skalista i dzika, ale... Daeman ma rację. Wypełniona tysiącami ludzi i zalana słońcem wyglądała zupełnie inaczej. Pewna nie jestem.

Impas przerwała Ada.

– Rozproszmy się – zasugerowała. – Poszukajmy jakichkolwiek dowodów na to, że Palenie Człowieka faktycznie nastąpiło tutaj... Wypatrujcie czegokolwiek, śladów ognisk, kamiennych kopczyków i tak dalej. Chociaż, Harman, szczerze wątpię, by udało się nam dzisiaj spotkać tę twoją Żydówkę Wieczną Tułaczkę.

– Cii... – uciszył ją Harman i obejrzał się przez ramię na szybujące w pewnej odległości serwitory. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że przecież i tak rozmawiają przez radio. – No dobrze – westchnął. – Rozdzielmy się. Idźmy naprzód mniej więcej sto stóp od siebie i szukajmy czegoś, co...

Urwał, ponieważ w wylocie prostopadle wpadającego do doliny wąwozu

pojawiła się niezgrabna człekokształtna sylwetka. Istota ruszyła po kamienistym dnie znajomym, ciężkim krokiem. Gdy zbliżyła się do nich na trzydzieści stóp, zatrzymał ją Harman.

– Wracaj. Nie potrzebujemy wojnika.

Odpowiedział mu jeden z serwitatorów. Głos maszyny usłyszeli wyraźnie, mimo że kulisty robot unosił się w powietrzu dość daleko za plecami ludzi.

– Musimy nalegać, panie i panowie. Znajdujemy się w najbardziej odludnym i niebezpiecznym ze wszystkich znanych faksowęzłów. Nie wolno nam podejmować nawet najmniejszego ryzyka. Nie chcemy, by spotkało państwa coś złego.

– Żyją tu może dinozaury? – spytał coraz bardziej podenerwowany Daeman.

Ada wybuchnęła śmiechem i rozłożyła ręce jakby chciała zwrócić uwagę na zawodzący wicher i lodowate niebo.

– Wątpię, Daemanie. Musiałyby to być jakiś rekombinowany, zimnolubny gatunek, a nigdy o takim nie słyszałam.

– Oczywiście niczego nie możemy wykluczyć – wtrąciła Hannah, wskazując okazałych rozmiarów głaz, leżący nieopodal kolejnego bocznego wąwozu, jakieś pięćdziesiąt metrów w prawo. – Na przykład to może być czyhający na zdobycz allozaur.

Daeman cofnął się o krok i niemal przewrócił na kamieniu.

– Nie, dinozaurów tu nie ma – uspokoił towarzysza Harman. – Moim zdaniem w ogóle nic tutaj nie żyje. Nie w tak niskiej temperaturze. Jeżeli nie wierzycie, zdejmijcie na minutkę kaptury.

Posłuchali go. W słuchawkach kombinezonów natychmiast rozległy się głośne krzyki i przekleństwa.

– Nie zbliżaj się bez wyraźnego polecenia – rozkazał wojniksowi Harman.

Ciemna sylwetka cofnęła się o trzydzieści kroków.

Ruszyli dnem doliny – na północny zachód, jak twierdziły systemy nawigacyjne, których światełka migotały nad ich dłońmi. Wydawało się, że potężna wichura kołysze nawet gwiazdami. Od czasu do czasu, czwórka wędrowców była zmuszona szukać schronienia pod skalnymi nawisami. Kiedy nawałnica wreszcie nieco zelżała, rozeszli się znowu w tyralierę.

– Coś znalazłam – usłyszeli głos Ady.

Czym prędzej zbiegli się do żółtej postaci dziewczyny. Ada wpatrywała się w przedmiot, który w pierwszej chwili wzięli za jedną z niezliczonych skał, lecz gdy Daeman przyjrzał się z bliska, zauważył kruche pasma sierści, dziwaczne wyrostki i czarne otwory oczodołów. Zwierzę wyglądało jak wyrzeźbione w starym, spękany drewnie.

– Foka – stwierdził Harman.

– A co to takiego, ta foka? – Hannah przyklękła i dotknęła nieruchomego stworzenia.

– Gatunek morskiego ssaka. Widywałem je na wybrzeżu... z dala od węzłów. – Harman także kucnął i pogłodził martwą fokę. – Jest zupełnie wysuszona... Zdaje się, że nazywają taki stan mumifikacją. Niewykluczone, że leży tutaj od setek lat.

A nawet od tysięcy.

– Zatem niedaleko stąd do morza – zauważyła Ada.

– Niekoniecznie. – Harman wstał i rozejrzał się po okolicy.

– Słuchajcie! – przerwał im Daeman. – Pamiętam ten ogromny głaz! Namiot z piwem stał wtedy tuż obok. – Ruszył nieśpiesznie ku majaczącej pod urwiskiem skale.

– Jesteś pewien? – spytała Ada, gdy do niego dołączyli.

Poza wysoką skałą, płonącymi lodowatym ogniem gwiazdami i gnającymi wysoko chmurami nie było tu nic. Wszyscy zaczęli rozglądać się po ziemi w poszukiwaniu pozostałości obozowych palenisk, namiotów czy kolein pozostawionych przez koła kabrioletów. Bez powodzenia.

– Minęło półtora roku – przypomniał Harman. – Serwitory zapewne zdążyły wszystko dokładnie uprzątnąć i...

– Mój Boże! – przerwał mu okrzyk Hanny.

Odwrócili się w jej stronę. Odziana w pomarańczowy skafander dziewczyna wpatrywała się w niebo. W tej samej chwili na pobliskich kamieniach zagrały wielobarwne światła. Zadarli głowy.

Nocny nieboskłon ożył. Rozpostarły się na nim kotary migocącego, roztańczonego blasku – drgające pasma wszelkich odcieni błękitu, czerwieni i żółci.

– Co to jest? – wyszeptała Ada.

– Nie wiem – odparł równie cicho Harman. Światła wiły się na wolnych od chmur skrawkach nieba. Mężczyzna zsunął z głowy kaptur termoskóry.

– Na Boga, to wygląda przepięknie nawet bez noktowizji. Wydaje mi się, że widziałem już kiedyś coś podobnego.

Dziesiątki lat temu. Byłem wtedy...

– Serwitory – uciął Daeman. – Co to za światła?

– Zjawisko atmosferyczne mające związek z oddziaływaniem niesionych przez wiatr słoneczny, naładowanych cząsteczek na ziemskie pole elektromagnetyczne – odpowiedział mu z daleka jeden z robotów. – Nie dysponujemy już opisującą je szczegółową teorią naukową, lecz obserwowany fenomen występuje pod kilkoma nazwami, między innymi...

– Dobrze, dobrze – przerwał maszynie Harman. – Wystarczy... Ej, patrzcie! – Naciągnął z powrotem kaptur i zapatrzył się na wysoką kamienną płytę.

Jej powierzchnię pokrywały dziwaczne zawijasy. Nie sprawiały wrażenia powstałych wskutek działania wiatru bądź innych naturalnych czynników.

– A to co takiego? – zdziwiła się Ada. – Nie wygląda jak symbole z ksiązek.

– Nie – zgodził się Harman.

– Może zostało po Paleniu Człowieka? – podsunęła Hannah.

– Wtedy ich chyba nie widziałem. – Daeman pokręcił głową. – Ale mogły to wyryć serwitory, już po obchodach. Otarły skałę przy przenoszeniu sprzętu, czy w inny sposób.

– Możliwe – potaknął Harman.

– Przeszukamy jeszcze teren dokoła? – zapytała Ada. – Może jednak natkniemy się na jakiś ślad tej kobiety? Albo pozostałości po Płonącym Człowieku? Popioły, albo coś.

– Popiół? Na takim wygwizdowie? – Daeman się zaśmiał. – Po tylu miesiącach?

– Palenisko w zagłębieniu? Moglibyśmy też...

– Nie – zaprotestował Harman. – Niczego tu nie znajdziemy. Przefaksujmy się do jakiegoś cieplejszego węzła i zjedzmy coś.

Odziana w żółty skafander Ada przelotnie, jakby coś ją tknęło, spojrzała na mężczyznę, lecz nie skomentowała.

Oba serwitory podleciały bliżej, tuż za nimi zarysowała się sylwetka wojnika.

– Wracamy – poinformował najbliższą maszynę Harman. – Możecie oświetlić nam drogę do pawilonu.

\* \* \*

W Ułanbacie minęło dopiero południe. Na siedemdziesiątym dziewiątym poziomie Niebiańskich Kręgów, gdzie wciąż trwało przyjęcie z okazji Drugiej Dwudziestki Tobiego, tłoczyła się jak zwykle mniej więcej setka gości. Wiszące ogrody szemrały i szeptały w podmuchach ciągnącego od strony pustyni wietrzyku. Daemana natychmiast otoczył wianuszek młodych ludzi, którzy zaczęli dopytywać o jego kilkudniową nieobecność, lecz wymknął się im i poszedł za Harmanem, Hanną i Adą, którzy znaleźli ciepłe przekąski, podane na długim stole bankietowym. Poczęstowali się też schłodzonym, roznoszonym przez serwitory winem. Następnie Harman odprowadził ich z dala od rozbawionej cizby ku kamiennej ławie, stojącej przy niskim murku biegnącym wzdłuż całego Kręgu. Osiemset stóp niżej, po zatłoczonym Trakcie Gobijskim, majestatycznie sunęły prowadzone przez serwitory karawany wielbłądów. Strzegły ich czujne wojniksy.

– Co się stało? – odezwała się Ada, kiedy usiedli w cieniu ogrodowych roślin i zabrali się do jedzenia. – Zauważyłam, że coś cię zaniepokoiło. Jeszcze tam, w Suchej Dolinie.

Harman już miał odpowiedzieć, lecz zamknął usta i zaczekał, póki nie oddalił się przelatujący akurat obok automat.

– Zastanawialiście się kiedyś, czy serwitor, który podaje wam napoje, jest tym samym, którego widzieliście już wcześniej gdzie indziej? – zapytał. – W końcu wszystkie wyglądają niemal identycznie.

– Znowu jakiś wydumany problem – prychnął Daeman. Pomiędzy kolejnymi kęsami kurzego udka oblizał palce i upił łyk zimnego wina.

– Może tak, może nie – odparł Harman.

– Co właściwie zobaczyłeś tam w ciemności? – zaintrygowała się Hannah. – Chodzi o te rysy na głazie?

– To były liczby-wyjaśnił Harman.

– Nie były. – Daeman wybuchnął śmiechem. – Wiem, jak wyglądają. Wszyscy je znamy. I to nie były liczby.

– Były, tyle że zapisane za pomocą słów.

– Przecież wyglądały inaczej niż te esy-floresy w książkach – stwierdziła Ada z powątpiewaniem. – Znaczą, słowa.

– Nie – przyznał Harman. – Jak sędzę, takim pismem ludzie posługiwali się, pisząc odręcznie. Znaki były zaokrąglone i połączone z sąsiednimi, a na dodatek zatarte już trochę przez wiatr. Podejrzewam, że ktoś je wyrzył podczas ostatniego Palenia Człowieka. Natomiast udało mi się je wszystkie odczytać.

– Słowa... – Daeman wciąż się śmiał. – Jeszcze chwilę temu upierałeś się, że to liczby.

– Przeczytałeś? – Hannah nie zwróciła uwagi na komentarz Daemana. – I co tam było napisane?

Harman rozejrzał się ostrożnie dokoła.

– Osiem, osiem, cztery, dziewięć – powiedział półgłosem.

Ada pokręciła głową.

– Mógłby to być kod faksowężła, ale numer jest stanowczo za wysoki. Jeszcze nie zetknęłam się z takim, który zaczynałby się od dwóch ósemek.

– Właśnie. Dlatego że takie po prostu nie istnieją – rzucił Daeman.

– Możliwe. – Harman wzruszył ramionami. – Niemniej, kiedy się już najemy, wypróbuję ten kod w tutejszym węźle.

Ada zapatrzyła się na odległy horyzont. Po bladoniebieskim niebie sunęły z wolna dwa mleczne pasy pierścieni.

– Czy to z tego powodu zachowałeś nasze termoskóry, zamiast je wyrzucić, jak kazały serwitory?

– Ach, czyli jednak zauważyłaś? – Harman rozciągnął usta w szerokim uśmiechu i napił się wina. – A tak bardzo się starałem. Nie jestem chyba materiałem na szpiega. Dobrze przynajmniej, że nie było przy tym serwitorów.

Jak na zamówienie, podleciał do nich automat. Mała kulista maszyna zawisała za murkiem – osiemset stóp nad żółto-czerwoną ziemią. Delikatne manipulatory w białych rękawiczkach uzupełniły zawartość ich kieliszków.

\* \* \*

Gdyby nie upór Harmana, który nalegał, żeby przed faksowaniem, poza zwykłymi strojami, włożyli pod spód termoskóry, mogliby zginąć.

– Dobry Boże! – zawołał Daeman. – Gdzie my jesteśmy? Co się dzieje?

Platformy nie chronił żaden pawilon.

Kod osiem, osiem, cztery, dziewięć skierował ich prosto w ciemność i chaos. Dokoła potępieńczo skowyczał wiatr.

Stąpali po lodzie. Wszyscy czworo, przy każdym kroku w zawodzącej czerni, zderzali się z ostrymi krawędziami. Po chwili stracili z oczu nawet portal faskowężła.

– Ada I – krzyknął Harman. – Światła I Kaptury kombinezonów wyposażone były co prawda w systemy noktowizyjne, lecz w tej chwili nie mieli ich na głowach, a poza tym, w ciemnej jak noc okolicy nie było światła, które mogłoby zostać wzmocnione.

– Właśnie próbuję włączyć... no, już!

Z pożyczonej od Tobiego małej latarki wystrzelił w mrok cienki promyk światła. Padł na otwarte, pokryte szronem drzwi.

Ujrzeli długie na trzy stopy sopele. Stali na pofałdowanych zwałach lodu. Ada poświeciła dokoła. Na twarzach wszystkich jej towarzyszy malowało się niezmierne zdumienie.

– Tu nie ma pawilonu – odezwał się Harman.

– Nie, nie. Przecież każdy węzeł znajduje się w budynku – rzucił Daeman. – Niemożliwe, żeby tu nic nie było, prawda?

– Dawniej sieć wyglądała trochę inaczej – stwierdził Harman. – W przeszłości istniały tysiące węzłów prywatnych.

– Co ten facet plecie?! – krzyknął Daeman. – Wynośmy się stąd!

Ada skierowała latarkę z powrotem na otoczenie. Portalu nie było. Znajdowali się w niewielkim pokoju. Półki, blaty i ściany pokrywała gruba warstwa zmarzliny. W odróżnieniu od znanych im faskowężłów, w tym brakowało podwyższenia na środku pomieszczenia. Nigdzie nie zauważyli nawet numerycznej klawiatury do wpisywania kodów. Wynikało z tego, że nie mogli wrócić. Byli odcięci. W promieniu światła tańczyły roje igiełek lodu.

Za drzwiami zawodziła wichura.

– Wiesz, Daemanie, wygląda na to, że przewidziałeś przyszłość – zauważył Harman.

– Ja? A co ja takiego powiedziałem?

– Że wpadliśmy w pułapkę. Jak szczury.

Daeman gwałtownie zamrugał. Snop światła przebiegł po zmrożonych ścianach. Wicher wyraźnie przybrał na sile.

– Duże zupełnie jak w Suchej Dolinie – odezwała się Hannah. – Tyle że tam nie było żadnych budynków. Chyba...

– Nie, chyba faktycznie nie – zgodził się Harman. – Ale podejrzewam, że znowu trafiliśmy na Antarktydę.

– Że dokąd? – zdziwił się szczękający zębami Daeman. – Co to ta Arta... Antatyda?

– Skuta lodem kraina, którą odwiedziliśmy dziś rano-wyjaśniła Ada.

Dziewczyna wyszła za drzwi, zostawiając towarzyszy w ciemności. Ruszyli za nią pośpiesznie, przepychając się w przejściu niczym stadko małych kaczuszek.

– Tu jest korytarz – poinformowała Ada. – Patrzcie pod nogi. Warstwa śniegu i lodu ma chyba stopę grubości.

Zamarznięty korytarz zaprowadził podróżników do ściętej lodem kuchni. Ta z kolei otwierała się na pokryty lodowymi kryształami salon, wypełniony poprzewracanymi, otulonymi śniegiem meblami. Dziewczyna oświetliła okna. Skuwała je potrójna warstwa zmarzliny.

– Ja chyba wiem, gdzie my jesteśmy – szepnął Harman.

– Daj spokój – odparła Hannah. – Powiedziałbyś lepiej, jak się stąd wydostać.

– Chwilkę – rzuciła Ada i skierowała latarkę na pokrywające podłogę tafle lodu. Refleksy oświetliły twarze czwórki towarzyszy. – Najpierw chciałabym się dowiedzieć, co takiego podejrzewasz. Gdzie według ciebie jesteśmy? – Popatrzyła Harmanowi w oczy.

– Wedle legendy, kobieta, której szukamy, Żydówka Wieczna Tułaczka, miała dom, domicyl, w kraterze Erebusa, jednego z wulkanów na Antarktydzie.

– Czyli w Suchej Dolinie? – dopytał Daeman, raz po raz spoglądając



w ciemność za plecami. – Boże, strasznie mi zimno!

Hannah podeszła do niego tak niespodziewanie, że zatoczył się w tył i niemal pośliznął na lodzie.

– Durniu, załóż kaptur! – syknęła. – Wszyscy załóżmy. Jeszcze się nabawimy odmrożeń. Poza tym, przez głowę traci się najwięcej ciepła – Wyciągnęła spod kołnierza koszuli zieloną mgiełkę termoskóry i nasunęła ją na włosy.

Rady posłuchali wszyscy.

– Od razu lepiej – zauważył Harman. – W dodatku wreszcie coś widzę. Lepiej też słyszę. Słuchawki kaptura wyciszają ten piekielny wiatr.

– Powiedziałeś, że Żydówka mieszka w wulkanie, w pobliżu Suchej Doliny. Myślisz, że zdołamy dojść do tamtejszego pawilonu?

Harman bezradnie rozłożył ramiona.

– Nie mam pojęcia. Być może właśnie w ten sposób dotarła na Palenie Człowieka. Piechotą. Ja, niestety, nie znam tych terenów. Od węzła może nas dzielić krótki spacer lub, równie dobrze, tysiąc mil.

Daeman popatrzył na czarne, zamrożone okna. Pancerne szyby bez mała ugięły się pod naporem wichru.

– Ja nigdzie nie idę – oznajmił beznamiętnie. – Za żadne skarby nie wyjdę na zewnątrz.

– Po raz pierwszy muszę się z nim zgodzić – poparła go Hannah.

– Zupełnie nic z tego nie pojmuję – odezwała się Ada. – Twierdziłeś, że ta kobieta mieszkała tu dawno temu, kilka pokoleń wcześniej. Przed wiekami. Jak to możliwe, żeby...

– Nie wiem – przerwał jej Harman.

Wziął od dziewczyny latarkę i ruszył przez kolejny korytarz, gdzie po chwili drogę zagroziły mu jakieś białe pręty lodu.

Wrócił do zaśnieżonego salonu, wyrwał z podłoża najcięższy mebel, jaki był w stanie – ciężki stół, od którego natychmiast odpadły nogi – i zaczął nim uderzać, wyłamując sople jeden po drugim. W ten sposób otworzył przejście w zasypanym śniegiem korytarzu.

– Dokąd idziesz?! – zawołał Daeman. – Co nam to da? Tutaj nikogo nie było od miliona lat. Zamarzniemy, jeśli...

Harman otworzył kopnięciem drzwi na końcu korytarza. Buchnęło światło. Światło i fala ciepła. Pozostała trójka czym prędzej ruszyła w stronę mężczyzny, ślizgając się na zdradliwym podłożu.

Pokój przypominał ten, do którego się faksowali. Nie było tu okien, a pomieszczenie miało około dwudziestu stóp kwadratowych. Niemniej panowała w nim zdecydowanie wyższa temperatura, było jasno i nie widzieli nawet jednego płatka śniegu czy lodowego odprysku. Ponadto, niemal całą salkę zajmowała owalna stalowa maszyna, długa na jakieś piętnaście stóp. Unosiła się bezszelestnie trzy stopy nad betonową posadzką. Od góry osłaniało ją migocące niczym szklany klosz pole siłowe. Na jej wierzchu zauważyli sześć podłużnych wgłębień, wyłożonych lśniącem czarnym materiałem. Każde z nich z grubsza odpowiadało rozmiarami ludzkiemu ciału, a w miejscach na dłonie sterczały krótkie gałki. Być może służyły do sterowania.

– Ktoś tu chyba spodziewał się dwójki dodatkowych gości – wyszeptała Hannah.

– Co to w ogóle jest? – rzucił Daeman.

– Moim zdaniem sonik, zwany również SPL-em – odpowiedział Harman, również niezbyt głośno.

– Co? – powtórzył Daeman. – Ta nazwa coś znaczy?

– Tego nie wiem – przyznał Harman. – Wiem za to, że wieki temu ludzie takimi maszynami latali. – Dotknął pola siłowego. Pod naciskiem dłoni ustąpiło jak rtęć. Opłynęło mu palce, wchłonęło przegub.

– Ostrożnie! – spróbowała go przestrzec Ada, lecz Harman już się układał w czarnym zagłębieniu.

Opadł na kolana, opuścił ostrożnie na brzuch, po czym wyciągnął się cały. Tył głowy i grzbiet mężczyzny nieznacznie wystawały ponad obłą krawędź maszyny.

– Wszystko w porządku – zapewnił. – Wygodnie tu. I ciepło.

Nikogo nie musiał zbyt długo namawiać. Ada jako pierwsza z trójki wdrapała się na wierzch pojazdu, ułożyła w gnieździe obok mężczyzny i zacisnęła palce na uchwytach.

– Myślisz, że to wolanty?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Harman.

Tymczasem Hannah i Daeman wgramolili się na dysk i umościli w zewnętrznych zagłębieniach. Dwa środkowe w tylnej części pozostały wolne.

– Nie umiesz tym latać? – zdziwiła się Ada. Głos dziewczyny zabrzmiał trochę ostrzej i mniej sympatycznie niż dotąd. – Nie znalazłeś w tych swoich książkach instrukcji?

Harman pokręcił głową.

– W takim razie po co tu włąziliśmy? – zapytała dziewczyna.

– Powiedzmy, że dla potrzeb eksperymentu.

Harman przekręcił nakładkę prawego drążka, podniósł ją i wcisnął ukryty pod spodem czerwony guzik.

Ściana przed pojazdem zniknęła, jakby zdmuchnięta w polarną noc. Gwałtowny, lodowaty wichur przywiał do środka kłęb śniegu. Powietrze w jednej chwili ostygło. Ogarnęła ich rozszalała, antarktyczna zamięć.

„Trzymajcie się!” – chciał powiedzieć Harman, ale ledwie otworzył usta, sonik wystrzelił z sali z niewiarygodną prędkością. Gwałtowne przeciążenie wcisnęło podeszwy podróżników w stalowe ścianki wgłębień. Pasażerowie desperacko zacisnęli dłonie na uchwytach.

\* \* \*

Czasza rozwiniętego nad ich głowami pola siłowego ocaliła wędrowcom życie, kiedy sonik – lub SPL, a w każdym razie latająca maszyna – wyniósł ich z krateru białego wulkanu, na którego zboczach od strony morza majaczyły potrzaskane, porośnięte zmarzliną budynki. Noktowizory termoskór pozwoliły im dostrzec na wybrzeżu martwy las zlodowaciałych jodeł. Nad zatoką zobaczyli porzucone, tkwiące w głębokich śnieżnych zaspach roboty, a jeszcze dalej ujrzeli biały, zamarznięty ocean.

Sonik ustabilizował lot mniej więcej tysiąc stóp nad poziomem morza i popędził naprzód, zostawiając ląd daleko za sobą.

Harman wypuścił jeden z uchwytów na tyle, by uruchomić na dłoni funkcję wskazywania kierunku.

– Północny wschód – odezwał się.

Nikt nie zareagował. Jego towarzysze trzymali się kurczowo uchwytów i dygotali. Zresztą nie było czego komentować, lot w tę stronę i tak musiał skończyć się śmiercią.

Harman nie powiedział im o wszystkim. Jeżeli stare mapy, z jakimi się kiedyś wnikliwie zapoznał, były dokładne, przed nimi nie było już nic. Tysiące mil wodnego pustkowia. Po dziesięciu minutach lotu pojazd zaczął wytracać wysokość.

Zmrożone równiny zostały już za nimi i teraz pędzili nad czarnymi falami, upstrzonymi gdzieś wierzchołkami gór lodowych.

– Co się dzieje? – odezwała się Ada. Dziewczyna usłyszała drżenie własnego głosu i aż się wzdrygnęła. – Może kończy się nam energia... znaczy paliwo... czy coś tam?

– Nie wiem – przyznał Harman.

Sonik wyrównał kilkaset stóp nad poziomem morza.

– Patrzcie! – zawołała Hannah. Puściła drążek i wskazała coś palcem.

Z mroźnego morza wynurzyła się jakaś wielka, żywa istota, oblepiona małżami i okryta twardą, pomarszczoną skórą.

Dzięki noktowizorom zobaczyli bijące od zwierzęcia ciepło pulsującej krwi – zupełnie jak z organizmu ssaka. Wytrysnął ku nim strumień wody i Harman – mimo osłony pola siłowego – wyczuł w powietrzu rybią woń.

– Co, do...? – zaczął Daeman.

– To chyba... wieloryb – rzucił Harman w odpowiedzi. – Tak, zdaje się, te stworzenia nazywali. Byłem święcie przekonany, że to dawno wymarły gatunek.

– Może odtworzyli je postludzie – rozległ się w słuchawkach głos Ady.

– Tak, może.

Mknęli nad oceanem. Maszyna niezmiennie kierowała się na północny-wschód. Po kilku kolejnych minutach poziomego lotu czwórka pasażerów sonika nieco się rozluźniła. Powoli się przyzwyczajali, adaptowali do nowej sytuacji, jak od niepamiętnych czasów czynił cały ludzki gatunek. Harman przekręcił się na bok i podziwiał oszałamiające, rozgwieżdżone niebo, na którym – pomiędzy rzadkimi chmurami – pojawiały się kolejne światełka. Z zachwyty wyrwał go okrzyk Ady.

– Spójrzcie! Przed nami!

Na czarnym horyzoncie wyrosła olbrzymia góra lodowa. Pojazd leciał prosto na nią. Wszystkie wcześniejsze przeszkody sonik ominął, lecz żadna nie była tak szeroka. Lodowa ściana rozciągała się na całe mile, niczym połyskliwy niebiesko-biały mur. Była przy tym niebywale wysoka. Jej widoczny w noktowizorach wierzchołek piętrzył się znacznie powyżej poziomu ich lotu.

– Co robimy? – spytała Ada.

Harman pokręcił głową. Nie miał pojęcia jaką rozwinęli prędkość. Żadne z nich nie podróżowało nigdy szybciej niż ciągniętą przez wojnika bryczką. Pewne było jedno. Przy tej szybkości zderzenie z twardą powierzchnią będzie zabójcze.

– Może masz na tym uchwycie jakieś inne przyciski? – Głos Hanny zabrzmiał dziwnie spokojnie.

– Nie – odpowiedział Harman.

– Moglibyśmy skakać – odezwał się Daeman.

Sonik przechylił się, gdy chłopak stanął w swym zagłębieniu na czworakach. Głową niemal dotknął warstwy pola siłowego.

– Też nie – odparł ostro Harman. – Nawet gdybyś przetrwał upadek... a nie przetrwasz, to i tak w morzu nie przeżyjesz nawet pół minuty. Kładź się!

Daeman z powrotem ułożył się w zagłębieniu.

Pojazd wciąż nie zwalniał, nie zmieniał też kursu. Czoło lodowej góry-w ocenie Harmana szerokie na przynajmniej dwie mile – niepowstrzymanie pędziło ku Sonikowi, z każdą chwilą rosło wędrowcom w oczach. Lód musiał sięgać najmarniej trzysta stóp ponad wodę. Zanosiło się na to, że wbiją się w zimną ścianę w dwóch trzecich wysokości urwiska.

– Naprawdę nic nie możemy zrobić? – odezwała się po chwili Ada. Jej słowa zabrzmiały raczej jak stwierdzenie faktu niż pytanie.

Harman zsunął z głowy kaptur. Pod osłoną pola siłowego zimny wiatr nie był zanadto dotkliwy. Mężczyzna spojrzał dziewczynie w oczy.

– Raczej nie – odpowiedział. – Przykro mi.

Wziął ją za rękę. Ada także ściągnęła kaptur i zobaczył jej twarz wyraźniej. Na kilka sekund spleli się palcami.

Gdy do nieuchronnego zderzenia z górą i ognistej eksplozji brakowało ledwie kilkaset metrów, sonik raz jeszcze zwolnił i nabrał wysokości. Śmignął dziesięć metrów nad krawędzią lodu i przechylił się w prawo, skręcili na południe. Jakiś czas lecieli dalej nad skutym lodem pustkowiem. Wreszcie pojazd wyhamował na dobre, zawisł w powietrzu, po czym osiadł na ziemi. Pod rozgrzanym podwoziem zasyczał topniejący śnieg.

Świeżo upieczeni lotnicy jeszcze przez moment leżeli w milczeniu, nie ruszali się z miejsc. Wciąż kurczowo ściskali uchwyty. Nikt nie raczył skomentować wydarzeń kilku ostatnich minut.

Półkula pola siłowego zniknęła nagle, zupełnie bez ostrzeżenia. W twarz Harmana uderzył palący ziąb i podmuchy koszmarnie silnego wiatru. Pośpiesznie nasunął kaptur i zerknął na Adę, by się upewnić, czy dziewczyna również osłoniła twarz.

– Trzeba z tej maszyny wysiąść, nim postanowi nas zabrać na kolejną wycieczkę – rozległ się w słuchawkach szept Hannah.

Zerwali się z wgłębień. Szaleńczy wichur niemal zwałił ich z nóg. Na mgnienie oka zelżał, po czym smagnął ponownie.

W ubrania i kaptury wędrowców uderzały tumany śniegu.

– Co teraz? – spytała Ada półgłosem.

Jakby w odpowiedzi na jej pytanie, na ziemi zajaśniały dwa rzędy świecących w podczerwieni szkarłatnych lamp, wytyczających szeroką na dziesięć stóp ścieżkę. Nowy szlak prowadził od sonika w stronę... właściwie w zupełną pustkę.

Ruszyli naprzód, nawzajem pomagając sobie ustać wśród wyjącej wichury. Gdyby nie jaskrawo płonące w noktowizorach światła, zapewne odwróciliby się odruchowo plecami do podmuchów i zabłądzili już po kilku sekundach – a potem runęli w przepaść otwierającą się gdzieś z prawej strony, na skraju lodowej góry.

Ścieżka doprowadziła ich do wmontowanego w podłoże włazu. Ujrzeni pod nim wykute w lodzie stopnie, znikające daleko poniżej, w zalanym czerwonym blaskiem korytarzu.

– Schodzimy? – upewniła się Hannah.

– Chyba nie mamy wyboru – zauważył Daeman.

Ich miejskie obuwie niezbyt nadawało się do chodzenia po śliskich stopniach. Na szczęście, do ściany przymocowano na metalowych prętach mocną linę i mogli się jej przytrzymać. Kiedy Harman naliczył już czterdzieści schodków, drogę zamknęła im lita ściana lodu. A jednak nie! Po prostu tunel skręcił w prawo i wiódł dalej w głąb góry. Tym razem pod kątem pięćdziesięciu stopni. Zakręt w lewo i jeszcze pół setki. Oświetlenie w przejściach zapewniały rozmieszczone co kilka metrów w lodowych ścianach podczerwone flary.

Gdy schody wreszcie się urwały, znaleźli się w kolejnym korytarzu. Tutaj do czerwonych flar dołączyły zielone i niebieskie. Od czasu do czasu mijali skrzyżowania, lecz na każdym oświetlona była tylko jedna odnoga. Niekiedy tunel prowadził kilkaset metrów ku górze, by po chwili na powrót delikatnie opaść. W przypominającym labirynt gąszczu zakrętów i przecinających się przejść stracili wkrótce orientację.

– Ktoś tu na nas czeka – odezwała się szeptem Hannah.

– Mam szczerą nadzieję – odparła jej przyjaciółka.

Wkroczyli do przestronnej sali, w najszerszym miejscu mierzącej około stu stóp szerokości. Powąła wisiała trzydzieści stóp nad głowami przybyszy. W ścianach, na różnych poziomach, otwierały się liczne wejścia, połączone z parterem wykutymi w lodzie schodami. Zainstalowane na podwyższeniach grzejniki jarzyły się pomarańczowo, a we wszystkich ścianach, podłogach i sufitach osadzono za pomocą szpikulców liczne źródła światła. Jedna z niższych platform była usłana zwierzęcymi skórami i poduchami. Stał na niej niewysoki stół, na którym czekały miski zjedzeniem oraz dzbanki z napojami i kieliszki. Cała czwórka stanęła przy nakryciu, lecz nie zajęła miejsc. Niepewnie przyglądali się nieoczekiwanemu poczęstunkowi.

– Nie bójcie się – rozległ się za ich plecami kobiecy głos. – Jedzenie nie jest zatrute.

Nieznajoma wynurzyła się z wyżej położonego, lodowego korytarza i schodziła właśnie ku nim biegnącymi zygzakiem schodami. Harman zdążył zauważyć włosy kobiety – były siwe, wręcz białe; na taki kolor decydowała się jedynie garstka największych ekscentryków. Zwrócił również uwagę na jej twarz: zgodnie ze słowami Daemana, pokrywała ją gęsta siateczka zmarszczek.

Rzeczywiście musiała być stara. Starsza od wszystkich ludzi, jakich goście – z wyjątkiem Daemana – widzieli w życiu. Nawet liczący sobie dziewięćdziesiąt dziewięć lat Harman poczuł się dziwnie nieswojo.

Gdyby nie brać pod uwagę podeszłego wieku, kobieta była dość atrakcyjna. Szła sprężystym, zdecydowanym krokiem, odziana w prostą niebieską bluzę, sztruksowe spodnie i ciężkie buty. Jedynym osobliwym elementem jej stroju była misternie utkana i zawile skrojona peleryna z czerwonej wełny, którą zarzuciła na ramiona. Kiedy gospodyni stanęła kilka stóp przed nimi, Harman spostrzegł, że kobieta trzyma w prawej dłoni stalowy przedmiot.

Uniosła go i skierowała w ich stronę, jakby sama dopiero sobie o nim przypomniwała.

– Wiecie, co to jest?

– Nie – odpowiedzieli stłumionymi głosami Ada, Daeman i Hannah.

– Ja wiem – rzucił Harman. – To jakiś rodzaj broni z Zapomnianej Ery.

Trójka towarzyszy obrzuciła go zaskoczonymi spojrzeniami. Oczywiście wiedzieli czym jest broń i jak wygląda.

Posługiwali się nią bohaterowie rozgrywającego się pod całunem turyńskim dramatu. Znali miecze, włócznie, tarcze i łuki.

Ten czarny, tępo zakończony przedmiot wyglądał jednak na maszynę. W niczym nie przypominał broni ze spektaklu.

– Brawo – powiedziała kobieta. – Otóż jest to pistolet i służy tylko do jednego. Do zabijania.

Daeman zbliżył się o krok do staruszki.

– Chcesz nas pozabijać? Sprowadziłaś nas tutaj, taki kawał drogi, wyłącznie po to?

Kobieta uśmiechnęła się i odłożyła dziwną broń na stół, obok patery z pomarańczami.

– Witaj, Daemanie. – Uśmiechnęła się. – Miło cię znowu zobaczyć, chociaż nie jestem pewna, czy pamiętasz nasze ostatnie spotkanie. Byłeś wtedy dość mocno odurzony alkoholem.

– Pamiętam cię, Savi – odpowiedział spokojnie Daeman.

– Witajcie wszyscy – podjęła staruszka. – Hanno, Ado, Harmanie...Ty szczególnie uparcie szedłeś moim tropem.



Usiadła na skórach, zaprosiła ich skinieniem i czwórka gości, jedno po drugim, zajęła miejsca wokół stolika. Savi sięgnęła po pomarańczę, nacięła skórkę ostrym paznokciem i zaczęła ją obierać. zaproponowała poczęstunek gościom, lecz jak jeden mąż odmówili.

– Nie znamy się – zauważył Harman. – Skąd wiesz, jak się nazywam? I skąd znasz imiona moich przyjaciół?

– Pozostawiasz za sobą wyraźne ślady, panie, nie... jak się teraz ładnie mówi? Harman Uhr.

– Ślady? O czym ty mówisz?

– Wędrujesz z dala od faksowężłów, zmuszasz wojniksy do dalekich wycieczek. Nauczyłeś się czytać. Wyszukujesz ostatnie z pozostałych na świecie bibliotek... w tym tę należącą do Ada Uhr. – Savi skinęła głową dziewczynie, która odpowiedziała równie uprzejmym gestem.

– Skąd wiesz, że wojniksy mnie śledzą? – zdziwił się Harman.

– Wojniksy trzymają szczególną pieczę nad wszystkimi, którzy zachowują się nietypowo – odparła staruszka. Podzieliła pomarańczę na części, odłożyła po dwie na skrawkach płótna i ponownie zaproponowała gościom. Tym razem nie odmówił nikt. – Zresztą ja również mam na ciebie baczenie – dokończyła, spoglądając na Harmana.

– Ale dlaczego? – Mężczyzna obejrzał kawałki owocu i odłożył ściereczkę na blat. – Czemu mnie szpiegujesz? I w jaki sposób?

– Mój młody przyjacielu, to są dwa zupełnie różne pytania.

Słyszając tę uwagę, nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Już od bardzo dawna nikt nie nazwał go młodym człowiekiem.

– Więc odpowiedz na pierwsze. Z jakiego powodu mnie śledzisz?

Savi dojadła ostatnią część pomarańczy i ze smakiem oblizała palce. Harman odnotował, iż Ada przygląda się staruszce z wyraźną fascynacją. Patrzyła na jej pomarszczone palce i pokryte starczymi cętkami dłonie. Nie był pewien, czy Savi również zauważyła te spojrzenia, w każdym razie nie dała tego po sobie poznać.

– Harman... Czy pozwolisz, bym zrezygnowała z tego Uhr? – zapytała, po czym podjęła, nie czekając na reakcję: – Harmanie, w tej chwili jesteś na Ziemi jedyną osobą, jedynym człowiekiem z liczącej ponad trzysta tysięcy

dusz populacji... nie licząc naturalnie mnie... jedynym, który potrafi czytać. Potrafi i przede wszystkim chce.

– Ale... – zaczął Harman.

– Trzysta tysięcy? – wtrąciła Hannah. – Nas jest milion. Zawsze tyle było.

Savi popatrzyła na dziewczynę z uśmiechem, lecz pokręciła głową.

– Moje dziecko, kto ci powiedział, że na tej planecie żyje obecnie milion ludzi?

– Przecież... No... Nikt... znaczy, wszyscy o tym wiedzą...

– Właśnie – potaknęła staruszka. – Wszyscy wiedzą. Ale przecież nie istnieje żaden mechanizm pozwalający przeprowadzić spis ludności.

– Kiedy jakaś osoba przenosi się na pierścienie... – Hannah, mimo widocznej konsternacji, nie dawała za wygraną.

– Może przyjsć na świat nowe dziecko – dokończyła Savi. – Owszem. Obserwowałam to zjawisko w ciągu ostatniego tysiąclecia. Z tego wcale jednak nie wynika, że jest was milion. Bo to nieprawda. Ludzi jest znacznie mniej.

– Po co postludzie mieliby nas okłamywać? – odezwał się Daeman.

– Postludzie?-Staruszka uniosła brew. – Właśnie, postludzie. Rozmawiałeś ostatnio z choćby jednym postczłowiekiem, Daeman Uhr?

Chłopak najwyraźniej uznał pytanie za retoryczne. Nie odpowiedział.

– Bo ja z nimi rozmawiałam.

Słowa wiekowej kobiety zawisły wśród ciszy. Podróżnicy czekali w milczeniu. Sama myśl o pogawędce z postludźmi zapierała im – zwłaszcza Harmanowi i Adzie – dech w piersiach.

– Naturalnie, miało to miejsce dawno temu – przyznała staruszka, mówiąc tak cicho, że słuchacze musieli się nachylić. – Bardzo, bardzo dawno temu. Jeszcze przed ostatnim faksowaniem. – Jej oszłamiające, szarobłękitne oczy, tak przed chwilą skupione, zasnuła mgła wspomnień.

Harman pokręcił głową.

– Znam legendę o tobie. Jesteś Żydówką Wieczną Tułaczką. Ostatnią z Zapomnianej Ery. Niemniej nic z tego nie rozumiem. Jakim sposobem udało ci się przeżyć Piątą Dwudziestkę?

Słyszając z ust Harmana tak bezpośrednie i nieuprzejme pytanie, Ada aż

zamrugała. Savi jednak nie sprawiała wrażenia urażonej.

– Po pierwsze, kochani, ograniczenie długości ludzkiego życia do stu lat zostało wprowadzone stosunkowo niedawno.

Postludzie wymyślili ten zabieg dopiero po ostatnim faksowaniu. Dopiero wtedy, gdy wszystko już zniszczyli. A zrujnowali wszystko, całą naszą przyszłość. Przyszłość Ziemi. Faksowanie okazało się prawdziwym kataklizmem. Musiały upłynąć długie stulecia, by dziewięć tysięcy stu trzynastu moich pobratymców, którym udało się przetrwać epidemię rubikonu, zostało przeniesionych w strumień neutrin. Bezpowrotnie, mimo solennych obietnic postludzi. Dopiero po tym..

ludobójstwie tak uwielbiani przez was postludzie odtworzyli ludzką populację, waszych przodków, i wpadli na pomysł wprowadzenia stuletniego okresu życia i teoretycznego ograniczenia ludności planety do poziomu miliona osobników...

Savi urwała dla zaczerpnięcia tchu. Była wyraźnie poruszona. Odetchnęła raz jeszcze i wskazała na stojące na stoliku dzbany.

– Jeżeli jesteście spragnieni, mam herbatę. I bardzo mocne wino. Sama się chętnie napiję. – Rozedrganymi dłońmi nalała sobie alkoholu.

Daeman pokręcił odmownie głową. Obie dziewczyny skusiły się na herbatę. Harman poprosił o kieliszek czerwonego wina.

– Harmanie – podjęła gospodyni, gdy doszła już nieco do siebie – zadałeś mi wcześniej dwa pytania, a ja wdałam się w dygresję. Chciałeś się dowiedzieć, dlaczego zwróciłam na ciebie uwagę oraz w jaki sposób zdołałam dożyć tak sędziwego wieku. Rozwiązanie pierwszej kwestii brzmi następująco: ciekawi mnie wszystko, co interesuje i niepokoi wojniksy. A przez ostatnie kilkadziesiąt lat wojniksy interesowały się tobą szczególnie...

– Ale czy we mnie naprawdę jest coś tak zajmującego? Przecież... – zaczął Harman, lecz Savi uciszyła go, unosząc palec.

– Na drugie pytanie mogę odpowiedzieć następująco. Przeżyłam tak liczne stulecia dlatego, że większość czasu przesypiam, a kiedy nie śpię, pozostaję w ukryciu. Z miejsca na miejsce przemieszczam się, wyłącznie wędrując pomiędzy faksowężłami piechotą albo za pomocą soników. Z jednego z nich mieliście okazję skorzystać dzisiaj.

– Nie rozumiem – przerwała staruszce Ada. – Jak to możliwe, że jesteś w stanie pieszo pokonywać tak wielkie odległości?

Savi podniosła się z miejsca. Jej goście również wstali.

– Moi młodzi przyjaciele, wiem, że przeżyliście trudny i pełen wrażeń dzień. Jeśli zdecydujecie się pójść za mną, czeka was jeszcze więcej nowych doznań. Jeżeli nie, sonik odstawi was do najbliższego pawilonu z portalem... Na terytorium dawnej Afryki, jak mi się wydaje. Wybór należy do was. – Popatrzyła wymownie na Daemana. – Do każdego z osobna.

Hannah dopiła herbatę i odstawiła kielich.

– A co takiego zobaczymy, jeśli postanowimy z tobą pójść, Savi Uhr?

– Wiele rzeczy, moje dziecko. Na samym początku nauczę was latać i odwiedzić miejsca, o jakich dotąd nie słyszeliście... Okolice, jakie nie marzyły się wam nawet w najśmielszych snach.

Czwórka podróżników wymieniła się spojrzeniami. Harman i Ada skinęli do siebie głowami, zrozumieli się bez słów.

– Czegoś takiego nie przegapię za nic – rzuciła Hannah.

Daeman jeszcze przez chwilę rozważał w milczeniu wszystkie za i przeciw.

– Dobrze – powiedział wreszcie. – Ale zanim się stąd ruszymy, poproszę jednak o kieliszek tego mocnego wina.

Savi naląła.

# 14

## *Nisko orbita okołomarsjańska*

Mahnmut zrestartował swoje systemy, po czym dokonał pośpiesznej oceny uszkodzeń. Szczęśliwie wszystkie organiczne i cybernetyczne układy wciąż działały bez zarzutu. Wybuch spowodował gwałtowną dekompresję trzech zamontowanych na dziobie zbiorników balastowych „Mrocznej damy”, lecz dwanaście innych wyszło z eksplozji bez szwanku. Sprawdził czas na wewnętrznym zegarze. Przed resetem stracił przytomność na niecałe pół minuty, ale nadal dysponował niezakłóconą łącznością z batyskafem. „Mroczna dama” alarmowała informacjami o niekontrolowanym koziółkowaniu pojazdu, nieznacznym rozszczelnieniu kadłuba, przeciążeniu systemów monitorujących oraz przekraczającej punkt wrzenia temperaturze zewnętrznej powłoki. Pojawiło się jeszcze kilka innych ostrzeżeń, lecz żadne nie wymagało od Mahnmuta bezpośredniej interwencji. Włączył kamery i zobaczył tylko rozpalone do czerwoności wnętrza ładowni, otwarte wrota, a za nimi wirujące gwiazdy.

– Orphu?

Na ogólnym kanale nie otrzymał odpowiedzi. Milczało także połączenie bezpośrednie i odbiornik maserowy. Nie usłyszał nawet trzasków.

Śluza wciąż była otwarta. Mahnmut złapał przenośny silnik odrzutowy i kilka zwojów wytrzymałej liny z mikrowłókna.

Zmagając się z powstałą wskutek obrotów siłą odśrodkową, wyszedł na zewnątrz. Przytrzymał się przy tym uchwyty, których rozmieszczenie znał doskonale. Z wyposażeniem „Mrocznej damy” zaznajamiał się przez dziesiątki lat pracy w głębinach oceanów. Gdy znalazł się na kadłubie batyskafu,

sprawdził czy ładownia jest nadal otwarta, ocenił ilość dostępnego miejsca, po czym bez większego zastanowienia wyrzucił część zgromadzonego przez Korosa, wciąż zapakowanego sprzętu. Kontenery odleciały w kosmos, koziółkując wśród smug świecącej plazmy i grud stopionego metalu, raz po raz odrywających się od konstrukcji statku. Morawiec nie miał pojęcia, czy wraz z ekwipunkiem pozbył się również broni masowego rażenia, którą dowódca wyprawy zamierzał dostarczyć na Marsa (I to moją „Dama”! – wściekał się w duchu Mahnmut), lub czy nie cisnął właśnie w próżnię wyposażenia niezbędnego do przetrwania po ewentualnym lądowaniu na planecie. Teraz jednak nie liczyło się to wcale. Najważniejsze było zwolnienie miejsca w ładowni.

Przytroczył linę do klamer na kadłubie „Mrocznej damy” i wystrzelił się w próżnię, uważając przy tym, by nie wpaść na zniszczone drzwi ładowni statku. Kiedy odleciał od koziółkującego wraku na bezpieczną odległość stu metrów, odwrócił się i po raz pierwszy zobaczył ogrom uszkodzeń.

Było znacznie gorzej, niż się spodziewał. Orphu nie przesadził. Zniknęła cała dziobowa część statku – mostek i wszystko na dziesięć metrów w tył od niego. Przednia sekcja została odcięta tak gładko, jakby jej nigdy nie było. Po Korosie III i Ri Po pozostał jedynie rozjarzony, rzednący już obłok plazmy.

Reszta kadłuba była pokryta rysami i pęknięciami. Mahnmut wolał sobie nie wyobrażać, do jakiej eksplozji doszłoby, gdyby nie odrzucili zawczasu silników termojądrowych, zbiorników z wodorem, czerpaka Matloff’a/Fennelly’ego i pozostałych elementów napędu. Wskutek wtórnych wybuchów wyparowałiby również on i Orphu.

– Orphu? – Mahnmut uruchomił radio na wszystkich kanałach, lecz zewnętrzne anteny zostały zwięglone podczas ataku.

Nie mógł skontaktować się z nikim.

Unikając frunących we wszystkie strony odłamków, brył płynnego metalu i chmur gęstej, rozszerzającej się plazmy, Mahnmut poluzował linę. Posługując się silniczkami manewrowymi, przeleciał nad grzbietem statku. Obroty umierającego pojazdu wzmogły się do tego stopnia – Mars, gwiazdy, Mars, gwiazdy – że Mahnmut musiał wyłączyć wzrok i kierował się wyłącznie wskazaniami radaru.

Orphu nadal tkwił w swojej niszy, zupełnie jak w kołysce. Mahnmur przez chwilę nie posiadał się z radości – czujniki informowały, że przyjaciel jest nieuszkodzony – lecz kiedy ponownie włączył kanał optyczny, rozmiar zniszczeń wstrząsnął nim do głębi.

Eksplzja, która oderwała dziób, nadpaliła i strzaskała także górną część kadłuba, aż po miejsce zajmowane przez Orphu. Ciężki pancerz morawca zło był spękany i poczerniały. Ramiona manipulatorów przepadły. Brakowało przedniej anteny. Stracił oczy. Na długości trzech ostatnich metrów korpus przyjaciela był w iście opłakanym stanie.

– Orphu! – krzyknął Mahnmur, ręcznie kierując wiązkę radiową w stronę uszkodzonego morawca.

Cisza.

Wykorzystując swą moc obliczeniową do ostatniego megaherca, morawiec przeliczył wektory ruchu obłąkańczo wirującego statku, po czym ostrożnie podleciał do kadłuba. Sterował mikroimpulsami wszystkich dziesięciu silniczków manewrowych, które pozwoliły mu uniknąć zderzenia, i wreszcie znalazł się na metr od zniszczonego pojazdu. Wyciągnął z zasobnika wielofunkcyjne narzędzie i wystrzelił hak, który wbił się w kadłub. Uwiązał do niego linę, starając się jej przy tym nie zasupłać. Wiedział, że już za moment będzie się musiał uwolnić.

Naprężył przewód i niczym wahadło zakreślił łuk nad statkiem. Poleciał w stronę niszy Orphu. Roztaczający się przed nim widok przypominał wypaloną nieckę krateru.

Mahnmur uczeplił się pancerza przyjaciela i zawisł. Rozpaczliwie wymachując unoszącymi się nad tułowiem krótkimi nogami, sięgnął po końcówkę sztywnego łącza i przykleił ją tuż za miejscem, w którym przyjaciel jeszcze niedawno miał oczy.

– Orphu?

– Mahnmur? – Wielki morawiec odpowiedział zniekształconym, lecz mocnym głosem. Jego ton zdradzał niemałe zaskoczenie. – Gdzie jesteś? Jaką metodą się ze mną porozumiałeś? Nie mam ani jednego sprawnego systemu łączności.

Mahnmurza zalała fala ulgi i radości. Nawet szekspirowscy bohaterowie

nierzęsto przeżywali tak silne emocje.

– Jestem tuż obok ciebie. Podłączyłem się na sztywno. Wyciągnę cię stąd.

– Nie bądź głupi! – zagrział uszkodzony Orphu z lo. – Ja się już do niczego nie nadaję. Nawet nie...

– Zamknij się. Mam linę – uciszył przyjaciela Mahnmut. – Przywiążę cię. Tylko gdzie...

– Mniej więcej dwa metry za osłoną czujników znajdziesz klamrę – podpowiedział Orphu.

– Nie znajdę. Nie ma jej. – Mahnmut bardzo nie chciał wbijać haka w nadwerężony korpus morawca, lecz zdawał sobie sprawę, że może nie mieć wyjścia.

– W takim razie... – zaczął Orphu i na kilka strasznych sekund umilkł. Prawdopodobnie uświadomił sobie skalę doznanych uszkodzeń. – Z tyłu. Jak najdalej od pęknięć. Gdzieś nad dyszami silników.

Mahnmut postanowił nie mówić przyjacielowi, że zewnętrzne dysze również zniknęły w eksplozji. Odepchnął się, cofnął, znalazł inną klamrę i zaplótł na niej mocny węzeł. Morawiec bardzo się różnił od żeglarzy, jacy tysiące lat temu przemierzali ziemskie morza, ale podobnie jak oni, świetnie potrafił wiązać liny.

– Trzymaj się – rzucił Mahnmut. – Mam cię na uwięzi. I nie przejmuj się, jeżeli się na chwilę rozdzielimy. W takiej wirówce nigdy nie wiadomo, w którą stronę nas rzuci.

– Przecież to czyste szaleństwo! – zawołał Orphu, przekrzykując trzaski zakłóceń. – Nie masz w „Mrocznej damie” dość miejsca, a nawet jeżeli uda ci się mnie tam zaciągnąć, do niczego się już nie przydam. Nie mam nawet czym przytrzymać się kadłuba.

– Cicho bądź – odparł spokojnie Mahnmut. – Przyjacielu – dodał.

Uruchomił naraz wszystkie silniczki manewrowe i mocnym szarpnięciem zwolnił zaczepioną na haku linę.

Odrzut wyrwał Orphu z gniazda w kadłubie. Resztę pracy wykonała siła odśrodkowa. Oba morawce odleciały na sto metrów od wirującego pojazdu.

Wyniki obliczeń wektorów ruchu zajęły niemal całe pole widzenia Mahnmuta. Mars co dwie sekundy zamieniał się miejscami z usianą gwiazdami



puszką. Morawiec wyczuł, że sznur się napina, i włączył dopalacze – przeraźliwie szybko pożerające zapas energii – które pozwoliły mu dostosować lot do trajektorii statku. Podciągając się na długiej linie, ruszył z powrotem ku „Mrocznej damie”.

Korpus Orphu był masywny i bezwładny, co przy koziółkującym kadłubie szczególnie dawało się we znaki. Sznur jednak był niezwykle mocny, podobnie jak determinacja Mahnmuta. Odległość do otwartego luku ładowni z każdą chwilą malała.

Oslabiona przeciążeniami konstrukcja statku zaczynała się rozlatywać. Kawałki rufy odpadały i przelatowały obok trzymającego się pancerza przyjaciela Mahnmuta. W pewnej chwili tuż nad jego głową przemknęła dwutonowa bryła metalu. Wreszcie dotarli do celu.

Wszystko na marne. Ładownia wokół „Mrocznej damy” również pękała, targana kolejnymi eksplozjami. Wybuchwały wypełnione powietrzem komory, płonęły resztki paliwa. Mahnmut zrozumiał, że nie ma szans wejść do batyskafu przed ostateczną katastrofą.

– No cóż – mruknął do siebie. – W takim razie, to góra musi przyjść do Mahometa.

– Co powiedziałeś?! – zawołał Orphu, w którego głosie strach pojawił się dopiero w tej chwili.

Mahnmut przypomniał sobie o wciąż aktywnym sztywnym łączu.

– Nic, nic. Trzymaj się mocno.

– Niby jak mam się trzymać? Straciłem dłonie i manipulatory. Sam się trzymaj!

– Racja – przytaknął Mahnmut i ponownie uruchomił wszystkie dostępne silniki. Paliwo zużywał w takim tempie, że musiał się uciec do rezerw.

Udało się. „Mroczna dama” wynurzyła się z pogrążonej w ciemności ładowni na kilka krótkich sekund, zanim statek rozpadł się na dobre.

Mahnmut uparcie leciał przed siebie. Kilka bąbli roztopionego metalu ochlapało pancierz nieszczęsnego Orphu.

– Przepraszam cię, przyjacielu – wyszeptał Mahnmut i resztkami energii szarpnął koziółkujący batyskaf naprzód, byle dalej od umierającego za nimi pojazdu.

- Za co mnie przepraszasz? – zdziwił się Orphu.  
– Nieważne – sapnął Mahmmut. – Potem ci powiem.



Ciągnął, popychał, szarpał, aż wreszcie dotaszczył wielkiego morawca do niemal pustej ładowni „Damy”. W swojskiej ciemności pomieszczenia poczuł

się znacznie lepiej niż na zewnątrz. Stąd nie było widać maniakalnie wirujących gwiazd i Marsa, które przyprawiły go już o zawroty głowy. Wtłoczył przyjaciela do głównego luku bagażowego i przypiął go mechanicznymi chwytakami.

Orphu był bezpieczny. Oczywiście nad całą trójcą – dwoma morawcami i batyskafem – wciąż wisiało wielce prawdopodobne widmo zagłady, lecz teraz przynajmniej mieli zginąć razem. Mahnmut podłączył systemy komunikacyjne „Mrocznej damy” do gniazda w obudowie przyjaciela.

– Na razie jesteś bezpieczny-wydyszał. Czuł, że organiczne elementy jego konstrukcji znajdują się u kresu wytrzymałości. – Odcinam połączenie.

– Ale co z... – zaczął Orphu, lecz Mahnmut zerwał kabel i wspiął się ku słuzie. Nie straciła zasilania i przepuściła go dalej.

Ostatkiem sił podciągnął się przez rozhermetyzowany korytarz ku sterówce, ale nie wypełnił jej powietrzem, tylko podłączył się do systemu podtrzymywania życia. Tlen popłynął przewodami. W słuchawkach rozlegał się jedynie szum.

Instrumenty „Damy” wskazywały na poważne, lecz możliwe do usunięcia uszkodzenia.

– Żyjesz jeszcze? – spytał Mahnmut.

– Gdzie jesteś?

– Na mostku.

– Jak to wszystko wygląda, Mahnmut?

– Mówiąc w skrócie, statek się rozpadł. Rozerwała go siła odśrodkowa. Batyskaf jest w miarę sprawny. Zachowaliśmy powłokę maskującą i silniki na dziobie i rufie. Z tym, że nie mam pomysłu, w jaki sposób nimi sterować.

– Sterować? – Orphu dopiero teraz zrozumiał. – Nadal chcesz lądować? Na Marsie?

– A jaki mamy wybór?

Na sekundę lub dwie zapadła cisza. Większy morawiec rozważał dostępne możliwości.

– Zgoda – odezwał się wreszcie. – Myślisz, że uda ci się opanować „Mroczną damę” podczas lotu przez atmosferę?

– Za cholerę – odparł weselszym tonem Mahnmut. – Zainstaluję sterowniki,

które dostałem od Korosa, i przekażę dowodzenie tobie.

W słuchawkach rozległ się znajomy, basowy rechot, aczkolwiek Mahnmut nie do końca uwierzył, że przyjaciela mogło w tej chwili cokolwiek rozbawić.

– Chyba żartujesz? Przecież ja nic nie widzę. Straciłem oczy i kamery, a wraz z nimi całą sieć optyczną. Jestem wrakiem.

Ni mniej, ni więcej. Mózgiem w popękany słoju. Naprawdę, powiedz, że to był dowcip.

Mahnmut pobrał z komputera batyskafu oprogramowanie i dane dotyczące silników i spadochronów. Zawity kod nie mówił mu właściwie nic. Włączył wszystkie zewnętrzne kamery, lecz już po chwili spoglądania na monitory musiał odwrócić wzrok. Nieustanny kołowrót wciąż wywoływał mocno nieprzyjemne odczucia. Mars przesłaniał już cały widok.

Pod nimi wirowały kolejno: biegun, błękit oceanu, skrawek czarnego kosmosu i znów lodowa czapa. Mahnmutowi zrobiło się niedobrze.

– Gotowe – oświadczył, kiedy zainstalował już wszystkie aplikacje. – Oczy zastąpię ci ja. Otrzymasz ode mnie wszystkie dane, jakie tylko zdoła zebrać batyskaf. Ustabilizuj nas i sprowadź na dół.

Tym razem o pomyłce nie mogło być mowy. Orphu rzeczywiście zaniósł się swoim chrapliwym, basowym śmiechem.

– Pewnie, w sumie, dlaczego nie – rzucił. -1 tak zginiemy przy zderzeniu z powierzchnią.

Na rozkaz morawca okrągłe dysze silników „Mrocznej damy” zapłonęły żywym ogniem.

# 15

## *Równina Ilionu*

Diomedes, dosłownie zapędzony do walki przez powożącą rydwanem, potężnie uzbrojoną i skrytą w obłoku mgły Atenę, pędzi na Aresa.

Nigdy jeszcze nie widziałem podobnej sytuacji. Najpierw syn Tydeusa własnoręcznie zranił Afrodytę, a teraz ten ulepszony argiwski wojownik rzuca wyzwanie samemu bogowi wojny. *Aristeia* z bogiem. Niesamowita sprawa.

Ares, czego można się było spodziewać, przyrzekł dzisiejszego ranka Zeusowi i Atenie, że wspomże Greków, i teraz, rozdrażniony kpinami Apolla i gnany przez własną, zdradziecką naturę, bezlitośnie wycina w pień Achajów. Ledwie kilka minut temu zamordował Peryfasa, syna Ochezjosa, najbardziej znamienitego wojownika z całego etolskiego kontyngentu. W tej chwili, zajęty obdzieraniem poległego ze zbroi, podnosi wzrok i zauważa zmierzający wprost na niego rydwan Ateny. Bogini jest przesłonięta czarnym, maskującym woalem. Ares oczywiście zdaje sobie sprawę, że pojazd prowadzi jedno z bóstw, lecz nie traci czasu na rozstrzyganie zagadki i podejmuje decyzję. Musi zgładzić Diomedesa.

Uderza pierwszy. Kieruje ostrzem swej włóczni z istic boską precyzją. Wymierzony prosto w serce Achaja grot świszczę w powietrzu tuż ponad burtą rydwanu. Atena jednak wyciąga ze swego obłoku rękę i odtrąca pocisk na bok. Ares przez moment gapi się z niedowierzaniem na spadającą włócznię, której wolframowe ostrze wbija się w kamienisty grunt.

Kiedy grzechoczący rydwan zrównuje się niemal z bogiem wojny, swoją szansę otrzymuje Diomedes. Wychyla się daleko i rzuca swoją naładowaną boską energią brązową włócznią. Podarunek Ateny, pole Plancka, pozwala

ludzkiej broni przeniknąć otaczające boga pole siłowe, przebić zdobny pas Aresa i wreszcie wniknąć Olimpijczykowi w trzewia.

W porównaniu z okrzykiem bólu boga wojny, wcześniejsze wstrząsające wycie Afrodyty wydaje się jedynie cichym szeptem. Przypominam sobie, że Homer opisał go następująco: „Tak doniośle zaryczał bóg Ares miedziany, jako dziewięć lub dziesięć tysięcy by razem krzyknęło ludzi, krwawym walczących żelazem”. Jednakże nawet wyobraźnia wielkiego poety nie pozwoliła mu oddać rzeczywistości. Po raz drugi tego dnia obie armie przerywają swą krwawą robotę, wojownicy są przerażeni tym wszechdoniosłym, wściekłym skowytom. Nawet szlachetny Hektor – skupiony dotąd na przedzieraniu się przez ścianę achajskich ciał, grodzących mu drogę do cofającego się Odysa – wstrzymuje szturm i zwraca głowę w kierunku zbroszonego krwią placu, na którym chwieje się ranny Ares.

Diomedes chce dokończyć dzieła. Zeskakuje z rydwanu Ateny, lecz bóg wojny, skręcany boskim bólem, zaczyna się przeobrażać. Rośnie, traci ludzki kształt. Powietrze wokół Diomedesa i pozostałych stłoczonych Greków i Trojan – zmagających się wciąż nad zapomnianym w tej chwili zewłokiem Peryfasa – wypełnia się fruwającymi na wszystkie strony śmieciami; piachem, strzępkami tkanin i skóry. Ares nie jest już bogiem. Staje się... czymś zupełnie innym. W miejsce wysokiej sylwetki patrona żołnierzy pojawia się wir, cyklon czarnej plazmy, strzelający dokoła błyskawicami, które, nie szczędząc nikogo, rażą zarówno Trojan, jak i Achajów.

Diomedes krzywi się i cofa. W obliczu tak wściekłego huraganu ostygł nawet krwiożerczy zapal Argiwa.

Zaraz potem Ares znika. Tekuje się, podtrzymując jelita uwalanymi ichorem dłońmi. Na polu bitwy panuje taki bezruch, jakby bogowie ponownie powstrzymali upływ czasu. Jednak nie – wszak ptaki wciąż latają, kurz powoli opada, wieje wiatr. Bezruch wynika wyłącznie z oszołomienia i grozy – ni mniej, ni więcej.

– Widziałeś kiedyś coś podobnego, Hockenberry?

Drgnąłem, słysząc głos Nightenhelsera. Zupełnie zapomniałem, że scholiasta stoi tuż obok.

– Nie – przyznaję.

Jeszcze przez chwilę milczymy, aż wreszcie śmiertelnicy na nowo podejmują walkę, a zamaskowana Atena teleportuje się z rozpędzonego rydwanu. Dopiero wówczas postanawiam zostawić kolegę samego.

– Morfuję się i sprawdzę, jak zareagowała królewska rodzina. Na pewno wszystko widzieli z murów miasta – informuję Nightenhelsera, po czym znikam.

Rzeczywiście morfuję, lecz tylko po to, by ukryć przed nim swój prawdziwy zamiar. Ukryty w tumanach kurzu, korzystam z ogólnego zamieszania i nasuwam na głowę Hełm Śmierci. Aktywuję medalion i tekuję się w ślad za rannym Aresem, którego krętym, kwantowym tropem zmierzam prosto na Olimp. Z chaosu kwantowego przesunięcia fazowego nie wynurzam się jednak na zielonych trawnikach, ani w Dworze Bogów, lecz w przestronnej sali, która nie przypomina żadnej komnaty jaką dotąd widziałem. Otoczenie wygląda raczej jak dwudziestowieczny szpital. W sterylnym pomieszczeniu stoją grupkami bogowie i inne istoty. Przez pierwsze pół minuty po materializacji, wstrzymuję oddech.

Moje serce ponownie przyśpiesza. Czekam, by się przekonać, czy bóstwa lub ich słudzy wykryli obecność intruza.

Najwyraźniej nie.

Ares spoczywa na stole operacyjnym – inaczej nie da się tego mebla nazwać – i poddaje się zabiegom trzech człękokształtnych postaci, które jednak nie są prawdziwymi ludźmi. Mogą być robotami – tyle że wyjątkowo gibkimi, bardziej organicznymi i obcymi niż jakiegokolwiek automaty, o jakich ludzie śnili w czasach mojego poprzedniego życia.

Jeden z nich podłącza boga wojny do kroplówki, inny bada rozplątany brzuch Aresa za pomocą jarzącego się ultrafioletem przyrządu.

Ranny bóg nadal ściska rękoma brzuch, z którego wylewają się krwawe wnętrzności. Na jego obliczu malują się ból, strach i gniew. Innymi słowy, wygląda jak człowiek.

Wzdłuż białej ściany stoi długi szereg wysokich na przynajmniej dwadzieścia stóp olbrzymich kadzi. Wypełnione są bulgocącą fioletową cieczą, plątaniną przewodów i kabli oraz... bogami. Ich wysokie, opalone, doskonałe postacie pozostają w rozmaitych stadiach rekonstrukcji. Bądź

rozkładu. Zauważam puste jamy brzuszne, bielejące kości, pokryte siateczkami żył czerwone mięśnie, obrzydliwe obnażone czaszki. Ze wszystkich tych bóstw udaje mi się rozpoznać jedynie Afrodytę. Unosi się w drugim zbiorniku. Otoczona falującymi kosmykami długich włosów, z ciałem jak zwykle perfekcyjnym, nie licząc faktu, że idealny przegub i dłoń trzymają się idealnego przedramienia tylko na wąłym pasku skóry. Na jej ścięgnach, wiązadłach i kościach wiją się zielone czerwie. Albo żerują na tkankach bogini miłości, albo próbują je posklejać. Odwracam wzrok.

W sali pojawia się Zeus. Majestatycznym krokiem wymija pozbawione przycisków monitory, obleczone powłoką syntetycznego ciała roboty i bogów, którzy z respektem pochylają głowy i ustępują mu z drogi. Głowa Gromowładnego zwraca się na moment w moją stronę. Przenikliwe spojrzenie świdruje mnie na wylot. Już wiem, że zostałem odkryty.

Czekam na grzmiący ryk boga i uderzenie pioruna... A jednak przeżyłem. Zeus wiedzie spojrzeniem gdzie indziej – czyżbym naprawdę zauważył na jego twarzy nikły uśmieszek? – i podchodzi do Aresa, który nadal siedzi skulony na stole, pośród unoszących się w powietrzu maszyn i doglądających jego obrażeń robotów.

Zeus przygląda się rannemu bogowi z rękoma na piersi. Poły togi układają się na jego sylwetce w zgrabne fałdy. Stoi z opuszczoną głową. Ma starannie przystrzyżony zarost i krzaczaste brwi. Z szerokiej piersi bije blask brązu i aura siły.

W spojrzeniu Gromowładnego czai się gniew. Nie przypomina w tej chwili zatroskanego rodzica. Moim zdaniem to raczej mina poirytowanego dyrektora szkoły.

Jako pierwszy odzywa się Ares.

– Zeusie, ojcze, czy nie czujesz wściekłości, widząc, jak krwawych czynów dopuszczają się ludzie? Jak wiele jest w ich sercach przemocy? Owszem, jesteście wiecznotrwałymi, nieśmiertelnymi bóstwami, ale cholera jasna, przecież zawsze, kiedy okażemy tym śmiertelnym psom odrobinę łaskawości, w zamian spotykają nas tylko zniewagi i ból. I to wskutek naszych własnych sprzeczek i konfliktów. Co gorsza, nie musimy walczyć tylko z tymi ulepszonymi synami kurew, lecz również, panie, przeciwko tobie.



Ares zaczerpuje głęboko tchu, krzywi się z bólu i czeka. Zeus nie odpowiada, nadal przygląda się bogu wojny jakby rozważał zasłyszane słowa.

– Jest jeszcze problem Ateny – kontynuuje ranny bóg. – Zanadto popuściłeś tej dziewczusze wodze, boski synu Kronosa.

Odkąd wydałeś to dziecię chaosu i zniszczenia na świat z własnej głowy, pozwalasz jej na wszystko. Nigdy nawet nie spróbowałeś utemperować jej kapryśnej natury. A dzisiaj przemieniła śmiertelnika Diomedesa w potężne narzędzie wojny i natchnęła jego serce myślą o buncie przeciwko nam, bogom. – Ares jest wzburzony, targają nim silne emocje.

Przy każdym słowie tryskają mu z ust kropelki śliny. Wciąż też widać szaroniebieskie, uwalane złocistą krwią zwoje jego jelit. – Najpierw pchnęła tego... tego... śmiertelnika do ataku na Afrodytę. Rozorał jej nadgarstek, przelał boską krew.

Pomocnicy Uzdrowiciela twierdzą, że cały dzień będzie musiała spędzić na rekonwalescencji w kadzi. A potem Atena skierowała Diomedesa przeciwko mnie! Mnie! Bogu wojny! I to wzmocnione nanotechnologią cielsko okazało się na tyle żwawe, że gdybym nie zareagował dość prędko, sam trafiłbym do kadzi na długie dni lub tygodnie. Może nawet czekałoby mnie wskrzeszenie. Gdyby grot jego włóczni przeszył me serce, wciąż leżałbym, wijąc się pomiędzy ludzkimi truchłami. I cierpiałbym jeszcze bardziej okrutnie niż teraz. Powalony przez marnego śmiertelnika, słaby niczym widmo z naszej ziemskiej przeszłości i...

– Dość! – ryczy Zeus. Cichnie nie tylko diatryba Aresa, lecz również wszyscy obecni bogowie i roboty. – Tak żałosnego kwiczenia nie będę tolerować ani chwili dłużej. Aresie! Ty zakłamany, dwulicowy, zdradziecki wypierdku! Ty nędzna imitacja mężczyzny! Mężczyzny, powiadam, bo na miano boga nie zasługujesz na pewno.

Ares spogląda z niedowierzaniem, otwiera usta, ale w przypiływie – jak sądzę – mądrości nie odzywa się słowem.

– Posłuchaj tylko, jak biadolisz i kwękasz z powodu byle draśnięcia – drwi Zeus i wyciąga przed siebie potężne ramię, jakby szykując się do wymazania boga wojny ze świata. – Ciebie nienawidzę najbardziej spośród tych wszystkich robaków, które w dniu przemiany zostały wybrane do roli bogów.

Niegodny hipokryto. Tchórzliwy kochanku śmierci i bitewnego zgiełku. Odziedzyczyłeś, Aresie, podłość po swej matce. Podłość i skłonność do gniewnych wybuchów. Przyznaję, nie zawsze potrafię postawić Herę do pionu, zwłaszcza gdy wbije sobie do głowy jakiś szczególny pomysł. Jak na przykład wyróżnienie w pień Achajów.

Ares zgina się w pół. Wygląda to tak, jakby zabołały go słowa Zeusa, lecz domyślam się, że prawdziwym powodem nowej fali cierpienia jest kulisty robot, zakładający mu na rozcięty brzuch szwy za pomocą groźnie zjeżonego igłami urządzenia.

Zeus nie zwraca uwagi na medyczne zabiegi. Zaczyna przechadzać się w tę i z powrotem po sali. Przystaje dwa metry ode mnie, zawraca i na powrót podchodzi do przygarbionego, skrzywionego Aresa.

– Mam szczerą nadzieję, że cierpisz z powodu knozań matki...o, panie wojny. – W głosie Zeusa słychać sarkazm. – Ja pozwoliłbym ci zdechnąć.

Bóg wojny zadziera głowę. Na jego twarzy rysuje się nieklamana groza i szok. Widząc tę minę, Zeus wybucha głośnym śmiechem.

– Cóż to, nie wiedziałeś, że i my możemy zginąć? Umrzeć naprawdę, tak że nie pomoże nam rekonstrukcja w kadzi lub nawet wskrzeszenie? Otóż możemy, mój synu. Możemy.

Skonsternowany Ares zwiesza głowę. Maszyna skończyła już upychać boskie wnętrza do jamy brzusznej. Ostatnie szwy spajają brzegi rany.

– Uzdrowicielu! – huczy Zeus.

Jakaś wysoka, niepodobna do człowieka, istota wychodzi zza bulgocących kadzi. Kojarzy mi się bardziej ze stonogą niż robotem. Wyposażona jest w liczne segmentowane odnóża. Wodzi wokół czerwonymi, owadzimi ślepiami. Składający się z kilku połączonych przegubami segmentów tułów znajduje się piętnaście stóp poniżej głowy. Wielkie ciało Uzdrowiciela obwieszane jest rozmaitymi przyrządami, pasami i kawałkami organów.

– Nadal pozostajesz mym dzieckiem – rzuca Zeus prosto w wykręcone oblicze boga. Gromowładny przemawia teraz nieco ciszej. – Jesteś mym synem, tak jak ja jestem synem Kronosa. To ja sprowadziłem cię na świat poprzez łono twej matki.

Ares podnosi rękę. Być może chciał chwycić Zeusa za ramię, lecz ojciec

ignoruje ten gest.

– Możesz być pewny jednego – ciągnie pan Olimpu. – Gdybyś wyrósł z nasienia innego boga i okazał się takim gównojadem jakim jesteś, nie żyw złudzeń. Już dawno temu cisnąłbym cię w tę samą ciemną, bezdenną otchłań, w której do dziś cierpią kaźń Tytani.

Zeus przywołuje gestem Uzdrowiciela, po czym odwraca się na pięcie i dostojnie opuszcza salę.

Cofam się, podobnie jak zebrani bogowie. Masywny Uzdrowiciel podnosi tymczasem Aresa pięcioma kończynami, zanosi go do pustego zbiornika, podłącza rozmaite przewody, kable i rurki, po czym zanurza boga wojny w spienionym fioletowym płynie. Gdy tylko ciecz zalewa głowę, Ares zamyka oczy, a zielone czerwie wypełzają z otworów w szkle, gromadzą się przy rozoranym brzuchu i ochoczo zabierają do dzieła.

Nic tu po mnie.

\* \* \*

Powoli nabieram wprawy w posługiwaniu się teleportacyjnym medalionem. Wystarczy, że wyraźnie wyobrażę sobie miejsce, do którego zamierzam się udać, a kwantowe urządzenie samo wykonuje całą robotę. Wyobrażam więc sobie mój uniwersytecki kampus w dwudziestowiecznej Indianie. Medalion nie reaguje. Wzdycham z żalem i przywołuję pod powieki obraz podnóża Olimpu i dormitorium scholiastów.

Natychmiast materializuję się u celu. Niewidoczny – nadal mam na głowie Hełm Hadesa – staję przed czerwonymi stopniami, wiodącymi do zielonych drzwi wzniesionego z rudawego kamienia budynku.

Mam za sobą koszmarne ciężki dzień i marzę już tylko o dotarciu do pryczy, zrzuceniu z siebie całego żelastwa i choćby krótkiej drzemce. Raport Muzie równie dobrze może złożyć Nightenhelser.

Jakbym przywołał ją myślami. Muza pojawia się dwa metry ode mnie. Niebawale. Jeszcze nigdy nie odwiedziła naszych koszar. Zawsze to my wjeżdżamy kryształową windą do jej komnat.

Nie ściągając hełmu z głowy, idę za Muzą do świetlicy.

– Hockenberry! – woła swym boskim, donośnym głosem.

Młody scholiasta imieniem Blix, pochodzący z dwudziestego drugiego stulecia specjalista od Homera, któremu dzisiaj przypadła nocna zmiana na równinie, wychodzi ze swego pokoju. Przeciera oczy i wlepia w nią zaskoczone spojrzenie.

Widać, że nie rozumie, co się dzieje.

– Gdzie jest Hockeberry? – syczy Muza.

Blix kręci niepewnie głową. Opadła mu szczeka. Spał tylko w bokserkach i poplamionym podkoszulku.

– Hockenberry! – Zniecierpliwiona Muza domaga się odpowiedzi. – Nightenhelser twierdzi, że przeniósł się do Ilionu, ale tam go nie zastałam. Nie złożył mi raportu. Widziałeś tu w ogóle scholiastów z dziennej zmiany?

– Nie, moja bogini – odpowiada nieborak, chyląc głowę w geście, który ma chyba wyrażać uniżoność.

– Wracaj do łóżka – rzuca zde gustowana Muza.

Wychodzi na zewnątrz i spogląda ze wzgórza w kierunku brzegu, na którym zielone ludziki mozolnie ciągną rzeźbione głowy z kamieniołomu. Po chwili znika w towarzyszącym teleportacji syku powietrza.

Oczywiście mógłbym udać się za nią. Mam przecież medalion. Chociaż właściwie... po co? Muza zapewne chce odzyskać swe podarunki. Teraz, gdy Afrodyta trafiła do kadzi, stanowią dla niej potencjalne zagrożenie. Dam głowę, że, nie licząc bogini miłości, tylko Muza wie o moich szpiegowskich gadżetach.

Ponadto, możliwe że nawet ona nie ma pojęcia, do czego jestem Afrodycie potrzebny.

Mam obserwować Atenę, a w końcu ją zabić.

Dlaczego? Nawet jeśli ostre słowa, jakie Zeus skierował do Aresa, były prawdziwe – nawet jeżeli bogowie rzeczywiście są śmiertelni – to czy mógłby ich wykończyć zwykły człowieczek? Przecież nawet ulepszonego Diomedesa dwoił się dziś i troił, by pozbawić życia dwoje bogów.

I udało mu się wykluczyć oboje z akcji. Teraz unoszą się w kadziach, oblepieni rojami zielonych, przeżuwających ich ciała czerwi.

Kręcę głową. Nagle ogarnia mnie przemożne znużenie i niepewność. Moja

próba przeciwstawienia się bogom, mimo że podjąłem ją nie dawniej niż dwadzieścia cztery godziny temu, praktycznie spaliła już na panewce. Jutro o tej porze zginę z rozkazu Afrodyty.

Dokąd mam uciec?

Nie zdołam zbyt długo ukrywać się przed bogami. Jeżeli domyślą się, że tego próbuję, Afrodyta założy sobie wkrótce nowe podwiązki. Patronka miłości – ona może mnie zobaczyć – znajdzie mnie, gdy tylko opuści jutro leczniczą kadź.

Mógłbym się teleportować z powrotem na pole bitwy i pozwolić, by odszukała mnie Muza. Być może to moja jedyna szansa. Nawet jeżeli odbierze mi sprzęt, to zapewne pozwoli mi żyć do czasu przybycia Afrodyty. Czy mam cokolwiek do stracenia?

To cały dzień. Afrodyta spędzi w kadzi jeszcze dobę i przez ten czas żaden z Olimpijczyków nie zdoła mnie zobaczyć ani odnaleźć. Jeden dzień.

Mówiąc w skrócie: został mi jeden dzień życia.

Z tą myślą podejmuję wreszcie decyzję.

# 16

## *Ocean Południowy*

Ostatecznie czwórka podróżnych zdecydowała się coś zjeść.

Savi zniknęła na kilka minut w jednym z oświetlonych tuneli, skąd wróciła z ciepłymi daniami – kurczakiem z gotowanym ryżem oraz paprykowym curry z kawałkami grillowanej jagnięciny. Mimo że wędrowcy najedli się w Ułanbacie do syta, minęło już dobre kilka godzin i rzucili się na poczęstunek z wielkim zapałem.

– Jeżeli czujecie się znużeni, możecie dzisiaj przenocować u mnie, a wyruszymy nazajutrz – zaproponowała staruszka. – W kilku pokojach urządziłam wygodne sypialnie.

Zgodnie odpowiedzieli, że nie są senni – według czasu Krateru Paryskiego nastąpiło dopiero późne popołudnie.

Daeman rozejrzał się, przełknął kęs soczystego mięsa i zapytał: – Dlaczego mieszkasz w... – Spojrzał na Harmana. – Jak to nazwałś?

– Góra lodowa – odpowiedział mężczyzna.

Daeman zwrócił się z powrotem do Savi: – Dlaczego mieszkasz we wnętrzu góry lodowej?

– Wybrałam to miejsce z powodu... powiedzmy... podeszłego wieku i związanej z nim nostalgii. – Uśmiechnęła się i pochwyciła uważny, skupiony wzrok Harmana. – Kiedy czternaście waszych pokoleń temu odbyło się ostatnie faksowanie, beze mnie, przebywałam akurat na urlopie w podobnym miejscu.

– Zawsze mi się wydawało, że przed faksowaniem zgromadzono razem wszystkich ludzi – wtrąciła Ada. Wytarła palce w piękną, lnianą serwetkę. –

Wszystkich bez wyjątku, miliony dawnych ludzi.

Savi pokręciła głową.

– Żadne tam miliony, moja droga. Gdy postludzie przeprowadzili ostatnie faksowanie, było nas niewiele ponad dziewięć tysięcy osób. O ile się nie mylę, nikt z tych ludzi, w tym moich przyjaciół, nie został po Interludium odtworzony. Pandemię rubikonu przetrwali wyłącznie Żydzi, wiecie, z powodu naszej wrodzonej odporności na ten wirus.

– Kim są Żydzi? – zaciekała się Hannah. – Znaczący, kim byli?

– To teoretyczny konstrukt teorii ras – odpowiedziała gospodyni. – Nie do końca precyzyjnie wyodrębniona grupa genetyczna, powstała wskutek trwającej kilka tysięcy lat izolacji kulturowej i religijnej. – Powiodła spojrzeniem po twarzach czwórki gości.

Tylko mina Harmana sugerowała, że mężczyzna cokolwiek zrozumiał.

– Oczywiście nie jest to wcale istotne – dodała półgłosem. – Niemniej właśnie z tego powodu nazwano mnie Żydówką Wieczną Tułaczką. Stałam się postacią z mitu. Legendą. Samo wyrażenie „wieczna tułaczka” przetrwało, mimo że utraciło swoje pierwotne znaczenie. – Savi uśmiechnęła się z niejakim smutkiem.

– Jak to się stało, że nie zostałam uwzględniona w ostatnim faksowaniu? – zapytał Harman. – Dlaczego postludzie cię tutaj zostawili?

– Nie wiem. Sama zadaję sobie to pytanie od stuleci. Być może po to, bym mogła pełnić rolę... świadka.

– Świadka? – zdziwiła się Ada. – Świadka czego?

– W wiekach przed i po ostatnim faksowaniu na niebie i Ziemi zachodziły liczne niesamowite zmiany, moje dziecko.

Wyobrażam sobie, że postludzie uznali, że potrzebny jest ktoś, choćby jeden z dawnych ludzi, kto da temu wszystkiemu świadectwo.

– Wspomniałaś o zmianach – zauważyła Hannah. – Nie wiem, czy zrozumiałam.

– Nic w tym dziwnego, kochana, nic dziwnego. Ty, twoi rodzice i dziadkowie znaleźcie świat, w którym zmiany nie zachodzą wcale. Może z wyjątkiem narodzin i odchodzenia ludzi, ale i to odbywa się w stałym tempie, równo co sto lat.

Przemiany, o jakich mówiłam, też nie wszystkie były widoczne. Jednakże obecna Ziemia nie jest tą samą, po której stąpali moi przodkowie i pierwsi postludzie.

– Co się właściwie zmieniło? – zapytał Daeman, choć jego ton wskazywał na niezbyt duże zainteresowanie odpowiedzią.

Savi skierowała na niego swe żywe, szarobłękitne oczy.

– Po pierwsze, nie ma już Żydów. To oczywiście błahostka w porównaniu ze wszystkimi innymi różnicami, niemniej dla mnie rzecz jest istotna.

\* \* \*

Wskazała im drogę do oddzielnych łazienek i zasugerowała, że przed podróżą powinni zdjąć termoskóry.

– Jak to? Nie przydadzą się? – rzucił lekko zaskoczony Daeman.

– Po drodze do sonika faktycznie może nam być trochę chłodno – przyznała staruszka. – Ale damy radę. A potem skafandry nie będą już potrzebne.

Ada wysliznęła się z termoskóry, przebrała i poszła do salonu. Kiedy siedziała na kanapie i rozmyślała, wpatrując się w lodowe ściany, z sąsiedniego pomieszczenia wyszła Savi. Gospodyni włożyła grubsze spodnie, a także mocne, wysokie buty i płaszcz z podszewką. Czapkę wsunęła głęboko na głowę. Siwe włosy spięła w koński ogon. Na ramieniu dźwigała wypchany, spłowiały plecak koloru khaki. Ada jeszcze nigdy nie widziała żadnej kobiety w podobnym stroju. Wygląd i styl staruszki mocno ją fascynował. Po chwili dziewczyna uświadomiła sobie, że nie chodzi tylko o zewnętrzną fascynację. Savi fascynowała ją całą swoją osobą.

Harman także patrzył z niekłamaną fascynacją, lecz nie na osobę gospodyni, a na broń, którą wciąż nosiła za paskiem.

– Nadal zastanawiasz się, czy jednego z nas nie zastrzelić? – zapytał.

– Nie – odparła kobieta. – W każdym razie nie w tej chwili. Ale pistolet bywa od czasu do czasu przydatny.

Po drodze z wnętrza lodowej góry na powierzchnię i do czekającego sonika rzeczywiście było zimno. Wiatr bezustannie zawodził, a śnieg nie przestawał sypać. Na szczęście ukryty pod kopułą pola siłowego pojazd nie zdążył



ostygnąć. Savi zajęła miejsce z przodu, gdzie wcześniej leżał Harman. Ada umościła się w swoim wgłębieniu z prawej strony. Gdy staruszka przesunęła dłoń nad czarną wypukłością pod uchwytem, wyświetlił się holograficzny pulpit sterowniczy.

– A to skąd się wzięło? – zapytał leżący po lewej stronie starej kobiety Harman. Między Hanną i Daemanem zostało jedno wolne wgłębienie.

– Uznałam, że niemądrze będzie pozwolić wam pilotować sonik własnoręcznie – wyjaśniła Savi. Upewniła się, czy wszyscy leżą i są odpowiednio zabezpieczeni, po czym pociągnęła drążek. Maszyna wydała z siebie głęboki pomruk i uniosła się pionowo na siedem lub osiem stóp ponad lód. Następnie staruszka wykonała pełną odwróconą pętlę – pole siłowe nie pozwoliło im wypaść z miejsc, lecz poczuli się tak, jakby mieli lada chwila runąć na niebieską, zmrożoną powierzchnię i spaść do dalekiego, czarnego morza – po czym wyrównała lot, skręciła w lewo i zaczęła ostro wzbijać się ku gwiazdom.

Lecieli wysoko i bardzo szybko. Kierowali się na północny zachód. W pewnej chwili Harman wyciągnął rękę ku górze i trącił palcem elastyczne pole siłowe.

– Czy twój pojazd może dolecieć aż tam? – zapytał.

– Dokąd? – odparła Savi, skupiona na wskazaniach holograficznego wyświetlacza. Dopiero kiedy uniosła wzrok, zrozumiała. – Na pierścień B?

Harman odwrócił się i leżał już prawie na plecach, wpatrzony w obracający się wysoko nad biegunem z północy na południe pierścień. Dziesiątki tysięcy składających się na niego obiektów lśniło niezwykłym blaskiem w czystym, rozrzedzonym na tej wysokości powietrzu.

Staruszka pokręciła głową.

– To jest tylko sonik, nie statek kosmiczny. Pierścień B znajduje się naprawdę bardzo daleko. A dlaczego chciałbyś tam polecieć?

Harman nie odpowiedział.

– Wiesz może, gdzie można znaleźć statek kosmiczny? – zapytał.

Savi ponownie się uśmiechnęła. Obserwująca ją nieustannie Ada zwróciła uwagę na szeroki repertuar min kobiety – staruszka potrafiła się uśmiechać ciepło, chłodno, a także w taki sposób jak teraz, z cieniem oziębłej ironii.

– Może i wiem – odpowiedziała tonem, który dobitnie przestrzegał przed dalszym wypytywaniem.

– Widziałaś postludzi na własne oczy? – zmieniła temat Hannah.

– Tak, kilku spotkałam osobiście – przyznała Savi, podnosząc trochę głos, by szum pędzącego na północ sonika nie zagłuszył jej słów.

– Jacy byli? Opowiedz o nich – poprosiła dziewczyna z nutą tęsknoty.

– Przede wszystkim, były to same kobiety – zaczęła staruszka.

– Same? – Hannah otworzyła szeroko oczy.

– Tak. Wielu z nas podejrzewało, że na Ziemi pojawiało się niewielu postludzi, tylko pod różnymi postaciami. Wyłącznie kobiecymi. Niewykluczone też, że po prostu nie było wśród nich mężczyzn. Może kiedy planowali swą ewolucję, postanowili zrezygnować z podziału na płcie? Któż to może wiedzieć?

– A imiona zachowali? – zapytał Daeman.

Savi skinęła głową.

– Ta, którą najlepiej znałam... czy może lepiej, ta którą najczęściej widywałam... nazywała się Mojra.

– Ale jakie one były? – Hannah nie rezygnowała. – Jakie miały charaktery? Jak wyglądały?

– Zdecydowanie wolały fruwać niż chodzić – powiedziała enigmatycznie staruszka. – Chętnie urządzały dla nas, dawnych ludzi, przyjęcia. I bardzo często komunikowały się za pomocą istic delfickich zagadek.

Na około minutę w pojeździe zapadła cisza. Słyszeli tylko szmer wiatru omiatającego poliwęglanowy kadłub i pole siłowe sonika. Wreszcie milczenie przerwała Ada.

– Często przylatywały z pierścieni na Ziemię?

– Nie bardzo. – Savi pokręciła głową. – Pod koniec już w ogóle sporadycznie, zwłaszcza w latach bezpośrednio poprzedzających ostatnie faksowanie. Pojawiła się za to plotka, że w Basenie Śródziemnym zbudowali jakieś instalacje.

– Basen Śródziemny? – zainteresował się Harman.

Staruszka uśmiechnęła się pod nosem. Ada zaklasyfikowała minę jako wyraz rozbawienia.

– Tysiąc lat przed ostatnim faksowaniem postludzie osuszili sporych rozmiarów morze, położone na południe od Europy. Pomiedzy cyplem zwanym niegdyś Gibraltarem a wybrzeżem Afryki Północnej zbudowali tamę. Dawnym ludziom wzbronili tam wstępu. Wiele z uzyskanych w ten sposób terenów przeznaczono pod uprawę, tak nam przynajmniej tłumaczyli sami postludzie. Mnie jednak udało się tam zakraść i zanim mnie nakryli i wyrzucili, zobaczyłam... hmm, najlepszym określeniem będą tu chyba „miasta”. O ile coś wzniesionego z energomaterii wolno nazywać miastem.

– Co to jest energomateria? – zapytała Hannah.

– Nieistotne, moje dziecko.

Harman znowu wyciągnął się na brzuchu i uniósł na łokciach. Pokręcił głową.

– Nigdy nie słyszałem o tym Basenie Śródziemnym. Ani o Gibraltarze i tej... jak mówisz?... Afryce Północnej.

– Wiem, że znalazłeś kilka map, Harmanie, i nauczyłeś się je jako tako odczytywać.... Zdobyłeś jednak marne mapy.

W dodatku stare. Te nieliczne atlasy, którym postludzie pozwolili dotrzeć aż do obecnej, postpiśmiennej epoki są po prostu.... nieszkodliwe.

Harman ściągnął brwi. Umilkli. Sonik frunął coraz dalej na północ.

\* \* \*

Z polarnej nocy wylecieli w promienie popołudniowego słońca. Ciemne połacie oceanu zostawili już za sobą i sunęli teraz nad lądem, na wysokości, jakiej mogli się tylko domyślać, z prędkością, o jakiej nigdy nawet nie marzyli. Pierścień B zbladł na coraz jaśniejszym niebie, a na północny zamajaczył pierścień R.

Ziemię przesłaniała warstwa wysokich białych chmur. Dopiero po jakimś czasie ujrzeli daleko w dole ośnieżone wierzchołki gór i lodowcowe doliny. Po wschodniej stronie skalistego łańcucha Savi obniżyła lot i na wysokości kilku tysięcy stóp pofrunęli nad lasem deszczowym i zielonymi sawannami. Poruszali się tak prędko, że od chwili, kiedy kolejne szczyty wyrastały na horyzoncie jako drobne punkciki, do momentu, gdy stawały się potężnymi

górami, miały ledwie minuty.

– Czy to jest może Ameryka Południowa? – zapytał Harman.

– Dawniej, owszem – przytaknęła Savi.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chcę powiedzieć że od czasów, kiedy sporządzano znane ci mapy, kształty kontynentów dość mocno się zmieniły – powiedziała staruszka. –

Dawniej nosiły także inne nazwy. Czy na twoich mapach ten ląd był połączony z innym, zwanym Ameryką Północną?

– Tak.

– To już nieaktualne.

Kobieta dotknęła kilku holograficznych symboli, poruszyła drażkiem i sonik obniżył lot. Ada uniosła się na łokciach i rozejrzała, muskając włosami powłokę pola siłowego. Sonik bezszelestnie, nie licząc szmeru powietrza nad ich ochronną kopułą, frunął tuż nad koronami drzew – niemal dotykali czubków sagowców, olbrzymich paproci i starożytnych, bezlistnych gigantów. Na zachodzie piętrzyły się wzgórza, biegnące równoległe do wysokich gór. Na wschodzie, w oddali, rozciągały się trawiaste, usiane prymitywnymi drzewami równiny. Ogromne, przypominające ruchome skały zwierzęta kroczyły dostojnie nad brzegami rzek i jezior. Pyski tych porośniętych białą, brązową, beżową lub rudą sierścią roślinożerców miały przedziwne kształty. Ada nie potrafiła wymenić nazwy ani jednego gatunku. Nagle, sto stóp pod brzuchem sonika, przegalopowało całe stado. Zwierzęta gnały w panice, uciekając przed drapieżnikami, którymi okazały się przypominające ptaki stwory – wielkie, wysokie na co najmniej osiem stóp, opierzone i obdarzone najbrzydszymi dziobami, jakie dziewczyna kiedykolwiek widziała. Roślinożercy umykali na złamanie karku. Zanim pojazd poleciał dalej, oceniła, że przerażone istoty pędziły trzydzieści lub czterdzieści mil na godzinę. Ptaki okazały się jednak szybsze o jakieś dwadzieścia mil na godzinę. Rozwijały prędkość czterokrotnie większą niż znane czwórce podróżników bryczki i kabriolety.

– Co to...? – zaczęła Hannah.

– Fororaki – wyjaśniła Savi. – *Phorusrhacos*. Po rubikonie arniści bawili się w ten sposób przez kilka dobrych stuleci.

W zasadzie ten ich wynalazek pasuje do kontekstu, gdyż około dwóch

milionów lat temu wśród tych samych równin i wzgórz polowały prawdziwe fororaki. Gorzej, że podobne rekombinowane stworzenia, tak jak znane wam dinozaury na północy, psują ekosystem. Postludzie obiecali się tym problemem zająć i usunąć je podczas Interludium po ostatnim faksowaniu. Nie kiwnęli jednak palcem.

– Kim są arniści? – zaciekała się Ada.

Zwierzęta – zarówno czerwodziobe fororaki i ich ofiary – zostały już daleko za nimi. Teraz na zachodzie pojawiły się o wiele bardziej liczne stada jeszcze większych stworzeń, na które polowały czworonogi o tygrysiach kształtach. Sonik wzbił się wyżej i skręcił ku wzgórzom.

Znużona już Savi ciężko westchnęła.

– Artyści tworzący w RNA. Wolni strzelcy, fachowcy od rekombinacji. Ludzie zbuntowani przeciw społeczeństwu, kawalarze dysponujący sekwencerami i nielegalnymi zbiornikami regeneracyjnymi. – Popatrzyła kolejno na Adę, Harmana i

leżących z tyłu Daemana i Hanne. – Nie, moi drodzy, to naprawdę nie jest aż tak ważne – dodała.

Po kolejnym kwadransie lotu nad zamglonymi lasami skręcili na zachód i znaleźli się nad górami.

Chmury obmywały wysokie szczyty. Sypnęło śniegiem, lecz pole siłowe skutecznie utrzymywało niepogodę na zewnątrz.

Staruszka dotknęła świecącego symbolu; sonik zwolnił, zatoczył krąg, po czym zawrócił na zachód i poszybował w kierunku wieczornego słońca. Frunęli bardzo wysoko.

– O rany... – rzucił Harman.

Przed nimi wznosiły się dwa ostro zakończone wierzchołki, rozdzielone wąską przełęczą, pokrytą trawiastymi tarasami, nad którymi dominowały starożytne ruiny. Kamienne ściany bez dachów. Ponad zniszczonym miastem, z jednej góry na drugą, prowadził most – również pochodzący z Zapomnianej Ery, lecz nie aż tak stary jak zniszczone budynki. Nie stanowił części żadnej drogi, z obu stron zamykały go ściany litej skały.

Sonik zatoczył kolejne koło.

– Most wiszący – wyszeptał Harman. – Czytałem o nich.

Ada zazwyczaj trafnie oceniała dystanse i teraz uznała, że przeszło mostu musi mieć niemal milę długości, aczkolwiek w wielu miejscach jezdnia już się rozpadła. W dziurach widać było przerdzewiałe żelazne pręty i pustkę. Domyślała się także, że obie wieże – pylony mostu – wieki temu pomalowane na pomarańczowo, lecz obecnie także w większości przeżarte czerwoną rdzą – mają ponad siedemset stóp wysokości. Ich wierzchołki sięgały wyżej niż sąsiednie szczyty.

Bliźniacze wieże były porośnięte czymś, co z oddali wyglądało na bluszcz, lecz kiedy sonik podfrunął bliżej, dziewczyna zauważyła, że nie są to rośliny, tylko sztuczne twory – zielone kopuły, schody i bańki z elastycznego, przypominającego szkło tworzywa oblepiały pylony ze wszystkich stron. Zielone formy kleiły się także do lin nośnych mostu, skąd zwieszały się nad kruszącą jezdnię. Z wysokich gór spływały chmury i mieszały się z mgłą bijącą z głębokich wąwozów pod ruinami. Białe obłoki wiły się i kłębiły wokół południowej wieży, przesłaniając wędrowcom część nawierzchni i liny.

– Czy to miejsce ma jakąś nazwę? – spytała zaintrygowana Ada.

– Golden Gate w Machu Picchu – odpowiedziała staruszka, prowadząc pojazd bliżej ruin i mostu.

– I co to ma właściwie znaczyć? – wtrącił Daeman.

– Nie mam pojęcia – przyznała Savi.

Sonik okrążył północny pylon – lekko pomarańczowy, chropowaty od rdzy, pobłyskującej czerwienią w jasnym, przebijającym się przez zasłonę obłoków świetle dnia – polecieli powoli ku górze i delikatnie, bez jednego dźwięku, osiedli na czubku wieży.

Pole siłowe zniknęło. Savi dała znak skinieniem i podróżnicy wyczołgali się na zewnątrz. Rozprostowali nogi, rozejrzeli dokoła. Powietrze było zimne i bardzo rozrzedzone.

Daeman podszedł do oblepionej płatami rdzy krawędzi konstrukcji i wychylił się, by spojrzeć w dół. Jako człowiek wychowany nad Kraterem Paryskim nie cierpiał na lęk wysokości.

– Na twoim miejscu bardziej bym uważała. Tutaj, jeśli spadniesz, nie pomoże ci żadna konserwatorka – uprzedziła Savi.

– Śmierć z dala od faksowężła to śmierć na dobre.

Chłopak odskoczył gwałtownie w tył, niemal się przewrócił.

– Co ty wygadujesz?

– To, co słyszałeś. – Staruszka zarzuciła plecak na prawe ramię. – Stąd nie mógłbyś się faksować do konserwatorni.

Dlatego lepiej dożyj przynajmniej do powrotu.

Ada zadarła głowę i popatrzyła na pierścienie.

– Byłam przekonana, że gdybyśmy... wpadli w tarapaty, postłudzie faksują nas z dowolnego miejsca na świecie.

– Prosto na pierścienie – dopowiedziała Savi beznamiętnie. – Gdzie zostaniesz uleczona w konserwatorni. Tam, dokąd ludzie wstępują po Piątej Dwudziestce, tam gdzie żyją postłudzie?

– Tak – potwierdziła słabym głosem Ada.

Staruszka pokręciła głową.

– To nie postłudzie faksują tych, których spotkała krzywda. Nie oni was odtwarzają. To wszystko mity. A mówiąc bardziej dosadnie: stek bzdur.

Harman otworzył usta, lecz uprzedził go Daeman.

– Przecież dopiero co byłem tam osobiście – rzucił – Byłem w konserwatorni. W jednym z pierścieni.

– Tak, rzeczywiście trafiłeś do konserwatorni – odparła Savi. – Ale to nie postłudzie cię leczyli. Jeśli nawet wciąż tam, nad nami, są, to twój los guzik ich interesuje. Ja jednak nie sądzę, by nadal mieszkali w pierścieniach.

Czwórka towarzyszy stała na szczycie zardzewiałego pylonu, ponad pięćset stóp nad podziurawioną jezdnią, osiemset stóp nad trawiastą przełęczą i kamiennymi ruinami. Bijący znad wyższych gór wiatr szarpał ich ubrania i rozwiewał włosy.

– Ależ... Po ukończeniu ostatniej Dwudziestki trafiamy tam na górę... do postłudzi... – zaczęła Hannah łamiącym się głosem.

Savi wybuchnęła śmiechem i poprowadziła wszystkich ku wystającej zza zachodniej krawędzi wieży, nierównej szklanej kuli.

\* \* \*

Zwiedzili niezliczone pokoje i przedpokoje. Schodzili po schodach

zwykłych i niedziałających schodach ruchomych, przemierzali niewielkie boczne pomieszczenia. Ada zauważyła coś dziwnego – oglądane przez zielony materiał pomarańczowe wieże, liny i dżungla zachowywały swe naturalne kolory, podobnie jak wpadające do środka promienie słońca – zielone szkło nie zniekształcało barw.

Savi wiodła ich dalej w dół, dokoła wieży, z jednego zielonego modułu do następnego, z jednej kolumny podwójnego pylonu na drugą, poprzez wąskie, kryte kładki, które z jakiegoś niezrozumiałego powodu nie kołysały się mimo silnych podmuchów wichru. Część sal wybiegała na trzydzieści lub czterdzieści stóp poza obrys wieży. Ada nie miała pojęcia w jaki sposób zielone kule trzymają się betonowo-stalowej konstrukcji.

Niektóre pomieszczenia były zupełnie puste. W innych znajdowali rozmaite... rzeczy. W jednym pokoju, na tle górskiego pejzażu, stał szereg zwierzęcych szkieletów. Gdzie indziej ujrzeni coś, co wyglądało na repliki maszyn. Stały na blatach bądź wisiały pod sufitem. Jeszcze dalej natknęli się na umieszczone w sześciennych pojemnikach z pleksiglasu płody setek stworzeń. Żaden nie należał do człowieka, choć część miała niepokojąco zbliżone do ludzkich kształty. Ostatecznie trafili do sali w której stanęli pośrodku białych hologramów, przedstawiających ruchome gwiazdozbiory i pierścienie.

– Gdzie my właściwie jesteśmy? – odezwał się Harman.

– Moim zdaniem to muzeum – odpowiedziała Savi. – Ale najważniejszych eksponatów już tutaj nie ma.

– Kto je założył? – zapytała Hannah.

Staruszka wzruszyła ramionami.

– Raczej nie postłudzie. Ale nie wiem. Jestem przekonana, że most albo jego oryginał, bo to może być tylko replika, stał dawniej nad wodą w mieście z Zapomnianej Epoki, na zachodnim wybrzeżu kontynentu na północ stąd. Słyszałeś o takim miejscu, Harmanie?

– Nie.

– Możliwe, że sobie to wyśniłam. – Savi zaśmiała się smutno. – Po tylu wiekach snu pamięć lubi płatać mi figle.

– Już raz o tym wspomniałaś – zauważył Daeman. Adę zdziwił jego



obcesowy ton. – O tym śnie przez stulecia. Co to ma właściwie znaczyć?

Przewodniczka sprowadziła ich w dół po długich krętych schodach we wnętrzu łączącej liny nośne rury z zielonego szkła. Po chwili wskazała rząd pojemników przypominających kryształowe trumny.

– Rodzaj kriościączki – wytłumaczyła. – Tyle że nie wywołuje jej niska temperatura. To rzecz jasna głupie, ponieważ przedrostek „krio-” oznacza właśnie mróz. Niektóre z tych kokonów są nadal sprawne i potrafią zatrzymać ruchy cząsteczek. Dzięki mikrotechnologii i energii czerpanej w jakiś sposób z mostu.

– Z mostu? – Ada otworzyła szeroko oczy.

– Cała ta konstrukcja stanowi pobierające energię słoneczną ogniwo – oświadczyła Savi. – W każdym razie te zielone części.

Ada spojrzała na przykurzone sarkofagi i spróbowała sobie wyobrazić sen trwający... jak długo właściwie? Lata?

Dziesiątki lat? Całe wieki? Przeszedł ją dreszcz.

Savi wciąż na nią patrzyła i dziewczyna zalała się rumieńcem. Staruszka jednak uśmiechnęła się tylko. Jednym ze swoich szczerze rozbawionych uśmiechów.

Ruszyli w górę, do długiego cylindra z zielonego tworzywa, który wisiał na postrzępionej i zardzewiałej linie, liczącej sobie w obwodzie więcej niż Harman miał wzrostu. Ada stąpała lekko, jakby próbowała zmniejszyć swą wagę samą tylko siłą woli. Bała się, że ich ciężar spowoduje pęknięcie liny i katastrofę cylindra, bądź nawet całego mostu. Ponownie spostrzegła, że Savi uważnie się jej przygląda. Tym razem nie zaczerwieniła się, tylko zmarszczyła brwi, poirytowana tym jawnie niedyskretnym zachowaniem.

Nagle zaniepokojeni podróżnicy przystanęli. Weszli do sali konferencyjnej pełnej ludzi. Dziwnie odziani mężczyźni i kobiety stali pod ścianami pomieszczenia. Siedzieli przy biurkach, garbili się nad pulpitemi sterowniczymi, nie ruszali się jednak, żaden nie odwrócił głowy w kierunku przybyszy.

– Oni nie są prawdziwi – powiedział Daeman, kiedy podszedł do najbliższego mężczyzny, ubranego w zakurzony niebieski garnitur i jakiś podłużny kawałek tkaniny pod brodą. Chłopak dotknął jego twarzy.

Przechadzali się powoli od figury do figury. Oglądali niezwykle stroje, dziwaczne fryzury i niecodzienne ozdoby – tatuaże, niezwykle błyskotki, farbowane włosy i malowaną skórę.

– Czytałem, że dawniej serwitory miały kształt ludzi... – odezwał się Harman.

– Nie – ucięła Savi. – To nie są roboty, tylko manekiny.

– Co takiego? – rzucił Daeman.

Savi wyjaśniła.

– A wiesz kogo przedstawiają? – zapytała Hannah. – I co tutaj właściwie robią?

– Nie – przyznała Savi. Cofnęła się pod ścianę, umożliwiając reszcie rozejrzenie się dokoła.

Na drugim końcu pomieszczenia, w szklanej wnęce, na honorowym miejscu zauważyli posąg mężczyzny siedzącego na bogato zdobionym, drewnianym i obitym skórą tronie. Mimo pozycji, widać było, że ta postać jest niższa niż większość manekinów w sali. Nieznajomy był odziany w krótką, płową tunikę, wyglądającą trochę jak spięta pasem sukienka, uszyta z szorstkiej wełny lub bawełny. Na nogach nosił sandały. Wyglądałby dość komicznie, gdyby nie rysy twarzy – siwe kręcone włosy, orli nos i przenikliwe szare oczy połyskujące pod wydatnymi brwiami. Do tego manekina Ada podeszła z większą rezerwą niż do innych. Przedramiona mężczyzny były pokryte węzłami grubych mięśni i siateczką licznych blizn.

Krótkie palce zacisnął swobodnie, lecz mocno na drewnianych oparciach tronu. Cała rzeźba tchnęła tak ogromną, uśpioną siłą – energią ciała i ducha – że Ada zatrzymała się kilka metrów od niej. Nieznajomy był wyraźnie starszy niż współcześni ludzie – bardziej wiekowy od Harmana, młodszy od Savi.

Tunika mężczyzny odsłaniała siwiejące na piersi włoski.

Do dziewczyny podszedł żywym krokiem Daeman.

– Przecież ja tego człowieka znam! – powiedział, wskazując palcem posąg. – Widziałem go już.

– Pewnie w spektaklu turyńskim? – zgadła Hannah.

– Tak, tak. Nazywa się... – Daeman kilka razy pstryknął na palcach, próbując odszukać w pamięci imię.

– Nazywam się Odyseusz – odezwał się mężczyzna na tronie. Podniósł się z miejsca i postąpił krok naprzód, w kierunku znieruchomiłego chłopaka. – Odyseusz, syn Laertes.

# 17

## *Mors*

– Stabilizujemy lot – powiedział Mahnmut do Orphu. – Ruch obrotowy z każdą chwilą zanika i wynosi w tej chwili jeden obrót na sześć sekund. Odchylenie jest już praktycznie zerowe.

– Spróbuję zająć się tymi koziołkami – zaproponował Orphu. – Daj znać, kiedy namierzysz celownikiem biegun.

– Mam... Nie, cholera. Odpłynął mi. Szlag by to! – Mahnmut próbował nakierować widoczny na monitorze krzyżyk na biały masyw marsjańskiej czapy lodowej, nadal przesłoniętej spadającymi odłamkami statku i jarzącymi się obłokami plazmy.

– Tak – odezwał się Orphu z ładowni. – Mnie już trafił...

– Nie miałem na myśli ciebie.

– Wiem. Ale naprawdę nie jest ze mną dobrze. Oddałbym połowę swojej kolekcji dzieł Prousta za choćby jedno z sześciorga oczu.

– Podłączymy cię do którejś kamery – obiecał Mahnmut. – Do diabła, znowu dostaliśmy rotacji.

– A niech się kręci. Do momentu wejścia w atmosferę to i tak nie ma większego znaczenia – podpowiedział Orphu. – Tymczasem oszczędzimy paliwo i energię. I nie, nie uda ci się przywrócić mi wzroku. Kiedy mnie podłączyłeś do „Damy”, oszacowałem stan swoich układów i okazało się że nie brakuje mi po prostu oczu i kamer. W chwili ataku patrzyłem akurat w stronę dziobu i rozbłysk wypalił mi wszystkie kanały aż do poziomu organicznego. Mam zwęglone nerwy wzrokowe.

– Przykro mi – powiedział Mahnmut. Poczul wzbierające mdłości, i to nie

tylko wskutek nieustannych obrotów koziółkującego batyskafu. – Kończą się nam wszystkie zapasy – podjął po dobrej chwili. – Woda, powietrze, paliwo do silników manewrowych. Jesteś pewien, że chcesz dalej lecieć w tej chmurze odłamków?

– To dla nas spora szansa – przypomniał Orphu. – Na radarze wyglądamy jak jeden z fragmentów zniszczonego statku.

– Na radarze? – zachnął się Mahnmut. – Pamiętasz jeszcze, co nas zaatakowało? Przecież to był, cholera, rydwan. Podejrzewasz, że latają tu rydwany z radarami?

Orphu zaniósł się śmiechem.

– A pomyślałbyś, że z rydwanu można strzelić laserową lancą, która zdeintegruje jedną trzecią statku kosmicznego i dwa morawce do kompletu? Tak, przyjacielu, widziałem ten rydwan.

Ostatnie, co w życiu widziałem. Ale na moment nie uwierzę, że to był naprawdę kosmiczny rydwan, powożony w próżni przez dwoje nadmiernie wyrośniętych ludzi. Nie ma mowy.

Z tak postawioną tezą Mahnmut nie był w stanie dyskutować. Z jednej strony żałował, iż Orphu nie zniwelował mimo wszystko obrotów – w dodatku batyskaf ponownie zaczął się odchylać od wyznaczonej osi lotu – lecz z drugiej, wciąż lecieli wśród mnóstwa innych, wirujących obiektów i doskonale zlewali się z tłem.

– Chcesz może porozmawiać o sonetach Szekspira? – zapytał Orphu z ło.

– Chyba jaja sobie robisz? – Morawce uwielbiały potoczne wyrażenia starożytnych Ziemi.

Zwłaszcza jeśli zawierały odniesienia do narządów płciowych i wydalania.

– Oczywiście – odpowiedział Orphu. – Zdecydowanie robię sobie jaja.

– Zaraz, zaraz. Momencik – rzucił Mahnmut. – Odłamki na zewnątrz zaczynają się jarzyć. My zresztą też. Jonizacja. – Z zadowoleniem stwierdził, że nie stracił panowania nad głosem.

Co większe ze spadających przed nimi kawałków potrzaskanego statku świeciły już przyćmioną czerwienią. Podobny blask otoczył dziób „Mrocznej damy”. Czujniki batyskafu doniosły o wzroście temperatury kadłuba. Wbijali się w atmosferę Marsa.

– Pora wyrównać lot – odezwał się Orphu. Zamknięty w ładowni czerpał dane z sensorów. Za pomocą niepełnego oprogramowania nawigacyjnego Korosa III uruchamiał w odpowiednich momentach silniczki, uspokajał żyroskopy. – Koziółkujemy jeszcze?

– Trochę tak.

– Nie możemy dłużej czekać. Odwrócę tę kupę złomu tyłem naprzód. Bez tego zaraz się ugotujemy.

– Ta kupa złomu ma imię. Nazywa się „Mroczna dama” i być może ocali nam dzisiaj życie – zauważył chłodno Mahnmut.

– Wiem, wiem – burknął Orphu. – Daj mi znać, kiedy ten środkowy krzyżyk na obrazie z kamery rufowej zrówna się z obrzeżem tarczy Marsa nad biegunem. Wtedy zaczniemy manewr stabilizacji.

Boże, czego bym nie dał za jedno, jedyne oko... Przepraszam, już nie będę.

Mahnmut obserwował monitor. Ze względu na rozszerzającą się chmurę odłamków, przez ostatnie pół godziny mogli orientować statek jedynie według punktów na powierzchni planety.

Okruchy zniszczonego statku przesłaniały nawet dwa niewielkie księżyce. Nagle rozległ się głuchy huk silników. Poobijany batyskaf leniwie się obrócił. Mars zniknął z przedniego monitora, zastąpiony świecącym obłokiem plazmy, rozgrzanego do białości metalu i rozmigotanych okruchów, które do niedawna składały się na ich statek i dwójkę towarzyszy podróży.

Widok z rufowej kamery wypełnił teraz mieniący się pomarańczem, czerwienią, brązem i zielenią masyw Marsa. Krzyżyk celownika sunął powoli ku górze, minął usiane plamkami chmur wybrzeże, błękitne morze, wreszcie pojawiła się biel...

– Jest czapa lodowa! – rzucił Mahnmut. – Mam górny brzeg tarczy!

– Świetnie – odpowiedział Orphu. Zagrały wszystkie silniczki. – Widać teraz sam biegun? W tylnej kamerze?

– Nie.

– A jakieś znajome gwiazdy?

– Niestety. Tylko ta aura jonizacji.

– No trudno. Lepiej już było – ocenił morawiec z lo. – Zaraz rozpocznę hamowanie silnikami rufowymi.

– Koros III planował hamować dziobowym silnikiem, który miał potem odrzucić, tuż przed wejściem w atmosferę – przypomniał Mahnmut. Poświata w monitorach przybrała intensywnie czerwony odcień.

– Nie będziemy przed wejściem niczego odrzucać ani wyłączać – oświadczył Orphu.

– Dlaczego nie?

– Przekonasz się.

– Tylko czy, jeżeli tych silników nie odrzucimy, nie ryzykujemy przypadkiem eksplozją? Rozgrzeją się...

– Owszem, niewykluczone – mruknął niewidomy morawiec.

– W dodatku już teraz jesteśmy niezłe poobijani – dodał Mahnmut. – Nie boisz się, że „Dama”

rozleci się na kawałki?

– Pewnie, to też możliwe – rzucił Orphu i włączył napęd jonowy.

Następne trzydzieści sekund Mahnmut spędził wprasowany w antyprzeciążeniowy fotel. Po chwili potężny nacisk ustąpił wraz z hałasem i wibracjami. Rozległ się głośny stukot, oznaczający, że pierwszy zespół silników został pomyślnie odłączony. Pierścień dysz zamienił się w czerwieniejącą kulę i śmignął pod okiem kamer za skierowany do tyłu dziób „Mrocznej damy”.

– Zdecydowanie wchodzimy w atmosferę – odezwał się Mahnmut i spostrzegł przy tym, że w jego głosie zabrakło wcześniejszego opanowania. Jeszcze nigdy nie odwiedził planety z prawdziwą atmosferą i myśl o ciasno stłoczonych, napierających ze wszystkich stron cząsteczkach gazu dodatkowo wzmogła targające nim mdłości. – Odrzucone silniki właśnie zapłonęły żywym ogniem. Zaczyna nam świecić rufa. Podobnie jak główny silnik na dziobie, chociaż on jeszcze nie tak jasno. Tarcie i temperatura rosną z każdą chwilą. Rany! Wyprzedzające nas odłamki palą się jak jasna cholera. Wygląda to tak, jakbyśmy stanowili część wielkiego roju meteorów.

– I dobrze – powiedział Orphu. – Trzymaj się.

\* \* \*

Resztki kosmicznego statku morawców wbiły się w marsjańską atmosferę. Zgodnie z porównaniem Mahnmuta przypominały deszcz meteorów, którego największe elementy ważyły po kilka ton i liczyły sobie kilkadziesiąt metrów długości. Setka ognistych kul rozcięła bladoniebieskie niebo planety. Ciszę północnej półkuli Marsa zmaćcił naddźwiękowy huk. Płonące odłamki niczym feniksy przemknęły nad polarną czapą i poleciały dalej nad Morzem Tetydy, ciągnąc za sobą długie ogony świecącej plazmy. Wydawało się, że nie spadają, a fruną o własnych siłach.

Przez setki milionów lat Marsa spowijała jedynie śladowa atmosfera, składająca się w głównej mierze z dwutlenku węgla. Ciśnienie wynosiło tam ledwie osiem milibarów, podczas gdy na przykład na Ziemi, na poziomie morza, osiągało tysiąc czternaście milibarów. Niemniej w ciągu niecałego stulecia, za sprawą procesów, jakich żaden z morawców nie rozumiał, planeta została terraformowana i ciśnienie wzrosło do znośnego poziomu ośmiuset czterdziestu milibarów.

Płomieniste strzały sunęły zwartym szykiem po północnym nieboskłonie. Niektóre z mniejszych odłamków – dostatecznie sporych, by przetrwać ognisty moment wejścia w atmosferę, lecz jednocześnie na tyle małych, że znacznie zwolniły wskutek oporu gęstszych warstw powietrza – zaczęły spadać do oceanu mniej więcej osiemset kilometrów na południe od bieguna. Gdyby ktoś obserwował te wydarzenia z orbity, uznałby, że jakaś boska istota ostrzeliwuje powierzchnię północnego oceanu Marsa olbrzymimi pociskami smugowymi.

Jedną z tych kul była „Mroczna dama”. Otaczający rufę i dwie trzecie kadłuba materiał maskujący spłonął i uleciał, jednocząc się z ciągnącym się za rozpędzonym batyskafem plazmowym ogonem.

Spopieleniu uległy również zewnętrzne anteny i czujniki. Wreszcie czernieć zaczęła sama konstrukcja pojazdu. Co chwila gubili kolejne płyty tłące się tworzywa.

– Słuchaj... – rzucił ze swego antyprzeciążeniowego fotela Mahnmur. – Nie powinniśmy już czasem wypuścić spadochronów?

Pamiętał, że w myśl planu Korosa fulerenowe spadochrony miały otworzyć się na wysokości piętnastu kilometrów i pozwolić im łagodnie osiąść w morzu. Tuż zanim rufowa kamera ostatecznie spłonęła i monitor zgasł,



Mahnmut zdążył zauważyć, że znaleźli się już poniżej ustalonego pułapu, a powierzchnia oceanu zbliża się niebywale prędko.

– Jeszcze nie – burknął Orphu. W ładowni, w której przebywał, nie było systemów zabezpieczających przed przeciążeniem i morawiec dotkliwie odczuwał skutki hamowania. – Jaką wysokość podaje radar?

– Nie mamy już radaru – poinformował Mahnmut.

– Więc może sonar zadziała?

– Spróbuję.

Sonar, o dziwo, zadziałał i wskazał, że morze znajduje się w stale malejącej odległości ośmiu tysięcy dwustu metrów... Ośmiu tysięcy... Siedmiu tysięcy ośmiuset... Mahnmut przekazał dane Orphu.

– Może jednak wystrzelmy te spadochrony? – dodał.

– Reszta odłamków nie ma spadochronów.

– No i co z tego?

– To, że nie wiem, czy naprawdę chcesz opadać powoli? Pod wyraźnie widoczną fulerenową czaszą, którą w mgnieniu oka zauważą dowolne systemy namierzające?

– Czyje znowu systemy? – syknął Mahnmut, aczkolwiek zrozumiał punkt widzenia przyjaciela.

Niemniej... – Pięć tysięcy metrów – odczytał. – Prędkość wynosi trzy tysiące dwieście kilometrów na godzinę. Chcesz z taką szybkością rąbnąć w lustro wody?

– Niespecjalnie – odparł Orphu. – Nawet jeżeli przeżyjemy zderzenie, zagrzebiemy się pod setkami metrów mułu na dnie. To chyba ty wspominałeś, że tutaj, na północy, ocean jest głęboki ledwie na kilkaset metrów?

– Tak.

– Odwróć „Damę” – zapowiedział Orphu.

– Co???

Huknęły dysze odpalanych kolejno silników i drgnęły żyroskopy. Rozległa się seria zbolałych zgrzytnięć. „Mroczna dama” zaczęła z mozołem obracać dziób z powrotem przodem do kierunku lotu. Wiatr i opór powietrza wściekle napierały na kadłub. Odpadły ostatnie sensory, trzymające się dotąd jakimś cudem środkowej części statku. W kilkunastu miejscach puściły łączenia

i batyskaf się rozszczelnił. Mahnmur wyłączył rozwrzeszczane alarmy.

Wreszcie lecieli dziobem naprzód. Jedna z ostatnich sprawnych kamer ukazała wykwitające z oceanu pióropusze piany. Pierwsze odłamki wpadały do wody. Morze wrzało strzelającymi na wysokość dwóch kilometrów fontannami pary i plazmy. Mahnmur obliczył, że kolej „Mroczej damy” nadejdzie już za kilka sekund. Opisał widok Orphu.

– Spadochrony? Teraz? Bardzo proszę? – dodał na koniec.

– Nie. – Orphu włączył główne silniki, które w myśl pierwotnego planu mieli odrzucić jeszcze na orbicie.

Przeciążenie gwałtownie szarpnęło Mahnmur naprzód. Z tęsknotą pomyślał o zabezpieczającym żelu, którego użyli w tunelu magnetycznym lo. Wokół rozpędzonego batyskafu wypiętrzały się kolejne słupy pary, kojarzące się morawcowi z korynckimi kolumnami. Błękit oceanu wypełnił już cały ekran. Silniki ryczały i dygotały, stopniowo redukując ich prędkość. Kiedy umilkły, Mahnmur zauważył, że zostały natychmiast odstrzelone. Tafla wody, wyglądająca na równie twardą jak lód na Europie, czekała ledwie kilometr niżej.

– Spado... – Mahnmur spróbował ponownie. Właściwie już błagał i wcale się tego nie wstydził.

Wreszcie rozpostarły się dwie wielkie czasy. Wszystko w oczach Mahnmur zaszło czerwienią, zaraz potem zalała go czerń.

Zderzyli się z Morzem Tetydy.

\* \* \*

– Orphu? Orphu? – Mahnmur otaczały mrok i cisza. Rozpaczliwie spróbował uruchomić systemy i rozeznać się w sytuacji. Kabina batyskafu przetrwała, tlen wciąż płynął. Już samo to było niewiarygodne. Wewnętrzny zegar podpowiedział morawcowi, że od chwili uderzenia w wodę upłynęły trzy minuty. „Mrocza dama” spoczywała w bezruchu. – Orphu?

– Mrrrh. Przy tobie normalnie nie da się zmrużyć oka.

– Jak się czujesz?

– Lepszym pytaniem byłoby, gdzie jestem – zadudnił Orphu. – Wyrzuciło

mnie z luku w ładowni.

Nie wiem nawet, czy wciąż jestem na pokładzie. Jeżeli tak, to znaczy, że masz rozszczelniony kadłub. Mokro tutaj. Słona woda. Nie, moment, może się tylko zsikałem?

– Rozmawiamy przez sztywne łącze. Kabel – przypomniał Mahnmut, ignorując ostatnią uwagę przyjaciela. – Myślę więc, że z „Damy” nie wypadłeś. Sonar działa. Rzeczywiście zagrzebaliśmy się w dnie, ale tylko na kilka metrów. Poza tym, mamy nad sobą jakieś osiemdziesiąt metrów wody.

– Ciekawe na ile kawałków się rozleciałem? – rzucił refleksywnie Orphu.

– Nie ruszaj się z miejsca – uprzedził Mahnmut. – Odepnę kabel i zejść po ciebie. Zostań tam.

Orphu zaśmiał się głucho.

– A jak niby miałbym się ruszyć, przyjacielu? Moje witki i manipulatory trafiły już do wielkiego rajcu w niebie morawców. Czuję się jak krab bez szczypiec. Co do skorupy też nie mam wcale pewności. Mahnmut...? Zaczekaj!

– Co znowu? – Mahnmut zdążył już rozpiąć pasy, a w tej chwili odłączał kable systemu podtrzymywania życia i przewody systemów sterowania.

– Jeżeli... jakimś cudem... zdołasz do mnie dotrzeć, o ile korytarz nie został zmiądzony, a wrota ładowni nie zespawały się na dobre przy wejściu w atmosferę lub nie pogięły... Co ze mną zrobisz potem?

– Sprawdzę w jakim jesteś stanie – odpowiedział Mahnmut, wyciągając z gniazd kable optyczne.

Monitory i tak pokazywały jedynie czern.

– Zastanów się, przyjacielu – podjął Orphu. – Załóżmy, że mnie stąd wyciągniesz, o ile oczywiście nie rozpadnę ci się w dłoniach, ale co wtedy? Nie przecisnę się przez żaden z wewnętrznych korytarzy „Damy”. Nawet gdybyś wytaszczył mnie na zewnątrz, w sterówce i tak się nie zmieszczę, a trzymać się kadłuba nie mam przecież czym. Chcesz mnie nieść tysiąc kilometrów po dnie oceanu?

Mahnmut znieruchomiał.

– Ja nadal działam – mówił dalej Orphu. – W każdym razie wciąż mogę się z tobą komunikować.

Co więcej, mam dostęp do tlenu i zasilanie. Na pewno jestem w ładowni,

nawet jeżeli została zalana. Może więc, zamiast męczyć się ze mną, skup się na uruchomieniu „Mrocznej damy”

i zabierz nas w jakieś bardziej przyjazne miejsce? Gdzieś, gdzie będziemy się mogli spokojnie zastanowić co dalej.

Mahnmut przełączył się w tryb oddychania tlenem z otoczenia. Zaczepnął kilka głębokich wdechów.

– Masz rację – zgodził się po chwili. – Zobaczmy, co się da zrobić.

\* \* \*

„Mroczna dama” umierała.

Mahnmut pracował w tym batyskafie – w jego rozmaitych wcieleniach i postaciach – od ponad stu ziemskich lat i wiedział, że pojazd jest solidny. Przy odpowiednim przygotowaniu, kadłub był w stanie znieść napór wielu ton na centymetr kwadratowy i przeciążenia rzędu trzech tysięcy g, lecz konstrukcja pojazdu miała także swoje słabsze elementy, i to właśnie one ucierpiały najbardziej wskutek ataku na orbicie i lądowania w morzu.

Kadłub „Mrocznej damy” okazał się w wielu miejscach popękany i nadpalony. Utknął dziobem w dół w trzymetrowej warstwie mułu, spod której wystawało tylko kilka metrów rufy. Szkielet batyskafu był pogięty, do zaklinowanych wrót ładowni nie było dojścia. W dziesięciu z osiemnastu zbiorników balastowych ziały dziury. Wewnętrzne przejście ze sterówki do ładowni zostało zalane i częściowo zablokowane przez płyty zerwanego sufitu. Powłoka maskująca w dwóch trzecich spłonęła, niszcząc przy tym wszystkie zewnętrzne czujniki. Funkcjonował tylko jeden z czterech sonarów, omiatający ultradźwiękami teren przed dziobem „Damy”. Z katastrofy wyszedł cało wyłącznie jeden z czterech silników, a dysze manewrowe zamieniły się w bezużyteczny złom.

Mahnmut jednak znacznie bardziej przejął się uszkodzeniami systemów zasilania: główny reaktor ucierpiał wskutek ataku energetycznym strumieniem i pracował w tej chwili z ośmioprocentową wydajnością. Rezerwa mocy w akumulatorach wystarczała co prawda do działania podstawowym układom podtrzymywania życia, lecz przetwornik substancji odżywczych zdechł,

a zapas słodkiej wody musiał się wyczerpać najdalej za kilka dni.

Co gorsza, nie działał generator tlenu. „Mroczna dama” nie wytwarzała powietrza. Śmierci z pragnienia nie musieli się więc obawiać. Wyglądało na to, że znacznie wcześniej skończy im się tlen. Wewnętrzne zbiorniki awaryjne mogły wystarczyć na jedną, góra dwie ziemskie doby.

Mahnmut mógł tylko mieć nadzieję, że skoro Orphu całymi miesiącami pracował w otwartej próżni, tak drobna niedogodność jak brak tlenu nie zrobi na nim większego wrażenia. Uznał, że na razie zachowa tę informację dla siebie.

Ocalałe systemy sztucznej inteligencji batyskafu składały kolejne raporty o uszkodzeniach.

Wynikało z nich, że „Mroczną damę” można jeszcze uratować – gdyby tylko spędziła ziemski miesiąc w lodowym doku Conamary Chaos, pod czujnym okiem rzeszy serwisowych morawców.

W przeciwnym wypadku dni batyskafu – bez względu na to, czy liczone w marsjańskich solach, ziemskich dobach, czy europejskich tygodniach – były policzone. Mahnmut bał się, że Orphu przestanie nagle działać, więc utrzymywał z nim bezustanny kontakt. Przedstawił przyjacielowi możliwie najbardziej optymistyczną wersję stanu „Mrocznej damy”, po czym wystrzelił peryskopową boję. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności jej wyrzutnia znajdowała się w sterczącej z dna części rufy i zadziałała jak należy.

Urządzenie było mniejsze od dłoni Mahnmuta, lecz konstruktorzy upchnęli w nim mnóstwo różnorodnych czujników. Już po chwili popłynął z nich szeroki strumień informacji.

– Mam dobre wiadomości – obwieścił Mahnmut.

– Tak? Czyżby Konsorcjum Pięciu Księżyców przysłało ekipę ratunkową? – zagrzmał Orphu.

– Chyba nie aż tak dobre. – Zamiast przysłać przyjacielowi pakiety danych, Mahnmut wolał o wszystkim opowiedzieć. Dzięki temu zmuszał Orphu do słuchania i odpowiadania. – Boja jest w pełni funkcjonalna. Co więcej, pracują też satelity łącznościowe i nawigacyjne, które Koros III i Ri Po umieścili na orbicie. Sam nie rozumiem dlaczego ci... te osoby, które nas zaatakowały... ich jeszcze nie strąciły.

– Pamiętaj, że napadł nas starotestamentowy Pan Bóg ze swoją dziewczyną – rzucił Orphu. – Może nie chciał się kazać walką z satelitami.

– Moim zdaniem bardziej przypominali bóstwa starożytnych Greków niż postacie ze Starego Testamentu – stwierdził Mahnmut. – Chcesz posłuchać reszty nowin?

– Jasne.

– Sprzęt nawigacyjny podaje, że znajdujemy się na południowych rubieżach równiny Chryse Planitia, na dnie oceanu północnego, około trzystu czterdziestu kilometrów od wybrzeża Xanthe Terra. Mieliśmy spore szczęście. Te okolice Acidalii i Chryse to jedna wielka zatoka. Gdybyśmy lądowali po trajektorii skierowanej kilkaset kilometrów na zachód, wbilibyśmy się w łańcuch Tempe Terra. Trochę na wschód, a zginęlibyśmy w Arabia Terra. Kilka sekund lotu na południe, nad płaskowyżem Xanthe Terra...

– ...i bylibyśmy w tej chwili garstką cząsteczek, szybujących gdzieś w górnych warstwach atmosfery – dokończył Orphu.

– Właśnie – przytaknął Mahnmut. – Jeżeli uda nam się uwolnić „Mroczną damę” z dna, możemy popłynąć prosto do delty Valles Marineris.

– Mieliście z Korosem wylądować na drugiej półkuli – przypomniał Orphu. – Na północ od Olympus Mons. Planowaliście przeprowadzić rozpoznanie i przewieźć tam to jego ustrojstwo z ładowni. Nie próbuj mi wmówić, że twój batyskaf wytrzyma rejs wokół półwyspu Tempe Terra...

– Nie – przyznał Mahnmut. W zasadzie mieliby niewyobrażalne szczęście, gdyby „Mroczna dama”

zniosła podróż do najbliższego wybrzeża. Tę rewelację postanowił jednak zachować dla siebie.

– A z innych dobrych wiadomości? – zapytał Orphu.

– Cóż, na powierzchni panuje piękna pogoda. W zasięgu czujników boi nie ma nawet okruszka lodu. Fale są umiarkowanie silne, nie przekraczają metra. Błękitne niebo. Temperatura sporo przekracza dwadzieścia stopni...

– Szukają nas?

– Słucham? – zdziwił się Mahnmut.

– Czy szukają nas ci... ludzie, którzy nas przysmażyli na orbicie?

– Tak – powiedział Mahnmut. – Pasywny radar wyłowił ślady latających

maszyn...

– Rydwanów.

– Kilka tych... latających maszyn przeczesuje morze w obrębie paru tysięcy kilometrów kwadratowych od strefy, w której szczątki statku wpadły do wody.

– Czyli szukają. – Orphu westchnął.

– Nie zarejestrowałem za to nawet śladu aktywności radarowej czy neutrinowej – dodał Mahnmut. – Żadnych świadectw działania urządzeń energetycznych, cisza na wszystkich zakresach...

– Mahnmut, czy oni są w stanie nas znaleźć? – spytał Orphu.

Mahnmut się zawahał. Nie miał zamiaru okłamywać przyjaciela.

– Niewykluczone – przyznał. – Gdyby posługiwali się naszą technologią, znaleźliby nas niemal na pewno. Ale nie wygląda na to, by stosowali cokolwiek porównywalnego. Oni się po prostu...

rozglądają. Ewentualnie wykorzystują magnetometry, ale raczej nic więcej.

– Na orbicie odszukali nas bez wysiłku. Znaleźli i skutecznie namierzili.

– Nie przeczę.

Nie ulegało wątpliwości, że rydwan bądź jego piloci korzystali z jakiegoś systemu celowniczego, zdolnego precyzyjnie działać na odległość ośmiu tysięcy kilometrów.

– Wciągnąłeś boję z powrotem?

– Tak.

Na kilka sekund zapadło milczenie, mącone tylko skrzypnięciami nadwerężonego kadłuba, sykiem wentylatorów i postukiwaniem pomp, nadaremnie próbujących osuszyć zalane przedziały batyskafu.

– Sprzyja nam kilka faktów – podjął wreszcie Mahnmut. – Przede wszystkim, spadaliśmy pod osłoną dziesiątek ton metalu. Po drugie, rozsypały się na znacznym obszarze. Pierwsze odłamki statku runęły jeszcze niedaleko polarnej czapy. Po trzecie, wbiliśmy się dziobem w dno. Wystaje tylko rufa, którą wciąż pokrywają resztki warstwy maskującej. I wreszcie, generujemy tak niewiele mocy, że z zewnątrz jesteśmy praktycznie nie do wykrycia. Po piąte...

– Tak? – zainteresował się Orphu.

Mahnmut pomyślał o wyczerpujących się zasobach energii, kurczącej się raptownie rezerwie tlenu, niewystarczającym zapasie wody i działającym na

słowo honoru napędzie.

– Po piąte – powiedział – oni nadal nie wiedzą, po co tutaj przylecieliśmy.

– Czyli zupełnie jak my, przyjacielu. – Uszkodzony morawiec zarechotał i umilkł. – Ale tak, masz rację – podjął po dłuższej chwili. – Jeżeli nie znajdą nas w ciągu kilku najbliższych godzin, możemy się jeszcze wywinąć. Chyba że masz też jakieś złe wiadomości?

Mahnmut się zawahał.

– Mały kłopot z zapasem tlenu – powiedział po chwili.

– Do jakiego stopnia mały?

– Nie wytwarzamy powietrza. W ogóle.

– Cóż, faktycznie małe – burknął Orphu. – Jak dużą mamy rezerwę?

– Wystarczy na mniej więcej osiemdziesiąt godzin. Licząc nas obu. Jeżeli oddychać miałbym tylko ja, wszystko potrwa dwa razy dłużej.

Orphu zachrząścił w interkomie.

– Tylko ty? Czyżbyś zaplanował przypadkową awarię moich przewodów tlenowych, przyjacielu?

Bo wiesz, moje organiczne części też muszą oddychać.

Mahnmut przez moment nie był się w stanie odezwać.

– Sądziłem.. Przecież jesteś morawcem próżniowym.. No, a w próżni...

– Chcesz powiedzieć, że mogę spędzić w próżni całe miesiące bez uzupełniania zapasów? – Orphu westchnął. – Owszem, jestem w stanie wytwarzać tlen. Dzięki wbudowanym w pancerz ogniwoom fotowoltaicznym.

Mahnmuta zalała fala ulgi. Skoro Orphu nie potrzebował korzystać z zasobów batyskafu, ich szanse przetrwania znacznie wzrosły.

– Tyle że te ogniwa poszły w drobny mak – dodał szeptem Orphu. – Mój generator tlenu przestał działać już w momencie ataku. Żyję tylko dzięki zapasom „Damy”. Przykro mi, Mahnmut.

– Posłuchaj, powiem ci, co zrobimy. – Mahnmut mówił szybko, z przekonaniem. – Tak czy inaczej, założyłem, że obaj będziemy korzystać z tlenu batyskafu. Żaden kłopot. Wszystko już obliczyłem. Przy obecnym poziomie zużycia zostało nam około osiemdziesięciu godzin. Ale mogę ten czas dodatkowo wydłużyć. Teraz mam wypełnioną powietrzem całą sterówkę. Wypompuję je z powrotem do zbiorników i zaczniemy pobierać porcjami.



W takim trybie przesiedzimy te osiemdziesiąt godzin spokojnie na dnie, a potem się po prostu wynurzymy i uzupełnimy zapasy.

Wtedy już chyba nikt nie będzie nas szukać.

– A jesteś pewien, że zdołasz wydostać „Mroczną damę” z tego szlamu? – zapytał Orphu.

– Sto procent – rzucił Mahnmur bez chwili wahania. Skłamał.

– W takim razie sugeruję, żebyśmy przyczaili się na... powiedzmy... trzy sole, trzy marsjańskie dni, czyli siedemdziesiąt trzy godziny. Dopiero wtedy będziemy mogli stwierdzić, czy rzeczywiście odwołali te swoje rydwany. Ewentualnie odczekamy do chwili, kiedy od ostatniego kontaktu radarowego upłynie dwanaście godzin. Albo, albo. Zobaczymy. Czy w takim wypadku zostanie nam dość czasu, tlenu i zasilania, by wygrzebać się z blocka i wynurzyć?

Mahnmur zerknął na wirtualny pulpit. Migotał na nim rój czerwonych ostrzeżeń i raportów o uszkodzeniach.

– Po siedemdziesięciu trzech godzinach zostanie nam jeszcze mnóstwo czasu – powiedział. – Aczkolwiek, jeżeli przestaną nas szukać wcześniej, powinniśmy wyjść na powierzchnię jak najprędzej i ruszyć w stronę wybrzeża. Z reaktorem w obecnym stanie „Damulka” wyciągnie na górze około dwudziestu węzłów, więc dotarcie do brzegu zajmie jakieś półtora dnia. Zwłaszcza jeżeli chcemy znaleźć jakieś dogodne miejsce do lądowania.

– W takim razie nie będziemy nadmiernie wybrzydzać – zauważył Orphu. – No dobrze. Na razie wygląda na to, że przez dwa następne dni grozi nam najwyżej śmierć z nudów. Zagramy może w pokera? Zabrałeś wirtualne karty?

– Naturalnie – odparł uradowany Mahnmur.

– Chyba nie byłbyś w stanie oszukać ślepego morawca, prawda? – spytał Orphu podejrzliwie.

Mahnmur na moment przestał wczytywać karty i stolik z zielonym suknem.

– Jezu, żartowałem! – uspokoił przyjaciela Orphu. – Straciłem ośrodki wizualne, ale wciąż mam pamięć i kilka sprawnych obszarów mózgu. Jeśli wolisz, zagramy w szachy.

\* \* \*

Trzy sole równały się siedemdziesięciu trzem koma osiem godzinom, a Mahnmut nie chciał aż tak długo beczynnie leżeć na morskim dnie. Reaktor tracił moc szybciej, niż wskazywały początkowe szacunki. Morawiec nie miał dotąd pojęcia, ile energii pobierają pompy. Co gorsza, system podtrzymywania życia raz po raz groził wyłączeniem.

Kiedy po raz pierwszy postanowili zażyć trochę snu, Mahmud przełączył się na zasilanie wewnętrzne, zabrał łomy i narzędzia tnące i ruszył przez wąskie luki i korytarze w kierunku ładowni. Wnętrze batyskafu było zalane. Oświetlenie nie działało. Morawiec włączył naramienne reflektory i popłynął w dół. Marsjańskie wody były znacznie cieplejsze niż ocean Europy. Ostatnie dziesięć metrów korytarza blokowały pogięte dźwigary i kratownice, Mahmud przeciął je spawarką. Po prostu musiał sprawdzić stan przyjaciela osobiście.

Na dwa metry przed śluzą ładowni zatrzymał się w pół kroku. Wskutek zderzenia z wodą grodzie wygięły się do środka i sprawiły, że wąskie już wcześniej przejście miało teraz niecałe dziesięć centymetrów szerokości. Morawiec widział po drugiej stronie właz ładowni – zamknięty, zaklinowany – lecz nie miał możliwości do niego dotrzeć. Stało się jasne, że musiałby się przebić przez jedną lub nawet obie grube grodzie, a potem na dodatek rozciąć spawarką sam właz.

Strawiłby na tym sześć, siedem godzin, ale nie czas był tu problemem. Spawarka pochłaniała tlen.

Korzystając z niej, poważnie uszczupliłby zapas dla siebie i Orphu.

Przez kilka minut Mahmud unosił się nieruchomo, głową w dół w ciemnym, zalanym korytarzu.

Przed obiektywami jego kamer tańczyły drobiny mułu, wyraźnie widoczne w snopach światła reflektorów. Decyzję musiał podjąć natychmiast. Było jasne, że gdy tylko Orphu się wybudzi, zorientuje się w sytuacji i spróbuje wybić mu ten pomysł z głowy. A w tym wypadku logika podpowiadała, że powinien dać go sobie wybić. Orphu miał rację – nawet gdyby po sześciu czy siedmiu godzinach Mahmud przedarł się do ładowni, to i tak nie zdołałby uwolnić wielkiego morawca. Nie dopóki batyskaf tkwił w gęstym, dennym mule. Także możliwości udzielenia przyjacielowi pierwszej pomocy ograniczały się do apteczki i zestawu poprawek systemowych, które woził

z myślą o sobie. A przecież olbrzymi, przystosowany do pracy w kosmosie Orphu miał całkowicie odmienną konstrukcję. Z drugiej strony, gdyby naprawdę udało się wydobyć „Mroczną damę” ze szlamu i wynurzyć... Tak, wtedy przedzieranie się do Orphu miałoby sens, choćby miał rozciąć zewnętrzny kadłub lub wrota ładowni. Przynajmniej nie musieliby się martwić brakiem tlenu. Byłby też w stanie wydostać przyjaciela z pułapki i w jakiś sposób – już na słońcu i świeżym powietrzu – przymocować go do górnej części kadłuba.

Mahnmut odbił się nogami od ściany, zawrócił i popłynął nachylonym, zniszczonym korytarzem z powrotem ku górze. Po chwili wszedł przez słuźę do sterówki i schował spawarkę.

Ledwie zdołał usiąść, zagadnął go Orphu.

– Mahnmut, śpisz?

– Nie.

– Gdzie jesteś?

– W sterówce. A gdzie się mnie spodziewałeś?

– Tak, oczywiście. – Głos Orphu zabrzmiał wyjątkowo staro. Morawiec wydawał się bezgranicznie zmęczony. – Po prostu coś mi się przyśniło. Wydawało mi się, że czuję jakieś drgania.

I pomyślałem, że próbujesz... sam już nie wiem.

– Spokojnie, śpij dalej – poradził Mahnmut. Morawce sypiały wyłącznie po to, by doznawać sennych marzeń. – Obudzę cię za dwie godziny. Wypuścimy boję i rozejrzemy się.

Mahnmut wynurzał boję peryskopową co dwanaście godzin na kilka sekund. Pośpiesznie obserwował niebo i powierzchnię łagodnie falującego morza, po czym wciągał ją z powrotem do batyskafu. Pod koniec czterdziestej dziewiątej godziny od wodowania latające maszyny wciąż przeczesywały niebo, lecz teraz szukały rozbitków już daleko na północ od batyskafu, znacznie bliżej bieguna.

Mahnmut urządził się stosunkowo wygodnie. Sterówka nie ucierpiała, było mu ciepło. Gdyby zechciał, mógłby się nawet swobodnie przemieszczać, jako że podłoga nie była mocno nachylona.

Kilka pozostałych kabin – w tym laboratorium i ciasna kajuta Urtzweila –

uległo zalaniu. Pompy co prawda usunęły z nich morską wodę, lecz morawiec nie napełnił ich z powrotem powietrzem. Po wcześniejszej, pierwszej rozmowie z Orphu podłączył się do przewodu tlenowego i usunął całe powietrze ze sterówki. Tłumaczył sobie, że robi to, by oszczędzić zapasy, lecz przynajmniej po części powodowały nim również wyrzuty sumienia. Jemu było tu przytulnie i komfortowo, podczas gdy Orphu cierpiał – co najmniej egzystencjalnie – spoczywając samotnie w ciemnej, zatopionej ładowni. W tym momencie Mahnmut nie umiał przyjacielowi pomóc. Trzy czwarte długości uszkodzonego batyskafu wciąż tkwiło w morskim szlamie. Przeniósł się jednak do laboratorium, gdzie przygotował sprzęt łącznościowy i inne przybory, które mogły się przydać po oswobodzeniu Orphu.

I siebie – dopowiedział w duchu Mahnmut, mimo że rozstanie z „Mroczną damą” wydawało się zupełnie nie do pogodzenia z jego pojęciem wolności. Wszystkie dawne pracujące w zimnych oceanach Europy krioboty nosiły w sobie załączki agorafobii – dojmującego przerażenia ogarniającego je na myśl o otwartych przestrzeniach. Atawistyczny lęk odziedziczyły po nich morawce, ewolucyjni spadkobiercy wysłanych przez ludzi maszyn.

– Słuchaj, „Mroczna dama” ma na pokładzie jakąś szalupę ratunkową, prawda? – zaciekawił się Orphu drugiego dnia, tuż po ósmej partii szachów.

Mahnmut miał dotąd nadzieję, że przyjaciel się o tym nie dowie.

– Tak, ma – potwierdził po chwili.

– Jaki to model?

– Prosta kapsuła. Bardzo mała. – Mahnmut sposepniał. Stanowczo wolałby rozmawiać o czymś innym. – Niewiele większa ode mnie. Została zaprojektowana wyłącznie po to, by znieść wielkie ciśnienie w głębinach i wydostać mnie na powierzchnię.

– Rozumiem jednak, że jest wyposażona w radiolatarnię, jakiś niezależny system podtrzymywania życia, napęd i system nawigacyjny? A także żelazne racje żywnościowe i zapas słodkiej wody?

– Tak – mruknął Mahnmut. – Co z tego? – I tak nie zmieścisz się do środka, a kapsuła nie da rady cię holować, dodał w duchu.

– Nie, nic – odparł Orphu.

– Mierzi mnie sama myśl o porzuceniu „Mrocznej damy” – wyznał szczerze

Mahnmut. – Poza tym wcale nie pora się nad tym zastanawiać. Jeszcze przez wiele dni.

– Dobrze, spokojnie – powiedział morawiec z lo.

– Ja mówię poważnie.

– Oczywiście, Mahnmut. Byłem po prostu ciekaw.

Gdyby Orphu w tej chwili wydał z siebie ten dudniący rechot, Mahnmut prawdopodobnie rzeczywiście wcisnąłby się natychmiast do kapsuły ratunkowej i wystrzelił na powierzchnię. Był wściekły na przyjaciela za poruszenie tematu.

– Jeszcze partyjkę? – zaproponował.

– Może w następnym życiu – stwierdził Orphu.

\* \* \*

Sześćdziesiąt jeden godzin po wodowaniu morawców w marsjańskim oceanie radar wychwycił już tylko jeden latający rydwan.

Niestety, pojazd krążył ledwie dziesięć kilometrów na północ od nich, na wysokości ośmiu tysięcy metrów. Mahnmut błyskawicznie ściągnął boję pod wodę.

Siedział w sterówce, słuchając przez interkom muzyki – Brahmsa. Orphu w zalanej ładowni robił zapewne to samo.

– Mahnmut, zastanawiałeś się może kiedykolwiek, dlaczego jesteśmy humanistami?

– Słucham?

– No wiesz, humanistami. Ewolucja sprawiła, że morawce stają się albo humanistami, i wykazują dość nietypowe zainteresowanie światem dawnych ludzi, lub takimi interaktywnymi typami jak Koros III. I to tacy jak on tworzą zręby morawieckich społeczeństw. Zasiadają w instytucjach w rodzaju Konsorcjum Pięciu Księżyców, zakładają stronnictwa polityczne i tak dalej...

– Mówisz? Nie zauważyłem.

– Kpisz sobie, prawda?

Mahnmut nie odpowiedział. Z wolna świtało mu w głowie, że przez niemal półtora wieku istnienia udało mu się pozostać ignorantem w niemal wszystkich

ważnych dziedzinach życia.

Właściwie poznał jedynie zimne morza Europy – morza, których już nigdy nie zobaczy – i ten batyskaf, którego dalszy czas pracy można było już liczyć w godzinach, najwyżej dniach. Oczywiście znał się też na dramatach i sonetach Szekspira. Z trudem powstrzymał wybuch gorzkiego śmiechu.

Czy można sobie wyobrazić wiedzę mniej użyteczną?

Orphu, jakby po raz kolejny odczytał myśli przyjaciela, zapytał.

– Jak myślisz, co na temat naszego położenia miałyby do powiedzenia twój Bard?

Mahnmut przeglądał właśnie raporty dotyczące zużycia energii i pozostałych zasobów łodzi.

Jasne było jedno. Nie mogli czekać siedemdziesiąt trzy godziny. Na wynurzenie musieli się zdecydować w ciągu najbliższych sześciu. Co więcej, nawet i wtedy, jeżeli nie zdołają odpowiednio szybko uwolnić batyskafu z mulistej pułapki, reaktor mógł się wyłączyć, albo przegrzać i...

– Mahnmut?

– Przepraszam. Przysnąłem. Pytałeś o Barda?

– Przecież na pewno pisał o morskich katastrofach – zauważył Orphu. – Sam pamiętam z lektury Szekspira pokaźną liczbę wraków.

– O, tak – zgodził się Mahnmut. – Jest tego trochę. W „Wieczorze trzech króli”, w „Burzy”...

Długo by wyliczać. Wątpię jednak, by którakolwiek z tych sztuk zawierała jakieś przydatne dla nas podpowiedzi.

– Opowiedz mi, proszę. O tych katastrofach.

Mahnmut pokręcił głową. Doskonale rozumiał, że przyjaciel próbuje po prostu oderwać jego myśli od skrzeczącej rzeczywistości.

– Lepiej ty opowiedz mi o swoim ukochanym Prouście – odparł. – Czy Marcel-narrator wspominało zawiłościach egzystencji rozbitka na Marsie?

– A żebyś wiedział! – W głosie morawca zło pobrzmiwała nuta dudniącego chichotu.

– Żartujesz?

– Kiedy chodzi o „W poszukiwaniu straconego czasu”, nie żartuję nigdy. – Orphu powiedział to w taki sposób, że Mahnmut prawie uwierzył, że

przyjaciel mówi poważnie.

– Cóż, zdradź w takim razie, jakie rady ma Proust dla istot próbujących przetrwać na Marsie? – nacisnął. Za pięć minut zamierzał ponownie wypuścić boję, a następnie wyprowadzić „Mroczną damę” na powierzchnię. I to nawet gdyby rydwan szybował dziesięć metrów nad falami.

– W trzecim tomie wydania francuskiego, a piątym angielskiego, które ci zresztą przesłałem, Marcel stwierdza, że nawet gdybyśmy nagle i nieoczekiwanie znaleźli się na Marsie, a ponadto otrzymali skrzydła i nowy rodzaj układu oddechowego, wcale nie przestalibyśmy być sobą – wyrecytował Orphu. – Dlatego że nadal posługivalibyśmy się tymi samymi zmysłami i niezmienną, dawną świadomością.

– Teraz już na pewno żartujesz – zachnął się Mahnmut.

– Ja nigdy nie żartuję, kiedy idzie o refleksje Marcela-bohatera – powtórzył Orphu w taki sposób, że Mahnmut uznał, że przyjaciel istotnie sobie kpi, lecz nie w odniesieniu do proustowskiej uwagi na temat Marsa. – Czyżbyś nie przeczytał tych książek, które wysłałem ci jeszcze na początku lotu?

– Czytałem – powiedział Mahnmut. – Serio czytałem. Z tym, że ostatnie dwa tysiące stron raczej tylko przekartkowałem.

– Cóż, to dość powszechne podejście – skomentował Orphu. – A teraz posłuchaj. Ten ustęp pojawia się niedługo po fragmencie o skrzydłach i Marsie. Wolisz wersję francuską czy angielską?

– Angielską – rzucił Mahnmut czym prędzej. Dostatecznie cierpiał na myśl o tym, że grozi mu straszliwa śmierć przez uduszenie. Nie potrzebował dodatkowych męczarni słuchania francuskiego.

– „Jedyną prawdziwą podróżą, jedyną kąpielą w wodzie Młodości byłoby iść nie ku nowym krajobrazom, ale mieć inne oczy, widzieć wszechświat oczami kogoś innego, stu innych, widzieć sto światów, które każdy z nich widzi, którym każdy z nich jest”.

Mahnmut zadumał się i na moment naprawdę zapomniał o nieuchronnym kresie własnego istnienia.

– Czyli to jest ta czwarta i ostatnia odpowiedź Marcela na pytanie o zagadkę życia, prawda, Orphu?

Morawiec zło nie odpowiedział.

– Sam stwierdziłeś – podjął Mahnmut – że pierwsze trzy drogi poszukiwań zawiodły Marcela na manowce. Próbował snobizmu. Potem rozważał wędrówkę szlakiem przyjaźni i miłości.

Zastanawiał się nawet nad sztuką. Ale żadna z tych metod nie poprowadziła go ku prawdziwej transcendencji. Więc to musi być czwarta ścieżka. Taka ta, no...

– Świadomość przekraczająca ograniczenia świadomości – odpowiedział półgłosem Orphu. – Wyobraźnia wybiegająca poza rubieże wyobraźni.

– Właśnie – szepnął Mahnmut. – Rozumiem.

– Cieszę się – podjął Orphu. – Tym bardziej, że zastępujesz mi teraz wzrok i muszę oglądać wszechświat twoimi oczyma.

Mahnmut na moment zamilkł. W sterówce było słychać jedynie syk sącącego się w przewodach tlenu.

– Wiesz, spróbujmy już dźwignąć „Mroczną damę” na powierzchnię – odezwał się wreszcie.

– Może wypuść najpierw boję?

– Do diabła z tym. Nawet jeżeli na nas czekają, wolę paść w walce niż udusić się w szlamie.

– Jasne – rzucił Orphu. – Ale użyłeś słowa „spróbujmy”. Czy to znaczy, że nie wiesz czy zdołamy się wynurzyć?

– Nie mam, cholera, najmniejszego pojęcia. Możemy utknąć w tym błocku na dobre. – Mahnmut zaczął wydawać myślowe polecenia systemom batyskafu. Uruchomił reaktor i ustawił moc na maksimum, aktywował silnik i dopalacze. – Przekonamy się już za... osiemnaście sekund. Trzymaj się mocno, przyjacielu.

– To była retoryczna rada? Bo wiesz, ja nie mam już manipulatorów ani witek i chwytaków – przypomniał Orphu.

– Więc złap się czegoś zębami – syknął Mahnmut. – Sześć sekund.

– Jestem morawcem – odparł Orphu nieco urażonym tonem. – My nie mamy zębów. Co chciałeś przez to...

Głos przybysza z lo utonął w nagłym ryku silników, zgrzycie uginających się i pękających grodzi, oraz potężnym lamencie z jakim „Mroczna dama” rozpoczęła zmagania z kleistymi objęciami Marsa.



# 18

## *llion*

To miasto – llion, Troja, Pergam, priamowa stolica – najpiękniejsze jest nocą.

Na strzelających ponad sto stóp w górę murach jaśnieje wtedy mrowie pochodni. Świecą rozstawione na blankach koksowniki. Poniżej lśnią setki ognisk trojańskiej armii, której obozowisko rozłożyło się na równinie. Troja jest miastem smukłych, wysokich wież, również oświetlonych do późnej nocy. Okna budynków jarzą się ciepłą poświatą, migocą dziedzińce, na tarasach i balkonach płoną świece. Szerokie ulice llionu zostały wybrukowane z niebywałą starannością – pewnego razu spróbowałem wsunąć między dwa kocie łby ostrze noża, nie udało się. Na większość arterii wypływa światło z otwartych drzwi, sączy się na nie blask osadzonych w ścianach żagwi i pełgających płomieni ognisk rozpalonych przez tysiące tysięcy sojusznicznych wojowników, którzy wraz z rodzinami przybyli miastu z odsieczą.

W nocnym llionie żyją nawet cienie. Chłopcy i dziewczęta z pospólstwa kochają się ze sobą w ciemnych zaułkach i na skrytych w mroku tarasach. Tłuste psy i niebywale przemyślnie koty przemykają ukradkiem z wąskich alejek na podwórka, pojawiają się na skrajach rozległych placów, tam gdzie za dnia spadają z wózków na ziemię owoce, warzywa, ryby i kawałki mięsa. Zwierzęta chwytają je błyskawicznie, po czym na powrót znikają w ciemnościach pod arkadami.

Mieszkańcy Troi nie lękają się głodu ani śmierci z pragnienia. Gdy tylko miasto zaalarmowała wieść o nadciągających Achajach – na wiele tygodni przed tym, jak czarne okręty wylądowały na pobliskim wybrzeżu – spędzono za mury setki sztuk bydła i tysiące owiec. Okoliczne pola oczyszczono z upraw

w obrębie czterystu mil kwadratowych. Nawet i teraz co jakiś czas docierają do Ilionu kolejne transporty bydła, a większość zwierząt trafia na stoły obywateli mimo – niezbyt zaciekłych – wysiłków armii greckich najeźdźców. Warzywa i owoce nadal pojawiają się w mieście bez przeszkód, dostarczane przez tych samych szcwanych chłopów i kupców, którzy zaopatrują w prowiant Achajów.

Troję wzniesiono przed wiekami w tym właśnie miejscu, ponieważ znajduje się tu pod ziemią pokaźna warstwa wodonośna. W mieście działają cztery gigantyczne studnie, nieprzerwanie dostarczające z głębi ziemi czystą wodę. Niemniej przeczorny Priam już dawno temu nakazał przekierować bieg dopływu Symojdy, który płynie teraz łatwymi do obrony kanałami i podziemnymi rynnami prosto do metropolii. Dzięki temu to Grecy mają znacznie więcej kłopotu ze zdobyciem słodkiej wody niż oblężeni mieszkańcy Ilionu.

Od początku wojny ludność Troi – bez wątplenia największego miasta swojej epoki – wzrosła ponad dwukrotnie. Najpierw poszukali za murami ochrony wieśniacy, pasterze, rybacy i inni wędrowni mieszkańcy okolicznej krainy. Po nich przybyły zastępy sprzymierzeńców-wojownicy, którym często towarzyszyły żony, dzieci, rodzice, a nawet psy i krowy.

W szeregach sojuszniczych wojsk znajdujemy rozmaite plemiona i narodowości: są Trojanie, którzy jednak nigdy dotąd nie mieszkali w mieście. To Dardanowie i inni goście z niewielkich osad i wsi, położonych nieraz bardzo daleko. To także lojalni wobec Priama wojownicy ze stoków Idy, oraz z odległej, północnej Likii. Dołączyli do nich również Adrastejczycy i żołnierze z oddalonych o wiele mil miasteczek na wschodzie. Są również Pelazgowie z południowej Larysy.

Z terenów Europy nadjechali Trakowie, Peończycy i Kikonowie. Z południowych brzegów Morza Czarnego dotarli Elizyjczycy, mieszkańcy doliny rzeki Elis, spokrewnieni ze starożytnymi Chalibami, owianymi legendą metalurgami. Przy ogniskach rozbrzmiewają pieśni i przekleństwa w narzeczach Paflagów i Enetojów, ludów również żyjących nad Morzem Czarnym, choć dalej na północ, o których powiada się, że byli praszczurami Wenetów. Z północno-środkowej Azji Mniejszej nadciągnęli włochaci

Myzycjcy. Z dwoma z nich spędziłem nieco czasu – z Ennomosem i Nastesem, którzy wedle Homera zostaną zgładzeni przez Achillesa podczas nadchodzącej bitwy nad rzeką. Jatki odbędą się wtedy tak srogie, że Skamander całymi miesiącami będzie słuwać krwią, a jego bieg wstrzyma zapora z ciał zmasakrowanych przez Achillesa Trojan. Taki właśnie los spotka zapomniane przez bogów i ludzi zwłoki Nastesa i Ennomosa.

Można również spotkać Frygijczyków, Meończyków, Karyjczyków i wojowników z Licji. Łatwo ich rozpoznać po nieładzie fryzur, dziwacznych kształtach brązowych zbroi, a także specyficznej woni.

Troja jest stolicą wiecznego tłoku, nieustającego cudu życia i zgiełku, wygasających na ledwie dwie lub trzy godziny w ciągu doby. To najwspanialsze, największe i najpiękniejsze miasto świata – nie tylko swojej epoki, lecz również czasów moich i dziejów ludzkości w ogóle.

O przepychu Ilionu rozmyślałem, leżąc nago u boku Heleny Trojańskiej. Pościel pachnie seksem i naszymi ciałami. Zasłony falują poruszane podmuchami chłodnego zefirku. Zbiera się na burzę, słyszemy odległy grzmot. Helena pręży się leniwie na łóżku.

– Hock... en... ber., riiii – wyszeptuje me nazwisko.

\* \* \*

Do miasta wybrałem się późnym popołudniem. Teleportowałem się prosto z olimpijskiego szpitala dla bogów. Wiedziałem, że Muza nie ustanie w wysiłkach, by mnie zabić, a jeśli mnie dzisiaj nie znajdzie, wyręczy ją Afrodyta, gdy tylko wynurzy się z regeneracyjnej kadzi. Początkowo planowałem wmieszać się w tłum żołnierzy obserwujących ostatnie tego długiego dnia potyczki.

Na polu bitwy, w promieniach zachodzącego słońca i kłębach pyłu, Diomedes nieprzerwanie mordował Trojan. Gdy jednak ujrzałem powracającego do miasta Hektora, który wiódł jedynie grupkę niedobitków swego oddziału, morfowałem w jednego z jego ludzi. Wojownika, którego znałem osobiście: Dolona, włócznika i zaufanego zwiadowcę księcia, który niedługo padnie, zgładzony przez Odyseusza i Diomedesa. W jego ciele

udałem się za Hektorem. Szlachetny wojownik wszedł do Ilionu główną bramą, zwaną Bramą Skajską, zbitą z solidnych dębowych desek, dziesięciokrotnie wyższych niż potężny Ajaks. Natychmiast obiegił go tłum trojańskich żon i córek, dopytujących o los mężów, synów, braci i kochanków.

Śledziłem wzrokiem wysoką czerwoną kitę hełmu Hektora. Brnęła przez kobiecy gąszcz, a głowa i ramiona księcia płynęły w morzu wykrzywionych błagalnie oblicz. W pewnym momencie przystanął, by przemówić do gęstniejącej ciżby.

– Zanoście modły do bogów, mężne kobiety Troi.

Nie dodał ani słowa. Odwrócił się na pięcie i zamaszystym krokiem skierował do pałacu Priama.

Kilku przybocznych osłaniało ten odwrót skrzyżowanymi włóczniami, powstrzymując zbitą masę zawodzących Trojanek. Ja zostałem z trójką jego osobistych gwardzistów i w milczeniu ruszyłem do dumnej siedziby króla, zgodnie z Homerem „wysokimi przysionki wspaniałej”, do pałacu jasno oświetlonego pochodniami, których blask odbijał się w kolumnadach z gładkiego marmuru.

Gdy wieczorne cienie zakradły się już na dziedzińce i do pałacowych komnat, Hektor spotkał się z matką. Stanęliśmy na straży pod ścianą, w stosownej odległości od księcia.

– Nie chcę wina, matko. – Odprawił gestem sługę, który na rozkaz kobiety pośpieszył z pucharem. – Nie teraz. Znadto jestem zmęczony. Wino wykradłoby resztkę sił i męstwa, które będą mi jeszcze potrzebne przy wieczornym starciu. Poza tym, cały jestem uwalany wojennym brudem. Mam na sobie krew i piach. Czułbym wstyd, ulewając wina na cześć Zeusa tak skalanymi rękoma.

– Synu mój – odpowiedziała matka Hektora, kobieta, która, odkąd zacząłem ją obserwować, niezmiennie tchnęła ciepłem i dobrocią serca. – Dlaczego opuściłeś pole bitwy, skoro nie zamierzasz modlić się do bogów?

– Modlitwę pozostawiam tobie – rzucił Hektor i odłożył hełm na szezlong.

Bohater był rzeczywiście brudny. Twarz pokrywały mu warstwy pyłu i krwi, które zakrzepły zmieszane z potem, tworząc skorupę rdzawego błota. Siedział w pozie, jaką przyjmują jedynie ludzie krańcowo wyczerpani –

przedramiona na kolanach, nisko zwieszona głowa, przytłumiony głos.

– Udaj się do świątyni Ateny, zbierz najszlachetniejsze spośród szlachetnych Trojanek i weź ze sobą najwspanialszą szatę, jaką znajdziesz w domu Priama. Spowij nią kolana złotego posągu bogini i przyobiecuj jej złożyć w ofierze dwanaście rocznych jałówek, jeżeli zechce zlitować się nad Ilionem. Proś posępną Atenę, by oszczędziła nasze miasto, by ocaliła trojańskie kobiety i bezradne dziatki przed grozą i obłędem Diomedesa.

– Na to nam już przyszło? – szepnęła matka Hektora. Pochyliła się i ujęła czule zakrwawioną dłoń syna. – Czy to już ostateczna chwila?

– Tak – odparł Hektor. Z trudem podźwignął się na nogi, sięgnął po hełm i opuścił komnatę.

Wraz z trójką pozostałych włóczników ruszyliśmy w ślad za wyczerpanym herosem, który przemierzył sześć przecznic do rezydencji Parysa i Heleny-wielkiego gmaszyska ozdobionego licznymi tarasami, mieszkalnymi wieżami i zacisznymi podwórcami.

Hektor przecisnął się między wartownikami i służącymi, wbiegł po schodach i gwałtownym ruchem pchnął drzwi prywatnej komnaty. Podświadomie spodziewałem się ujrzeć Parysa w łóżu z uprowadzoną małżonką – Homer wspomina, że roznamiętniona para rzuciła się sobie w objęcia już kilka godzin temu, zaraz po tym, jak Afrodyta ocaliła priamowego syna od śmierci z rąk Menelaosa. Spotkało mnie jednak rozczarowanie. Parys podniósł wzrok znad naprawianej zbroi i czyszczonego miecza, a Helena siedziała opodal, pouczając haftujące dworki.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz?! – warknął Hektor do skromniejszej postury brata.-Siedzisz tu jak baba, jak zapłakany noworodek, i dłubiesz w zbroi, podczas gdy prawdziwi mężowie Ilionu padają setkami, a nieprzyjaciel zacieśnia krąg wokół cytadeli i rani nasze uszy szwargotem cudzoziemskich komend i bojowych okrzyków. Wstawaj, przeklęty przez bogów dezernerze. Rusz się, zanim Troja spłonie na popiół, który zasypie twój tchórzliwy zadek!

Miast poderwać się w oburzeniu, książę Parys odpowiedział uśmiechem.

– Ach, Hektorze, oczywiście zasłużyłem na te wyzwiska. Nie wyrzekłeś ani jednego niesprawiedliwego słowa.

– Więc podnieś dupę i wkładaj zbroję! – rzucił szorstko Hektor, lecz

chwilowy gniew księcia nagle dokądś odpłynął, uśmierzony falą zmęczenia, bądź spokojem, z jakim Parys przyjął ostre wyrzuty.

– Tak też uczynię – odpowiedział książę – lecz pierwszej racz mnie wysłuchać. Mam ci coś do powiedzenia.

Hektor zamilkł. Zachwiał się lekko na nogach. Opatrzony kitą hełm ścisnął pod lewą pachą, w prawej dłoni kurczowo dzierżył długi oszczep, pożyczony od sierżanta naszej skromnej eskorty.

W końcu podparł się drzewcem broni.

– Nie tylko gniew i wściekłość zatrzymały mnie na tak długi czas w komnatach – podjął Parys, wskazując gestem w kierunku Heleny i jej dworek, jakby były zwykłymi meblami. – Swoją rolę miała w tym również żałoba.

– Żałoba? – parsknął wzgardliwie Hektor.

– Tak, żałoba – powtórzył książę. – Opłakuję swą dzisiejszą tchórzliwość, mimo że to bogowie unieśli mnie z placu, na którym ścierałem się z Menelaosem. Nie było w tym mej woli. Opłakuję też los, jaki czeka całe nasze miasto.

– Bywa, że i los można męstwem odwrócić – syknął Hektor. – Wciąż jesteśmy władni powstrzymać Diomedesa i jego opętanych żądzą krwi pachołków. Włóż zbroję. Wróc ze mną na pole. Do zmroku została jeszcze godzina. W krwawych promieniach zachodzącego słońca położymy trupem wielu Greków, a kolejnych zasieczemy już w chłodzie wieczora.

Słyszając te słowa, Parys uśmiechnął się i wstał.

– Masz rację, Hektorze. Nawet ja, choć nie jestem największym zabijaką świata, a tylko wybornym kochankiem, pojmuję, że walka to jedyne wyjście. Szale zwycięstwa, podobnie jak losu, chylą się to w jedną, to w drugą stronę, zupełnie jak zasypany gradem strzał szereg pozbawionych tarcz wojowników.

Hektor wsunął hełm na głowę i czekał w milczeniu. Widać było, że nie do końca wierzy w szczerą obietnicę Parysa.

– Ruszaj przodem – podjął trojański książę. – Ja muszę jeszcze uporać się z tą zbroją. Idź, dogonię cię.

Hektor nadal nie odpowiadał. Nie miał zamiaru wychodzić bez Parysa, lecz piękna Helena – Boże, naprawdę była piękna – podniosła się z krzesła,

przeszła po marmurowej posadzce i pogładziła go po zakrwawionym przedramieniu.

– Mój drogi przyjacielu – zaczęła rozedrganym z emocji głosem. – Bracie tak bliski mnie, wrednej suce, nędznej kurwie, tej której towarzystwo dobrym ludziom krew mrozi w żyłach. Wiedz, że wołałabym, by matka cisnęła mnie w czarne fale Morza Jońskiego, niż być przyczyną tego wszystkiego. – Urwała gwałtownie, oderwała dłoń od mięśni Hektora i załkała.

Księżę spojrzał zaskoczony. Uniósł wolną rękę, jakby chciał pogłodzić Helenę po włosach, lecz zaraz cofnął ją ze wstydem. Podobnie jak wielu herosów, wspaniały Hektor czuł się niezręcznie w obecności kobiet innych niż własna żona. Zanim zdołał otworzyć usta, ponownie odezwała się Helena. Mówiła, wciąż lejąc łzy, wstrząsana gwałtownym szlochem.

– Szlachetny Hektorze, jeżeli to naprawdę z mojego powodu bogowie uznali za słusne sprowadzić na nas te długie i krwawe lata, żałuję, że nie jestem żoną lepszego mężczyzny.

Wołałabym wojownika od kochanka, wołałabym męża, który w przedostatniej godzinie zguby chętniej stanąłby w obronie swego miasta niż prowadził małżonkę do łóża.

W tym momencie Parys gwałtownie ruszył ku Helenie. Wydawało się, że chce ją skarcić policzkiem, lecz powstrzymała go obecność Hektora. My, stojący pod ścianą wojownicy, wpatrywaliśmy się prosto przed siebie, udając, że postradaliśmy słuch.

Helena spojrzała na Parysa. Miała przekrwione, podkrążone oczy. Wciąż jednak mówiła do Hektora, zupełnie jakby jej drugiego męża – człowieka, który ją uprowadził – w ogóle tu nie było.

– Ten... mój... zasłużył sobie na palącą wzdarcie ze strony każdego prawdziwego mężczyzny. Brak mu hartu i siły ducha... Brak zdecydowania i woli. Takim jest dzisiaj... i taki był zawsze...

Parys otworzył szeroko oczy. Policzki zalał mu czerwony rumieniec, jakby właśnie uderzyła go w twarz.

– Przyjdzie jednak czas, gdy i on zbierze żniwo swego tchórzostwa, Hektorze – ciągnęła rozemocjonowana Helena, drobinki śliny przyskały z jej ust na marmurowe płyty posadzki. – Przrzekam ci, że skosztuje owoców

własnej słabości. Przysięgam na bogów.

Parys wymknął się chyłkiem z komnaty.

Helena dopiero teraz spojrzała na ubrudzonego smugami kurzu i krwi księcia.

– Teraz jednak, drogi bracie, usiądź ze mną na sofie. Wszak ciebie najmocniej ta wojna dotknęła.

A wszystko przeze mnie, Hektorze, przez marną dziwkę. – Usiadła na wymoszczonej poduchami kanapie i lekko poklepała dłonią wolne miejsce. –

Los związał nas dwoje ze sobą. Zeus posiał nam w sercach nasiona miliona śmierci i kresu naszej epoki. Mój drogi Hektorze, oboje jesteśmy śmiertelnikami. Umrzesz ty i umrę ja. Ale nieśmiertelność znajdziemy w inny sposób. Tysiąc pokoleń będzie opiewać nas w pieśniach...

Hektor, jakby nie chcąc dłużej słuchać wywodów kobiety, odwrócił się na pięcie i wyszedł. Na hełmie bohatera zagrały ukośne promienie nisko zawieszono słońca.

Na pożegnanie raz jeszcze zerknąłem na Helenę. Siedziała na miękkiej poduszce z pochyloną głową. Uderzyła mnie doskonałość białych ramion i widoczny przez cienką szatę delikatny zarys piersi. Podrzuciłem w dłoni włócznię – własność zwiadowcy Dolona – i ruszyłem za Hektorem i trójką jego wiernych gwardzistów.

\* \* \*

Ważne, bym zrelacjonował to właśnie w ten sposób. Helena poruszyła się, wypowiedziała szeptem me nazwisko, lecz zaraz ponownie zapadła w sen. Wyszepiała je. Moje nazwisko. „Hock-en-ber– rri”. W tej chwili poczułem się tak, jakby brązowy grot przeszył mi serce.

A teraz, gdy leżę u boku najpiękniejszej kobiety starożytnego świata, a możliwe, że najbardziej urodziwej w całych dziejach ludzkości – przynajmniej kobiety, w której imieniu zginęła największa liczba mężczyzn w historii – przypominam sobie kolejne urywki swojego życia. Mojego poprzedniego życia. Tego prawdziwego.

Byłem żonaty. Na imię miała Susan. Poznaliśmy się na studiach w Boston



College i pobraliśmy niedługo po uzyskaniu dyplomów. Susan była z wykształcenia psychologiem dziecięcym, lecz po przeprowadzce do Indiany, gdzie zacząłem wykładać literaturę klasyczną, pracowała rzadko. Dzieci nie mieliśmy, choć usilnie się staraliśmy. Kiedy zapadłem na raka wątroby i trafiłem do szpitala, Susan jeszcze żyła.

Na litość Boską, dlaczego przypominam to sobie właśnie teraz? Po długich dziewięciu latach, niemal do cna wyciuranych z osobistych wspomnień. Dlaczego pamięć o Susan wraca akurat w tej chwili? Dlaczego zębate odpryski dawnego życia muszą mnie kaleczyć i ranić w tym momencie?

Nie wierzę w Boga przez duże „B”. Co więcej, wbrew ich oczywistej namacalności, nie wierzę też w bogów przez „b” małe. Nie są rzeczywistymi, kosmicznymi siłami. Wierzę jednak w zdradziecką boginkę, tę sukę Ironię. Wiecznie nadąsana, włada zarówno ludźmi, bogami, jak i Bogiem.

Ironię cechuje wybitnie złośliwe poczucie humoru.



Podobnie jak spoczywający obok Julii Romeo, słyszę zbliżające się

z południowego zachodu burzowe grzmoty. Rozlegają się na dziedzińcu zwielokrotnionym echem. Poprzedzający atak żywiołu wiatr szarpie zasłony na obu tarasach przestronnej sypialni. Helena porusza się niespokojnie, ale się nie budzi. Jeszcze nie.

Przymykam powieki i przez kilka minut udaję, że śpię. Ze zmęczenia czuję piasek pod powiekami.

Za stary już jestem, by tak długo obywać się bez snu. Zwłaszcza że zupełnie niedawno trzykrotnie kochałem się z najpiękniejszą i najbardziej zmysłową kobietą świata.

\* \* \*

Po wyjściu od Heleny i Parysa poszliśmy za Hektorem do jego domu. Heros, który nigdy w życiu nie uciekł przed walką, umykał teraz przed kuszeniem Heleny – niemal pędził do domu, w którym czekała Andromacha – jego żona – z rocznym synkiem.

W ciągu dziewięciu lat obserwowania wojny i spacerów po Ilionie jeszcze nigdy nie miałem okazji pomówić z małżonką Hektora. Znam jednak jej historię. W tym mieście znają ją wszyscy.

Andromacha była piękną kobietą – prawda, nie mogła się równać z Heleną czy boginiami, lecz na swój bardziej ludzki sposób była niezwykle urodziwa. Poza tym pochodziła z królewskiego rodu. Na świat przyszła w trojańskim *polis* znanym w Tebach pod nazwą Kiliki, jako córka tamtejszego władcy, Etijona, którego większość ludzi szczerze podziwiała, a wszyscy darzyli szacunkiem. Ich niewielki pałac wznosił się u podnóża góry Placos, w lesie słynącym z jakości pochodzącego zeń drewna. Potężna Brama Skajska Troi została wykonana z tego właśnie surowca, podobnie jak oblężnicze wieże czekające teraz dwie mile za greckimi pozycjami.

Etijon padł z ręki Achillesa niedługo po lądowaniu czarnych okrętów na trojańskim wybrzeżu.

Chyży mężobójca z Achai pokonał króla w walce, gdy prowadził swych ludzi do ataku na sąsiadujące z Ilionem miasta. Andromacha miała siedmiu braci. Żaden z nich nie został wojownikiem – byli pasterzami owiec i bydła.

Zginęli tego samego dnia, co ich ojciec. Ich także położył trupem Achilles, który wypatrzył młodzieńców na polach, dopędził i zasiekł wśród skalistych wzgórz nieopodal lasu. Mężobójca bez dwóch zdań planował wygubić wszystkich męskich przedstawicieli królewskiego rodu Kilikii. Nocą, po zgładzeniu braci, Achilles przykazał swym wojownikom odziać zwłoki Etijona w zbroję z brązu i spalił je z należyтым szacunkiem, po czym usypał nad popiołami władcy kurhan. Ciała braci Andromachy pozostały jednak zapomniane wśród pól i lasów, gdzie interesowały się nimi już tylko wygłodniałe wilki.

Achilles – mimo że wzbogacił się znacznie łupami zrabowanymi z tuzina innych miast – zażądał dodatkowo iście królewskiego okupu za żonę Etijona – matkę Andromachy. Zażądał i otrzymał.

Ilion wciąż był wówczas zamożnym miastem i mógł prowadzić z najeźdźcami dowolne negocjacje.

Matka Andromachy wróciła do swego domu, do opustoszałego pałacu w Kilikii, gdzie – wedle często powtarzanej przez Andromachę łamiącej serce opowieści – Artemida „na nią się rozżarła.

I w domu ojca życie strzałami wydarła”.

Cóż, można to ująć i tak.

Artemida, córka Zeusa i Leto, siostra Apolla, jest boginią łowów – widziałem ją na Olimpie ledwie wczoraj. Jest również opiekunką narodzin. W pewnym ustępie „Iliady” rozwścieczony Apollo zwymyślał siostrę przed obliczem Zeusa: „Lwicą jesteś dla kobiet, to twoja ozdoba! Możesz zabijać wszystko, co ci się podoba”. Miał oczywiście na myśli to, że ciąża i narodziny mogą przebiegać rozmaicie, a jako ich patronka Artemida odpowiedzialna jest również za poronienia i śmierć noworodków.

W rzeczywistości matka Andromachy zmarła dziewięć miesięcy od dnia pojmania przez Achillesa, dziewięć miesięcy po śmierci Etijona. Matka Andromachy umarła w połogu, próbując sprowadzić na świat potomka zabójcy swego męża.

I powiedzcie mi teraz, że światem rządzi ktoś inny niż ta wredna dziwka, bogini Ironia.

\* \* \*

Andromachy i chłopczyka nie było w domu. Wzburzony Hektor przeszukał wszystkie pomieszczenia. My we czterech zatrzymaliśmy się u wejścia, strzegliśmy księcia, starając się nie przeszkadzać. Bohater był wyraźnie zaniepokojony. Bardziej niż kiedykolwiek na polu walki. Gdy wrócił do drzwi, zatrzymał dwie służki, które właśnie nadeszły z miasta.

– Gdzie jest Andromacha? Czy udała się wraz z pozostałymi szlachetnymi kobietami do świątyni Ateny? A może do domu mojej siostry, by spotkać się z żonami mego brata?

– Pani wybrała się na mury, panie – odpowiedziała starsza służąca. – Wszystkie kobiety Troi usłyszały już o dzisiejszej straszliwej klęsce, o furii Diomedesa i o tym, że fortuna obróciła się przeciwko synom Ilionu. Twa żona, panie, udała się na wysoką wieżę nad bramą. Chciała zobaczyć co tylko się da, sprawdzić, czy jej pan i mąż nadal żyje. Pognała tam jak szalona, panie, a mamka wybiegła tuż za nią, z twym dzieckiem w ramionach.

Gdy Hektor co sił w nogach ruszył za nimi ku Bramie Skajskiej, ledwie mogliśmy za nim nadążyć.

Kiedy byliśmy już prawie na miejscu, uświadomiłem sobie, że nie powinienem mu dłużej towarzyszyć. Nadchodzące wydarzenie – spotkanie Hektora z Andromachą na murach Troi – było niezwykle ważne i jako takie obserwować je mogło wielu bogów. Niewykluczone, że wśród zainteresowanych znajdzie się również polująca na mnie Muza.

Kilkaset metrów od bramy odłączyłem się od pędzących, wyczerpanych włóczników i wmieszałem w tłum wypełniający boczną alejkę. Cienie już się wydłużyły, zrobiło się chłodno, lecz strzeliste wieże Ilionu wciąż odbijały blask chylącego się ku zachodowi czerwonego słońca.

Wybrałem jedną z nich i wspiąłem się krętymi schodami na górę, nadal pod postacią zwiadowcy Dolona.

Wieżyca przypominała nieco minaret – aczkolwiek islam miał się narodzić dopiero za wiele tysięcy lat – i okazałem się jedyną osobą na wąskim, okrągłym balkoniku. Słońce raziło mnie w oczy, lecz kiedy ustawiłem odpowiednią polaryzację soczewek i stosownie wzmocniłem powiększenie,

mogłem już swobodnie obserwować odbywające się na murze spotkanie małżonków.

Andromacha podbiegła do męża i rzuciła się mu w objęcia. Uniósł ją w ramionach i zawirował w miejscu. Wypolerowany hełm odbijał wieczorne światło. Pozostali ludzie na blankach – żołnierze i zgnębione niepokojem żony – cofnęli się, by zapewnić herosowi i jego wybrance odrobinę intymności. Tylko mamka z dzieckiem na rękach pozwoliła sobie stanąć bliżej pary.

Dysponując mikrofonem kierunkowym, mogłem ich bez przeszkód podsłuchać, lecz postanowiłem ograniczyć się do obserwacji. Widziałem ruch ich warg, bacznie studiowałem wyraz obu twarzy. Gdy minęła pierwsza fala ulgi i radości na widok męża-wojownika całego i zdrowego, Andromacha ściągnęła brwi i zaczęła mówić szybciej, bardziej natarczywie. Z homeryckiej opowieści pamiętam mniej więcej, co takiego księżę usłyszał. Kobieta po raz kolejny przypomniawszy swe liczne niedole, powtórzyła skargi na samotność dręczącą ją od dnia, kiedy Achilles zamordował jej ojca i braci. W kilku momentach udało mi się nawet dokładnie odczytać słowa z ruchu jej warg.

– Tyś mi ojcem, tyś matką, kochany Hektorze. Tyś mi bratem, ty mężem. Zlituj się nade mną! Nie porzucaj mnie. Nie wracaj na równinę Ilionu, gdzie znajdziesz tylko śmierć, a zwłoki twe Achajowie włóczyć będą za rydwanem, póki ciało nie odejdzie od kości. Tu zostań! Tutaj też możesz walczyć.

Broń naszego miasta z murów. Zostań!

– Nie mogę. – Hektor pokręcił głową. Słońce zagrało na jego hełmie jasnym refleksem.

– Ależ możesz! – W oczach Andromachy zmieszały się miłość i strach. – Musisz! Zbierz swe oddziały tam, gdzie rośnie to drzewo figowe... Widzisz je? Tam właśnie ukochany Ilion jest narażony najbardziej. Już trzykrotnie Argiwowie próbowali to miejsce szturmować i po trzykroć atakom przewodzili ich najznamienitsi wojownicy. Obaj Ajaksowie, Wielki i Mały, Idomeneus, a potem straszliwy Diomedes. Być może któryś z wieszczków wskazał im tę słabość naszych linii.

Tak, tam walcz, mój mężu. Tutaj nas ochronisz!

– Nie mogę.

– Możesz! – Andromacha zaszlochała, wyrrywając się z objęć wojownika. –

Po prostu nie chcesz!

– Tak – odczytałem z ruchu warg księcia.

– Czy wiesz, szlachetny Hektorze, jaki los spotka mnie, kiedy ty polegiesz już swą bohaterską śmiercią i padniesz łupem żarłocznych, achajskich psów?

Zauważyłem, że Hektor się skrzywił. Nie odpowiedział jednak.

– Zrobią ze mnie kurwę jakiegoś zlanego potem greckiego dowódcy! – wykrzyknęła Andromacha tak głośno, że usłyszałem ją nawet na swoim wysoko zawieszonym balkonie. – Wraz z resztą łupów wywiozą mnie do Argos jako niewolnicę któregoś z Ajaksów czy tego strasznego Diomedesa, lub nawet niższego rangą oficera, który będzie mnie rznąć, gdy tylko przyjdzie mu ochota!

– Rozumiem to – przyznał Hektor ze zbolałym, lecz niewzruszonym spojrzeniem. – Lecz ja będę już martwy i wypełniająca mi uszy ziemia stłumi twoje krzyki.

– Tak! O, tak! – zawołała Andromacha, śmiejąc się i płacząc zarazem. – Szlachetny Hektor będzie trupem. A jego syn, którego cały Ilion nazywa Astianaktem, „władcą miasta”, zostanie niewolnikiem tych greckich świń, oderwanym na zawsze od zeszmaczonej matki i sprzedanym.

Takie tylko dziedzictwo po sobie pozostawisz, wielce szlachetny Hektorze!

To wykrzyczawszy, Andromacha przywołała mamkę, chwyciła synka w ramiona i uniosła go niczym tarczę między sobą a mężem.

Ból w oczach Hektora był niezaprzeczalny. Księżę wyciągnął ręce do chłopca.

– Pójdź do taty, Skamandriosie – powiedział. Posłużył się imieniem dziecka, a nie nadanym przez mieszkańców Troi przydomkiem.

Malec wykrzywił buzię i zaczął płakać. Dziecięce wrzaski doleciały do mnie ponad kilkunastoma dachami.

To przez hełm. Hełm Hektora. Wypolerowany, z błyszczącego brązu, pokryty krwawymi smugami i plamami brudu. Odbijało się w nim jaskrawe słońce, zniekształcony zarys muru i buzia samego chłopca. U góry kołysała się ta płomiennie czerwona końska kita. Otaczające oczy i nos bohatera metalowe płyty niezdolnie błyszczały.

Chłopczyk głośno zakrzyknął i mocno przywarł do matczynej piersi. Bał się

własnego ojca. Można by się spodziewać, że w takiej chwili Hektor poczuje się zdruzgotany. Odejść bez pożegnalnego uścisku syna? Wojownik jednak tylko się zaśmiał. Odrzucił głowę do tyłu i zaniósł się śmiechem, długim i szczerym, wypływającym z głębi serca. Po chwili śmiała się już także Andromacha.

Hektor zerwał hełm z głowy i odłożył go na blanki, gdzie brąz po raz kolejny zajaśniał w promieniach zachodu. Wojownik porwał swe dziecko w objęcia, przytulił je i zaczął podrzucać, póki malec zakwilił już nie ze strachu, a z radości. Księżę posadził go sobie na muskularnym, prawym ramieniu, lewą ręką przygarnął do boku Andromachę.

Z niegasnącym uśmiechem uniósł twarz ku niebu.

– Wysłuchaj mnie, Zeusie! Wysłuchajcie mnie wszyscy nieśmiertelni!

Stojący opodal na murze strażnicy i kobiety zamilkli. Na ulicach zaległa niezemska cisza. Głos Hektora słyszałem ze swej wieży wyraźnie.

– Sprawcie, by ten chłopiec, mój syn, który tyle radości wniósł do mego życia, stał się mężem podobnym mnie. Niech zostanie najznamienitszym pośród Trojan i wszystkich mężów świata!

Mężnym i silnym jak ja, Hektor, jego ojciec! I sprawcie, bogowie, by Skamandrios, syn Hektora, pewnego dnia został sławetnym władcą potężnego Ilionu i by wszyscy powtarzali: „Wyrósł na lepszego mężczyznę niż ojciec!”. O to właśnie zanoszę modły i niczego więcej, bogowie, od was nie potrzebuję.

Po tych słowach Hektor zwrócił dziecko matce, ucałował oboje i zszedł z murów, by dołączyć do walczących.

\* \* \*

Przyznaję, że przez kilka godzin po pożegnaniu małżonków czułem się bardzo podle. Humor psuła mi świadomość, że w przyszłym roku Andromacha rzeczywiście zostanie wywieziona z płonącego miasta i za niemałe pieniądze sprzedana w męską niewolę.

Dodatkowo przygnębiała mnie wiedza, że Achaj, który ją pojmie – Pyrrros, przyszły założyciel królewskiej dynastii epirskich Molossów, w przyszłości spocznie we wspaniałym grobowcu w Delfach – oderwie małego



Skamandriosa (zwanego przez Trojan Astianaktem – władcą miasta)

od piersi mamki i ciśnie dziecko na pewną śmierć z wysokich murów. Ten sam Pyrros zamorduje ojca książąt Hektora i Parysa, króla Priama, w jego własnym pałacu na ołtarzu Zeusa. W ten sposób, w ciągu jednej tylko nocy wygaśnie cały priamowy ród. Wyjątkowo posępna myśl.

Oczywiście nie stanowi to żadnego usprawiedliwienia dla tego, co zrobiłem potem, lecz być może jest przynajmniej częściowym wyjaśnieniem.

Aż do zmroku – a także po zapadnięciu ciemności – włóczyłem się po ulicach Ilionu. Czułem się bardziej osamotniony i przybity niż kiedykolwiek wcześniej w trakcie tej wojny. Aczkolwiek nie ukrywałem się już w ciele Dolona, wciąż miałem na sobie strój trojańskiego włócznika. Hełm Hadesa niosłem w pogotowiu, by go w razie potrzeby natychmiast założyć. Także teleportacyjny medalion czekał, by umożliwić mi ucieczkę. Po jakimś czasie zabłąkałem się z powrotem w okolice domu Heleny. Nie będę udawać, ostatnimi laty zachodziłem tu często. Robiłem to, wykradając skrawki czasu ze swoich zmian, w nadziei że może uda mi się ją zobaczyć... ujrzeć Helenę, najpiękniejszą i najbardziej pociągającą kobietę świata.

Sam nie wiem ile już razy stałem po drugiej stronie ulicy, gapiąc się niczym zadurzony nastolatek na wielopiętrowy gmach, i czekałem, by w oknach i na tarasach wyższych pięter zapłonęły pochodnie, wbrew rozsądkowi licząc, że zobaczę Helenę choćby przelotnie.

Nagle z zadumy i rozmarzenia wyrwał mnie mrozący krew w żyłach widok. Ponad dachami i alejami miasta sunął latający rydwan. Przed oczami śmiertelnych był ukryty, lecz ja – dzięki ulepszonemu wzrokowi – widziałem go doskonale. Moja Muza czujnie obserwowała otoczenie. Nie pamiętam, bym widział, żeby kiedykolwiek latała tak nisko nad Troją bądź równiną. To mnie szukała.

Natychmiast założyłem Hełm Hadesa i uczepiłem się nadziei, że stałem się niewidzialny dla bogów i ludzi. Gadżet zadziałał. Rydwan Muzy przesybował mniej niż sto stóp nad moją głową, a ona nawet nie zwolniła.

Kiedy pojazd zaczął krążyć kilkanaście przecznic dalej na wschód, nad głównym rynkiem Ilionu, uruchomiłem lewitacyjną uprzęż. Tym sprzętem dysponują wszyscy scholiaści, lecz używamy go bardzo rzadko. Ja korzystałem

z niego zwykle po to, by po pełnym zamętu dniu bitwy wznieść się nad pobojuwisko i lepiej ocenić sytuację taktyczną. Potem zwykle frunąłem właśnie do Troi – mówiąc otwarcie, pod okna Heleny – i przez kilka chwil czekałem na nią, by wreszcie wrócić do swych koszar u stóp Olimpu.

Dzisiaj postąpiłem inaczej. Wzbiłem się, niewidzialny, ponad ulicę i poszybowałem nad włócznikami strzegącymi bram siedziby Parysa i Heleny. Pokonałem wysoki mur i wylądowałem na jednym z otaczających wewnętrzny podwórzec balkonów, skąd mogłem przejść do prywatnych komnat pary. Z łomocącym sercem wszedłem do środka, odgarniając falujące zasłony. Moje sandały sunęły po kamiennej posadzce niemal bezszelestnie. Rzecz jasna mogły mnie zwęszyć psy – Hełm Hadesa nie pozbawiał właściciela zapachu – lecz wszystkie zwierzęta trzymano na parterze lub dziedzińcu i nie dopuszczano ich w pobliże małżeńskich apartamentów.

Helena brała kąpiel. Asystowały jej trzy służki. Ich stopy zostawiały na marmurowych schodach wilgotne ślady, kiedy kobiety donosiły gorącą wodę do wpuszczonej w posadzkę wanny. Samą wannę otaczały białe firany, lecz za nimi stały trójnogi wypełnione rozpalonymi węglami, a spod powały zwieszały się lampy i widziałem wszystko bez przeszkód. Ukryty przed ludzkim wzrokiem stanąłem tuż za zwiewną tkaniną i zapatrzyłem się na najpiękniejszą kobietę świata.

Czyli to dla tych cycków tysiąc okrętów wyszło w morze, przemknęło mi przez myśl i natychmiast skarciłem się w duchu za tak infantylny kretynizm.

Czy mam ją wam opisać? Czy podjąć wysiłek tłumaczenia, dlaczego żar jej urody, jej nagie piękno, wciąż – mimo upływu zimnych wód trzech tysiącleci – potrafi poruszyć mężczyzn?

Chyba jednak zrezygnuję. Nie dlatego, bym był szczególnie skromny czy nadmiernie przyzwoity.

Po prostu nie mogę się tego podjąć. Piękno Heleny wymyka się moim mizernym zdolnościom opisu. Widziałem w życiu wiele kobiecych piersi. Czy w miękkim, pełnym biuście Heleny kryło się cokolwiek wyjątkowego? Czy widok tego trójkącika ciemnych włosów był najwspanialszym pejzażem świata? Czy może znalazłem coś dojmująco podniecającego w jej białych, mocno zarysowanych udach? Coś bez reszty zachwycającego

w mlecznobiałych pośladkach, prężnych plecach i wąskich ramionach?

Oczywiście, że tak. Ale to nie ja winienem opisywać jej wspaniałość. Nie ja, marny scholiasta i – w marzeniach z poprzedniego życia – niewydarzony powieściopisarz. Tego zadania mógłby się podjąć jedynie poeta przerastający talentem Homera i Dantego, a nawet Szekspira. Żadna inna relacja nie oddałaby tej kobiecie sprawiedliwości.

Wyszedłem z łaźni w chłód pustego tarasu przed jej sypialnią i musnąłem wąską bransoletkę, umożliwiającą przybieranie kształtów innych osób. Wyświetlacz urządzenia zaczął świecić dopiero na wyraźną komendę, lecz mogłem nim też sterować za pomocą dotyku. W pamięci bransoletki przechowywałem dane licznych mężczyzn, które rejestrowałem przez ostatnie dziewięć lat. Teoretycznie mógłbym również oblec się w ciało kobiety, lecz nigdy dotąd nie widziałem ku temu powodu. Szczególnie nie widziałem go dzisiejszej nocy.

Na temat morfowania trzeba wam wiedzieć jedno: nie polega ono na zmianie układu tworzących ciało i kości cząsteczek, by złożyły się w inny, wybrany kształt. Sam nie mam pojęcia, w jaki sposób to działa, aczkolwiek pięć czy sześć lat temu pewien scholiasta z dwudziestego pierwszego wieku – nazywał się Hayakawa i nie zrobił na Olimpie wielkiej kariery – próbował mi wytłumaczyć swoją teorię. Otóż Hayakawa raz po raz wspominał o zasadzie zachowania materii i energii, cokolwiek to znaczy. Tej części wykładu nie poświęciłem zbytnej uwagi.

Tak czy inaczej, morfowanie odbywa się na poziomie kwantowym. Zdaje się, zresztą, jak wszystkie inne sztuczki tych bogów. Hayakawa poprosił, bym wyobraził sobie wszystkich obecnych na równinie ludzi – łącznie z nami dwoma – jako stojące fale prawdopodobieństwa. W świecie kwantów – klarował – zarówno ludzie jak i cała reszta fizycznego wszechświata, istnieją jako załamujące się czoła fal – cząsteczki, pamięć, zabliznione rany, uczucia, kocie wąsy, piwne oddechy, słowem wszystko. Podarowane nam przez bogów bransoletki rejestrowały te fale prawdopodobieństwa, pozwalały zapisywać oryginały i na krótki czas sprzęgać własne fale z zapisanymi, czyli w praktyce przenosić własne wspomnienia i wolę do nowego ciała. Dlaczego coś takiego nie narusza ukochanej przez Hayakawę zasady zachowania masy i energii? Nie

mam bladego pojęcia... Upierał się jednak, że nie narusza.

Fakt, że przejmowaliśmy wyłącznie wygląd innych osób, stanowił powód, dla którego my, scholiaści, niemal bez wyjątku morfowaliśmy podczas wojny trojańskiej jedynie w postaci pomniejszych; w przysłowiowych halabardników spektaklu, w typie owego bezimiennego wartownika, w którego wcieliłem się po Dolonie. Gdyby któryś z nas skradł ciało, dajmy na to, Odyseuszowi, Hektorowi czy Achillesowi, wyglądałoby oczywiście jak wybrany heros, lecz postępowałby zgodnie z dyktatem własnego umysłu i charakteru – dalece odbiegających od ducha oryginału – i każda kolejna minuta coraz bardziej oddalałaby przebieg wydarzeń od opisanego w „Iliadzie” wersji.

Zupełnie nie wiem też, dokąd trafiały osoby, których ciała zajmowaliśmy. Być może ich fale prawdopodobieństwa po prostu pozostawały gdzieś na poziomie kwantowym, nie zakłócając sfery, którą nazywamy rzeczywistością, i czekały, aż zwrócimy postać prawowitemu właścicielowi.

Możliwe również, że fale tych ludzi zapisywane były w naszych bransoletkach, bądź w jakiejś maszynie lub układzie scalonym na Olimpie. Nie wiem i niespecjalnie mnie to obchodzi. Pewnego dnia – niedługo zanim Hayakawa rozdrażnił Muzę i zniknął na dobre – zapytałem go, czy moglibyśmy za pomocą bransoletek przejąć ciało któregoś z Olimpijczyków. Hayakawa tylko się roześmiał.

– Bogowie chronią swoje fale prawdopodobieństwa z niezwykłą pieczołowitością, Hockenberry – powiedział. – Na twoim miejscu akurat z nimi bym nie igrał.

Tak więc uruchomiłem wyświetlacz bransoletki i przejrzałem rejestry setek mężczyzn, aż wreszcie znalazłem tego, na którym mi zależało. Parys. Niewykluczone, że Muza w jednej chwili skróciłaby moją egzystencję, gdyby tylko wiedziała, że w ogóle go zeskanowałem. Scholiastom nie wolno wpływać na trojańską historię.

Gdzie on teraz jest? – zastanowiłem się, zawieszając kciuk nad przyciskiem morfowania. Wypadki dzisiejszego popołudnia, konfrontacja Hektora z Parysem i Heleną, spotkanie Hektora z żoną i synem na murze... Wszystko to rozgrywa się pod koniec szóstej księgi „Iliady”. Chyba dobrze pamiętam?

Przez moment nie byłem w stanie zebrać myśli. Samotność boleśnie kąsała

mi serce. Kręciło mi się w głowie. Czułem się tak, jakbym pił co najmniej od południa.

Tak, to zakończenie księgi szóstej. Hektor zostawia Andromachę, a Parys dogania go tuż przed opuszczeniem miasta, bądź zaraz potem. Jak to szło w moim ulubionym przekładzie? „I Parys dłużej w swoim pałacu nie siedzi”. Świeżo upieczony mąż Heleny, zgodnie z obietnicą, przywdział zbroję i popędził za Hektorem, po czym obaj wymaszerowali przez Bramę Skajską, by dołączyć do walczących szeregów.

Przypomniał mi się referat, który wygłosiłem kiedyś na pewnej konferencji. Analizowałem w nim homerycką metaforę, przedstawiającą Parysa jako rumaka, który zerwał się z uwięzi i galopuje z włosem rozwianym na wietrze niczym grzywa, głodny bitwy i tak dalej, i dalej, i dalej...

Gdzie jest Parys w tej chwili? Już dawno po zmroku. Co mogłem przegapić, snując się bez celu po ulicach, wpatrując w rozświetlone okna Heleny, a później w jej cycki?

To z kolei już księga siódma, a ja zawsze uważałem tę część „Iliady” za najbardziej zagmatwaną, chaotyczną i niejasną. Księga siódma kończy długi dzień, który rozpoczął się jeszcze w księdze drugiej. Parys morduje Achaja imieniem Menestejos, a Hektor podrzyna gardło Ejoneusowi. Tyle zostało z czułych mężowskich objęć i ojcowskich uścisków. Potem następuje dalszy rozlew krwi, Hektor staje do pojedynku z Ajaksem Wielkim i...

I co? W gruncie rzeczy niewiele. Ajaks wygrywał – był przecież znacznie sprawniejszym wojownikiem – lecz wtedy bogowie ponownie pokłócili się o wynik starcia. Grecy i Trojanie wygłosili nadęte przemowy i obrzucili się wzajemnie przechwałkami, zawarto zawieszenie broni, a Hektor i Ajaks wymienili się zbrojami i zaczęli zachowywać jak starzy kumple. Na koniec wspólnie uchwalono rozejm, by obie strony mogły zebrać poległych i rozpalić stosy, a następnie...

Do cholery, gdzie był Parys dzisiejszej nocy? Czy został u boku Hektora, nadzorując przestrzegania zawieszenia broni i przemawiając podczas ceremonii pogrzebowych? A może uległ własnej naturze i wrócił do łóżka Heleny?

– A kogo to obchodzi? – rzuciłem na głos i nacisnąłem przycisk bransoletki.

Przeobraziłem się w Parysa.

Wciąż byłem niewidzialny. Miałem na sobie Hełm Hadesa, lewitacyjną uprzęż i wszystkie inne zabawki.

Pozbyłem się sprzętu, zostawiając tylko bransoletkę i teleportacyjny medalion. Całą resztę ukryłem za stojącym w kącie balkonu trójnogiem i po chwili stałem się po prostu Parysem w zbroi.

Ją także zdjąłem i schowałem i teraz byłem już trojańskim księciem w lekkiej tunice. Gdyby w tej chwili nakryła mnie Muza, mógłbym się ratować jedynie błyskawiczną teleportacją.

Odsunąłem firanki i wszedłem do łaźni. Helena popatrzyła na mnie ze zdziwieniem.

– Mój panie? – rzuciła cicho i wyczułem w jej głosie iskrę buntu. Zaraz potem spuściła wzrok.

Zapewne chciała się w ten sposób ukorzyć, przeprosić za wcześniejsze ostre słowa. – Zostawcie nas – ofuknęła służki i kobiety oddaliły się, znacząc posadzkę śladami mokrych stóp.

Helena Trojańska wyszła po kilku stopniach z wanny. Włosy miała suche, z wyjątkiem kilku wilgotnych kosmyków oblepiających jej ramiona i piersi. Głowę nadal trzymała nisko pochyloną, lecz zerknęła na mnie spod zasłony rzęs.

– Jakie jest twoje życzenie, mężu?

Żeby wykrztusić z siebie choć słowo, musiałem spróbować dwukrotnie. Wreszcie, głosem Parysa, zadysponowałem: – Chodź do łóżka.

# 19

## *Golden Gate w Machu Picchu*

Chodzili na moście Golden Gate od jednej wiszącej zielonej kuli, do drugiej. Pokonywali niedziałające schody ruchome i kryte kładki z zielonego szkła, prowadzące między grubymi linami, podtrzymującymi majaczącą daleko poniżej jezdnię. Razem z nimi szedł Odyseusz.

– Naprawdę jesteś tym Odyseuszem ze spektaklu turyńskiego? – spytała Hannah.

– Nigdy tego widowiska nie oglądałem – odparł mężczyzna.

Ada zwróciła uwagę, że człowiek mieniący się Odyseuszem nie odpowiedział co prawda twierdząco, lecz niczemu też nie zaprzeczył. Stwierdzenie było po prostu wymijające.

– W jaki sposób tutaj trafiłeś? – zapytał Harman. – I skąd?

– Trudno odpowiedzieć wprost – rzekł Odyseusz. – Moja wędrówka trwa już od jakiegoś czasu.

Próbuję trafić z powrotem do domu. Tutaj znalazłem tylko przystanek, miejsce w którym mogę odetchnąć. Za kilka tygodni ruszę dalej. Jeśli wolno, stanowczo wolałbym opowiedzieć swoją historię nieco później. Na przykład wieczorem, przy kolacji. Savi Uhr pomoże mi wtedy przedstawić opowieść tak, by zabrzmiała w waszych uszach sensownie.

Ada stwierdziła w duchu, że dziwnie jest słuchać obcego akcentu. Nigdy dotąd nie słyszała głosu człowieka, dla którego angielski nie był ojczystą mową. W świecie ściśle spletanym siecią faksowęzłów nie istniały nawet językowe regionalizmy. Wszyscy ludzie mieszkali naraz wszędzie i nigdzie.

Całą szóstką wspięli się na szczyt pylonu, na którym Savi posadziła

wcześniej sonik. Na platformę wyszli dokładnie w chwili, kiedy słońce zetknęło się z wierzchołkiem południowej z dwóch gór, między którymi rozpięto most. Dał silny, zachodni wiatr. Podeszli do barierki i spojrzeli osiemset stóp w dół, na zieloną od trawy przełęcz i stojące na tarasowych zboczach ruiny.

– Ostatnim razem odwiedziłam Golden Gate trzy tygodnie temu – odezwała się Savi. – Odyseusza zastałam wtedy w jednym z kriotemporalnych sarkofagów, w których sama zazwyczaj spiam. To właśnie jego przybycie, i wszystko co się z nim wiąże, spowodowało, że zdecydowałam się z wami skontaktować. Dlatego zostawiłam dla was wskazówki w Suchej Dolinie.

Czwórka towarzyszy wlepiła spojrzenia w staruszkę, najwyraźniej nie zrozumieli. Savi jednak nie kwapiła się do wyjaśnień. Popatrzyli więc z nadzieją na Odyseusza.

– Co zjemy na kolację? – zapytał mężczyzna, zamiast cokolwiek tłumaczyć.

– To samo co zawsze – odparła Savi.

Brodacz pokręcił głową.

– Nie. – Wymierzył palec w Harmana i Daemana. – Wy dwaj! Do zmierzchu została jeszcze godzina. To znakomita pora na łowy. Chcecie iść ze mną?

– Nie! – rzucił pośpiesznie Daeman.

– Tak – zgodził się Harman.

– Ja też chciałabym zapolować – wtrąciła Ada, zaskoczona energią własnego głosu. – Proszę.

Odyseusz obrzucił ją przeciągłym spojrzeniem.

– Dobrze – mruknął.

– Chyba i ja powinnam z wami iść – stwierdziła Savi niepewnie.

– Sam umiem prowadzić tę twoją maszynę. – Odyseusz wskazał skinieniem sonik.

– Tak, wiem. Ale... – Staruszka musnęła kolbę wciśniętego za pas pistoletu.

– To nie będzie konieczne – odparł Odyseusz. – Wybieramy się po strawę, nie na wojnę.

Wojniksów tam nie będzie.

Savi nie wyglądała na przekonaną.



Odyseusz zwrócił się do Ady i Harmana.

– Zaczekajcie tutaj. Pójdę tylko po tarczę i włócznię.

Harman roześmiał się w głos. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że ten potężnie zbudowany mężczyzna w jasnej tunice wcale nie żartował.

\* \* \*

Odyseusz rzeczywiście potrafił pilotować sonik.

Oderwali się od pylonu, okrążyli przełęcz, na której kładła się mozaika rzucanych przez ruiny cieni, i szybkim lotem pomknęli w dolinę.

– Myślałem, że chcesz zapolować pod mostem! – Harman przekrzyczał szum wiatru.

Odyseusz pokręcił głową. Jego długie, spływające na ramiona siwe włosy skojarzyły się Adzie z lwią grzywą.

– Tutaj można spotkać tylko jaguary, wiewiórki i duchy – stwierdził. – Żeby znaleźć porządną zwierzynę, musimy się udać na równinę. A ja mam ochotę na pewien konkretny posiłek.

Wylecieli z wąwozu. Góry zostały za ich plecami. Frunęli bardzo szybko i wkrótce ujrzeli pod sobą trawiaste łąki, upstrzone gdzieś sagowcami i wielkimi pierzastymi paprociami. Słońce chyliło się ku zachodowi, lecz wciąż jeszcze wisiało ponad szczytami. Ada zauważyła liczące setki sztuk stada dużych roślinożernych zwierząt nieznanego jej gatunku. Stworzenia miały brązową sierść i pasiaste czarno-białe zady. Sylwetką przypominały antylopy, lecz wyglądały na co najmniej trzykrotnie większe. Miały też zginające się w nietypowych miejscach nogi, gibkie szyje i długie obwisłe pyski, kojarzące się z różowymi szlauchami. Szybujący nad nimi sonik nie wydawał z siebie nawet szmeru. Ani jedno zwierzę nie zadarło łba.

– Co to za stworzenia? – zainteresował się Harman.

– Jadalne – odparł Odyseusz.

Zatoczył niski krąg i sprowadził pojazd na ziemię tuż za kępą wysokich paproci, pod wiatr od pasącego się jakieś trzydzieści metrów dalej stada. Słońce opuszczało się coraz niżej. Poza dwiema nedorzecznie wręcz długimi włóczniami – nie mieściły się prawie w soniku i wystawały spory kawałek

poza obręb pola siłowego. Odyseusz zabrał okrągłą tarczę, wykonaną z kunsztownie zdobionego brązu i kilku warstw wołowej skóry. Przy boku brodacza kołysał się krótki miecz, sztylet czekał zatknięty za pas. Adę, która przesiadywała pod całunem turyńskim znacznie częściej, niż przyznała Harmanowi, kontrast pomiędzy bohaterem rozgrywającego się pod Troją dramatu i jej światem – nawet w tej dzikiej odmianie – przyprawiał o zawrót głowy. Wyszła z sonika i ruszyła za mężczyznami.

– Nie – fuknął Odyseusz. – Ty zostań przy pojeździe.

– Sam sobie zostań – odparła dziewczyna.

Odyseusz westchnął.

– Ukryjcie się tu za krzewem – szepnął. – I ani drgnijcie. Jeżeli zbliży się do was jakieś zwierzę, wskakujcie do sonika i uruchomcie pole siłowe.

– Nie umiem – przyznał Harman półgłosem.

– Nie wyłączyłem sztucznej inteligencji – stwierdził Odyseusz. – Wystarczy, że się położysz i wydasz komendę „Włączyć pole siłowe”.

Z obiema włócznieami w rękach, Odyseusz wyszedł na trawiastą równinę. Kroczył powoli, bezszelestnie. Stopniowo podkradał się do stada. Ada doskonale słyszała pomruki i odgłosy przeżuwania, dolatywał ją nawet trzask odgryzanych ździebeł. Intensywna woń długonosych stworzeń drażniła jej nozdrza. Zbliżający się człowiek wcale ich nie spłoszył, a kiedy najbliższe sztuki uniosły wreszcie łby, Odyseusz stał już czterdzieści stóp od nich. Spokojnym gestem odłożył tarczę i jedną włócznie. Drugą uniosł i wziął zamach.

Zwierzęta przestały się paść i przyglądały się dziwnej, dwunożnej istocie. W ich spojrzeniach więcej było ciekawości niż strachu.

Muskularne ciało Odyseusza spięło się, naprężyło i zagrało nagle niczym zwolniona sprężyna.

Włócznie pomknęła w powietrzu, pewnie jak po sznurku. Grot wszedł gładko w długą, umięśnioną szyję jednego ze stworzeń. Roślinożerca wydał z siebie zdławiony pomruk i padł ociężale na ziemię.

W powietrzu poniosło się prychanie i gardłowe beczenie. Stworzenia rzuciły się do panicznej ucieczki. Pędziły zygzakiem, niemal w miejscu, zmieniając co chwila kierunek biegu, na co pozwalały im dziwnie

rozmieszczone stawy. Ada jeszcze nigdy nie widziała czegoś podobnego. Po chwili stado zniknęło na północnym horyzoncie i tętent kopyt ucichł.

Odyseusz przyklęknął obok martwego zwierzęcia i dobył zza pasa krótki zakrzywiony sztylet.

Paroma szybkimi cięciami otworzył jamę brzuszną i usunął wnętrzności. Dymiące trzewia cisnął w trawę, z wyjątkiem wątroby, którą ułożył na przygotowanym zawnazasu kawałku brezentu.

Następnie rozkroił skórę na zadzie zdobyczy, wyciął gruby plaster czerwonego mięsa i także odłożył go ostrożnie na bok. Wreszcie poderznął zwierzęciu gardziel, utoczył nieco krwi na ziemię i uwolnił włócznie, uważając, by nie złamać drzewca. Na koniec starannie oczyścił broń o trawę.

Stojąca wciąż za krzewem Ada poczuła, że robi się jej słabo, i na wszelki wypadek usiadła. Nie chciała zemdleć. Jeszcze nigdy nie była świadkiem zadanej ludzkimi rękoma śmierci zwierzęcia.

Tym bardziej nie wyobrażała sobie nawet tak sprawnego patroszenia i skórowania.

Cały proces wydał się jej straszliwie... wydajny. Wstydząc się własnej reakcji, pochyliła głowę i odczekała, by wirujące plamki zniknęły jej sprzed oczu.

Harman troskliwie złożył jej dłoń na ramieniu, lecz dziewczyna machnęła tylko ręką, więc ruszył ku myśliwemu.

– Nie podchodź – uprzedził Odyseusz.

Skonsternowany mężczyzna stanął w pół kroku.

– Przecież zwierzęta już uciekły. Może pomogę ci nieść...

Odyseusz uciszył go gestem.

– Nie na to poluję. To tylko... Nie ruszaj się, mówię!

Harman i Ada spojrzeli ku zachodowi. Zbliżały się stamtąd dwa czarno-białe, dwunożne stworzenia. Biegły bardzo szybko, prędezej nawet niż pierzchający roślinożercy. Ada poczuła w gardle nagły ucisk. Harman stał jak wryty.

Zwierzęta pędziły ku krwawym zwłokom i klęczącemu Odyseuszowi z prędkością co najmniej sześćdziesięciu mil na godzinę. Podbiegły, po czym zatrzymały się, wzbijając łapami obłoczki miążkiego piachu. Ada rozpoznała

w nich ptaki, które widzieli już wcześniej. Savi nazwała je fororakami. Tyle że przedtem oglądała je z bezpiecznej wysokości i wyglądały na dość zabawne, przypominające strusie dziwadła. W dodatku kroczyły wtedy nieporadnie niczym przerośnięte kaczki. Teraz okazały się przerażające.

Oba fororaki przystanąły pięć kroków od zabitego stworzenia. Ani na mgnienie nie spuszczały wzroku z Odyseusza. Mierzyły sobie bez mała trzy metry wzrostu. Ich silne, sprężyste ciała porośnięte były krótkim białym pierzem, z wyjątkiem szczytkowych skrzydeł pokrytych czarnymi piórami. Łapy dorównywały grubością talii Ady. Złowroźnie zakrzywione dzioby ptaszysk musiały mieć przynajmniej cztery stopy długości i były na dodatek pokryte czerwonymi smugami przywodzącymi na myśl zakrzepłą krew. Potężne mięśnie szczęk wybrzuszały się wyraźnie pod warstwą długich czerwonych piór rosnących fororakom na karkach. Złośliwie błyskające, okrutne żółte ślepie – przypominające oczy gadów – obwiedzione były pasemkiem błękitu. Jakby mordercze dzioby im nie wystarczały, nogi stworów kończyły się mocnymi szponami – długimi jak przedramię Ady – a z krótkich skrzydeł sterczały im groźne pazury.

Dziewczyna natychmiast pojęła, że nie ma przed sobą padlinożerców. Fororaki musiały być śmiertelnie niebezpiecznymi drapieżcami.

Odyseusz wyprostował się z obiema włóczniami w dłoniach. Ptaki odpowiedziały, zadzierając łby.

Wymieniły się porozumiewawczymi łypnięciami żółtych ślepi i rozdzieliły się tanecznym krokiem myśliwych, by zająć mężczyznę z dwóch stron. W nos Ady uderzył bijący od ich ciał fetor gnijącego mięsa. Jasne było, że potężne, nagie łapy umożliwiłyby ptaszyskom dopadnięcie Odyseusza jednym skokiem i wtedy ważące tonę potwory bez trudu rozdarłyby łowcę swymi koszmarnymi szponami.

Co gorsza, oba drapieżniki współpracowały ze sobą jak świetnie zgrany zespół.

Odyseusz nie czekał, aż fororaki zajmą dogodną pozycję. Z zabójczym wdziękiem cisnął pierwszą włócznią, mocno i mierząc w pierś fororaka z lewej strony. Zaraz potem zawirował na pięcie, zwracając się ku drugiemu napastnikowi. Ranione zwierzę wydało z siebie przenikliwy, mrozący krew

w żyłach skrzek. Jazgot nie zagłuszył jednak ryku i wycia Odyseusza, który przesadził leżącą przynętę, przełożył ostatni pocisk z lewej dłoni do prawej i uderzył, kierując brązowy grot w ślepie drugiego fororaka.

Pierwszy z pary drapieżców zachwiał się, zatoczył do tyłu i zamachnął pazurem na sterzące mu z piersi dębowe drzewce. Włócznia pękła na dwoje. Zdrowy ptak poderwał łeb niczym kobra i uniknął ataku Odyseusza. Zaskoczony potwór sparował następny cios i odskoczył dziesięć stóp wstecz.

Greki po każdym ciosie musieli cofać nieporęczny oręż, by przeciwnik nie wytrącił mu go z dłoni.

Raz po raz porykując, mężczyzna cofnął się i potknął o zwłoki upolowanego wcześniej zwierzęcia.

Przewrócił się i przetoczył w bok.

Zdrowy fororak skorzystał z nadarżającej się okazji. Wybił się na sześć stóp w powietrze i z rozcapierzonymi pazurami runął prosto na Odyseusza.

Myśliwy jednym płynnym ruchem przeturlał się i podniósł na jedno kolano. Tępy koniec włóczni osadził w ziemi. Mgnienie oka potem ptak opadł prosto na grot, który przeszedł przez muskularne ciało i rozorał nieczułe serce. Odyseusz musiał uskoczyć, by padające cielsko nie zmieniło go w krwawą miazgę.

– Uwważaj! – zawołał Harman i ruszył towarzyszowi na pomoc.

Ranny fororak – broczący krwią z rany, z wciąż wystającym z piersi odłamkiem włóczni – pędził na Odyseusza od tyłu. Wężowa szyja wyciągnęła się na pełne sześć stóp i morderczy dziób kłapnął w miejscu, w którym znajdowałyby się głowa myśliwego, gdyby tylko spróbował się wycofać.

Wojownik jednak skoczył naprzód i raz jeszcze przetoczył się w trawie. W tej chwili nie miał już jednak broni. Monstrum przebiegło obok i zawróciło, niemal równie płynnie i błyskawicznie jak roślinożercy o dziwacznie umieszczonych stawach.

– Ej, ty! – zawołał Harman i rzucił w wielkiego ptaka kamieniem.

Wyraźnie zdziwiony taką bezczelnością drapieżnik zadarł łeb i błysnął żółtymi ślepiami. Zaraz potem ruszył na Harmana, który się pośliznął, wykrzyknął piskliwie „Kurde” i zaczął uciekać. Gdy uświadomił sobie, że napastnik jest znacznie szybszy, odwrócił się, zaparł na szeroko rozstawionych

nogach, uniósł pięści i przygotował się do odparcia ataku gołymi rękoma.

Ada rozejrzała się. Szukała kamienia, patyka, jakiegokolwiek broni. Nie znalazła niczego. Poderwała się z ziemi.

W tej samej chwili Odyseusz zgarnął leżącą w trawie tarczę i wyskoczył w powietrze, wybijając się obunóż ze zwłok przynęty jak z trampoliny. Wylądował na grzbiecie fororaka i natychmiast dobył miecza.

Rozpędzone ptaszysko wciąż biegło ku Adzie i Harmanowi, lecz kiedy poczuło na sobie ciężar, zwróciło wielki, czerwony dziób ku Odyseuszowi, który osłonił się przed uderzeniem okrągłą tarczą. Mężczyzna chwiał się przy każdym kłapnięciu potężnych szczęk, ale zacisnął mocno uda i choć wygiął się niesamowicie daleko do tyłu, wciąż ekwilibrystycznie jechał, niczym jeden z kawalerzystów, których Ada oglądała w spektaklu turyńskim. Wreszcie zniechęcony fororak zwrócił żółte ślepia na Harmana. Odyseusz nie zwlekał. Pochylił się naprzód i przeciągnął ostrzem miecza po białą upierzonej szyi ptaka. Przeciął tętnicę.

W mgnieniu oka zeskoczył na trawę i podbiegł do Harmana. Potwór gruchnął o ziemię i znieruchomiał dziesięć stóp od nich. Krew z rozciętej gardzieli jeszcze przez chwilę tryskała w powietrze wysoką na pięć stóp fontanną. Ostatecznie jednak potężne serce zamarło.

Zdyszany, wysmarowany zwierzęcą krwią, umorusany ziemią i trawą Odyseusz uśmiechnął się szeroko.

– Cóż, planowałem upolować tylko jedną sztukę – powiedział. – Ale nie ma tego złego, drugi będzie na potem.

Ada podeszła do Harmana i złożyła mu dłoń na ramieniu. Nie spojrzał na nią. Wciąż stał w bezruchu, z szeroko otwartymi oczyma.

Odyseusz tymczasem pochylił się nad jednym z martwych fororaków, odrąbał wielki łeb i ciął sztyletem wzdłuż piersi, oddzielając skórę i pióra od mięsa z taką swobodą, z jaką zwykle pomaga się gościom zdjąć przyciężki płaszcz.

– Potrzebuję więcej plastikowych worków – zwrócił się do towarzyszy. – Są w soniku. W tylnym schowku. Powiedzcie „otwórz schowek” i automat posłucha. Tylko żwawo.

Harman odwrócił się, lecz po dwóch krokach przystanął.

– Żwawo? Skąd ten pośpiech?

Odyseusz otarł grzbietem dłoni krew z brody i wyszczerzył białe zęby.

– Te cholerstwa wyczuwają krew na dziesięć mil... A wieczorami po równinie kręcą się setki takich par.

Harman natychmiast pobiegł do pojazdu.

\* \* \*

Ada zauważyła, że Savi i Daeman upili się już przed kolacją.

Stół przygotowali w szklanym pomieszczeniu, zawieszonym przy jednym ze wsporników południowego pylonu. Savi odgrzewała gotowe jedzenie w typowej, mikrofalowej bańce lecz Ada i tak przyglądała się jej poczynaniom z fascynacją.

Nigdy nie widziała posiłku przygotowanego wyłącznie przez człowieka.

Nieobecność serwitorów stała się jeszcze bardziej zauważalna, gdy zasiedli do jedzenia.

Odyseusz został na zewnątrz, gdzie na szerokim dźwigarze sklecił ze stali i kamieni konstrukcję, na której rozpałił ogień z przywiezionego z równiny drewna. Rozpadało się i dość często musiał dokładać kolejne polana. Blask płomieni odbijał się w rdzewiejącej, pokrytej pomarańczowym lakierem ścianie pylonu.

Harman upił łyk ginu ze szklanki i wyjrzał przez zieloną, przejrzystą ścianę.

– Co to takiego? Ołtarz na cześć pogańskich bóstw?

– Niezupełnie – powiedziała Savi. – On w ten sposób przyrządza jedzenie.

Staruszka przyniosła do okrągłego stołu miski i talerze. Nakryła.

– Zawołaj go, proszę – rzuciła do Harmana. – Nie mam nic przeciwko kremacji, ale jedzenie zaczyna nam stygnąć. Zresztą znad gór idzie burza, a kiedy wałą pioruny, nikt nie powinien siedzieć na moście.

Wreszcie wszyscy rozsiedli się na miejscach, a Odyseusz odstawił drewniane talerze z dymiącym mięsem na blat pod ścianą, by pozostali nie musieli oglądać nadpalonych kawałków. Savi wyciągnęła skądś dzban wina i poczęstowała towarzyszy. Sobie nalała na końcu. Ada usłyszała jej szept: „Baruch atah adonai, eloheno melech ha olam, borai pri hagafen”.

– Co to znaczy? – spytała półgłosem dziewczyna.

Pozostali śmiali się akurat z dowcipu Daemana i nie zwrócili uwagi na mamrotanie starej kobiety.

Ada słyszała obcą mowę tylko pod całunem turyńskim. Wojownicy ze spektaklu posługiwali się bełkotliwym językiem, który jednak, z pomocą jakiejś nieznannej technologii, rozumieli wszyscy oglądający.

Savi pokręciła głową. Dziewczyna wciąż jednak nie wiedziała, czy starszka sama nie zna znaczenia dziwnie brzmiących słów, czy po prostu nie ma ochoty się nim dzielić.

– Zwiedziłam wszystkie piętra mostu i każdą z tych szklanych kul – opowiadała rozemocjonowana Hannah.-Sama konstrukcja jest stara i przeżarta rdzą, niemniej... oszałamia.

A w salach pod nami widziałam dziwne metalowe twory. Tak sobie po prostu stały. Niczemu chyba nie służą. To ciekawe, zwłaszcza że niektóre przypominają kształtem ludzi.

Savi wybuchnęła śmiechem. Akurat dolewała sobie wina. Tym razem bez akompaniamentu niezrozumiałego szeptu.

– To są posągi – odezwał się Odyseusz. – Rzeźby. Nigdy nie widziałas rzeźb?

Hannah pokręciła głową. Mimo że na nauce odlewnictwa spędziła wiele lat, to ani razu nie przyszło jej do głowy, że z metalu można wytwarzać podobizny żywych stworzeń. Ada również uznała pomysł za co najmniej ekscentryczny.

– Oni nie znają sztuki – rzuciła obcesowo Savi i spojrzała na Odyseusza. – Nie tworzą rzeźb, obrazów, zdjęć, hologramów.

Nie znają inżynierii genetycznej.

Nie komponują, nie tańczą.

Zero baletu i śpiewu. Brak teatru czy architektury. Kabuki, dramat... W ogóle nic. Są mniej więcej tak kreatywni, jak nieopierzone pisklęta.

Nie, wróc...

w końcu nawet świeżo wyklute ptaki potrafią melodyjnie gwizdać i budować gniazda.

Ci współcześni elojowie są jak nieme kukułki zajmujące cudze gniazda, za



które nie są w stanie odwdziżyć się choćby jedną piosenką – dokończyła nieco bełkotliwie.

Odyseusz powiódł nieodgadnionym spojrzeniem po twarzach Hanny, Ady, Daemana i Harmana.

Wszyscy czworo z szeroko otwartymi oczami przyglądali się Savi. Nie mieli pojęcia, skąd w tonie staruszki wzięło się tyle agresji.

– Z drugiej strony – ciągnęła Savi, patrząc Odyseuszowi w oczy – nie znają też literatury. Tak samo jak wy.

Mężczyzna odpowiedział jej uśmiechem. Ada zauważyła, że z identyczną miną wycinał wcześniej kawały mięsa z cielska upolowanej zwierzyny. Odyseusz co prawda wykapał się przed kolacją, w tej chwili nawet jego gęsta broda pachniała szamponem, lecz dziewczyna wciąż miała przez oczami lepkie smugi świeżej krwi i potu na jego ciele i włosach. Przemknęło jej przez myśl, że drażniąc takiego człowieka, Savi zachowuje się niemądrze.

– Panie analfabeto z urodzenia, poznaj, proszę, analfabetów z wyboru. – Savi wykonała gest, jakby ich sobie wzajemnie przedstawiała. Uniosła palec. – Ach, gapa ze mnie! Zapomniałam o naszym Harmanie. Wśród tych odpadków dawnej ludzkości to prawdziwy Balzac, Szekspir niemalże. Czyta już równie szybko jak szóstoklasiści z Zapomnianej Ery, prawda Harman Uhr?

Nadal poruszasz wargami, kiedy ślęczysz nad książką, co?

– Tak – przyznał z nieznacznym uśmiechem zagadnięty. – Ruszam wargami. Nie wiedziałem, że można inaczej. Zresztą dojdzie do tego poziomu i tak zajęło mi ponad cztery Dwudziestki.

Ada uznała, że mężczyzna w jego wieku powinien wyczuwać, kiedy ktoś go obraża. On jednak czekał na dalszy ciąg wywodu staruszki.

Dziewczyna odchrząknęła.

– Co to za zwierzę dzisiaj... zabiłeś? – spytała Odyseusza. – Nie chodzi mi o fororaki, tylko to wcześniej.

– Dla mnie to po prostu długonose bydlę – odparł mężczyzna. – Chcesz spróbować? – Odwrócił się i sięgnął po talerz ze szerniałym na ogniu mięsem. Podsunął je dziewczynie pod nos.

Ada postanowiła wykazać się uprzejmością. Ostrożnie manewrując sztucami, przeniosła sobie na talerz najmniejszy możliwy kęs.

– Ja też poproszę – powiedział Harman.

Talerz zaczął krążyć wokół stołu. Hannah i Daeman skrzywili się na widok nowego dania. Zdobyli się na tyle, by je powąchać, lecz nie poczęstowali się. Kiedy poczęstunek Odyseusza dotarł do Savi, stara kobieta zwróciła go bez słowa myśliwemu.

Ada odkroiła cieniutkie pasemko i wsunęła do ust. Mięso okazało się znakomite. Przypominało stek, lecz smakowało i pachniało bardziej intensywnie. Dym ze spalonego drewna nadał mu aromatu niespotykanego w potrawach przygotowywanych za pomocą mikrofal. Jeszcze nigdy nie jadła czegoś tak smakowitego. Odkroiła sobie grubszy plaster.

Odyseusz posługiwał się tylko swoim krótkim, ostrym nożem. Ucinał wąskie kawałki, nabijał je na ostrze sztyletu i podnosił do ust. Ada z wysiłkiem próbowała się nie gapić.

– Makrauchenia – rzuciła Savi, pomiędzy kęsami sałatki z ugotowanym w mikrofalach ryżem.

Ada podniosła wzrok. Może kobieta kontynuowała swój dziwny rytuał?

– Że co, proszę? – zagadnął Daeman.

– Makrauchenia. Tak się nazywa zwierzak, którego zaszlachtował nasz grecki przyjaciel. Dwa miliony lat temu żyły na wszystkich równinach Ameryki Południowej, lecz wyginęły jeszcze przed przybyciem ludzi. Arniści sprowadzili je z powrotem w szalonym okresie po rubikonie, zanim postłudzie powstrzymali tak bezmyślne odtwarzanie wymarłych gatunków. Tuż po wypuszczeniu pierwszych makrauchenii część arnistów uznała, że dobrym pomysłem będzie też ożywienie *phorusrhacos*.

- Foru... czego? – wydukał Daeman.

– *Phorusrhacos*. Fororaków. Oczywiście genialni arniści zapomnieli, że te ptaki przez miliony lat były najważniejszymi drapieżnikami tutejszego ekosystemu. Do momentu, kiedy obniżył się poziom wody w morzach i pomiędzy Amerykami pojawił się lądowy pomost. Wtedy do Ameryki Południowej dotarły smilodonty. Właśnie, wiecie, że Przesmyk Panamski znowu jest zalany? I że przejście zniknęło? – Rozejrzała się wokół stołu. Staruszka była już mocno pijana, zadziorna i pewna, że nikt z obecnych nie ma pojęcia, o czym ona mówi.

Harman upił łyk wina.

– Czy my chcemy wiedzieć czym są smilodonty?

Savi wzruszyła ramionami.

– To takie wielkie kociska z cholernie długimi kłami... jak szable. Fororaka zjadłyby na śniadanie i poprosiły o dokładkę, dłubiąc sobie jego kośćmi w zębach. Ci idioci arniści odtworzyli rzecz jasna i ten gatunek, ale nie tutaj. W Indiach. Chyba wszyscy wiecie, gdzie to jest... było... no, powinno być? Postłudzie oderwali cały subkontynent od Azji, rozwalili go na kawałki i przeobrazili, cholera, w archipelag.

Piątka biesiadników wlepiła w staruszkę zmieszane spojrzenia.

– Dobrze, że mi przypomniałaś – rzucił w ciszę Odyseusz z tym swoim twardym akcentem. Wstał i podszedł do blatu. – Czas na kolejne danie. Fororaki. – Przeniósł na stół wielką paterę z mięsem. – Już od dłuższego czasu chciałem tej delicji skosztować, tylko nie miałem kiedy wybrać się na łowy.

Są chętni?

Po kawałek drapieżnego ptaka zgłosili się wszyscy poza Daemanem i Savi. Uzupełniono kieliszki.

Nad mostem rozpełtała się potężna burza z piorunami, błyskawice trzaskały na stalowej konstrukcji, oświetlając przełęcz i ruiny, a także ciężkie chmury i zębate wierzchołki gór.

Ada, Harman i Hanna zjedli po kęsie jasnego mięsa, które popili szczodrymi haustami wody i wina. Odyseusz odkrawał sobie plaster za plastrem. Wciąż używał tylko noża.

– Smakuje jak... kurczak – przerwała milczenie Ada.

– Właśnie – przytaknęła Hannah. – Zdecydowanie drób.

– Kurczak z dziwnym gorzkawym posmakiem – ocenił Harman.

– Jak sęp – burknął Odyseusz. – Mnie kojarzy się ze smakiem mięsa z sępa.

– Odgryzł kawał pieczeni, przełknął i wyszczerzył się szeroko. – Następnym razem podam więcej sosu.

\* \* \*

Po tym komentarzu rozmowa się urwała. Jedli ryż z mikrofalówki i tylko

Odyseusz pakował w siebie kolejne porcje fororaka i makrauchemii, przepłukując gardło litrami wina. W normalnej sytuacji panujące przy stole milczenie byłoby niezręczne, lecz z pomocą przyszła im burza. Zerwała się gwałtowna wichura, błyskawice rozcinały niebo niemal bez przerwy – raz po raz zalewając jadalnię falami białego światła – a grzmoty rozbrzmiewały na tyle głośno, że i tak zagłuszyłyby wszelkie rozmowy. Szklana bańka, w której siedzieli, delikatnie kołysała się przy każdym silniejszym podmuchu i czwórka gości wymieniała się spojrzeniami, w których malował się coraz słabiej skrywany niepokój.

– Nie macie się czego bać – odezwała się Savi. W jej tonie nie było już słychać gniewu ani upojenia, zupełnie jakby wcześniejsze ostre słowa pozwoliły jej wyrzucić z siebie całą gorycz. – Parazkło nie przewodzi prądu, a przymocowani jesteśmy nad wyraz solidnie. Dopóki nie runie cały most, nic nam nie grozi. – Stara kobieta osuszyła kieliszek i uśmiechnęła się niewesoło. – Z tym że ta budowla jest starsza od węgla, więc niczego nie obiecuję.

Kiedy burza zaczęła wreszcie słabnąć, a Savi podała kawę i herbatę w dziwacznych szklanych naczyniach, odezwała się Hannah.

– Odyseusz Uhr, obiecałeś wcześniej, że wieczorem opowiesz nam, w jaki sposób się tu znalazłeś.

– Czy mam wyśpiewać opowieść o wszystkich zakrętach moich splątanych ścieżek, o losie, który nieustępliwie zwodził mnie z właściwego kursu, już od dnia, gdy wraz z towarzyszami obrabowałem święte wzgórze Pergamu?

– Tak – zachęciła Hannah.

– Tak też uczynię – rzekł Odyseusz. – Najpierw jednak, jak sądzę, Savi Uhr chciałaby z wami omówić pewną sprawę.

Spojrzeli na staruszkę z wyczekiwaniem.

– Potrzebuję waszej pomocy – przyznała Savi. – Od wielu setek lat unikałam kontaktu z waszym światem, z wojnikami i innymi strażnikami, którzy chętnie ujrzeliby moją zgubę. Odyseusz jednak pojawił się tutaj nie bez powodu, a jego zamiary współgrają z moimi. Chcę was prosić, byście zabrali go ze sobą do domu. By jedno z was udzieliło mu gościny i przedstawiło swoim znajomym, z którymi mógłby porozmawiać.

Ada, Harman, Daeman i Hannah popatrzyli po sobie.

– Dlaczego się po prostu nie faksuje tam, dokąd zechce? – zdziwił się Daeman.

– Odyseusz, podobnie jak ja, nie może się faksować. – Staruszka pokręciła głową.

– Znowu jakiś absurd – zachnął się chłopak. – Przecież każdy może się faksować.

Savi westchnęła i wlała sobie do kieliszka reszkę wina z butelki.

– Chłopcze, czy ty w ogóle wiesz, na czym polega faksowanie? – spytała.

– Jasne! – Daeman zaśmiał się. – Polega na tym, że przenosimy się z jednego miejsca, w inne.

Trafiamy tam, dokąd się nam akurat podoba.

– Zgoda, ale na jakiej zasadzie działa? – dopytała stara kobieta.

Chłopak pokręcił głową, zniesmaczony wyraźnym niedostatkiem rozumu Savi.

– Jak to, na jakiej zasadzie? Działa i tyle. Podobnie jak serwitory czy bieżąca woda. Dzięki faksowężłom podróżujemy z miejsca na miejsce, od stacji do stacji...

Harman uciszył go, podnosząc rękę.

– Wydaje mi się, że Savi Uhr pyta, według jakich prawideł funkcjonuje maszyna, która umożliwi nam faksowanie, Daeman Uhr.

– Sama się kiedyś nad tym zastanawiałam – wtrąciła Hannah. – Osobiście, na przykład, potrafię zbudować piec do wytopu metalu. Nie mam jednak pojęcia, jak miałabym skonstruować portal, który przenosiłby nas z punktu A do B bez konieczności... podróżowania pomiędzy.

Savi zaniósła się krótkim śmiechem.

– Moje dzieci, nic was nie przenosi. Faksowężły nikogo donikąd nie wysyłają. One was niszczą.

Rozbierają na kawałki, atom po atomie. Co więcej, te atomy również nie są przekazywane dalej.

Zostają zmagazynowane na potrzeby następnej osoby faksującej się do danej stacji. Faksowanie to nie podróż, tylko śmierć. W portalu docelowym, w innym miejscu, powstaje wasza nowa wersja.

Odyseusz sączył wino i spoglądał przez okno na ustępującą burzę. Wywody

starsuszki nie interesowały go ani trochę. Za to pozostała czwórka wpatrywała się w nią jak zaklęta.

– Ale... – zaczęła Ada. – To przecież...

– Obłąd – dokończył Daeman.

– Nie inaczej – odparła z uśmiechem Savi.

Harman odchrząknął i odstawił filiżankę z kawą na blat.

– Savi Uhr, skoro twierdzisz, że przy każdym faksowaniu ulegamy zniszczeniu, to dlaczego, kiedy... docieramy w inne miejsce, zachowujemy dawne wspomnienia? Spójrz. – Uniósł prawą rękę. – Tę małą bliznę noszę od siedmiu lat. Miałem wtedy dziewięćdziesiąt dwa. Tego rodzaju błahostki znikają zwykle po standardowej wizycie w konserwatorni, dokąd udajemy się po każdej skończonej Dwudziestce, ale... – Urwał w pół zdania, jakby sam domyślił się odpowiedzi.

– Właśnie – stwierdziła Savi. – Umysły kierujących portalami maszyn zapamiętują każdą z waszych niedoskonałości, podobnie jak zachowują waszą pamięć i całą komórkową strukturę osoby, po czym przesyłają informację, informację, nie was samych, z węzła do węzła. A co dwadzieścia lat na tej samej zasadzie naprawiają was w tym, co nazywacie konserwatorią. Jak sądzisz, Harman Uhr, dlaczego znikniesz w dniu setnych urodzin? Dlaczego nie zostaniesz odtworzony? I dokąd trafisz potem?

Harman nie odpowiedział. Wyręczył go Daeman.

– Potem ludzie trafiają na pierścienie, niemądra kobiecino. W dniu Piątej Dwudziestki każdy wstępuje do pierścieni.

– Tak, by stać się postludźmi – dopowiedziała Savi, ledwie powstrzymując ironiczny uśmieszek. – Traficie do raju, gdzie zasiadacie po prawicy... Nieważne czyje, w każdym razie po prawicy.

– No... tak. – Hannah pokiwała głową, chociaż ostatnie słowo zabrzmiało jak pytanie.

– No, nie. Co prawda nie mam pojęcia co się dzieje z zarejestrowanymi w logosferze informacjami, ale jestem pewna, że nie trafiają do pierścieni. Być może rzeczywiście ktoś je przechowuje, lecz według mnie wasze dane są po prostu niszczone.

Ada po raz drugi tego dnia poczuła, że za moment zemdleje. Zebrała się

jednak w sobie na tyle, by zadać kolejne pytanie.

– Savi Uhr, dlaczego ani ty, ani Odyseusz nie możecie korzystać z faksowców? Chyba że możecie, tylko po prostu nie chcecie, by coś was niszczyło, rozszarpywało na kawałki jak ciała upolowanych dzisiaj fororaków? – Dziewczyna zanurzyła koniuszki palców w kieliszku z wodą i zwilżyła sobie policzek.

– Odyseusz nie może, ponieważ w logosferze nie ma o nim informacji – odpowiedziała staruszka ściszym głosem. – Gdyby spróbował, byłaby to jego ostatnia decyzja w życiu.

– Czym jest ta... logosfera? – zainteresował się Harman.

Savi pokręciła głową.

– Mocno skomplikowana kwestia. Zbyt złożona, by zdołała ją wam wyjaśnić stara, pijana kobieta.

– Ale niedługo nam opowiesz? – Mężczyzna nie rezygnował.

– Jutro wam po prostu pokażę – obiecała Savi. – Zanim się na powrót rozstaniemy.

Ada zerknęła na Harmana, którego dosłownie zżerały ledwie maskowane emocje.

– No dobrze. Ale w tej całej logosferze... czymkolwiek jest – wtrąciła Hannah – istnieje twój zapis, prawda? Te informacje pozwalające się faksować? Czyli mogłabyś?

Savi uśmiechnęła się smutno.

– O, tak. Zostałam zapamiętana ponad tysiąc czterysta lat temu. Wówczas faksowałam się codziennie. Teraz logosfera czyha na mnie niczym niewidzialny fororak... Gdybym tylko skorzystała z jednego z węzłów, rozpoznałaby mnie od razu. Ale i dla mnie byłby to ostatni krok w życiu.

– Nie. Nie rozumiem – przyznała Hannah.

– Może odsuńmy na bok całą teorię, dobrze? – zaproponowała Savi. – Wystarczy, że pogodzicie się z faktem, że ani ja, ani Odyseusz nie możemy korzystać z waszych wspaniałych portali.

A gdybym wsiadła do sonika i spróbowała odwiedzić waszą cudowną społeczność, również spotkałby mnie marny koniec.

– Dlaczego? – zapytał Harman. – W naszym świecie nie ma przemocy.

Oglądamy ją tylko w spektaklu turyńskim. Ale wszyscy przecież wiedzą, że to nie dzieje się naprawdę. – Obrzucił znaczącym spojrzeniem Odyseusza, lecz siwowłosa mężczyzna nawet nie drgnął.

Savi napiła się wina.

– Musicie mi po prostu uwierzyć. Kiedy mówię, że ujawnienie się w waszym świecie oznaczałoby dla mnie śmierć, wcale nie żartuję. Możecie mi także zaufać w sprawie Odyseusza. Naprawdę jest szalenie ważne, by poznał innych ludzi i mógł z nimi bez przeszkód rozmawiać. Powinien zostać wysłuchany. Czy, jeżeli obiecuję, że odwiozę was Sonikiem, jedno z was zgodzi się go przyjąć w swoim domu na kilka tygodni? Może na miesiąc?

– Trzy tygodnie – przerwał starej kobiecie Odyseusz, dość obcesowo, najwyraźniej poirytowany, że inni decydują w jego sprawie. – Ani dnia dłużej.

– Zatem dobrze. – Savi skinęła głową. – Trzy tygodnie. Czy któreś z was ugości na ten czas obcego w obcym kraju?

– Tylko czy Odyseuszowi nie grozi wśród nas podobne niebezpieczeństwo jak tobie? – zapytał Daeman.

– Odyseusz Uhr umie się o siebie zatroszczyć – odparła Savi.

Czwórka gości pograżyła się na moment w milczeniu. Próbowali ogarnąć znaczenie prośby i wszystkiego, co mogło z niej wyniknąć. Wreszcie odezwał się Harman.

– Savi Uhr, chętnie zaproszę Odyseusza pod swój dach, lecz równie chętnie odwiedziłbym to miejsce, w którym według ciebie można znaleźć statek kosmiczny – powiedział. – Zamierzam polecieć na pierścienie, a jak sama raczyłaś zauważyć, zbliżam się do końca ostatniej Dwudziestki.

Nie stać mnie na stratę czasu. Wolę go spożytkować, poszukując osuszonego morza, w którym według ciebie postludzie trzymają pojazdy zdolne do kosmicznych lotów. Może, gdybyś mnie nauczyła pilotować sonik...

Staruszka potarła skronie, jak w nagłym ataku migreny.

– Masz na myśli Basen Śródziemny? Harman Uhr, tam nie da się dolecieć.

– Znaczący, że to zabronione?

– Nie – sprostowała Savi. – Tam w ogóle nie da się latać. Soniki i inne latające maszyny przestają nad Basenem działać. – Powiodła wzrokiem po twarzach siedzących. – Można za to dotrzeć w tamte okolice piechotą. Albo



dojechać. Sama próbowałam się tam dostać. Od wielu stuleci bez skutku. Niemniej zaprowadzę cię tam, jeżeli twoi przyjaciele zgodzą się przyjąć Odyseusza.

– Chcę iść z wami – rzuciła Ada.

– Ja też – dodał Daeman. – Mam ochotę zobaczyć ten cały basen.

Harman zwrócił na chłopaka zdumione spojrzenie.

– No co, do diabła? – Daeman wzruszył ramionami. – Przecież tchórzem nie jestem. Idę o zakład, że z całego towarzystwa tylko mnie pożałł allozaur.

– O! I za to chętnie wypiję! – odezwał się Odyseusz i wychylił kieliszek do dna.

Savi popatrzyła Hannie w oczy.

– Czyli zostałaś nam ty, moja droga.

– Z przyjemnością zaprosiłabym Odyseusza do siebie – powiedziała dziewczyna. – Niestety, ja raczej rzadko się faksuję. Nie bywam też częstym gościem na bankietach. W dodatku mieszkam z matką, która niechętnie przyjmuje gości.

– To rzeczywiście problem – zgodziła się Savi. – Odyseusz ma ledwie trzy tygodnie, a musimy zacząć od jakiegoś otwartego domu, takiego gdzie właściwie nie zamykają się drzwi. Prawdę powiedziawszy, Dwór Ardis byłby idealny. – Rzuciła spojrzenie Adzie.

– Skąd wiesz, gdzie mieszkam, Savi Uhr? – zdziwiła się dziewczyna. – I skąd właściwie wiedziałaś, że Harman nauczył się czytać? Skoro nie możesz nikogo odwiedzać, ani korzystać z faksowężłów, nie powinnaś wiedzieć o naszym życiu niczego.

– Wystarcza mi zdolność obserwacji – odpowiedziała staruszka. – Patrę, wyczekuję, a niekiedy latam do miejsc, gdzie mogę się bezpiecznie wmieszać w tłum.

– Palenie Człowieka... To była jedna z takich okazji – zauważyła Hannah.

– Owszem, między innymi. – Savi powiodła wokół wzrokiem. – Ale, ale. Wyglądacie na mocno zmęczonych. Może zaprowadzę was do pokoi i wszyscy się porządnie wyśpimy? Rozmowę dokończymy rano. Naczyniami nie musicie się przejmować. Sama je potem pozmywam.

Pomysł własnoręcznego sprzątnięcia ze stołu nawet nie powstał gościom

w głowach. Ada raz jeszcze dobitnie uświadomiła sobie z jak wieloma niedogodnościami wiąże się nieobecność serwitorów i wojniksów.

W pierwszej chwili miała ochotę zaprotestować wobec odgórnie narzuconej ciszy nocnej.

W końcu nie usłyszeli jeszcze historii Odyseusza. Popatrzyła jednak na oblicza przyjaciół. Hannah miała podkrążone oczy. Daeman zdążył się upić i głowa raz po raz opadała mu na pierś. Na twarzy Harmana wyraźnie odcisnął się podeszły wiek. Również samej Adzie zaczynało doskwierać znużenie. Mieli za sobą cholernie ciężki dzień. Pora spać.

Odyseusz został przy stole, a Savi tymczasem wyprowadziła czworo podróżników z jadalni i powiodła przez korytarze oświetlone jedynie słabnącymi rozbłyskami zamierającej burzy. Weszli pokrytymi szklanym dachem schodami ruchomymi, które wiły się wokół pylonu, po czym ruszyli długim przejściem, prowadzącym do ciągu szklanych baniek u samego wierzchołka północnej wieży. Sypialnie nie były przymocowane do szkieletu Golden Gate, a tylko podczipione do korytarza, którego południową ścianę stanowiła stalowa ściana mostu. W efekcie pomieszczenia wisiały nad przepaścią niczym kiść winogron.

Gospodyni przeznaczyła każdemu oddzielną kwaterę. Hannie wskazała pierwszy pokój w korytarzu. Dziewczyna podeszła do drzwi niewielkiej bańki i zawahała się. Wewnątrz przezroczysta była nawet podłoga i Hannah już po pierwszym kroku odskoczyła w tył, z powrotem do względnie bardziej bezpiecznego, wyłożonego dywanem korytarza.

– Naprawdę nic ci się tutaj nie stanie – zachęciła ją Savi.

– No dobrze. – Dziewczyna westchnęła i spróbowała raz jeszcze.

Łóżko stało pod przeciwległą ścianą, a bliżej korytarza znajdowała się odgródzona przepierzeniem – niewidoczna z innych sypialni – toaleta i umywalka. Poza tym jednak bańka była zupełnie przejrzysta i wyraźnie było z niej widać – mającące osiemset stóp niżej – omiotane światłem błyskawic skały i zbocze.

Stąpając ostrożnie, krok za krokiem podeszła do łóżka – jednego z niewielu nieprzezroczystych elementów pokoju. Usiadła. Pozostała trójka zaczęła ze śmiechem bić brawo.

– Nie wiem czy uda mi się dojść w nocy do ubikacji – powiedziała. – Przeraza mnie ta podłoga.

– Przyzwyczaisz się, Hannah Uhr – zapowiedziała Savi. – Drzwi możesz otwierać i zamykać komendami głosowymi. Zostały już dostrojone do twojego tonu.

– Zamknąć drzwi – rzuciła Hannah i drzwi się zasunęły.

Savi odprowadziła do sypialni pozostałą trójkę. Najpierw Daemana, który ruszył do łóżka chwiejnym krokiem, lecz zupełnie nie zdradzał lęku wysokości. Potem przyszła kolej Harmana, który uprzejmie pożegnał się z kobietami i zniknął za drzwiami. Na końcu do swojej bańki trafiła Ada.

– Śpij dobrze, moja droga – powiedziała Savi. – Wschody słońca są tutaj zjawiskowe. Mam nadzieję, że i tobie się spodoba. Do zobaczenia przy śniadaniu.

Na łóżku czekała na nią czysta, jedwabna koszula nocna. Ada poszła do łazienki, wzięła szybki, gorący prysznic i wysuszyła włosy. Ubranie ułożyła na blacie obok umywalki, narzuciła na siebie jedwabną koszulę nocną i wróciła do łóżka. Moszcząc się pod kołdrą, odwróciła się przodem do przeszklonej ściany. Spojrzała na górskie szczyty i kłębiące się poniżej, wełniste chmury. Burza oddaliła się na wschód. Błyskawice rozświetlały obłoki od wewnątrz, najbliższe wierzchołki i majaczące na dnie przepaści starożytne ruiny zalewała już tylko księżycowa poświata. Co takiego powiedział o tej krainie Odyseusz? Że mieszkają tu jedynie jaguary, wiewiórki i duchy? Przyglądając się posrebrzonym nocnym blaskiem skałom, dziewczyna była w stanie uwierzyć nawet w duchy.

Ktoś łagodnie zapukał do drzwi.

Ada zsunęła się z pośłania i na palcach przeszła po zimnej podłodze. Oparła dłonie o metal.

– Kto tam?

– Harman.

Żywiej zabiło jej serce. Przez cały czas miała nadzieję, pragnęła w głębi ducha, by mężczyzna ją tej nocy odwiedził.

– Otworzyć drzwi – wyszeptała i cofnęła się. Przelotnie zauważyła swoje odbicie w szklistej ścianie. Mlecznobiałe ramiona i zwiewna koszulka mieniły

się w świetle księżyca.

Harman wszedł i zatrzymał się tuż za progiem. Ada zamknęła drzwi. Miał na sobie tylko błękitną, jedwabną piżamę. Czekala, by wziął ją w objęcia, uniósł w silnych ramionach i zabrał do miękkiego łóżka. Chciała się przekonać, jak by to było – kochać się w szybującej praktycznie w powietrzu bańce, tutaj wśród gór, ponad chmurami.

– Chcę z tobą pomówić – odezwał się gość.

Ada skinęła głową.

– Myślę, że to bardzo ważne, by Odyseusz trafił na te kilka tygodni w odpowiednie miejsce – zaczął. – A nie sądzę, by klitka Hanny i jej matki się do tego nadawała.

Dziewczyna poczuła się nagle jak kretyńka. Zaplotła ręce na piersi. Wydawało się jej, że chłód nocnego górskiego powietrza czuje nawet przez grubą szklaną podłogę.

– Przecież nie masz pojęcia, co on chce zrobić. Nie wiesz też, po co – odpowiedziała szeptem.

– Nie, ale jeśli to rzeczywiście prawdziwy Odyseusz, sprawa może być niesłychanie ważna. Savi ma rację... Ardis będzie dla niego miejscem idealnym. Spotka tam wielu nowych ludzi.

Ada poczuła wzbierający gniew. Za kogo ten facet się uważa? Dlaczego dyktuje jej, co powinna zrobić?

– Skoro faktycznie uważasz, że znalezienie mu gościny jest tak szalenie istotne – rzuciła – to może zaprosić go do siebie?

– Ja nie mam domu – odparł Harman.

Dziewczyna otworzyła szeroko oczy. Nie, chyba jednak źle go zrozumiała. Przecież każdy człowiek gdzieś mieszka.

– Już od wielu lat podróżuję po świecie – dodał mężczyzna. – Cały dobytek wożę ze sobą, z wyjątkiem kolekcji książek, które przechowuję w pustym domicylu w Kraterze Paryskim.

Ada chciała coś powiedzieć, lecz nie potrafiła dobrać właściwych słów. Harman podszedł krok bliżej. Poczula woń mydła i zapach męskiego ciała. Zatem on także wziął już prysznic. Czy kiedy skończymy rozmawiać, zaczniemy się kochać?

– przemknęło jej przez myśl.

Wzburzenie odeszło równie niepostrzeżenie, jak się pojawiło.

– Ado, ja po prostu muszę polecieć z Savi do Basenu Śródziemnego – podjął Harman. – Od z górą sześćdziesięciu lat usilnie próbuję dotrzeć do pierścieni. A teraz, kiedy znalazłem się tak blisko celu... Po prostu nie mam wyboru.

Gniew powrócił świeżą falą.

– Rozumiem, ale chcę lecieć z wami. Też chciałabym zobaczyć Basen... znaleźć statek kosmiczny i odwiedzić pierścienie. Przecież właśnie dlatego pomagam ci od kilku tygodni.

– Wiem – przyznał Harman półgłosem. Musnął dłonią jej ramię, nie cofnął ręki. – Ja sam chciałbym, żebyś mi w tej podróży towarzyszyła. Ale pomyśl, sprawa Odyseusza może się okazać niebywale istotna.

– Rozumiem, no ale...

– A Hannah nie ma zbyt wielu znajomych. O lokalu, gdzie mogłaby przyjmować gości, nawet nie wspomnę.

– To też jasne, tylko że...

– Dwór Ardis to wymarzone miejsce – dodał szeptem mężczyzna. Dopiero teraz oderwał dłoń od skóry dziewczyny, lecz wciąż przeszywał ją intensywnym spojrzeniem. Ada nie musiała patrzeć, by wiedzieć, że ponad kopułą sufitu jaśnieje usiane rozmigotanymi gwiazdami niebo.

– Wiem, że Ardis jest świetny – przyznała, rozdarta między poczuciem obowiązku i własnymi pragnieniami. – Tyle że nie wiemy, czego Odyseusz właściwie chce... Nie mamy nawet pojęcia, czy jest tym, za kogo się podaje!

– Słusznie – przyznał Harman. – A prawda o tym wszystkim wyjdzie na jaw najszybciej, jeżeli zaprosisz go do siebie, kiedy ja z Savi będziemy szukać statku kosmicznego. Przyrzekam, że jeżeli tylko znajdę pojazd mogący zabrać nas do pierścieni, najpierw przylecę po ciebie.

Ada wahała się jeszcze przez moment. Stała z lekko zadartą głową i spoglądała mu w oczy. Jakiś wewnętrzny głos podszeptował, że kiedy tylko przestaną rozmawiać, Harman ją pocałuje.

Nagle błysnęło. Trzasnął grzmot i huk wstrząsnął zieloną bańką.

– Dobrze, zgoda – powiedziała szeptem. – Zaproszę Odyseusza do siebie.

Poproszę też Hanę, pomoże mi. Pozwolę mu zatrzymać się w Ardis na trzy tygodnie. Pod warunkiem, że nie żartowałeś i naprawdę, kiedy już znajdziesz sposób, zabierzesz mnie na pierścienie.

– Obiecuję. – Harman uśmiechnął się i rzeczywiście ją pocałował. Niestety, tylko w policzek. Ada pomyślała, że gdyby tylko знаła swego ojca, pamiętałaby takie buziaki z dzieciństwa.

Harman odwrócił się do wyjścia, lecz zanim Ada zdążyła otworzyć mu drzwi komendą, ponownie spojrzął jej w oczy.

– Co właściwie myślisz o Odyseuszu? – zapytał.

– Jak to co? W sensie, czy naprawdę jest Odyseuszem? – Ściągnęła lekko brwi.

– Nie. Chodziło mi o niego jako osobę. Czy on cię interesuje?

– Pytasz o jego historię? – upewniła się dziewczyna. – Fakt, to dość intrygujące. Ale najpierw chciałabym usłyszeć tę opowieść w całości. Potem ocenię, czy nie jest kłamcą.

– Też nie to miałem na myśli... Bo... – Harman na moment urwał i podrapał się w podbródek.

Wydawał się dziwnie zawstydzony. – No wiesz, czy on sam cię interesuje? Jako mężczyzna. Czy wydaje ci się pociągający?

Ada nie zdołała się powstrzymać. Parsknęła śmiechem. Zawtórowała jej pomrukująca na wschodnim niebie burza.

– Ty kretynie – rzuciła, i nie czekając dłużej, podeszła do Harmana, objęła go i pocałowała w usta.

Przez kilka sekund nie reagował. Wreszcie przyciągnął ją mocno do siebie i odwzajemnił pieszczotę. Ada wyraźnie czuła przez cienką warstewkę jedwabiu rosnące podniecenie mężczyzny.

Blask księżyca obmywał ich twarze i ramiona niczym rozlane mleko. Potężny podmuch wiatru smagnął konstrukcję mostu i podłoga szklanej bańki zatańczyła im pod stopami.

Harman wziął dziewczynę na ręce i zaniósł do łóżka.

## 20

### *Morsjańskie Morze Tetydy -*

Do Barda zniechęciłem się chyba przez Falstaffa.

– Co takiego? – odpowiedział Mahnmur, skoncentrowany na prowadzeniu dogorywającego batyskafu ku wciąż niewidocznemu wybrzeżu.

Wlekli się nieznośnie wolno. Osiem węzłów. Morawiec próbował zachować zasilanie wszystkich systemów i instrumentów pojazdu, dzięki kamerom boi obserwował niebo, wypatrując wrogich rydwanów, i jednocześnie snuł niewesołe rozważania na temat szans przetrwania. Uwięziony w ładowni „Mrocznej damy” Orphu nie odzywał się już od ponad dwóch godzin. A teraz wyskoczył nagle z czymś takim.

– Mówiłeś coś o Falstaffie?

– Powiedziałem tylko, że właśnie jego postać odstręczyła mnie od Szekspira i pchnęła w kierunku Prousta – wyjaśnił Orphu.

– Byłem przekonany, że ubóstwiasz Falstaffa. Wszyscy go lubią. Jest taki zabawny.

– Bo ubóstwiałem – przyznał morawiec zło. – Mało tego, identyfikowałem się z Falstaffem.

Chciałem nim być. Pamiętam nawet taki czas, że wydawało mi się, że jestem do Falstaffa podobny.

Mahnmur spróbował sobie coś takiego wyobrazić. Bez większego powodzenia. Ponownie skupił się na danych z czujników i przekazywanym przez boję obrazie.

– Co konkretnie sprawiło, że zmieniłeś zdanie? – zapytał.

– Pamiętasz może scenę z pierwszej części „Henryka IV”, tę, w której

Falstaff odnajduje na polu bitwy ciało Raptusa, Henry'ego Percy'ego?

– Pamiętam – powiedział Mahnmur.

Zarówno peryskop, jak i radar ukazywały czyste, wolne od nieprzyjacielskich pojazdów niebo.

Jakiś czas wcześniej, jeszcze przed świtem, morawiec musiał wyłączyć szwankujący reaktor i rezerwa energii w akumulatorach spadła do czterech procent. W tej chwili brnęli naprzód z prędkością sześciu węzłów i z każdą chwilą zwalniali.

Mahnmur miał świadomość, że niebawem będzie musiał ponownie wyprowadzić „Mroczną damę” na powierzchnię. Przy każdym wynurzeniu ratował się marsjańskim powietrzem, którym wypełniał sterówkę, i oddychał nim, póki nie zatęchło. Całość tlenu wytwarzanego przez batyskaf kierował do Orphu. „Dama” nie została zaprojektowana, by posiłkować się „atmosferą” Europy i w związku z tym musiał wyłączyć kilkanaście systemów bezpieczeństwa, które próbowały nie wpuścić marsjańskiego powietrza do wnętrza.

– Otóż Falstaff przebija zwłokom Raptusa udo, po to tylko, by się upewnić, że ten człowiek nie żyje – podjął Orphu. – Potem, na własnym grzbiecie, odnosi ciało z pobojuwiska, byle tylko przypisać sobie zasługę pokonania wroga.

– Tak było – przyznał Mahnmur.

Przyrządy nawigacyjne wskazywały, że znajdują się w odległości trzydziestu kilometrów od brzegu, lecz w peryskopie nadal widział tylko fale, a nie chciał kierować wiązki radaru bezpośrednio w stronę lądu. Przygotował się do wypełnienia zbiorników balastowych sprężonym powietrzem i wyjścia na powierzchnię, ale stery głębokości pozostawił na wszelki wypadek w pozycji awaryjnego zanurzenia. Nie chciał tracić czasu, gdyby na radarze pojawiła się choć jedna plamka.

– „Najcenniejszym składnikiem waleczności jest rozwaga i właśnie dzięki temu składnikowi ocaliłem życie” – zacytował. – Wszyscy znani mi komentatorzy: Bloom, Goddard, Bradley, Morgann, Hazlitt a nawet Emerson, uznają Falstaffa za jedną z najgenialniejszych postaci, jakie narodziły się na kartach dzieł Szekspira.



– Tak, wiem – powiedział Orphu i umilkł, kiedy stateczkiem zatrzęsło i rozległ się syk powietrza w zbiornikach. Gdy w batyskafie znów było słychać jedynie szum oceanu, dodał: – Moim zdaniem to jednak zwykły nikczemnik.

– Nikczemnik?

„Mroczna dama” przebiła powierzchnię morza. Dzień właśnie się budził i słońce – znacznie większe niż ten punkcik na niebie, do którego przywykł na Europie Mahnmut – dopiero wschodziło ponad horyzont. Uruchomił wentylację i odetchnął świeżym, słonawym powietrzem.

– „W czym objawia zmyślność, jeśli nie w chytrości? W czym chytrość, jeśli nie w łajdactwie?

W czym łajdactwo, jeśli nie we wszystkim?” – wyrecytował Orphu.

– Tyle że książę Hal powiedział to żartem. – Mahnmut postanowił, że dalej popłyną na powierzchni. Wiązało się to z większym ryzykiem – radar nadal co godzinę lub dwie wychwytywał ślad latającego rydwanu – ale w ten sposób mogli znów przyspieszyć do ośmiu węzłów i odsunąć w czasie moment ostatecznego wyczerpania zasobów energii.

– Czyżby? – odparł Orphu. – Przecież w drugiej części „Henryka IV” odtrąca tego starego chwalipiętę.

– Przez co Falstaff umiera – przypomniał Mahnmut. Zaczepnął kolejny haust świeżego powietrza i pomyślał o uwięzionym w zalanej ładowni przyjacielu, trzymającym się życia jedynie za pomocą wątego przewodu z tlenem i komunikacyjnego kabla. Kiedy „Dama” wynurzyła się po raz pierwszy, Mahnmut uświadomił sobie, że dopóki nie dotrą do wybrzeża, nie zdoła wydobyć Orphu z pułapki.

– „Król go ugodził w samo serce” – dodał prędko, cytując panią Chybcik.

– Według mnie zasłużył sobie na to odrzucenie – stwierdził Orphu. – Falstaff, kiedy otrzymał rozkaz przeprowadzenia zaciągu wojsk na wojnę z Percym, brał łapówki od co sprawniejszych wojaków i w efekcie do armii trafiły same cherlaki. Mięso armatnie.

Batyskaf rzeczywiście rozcinał fale nieco szybciej niż dotąd. Mahnmut nieprzerwanie obserwował wskazania sonaru, radaru i peryskopu.

– Niemniej wszyscy są zgodni, że Falstaff jest postacią dalece ciekawszą

niż Hal – zauważył. – To facet skory do żartów, twardo stąpa po ziemi, sprzeciwia się wojnie, jest sprytny. Hazlitt napisał, że „Istotą postaci Falstaffa jest niosąca ukojenie wolność, jaką człowiek zyskuje dzięki poczuciu humoru”.

– Tak, tak – rzucił Orphu. – Tylko zastanów się, na czym ta wolność polega. Wolność do drwin ze wszystkich i wszystkiego? Wolność pozwalająca wieść życie tchórzliwego złodzieja?

– Sir John był rycerzem – odburknął Mahnmut, który ostatecznie skupił się na rozmowie z Orphu, cynicznym i żartobliwym komentatorem absurdów morawieckiej egzystencji. – Zaczynasz mówić jak Koros III – dodał.

Orphu zarechotał.

– Ja się zupełnie nie nadaję do wojaczki.

– A Koros się nadawał? Jak myślisz, czy podczas tej misji na Pas, zabijał morawce? – zaciekawiał się Mahnmut.

– Prawdy o tamtych wydarzeniach nie poznamy już nigdy – ocenił Orphu. – Wątpię jednak, by Koros był bardziej krwiożerczy niż przeciętny pokojowo nastawiony morawiec. Z drugiej strony, potrafił sprawnie dowodzić i cechowało go poczucie obowiązku. A Falstaff obie te cechy wyśmiewał, nawet kiedy chodziło o jego ukochanego księcia Hala.

– A ty jesteś zdania, że nas tutaj przygnało właśnie poczucie obowiązku – skwitował Mahnmut.

Na południowym horyzoncie wykwitła niewyraźna mgiełka.

– Można tak z grubsza powiedzieć.

– I uważasz, że będziesz musiał postępować raczej jak Raptus niż Falstaff?

Orphu ponownie zaniósł się dudniącym śmiechem.

– Na to już chyba za późno. „Czas zabijałem – mnie dziś czas zabija”.

– Ale to już nie Falstaff.

– No nie. Ryszard II – odpowiedział morawiec.

– Myślisz, że jesteś za stary na takie awantury jak obecna? – zapytał Mahnmut. Sam również zastanawiał się, co jeszcze zgotuje im los.

– Cóż powiedzieć? Odkąd straciłem oczy, nogi, rękę, zęby i część obudowy, rzeczywiście odnoszę wrażenie, że nieco się posunąłem.

– Przecież ty nigdy nie miałeś zębów – przypomniał Mahnmut.

Pierwotny plan Korosa zakładał przeprowadzenie rozpoznania w okolicach

potężnego wulkanu Olympus Mons. Mieli także dostarczyć jak najbliżej szczytu przewożone w ładowni „Damy”

Urządzenie. Tyle że już w tej chwili batyskaf ledwie zipsał, a i Orphu mógł lada chwila umrzeć...

Zresztą, nawet jeżeli przetrwa, to stracił przecież wzrok, nie był w stanie samodzielnie się poruszać ani obronić przed czyhającymi na łądzie niebezpieczeństwami. Jak w takich warunkach Mahnmut mógł przetransportować owo tajemnicze Urządzenie na ponad trzy tysiące kilometrów w głąb kontynentu, unikając jednocześnie wykrycia i śmierci z rąk ludzi w rydwanach?

Pomyślisz o tym, kiedy staniesz już na suchym lądzie i wyciągniesz wreszcie Orphu z ładowni, upomniał się w duchu. Wszystko po kolei.

Na błękitnym niebie nie było widać niczego. Płynęli wciąż na południe. Nie wydawało się, by cokolwiek im groziło, lecz w sunącym z wolna po otwartym morzu batyskafie morawiec czuł się dojmująco odsłonięty.

– Czy twój przyjaciel Proust ma dla nas jakieś rady? – zapytał.

Orphu donośnie odchrząknął.

– „Ale i starość ma swą cześć i pracę Wszystkie zamyka sprawy śmierć, lecz przedtem Rozbłysnąć jeszcze może czyn szlachetny...”

Nie jest za późno, moi przyjaciele By świata jeszcze innego poszukać...

Wiele minęło, wiele trwa – i chociaż Już nie jesteśmy mocą tą, co niegdyś Ziemią i niebem trzęsła, czym jesteśmy, Jesteśmy: związkiem mężnych serc, osłabłych Pod ciężkim czasu i losu brzemieniem, Silnych pragnieniem, by się z losem zmagać, Szukać, znajdować, wędrować do końca"[3].

– Nie wmówisz mi, że to napisał Proust – zdziwił się Mahnmut. Mgiełka na południu nieznacznie się przerzedzała.

– Nie. To „Ulisses”, wiersz Tennysona.

– Kim jest ten Ulisses?

– Inaczej Odyseusz.

– A kto to Odyseusz?

Orphu, dogłębnie wstrząśnięty ignorancją Mahnmuta, zamilkł na dobrą chwilę.

– No cóż, przyjacielu, muszę niezwłocznie wypełnić tę koszmarną lukę

w twoim znakomitym skądinąd wykształceniu. Poza tym, ta wiedza może się nam przydać właśnie w...

– Moment! – uciszył go Mahnmut. – Chwila!

– Co się dzieje?

– Łąd! – obwieścił kapitan „Damy”. – Ziemia na horyzoncie!

– Powiedz coś więcej! Widzisz jakieś szczegóły?

– Zaraz, właśnie robię zbliżenie.

Orphu czekał, lecz milczenie Mahnmuta zaczęło się przeciągać.

– I co? – dopytał niecierpliwie.

– Kamienne głowy – padło w końcu ze sterówki. – Widzę kamienne głowy.

Na urwisku. Ich szereg ciągnie się na wschód jak okiem sięgnąć.

– Tylko na wschód? Na zachodzie ich nie ma?

– Nie. Ostatnia stoi w miejscu, w którym przybijemy do brzegu. W dodatku coś tam się porusza...

Sekundkę... Setki ludzi... lub innych istot... Roją się na klifach i na plaży.

– Chyba rozsądnie będzie się zanurzyć – podsunął Orphu. – A z lądowaniem zaczekajmy lepiej do zmroku. Znajdziemy jakąś jaskinię czy inne miejsce, w którym będzie można bezpiecznie sprowadzić „Mroczną damę” na brzeg i...

– Trochę już na to za późno – przerwał przyjacielowi Mahnmut. – Energii zostało nam na jakieś czterdzieści minut. Potem batyskaf zdechnie na dobre. Poza tym, te istoty przerwały właśnie pracę. Zbierają się na plaży. Całymi setkami. Zobaczyły nas.

3 Przełożył Z. Kubiak.

# 21

## *llion*

Tak, mógłbym wam opowiedzieć, jakie to uczucie kochać się z Piękną Heleną. Mógłbym, ale tego nie zrobię. I wcale nie wyłącznie dlatego, że szanujący się dżentelmen nie ujawnia tajemnic kobiecej alkowy. Po prostu owe szczegóły nie należą do opowiadanej przeze mnie historii. Mogę jednak szczerze wyznać, iż gdyby złańniona zemsty Muza bądź rozjuszona Afrodyta znalazły mnie po pierwszej godzinie miłosnych igraszek z Heleną, powiedzmy w momencie, kiedy odkleiliśmy się już od siebie i legliśmy w wilgotnej od potu pościeli, łapiąc oddech i rozkoszując się chłodnym, przedburzowym wiatrem – jeżeli Muza bądź bogini zgładziłyby mnie w tej właśnie chwili – mogę bez cienia przesady stwierdzić, że uznałbym krótki, powtórny żywot Thomasa Hockenberry'ego za szczęśliwy. I zwieńczony wyjątkowo wysokim C.

Ledwie ów przebłysk ideału zdążył przeminać, Helena przystawiła mi sztylet do brzucha.

– Kim jesteś? – spytała.

– Twoim... – Nie dokończyłem zdania. Wyraz oczu kobiety powstrzymał mnie przed kontynuowaniem komedii. Nie byłem w stanie dłużej udawać Parysa.

– Jeżeli usłyszę, że jesteś moim mężem, będę zmuszona wbić nóż prosto w twoje jelita – zapowiedziała spokojnym tonem. – Jeśli jesteś bogiem, nic złego cię nie spotka. Ale w przeciwnym wypadku...

– Nie jestem – wydukałem.

Spod czubka noża popłynęła kropla krwi. Skąd ona ten sztylet wytrzasnęła?

Czyżby przez cały czas, nawet kiedy się kochaliśmy, spoczywał ukryty między poduszkami?

– Mówisz, że nie jesteś bogiem, lecz przybrałeś postać Parysa. Jak tego dokonałeś?

W tej chwili uświadomiłem sobie, że rozmawiam z Heleną Trojańską – śmiertelną córką Zeusa – kobietą żyjącą w świecie, w którym nie jest niczym nadzwyczajnym to, że bogowie i boginie parzą się z ludźmi; świecie, w którym bogowie i inne zdolne zmieniać kształty istoty raz po raz pojawiają się wśród śmiertelnych; świecie, którego mieszkańcy zupełnie inaczej pojmują koncepcje przyczyny i skutku.

– Bogowie obdarzyli mnie umiejętnością mor... podarowali mi zdolność zmiany wyglądu.

– Kim jesteś? – powtórzyła pytanie. – Czym? – Nie wydawała się rozgniewana, nie była nawet szczególnie poruszona. Jej pięknego oblicza nie mąciły strach ani wściekłość. Niemniej ostrze bezwzględnie napierało na moją skórę. Helena domagała się odpowiedzi.

– Nazywam się Thomas Hockenberry – przedstawiłem się. – Jestem scholiastą. – Naturalnie, zdawałem sobie sprawę, że nie zrozumie nawet jednego słowa. Nazwisko nawet mnie wydało się dziwacznie gardłowe, zwłaszcza przeciwstawione miękkiemu głosowi jej starożytnego języka.

– Tho-mas Hock-en-ber-riiii – powtórzyła, starannie sylabizując. – Brzmi z perska, mam rację?

– Nie – sprostowałem. – To mieszanka holendersko-niemiecko-irlandzka.

Ściągnęła brwi. Moje wyjaśnienia nie dość, że nie miały dla niej krztyny sensu, to jeszcze musiały sprawiać wrażenie bełkotu szaleńca.

– Narzuć coś na siebie – poleciła. – Wyjdziemy na taras.

\* \* \*

Przestronna sypialnia była otoczona tarasami z dwóch stron. Jeden otwierał się na podwórzec, z drugiego roztaczał się widok na południowy-wschód, ponad dachami miasta. Uprząż lewitacyjna i reszta mojego sprzętu – z wyjątkiem teleportacyjnego medalionu i morfującej bransolety-spoczywały

w ukryciu za kotarą na balkonie od strony dziedzińca. Helena zaprowadziła mnie na ten po zewnętrznej stronie budynku. Włożyliśmy lekkie szaty. Moja niedawna kochanka zabrała ze sobą sztylet i kiedy stanęła przy balustradzie, w ostrzu odbiła się panorama Troi z rozbłyskującym błyskawicami niebem.

– Czy jesteś bogiem? – spytała.

Prawie przytaknąłem – w ten sposób najszybciej wybiłbym jej z głowy pomysł przedziurawienia mnie tym majchrem – lecz powstrzymała mnie nagle i przemożna potrzeba, by raz dla odmiany powiedzieć komuś prawdę.

– Nie – odparłem. – Nie jestem.

Pokiwała głową.

– Dobrze wiedziałam, że żaden z ciebie bóg. Gdybyś mnie okłamał, wypatroszyłabym cię jak rybę.

– Uśmiechnęła się posępnie. – Nie kochasz się jak oni.

No cóż... – przemknęło mi przez myśl, lecz nie zdobyłem się na komentarz.

– W jaki zatem sposób – podjęła Helena – zdołałeś upodobnić się do Parysa?

– Bogowie mi to umożliwili.

– Po co? – Czubek noża ponownie zbliżył się na kilka cali do mojego chronionego tylko zwiewną tkaniną ciała.

Wzruszyłem ramionami, lecz zaraz potem przypomniałem sobie, że w antyku tego gestu nie znano.

– Obdarzyli mnie tą umiejętnością na krótki czas, dla własnych celów. Jestem ich sługą.

Obserwuję wojnę i donoszę im o jej przebiegu. Przybieranie cudzych kształtów ma mi w tym pomagać.

Helena nie wydawała się zaskoczona.

– Gdzie jest mój trojański kochanek? Co zrobiłeś prawdziwemu Parysowi?

– Jest cały i zdrow – zapewniłem. – Kiedy porzucę jego ciało, zajmie się tym samym, co robił, kiedy w niego morfowałem... znaczy, kiedy przybrałem jego postać.

– Gdzie wtedy będzie? – zaciekała się Helena.

– Tam, gdzie byłby, gdybym nie pożyczył jego kształtów-odpowiedziałem po chwili. – Wydaje mi się, że wyszedł z miasta i chciał dołączyć do Hektora

przed jutrzejszym starciem.

Gdy zwrócę Parysowi ciało, księżę naprawdę znajdzie się tam, gdzie trafiłby bez mojej interwencji – będzie spać w namiocie, znajdzie się w ogniu walki albo też między udami jednej z niewolnic w obozie Hektora. Nie miałem jednak pojęcia, w jaki sposób opowiedzieć o tym Helenie. Nie doceniłaby raczej wykładu na temat fał prawdopodobieństwa i kwantowo-temporalnej jednoczesności. Nie umiałem jej wytłumaczyć, dlaczego ani Parys, ani osoby z jego otoczenia nie zauważą jego nieobecności, nie potrafiłem wyjaśnić faktu, że wydarzenia przebiegną zapewne zgodnie z tekstem „Iliady”, tak jakbym nawet na moment nie zaburzył fał przyczynowości. Wyrwa w kwantowym kontinuum zniknie, gdy tylko wyłączę morfowanie.

Kurde, sam tego nie rozumiem.

– Opuść jego ciało – rzuciła rozkazująco Helena. – Pokaż mi prawdziwego siebie.

– Moja pani, ja... Gdybym... – zacząłem protestować, lecz jej dłoń wystrzeliła płynnym ruchem naprzód, ostrze przecięło jedwab i skórę. Po brzuchu pociekła mi krew.

Dając jej do zrozumienia, że wykonam powolny, naprawdę bardzo powolny gest, uruchomiłem wyświetlacz bransolety i musnąłem ikonę morfowania.

Znów byłem Thomasem Hockenberrym – niższym, chudszy, bardziej nieporadnym i nieco niedowidzącym mężczyzną z przerzedzonymi włosami.

Helena zamrugła, otworzyła szerzej oczy i zamachnęła się sztyletem – szybciej niż wydawało się to wykonalne. Usłyszałem odgłos rozdzierania. Szczęśliwie nie rozcięła mi mięśni, tylko pasek i poły mej szaty.

– Nie ruszaj się – szepnęła. Wyciągnęła wolną rękę i zrzuciła szlafrok z mych ramion.

Stałem, nagi i blady, przed oszałamiającą kobietą. Jeżeli twórcy jakiegoś słownika mieliby kłopot z definicją hasła „żałosny”, moje zdjęcie z tego momentu wystarczyłoby w zupełności.

– Możesz się ubrać – zezwoliła po chwili.

Pochyliłem się i okryłem. Pasek był przecięty, więc musiałem przytrzymać strój ręką. Helena wyraźnie się nad czymś zamyśliła. Przez



kilka minut na tarasie panowała cisza. Mimo że pora była już późna, wieże Ilionu wciąż rozbłyskiwały pochodniami. Rozpalone przez strażników ognie migotały na blankach odległych murów. Dalej na południe, poza Bramą Skajską, płonęły stosy pogrzebowe. Z potężnych, skłębionych na południowo-zachodnim niebie chmur strzelały błyskawice. Gwiazd nie było, a dolatujące od Góry Ida powiewy pachniały deszczem.

– Jak się domyśliłaś, że nie jestem prawdziwym Parysem? – odezwałem się w końcu.

Wyrwana z zadumy Helena uśmiechnęła się nieznacznie.

– Kobieta może niekiedy zapomnieć barwę oczu kochanka, ton jego głosu, a nawet uśmiech czy wygląd, lecz nigdy nie zapomni sposobu, w jaki mąż ją rżnie.

Tym razem ja zamrugałem i otworzyłem szeroko oczy. Nie tylko z powodu wulgarnego języka.

Męską urodę Parysa Homer wynosił dosłownie pod niebiosy – pisał, że idący z miasta do obozu Hektora książę był „Jak wypasły koń, długo trzymany przy żłobie... Pyszny swoją pięknnością, dumnie płąsa, głowę do góry wznosi, a grzywą potrząsa”. Posługując się żargonem nastolatków z mojego poprzedniego życia, Parys był po prostu niezłym ciachem. A kiedy leżałem w łóżu Heleny, cieszyłem się jego bujnymi włosami, ogorzałym na słońcu torsiem, twardym jak skała brzuchem, nasmarowanymi oliwą mięśniami, jego...

– Masz większego penisa – oświadczyła Helena.

Zamrugałem. Po raz trzeci i czwarty. Naturalnie nie użyła słowa „penis” – łacina jeszcze wówczas nie istniała – a grecki wyraz, jaki zastosowała, stanowił raczej potoczny odpowiednik naszego „fiuta”. Niemniej to nie miało żadnego sensu. W końcu kiedy się kochaliśmy, dysponowałem penisem Parysa...

– Nie, nie stąd wiedziałam, że nie jesteś moim kochankiem – wyjaśniła Helena. Czyżby czytała mi w myślach? – To tylko luźna uwaga.

– Skąd więc...

– Po prostu – odparła. – Chodzi o sposób, w jaki mnie brałeś, Hock-en-ber-riiii.

Zapomniałem języka w gębie. W zasadzie dobrze, bo i tak nie miałem nic

do powiedzenia.

Kobieta raz jeszcze się uśmiechnęła.

– Parys wziął mnie po raz pierwszy nie w Sparcie, gdzie mnie zauroczył, i nie w Troi, dokąd mnie przywiódł, lecz jeszcze po drodze, na małej wysepce Kranae.

Nie znałem wyspy o tej nazwie. Samo słowo w antycznej grece oznacza po prostu „skalistą”.

Uznałem więc, że Parys zarządził postój na jakiejś bezimiennej, zagubionej w morzu skale, by zabawić się z Heleną bez wścibskiej asysty załogi okrętu. Z tego z kolei wynikało, że Parys jest człowiekiem... niecierpliwym. „Podobnie jak ty, Hockenberry” – rozległ się głos, w którym rozpoznałem własne sumienie. Cóż, trochę za późno na wyrzuty.

– Od tamtej pory brał mnie, a ja jego, już setki razy – ciągnęła półgłosem Helena. – Nigdy jednak w taki sposób, jak dzisiejszej nocy. Nigdy.

Wzdrygnąłem się ze wstydu i napęczniałem z dumy. Czy to była pochwała? Komplement? Nie, momencik... Przecież to niemożliwe. Homer pieje z zachwytu nad podobnym bogom Parysem, nad jego pięknem i urokiem. Książę miał być znakomitym kochankiem, któremu nie oparła się żadna z kobiet i bogiń. Zatem słowa Heleny musiały oznaczać, że...

– Byłeś taki... – przerwała moją gonitwę myśli – taki... sumienny.

Sumienny. Mocniej otuliłem się szatą i, by ukryć zażenowanie, spojrzałem na burzowe chmury.

Sumienny.

– I otwarty – dodała. – Niezwykle otwarty.

Przemknęło mi przez myśl, że jeśli Helena nie przestanie wyliczać synonimów „żałosnego”, to wyrwę jej ten sztylet i osobiście poderżnę sobie gardło.

– Czy to bogowie cię do mnie przysłali? – zapytała.

Znowu miałem ochotę skłamać. Przecież nawet tak zdecydowana i silna kobieta nie rozprułaby boskiego herolda. Ponownie jednak postawiłem na prawdę. Helena Trojańska odczytywała moje myśli ze sprawnością telepatki. Zresztą przyjemnie było przestać wreszcie łąać.

– Nie – przyznałem. – Nikt mnie tutaj nie przysłał.

– Przyszedłeś po prostu dlatego, że zapragnąłeś mnie posiadać?

Cóż, przynajmniej nie powiedziała „zerznąć”.

– Tak... To znaczy nie.

Przymrużyła oczy. Gdzieś w mieście rozległ się donośny męski śmiech. Po chwili zawtórowała mu kobieta. Ilion nie zasypiał ani na chwilę.

– Czułem się... samotny – dodałem. – Od początku wojny jestem tu zupełnie sam, nie mam z kim porozmawiać, nie mogę się do nikogo przytulić...

– Dzisiaj dość się już naprzytyłaś – zauważyła Helena.

Jej ton nie pozwalał stwierdzić, czy komentarz był ironiczny, czy oskarżycielski.

– To prawda – potaknąłem.

– Masz żonę, Hock-en-ber-riii?

– Tak. Nie. – Pokręciłem głową. Helena z pewnością uznała mnie za skończonego idiotę. – Wydaje mi się, że byłem żonaty – dodałem. – Ale jeśli nawet, to moja żona już nie żyje.

– Wydaje ci się?

– Bogowie sprowadzili mnie na Olimp z innego miejsca i czasu – rzuciłem, nie dbając o to, czy kobieta zrozumie. – Wydaje mi się też, że w poprzednim życiu zmarłem, a bogowie mnie wskrzesili.

Nie przywrócili mi jednak całości wspomnień. Teraz, niekiedy, powracają do mnie strzępki obrazów z przeszłości... Trochę jak z na poły zapomnianego snu.

– Rozumiem. – Helena pokiwała głową i uświadomiłem sobie, że w jakiś niepojęty sposób, naprawdę zrozumiała. – Czy służysz jakiemuś konkretnemu bóstwu, Hock-en-ber-riii?

– Wiadomości z przebiegu wojny przekazuję jednej z muz – odpowiedziałem. – Ale właśnie wczoraj dowiedziałem się, że mój los spoczywa w rękach Afrodyty.

Zaskoczona Helena podniosła wzrok.

– Czyli teraz i ja jestem zdana na jej łaskę – stwierdziła półgłosem. – Wczoraj, kiedy uratowała Parysa przed gniewem Menelaosa i sprowadziła go do małżeńskiego łóżka, kazała mi do niego pójść.

Zaprotestowałam, lecz wpadła w szal i zagroziła, że zacytuję dosłownie, że

moją chudą dupę zniechcądzą wkrótce zarówno Trojanie, jak i Achajowie.

– Bogini miłości – mruknąłem.

– Bogini pożądania – sprostowała Helena. – A na tym akurat dobrze się znam, Hock-en-ber-riii.

Po raz kolejny tego dnia nie wiedziałem co powiedzieć.

– Moją matką była Leda, zwana Córá Nocy – podjęła swobodnie. – Zeus przybył do niej pod postacią łabędzia i zerznął. To był wyjątkowo wielki i jurny łabędź. W rodzinnym domu mieliśmy na ścianie malowidło. Przedstawiało obu mych starszych braci, ołtarz Zeusa i mnie pod postacią jajka.

Roześmiałem się, nie mogłem się powstrzymać. Mięśnie mojego brzucha od razu zeszywniały, czekając na śmiertelny cios sztyletu.

Helena jednak zareagowała promiennym uśmiechem.

– Tak, Hock-en-ber-riii, znam się też na porwaniach i wiem, jak czuje się marionetka w boskich rękach.

– Wiem – wtrąciłem. – Kiedy Parys przybył do Sparty...

– Nie – ucięła. – Gdy miałam jedenaście lat zostałam pojmana, zabrana przemocą ze świątyni Artemidy Ortygii. Uczynił to Tezeusz, który zjednoczył plemiona Attyki i założył Ateny. Zaszłam z nim w ciążę i powiłam mu dziewczynkę, Ifigenię. Nie umiałam jednak tego dziecka pokochać, więc oddałam ją na wychowanie Klitajmestrze i Agamemnonowi. Z małżeństwa z Tezeuszem wyzwolili mnie bracia i z powrotem trafiłam do Sparty. Tezeusz udał się wówczas z Herkulesem na wojnę przeciwko Amazonkom. Korzystając z chwili swobody, najechał też Hades, poślubił Amazonkę i odwiedził labirynt Minotaura na Krecie.

Zakręciło mi się w głowie. Wszyscy w tym świecie, Grecy, Trojanie i bogowie, mieli bogate historie i opowiadali je na dzień dobry. Tyle wiedziałem już wcześniej. Ale jaki ma to związek z...

– Ja po prostu doskonale wiem czym jest cielesna żądza, Hock-en-ber-riii – dodała Helena. – Wielki król Menelaos wziął mnie sobie za żonę, mimo że podobni mu mężczyźni uwielbiają dziewice i ponad życie cenią dobre imię swych dynastii. Wziął mnie, chociaż byłam już, wedle męskiej miary, nieczysta. A potem Parys, zachęcony przez Afrodytę... On również mnie

porwał i uwiózł do Troi jak... łup.

Ucichła na moment i bacznie mi się przyjrzała. Wciąż nie przychodziła mi do głowy żadna sensowna uwaga. W chłodnych, pełnych ironii słowach Heleny wyczuwałem bezdenną gorycz.

Popatrzyłem jej w oczy. Nie, jednak nie gorycz – smutek. A także straszliwy żal i znużenie.

– Hock-en-ber-rii – podjęła. – Czy uważasz, że jestem najpiękniejszą kobietą na świecie? Czy przybyłeś tu, by mnie porwać?

– Nie, nie zamierzam cię porywać. I tak nie miałbym dokąd cię wywieźć. Zresztą moje dni są już policzone. Skróci je gniew bogów. Zdradziłem swą Muzę i jej panią, Afrodytę. Kiedy Afrodyta wyliże się z ran zadanych jej wczoraj przez Diomedesa, zmaże mnie z powierzchni ziemi. To pewne jak fakt, że stoimy na tym tarasie.

– Nie kłamiesz? – upewniła się Helena.

– Nie.

– Hock-en-ber-riii, chodź ze mną do łóżka.

\* \* \*

Budzę się o szarej godzinie przed świtem. Po ostatnich dwóch razach spałem ledwie kilka godzin, ale czuję się wypoczęty. Nasze łóżko jest duże, podtrzymujące baldachim słupki pokryte są finezyjnymi rzeźbieniami. Leżę zwrócony do Heleny plecami, ale coś mi mówi, że i ona już się obudziła.

– Hock-en-ber-riii?

– Tak?

– W jaki sposób służysz Afrodycie i innym bóstwom?

Przez chwilę zastanawiam się nad odpowiedzią. Odwracam się do niej przodem. Najpiękniejsza kobieta na świecie spoczywa w półmroku, podparta na łokciu. Długie włosy Heleny, zmierzwione w trakcie nocnych zabaw, opływają jej nagie ramiona, okalają szeroko rozwarte ciemne oczy, wpatrujące się we mnie z niezwykłą intensywnością.

– Co dokładnie chciałabyś wiedzieć? – Gram teraz na czas. Dobrze znam odpowiedź.

– Powiedziałeś, że bogowie sprowadzili cię przez morza czasu i przestrzeni. Dlaczego właśnie ciebie? Co wiesz takiego, że stałeś się im potrzebny?

Na moment przymykam powieki. Czy dam radę jej to w ogóle wytłumaczyć? Byłbym szaleńcem, gdybym odpowiedział szczerze. Z drugiej strony – o czym już wspominałem – panicznie boję się skłamać.

– Wiem kilka rzeczy o waszej wojnie – przyznaję. – Znam niektóre z przyszłych wydarzeń... Wiem, jak bitwa może się potoczyć w przyszłości.

– Jesteś zatem wyrocznią?

– Nie.

– Czyli prorokiem? Wieszczykiem, któremu bogowie zsyłają wizje?

– Też nie.

– W takim razie nie rozumiem – mówi Helena.

Przekręcam się na drugi bok i siadam na łóżku, poprawiam poduszki. Na dworze wciąż jest ciemno, chociaż na podwórku odzywa się już pierwszy ptak.

– W świecie, z którego przybyłem – szepczę – znam wiersz, opowiadającą o tej wojnie pieśń.

Nazywamy ją „Iliadą”. I jak dotąd, przebieg wydarzeń mocno przypomina opisane w tej pieśni wypadki.

– Mówisz, jakby w twojej krainie oblężenie Troi miało miejsce dawno temu, jakby wszystko już przeminęło – zauważa Helena.

Nie bądź durniem, nie mów jej prawdy.

– Tak. – Kiwam głową. – To prawda.

– Jesteś jedną z Mojr.

– Nie, jestem zwykłym człowiekiem.

Helena rzuca mi łobuzerski uśmiezek. Muska palcami dolinę między piersiami, miejsce, na którym szczytowałem kilka godzin temu.

– Człowiekiem, ale i mężczyzną, nie zapominaj o tym Hock-en-ber-riii.

Rumienię się, przeciągam dłonią po policzkach i czuję poranny zarost. Dzisiejszego ranka nie będę mógł się ogolić w koszarach. Po co zresztą miałbym? Zostało mi już tak niewiele życia.

– Chciałabym zapytać cię o przyszłość. Odpowiesz mi? – mruczy niemal

niedosłyszalnie.

Byłbym skończonym głupcem..

– Nie znam waszej przyszłości – rzucam nieszczerze. – Znam tylko tę pieśń, a już teraz nie wszystko w jej tekście zgadzało się z rzeczywistymi kolejami bitwy.

– Odpowiesz? – Helena kładzie mi rękę na piersi.

– Tak – kapituluję.

– Czy Ilion padnie? – pyta spokojnym, cichym szeptem.

– Tak.

– Grecy wezmą miasto szturmem czy podstępem?

Na litość Boską, nie opowiadaj jej wszystkiego! – przemyka mi przez myśl.

– Podstępem – odpowiadam.

– Odyseusz – domyśla się Helena z uśmiechem.

Nie komentuję. Przekonuję sam siebie, że być może, jeżeli nie wyjawię jej żadnych szczegółów, nie wpłynę na rozwój wydarzeń.

– Czy Parys zginie jeszcze przed upadkiem Troi?

– Tak.

– Z ręki Achillesa?

Bez szczegółów! – nawołuje moje sumienie.

– Nie – odpowiadam. Pieprzyć zakazy.

– A szlachetny Hektor?

– Również straci życie. – Czuję się jak sadystyczny sędzia, posyłający kolejnych skazańców na szubienicę.

– Także przez Achillesa?

– Tak.

– A sam Achilles? Czy po wojnie wróci żywy do domu?

– Nie.

Los herosa zostanie przypieczętowany w chwili, w której Achilles zgładzi Hektora. Zresztą bohater przez cały czas ma tego świadomość... Przeznaczenie poznał ze słów przepowiedni, która od lat toczy go niczym rak. Długie życie lub chwała. Homer pisał, że był to... jest... będzie wybór, jakiego bohater nie zdoła uniknąć. Niemniej wedle tego samego proroctwa, gdyby wybrał długie życie, potomni poznaliby go jedynie jako człowieka, nie półboga, którym się

stanie, jeśli pokona w walce Hektora. Wybór jednak pozostaje. Przyszłość nie jest z góry ustalona!

– A król Priam?

– Padnie – odzywam się schrypniętym szeptem. Władca zostanie zaszlachtowany we własnym pałacu, we własnej świątyni Zeusa. Umrze porąbany na krwawe kawałki niczym składana w ofierze jałówka.

– Synek Hektora? Mały Skamandrios, którego ludzie obwołali Astianaktem?

– Zginie. – Zamykam oczy i widzę pod powiekami koszmarną scenę. Pyrros strąca płaczącego dzieciaka z wysokiego muru.

– A Andromacha? – dopytuje Helena półgłosem. – Żona Hektora?

– Pójdzie w niewolę – mówię.

Jeżeli ona zaraz nie przerwie tej litanii pytań, niechybnie postradam zmysły. Z dystansu – z perspektywy obojętnego scholiasty – wszystko wydawało się względnie normalne. Teraz jednak opowiadam o ludziach, których znam osobiście. Rozmawiałem z nimi i... spałem. Nagle dociera do mnie, że Helena nadal nie zapytała o swoje przeznaczenie. Być może już nie zapyta.

– A czy ja zginę wraz z Ilionem? – Jej głos nadal nawet nie zadrżał.

Zaczerpuje tchu.

– Nie.

– Ale Menelaos mnie odszuka?

– Tak. – Mam wrażenie, że stałem się jedną z tych wróżących zabawek, tak popularnych za moich chłopięcych lat. Tylko dlaczego nie odpowiedziałem jej jak one? Helena uznałaby wtedy, że brzmię bardziej jak delficka wyrocznia. Mogłem na przykład powiedzieć „Przyszłość skrywa się we mgle”

lub „Zapytaj raz jeszcze”. Zaraz, czyja się czasem nie popisuję?

Cóż, na to też już za późno.

– Menelaos mnie znajdzie, lecz nie zabije? Nie padnę ofiarą jego gniewu?

– Tak. – Przypominam sobie, jak Odyseusz relacjonował te wydarzenia na kartach „Odysei”.

Menelaos znalazł żonę, która ukryła się w komnatach Deifobosa, w pałacu królewskim, nieopodal świątyni z palladionem. Zdradzony małżonek rzucił się na Helenę z mieczem w ręku. Chciał zabić.



Helena obnażyła piersi, jakby zachęcając męża do zadania ciosu, jakby sama tego pragnęła. Wtedy jednak Menelaos wypuścił broń i pocałował ją. Nie jest do końca jasne, czy Deifobosa, jednego z synów Priama, zabił wcześniej, czy dopiero po tym, jak...

– I uwiezie mnie ze sobą do Sparty? – upewnia się szeptem Helena. – Parys zginie, Hektor zginie.

Padną też w boju lub zostaną zabici potem wszyscy wielcy wojownicy Ilionu. Mężne kobiety Troi umrą lub zostaną uprowadzone w niewolę. Miasto spłonie, mury się skruszą, rozbite wieże runą.

Gleba zostanie zatruta solą, by już nigdy nie wydała plonów... A ja przeżyję i Menelaos zabierze mnie do Sparty?

– Można tak to ująć. – Nawet w moich uszach, odpowiedź zabrzmiała wyjątkowo żałośnie.

Helena odrzuca kołdrę i wstaje. Naga wychodzi na taras od strony podwórza. Przez moment zapominam o roli Kasandry i przyglądam się w oniemiałym zachwycie spływającym po plecach kobiety kaskadom włosów, idealnie zakreślonej linii pośladków i silnym nogom. Staje przy barierce i, nie odwracając się, pyta.

– A co z tobą, Hock-en-ber-riii? Czy Mojry w swej pieśni opowiedziały także o twoim losie?

– Nie – przyznaję. – Nie jestem tak ważny, by trafić do poematu. Podejrzewam natomiast, że umrę już dzisiaj.

Helena wbija we mnie spojrzenie. Spodziewałem się, że po wysłuchaniu moich słów wybuchnie płaczem, lecz ona tylko nieznacznie się uśmiecha.

– Podejrzewasz?

– Tak.

– Zginiesz, bo rozgniewałeś Afrodytę?

– Tak.

– Ja także posmakowałam kiedyś jej gniewu, Hock-en-ber-riii. Jeśli bogini umyśli sobie, że kogoś zabije, zabije go na pewno.

Krzepiące słowa. Milknę. Z tarasu od strony miasta dolatuje niski pomruk.

– Co to za dźwięki? – pytam.

– Trojańskie kobiety błagają Atenę o litość i boską ochronę. Śpiewają

w świątyni i składają ofiary, zgodnie z przykazaniem Hektora – tłumaczy Helena. Ponownie odrywa ode mnie wzrok i wpatruje się w dziedziniec, jakby próbowała odszukać tego samotnego, pogwizdującego raz po raz ptaka.

Już za późno, by szukać zmiłowania Ateny, stwierdzam w duchu.

– Afrodyta chce, bym zabił Atenę – rzucam, niewiele myśląc. – Wręczyła mi w tym celu Hełm Hadesa i inne narzędzia.

Helena podrywa gwałtownie głowę i zerka na mnie. Mimo porannego półmroku dostrzegam, że jest wstrząśnięta. Pobladła. Być może dopiero teraz w pełni dotarła do niej waga moich wcześniejszych przepowiedni. Naga wraca do sypialni i przysiada na skraju łoża. Ja wciąż leżę podparty na łokciu.

– Czy dobrze usłyszałam? Kazała ci zabić Atenę? – szepcze. Od początku rozmowy nie odezwała się jeszcze tak cicho.

Potakuję skinieniem.

– To znaczy, że bogów można zgładzić? – pyta Helena. Mimo że siedzi niecały metr ode mnie, ledwie ją słyszę.

– Wydaje mi się, że tak – odpowiadam. – Nie dalej jak wczoraj podsłuchałem, jak Zeus rozmawiał o tym z Aresem.

Następnie opowiadam o Afrodycie i Aresie. O ich ranach i dziwnym miejscu, w którym powracają do zdrowia. Tłumaczę, że już niebawem Afrodyta opuści kadź – niewykluczone zresztą, że już z niej wyszła, ponieważ na Olimpie dni płyną tym samym rytmem co w Troi i tam również jest już „jutro”.

– Podróżujesz bez przeszkód na Olimp? – dziwi się Helena. Wygląda na pochłoniętą myślami.

Malujący się na jej twarzy szok ustępuje z wolna... no właśnie, czemu? – Przenosisz się tam i

z powrotem, z Ilionu na Olimp, kiedy tylko zapragniesz? – dopytuje.

Waham się. I tak powiedziałem już stanowczo zbyt wiele. A jeżeli Helena okaże się Muzą w przebraniu? W końcu Muza też potrafi morfować. Nie, nie. Wiem, że Helena jest prawdziwa. Nie pytajcie, skąd ta pewność. Zresztą, nawet jeśli się mylę... Niech się Muza pocałuje w tyłek.

– Tak. – Również obniżam głos do szeptu, mimo że o tej porze służba i domownicy rezydencji są jeszcze pogrążeni we śnie. – Mogę w dowolnej

chwili wybrać się na Olimp i pozostać tam bez wiedzy bogów. Nie są mnie w stanie zobaczyć.

Nie licząc ćwierkania samotnego ptaka, który wbił sobie do głowy, że dzień zaczął się na dobre, nad pałacem i całym miastem zalega nieziemiska cisza. Wiem, że wrót pilnują strażnicy, lecz nie słysząc szmeru ich kroków ani pobrzękiwania broni o bruk. Ulice niemilkącego Ilionu nagle oniemiały. Ustał nawet śpiew modlących się w świątyni Ateny kobiet.

– Hockenberry, czy Afrodyta podarowała ci broń, którą można zabić Atenę? Jakiś boski miecz lub włócznię?

– Nie – odpowiadam. Bo przecież bogini nie da się zabić Hełmem Hadesa, teleportacyjnym medalionem ani nawet paralizatorem.

Bez ostrzeżenia w dłoni Heleny ponownie błyska krótki sztylet. Ostrze zatrzymuje się kilka cali od mojego ciała. Gdzie ona ten nóż chowa? W jaki sposób tak nagle go dobywa? Cóż, wychodzi na to, że oboje skrywamy swoje słodkie tajemnice.

Stal zbliża się jeszcze bardziej.

– Czy gdybym cię w tej chwili zabiła – pyta szeptem Helena – zmienia się słowa twojej pieśni o Ilionie? Czy zmieni się przyszłość...? Nasza przyszłość?

Uważaj, Tommy, moment wyjątkowo nie sprzyja szczerości – przestrzega mnie cichy głosik.

Mimo to, odpowiadam zgodnie z prawdą.

– Nie wiem. Nie wydaje mi się, by moja śmierć wpłynęła na cokolwiek. Skoro moim...

przeznaczeniem jest... umrzeć już dzisiaj, to nie ma chyba większego znaczenia, czy zabijesz mnie ty, czy Afrodyta. Zresztą ja nie jestem aktorem tego dramatu, od początku byłem tylko widzem.

Helena kiwa głową. Wygląda przy tym na roztargnioną, jakby kwestia mojej śmierci nie była tak naprawdę istotna. Unosi czubek sztyletu, metal niemal muska napiętą białą skórę jej podbródka.

– A gdybym odebrała życie sobie? Czy wtedy pieśń popłynie inaczej? – pyta.

– Wątpliwe. Twoja śmierć nie ocali Ilionu, nie odwróci losów wojny – odpowiadam, nie do końca szczerze.

Helena jest czołową postacią homerowego eposu i, prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, czy, gdyby jej zabrakło, Grecy nie odpłynęliby do domów. Czy po śmierci Heleny mieliby jeszcze o co walczyć?

Sława, honor, łupy... No tak, tylko czy w sytuacji, gdy Agamemnon i Menelaos nie mogliby już liczyć na odbicie Heleny, a Achilles wciąż siedziałby nadąsany w swoim namiocie – czy wtedy sama nadzieja na trojańskie złoto utrzymałaby na tym wybrzeżu pozostałe tysiące Achajów? Już od bez mała dziesięciu lat plądrują okoliczne wysepki i miasta. Możliwe, że zdążyli zaspokoić swą chciwość i

czekają tylko na pretekst do powrotu. Czyż to nie dlatego Menelaos zgodził się stanąć do rozstrzygającego o losach całej wojny pojedynku z Parysem? Niestety, księcia ocaliła przed śmiercią Afrodyta, przenosząc go do tego samego łóżka. Helena kochała się z Parysem w tej samej pościeli. Być może samobójstwo Heleny rzeczywiście położyłoby kres oblężeniu.

Kobieta opuszcza sztylet.

– Wiesz, Hock-en-ber-riii? O odebraniu sobie życia myślę już dziesiąty rok. Czuję jednak zbyt silny głód życia i za mało miłuję śmierć. Mimo że na nią zasługuję.

– Nie zasługujesz – protestuję.

Helena rzuca mi przelotny uśmiech.

– A czy Hektor zasługuje, by umrzeć? Lub jego dziecię? A dostoyny Priam, najlepszy i najbardziej szczodry ojciec, jakiego w życiu miałam? Czy wszyscy ci ludzie, którzy budzą się właśnie za murami Troi, zasłużyli sobie na śmierć? A wojownicy? Achilles i inni, nawet ci wszyscy, których pochłonęły już mroźne czeluści Hadesu, czy oni zasługiwali, by zginąć przez kaprys kobiety, która namiętność i próżność przedłożyła nad wierność? A tysiące Trojanek, które lojalnie służyły swym bogom i małżonkom, a teraz tracą domy i dzieci, i z mojego powodu zostaną sprzedane w niewolę? Czy one zasłużyły sobie na taki los, Hock-en-ber-riii? Wyłącznie dlatego, że ja chcę żyć?

– Nie zasługujesz na śmierć – powtarzam niewzruszony. Wciąż jeszcze czuję na sobie jej zapach, noszę go na skórze, na palcach i we włosach.

– Więc dobrze – rzuca Helena i wsuwa sztylet pod materac. – Czy w takim razie pomożesz mi przeżyć i zachować wolność? Czy wspólnym działaniem

zakończymy tę wojnę? Albo chociaż odmienimy jej wynik?

– O co mnie właściwie prosisz? – Ogarnia mnie nagły niepokój. Opowiadając się po stronie Trojan nie ugram niczego. Zresztą, nawet gdybym spróbował, nie dałbym rady. W konflikcie ściera się ze sobą zbyt wiele sił, w tym i bogowie. – Heleno, nie żartowałem, mówiąc, że nie mam już czasu.

Dzisiaj Afrodyta opuści leczniczą kadź i chociaż przed innymi bóstwami mógłbym się przez jakiś czas ukrywać, ona znajdzie mnie kiedy tylko zechce. Nawet gdyby nie ukarała mojego nieposłuszeństwa natychmiastową śmiercią i pozostanę scholiastą, to przez resztę swego krótkiego życia nie będę już panem samego siebie.

Helena wyciąga rękę i zsuwa z mego torsu cienką narzutę. Niebo jaśnieje coraz bardziej i widzę ją teraz wyraźniej niż przez całą noc. Przerzuca nade mną udo i dosiada mnie okrakiem. Jedną dłoń składa mi płasko na piersi, drugą sięga niżej. Znajduje. Zachęca.

– Wysłuchaj mnie – odzywa się, spoglądając na mnie znad swych piersi. – Jeżeli zechcesz zmienić nasz los, musisz znaleźć punkt oparcia.

Uznaję te słowa za zaproszenie i próbuję w nią wniknąć.

– Nie, jeszcze nie – powstrzymuje mnie szeptem. – Słuchaj, Hock-en-berrii. Jeżeli chcesz odmienić nasz los, musisz znaleźć punkt oparcia. I nie miałam na myśli, tego co właśnie robisz.

Punkt zwrotny całej naszej historii.

Nie jest łatwo, lecz udaje mi się przestać i posłuchać.

\* \* \*

Półtorej godziny później miasto budzi się do życia, a ja idę ulicami. Założyłem na siebie cały scholiastyczny rynsztunek i morfowałem w trackiego włócznika. Słońce wzeszło, a ludzie tłoczą się już w alejkach. Kupcy rozkładają towary na straganach, pasterze popędzają zwierzęta. Pod nogami płaczą mi się dzieciaki. Żołnierze posilają się przed dzisiejszym mordem.

W pobliżu targu natykam się na Nightenhelsera – pożyczył ciało od dardańskiego gwardzisty, lecz ja dzięki swym soczewkom widzę go pod jego normalną postacią. Siedzi przy śniadaniu w karczmie na wolnym powietrzu, do

której obaj chętnie zaglądamy. Podnosi wzrok i zauważa mnie.

Nie uciekam, nie znikam, ukrywając się pod Hełmem Hadesa. Przysiadam się do niego, zajmując miejsce przy stoliku pod niskim drzewkiem. Zamawiam chleb, suszone ryby i owoce.

– Dzisiaj przed świtem nasza Muza szukała cię po całych koszarach – zagaja krępy scholiasta. – Rankiem pojawiła się tutaj pod murami. Wypytywała o ciebie. Odniosłem wrażenie, że bardzo jej na tym spotkaniu zależy.

– Wolałbyś się nie pokazywać w moim towarzystwie? – pytam. – Mam sobie pójść?

Nightenhelser odpowiada wzruszeniem ramion.

– Przecież scholiaści i tak żyją na kredyt. Jaka to różnica. *Tempus edax rerum*.

Od tak dawna myślę w starożytnej grece, że tłumaczenie z łaciny zajmuje mi kilka sekund. „Czas, pożeracz rzeczy”. Cóż, możliwe, lecz ja chciałbym go dostać trochę więcej. Przełamuję świeży, gorący bochen i wkładam kawałek do ust. Zachwygam się wspaniałym smakiem pieczywa. Kęsy popijam słodkim śniadaniowym winem. Tego ranka wszystko wygląda, pachnie i smakuje bardziej świeżo, wyraziście i cudownie. Może to ożywczy skutek nocnej burzy. A może czegoś zupełnie innego.

– Podejrzanie ładnie pachniesz – zauważa Nightenhelser.

W pierwszej chwili intensywnie się czerwienię. Czyżby kolega wyczuł na mnie woń nocnych zabaw? Potem jednak uświadamiam sobie, o co chodzi. Zanim wyszedłem, Helena uparła się, byśmy wzięli wspólną kąpiel. Dowodząca donoszącymi wodę do wanny służkami stara niewolnica nazywała się Aitra i była córką Pitteusa. A poza tym żoną króla Aigeusa i matką słynnego Tezeusza, ateńskiego władcy, który porwał jedenastoletnią Helenę. Imię Aitry zapamiętałem z czasów doktoranckich, aczkolwiek mój promotor, doktor Fertig, znakomity badacz spuścizny Homera, twierdził, że poeta wybrał je z powodu atrakcyjnego brzmienia. „Zbitka »Aitra, córka Pitteusa«

spodobała się samemu autorowi »Iliady« lub jakiemuś jego poprzednikowi, który potrzebował wymyślić imię dla szeregowej niewolnicy”, powiadał doktor Fertig, „a poza tym służąca Heleny Trojańskiej nie mogła być przecież

matką szlachetnego Tezeusza". Cóż, panie doktorze. Pudło. Pół godziny temu, kiedy wylegiwałem się w marmurowej wannie obok nagiej Heleny, moja kochanka sama wspomniała, że stara niewolnica Aitra jest matką Tezeusza... że Kastor i Polideukes, bracia Heleny, ratując siostrę z niewoli, pojmali Aitrę w ramach rewanzu, a Parys przywiózł ją do troi wraz z nową małżonką.

– Coś się tak zamyślił? – rzucił Nightenhelser.

Znowu oblałem się rumieńcem. Akurat w tej chwili wspominałem miękki, piętzący się wśród piany biust Heleny. Podniosłem do warg kawałek ryby.

– Nie oglądałem wieczornej walki. Działo się coś ciekawego?

– Niespecjalnie. Hektor stanął do pojedynku z Ajaksem. Wiesz, to ta scena, na którą czekaliśmy odkąd achajskie okręty wylądowały pod Ilionem. Właściwie rozegrała się już cała siódma księga.

– Ach, tak... – mruknąłem.

W księdze siódmej rzeczywiście ma miejsce emocjonujące starcie Hektora z greckim olbrzymem, ale tak naprawdę nie dzieje się nic. Wojownicy nie zadają sobie ran, aczkolwiek Ajaks okazuje się sprawniejszy, a kiedy zmrok uniemożliwił im dalszą walkę, obaj zgodzili się na rozejm, wymienili zbrojami i bronią, po czym wszyscy zajęli się paleniem ciał poległych. Nie przegapiłem więc żadnych kluczowych momentów, niczego, za co oddałbym choć minutę spędzonego z Heleną czasu.

– Ale wiesz, jedno mnie zdziwiło – powiedział Nightenhelser.

Przełykam kęs chleba, unoszę pytająco brwi.

– Jak wiesz, Hektor miał ruszyć do wieczornego boju z Parysem u boku. Powinni poprowadzić Trojan razem z bratem. Homer pisze, że Parys już na samym początku walki położył trupem Menestejosa.

– Kojarzę. I?

– A potem, też pewnie pamiętasz, następuje moment, gdy doradca króla Priama, Antenor, tłumaczy Trojanom, że powinni zwrócić Helenę i zrabowane w Argos kosztowności. Namawia, by wszystko oddali, zawarli pokój i pozwolili Achajom odpłynąć.

– To się dzieje, kiedy Ajaks i Hektor zaczynają się ze sobą bratać i wymieniać na polu podarunkami, prawda? – upewniam się.

– Owszem.

– Więc co takiego zauważyłeś?

Nightenhelser odstawia puchar.

– Parys powinien był odpowiedzieć na namowy Antenora i namawiać rodaków, by zatrzymali Helenę, a w zamian za zawarcie pokoju wydali Grekom tylko skarby.

– Tak, pamiętam – mówię i czuję nagły ucisk w żołądku. Już wiem, do czego zmierza opowieść.

– Widzisz, otóż Parysa wczoraj zabrakło. Nie wyszedł z Hektorem przez Bramę Skajską, nie zabił Menestejosa, a po zmierzchu nie rozważał zawarcia pokoju.

– Więc? – Kiwam głową z pełnymi ustami.

– Więc mamy tu do czynienia z być może największym dotychczas odstępstwem od tekstu „Iliady”, nie sądzisz, Hockenberry?

Odpowiadam wzruszeniem ramion.

– Nie jestem pewien. W księdze siódmej można też przeczytać opis budowy achajskich umocnień i kopania fosy wokół obozu. A obaj wiemy, że tutaj wydarzyło się to już w pierwszym miesiącu po lądowaniu. Homerowi zdarza się zmieniać chronologię.

Nightenhelser patrzy mi w oczy.

– Cóż, może. Niemniej nieobecność Parysa podczas dyskusji z Antenorem? Fakt, że nie odmówił wydania Heleny? To już co najmniej dziwne. Ostatecznie w imieniu syna wypowiedział się Priam.

Stwierdził, iż jest pewien, że Parys nie zrezygnuje z żony, choć mógłby się rozstać z łupami. Tyle że przy braku księcia wielu zgromadzonych mieszkańców miasta wyraźnie wzięło stronę Antenora.

Przez całe dziewięć lat nie widziałem, by pokój był tak blisko.

Dostaję gęsiej skórki. Moje przedłużające się podszywanie pod Parysa i nocne zabawy z Heleną doprowadziły do istotnej zmiany w łańcuchu przyczyn i skutków. Gdyby Muza знаła szczegółowo tekst „Iliady” – a nie zna – natychmiast zrozumiałaby, że w sypialni Heleny zamiast Parysa znalazłem się ja.

– Opowiedziałeś o tych rozbieżnościach Muzie? – pytam cicho.

Pamiętam, że zmianę kończył po zmroku, a wieczorem, odkąd zacząłem się



ukrywać, był na polu walki jedynym scholiastą. Zgłaszanie podobnych ciekawostek należało zatem do jego obowiązków.

Nightenhelser powoli przełyka ostatni kawałek chleba.

– Nie. – Kręci głową. – Kiedy nagrywałem raport na kamień tekstowy, nie wspomniałem o tym słowem.

– Dziękuję. – Oddycham z ulgą.

– Lepiej się już zbierajmy – sugeruje kolega.

W karczmie pojawia się coraz więcej ludzi. Trojanie wraz z żonami czekają na wolne miejsca.

Kiedy rzucam monety na blat, Nightenhelser łapie mnie za ramię.

– Jesteś pewien, że wiesz co robisz, Hockenberry? – pyta.

Spoglądam mu głęboko w oczy.

– Nie mam pojęcia – odpowiadam.

Rozchodzimy się w przeciwnych kierunkach. Ukrywam się w pustej alejce, naciągam na głowę Hełm Hadesa i przekręcam obwódkę teleportacyjnego medalionu.

\* \* \*

Słońce wspina się powoli nad wierzchołek Olimpu. Słabe jeszcze promienie padają na białe budynki i zielone trawniki. Od dawna mocno mnie intryguje, dlaczego w okolicach wulkanu słońce wydaje się mniejsze niż na trojańskim niebie.

Przed teleportacją wyobraziłem sobie dziedziniec rydwanów pod rezydencją Muzy i tutaj się właśnie zmateriałizowałem. Kiedy jeden z fruwających pojazdów obniża nagle lot, kołuje i ląduje dwadzieścia stóp ode mnie, wstrzymuję oddech, lecz Apollo wysiada i odchodzi, nawet na mnie nie patrząc. Hełm Hadesa sprawuje się jak należy.

Wsiadam do rydwanu i dotykam brązowego pulpitu z przodu. Kiedy lecieliśmy z Muzą nad jeziorem, uważnie obserwowałem co robi. Kilka cali nad metalową płytką rozkwita świetlista, przezroczysta konsola. Odtwarzam z pamięci kolejne czynności Muzy, trącam kilka ikon.

Rydwan kołysze się lekko na boki, nieznacznie unosi i znów chwieje.

Wreszcie stabilizuję pojazd ruchem świecącego, wirtualnego wolantu, który pojawił się obok wskaźników. Popycham drążek w lewo i rydwan kładzie się na lewy bok, pięćdziesiąt stóp nad ziemią. Muskam symbol skierowanej naprzód strzałki i pojazd skacze przed siebie, sunąc na południe ponad modrą taflą jeziora. Gdyby jakiś bóg zadarł w tej chwili głowę, ujrzałby lecący samopas rydwan. W zasięgu wzroku nie ma jednak żadnych Olimpijczyków.

Nad drugim brzegiem wzbijam się nieco wyżej i wypatruję swojego celu. Znajduję go tuż za Dworem Bogów.

Stojąca na stopniach wielkiego gmachu bogini – nie rozpoznaję jej – woła głośno i wskazuje mój pozornie pusty rydwan. Spóźniła się. Kieruję się prosto na wybrany budynek. Potężny, biały, z otwartymi wrotami.

Sterowanie idzie mi coraz sprawniej. Zwinnie zlatuję na wysokość dwudziestu stóp. Cały czas lecąc w stronę budowli, przyspieszam jeszcze i nachylam pokład rydwanu niemal prostopadle do ziemi – nie spadam, jako że maszyna jest wyposażona w jakiegoś rodzaju generator sztucznej grawitacji – i z prędkością pięćdziesięciu mil na godzinę przemykam między strzegącymi wejścia kolumnami.

Wewnątrz nie zmieniło się nic: wielkie kadzie pełne bulgocącej fioletowej cieczy. Na ciałach unoszących się w nich nieprzytomnych, zdrowiejących bogów wiją się zielone czerwie. Uzdrowiciel -gigantyczna stonoga o metalowych kończynach i czerwonych oczach – stoi po drugiej stronie zbiornika Afrodyty. Domyślam się, że zamierza zaraz wydostać boginię. Kiedy rozpędzony rydwan wpada do cichego pomieszczenia, robal zwraca ku mnie czerwone ślepie i potrząsa odnóżami. Nie zagradza mi jednak drogi do celu, a ja przyspieszam, by nie zdążyło mi przeszkodzić nic innego.

Decyzję, że mimo wszystko wyskoczę, podejmuję dopiero w ostatniej sekundzie. Zapewne skłania mnie do niej wspomnienie Heleny i spędzonej w jej towarzystwie nocy, która pozwoliła mi na nowo posmakować radości życia. Wciąż niewidoczny wybijam się z gnającego rydwanu i twardo ląduję na ziemi. Słyszę chrupnięcie w prawym ramieniu – może nawet coś złamałem. Turlam się kawałek po posadzce i wreszcie nieruchomieję. Porzucony pojazd tymczasem wbija się prosto w leczniczą kadź, rozdzierając plastik i stal. Fioletowa ciecz tryska na sto stóp pod wysoką powałą.

Coś – jakaś część rydwanu lub spory odłamek szklanej rury – przecina Uzdrowiciela na pół.

Ciało Afrodyty toczy się po podłodze w kałużach fioletowego płynu, nadal oblepione wijącymi się odrażająco zielonymi czerwiemi. Pozostałe zbiorniki – w tym ten, w którym terapię przechodzi Ares – kołyszą się niepokojąco, lecz ani jeden nie pęka, żaden też się nie przewraca.

Rozlega się przeraźliwe, ogłuszające wycie alarmowych syren.

Próbuję się podźwignąć, ale głowę, lewą nogę i prawe ramię przeszywa mi okropny ból. Padam z powrotem na posadzkę i czołgam się pod ścianę, starając się uniknąć plam fioletowej mazi. Boję się, co te chemikalia mogłyby zrobić z moim ciałem, ale bardziej jeszcze lękam się tego, że w kałuży odcisnie się zarys mojego ciała. Przed oczyma zaczynają mi pląsać czarne plamy i uświadamiam sobie, że zaraz zemdleję. Do sali wpadają bogowie i płynące w powietrzu roboty.

W kilku ostatnich sekundach przed utratą przytomności, zauważam wchodzącego w rozwianym płaszczu, marszczącego brew Zeusa.

Wszystko, co wydarzy się potem, będzie musiało się obejść beze mnie. Składam czoło na zimnej posadzce, zamykam oczy i oddaję się czerni.

*Wybrzeże Chryse Planitia -*

Zabiłem przyjaciela, nazywał się Orphu z lo – wyznał Mahnmur Williamowi Szekspirowi.

Spacerowali nabrzeżem Tamizy. Mahnmur wiedział, że jest rok pański 1592 i lato ma się już ku końcowi, aczkolwiek nie miał pojęcia, skąd to właściwie wie. Na falach tłoczyły się krypy, barki i łodzie z niskimi masztami. W oddali, poza budynkami w stylu Tudorów i stojącymi na północnym brzegu sypiącymi się czynszówkami dla biedoty, wznosiły się wieże londyńskich kościołów i zamków. Nad rzeką i slumsami snuła się gorąca mgiełka.

– Powinienem był go ocalić, ale zawiodłem – dodał morawiec i ruszył zwawiej, by dotrzymać dramaturgowi kroku.

Szekspir był niewysoki. Dobiegający trzydziestki autor był obdarzony łagodnym głosem i ubierał się znacznie bardziej gustownie, niż Mahnmur spodziewał się po aktorze i pisarzu. Nad młodzieńczą, owalną twarzą pojawiały się już zakola. Nosił bokobrody, dość rzadką bródkę i wąsik - wszystko wyglądało na efekt pierwszych nieśmiałych eksperymentów z zarostem. Miał kasztanowe włosy i szarozielone oczy. Pod czarnym kaftanem widniała biała koszula z szerokim miękkim kołnierzem. Tasiemek nie zawiązał. W lewym uchu pisarza połyskiwał niewielki złoty kolczyk.

Mahnmur miał ochotę zasypać Szekspira tysiącem pytań. Nad czym obecnie pracuje? Jak wygląda życie w mieście, które niebawem padnie ofiarą zarazy? Na czym polega tajemnica konstrukcji jego sonetów? Był jednak w stanie rozmawiać wyłącznie o Orphu.

– Próbowałem go ratować – tłumaczył. – Reaktor „Mrocznej damy”

ostatecznie padł po drodze, a akumulatory zdechły niecałe pięć kilometrów od brzegu. Staralem się wypatrzeć zatoczkę, przesmyk prowadzący do jednej z otwierających się w urwisku jaskiń... Wiedziałem, że muszę szybko ukryć batyskaf.

– „Mroczna dama”, powiadasz? – wtrącił Szekspir. – Tak ochrzciłeś swój okręt?

– Tak.

– Mów dalej, jeśli łaska.

– Rozmawialiśmy właśnie z Orphu o kamiennych głowach – podjął morawiec. – Kiedy dowlekliśmy się do wybrzeża, zapadła już noc i podchodziliśmy pod osłonę mroku. Oglądałem plażę przez noktowizor i przekazywałem mu, co widzę. Wówczas wciąż żył. Generator batyskafu produkował akurat tyle tlenu, ile potrzebował Orphu.

– Tlenu?

– Tak nazywamy powietrze – wyjaśnił Mahnmut. – Jak wspomniałem, opisywałem mu te wielkie głowy...

– Wielkie kamienne głowy? Czyli posągi?

– Owszem, wykute z litej skały. Wysokie na około dwudziestu metrów.

– Rozpoznałeś może, kogo przedstawiają? Kogoś znajomego? Może jakiegoś wielkiego króla, bądź słynnego zdobywcę?

– Nie, nie widziałem szczegółów. Nadal byliśmy zbyt daleko – odparł Mahnmut.

Dotarli do szerokiego, długiego mostu o wielu przesłach, w całości zabudowanego dwupiętrowymi budynkami. Niczym w tunelu, ciągnęła się między nimi szeroka na cztery metry ulica, której wypełniał tłum ludzi próbujących zejść z drogi stadu owiec. Pasterze pędzili zwierzęta na północ, ku centrum miasta. Wzdłuż całej biegnącej przez most alejki stały zatknięte na tyczkach ludzkie głowy – część była zasuszona, z mumifikowana, inne zmieniły się już w nagie prawie czaszki, pokryte jedynie pojedynczymi kępkami włosów i płatkami przegniłej skóry. Niektóre wyglądały jednak na szokująco świeże, ich policzki i wargi barwiły jeszcze ślady rumieńców.

– Co to ma być? – spytał Mahnmut. Organiczne elementy jego konstrukcji ogarnęła dziwna słabość.

– Most Londyński – rzucił Szekspir. – Opowiedz mi o losie swojego przyjaciela.

Zmęczony bezustannym zadzieraniem głowy Mahmmut wskoczył na kamienny murek, zastępujący na moście balustradę. W oddali, na wschodzie, zauważył mury posępnego zamczyska i domyślił się, że widzi opisaną w „Ryszardzie III” twierdzę Tower. Zdał sobie sprawę, że albo śni, albo sam również umiera z braku tlenu, i pomyślał, że chciałby przed końcem majaku zadać Szekspirovi choć kilka podstawowych pytań.

– Czy zasiadłeś już do pisania sonetów, mistrzu Szekspirze?

Artysta się uśmiechnął, powiódł wzrokiem po cuchnących falach Tamizy, po czym spojrział na śmierdzące miasto. Po ulicach ciekły strumienie ścieków, dokoła walały się gnijące w błocie trupy koni i krów. Masy krwawych kości i podrobów wylewały się z otwartych rynsztoków i wirowały powoli w przybrzeżnych kałużach. Mahmmut prawie zupełnie wyłączył zmysł powonienia. Nie rozumiał, jak jego towarzysz – człowiek z najprawdziwszym nosem – może znosić ten odór.

– Gdzie się dowiedziałeś, że eksperymentuję z sonetami? – zapytał Szekspir.

Mahmmut spróbował wzruszyć po ludzku ramionami.

– Odgadłem. Czyli już je piszesz?

– Powiedzmy, że zaczynam się tym gatunkiem zabawiać.

– A kim jest Młodzieniec, który się w tych utworach pojawia? – Mahmmut wstrzymał oddech.

Znalazł się tak blisko rozwiązania wiekowej zagadki. – Czy chodzi może o Henry'ego Wriothsleya, hrabiego Southampton?

Zdumiony pisarz otworzył szeroko oczy i bacznie przyjrzał się morawcowi.

– Niemało na mój temat wiesz, mały Kalibanie.

Mahmmut skinął głową.

– Zatem to Wriothsley jest Młodzieńcem?

– Jego lordowska mość skończy w październiku dziewiętnasty rok życia. Powiadają, że meszek na jego górnej wardze zamienił się już w prawdziwy zagajnik – odparł poeta. – Jakże miałbym go nazwać Młodzieńcem?

– Więc chodzi o Williama Herberta – nacisnął Mahmmut. – W tej chwili ma

zaledwie dwanaście lat, a za dziewięć kolejnych zostanie trzecim hrabią Pembroke.

– Daty przyszłych sukcesji też nie są ci obce? – rzucił Szekspir z cieniem ironii w głosie. – Czyżby Mistrz Kaliban żeglował nie tylko po oceanach Marsa, lecz i po falach rzeki czasu?

Morawiec był zbyt podekscytowany perspektywą rychłego odkrycia tajemnicy, by cokolwiek tłumaczyć.

– Pierwsze Folio, które wydasz w tysiąc sześćset dwudziestym trzecim, zadedykujesz Williamowi Herbertowi i jego bratu. A na pierwszej opublikowanej drukiem edycji sonetów znajdzie się dedykacja „Panu W.H.”.

Szekspir rzucił mu takie spojrzenie, jakby zobaczył Mahnmuta, mającąc w gorączce.

Nie, mistrzu Szekspirze, to ty jesteś omamem umierającego umysłu, nie ja, pomyślał morawiec.

– Po prostu ciekawi mnie, że wzięłaś sobie na kochanka młodego mężczyznę bądź nawet chłopca – powiedział.

Artysta zaskoczył go reakcją. Zawirował na pięcie, błyskawicznie dobył wiszącego u pasa sztyletu i przytknął ostrze do obudowy mózgu morawca.

– Gdzie masz oko, mały Kalibanie, bym mógł wrazić w nie swą stal?

Uważając, by nie skaleczyć swej skórnej powłoki, Mahnmut powoli pokręcił głową.

– Wybacz – przeprosił. – Przybywam do twego miasta i kraju z bardzo daleka i tutejsze obyczaje nie są mi znajome.

– Widzisz te trzy najbliższe czerepy na moście? – zapytał Szekspir.

Mahnmut spojrzał, poruszając tylko oczami.

– Owszem.

– Jeszcze tydzień temu ich właściciele również stwierdzili, że nasze zwyczaje są im obce – syknął poeta.

– Rozumiem. To się nie powtórzy, panie.

Szekspir wsunął sztylet z powrotem do skórzanego pochwy. Mahnmut uświadomił sobie, że rozmówca jest przecież aktorem i jako taki ma tendencję do przesadnie dramatycznych gestów.

Z drugiej strony, nóż nie wyglądał na sceniczny rekwizyt. A gwałtowna

reakcja wcale nie oznaczała przeczącej odpowiedzi na pytanie morawca.

Obaj spojrzeli na rzekę. Niesamowicie duże, pomarańczowe słońce wisiało nisko, przesłonięte lekką mgiełką. Dramatopisarz odezwał się szeptem: –

Kalibanie, jeżeli sonety istotnie spod mojego pióra wypłyną, to dlatego że zechcę zbadać własne słabości, niedostatki i zadufanie. Chciałbym za ich pomocą pojąć, dlaczego zawierałem w życiu takie, a nie inne kompromisy. Uczynię to na podobieństwo człowieka uporczywie wtykającego palec w otwór pozostały po zębie, wybitym w karczemnej bijatyce. W jaki sposób zabiłeś swego przyjaciela, tego Orphu z lo?

Sens pytania dotarł do Mahnmuta dopiero po chwili.

– Wypatrzyłem na wybrzeżu jaskinię, ale nie udało mi się wprowadzić do niej „Mrocznej damy” – powiedział. – Próbowałem kilka razy, bez skutku. Reaktor wysiadł, straciliśmy napęd. Batyskaf osiadł na mieliźnie, mniej więcej trzy kilometry od pieczary. Woda była tam głęboka może na cztery sążnie. Wymyśliłem, że kiedy pozbędę się balastu, „Dama” położy się na boku, a ja zdołam wreszcie otworzyć wrota ładowni i uwolnić przyjaciela, ale statek utknął na dobre.

Morawiec przyjrzał się poecie. Wydawało się, że Szekspir słucha ze szczerym zainteresowaniem.

Zabudowania na moście czerwieniały w promieniach zachodzącego nad Tamizą słońca.

– Wyszedłem na zewnątrz, przełączyłem się na wewnętrzny zbiornik tlenu i zanurkowałem na długie godziny – podjął. – Mocowałem się z lukiem ładowni, pomagałem sobie łomem, zużyłem ostatki paliwa do palnika acetylenowego, próbowałem szarpać manipulatorami. Nic z tego. Nie zdołałem też odblokować zalanego korytarza. Jeszcze przez jakiś czas utrzymywałem z Orphu kontakt radiowy, lecz w końcu systemy padły i połączenie się zerwało. Ani przez chwilę nie zdradzał lęku czy strachu. Miałem wrażenie, że jest po prostu zmęczony... Okrutnie zmęczony. Aż do chwili, kiedy zerwała się łączność. Było ciemno i chyba straciłem przytomność. Być może spoczywam w tej chwili na dnie marsjańskiego morza, martwy lub umierający u boku Orphu, a naszą rozmowę wysłiły sobie gasnące komórki mego organicznego mózgu.



– Pierś wzbogaciłeś o te wszystkie serca, których nie widząc, mniemałem zmarłymi – rzekł Szekspir beznamiętnie . – Miłość w niej rządzi, niewczesny szyderca, ci, których myślą złożyłem już w ziemi[4].

\* \* \*

Mahnmut ocknął się na zalanej blaskiem marsjańskiego poranka plaży, otoczony przez dziesiątki małych zielonych ludzików. Pochylały się nad nim, przyglądały czarnymi oczami w zielonych, przezroczystych obliczach. Kiedy usiadł na piasku i rozległ się cichy warkot serwomechanizmów, obcy odsunęli się natychmiast na kilka kroków.

Naprawdę byli bardzo niscy. Sam Mahnmut ledwie przekraczał metr, a te... osoby... były jeszcze niższe od niego. Kształtem przypominały ludzi, bardziej niż morawiec, lecz też niezupełnie.

Poruszały się na dwóch nogach, miały ręce, za to brakowało im uszu, nosów i ust. Marsjanie chodzili nago, a ich dłonie wyposażone były w tylko trzy palce. Pod tym względem skojarzyli się Mahnmutowi z postaciami z filmów animowanych, które odnalazł kiedyś w archiwach Zapomnianej Ery. Zwrócił również uwagę na brak organów płciowych, a ciało ludzików – o ile rzeczywiście było to ciało – było przejrzyste, jakby odlane z elastycznego plastiku. Zamiast organami i żyłami, ich wnętrza wypełnione były zielonymi kulkami i grudkami jakiejś niezidentyfikowanej substancji, unoszącymi się i pulsującymi zupełnie jak kawałki wosku w ukochanej lampie Mahnmuta, porzuconej w zatopionym batyskafie.

Wykutą w skalistym urwisku ścieżką nadciągały kolejne ludziki. Siedzący wciąż na piasku Mahnmut spojrzał na ostatnią z szeregu kamiennych głów. Wznosiła się mniej więcej kilometr dalej na wschód. Inna z tych rzeźb spoczywała na skraju klifu, przywiązana linami do długiej drewnianej platformy na rolkach. Obie jednak znajdowały się za daleko, by mógł dostrzec rysy wielkich twarzy.

A, do diabła z tymi głowami, pomyślał. Odwrócił się i rozejrzał po morzu i plaży. Ciepłe fale przybijały do brzegu z regularnością metronomu. Gdzie jest „Mroczna dama”?

Po chwili ją zobaczył – grzbiet kadłuba wraz z nadbudówką sterczał z oceanu dwieście metrów od wybrzeża. Głębokościomierz i sonar wysiadły, zanim batyskaf ostatecznie wyzionał ducha i Mahnmut dopuścił się zapewne najstarszego i najcięższego z kapitańskich grzechów – wprowadził statek na mieliznę. Walcząc pod wodą z mułem i wrotami ładowni, wyczerpał wewnętrzny zapas tlenu i zemdłał, a fale wyniosły go nocą na plażę.

Orphu! Jak długo byłem nieprzytomny i majaczyłem o Szekspirze? – zastanowił się. Systemowy czasomierz morawca poinformował, że upłynęły niecałe cztery godziny.

Przyjacieli wciąż mógł żyć. Mahnmut ruszył zdecydowanym krokiem w stronę morza. Zamierzał dojść po dnie aż do unieruchomionego batyskafu.

Po kilku krokach drogę do wody zastąpił mu mniej więcej tuzin małych zielonych ludzików. Nagle zrobiło się ich dwudziestu. Potem pół setki. Kolejnych stu Marsjan zgromadziło się dokoła na plaży.

Mahnmut nigdy w życiu nie podniósł na nikogo ręki czy manipulatora, lecz w tej chwili był w pełni gotów do walki. Czuł, że w razie konieczności będzie uderzać, kopać i ciąć, byle tylko przedrzeć się przez tłum tych dziwnych istot. Postanowił jednak zacząć od negocjacji.

– Zejdźcie mi z drogi – rzucił całą mocą głośników. W marsjańskim powietrzu zabrzmiało to niezwykle donośnie. – Proszę.

Zielone ludziki wpatrywały się w niego okrągłymi czarnymi oczami. Obcy nie mieli uszu ani ust.

Nie słyszeli go, nie mogli odpowiedzieć.

Morawiec zaśmiał się gorzko i zaczął między nimi przeciskać, w pełni zdając sobie sprawę, że mimo przewagi fizycznej, ulegnie w końcu ich liczności – obsiądą go i rozerwą na kawałki. Kiedy pomyślał o przemocy, jego organiczne elementy chwycił gwałtowny skurcz przerażenia.

Wtem jedna z istot uniosła rękę, jakby chciała go powstrzymać. Mahnmut znieruchomiał.

Wszystkie zielone twarze zwróciły się w jednej chwili w prawo. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki ciżba się rozstała, ustępując drogi małemu zielonemu ludzikowi, zupełnie niczym niewyróżniającemu się pośród pobratymców. Marsjanin zbliżył się, zatrzymał przed morawcem i wyciągnął

ku niemu złożone dłonie, jakby przynosił w nich niewidzialne naczynie bądź składał modły.

Mahnmut nie zrozumiał gestu. Nie miał też zamiaru tracić czasu na żmudne rozmowy na miigi.

Oprhu wciąż mógł żyć!

Ponownie ruszył w tłum ludzików, lecz tuż za plecami posłańca wyrosło około czterdziestu kolejnych postaci i zablokowały morawcowi drogę. Pozostały dwie możliwości: zaatakować natychmiast lub skupić się na gestykującym Marsjaninie.

Mahnmut westchnął. Zabrzmiało to niczym żałosny jęk. Zatrzymał się i wyciągnął ręce, naśladując ruchy małego zielonego ludzika.

Posel pokręcił głową. Złapał Mahnmuta za lewą rękę – organiczne zmysły i elektroniczne czujniki poinformowały, że zielone palce są zimne – opuścił ją, po czym chwycił prawą dłoń morawca.

Przyciągnął ją do siebie, aż wreszcie ręka Mahnmuta przywarła do chłodnej, przezroczystej piersi.

Ludzik naparł całym sobą naprzód, wyprężył tors, przez cały czas nie zwalniając chwytu na dłoni morawca. Płaska klatka piersiowa ugięła się i... ustąpiła, wpuszczając palce Mahnmuta do środka.

Gdyby morawiec był w stanie, natychmiast wyszarpnąłby dłoń, lecz obcy nadal mocno go trzymał. Wstrząśnięty Mahnmut mógł tylko patrzeć, jak jego ramię zanurza się w wypełniającej pierś ludzika cieczy. Obejmujące rękę krawędzie przezroczystego ciała zasysały z siłą próżniowego zaworu.

Obserwujące to ludziki złożyły dłonie na piersiach.

W pewnej chwili rozcapierzone palce Mahnmuta trafiły na coś twardego i niemal idealnie kulistego. Pośrodku torsu ludzika widniała zielona gruda rozmiarów ludzkiego serca. Poczul jej pulsowanie.

Emisariusz szarpnął go znowu, znacząco i tym razem morawiec zrozumiał. Zacisnął palce na wilgotnym organie.

*Czego ci trzeba?*

Zszokowany Mahnmut niemal wyrwał dłoń z potrzasku. Przełamał się jednak i nie rozwarł palców trzymających serce zielonego ludzika. Pytanie przeniknęło w głąb umysłu morawca serią pulsów, drgań i skurczy. Bo

z pewnością nie były to słowa żadnego znanego Mahnmutowi języka – nie był to angielski, francuski, rosyjski, chiński ani pierwotny. Nie umiał odpowiedzieć w ten sam sposób, więc odezwał się po prostu na głos.

– Muszę uratować przyjaciela. Jest uwięziony w tamtym statku na mieliźnie.

Sto pięćdziesiąt zielonych ludzików zwróciło się jak jeden mąż w kierunku batyskafu. Trzy setki czarnych oczu przyglądały się przez kilka sekund pojazdowi, po czym popatrzyły z powrotem na Mahnmuta.

*Przeżnij nam gdzie on jest. Myślami.*

Morawiec przymknął powieki i wyobraził sobie zamkniętego w zablokowanej ładowni Orphu.

Oczywiście wyobraźni ujrział uszkodzony luk i prowadzący do niego ciasny korytarz. Odpowiedź przyłączyła do niego wibracjami serca.

*Poczekaj.*



Nacisk na rękę nagle zelżał i Mahmmut wyciągnął ją z ciasnej piersi małego

zielonego ludzika.

Rozległo się wilgotne młaśnięcie. Posłaniec runął, przetoczył się po piachu i znieruchomiał. Zielone grudki w jego wnętrzu zamarły, czarne oczy zaszyły bielmem i skierowały się ślepo ku niebu. Palce zadygotały i zastygły. Jego stu czterdziestu kilku pobratymców zwróciło się jak jeden mąż ku morzu. Marsjanie zajęli się organizowaniem ratunku dla Orphu.

Mahnmut opadł ciężko na piasek, tuż obok najwyraźniej martwego posłańca. Matko Boska! – pomyślał morawiec. Rozmawianie ich wykańcza.

Ścieżką od strony klifu nadciągały kolejne grupy ludzików. Dwustu. Trzystu. Sześciuset. Wreszcie Mahnmut dał sobie spokój z liczeniem, zignorował zalecenie zmarłego negocjatora i wszedł do wody. Trzymając się płycizny, brodził wśród łagodnych fal w stronę uziemionego na mieliźnie batyskafu. Dotarł do kiosku i zszedł przez służę do wciąż suchej sterówki. Rzucił okiem, by sprawdzić, czy może któryś z akumulatorów odzyskał sprawność. Żaden. Korzystając z wewnętrznej służy, wydostał się na zalany korytarz i dopłynął aż do miejsca, w którym drogę zagroziłł pogięty kadłub. Nie, tędy na pewno nie mógł się dostać do Orphu.

Cofnął się do sterówki i spróbował nawiązać z przyjacielem łączność. Cisza. Uratował swój egzemplarz sonetów – oprawiony w twardą okładkę tomik owinał skrawkiem wodoodpornej płachty – po czym wcisnął do plecaka resztę sprzętu. Spakował nadajnik, który zbudował z myślą o Orphu, na wypadek gdyby zdołał go uratować, dyski z dziennikami pokładowymi, drukowane mapy, raketnicę i akumulatory. Tak przygotowany wygramolił się na szczyt kiosku.

Małe zielone ludziki przytaszczyły tymczasem na brzeg grube zwoje czarnych lin, które zabrały spod kamiennej głowy, wciąż czekającej na wierzchołku urwiska. Przygotowały również masę rolek, na których toczyły wcześniej drewnianą platformę. Marsjanie pracowali z niewiarygodną wprawą – podczas gdy jedne podpłynęły do batyskafu, gdzie zajęły się mocowaniem lin nad i pod powierzchnią morza, inne wbijały wyłuskane z rolek żelazne pręty głęboko w piach i skalną ścianę klifu, po czym montowały na nich bloczki, przez które przeciągały sznury.

Batyskaf był ciężki – zwłaszcza teraz, z zalany przedziałem reaktora,

zatopioną ładownią 1

korytarzami – i Mahnmur nie był do końca przekonany, czy zielone maluchy zdołają go w ogóle poruszyć.

Czekało go zaskoczenie.

Nim minęło dwadzieścia minut, a do statku podczepiono już setki lin, których końce chwyciły na brzegu całe zastępy ludzików. Marsjanie dobrze rozumieli, że uczestniczą w misji ratunkowej – szarpnęli z całych sił. Czarne sznury naprężyły się i rozpostarły pomiędzy plażą a „Dama” niczym wielka pajęczyna. Batyskaf położył się na prawej burcie.

W pierwszej chwili Mahnmur chciał odruchowo pomóc, lecz zdał sobie sprawę, że ludziki go nie potrzebują. Siedział więc cierpliwie na kadłubie, kołysząc się przy każdym drgnienu „Mrocznej damy” i gdy tylko wrota ładowni wynurzyły się z mułu, wziął do ręki elektrycznie wspomagany łom, wskoczył do płytkiej wody, zanurkował i włączył reflektory na pełną moc.

Podczas wejścia w atmosferę rozgrzane drzwi ładowni nadtopiły się i wygięły. Morawiec zdołał je rozsunąć na ledwie kilka centymetrów, po czym zablokowały się na dobre. Ze złości miał ochotę się rozplakać, zaczął bezradnie okładać kadłub pięściami. Nagle wyczuł, że nie jest sam. Odwrócił się w zamulonej wodzie i spojrział.

Na dnie morza, tuż obok, stało kilka małych zielonych ludzików. Przyglądały mu się. Najwyraźniej oddychać też nie potrzebowały.

Nie chcąc zabijać kolejnej istoty przy próbie „rozmowy”, Mahnmur wskazał im oporne wrota, a następnie powierzchnię. Kilkoma gestami zamarkował, że rozplątuje zwój liny, mocuje ją do wygiętego fragmentu wrót i z wysiłkiem ciągnie.

Szóstka ludzików skinęła głowami. Odbiły się od dna i błyskawicznie przepłynęły trzymetrową warstwę wody dzielącą je od powierzchni.

Wkrótce Marsjanie powrócili. Tym razem było ich sześćdziesięciu. Część istot taszczyła sznury, inne dźwigały czarne pręty, wyjęte z rolek służących do przewożenia kamiennych głów. Także i teraz działali z niebywałą wydajnością. Pracując zgranymi grupkami, odgięli o kilka centymetrów drzwi luku i przeciągnęli wokół nich linę, z równą łatwością jakby nawlekali igłę. Po kilku minutach, spod zakleszczonego luku wychodziło już piętnaście

mocnych sznurów. Ludziki wróciły na powierzchnię i, gestykulując, przywołały Mahnmuta do siebie.

Wreszcie mógł odetchnąć świeżym powietrzem. Ciepłe promienie słońca popieściły polimerową powłokę i skórę morawca. Przystanął na kadłubie „Damy” i obserwował ciągnące za liny ludziki.

Raz za razem. I jeszcze raz.

Rozległo się głośnie chrupnięcie. Statek jęknął, woda zbrązowiła od mułu. „Mroczna dama”

pochyliła się na prawą burtę o kolejne trzydzieści stopni i zwróciła rufą do brzegu. Podbrzusze batyskafu wynurzyło się z piaszczystego dna. Zdeformowane drzwi luku nieco ustąpiły, lecz wciąż nie chciały się otworzyć.

Mahnmut ponownie rzucił się na wrota ze swoim elektrycznym łomem. Metal – mimo że udręczony i powyginany – nie uległ. Z acetylenowego palnika nie mógł już, niestety, skorzystać.

Skończyły mu się tlen i energia.

Małe zielone ludziki zauważyły bezowocne wysiłki morawca i łagodnie odprowadziły go spod ładowni. Mahnmut wyrwał się im i, ślizgając się na mokrym kadłubie, pobiegł z powrotem. Chciał do tych drzwi łomotać, podważać je łomem i napierać. Robić wszystko dopóki nie wyczerpią się jego własne akumulatory. Nagle jednak okazało się, że Marsjanie wcale się nie poddali.

Pięćdziesiąt pojedynczych lin powiązali w jeden, długi sznur. Następnie podciągnęli go na wierzchołek urwiska, za pomocą zespołu wielkich bloków, zamocowanych na metalowych, wbitych w skałę wspornikach. Na koniec ludziki oplótły sznurem olbrzymią kamienną głowę. Lina otoczyła szyję posągu kilkunastoma pętlami.

Do Mahnmuta podeszła piątka Marsjan. Bezceremonialnie zepchnęli go do wody i odciągnęli od batyskafu.

Morawiec nie dawał wiary własnym oczom. Dotąd zakładał, że wielkie kamienne głowy są dla tubylców świętością, a ich wykuwanie i ustawianie wzdłuż wybrzeża stanowi odpowiedź na jakąś głęboką religijną bądź psychologiczną potrzebę i pochłania cały czas i energię ludzików. Grubo się mylił.



Setki zielonych postaci stanęły za kamiennym kolosem, rozhuśtały go na palecie i zepchnęły z urwiska.

Zwrócona obliczem do skały głowa runęła w sześćdziesięciometrową przepaść, gruchnęła o podłoże i rozprysnęła się na kilkanaście odłamków. Lina zaśpiewała w blokach, wyrwała kilka stalowych prętów i wyszarpnęła drzwi ładowni z zawiasów. Sznur podciągnął wrota dwadzieścia metrów w powietrze, po czym pozwolił im łagodnie zjechać i osiąść na ziemi.

Do „Mrocznej damy” rzuciły się wplaw setki małych, zielonych ludzików, lecz to Mahnmur dotarł na miejsce jako pierwszy. Błyskawicznie włączył szperacze.

W ładowni wciąż czekały trzy tajemnicze ładunki, w tym Urządzenie, które mieli dostarczyć w pobliże szczytu Olympus Mons. Orphu z łob spoczywał wciśnięty w kąt. Poobijany, okaleczony i niemy.

Mahnmur wykorzystał resztki energii wspomaganego łomu, usunął zabezpieczające przyjaciela pasy i odkształcone ścianki działowe. Potężny korpus Orphu opadł z pluskiem do wody. Niestety, okręt spoczywał teraz na grzbiecie, właz znajdował się na górze i Mahnmur zrozumiał, że nigdy nie wydobędzie przyjaciela ze studni, w jaką przemieniła się częściowo zalana ładownia.

Kilkunastu Marsjan skoczyło do środka w ślad za morawcem. Nie tracąc ani chwili, wyszukali na spękany pancerz Orphu uchwyty, kłamry i inne punkty zaczepienia, po czym zaparli się ramionami i nogami pod masywnym cielskiem. Dźwignęli je ku górze. Pracowali w milczeniu.

Pewnie trzymając się na nogach, nawet na moment nie wypuszczając Orphu z rąk, ostrożnie opletli go dodatkowymi linami, wyciągnęli z ładowni i opuścili do wody wzdłuż obłej burty „Mrocznej damy”. Tam umieścili pod ciężkim korpusem pływające rolki, związali je, tworząc tratwę, i spokojnie odpłynęli z morawcem na plażę.

Małe zielone ludziki – na brzegu kręciło się ich teraz około tysiąca – cofnęły się, umożliwiając Mahnmutowi dostęp do przyjaciela. Orphu leżał bezwładnie na czerwonym piasku. Przypominał udręczonego przez sztormy, przerośniętego trylobita wyrzuconego na morski brzeg prehistorycznej Ziemi.

Mahnmut rozejrzył się po niebie. Wypatrywał rydwanów, które przecież wedle wszelkich przewidywań powinny już były nadlecieć. Nie zauważył ani jednego. Opróżnił więc plecak i wodoszczelne worki, które zabrał z pokładu „Damy”. Najpierw wyciągnął pięć małych i ciężkich akumulatorów, połączył je szeregowo, po czym wsunął wtyczkę do jednego z nieuszkodzonych gniazd na obudowie Orphu. Masywny morawiec nie zareagował, lecz wirtualny wyświetlacz wskazał na przepływ energii w jednym z jego systemów. Wtedy Mahnmut wspiał się po opływowym cielsku – dopiero teraz, oglądając go w jasnym świetle poranka, uświadomił sobie, jak poważnie przyjaciel jest uszkodzony – wkręcił odbiornik radiowy do gniazda sztywnego łącza.

Sprawdził połączenie – rozległ się szum fali nośnej. Włączył mikrofon.

– Orphu?

Cisza.

– Orphu?

Cisza. Tłum małych zielonych ludzików przyglądał się jego poczynaniom beznamiętnie.

– Orphu?

Trwało to dobre pięć minut. Mahnmut wywoływał Orphu co dwadzieścia sekund, na wszystkich możliwych częstotliwościach, raz po raz sprawdzając stan odbiornika. Radio działało jak należy. To morawiec nie odpowiadał.

– Orphu.

Oczywiście nie było zupełnie cicho. Zewnętrzne mikrofony Mahnmuta wychwytywały więcej szmerów i odgłosów tła niż doświadczył kiedykolwiek przedtem. Fale szemrały na piasku, wiatr z sykiem omiatał urwisko, Marsjanie z cichym szelestem przestępowali z nogi na nogę. Odbierał również tysiąc innych drgań, rozchodzących się w gęstej atmosferze planety. Natomiast na sztywnym łączy niezmiennie panowało milczenie.

– Orphu?

Mahnmut sprawdził wskazania zegara. Wywoływał przyjaciela już od ponad pół godziny. Bez przekonania, jakby w zwolnionym tempie, ześliznął się na piasek, przeszedł piętnaście kroków w stronę brzegu i ciężko usiadł na mokrej plaży, tuż na skraju fal. Zielone ludziki zeszły mu z drogi, po czym otoczyły go ponownie, trzymając się jednak z szacunkiem w odpowiedniej

odległości.

Popatrzył na nich – na tę ścianę drobnych zielonych ciałek, na pozbawione wyrazu oblicza i niemrugające czarne oczy.

– Nie macie przypadkiem czegoś lepszego do roboty? – rzucił głosem, który wydał mu się dziwnie stłumiony. Naturalnie, mogła to być po prostu wina marsjańskiej akustyki.

Ludziki stały w bezruchu. Roztrzaskana kamienna głowa leżała u podnóża klifu, lecz Marsjanie nie zwracali już na nią uwagi. Dwadzieścia lin wciąż wybiegało z brzegu ku nieruchomemu batyskafowi, obmywanemu przez leniwie falujące morze.

Mahnmuta zalała gwałtowna fala bezbrzeżnego żalu i tęsknoty za domem. W ciągu trzech jowiszowych dekad istnienia – na Marsie upłynęły w tym czasie ponad trzy stulecia – związał się bliżej z trzema osobami. Pierwszą była „Mroczna dama”, która co prawda nie posiadała pełni świadomości, lecz w pracy, do której został zaprojektowany, znakomicie się uzupełniali. „Dama”

już nie żyła. Drugim z przyjaciół był jego dawny partner naukowy, Urtzweil, który zginął osiemnaście jowiszowych lat wcześniej. Pół mahnmutowego życia. A teraz jeszcze Orphu.

Mahnmut znalazł się setki milionów kilometrów od domu. Przysłano go tu z misją, lecz był w tej chwili samotny i w kiepskiej kondycji, a poza tym nie przeszedł odpowiedniego wyszkolenia i przygotowania. Jak niby miał przebyć te pięć czy ileś tysięcy kilometrów do wulkanu? I w dodatku podrzucić tam tajemnicze Urządzenie? A nawet gdyby zdołał tego jakimś cudem dokonać, co potem? Być może Koros III miał jakiś plan, może wiedział na czym polega dalsza część zadania, lecz Mahnmut, do niedawna po prostu kapitan „Mrocznej damy”, nie miał, cholera, bladego pojęcia.

Przestań się nad sobą użalać, kretynie, przykazał sobie. Rzucił okiem na ludziki. To z pewnością złudzenie, lecz ich spojrzenia wydały mu się w tej chwili przygnębione, może nawet zasmucone.

Ale przecież Marsjanie nie opłakiwali nawet śmierci jednego ze swoich, więc dlaczego mieliby sposepnieć, obserwując kres życia morawca, myślące maszyny, której istnienia do dzisiaj nawet nie podejrzewali?

Mahnmut wiedział, że będzie musiał ponownie się z nimi porozumieć.

Wzdrygał się jednak już na samą myśl o wsunięciu ręki w pierś jednej z tych istotek, o zabiciu jej tym osobliwym aktem komunikacji. Nie, zrobi to dopiero w razie konieczności.

Podniósł się na równe nogi. Wrócił do szczątków Orphu i zaczął rozłączać akumulatory.

– Ejże! – rzucił Orphu przez radio. – Nie zdążyłem się najęść!

Mahnmut przestraszył się tak bardzo, że aż podskoczył. Dosłownie.

– Jezu, ty żyjesz!

– O ile egzystencję morawców można nazwać życiem.

– Ty cholero jedna! – jęknął Mahnmut. Miał ochotę naraz śmiać się i płakać, ale przede wszystkim, korciło go, by mocno przywalić temu wielkiemu, pogruchotanemu skrzyplóczowi. – Dlaczego się nie odzywałeś, kiedy cię wywoływałem? Przecież próbowałem przez jakieś trzydzieści minut!

– Nie rozumiem pretensji – odparł Orphu. – Odkąd naszej „Damie” wyczerpał się tlen i energia, byłem zahibernowany. Naprawdę się spodziewałeś, że w stanie hibernacji będę prowadzić towarzyskie pogaduszki?

– W hibernacji? Co ty pieprzysz? – Podenerwowany Mahnmut krążył wokół wielkiego pancerza. – W życiu nie słyszałem, by morawce hibernowały.

– Ach! Wy na Europie! Jeszcze tego nie znacie? – zdziwił się Orphu.

– Jak widzisz.

– Cóż mogę powiedzieć? Próżniowe morawce, pracujące jak ja w pojedynkę w okolicach Jowisza, spotykają się czasem z sytuacjami wymagającymi chwilowego wyłączenia wszystkich systemów, do momentu kiedy ktoś nas naprawi i podładuje. Bywa. W sumie niezbyt często, ale musimy się z tym liczyć.

– I jak długo jesteś w stanie pozostać w tej swojej... hibernacji? – burknął Mahnmut, którego słabnące oburzenie zamieniało się w coś bliskiego zawrotom głowy.

– Stosunkowo krótko – odpowiedział Orphu. – Około pięciuset godzin.

Mahnmut podniósł z plaży kamień i z całej siły cisnął nim w twardą skorupę przyjaciela.

– Słyszałeś? Co to? – zapytał morawiec z lo.

Mahnmut ciężko westchnął, opadł na piasek przed niedziałającymi oczyma Orphu i zaczął objaśniać mu sytuację.

\* \* \*

Orphu przekonał go, że koniecznie muszą raz jeszcze porozumieć się z Emzetelami, jak nazywał małe zielone ludziki. Oczywiście, podobnie jak Mahnmut, myśl o doprowadzeniu do śmierci kolejnej z tych istot zupełnie mu się nie uśmiechała – tym bardziej że to one go uratowały – ale uznał, że od natychmiastowego nawiązania komunikacji zależy powodzenie całej misji. Mahnmut spróbował więc porozmawiać z Marsjanami za pomocą słów, usiłował porozumieć się na migi, rysował na piasku mapy okolicznego wybrzeża i zaznaczył orientacyjne położenie wulkanu, do którego chcieli dotrzeć. Posunął się nawet do sposobu, w jaki prostytutki tłumaczyły obcokrajowcom najprostsze rzeczy: zaczął krzyczeć. Emzetele przyglądały się przedstawieniu ze spokojem, lecz nie reagowały. Wreszcie jeden z zielonych ludzików przejął inicjatywę. Podeszedł, chwycił morawca za rękę i przyciągnął ją sobie do piersi.

– Czyli jednak muszę? – Mahnmut zwrócił się do Orphu.

– Cóż, na to wychodzi.

Mahnmut skrzywił się i poczuł, jak jego dłoń przenika miękkie, elastyczne ciało. Palce morawca zamknęły się na pulsującym zielonym sercu, zawieszonym w wypełniającym pierś ludzika, ciepłym i gęstym jak syrop płynie.

*W czym moglibyśmy wam pomóc?*

Mahnmutowi cisnęły się na myśl setki nagłych pytań, lecz priorytety pomógł mu ustalić Orphu.

– Batyskaf – stwierdził. – Musimy ukryć „Mroczną damę” zanim nadleci tu jeden z tych rydwanów.

Posługując się mieszanką myśli i obrazów, Mahnmut przekazał Emzetelom, że unieruchomiony pojazd należałoby przenieść mniej więcej kilometr na zachód i zaholować do otwierającej się w urwistym cyplu jaskini.

*Dobrze.*

Tłum Marsjan rzucił się natychmiast do pracy. Bezradny Mahnmur został na miejscu, z ramieniem wciąż tkwiącym w piersi tłumacza. Ludziki wbijały metalowe pręty w piaszczyste podłoże, obwiązywały batyskaf dodatkowymi linami, montowały bloki i przekładnie. Rozmówca stał spokojnie z dłonią morawca zaciśniętą na własnym sercu.

– Chciałbym go zapytać o te kamienne głowy – powiedział Mahnmur. – Dowiem się też, kim są i po co je tutaj ustawiają.

– Najpierw ustal, jak mamy dotrzeć na Olympus Mons – zdecydował uszkodzony gigant.

Mahnmur westchnął i poprosił o wskazanie drogi do olbrzymiego wulkanu. Przywołał w duchu zapamiętany na orbicie widok góry z lotu ptaka i zapytał, czy Emzetele mogą w jakikolwiek sposób pomóc im w przedostaniu się do niej drogą przez płaskowyż Tempe Tierra, bądź trasą wschodnią, wiodącą ponad cztery tysiące kilometrów wzdłuż wybrzeża Morza Tetydy, a potem skręcającą na południe i dalej brzegiem Alba Patera ku samej Olympus Mons.

*To niemożliwe.*

– Co to ma znaczyć? – zdziwił się Orphu, gdy Mahnmur przekazał mu reakcję Marsjanina. – Chciał powiedzieć, że nie może nam pomóc, czy że nie da się podróżować na wschód?

Mahnmur, który, słysząc zdecydowaną odpowiedź Emzetela, uznał, że ich misja dobiegła właśnie końca, i poczuł coś bliskiego uldze, mimo niechęci dokładnie przełożył pytanie przyjaciela.

*Nie możecie udać się na wschód, ponieważ mieszkańcy Olimpu znajdują was i zabijają.*

- Wypytaj o inne możliwości – poprosił Orphu. – Może istnieje lądowe przejście przez Kasei Valles.

*Nie. Popłyniecie feluką przez Noctis Labyrinthus.*

- Feluką? A cóż to takiego? Jakiś włoski deser? – mruknął Orphu.

– Rodzaj dwumasztowego statku z łańcuchem ożaglowaniem – wyjaśnił Mahnmur, który, ucząc się pływać w czarnych odmętach oceanów Europy, zapoznał się również z kompletem dostępnych informacji o historii ziemskiej żeglugi. – Tysiące lat temu masowo korzystali z nich kupcy w rejonie Morza Śródziemnego.

– Dowiedz się, kiedy moglibyśmy wyruszyć – nadał Orphu.

– Kiedy możemy popłynąć? – spytał Mahnmut, czując własne myśli pod postacią wibracji w palcach i dziwnego łaskotania w głowie.

*Barka z kamieniami przybędzie rano. Feluka przyplynie wraz z nią. Możecie z niej skorzystać.*

- Potrzebujemy jeszcze zabrać parę rzeczy z batyskafu – powiedział morawiec. Przesłał Marsjaninowi obrazy Urządzenia i dwóch pozostałych elementów ładunku. Zwizualizował proces przenoszenia ich na brzeg i ukrycia w nadmorskiej jaskini. Na koniec podesłał zielonemu rozmówcy obraz transportowania tam samego Orphu.

Jak na komendę, dziesiątki małych zielonych ludzików weszły do wody i popłynęły z powrotem na „Mroczną damę”. Inne zajęły się łączeniem drewnianych rolek w ruchomą platformę rozmiarów uszkodzonego morawca.

– Chyba nie dam już dłużej rady trzymać tego serca – powiedział do przyjaciela Mahnmut. – Mam wrażenie, że ściskam kabel pod napięciem.

– Więc puść – poradził morawiec z ło.

– No, ale...

– Po prostu puść.

Mahnmut podziękował tłumaczowi – podziękował im wszystkim – i zwolnił uścisk. Podobnie jak jego poprzednik, mały zielony ludzik runął na piach, konwulsyjnie drgnął, syknął, wysechł i umarł.

– Boże – wyszeptał Mahnmut i oparł się plecami o korpus Orphu.

Ludziki zdążyły już unieść ciężki pancierz morawca i wsuwały pod niego kolejne rolki.

– Co oni wyprawiają?

Mahnmut opisał przyjacielowi wszystko dokoła. Nieruchome ciało tłumacza i gorączkową krzątaninę. Przygotowania do transportu Orphu, Urządzenia i pozostałego sprzętu wciągane właśnie z batyskafu i przenoszonego na plażę. Opowiedział o przytroczonych do „Damy” linach, o setkach Emzeteli szarpiących za ich końce na brzegu, holujących batyskaf na zachód, w kierunku jaskini zapewniającej osłonę przed wzrokiem pilotów w rydwanach.

– Wybiorę się z tobą do tej pieczary – zapowiedział nachmurzony.

Ciało ludzika leżało na czerwonym piasku niczym zasuszona, skurczona łupina. Bryłki organów wewnętrznych wyschły na wiór. Gęsty płyn wyciekł i zamienił się na piasku w błotnistą kałużę, przypominającą odcieniem plamę krwi. Marsjanie nie zwracali na martwego tłumacza uwagi.

Toczyli wielką skorupę powoli na zachód.

– Nie – sprzeciwił się Orphu. – Dobrze wiesz, co musisz zrobić.

– Przecież opisałem ci już te głowy, kiedy oglądałem je z morza.

– Wtedy było ciemno i oglądałeś je przez peryskop boi – przypomniał Orphu. – Powinniśmy się im przyjrzeć za dnia.

– Ta, która spadła z urwiska, rozbiła się na kawałki – stwierdził Mahnmut. Chciało mu się wyć. – Kolejna stoi cały kilometr stąd na wschód. I to wysoko na klifie.

– Idź – poleciał morawiec z lo. – Dopóki nie dotrę do jaskini pozostaniemy w kontakcie.

A „Mroczną damę” możesz spokojnie obserwować z góry. Jestem pewien, że nic jej nie zrobią.

Mahnmut zrzędził chwilę pod nosem, lecz posłuchał. Ruszył na wschód, zostawiając za sobą tłum Emzeteli, prowadzących na linach niesprawny batyskaf i przetaczających Orphu w chłodny cień nadmorskiej pieczary.

\* \* \*

Zrzucony z urwiska posąg roztrzaskał się na okruchy zbyt drobne, by dało się rozpoznać kogo przedstawia. Mahnmut z trudem piął się po uciążliwym szlaku, którym małe zielone ludziki poruszały się wcześniej bez najmniejszego wysiłku. Ścieżka była wąska, przeraźliwie stroma i usłana mokrymi, śliskimi skałkami.

Na szczycie morawiec przystanął, by podładować akumulatory i rozeznaczyć się w okolicy. Na północy, jak okiem sięgnąć, rozciągał się bezmiar Morza Tetydy. Na południu, w głębi lądu, czerwony kamienisty płaskowyż ustępował niskim rdzawym wzgórzom, a kilka kilometrów za nimi majaczyła zielona linia zarośli. Skrajem urwiska prowadziła porośnięta kępami trawy dróżka.

Wszedł na nią i skręcił na wschód.



Po chwili przystanął przy otworze w ziemi przygotowanym pod posąg, który Marsjanie poświęcili, by otworzyć ładownię. Obrzeża wykopu zostały wyrównane niezwykle starannie i Mahnmur mógł sobie doskonale wyobrazić, jak precyzyjnie kamienna szyja wsuwa się we wgłębienie i nieruchomieje na zawsze. Małe zielone ludziki okazały się niezwykle sprawnymi inżynierami i kamieniarzami.

Poszedł dalej. Kolejny posąg widniał na wschodnim horyzoncie. Morawców nie projektowano z myślą o górskich wycieczkach. Przeznaczeniem Mahnmurta było spędzać większość czasu w sterówce badawczego batyskafu, co najwyżej przebyć krótki kawałek wpław. Kiedy więc zmęczył się, idąc na dwóch nogach, zmienił ustawienie przekładni stawów i kręgosłupa i przez jakiś czas truchtał na czworakach jak pies.

Wreszcie dotarł do wielkiej rzeźby i przystanął u jej podstawy. Zauważył, że szczeliny pomiędzy szyją a brzegiem wykopu zostały zalane przypominającą cement substancją. Powiódł spojrzeniem na wschód, ponad wyżłobionymi przez rolki i stopy tysięcy Emzeteli koleinami, po czym odwrócił się na zachód, gdzie zielony tłum niezmordowanie ciągnął batyskaf i Orphu. Dotarli już niemal do cypla z jaskinią.

– Udało się? – zagadnął go Orphu.

– Tak, stoję właśnie pod głową i łapię oddech.

– I co powiesz o twarzy?

– Niewiele. Zły kąt – odparł Mahnmur. – W zasadzie widzę tylko podbródek, wargi i nos.

– No to zejdz na dół, na plażę. Myślę, że te rzeźby powinno się oglądać z morza, choć nie wiem dlaczego.

– No ale... – zaczął Mahnmur i spojrzał w przepaść. Od piasku dzieliło go przynajmniej sto metrów. – Cholera, jeżeli skrećę sobie kark – dodał – to tylko przez ciebie.

– Przyjąłem – rzucił Orphu. – Słuchaj, widzisz, gdzie w tej chwili jestem? Czuję vibracje podłoża, ale nie potrafię ocenić jak daleko stąd do jaskini.

Mahnmur wzmacnił powiększenie i popatrzył na zachód.

– Do nawisu nad wylotem zostało wam jakieś dwieście metrów – poinformował. – No dobra, ja w takim razie schodzę. Powiedz tylko, czy

naprawdę mam się jeszcze przyjrzeć następnej głowie z szeregu? To dodatkowy kilometr na wschód, a z orbity wszystkie wydawały się identyczne.

– Moim zdaniem należy to sprawdzić – odparł większy morawiec.

– Powiedział największy spacerowicz wszech czasów – burknął Mahnmut i ruszył w długą, niebezpieczną drogę ku plaży.

\* \* \*

Odszedł tak daleko, jak tylko mógł. Cofał się po plaży, póki łagodne fale nie zaczęły obmywać mu stóp. Z tej perspektywy twarz kamiennej głowy widać już było wyraźnie, lecz nie przypominała żadnej znajomej postaci. W milczeniu, zatopiony w myślach, pokonał, idąc po piasku, kolejny kilometr na wschód. Na drugiej rzeźbie faktycznie wyryto identyczne rysy jak na poprzedniej.

Dumne, władcze oblicze wpatrywało się intensywnie w morze. Kolos przedstawiał starego mężczyznę, mocno już wyłysiałego, lecz z długimi pasmami włosów okalającymi naznaczoną zmarszczkami twarz. Pod zbiegającymi się nad nosem brwiami otwierały się niewielkie oczy.

Nieznajomy miał wydatne kości policzkowe, niewielki, choć wyraźnie zarysowany podbródek i mocno zaciśnięte wąskie wargi. Niewątpliwie był osobą skorą do gniewu.

– To jakiś starzec – nadał Mahnmut do przyjaciela. – Bez wątpienia człowiek, mężczyzna. Nie pamiętam go jednak z historycznych baz danych.

Przez kilka sekund odpowiadał mu jedynie szmer zakłóceń.

– Fascynujące – zachwycił się Orphu. – Czym podstarzały Ziemianin mógł sobie zasłużyć na tysiące kamiennych podobizn, wzniesionych tuż nad marsjańskim morzem?

– Nie mam pojęcia – przyznał Mahnmut.

– Może to jeden z właścicieli rydwanów? – zasugerował Orphu. – Wygląda na boga?

– Z pewnością nie greckiego – ocenił Mahnmut. – Sprawia wrażenie potężnego i wyjątkowo złośliwego starca. Czy mogę już wracać? Chciałbym dotrzeć do jaskini, zanim nadleci któryś z tych siwobrodych facetów w togach

i zastanie mnie gapiącego się na rzeźbę jak turysta w muzeum.

– Owszem – zgodził się Orphu. – Myślę, że faktycznie powinieneś się ruszyć.

4 Przełożył J.S. Sito.

*Los sekwojowy, Teksas*

Tego ranka, przy śniadaniu podanym w zielonej bańce na szczycie Mostu Golden Gate w Machu Piechu, Odyseusz znowu nie opowiedział swojej historii. Nikt go zresztą o to nie prosił. Ada odniosła wrażenie, że wszyscy towarzysze są dziwnie rozkojarzeni, i wkrótce zrozumiała dlaczego.

Osobiście nie mogła się skupić, ponieważ większą część tej prawie nieprzespanej, najcudowniejszej nocy swego życia spędziła w objęciach Harmana. Oczywiście seks „uprawiała” już przedtem – jak chyba każda kobieta w jej wieku – ale dopiero teraz uświadomiła sobie, że jeszcze nigdy z nikim „się nie kochała”. Mężczyzna okazał się wyjątkowo czuły i zarazem zachłanny.

Zwracał uwagę na jej reakcje i potrzeby, lecz nie przedkładał ich ponad swoje. Wrażliwy i jednocześnie pełen męskiej siły. Spali bardzo krótko, spleceni na wąskim pościeli pod obłą ścianą bańki. Często się budzili i ich ciała same wznawiały miłosny wysiłek, zanim umysły miały szansę na dobre się ocknąć. Gdy słońce weszło nad wschodnim pylonem mostu, Ada czuła się już jak zupełnie inna osoba. Chociaż nie, sprostowała w duchu. Poczwała się raczej jak osoba nie tyle inna, ile bardziej kompletna, dojrzała, bardziej spełniona.

Dziewczyna zauważyła też, że i Hannah zachowuje się dziś rano dość nietypowo. Raz po raz się czerwieniła, wydawała się nadmiernie pobudzona i pilnie wyławiała z rozmowy każde słowo mężczyzny podającego się za Odyseusza. Od czasu do czasu rzucała Adzie przelotne spojrzenie, po czym natychmiast odwracała głowę, zalana świeżym rumieńcem. Mój Boże,

uświadomiła sobie Ada pod koniec śniadania, kiedy wszyscy szykowali się już do powrotnego lotu do Ardis. Hannah spała z Odyseuszem.

Jeszcze przez dobrą chwilę nie mogła uwierzyć we własny wniosek. Od początku ich znajomości Hannah ani razu nie wspomniała nawet o związkach z mężczyznami, czy o seksie w ogóle. Z drugiej jednak strony, Ada wyraźnie widziała sposób, w jaki przyjaciółka zerka co chwila na brodacza.

Dostrzegła też wszystkie inne zewnętrzne wskazówki: Hannah siedziała naprzeciwko Odyseusza, lecz jej ciało odpowiadało na każdy ruch herosa, nerwowo bawiła się palcami, pochylała nad stołem. Cóż, pomyślała Ada, noc w domicylach na szczycie Golden Gate była dość obfita w wydarzenia.

Daeman i Savi nie czuli się dziś w towarzystwie najlepiej. Chłopak był w równie paskudnym nastroju jak poprzedniego wieczoru. Raz po raz zarzucał staruszkę opryskliwymi pytaniami o Basen Śródziemny. Pomysł wyprawy bardzo go pociągał, lecz jednocześnie przyprawiał o mocny niepokój. Savi z kolei zamknęła się w sobie. Posmutniała i wyraźnie pragnęła już ruszyć w drogę.

Także Harman odzywał się rzadko. Ada miała wrażenie, że wciąż skupia swą uwagę na niej, choć nie czynił tego demonstracyjnie. Raz czy dwa pochwyciła jego spojrzenie i kiedy się uśmiechnął, w sercu dziewczyny rozlało się przyjemne ciepło. W pewnej chwili wsunął dłoń pod stół, musnął jej udo i lekko poklepał.

– Więc jaki w końcu mamy plan? – odezwał się Daeman, kiedy dojadali ciepłe rogaliki. Nieco wcześniej Ada ze zdumieniem i fascynacją obserwowała piekącą je Savi. Gospodyni podała też masło, jagody, świeżo wyciśnięty sok owocowy i aromatyczną kawę.

– Taki, że najpierw polecimy z Odyseuszem, Hanną i Adą do Dworu Ardis. Nawiasem mówiąc, jeżeli mamy tam dotrzeć przed zmrokiem, musimy się bardzo pośpieszyć. Potem ty i Harman wybierzecie się ze mną na ekspedycję do Basenu Śródziemnego – odpowiedziała Savi. – Bo chyba nadal masz ochotę wyruszyć z nami, Daeman Uhr?

– Mam. – Ada wyczuła w głosie chłopaka zmęczenie albo kaca. Albo jedno i drugie. Nie brzmiał jak odkrywca u progu podróży.

– W takim razie spakujmy graty, wskakujmy do sonika i w drogę –

zakomenderowała starowina.

\* \* \*

Skorzystali z tego samego pojazdu co poprzednio, chociaż Hannah powiedziała Adzie, że w hangarze zawieszonym przy południowym pylonie mostu widziała inne latające maszyny.

Niewielki sonik zaskakiwał liczbą i rozmiarem bagażników. Savi i pozostali bez kłopotu pomieścili bagaże w skrytkach na rufie. Zdecydowanie najwięcej sprzętu spakował Odyseusz. Zabrał między innymi krótki miecz w pochwie, tarczę, zmianę ubrania i dwa oszczepy, którymi polował na fororaki. Savi ułożyła się w środkowym wgłębieniu z przodu i zajęła obsługą świecących, wirtualnych sterów. Po bokach staruszki zajęli miejsca Ada i Harman. Daeman, Odyseusz i Hannah umościli się za nimi. W pewnym momencie Ada zerknęła przez ramię i zauważyła, że przyjaciółka wciąż tęsknie spogląda w kierunku brodatego mężczyzny.

Skierowali się na wschód i przelecieli nad wysokim łańcuchem górskim, po czym obniżyli lot i skręcili na północ. Minęli gęstą dżunglę i niezwykle szeroką rzekę o brązowych wodach, którą Savi nazwała Amazonką. Otaczała ją bezmierna dżungla. Nieprzeniknioną płataninę koron drzew przecinały miejscami wierzchołki piramid z niebieskiego szkła, sięgające tysiąca stóp i niknące w trzewiach sunących powoli deszczowych chmur. Nie dowiedzieli się, czym owe budowle są. Savi sama z siebie nie narzucała się z wyjaśnieniami, a pozostali podróżnicy byli zbyt zmęczeni lub zaprzątnięci sobą, by o to zapytać.

Po półgodzinie od chwili, gdy ostatnia z piramid zniknęła na horyzoncie za ich plecami, Savi położyła sonik głęboko na lewe skrzydło i skręcili. Ponownie znaleźli się wśród strzelistych gór. Na tej wysokości powietrze było rozrzedzone do tego stopnia, że pomimo niewielkiego pułapu – lecieli pięćset stóp nad ziemią – sonik wypełnił przestrzeń pod czaszą pola siłowego bogatszą mieszanką tlenową.

– Czy my przypadkiem nie zbaczamy z drogi? – Harman przerwał przeciągające się milczenie.

– Musiałam ominąć z dala monolity Zorina, rozstawione wzdłuż szelfu kontynentalnego dawnych wybrzeży Peru, Ekwadoru i Kolumbii – powiedziała Savi, kiwając głową. – Część z nich nadal jest uzbrojona, a działają automatycznie.

– Monolity Zorina? Cóż to takiego? – zainteresowała się Hannah.

– Nic, czym musielibyśmy się dzisiaj kłopotać – odparła staruszka.

– Jak szybko fruniemy? – spytała Ada.

– Dość powoli – powiedziała Savi. Rzuciła okiem na otaczający jej dłonie i przeguby wirtualny pulpit. – W tej chwili około trzystu mil na godzinę.

Ada spróbowała sobie tę prędkość zobrazować. Nie była w stanie. Do niedawna najszybszym pojazdem, jakim zdarzyło się jej podróżować, była ciągnięta przez wojnika bryczka, a zupełnie nie miała pojęcia, z jaką prędkością biegają wojniksy. Chociaż mało prawdopodobne, by było to właśnie trzysta mil na godzinę, uznała. Tym bardziej że górskie szczyty i turnie poniżej sunęły znacznie szybciej niż znajome krajobrazy oglądane z bryczek czy kabrioletów, którymi jeździła z Dworu Ardis do faksowężła.

Minęła jeszcze jedna godzina lotu. W pewnej chwili odezwała się Hannah: – Od ciągłego wyglądania za krawędź sonika rozboleła mnie szyja, a pole siłowe jest zbyt nisko i nie mogę usiąść. Szkoda, że... – Nagle urwała i przeraźliwie wrzasnęła. Zawtórowały jej krzyki Ady, Daemana i Harmana.

Savi wykonała jakiś gest nad konsolę i dający oparcie pasażerom pokład i kadłub sonika zniknęły bez śladu. Przez ułamek sekundy, nim Ada zacisnęła w panice powieki, widziała tylko szóstkę ludzi szybujących w powietrzu wraz ze wszystkimi pakunkami i włóczykami Odyseusza.

– Savi, mam prośbę, uprzedź, zanim zrobisz nam następną niespodziankę – poprosił rozedrganym głosem Harman.

W odpowiedzi kobieta zamruczała niewyraźnie pod nosem.

Zanim Ada odważyła się otworzyć na powrót oczy, przez okrągłą minutę obmacywała chłodny metal konstrukcji i miękką skóropodobną wykładzinę, którą czuła pod nogami, brzuchem i piersiami. Nie spadam, nie spadam, nie spadam, napominała się w duchu. Ależ spadasz, tłumaczyły jej oczy i błędnik. Znowu zacisnęła powieki i tym razem spojrzała dopiero, kiedy zostawili za sobą górskie pasma i szybowali ponad półwyspem, wybiegającym z lądu na

północny zachód.

– Uznałam, że to może cię zaciekawić. – Staruszka zwróciła się do Harmana, jakby pozostali nie mieli szans pojąć, o czym oboje rozmawiają.

Przed nimi fale oceanu rozcinały wąski lądowy przesmyk. Wlewająca się między brzegi woda tworzyła szeroką na przynajmniej sto mil cieśninę. Savi poderwała sonik i skierowała go na północ, ponad otwartym morzem.

– Wszystkie mapy, jakie wpadły mi w ręce, wyraźnie pokazywały, że pomiędzy Amerykami można przejść suchą nogą. Nie widziałem tu żadnej cieśniny.

– Mapy, które wpadły ci w ręce, są bezwartościowe – skwitowała Savi. Poruszyła nieznacznie palcami. Pojazd przyspieszył i wzbił się jeszcze wyżej.

Kiedy przed oczyma wędrowców ukazało się następne wybrzeże, minęło już południe. Savi sprowadziła sonik niżej i wkrótce pędzili nad bagnami. Mokradła niebawem ustąpiły ciągnącym się na przestrzeni wielu mil lasom sekwoi – nazwę podpowiedziała im staruszka. Najwyższe drzewa wyciągały się w wilgotne powietrze nawet na trzysta stóp.

– Może chcecie rozprostować nogi i poczuć twardą ziemię? Chyba też już pora coś przekąsić – zaproponowała Savi. – Na dole, w razie potrzeby, możecie też znaleźć ustronne miejsce.

Czwórka z piątki pasażerów zareagowała niekłamany ożywieniem. Odyseusz uśmiechnął się nieznacznie. Do tej pory przez cały czas smacznie drzemał.

\* \* \*

Obiad zjedli na niewielkim, nagim wzniesieniu, otoczonym wysokimi jak katedry leśnymi gigantami. Pierścienie lśniły blado w swym tańcu, widoczne na wolnym od chmur skrawku błękitnego nieba.

– Czy w tej okolicy można spotkać dinozaury? – zapytał Daeman, wpatrując się w cienie między drzewami.

– Nie – uspokoiła go Savi. – Zdecydowanie wolą środkową i północną część kontynentu.

Uspokojony chłopak oparł się wygodnie o powalony pień i zaczął jeść.



Skubał leniwie owoce, odkroił sobie kilka plasterów wołowego mięsa i parę kromek chleba.

– Być może Savi Uhr miała na myśli to, że tutejsi drapieżcy są znacznie bardziej niebezpieczni i rekombinowane dinozaury wolą się trzymać od nich z daleka – wtrącił od niechcienia Odyseusz.

Daeman natychmiast usiadł prosto jak struna.

Starowina obdarzyła Odyseusza karzącym spojrzeniem i pokręciła głową, jakby miała do czynienia z niepoprawnym chłopczykiem.

Podenerwowany Daeman raz jeszcze spróbował przebić wzrokiem panujący w lesie półmrok, po czym zabrał swój prowiant i przeniósł się bliżej sonika.

Hannah, mimo że rzadko odrywała wzrok od Odyseusza, znalazła jednak chwilę, by wyciągnąć z kieszeni przeplatany mikroskopijnymi układami scalonymi całun turyński i rozłożyć go sobie na twarzy. Ułożyła się wygodnie i odpoczywała, podczas gdy pozostali jedli bez słowa w dusznym, nieruchomym powietrzu. Po kilku minutach dziewczyna usiadła i schowała chustę.

– Odyseuszu – zapytała. – Chciałbyś może zobaczyć, jak toczą się losy twoje i twoich pobratymców? Wiesz, w czasie oblężenia tego warownego miasta?

– Nie – odparł Grek. Oderwał białymi zębami kawałek zimnej pieczeni z fororaka, powoli przeżuł, po czym popił winem ze skórzanego bukłaka.

– Zeus się rozgniewał i przechylił szalę zwycięstwa na stronę prowadzonych przez Hektora Trojan – podjęła Hannah mimo sprzeciwu Odyseusza. – Zepchnęli Greków poza fosę i ostrokół. W tej chwili walka toczy się już w pobliżu czarnych okrętów. Wiele zapowiada, że twoi towarzysze przegrają. Wszyscy możni wodzowie i władcy, w tym i ty, rzucili się do ucieczki. Na placu został tylko Nestor.

– Gadatliwy stary pryk – burknął Grek. – Został tylko dlatego, że trojański łucznik zastrzelił pod nim rumaka.

Hannah zerknęła na Adę i szeroko się uśmiechnęła. Stało się oczywiste, że jej celem było wciągnąć Odyseusza w rozmowę. Równie jasne było to, że uznała, iż podstęp się powiodł. Ada wciąż nie w pełni dowierzała, że ten

ogorzały od słońca, pokryty zmarszczkami i bliznami człowiek, tak różny od znanych im regenerowanych w konserwatorni mężczyzn, mężczyzna z krwi i kości – rzeczywiście jest Odyseuszem z rozgrywającego się pod całunem turyńskim dramatu. Podobnie jak większość inteligentnych osób z jej kręgu, dziewczyna była przekonana, że turyński spektakl jest dziełem fikcyjnym, stworzonym i zarejestrowanym zapewne jeszcze w czasach Zapomnianej Ery.

– Czyli pamiętasz starcie przy czarnych okrętach? – zagadnęła ponownie Hannah.

– Pamiętam ucztę z nocy poprzedzającej ten parszywy dzień. Wino sprowadzono trzydziestoma statkami z wyspy Lemnos. Tysiąc miar. W takiej ilości trunku dałoby się utopić całą trojańską armię. Gdyby, rzecz jasna, wino nie miało znacznie lepszego zastosowania. Euneus, syn Jazona, przysłał je w darze Atrydom. Agamemnonowi i Menelaosowi. – Odyseusz powiódł spojrzeniem spod przymrużonych powiek po twarzach Hanny i pozostałych. – O! Podróż Jazona! To dopiero opowieść warta chwili czasu.

Wydawało się, że tylko Savi rozumie, co barczysty Grek może mieć na myśli.

– No, jak to? Mówię o wyprawie Jazona i Argonautów – powtórzył Odyseusz, patrząc na skonfundowanych towarzyszy. – Przecież o tym chyba nawet wy musieliście słyszeć?

NieZRęczne milczenie przerwała staruszka.

– Synu Laertes, oni nie słyszeli żadnych opowieści. Ci tak zwani dawni ludzie nie posiadają przeszłości. Żyją bez mitów, w ogóle bez żadnych historii... Znają tylko to, co zobaczą pod całunem.

Są dokładnie takimi samymi analfabetami, jakimi byliście wy.

– My nie potrzebowaliśmy drapać znaczków na korze czy pergaminie. I bez tego byliśmy mężami, z którymi należało się liczyć – warknął Odyseusz. –

Kilka stuleci przed moim narodzeniem niektórzy próbowali parać się pisaniem, ale ostatecznie zarzucili ten pomysł jako bezużyteczny.

– No właśnie – rzuciła oschle Savi. – „Bo czyż korzeń analfabety pęcznieje mniej sprawnie?”. To chyba Horacy.

Odyseusz obrzucił ją nieprzyjemnym spojrzeniem.

– Zechcesz nam opowiedzieć o tym Jazonie i jego... Jak im było? –

poprosiła Hannah, zarumieniona w tej chwili tak, że Ada wyzbyła się wszelkich wątpliwości. Przyjaciółka naprawdę wylądowała w łóżku Odyseusza.

– Ar-go-nau-ci – przesyłabizował Grek jak dzieciom. – Nie, nie zechcę.

Ada mimowolnie zerknęła na Harmana, a jej myśli uleciały do wczorajszej nocy i świtu.

Miała ochotę wybrać się z nim na spacer i na osobności porozmawiać o wspólnym przeżyciu lub – gdyby to się nie udało – po prostu przymknąć oczy w wilgotnym upale słonecznej polanki i śnić o ich splecionych ciałach. A najlepiej byłoby, stwierdziła, przyglądając się Harmanowi spod zasłony rzęs, gdybyśmy wymknęli się we dwójkę do lasu i znowu się kochali. To stanowczo bardziej przyjemne niż senne marzenia.

Harman jednak nie dostrzegał jej spojrzeń, najwyraźniej wyłączył również telepatyczny odbiornik myśli kochanki. Wydawał się rozbawiony i jednocześnie zaciekawiony słowami Odyseusza.

– Więc może opowiesz nam przynajmniej o wojnie spod całunu? – zachęcił brodatego Greka.

– Ta wojna miała nazwę. Nazywała się trojańska. Czniam na wasze szmaty – prychnął Odyseusz.

Od dobrej chwili pociągał jednak z bukłaka i zdążył już nieco złagodnieć. – Mogę wam za to opowiedzieć o czymś, czego w tych pieluchach na głowach nie zobaczycie.

– Świetnie! Bardzo proszę! – Hannah podsunęła się bliżej wojownika.

– Od gawędziarzy zbaw nas Panie – mruknęła Savi. Podniosła się z miejsca, schowała resztę jedzenia do bagażnika pojazdu i zniknęła wśród drzew.

Daeman odprowadził ją wyraźnie zaniepokojonym spojrzeniem.

– Naprawdę sądzicie, że mogą tu mieszkać zwierzęta groźniejsze od dinozaurów? – zapytał.

– Savi potrafi o siebie zadbać – zapewnił Harman. – Ma przy sobie tę broń. Pistolet – przypomniał.

– Ale gdyby coś ją jednak pożarło... – chłopak wpatrywał się w las – kto siądzie za sterami sonika?

– Cicho bądź! – ofuknęła go Hannah. Długimi, opalonymi palcami musnęła przegub Odyseusza. – Opowiedz nam historię, której nie pokażą nam całuny. Proszę.

Grecki wojownik znów zaczął się stroszyć, lecz Ada i Harman pokiwali zachęcająco głowami, więc ostatecznie wyłuskał sobie z brody kilka okruchów chleba i zaczął.

– Wydarzeń, o jakich opowiem, wasze turyńskie szmaty nie pokazały i nie pokażą. Usłyszycie o wypadkach, które rozegrały się już po śmierci Parysa i Hektora, lecz jeszcze przed pojawieniem się drewnianego konia.

– Czyli Hektor zginie? – wtrąciła Hannah.

– I Parys? – dodał Daeman.

– I skąd się tam wziął drewniany koń? – zdziwiła się Ada.

Odyseusz przymknął oczy i przeczesał palcami zarost.

– Czy możecie mi nie przeszkadzać?

Słuchacze pokiwali głowami.

– Usłyszycie o wypadkach, które rozegrały się już po śmierci Parysa i Hektora, lecz jeszcze przed pojawieniem się drewnianego konia. Pośród innych rozlicznych bogactw, Ilios cieszył się posiadaniem boskiej podobizny, która spadła prosto z nieba. Wy zapewne nazwalibyście coś takiego meteorytem, lecz ta rzeźba została wykonana wiele pokoleń przed wojną rękoma samego Zeusa. Był to wyraźny znak aprobaty Ojca Bogów wobec poczynań założycieli miasta. Sporządzony z metalu i kamienia posąg nazwano palladium, jako że przedstawiał Pallas... Być może powinienem w tym miejscu wyjaśnić, że nie chodzi o Pallas Atenę, jak nazywamy naszą boginię, lecz Pallas, towarzyszkę młodzieńczych lat Ateny. Owa druga Pallas – w naszym języku możemy za pomocą akcentu nadawać temu wyrazowi męską bądź żeńską formę, ale w tym przypadku oznacza coś bliskiego łacińskiemu *virgo* czyli „silnej dziewicy” – została przez Atenę zabita w trakcie gwałtownej sprzeczki. A jej posąg znalazł Ilios, przez niektórych nazywany Nosem, ojciec Laomedona, który został ojcem Priama, Titionosa, Lamposa, Klytiusa i Hikeatona. Mąż ten zastał rzeźbę pewnego dnia przed swoim namiotem i nieomylnie zrozumiał z czym ma do czynienia. Owo starożytne palladium, sekretne źródło bogactwa i potęgi Troi, liczyło sobie trzy kubity wysokości.

W prawej dłoni posąg dzierżył włócznię, a w lewej ścisnął kądziel i wrzeczono. Natychmiast uznano go za wizerunek bogini śmierci i przeznaczenia, Ilios wraz z pozostałymi przodkami obrońców Troi rozkazał wykonać wiele replik palladium, w rozmaitych rozmiarach, po czym ukrył te podrobione statuetki i przykazał ich strzec równie pilnie jak oryginału. Już wówczas wszyscy zdawali sobie sprawę, że pomyślność i trwanie miasta będzie zależało od posiadania palladium. Dowiedziałem się o tym dzięki interwencji bogów, którzy pokazali mi owe wydarzenia w jednym z ostatnich tygodni oblężenia Ilionu. Przedstawiłem więc Diomedesowi plan, zgodnie z którym mieliśmy przeniknąć do miasta i odszukać prawdziwe palladium, a następnie je wykraść, co przypieczętowałoby zagładę Troi.

Przed wyruszeniem przebrałem się w łachmany żebraka i rozkazałem słudze, by mnie wychłostał.

Pokrytego pręgami nie można było mnie rozpoznać. Trzeba wam wiedzieć, że mieszkańcy Ilionu byli szeroko znani ze swej niezdolności do surowego karcenia służby. Te mizeraki znacznie częściej folgowały niewolnikom niż wymierzały im jakiegokolwiek kary. Ponadto żaden sługa w Ilionie, służący ludziom dobrego rodu, nie pokazałby się publicznie w podartych szatach i ze śladami bicia.

Wymyśliłem zatem, że złachane szaty, smród i, co najważniejsze, krwawe strupy i blizny, sprawią, że obywatele Troi będą na mój widok odwracać wzrok z niesmakiem i zażenowaniem. Zgodzicie się chyba, że to idealna przykrywka dla szpiega?

Odyseusz popatrzył na swoje audytorium.

– Plan zamierzałem zrealizować osobiście – kontynuował po chwili – jako że pośród Achajów najsprawniej się skradałem i byłem również najbardziej przebiegły i chytry. Ponadto, w przeszłości zdarzyło mi się już odwiedzić Troję. Nastąpiło to ponad dziesięć lat wcześniej, kiedy wysłano mnie na czele grupy emisariuszy, z zadaniem wynegocjowania zwrotu Heleny. Działo się to zanim jeszcze nasze czarne okręty przybiły do iliońskiego wybrzeża i rozgorzała wojna. Rozmowy, oczywiście, skończyły się fiaskiem, na co zresztą wszyscy my, prawdziwi Argiwovie, mieliśmy nadzieję.

Marzyliśmy o bogatych łupach i pilno nam było do walki. Tak czy inaczej,

dobrze wówczas zapamiętałem rozkład ulic tego skrytego za potężnymi bramami i murami miasta. Pewnej nocy Atena, jako że to ona wśród Olimpijczyków była nam najbardziej przychylna, wyjawiała mi, że palladium wraz z kopiami zostało ukryte w pałacu Priama. Dokładnej lokalizacji jednak nie poznałem. Nie wiedziałem również w jaki sposób miałbym odróżnić oryginał od replik. Zaczekałem więc do najczarniejszej nocy, kiedy ognie koksowników na murach płoną najślabiej, a ludzkie zmysły są najbardziej przytłumione. Zarzuciłem linę z hakiem na wysokie blanki Troi, wspiąłem się i zadźgałem wartownika, którego trupa schowałem za potężną stertą paszy przeznaczonej dla wierzchowców trackiej konnicy. Ilion był olbrzymi, był największym miastem świata i odnalezienie rezydencji Priama w labiryncie ulic i alejek zabrało mi dobrą chwilę. Po drodze dwukrotnie zatrzymywali mnie zbrojni strażnicy, lecz odpowiadałem im bełkotliwymi słowami, wydawałem z siebie obrzydliwe pomruki i wymachiwałem bez ładu i składu poznaczonymi bykowiec rękoma, więc brali mnie za zidiociałego niewolnika, słusznie i należycie ukaranego za przyrodzoną tępotę, i puszczali wolno. Pałac Priama był niezwykle okazałym gmachem. Znajdowało się w nim pół setki komnat sypialnych, po jednej dla każdego z pięćdziesięciu synów władcy Troi. Wspaniałości tych strzegli najznamienitsi wojownicy Ilionu, śmietanka ich armii. Trzymali bezustanną wartę przy wszystkich drzwiach i przed każdym oknem na parterze. Patrole krążyły również po murze i dziedzińcach. Nie mogłem liczyć na to, że zaspany wojak machnie ręką i obojętnie pozwoli mi przejść. Wiedziałem, że tutaj nie przyjdzie mi z pomocą nocna pora, ani najbardziej nawet udatne podszywanie się pod pomyleńca. Dlatego też udałem się kilka przecznic dalej na południe, do domu Heleny. Ten budynek również był pilnie strzeżony, przynajmniej do momentu, kiedy zakłułem swego drugiego tego dnia Trojanina i skrzętnie ukryłem jego zwłoki. Po śmierci Parysa, który zginął w łuczniczym pojedynku, Helena została wydana za mąż za innego z potomków Priama, Deifobosa, którego mieszkańcy Troi zwali „postrachem wrogów”, aczkolwiek my Achajowie obwołaliśmy go na polu walki „dupą wołową”. Świeżo upieczony małżonek nie spędzał jednak tej nocy w domu i Helena spała samotnie. Obudziłem ją. Nie sądzę, bym umiał Helenę zabić, nawet gdyby zawołała strażę. Rozumiecie chyba, znałem ją od wielu lat.

Poznałem ją jako jeden z pierwszych zalotników. Staralem się ojej rękę kiedy tylko osiągnęła należyty wiek, choć uczyniłem to wyłącznie dla zachowania konwenansów, gdyż już wówczas tworzyłem szczęśliwe stadło z Penelopą. To zresztą ja doradziłem Tyndareosowi, by kandydaci na męża Heleny pod przysięgą zgodzili się uznać jej wybór, dzięki czemu uniknęliśmy rozlewu krwi, jakiego niechybnie dopuściliby się krewcy odtrąceni. Zawsze miałem wrażenie, że mój pomysł wielce przypadł Helenie do gustu. Potem widywałem tę piękną kobietę, gdy gościłem w domu szlachetnego Menelaosa.

Wracając do tematu, wyrwana z niespokojnego snu w swym iliońskim domu Helena nie wzywała pomocy. Poznała mnie w jednej chwili i natychmiast wypytała o zdrowie swego prawowitego męża, Menelaosa i córki. Odpowiedziałem, że wszyscy mają się dobrze, aczkolwiek nie wspomniałem, że Menelaos został od początku wojny dwukrotnie poważnie raniony i odniósł też kilkanaście pomniejszych obrażeń, w tym zupełnie niedawno wrogi łucznik postrzelił go w biodro, przez co Menelaos wpadł w wyjątkowo paskudny nastrój. Zapewniłem ją, że zarówno małżonek, jak i córka, a także cała rodzina w Sparcie bardzo za nią tęsknią i wyglądają jej powrotu oraz życzą zdrowia. Helena zaniósła się śmiechem. „Mój pan i mąż Menelaos pragnie jedynie mej śmierci i dobrze o tym wiesz, Odyseuszu”, odparła. „Jestem ponadto pewna, że sam zgładzi mnie już niebawem, kiedy zgodnie z przepowiednią Kasandry wielkie mury padną, a Brama Skajska pójdzie w drzazgi”. Tej wyroczni nie znałem. Posłuch dawałem jedynie prorocstwom delfickim i słowom Pallas Ateny. Zaprzeczyć jednak nie mogłem. Istotnie wydawało się wielce prawdopodobne, że Menelaos poderżnie jej gardło w rewanżu za gorycz długich lat niewierności, które spędziła w objęciach i łożu zacieklego wroga. Tego jednak Helenie nie powiedziałem. Przyobiecalem jej za to, że wstawię się za nią u Menelaosa, syna Atreusa, i poproszę, by darował małżonce życie, pod warunkiem, że nie wyda mnie tej nocy, pomoże zakraść się do pałacu i podpowie, w jaki sposób mam rozpoznać prawdziwe palladium. „Nie wydałabym cię tak czy inaczej, Odysie, synu Laertes, chytry i roztropny doradco”, powiedziała Helena. Następnie wyjawiała mi metodę na przeniknięcie przez mury i strażę pałacu oraz rozpoznanie palladium pośród licznych imitacji. Tymczasem nastał już prawie świt. Godzina była zbyt późna,

bym zdołał tej samej nocy wypełnić swą misję.

Wyszedłem więc na ulicę i ponownie przeszedłem przez mur, korzystając z luk, jakie poczyniłem w obronie miasta, zabijając wartowników. Następnego dnia spałem do późna, wykapałem się, zjadłem i co nieco wypłem, po czym kazałem Machaonowi, synowi Asklepiosa, najznamienitszemu uzdrowicielowi w całej armii opatrzyć me rany i obłożyć je leczniczymi balsamami. Nocą, rozumiejąc, że sam nie podołam jednocześnie walczyć i dźwigać ciężkiego posągu, zaprosiłem do udziału w wyprawie Diomedesa. Wraz z synem Tydeusa, o najciemniejszej godzinie nocy, przekradliśmy się przez mur. Trzymającego wartę strażnika położyliśmy trupem celnie wymierzoną strzałą. Potem, nie udając już zbitych, obłąkanych niewolników, lecz skutecznie i skrycie mordując wszystkich, którzy zastępowali nam drogę w alejkach i zaułkach, szybko dotarliśmy do siedziby Priama, zakradając się tam przez ukryty kanał ściekowy, który wskazała mi Helena. Diomedes, mąż dumny jak większość durnych herosów z Argos, nie był zachwycony koniecznością brożenia w odchodach, mimo że powodował nami szlachetny cel doprowadzenia do ostatecznej klęski Ilionu. Zrzędził, marudził, prychał i jęczał. W prawdziwie pieskim nastroju odebrał kolejną zniewagę, za jaką uznał przeciskanie się przez otwór w desce, w jednym z dziesięcioosobowych wychodków w pałacowych piwnicach. Tam również znajdowały się koszary doborowej gwardii Priama i jego skarbiec. Skradaliśmy się umiejętnie, lecz wyprzedzał nas zdradziecki fetor łajna.

Pierwszą dwudziestkę strażników, którzy zastali nas w korytarzach zabiliśmy. Dwudziesty pierwszy pokazał nam, jak otworzyć skarbiec, nie uruchamiając przy tym pułapek i nie wywołując alarmu.

Zaraz potem Diomedes rozciął mu gardziel. Poza tonami złotego kruszcu, górami drogocennych klejnotów, głębokimi misami pereł, stertami zdobnych tkanin, skrzyniami diamentów i wieloma innymi skarbami zwiezionymi z owianego legendą Wschodu, w skarbcu znaleźliśmy około czterdziestu palladiów, stojących w wykutych w ścianach niszach. Wyglądały niemal identycznie, różniły się jedynie rozmiarem. „Helena poradziła, by wybrać najmniejszy”, powiedziałem Diomedesowi i tak też uczyniłem. Owinąłem palladium w czerwony płaszcz, który zdarłem z trupa ostatniego gwardzisty.



Zguba Ilionu znalazła się w naszych rękach. Teraz wystarczyło jedynie uciec.

Wtedy jednak mój towarzysz postanowił ograbić Priama z kosztowności. Jeszcze tej nocy, natychmiast i bez zwłoki. Biedny, bezmózgi idiota nie oparł się pokusie, jaką mamili go bogactwa skarbcza. Uznał, że dla tych kilkuset funtów złota warto zaprzepaścić dziesięć lat rozlewu krwi i wojennego znoju. Cóż... wybiłem mu to ze łba. Nie opiszę wam pojedynku, do którego doszło, kiedy odstawiłem zawinięte bezpiecznie palladium na posadzkę i dobyłem miecza, by powstrzymać chciwego króla Argos, syna Tydeusa. Wystarczy wam wiedzieć, iż nie była to najszlachetniejsza z walk. Cóż, skoro nalegacie... Dobiegła końca szybko, dzięki sprytnemu podstępowi, lecz przyznaję, nie były to wspaniałe *aristeia*. Zanim się starliśmy, zaproponowałem, byśmy zdjęli cuchnące szaty, a kiedy ten wołowaty pacan zaplątał się we własną tunikę, wyrząłem go w czerep wielką bryłą złota i padł bez zmysłów na ziemię. Skończyło się na tym, że z pałacu Priama umykałem dźwigając pod pachą ciężkie palladium, a jeszcze cięższego i w dodatku nagiego Diomedesa zarzuciłem sobie na ramię. Obarczony w ten sposób nie mogłem pokonać muru, więc byłem gotów – wcale nie byłoby mi to niemiłe – pozostawić syna Tydeusa u wylotu kanału ściekowego, w pobliżu rzeki, która płynęła pod miastem. Diomedes jednak szybko odzyskał przytomność i zgodził się czmychnąć z Troi wraz ze mną. Ruszyliśmy cicho. A nawet bardzo cicho.

Towarzysz nie odezwał się już do mnie tego dnia, ani w ciągu następnego tygodnia, ani po upadku i złupieniu Ilionu, ani w trakcie przygotowań do powrotnego rejsu. Ja także nigdy już się do Diomedesa nie odezwałem. Powinienem jeszcze dodać, że wkrótce po tym, jak zaniósłem palladium do argińskiego obozu, gdzie skrzętnie je ukryliśmy, przekonani iż dni lub wręcz godziny Troi są policzone, rozpoczęliśmy konstrukcję wielkiego, drewnianego konia. Koń ten miał do spełnienia trzy role: po pierwsze, miał mi pozwolić dostać się do miasta ze starannie dobraną garstką najbardziej zaciętych wojowników; po drugie, dzięki niemu Trojanie mieli sami zdjąć potężne kamienne nadproże Bramy Skajskiej. Inaczej bowiem nie zdołaliby wprowadzić do Ilionu tego drewnianego posągu, uznanego przez nich za ofiarę dla bogów. Proroctwo mówiło, że klęska Troi nastąpi, gdy wypełnione zostaną dwa warunki, Ilion straci palladium i właśnie owo nadproże.

Po trzecie wreszcie, zbudowaliśmy tego wielkiego konia w charakterze podarku dla Ateny, by udobruchać boginię – znaną również jako Hippię, „bogini koni” – po stracie palladium. Przydomek, o którym wspomniałem, otrzymała, ponieważ to ona okiełznała i ujeździła przeznaczonego Bellerofontowi Pegaza, a sama uwielbiała konną jazdę i korzystała z tej rozkoszy przy każdej nadarzającej się okazji. I to właśnie, przyjaciele, była krótka historia kradzieży palladium i upadku Ilionu. Mam nadzieję, że wysłuchaliście jej z przyjemnością. Czy są jakieś pytania?

Ada wymownie zerknęła na Harmana. On to nazywa krótką historią? – zdumiała się w duchu i zauważyła, że kochanek pochwycił jej spojrzenie, niczym przesłanego w powietrzu buziaka.

– Ja chciałbym o coś zapytać – odezwał się Daeman.

Odyseusz zachęcił go skinieniem.

– Dlaczego czasami nazywasz to miasto Troją, a innymi razy Iliionem?

Grecki bohater pokręcił nieznacznie głową, wstał, zabrał z sonika swój miecz i poszedł do lasu.

## 24

### *llion, Indiana i Olimp*

Zeus jest wściekły. Widywałem go już wcześniej w gniewie, lecz tym razem rozjuszył się nie na żarty.

Ojciec Bogów wpada do zniszczonej sali szpitalnej, ocenia straty i zniszczenia, wlepia na moment wzrok w blade ciało Afrodyty, leżące na mokrej posadzce, pokryte zieloną masą kłębiących się czerwi, po czym zwraca się prosto w moją stronę. Jestem święcie przekonany, że Zeus mnie widzi – że przeniknął spojrzeniem maskę, jaką zapewnia mi Hełm Hadesa, i naprawdę mnie zobaczył.

Niemniej, choć patrzy na mnie przez dobre kilka sekund, w końcu mruga swymi szarymi, zimnymi jak lodowiec oczami, jakby podjął jakąś decyzję, i odwraca się, a ja-Thomas Hockenberry, były wykładowca Uniwersytetu Stanowego w Indianie, a obecnie świeżo upieczony kochanek Heleny Trojańskiej – uświadamiam sobie, że jeszcze trochę pożyję.

Prawe ramię i lewą nogę mam mocno poobijane i pokryte sińcami. Niczego natomiast nie złamałem, więc-wciąż pod osłoną Hełmu Hadesa, ukrywającego mnie przed spojrzeniami bogów, którzy tłumnie wpadają do zrujnowanej sali – wymykam się chyłkiem z gmachu i tekuję do jedyne miejsce, jakie przychodzi mi do głowy (z wyjątkiem sypialni Heleny), gdzie mogę odpocząć i odzyskać siły. Pojawiam się u podnóża Olimpu, w koszarach scholiastów.

Wiedziony utrwalonym nawykiem udaję się do własnej celi, prosto ku nagiemu łóżku. Hełmu Hadesa nie wyłączam, nie zsuwam go z głowy nawet kiedy już leżę na twardych deskach i zapadam w niespokojny sen. Mam za sobą cholernie trudny i długi dzień, a także noc i poranek. Niewidzialny

Człowiek śpi.

Budzą mnie rozlegające się piętro niżej wrzaski i trzask piorunów. Wyskakuję na korytarz, gdzie niemal wpada na moją niewidzialną postać scholiasta nazwiskiem Blix. Przebiega tuż obok i zdyszany zaczyna tłumaczyć innemu z kolegów, Campbellowi.

– Muza tu jest! Zabija wszystkich jak leci!

To prawda. Wciskam się w kąt klatki schodowej, gdy Muza – nasza Muza, ta, którą Afrodyta nazwała imieniem Melete – powala piorunami nielicznych, próbujących ucieczki scholiastów, którzy aż dotąd przeżyli w płonącym budynku koszar. Bogini strzela z dłoni błyskawicami, snopami czystej energii – efekt co prawda kiczowaty i oklepany, lecz jej promienie niszczą ludzkie ciała ze straszliwą skutecznością. Blix nie ma najmniejszych szans, a ja nie jestem w stanie w żaden sposób pomóc jemu i pozostałym.

Nightenhelser! Ten flegmatyczny scholiasta był przez ostatnie lata moim jedynym prawdziwym przyjacielem. Pędzę do jego koszarowej kwatery. Marmurowe ściany pękają, drewniane meble stoją w ogniu, okienna szyba zdążyła się roztopić, lecz nigdzie nie widzę zwęglonego truchła podobnego do tych, jakimi usłane są korytarze i reszta sal. A żadne z tych usmażonych ciał nie wydawało się na tyle duże, by mogło należeć do korpulentnego Nightenhelsera. Nagle, po kilku agonalnych wrzaskach dolatujących z drugiego piętra budynku, zapada cisza i słychać już tylko coraz bardziej natarczywy huk płomieni. Wyglądam przez okno i zauważam Muzę odlatującą pełnym gazem w swoim rydwanie. Holograficzne rumaki galopują co sił w kopytach. Bliski zatracenia w panice, krztusząc się głośno dymem – gdyby Muza nie opuściła koszar, niechybnie by mnie w tej chwili usłyszała – z wysiłkiem przywołuję pod powieki obraz Ilionu i jadłodajni, w której rozmawiałem z Nightenhelserem po raz ostatni. Ściskam w dłoni teleportacyjny medalion, przekręcam jego obręcz i uciekam.

W karczmie, gdzie zjedliśmy rano śniadanie, nie ma po nim śladu. Błyskawicznie przenoszę się na pole bitwy. Ulubionym punktem obserwacyjnym Nightenhelsera jest wzniesienie ponad liniami obrońców, ale i tutaj go nie znajduję. Zatrzymuję się na równinie dostatecznie długo, by odnotować, że Hektor z Parysem prowadzą swoje wojska do zwieńczonego

powodzeniem ataku na cofających się bezładnie Argiwów. Zaraz potem jednak tekuję się w cienisty zakątek za greckimi umocnieniami, w pobliże fosy i ostrokołu, gdzie już kiedyś wpadłem na Nightenhelsera.

Jest! W ciele Dolopsa, syna Klytiusa, któremu zostało kilka dni życia, zanim Hektor powali go trupem. No, chyba że Homer się pomylił. Nie kłopotuję się morfowaniem i pozostaję niezgrabnym Hockenberrym. Zsuwam z włosów Hełm Hadesa i podbiegam do kolegi.

– Hockenberry, co...?

Nightenhelser jest wyraźnie wstrząśnięty moim wysoce nieprofesjonalnym zachowaniem oraz reakcją stojących opodal Achajów. Żaden scholiasta nie lubi zwracać na siebie uwagi. Może z wyjątkiem sytuacji, kiedy chciałby popełnić samobójstwo poprzez spopielenie z ręki mściwej Muzy. Naprawdę nie mam bladego pojęcia, dlaczego zaczęła nas dzisiaj mordować, lecz coś mi podpowiada, że za tę rzeź niewiniątek odpowiadam pośrednio sam.

– Musimy się stąd zbierać! – wołam, przekrzykując brzęk zbroi i włócznie nadciągających oddziałów. Rzenie koni i hurgot kół rydwanów są ogłuszające. Z naszego stanowiska wygląda to tak, jakby do ucieczki rzuciła się cała środkowa linia greckich szeregów.

– Co ty wygadujesz? To przecież bardzo ważny dzień. Hektor i Parys...

– W dupie mam Hektora z Parysem – ucinam, przechodząc na angielski.

Muza materializuje się wysoko ponad szeregami Trojan, tuż nad miejscem, skąd z Nightenhelserem nie raz śledziliśmy rozwój wojennych wypadków. Rydwan pilotuje druga muza, dzięki czemu nasza może swobodnie wychylić się ponad burtą i rozgląda się swym ulepszonym wzrokiem wśród walczących. Dzisiaj morfowanie nie pomoże już żadnemu śmiertelnemu scholiaście.

Jakby na potwierdzenie tego wniosku, muza imieniem Melete – „moja” Muza – wyciąga dłoń i strzela w stronę ziemi skoncentrowaną wiązką energii. Trafia trojańskiego piechura zwanego Diosem. Wedle eposu chłopak powinien dożyć przynajmniej do księgi dwudziestej czwartej, w której miał wysłuchać połajanki z ust Priama. Niestety, ginie już dzisiaj w gwałtownym rozbłysku płomieni i kłębach gorącego dymu. Pozostali Trojanie cofają się trwożnie, część salwuje się ucieczką w kierunku miasta. Nie są w stanie pojąć, dlaczego bogini się gniewa. Wszak dzisiaj, z woli Zeusa, odnieśli zwycięstwo. Parys

i Hektor walczą ćwierć mili dalej na południowy wschód.

Prowadzą szturm, ani na moment nie oglądając się za siebie.

– To nie był Dios – szepce przejęty Nightenhelser. – To był Houston.

– Wiem – odpowiadam i redukuję powiększenie swych ulepszonych soczewek.

Houston był najmłodszym i najmniej doświadczonym ze scholiastów. Zdążyłem z nim zamienić ledwie kilka zdań. W szeregach obrońców Ilionu znalazł się dzisiaj zapewne dlatego, że ja gdzieś się zawieruszyłem.

Rydwan Muzy kładzie się na bok, wykonuje ostry skręt i szybuje prosto na nas. Nie wydaje mi się, by ta dziwka już nas zobaczyła – stoimy w rozedrganym tłumie setek wojowników i koni – lecz za marne kilka sekund niechybnie się to zmieni.

Co począć? Mógłbym po raz kolejny ukryć się pod Hełmem Hadesa i tchórzliwie umknąć, pozostawiając Nightenhelsera na pewną śmierć, tak samo jak porzuciłem Blixa i resztę. Mój gadżet nie zdoła ochronić przed boskim wzrokiem Muzy nas obu. Możemy też próbować ucieczki we dwóch, w kierunku czarnych okrętów. Tyle że nie zdołamy przebiec nawet dwudziestu metrów.

Rydwan obniża lot i aktywuje systemy maskujące, kryjące pojazd przed walczącymi żołnierzami obu stron. Ja i Nightenhelser wciąż go widzimy, dzięki naszym ulepszonym nanotechnologicznie oczom.

– Co ty, cholera, robisz?! – woła kolega i niemal wypuszcza z ręki mikrofon.

Obejmuję go ramionami, zarzucam mu jedną nogę na plecy. Wygląda to tak, jakby wychudły piechur próbował zgwałcić zbudowanego jak niedźwiedź przeciwnika.

Zaciskając ramię na szyi tłustawego scholiasty, chwytam medalion i przekręcam obręcz.

Nie mam pojęcia, czy mi się uda. W zasadzie nie powinno. Medalion został pomyślany do teleportowania wyłącznie jednego użytkownika. Ale przecież, kiedy się tekuję, zabieram ze sobą ubranie. Często też przenosiłem poprzez przestrzeń Plancka różne przedmioty, więc możliwe, że pole kwantowe obejmuje wszystko, z czym moje ciało ma bezpośredni kontakt.

No bo co, cholera? Warto choć spróbować.

Do istnienia powracamy w ciemności, staczamy się w dół z boczka i rozdzielamy. Wodzę dzikim wzrokiem dokoła, próbuję rozpoznać okolicę. Nie miałem czasu, by porządnie wyobrazić sobie punkt docelowy – zdołałem jedynie pomyśleć, że chciałbym przenieść się wraz z kolegą gdzie indziej. Trafiliśmy... dokądś.

Tylko dokąd?

Księżyc świeci na tyle jasno, bym mógł zobaczyć oczy Nightenhelsera, który sprawia wrażenie przerażonego, że zaraz znowu się na niego rzuci. Nie przejmując się tym, patrzę w niebo – gwiazdy, wąski sierp księżyca, Mleczna Droga – a potem znów wokół siebie: wysokie drzewa, porośnięte trawą wzgórze, szemrząca w pobliżu rzeka.

Bez wątpienia trafiliśmy na Ziemię – na starożytną Ziemię – ale raczej nie jest to ani Peloponez, ani nawet Azja Mniejsza.

– Gdzie my jesteście? – odzywa się Nightenhelser. Wstaje i otrzepuje się z kurzu. – Co się w ogóle dzieje? Czemu jest ciemno?

Dlatego że znaleźliśmy się na drugiej półkuli, myślę.

– Podejrzewam, że jesteście w Indianie.

– W Indianie? – Kolega cofa się ode mnie o krok.

– W Indianie z trzynastego stulecia przed naszą erą – tłumaczę. – Z dopuszczalną poprawką stu lat w obie strony.

Stłuczone ramię i noga odzywają się bólem. Uraziłem je, turlając się po zboczku.

– W jaki sposób tu trafiliśmy? – Nightenhelser zawsze był przyjaźnie nastawionym gościem.

Owszem, zdarzało mu się nieraz zrzędzić, marudził czasami jak wyrwany ze snu niedźwiedź, lecz nigdy nie wściekał się na dobre. Aż do teraz.

– Tekowałem nas.

– O czym ty, do diabła, mówisz, Hockenberry? Przecież tutaj nie ma portalu.

Nie wdaję się w tłumaczenia. Przysiadam na niewielkim kamieniu i rozcieram obolałe ramię.

W Indianie nie ma zbyt wielu wzgórz, nie było ich nawet za czasów mojego

poprzedniego wcielenia. Pamiętam jednak zalesione, skaliste wzniesienia z okolic Bloomington, gdzie mieszkaliśmy z Susan. Zaczynam rozumieć. Zdjęty paniką zwizualizowałem sobie... no cóż... dom.

Przez moment zastanawiam się, czy medalion nie przeniósł nas również w czasie, do dwudziestowiecznej Ameryki, lecz kiedy przyglądam się niezmaconej czerni nocnego nieba i wdycham krystalicznie czyste, nieskażone powietrze, nadzieja szybko pryska.

Kto zamieszkiwał Indianę tysiąc dwieście lat przed Chrystusem? Indianie. Na nielichą ironię zakrawałoby, gdyby medalion uratował nas przed śmiercią z ręki Muzy i przeniósł do Nowego Świata, w którym stracilibyśmy skalpy.

Pamiętaj, że przed przybyciem Europejczyków większość plemion nie znała zwyczaju skalpowania – odzywa się we mnie głos drobiazgowego profesora. – Aczkolwiek czytałem gdzieś, że zdarzało się, że kolekcjonowali uszy pokonanych wrogów.

Od razu czuję się lepiej. Ponoć wszyscy zabójcy potrafią pięknie opowiadać. Wykładowcy za to są niezmiennie gotowi podsunąć każdemu ponurakowi jeszcze bardziej przygnębiającą wizję.

– Hockenberry? – Nightenhelser, który usiadł na głazie rozmiarów stołka, w bezpiecznej odległości ode mnie, domaga się odpowiedzi. Masuje sobie łokcie i kolana.

– Myślę, myślę... – odpowiadam, najlepiej jak potrafię naśladowując Jacka Benny'ego[5].

– Więc kiedy już skończysz – rzuca kolega. – Bądź tak łaskaw i wyjaśnij mi, dlaczego Muza zabiła właśnie młodego Houstona?

Wspomnienie nieco mnie orzeźwia, lecz niespecjalnie wiem, co miałbym mu powiedzieć.

– Pomiędzy bogami sporo się dzieje – odpowiadam po chwili. – Knują intrygi, spiskują. Zawierają przymierza.

– Co ty nie powiesz? – syczy Nightenhelser, tonem, w którym zdziwienie spotyka się z sarkazmem.

Bezradnie rozkładam ręce.

– Afrodyta próbowała mnie wykorzystać. Chciała, żebym zabił Atenę.

Nightenhelser otwiera szeroko oczy. Z trudem powstrzymuje opadającą



szczękę.

– Wiem, co sobie myślisz – ciągnę. – Dlaczego mnie? Dlaczego chciała się posłużyć akurat Hockenberrym? Z jakiego powodu to jemu wręczyła teleportacyjny medalion i Hełm Hadesa?

I masz rację, to się nie trzyma kupy.

– Nie o tym pomyślałem – mruczy Nightenhelser.

Ognista smuga meteoru rozcina usiane gwiazdami niebo. Gdzieś w gęstwinie za wzgórzem pohukuje sowa.

– Wiesz, zastanawiałem się, jak ty właściwie masz na imię – dodaje.

Tym razem to ja jestem zaskoczony.

– Czemu pytasz?

– Dlatego że bogowie zabronili nam posługiwać się imionami, a my boimy się zawierać bliższe znajomości, gdyż scholiaści z woli bóstw tak często... znikają – mówi wielkolud. Nawet w ciemności przypomina niedźwiedzia. – Po prostu chciałbym się dowiedzieć.

– Thomas – przedstawiam się po krótkiej chwili. – Tom. A ty?

– Keith – odpowiada człowiek, którego mimo czterech lat znajomości wciąż znam raczej słabo.

Wstaje ze skały i spogląda w kierunku czarnych drzew. – Więc co teraz, Tom?

W nieprzeniknionej ciemności lasu koncertuje chór owadów, żab i innych nocnych stworzeń.

Możliwe również, że to Indianie się do nas podkradają.

– Umiesz może... Wiesz, może zdarzało ci się obozować... To znaczy... – dukam niezręcznie.

– Chcesz wiedzieć, czy zginę, jeżeli mnie tu zostawisz? – pyta Nightenhelser... Keith.

– Właśnie.

– Nie wiem, pewnie tak. Z drugiej strony, tutaj mam znacznie większe szanse niż pod Troją. Muza weszła na wojenną ścieżkę...

Przypominam sobie, że i Keith wspomniał o Indianach.

– Zresztą mam ze sobą wszystkie gadzety i wyposażenie scholiasty. Dam radę rozniecić ogień, a w razie potrzeby skorzystam z uprząży lewitacyjnej

albo morfuję w Indianina. Mogę nawet użyć paralizatora. Skoro więc musisz, to tekuj dokąd chcesz i zrób co trzeba – radzi Nightenhelser. – O wszystkim opowiesz mi później... Jeśli będzie jakieś później.

Kiwam głową i podnoszę się z miejsca. Niechętnie go zostawiam. Wydaje mi się to dziwnie...

niewłaściwe. Złe. Nie mam jednak wyboru.

– Uda ci się wrócić? – pyta. – To znaczy, po mnie? W to samo miejsce?

– Tak myślę.

– Myślisz? Wydaje ci się? – Keith przeczesuje dłonią zmierzwiłone włosy. – Mam nadzieję, że nie byłeś dziekanem wydziału, Hockenberry.

Cóż, epoka imion dobiegła właśnie końca.

Ze wszystkich miejsc we wszechświecie najmniej śpieszy mi się właśnie na Olimp. Zaraz po przybyciu zauważam, że wszyscy mieszkańcy wulkanu zebrali się na Dworze Bogów. Upewniam się, że Hełm Hadesa pewnie siedzi mi na głowie i że nadal nie rzucam cienia. Ukryty przed spojrzzeniami, wkraczam do gigantycznego, przypominającego Partenon, gmaszyska.

Przez ponad dziewięć lat pracy scholiasty nigdy jeszcze nie widziałem tylu bóstw naraz w jednym miejscu. Zeus zasiada na wysokim tronie, po jednej stronie długiego, holograficznego basenu. Jest dzisiaj znacznie większy niż zwykle. Jak już wspominałem, bogowie – o ile nie przybierają postaci śmiertelników – mierzą sobie najczęściej osiem lub dziewięć stóp wzrostu. Zeus przerasta ich zazwyczaj o trzy bądź cztery stopy. Sprawia wrażenie boskiego dorosłego w otoczeniu kosmicznych pociech. W tej chwili jednak ma co najmniej dwadzieścia pięć stóp wzrostu. Przedramiona władcy bogów są długie jak mój tors. Zastanawiam się, czy metamorfozy Olimpijczyków nie naruszają przypadkiem zasady zachowania masy i energii, o której tyle się nasłuchałem od kolegi, lecz teoria jest w tej chwili najmniej ważna. Istotne jest natomiast to, żeby trzymać się blisko ściany, jak najdalej od tłumu bogów. Nie ruszać się, nie hałasować, nawet nie kichnąć, bo w przeciwnym wypadku natychmiast mnie wyczują tymi swoimi wyczulonymi superzmysłami.

Dotąd wydawało mi się, że znam z imienia wszystkie bóstwa, lecz teraz widzę całe dziesiątki bogów i bogiń po raz pierwszy w życiu. Ci, których znam, najbardziej zaangażowani w wojnę trojańską, wyróżniają się w gąszczu

innych, niczym gwiazdy filmowe wśród polityków średniego szczebla. Oczywiście, nawet tamci mniej znani bogowie są dalece wyżsi, silniejsi, bardziej przystojni i ogólnie doskonalsi od popularnych aktorów, jakich pamiętam z poprzedniego życia. Najbliżej Zeusa, dokładnie naprzeciwko niego – po drugiej stronie dzielącego salę jak fosa holograficznego basenu – dostrzegam Pallas Atenę, boga wojny Aresa (zatem wyszedł już z regeneracyjnej kadzi, której nie uszkodziłem, niszcząc zbiornik Afrodyty) oraz młodszych braci Gromowładnego: boga mórz Posejdona (nieczęsty gość na szczycie Olimpu) i Hadesa, władcę krainy umarłych. Zeusowy syn, Hermes, stoi przy basenie. Ten boski posłaniec i zabójca gigantów jest równie piękny i smukły jak przedstawiające go posągi. Inny potomek Zeusa, Dionizos, patron ekstazy i upojenia, rozmawia właśnie z Herą. Wbrew obiegowym opiniom nie trzyma w dłoni kielicha z winem. Jak na boga rozkoszy i zmysłów wygląda dość blado. Jest chuderlawy i pochmurny – trochę jak próbujący programu dwunastu kroków alkoholik na swoim trzecim spotkaniu AA. Za ich plecami zauważam osobę z wyglądu starszą niż sam czas. To Nereus, prawdziwy pan oceanów, Starzec z Morza. Palce rąk i nóg ma zrosnięte błoną pławną, a pod jego pachami otwierają się skrzela.

Bardzo licznie stały się mojry i furie. Przypadkiem bądź celowo wmieszały się w tłum bogów.

Teoretycznie są równe reszcie Olimpijczyków, aczkolwiek zdarza się, że mają nad pozostałymi pewną władzę. W odróżnieniu od zwyczajnych bogów nie przypominają ludzi i muszę przyznać, że nie wiem o nich właściwie nic, z wyjątkiem tego, że nie mieszkają na Olimpie, lecz zasiedlają jeden z trzech odległych wulkanów, wznoszących się na południowym wschodzie, w pobliżu rezydencji muz.

Przybyła również moja Muza, Melete. Stoi w towarzystwie sióstr, Meneme i Aoide. Pozostałe, „nowoczesne”, muzy wypatruję nieopodal – prawdziwą Kaliope, Polihymnię, Uranię, Erato, Klio, Euterpe, Melpomenę, Terpsychorę i Talię. Tuż za nimi widzę śmietankę bogiń. Od razu zauważam, że brakuje wśród nich Afrodyty. Gdyby się pojawiła, dostrzegłaby mnie w jednej chwili. Jest za to jej matka, Dione, która z niezwykle poważną miną rozmawia właśnie z Herą i Hermesem. Obok tej grupki stoi bogini urodzaju Demeter ze swoją

córką Persefoną, żoną Hadesa. Ponad ich ramionami spostrzegam jedną z Gracji, Paziteę. Z tyłu, zgodnie z ich niższym statusem, kręcą się Nereidy.

Obnażone do pasa, śliczne i zdradliwe.

Metabogini Noc trzyma się na uboczu. Jej suknia i woal są tak głęboko fioletowe, że prawie czarne. Inni bogowie i boginie omijają ją szerokim łukiem. O Nocy nie wiem zupełnie nic. Słyszałem jedynie pogłoskę, że lęka się jej sam Zeus. Nigdy jeszcze nie widziałem jej na szczycie Olimpu.

Czuję się trochę jak rozgorączkowany kinoman tłoczący się w ciżbie gapiów przed ceremonią rozdania Oskarów i próbujący wyłowić w boskim tłumie prawdziwe supergwiazdy.

Weźmy na przykład Hebe. Córka Zeusa i Hery z jednej strony patronuje młodości, lecz z drugiej jest dla pozostałych zwykłą służącą. Obok niej, z włosami rudymi jak ogień stoi boski rzemieślnik Hefajstos. Rozmawia ze swoją żoną, Charis, zaledwie jedną z Gracji. Nie po raz pierwszy uświadamiam sobie, że reguły olimpijskiej hierarchii są wyjątkowo złożone.

W pewnej chwili Iryda, posłanka Zeusa, podfruwa – dobrze słyszeliście, podfruwa – na czoło zgromadzenia i klaszcze w dłonie.

– Ojciec zabierze głos – obwieszcza głosem czystym i melodyjnym niczym solowa partia fletu.

Natychmiast milkną wszystkie rozmowy i szmery. W przestronnej sali zapada cisza.

Zeus podnosi się z miejsca. Obmywa go blask bijący od złotego tronu i prowadzących na podium, także szczerozłotych stopni.

– Wysłuchajcie mych słów, bogowie – zaczyna. Mówi cicho, lecz słowa słychać wyraźnie, odbijają się donośnym echem od wysokich marmurowych ścian. – Jedno z was próbowało dziś skrzywdzić Afrodytę, która zdrowiała w naszej lecznicy. Nie zginęła, lecz czeka ją kolejna, wielodniowa kuracja.

Któreś z was próbowało dziś zgładzić nieśmiertelną, jedną z nas, którym nie jest pisane umierać.

Wśród zebranych rozlegają się szepty, narastają z każdą upływającą chwilą, aż wreszcie pomieszczeniem wstrząsa ogłuszający harmider.

– Milczeć!

Tym razem Zeus ryczy tak głośno, że padam na posadzkę i sunę po niej jak

pochwycony huraganowym powiewem snopek siana. Szczęśliwym trafem nie zderzyłem się po drodze z żadnym bóstwem, a odgłos upadku utonął w echu krzyku Gromowładnego.

– Posłuchajcie mnie – podejmuje pan Olimpu, głosem wzmocnionym jakby korzystał z megafonu.

– Niechaj żadna z pięknych bogiń, żaden z was, o bogowie, nie waży się sprzeciwiać memu zrządzeniu. Będziecie odtąd ściśle posłuszni mej woli. Od teraz!

Znów krzyczy, lecz tym razem zdążyłem się przygotować na tornado. Czepiam się dłońmi kolumny i czekam, aż wichur osłabnie.

– Słuchajcie – powtarza Zeus, niemal szeptem, brzmiącym bardziej złowroźbnie niż wrzaski. – Każdy z bogów, który pogwałci mój dekret, wspomagając Trojan lub Achajów tak, jak to się stało w tym miesiącu, zostanie wychłostany moim piorunem i rażony gromem. Okryje się wiecznotrwałą hańbą i zostanie na zawsze przegnany z boskiej siedziby. Sprzeciwcie się mnie, a przekonacie się, jak to jest być strąconym w mroki Tartaru, spadać przez pół wszechświata na wskroś czasu i przestrzeni, w najgłębszą otchłań rozwierającą paszczę pod naszymi kwantowymi jestestwami.

Kiedy Zeus przemawia, holograficzny basen zaczyna wrzeć, woda staje się czarna jak smoła, po czym okazuje się czymś innym; prostokątna niecka wielkości tuzina olimpijskich basenów wygląda w tej chwili jak zalana gotującą się ropą naftową. Nagle dobywa się z niej ogłuszający ryk, a basen przeradza się w koszmarnie głęboką jamę, prowadzącą do jakiegoś mrocznego, ognistego miejsca.

W powietrzu rozchodzi się śwąd siarki. Bogowie i boginie cofają się znad krawędzi.

– Oto jest Tartar! – woła Zeus. – Najgłębszy loch Domu Hadesa, czeluść tak odległa od piekła, jak dom Hadesa oddalony jest od ziemi. Czy pamiętacie, wy starsi bogowie i boginie, naszą wspólną dziesięcioletnią wojnę z Tytanami, którzy panowali przed nami? Czy pamiętacie, że Kronosa i Reę, własnych rodziców, strąciłem w tę właśnie przepaść, poza żelazne bramy i odlane z brązu progi?

I że podobnie skarciłem Japeta, mimo że mocą dorównywał bóstwom?

Nikt na sali nie odpowiada. Słychać jedynie dobiegające z głębin Tartaru stłumione jęki, krzyki i rozdzierające wrzaski. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że ta dziura, otwarta w ziemi niecałe trzydzieści stóp od miejsca, w którym dygocę ze strachu, rzeczywiście prowadzi do piekła. To nie jest żaden hologram.

– Skoro wtrąciłem w tę najgłębszą z głębokich otchłan własnych rodziców, skazując ich na wieczną mękę – grzmi Zeus – czy śmiecie mieć nadzieję, że wasze wyjące dusze czeka jakiś inny los? Myślicie, że zawaham się choć przez moment?

Olimpijczycy milczą. Niektórzy cofają się jeszcze dalej od cuchnącej wyziewami jamy.

Zeus rozciąga wargi w straszliwym uśmiechu.

– Proszę, spróbujcie ze mną zadrzeć, nieśmiertelni, a wszyscy wyciągniemy z tego naukę.

Spod sufitu sali spada potężny złoty powróż i opada poprzecznie na wrota piekła, tworząc nad basenem coś w rodzaju pomostu. Bogowie i boginie pierzchają na boki, unikając zmiżdżenia.

Sznur jest gruby jak okrętowa lina, spleciono go z tysięcy pasemek szczerzego złota o średnicy cala.

Całość waży zapewne wiele ton.

Zeus schodzi po złotych stopniach tronu i podnosi koniec powrozu. Trzyma go oburącz, lecz zupełnie swobodnie.

– Złapcie po swojej stronie – rozkazuje lekko rozbawionym tonem.

Olimpijczycy wymieniają się niepewnymi spojrzeniami. Nie reagują.

– Złapcie swój koniec!!! – grzmi Ojciec Bogów.

Setki nieśmiertelnych i ich śmiertelni słudzy podbiegają natychmiast, posłusznie. Przepychają się w drodze do sznura i chwytają ją jak dzieci bawiące się na pikniku w przeciąganie liny. Po chwili nieprzebrany tłum potężnie umięśnionych bogów i bogiń ściska powróż z jednej strony przepaścistej jamy, a po drugiej stoi Zeus, od niechcienia trzymający swój kraniec w pojedynkę.

– Ściągnijcie mnie! – woła. – Zrzućcie mnie z nieba ku ziemi, ku Hadesowi

i jeszcze głębiej.

Strąćcie mnie w cuchnące odmęty Tartaru. No już! Ciągnijcie!

Bogowie stoją nieruchomo, żadnemu nie drgnie nawet jeden opalony mięsień.

– Ciągnąć! Strąćcie mnie! To rozkaz! – Zeus szarpie mocno złoty powróż. Zapiera się i napina mięśnie.

Sandały Olimpijczyków ślizgają się, piszczą i skrzypią na marmurowej posadzce. Kilkaset boskich postaci mimowolnie zbliża się do skraju przepaści. Niektórzy się potykają, inni padają na kolana.

– Ciągnąć, przekłęci! – wyje Zeus. – Ruszcie się, albo zatracicie dusze w czeluściach Tartaru, gdzie zostaniecie, dopóki sam czas nie uwiednie i nie odejdzie od kości wszechświata.

Gromowładny szarpie ponownie i przeciąga na swoją stronę dwudziestometrowy kawał złotej liny, która opada za nim gęstymi zwojami. Szereg bóstw, gracje i furie, nereidy, nimfy, słowem cała ta olimpijska zgraja – z wyjątkiem odzianej w ciemnofioletową suknię Nocy – wszyscy po drugiej stronie suną, zapierając się nogami, coraz bliżej otchłani. Na czele zмага się ze sznurem Atena i kiedy od krawędzi dzieli ją już tylko trzydzieści stóp, zaczyna krzyczeć.

– Ciągnijcie, bogowie! Wciągnijmy starego drania do Tartaru!

Ares i Apollo, Hermes i Posejdon, wszyscy najpotężniejsi bogowie zdwajają wysiłki. Przestają się ślizgać. Powróż się napręża, poszczególne pasemka trzeszczą i pękają. Piszczące boginie pracują wraz z pozostałymi. Z największą zaciekłością walczy Hera, małżonka Zeusa. Złoty powróż rozciąga się i jęczy.

Zeus wybucha śmiechem. Przyciągnął ich na skraj jamy jedną ręką, teraz dokłada drugą i szarpie.

Bóstwa wydzierają się niczym dzieci na diabelskim młynie. Atena i jej sąsiedzi ślizgają się po marmurze jak po lodzie, z każdą chwilą bliżej wściekłych płomieni Tartaru. Dziesiątki pomniejszych bogów dają za wygraną i puszczają sznur. Atena nie rezygnuje. Szarooka bogini nieubłaganie zbliża się do parującej piekielnej jamy. Odnoszę wrażenie, że lada chwila runie w przepaść cała kolumna spoconych z wysiłku, przeklinających głośno

postaci.

Zeus zanosi się śmiechem i odrzuca powróż na posadzkę. Tłum bogów upada z rozmachem w tył, prosto na nieśmiertelne dupska.

– Wszyscy wy bogowie i boginie! Dzieci, bracia, siostry, synowie, córki, kuzyni i słudzy! Nawet wszyscy razem nie jesteście w stanie pozbawić mnie władzy – mówi Zeus. Wraca na złoty tron i zajmuje miejsce. – Choćbyście wyrwali sobie ramiona ze stawów, nawet gdybyście zasiłowali się na śmierć, nie zdołacie mnie poruszyć, jeżeli sam tego nie zechcę. Bo jam jest Zeus, najpotężniejszy i największy z władców!

Gromowładny unosi potężny palec.

– Ale... gdybym szczerze tego zechciał, ściągnę was z Olimpu i zawieszę nad czarną otchłanią Tartaru. Zaplotę pętlę wokół ziemi i morza, uwiążę sznur do tego pagórka zwanego Olimpem i porzucę was w ciemności, dopóki słońce nie ostygnie.

Gdybym przed chwilą nie zobaczył na własne oczy demonstracji jego siły, uznalbyśmy, że stary drań blefuje. Teraz wierzę w każde jego słowo.

Atena wstaje z posadzki, podchodzi i przystaje niecały metr od wrót Tartaru.

– Ojczy nasz, synu Kronosa, który zasiadasz na niebiańskim tronie, znamy twą siłę, o Panie. Któż mógłby wystąpić przeciw tobie? Z pewnością nie my...

Wszyscy nieśmiertelni wstrzymują oddech. Wybuchowy charakter bogini owiany jest legendą, podobnie jak jej brak talentu do dyplomatycznych rozmów. Gdyby wyrzekła choć jedno niewłaściwe słowo...

– Niemniej – ciągnie szarooka córka Zeusa – litujemy się nad tymi śmiertelnikami, nad moimi skazanymi na zatracenie argiwskimi wojownikami, odgrywającymi nieistotne rôle na swojej małej scenie, ginącymi okrutną śmiercią, tonącymi we własnej krwi...

Bogini wykonuje dwa kolejne kroki naprzód. Czubki jej sandałów wystają za krawędź jamy, zawisają ponad czarną przepaścią. Gdzieś tam, tysiące metrów poniżej, w smaganej piorunami głębinie Tartaru, jakaś wielka istota wydaje z siebie skowyt strachu i cierpienia.

– Zgoda, Zeusie – mówi dalej Atena. – Tak jak rozkazałeś, nie będziemy się dłużej wtrącać do przebiegu wojny. Pozwól nam jednak przynajmniej swoim



śmiertelnym faworytom doradzać.

Chcielibyśmy zdradzić im taktykę, dzięki której zyskają szansę uniknąć śmierci, by nie wszyscy padli rażeni gromami twego niegasnącego gniewu.

Zeus obrzuca córkę przeciągłym spojrzeniem. Może bogowie są bardziej domyślni, ale ja nie wiem, co to za emocja maluje się w jego spojrzeniu. Wściekłość? Rozbawienie? Irytacja?

– *Tritogeneia*, moje trzecie dziecko, córo ukochana – odzywa się wreszcie Gromowładny. – Twoja odwaga już nie raz przyprawiła mnie o ból głowy. Nie chmurz się jednak, gdyż lekcja, jakiej wam dziś udzieliłem, nie płynęła ze wzburzenia. Chciałem jedynie zademonstrować wszystkim, jakie grożą wam konsekwencje nieposłuszeństwa.

Zeus milknie, podnosi się z tronu i schodzi z podwyższenia. Pomiędzy potężnymi kolumnami nadlatuje jego osobisty rydwan. W zaprzęgu biegną dwa konie. Zauważam, że podkute brązowymi podkawkami zwierzęta są prawdziwe, to nie hologramy. Lądują obok Zeusa, powiewając rozwianymi złocistymi grzywami. Pan bogów obleka się w złotą zbroję, bierze do ręki czekający na stojaku bat i wsiada do bojowego pojazdu. Pejcz strzela i rydwan zaczyna się toczyć po posadzce, aż wreszcie rozpędzony wzbija się do lotu, zawraca sto stóp ponad głowami zebranych bóstw i znika z trzaskiem kwantowego grzmotu.

Bogowie, boginie i pozostałe osoby z wolna opuszczają salę. W grupkach rozlegają się pierwsze szepty, zaczynają się knowania. Jestem głęboko przekonany, że nikt tutaj nie zamierza posłuchać swego pana i władcy. A ja jeszcze przez chwilę po prostu siedzę. Jestem niewidzialny i bardzo się z tego cieszę. Oddycham płytko przez szeroko otwarte usta, ziaję jak zbity pies w upalny dzień. Chyba nawet pociekła mi ślina.

Na Olimpie niełatwo jest czasami zachować wiarę w metodę naukową i jasne następstwo przyczyn i skutków.

5 Jack Benny (1894-1974) słynny amerykański prezenter radiowy, aktor i komik.

# 25

## *Los sekwojowy, Teksas*

Daeman został na leśnej polanie sam z Sonikiem. Bardzo mu się to nie podobało.

Po odejściu Savi Odyseusz opowiedział im swoją rozwlekłą, nietrzymającą się kupy historię i również zniknął między drzewami. Hannah wytrzymała może minutę, po czym poszła za Grekiem.

(Daeman już z samego rana odgadł, że wczorajszą noc spędziła z brodaczem – w tych sprawach instynkt nie zawodził go w zasadzie nigdy). Nieco później Ada z drugim starcem, Harmanem, oświadczyli, że wybiorą się na krótki spacer, i skierowali się w przeciwnym kierunku niż wszyscy.

Ich łózkowa przygoda również nie była dla Daemana tajemnicą. Wyglądało na to, że poza nim i starą wiedźmą Savi wszyscy setnie się bawią.

W ten właśnie sposób został sam i siedział teraz oparty plecami o kadtub sonika, nasłuchując szelestu liści i trzasku pękających w ciemnym lesie gałęzi. To również zupełnie mu się nie podobało. Gdyby pojawił się allozaur, zdążyłby zapewne wskoczyć do pojazdu – tylko co dalej? Nie miał nawet pojęcia, w jaki sposób uruchomić holograficzny pulpit, o aktywowaniu pola siłowego i pilotowaniu maszyny nie wspominając. Dinozaur dostałby smaczną przekąskę.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zwołać wszystkich z powrotem, ale szybko z tego pomysłu zrezygnował. Nie był pewien czy dinozaury i inne drapieżne zwierzęta nie są przypadkiem wyczulone na hałas, i stanowczo nie miał zamiaru sprawdzać tego na sobie. Czuł się coraz mniej komfortowo. Bał się, a na domiar złego straszliwie potrzebował skorzystać z łazienki.

Towarzysze odchodzili na stronę do lasu, z chusteczkami, które zabrała ze sobą Savi, ale Daeman był przecież cywilizowanym młodym człowiekiem. Jeszcze nigdy nie chodził do toalety, w której nie było... no właśnie... toalety, i nie mieściło mu się w głowie, że mógłby ten zwyczaj zmienić. Naturalnie, nie miał pojęcia, za ile godzin dotrą wreszcie do Ardis, a w dodatku Savi napomknęła, że nie chce się tam zatrzymywać, tylko podrzucić Hanne, Adę i tego bredzącego oszusta, podszywającego się pod Odyseusza. Zaraz potem mieli wyruszyć w kierunku Basenu Śródziemnego, który zapewne również znajdował się gdzieś daleko. Tak długo Daeman czekać nie mógł.

Oczywiście niechęć była w tym wypadku silniejsza od strachu. Wczoraj, kiedy zgłosił się na ochotnika do absurdalnej wyprawy staruchy i Harmana, towarzysze wydawali się mocno zaskoczeni. Nie znali jednak prawdziwych motywów, jakie go ku temu skłoniły. Przede wszystkim, Daeman panicznie bał się grasujących w okolicach Dworu Ardis dinozaurów. Nie chciał tam wracać.

Po drugiej, cała ta gadanina o faksowaniu, które podobno polega na niszczeniu i odtwarzaniu ludzi, przyprawiła go o poważny rozstrój nerwowy. Naturalnie, zupełnie się swojej reakcji nie dziwił.

Przecież każdy by się zestresował, gdyby odwiedził niedawno konserwatornię, a potem usłyszał, że jego prawdziwe ciało już nie istnieje, prawda?

Dotąd Daeman faksował się niemal codziennie, lecz w tej chwili sam pomysł przejścia przez portal – który miał rozłożyć na czynniki pierwsze jego mięśnie, kości, mózg i wspomnienia, by potem, w jakimś innym miejscu, powstała ich wierna kopia (o ile czarownica nie kłamała) – diabelnie mu nie odpowiadał.

Właśnie dlatego zdecydował się przedłużyć podróż Sonikiem o kilka dodatkowych dni. W ten sposób nie musiał się mierzyć z dinozaurami ani ryzykować że zostanie rozłożony na cząsteczki, atomy czy cokolwiek innego.

Teraz jednak tęsknił za toaletą, serwitorami i matką, która przyrządziłaby kolację. Może mógłby zażądać, by stare babsko poleciało z Ardis do Krateru Paryskiego. W końcu nie musiałyby chyba specjalnie nakładać drogi? Daeman oglądał co prawda bazgroły Harmana – jego tak zwaną „mapę” – lecz o geografii nie miał pojęcia. Ostatecznie wszystkie znane mu miejsca oddalone

były od siebie jedynie o krok potrzebny do przejścia przez portal.

Savi wyszła spośród drzew i obrzuciła spojrzeniem Daemana, siedzącego samotnie przy unoszącym się nad ziemią soniku.

– Gdzie wszyscy? – spytała.

– Sam chciałbym wiedzieć. Najpierw zniknął barbarzyńca i pobiegła za nim Hannah. A Ada z Harmanem poszli gdzieś tam... – Skinął ręką w kierunku wysokich drzew, rosnących po drugiej stronie polany.

– Czemu nie skorzystasz z funkcji na dłoni? – rzuciła Savi i uśmiechnęła się, jakby powiedziała coś wielce zabawnego.

– Już próbowałem – przyznał Daeman. – Tam u ciebie, na lodzie. Potem na moście. Tutaj też. Nie działa. – Uniósł lewą rękę, wywołał myślą funkcję wyszukiwania i pokazał kobiecie pusty, biały prostokąt, który zmaterializował się w powietrzu między jego palcami.

– Nie, nie miałam na myśli lokalizatora bezpośredniego. – Savi pokręciła głową. – To zwykła strzałka, która wskazuje tylko bliskie cele. Mógłby ci się przydać najwyżej w bibliotece, gdybyś szukał konkretnej książki, ale nie wiedział na którym regale stoi. Posłuż się daleko– albo bliskosiecią.

Daeman popatrzył na staruchę z powątpiewaniem. Od początku czuł, że jest zdrowo stuknięta.

– Ach, oczywiście – rzuciła Savi z niegasnącym uśmieszkiem na ustach. – Zapomnieliście już o tych funkcjach. Minęło tyle pokoleń...

– Co ty opowiadasz? – prychnął chłopak. – Wszystkie dawne funkcje, na przykład czytanie, od dawna nie działają. Odkąd postludzie opuścili Ziemię. –

Wskazał na pierścienie krzyżujące się na widocznym skrawku błękitnego nieba.

– Brednie – skwitowała Savi. Podeszła bliżej, usiadła przy soniku, wzięła Daemana za lewą rękę i

odwróciła ją dłonią ku górze. – Wyobraź sobie trzy czerwone kółka, w które wpisane są niebieskie kwadraty.

– Co?

– Słyszałeś. – Kobieta nie wypuszczała przegubu chłopaka z uścisku.

Czysty idiotyzm – uznał w duchu Daeman, lecz posłusznie zwizualizował sobie trzy czerwone koła z niebieskimi kwadratami w środku.

Zamiast małego białozółtego prostokąta funkcji lokalizatora sześć cali nad jego skórą zajaśniał duży błękitny owal.

– Rany! – Daeman aż krzyknął, uwolnił rękę szarpnięciem i zamachał, jakby opędzając się od wielkiego owada. Owal zamigotał.

– Uspokój się – rzuciła Savi. – Na razie nic nie zobaczysz. Pomyśl o kimś.

– O kim? – Daeman był wyraźnie niezadowolony, że jego ciało jest zdolne do wybryków, o jakich nie miał do dziś pojęcia.

– O kim chcesz. Najlepiej o kimś bliskim.

Daeman przymknął powieki i przywołał pod nie oblicze matki. Kiedy otworzył oczy na powrót, w niebieskim owalu widniał diagram przedstawiający rozkład ulic, rzekę i jakieś słowa, których nie potrafił odczytać – widok z lotu ptaka, w którego centrum ciemniała kropka. To musiał być Krater Paryski. Obraz się powiększył i nagle chłopak znalazł się w stylizowanym budynku, na czwartym piętrze domicyłu w pobliżu krateru. To nie był jego dom. Dwie schematycznie odwzorowane ludzkie postacie – rysunkowe lecz z prawdziwymi ludzkimi twarzami – poruszały się w zgodnym rytmie na łóżku, kobieta siedziała na mężczyźnie...

Daeman zacisnął raptownie pięść. Owal zgasł.

– Przepraszam – odezwała się Savi. – Zapomniałam, że w tych czasach nikt nie używa blokad. To była twoja dziewczyna?

– Matka – odpowiedział Daeman, czując, że zbiera mu się na wymioty.

Oglądana scena rozgrywała się po drugiej stronie krateru, w domicyłu Gomana – rozkład pokoi pamiętał jeszcze z dzieciństwa. Bawił się tam, kiedy mama odwiedzała tego wysokiego ciemnoskórego mężczyznę o aksamitnym jak wino głosie. Daeman Gomana nie lubił i nie miał pojęcia, że matka wciąż się z nim widuje. Z tego, co mówił wcześniej Harman, wynikało, że w Kraterze zapadła już noc.

– Spróbujmy poszukać Hanny, Ady i reszty – podjęła staruszka. Zaraz potem zachichotała. – Chociaż i oni mogą pożałować, że nie włączyli blokad dalekosieci.

Daeman nie chciał otworzyć dłoni.

– Usuń to – poradziła Savi.

– W jaki sposób?

– A jak wyłączasz strzałkę lokalizatora?

– Myślę po prostu „wyłącz się” – odparł Daeman. Idiotko, dodał w myślach.

– Więc zrób to.

Chłopak posłuchał. Niebieski owal zgasł.

– Bliskosiec aktywujesz, wyobrażając sobie żółte koło z zielonym trójkątem – powiedziała Savi.

Spojrzała na własną rękę, nad którą pojawił się jasnożółty prostokąt światła.

Daeman poszedł za jej przykładem.

– Pomyśl o Hannie – rzuciła staruszka.

Pomyślał. Wyświetlacze pokazały identyczny obraz. Przedstawił kontynent-Amerykę Północną, o czym Daeman nie miał pojęcia – po czym kolejne zbliżenia ukazały południowo-środkowy rejon lądu, północną część wybrzeża, zawile szeregi niezrozumiałych słów i map topograficznych, stylizowane drzewa i rysunkową postać kobiety z głową Hanny. Dziewczyna szła chyba sama... Nie, nie jest sama, uświadomił sobie Daeman. Obok niej poruszał się osobliwy znak.

Savi raz jeszcze zachichotała.

– Bliskosiec ma wyraźny problem z Odyseuszem.

– Nie widzę tu Odyseusza – mruknął chłopak.

Savi musnęła palcem symbol, a potem wskazała dwa czerwone znaczniki na skraju ekranu.

– To jesteśmy my – wyjaśniła. – A ten pierwszy symbol to znak zapytania. Ada i Harman musieli odejść dalej na północ.

– Skąd wiadomo, że to Hannah? – zapytał Daeman, choć widział przecież czubek jej głowy.

– Wydaj komendę „zbliżenie” – poradziła staruszka.

Podsunała mu swój wyświetlacz, na którym w zbliżeniu szła stylizowana Hannah z prawdziwą twarzą. Dziewczyna mijała właśnie stylizowane drzewa, rosnące nad stylizowanym strumieniem.

Kiedy zrobił to samo, zdumiała go szczegółowość obrazu. Na twarzy Hanny widział nawet cienie gałęzi. Z ożywieniem mówiła coś do symbolu – Savi

nazwała go znakiem zapytania – wciąż przesuwającego się wraz z nią. Ucieszył się, że nie nakryli ich w trakcie uprawiania seksu.

Savi tymczasem wyobraziła sobie Adę i Harmana. Wyświetlacz kobiety ukazał dwie postacie idące wśród topograficznych symboli, na północ od nieruchomych czerwonych kropek, które oznaczały podobno staruszkę i jego.

– Widzisz? Wszyscy są cali i zdrowi. Nikogo nie zjadły dinozaury – odezwała się Savi. – Chociaż dobrze by było, gdyby już wrócili. Robi się późno i musimy się zbierać. W dawnych czasach skontaktowałabym się z nimi po prostu przez dłonie i kazałabym ruszyć dupę.

– Chcesz powiedzieć, że to pozwala się komunikować? – zdziwił się Daeman, oglądając swą rękę.

– Naturalnie.

– Dlaczego więc o tym nie wiemy? – rzucił niemal gniewnie.

– Wy, tak zwani dawni ludzie, w ogóle o niczym nie wiecie. – Savi wzruszyła ramionami.

– Czemu powiedziałaś „tak zwani”? – prychnął chłopak. Teraz był już naprawdę zły.

– Naprawdę sądzisz, że ludzie z Zapomnianej Ery, prawdziwi dawni ludzie, nosili w sobie te wszystkie nanotechnologiczne zabawki? – odparła.

– Tak – stwierdził Daeman, chociaż na temat ludzi z Zapomnianej Ery nie wiedział nic i zupełnie go nie interesowali.

Przez następną minutę Savi nie odezwała się słowem. Wyglądała na zmęczoną, lecz być może wszyscy wiekowi ludzie sprzed epoki konserwatorni trzymali się tak kiego. Daeman nie miał o tych sprawach pojęcia.

– Powinniśmy po nich pójść – zdecydowała wreszcie kobieta. – Ja skoczę po Hannę i Odyseusza, ty sprowadź Adę i Harmana. Aktywuj bliskosiec i lokalizator. Znajdziesz ich bez trudu. Przekaż, że autobus zaraz odjeżdża.

Chłopak nie miał również pojęcia czym jest „autobus”, ale wcale nie był ciekaw. Zainteresowało go coś innego.

– Są jeszcze inne funkcje? – zapytał, nim staruszka zdążyła odejść.

– Setki – stwierdziła Savi.

– Pokaż mi jakąś. – Postanowił rzucić jej rękawicę. Oczywiście nie wierzył w to, co mówiła. Setki rozmaitych funkcji? Wykluczone. Z drugiej strony,

jedna czy dwie tego rodzaju nowinki pozwoliłyby mu robić na bankietach prawdziwą furorę. Mógłby w ten sposób imponować młodym kobietom.

Savi westchnęła i usiadła plecami do sonika. Wzmagający się wiatr zakołysał gałęziami strzelistej sekwoi.

– Mogę ci pokazać funkcję, przez którą postludzie opuścili Ziemię – powiedziała cicho. – Wszechsieć.

Daeman zacisnął pięść i cofnął rękę.

– Skoro to niebezpieczne, chyba jednak zrezygnuję.

– Nie jest niebezpieczne – zapewniła staruszka. – Nie dla nas. Patrz, ja zacznę.

Wyprostowała jego przedramię, rozłożyła mu palce i niemal zmysłowo musnęła wnętrze dłoni.

Następnie przysunęła do ręki chłopaka własną lewą dłoń.

– Wyobraź sobie cztery niebieskie prostokąty, pod nimi trzy czerwone kółka, a w najniższym rzędzie cztery zielone trójkąty – poleciała półgłosem.

Chłopak ściągnął brwi – zadanie nie było łatwe, kształty raz po raz mu się wymykały. Wreszcie jednak przymknął powieki i dopiął swego.

– Otwórz oczy – powiedziała Savi.

Tak też uczynił – i natychmiast chwycił się rozpaczliwie burty sonika. Tym razem nad dłonią nie wyświetlił się mu żaden jaśniejący kształt, nie pojawiły się niezrozumiałe mapy ani kreskówkowe postacie.

Za to zmieniło się wszystko dokoła. Pobliskie drzewa, które dotąd zwracały jego uwagę wyłącznie jako źródło cienia, przeobraziły się w złożone strzeliste konstrukcje: przezroczyste, wypełnione warstwami pulsującej żywej tkanki, martwej kory, pęcherzyków, żyłek, zdrewniałych włókien, na które nakładały się wektorowe obrazy, opisane całymi kolumnami czerwonych i zielonych danych, w barwach życia. Zobaczył igły, drewno, łyko, wodę, cukier, energię, światło słońca. Domyślił się, że gdyby tylko potrafił odczytać rzędy sunących informacji, poznałby dokładnie hydrologiczne zasady, pozwalające istnieć cudowi natury, jakim jest drzewo. Dowiedziałby się, jakiego ciśnienia osmotycznego trzeba, by woda z korzeni – kiedy opuścił wzrok, okazało się, że widzi przez podłoże płożące się korzenie, cały system wymiany wodnej – odbyła swą daleką podróż, setki stóp z gleby aż po wierzchołek! Jakby



olbrzym pił przez słomkę. Chłopak widział molekuly wody napływające do liści kanalikami o szerokości ledwie kilku cząsteczek, ujrzał, jak drobiny wilgoci rozchodzą się po konarach długich na pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, a nawet siedemdziesiąt stóp, zwężających się stopniowo ku końcowi. Woda niosła ze sobą substancje odżywcze oraz samą istotę życia – zaczerpniętą prosto ze słońca energię...

Zadarł głowę i zobaczył promienie słońca zalewające las deszczem energii – spadały na sosnowe igły i zostawały natychmiast wchłonięte, ożywiały swym ciepłem mnożące się w leśnym poszyciu, gorączkowo pracujące bakterie. Bakterie, które byłby w stanie policzyć! Cały świat wokół Daemana stał się nieprzerwanym potokiem informacji, falą danych, milionem wzajemnie ze sobą powiązanych mikroekosystemów i układów przepływu energii. Nawet śmierć okazała się jedną z figur wystudiowanego tańca wody, światła, energii, życia, odrastania, rozmnażania i głodu.

Po drugiej stronie polany chłopak dostrzegł martwą mysz, niemal pogrzebaną już w ziemi.

Zostały z niej tylko kości i strzępki sierści, lecz wciąż stanowiła wyraźne skupisko jaśniejszej na czerwono energii. Małym ciałkiem karmiły się bakterie, ze złożonych w nim przez muchy jajeczek wykluwały się w popołudniowym słońcu larwy, na poziomie cząsteczkowym trwał powolny rozkład długich łańcuchów białek, a...

Daeman zaczął ciężko dyszeć, nie mógł zaczerpnąć tchu. Odwrócił wzrok. Chciał wyłączyć tę wizję, odciąć się od niej, lecz złożoność była wszędzie – wciąż widział opisane niezrozumiałymi nazwami strumienie przekazywanej z miejsca na miejsce energii, trawione składniki odżywcze, karmione komórki, płasające w przezroczystych pniach drzew molekuly. Także gleba miarowo czerpała tlen, a niebo płonęło ognistym deszczem słonecznych promieni słońca i radiowych komunikatów gwiazd.

Chłopak zasłonił oczy dłońmi, lecz było już za późno; wcześniej zdążył zobaczyć Savi – kobieta była stara, lecz, podobnie jak inne organizmy, stanowiła galaktykę życia. Życia zagnieżdżonego wśród rozbłyskujących neuronów jej mózgu, ukrytych pod wyszczerzoną czaszką i wypuszczających z siebie nieprzerwanie serie impulsów elektrycznych, które niczym błyskawice

przeskakiwały wzdłuż nerwu wzrokowego do siatkówki; życia obecnego pod postacią miliardów stworzeń zamieszkujących wnętrzości kobiety, pracowitych i obojętnych na wszystko. Zaraz potem Daeman popełnił błąd i spojrzał na siebie, wewnątrz siebie, na wskroś siebie. Ujrzał sieć powiązań łączących go z powietrzem, ziemią i niebem..

– Wyłączyć! – rzuciła Savi.

Umysł chłopaka posłusznie jak echo powtórzył polecenie.

Olśniewające promienie popołudniowego słońca igrające wśród gałęzi drzew i pełgające na usianej igiełkami ziemi wydały się nagle Daemanowi czarne jak serce nocy. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Osunął się zdyszany wzdłuż burty sonika i padł bez sił na ziemię. Odwrócił się na brzuch, rozłożył szeroko ręce, dłońmi i twarzą przywarł do poszycia.

Savi przyklęknęła obok i poklepała go po ramieniu.

– Za chwilę ci przejdzie – powiedziała uspokajająco. – Odpocznij, sprowadzę resztę.

\* \* \*

Kiedy Harman zaproponował spacer, Ada z początku trochę się opierała – obawiała się, że gdy Savi wróci na polanę i nie zastanie nikogo, wpadnie w złość lub przynajmniej mocno się zaniepokoi.

Hannah jednak pobiegła już za Odyseuszem, a Ada nie chciała pilnować sonika sam na sam z Daemanem. Poza tym nie miała pojęcia, czy nadarzy się kolejna okazja na spokojną rozmowę na osobności z nowym kochankiem, zanim powrócą do Ardis, a Harman z Savi polecą do Basenu Śródziemnego.

Wspięli się na wzgórze, z którego zeszli po przeciwnej stronie, wzdłuż strumienia. Las rozbrzmiewał ptasimi piosenkami, lecz nie zauważyli żadnych zwierząt większych od wiewiórki.

Harman wydawał się głęboko zamyślony. Dotknął Adę tylko raz, podał jej rękę, by mogła bezpiecznie przekroczyć strugę nad wysokim na dziesięć stóp wodospadem. Dziewczyna zaczęła się zastanawiać, czy decyzji o spędzeniu z nim wspólnej nocy nie podjęła zbyt pochopnie. Być może naprawdę przeliczyła się co do zamiarów i uczuć mężczyzny, lecz kiedy zatrzymali się

u stóp wodospadu, Harman spojrzał jej prosto w oczy. Popatrzył z uczuciem, łagodnie. Ada natychmiast poczuła wzbierającą radość. Tak, to dobrze, że zostali kochankami.

– Ado – zapytał – czy ty znałaś swojego ojca?

Zaskoczył ją. Naturalnie, samo pytanie nie było niczym szokującym – wszyscy ludzie zdawali sobie sprawę, że przynajmniej teoretycznie mają ojców – aczkolwiek nieczęsto poświęcano temu większą uwagę.

– Pytasz, czy wiem, kim był? – odparła.

Harman pokręcił głową.

– Nie, chcę wiedzieć, czy go znałaś. Czy miałaś okazję poznać go osobiście?

– Nie – odparła dziewczyna. – Matka powiedziała mi kiedyś, jak miał na imię, ale jak sądzę on już kilka lat temu... dobił Piątej Dwudziestki.

Odruchowo chciała powiedzieć „wstąpił do pierścieni”, co stanowiło powszechny eufemizm na określenie cielesnego przeniesienia się do rajy postludzi. Z mocno bijącym sercem zaczęła rozważać, dlaczego właściwie Harman poruszył tak niecodzienną kwestię. Czyżby podejrzewał, że sam może się okazać jej ojcem? Tego typu sytuacje czasami się zdarzały. Młode kobiety uprawiały seks z dojrzałymi mężczyznami, którzy byli ich anonimowymi ojcami, dawcami spermy. Tabu kazirodztwa zostało co prawda zlikwidowane – nie istniała szansa, że z takiego związku narodzi się dziecko, a nikt nie miał braci ani sióstr, ponieważ każda kobieta rodziła tylko raz w życiu – lecz i tak na myśl o uprawianiu seksu z własnym ojcem Ada poczuła się dziwnie niezręcznie.

– Ja swojego nie znałem – podjął Harman. -Savi opowiadała, że dawniej, nawet jeszcze przez pewien czas po końcu Zapomnianej Ery, ojcowie byli dla dzieci niemal równie ważni, jak matki obecnie.

– Ciężko mi to sobie wyobrazić – odpowiedziała skonsternowana dziewczyna. Nie miała pewności, do czego on zmierza. Może poczuł się dla niej za stary? Ale to przecież absurd.

– Jeżeli kiedykolwiek zostanę ojcem – ciągnął Harman. – Chcę, by dziecko mnie poznało.

Chciałbym widzieć jak dorasta... Tak jak ogląda je matka.

Tym razem wstrząs był jeszcze silniejszy. Adę zatkało.

Jej kochanek ruszył dalej przed siebie. Weszła za nim między drzewa. W cieniu było nieco chłodniej, lecz zarazem bardziej duszno. Wodospad cicho szemrał za ich plecami. Nagle rozejrzała się z niepokojem.

– Co się stało? Usłyszałaś coś? – Harman przystanął tuż obok.

– Nie... Tylko... Coś jest stanowczo nie tak.

– Nie ma tu serwitów – odpowiedział. – Ani wojników.

Ma rację, uświadomiła sobie dziewczyna. Byli zupełnie sami. Już przez ostatnie dwa dni brak towarzystwa wszędobylskich maszyn i wojników odczuwała jak nagłe zniknięcie stałego, swojskiego szumu w tle, lecz teraz, gdy znaleźli się w tym lesie jedynie we dwoje, wrażenie zdecydowanie się wzmogło.

Nagle, sama nie wiedząc z jakiego powodu, zadrżała.

– Trafisz z powrotem do sonika?

– Przyglądałem się słońcu i zapamiętałem kilka punktów orientacyjnych. –

Harman skinął głową i wskazał kierunek gałęzią, którą pomagał sobie po drodze. – Nasza polana jest tuż za tym wzgórzem.

Ada się uśmiechnęła, choć wcale jej nie przekonał. Spróbowała użyć funkcji lokalizatora, ale odkąd opuścili antarktyczny dom Savi, wyświetlacz nie pokazywał nic. Owszem, zdarzało się jej wcześniej bywać w lesie – zwykle w okolicach Ardis – lecz nigdy nie zapuszczała się w tak obce miejsca bez towarzystwa nieodłącznego serwitora, który mógł odprowadzić ją do domu, i zapewniającego bezpieczeństwo wojnika. Niemniej problem powrotu na polanę był mniej ważną z dwóch dręczących ją w tej chwili myśli. Zdecydowanie bardziej istotne wydawało się dziwaczne pytanie i wyznanie Harmana.

– Dlaczego tak nagle zainteresowałaś się ojcostwem? – spytała.

Ruszyli dalej w dół wzgórza, zagłębiając się w sekwojowy las. W tej okolicy zielony cień zmienił się niemal w mrok, tylko gdzieniegdzie przetykany ukośnymi kolumnami światła. Drzewa wydawały się kolumnami w wielkiej milczącej katedrze.

– Przez Savi – odparł. – Dzisiaj rano stwierdziła, że w moim wieku mógłbym być twoim dziadkiem. Że według niej związałem się z tobą

i poszukuję konserwatorni wyłącznie dlatego, że próbuję wyprzeć myśli o rychłym końcu Ostatniej Dwudziestki.

W pierwszym odruchu Ada poczuła gniew, po którym natychmiast nadeszło bolesne ukłucie zazdrości. Gniew był oczywiście spowodowany idiotycznym komentarzem Savi. Starucha nie miała prawa dyktować Adzie z kim powinna sypiać, ani w jakim wieku mają być jej wybrankowie. Nie jej sprawa. Zazdrość brała się stąd, że Harman zostawił ją rano w łóżku już bladym świtem i poszedł porozmawiać z Savi. Kiedy wysliznął się z posłania i zaczął się ubierać, pocałowała go na pożegnanie, lekko rozczarowana, że nowy kochanek nie chce poleżeć z nią jeszcze przez godzinę, zanim dołączą do reszty przy śniadaniu. Uszanowała jednak jego decyzję, uznała, że jest po prostu nawykły do wczesnego wstawania. Jaka jednak sprawa mogła być tak pilna, że z samego rana musiał skonsultować się z Savi? Przecież miał z nią spędzić kilka następnych dni w trakcie tych durnych poszukiwań statku kosmicznego. Nagle Ada uświadomiła sobie, że stara kobieta zajęła jej dotychczasowe miejsce. To ona powinna towarzyszyć Harmanowi w tej nowej wyprawie.

Przyjrzała się obliczu mężczyzny-wydawał się znacznie młodszy od posiwiąłego Odyseusza, którego cerę wokół oczu znaczyły szokująco głębokie kurze łapki – zauważyła, że Harman wcale nie wyczuł jej irytacji. Nadal coś go gryzło, ważył coś w duchu, zastanawiał się. Znow ogarnęły ją wątpliwości. Być może skupienie mężczyzny na jej osobie, wrażliwość na jej emocje, wszystko, co znalazło swą kulminację w precudownej nocy miłości, było tylko odstępstwem od normy, swoistym preludium do seksu i nie wynikało z prawdziwej natury Harmana. Nie podejrzewała go o to, lecz skąd miała wiedzieć, jaki jest w rzeczywistości? Czyżby tę ich wyjątkową bliskość, zgodność charakterów, wymyśliła sobie sama, wiedzona pragnieniem zauroczonego serca?

– Czy wiesz, w jaki sposób zająć w ciążę? – zapytał Harman, w roztargnieniu dłubiąc kijkiem w ziemi.

Kolejny dziś wstrząs. Musiała przystanąć. Słyszac to pytanie, poczuła się niemal jak ogłuszona.

Harman zatrzymał się, odwrócił ku niej i spojrzał jakgdyby nigdy nic.

– Chodziło mi o to, czy wiesz, jak to wszystko działa? – dodał. Wciąż

chyba nie rozumiał, że poruszył bardzo niestosowny temat. Wszyscy wiedzieli, że mężczyźni po prostu nie powinni rozmawiać o takich rzeczach z kobietami.

– Jeśli zamierzasz wygłosić mi pogadankę o pszczołkach i kwiatkach – rzuciła chłodno Ada – to obawiam się, że trochę na to za późno.

Harman parsknął śmiechem. Przez ubiegłe dwa tygodnie ten sam dźwięk nieodmiennie Adę czarował i kusił. W tej chwili doprowadził ją niemal do furii.

– Kochanie, mnie wcale nie chodzi o seks – wyjaśnił. Ada zauważyła, że po raz pierwszy nazwał ją tak pieszczotliwie, lecz nastrój nie pozwalał jej tej nowości docenić. – Chodzi mi o cały system.

Uzyskanie pozwolenia na zajście w ciążę, dobór dawcy spermy.

Dziewczyna zalała się intensywnym rumieńcem. Nie była w stanie nad tym zapanować, przez co, rozzłoszczona, zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

– Nie wiem, o czym ty mówisz.

Naturalnie, wiedziała doskonale. To mężczyźni nie powinni mieć o tym pojęcia. Większość kobiet decydowała się wystąpić z wnioskiem o ciążę w okolicach Trzeciej Dwudziestki życia. Na zgodę oczekiwało się najczęściej rok bądź dwa – postludzie udzielali jej zdalnie, za pośrednictwem serwitörów. Następnie kobieta powstrzymywała się od stosunków płciowych, przyjmowała przepisany środek odblokowujący układ rozrodczy i wybierała dawcę nasienia spośród byłych partnerów. W ciągu następnych kilku dni zachodziła w ciążę, a cała reszta przebiegała już w myśl reguł starych jak sama ludzkość.

– Mówię o mechanizmie pozwalającym ostatecznie zdecydować, która ze zmagazynowanych dawek nasienia zostanie przez twój organizm przyjęta – ciągnął Harman. – Dawniej kobiety nie miały takiej możliwości.

– Bzdura – prychnęła dziewczyna. – Przecież jesteśmy takimi samymi ludźmi jak wszyscy w dziejach. Zawsze tak było.

Mężczyzna powoli, jakby ze smutkiem, pokręcił głową.

– Nie – powiedział. – Nawet za czasów Savi, tysiąc czterysta lat temu, zajście w ciążę znacznie bardziej przypominało loterię. Dowiedziałem się od niej, że organy magazynujące nasienie i układ pozwalający je selekcjonować zostały w nas, znaczy w kobiety, wbudowane dopiero przez postludzi. Oparli się podobno na genetycznej strukturze podobnego rozwiązania u ciem.

– U ciem! – Ada nie była już po prostu do głębi poruszona. Teraz była naprawdę szczerze zbulwersowana i wściekła. Słowa Harmana nie tylko urągały zdrowemu rozsądkowi, lecz także poniżały ją osobiście. – Harman Uhr, co ty, do diabła ciężkiego, opowiadasz?

Poderwał głowę, jakby dopiero teraz zauważył jej wzburzenie. Jakby formalny zwrot otrzeźwił go niczym celnie wymierzony policzek.

– Mówię prawdę – stwierdził. – Przykro mi, że cię zdenerwowałem, ale według Savi postłudzie, obdarzając kobiety zdolnością doboru ojca nawet wiele lat po stosunku, posłużyli się genami ćmy z gatunku...

– Dość tego! – uciszyła go Ada. Zacisnęła pięści. Jeszcze nigdy nikogo nie uderzyła, nigdy nawet nie chciała. W tej chwili jednak Harman znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie. – Savi to, Savi tamto! Powyżej uszu mam tej starej dziwki! Zresztą ja wcale nie wierzę, że jest tak stara jak wygaduje... bo mądra na pewno nie. Jest po prostu zdrowo walnięta. Wracam do sonika! – rzuciła na zakończenie i odeszła między drzewa.

– Ada! – zawołał za nią Harman.

Nie odwróciła się. Wspinała się po stoku, co chwila ślizgając się na wilgotnych igłach i miękkiej ziemi.

– Ada!

Maszerowała przed siebie, gotowa go tutaj zostawić.

– Ada! Idziesz w złą stronę!

\* \* \*

Hannah dogoniła Odyseusza kilkaset metrów od polany. Na dźwięk szelestu w zaroślach Grek odwrócił się czujnie i złożył dłoń na rękojeści miecza. Gdy ją zobaczył, natychmiast się odprężył.

– Czego chcesz, dziewczyno?

– Chciałabym obejrzeć twój miecz. – Hannah odgarnęła z twarzy kilka czarnych kosmyków.

Odyseusz zaniósł się śmiechem.

– Czemu nie? – Odpiął od pasa skórzaną pochwę i wręczył ją Hannie. – Tylko uważaj na krawędzie, dziewczyno. Tym ostrzem mógłbym się golić.

Gdyby kiedyś przyszło mi to do głowy.

Hannah wysunęła miecz i nieśmiało zważyła go w dłoni.

– Savi wspominała, że znasz się na metalurgii – podjął Odyseusz. Pochylił się nad strumieniem, zaczerpnął wody złączonymi w kołyskę dłońmi i napił się. – Podobno jesteś w tym nowym, wspaniałym świecie jedyną osobą, która posiadała tajemnicę odlewania brązu.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Matka pamiętała stare opowieści o obróbce metali. Gdy była młodsza, bawiła się trochę ogniem i otwartymi paleniskami. Ja po prostu przejęłam po niej pałeczkę. – Zamachnęła się mieczem i cięła w dół znad głowy.

– Oglądałaś nasze walki pod całunem – stwierdził Odyseusz.

Skinęła głową.

– A co?

– Bo widzę, że posługujesz się bronią jak trzeba, dziewczyno. Tniesz, zamiast dźgać. To narzędzie służy do rąbania kończyn i patroszenia flaków, nie do finezyjnej szermierki.

Hannah skrzywiła się i zwróciła miecz Grekowi.

– Tym samym biłeś się pod Troją? – spytała półgłosem. – I podczas złodziejskiej eskapady po palladium?

– Nie. – Uniósł ostrze pionowo i na gładkiej powierzchni zagrało kilka promieni słońca, które przedarły się między konarami wysokich drzew. – Akurat ten miecz dostałem w prezencie.

Podarowała mi go w trakcie jednej z moich podróży... pewna kobieta.

Hannah czekała na dodatkowe szczegóły, lecz zamiast rozpocząć kolejną opowieść, Odyseusz zapytał.

– Chcesz zobaczyć, co czyni ten oręż wyjątkowym?

Skinęła głową.

Odyseusz dwukrotnie stuknął kciukiem w jelec. Miecz zaczął nagle delikatnie drzeć. Dziewczyna pochyliła głowę. Tak, ostrze migotało, w dodatku dobywało się z niego ciche, lecz wyraźne brzęczenie. Wyciągnęła rękę i Odyseusz błyskawicznie złapał ją za przegub.

– Dziewczyno, gdybyś go teraz złapała, straciłabyś wszystkie palce.

– Jak to? – Nie spróbowała nawet uwolnić ręki.



Po kilku sekundach Odyseusz sam rozluźnił chwyt.

– Przez wibracje – wyjaśnił wojownik i uniósł trzymane poziomo ostrze niemal do wysokości oczu.

Hannah po raz kolejny uświadomiła sobie, że są równi wzrostem. Poprzedniej nocy, gdy pozostali towarzysze położyli się już spać, usłyszała kroki Greka w zielonym korytarzu na moście. Wyszła do niego i poszli razem na spacer. Potem wrócili do jego domicyłu, gdzie długie godziny spędzili na rozmowie, a w końcu dziewczyna ułożyła się do snu na podłodze. Zdawała sobie oczywiście sprawę, że Ada uważa, że zostali kochankami. Wcale jej to nie przeszkadzało, a co więcej, nie widziała powodu, by wyprowadzać przyjaciółkę z błędu.

– Mam wrażenie, że ten miecz do mnie śpiewa – zachwyciła się Hanna i nadstawiła ucha, by lepiej wychwycić wydawane przez rozedrgany metal wysokie zawodzenie.

Odyseusz parsknął głośnym śmiechem. Dziewczyna nie zrozumiała, co go tak rozbawiło.

– Nie musisz się obawiać – powiedział. – Nie wręczyła mi go żadna Pani Jeziora... Chociaż prawie.

– Znowu się roześmiał.

Hannah obrzuciła brodacza uważnym spojrzeniem. Nie miała pojęcia, o czym on mówi. Miała natomiast poważne podejrzenia, że on sam również nie wie.

– Do czego służą te wibracje? – zaciekawiała się.

– Cofnij się – polecił.

Większość rosnących dokoła sekwoi miała pnie grube na sześć lub nawet dziesięć stóp. Zdarzały się i grubsze okazy. Tuż obok nich, w plamie słońca, rosło jednak cieńsze drzewo. Limba bądź jodła.

Miała zapewne trzydzieści, może czterdzieści lat, około pięćdziesięciu stóp wysokości i osiemnastocalowej średnicy pień.

Odyseusz rozstawił szerzej nogi, mocno zaparł się stopami, ścisnął w dłoni rękojeść miecza i swobodnie, bez większego wysiłku ciął drzewo poziomo, od lewej do prawej.

Ostrze zakreśliło w powietrzu łuk tak idealny, że wydawało się, iż

wojownik chybił. Nie rozległo się stuknięcie ani żaden inny odgłos. Niemniej kilka sekund później wysoki pień zadrżał, pochylił się i runął na ziemię w trzasku łamanych gałęzi.

Odyseusz raz jeszcze nacisnął kciukiem jelec. Pomruk wibracji ustał.

Hannah podeszła bliżej i przyjrzała się uciętemu na wysokości jej piersi pniakowi i powalonemu drzewu. Obie części wyglądały jak rozdzielone chirurgicznym skalpelem. Przeciągnęła otwartą dłoń po odsłoniętym wnętrzu pnia. Nie wyczuła żywicy, soków, nawet jednej drzazgi. Drewno było tak gładkie, że wydawało się pokryte warstwą plastiku lub stopione. Podniosła spojrzenie na Odyseusza.

– Pod Troją ta sztuczka okazała się pewnie wielce przydatna – zauważyła.

– Nie słuchasz mnie, dziewczyno – odparł Odyseusz. Schował miecz do pochwy i przytroczył do szerokiego pasa. – Tę broń dostałem w prezencie dopiero kilka lat po wojnie. W trakcie moich wędrówek. Gdybym miał coś takiego pod Ilionem... – Wyszczrzył zęby w straszliwym uśmiechu. – Żaden Trojanin nie zachowałby głowy na karku, słowo daję. Nawet bogowie nie byłiby bezpieczni.

Hannah mimowolnie uśmiechnęła się do starszego mężczyzny. Nie zostali co prawda kochankami -jeszcze nie – lecz dziewczyna planowała pozostać w Ardis na cały czas pobytu Greka, i kto wie, co mogło się wtedy wydarzyć.

– A! Tu jesteście! – rzuciła Savi, schodząc ku nim ze wzgórza. Zamknęła dłoń i zgasł w niej wyświetlacz przypominający ekran funkcji lokalizatora.

– Czas na nas? – spytał Odyseusz. Zwrócił się do staruszki, lecz zerknął przy tym na Hannę porozumiewawczym spojrzeniem starego konspiratora.

– Tak. Czas na nas – powiedziała Savi.

*Środkowowschodnie okolice Valles Marineris, pomiędzy Eos Chasmo i Coprates Chasmo*

Po trzech tygodniach rejsu na zachód, w górę rzeki – czy raczej śródlądowego morza – Valles Marineris, Mahnmurut niebezpiecznie zbliżał się do utraty swych morawieckich zmysłów.

Ich feluka, obsadzona przez załogę czterdziestu zielonych ludzików, okazała się tylko jednym z wielu statków kierujących się po falach zalanego uskoku tektonicznego na wschód lub zachód.

Niektóre inne jednostki płynęły też na północ lub południe, korzystając z cieśniny prowadzącej na Morze Chryse Planitia, będące częścią ogromnego akwenu Północnego Morza Tetydy. Nie licząc chmar prowadzonych przez Emzetele feluk, mijali codziennie przynajmniej trzy długie na sto metrów barki, wiozące na pokładach po cztery wielkie nieociosane kamienne bloki, z których miały powstać posągi. Wszystkie zmierzały na wschód, z kamieniołomu działającego w urwiskach południowego wybrzeża Noctis Labyrinthus u zachodniej granicy Valles Marineris, od którego pracą na zachód felukę Mahnmuruta wciąż dzieliło w tej chwili jakieś dwa tysiące osiemset kilometrów.

Orphu z lo został przeniesiony na pokład i bezpiecznie umocowany na śródokręciu. Przed spojrzzeniami z powietrza chronił go brezentowy daszek, osłaniający również resztę większych pakunków, w tym cały sprzęt i urządzenia zabrane z ładowni „Mrocznej damy”. Każda, nawet najbardziej ulotna myśl o batyskafie – porzuconym tysiąc pięćset kilometrów wcześniej, w płytkiej nadmorskiej jaskini na wybrzeżu Chryse Planitia – wywoływała

u Mahnmuta silną falę przygnębienia.

Aż do tej podróży morawiec nie miał pojęcia, że jest w stanie popaść w depresję – nie wiedział, iż jest zdolny odczuwać tak przytłaczającą emocjonalną niemoc i doznawać tak dojmującego poczucia beznadziei, które tłumiły w nim wszelkie przejawy woli działania i ambicji. Dopiero niedawne, gwałtowne rozstanie z batyskafem pokazało mu w jak kiepskiej formie może się znaleźć. Orphu – oślepiiony, kaleki, przetaszczony na pokład niczym kawał bezużytecznego balastu – sprawiał wrażenie pogodnie nastrojonego, aczkolwiek Mahnmut od niedawna zaczął nabierać przekonania, że jego przyjaciel bardzo rzadko i zawsze ostrożnie uzewnętrznia swoje prawdziwe uczucia.

Feluka, zgodnie z zapowiedzią, nadpłynęła wczesnym rankiem, następnego marsjańskiego dnia od ich lądowania. Podczas gdy Emzetele zajęły się przenoszeniem biednego Orphu na pokład, Mahnmut wybrał się kilka razy do zatopionego batyskafu, z którego usunął wszystkie pozwalające się wymontować baterie, panele słoneczne, sprzęt łącznościowy, dyski z archiwum dzienników pokładowych i każde urządzenie nawigacyjne, jakie tylko był w stanie zabrać.

– Popłynąłeś do wraku nago, wypchałeś sobie kieszenie sucharami i wróciłeś wplaw, co? – skomentował Orphu, kiedy Mahnmut opowiedział mu o swoim osiągnięciu.

– Słucham? – Mahnmutowi przemknęło przez myśl, że sfatygowany i poobijany przyjaciel ostatecznie postradał zmysły.

– Nic, to taki drobny błąd Daniela Defoe z „Robinsona Cruzoe” – zarechotał Orphu. – Uwielbiam wyszukiwać pomyłki literatów.

– Nie czytałem – rzucił oschle Mahnmut. Nie miał nastroju do pogawędek. Po rozstaniu z „Mroczną damą” została mu w sercu pokaźnych rozmiarów rana.

Przez pierwsze trzy tygodnie rejsu często omawiali stan jego psychiki. Na pokładzie feluki nie mieli zbyt wielu zajęć i głównym z nich stały się właśnie rozmowy. Radio krótkiego zasięgu, które Mahnmut zainstalował w gnieździe kabla komunikacyjnego Orphu, sprawowało się znakomicie.

– Poza depresją, cierpisz również na agorafobię – zdiagnozował Orphu.

– Jak to?

– Przecież zostałeś zaprojektowany, zaprogramowany i wyszkolony do działania w charakterze elementu okrętu podwodnego. Do wiecznego przebywania w ukryciu pod lodami Europy, do pracy w nieprzeniknionych ciemnościach głębin i znoszenia niemiłosiernych ciśnień. W ciasnych przestrzeniach czujesz się jak ryba w wodzie, ale tylko tam – ocenił morawiec z lo. – A twoje nieliczne i krótkie wycieczki na zmarzniętą powierzchnię Europy nie zdołały cię przygotować na tutejsze bezkresne krajobrazy, widok odległego horyzontu i przestwór błękitnego nieba.

– W tej chwili wcale nie jest błękitne – skwitował Mahnmut i zamilkł.

Było wcześniej rano i, jak zazwyczaj o tej porze, nad Valles Marineris wisiały niskie chmury, a ponad falami snuła się gęsta mgła. Emzetele zwinęły żagle i feluka płynęła teraz napędzana jedynie siłą wioseł. Pracowała przy nich trzydziestka małych ludzików – po piętnastu z każdej strony. Marsjanie sprawiali wrażenie niez mordowanych. Siadali do wioseł za każdym razem, gdy wiatr zamierał, a ich dwumasztowy stateczek z łacińskim ożaglowaniem zanadto zwalniał. Na dziobie, przednim maszcie, na obu burtach i rufie świeciły latarnie. Feluka wlokła się naprzód bardzo ospale. W tej okolicy Valles Marineris liczyła sobie ponad sto dwadzieścia kilometrów szerokości, dalej przed nimi rozszerzała się do dwustu kilometrów – istotnie, było to raczej wewnętrzne morze niż rzeka. Wysokie urwiska na obu najbliższych brzegach, północnym i południowym, pozostawały niewidoczne nawet w pogodne dni. We mgle jednak zawsze palono światła – po przestronnym akwenie krążyło zbyt wiele statków, by żeglarze mogli sobie pozwolić na nieostrożność.

Mahnmut przemyślał sprawę i doszedł do wniosku, że Orphu ma rację – częścią problemu rzeczywiście musiała być agorafobia, ponieważ najcięższe nawroty depresji nękały go przy dobrej pogodzie, gdy nic nie ograniczało widoczności. Z drugiej strony, był przekonany, że źródła jego przypadłości są bardziej złożone i nie sprowadzają się do tęsknoty za bezpieczną sterówką i podpięciem do zmysłów batyskafu. Mahnmut od początku swego istnienia był kapitanem. Był żeglarzem. Z wpisanych mu w pamięć podczas szkolenia archiwów historycznych oraz z późniejszych lektur wiedział, że żadnego

kapitana nic nie boli bardziej niż utrata statku. Poza tym przybył na Marsa z ważnym zadaniem. Miał dostarczyć Korosa III w pobliże Olympus Mons. I nie wypełnił tej misji, zawiódł sromotnie. Koros III zginął, podobnie zresztą jak Ri Po, morawiec, który w myśl planu miał czekać na orbicie, odbierać, interpretować i odsyłać zebrane przez Korosa dane wywiadowcze.

Odsyłać do kogo? W jaki sposób? Kiedy? – na te pytania Mahnmur nie znał odpowiedzi.

Ten temat również poruszyli w trakcie prowadzonych podczas podróży rozmów. Rejs upływał spokojnie. Cicho było przez cały czas, ale w nocy najbardziej, jako że równo z zachodem słońca Emzetele zapadały w hibernację, zabezpieczywszy uprzednio felukę za pomocą skomplikowanej, pełnomorskiej kotwicy. Mahnmur skorzystał z sonaru i ustalił, że głębia pod nimi sięga sześciu kilometrów. Ludziki wracały do życia dopiero kiedy na ich zielone, przejrzyste ciała padały pierwsze promienie świtu. Wydawało się jasne, że energię czerpią w jakiś sposób ze słońca i wyłącznie z niego; Mahnmur nie zauważył, by którykolwiek z marynarzy jadł bądź wydalą. Owszem, mógł ich o to zapytać, lecz mimo że Orphu sformułował teorię, w myśl której wskutek aktu komunikacji ludziki nie umierały naprawdę – gdyż łączy je zbiorowa świadomość i nie stanowią odrębnych indywidualiów – to Mahnmur nie ufał przenikliwości przyjaciela na tyle, by wrazić ramię w pierś kolejnego człowiczka i ścisnąć ten sercopodobny organ. Pytania mogły przecież zaczekać.

Nie widział natomiast żadnych przeciwwskazań, by o parę spraw wypytać samego Orphu.

– Dlaczego wybrali nas? – odezwał się dziesiątego dnia na wodzie. – Przecież nie znamy celu misji ani nie jesteśmy odpowiednio skonstruowani, by ją wypełnić, nawet gdybyśmy wiedzieli, co zrobić.

Wysyłanie na Marsa takich ignorantów jak my stanowi wyraźny przejaw czyjegoś szaleństwa.

– Morawieccy zarządcy mają nawyk szczegółowo rozdzielać obowiązki i wyznaczać podwładnym wyspecjalizowane role – odparł Orphu. – Okazałeś się najlepszym z kandydatów do przewiezienia Korosa III w pobliże wulkanu. Ja z kolei byłem najlepszym spośród morawców zdolnych wypełniać

obowiązki serwisanta statku kosmicznego. Nikt ani przez moment nie rozważał ewentualności, że z całej ekipy zostaniemy tylko my dwaj i przypadną nam zadania pozostałych.

– Jak to możliwe, że nie przewidzieli takiej sytuacji? – burknął Mahnmur. – Przecież musieli wiedzieć, że misja jest niebezpieczna.

Orphu cicho zarechotał.

– Podejrzewam, że oczekiwali zerojedynkowego wyniku. Uznali, że jeśli dojdzie do najgorszego, zginiemy wszyscy razem.

– Niespecjalnie się pomylili – wymamrotał Mahnmur. – I pewnie zresztą tak właśnie się ta nasza wyprawa zakończy.

– Opowiedz mi o pogodzie. – Orphu zmienił temat. – Mgła się już podniosła?

Marsjańska pogoda i widoki były przepiękne nawet nocą. Cała wiedza, jaką Mahnmur posiadał na temat planet otoczonych nadającą się do oddychania atmosferą, pochodziła z banku danych dotyczących Ziemi. Wygląd terraformowanej Czerwonej Planety stanowił interesującą odmianę.

Niebo przyjmowało szeroką paletę barw. Od jasnego błękitu w południe, do różowawej czerwieni o zachodzie słońca, choć te bywały również szczerzłote i w takie wieczory wszystko wyglądało, jakby lśniło od wewnątrz. Samo słońce było znacznie mniejsze niż oglądane z Ziemi (o tym również wiedział z zapisów filmowych), lecz w porównaniu ze słońcem, jakie galilejskie morawce widywały przez ostatnie dwa tysiące ziemskich lat, i tak było wprost olbrzymie, oślepiająco jasne i potwornie gorące. Od morza wiał lekki słonawy wietrzyk. Zdarzało się też, że jego podmuchy niosły ze sobą zaskakującą woń roślin.

– Zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego zostaliśmy w ten zmysł wyposażeni? – zapytał Orphu, kiedy Mahnmur wspomniał o niecodziennym zapachu. Wpływali właśnie z Morza Tetydy w szeroką deltę Valles Marineris.

– Który konkretnie? – upewnił się Mahnmur.

– Węch.

Morawiec z Europy popadł w zadumę. Faktycznie nigdy wcześniej nie zadał sobie tego pytania, choć przecież pod wodą, czy nawet na powierzchni jego rodzimego księżyca, węch był zupełnie nieprzydatny. Również

w sterówce „Mrocznej damy” nie miał z niego większego pożytku – a poza tymi środowiskami nigdzie dotąd nie bywał.

– Może po to, bym zdołał wyczuć toksyczne opary w batyskafie lub wypełnionych sztuczną atmosferą salach Conamara Chaos – zasugerował po dłuższej chwili, zdając sobie sprawę, że tą odpowiedzią nie zadowoli nikogo. Morawce znały o wiele sprawniejsze systemy zabezpieczeń niż zwykły węch.

Orphu zarechotał.

– Ja na to mógłbym nawąchać się siarki, tylko po co?

– Naprawdę masz zmysł powonienia? – zdziwił się Mahnmur. – W głębokiej próżni to raczej zbędne.

– Owszem – przytaknął Orphu. – Podobnie jak bezsensowny jest fakt, że większość czasu spędzam... spędzałem... oglądając świat w zakresie światła widzialnego dla ludzi. Niemniej przy każdej okazji przełączałem się właśnie w ten tryb.

Nad tym Mahnmur również musiał się zastanowić.

Sam zachowywał się dokładnie tak samo, mimo że bez problemu mógł skorzystać z podczerwieni bądź ultrafioletu. Wzrok Orphu pozwalał dodatkowo obserwować otoczenie za pomocą wizualizacji spektrum fal radiowych lub linii pola magnetycznego. Obie te funkcje – obce dawnym ludziom – były szalenie pożyteczne dla morawca pracującego w ostrzeliwanej wiązkami twardego promieniowania przestrzeni galilejskiej. Z jakiego więc powodu Orphu częściej korzystał z ograniczonego zakresu, jakim posługiwały się dawniej ludzkie oczy?

– Moim zdaniem dlatego, że zarówno nasi projektanci, jak i morawce wszystkich późniejszych pokoleń skrycie tęsknili za człowieczeństwem –

Orphu odpowiedział na niezadane pytanie przyjaciela najzupełniej poważnie, bez cienia ironii czy rozbawienia. – Na własny użytek nazywam to zjawisko syndromem Pinokia.

Mahnmur nie zgadzał się z koncepcją przyjaciela, lecz był zbyt przygnębiony, żeby podjąć dyskusję.

– Czujesz w tej chwili jakiś zapach? – spytał Orphu.

– Tak. Śwad gnijącej roślinności. – Feluka skręciła właśnie w południowy kanał wiodący w głąb delty. – Śmierdzi jak szekspirowska Tamiza w porze



odpływu.

W pierwszym tygodniu żeglugi w górę rzeki, by nie oszaleć z nudy i beczynności, Mahnmut rozłożył na części i zbadał – najdokładniej jak potrafił – trzy zabrane z porzuconego batyskafu elementy ładunku.

Najmniejszy przedmiot, owalny, przypominający kształtem jajko i nie większy niż korpus Mahnmuta, okazał się owym słynnym Urządzeniem – kluczowym narzędziem misji przedwcześnie zmarłego Korosa III. Dwa ocalałe morawce wiedziały o nim jedynie, że Urządzenie ma zostać dostarczone na Olympus Mons i – jeżeli zajdą pewne określone okoliczności, których szczegółów im nie wyjawiono – uruchomione.

Mahnmut prześwietlił je sonarem i usunął maleńki fragment lustrzanej, transmetalowej powłoki.

Nie pomogło mu to jednak zrozumieć przeznaczenia całości. Samo Urządzenie, o ile rzeczywiście było rodzajem urządzenia, miało strukturę makromolekularną – była to tak naprawdę pojedyncza, powstała dzięki nanotechnologii cząsteczka. Jej rdzeń zawierał niesamowitą ilość skoncentrowanej energii, utrzymywanej wewnątrz jedynie przez silne pola molekularne. Jediną mechaniczną częścią Urządzenia, jaką udało się Mahnmutowi znaleźć, był połączony z powłoką, elektryczny zapalnik. Gdyby przyłożyć we właściwym miejscu Urządzenia prąd o napięciu dwustu trzydziestu woltów, makrocząsteczka zrobiłaby... coś by zrobiła na pewno.

– To może być bomba – zauważył Mahnmut, delikatnie wsuwając na miejsce wycięty kwadratowy kawałek metalowej skorupy.

– Jeżeli bomba, to raczej sporawa – mruknął Orphu. – Skoro cała jajowata makromolekuła służy wyłącznie zamknięciu energii, to w razie wybuchu żółtko nie tylko ochłapie nas, ale i zniszczy całą planetę.

Mahnmut nie chciał ryzykować przyjaźni, ani wyrzucać wielkiego morawca za burtę. Udał więc, że nie słyszy marnego dowcipu, i zapatrzył się na słońce obok ściany wąwozu – dzisiaj płynęli niecałe trzy kilometry od wysokiego klifu na południowym brzegu. Wyobraził sobie, że ten piękny, rdzawy krajobraz, wszystkie te skalne tarasy i kaniony mogłyby zniknąć. Pomyślał o namorzynach porastających podmokłe tereny wokół marsjańskich rzek, o widocznych w wyższych partiach doliny gęstwinach krzewów kolcolistu

przybierających fantazyjne, godne najwspanialszych ogrodów kształty, a także o delikatnym, błękitnym niebie i przemykających ponad górami białych obłoczkach – pomyślał o tym wszystkim i spróbował sobie wyobrazić, że cały ten przepych pryska, zniszczony w kwantowej eksplozji, ogarniającej naraz całą planetę. Nie miał pojęcia, co mogłoby taki czyn usprawiedliwić.

– A może przychodzi ci do głowy jakieś inne zastosowanie? To przecież wcale nie musi być bomba – zwrócił się do przyjaciela.

– W tej chwili zupełnie nie – odparł morawiec z lo. – Zresztą ustrojstwo, w którym zmagazynowano tak potężną dawkę kwantowej energii, musiało zostać stworzone dzięki technologii zbyt zaawansowanej, bym mógł ją pojąć. Sugeruję, żebyś obchodził się z Urządzeniem jak najostrożniej. Może ułóż je na jakichś poduszkach, czy coś. Chociaż... Przetrwało przecież atak rydwanu i wejście w atmosferę, które zniszczyło twoją „Damę” i prawie wykończyło mnie samego.

Chyba jednak nie jest nadmiernie wrażliwe. Kopnij to jajo na bok i powiedz, co tam jeszcze przywieźliśmy?

Następny ocalony z batyskafu ładunek był trochę większy od Urządzenia, lecz jego przeznaczenie nie stanowiło szczególnej tajemnicy.

– To jakiś typ nadajnika kierunkowego – oznajmił Mahnmut po chwili. – Teraz jest złożony, ale widzę, że po uruchomieniu ustawi się na trójnogu, rozłoży talerz o sporej średnicy i skieruje go ku niebu, po czym nada komunikat za pomocą... Hmm, tego akurat nie wiem. Może to być wiązka odpowiednio uporządkowanej energii, mikrofałe bądź nawet modulowane fale grawitacyjne.

– Po co Korosowi taka zabawka? – zdziwił się Orphu. – Rozmieściliśmy przecież na orbicie satelity, a ze statku kosmicznego można było nadawać w kierunku Jowisza dowolne informacje przez radio. Kurczę, nawet z twojego batyskafu dałoby się skontaktować z domem.

– Może ten nadajnik wcale nie służy do łączenia się z Jowiszem – podsunął Mahnmut.

– Az kim innym?

W tym miejscu Mahnmutowi skończyły się pomysły.

– W jaki sposób Koros mógłby zakodować w tym nadajniku wiadomość? –

spytał.

– Widzę wirtualne gniazda wejściowe – odpowiedział Mahnmut, kiedy zdjął nanowęglową obudowę nadajnika i zajrzał do wnętrza. – My również możemy nagrać tu wszystko co zobaczymy, zakodować i wysłać. No, chyba że sprzęt jest zabezpieczony hasłem czy coś. Chcesz, żebym sprawdził?

– Nie. Jeszcze nie teraz – odradził Orphu.

– No to zamykam.

– A skąd ten aparat czerpie zasilanie? – zapytał większy morawiec, nim Mahnmut zdążył dokręcić pokrywę.

Mahnmut nie był pewien, jak się ta technologia nazywa. Opisał jednak przyjacielowi magnetyczny kondensator i widniejące na nim diagramy pola siłowego.

– Fiu, fiu! – rzucił Orphu. – Felschenmass Czewkowa. Sztucznie wytworzona antymateria.

Konsorcjum wykorzystało ten wynalazek w charakterze źródła zasilania naszej pierwszej sondy międzygwiazdnej. Dzięki zawartej w tym czymś energii moglibyśmy obaj działać przez kilkaset ziemskich lat. Gdybyśmy tylko zdołali się do niej podłączyć.

Organiczne serce Mahnmuta zabiło żywiej.

– Myślisz, że dalibyśmy radę zastąpić tym reaktor „Mrocznej damy”?

Orphu zastanawiał się przez kilka sekund.

– Nie, raczej nie – odparł w końcu. – Ten sprzęt uwalnia zbyt wiele energii naraz i niełatwo ją okiełznać. Być może moglibyśmy w jakiś sposób skorzystać z wytwarzanego przez ten generator pola i doładować się sami, ale batyskafu raczej nie podłączymy, nawet gdybyśmy usunęli wszystkie pozostałe uszkodzenia. A wspominałeś chyba, że w pojedynkę sobie z tym nie poradzisz, prawda?

– Tak, musiałbym ją zabrać do lodowych doków w Conamara Chaos – przyznał Mahnmut. Na wieść o tym, że jednak nie znalazł lekarstwa na przypadłości „Mrocznej damy” poczuł dziwną mieszankę żalu i ulgi. Wspomnienie śmierci batyskafu niezmiennie morawca przygnębiało, lecz myśl o powrocie i konieczności ponownego przepłynięcia ponad dwóch tysięcy kilometrów przyprawiała go o nawroty ciężkiej depresji.

Ostatni element ładunku był największy, najcięższy i sprawił Mahnmutowi największe problemy przy identyfikacji.

Był to opakowany w przezroczysty transpolimer pojemnik, wykonany z trójbambusa, szeroki na dwa metry i wysoki na metr. Po pobieżnym sprawdzeniu okazało się, że w skrzyni przywieźli setki metrów kwadratowych cieniutkiej, polietylenowej folii maskującej, z wprasowanymi w jej strukturę paskami wysokowydajnych ogniw słonecznych. Pod spodem czekały dwadzieścia cztery połączone ze sobą przegubami, włożone jeden w drugi stożki z tytanu, cztery butle ciśnieniowe z helem, mieszanką tlenowo-azotową i metanolem (zawartość poznał dzięki czujnikom), osiem atmosferycznych silniczków odrzutowych z dołączanymi sterownikami i wreszcie dwanaście piętnastometrowych, zwiniętych lin z fulerenu, uwiązanych do ścianek trójbambusowego pudła.

– Nie, ja się poddam – rzucił Mahnmut po kilkunastu minutach bezowocnych rozmyślań, oglądania, rozkładania i składania. – Co to jest, do cholery?

– Balon – stwierdził Orphu.

Mahnmut pokręcił głową. W atmosferze Jowisza żyło wiele zbudowanych na podobieństwo balonu istot organicznych i morawców, jeszcze więcej takich stworzeń zasiedlało gęstą jak zupa atmosferę Saturna. Zupełnie jednak nie rozumiał, do czego Korosowi III potrzebny był balon na Marsie?

Odpowiedź Orphu dotarła dokładnie w tej samej chwili, w której sam na nią wpadł.

– Celem misji Korosa było dotarcie na szczyt Olympus Mons, tam gdzie zarejestrowaliśmy ośrodek kwantowych zakłóceń. Możliwe, że chciał uniknąć trudów wspinaczki. Jakie wymiary ma ten... balon?

Mahnmut powiedział.

– Po napełnieniu helem, tutaj na Marsie, na poziomie morza, czasza osiągnęłaby średnicę nieco ponad sześćdziesięciu metrów i wysokość około trzydziestu pięciu. Tych rozmiarów balon swobodnie uniośłby tę gondolę, ciebie, Urządzenie i nadajnik aż na skraj atmosfery. Lub na wierzchołek wulkanu – obliczył Orphu.

– Zaraz, jaką gondolę? – zdziwił się Mahnmut, który wciąż próbował

przetrawić pomysł przyjaciela.

– Tę bambusową skrzynię. Jestem przekonany, że właśnie w niej zamierzał lecieć Koros III. Jest tam może transpolimerowa plandeka? Jakakolwiek hermetyczna powłoka?

– Owszem.

– Sam więc widzisz.

– Ale przecież na stokach Olympus Mons odkryliśmy tę winde – zauważył niezbyt mądrze Mahnmut.

– O której Koros III i reszta planistów operacji nie mieli wcześniej pojęcia – przypomniał mu Orphu.

Mahnmut odwrócił się na moment od balonu. Musiał się zastanowić. Południowe klify Valles Marineris rysowały się na błękitnozielonym horyzoncie cieniutką czerwoną kreską. Feluka wpływała coraz głębiej w centralne rejony delty.

– Ty się do tej gondoli nie zmieścisz – powiedział.

– Cóż, naturalnie, że... – zaczął Orphu.

– Zbuduję większą – przerwał mu Mahnmut.

– Naprawdę myślisz, że uda nam się dotrzeć na szczyt tej góry? – spytał półgłosem Orphu.

– Tego nie wiem – odparł Mahnmut. – Wiem za to, że kiedy... o ile... dopłyniemy już tą łajbą do zachodniego wybrzeża Valles Marineris, do wulkanu wciąż zostanie nam ponad dwa tysiące kilometrów. Dotąd nie miałem pomysłu, w jaki sposób przedostać się przez płataninę Noctis Labyrinthus i płaskowyż Tharsis, ale w tym całym... balonie... Może się nam udać. Może.

– Moglibyśmy polecieć od razu – zauważył Orphu. – Byłoby szybciej niż tą... jak mówiłeś?

– Feluką – Mahnmut spojrzał na olinowanie i żagle, ostro odcinające się od różowiącego się wieczornie błękitnego nieba. Kilka Emzeteli swobodnie skakało z liny na linę. – I nie. Myślę, że nie powinniśmy korzystać z balonu, dopóki nie zajdzie taka konieczność. Co prawda, czasza jest wykonana z tkaniny maskującej, podobnie jak powłoka gondoli, ale wcale nie jestem pewien, czy piloci rydwanów nie zdołają balonu namierzyć. Wystartujemy dopiero po dotarciu do Noctis Labyrinthus. I tak czeka nas długi

i niebezpieczny lot. Tym bardziej że po drodze na Olympus musimy ominąć trzy najwyższe wulkany Marsa.

Orphu zadudnił swym głuchym rechotem.

– „W osiemdziesiąt dni dookoła świata”, co?

– Wcale nie dookoła – odparł Mahnmur. – Nawet jeśli weźmiesz pod uwagę rejs feluką, do przebycia mamy niewiele ponad ćwierć obwodu planety.

\* \* \*

Mahnmur wymyślił sobie, że czas upłynie mu szybciej – a być może nawet polepszy mu się nastrój -jeżeli poczyta Szekspira. Wziął się więc za sonety, których papierowy egzemplarz uratował z pokładu „Mrocznej damy”. Nie pomogło. Przez kilka ostatnich lat potrafił bez reszty zatracać się w analizach, w poszukiwaniu ukrytej struktury, wzajemnych powiązań słów i treści, lecz obecnie sonety wydały mu się po prostu smutnymi wierszysłami. Smutnymi i w zasadzie dość obrzydliwymi.

Morawca zupełnie przestało obchodzić, co „Will”, czyli „poeta” z sonetów, robił z „Młodzieńcem” i czego oczekiwał w zamian – Mahnmur nie miał penisa ani odbytu i wcale mu ich nie brakowało – niemniej rześisty deszcz pochlebstw, jakim na przemian z natrętnymi namowami starszy poeta zalewał przygłupiego lecz zamożnego „młodzieńca”, wydał się nagle morawcowi wyjątkowo nie na miejscu. Takie zachowanie graniczyło wręcz z perwersją. Przerzucił więc kilka stron i spróbował zagłębić się w sonetach poświęconych „mrocznej damie”. Te jednak okazały się jeszcze bardziej cyniczne i obleśne.

Mahnmur przychylił się do koncepcji, że poeta zainteresował się kobietą głównie ze względu na jej seksualną swobodę – dama o czarnych włosach, ciemnych oczach, śniadych piersiach i brązowych sutkach nie była, jeśli wierzyć podmiotowi lirycznemu, kurwą w ścisłym tego słowa znaczeniu, lecz musiała być co najmniej puszczalska.

Dawno temu Mahnmur ściągnął sobie napisany w tysiąc dziewięćset dziesiątym roku esej Freuda pod tytułem „O szczególnym typie wyboru obiektu u mężczyzny”. Autor, ten znachor z Zapomnianej Ery, opisał w nim przypadki

mężczyzn, których pobudzały seksualnie wyłącznie kobiety o reputacji rozwiązłych. Szekspir natomiast bez wahania opisuje kobietę pochwę, jako „dla wszystkich otwartą przystań” i chętnie też – ba! dowcipnie nawet sugeruje w sonetach, że Mroczna Dama jest osobą co najmniej lekkich obyczajów. Za starych, dobrych czasów Mahnmur nie przykładał do tych sprośności większej uwagi i dopatrywał się w nich głębszych znaczeń i ukrytych funkcji strukturalnych. Dzisiaj jednak – gdy słońce chyliło się ku zachodowi nad wielkim, śródlądowym morzem, a na północy jarzyły się różowo nadbrzeżne klify-wiersze jawiły mu się wyłącznie jako sterta brudów, stek intymnych wynurzeń sprośnego autora.

– Zatonąłeś w sonetach? – zagadnął Orphu.

Mahnmur zamknął książkę.

– Skąd wiedziałeś? Czyżbyś po stracie wzroku nauczył się czytać w myślach?

– Jeszcze nie. – Morawiec zło zachichotał zgrzytliwie.

Przypominający wielkiego kraba korpus Orphu spoczywał na pokładzie feluki mniej więcej dziesięć metrów od siedzącego przy dziobie Mahnmura.

– Po prostu czasami milkniesz tak bardziej... literacko – dodał Orphu.

Mahnmur wstał i spojrzał na zachodzące słońce. Małe zielone ludziki krzątały się wśród takielunku, przygotowywały kotwicę, szykowały statek do nocnego odpoczynku.

– Dlaczego niektórym z nas zaprogramowano upodobanie do ludzkich książek? – zapytał. – Co może z takich lektur przyjść morawcom, zwłaszcza teraz, kiedy ludzie najprawdopodobniej już wyginęli?

– Sam nieraz się nad tym zastanawiałem – przyznał Orphu. – Koros III i Ri Po nie dzielili z nami tej przypadłości, ale ty zapewne znałeś innych, sfiksowanych na punkcie ziemskiej literatury.

– Mój były współpracownik, Urtzweil, pasjami czytał Biblię Króla Jakuba – powiedział Mahnmur.

– Studiował ten przekład przez dziesiątki lat.

– Właśnie – stwierdził Orphu. – A teraz poznałeś mnie i mojego Prousta. – Zanucił kilka taktów „Me and My Shadow”. – Wiesz, co łączy wszystkie dzieła, które tak mocno nas pociągają?

Mahnmut zastanowił się.

– Nie – odpowiedział.

– Są niewyczerpalne.

– Niewyczerpalne?

– Można je czytać bez końca i zawsze znaleźć coś nowego. Gdybyśmy byli ludźmi, wszystkie te dramaty, powieści i wiersze wydawałyby się nam domami, w których zawsze można trafić do nieznanego wcześniej pokoju, znaleźć ukryte schody czy tajemnicze poddasza...

– Aha – rzucił Mahnmut, do którego metafora niezbyt przemówiła.

– Mam wrażenie, że Bard cię dzisiaj nie pocieszył-zauważył większy morawiec.

– Chyba wyczerpała mnie ta jego niewyczerpalność – przyznał Mahnmut.

– A co się dzieje na pokładzie? Praca wre?

Mahnmut odwrócił się od morza. Trzy czwarte zielonej, milczącej załogi statku biegało dokoła, wiązało, splatało, zabezpieczało i opuszczało kotwicę. Emzetelom zostały jeszcze tylko trzy lub cztery minuty światła. Po zmroku jak zwykle zapadną w hibernację, ułożą się zwinięte w kłębek i wyłączą na całą noc.

– Poczuleś wibracje pokładu? – spytał przyjaciela Mahnmut. Poza węchem, Orphu dysponował już tylko jednym zmysłem: dotykem.

– Nie, po prostu wiem która godzina. Może byś im pomógł?

– Słucham?

– Pomóż im – powiedział Orphu. – W końcu jesteś utalentowanym i sprawnym żeglarzem.

W każdym razie potrafisz odróżnić kabestan od relingu. Ludzikom na pewno przyda się pomocna dłoń. Lub manipulator.

– Chyba tylko bym przeszkadzał... – Morawiec spojrzał na szybko i wydajnie uwijających się po całej feluce Emzeteli. Marsjanie poruszali się wśród lin zwinnie niczym mały, stworzenia które oglądał kiedyś na archiwalnych filmach. – Poza tym my nie posługujemy się telepatią – dodał – a jestem pewien, że oni tak. Na nic im moja pomoc.

– Bzdury pleciesz – rzucił Orphu. – Przydałbyś się. Ja wracam do swojego *monsieur* Swanna i jego niewiernego dziewczęcia.



Mahnmut wahał się jeszcze przez chwilę, po czym jednak wrzucił bezcenną książkę do plecaka, przeszedł na śródkręcie i dołączył do Emzeteli zwijających opuszczony już żagiel. Zieloni żeglarze w pierwszej chwili zastygli i wbili w niego intensywne spojrzenia czarnych jak antracyt okrągłych oczu, osadzonych w pozbawionych rysów obliczach – po chwili jednak rozstąpili się i wpuścili morawca między siebie. Mahnmut zerknął na szybko zachodzące słońce, odetchnął głęboko czystym marsjańskim powietrzem i zabrał się żwawo do roboty.

\* \* \*

Przez kilka kolejnych tygodni nastrój Mahnmuta oscylował pomiędzy depresją, względnym zadowoleniem a morawiecką odmianą radości życia. Codziennie pracował z Emzetelami, nie przerywając rozmów z Orphu nawet wówczas, kiedy cerował żagle, zwijał liny, szorował pokład, wyciągał kotwicę czy stawał przy sterze. Feluka pokonywała dziennie około czterdziestu kilometrów, co wydawało się odległością niewielką tylko dopóki nie wzięło się pod uwagę, że płynęli pod prąd, przy zmiennym wietrze, częściej wiosłując niż korzystając z żagli, i na domiar wszystkiego urządzali całonocne postoje. Jako że Valles Marineris miała cztery tysiące kilometrów długości – mniej więcej dorównywała pod tym względem Stanom Zjednoczonym, jednemu z państw Zapomnianej Ery – Mahnmut ocenił chmurnie, że rejs potrwa około setki marsjańskich dni. Ponadto raz po raz przypominał sobie sam, bądź uświadamiał mu to bezlitosny przyjaciel, że kiedy dotrą wreszcie na brzeg, wciąż pozostanie im do przebycia tysiąc osiemset kilometrów płaskowyżu Tharsis.

Mahnmutowi jednak przestało się śpieszyć. Żegluga feluką – najprawdopodobniej nieochrzczonej, choć morawiec nie miał zamiaru badać sprawy kosztem życia kolejnego ludzika – dostarczała mu prostych, zwykłych przyjemności. Płynęli wśród oszałamiająco pięknych krajobrazów, za dnia miło przygrzewało słońce, a nocami cudownie chłodził wietrzyk. W kojącej rutynie pracy nagła potrzeba wykonania zadania zesłała na dalszy plan.

Pod koniec szóstego tygodnia na wodzie – Mahnmut był akurat zajęty przy

przednim maszcie feluki – niecały kilometr przed dziobem pojawił się rydwan. Frunął nisko, mniej więcej trzydzieści metrów ponad żaglami, przez co morawiec nie miał czasu, by choć spróbować się ukryć. Siedział samotnie na skrzyżowaniu dwóch części masztu – feluka była wyposażona w trójkątne żagle, rozpostarte na dwóch rejach, z których górna odchyłała się zawadiacko do tyłu. W pobliżu nie było ani jednego Emzetela. Obcy pilot musiał go widzieć jak na dłoni.

Rydwan przeleciał nad nim z prędkością kilkuset kilometrów na godzinę, tak nisko, że Mahnmut zauważył, iż ciągnące zaprzęg konie są jedynie hologramami. Powoził nimi mężczyzna – jedyny pasażer pojazdu – odziany w płową tunikę. Stał wyprostowany i ścisnął w dłoniach wirtualne lejce.

Miał złocistą skórę, był potężnie zbudowany i przystojny. Długie jasne włosy falowały za nim na wietrze. Nie uznał za stosowne chociaż zerknąć w dół.

Morawiec skorzystał z okazji i przyjrzał się rydwanowi i nieznanemu za pomocą każdego dostępnego mu filtra optycznego, omiótł go falami wszystkich częstotliwości i długości jakie odbierały jego czujniki, po czym natychmiast przekazał zebrane dane Orphu, na wypadek gdyby bóg z rydwanu jednak go zauważył i postanowił strącić z masztu, na przykład machnięciem ręki.

Konie, wodze i koła okazały się hologramami, ale rydwan był najzupełniej prawdziwy, wykonany z tytanu i szczerego złota. Mahnmut nie wykrył żadnych śladów silnika raketowego, napędu jonowego czy odrzutowego, a mimo to rydwan emitował energię w całym zakresie fal elektromagnetycznych. Gdyby oba morawce nie porozumiewały się specjalnie skondensowanymi, uporządkowanymi wiązkami radiowymi, chaos rozsiewany przez frunący pojazd uniemożliwiłby im rozmowę. Znacznie bardziej złowieszczy był jednak fakt, że za rydwanem ciągnęły się czterowymiarowe ślady kwantowych zakłóceń. Otaczało go wyraźnie widoczne w podczerwieni podwójne pole siłowe: tarcza energetyczna z przodu, chroniąca rozpędzony pojazd przed podmuchami wichru i większa ochronna bańka otaczająca całość ze wszystkich stron. Mahnmut ucieszył się, że nie cisnął w rydwan kamieniem ani nie strzelił – oczywiście nie miał żadnej broni energetycznej, zresztą kamienia też nie. Orphu obliczył, że energetyczne osłony tej mocy mógł ewentualnie

pokonać jedynie taktyczny pocisk jądrowy.

– Na jakiej zasadzie on się utrzymuje w powietrzu? – spytał zdziwiony Orphu, kiedy rydwan zmalął na wschodnim horyzoncie. – Pole magnetyczne Marsa jest za słabe, by podtrzymać jakikolwiek latający pojazd elektromagnetyczny.

– Wydaje mi się, że korzysta ze strumienia kwantowego – odpowiedział siedzący wciąż na maszcie Mahnmut. Przez cały dzień dość mocno wiało i feluka, raz po raz chłostana nadciągającymi z południa bałwanami, kołysała się z burty na burtę.

Orphu wydał z siebie bardzo nieprzyzwoity odgłos.

– Ukierunkowana dystorsja kwantowa jest w stanie rozedrzeć ludzi i planety, a nawet samą czasoprzestrzeń. Nie mam jednak pojęcia w jaki sposób miałyby napędzać fruwać rydwan.

Mahnmut wzruszył ramionami, chociaż doskonale wiedział, że ukryty pod brezentową płachtą na śródokręciu niewidomy przyjaciel nie mógł gestu zauważyć.

– Żadnego innego napędu nie zauważyłem – powiedział. – Prześlę ci dodatkowe dane, ale moim zdaniem ten rydwan naprawdę ślizgał się na fali kwantowych zaburzeń.

– To dopiero ciekawostka – przyznał większy morawiec. – Niemniej nawet tysiąc tego typu maszyn nie tłumaczyłoby skali zakłóceń, jakie Ri Po wykrył na Olympus Mons.

– Nie – zgodził się Mahnmut. – Całe szczęście, że ten... bóg... nas nie zauważył.

Umilkli. Mahnmut nasłuchiwał szumu rozbijających się o dziób feluki fal i łopotania łacińskich żagli, które na powrót nabierały wiatru. Dolatywały go także pojękiwania szarpanych podmuchami lin. Podobały mu się te dźwięki. Przyjemność sprawiało mu również niezbyt łagodne kołysanie statku, któremu opierał się bez trudu, jedną ręką trzymając za maszt, a drugą zaciskając na naprężonej linie. Płynęli właśnie przez najszerszy fragment zalanej doliny, zwany Melas Chasma.

Na północy rozciągało się rozległe morze Candor Chasma. Woda była tu głęboka na ponad osiem kilometrów, a na południowym horyzoncie

przesuwały się wysokie, skaliste wybrzeża potężnych wysp. Niektóre liczyły sobie setki kilometrów długości i kilkadziesiąt szerokości.

– Wiesz, on mógł cię zauważyć i poprosić przez radio o posiłki z wulkanu – zasugerował Orphu.

Mahnmut zareagował, nadając odpowiednik ciężkiego westchnienia.

– Uwielbiam ten twój niegasnący optymizm – burknął.

– To się nazywa realizm – sprostował morawiec z lo. Zaraz potem spowaźniał. – Wiesz, Mahnmut? Niedługo będziesz musiał raz jeszcze porozmawiać z Emzetelami. Nazbierało się sporo palących pytań.

– Wiem – przytaknął Mahnmut. Myśl o ponownym kontakcie z ludzikami przyprawiała go o mdłości znacznie bardziej skutecznie niż bujanie pokładu feluki.

– Może jednak skorzystamy z balonu wcześniej niż planowaliśmy? – zaproponował Orphu.

Ostatnie kilka dni Mahnmut spędził, konstruując większą i szerszą wersję gondoli z trójbambusowych prętów i desek pożyczonych z mniej istotnych części statku. Emzetele nie wykazywały sprzeciwu, nawet kiedy rozmontował jedną z wewnętrznych grodzi.

– Nadal uważam, że powinniśmy się jeszcze wstrzymać – odparł Mahnmut.

– Nie mamy nawet pojęcia jakie wiatry wieją tu o tej porze roku, a nasze odrzutowe silniczki na nic się zdadzą, jeśli balon wpadnie w marsjański prąd strumieniowy. Moim zdaniem powinniśmy dotrzeć najpierw tak blisko wulkanu, jak tylko się da i dopiero wtedy ryzykować.

– Dobrze – zgodził się Orphu po chwili namysłu. – Niemniej już pora pomówić z Emzetelami.

Mam też nową teorię. Być może one wcale nie porozumiewają się telepatycznie.

– Nie? – Mahmut popatrzył na kilkunastu zielonych żeglarzy, którzy oderwali się od ukrytych pod pokładem wiosł i ze swą zwykłą sprawnością podjęli pracę przy takielunku przedniego masztu. – Nie bardzo rozumiem, jak mogłyby się komunikować inaczej. Uszu ani ust nie mają z całą pewnością. Nie przekazują też informacji za pomocą żadnego rodzaju fal elektromagnetycznych.

– Więc ja podejrzewam, że informacja jest zawarta w tworzących ich ciała cząsteczkach – stwierdził Orphu. – Nanopakiety biologicznie zakodowanej informacji. Właśnie dlatego musisz dotykać tego ich wewnętrznego narządu. Myślę, że on spełnia rolę centrali telegraficznej, a twoja ręka jest przecież, w odróżnieniu od manipulatorów, organiczna. Żywe organiczne nanomaszyny przenikają osmotycznie do twojego krwiobiegu i dostają się do mózgu, gdzie pomagają odcyfrować wiadomości.

– Jak w takim razie komunikują się między sobą? – spytał z powątpiewaniem Mahnmut. Do teorii o telepatii zdążył się już przywiązać.

– Dokładnie w ten sam sposób – odrzekł większy morawiec. – Poprzez dotyk. Ich skóra jest przecież półprzepuszczalna. Prawdopodobnie przekazują sobie dane przy każdym przelotnym muśnięciu.

– Mało to przekonujące – uznał Mahnmut. – Pamiętasz chyba, że załoga feluki wiedziała o nas wszystko od razu po przyplłynięciu? Wiedzieli nawet dokąd chcemy się dostać. Mam wrażenie, że wiadomość o naszym przybyciu dotarła do nich przez rodzaj telepatycznej sieci.

– Cóż, mnie też się tak wtedy wydawało – przyznał Orphu – ale, po pierwsze, ani morawce, ani ludzie nie znaleźli jak dotąd naukowych podstaw przemawiających za istnieniem telepatii, a po drugie, reguła brzytwy Ockhama podpowiada, że powinniśmy przyjąć, iż żeglarze dowiedzieli się tego wszystkiego poprzez fizyczny kontakt z Emzetelami, które spotkaliśmy zaraz po lądowaniu.

– Czyli co? Nanopakiety danych w krwiobiegu, tak? – rzucił Mahnmut, nie próbując nawet skrywać sceptycyzmu. – Tak czy inaczej, odpowiedzi uzyskam, jedynie mordując jednego z nich.

– Niestety – przyznał Orphu. Tym razem powstrzymał się przed uwagą, że według niego pojedynczy zielony ludzik ma tyle indywidualności co komórka ludzkiej skóry.

Kilka Emzeteli wspinało się właśnie na zajmowany przez Mahnmuta maszt. Zwinnie niczym akrobaci rozplatały węzły olinowania i rozwijały żagiel. Mijając morawca, pozdrowili go przyjaznymi skinieniami.

– Potem z nimi porozmawiam – zdecydował Mahnmut. – Z południa nadciąga olbrzymia rudobrazowa chmura. Znosi się na sztorm i na statku

przyda się każda para rąk.

*Równino llionu*

Trojanie masakrują Greków. Moi studenci z czasów poprzedniego życia powiedzieliby zapewne, że ich „dziesiątkują”. Pamiętam, iż w dwudziestym i dwudziestym pierwszym wieku terminem tym z lubością posługiwali się leniwi dziennikarze i niedouczeni prezenterzy telewizyjni. A przecież „dziesiątkowanie” jest pojęciem ścisłym i precyzyjnym. Dziesiątkowali Rzymianie, zabijając za karę co dziesiątego mieszkańca zbuntowanej wioski, co powodowało straty w ludziach wynoszące jedyne dziesięć procent pierwotnej populacji. W przypadku tego starcia jest to raczej spore niedomówienie.

Zatem Trojanie Greków masakrują.

Wystosowawszy wobec bogów ultimatum, Zeus tekuje się w swym złotym rydwanie na zbocza Idy, najwyższej góry w okolicy, pozwalającej bogom bez przeszkód obserwować llion, i zasiada na ustawionym na wierzchołku tronie, przyglądając się otoczonemu wysokimi murami miastu i setkom achajskich okrętów czekających na plaży i kotwiczących na przybrzeżnych wodach.

Pozostałe bóstwa zanadto się boją, by dołączyć do walczących i kontynuować dawne zabawy.

Niedawna demonstracja siły wywarła na nich spore wrażenie. Ojciec Bogów, nieniekajony przez nikogo, waży na szalach złotej wagi losy wojowników-jeden ciężarek ma kształt trojańskiego kawalerzysty, drugi argińskiego włócznika zakutego w odlaną z brązu zbroję. Zeus unosi świętą wagę. Achaj wędruje gwałtownie w dół, zwiastuje Argiom dzień zagłady. Szanse Trojan szybują natomiast ku niebu. Widząc to, Gromowładny rozciąga

wargi w szerokim uśmiechu. Stoję na tyle blisko, że zdołałem zauważyć, iż stary drań popchnął ramię wagi kciukiem.

Trojanie wylewają się z miejskich bram niczym rój szerszeni z trąconego przypadkiem gniazda.

Nisko na niebie wiszą szare chmury, aż kipiące od przepełniającej je mrocznej energii. Miotane przez Zeusa pioruny raz po raz biją w kotłujące się szeregi – uderzają zawsze po stronie Argiwów i długowłosych Achajów. Grecy, choć dostrzegają wyraźne oznaki niezadowolenia króla bogów, nie przestają atakować – cóż innego im pozostaje? – i na równinie Ilionu rozlega się brzęk zderzających się tarcz. Skóra trze o skórę, trzaskają piki, hurgocą koła rydwanów, rżą konie i wrzeszczą umierający ludzie.

Starcie od samego początku nie toczy się po myśli Achajów. Siekące ich szeregi błyskawice pieką wojowników jak odziane w brąz kurczaki na rożnie. Hektor szarżuje niczym wcielony żywioł.

Zniknął gdzieś ten milczek, którego podziwiałem podczas spotkania z żoną i dzieckiem. Jego miejsce zajął ogarnięty bitewnym szałem morderca, ścinający ludzi jak kosiarz tnie źdźbła trawy.

Głośnymi krzykami nawołuje swych pobratymców. Jeszcze więcej krwi! Niech ta rzeź się nie kończy! Trojanie są mu posłuszni, cała zjednoczona armia wydaje z siebie chóralny ryk i prze naprzód jak fala, jak przetaczające się po próbujących odwrotu Achajach tsunami brązu i skóry.

Parys – którego ledwie dzień wcześniej, przy okazji rozmowy z Hektorem, uznałem za miękkiego fircyka, a następnie przyprawiłem mu rogi – jedzie w rydwanie obok brata. On również przypomina opętaną przez demony maszynę do zabijania. Jego ulubionym narzędziem mordowania wrogów jest łuk. Dzisiaj nie chybia ani razu. Achajowie i Argiowowie padają z długimi drzewcami sterczącymi z krtani, serc, genitaliów i oczu. Strzał za strzałem, a wszystkie celne.

Hektor wyrąbuje sobie drogę przez kolejne punkty greckiego oporu. Rozcina ludzkie szyje niczym łądyżki stokrotek, nie lituje się nad nikim, ogłuszony morderczym obłędem nie słyszy wołań o zmiłowanie. Za każdym razem, kiedy grupce Achajów udaje się gdzieś zatrzymać i mężnie stawić czoło przeciwnikowi, prosto z gęstych chmur spada promień niebieskiej



energii i eksploduje między nimi jak kosmiczny granat. Wołania konających nikną zagłuszone niebiańskim grzmiotem.

Idomeneus i wielki król Agamemnon starają się walczyć, lecz po chwili rzucają się do ucieczki.

Następni tracą ducha obaj Ajaksowie – Wielki i Mały – weterani tysiąca bitew. Oni także czmychają z placu. Odyseusz, ten „zahartowany w bojach” wojownik, również nie wytrzymuje widoku jatki i

uznaje, że większą chwałę zyska, broniąc wyciągniętych na piasek okrętów. Jak na faceta o tak krótkich nogach zasuwa piekielnie szybko. Nie umyka jedynie stary Nestor, lecz tylko dlatego, że mąż Heleny przeszył strzałą czaszkę jednego z koni jego rydwanu. Drugie zwierzę z zaprzęgu płacze się panicznie w uprzęży. Nestor rozcina mieczem lejce. Wyraźnie zamierza opuścić pole bitwy jak najszybciej, ale w jednej chwili tuż obok pojawia się rydwan Hektora. Otaczający Nestora wojownicy padają rażeni strzałami Parysa, trafieni w karki i piersi. Rumaki uciekają jeszcze szybciej niż greccy herosi i stary żołnierz zostaje w unieruchomionym pojeździe sam, zdany na łaskę i niełaskę nadjeżdżającego co koń wyskoczy Hektora.

Obok przebiega Odyseusz, nie poświęca starcowi jednego spojrzenia.

– Dokąd ci tak śpieszno, synu Laertes, chytry strategu...?! – woła za nim Nestor.

Daremnie sili się na ironię, gdyż Odyseusz znika w tumanie pyłu wznieconym stopami uciekających. Nawet nie zwalnia, by odpowiedzieć dawnemu druhowi.

Diomedes, który jak zawsze woli stracić życie niż usłyszeć, iż jest tchórzem, zawraca rydwan i kieruje się w sam środek tłumu walczących. Chce ocalić Nestora i odeprzeć natarcie Hektora.

Podrywa starca z ziemi niczym worek z brudną bielizną, a jego pokryty zmarszczkami woźnica kieruje konie nie ku plaży, lecz prosto na szarżującego trojańskiego herosa. Po chwili Diomedes zbliża się na tyle, że udaje mu się cisnąć w Hektora włócznią, lecz ciężkie drzewce chybia celu i trafia woźnicę Trojanina, Eniopeusa, syna Tebeusa. Przez tę krótką chwilę, kiedy ciało zabitego spada do tyłu, pod nogi zaskoczonych piechurów, a pozbawione ludzkiego przewodnictwa konie Hektora ogarnia panika, zmienia się wszystko.

Czytałem gdzieś, że podobne sytuacje zachodzą w wielu bitwach. Momenty decydujące o ostatecznym wyniku. Gdy Hektor zмага się z lejcami i próbuje opanować zaprzęg, a jego Trojanie zamierają skonsternowani, Grecy dostrzegają szansę na odwrócenie losów starcia 1

wpadają w powstały w szeregach przeciwników wylom, w ślad za rydwanem wiozącym Diomedesa i starego Nestora. Achajowie przejmują na moment inicjatywę, z wściekłym rykiem na ustach powalają wojowników prowadzących trojański atak.

Wtedy ponownie interweniuje Zeus. Rozlega się przeraźliwy grzmot. Błyskawica rozdziera ziemię i konie znikają w jasnym rozbłysku. Wokół roznosi się smród siarki i spalonych kopyt. Greckie rydwany jadące obok pojazdu Diomedesa eksplodują zwierzęcym mięsem, kawałki ciał fruną na wszystkie strony. Brązowe zbroje topią się jak wosk, a skórzane tarcze stają w ogniu. Nawet niezbyt lotny Diomedes zaczyna rozumieć, że tego dnia Zeus mu nie sprzyja.

Nestor próbuje zawrócić oszalałe konie, lecz zwierzęta mają przysłowiowe muchy w nosie i nie dają się opanować. Ich rydwan – całkowicie osamotniony, jako że pozostali Achajowie umknęli już z podkulonymi ogonami – pędzi wprost na dziesięć tysięcy rozwścieczonych Trojan.

– Nuże, Diomedesie, chwyć wodze i pomóż mi skierować rumaki ku plaży!  
– woła Nestor. – Dalsza walka przyniesie nam pewną śmierć!

Diomedes wyrywa lejce z dłoni sędziwego towarzysza, lecz nawet nie próbuje zawracać.

– Starcze, jeżeli dziś ucieknę, Hektor powie chętnie swym żołdakom: „Diomedes zbiegł ku statkom, i to ja go przepędziłem!”.

Nestor łapie Diomedesa za pokrytą węzłami mięśni szyję.

– Ile ty masz, kurwa, wiosen? Sześć? Zawracaj konie, kretynie, bo inaczej Hektor wypije w Troi herbatę w naszym jeliczku z naszych jelit!

Mógł też sformułować to nieco inaczej. W tej chwili stoję sto metrów od nich, a mój mikrofon bywa niekiedy humorzasty. Poza tym, jako że podszywam się właśnie pod greckiego piechura, umykam z całą resztą i obserwuję Diomedesa przez ramię. Dokoła i między nami raz po raz padają miotane przez Parysa strzały.

Rozstrzygnięcie dylematu zajmuje Diomedesowi dwie, może trzy sekundy. Wreszcie zaczyna się siłować z końmi, szarpie za lejce, przemocą odwraca zwierzęce łby i kieruje rydwan w stronę dających schronienie czarnych okrętów.

– Ha! – woła Hektor, przekrzykując panujący dokoła zgiełk. Jedzie z nim nowy woźnica, Archeptolemos, przystojny syn Ifitosa i trojański książę wykazuje świeże zaangażowanie człowieka, któremu praca sprawia niekłamaną przyjemność. – Ha, Diomedesie! Czmychasz przede mną, tchórze! Zwiewasz jak kobieta, ty malowana laleczko! Tylko się nie przewróć, ptasi bobku!

Diomedes odwraca głowę. Aż dyszy z wściekłości i wstydu, lecz rydwanem powozi Nestor, a i konie zdążyły się już połapać, gdzie będzie bezpieczniej. Podskakujący rydwan przetacza się po kamieniach, koleinach i ciałach pierzchających Greków. Zwierzęta pędzą dzikim galopem ku plaży i Diomedes mógłby zmierzyć się w tej chwili z Hektorem tylko wtedy, gdyby zeskoczył na plac i stawiał czoło tysiącom Trojan na własnych nogach. Pomysł może i dobry, lecz grecki heros postanawia go nie realizować.

„Jeżeli zechcesz zmienić nasz los, musisz znaleźć punkt oparcia” – usłyszałem rankiem od Heleny.

Wypytała mnie potem o znajomość „Iliady”, którą uznała za rodzaj proroczego daru, i nalegała, bym ustalił ten jeden punkt oparcia, kluczowy moment wydarzeń, konkretny moment w przebiegu dziesięcioletniej wojny, który zdecydował o ostatecznym wyniku. Coś w rodzaju osi Losu.

Zwlekałem wtedy z odpowiedzią, wykręcałem się jak mogłem, zająłem jej uwagę końcową rundą łózkowych zmagania, lecz jej słowa wciąż nie dają mi spokoju.

„Jeżeli zechcesz zmienić nasz los, musisz znaleźć punkt oparcia”.

Założę się o cały swój autorytet znawcy Homera, że ten kluczowy moment jest już bliski.

Poselstwo do Achillesa. Jak dotąd wojna przebiega – mniej więcej – zgodnie z fabułą eposu i nie przeszkodziło temu nawet odsunięcie na boczny tor ranionych bóstw, Afrodyty i Aresa. Zeus wydał nowy edykt i osobiście dołączył do gry po stronie Trojan. Bez wyraźnej potrzeby nie mam zamiaru

wracać na Olimp, ale domyślam się, że w siedzibie bogów wydarzenia również toczą się zgodnie z opowieścią ślepego poety: królowa Hera, mocno podrażniona faktem, że jej ukochani Argiwo wie dostają tak potężny łomot, próbuje namówić Posejdona, by interweniował w jej imieniu, lecz „bóg, który wstrząsa ziemią” wydaje się wstrząśnięty propozycją. Nie ma ochoty sprzeciwiać się Zeusowi.

Później, po wieczornej, jeszcze poważniejszej, porażce Greków Atena rozbierze się do naga, włoży swą najlepszą zbroję i połyskujący napierśnik. No tak, dla tego widoku chyba rzeczywiście warto by zaryzykować i teleportować się na Olimp. Boginię powstrzyma jednak posłanka Zeusa, Iryda, która przekaże jej posłanie Gromowładnego.

„Moja szarooka córo, jeżeli wraz z Herą podniesiesz na mnie miecz, okaleczę zaprzężone do waszych rydwanów rumaki, strączę was obie na ziemię, roztrzaskam powóz i wychłoszczę was błyskawicami tak straszliwie, że nie wyjdziecie z leczniczych kadzi przez dziesięć długich lat, bo dopiero po tym czasie zielone czerwie zdołają was pozszywać”.

Atena zostanie więc na Olimpie, a Grecy, po kilkugodzinnym, zwieńczonym niejakim powodzeniem kontrataku, ponownie poniosą ciężkie straty i wycofają się za linię swych umocnień – poza fosę wykopaną dziesięć lat temu, tuż po lądowaniu, poza tysiąc zaostrzonych pali i wszystkie pozostałe fortyfikacje, zbudowane i wzmocnione niedawno na rozkaz Agamemnona.

Jednakże mimo owej osłony, z serc spanikowanych Achajów uleci bojowy zapał i podczas głosowania wyrażą chęć powrotu do domu.

Agamemnon wyprawi dla wodzów wielką ucztę, zechce w ten sposób poprawić więdnące nastroje. Hektor tymczasem, wraz z tysiącami wiernych Trojan, przygotowuje się do rozstrzygającego szturmu. Będą pewni, że uda im się podpalić czarne okręty Achajów, co raz na zawsze zakończy wojnę. W trakcie wydanej przez greckiego króla uczyty jeden z gości, Nestor, zasugeruje, że ich jedyną nadzieją jest porozumienie z Achillesem.

Agamemnon zgodzi się zapłacić urażonemu herosowi suty okup. Ba, więcej niż suty – obiecał siedem trójnogów do palenia węgla, dziesięć sztab złota, dwadzieścia błyszczących kociołków, tuzin rumaków, siedem pięknych kobiet i nie pamiętam co jeszcze – być może gruszki na wierzbie. Co jednak

najbardziej istotne, w skład daru wejdzie Bryzeida, córka Bryzesa, niewolnica, która stała się zarzewiem konfliktu. Rolę wisienki na torcie ma odegrać uroczyście dane przez Agamemnona słowo, że ani razu dziewczyny nie posiadał. By dać dobitny wyraz swej dobrej woli, król dorzuci Achillesowi siedem otoczonych mocnymi murami greckich *poleis*- Kardamylę, Enopę, Hirę, Anteę, Feraj, Epeję i Pedazos. Rzecz jasna, władca tych miast nie posiada, ani nawet nie sprawuje nad nimi władzy. Rozdaje ziemie sąsiadów, lecz przecież liczą się intencje.

Jedyną rzeczą, jakiej na tej liście zabrakło, są przeprosiny. Atrydę wciąż rozpiera duma zbyt silna, by potrafił się ukorzyć.

„Niech to on zegnij kark przeciw mną!” – wykrzyknie Agamemnon za kilka godzin, podczas rozmowy z Nestorem, Odyseuszem, Diomedesem i pozostałymi oficerami. – „Jestem ważniejszym królem od niego, jestem również starszy, a ponadto, bez wątpienia, bardziej znamienity”.

Odyseusz i pozostali, wbrew arogancji Agamemnona, znajdą sposób na wyjście z impasu. Uznają, że jeżeli przyniosą Achillesowi wieść o powrocie Bryzeydy i o wszystkich przyrzeczonych przez władcę cudownościach, a tylko przez przeoczenie nie wspomną o „bardziej znamienitym mężu”

i reszcie końcowych uwag Atrydy, heros może się ugiąć i ponownie dołączyć do szeregów walczących. Nad poselstwem jaśnieje promyk nadziei.

Teraz jednak zaczynają się schody. W tym momencie może nastąpić mój upragniony punkt zwrotny.

Jako naukowiec nie mam wątpliwości, że poselstwo do Achillesa jest w „Iliadzie” momentem kluczowym. Od decyzji, jaką heros podejmie po wysłuchaniu wysłanników Agamemnona, zależy przebieg wszystkich dalszych wypadków – śmierć Hektora, zguba samego Achillesa i upadek Ilionu.

Powiem wam, w czym tkwi haczyk. Homer dobierał słowa z niezwykłą starannością – być może ważył je dokładniej niż jakikolwiek inny narrator w dziejach. Otóż poeta powiada, że Nestor wysłał do Achillesa pięciu ludzi – Fojniksa, Ajaksa Wielkiego, Odyseusza, Odiosa i Eurybatesa. Dwaj ostatni są szeregowymi heroldami, wytypowano ich jedynie dla zachowania należytego protokołu. Nie wejdą wraz z prawdziwymi posłańcami do namiotu Achillesa i nie wezmą udziału w rozmowach.

Problem stanowi osoba Fojniksa – człowiek ten nie pojawił się dotąd na kartach eposu ani razu.

Ponadto jest raczej nauczycielem Myrmidonów i wasalem Achilleśa, niż pełnoprawnym wodzem.

Dziwne jest zatem, że wysłano go, by negocjował ze swym własnym panem. Co więcej, kiedy wysłannicy Agamemnona kroczą przez plażę, idąc „brzegiem, szumnymi szturmowany wały”, Homer posługuje się czasownikiem w liczbie podwójnej – stosowanej w starożytnej grece w odniesieniu do dwóch i tylko dwóch osób. W tym przypadku chodzi o Ajaksa i Odysusza.

W kolejnych wersach pojawia się jeszcze siedem czasowników, które za czasów poety-w tej chwili także i moich – odnoszą się do dwóch ludzi, nie trzech.

Co więc dzieje się z Fojniksem, kiedy bardziej znani ambasadorowie kroczą ku obozowi Achilleśa?

Czy może wyszedł przed nimi i czeka już w namiocie pana? Bez sensu.

Wielu fachowców, moich współczesnych z poprzedniego życia, a także naukowców piszących wcześniej, twierdziło, że Fojniks jest postacią niewprawnie dopisaną stulecia później i że to właśnie tłumaczy homerycką liczbę podwójną. Ta teoria nie pasuje jednak do faktu, że to właśnie Fojniks wygłosi najdłuższą i najbardziej zawiłą przemowę z całej trójki posłów. Jego pełne cudownych dygresji i ozdobników słowa aż biją po oczach prawdziwym stylem Homera.

Można odnieść wrażenie, że ślepy poeta był w pewien sposób skonsternowany, jakby sam nie wiedział, czy emisariuszy było dwóch, czy trzech, i jaką dokładnie rolę odegrał Fojniks w rozmowie, która miała zdecydować o losach każdego z bohaterów opowieści.

Żeby się nad tym zastanowić, mam jeszcze kilka godzin.

„Jeżeli zechcesz zmienić nasz los, musisz znaleźć punkt oparcia”.

Tak, ale to wszystko wciąż kwestia przyszłości. Tymczasem nastąpiło popołudnie. Trojanie zatrzymali się po swojej stronie fosy, a Grecy z mrówczym zapachem roją się za umocnieniami z zaostrzonych pali i kamieni. Pod postacią zlanego potem achajskiego włócznika przedostają się w pobliże Agamemnona, który najpierw ostro karci własnych żołnierzy, po czym zanoszą

do Zeusa błagalne prośby o wsparcie w godzinie najcięższej próby.

– Wstydźcie się wy wszyscy! – woła Atryda do swej wycieńczonej armii. Naturalnie, słyszy go tylko co setny Grek. To w końcu starożytność, akustyka ma swoje prawa, lecz król dysponuje donośnym głosem, a słuchacze przekazują sobie jego słowa z ust do ust. – Wstyd i hańba!

Przywdziewacie zbroje wielkich wojowników, lecz to czcza maskarada! Przysięgliście spalić to miasto, po czym obżeraliście się mięsem kupionych za moje złoto wołów, chlaliście wino, które sam opłaciłem i kazałem sprowadzić, i co? Popatrzcie tylko na siebie! Banda obdartych hultajów!

Chełpiliście się, że każdy z was wart jest setki Trojan! Ba, dwóch setek! A dzisiaj nie dotrzymaliście pola jednemu śmiertelnemu człowiekowi, Hektorowi. Hektorowi, którego hordy dotrą tu lada chwila. Splądrują i podpalą nasze okręty, a ta cała pyszałkowata... armia – w ostatnie słowo Agamemnon wkłada nieskrywaną pogardę. Kropelki śliny tryskają mu z ust – umknie do żon i dzieci... nie muszę mówić, za czyje pieniądze!

Po tych słowach rezygnuje z łajania wojowników, odwraca się na południe, w kierunku góry Ida, skąd nadciąga burza, a z nią grzmoty i błyskawice. Unosi ręce ku niebu.

– Ojcze Zeusie, dlaczego tak okrutnie postanowiłeś odebrać mi chwałę? Czyżbym cię uraził? Nie, ani razu. Słowo daję! Czy zdarzyło mi się kiedyś bez uwagi pominąć poświęconą tobie świątynię?

Czy kiedykolwiek nie spaliłem ci w ofierze tłuszczu lub wołowych udźców? Nie! Nawet podczas dalekiego rejsu ku tym obcym brzegom. Modlimy się teraz o jedną, jedyną rzecz. Chcemy zburzyć mury Ilionu, zrównać miasto z ziemią, wysiec jego bohaterów, pojąć ich kobiety, a mieszkańców zapędzić w niewolę. Czy to naprawdę aż tak wiele? Ojcze! Wysłuchaj przynajmniej tego ostatniego błagania. Dozwól mym ludziom ujść z życiem. O nic więcej nie proszę. Nie dozwól, by Hektor ze swymi Trojanami złożył nas jak stado mułów!

Zdarzało mi się słyszeć bardziej kwieciste mowy Agamemnona. W zasadzie każda, jakiej byłem dotąd świadkiem, była bardziej elokwentna i doskonale rozumiem, dlaczego Homer uznał, iż temu ustępowi należy się drobiazgowa redakcja. Niemniej dokładnie w tej chwili następuje cud.

W każdym razie Achajowie uznają to za cud.

Zupełnie znikąd nadlatuje orzeł. Wielkie ptaszysko frunie od południa. W szponach trzyma małego jelonka.

Prący ku wybrzeżu tłum, ludzka masa szukająca schronienia w pobliżu morskich fal, znieruchomiała jedynie na moment, by wysłuchać Agamemnona. Teraz wszyscy zamierają na dobre. Pokazują niezwykle widok palcami.

Orzeł wzbija się wyżej, zatacza krąg, obniża lot i wypuszcza z łap wierzgające stworzenie, które spada z wysokości stu stóp na piach, tuż u stóp kamiennego ołtarza, jaki Grecy wzniesli na cześć Zeusa wiele lat temu, zaraz po lądowaniu.

Tylko tyle im trzeba. Po piętnastu sekundach pełnej oszołomienia ciszy niesie się pod niebo ryk żołnierzy – mężczyzn tchórzliwych ledwie dziesięć minut temu, lecz teraz już w pełni gotowych do boju. Tak wyraźny znak aprobaty i przebaczenia Zeusa podrywa ku górze ich brody i pięści.

Pięćdziesiąt tysięcy Achajów i Argiwów, nie zwlekając, zwiera szyki za plecami swych wodzów i zaprzęga konie do rydwanów, które wyjeżdżają po usypanych z ziemi nad rowem groblach. Bitwa zaczyna się na nowo.

\* \* \*

Oto godzina łucznika.

Mimo że kontratak prowadzi Diomedes, za którym pędzą Atrydzi – Agamemnon i Menelaos – oraz, nieco dalej z tyłu, obaj Ajaksowie, i chociaż włócznie i miecze herosów zbierają wśród Trojan krwawe żniwo, walka skupia się wokół Teukrosa, achajskiego łucznika, bękarta Telamona, przyrodniego brata Ajaksa Wielkiego.

Teukros od zawsze uchodził za wybornego Strzelca. Osobiście widziałem, jak kładzie trupem dziesiątki obrońców Ilionu, lecz dzisiaj przechodzi sam siebie. Sprawnie współpracuje z Ajaksem.

Łucznik przyklęka osłonięty tarczą brata niczym murem – Ajaks Wielki posługuje się potężną prostokątną tarczą typu, jakiego według historyków wojskowości w tych czasach jeszcze nie znano.

Kiedy unosi ją w powietrze, Teukros szyje spod niej w oddalony o jakieś



sześćdziesiąt metrów tłum Trojan. I dzisiaj nie chybia ani razu.

W pierwszej kolejności powala niewysokiego Orsylochusa, któremu zębata strzała przebija serce.

Następnie zabija Ofelestesa – w chwili gdy Trojanin wygląda ponad krawędź skórzanej tarczy, grot więźnie mu w prawym oku. Potem giną śmiertelnie ranieni błyskawicznie i precyzyjnie wypuszczonymi pociskami Daetor i Chromius. Po każdym strzale Teukrosa przeciwnicy zasypują go gradem własnych strzał i włóczni, lecz Ajaks Wielki wprawnie odbija grotę masywną tarczą.

Kiedy trojański ostrzał słabnie, Ajaks ponownie odsłania Teukrosa, który trafia Likofontesa, księcia odległego miasta. Nie zabija go jednak od razu. Gdy najbliżsi oficerowie ruszają rannemu na pomoc, grecki łucznik dobija leżącego strzałem w wątrobę.

Kolejno kres przychodzi na Amopaona, syna Polimeona. Dostaje w krtąń. Krew tryska na pięć stóp do góry. Mocarny Amopaon próbuje się dźwignąć, lecz strzała przyszpiliła go do podłoża.

Wierzga jeszcze i podryguje słabo przez niecałą minutę, ale w końcu umiera wykrwawiony.

Achajowie podnoszą gromki wiwat. Amopaona znam... znałem osobiście. Trojanin chętnie jadał w tej samej jadłodajni, którą tak często odwiedzaliśmy z Nighenhelserem. Nierzadko prowadziliśmy ze sobą niezobowiązujące pogawędki. Pewnego razu opowiedział mi, że Polimeon, jego ojciec, w dawnych i lepszych czasach poznał Odyseusza. Nastąpiło to podczas jego podróży do Itaki, kiedy wraz z przyjaznymi Grekami wybrał się na łowy.

Polimeon upolował wówczas dzika, który rozorał szablami nogę Odysa i gdyby włócznia Polimeona nie weszła prosto w cel, król Itaki niechybnie straciłby życie. Według Amopaona Odyseusz do dziś nosi blizny – pamiątkę po tym wydarzeniu.

Ajaks przykłęka, unosi wielką tarczę nad siebie i brata, jakby dźwigał dach, o który grzechocze deszcz trojańskich strzał. Kiedy po chwili wstaje i odsuwa tarczę, Teukros morduje Melanippusa – trafia go z osiemdziesięciu metrów! Grot wbija się w podbrzusze Trojanina i wychodzi przez odbyt.

Towarzysze wijącego się na ziemi, umierającego Melanippusa rozstępują

się z niesmakiem.

Achajom ponownie wyrywa się z piersi triumfalny wrzask.

Nadjeżdża Agamemnon, wychyla się z rydwanu i zagrzewa Teukrosa do zdwojenia wysiłków, obiecuje łucznikowi, że jako drugi będzie mógł wybrać dla siebie trójnogi i rumaki czystej krwi – „o ile tylko Zeus i Atena pozwolą mi zrabować skarbiec Mionu”, dodaje – po czym przyrzeka jeszcze piękne trojańskie branki, być może nawet samą Andromachę, żonę Hektora.

Szczodra propozycja władcy mocno złości Teukrosa.

– Synu Atreusa! Czy naprawdę myślisz, że ta czcza gadanina o łupach może mnie zachęcić jeszcze bardziej? Mierzę i miotam pociski najlepiej jak potrafię! Osiem strzał, osiem trupów.

– Zastrzel więc Hektora! – wzywa Agamemnon.

– Przecież właśnie do niego strzelam! – wrzeszczy czerwony na twarzy Teukros. – Od samego początku próbuję go dopaść. Po prostu ten kurwi syn ciągle mi się wymyka!

Agamemnon milknie.

Zupełnie jakby wyzwanie doleciało uszu Hektora, heros popędza konie i wyprowadza rydwan na czoło trojańskich szeregów. Pokazuje się żołnierzom. Próbuje pokrzepić swych ludzi, którzy z przerażeniem oglądają popisy siejącego śmierć łucznika.

Tym razem Ajaks nawet nie podnosi swej tarczy, ponieważ Teukros staje wyprostowany, naciąga cięciwę do granic wytrzymałości, starannie celuje w Hektora i wypuszcza strzałę.

Grot mija serce trojańskiego księcia o szerokość dłoni i trafia innego potomka Priama, Gorgitiona, który kroczy za rydwanem brata. Potężnie zbudowany mężczyzna przystaje i ze zdumieniem wpatruje się w sterczące mu z piersi upierzone drzewce. Patrzy, jakby pomyślał, że padł ofiarą głupiego, koszarowego dowcipu, lecz zaraz potem jego głowa okazuje się zbyt ciężka dla muskularnej szyi i opada bezwładnie na ramię, obciążona masywnym hełmem. Wreszcie Gorgition pada martwy, prosto w krwawe, piaszczyste błoto.

– Psia krew! – syczy Teukros i strzela raz jeszcze.

Jadący przed swymi liniami Hektor znajduje się w tej chwili najbliżej ze

wszystkich obrońców Ilionu. Co więcej, zwrócił rydwan przodem do łucznika i rozpędza się, prezentując mocny tors.

Pocisk Teukrosa uderza w Archeptolemosa, woźnicę księcia Trojan. W sam środek piersi. Konie – mimo że nawykłe do bitew-wierzgają i skaczą w panice, kiedy boki pokrywa im bryzgająca fontanną krew z rany zabitego młodzieńca, którego ciało mgnienie później spada do tyłu i przetacza się w piachu.

– Kebriones! – woła Hektor do innego ze swych przyrodnych braci, również nieślubnego syna rozwiązłego Priama.

Kebriones wskakuje do rydwanu dokładnie w chwili, kiedy opuszcza go Hektor. Rozwścieczony, nie panując nad sobą, boleśnie dotknięty śmiercią wiernego Archeptolemosa księżę wpada na ziemię niczyją, gdzie stanowi wymarzony cel dla Teukrosa. Spogląda pod nogi i podnosi najbardziej ostry i najcięższy kamień, jaki może dźwignąć jedną ręką.

Zrezygnował z bitewnej finezji, o której tak często chętnie opowiadał. Stosuje taktykę znaną już jaskiniowcom. Bierze mocny zamach lewą ręką i wygląda przy tym jak szykujący się do rzutu gwiazdor baseballa. Dopiero teraz zauważam, że heros jest oburęczny.

Teukros dostrzega dla siebie szansę. Dobywa z kołczanu jeszcze jedną strzałę, potężnym ruchem napina cięciwę i celuje w serce Hektora. Jest święcie przekonany, że zdoła wystrzelić raz, może nawet dwa, zanim Trojanin rzuci. Myli się. Hektor atakuje jako pierwszy. Mocno ciśnięty kamień rozcina powietrze, sunąc równym, precyzyjnym torem.

Trafia Teukrosa w obojczyk, tuż przy gardle, na mgnienie przed wypuszczeniem przezeń pocisku.

Trzaskają pękające kości. Rwą się ścięgna. Dłoń Teukrosa wiotczeje, cięciwa pęka i strzała wbija się w podłoże między sandałami Greka.

Hektor rzuca się naprzód, roztrąca Achajów niczym plewy. Tymczasem trojańscy łucznicy szyją w powalonego Teukrosa. Ajaks Wielki jednak nie porzucił brata. Osłania go swą olbrzymią tarczą, podczas gdy reszta Greków odpiera natarcie piechurów z Ilionu. Na zawołanie – ryk właściwie – Ajaksa spomiędzy achajskich szeregów wyskakują Alastor z Mekisteusem i odnoszą rzeźącego, półprzytomnego łucznika z powrotem za rów, pod względną osłonę

opuszczonych teraz statków.

Piętnaście minut sławy Teukrosa dobiegło właśnie końca.

Zaraz potem sprawy przybierają obrót niekorzystny dla Greków. Hektor uznaje swoje powodzenie za kolejne świadectwo miłości i aprobaty Zeusa. Zachęca oddziały do ponawiania ataków na cofające się siły Achajów.

Agamemnon, Menelaos i inni możni, którzy ledwie kilka godzin temu, z radosną pieśnią na ustach, wiedli wojowników do bitwy, ponoszą naprawdę ciężkie straty. Początkowo Grecy są zbyt rozproszeni i zdeorganizowani, by obsadzić gniazda oporu wzdłuż fosy, rzędów pali i prowizorycznego muru. Trojanie nie palą dziś statków wyłącznie dlatego, że wreszcie zachodzi słońce i prędko zapadają ciemności.



Achajowie kręcą się po obozie bez ładu i składu, niektórzy już zaczęli

szykować okręty do wyjścia w morze, inni siedzą wstrząśnięci widokiem masakry i wpatrują się pustymi oczyma w ziemię.

Hektor tymczasem odstawia scenę jakby żywcem wyjętą z „Henryka V”. Niestrudzenie jeździ wzdłuż szeregów Trojan, obiecuje wojownikom jeszcze więcej krwi o świcie, po czym odsyła ich do miasta i przykazuje, by sprowadzili bydło, które zostanie złożone w dziękczynnej ofierze i spożyte w trakcie zwycięskiej uczty. Zamawia racje rozrobionego z miodem wina, przyzywa całe wozy świeżo upieczonego chleba. Wygłodniali Trojanie rzucają się na jado i napoje z takim animuszem, jakby dopadli spichlerzy samego Agamemnona. Hektor rozkazuje rozpalić setki strażniczych ogni, tuż przed achajskimi umocnieniami. Nie pozwoli strwożonym Grekom ułożyć się tej nocy do snu.

Wsuwam na głowę Hełm Hadesa i niewidzialny spaceruję wśród trojańskich żołnierzy.

– Jutro – woła Hektor do wiwatujących wojowników – wypatroszę Diomedesa jak rzucającą się na brzegu rybę. Zrobię to na oczach wszystkich jego ludzi. Chyba że ucieknie jeszcze dziś w nocy.

Włóczę przetrączę pyszałkowi kręgosłup, a pusty czerep zatknę na Skajskiej Bramie!

Obrońcy Ilionu podnoszą niemiłosierną wrzawę. Iskry strzelają z ognisk i wlatują ku zimnym płomykom gwiazd. Ukryty przed wzrokiem bogów i ludzi, przechodzę przez groblę nad fosą, omijam las zjeżonych pali i docieram między zniechęconych Greków.

Dla mnie jest to moment decydujący. Agamemnon zdążył już zwołać walne spotkanie dowódców i spierają się o następny krok: uciekać czy wyprawić poselstwo do Achillesa.

Nie mam odwrotu. Morfuję w Fojniksa, zaufanego Achillesa, nauczyciela Myrmidonów i, krocząc po stygnącym piasku, kieruję się do namiotu króla, by wziąć udział w radzie.

„Jeżeli zechcesz zmienić nasz los, musisz znaleźć punkt oparcia”.

*Basen Śródziemny*

Savi wprawnie prowadziła sonik nad oceanem, kierując się wzdłuż Bruzdy Atlantyckiej. Co kilka mil obniżala lot i schodziła poniżej poziomu morza, omijając stożki prądowe, przecinające zielony korytarz Bruzdy niczym przejrzyste rury.

Wyciągnięty z lewego boku staruszki Daeman spojrział na leżącego po drugiej stronie Harmana.

Starszy mężczyzna spoglądał posepnie. Tylnie miejsca dla pasażerów były puste. Chłopak rozważył w myślach wydarzenia ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Kiedy odlecieli z zagubionej wśród gigantycznych drzew polany, odniósł wrażenie, że Harman i Ada o coś się pokłócili. Początkowo nawet się z takiego obrotu spraw ucieszył. Nie miał, oczywiście, pojęcia, o co im poszło, lecz jasne było, że ze spaceru w lesie para wróciła nie w sosie.

Ada starała się zachować pozory spokoju i dystansu, lecz Daeman widział, że w dziewczynie aż wrze. Harman z kolei wydawał się mocno skonsternowany. Niemniej po kilkugodzinnym locie do Ardis i wydarzeniach, jakie rozegrały się na miejscu (zdążył przez ten czas podjąć ostateczną decyzję, że polecą z nimi w tę idiotyczną misję), napięcie panujące pomiędzy Harmanem i Adą okazało się tylko jednym z wielu problemów. Wcale nie najpoważniejszym.

Łądowali późnym popołudniem. Rezydencja i otaczające ją włości wyglądały z powietrza zupełnie inaczej – przynajmniej w oczach chłopaka – mimo że wzajemne rozmieszczenie wzgórz, las, łąki i rzeki pozostały przecież

na swoich dawnych miejscach. Za każdym razem, kiedy przypominał mu się piknik nad rzeką – wieczór gdy Hannah popisowała się tą śmieszną umiejętnością odlewania metalu – w myślach Daemana pojawiał się również szarżujący dinozaur i serce zaczynało mu walić jak młotem.

– Pod koniec Zapomnianej Ery ta okolica nosiła nazwę Ohio – wyjaśniła Savi, kiedy sonik zataczał coraz niższe koła nad Ardis. – Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Hm, sądziłem, że to była Ameryka Północna – zdziwił się Harman.

– Owszem, też – odparła staruszka. – W kwestii nazewnictwa dawni ludzie wykazywali lekką skłonność do przesady.

Ostatecznie przyziemili jakieś ćwierć mili od Dworu Ardis, na pastwisku rozciągającym się na północ od linii drzew. Daemana wciąż piliło, by pójść za potrzebą, ale za żadne skarby nie chciał wracać do rezydencji piechotą. Droga była daleka, a w pobliżu mogły się czaić drapieżne gady.

– Tu jest bezpiecznie – rzuciła lakonicznie Ada, widząc jego wahanie. Tylko chłopak wciąż nie wysiadł z sonika. – Wojniksy patrolują teren w promieniu dwóch lub nawet trzech mil od domu.

– A jak daleko było z twojej rezydencji nad rzekę? – upewnił się Daeman.

– Trzy i pół mili – wyręczyła przyjaciółkę Hannah. Dziewczyna stała po drugiej stronie pojazdu, u boku Odyseusza.

– Na pewno nie wejdiesz? Może chociaż na chwilę? – Ada zwróciła się do Savi.

– Nie mogę – odparła kobieta. Wyciągnęła dłoń i dziewczyna ją po chwili uścisnęła. Daeman nigdy jeszcze nie widział, by kobiety podawały sobie ręce.

– Lepiej będzie, jeśli na Harmana i Daemana zaczekam tutaj – dodała.

Ada zerknęła na kochanka.

– Bo ty chyba wejdiesz, prawda? Choć na minutę?

– Tylko żeby się pożegnać. – Zmierzyli się hardymi spojrzeniami.

– Czy możemy już iść?-jęknął płacząco Daeman. Oczywiście zdawał sobie sprawę jak to zabrzmiało, ale zupełnie się tym nie przejmował. W rezydencji czekała łazienka.

Zostawili Savi przy pojeździe i ruszyli w stronę Ardis. Kroczyli wśród łąnów sięgającej pasa trawy, co jakiś czas natykając się na stada pasących się



krów. Chłopak omijał te stworzenia szerokim łukiem. Nigdy nie czuł się swobodnie w pobliżu większych zwierząt. W pewnej chwili, pomiędzy ciemniejących przed nimi drzew wychynał wojnik.

– No, najwyższa pora! – ucieszył się Daeman. – Nikt normalny nie pokonuje piechotą takich odległości. Ej, ty! – Wymierzył palcem w obleczonego w żelazo i skórę wojnika. – Wracaj biegusiem do dworu i przyprowadź nam dwa duże kabriolety!

Wydarzyło się coś niewiarygodnego. Wojnik zignorował polecenie chłopaka i nadal zmierzał ku piątce towarzyszy. Ściślej rzecz ujmując, szedł prosto na Odyseusza.

Widząc zbliżającego się bezokiego robota, stary brodacz odepchnął od siebie Hanne.

– Pewnie jest po prostu zaintrygowany – odezwała się Ada, choć dziwnie bez przekonania. – Jak rozumiem, nigdy nie...

Wojnika od Odyseusza dzieliło już tylko pięć stóp. Grecki wojownik dobył miecza, jednym ruchem kciuka uruchomił wibracje i oburącz zamachnął się ostrzem, rozcinając na ukos niezniszczalny ponoć pancerz na torsie wojnika wraz z lewym ramieniem. Automat na moment po prostu zamarł w bezruchu, zapewne równie wstrząśnięty reakcją Odyseusza jak czwórka towarzyszy. Zaraz potem jednak górna połowa jego ciała zaczęła się zsuwać, zachybotać i spaść na ziemię, machając spazmatycznie ocalałymi kończynami. Dolna część korpusu i nogi wytrzymały jeszcze kilka sekund w pionie, po czym również padły na trawę.

Przez chwilę na łące panowała absolutna cisza, mącona jedynie szmerem wiatru. Wreszcie przerwał ją okrzyk Harmana.

– Po jaką cholere to zrobiłeś?! – Rośliny i ziemia dokoła były zachłapane błękitną, gęstą jak krew cieczą.

Odyseusz wskazał palcem prawe ramię wojnika, wciąż przytwierdzone do dolnej części stworzenia.

– Wyciągnął na mnie te swoje ostrza – stwierdził, wycierając miecz o trawę.

Miał rację. Teraz już wszyscy zdążyli zauważyć zabójcze ostrza – zazwyczaj służące do obrony ludzi przed zagrożeniami w rodzaju dinozaurów.

– Nic z tego nie rozumiem – przyznała Ada.

– Wojniks cię nie rozpoznał – powiedziała Hannah, cofając się o krok dalej od brodacza. – Być może uznał, że jesteś dla nas niebezpieczny.

– Nie – odparł zwięźle Odyseusz i wsunął miecz do pochwy.

Daeman przyglądał się rozplatanemu wojniksowi z lękiem i fascynacją – wewnątrz widać było miękkie, białe narządy, plątaninę niebieskich kanalików oraz kiście czegoś, co przypominało różowe winogrona. Nie zobaczył natomiast widoku, jakiego spodziewał się od zawsze, czyli pełnego zębatych kół i przekładni mechanizmu. Szybki i brutalny atak wojownika, połączony z obrazem bielejących wnętrzności, przyprawił go o mdłości. Mało brakowało, a popuściłby jak dziecko.

– Chodźmy już – rzucił i ruszył w stronę dworu.

Pozostali pomyłkowo uznali, że wziął na siebie ciężar przywództwa i poszli za nim.

\* \* \*

Dopiero kiedy Daeman spokojnie się załatwił, wziął długi prysznic, ogolił się i poleciał pierwszemu napotkanemu serwitorowi, by przyniósł mu świeże ubrania, kiedy już odwiedził kuchnię, gdzie zwędził coś na ząb, zdał sobie sprawę, że kontynuowanie wyprawy w towarzystwie Harmana i obłąkanej staruchy byłoby czystym szaleństwem. Po co właściwie miał z nimi lecieć?

Mimo nieobecności Ady (choć może właśnie z jej powodu) dwór Ardis pełen był tradycyjnie skorych do zabawy znajomych. Serwitorki zaspokajały wszelkie ludzkie potrzeby. Donosiły jedzenie i rozdawały napoje. Młodzi przyjaciele gospodyni – w tym kilka prześlicznych dziewczyn, które Daeman poznał na innych bankietach, w poprzednim szczęśliwym życiu, zanim spotkał Harmana i usłyszał wygadywane przez niego głupoty – wesoło spędzali czas i grali w piłkę na przestronnym, porastającym wzgórzu trawniku. Nastął cudowny wieczór, długie cienie kładły się łagodnie na trawie, śmiech niósł się w powietrzu niczym dźwięk dzwonek. Serwitorki nakryły do kolacji przy długim stole pod rozłożystym wiązem.

Chłopak uświadomił sobie, że może tu zostać. Najadłby się do syta

i porządnie wyspał, lub, co bardziej kuszące, kazałby wojnikowski przygotować kabriolet, odwieźć się do portalu i walnąłby się do własnego łóżka w Kraterze Paryskim, zaraz po pochłonięciu późnej, przygotowanej przez matkę kolacji. Daeman tęsknił za nią z każdą chwilą bardziej; w końcu nie kontaktowali się ze sobą już od ponad dwóch dni. Zerknął na stojącego na podjeździe przed domem wojnika i poczuł ukłucie niepokoju – ataku Odyseusza nie dało się niczym usprawiedliwić. Facet zachował się jak idiota.

Wojnikowski się nie niszczy. Nikt tego nie robił. Równie dobrze można by podpalać bryczki lub demolować własne domicyły. Zupełnie bez sensu, a wybryk barbarzyńcy stanowił tylko kolejny powód, dla którego chłopak powinien natychmiast się z tą zgrają rozstać.

Gdy zszedł po schodach na podjazd, spostrzegł Harmana i Adę. Rozmawiali cicho, wyraźnie rozemocjonowani. Nieco niżej na stoku Hannah przedstawiała Odyseusza kilku zaintrygowanym gościom.

Wojnikowsy trzymały się od brodacza z daleka, lecz Daeman nie miał pojęcia, czy nie jest to tylko zbieg okoliczności. Czy one potrafią się w ogóle ze sobą porozumiewać? A jeśli tak, to w jaki sposób? W obecności chłopaka nigdy nie wydały z siebie nawet jednego dźwięku.

Skinął na wojnika i zamówił kabriolet dokładnie w chwili, w której rozmowa Harmana z Adą dobiegła końca – dziewczyna wróciła do domu, Harman odwrócił się na pięcie i ruszył ścieżką w kierunku czekającego na pastwisku sonika. Kiedy starszy mężczyzna zrównał się z chłopakiem, patrzył tak ponuro, że Daeman odruchowo cofnął się o pół kroku.

– Lecisz z nami?

– Ja... ten, no... Nie – wydukał chłopak.

Podbiegł wojnik, ciągnąc za sobą jednokołowy kabriolet. Obicie siedzenia połyskiwało w wieczornym świetle. Żyroskopy brzęczały cicho.

Harman nie skomentował. Po prostu odszedł na pola.

Daeman wsiadł do pojazdu. Rzucił wojnikowski komendę „Do faksportalu” i rozsiadł się wygodnie, kiedy pojazd zachrzęścił na żwirku. Jedną z dziewczyn, które zauważył wcześniej na trawniku – na imię miała chyba Oelleo – wykrzyknęła kilka słów pożegnania. Powóz łagodnie stoczył się ze wzgórza ku drodze. Milczący wojnik truchtał miarowo między dyszlami.

– Stać! – powiedział w pewnej chwili chłopak.

Wojniks zatrzymał się natychmiast, nie opuszczając kabrioletu na ziemię. Żyroskop wciąż cicho pomrukiwał.

Daeman odwrócił się i spojrzał za rezydencję, lecz Harman zdążył już zniknąć między drzewami.

Niepewny, po co to robi, chłopak spróbował sobie przypomnieć, przy jakiej okazji poznał Oelleo.

Może na tym przyjęciu w Bellinbadzie, dwa lata temu? A może w Chom, kilka miesięcy wcześniej, na Czwartej Dwudziestce Verny? Albo podczas jednego z nocnych bankietów w Kraterze Paryskim?

Nie pamiętał. A czy poszedł z nią do łóżka? Z pewnością widział jej nagie ciało, ale mógł je zobaczyć przy okazji jakiejś imprezy nad basenem, albo w trakcie jednego z szalenie modnych w zeszłym roku pokazów żywej sztuki. Nie był pewien, czy ze sobą spali. Miał na koncie wiele podobnych przygód.

Wyteżył pamięć i sięgnął do obchodów Drugiej Dwudziestki Tobiego w Ułanbacie. Marne trzy dni temu. Niewyraźne wspomnienia zlewały się jedne z drugimi – obrazy seksu, alkoholu i roześmianych twarzy. Zupełnie jak na wszystkich bankietach urządzanych w pobliżu zamieszkałych portali. Kiedy jednak poszukał w pamięci Suchej Doliny na... jak się to miejsce nazywało? Antarktyda?... A potem góry lodowej i zawieszzonego nad Machu Picchu mostu Golden Gate... Nawet gdy wspomniał ten koszmarny, sekwojowy las... okazało się, że pamięta to wszystko jasno i wyraźnie.

Wysiadł z pojazdu i ruszył przez łąkę. Przecież to czyste szaleństwo, przemknęło mu przez myśl.

Normalnie obłąd.

W połowie drogi do lasu puścił się biegiem.

Gdy zasapany i zlany potem znalazł się na miejscu lądowania sonika, nikogo już nie zastał.

Przywitał go tylko odcisk podwozia w trawie.

– Cholera! – burknął pod nosem, patrząc w wieczorne niebo, gdzie niezmiennie krążyły oba pierścienie. Równikowy i biegunowy. – Cholera! – powtórzył i ociężale klapnął na śliski od mchu, kamienny murek. Za plecami chłopaka zachodziło słońce. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu zebrało mu

się na płacz.

Wtem, z północy, nadleciał sonik. Zakręcił i zawisł dziesięć stóp nad ziemią.

– Coś mi mówiło, że jeszcze się namyślisz! – zawołała Savi. – Podrzucić cię?

Daeman wstał.

\* \* \*

Polecieli na wschód, prosto w ciemność. Wzbili się na taką wysokość, że widać było poświatę rzucaną przez pierścienie i gwiazdy na grzbiety chmur, rozświetlanych od wewnątrz rozbłyskami piorunów, które niczym białe jelita przeświecały przez mlecznobiałe cielska. Wieczorem zatrzymali się na wybrzeżu i przenocowali w dziwnym domu na drzewie, składającym się z niewielkich domicyli, połączonych kładkami i krętymi schodami. Mimo że w pokojach dostępna była bieżąca woda, Daeman nie zauważył w okolicy żadnych serwitorów, wojniksów, ani innych ludzi czy osiedli.

– Wiele znasz podobnych kryjówek? – Harman zwrócił się do staruszki.

– Owszem – przyznała. – Wiesz, nie licząc waszych trzystu faksowęzłów, większość Ziemi jest zupełnie pusta. A w każdym razie wyludniona. Mam kilka ulubionych zakamarków.

Siedzieli w czymś w rodzaju jadalni na wolnym powietrzu, urządzonej na platformie zawieszanej w połowie wysokości strzelistego drzewa. Na polance poniżej migotały świetliki. Stojące w trawie wielkie, starożytne i przerdzewiałe maszyny niknęły wśród gęstych liści paproci. Błada aura pierścieni przedzierała się przez zarośla i malowała trawę miękką białą poświatą. Burzowe chmury, które minęli po drodze, nie zdążyły jeszcze dotrzeć tak daleko na wschód. Noc była ciepła i pogodna. Mimo nieobecności serwitorów zamrażarki były wypełnione jedzeniem, a Savi pokazała im jak ugotować makaron, mięso i ryby. Daeman zaczynał się powoli oswajać z dziwacznym pomysłem własnoręcznego przyrządzania posiłków.

– Savi, wiesz może, dlaczego postludzie opuścili Ziemię? – zapytał nagle Harman.

Daeman przypomniał sobie niezwykłą wizję, jakiej doznał wśród olbrzymich sekwoi, i towarzyszące jej niezrozumiałe informacje. Na samo wspomnienie poczuł wzbierającą nudność.

– Tak – odpowiedziała kobieta. – Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Opowiesz nam? – nacisnął Harman.

– Nie teraz – odparła staruszka. Wstała z miejsca, weszła po krętych schodach i zniknęła w oświetlonym domicylu dziesięć metrów wyżej.

Harman i Daeman wymienili się spojrzeniami. Okazało się jednak, że nie mają sobie nic do powiedzenia, więc rozeszli się do kwater i ułożyli do snu.

Nad Atlantykiem przelecieli szybko, cały czas kierując się wzdłuż Bruzdy. Zanim jeszcze ujrzeli ląd, skręcili na południe i poszybowali równoległe do konstrukcji, którą Savi nazwała Dłoni Herkulesa.

– Doprawdy niesamowite – zachwycił się Harman i prawie uklęknął, by lepiej się przyjrzeć.

Daeman musiał mu przyznać rację. Po ich lewej stronie, pomiędzy wielką skałą o płaskim wierzchołku (Savi podpowiedziała, że góra nazywa się Gibraltar) – a nieco niższym szczytem, oddalonym o mniej więcej dziewięć mil na południe, morze po prostu się urywało, powstrzymywane przez szereg gigantycznych, sterczących z dna, odlanych ze złota ludzkich dłoni.

Rzeźby mierzyły sobie ponad pięćset stóp wysokości i blokowały wodom oceanu dostęp do Basenu Śródziemnego, opadającego na wschodzie głęboką, skrytą w chmurach i mgłę doliną.

– Dlaczego postłudzie postawili tu akurat ręce? – zdziwił się chłopak, kiedy dotarli nad południowy skraj zamglonego Basenu i ponownie zawrócili na wschód. – Przecież mogli po prostu zbudować tamę z pola siłowego, taką jak ściany Bruzdy.

Staruszka pokręciła głową.

– Dłonie Herkulesa pojawiły się w tym miejscu zanim jeszcze przyszedł na świat. Postłudzie nigdy nie tłumaczyli, dlaczego je skonstruowali. Osobiście zawsze podejrzewałam, że był to po prostu kaprys.

– Kaprys... – powtórzył z niepokojem Harman.

– Jesteś pewna, że nie możemy przelecieć ponad doliną Basenu? – zapytał chłopak.

– Jestem – odparła Savi. – Sonik runąłby na ziemię jak kamień.

Aż do późnego popołudnia frunęli nad mokradłami, jeziorami, lasami paproci i szerokimi rzekami, przecinającymi rejon nazywany według przewodniczki Saharą Północną. Wkrótce podmokłe tereny ustąpiły krainie bardziej skalistej i suchej. Liczące setki sztuk stada wielkich pasiastych zwierząt były to dinozaury, lecz dorównywały im rozmiarami – majestatycznie przemierzały trawiaste sawanny i kamieniste płaskowyże.

– Co to za stworzenia? – zainteresował się Daeman.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała Savi.

– Gdyby był z nami Odyseusz, na pewno chciałby któreś upolować na kolację – zauważył Harman.

Kobieta odburknęła coś niewyraźnie.

Pod wieczór Savi sprowadziła sonik niżej i okrążyli dziwne, otoczone murami miasto wzniesione na wzgórzu oddalonym od Basenu Śródziemnego tylko o dwadzieścia pięć mil. Wylądowali na skalistej równinie na zachód od niego.

– Co to za miejsce? – zapytał chłopak. Jeszcze nigdy nie widział tak starych budowli. Ich widok, nawet z daleka, przyprawiał go o ciarki.

– Jerozolima – wyjaśniła staruszka.

– Wydawało mi się, że planujemy zejść na dno Basenu i poszukać statków kosmicznych – przypomniał Harman.

Kobieta wysiadła z pojazdu i rozprostowała kości. Wyglądała na bardzo zmęczoną. Cóż, uznał Daeman, w końcu pilotowała sonik przez całe dwa dni.

– I tak też zrobimy – odpowiedziała. – Tutaj znajdziemy transport. Poza tym chcę, żebyście coś zobaczyli akurat o zachodzie słońca.

Zapowiedź zabrzmiała w uszach Daemana cokolwiek złowieszczo. Niemniej poszedł za towarzyszami przez skalistą równinę. Minęli gruzy dawnych przedmieść i nowszych osiedli starożytnego miasta. Wszędzie otaczały ich ruiny. Z upływem czasu budynki zmieniły się w kamienie, a potem w sterty żwiru. Savi powiodła ich przez miejską bramę i przez cały czas plotła niestworzone historie. Suche powietrze stopniowo stygło, nisko zawieszony słońce oblewało prastare budowle ciepłą, intensywnie kolorową łuną.

– Brama nosiła nazwę Jafskiej – powiedziała, jakby to miało jakiegokolwiek

znaczenie. – A teraz idziemy ulicą Dawida, która w dawnych czasach stanowiła granicę pomiędzy dzielnicą chrześcijańską i ormiańską.

Harman rzucił okiem na Daemana. Chłopak zrozumiał, że nawet starszy, uczony mężczyzna, tak dumny ze swej do niczego nieprzydatnej umiejętności czytania, słowa „chrześcijański”

i „ormiański” słyszy po raz pierwszy w życiu. W pewnej chwili rozgadana Savi pokazała im ruinę, którą nazwała Bazyliką Grobu Pańskiego. Przez jakiś czas pozwalali kobiecie mówić, aż wreszcie przerwał jej Daeman.

– Czy tutaj też nie ma wojniksów i serwitorów?

– Teraz już nie – odpowiedziała przewodniczka. – Ale kiedy moi przyjaciele Pinchas i Petra odwiedzili Jerozolimę tuż przed ostatnim faksowaniem, tysiąc czterysta lat temu, wtedy w pobliżu zachodniego muru uaktywniły się nagle dziesiątki tysięcy wojniksów. Nie mam pojęcia dlaczego. – Przystanęła i popatrzyła na obu towarzyszy. – Bo wiadomo wam chyba, że wojniksy pojawiły się nagle? Że wynurzyły się z chronoklastycznej chmury dwieście lat przed ostatnim faksowaniem.

prawda? Tyle że wtedy były nieruchome, ot, rdzewiejące rzeźby z żelaza. Zupełnie nie przypominały obecnych posłusznych służących. Dobrze, byście o tym pamiętali.

– Rozumiem – powiedział Harman z nutą pobłażliwości w głosie. Starucha w oczywisty sposób bredziła. – Ale przecież mówiłaś wcześniej, że podczas ostatniego faksowania byłaś w swoim lodowym domu na Antarktydzie – dodał. – Więc skąd wiesz, co robili twoi przyjaciele i wojniksy?

– Z archiwów dalekosieci, bliskosieci i wszechsieni – odparła kobieta. Odwróciła się i poprowadziła ich biegnącą na wschód ulicą.

Harman ponownie zerknął na Daemana, jakby chciał powiedzieć, że coraz bardziej martwi się o psychiczne zdrowie Savi. Chłopak jednak poczuł nagły przypływ dziwnej emocji – dumy? może poczucia wyższości? – kiedy uświadomił sobie, że przecież doskonale wie, czym jest dalekosieć, a nawet bliskosieć. Popatrzył na swoją dłoń i aktywował funkcję lokalizatora, lecz wyświetlacz nie pokazał niczego. Ciekawe, co by się stało, gdyby wyobraził sobie cztery niebieskie prostokąty nad trzema czerwonymi kołami i czwórką zielonych trójkątów, by wywołać funkcję, której wczoraj, na leśnej polanie,



nauczyła go Savi?

Staruszka zatrzymała się i, jakby czytając mu w myślach, powiedziała: - Widzisz, tutaj podłączanie się do wszechsieci nie jest najlepszym pomysłem. Nie zatonąłbyś tutaj w wirtualnym obrazie przepływów energii i mikroklimatu jak wtedy w lesie. Nie w Jerozolimie. Tutaj ujrzałbyś całe pięć tysięcy lat cierpień, grozy i antysemityzmu.

- Antysemityzmu? - zaciekawił się Harman.

- Nienawiści do Żydów - wyjaśniła Savi.

Harman i Daeman wymienili się zdziwionymi spojrzeniami. Nie zrozumieli. Wiedźma wciąż opowiadała im bajki.

Chłopak zaczął żałować, że zdecydował się z nimi polecieć. Z głodu czuł ssanie w żołądku.

Słońce opuszczało się coraz niżej. Nie miał pojęcia, gdzie złoży tej nocy głowę, przeczuwał jednak, że nie będzie to wygodne łóżko.

- Chodźcie - rzuciła Savi i poszli za nią dalej przez zrujnowane ulice i sypiące się odrzwia.

Przemierzyli wąską alejkę i znaleźli się na placu, na którym dominowała wysoka, naga ściana.

- Po to nas tu przyprowadziłaś? - rzucił rozczarowany Daeman. Ślepy zaułek otaczały kamienne budynki i niskie murki. Tylko na tej jednej, wielkiej ścianie wznosiła się metalowa, niedostępna z dołu konstrukcja.

- Cierpliwości - rzuciła Savi i, mrużąc oczy, spojrzała na zachodzące słońce. - Dzisiaj wypada Tisza be-Aw, tak samo jak w dniu ostatniego faksowania.

- Tisza be-Aw? - powtórzył Harman, wyczerpany już i zniechęcony powtarzaniem nic nie znaczących dźwięków.

- Dziewiąty dzień miesiąca Aw-odpowiedziała Savi. - Dzień płaczu. Rocznicą zniszczenia obu świątyń. Pierwszej i drugiej. Wydaje mi się, że tę heretycką trzecią świątynię wojniksy wzniosły dokładnie w dzień ostatniego faksowania. - Wymierzyła palcem w czarną stalową muszlę za murem.

Nagle rozległ się hurgot, tak głośny, że Daeman poczuł wibracje aż w kościach i zębach.

Popatrzyli po sobie z Harmanem i obaj cofnęli się instynktownie o krok.

Przepełnione ozonem powietrze było tak naelektryzowane, że chłopakowi włosy stanęły dęba i zafalowały niczym łąka w wietrzny dzień. Z metalowej kopuły wystrzelił gruby na sześćdziesiąt stóp piorun, pomknął przez wieczorne niebo i sięgnął przestworzy, znikając im z oczu tuż obok niezmordowanie obracającego się wokół Ziemi równikowego pierścienia.

*Candor Chasma*

Przez osiem marsjańskich dni i nocy niosące ze sobą tumany pyłu, huraganowe powiewy targały dziesięciometrowymi falami, śpiewały żałośnie w takielunku i pędziły niewielką felukę na północ, ku zawietrznemu brzegowi i nieuchronnej śmierci zielonej załogi i obu morawców.

Emzetele znały się na żeglarskim fachu, lecz nieruchomiały na noc i nie podejmowały pracy również przez większość dnia, kiedy słońce kryło się za lotnymi kłębami piachu. Mahnmut – kierujący statkiem samotnie, odkąd ludziki ukryły się w mroku pod pokładem i usnęły skulone w niszach, zabezpieczone przed gwałtownymi przechyłami – miał wrażenie, że steruje okrętem umarłych. Zupełnie jak w „Drakuli” Stokera, który opisał statek doprowadzony do portu przez martwą załogę.

Żagle feluki nie były płócienne, sporządzono je z wytrzymałego i lekkiego polimeru, lecz brutalne smagnięcia południowo-wschodniego wiatru, oraz niesione sztormowymi powiewami drobiny piachu i kamyki rozszarpały je na strzępy. Pokład nie zapewniał już bezpieczeństwa, więc – podczas jednego z przelotnych okresów aktywności – dwudziestka Marsjan pomogła Mahnmutowi wyciąć w śródokręciu odpowiednich rozmiarów otwór i wspólnie opuścili Orphu do ładowni, gdzie mniejszy morawiec zbudował dla przyjaciela schronienie z brezentu i zapasowych desek. Jemu również doskwierał dostający się między spawy i pod obudowę kurz. Wrażenie było szczególnie dotkliwe, kiedy pomagał Emzetelom w obsłudze feluki. Dlatego właśnie najczęściej przebywał pod pokładem, sprawdzał liny i śruby zabezpieczające morawca z lo. Stateczek miotał się z boku na bok, kołysał

czterdzieści stopni w jedną bądź drugą stronę, a fale – niosące ze sobą kaleczący, czerwony jak krew pył – wciskały się we wszelkie możliwe szpary. Kilkanaście Emzeteli, za każdym razem kiedy się budziły, zajmowało się wypompowywaniem wody z ładowni i dolnych pokładów.

Nocami pompę obsługiwał jedynie osamotniony Mahnmur.

Zanim żagle, takielunek i kotwica uległy burzy, zdążyli skorzystać z porywistego wichru i dotarli najdalej jak mogli w głąb śródlądowego morza. Pracowali ciężko, zmagając się z furkocącym olinowaniem i przelewającymi się przez dziób falami. Chcieli odpłynąć jak najdalej od strzelających na kilometr klifów północnego brzegu. Ostatecznie, w ciągu dwóch pierwszych dni sztormu, pokonali setki kilometrów. Znaleźli się gdzieś pomiędzy Coprates Chasma i archipelagiem Melas Chasma. Z prawej burty powinni mieć kręte, zalane wodą kaniony Candor Chasma.

Potem jednak sztorm przybrał na sile, niebo pociemniało, a Emzetele ukryły się pod pokładem, gdzie przywiązały się linami i zaległy nieruchomo w półmroku. Obie polimerowe kotwice – dziobowa i rufowa – wleczone setki metrów pod dnem statku, zerwały się tego samego dnia.

Mahnmur pamiętał, że gdzieś w okolicy otwierają się szerokie zatoki Candor Chasma, lecz system nawigacyjny milczał, zagłuszany przez naładowany elektrostatycznie, niesiony burzowymi porywami piach. Ponadto już od dwóch dni nie widzieli ani jednej gwiazdy, o słońcu nie wspominając. Od wznoszących się gdzieś na północy śmiertelnie niebezpiecznych urwisk mogło ich dzielić ledwie pół godziny drogi.

– Myślisz, że zatoniemy? – spytał Orphu czwartego dnia po południu.

– Są spore szanse, że tak – odpowiedział Mahnmur. Nie miał zamiaru przyjaciela okłamywać, lecz spróbował odpowiedzieć niejednoznacznie.

– Dasz radę płynąć w takich warunkach? Nieźle kołysze. – Morawiec zło dobrze zrozumiał, że wspomniane wcześniej szanse nie dotyczą ich przeżycia.

– Nie wydaje mi się – mruknął Mahnmur. – Oczywiście zawsze mogą zanurkować.

– Ja pójdę na dno jak przysłowiowy kamień. – Orphu zarechotał cicho. – Jak głęboko jest w tej okolicy Valles Marineris? Zapomniałem, co mówiłeś.

– Bo nie mówiłem.

– Więc powiedz mi teraz.

– Mniej więcej siedem kilometrów – oszacował Mahnmut. Godzinę wcześniej badał dno sonarem.

– Zniesiesz ciśnienie na takiej głębokości? – zapytał Orphu.

– Tak. Pracowałem już w gorszych warunkach. Do tego mnie zaprojektowano.

– A ja? Jak sądzisz?

– Hmm... nie wiem – odparł Mahnmut.

Nie skłamał, lecz pamiętał, że morawce typu Orphu konstruowano z myślą o funkcjonowaniu w pozbawionej wszelkiego ciśnienia próżni. Kadłub przyjaciela mógł ewentualnie wytrzymać niezbyt częste wypadki w górne warstwy atmosfery gazowego giganta, tudzież wycieczki w głąb siarkowych kominów lo. Nikt jednak nie myślał o wysyłaniu go w słone głębiny mórz, kilka tysięcy metrów pod powierzchnię. Prawdopodobnie zatem Orphu zostałby zmiażdżony, zredukowany do rozmiarów puszki, nim pokonałby połowę drogi do dna.

– A czy uda nam się dobić do brzegu? – upewnił się Orphu.

– Myślę, że nie – odparł Mahnmut. – Klify są tu bardzo wysokie i strome. A podnóże tych urwisk usiane jest wielkimi skałami. Zakładam, że przy tej pogodzie fale osiągają wysokość pięćdziesięciu lub nawet stu metrów.

– Ciekawe rzeczy prawisz – skonstatował Orphu. – Ale może Emzetele doprowadzą nas do jakiegoś portu?

Mahnmut rozejrzał się wśród cieni dolnego pokładu. Marsjanie leżeli przywiązani do ciężkich przedmiotów. Przypominali wypchane chlorofilem lalki. Zielone ramiona i nogi falowały w rytm wściekłych podskoków feluki.

– Sam nie wiem – powiedział, nie próbując nawet ukryć sceptycyzmu.

– W takim razie musisz coś zrobić – skwitował Orphu.

\* \* \*

Mahnmut zrobił wszystko, co tylko przyszło mu do głowy. Piątego dnia, kiedy niebo zaciągnęła szkarłatna ciemność, wiatr szarpał strzępami żagli, Emzetele wciąż czekały pod pokładem, powiązane niczym wiązki chrustu na

opał, a unieruchomione koło sterowe prowadziło statek niezmiennie na wprost, morawiec zebrał pozostałości żagli, po czym poszukał grubych nici i igieł, którymi Marsjanie cerowali polimerową tkaninę. Jemu szło znacznie gorzej. Feluka chybotwała się na wszystkie strony, w burtę co chwila uderzały piętnastometrowe bałwany, woda raz po raz zalewała śródokręcie.

Najpierw zrobił prowizoryczną dryfkotwę i zrzucił ją z dziobu, by ustawić statek przodem do wiatru. Próbował w ten sposób uniknąć niewidocznych, lecz tym bardziej groźnych, przybrzeżnych skał. Kiedy zaczął zszywać trójkątny grot, puściły przeprowadzone pod pokładem liny sterowe.

Statkiem szarpnęło, pokład omiotły czerwone fale, po czym gwałtownie zawirowali. Feluka wyrównała kurs dopiero, kiedy ściany wody uderzyły w rufę. Przed wywrotką ocaliła ich jedynie prymitywna dryfkotwa. Mahnmur przeszedł na dziób i kiedy rdzawe chmury na chwilę się rozstały, a feluka wskoczyła na grzbiet kolejnej, gnanej huraganowymi powiewami fali, ujrzał niewyraźne, przesłonięte kropelkami wody, spiętrzone urwiska północnego brzegu Valles Marineris. Błyskawicznie obliczył, że zderzą się z nimi za niecałą godzinę. Musiał naprawić ster.

Zabezpieczył się liną i wskoczył do wody, by się upewnić, że ster wciąż jest na swoim miejscu. Był, lecz obracał się swobodnie w obie strony. Pod niemiłosiernym naporem fal morawiec wygramolił się po linie na pokład, dobrnął na śródokręcie, zszedł po schodach i znalazł awaryjną sterówkę – zwykłą platformę, skąd w razie uszkodzenia głównego mechanizmu Emzetele mogły kierować statkiem, pociągając za sznury. Okazało się, że obie liny sterowe zwisają luźno, więc zszedł po drabince jeszcze niżej w mrok, który rozproszył, włączając reflektory na piersi i ramionach.

Wciągnął manipulatory i zastąpił je roboczymi ostrzami, po czym rozpiłował pokład do miejsca, gdzie jak sądził, puściły liny. Nie miał naturalnie pojęcia, czy starożytne, ziemskie feluki budowano wedle podobnego projektu – szczerze w to wątpił – lecz tym statkiem sterowało się za pomocą ciężkiego, podwójnego koła, podczepionego dwoma konopnymi sznurami, biegnącymi wzdłuż burt, przechodzącymi po drodze przez skomplikowany system bloków i zbiegającymi się na powrót u długiego drewnianego trzpienia, który poruszał samą płetwą steru. W ciągu wielotygodniowego rejsu zdążył

poznać zarówno ożaglowanie, jak i takielunek i wszystkie pozostałe mechanizmy statku. Wiedział, że jeśli któraś z grubych lin po prostu pękła pod naporem sztormu, zdoła je powiązać, lecz w tym celu musiał mieć do nich dostęp. Gdyby puściły przy samym sterze, całą załogę czekała nieuchronna zguba. Zastanowił się. Czy zdoła w ostatniej chwili wyskoczyć, przepłynąć wśród gwałtownie bijących o brzeg fal i ominąć strome urwiska? Czy znalazłby na tysiąckilometrowym wybrzeżu Candor Chasma spokojną zatokę, gdzie mógłby wydostać się na suchy ląd? Pewne było jedno – nie mógł zabrać ze sobą Orphu. Dostał się do kanału, którym biegły liny sterowe, wzmocnił światła reflektorów i rozejrzał się dokoła. Lin nie było.

– Wszystko w porządku? – zapytał Orphu.

Na dźwięk głosu przyjaciela Mahnmut aż podskoczył.

– Jasne – zapewnił. – Właśnie naprawiam ster.

Są! Znalazł końce zerwanych lin. Od strony rufy wsunęły się mniej więcej sześć metrów w drewnianą rynnę. Przednie końce zobaczył dziesięć metrów dalej, bliżej dziobu. Biegając w tę i z powrotem, roztrzaskał deski, wy dobył liny z prowadnicy i napiął je z całych sił, wykorzystując ostatnie ergi energii swoich akumulatorów.

– Na pewno jest dobrze? – zaniepokoił się Oprhu.

Mahnmut wciągnął ostrza, zamienił je na manipulatory i przestawił silniczki w tryb precyzyjny.

Splatał konopne sznury tak szybko, że jego stalowe palce rozmywały się w blasku rozpraszających mrok halogenów. Co chwila zalewała go woda. Feluka chwiała się, raz po raz podskakując i opadając na grzbietach straszliwych fal. Przy każdym uderzeniu bałwana w rufę Mahnmut mocno zapierał się nogami i czekał na dźwięk przypominający artyleryjski ostrzał. Wiedział, że z każdą chwilą zbliżają się do śmiertelnie groźnego urwiska.

– Tak. Wszystko w porządku – odpowiedział, nie przerywając gorączkowej pracy. Związywał ze sobą pojedyncze konopne pasma. Za pomocą wbudowanych w nadgarstki laserów łączył metaliczne włókna wzmacniające organiczny surowiec lin. – Tyle że jestem troszkę zajęty.

– Rozumiem. Odezwę się za kilka minut – obiecał Oprhu.

– Dobra – rzucił Mahnmut.

Jeżeli nie uda mi się naprawić steru, przemknęło mu przez myśl, roztrzaskamy się za pół godziny.

Powiem mu kwadrans wcześniej.

– Świetny pomysł – dodał. – Pogadamy za chwilę.

\* \* \*

Bezimienna feluka nie była co prawda „Mroczną damą” lecz udało się ją doprowadzić do porządku.

Znowu mógł żeglować. Wyszedł na pokład rufowy i chwycił za koło sterowe. Stał w szerokim rozkroku. Wysoki, smagany bez przerwy falami brzeg majaczył niecały kilometr przed dziobem.

Naprędce zacerowane żagle ciężko pracowały na masztach. Liny trzymały i ster reagował jak należy. Zmagając się ostatkiem sił z mechanizmem, Mahmut skierował statek pod wiatr i skontaktował się z Orphu, by przedstawić mu zarys sytuacji. Tym razem powiedział prawdę – wszystko wskazywało na to, że za piętnaście minut rozbiją się o skały, lecz zacięta walka nie dobiegła jeszcze końca. Mogło się udać.

– Doceniam twoją szczerłość – powiedział Orphu. – Mógłbym ci jakoś pomóc?

Mahmut naparł całą swą masę na koło sterowe. Próbował zarazem zawrócić i nie doprowadzić do wywrotki.

– Ja z kolei potrafię docenić dobrą radę – odparł.

Felukę wciąż siekły chmury kaleczącego piachu. Wiatr nie słabł nawet na moment. Liny śpiewały, łopotały strzepy porwanej polimerowej tkaniny. Dziób zniknął wśród białej piany, która ochlapała też stojącego dwadzieścia metrów dalej Mahmuta.

– „Znowu tutaj? Czego wam się zachciewa? Żebyśmy wszystko rzucili w diabły i statek poszedł na dno? Macie ochotę się utopić?”[6].

Mahmut dopiero po chwili zrozumiał, że przyjaciel cytuje szekspirowską „Burzę”. Kiedy niemal nieważki statek wspiał się na szczyt kolejnej fali, obejrzał się i zobaczył, że kilometrowej wysokości klif wciąż się przybliża. Przywołał do pamięci podręcznej tekst dramatu i zawołał: – „A niechże cię



zaraza! Udław się swoimi bluźnierstwami, niegodziwy psie".

- „Tak? To zakasać rękawy i bierzcie się sami do roboty".

- „Powieś się, kundlu jeden, sukinsynu, chamie wrzaskliwy!". – Mahnmut przekrzykiwał zawodzący przeraźliwie wicher i bijące gwałtownie grzywacze. Zapomniał, że przez radio można mówić ciszej. – „Mniej się boimy utonąć niż ty".

- „Kto jak kto, ale on nie utonie, choćby okręt był wątył jak łupina orzecha i dziurawy jak ciekająca dziewczka...". Mahnmut, przyjacielu? Przyznam, że nie mam pojęcia co to takiego, ta „cieknąca dziewczka"?

- Kobieta w trakcie menstruacji – podpowiedział Mahnmut, próbując obrócić kołem w prawo.

Zalewały go tony wody. Nie widział już wznoszących się z tyłu urwisk, zniknęły w czerwonej mgle, zasłonięte wysokimi falami. Wciąż jednak wyraźnie czuł ich obecność.

- Ach... – zająknął się Orphu. – Dosyć krępująca sprawa. Na czym to ja skończyłem?

- „Pod wiatr stanąć" – przypomniał Mahnmut.

- „Pod wiatr stanąć, pod wiatr! Na pełne morze! Jak najdalej od brzegu!".

- „Wszystko na nic!" – zacytował w odpowiedzi Mahnmut. – „To już koniec! Módlmy się...".

Chwila...

- Chwila? Tego chyba nie pamiętam?

- Zaraz, moment... W klifie jest szczelina. Jakby zatoka między skałami!

- Damy tam radę wpłynąć?

- Możliwe, że to nie zatoka, a odpływ Candor Chasma. Jeśli tak, miejsca będzie więcej niż w Conamara Chaos na Europie!

- Nie pamiętam jak szeroka jest Conamara Chaos – stwierdził Orphu.

- Większa od trzech amerykańskich wielkich jezior i Zatoki Hudsona na dokładkę – rzucił Mahnmut. – Tak naprawdę Candor Chasma jest po prostu śródlądowym morzem. Tysiące kilometrów kwadratowych swobody. Żadnych brzegów po zawietrznej!

- I to dobrze, tak? – upewnił się Orphu, który wyraźnie nie miał zamiaru rezygnować z pesymizmu.

– W każdym razie mamy szansę – odparł Mahnmut, wybierając szot rozdartego żagla. Odczekał, aż feluka przesadzi kolejną falę, i zakręcił kołem. Ciężki statek chybotliwie skierował się w prawo i wymierzył dziobem w powiększającą się szczelinę, ziejącą w skalistym brzegu.

\* \* \*

Sztorm ustał ósmego dnia po południu. Nisko wiszące chmury, smagnięcia wiatru, dziko spienione bałwany Candor Chasma – wszystko zniknęło jak ręką odjął, a krwawy deszcz zastąpiło błękitne niebo i spokojna toń morza. Małe zielone ludziki ocknęły się i wyszły ze schronienia, niczym zbudzone z poobiedniej drzemki dzieci.

Mahnmut ślaniał się na nogach. Mimo że korzystał z przenośnych baterii słonecznych, a od czasu do czasu posiłkował się energią akumulatorów, czuł się wyczerpany organicznie, umysłowo, cybernetycznie i emocjonalnie.

Emzetele z podziwem obejrzały zacerowane żagle, związane liny sterowe i resztę mechanizmów feluki, które Mahnmut naprawił przez ostatnie trzy dni. Zaraz potem zajęły się wypompowywaniem wody, myciem pokrytego czerwonym błockiem pokładu, zszywaniem pozostałych dziur w żaglach, uszczelnianiem nadwerężonego kadłuba i grodzi, reperowaniem spękanych masztów, rozplątywaniem takielunku i nawigacją. Mahnmut udał się na śródokręcie, gdzie nadzorował procedurę wyciągnięcia Orphu spod pokładu. Pomógł Marsjanom uwiązać przyjaciela do burt i rozciągnąć nad nim brezentową płachtę, po czym znalazł sobie ciepłe, nasłonecznione miejsce na uboczu. Wcisnął się między deski i zwoje lin, co pomogło mu nieco uspić nieustępliwą agorafobię, i zapadł w przyjemne odrętwienie. Mimo że wyłączył wzrok, bezustannie widział zbliżające się, olbrzymie fale, czuł gwałtowne kołysanie pokładu i słyszał skowyt huraganu. Wreszcie odważył się spojrzeć. Morze było spokojne aż po horyzont. Płynęli na południe, halsując pod łagodny, południowo-zachodni wiatr. Emzetele skierowały felukę z powrotem ku szerokiemu ujściu łączącemu Candor Chasma z Valles Marineris, w miejscu zwanym Meles Chasma. Mahnmut ponownie wyłączył wizję i pozwolił sobie na drzemkę.

Obudziło go lekkie muśnięcie w bark. Małe zielone ludziki podchodziły jeden za drugim i klepały go po ramieniu. Połączył się przez radio z przyjacielem i nadał komunikat o nietypowym zachowaniu żeglarzy.

– Niewykluczone, że chcą ci w ten sposób podziękować za uratowanie życia – stwierdził morawiec z lo. – Gdybym tylko miał ręce, sam bym cię chętnie pogłaskał.

Mahnmut nie odpowiedział, ale nie mógł uwierzyć, że Marsjanie zaczepili go właśnie z wdzięczności. Jak dotąd nie stwierdził, by odczuwali w ogóle jakiegokolwiek emocje. W końcu nawet na śmierć swoich tłumaczy reagowali beznamiętnie. Owszem, byli sprawnymi żeglarzami i zapewne zdawali sobie sprawę, że bez jego pomocy feluka poszłaby na dno, lecz nie wydawało się prawdopodobne, by tak nagle poczuli się zobowiązani.

– Możliwe też, że uznali, że przynosisz fart, i dotykają cię na szczęście – dodał Orphu.

Zanim Mahnmut zdołał wyrazić swoją opinię na temat drugiej z przedstawionych koncepcji, podszedł do niego ostatni Emzetel. Zamiast jednak stuknąć w wykonaną z węglowego włókna powłokę morawca i odejść, przyklęknął, sięgnął po prawą dłoń Mahnmuta i przyłożył do własnej piersi.

– O nie! – jęknął Mahnmut. – Oni chcą ze mną rozmawiać.

– I bardzo dobrze – ucieszył się Orphu. – Zebrało się sporo pytań.

– Ale odpowiedzi nie będą warte niczyjej śmierci – odparł Mahnmut, zmagając się z zielonym żeglarzem, który usilnie próbował wciągnąć jego dłoń do swoich trzewi.

– Tego nie wiesz – zauważył Orphu. – Nawet jeżeli Emzetele doznają czegoś zbliżonego do naszej śmierci, co moim zdaniem jest mocno wątpliwe. Poza tym, same zaproponowały. Pogadaj z nimi.

Mahnmut ustąpił i Marsjanin wsunął sobie jego rękę do piersi.

Morawca ponownie ogarnęły mdłości i poczuł wstrząs towarzyszący kontaktowi palców ze skórą i nurzającym się w ciepłej, słonawej mazi wnętrznościami. Tłumiąc odręzę, zacisnął palce na sercu Emzetela.

– Spróbuj nie gnieść tak mocno, jak ostatnio – zasugerował Orphu. – Jeśli mam rację i wymiana informacji następuje za pośrednictwem organicznych nanocząsteczek, mniejsza powierzchnia dotyku może zmniejszyć natłok myśli.

Mahnmut skinął głową, uświadomił sobie, że przyjaciel nie mógł tego zobaczyć, po czym skupił się wyłącznie na dziwnych wibracjach, płynących wzdłuż jego ramienia prosto do mózgu. Wreszcie odezwał się zielony ludzik: *Jesteśmy ci wdzięczni za uratowanie feluki.*

– Proszę bardzo – odpowiedział morawiec na głos, po to, by przekazać myśli nie tylko Emzetelowi, lecz również nasłuchującemu przez radio Orphu. – Kim jesteście? – zapytał. – Jak się nazywacie?

– Jesteśmy zekami.

Tego słowa Mahnmut nie znał. Trzymając w dłoni pulsujący narząd, czuł przemożną potrzebę, by wyrwać rękę z piersi skazanego na zgubę żeglarza, lecz w tej chwili nie pomogłoby to już nikomu.

– Orphu, słyszałeś kiedyś ten wyraz? Zekowie? – zapytał.

– Momencik – odpowiedział Orphu. – Zerknę do pamięci trzeciego poziomu. No proszę! Słowo pochodzi z opowiadania „Jeden dzień Iwana Denisowicza”. Jest powiązane z innym terminem z rosyjskiego slangu, czyli „szarazką – specjalnym instytutem badawczym lub technologicznym, gdzie wykorzystywano przymusową pracę więźniów”. To właśnie więźniowie radzieckich obozów pracy byli nazywani zekami.

– Tak, tak – mruknął Mahnmut – ale nie wydaje mi się, by ci chlorofilowi Marsjanie byli zniewoleni przez jakąś zapomnianą ziemską dyktaturę sprzed dwóch tysięcy lat.

Wymiana informacji zajęła morawcom mniej niż dwie sekundy.

– Zdradzisz nam, skąd pochodzicie? – zapytał Mahnmut zielonego ludzika.

Tym razem odpowiedź była zawarta nie w słowach, lecz obrazach. Ujrzał zielone pola, błękit nieba i słońce, znacznie większe od marsjańskiego. Gdzieś w oddali, w mgiełce gęstego powietrza niknął górski łańcuch.

– Z Ziemi? – upewnił się wstrząśnięty Mahnmut.

*Nie. Z gwiazdy na tutejszym niebie - sprostował Emzetel. – Z innej Ziemi.*

Morawiec zastanawiał się przez chwilę, lecz nie umiał poprosić o wyjaśnienia prościej niż nieporadnym: – Czyli z której Ziemi?

W odpowiedzi ludzik pokazał mu te same widoki, co przed momentem. Zielone łąki, zamglone szczyty, słońce podobnej wielkości jak oglądane z Ziemi. Mahnmut poczuł, że rozmówca traci energię. Przypominający serce

narząd pulsował coraz słabiej. Morduję go, pomyślał z narastającą paniką. Zabijam go z każdą chwilą.

– Zapytaj jeszcze o kamienne głowy – przypomniał Orphu.

– Czyje oblicze ustawicie na brzegu? – spytał przygnębiony Mahnmut.

*Maga od ksiąg. Władcę syna Sykoraks, który nas tutaj przywiódł. Mag jest również panem Setebosa, boga matki naszego pana.*

- Mag! – zawołał podekscytowany Mahnmut.

– Inaczej czarownik, mędrzec. Tak nazywano niekiedy nawet biblijnych trzech królów...

– Cholera jasna, Orphu! – przerwał przyjacielowi rozżłoszczony morawiec. Dręczyła go świadomość, że marnotrawi ostatnie chwile życia zielonego Marsjanina. Jego serce z każdą upływającą sekundą zwalniało swój bieg. – Wiem, co znaczy mag, ale przecież nie wierzę w czary.

Ty zresztą też nie.

– Za to odnoszę wrażenie, że wierzą w nie nasi żeglarze – zauważył Orphu.  
– Dowiedz się jeszcze, kto mieszka na Olympus Mons.

– Kim są piloci rydwanów? Mieszkańcy wulkanu Olympus? – spytał posłusznie Mahnmut, mimo że dręczyło go poczucie, iż zadaje same niewłaściwe pytania. Lepsze jednak nie przychodziły mu na myśl.

*To zwykli bogowie-* odparł Emzetel serią nanobitowych obrazów, przekształcających się w umyśle morawca w słowa. – *Uwięzieni przez bijgce gorzko i czekające serce...*

– Kim jest... – zaczął Mahnmut, lecz było już za późno.

Ludzik bez uprzedzenia zatoczył się do tyłu i padł. Morawcowi pozostała w ręku tylko wyschnięta powłoka pulsującego jeszcze przed chwilą narządu. Emzetel, gdy tylko znalazł się na pokładzie, zaczął się wić i kurczyć. Po deskach popłynął przejrzysty płyn, antracytowe oczy zapadły się w głąb więdnącej, brązowiejącej twarzy. Zmieniające barwę ciało pokrywało się zmarszczkami i z wolna traciło humanoidalne kształty. Po chwili pobratymcy zmarłego odnieśli skurczoną, brązową i pustą skorupkę.

Mahnmutem wstrząsnęły dreszcze. Nie był w stanie się opanować.

– Musimy znaleźć innego tłumacza. Tę rozmowę trzeba koniecznie dokończyć – oświadczył Orphu.

– Nie teraz – odparł rozdygotany Mahnmut.

– „Serce bijące gorzko, czekające...” – wyrecytował Orphu. – Ten cytat chyba poznałeś?

Wpatrzony w dal morawiec pokręcił głową. Znów dopiero po chwili przypomniał sobie o ślepcie przyjaciela.

– Nie – rzucił.

– Przecież zajmujesz się Szekspirem naukowo!

– To nie był cytat z Szekspira.

– Owszem, nie był – przytaknął Orphu. – To Browning. „Kaliban o Setebosie”.

– Nie czytałem. – Mahnmut zdołał dźwignąć się na nogi i niepewnym krokiem podszedł do relingu. Pieniąca się przy burtach feluki woda straciła już swą czerwonawą barwę i przybrała zwyczajny niebieskawy odcień. Był przekonany, że gdyby był człowiekiem, zwymiotowałby do morza.

– To Kaliban! – krzyknął Orphu. – Serce bijące gorzko, czekające. Zdeformowana istota. Na pół morski potwór, na poły człowiek. Jego matką była wiedźma Sykoraks, a jej bogiem Setebos.

Mahnmut pamiętał te słowa z ust umierającego Emzetela, lecz nie potrafił się na nich skupić.

Każde słowo ludzika wydawało mu się w tej chwili krwawym koralem, nawlekany na nić z żywej tkanki.

– Myślisz, że Marsjanie mogli nas podsłuchać, kiedy trzy dni temu przerzucaliśmy się cytatami z „Burzy”? Wtedy, kiedy odzyskałeś panowanie nad feluką? – odezwał się Orphu.

– Podsłuchać? – powtórzył Mahnmut. – Przecież oni nie mają uszu.

– W takim razie to my, nie oni, odbijamy tę nową, niezwykłą rzeczywistość niczym echo. – Morawiec zło zarechotał. Tym razem jednak śmiech zabrzmiał dość złowieszczo.

– Co ty pleciesz? – zdziwił się Mahnmut.

Na zachodzie wyrosły z morza rdzawe urwiska. Wznosiły się na siedemset lub osiemset metrów nad coraz szerzej rozlewającymi się wodami delty Candor Chasma.

– Znaleźliśmy się w okolicznościach jako żywo przypominających

obląkańczy sen – dodał Orphu.

– Ten majak rządzi się jednak pewną wewnętrznie spójną logiką... logiką szaleńca.

– O czym ty w ogóle mówisz? – prychnął zirytowany Mahnmut. Nie miał nastroju na zgadywanki.

– O tym, że już wiemy kogo przedstawiają kamienne głowy – oświadczył Orphu.

– Naprawdę wiemy?

– Naturalnie. To mag. Ten od ksiąg. Pan syna Sykoraks.

Umysł Mahnmuta za nic nie chciał połączyć kropek w jeden obraz. W organizmie morawca nadal krążyły obce nanobity. Czuł je bardzo wyraźnie, mimo że ich oddziaływanie już słabło. Nieznane doznanie okazało się w pewien sposób... przyjemne.

– Czyli kto? – zapytał, nie przejmując się tym, że przyjaciel uzna go za tępaka.

– Prospero – wyjaśnił Orphu.

6 Przełożył St. Barańczak.

# 30

## *Obóz Achojów, Wybrzeże Ilionu*

Jak dotąd wieczorne wydarzenia toczą się zgodnie z homerycką opowieścią.

Trojanie rozpalili setki strażniczych ogni tuż za fosą – ostatnią linią achajskiego oporu.

A przybysze z Grecji, tak koszmarnie pobici, przegrywający przez cały długi dzień aż po zmrok, nie zaczęli nawet gotować stawy na kolację. Przybrałem postać starego Fojniksa i dołączyłem do wodzów zgromadzonych przed namiotem Agamemnona, gdzie szlochający Atryda – naprawdę był we łzach, król greckich królów płakał jak małe dziecko! – gorączkowo namawia dowódców, by zwołali swe wojska i umknęli.

Już kiedyś widziałem jak próbował podobnej strategii. Udaje, że chce uciekać, by buńczuczni oficerowie postąpili wbrew jego woli i w efekcie stanęli do dalszej walki. Tym razem nie ma jednak wątpliwości, że stary władca przemawia szczerze. Agamemnon – ze zmierzwionymi lokami, zakuty w skrwawioną zbroję, z przykurzonymi policzkami, na których lży żłobią jaśniejsze ścieżki – naprawdę chce, by jego podwładni uszli z życiem.

Sprzeciwia mu się Diomedes. Posuwa się bez mała do nazwania króla tchórzem i składa przysięgę, że jeżeli nawet pozostali odpłyną, to on i Stenelos „dumnie wywrócą Ilionu grody”.

Achajowie nagradzają tę fanfaronadę głośnymi okrzykami poparcia. Następnie głos zabiera Nestor i, podpierając się autorytetem sędziwego wieku, sugeruje, by wszyscy wzięli kilka głębokich oddechów, uspokoili się, coś przekąsili, rozstawili posterunki wokół obozu i wzdłuż fosy, a potem przedyskutowali kwestię ucieczki na morze raz jeszcze, nie podejmując



żadnych pochopnych decyzji.

Rada starca – zgodnie z homeryckim tekstem – zostaje przyjęta.

Siedmiu dowódców straży, podkomendnych Trazymedesa, syna Nestora, mężczyzny w średnim już wieku, wiedzie swe stuosobowe oddziały pomiędzy fosę a szaniec, gdzie zajmują nowe pozycje obronne i rozpalają ogniska, by się ogrzać i przygotować wieczerzę. Ta garstka greckich palenisk – niebawem dołącza do nich płomień, przy którym zasiada uczujący Agamemnon – wygląda niezwykle żałośnie wobec chmary ognisk trojańskich, które trzaskają za fosą iskrami, podlatującymi z wiatrem pod nisko skłębione burzowe chmury.

Zebrani u Agamemnona, biesiadujący wodzowie naradzają się i ta rozmowa również przebiega jak w „Iliadzie”. W pierwszej kolejności głos zabiera Nestor. Z pozoru wynosi pod niebiosa męstwo i mądrość Agamemnona, lecz tak naprawdę karci władcę za spartolenie sprawy. Wedle starca król nie powinien był odbierać Achillesowi Bryzeidy.

– Słusznie prawisz, sędziwy mężu – przyznaje uczciwie Agamemnon. – Uległem szaleństwu. Tylko szaleństwem i ślepotą mogę bowiem wytłumaczyć, dlaczego tak bardzo uchybiłem Achillesowi.

Potężny władca milknie, lecz żaden z siedzących w kucki dokoła ogniska kilkudziesięciu oficerów nie wstaje i nie protestuje.

– Tak, zaślepił mnie obłąd – podejmuje król Greków – nie mam zamiaru się tego wypierać. Zeus uwielbia tego młodzieńca, a z takim sprzymierzeńcem sam jeden Achilles wart jest tyle co cały batalion... Ba! Nawet cała armia!

Z tą uwagą również nikt nie chce dyskutować.

– Skoro więc to mój gniew doprowadził do tak karygodnej ślepoty i szaleństwa, osobiście naprawię com popsuł. Zapłacę Achillesowi okup godny króla, byle tylko z powrotem stanął w naszych szeregach.

Słyszając te słowa, zebrani wodzowie, w tym i Odyseusz, wydają pomruk aprobaty, niewyraźny, gdyż usta mają pełne przeżuwanego mięsa wołów i kurcząt.

– Oto wyliczę teraz w waszej przytomności wszystkie wspaniałe dary, którymi odkupię miłość młodego Achillesa! – woła Agamemnon. – Siedem trójnogów nietkniętych jeszcze przez płomień, dziesięć talentów w złocie,

dwadzieścia połyskliwych, świeżo wypolerowanych kotłów, tuzin wspaniałych rumaków o lotnych kopytach, które już nie raz zwyciężały dla mnie w wyścigach...

I tak dalej, i dalej, i dalej. Wciąż w pełnej zgodzie z opisem Homera. Dokładnie jak zapowiadałem.

Przewidziałem między innymi, że Agamemnon obieca zwrócić nietkniętą Bryzeidę wraz z dwudziestką Trojanek – te Achilles otrzyma naturalnie dopiero wówczas gdy, i o ile, padną mury Ilionu. Dodatkiem, który ma zapewne przeważać szale, są trzy rodzone córki Agamemnona, Chryzostemis, Laodike i Ifianassa. Wiedziony nieustępliwym nawykiem naukowca, od razu wychwytyuję pewne niespójności z wcześniejszymi i późniejszymi fragmentami poematu. Brakuje wzmianki o Elektrze, a imię Ifigenii zostało zniekształcone. Te błahostki nie mają jednak w tej chwili znaczenia. Na deser grecki król dorzuca Achillesowi siedem ludnych miast.

Relacja Homera nie odbiega od dzisiejszych wypadków również pod tym względem, że władca oferuje istotnie szczodre dary, lecz nawet słowem nie wspomina o przeprosinach.

– Jeżeli wymienione bogactwa zdołają wygasić gniew Achillesa, otrzyma je wszystkie! – woła Atryda, prosto w twarze zasłuchanych wodzów. Gdzieś w chmurach mruczy grzmot, ponad namiotem rozbłyskuje błyskawica. Być może sam Zeus zaczyna się niecierpliwić. – Ale musi się przede mną ukorzyć! Jedyne Hades, bóg dziedziny umarłych, jest równie bezlitosny i nieustępliwym jak ten młokos. Niechże Achilles uzna mnie za swego króla i odda mi należyty pokłon! Jestem od niego starszy i jestem władcą Greków. Jestem, powiadam, bardziej znamienitym mężem!

Cóż, to tyle w kwestii przeprosin.

Deszcz. Miarowo padającą mżawkę przecinają Zeusowe błyskawice i pokrzykiwania pijanych Trojan, stojących obozem niecałe sto metrów dalej, zaraz za wypełniającą się deszczówką fosą i spływającymi błotem szanćami. Bardzo bym chciał, żeby wytypowano już wreszcie członków poselstwa. Przeszedłbym się z Ajaksem i Odyseuszem po plażę, zrobił co trzeba i spokój. Nastąpiła najważniejsza noc mojego życia – przynajmniej tego drugiego, życia scholiasty– i raz po raz powtarzam sobie kwestię, jaką zamierzam wygłosić

przed obliczem Achillesa.

Jeżeli chcesz odmienić nasz los, musisz znaleźć punkt oparcia.

Wydaje mi się, że znalazłem. W każdym razie jeden z możliwych. Pewne jest tylko to, że o ile zrealizuję swój plan, nic już nie będzie takie samo. Dla Greków i Trojan – także dla mnie – zmieni się wszystko. Kiedy stary Fojniks wygłosi u Achillesa swoje posłanie, nie tylko uśmierzy gniew herosa, lecz pojedna go z Hektorem, a Grecy i Trojanie wspólnie, ramię w ramię, wystąpią przeciw bogom.

Nagle odzywa się Nestor.

– Synu Atreusa! – woła donośnie. – Szczodry przywódco i przewodniku mężów, nasz Agamemnonie. Żaden człowiek, nawet książę pośród ludzi, Achilles, syn Peleusa, nie zdołałby wzgardzić darem tak bogatym. Wyślijmy, powiadam, do jego namiotu niewielkie poselstwo. Kilku starannie dobranych ludzi, którzy jeszcze dzisiejszej nocy poniosą ze sobą twoją ofertę i życzenia pomyślności. Dość czezej gadaniny. Na kogo padnie mój wzrok, przyjmie na siebie obowiązki posła.

Ukryty w ciele starego Fojniksa, wysuwam się na skraj kręgu, staję obok Ajaksa Wielkiego i pokazuję się Nestorowi.

– Jako pierwszego – woła starzec – nominuję Ajaksa Wielkiego. Wraz z nim uda się do Achillesa nasz pełen taktu, przemyślny król Odyseusz. Jego rady zawsze są cennym wsparciem. Do roli heroldów wyznaczam Odiusa i Eurybatesa, to oni odprowadzą naszych posłów. Przynieście wody, niech delegaci obmyją dłonie! Proszę też, byśmy wszyscy umilkli teraz w modlitwie i zanieśli prośby do Zeusa. Błagajmy Gromowładnego o zmiłowanie i by natchnął przychylnością serce Achillesa.

Stoję osłupiały, bez słowa przyglądam się ablucjom i modłom posłów.

Ciszę znów przerywa Nestor, zagrzewając posłów – czterech, nie pięciu! – wykrzyczanymi na pożegnanie słowami: – Nie szcędźcie trudu! Przekonajcie bezlitosnego Achillesa, niech ten niepokonany bohater uzali się nad nami.

Obaj posłowie, w asyście heroldów, opuszczają krąg rzucanego przez ogień światła. Ruszają przez plażę.

Nie zostałem wybrany! Nestor nie wytypował Fojniksa! Nie wymienił nawet jego imienia! Homer się pomylił. Rozgrywające się pod Troją

wydarzenia odbiegły w tej chwili gwałtownie od wytyczonego w „Iliadzie” szlaku i od teraz wszelkie przyszłe wypadki stanowią dla mnie tajemnicę równie nieprzeniknioną, jak dla Heleny i reszty uczestników dramatu. Jestem tak samo ślepy na przyszłość jak olimpijscy bogowie, ślepy jak sam Homer, zaraza na jego chrome oczy!

Chwiejąc się na starych, chudych nogach – na niesprawnych i nikomu niepotrzebnych kulasach Fojniksa – przeciskam się przez tłum greckich wodzów i pędzę brzegiem wzburzonego morza.

Próbuję dopędzić Ajaksa i Odyseusza.

Z posłami zrównuję się na ciemnej plaży, w połowie drogi do obozu Achillesa. Ajaks i Odys są sami. Rozmawiają stłumionymi głosami. Na mój widok przystają na mokrym piachu.

– Cóż cię sprowadza, Fojniksie, synu Amyntora? – pyta Ajaks Wielki. – Ze zdziwieniem zauważyłem cię na uczcie u króla. Ponoć już od kilku miesięcy nad nasze przedkładaś towarzystwo myrmidońskich medyków. Czyżby Agamemnon wysłał cię za nami z jakimś ostatnim napomnieniem?

Odpowiadam mu, łapiąc z trudem oddech, jakbym rzeczywiście był już w podeszłym wieku Fojniksa.

– Witajcie, szlachetny Ajaksie i ty, dostojny Odysie. Prawda jest taka, że Agamemnon przykazał mi dołączyć do waszego poselstwa.

Wielkolud robi skonfundowaną minę. Odyseusz przygląda mi się z nieskrywaną podejrzliwością.

– Z jakiego powodu król wybrał do tego zadania właśnie ciebie, czcigodny starcze? I co robiłeś w namiocie Agamemnona, w noc tak niebezpieczną, gdy Trojanie ujadają tuż za naszą fosą niczym stado wygłodniałych kundli?

Na drugie pytanie nie mam gotowej odpowiedzi, więc próbuję odwrócić uwagę króla Itaki, jeszcze głębiej brnąć w swój blef.

– Nestor zaproponował, bym do was dołączył. Stwierdził, że moja obecność pomoże zyskać posłuch Achillesa. Agamemnon uznał, że rada jest mądra.

– Więc chodźmy, Fojniksie. – Ajaks pokiwał głową.

– Lecz pamiętaj, jeśli ci nie zezwolę, nie odzywaj się słowem – zastrzega Odyseusz, raz po raz zerkając na mnie z ukosa, jakby miał do czynienia

z oszustem. Intuicja go nie zawodzi. – Być może Nestor z Agamemnonem mieli jakiś powód by posłać cię wraz z nami do namiotu Achillesa, lecz z pewnością nie musisz zabierać tam głosu.

– Ależ... – zaczynam, ale opamiętuję się i zamykam usta.

Jeżeli nie pozwolą mi przemówić, jeśli nie wystąpię tuż po Odyseuszu, przed mową Ajaksa, jak to opisał Homer, stracę szansę, by cokolwiek zmienić, przegapię punkt zwrotny. Zawiodę. A skoro nie zabiorę głosu, poczawszy od dzisiaj, wojna potoczy się inaczej niż w „Iliadzie”. Z drugiej strony-dociera do mnie – już teraz biegnie odmiennie. Przecież Nestor powinien był wskazać Fojniksa, a wybór starca miał poprzeć sam Agamemnon. Co się tu wyprawia?

– Jeżeli chcesz, stary Fojniksie, udać się z nami do namiotu Achillesa – przestrzega Odyseusz – będziesz musiał zaczekać w przedsionku, razem z heroldami, Odiusem i Eurybatesem. Wejdiesz i przemówisz dopiero na moje wyraźne polecenie. Takie są moje warunki.

– Niemniej... – próbuję raz jeszcze, lecz dostrzegam jałowość jakichkolwiek protestów. Gdyby Odyseusz nabrał jeszcze większych podejrzeń i odprowadził mnie z powrotem do obozu Agamemnona, cały podstęp spali na panewce, wraz z planem obrócenia śmiertelników przeciwko bogom. – Zgoda, Odyseuszu – dodaję, kiwając głową, naśladowując sposób gestykulacji Fojniksa, starego nauczyciela i koniuszego. – Co tylko rozkażesz.

Król Itaki i Ajaks Wielki ruszają dalej przez plażę. Idę za nimi, słuchając szumu rozbijających się o brzeg fal. Już kilka razy wspomniałem o namiocie Achillesa i mogliście sobie wyobrazić coś w rodzaju kempingowej zabawki, którą dzieci rozbijają sobie dla rozrywki w przydomowych ogródkach. Syn Peleusa mieszka tymczasem w płóciennym gigancie, zbliżonym rozmiarami do namiotu cyrku objazdowego, który pamiętam z młodości lat... który ujrzałem niedawno wśród okrawków powracających wspomnień. Czyli Thomas Hockenberry wiódł jednak dość ciekawe życie, a pamięć o nim zaczyna, po bez mała dziesięciu latach, napływać z wolna z powrotem.

Dzisiejszej nocy setki namiotów i ognisk wokół głównego namiotu Achillesa układają się w scenę równie chaotyczną jak w całym, rozciągniętym na dobrą milę obozie Achajów. Część lojalnych Myrmidonów ładuje ekwipunek na statki, szykują okręty do rejsu ku rodzinnym brzegom. Inni

bacznie pilnują szańca, gotowi stanąć w obronie swego spłachetka wybrzeża, gdyby Trojanie ważyli się zaatakować przed nastaniem świtu. Jeszcze kolejni zbierają się wokół ognisk, podobnie jak wcześniej generałowie Agamemnona.

Odius i Eurybates anonsują nasze przybycie dowódcom straży i gwardziści Achillesa stają na baczność, przepuszczając nas w głąb obozowiska. Zostawiamy plażę za sobą i wspinamy się na niewysoką wydnię, na której stoi główna siedziba herosa. Wchodzę za oboma Grekami do środka – Ajaks musiał się pochylić, by nie zawadzić głową o płócienny dach. Odyseusz, niemal stopę niższy od towarzysza, wkracza swobodnie. Zaraz potem odwraca się ku mnie i wskazuje mi miejsce w przedsionku, nieopodal wejścia. Jeżeli tu zostanę, zobaczę i usłyszę przebieg całego spotkania, lecz żadną miarą nie uda mi się wziąć w nim udziału.

Achilles, tutaj homerycki opis nie kłamał, przygrywa właśnie na lirze i melodyjnym głosem śpiewa epos opiewający czyny starożytnych bohaterów, w zarysie bardzo przypominający samą „Iliadę”.

Pamiętam, że ten konkretny instrument Achilles zdobył, kiedy podbił Tebę plakijską, gdzie zamordował Etijona, ojca Andromachy. Żona Hektora dorastała słuchając przy domowym palenisku dźwięków tej samej srebrnej liry. Patroklos, najbliższy druh Achillesa, siedzi naprzeciwko przyjaciela, czekając, aż wielki wojownik zakończy swój fragment, a on będzie mógł dośpiewać pozostałe wersy.

Na widok Ajaksa i Odyseusza Achilles przerywa brzdąkanie i zaskoczony podrywa się z miejsca.

Również Patroklos skacze na równe nogi.

– Witajcie! – woła Achilles i zwraca się do Patroklosa. – Spójrz, odwiedzili nas drodzy przyjaciele.

Zapewne bardzo za mną zatęsknili, skoro przybyli aż tutaj. Nawet zagniewany cieszę się na wasz widok. Wy dwaj jesteście mi bowiem najdrożsi spośród wszystkich Achajów.

Gospodarz prowadzi obu posłańców na niskie sofy, które nakrywa grubymi fioletowymi kapami.

Ponownie spogląda na Patroklosa.

– Nuże, synu Menojtiosa, przynieś większy dzban wina... Tak, tutaj go

postaw. Tym razem dodamy mniej wody. Nie zapomnij o pucharach dla szlachetnych gości, tego wieczoru witam pod swym dachem parę bliskich przyjaciół.

Obserwuję te zaskakująco wylewne, rytualne powitania bohaterów. Patroklos ustawia przy ogniu ciężki pień, rozkłada na nim plastry baraniej i koziej karkówki oraz przerośnięty grubymi żyłami tłuszczu kawał wieprzowiny. Automedon, towarzysz i woźnica Achilleśa i Patroklosa przytrzymuje mięsiwo, z którego Achilles odkrawa co bardziej smakowite kęsy, posypuje je solą i nadziewa na rożny. Patroklos roznieca ogień, pozwala mu się rozbuchać, po czym roztrąca węgle i układa szaszłyki wśród żaru, ponownie soląc każdą z porcji.

Nagle uświadamiam sobie, jak bardzo zgłodniałem. Zjadłbym konia z kopytami. Gdyby Odyseusz kazał mi w tej chwili przemówić – nawet gdyby zawisł od tego los nas wszystkich – nie dałbym rady. Tak gęsta cieknie mi ślina.

Achilles, zupełnie jakby usłyszał donośne skargi mojego żołądka, zagłębia do przedsionka i nieruchomieje ze zdumienia.

– Fojniks! Czcigodny mentorze, mistrzu konnej jazdy! Sądziłem, że od kilku tygodni leżysz znękany chorobą we własnym namiocie. Wejdz, wchodź, proszę!

Młody bohater wychodzi do przedsionka, wyściskuje mnie i prowadzi do wnętrza. W powietrzu rozchodzi się zapach pieczonej baraniny i wieprzowego schabu. Odyseusz rzuca mi ostre niczym sztylet spojrzenie, wyraźnie przykazujące, bym w trakcie rozmów zachował milczenie.

– Siadaj, najdroższy Fojniksie – podejmuje Achilles, wychowanek starca. Mnie jednak sadowi na poduszce czerwonej, nie fioletowej i w nieco dalszej odległości od ognia niż moich towarzyszy.

Achilles jest lojalny wobec starych przyjaciół, lecz zasady protokołu zna doskonale.

Patroklos tymczasem przynosi wiklinowe kosze pełne świeżo upieczonego chleba. Achilles ściąga mięso z rożnów i rozkłada dymiące kęsy na drewnianych talerzach.

– Uczcijmy bogów ofiarą, przyjaciele. – Gospodarz daje skinieniem znak

Patroklosowi, który ciska w płomienie przeznaczone dla bóstw kawałki poczęstunku.

– Jedzmy – rozkazuje zaraz potem Achilles i wgrzamy się wszyscy w chleb i mięso, obficie popijając je winem.

Przeżuwając smakowite jedzenie, nie przestaję się gorączkowo zastanawiać. W jaki sposób wygłosić w tej sytuacji mowę, która zmieniłaby los wszystkich obecnych, a nawet samych bogów?

Ledwie godzinę wcześniej zadanie wydawało się banalnie proste, lecz Odyseusz nie dał wiary, że Agamemnon faktycznie kazał mi dołączyć do posłanników. Według eposu, Odyseusz miał przemówić już niedługo – przedstawi Achillesowi pokojową ofertę Agamemnona – po czym Achilles odpowie słowami, które – jak powtarzałem studentom – stanowią najpiękniejszy i najbardziej przejmujący fragment „Iliady”. Następnie nadejdzie kolej na długi, trzyczęściowy monolog Fojniksa, składający się z opowieści o jego własnym życiu, przypowieści o prośbach, i wreszcie, by uświadomić Achillesowi jego własną sytuację, przypomni mit o Meleagrosie. Bohater tej *paradeigmo* zbyt długo zwlekał z przyjęciem darów i podjęciem walki w obronie przyjaciół.

Wystąpienie Fojniksa jest zdecydowanie najciekawszą z poselskich mów i, zgodnie z „Iliadą”, to właśnie stary nauczyciel ostatecznie przekonuje zagniewanego Achillesa, by wycofał się z obietnicy odpłynięcia o brzasku. Zanim odezwie się po mnie Ajaks, Achilles zgodzi się już zostać dzień dłużej, przekonać się co zrobią Trojanie i w razie konieczności obronić przed nimi własne okręty.

Planowałem, że długą mowę Fojniksa wyrecytuję z pamięci, a pod koniec doprawię ją kilkoma własnymi sugestiami. Wyraźnie jednak widzę ściągnięte brwi siedzącego naprzeciwko Odyseusza i dociera do mnie, że dzisiaj szansy nie otrzymam.

A gdybym się jednak odezwał? Jestem przekonany, że bogowie obserwują to spotkanie – ostatecznie to jeden z kluczowych momentów całego eposu, aczkolwiek wiedzieć o tym z góry może ewentualnie tylko Zeus. Tak czy inaczej, część bóstw musi oglądać tę rozmowę w swoich holograficznych basenach i wideotabliczkach. Gromowładny zabronił im dzisiaj



interweniować i większość go posłuchała, lecz właśnie dlatego tym bardziej powinni być ciekawi przebiegu rozmów z Achillem. Jeżeli heros przyjmie oferowaną przez Agamemnona łapówkę, jeżeli ulegnie mocy przekonywania chytrego Odyseusza, wielka ofensywa Hektora zostanie, wbrew woli samego Zeusa, powstrzymana. Achilles to przecież jednoosobowa armia.

Czy zatem, jeżeli uda mi się zgodnie z planem namówić go do heretyckiego buntu, wojny przeciw bóstwom, Zeus nie wtrąci się w jednej chwili do gry, zmiatając z wybrzeża cały namiot wraz z obradującymi w nim ludźmi? Czy – gdyby nawet król bogów powściągnął swój gniew – nie pojawi się tutaj Atena, Hera bądź Apollo lub inny zainteresowany bóg i nie zgładzi „Fojniksa” za podsuwanie rozwiązań tak sprzecznych z celami Olimpijczyków? Naturalnie, że można sobie takie rozwiązanie wyobrazić, i przewidziałem to już wcześniej. Ufam jednak w potęgę teleportacyjnego medalionu i Hełmu Hadesa. Powinny mnie ochronić.

Co mi jednak przyjdzie z kolejnej ucieczki, skoro herosi zostaną zabici lub zastraszeni przez rozjuszonych bogów? Cały plan obróci się wniwecz, a o moim istnieniu dowiedzą się wszystkie bóstwa.

Zatem hełm i medalion w niczym mi nie pomogą. Olimpijczycy wysłedzą mnie choćby i na końcu świata, wytropią nawet w prehistorycznej Indianie. I wtedy, jak się to ładnie powiada, będzie już po ptakach.

Być może, nakazując mi milczenie, Odyseusz wyświadczył mi w istocie przysługę.

Więc co ja tu właściwie robię?

Gdy wszyscy nasyciliśmy głód i odsunęliśmy od siebie puste talerze, a w koszykach zostały tylko skórki od chleba, kiedy zaczynamy się szykować do trzeciego kielicha wina, widzę, jak Ajaks daje Odyseuszowi znak, niemal niedostrzegalne skinienie.

Znakomity strateg chwyta w lot i wznosi toast na cześć Achilleusa.

– Twoje zdrowie, przyjacielu!

Wychylamy puchary, a młody heros dziękuje uprzejmym skinieniem głowy.

– Jak widzę, niczego nam podczas tej uczty nie brakuje – podejmuje Odyseusz głosem, który stał się nagle zaskakująco aksamitny i cichy. Mówi gładko i melodyjnie. Spośród wszystkich wielkich przywódców Achajów to

właśnie brodacz jest najbardziej wygadany i przebiegły. – Nikt nie cierpi niedostatku, ani w obozie Agamemnona, ani tutaj, w siedzibie peleusowego syna. Niemniej w tę burzową noc, to nie suto zastawione stoły zaprzatają nasze umysły. O nie! Trapi nas straszliwa klęska, zaplanowana i zesłana z woli bogów. To jej dziś z lękiem wypatrujemy.

Odyseusz przemawia nieśpiesznie, bez zająknięcia. Nie przyśpiesza bez potrzeby, rzadko ucieka się do pustych, retorycznych zabiegów. Opisuje popołudniowy odwrót, zwycięstwo Trojan, panikę i rezygnację, jakie zapanowały wśród Achajów, wspomina również o udziale Zeusa.

– Achillesie, bezczelni Trojanie, wraz ze swymi nadętymi sojusznikami, rozbili namioty rzut kamieniem od naszych okrętów – opowiada Odyseusz, jakby gospodarz nie dowiedział się już wszystkiego od Patroklosa, Automedona i pozostałych przyjaciół. Równie dobrze zresztą mógł obserwować wypadki ze swego obozu. – Teraz nic już ich nie powstrzyma – tłumaczy dalej Odyseusz. – Co chwila zapowiadają zwycięstwo, wołając ku nam spomiędzy tysięcy swych ogni, które zdają się te przechwałki złowieszczo potwierdzać. Zamierzają podpalić o świcie nasze okręty, po czym rzucić się tłumnie między zwęglone kadłuby i wyrznąć nas do nogi. A Zeus, syn Kronosa, zasyła im świadectwa sympatii i zachęty. Lewe skrzydło achajskiej armii zostało zasypane gradem błyskawic. Hektor upaja się gniewem i własną siłą. Ten wojownik nie obawia się niczego, Achillesie, ni boga, ni człowieka. Księżę Troi przypomina dzisiaj wściekłego psa. Opętały go demony *katalepsis*.

Odyseusz milknie. Achilles nie komentuje. Patrzy, nie zdradzając nawet jednej myśli.

Patroklos przez cały czas obserwuje oblicze przyjaciela, lecz ten nie patrzy na niego, nawet przelotnie. Achilles byłby niesamowitym pokerzystą.

– Hektor nie może się doczekać brzasku – dodaje Odyseusz, jeszcze ciszej niż dotąd. – Zapowiedział, że wraz z pierwszymi promieniami słońca zerwie ostrogi z naszych okrętów, podpali je i wymorduje Achajów, którzy za plecami będą mieć już tylko szerniałe statki i morze. To prawdziwy koszmar, Achillesie, lękam się tej chwili całym sercem. Boję się, że bogowie umożliwią Hektorowi dotrzymanie tych obietnic i że przeznaczone nam jest

polec na równinie Ilionu, z dala od bujnych łąk i końskich pastwisk na wzgórzach Argos.

Achilles nadal siedzi bez słowa komentarza. W palenisku trzaskają stygnące węgle. Kilka namiotów dalej ktoś wygrywa na lirze powolną, żałobną melodię. Z drugiej strony dolatuje pijany śmiech żołnierza, który najwyraźniej uznał, że jest już stracony.

– Rusz się zatem, Achillesie. – Dopiero w tej chwili Odyseusz podnosi głos. – Mimo późnej pory wstań z miejsca i pójdź z nami. Chodź, jeżeli chcesz ocalić skazanych na śmierć Achajów przed rzeźnickimi mieczami Trojan.

Następnie Odyseusz prosi Achillesa, by zapomniał o gniewie, i przedstawia ofertę Agamemnona.

Posługuje się tymi samymi słowami co król Greków. Mówi o niemuśniętych płomieniem trójnogach, chyżych wyścigowych wierzchowcach i całej reszcie. Odnoszę wrażenie, że nieco zbyt wiele miejsca poświęca nietkniętej Bryzeidzie, trojańskim dziewczicom czekającym tylko, by heros je zniewolił, oraz trzem pięknym córom Atrydy. Całość wieńczy jednak natchnionym ustępem, przypominając Achillesowi radę Peleusa, jego własnego ojca, który utrzymywał, że przyjaźń należy cenić wyżej niż urażoną dumę.

– Jeżeli jednak Atryda wzbudza w twym sercu nienawiść zbyt gorącą, byś zechciał przyjąć jego dary – kończy Odyseusz – ulituj się przynajmniej nad resztą Achajów. Pójdź wraz z nami do boju i ocal nas, a otoczmy cię boską czcią. Pamiętaj przy tym, że jeśli gniew nie pozwoli ci walczyć u naszego boku, jeśli wzgarda każe ci jeszcze przed końcem batalii o Troję pożeglować ku ojczystym brzegom przez ciemne jak wino morskie fale, nie dowiesz się nigdy, czy przeważyłbyś w pojedynku z Hektorem. Właśnie teraz nadarza się szansa na te wspaniałe *aristeia*, Achillesie, gdyż morderczy szal Hektora pchnie go nazajutrz do bezpośredniego starcia, pierwszy raz od wielu lat, podczas których ten wyniosły pyszałek krył się za wysokimi murami Ilionu. Zostań i walcz razem z nami, Achillesie, bo teraz wreszcie możesz stanąć twarzą w twarz z Hektorem.

Trzeba przyznać, że Odyseusz odwalił kawał dobrej roboty. Gdybym to ja był młodym półbogiem, wylegającym się w namiocie na wygodnych poduchach, zapewne pozwoliłbym się jego namowom przekonać. Wszyscy

czekamy w milczeniu, aż wreszcie Achilles odstawia puchar z winem.

– Szlachetny synu Laertes, potomku Zeusa, przemyślny strategu, Odysie mój najdroższy.

Powiem ci szczerze i otwarcie, co czuję i jak się to wszystko skończy, byście przestali mnie nękać kolejnymi poselstwami, pochlebstwami i szeptanymi zachętami, gruchając przymilnie niczym stadko gołębic. Musisz bowiem wiedzieć, że mężów, których usta mówią jedno, a serca skrywają myśli zupełnie inne, darzę równą niechęcią jak czarne bramy królestwa Hadesa.

Tym mnie potężnie zaskoczył. Czyżby próbował w zawołany sposób dopieć samemu Odyseuszowi, „przemyślnemu strategowi”, znanemu wszystkim Achajom jako człowiek, który nie waha się nagiąć prawdy, o ile jest mu to na rękę? Niewykluczone, lecz król Itaki na ten ewentualny przytyk nie reaguje, więc i ja – Fojniks – przyglądam się rozmówcom z kamienną twarzą.

– Mówiąc bez ogródek – ciągnie Achilles. – Czy Agamemnon odzyskał mą przychylną, czy przekonał mnie wszystkimi tymi... prezentami? – Ostatnie słowo opuszcza jego usta niczym pogardliwe splunięcie. – Otóż nie. Nie przebaczę mu, choćby przysłał tu bogactwa całego świata.

Nie przekonają mnie do powrotu również wszyscy wodzowie ani cała achajska armia. Wasza wdzięczność przychodzi spóźniona... Gdzie byli Achajowie ze swoimi podziękami, gdy rok za rokiem wojowałem z wrogiem, kiedy mozolnie zmagaliśmy się z Trojanami bitwa za bitwą, dzień w dzień, bez końca? Napadłem ze swych statków tuzin miast, jednaście zdobyłem, używając iliońskie równiny krwią obrońców. Zdobyłem w tych potyczkach obfity łup, całe góry złota, wziąłem w niewolę stada szlochających piękności i zawsze, bez wyjątku, lwią część bogactw oddawałem właśnie Agamemnonowi, synowi Atreusa, bezpiecznie ukrytemu na pokładzie lotnego, czarnego okrętu bądź daleko za linią frontu. A on me dary przyjmował... Nie wahał się zabierać mi coraz więcej. Ach, tak... ciskał niekiedy kilka nędznych ochłapów tobie i innym wodzom, lecz przeważająca część i tak trafiała do jego własnego skarbcza. Obdarowywał was wszystkich, albowiem bez waszego poparcia nie utrzymałby władzy. Tylko mnie jednemu wiecznie zabierał.

Odebrał mi też brankę, którą zamierzałem uczynić swą żoną. Cóż, Odyseuszu, chromolę to.

Chromolę Agamemnona i tę dziewczynę, moi drodzy towarzysze. Niech sobie król weźmie Bryzeidę do łóża... niech ją staruszek bierze choćby i dwa razy w noc, jeśli starczy mu wigoru.

Kiedy już wylał wszystkie te rozognione na nowo żale, Achilles stawia pytanie, po co właściwie jego Myrmidonowie, Achajowie i Argirowie walczą pod Troją.

– Czy biją się o Helenę i pukle jej połyskliwych włosów? – rzuca kpiąco i przypomina, że nie tylko Menelaos i Agamemnon tęsknią za swymi małżonkami. Przywołuje dla przykładu Penelopę, żonę Odyseusza, dziesięć długich lat temu pozostawioną w Itace.

A mnie przypomina o Helenie, siedzącej kilka nocy temu na łóżu, o lśniących falach loków opływających swobodnie ramiona i ojej białych zalanych blaskiem gwiazd piersiach.

Niełatwo mi skupić się na tyradzie Achillesa, mimo że przemawia porywająco i zaskakująco zgodnie z relacją Homera. W tym krótkim wystąpieniu bohater podważa zasady kodeksu honorowego, dzięki któremu stał się w oczach współczesnych prawdziwym superbohaterem.

Mówi między innymi, że nie ma zamiaru mierzyć się w pojedynku ze wspaniałym Hektorem. Nie chce go mordować ni ginąć z jego ręki.

Wspomina również, że zbierze swe wojska i odpłynie z nastaniem świtu, a Achajów zostawi ich własnemu losowi; zapowiada, że porzuci całą armię na łaskę i nieszczęście Hektora, który ze swymi hordami przekroczy rankiem fosę i szaniec.

Agamemnona określa mianem bezwstydnego kundla, dodając, że nie wzięłby za żonę żadnej z jego córek, nawet gdyby przypadkiem cieszyła się urodą Afrodyty i mądrością Ateny.

Potem Achilles ostatecznie zbija wszystkich z pantafiku – wyznaje, że jego matka, bogini Tetyda, zapowiedziała mu, że do śmierci może dotrzeć, obierając jedną z dwóch dróg. Na pierwszą z nich wejdzie, zostając na miejscu, oblegając Troję i zabijając Hektora, po czym jednak umrze za kilka krótkich dni. Matka dodała, że ten los zapewni mu wieczystą chwałę i pamięć

zarówno wśród bogów, jak i ludzi. Druga droga wiedzie przez ucieczkę. Mógłby odpłynąć do domu, porzucając dumę i marzenia o sławie, lecz zyskując pewność długiego, szczęśliwego żywota. Wyboru musi dokonać sam. Tak właśnie, wiele lat wcześniej, przepowiedziała Tetyda.

Achilles oświadcza, że wybrał życie. Na moich oczach ten... ten... bohater, ta góra pulsujących testosteronem mięśni, żywa legenda i półbóg... woli żyć niż zyskać sławę. Odyseusz krzywi się z niedowierzaniem. Ajaksowi opada szczęka.

– Tak więc, Odyseuszu, Ajaksie, bracia moi – kontynuuje bohater – wracajcie do możnych wodzów Achai. Przekażcie im moją odpowiedź i niechże sami zatroszczą się o los czarnych okrętów i ludzi, którzy jutro o tej porze staną do walki, za plecami mając jedynie morze i płomień. A ty, milczku Fojniksie...

Na dźwięk tego imienia podskakuję na czerwonej poduszce. Tak bardzo zapamiętałem się w układaniu własnego wystąpienia i rozważaniu jego moralnych konsekwencji, że zupełnie wyleciało mi z głowy, że także uczestniczę w tym doniosłym spotkaniu.

– Stary druhu – Achilles obdarza mnie pobłażliwym uśmiechem – co prawda, Odyseusz i Ajaks muszą wrócić do swego pana, lecz ty możesz przenocować tu ze mną i Patroklosem, a rankiem odpłynąć z nami do domu. Wybór pozostawię tobie... Nikogo nie śmiałybym zmuszać do uciezki.

Dostrzegam swoją szansę. Ignorując ostrzegawcze spojrzenia Odyseusza, rozglądam się, wstaję ociężałym ruchem z miejsca i chrząkam. Zaraz, od czego się ta długa przemowa Fojniksa zaczyna?

Przez tyle lat prowadziłem na temat tego ustępu zajęcia, badałem najdrobniejsze niuanse każdego greckiego słowa, a teraz, znienacka, w umyśle została mi jedynie pustka.

Ajaks również się podnosi.

– Zanim stary dureń namyśli się, czy umknąć u twego boku, czy nie, powiem ci jedno. Jesteś, Achillesie, równie głupi jak Fojniks!

Achilles, nieznoszący najdrobniejszej zniewagi mężobójca, bohater, który wolał wydać na śmierć wszystkich greckich przyjaciół, niż przełknąć obrazę, jaką było odebranie mu niewolnicy, tym razem odpowiada bezczelnemu

Ajaksowi ledwie uśmiechem, podkreślonym nieznacznym uniesieniem brwi.

– Rezygnujesz z wojennej chwały i dwudziestu pięknych kobiet dla jednej branki, której i tak nie dostaniesz... Tfu! – rzuca Ajaks i odwraca się na pięcie. – Chodźmy, Odyseuszu, widać, że ten złoty chłopiec nie pił nigdy ze źródła przyjaźni. Niechże się dusi we własnym gniewie, a my przekażmy posępną wieść czekającym Achajom. Świt nadciąga wielkimi krokami, a ja przed ciężkim dniem walki lubię się zdrzemnąć. Nie chcę umierać, przecierając oczy z niewyspania.

Król Itaki prostuje nogi, żegna się skinieniem z Achillesem i wychodzi za Ajaksem z namiotu.

A ja wciąż stoję z otwartymi ustami, gotów wygłosić długą, trzyczęściową mowę Fojniksa – tę wspaniałą mowę, w którą sprytnie wmieszałem nieco własnych poprawek i chytrych sugestii.

Patroklos i Achilles wstają, przeciągają się i wymieniają spojrzeniami. Dociera do mnie, że przybycie poselstwa nie było dla nich zaskoczeniem, a Achilles swoją wstrząsającą odpowiedź ułożył już zawczasu.

– Fojniksie, sędziwy ojcze, boski ulubieńcu – odzywa się przyjaźnie Achilles. – Naprawdę nie wiem, jaka moc przywiodła cię w me progi w tę burzową noc, lecz dobrze pamiętam chwile, kiedy za mych chłopięcych dni brałeś mnie po lekcjach na ręce i odnosiłeś do łoża. Zostań u mnie na noc, Fojniksie. Patroklos i Automedon przygotowują ci miękkie poślanie. Rano odpłyniemy ku własnym brzegom, a ty zdecydujesz, czy udać się z nami...

Odchodzi na tył namiotu, gdzie czeka na niego legowisko, a ja sterczę w miejscu jak ten kretyn.

Odebrało mi mowę, dosłownie. Tak drastyczne odstępstwo od tekstu „Iliady” oszołomiło mnie bez reszty.

Żeby wydarzenia potoczyły się nadanym przez Homera biegiem, Achilles musi zostać, nawet jeżeli nie weźmie udziału w walce. Tylko wówczas Trojanie odniosą kolejne zwycięstwo, zmuszając Greków do walnego odwrotu. Najznamienitsi wodzowie Achajów odniosą rany: Odyseusz, Agamemnon, Menelaos, Diomedes, wszyscy wielcy. Na wieść o porażce, zdjęty współczuciem dla przyjaciół, w pełni świadomy, że Achilles za nic nie da się przekonać, Patroklos przywdzieje jego złotą zbroję i poprowadzi

wojska do triumfalnego kontrataku, po czym zginie w pojedynku z Hektorem, a jego ciało zostanie zmasakrowane i zbezczeszczone. Dopiero to wydarzenie wyciągnie przepełnionego śmiertelnym gniewem Achillesa z namiotu, co przypieczętuje los Hektora, Ilionu, Andromachy, Heleny i nas wszystkich.

Czyli on naprawdę chce odpłynąć? Ta myśl nie mieści mi się w głowie. Nie dość, że nie udało mi się ustalić właściwego punktu zwrotnego i nie zdołałem zmienić przebiegu wydarzeń, to jeszcze wykoleiła się cała „Iliada”. Pracowałem tu jako scholiasta od ponad dziewięciu lat. Obserwowałem, czuwałem i składałem raporty Muzie. Przez cały ten czas ani razu nie doszło do tak wyraźnej rozbieżności pomiędzy wypadkami tej wojny a homeryckim opisem. A teraz... coś takiego. Jeżeli Achilles wejdzie o świcie na pokład okrętu i odpłynie, na co wszystko w tej chwili wskazuje, Achajowie zostaną pokonani, ich statki spłoną, Ilion ocaleje, a czołowym bohaterem „Iliady”

zostanie Hektor, nie Achilles. W tej sytuacji mało prawdopodobne będzie również powstanie „Odysei”... a już na pewno nie w znanym mi kształcie. Zmieniło się dosłownie wszystko. Czy naprawdę tylko dlatego, że prawdziwy Fojniks nie wygłosił swej mowy? A może to bogowie wtrącili swoje trzy grosze i uprzedzili mnie, wypaczając historię wedle własnych upodobań? Tego nie dowiem się już nigdy. Raz na zawsze straciłem okazję do przekonania Achillesa i Odyseusza.

Mój szczywany plan wziął po prostu w łeb.

– Pójdź, stary Fojniksie – mówi Patroklos i bierze mnie pod ramię jak dziecko. Idziemy do bocznej izby wielkiego namiotu, gdzie czekają już wygodne koce i poduchy. – Czas udać się na spoczynek.

Jutro też będzie dzień.



# 31

## *Jerozolimo*

– Co to jest? – spytał Harman.

Stali z Daemanem w cieniu zachodniego muru Jerozolimy, kilka kroków za Savi. Wszyscy troje wpatrywali się w gruby snop błękitnego światła, strzelający pionowo w ciemniejące niebo.

– Myślę, że moi przyjaciele – odpowiedziała staruszka. – Dziewięć tysięcy stu trzynastu moich przyjaciół. Dawni ludzie, zabrani z Ziemi podczas ostatniego faksowania.

Daeman zerknął na Harmana. W tej chwili już obaj mieli poważne wątpliwości co do psychicznego stanu przewodniczki.

– Jacy twoi przyjaciele? – rzucił chłopak. – Przecież to tylko niebieskie światło.

Savi oderwała spojrzenie od promienia, którego poświata oblewała wierzchołki starożytnych budynków i murów, zatapiając otoczenie w błękitnej aurze, coraz wyraźniejszej w zapadającym zmroku. Popatrzyła na nich ze smutnym uśmiechem.

– Tak. Właśnie to niebieskie światło. Moi przyjaciele.

Skinęła dłonią i odprowadziła ich z dziedzińca tą samą drogą, którą tu przyszli. Błękitna wstęga została za plecami wędrowców.

– Postłudzie tłumaczyli, że dzięki ostatniemu faksowaniu zostaniemy bezpiecznie przechowani, a oni zyskają możliwość posprzątania planety – podjęła po chwili Savi. Mówiła cicho, lecz jej słowa i tak wracały echem z wąskich alejek miasta. – Wyjaśniali, że wedle planu zredukują nasze kody, bo musicie wiedzieć, że już wtedy byliśmy dla postludzi jedynie kodami

faksowymi, i zarchiwizują nas na dziesięć tysięcy lat w neutrinowej pętli. Sami chcieli przez ten czas zrobić na Ziemi porządek.

– Co to właściwie znaczy? – zapytał Harman. – Zrobić porządki na planecie? Nie rozumiem.

Szli właśnie łukowato sklepionym korytarzem. Oblicza staruszki nie było widać prawie wcale, lecz Daeman wychwycił cień uśmiechu.

– Pod koniec Zapomnianej Ery zrobiło się tu dość paskudnie – zaczęła. – Po rubikonie było jeszcze gorzej. Ostatecznie nastąpiły Czasy Demencji. Arniści bez żadnego nadzoru odtwarzali dinozaury i fororaki, a także dawno wymarłe gatunki roślin, co doprowadziło do załamania ekosystemu.

Tymczasem biosfera i infosfera zaczęły się łączyć, tworząc obdarzoną samoświadomością noosferę, inaczej mówiąc, logosferę. Wówczas postludzi już tu nie było. Uciekli na pierścienie.

Rozumna noosfera Ziemi przestała darzyć ich zaufaniem. Zresztą nie bez powodu. Postludzie prowadzili eksperymenty w dziedzinie teleportacji kwantowej, budowali portale kierujące do miejsc, których nie rozumieli, otwierali drzwi, które powinny zostać zamknięte.

Gdy wyszli z tunelu na ulicę, Harman przystanął.

– Savi? Zechcesz może mówić z większym sensem? Obawiam się, że zrozumieliśmy może jedną trzecią tej opowieści.

– Bo i jak moglibyście zrozumieć ją całą? – Staruszka popatrzyła na mężczyznę z miną wyrażającą albo ból, albo głębokie niezadowolenie. – Jak moglibyście pojąć cokolwiek? Bez historii, bez technologii... Bez książek.

– Książki przecież mamy. – Harman spróbował obrony.

Kobieta wybuchnęła śmiechem.

– W dodatku nie wiem, co wspólnego ma ta cała gadka o dinozaurach i noosferach z niebieskim promieniem? – wtrącił Daeman.

Savi zasiadła na niskim murku. Poderwał się lekki wiatr i pogwizdywał cicho wśród kruszejących dachówek. Z każdą chwilą robiło się zimniej.

– Musieli nas usunąć, żeby móc posprzątać – powtórzyła staruszka. – Karmili wszystkich opowieściami o neutrinowym, pozbawionym masy torusie. Sprytne, bezawaryjne i niekłopotliwe rozwiązanie. Dziesięć tysięcy lat na uporządkowanie Ziemi. Z perspektywy nas, dawnych ludzi, miało to

trwać tyle co mgnienie oka. Tak zapowiadali.

– Ale ciebie tu zostawili – zauważył Harman.

– Tak.

– Przez przypadek?

– Szczerze wątpię – przyznała staruszka. – Postłudzie rzadko cokolwiek pozostawiali w rękach przypadku. Być może byłam im do czegoś potrzebna. Albo ukarali mnie w ten sposób za dociekanie rzeczy, których nie powinnam wiedzieć. Bo wiecie, byłam historykiem. Zajmowałam się dziejami kultury.

Znów parsknęła śmiechem. Daeman nie miał pojęcia dlaczego.

– Czyli neutrina są niebieskie? – upewnił się Daeman. Uparł się wydusić z niej choć jedną, konkretną odpowiedź.

Znowu śmiech.

– Nie sędzę. Wydaje mi się, że nie mają żadnej barwy... ani powabu, skoro o tym mowa. Ale ten błękitny snop światła pojawia się co roku w dzień Tisza be-Aw, dziewiątego dnia miesiąca Aw, i coś mi mówi, że w nim właśnie są zakodowani wszyscy dawni ludzie, moi przyjaciele. Podejrzewam też, że nie powstaje w wyniku działania ukrytego pod kopułą świątyni urządzenia. To raczej Ziemia regularnie przechodzi przez strumień neutrin akurat w tym dniu, a maszyna pozwala go jedynie zobaczyć.

– Ale przecież od ostatniego faksowania nie minęło jeszcze dziesięć tysięcy lat – przypomniał Harman. – Sama mówiłaś, że odbyło się zaledwie tysiąc czterysta lat temu.

Savi skinęła głową. Była wyraźnie zmęczona.

– W dodatku nie widać, by ktokolwiek tu szczególnie posprzątał, prawda młodzi przyjaciele? – Wstała z murku, zarzuciła plecak na ramię i ruszyła wąską uliczką. Zaraz jednak zamarła w pół kroku.

– Wojniks! – zawołał Daeman. – Całe szczęście. Nie będziemy musieli wracać do sonika piechotą.

Każemy mu przyprowadzić kabriolet i...

Wojniks, żelazno-skórzana postać stojąca w bramie na zachód od nich, schował nagle manipulatory i wyciągnął ostrza. Moment potem ruszył prosto na wędrowców. Puścił się biegiem po ścianie budynku, na czterech kończynach. Wyglądał jak oszalały pająk.

Gdy tylko przebrzmiał okrzyk Daemana, Savi sięgnęła do plecaka, z którego wyszarpnęła czarne urządzenie z plastiku i stali – pistolet. Wymierzyła w szarżującego wojnika.

Daeman stał jak skamieniały. Wojniks mknął po wysokim na osiem stóp murze, był jednak skupiony nie na chłopaku, którego wyminął, a na staruszce.

Nagle wieczorną ciszę rozdarł koszmarny hałas – jakby ktoś przeciągał drewnianym kijem po kocich łbach – i kawał ściany rozsypał się w deszczu kamiennych okruchów. Odrzucony w tył wojniks spadł na bruk. Savi podeszła krok bliżej, wycelowała i raz jeszcze pociągnęła za spust.

Na pancerzu i metalowym czerepie wojniksa pojawiły się liczne otwory o średnicy palca. Prawe ramię poderwało się ku górze, jakby chciał czymś w nich rzucić, lecz wtedy uderzyły kolejne pociski i oderwana kończyzna osunęła się na ziemię. Okaleczony wojniks zdołał z trudem podźwignąć się na nogi, drugie niebezpieczne ostrze wciąż wirowało.

Savi wystrzeliła ponownie. Trafiony na wysokości pasa wojniks niemal rozpadł się na dwie części.

Gęsty niebieski płyn trysnął z jego trzewi na mury. Szczątki opadły ostatecznie na bruk, gdzie spazmatycznie zadygotały i zastygły.

Harman z Daemanem podeszli ostrożnie, starannie omijając kałuże niebieskiej cieczy i pozostałości stworzenia. W ciągu dwóch dni widzieli już dwa zniszczone wojniksy.

– Chodźcie – rzuciła Savi. Wyciągnęła z pistoletu opróżniony magazynek kryształowych pocisków i wcisnęła na jego miejsce następny. – Jeżeli w okolicy jest ich więcej, będziemy mieć problem.

Musimy czym prędzej wracać do sonika.

Poprowadziła ich wąską ulicą, skręciła w jeszcze ciaśniejszą alejkę, a potem precyzyjnie się szczeliła między dwoma kamiennymi budynkami. Wyszli na przestronne, przysypane piachem podwórze, skąd przez łukowatą bramę dotarli na inne, mniejsze podwórko.

– Prędko! – ponagliła szeptem przewodniczka.

Po tulących się do jakiegoś domu schodach wspięli się prosto na usypany miniaturowymi, piaszczystymi wydmami daszek. Następnie wdrapali się po zbutwiałej, drewnianej drabince, minęli po drodze kilka zabezpieczonych

okiennicami okien i stanęli na wyżej położonym dachu.

– Dokąd idziemy? – spytał półgłosem Harman, kiedy wyjrzeli ponad miasto i owiało ich chłodne powietrze. – Przecież mieliśmy wracać do sonika.

– Sprowadzę go tutaj – wyjaśniła Savi.

Przyklęknęła za niskim, okalającym dach murkiem i wywołała funkcję bliskosieci. Wolną ręką osłoniła biały, jarzący się nad jej dłonią prostokąt. Harkam kucnął obok. Daeman wciąż stał.

W odróżnieniu od rozgrzanych promieniami słońca kamiennych ulic, na dachu było zimno. Za to widok okazał się interesujący. Z prawej strony była pod niebo kolumna błękitnego światła, malując okoliczne kopuły, dachy i aleje bladymi, niebieskimi refleksami. Zrobiło się już zupełnie ciemno i nad miastem rozbłysły gwiazdy. Savi powiedziała im wcześniej, że otoczony murem kompleks, skąd bił promień, nosił nazwę Al-Haram asz-Szarif – Wzgórze Świątynne – a dwie zwieńczone kopułami budowle to Kopuła na Skale i meczet Al-Aksa.

– Itbah al-Jahud! – rozległ się nagle ostry, wzmocniony okrzyk z ulicy poniżej. Ktoś inny powtórzył go w labiryncie wąskich alejek na zachodzie, za którymi pozostawili sonik. – Itbah al-Jahud!

Savi uniosła wzrok znad wyświetlacza.

– Co to było? – rzucił szeptem Harman. – Wojniksy nie mówią.

– Nie – odpowiedziała Savi. – To głosy ze starożytnych, automatycznych głośników zwanych muezinami. Zainstalowane są we wszystkich meczetach. Dawniej nawoływały wiernych do modlitwy.

– Itbah al-Jahud! – natarczywy, rozedrgany zew rozlegał się już w całym pograżonym w ciemności mieście. – Al-Dżihad! Itbah al-Jahud!

– Cholera! – fuknęła staruszka, patrząc na wyświetlacz. – Nic dziwnego, że zdalne sterowanie nie działa.

– Co się stało?

Daeman z Harmanem podeszli bliżej, przykucnęli i spojrzeli w jasny prostokąt. Wyświetlacz ukazywał widok z dziobu sonika, który wciąż stał tam, gdzie go zostawili. Dzięki noktowizyjnej kamerze pojazdu zobaczyli zielonkawą, usianą kamieniami ziemię i otoczone murami miasto.

Znacznie bliżej jednak, praktycznie tuż przed obiektywem, kręciły się

wojniksy. Obsiadły cały sonik.

Co chwila rzucały się na niego z rozpędu, obrzucały kawałkami skał, ustawiały na kadłubie ciężkie głązy.

– Przedarły się przez pole siłowe i coś zepsuły – stwierdziła szeptem Savi.  
– Sonik po nas nie przyleci.

– Allahu akbar! – wołały zwielokrotnione echem i siłą wzmacniaczy, drżące głosy. Krzyki dolatywały ich ze wszystkich stron ponad niskimi zabudowaniami Jerozolimy. – Itbah al-Jahud!

Itbah al-Jahud!

Wyjrzeni poza krawędź dachu. W pierwszej chwili Daeman odniósł wrażenie, że domy i wyłożone brukiem ulice dygocą, rozpadają się, rozplływają w niebieskiej poświacie promienia. Zaraz potem jednak uświadomił sobie, że po kocich łbach, kopułach, murkach i dachach pełzną jakieś istoty.

Były ich tysiące – wyglądało to jak najazd rzeszy karaluchów, gnających na oślep ku światłu.

Moment później chłopak zrozumiał jak bardzo odległe są te pokryte mrowiem stworzeń budynki.

A istoty nie były wcale karaluchami czy pajakami. Prosto w ich stronę zmierzała armia wojniksów.

– Itbah al-Jahud! – wrzeszczały metaliczne głosy. Niesłabnące, obłąkańcze sylaby powracały echem ze Świątynnego Wzgórza.

– Wiesz może, co to w ogóle znaczy? – zaciekawił się Daeman.

Savi obserwowała wojniksy, przeciskające się bliżej i bliżej przez labirynt wąskich, krętych zaułków. Fala olbrzymich owadzych sylwetek dotarła już na dwa kwartały od nich, dostatecznie blisko, by usłyszeli brzęk ostrzy i manipulatorów trących o wyłożone kafelkami ściany i miejski bruk. Przewodniczka odwróciła się z wolna ku towarzyszom. W pulsującej niebieskiej poświacie wyglądała na jeszcze starszą niż zwykle.

– Itbah al-Jahud? – powtórzyła cicho. – Zabić Żyda.

*Namiot Achillesa*

Muszę zabić Patroklosa.

Ten wniosek przyszedł do mnie nocą, niczym szept w ciemności, kiedy leżałem w obozie Myrmidonów, w namiocie Achillesa, wciąż zamknięty w starym ciele Fojniksa.

Muszę zabić Patroklosa.

Nigdy w życiu nie pozbawiłem nikogo życia. Chryste Panie, na studiach brałem udział w demonstracjach przeciwko wojnie w Wietnamie. Nie chciałem uśpić psa – do weterynarza musiała zaprowadzić go żona. Przez większą część naukowej kariery uważałem się za pacyfistę.

Jezu, przecież ja nigdy nawet nikogo nie uderzyłem!

Muszę zabić Patroklosa.

Nie mam wyjścia. Dotąd miałem nadzieję, że wystarczą mi słowa – podrasowana nieco mowa starego Fojniksa – że za pomocą samej tylko retoryki przekonam mężobójcę Achillesa do spotkania z Hektorem, do położenia kresu wojnie, do zakopania wojennego topora.

Tak, jasne. Teraz lepiej chyba, żeby wbił mi ten topór prosto w mój durny łeb.

Podjęta przez Achillesa decyzja o odpłynięciu – decyzja powrotu do domu i zaznania rozkoszy długiego, spokojnego i mało chwalebego żywota – głęboko zszokowała mnie jako scholiastę, poruszyłaby do żywego każdego znawcę „Iliady”, lecz jest przecież sensowna. Honor nadal pozostaje dla Achillesa wartością przerastającą życie, lecz odkąd Agamemnon go znieważył, heros nie uważa już, by zabójstwo Hektora i wystawianie się na

pewną śmierć przysporzyło mu chwały.

Odyseusz – retor ponad retorami – z wielką elokwencją roztoczył wizję, w myśl której żyjący obecnie Achajowie, a potem niezliczone pokolenia ich potomków, otoczą pamięć Achillesa boską czcią, lecz i taka sława nie stanowi dla bohatera istotnego elementu równania. Teraz liczy się wyłącznie jego osobiste poczucie wartości, a mordowanie wrogów Agamemnona i umieranie za sprawę drogą obu Atrydom nie przyniosłoby mu nawet krztyny chwały. Stanowczo woli pożegłować za kilka godzin do domu i wieść życie przeciętne, życie zwykłego śmiertelnika. Woli stracić okazję na przejście do annałów historii dwadzieścia wieków przed księciem Halem i Agincourt, niż ośmieszyć się, ginąc na krwawej równinie Ilionu w służbie osobistego przeciwnika.

Teraz wreszcie rozumiem. Czemu nie pojąłem tego wcześniej? To przecież prosta sprawa. Skoro Odyseusz nie zdołał namówić Achillesa do powrotu w szeregi walczących – nawet on, król Itaki, mąż przebiegły i złotousty-to skąd pomysł, że podołałbym zadaniu ja? Jestem idiotą. Oczywiście to Homer wystrychnął mnie na dudka, lecz nikt z odrobiną oleju w głowie nie dałby się na to nabrać.

Muszę zabić Patroklosa.

Niebawem po wyjściu Odyseusza i Ajaksa, kiedy zgasty już pochodnie i węgle na trójnogach w głównej części namiotu, usłyszałem, jak żołnierze przywiedli obu przyjaciółom niewolnice. Tych branek jeszcze nigdy nie widziałem, lecz znam ich imiona. Homer żadnej z postaci „Iliady” nie pozostawił bez imienia. Sprowadzona ku rozkoszy Achillesa laleczka (na uniwersytecie w Indianie nie mógłbym jej tym słowem określić, zbrojne siły poprawności politycznej w jednej chwili pozbawiłaby mnie katedry, lecz nijak nie potrafię nazwać tych rozchichotanych zabawek seksualnych „kobietami”) zwała się Diomedę. Była córką niejakiego Forbasa i pochodziła z wyspy Lesbos – aczkolwiek nie gustowała w płci pięknej. Upominek dla Patroklosa nazywał się Ifis. Kiedy je zobaczyłem przez szczelinę między kotarami, niemal parsknąłem głośnym śmiechem. Achilles-wysoki, posągowy blondyn, mężczyzna o pięknie wyrzeźbionej muskulaturze, wybrał niziutką, przysadzistą brunetkę z wielkim biustem, natomiast znacznie niższy od przyjaciela, ciemnowłosy Patroklos postawił na wysoką i smukłą blondynkę z małymi



piersiami. Przez jakąś godzinę słuchałem dziewczęcego śmiechu i sprośnych, męskich rozmów, po czym cała czwórka zaczęła z siebie wydawać namiętne jęki i pomruki. Heros i jego najlepszy kumpel nie widzieli nic nieprzyzwoitego w zabawianiu się z kobietami w tym samym pomieszczeniu. Co więcej, przerywali niekiedy sapanie, by wzajemnie komentować swoje poczynania. Skojarzyło mi się to z zachowaniem niektórych co bardziej prymitywnych komiwojażerów z Bloomington podczas szkolenia w wielkim mieście. Zupełnie natomiast nie pasowało do wizerunku szlachetnych wojowników z heroicznej epoki. Barbarzyńcy!

Wreszcie panienki wyszły – wciąż chichocąc w najlepsze – i zapadła cisza, przerywana tylko stłumioną, zdawkową rozmową strzegących namiotu włóczników i trzaskaniem węgla w brązowych koksownikach, przy których ogrzewali się żołnierze. Oczywiście rozległo się również ogłuszające, dobiegające z sypialni Achilleusa chrapanie. Nie słyszałem, by Patroklos wychodził, więc na skrzywienie przegrody nosowej cierpiał albo on albo złotogrzywy Achilles.

Leżę teraz i roztrząsam dostępne możliwości. Nie, najpierw porzucam ciało starego Fojniksa – czniam na konsekwencje! – i przeciągam się na posłaniu jako Thomas Hockenberry. Dopiero wtedy zajmuję się roztrząsaniem.

Dłoń składam na teleportacyjnym medalionie. Mógłbym znowu odwiedzić sypialnię Heleny – mam niezbitą pewność, że Parys został tutaj, tuż za grecką fosą, całe mile od miasta, i czeka na świt, by wraz z Hektorem wyrznąć w pień Greków i spalić ich achajskie okręty. Być może Helena ucieszyłaby się na mój widok. Chyba że nie ma ochoty na dalsze wizyty nocnego gościa nazwiskiem Hockenberry – dziwnie się czuję ze świadomością, że ktokolwiek poza innymi scholiastami wie jak się nazywam – i zawezwie strażę. To jednak żaden problem. Mógłbym się w każdej chwili tekować.

Tylko dokąd?

Mógłbym też porzucić swój obłąkańczy zamiar wypaczenia przebiegu „Iliady”, mógłbym zrezygnować z zamysłu, który powstał w mej głowie w noc pierwszego sporu Agamemnona z Achillesem. Przecież nie muszę buntować się przeciwko nieśmiertelnym bogom.

Teleportowałbym się na Olimp, przeprosił Muzę i Afrodytę, a potem

poprosił o osobistą audiencję u Zeusa i błagał go litość.

Aha, już to widzę. Hockenbush, jak myślisz, jakie masz szanse, że ci przebaczą? Skradłeś Hełm Hadesa, medalion, całe wyposażenie scholiasty, i korzystałeś z tych zabawek w swoich własnych celach. Uciekłeś przed Muzą. A co najgorsze, pilotując porwany rydwan, próbowałeś zgładzić zamkniętą w leczniczej kadzi Afrodytę.

Zaraz więc po złożeniu przeprosin powinienem zacząć się modlić, by Zeus, Afrodyta czy Muza podarowali mi szybką śmierć, zamiast wywracać moje ciało na lewą stronę jak skarpetę, bądź strącać mnie w otchłań Tartaru, gdzie zapewne zginąłbym pożarty żywcem przez Kronosa i resztę barbarzyńskich Tytanów, zesłanych do piekła przez Gromowładnego.

Nie, nie. Nawarzyłem piwa i muszę je teraz wypić. Czy jak to się mówi. Jak sobie posłałem, tak się wyśpię. Bez pracy nie ma kołaczy. Przezorny zawsze ubezpieczony. Kiedy tak wyliczam w myśli banalne powiedzonka, uświadamiam sobie coś, co staje mi przed oczyma duszy wypisane wielkimi literami. Zdanie zupełnie nienaukowe, lecz bez reszty przekonujące: Jeżeli czegoś szybko nie wymyślę, to mam, kurwa, przejebane.

Może wybiorę się do Odyseusza i jemu spróbuję przemówić do rozumu?

To przecież król Itaki jest tu najrozsądniejszy. Pośród Achajów wyrasta na najbardziej cywilizowanego wojownika i najmądrzejszego stratega. Być może to właśnie Odys rozwiąże mój dylemat. Z pewnością istnieje przynajmniej szansa, że przekonam go do zakończenia wojny z Trojanami i wspólnego wystąpienia przeciwko tym ludzkim, arcyłudzkim bogom. Prawdę powiedziawszy, przez całą karierę znacznie bardziej lubiłem wykładać „Odyseję” niż „Iliadę”.

Skuteczniej przemawia do mnie humanistyczna wrażliwość Fitzgeralda niż szorstki i wojowniczy język przekładów Mandelbauma, Lattimore'a, Faglesa czy nawet Pope'a. Myliłem się, sądząc, że punkt zwrotny znajdę, gdy wybiorę się z poselstwem do obozu Achillesa. Jego po prostu nie da się tej nocy – a zostało jej już tylko kilka godzin – przekonać. Co innego Odyseusz, syn Laertesza. Oto człowiek zdolny wysłuchać akademickich argumentów i dostrzec nieodpartą logikę pokoju.

Podnoszę się z posłania i dotykam medalionu, w pełni gotów udać się na

poszukiwanie Odyseusza. Powstrzymuje mnie tylko jedno. O ile Homer nie rozminął się z prawdą, wiem co się dzieje, podczas gdy ja leżę tu w ciemności i deliberuję. Pograżeni we własnych myślach Agamemnon i Menelaos nie mogą zasnąć, a mniej więcej o tej porze – lub może w ciągu ostatniej godziny – starszy i bardziej utytułowany z braci wzywa do siebie Nestora, którego prosi o radę.

Chce znaleźć sposób na uniknięcie nieuchronnej masakry. Starzec stwierdza, że należy zwołać naradę większej liczby wodzów, zaprosić Diomedesa, Odyseusza, Ajaksa Małego i niektórych innych achajskich oficerów. Kiedy przybywają i oni, Nestor podsuwa pomysł, że najbardziej śmiały spośród nich powinien przekraść się do obozu Trojan i wywęszyć zamiary Hektora – czy obrońcy Ilionu wraz z sojusznikami rzeczywiście spróbują za kilka godzin podłożyć ogień pod greckie okręty? A może Hektor nasycił się już krwią i zwycięstwem i odprowadzi swe hordy z powrotem do miasta, by tam przed dalszą walką uczcić odniesioną wiktoryę?

Do wykonania misji wytypowani zostają Diomedes i Odyseusz, a jako że wezwanie Agamemnona zastało obu we śnie i przybyli bez broni, otrzymują rynsztunek od strażników. Diomedes dostaje hełm z byczej skóry, a Odyseusz przyjmuje słynne nakrycie głowy, wykonane z kłów mykeńskiego dzika. Odziany w lwią skórę Diomedes i król Itaki w czarnym, wysadzonym białymi zębami hełmie wyglądają zaiste przerażająco.

Czy powinienem teleportować się na to spotkanie i prześledzić przebieg rozmów?

Nie, nie ma potrzeby. Obaj zwiadowcy zapewne udali się już na swoją awanturniczą wyprawę.

Chyba że Homer nazmyślał bądź pomylił się, opisując te wydarzenia, podobnie jak to się stało w przypadku mowy Fojniksa. Poza tym, obserwowanie narady nie przybliżył mnie do rozwiązania problemu. Nie jestem już scholiastą, tylko facetem, który próbuje, po pierwsze, przeżyć, a po drugie, zakończyć wojnę – lub przynajmniej nakłonić jej aktorów do wystąpienia przeciwko bogom.

Niemniej tej nocy dzieje się coś jeszcze i sama myśl o tym wydarzeniu mrozi mi krew w żyłach.

Otóż Diomedes z Odysusem natykają się po drodze na Dolona – włócznika, którego ciało pożyczyłem dwa dni temu, śledząc Hektora idącego na spotkanie z Heleną i Parysem – który został przez księcia Trojan wysłany na przeszeptugi za achajskie linie. Dolon, z refleksyjnym łukiem w ręku, odziany w czapkę ze skóry łasicy, ostrożnie przemyka się w mroku pomiędzy świeżymi jeszcze ciałami poległych, szukając sposobu na wyminięcie greckich straży. Wtedy jednak – mimo ciemności – dostrzega go bystrooki Odyszeusz i wraz z Diomedesem ukrywają się pomiędzy zwłokami, po czym rozbijają kompletnie zaskoczonego Dolona.

Trojanin błaga obu wodzów o życie. Odyszeusz powie mu – o ile już tego nie zrobił – że „śmierć to w tej chwili twoje najmniejsze zmartwienie”, po czym spokojnie, po cichu, wydobędzie z młodego wojownika najważniejsze informacje o panujących w obozie Hektora nastrojach.

Dolon mówi im o wszystkim. Opowiada o rozmieszczeniu sił Karyjczyków, Peończyków, Lelegów i Kaukonów. Wskazuje położenie obozów Pelazgów i wiernych, statecznych Lików oraz zadziornych Myzyjczyków. Opisuje również rozmieszczenie namiotów sławetnej frygijskiej konnicy i wprawnie powożących rydwanami Meończyków. Śpiewa jak z nut i raz po raz prosi o litość. Proponuje nawet, by go związali i zatrzymali w niewoli do chwili, gdy sprawdzą, czy rzeczywiście podał im prawdziwe informacje.

Odyszeusz się uśmiechnie – chyba że już to uczynił – i poklepie roztrzęsionego, przerażonego Dolona po ramieniu. Muskulaturę włócznika pamiętam z chwil, kiedy przebywałem w jego ciele.

Następnie odbiorą mu czapkę, łuk i płaszcz z wilczej sierści. Odyszeusz wyjaśni spokojnym tonem, że muszą go rozbroić, zanim odprowadzą go w charakterze jeńca do obozu, po czym Diomedes zetnie włócznikowi głowę jednym zamaszystym uderzeniem miecza. Z ust toczącego się po piasku czerepu jeszcze przez chwilę będą się dobywać błagalne prośby.

Odyszeusz uniesie do nieba dobytek zabitego chłopca – włócznię, łuk, czapkę z łasic i płaszcz z wilczej skóry – i ofiaruje go Pallas Atenie.

– Raduj się tymi darami, o bogini! – zawoła. – Należą do ciebie. Poprowadź nas teraz do obozu Traków, byśmy mogli zabić jeszcze więcej ludzi i odebrać im konie! Wszystko, co zdobędziemy, przypadnie również

tobie.

Barbarzyńcy. Znalazłem się wśród dzikusów. Nawet bóstwa zachowują się tu jak barbarzyńcy.

Pewne jest natomiast jedno – dzisiejszej nocy z Odyseuszem się nie rozmówię.

Ale dlaczego właściwie Patroklos musi umrzeć?

Ponieważ wcale się nie pomyliłem. Kluczem jest Achilles, to od jego osoby zależy los nas wszystkich, przeznaczenie bogów i ludzi.

Nie wydaje mi się, by Achilles rzeczywiście odpłynął za te kilka godzin, kiedy świt rozciągnie swe różane palce nad światem. Nie. Według mnie zostanie i będzie uważnie obserwować wypadki, dokładnie tak jak u Homera ciesząc się z kolejnych niepowodzeń greckiej armii.

– Teraz Achajowie przywloką się do mnie na kolanach – powie pod wieczór następnego, fatalnego dnia, gdy rany odniosą wszyscy wielcy wodzowie: Agamemnon, Menelaos, Diomedes i Odyseusz. A pamiętać trzeba, że już dzisiejszej nocy posłowie błagali go o powrót. Następna klęska Achajów wielce uraduje jego serce i do walki stanie dopiero, kiedy pochrapujący teraz za zasłoną Patroklos zginie zamordowany przez Hektora.

Właśnie z tego powodu Patroklos musi umrzeć. Bez jego śmierci nie zmieni się nic. Wstaję z posłania i sprawdzam swój sprzęt. Mam ze sobą atrapę miecza, z którą mogę najwyżej udawać wojownika, lecz nie zabijać. Nawet ostrze jest tępe. Muza podarowała mi rekwizyt, nie porządną broń. Przez ostatnie dziewięć lat chronił mnie lekki pancerz – dostatecznie mocny, by powstrzymać dźgnięcie miecza, tudzież grot zbłąkanej strzały lub włóczni. W każdym razie tak nam tłumaczono w koszarach. Pewności nie mam, gdyż nigdy dotąd nie musiałem tych zapewnien weryfikować.

Mogę się też bronić wbudowanym w mikrofon kierunkowy paralizatorem, rażącym prądem o napięciu pięćdziesięciu tysięcy volt. Narzędzie zostało pomyślane tak, by scholiaści mieli czym na krótką chwilę powstrzymać przeciwnika i uciec przez teleportacyjny portal. Oczywiście nadal pozostają też do mojej dyspozycji wzmacniające wzrok soczewki kontaktowe i usprawniające słuch filtry. Na ramionach ciąży mi przypominający kaptur Hełm Hadesa, na szyi kołysz się medalion, a przegub oplata umożliwiająca

morfowanie bransoleta.

I nagle przychodzi mi do zmęczonej głowy plan. A przynajmniej jego załączek.

Zabieram się do dzieła, nim opuści mnie animusz. Wkładam na głowę Hełm Hadesa i staję się niewidzialny dla bogów i ludzi. Czuję się trochę jak Frodo, Bilbo lub Gollum, wsuwający na palec pierścień, który pozwalała związać w ciemności wszystkie inne. Ukradkiem przekradam się z wyznaczonej Fojniksowi izby do sypialni Achillesa.

Nadzy bohaterowie śpią w jednym łożu. Niewolnice dawno już zniknęły. Ramię Patroklosa otacza pogrążonego we śnie mężobójcę.

Na ten widok zamieram w półmroku namiotu. Czyli co? Achilles jest homo? To znaczy, że ten durny, opętany gejowsko-lesbijską manią doktor z naszego wydziału miał rację. Wszystkie publikowane przez niego, politycznie poprawne bzdety były słuszne!

Gwałtownie odsuwam od siebie te myśli. Płynie z nich taki tylko wniosek, że od dwudziestopierwszowiecznej Indiany dzielą mnie trzy tysiące lat, a ja po prostu nie rozumiem tego, co mam tuż przed oczyma. Ci dwaj mężczyźni dopiero co spółkowali przez dwie godziny z urodziwymi brankami i zasnęli tak, jak padli. Poza tym, kogo właściwie interesują tajemnice alkowy Achillesa?

Aktywuję bransoletkę i wyszukuję skan, który wykonałem dwa dni temu, na olimpijskim Dworze Bogów. Nie wiem, czy to zadziała – koledzy scholiaści zgodnie ten pomysł wyśmiewali.

Fale prawdopodobieństwa suną przez niedostępne mi poziomy kwantowej rzeczywistości.

Powietrze wibruje, nieruchomieje i drga ponownie. Zsuwam z głowy Hełm Hadesa i staję się widzialny.

Ukazuję się światu pod postacią Pallas Ateny, *tritogenei*, trzeciej z bogów, córki Zeusa, obrończyni Achajów. Mam dziewięć stóp wzrostu i bije ode mnie olśniewająca, boska poświata. Podchodzę bliżej do posłania. Achilles i Patroklos gwałtownie wrywają się ze snu.

Wyraźnie czuję, że żaden z atomów mej obecnej postaci nie jest stabilny. Bransoletka nie została zaprojektowana, by umożliwić scholiastom

podszywanie się pod bogów. Niemniej, mimo że moje ciało brzęczy niczym zbyt mocno szarpnięta struna harfy, postanawiam wykorzystać oferowany mi przez kwantową technologię czas. Staram się przy tym nie zwracać uwagi na wrażenia towarzyszące posiadaniu piersi i pochwy – nigdy wcześniej nie wcielałem się w kobietę. Nie myślę też o tym, że jestem najprawdziwszą boginią.

W głębi ducha rozumiem, że nie posiadam pełni mocy Ateny. Pożyczyłem ledwie na kilka minut jej powłokę – w dodatku nietrwałą wersję. Dociera do mnie, że jeżeli nie opuszczę tego ciała szybko, dojdzie do jakiejś niekontrolowanej reakcji, czegoś w rodzaju kwantowego odpowiednika nuklearnej eksplozji. Nie zwlekając, zaczynam więc mówić: -Achillesie! Zbudź się i wstań!

– Moja bogini! – woła szybko nogi mężobójca, staczając się z posłania na ziemię. – Córkę Zeusa, cóż cię tu sprowadza w czarną godzinę nocy?

Patroklos przeciera oczy i również zbiera się z łóżka. Obaj są zupełnie nadzy, ich mięśnie wyrzeźbione są piękniej niż u najdoskonalszych greckich posągów. Nieobrzezane penisy kołyszą się pomiędzy mocarnymi, opalonymi udami.

– Milczeć! – ryczę. Głos Ateny jest nadnaturalnie wzmocniony, nadludzki. Wiem, że pobudzę wszystkich w namiocie i zapewne zaalarmuję krążących dokoła wartowników. Mam niecałą minutę.

Jakby na potwierdzenie moich wniosków, złote ramię Ateny migocze i znika, przemieniając się w bladą, włochatą rękę profesora Thomasa Hockenberry'ego, by za moment na powrót stać się piękną kończyną olimpijskiej bogini. Achilles spuścił wzrok i niczego nie zauważył. Patroklos natomiast przygląda mi się z szeroko otwartymi oczyma. Jest wyraźnie skonsternowany.

– Moja bogini, jeżeli w czymkolwiek ci uchybiłem... – zaczyna mężobójca. Zerka na mnie, lecz nie unosi głowy.

– Cisza! – wydieram się na niego. – Czy pełzająca wśród piachu mrówka jest w stanie uchybić człowiekowi? Czy nędzna i brzydka rybka może urazić zaprzątniętego myślami żeglarza?

– Mrówka? – powtarza Achilles, na jego przystojnej twarzy maluje się

niepewność odtrąconego dziecka.

– W obliczu bogów nie jesteście nawet mrówkami! – wołam, podchodząc krok bliżej do mężczyzn. Radioaktywna poświata Ateny oblewa ich ciała. – Śmierć, którą zadajesz swym licznym wrogom, jest dla nas tylko przyziemną rozrywką, Achillesie... synu Peleusa, przygłupi pomioście Tetydy.

– Przygłupi pomioście... – duka Achilles. Na jego ostro zarysowane policzki wypływa intensywny rumieniec. – Bogini, czymże ja cię...

– Milcz, tchórze! – Mówię to szczególnie głośno. Chcę, by zniewaga była dobrze słyszalna milę dalej, w obozie Agamemnona. – Wasz los jest nam doskonale obojętny. Bawią nas zadawane przez was cierpienia... lecz nie twoja tchórzliwość, chyży Achillesie! – Ostatnie słowa wypowiadam z wyraźną ironią, zmieniając poetycki epitet w najprawdziwszą obelgę.

Achilles zaciska pięści, wykonuje krok naprzód, jakby podchodził do przeciwnika.

– Moja bogini, Pallas Ateno, patronko Achajów, wszak zawsze składałem ci w ofierze najznakomitsze dary...

– Ofiary składane przez tchórze znaczą na Olimpie tyle co nic! – ryczę. Wyczuwam, że fala prawdopodobieństwa będąca prawdziwą Ateną zaraz się zapadnie. Zostały mi tylko sekundy. – Od tego dnia sami będziemy dobierać i palić swoje ofiary – dodaję i ręka Ateny wyciąga się w kierunku Patroklosa. Pod przedramieniem ukryłem paralizator, palec składam na przycisku. -Jeżeli zechcesz, tchórze, odzyskać ciało swojego kochasia, będziesz musiał wziąć szturmem sam Olimp!

Rażę Patroklosa prądem w sam środek umięśnionej, ogorzałej piersi. Ledwie widoczne elektrody i druciki częstują go ładunkiem o napięciu pięćdziesięciu tysięcy woltów.

Młodzieniec chwytą się za serce niczym uderzony piorunem. Krzyczy, drga i wije się spazmatycznie jak epileptyk. Po chwili sika pod siebie i upada.

Zanim Achilles ma szansę zareagować – szybko nogi wojownik wciąż stoi nagi, z zaciśniętymi pięściami i wytrzeszczonymi oczyma, zbyt zszokowany, by się ruszyć-wykonuję dwa kroki naprzód, chwytam leżącego nieruchomo jak trup Patroklosa za włosy i bezceremonialnie ciągnę go za sobą.

Achilles wreszcie przechodzi do działania. Z wykrzywioną gniewem



twarzą sięga do wiszącej na krześle pochwy i wyciąga z niej miecz.

Nie wypuszczając z rąk bezwładnego Patroklosa, czując, że kwantowe ciało Ateny traci stabilność i przypomina już obraz w śnieżącym telewizorze, podnosi rękę do teleportacyjnego medalionu i przenosi się wraz z bezbronnym wojownikiem jak najdalej od namiotu Achillesa.

*Jerozolima i Basen Śródziemny*

Savi sprowadziła Daemana i Harmana z dachu. Schodzili po drabinach i schodach, aż wreszcie dotarli do jednej z wąskich uliczek miasta. W świetle gwiazd i niebieskiej poświacie neutrinowego promienia, bijącej od strony Świątynnego Wzgórza, widzieli na tyle dobrze, że nie wpadali w biegu na ściany ani do otwierających się gdzieś studni. Za to w oknach i drzwiach mijanych budynków ciemność była nieprzenikniona. Ciężko zdyszany Daeman został wkrótce z tyłu. Nigdy w życiu nie biegał, nawet jako dziecko. W końcu bieganie to przecież bezsensowny wysiłek.

Setki wojniksów zbliżały się. Coraz wyraźniej słyszeli drapanie ich odnóży. Już tylko niecała przecznica dzieliła pościg od uciekinierów gnających przez labirynt alejek między domami o płaskich dachach.

– Itbah al-Jahud! – chrypiały głośnieki, które Savi nazwała muezinami.

Staruszka powiodła ich po wyłożonej brukiem ulicy, skąd skręcili w jeszcze jedną wąską i mroczną alejkę, a potem na usłany bielejącymi ludzkimi kośćmi plac i otoczone ścianami podwórko, gdzie było znacznie ciemniej niż wcześniej po drodze.

Stukot nóg i drapanie manipulatorów pędzących po ścianach wojniksów rozlegały się już bardzo blisko.

– Itbah al-Jahud! – Wzmocnione nawoływanie z każdą chwilą brzmiało bardziej natarczywie.

Przecież tylko Savi jest Żydem, cokolwiek to oznacza, przemknęło Daemanowi przez myśl. Jeżeli ją teraz z Harmanem porzucimy, wojniksy zostawią nas w spokoju, a zapewne nawet pomogą wrócić do domu. Przecież

nie ma powodu, byśmy cierpieli i ginęli u boku tej kobiety.

Harman co sił w nogach biegł za przewodniczką, która dopadła przeciwległego skraju podwórka 1

przez niskie drzwi wpadła do zrujnowanego wnętrza starożytnego budynku.

Właściwie sam mógłbym o siebie zadbać, stwierdził w duchu chłopak. Skoro Harman chce, niech sobie z nią zostaje.

Daeman zatrzymał się gwałtownie na przysypanych piachem brukowcach. Harman przystanął w ciemnym prostokącie drzwi i ponaglił towarzysza machnięciem ręki. Chłopak obejrzał się przez ramię, patrząc w kierunku, z którego dolatywał grzechot – odgłos przypominał drapanie pazurów bądź chrobot pustych kości na kamieniu. W blasku błękitnego promienia ujrzał pierwszego z kilkunastu wojniksów biegnących uliczką, którą właśnie opuścili.

Coś ścisnęło Daemana za serce – strach był dla niego uczuciem niecodziennym, a myśl o tym, że miałby zostać w tej chwili sam, wydała mu się najbardziej przerażającą z dostępnych możliwości.

Ponownie rzucił się więc do ucieczki, w ślad za Harmanem i staruszką.

Savi pokazała im drogę w dół, po niewiarygodnie wąskich schodkach. Z piętra na piętro stopnie były starsze i bardziej wyslizgane niż powyżej. Cztery poziomy niżej, kiedy zgasły już nawet odbicia niebieskiego blasku, przewodniczka wyciągnęła z plecaka latarkę. Zwarty snop światła padł na wyrastającą u stóp ostatnich schodów ścianę. Ślepy zaułek. Serce chłopaka znów powędrowało do gardła. Zaraz potem jednak zauważył brudną płócienną szmatę, przesłaniającą otwór w pozornie jednolitym murze. Przesmyk był strasznie ciasny. Nie mieściło mu się w głowie, że zdoła się tędy przecisnąć.

– Prędej – rzuciła szeptem Savi. Odsunęła jutową zasłonę i wśliznęła się w szczelinę.

Za plecami Daemana rozległy się dźwięki, jak echo w studni. Harman wepchnął się w ciemność zaraz po staruszcze.

Drapanie wojniksów było słycać ze wszystkich stron zniszczonego budynku, lecz żaden nie wszedł jeszcze na schody. Na razie.

Daeman pochylił się w wąskim przejściu, wsunął głębiej szczupłe ramiona i stwierdził, że wisi nad bezdenną, okrągłą dziurą o średnicy niecałych

czterech stóp. Szukając na oślep, wymacał wyciągniętymi rękoma żelazne szczeble zamontowane na przeciwległej ścianie. Stęknął i przecisnął przez otwór tułów i biodra. Wreszcie, zdzierając sobie skórę o tynkowaną cembrowinę, uwolnił z przesmyku nogi. Ruszył po zardzewiałych klamrach w dół, gdzie słyszał stłumiony stukot stóp wyprzedzających go towarzyszy.

Twarz owiało mu zimne powietrze. Chwytał się niepewnie kolejnych chłodnych szczebli, stopy stawiał nieporadnie. Wciąż słyszał jakieś szepty, lecz nagle okazało się, że pod nogami nie ma już oparcia. Drabinka się skończyła. Spadł cztery lub pięć stóp w dół, prosto na twardą posadzkę.

Dłonie Harmana nie pozwoliły mu upaść. Światło latarki Savi ukazało mu ściany okrągłego tunelu, zbudowanego z cegieł i starożytnych głazów.

– Tędy-szepnęła kobieta i zerwała się do dalszego biegu. W niskim korytarzu musiała pochylać głowę.

Harman z Daemanem ruszyli za nią, starając się zawczasu wypatrywać obluzowanych cegieł na oświetlanym przez chybotliwy snop światła obłym podłożu.

Po chwili dotarli do skrzyżowania. Savi zerknęła na wyświetlacz lokalizatora i skręciła w tunel po lewej stronie.

– Wojniksy już chyba zrezygnowały. Nie słyszę ich – zauważył Harman. Mimo że odezwał się półgłosem, słowa odbiły się od ścian wyraźnym echem. Mężczyzna był z całej trójki najwyższy i szedł zgięty prawie we dwoje.

– Idą cały czas ulicą nad nami – odparła Savi. – Śledzą nas.

– To one są w stanie korzystać z bliskosieci? – zapytał Daeman.

– Tak.

Przewodniczka przystanęła u zbiegu trzech węższych tuneli. Wybrała środkowy i teraz już wszyscy musieli się garbić.

Harman popatrzył przelotnie na chłopaka. Był widocznie zaintrygowany rozmową o bliskosieci, jednak nie chciał w tej chwili roztrząsać tematu.

– Rozumiecie chyba, że wojniksy idą za wami? – Savi zatrzymała się i spojrzała kolejno na obu towarzyszy. W ostrym świetle latarki jej oblicze wyglądało niezwykle staro, coraz bardziej przywodziło na myśl trupią czaszkę.

– A za tobą nie? – zdumiał się Daeman.

Pokręciła głową.

– Ja nie jestem zarejestrowana w żadnej sieci. O mojej obecności wojniksy nie mają pojęcia. Was zlokalizowały przez daleko– i bliskosieć i zauważyły, że oddaliliście się od ludzkich osiedli. Najbliższy portal faksowy znajduje się bardzo daleko, chyba w Mantui. Wiedzą, że nie dotarliście tutaj piechotą.

– A dokąd właściwie nas teraz prowadzisz? – spytał szeptem Harman. – Wracamy do sonika?

Kobieta ponownie pokręciła głową. Wilgotne od potu lub pary włosy lepiły się jej do głowy.

– System tuneli nie sięga poza granice starego miasta. A co do sonika, obawiam się, że wojniksy zniszczyły go na dobre. Idziemy do pełzacza.

– Jakiego znowu pełzacza? – zdziwił się Daeman.

Savi, zamiast cokolwiek wyjaśnić, odwróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie.

Po stu krokach ceglany tunel zmienił się w wąski korytarz. Po następnych dwudziestu korytarz przeszedł w klatkę schodową, aż wreszcie stanęli pod ścianą.

Daeman miał wrażenie, że serce próbuje mu rozsadzić pierś.

– I co teraz? – rzucił. – Co teraz zrobimy? Co? – Odwrócił się od światła i nadstawił uszu, próbując wyłować odgłos stąpania skradających się w mroku wojniksów.

– Jak to co? Wchodzimy!

Chłopak spojrzał w stronę przewodniczego. Kobieta zniknęła w pionowym, otwierającym się w sklepieniu szybie – jeszcze ciaśniejszym niż studzienka, którą zesłi w podziemia. Światło latarki zachybotowało gdzieś nad nimi, zrobiło się ciemno.

Harman podskoczył ku najniższemu szczeblowi. Nie złapał, zaklął pod nosem i raz jeszcze odbił się od ziemi, tym razem skutecznie. Podciągnął się. Daeman ledwie zobaczył zarys podanej mu przez starszego mężczyznę ręki.

– No dalej, Daeman. Nie marudź. Wojniksy czekają już pewnie na górze.

– Więc po co tam wchodzimy?

– Chodź już! – Harman chwycił chłopaka za przedramię i wciągnął go za sobą.

\* \* \*

Wojniksy przebiły się przez ścianę dokładnie w momencie, kiedy trójka ludzi gramoliła się na kadłub pełzacza.

Wielka maszyna zajmowała większość miejsca we wnętrzu budowli, która według Savi była w dawnych czasach olbrzymim kościołem. Po wyjściu z piwnicy Savi powiodła dokoła promieniem latarki. Daeman przystanął na ostatnim szczeblu. Nie był pewien, co właściwie widzi. Pełzacze przypominał gigantycznego pajaka. Szóstka kół pojazdu – musiały mieć przynajmniej dwanaście stóp średnicy-zamontowana była na srebrzystych prętach, rozchodzących się gwiazdźście od kulistej kabiny pasażerskiej, wiszącej pośrodku niczym białe jajo w pajęczynie.

Łomotanie do drzwi i ścian kościoła rozległo się jeszcze zanim Savi wspięła się po wąskiej stalowej drabince, spuszczonej między żerdziami podwozia.

– Szybciej! – ponagliła, nie siląc się już na szept.

Trzeci w kolejce – znowu na szarym końcu – Daeman stwierdził, że przewodniczka po mistrzowsku opanowała sztukę wydawania zbędnych poleceń. Zabite deskami okno, otwierające się w ścianie sześćdziesiąt stóp powyżej, eksplodowało deszczem drewnianych odłamków i do środka wśliznęła się piątka wojniksów. Szły po ścianie, wbijając manipulatory w kamień z równą łatwością jakby czepiały się lodu Czekanami. Wieńczące ich korpusy bezokie, czerwone od rdzy kopułki, skierowały się w dół, ku pełzaczowi i trójce uciekinierów, próbujących dostać się do kabiny. Zaraz potem gruz posypał się z przeciwległej ściany i do kościoła wdarła się szóstka kolejnych wojniksów. Te poruszały się na dwóch nogach.

Savi musnęła wyblakłe czerwone kółko na dolnej powłoce sferycznego kokpitu. Wybrała kilka cyfr na niewielkim żółtym panelu, który wyświetlił się obok, i część szklanej kuli odsunęła się z wyraźnie słyszalnym zgrzytem. Staruszka podciągnęła się wyżej i wczółgała do środka. Po niej zrobił to Harman, a Daeman podkurczył nogi i schował je w kabynie dokładnie w chwili, gdy pierwszy z wojniksów rzucił się ku niemu po zakurzonej kamiennej posadzce.

Ruchomy element kuli wsunął się z powrotem. Wewnątrz czekało sześć pokrytych spękaną tapicerką profilowanych siedzeń. Mężczyźni rzućili się na miejsca po bokach, a Savi tymczasem przesunęła dłonią ponad płaskim metalowym klinem, sterującym z jej środkowego fotela.

Natychmiast otoczył ją miękko świecący pulpit sterowniczy, znacznie bardziej skomplikowany niż ten na pokładzie sonika. Staruszka trąciła wirtualną czerwoną tarczkę, przeciągnęła jasnożółte kółko po zielonym potencjometrze i wsunęła rękę w dopasowujący się do kształtu dłoni drążek sterowy.

– A jeżeli nie ruszy? Co wtedy? – zaniepokoił się Harman.

Daeman mianował go w myślach mistrzem zadawanych nie w porę, retorycznych pytań. Stado wojniksów oblaźło już wysokie czarne koła i niczym koniki polne wskakiwały na wierzch szklanej, kulistej kabiny. Daeman skulił się i głębiej wcisnął w siedzenie.

– Wtedy? Zginiemy – odparła przewodniczka i pchnęła jaśniejący drążek sterowy w prawo.

Nie usłyszeli ryku silnika, nie rozległ się pomruk żyroskopów. Doleciało ich tylko ciche, ledwie słyszalne brzęczenie. Smugi światła szperaczy rozciąły ciemność przed pełzaczem, a w środku rozjarzyło się kilkanaście dodatkowych wirtualnych ekranów i paneli.

Sześć wojniksów, które dotąd okładały szklany kokpit manipulatorami i ostrzami, zsunęło się nagle w dół. Runęły z dwudziestu stóp na ziemię. Nic im się przy tym nie stało. Wszystkie poderwały się natychmiast na nogi i ponownie wskoczyły na kabinę, ale zaraz spadły ponownie. Ich kończyny nie były w stanie znaleźć oparcia na powierzchni, po której jeszcze kilka sekund temu chodziły bez trudu.

– Mikronowej grubości pole siłowe – szepnęła Savi, skupiona na wyświetlonych na pulpicie ikonach i wzorach. – Eliminuje tarcie. Wymyślono je po to, by na powierzchni kabiny nie osiadał śnieg czy krople deszczu. Okazuje się, że działa też na wojniksy.

Daeman wyjrzał na zewnątrz. Wrogie stworzenia wspinały się po wielkich kołach, tłukły wściekle w metalowy szkielet pełzacza, szarpały za pręty i rozporki.

– Powinniśmy się zbierać – rzucił.

– Owszem.

Savi pchnęła wirtualny ster naprzód i pełzacz przebił się przez ścianę starożytnego kościoła. Spadł kilkanaście metrów w dół, wylądował na szeroko rozstawionych, zamontowanych przegubowo kołach, i ruszył naprzód.

Alejka była nieco węższa niż rozstaw osi, co jednak pełzaczowi zupełnie nie przeszkadzało.

Liczące sobie tysiące lat mury pękały i sypały się na ziemię. Kiedy wyjechali na ulicę Dawida, Savi skręciła w lewo, ku zachodowi. Błękitny, rozcinający niebo promień został za nimi.

Za pojazdem uciekinierów gnały niezliczone wojniksy. Dziesiątki innych rzucały się z przodu wprost pod rozpędzone koła lub wskakiwały na kulistą kabinę. Jadący coraz szybciej pełzacz bezlitośnie rozjeżdżał te, które nie zdążyły uciec spod masywnych opon. Po chwili zostawili pościg za sobą, jednak kilka najbardziej upartych stworów wciąż trzymało się stalowego rusztowania.

Zapamiętałe cięły ostrzami wirujące koła.

– Są w stanie zrobić nam krzywdę? – zapytał Harman.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała Savi. – Zbliżamy się do Sha'ar Jafo, Bramy Jafskiej. Może uda się ich pozbyć.

Zakręciła ostro w lewo i prawo, niszcząc kolejne stojące przy ulicy Dawida budynki, aż wreszcie przebili się przez niską bramę. Wstrząsy i sypiące się kawałki muru strąciły niezmordowane wojniksy, lecz Daeman obejrzał się przez ramię i zobaczył, że stwory podnoszą się z gruzów i dołączają do wciąż ścigającej ich sfory.

Zaraz potem pełzacz wyjechał za Bramę Jafską, opuścił stare miasto i, nabierając jeszcze większej prędkości, potoczył się w dół usłanego żwirem wzgórza, na którym wcześniej wylądowali. Jedyнным śladem po soniku był spiętrzony na trzydzieści stóp stos kamieni, otoczony przez czterdzieści lub pięćdziesiąt wojniksów. Na ich widok stworzenia porzuciły kurhan i spróbowały zastąpić pełzaczowi drogę. Niektóre Savi rozjechała, inne po prostu wyminęła i wypadli na prowadzącą na zachód starożytną autostradę.

– Wytrzymała ta twoja maszyna – pochwalił Harman.



– Pod koniec Zapomnianej Ery produkowali bardzo solidny sprzęt – przyznała Savi. – Przy zapewnionym dostępie do serwisowych nanorobotów pełzacz powinien w zasadzie działać wiecznie.

Wyciągnęła z plecaka noktowizor, wygasła reflektory i dalej prowadziła już po ciemku. Daeman poczuł się nieswojo. Pędził naprzód wśród nocy, wielkie koła miażdżyły rozrzucone na jezdni rdzewiejące skorupy – zapewne wraki zapomnianych całe wieki temu pojazdów. Po jakimś czasie przejechali przez most i z hurgotem wtoczyli się między wzgórze. Od zapadnięcia zmierzchu nie widział już ścigającego ich stada wojniksów – z tyłu widać było jedynie strzelający pod niebo z jerozolimskiego wzgórza, malejący w oddali snop błękitu – wiedział jednak, że prześladowcy wciąż są na tropie.

W pewnej chwili Savi poinformowała, że od dawnych wybrzeży Morza Śródziemnego dzieli ich około trzydziestu mil. Na miejsce dotarli po niecałych dziesięciu minutach.

– Spójrzcie tylko – rzuciła staruszka i zwolniła. Zdjęła noktowizyjne gogle i włączyła naraz światła długie, przeciwmgielne i szperacze.

W miejscu, gdzie teren gwałtownie opadał ku suchej niecce Basenu Śródziemnego, drogę zagrażała zbita masa pięciuset lub sześciuset wojniksów.

– Skręcamy? – zapytał Harman.

Przewodniczka pokręciła głową i dodała gazu. Kiedy Daeman wspominał później tę chwilę, porównywał odgłos maszyny wbijającej się z wielką prędkością w ciżbę wojniksów do grzechotu kulek gradu, który słyszał wiele lat wcześniej w Ułanbacie. Z tym że tutaj padał znacznie większy grad.

Pełzacz dojechał do brzegu.

– Trzymajcie się! – zawołała staruszka.

Maszyna wystrzeliła w powietrze, zeskakując z urwiska nad dnem dawnego morza. Przez dziesięć sekund sunęli w powietrzu, aż wreszcie wielkie koła zderzyły się z podłożem. Większą część energii upadku pochłonęło stalowe rusztowanie podwozia, które pomogło też ustabilizować pojazd.

Pojechali prosto w głąb Basenu. Białe stożki światła reflektorów rozpędzały mrok przed nimi.

Daeman odwrócił się w siedzeniu i na tle poświaty rzucanej przez odległy

niebieski promień zobaczył sylwetki ocalałych wojniksów. Stały szeregiem na brzegu.

– Nie ruszą za nami? – zdziwił się.

– Przez Basen? – odparła staruszka. – Nie ma mowy.

Wyhamowała do bardziej rozsądnej prędkości. Zanim zdążyła założyć gogle i wyłączyć światła, Daeman spostrzegł, że jadą po gładkiej, utwardzonej drodze z czerwonej gliny, biegnącej pomiędzy zielonymi polami uprawnymi. Ponad łanami pszenicy i kukurydzy, wśród zagonów słoneczników i lnu sterczały czarne stalowe krzyże, a na każdym z nich wisiało coś, co wyglądało jak blade i rozedrgane ludzkie ciało.

# 34

## *Wybrzeże Ilionu, Iliano*

Kiedy Atena zniknęła, unosząc ze sobą ciało Patroklosa, Achilles miotał się i ryczał. Rozwścieczony szarpał ścianę namiotu, w której rozpląnęła się bogini. Wreszcie mężobójca oszalał.

Do środka wpadli zaalarmowani strażnicy. Nagi heros chwycił oburącz najbliższego włócznika, uniósł go w powietrze i cisnął nim w głowę drugiego wartownika. Trzeci usłyszał dzikie okrzyki i nagle stwierdził, że również frunie w powietrzu, po czym rozdarł własnym ciałem płócienną powłokę namiotu. Czwarty cisnął włócznię na ziemię i popędził zbudzić Myrmidonów, by dać im znać, że ich pan i przywódca dostał się we władanie złych duchów.

Achilles pozbierał swoje ubrania i rynsztunek: przepaskę biodrową, tunikę, napierśnik, tarczę, wykute z lśniącego brązu nagolenniki, sandały i włócznię. Zawinął wszystko w prześcieradło, sięgnął po miecz i rozciął trzy kolejne ściany namiotu. Wydostał się na zewnątrz, przewrócił na ziemię jarzący się pośrodku obozowiska wysoki trójnóg i pobiegł przez mrok w kierunku morza.

Porzucił towarzystwo ludzi, zbliżał się do siedziby swej matki, bogini Tetydy.

Wezbrane fale miarowo tłukły o brzeg. W ciemności, z dala od ognisk, widać było jedynie ich bielejące grzywy. Nagi Achilles krążył w tę i z powrotem po mokrym piachu. Zbroja i broń legły rozrzucone wzdłuż plaży. Bohater szarpał swe długie włosy i, zanosząc głośnie skargi, rozpaczliwie wzywał imienia rodzicielki.

Tetyda, córka Nereusa, Starca z Morza, odpowiedziała na zew syna. Wynurzyła się ze słono-zielonych odmętów pod postacią mgły i po chwili

przybrała konkretny, wysoki kształt szlachetnej bogini. Achilles podbiegł ku niej niczym skrzywdzony chłopczyk i padł na jedno kolano. Tetyda przytuliła głowę łkającego dziecka do wilgotnej piersi.

– Synu, skąd te łzy? Jaka przykrość zraniła twe serce?

– Przecież wiesz, musisz wiedzieć, matko! – jęknął Achilles. – Nie zmuszaj mnie, bym o tym opowiadał.

– Nie wiem. Bawiłam w siedzibie swego ojca, w słono-zielonych odmętach – odpowiedziała cicho Tetyda, gładząc złote pukle syna. – Wszyscy śmiertelnicy i bogowie już spali, a ja nie widziałam, co zaszło. Mów, co cię dręczy, synu.

Tak też uczynił. Łkając z żalu, dławiąc się gniewem, opisał wizytę Pallas Ateny, nie pominął obelg i wyzwisk, jakimi go obrzuciła. Opisał również chwilę śmierci swego najdroższego przyjaciela, Patroklosa.

– Matko! Ona porwała jego ciało! – zawołał Achilles. Nie uspokoił się ani trochę. – Odebrała mi zwłoki Patroklosa, bym nie mógł go nawet pożegnać należytą ceremonią!

Tetyda pogładziła go po ramieniu i sama wybuchnęła płaczem.

– O synu mój, mój bólu! Chwila twych narodzin przyniosła mi jeno gorycz. Wszystko co płodzę jest przeklęte. Po cóż cię wychowywałam, skoro Zeus postanowił cię zniszczyć?!

Achilles uniósł zroszoną łzami twarz.

– Zatem to z woli Zeusa? Czyli Patroklosa naprawdę zabiła Pallas Atena, a nie jakieś fałszywe widmo?

– Tak. Tak zdecydował Zeus – zaszlochała Tetyda. – I chociaż tych chwil nie widziałam, wiem, że to Atena we własnej osobie uraziła twój honor i położyła kres życiu twego druha. Jakże mi przykro, synu, że skazano cię na żywot nie tylko krótki, lecz również przepelniony bezbrzeżnym smutkiem.

Achilles oderwał się od piersi bogini i wstał.

– Dlaczego nieśmiertelni tak srodze mnie hańbią, matko? Z jakiego powodu Atena, dotąd wierna obrończyni sprawy Argiwów, moja własna patronka od tak wielu lat, porzuca mnie właśnie dzisiaj?

– Bogowie są kapryśni – odparła Tetyda. Strużki wody powoli spływały z jej włosów na biust. – Spodziewam się, że sam to już zauważyłeś.

Achilles znów zaczął krząć w tę i z powrotem. Raz po raz to ścisnął dłonie w pięści, to rozkładał bezradnie ręce i wznosił je ku niebu.

– Nie pojmem! Atena wraz ze swym boskim rodzicem przywiedli mnie tak daleko, tak często wspomagali mnie we wszystkich podbojach... Tylko po to, by teraz mnie upokorzyć.

– Wstyd im za ciebie, Achillesie.

Mężobójca zatrzymał się jak wryty i zwrócił ku matce blade, skamieniałe oblicze. Wyglądał, jakby ktoś wymierzył mu siarczysty policzek.

– Wstyd im? Wstydzą się szybko nogiego Achillesa, syna Peleusa i bogini Tetydy? Wstydzą się wnuka Aiakosa?

– Tak – przyznała Tetyda. – Zeus i niżej postawione bóstwa, w tym Atena, od zawsze pogardzali śmiertelnym plemieniem, nawet jego herosami. Oglądani z wyżyn Olimpu jesteście dla nich mniej znaczeni niżli nędzne owady. Wiedziecie żywoty nieszczęsne, pełne cierpienia i krótkie. Wasze istnienie usprawiedliwia jedynie rozrywka, jakiej dostarczacie bóstwom, umierając. Dlatego też, dając się w namiocie, w dniu, w którym mogli rozstrzygnąć się losy wojny, zirytowałeś naraz Atenę i Gromowładnego Zeusa.

– Zabili Patroklosa! – ryknął Achilles, cofając się o krok od bogini. Bose stopy bohatera zostawiły w wilgotnym piasku wyraźne odciski, które już po chwili zmyła kolejna fala.

– Uważają, że jesteś zbyt lękliwy, by pomścić jego zgon – stwierdziła Tetyda. – Porzucą zwłoki twego przyjaciela wysoko na skałach Olimpu, wydadzą je na pastwę sępów i wron.

Achilles jęknął i osunął się na kolana. Zebrał dłońmi garść mokrego piachu i wtarł go sobie w obnażoną pierś.

– Matko, dlaczego mówisz mi o tym dopiero teraz? Skoro znana ci była pogarda, jaką czują do mnie bogowie, dlaczego mnie nie uprzedziłaś? Wszak zawsze uczyłaś, bym był posłuszny wobec Zeusa i abym nie zaniedbywał kultu Ateny.

– Miałam nadzieję, że pozostali Olimpijczycy zlitują się nad naszymi śmiertelnymi dziećmi – odparła Tetyda. – Przeważało jednak zimne serce Zeusa i wojenna zapalczywość Ateny. Ludzkie plemię przestało ich interesować. Nie dostarczacie im już nawet najbliższej rozrywki. Podobnie

jak nie zwracają już uwagi na nasz głos. Głos garstki nieśmiertelnych, którzy dotąd chronili was przed gniewem Zeusa. Nie jesteśmy już bezpieczni.

Achilles podniósł się z kolan i podszedł do Tetydy.

– Matko, ty przecież jesteś nieśmiertelna, Zeus nie może cię skrzywdzić.

Tetyda zanosła się niewesołym śmiechem.

– Ojciec może zabić każdego, kogo zechce. Pamiętaj o tym, synu. Nawet nieśmiertelną boginię.

Co gorsza, Gromowładny jest w stanie strącić nas w mroki Tartaru, cisnąć w otchłań piekła, jak to uczynił ze swoim ojcem Kronosem i matką, dławiącą się łzami Reą.

– Zatem i tobie grozi niebezpieczeństwo – powiedział Achilles beznamiętnie. Kołysał się jak pijak lub jak marynarz na rozchwianym pokładzie zmagającego się ze sztormem kruchego statku.

– Nie widzę dla siebie nadziei – potaknęła Tetyda. – Ciebie, dziecko, spotka podobny los, o ile nie dokonasz tego, na co nie poważył się jeszcze nikt, nawet bezczelny Herakles.

– O czym ty mówisz, matko? – Zalana księżycowym blaskiem twarz Achillesa co chwila wyrażała inną emocję. Rozpacz przechodziła w gniew, ten przeradzał się we wściekłość i coś jeszcze silniejszego.

– Pokonaj bogów! Rzuć ich na kolana! – szepnęła Tetyda.

Słowa prawie niknęły w szumie wzbierających fal. Achilles podszedł jeszcze bliżej i z niedowierzaniem nadstawił ucha.

– Pokonaj bogów – powtórzyła. – Zdobądź szturmem Olimp. Zabij Atenę i strąć Zeusa z tronu.

Achilles zatoczył się do tyłu.

– Czy to możliwe?

– Nie w pojedynkę – odpowiedziała Tetyda. Spienione bałwany obmywały jej stopy. – Być może, gdybyś powiodł za sobą zastępy zapalczywych Argiwów i Achajów...

– Dzisiejszej nocy zastępami Achajów i Argiwów dowodzą Agamemnon i jego brat – wtrącił Achilles. Spojrzał na światelka ognisk, ciągnące się całymi milami wzdłuż wybrzeża, po czym odwrócił się ku znacznie bardziej licznym ognom strażniczym Trojan, migocącym tuż za fosą. – Co więcej, ich

armie są u skraju wytrzymałości. Czarne okręty mogą spłonąć już o świcie, matko.

– Owszem, płomienie mogą je pożreć, lecz nie muszą – przyznała bogini. –

Dzisiejsze przewagi Trojan stanowią tylko kolejne świadectwo zeusowego kaprysu, lecz Argiwowie i Achajowie pójdą za tobą. Pod twoim przywództwem, Achillesie, poszukają zwycięstwa choćby i w starciu z bogami.

Dzisiejszego wieczoru Agamemnon chełpił się przed Odyseuszem, Nestorem i resztą zebranych w jego namiocie wodzów, że to on jest znamienitszym mężem, mądrzejszym, silniejszym i bardziej odważnym niż ty. Dowiedz, że się pomylił, synu. Pokaż im wszystkim, kto ma rację.

Achilles odwrócił się plecami do matki. Spojrzał ku rozświetlonym poświatą pochodni murom odległego Ilionu.

– Nie zdołam wojować naraz przeciw bóstwom i Trojanom.

Dłoń Tetydy musnęła ramię herosa.

– Słusznie, moje dziecko. Szybkonogi Achillesie, musisz położyć kres tej bezsensownej wojnie, toczonyj o wszeteczną żonę Menelaosa. Jakie ma znaczenie to, z kim sypia śmiertelniczka Helena, kogo obchodzi, czy Atrydzi czują się rogaczami? Zakończ tę wojnę. Zawrzyj pokój z Hektorem.

Dzisiejszej nocy również i on zanosz do bogów pretensje.

Achilles spojrzal na matkę pytająco, lecz nic więcej nie powiedziała. Obejrzał się na powrót ku pochodniom dalekiej twierdzy.

– Czy mógłbym wdrzeć się na Olimp jeszcze dzisiaj? Zabić Atenę, poniżyć Zeusa i odzyskać zwłoki przyjaciela, któremu wyprawilibym honorowy pogrzeb? – zapytał cicho, lecz ze straszliwą determinacją.

– Wyślę posłańca, który cię wspomozę – obiecała Tetyda.

– Kiedy? – Achilles spojrzal matce w oczy.

– Jutro. Zaraz po twojej rozmowie z Hektorem, kiedy zawrzesz już przymierze z wojowniczymi Trojanami i przejmiesz władzę nad Argiwami i Achajami. Zostań najpierw ich wodzem.

Achilles zamrugal. Zdumiała go śmiałość matczynego planu.

– Jak mógłbym spotkać się z Hektorem, nie wieńcząc rozmowy śmiercią jednego z nas?

– Przysłany przeze mnie człowiek zadba i o to – odpowiedziała Tetyda. Cofnęła się o krok.

Zaróżowione blaskiem nadchodzącego świtu fale obmywały jej łydki.

– Matko! Zostań...! Ja...

– Udam się teraz do Zeusa. Chcę poznać swój los... – wyszeptała bogini niemal niedosłyszalnie wśród syku bałwanów. – Po raz ostatni, synu, spróbuję przedstawić mu twe racje, choć czuję, że przypłacę to klęską i wygnaniem. Bądź dzielny, Achillesie. Odwagi! Twoje przeznaczenie jest pewne, lecz nikt nie zna go do końca. Wciąż stoi przed tobą wybór. Śmierć i chwała, lub długie życie. Chociaż kto wie? Może będzie to żywot chwalebny i długi...? Kto wie, Achillesie? Żaden jeszcze śmiertelnik nie mógł marzyć o podobnym wyczynie! Pomścij Patroklosa!

– Matko...

– Bogowie też umierają, mój synu. My też... jesteśmy... śmiertelni... – Postać Tetydy zafalowała, przeobraziła się w mgiełkę i rozplynęła w powietrzu.





Achilles jeszcze przez długą chwilę stał wpatrzony w fale, póki ze wschodu

nie nadciągnęła zimna Jutrzenka. Wreszcie odwrócił się od morza i przywdział ubranie. Założył sandały, sięgnął po zbroję i nagolennice, poderwał z piachu wielką tarczę, wsunął miecz do pochwy, podrzucił w dłoni włócznię i ruszył ku obozowisku Agamemnona.

\* \* \*

Ten spektakl wyczerpał mnie do cna. Osuwam się na kolana. Przez cały czas morfująca bransoletka szeptała mi sztucznym głosem do ucha: „Energii wystarczy na dziesięć minut... Energii wystarczy na sześć minut...” i tak dalej.

Zużyłem już niemal całą moc mojej zabawki, a nie mam pojęcia, w jaki sposób ją doładować.

Zostały mi trzy minuty, ale te rezerwuję sobie na wizytę u Hektora i jego rodziny.

Nie wolno ci porywać dziecka – odzywa się słaby głosik, nędzny okruczeństwo mojego sumienia.

Muszę – inaczej odpowiedzieć nie mogę.

Muszę.

Muszę, dlatego że poza tym planem nie mam już niczego. Wszystko przemyślałem. Kluczem do wrót duszy Achillesa okazał się Patroklos. Hektora zdobędę, otwierając jego serce za pomocą Skamandriosa i Andromachy – żony i dziecka. Nie ma innego wyjścia.

Do odważnych świat należy.

Kiedy wcześniej, niosąc w ramionach nieprzytomnego Patroklosa, tekowałem na zalane popołudniowym słońcem wzgórze – z nadzieją, że trafiłem do Indiany – nie zastałem nawet śladu Nightenhelsera. Greckiego wojownika rzuciłem czym prędzej w trawę – homofobem nie jestem, ale to wcale nie znaczy, że muszę z lubością nosić na rękach nagich facetów – i rozglądając się po brzegu rzeki i krawędzi lasu, zacząłem nawoływać kolegę po nazwisku. Bez rezultatu.

Niewykluczone, że starożytni Indianie zdążyli go już oskalpować, ewentualnie wcielili go do swego plemienia. Mógł też przedostać się na drugi brzeg i szukać w zaroślach jagód i orzechów.

Patroklos jęknął, poruszył się.

Ciekawe co etycy mieliby do powiedzenia na temat porzucenia półprzutomnego, nagiego człowieka w zupełnie obcym lesie? Czy dałby mu radę niedźwiedź? Szczerze wątpię. Znacznie bardziej prawdopodobne jest to, że Patroklos znajdzie i zamorduje nieboraka Nightenhelsera, mimo że Grek jest nagi i nieuzbrojony, a Keith wciąż ma swój pancerz, przyboczny paralizator i tę scholiastyczną podróbkę miecza. Tak, wiercie mi, nadal postawiłbym na Patroklosa. Co więc mówi etyka o porzuceniu wściekłego herosa w pełnym życiodajnych roślin lesie, dokąd wcześniej przeniósłem pacyfistycznie nastrojonego naukowca?

Nie miałem czasu na rozważania. Sprawdziłem, jak wiele energii zostało w morfującej bransolecie – bardzo niewiele – i czym prędzej tekowałem się na trojańskie wybrzeże.

Doświadczenia zebrane pod postacią Ateny nauczyły mnie jak zgrywać boginię, a Tetyda nie mogła przecież wymagać aż tak wielkich nakładów energii. Uznałem zatem, że przy odrobinie szczęścia zdołam podszyć się pod boginkę na czas rozmowy z Achillesem i zdążę jeszcze zachomikować nieco mocy na spotkanie z rodziną Hektora.

Tak też zrobiłem. Zostało jeszcze trochę mocy. Akurat na jedno morfowanie. Rodzina Hektora. W kogo ja się zmieniłem?

W uciekiniera, myślę sobie, nasuwając na głowę Hełm Hadesa i krocząc po plaży.

W zdesperowanego uciekiniera.

Czy teleportacyjny medalion również się rozładuje? I czy paralizator zdoła porazić kogoś jeszcze?

To mogłoby się przydać...

Dowiem się już wkrótce. Nie chcę nawet myśleć, jak głośno śmiałaby się bogini Ironia, gdybym przekonał do swego planu Achillesea i Hektora, lecz nie zdołał ich potem przenieść na Olimp.

Później o tym pomyślę. Naprawdę nie mam teraz czasu na pierdoły.

Dlatego że o czwartej rano muszę się spotkać z żoną i małym synkiem Hektora.

*Dwanaście kilometrów ponad płaskowyżem Tharsis -*

Co takiego ma do powiedzenia o lotach balonem Proust?

– Niewiele – przyznał Orphu z lo. – On w ogóle raczej unikał podróży.

Może za to twój Szekspir ma jakieś rady?

Mahnmut nie uraczył przyjaciela odpowiedzią.

– Szkoda, że tego nie widzisz.

– Też żałuję – stwierdził Orphu. – Opowiesz mi?

Mahnmut uniósł głowę.

– Fruniemy na takiej wysokości, że niebo jest w zasadzie czarne, granatowe wydaje się tylko miejscami, a nad samym horyzontem maluje się błękitne pasemko. I wiesz? Horyzont jest obły.

Znać nawet granicę atmosfery. Poniżej jest pochmurno. W porannej poświacie obłoki pobłyskują złotem i wieloma odcieniami różu. Za nami pokrywa chmur się rozstępuje, widać więc błękitne fale i rdzawe klify Valles Marineris, aż po wschodni widnokrąg. Z przodu, na zachodzie, chmury przesłaniają większą część Płaskowyżu Tharsis. Wygląda to tak, jakby płożyły się nad samą ziemią.

Przez te złociste chmury przebijają się tylko trzy stożki wulkanów. Po lewej mamy Arsia Mons, za nią Pavonis Mons, a jeszcze dalej na północ, Ascraeus Mons. Wszystkie są białe. Śnieg i lód na zboczach migocą w świetle wschodzącego słońca.

– A widzisz już Olympus? – spytał Orphu.

– Naturalnie. Znajduje się co prawda najdalej, lecz jest również najwyższy. Wznosi się wysoko ponad zachodnim horyzontem. Widać go pomiędzy Pavonis

i Ascraeus, lecz stoi daleko za nimi.

I też jest oprószony zmarzliną. Tylko sam wierzchołek czerwienieje w promieniach zachodu.

– A Noctis Labyrinthus? Widzisz go? Miejsce, w którym zostawiliśmy zeków?

Mahnmut wychylił się z własnoręcznie wykonanej gondoli i rozejrzał dokoła.

– Nie, chmury są zbyt gęste. Ale kiedy jeszcze się wzbijaliśmy widziałem kamieniołom, nabrzeża i całą resztę. Płatanina wąwozów i skalnych osuwisk rozciąga się za portem we wszystkie strony na przestrzeni setek kilometrów.

W ostatnich dniach rejsu feluką rozpadało się na dobre. Deszcz lał, kiedy przybili do zatłoczonego portu Emzeteli przy Noctis Labyrinthus. Jeszcze bardziej gęsta ulewa nękała morawce, kiedy Mahnmut wreszcie zabrał się do składania gondoli i wypełnienia czaszy balonu. Siąpiło też, kiedy unieśli się ponad miasto zielonych ludzików. Jeden z Marsjan – czy zeków, jak sami siebie nazywali – nalegał przed startem na podjęcie rozmowy, wyraźnymi gestami proponował Mahnmutowi swe serce, lecz morawiec odmówił. Pokręcił głową. Jasne, może nie umierali jako indywidua – zgodnie z teorią Orphu – lecz on wzdragał się na myśl o zużyciu kolejnego ludzika. Ponadto Emzetele bez słów zrozumiały nad czym Mahnmut pracuje i do czego służy gondola. Wiązały cumy. Rozłożyły wypełniającą się z wolna czaszę wysokociśnieniowego balonu, zmagaly się z falującymi na wietrze linami i przez cały czas spisywały się niczym zespół wyśmienitych specjalistów.

– Jak ten balon wygląda? – spytał Orphu.

Próżniowy morawiec został umocowany za pomocą długiej liny do skonstruowanej specjalnie dla niego przez Mahnmuta ramy, zainstalowanej pośrodku rozbudowanej gondoli. Obok niego, nakryte i również starannie zabezpieczone, czekały nadajnik i zabrane z ładowni batyskafu Urządzenie.

– Jak wisząca nad nami olbrzymia dynia – odpowiedział Mahnmut.

Orphu zarechotał głucho przez radio.

– Chcesz mi powiedzieć, że widziałeś kiedyś dynię?

– Oczywiście, że nie prawdziwą, ale przecież obaj oglądaliśmy zdjęcia. Balon jest pomarańczowy i jajowaty, szerszy niż dłuższy, mniej więcej

sześdziesiąt pięć metrów na pięćdziesiąt. Biegną po nim pionowe żebra... Słowem, zupełnie jak dynia.

– Wydawało mi się, że miał być pokryty powłoką maskującą – zdziwił się Orphu.

– Bo jest. Pomarańczową. Coś mi mówi, że morawieccy projektanci nie wzięli pod uwagę, że ten materiał powinien chronić nie tylko przed falami radaru, ale i ludzkim wzrokiem.

Tym razem kaskada śmiechu Orphu zabrzmiała jak burzowy pomruk.

– Typowe – rzucił. – Typowe.

– Gondola jest podczepiona do balonu na fulerenowych linach – podjął Mahnmut. – Wisimy jakieś czterdzieści metrów pod czaszą.

– Mam nadzieję, że porządnie zawiązałeś.

– Węzły zaciągałem najmocniej jak potrafię, aczkolwiek niewykluczone, że coś tam po drodze przeoczyłem.

Orphu raz jeszcze parsknął śmiechem i zamilkł. Mahnmut wrócił do podziwiania widoków.

\* \* \*

Kiedy morawiec z lo odezwał się ponownie, zapadła już noc. Gwiazdy świeciły zimnym ogniem i Mahnmut nie mógł się nadziwić ich migotaniu. Nigdy nie widział tak wyraźnych zakłóceń atmosferycznych jak właśnie na Marsie. Fobos, jeden z księżyców planety, sunął szybko tuż nad horyzontem, Deimos dopiero co wzeszedł. Poświata nocnego nieba odbijała się w chmurach i ośnieżonych stożkach wulkanów. Na północy połyskiwała tafla oceanu.

– Dolecieliśmy już? – zapytał Orphu.

– Niezupełnie. Został nam jeszcze dzień drogi, może półtora.

– Wiatry nadal pomyślne?

– Mniej więcej.

– Zdefiniuj „mniej”, stary przyjacielu.

– Niosą nas na północ, północny-zachód. Niewykluczone, że rozminiemy się z Olympus Mons o włos.

– Niebagatelny wyczyn – rzucił Orphu. – Nie trafić w wulkan rozmiarów Francji.

– Pamiętaj, że podróżujemy balonem – przypomniał Mahnmut. – Jestem pewien, że Koros III zamierzał startować z samego podnóża góry, nie z odległości tysiąca dwustu kilometrów.

– Zaraz, zaraz – powiedział Orphu. – Czy dobrze sobie przypominam, że tuż na północ od Olympus Mons zaczyna się Morze Tetydy?

Mahnmut westchnął.

– Dlatego właśnie nadałem naszej gondoli kształt łodzi.

– Wcześniej o tym nie wspominałeś.

– Wtedy nie wydawało mi się, że sprawa jest istotna.

Znowu na jakiś czas umilkli. Balon zbliżał się do wulkanów płaskowyzu Tharsis i wedle wyliczeń Mahnmuta, nazajutrz, około południa, mieli już minąć Ascraeusa, stożek wysunięty najdalej na północ. Jeżeli wiatr utrzyma się bez zmian, poszybują z dala od góry, jakieś dziesięć czy dwadzieścia kilometrów na północ od szczytu. Mahnmut nie musiał nawet włączać noktowizora, by zachwycić się urokliwą poświatą obu księżyców i rozgwieżdżonego nieba, grającą na pokrytych wieczną zmarzliną wierzchołkach czwórki wulkanów.

– Wiesz, zastanawiałem się nad Prosperem i Kalibanem – odezwał się nagle morawiec z lo.

Wyrwany z zamyślenia Mahnmut drgnął.

– Tak?

– Zakładam, że obaj domyślamy się podobnego scenariusza. Posągi Prospera i fakt, że Emzetele znają treść „Burzy”, dowodzą, że jakiś ludzki bądź postludzki dyktator bardzo interesował się Szekspirem.

– Przecież nie mamy nawet pewności, że marsjańskie kamienne głowy rzeczywiście przedstawiają Prospera.

– Oczywiście, że nie mamy, ale to właśnie sugerowały Emzetele. A coś mi mówi, że zeki nie kłamią. Możliwe wręcz, że one w ogóle nie są zdolne do kłamstwa, zwłaszcza że porozumiewają się za pomocą cząsteczkowych nanopakietów informacji.

Mahnmut nie skomentował, ale sam również odniósł podobne wrażenie.

– Moim zdaniem te tysiące kamiennych głów opasujących północny ocean...  
– podjął Orphu.

– I basen Hellas, na południu – dopowiedział Mahnmut, przypominając sobie wykonane z orbity zdjęcia.

– Właśnie. Więc moim zdaniem te długie szeregi kamiennych głów mają coś wspólnego z szekspirowskimi postaciami.

Mahnmut pokiwał głową. Był przekonany, że niewidomy Orphu bez trudu zrozumie co oznacza jego milczenie.

– A co, jeśli ten dyktator nie jest człowiekiem ani postczłowiekiem? – zastanowił się większy morawiec. – Może to prawdziwy Prospero?

– Nie rozumiem. – Mahnmut poczuł lekką konsternację. Sprawdził przepływ mieszanki tlenowej z ustawionych w pobliżu Urządzenia butli. Przewody i zawory obu morawców były szczelne i tlen płynął bez najmniejszych przeszkód. – Prawdziwy Prospero? Co chcesz przez to powiedzieć? Że jeden z postludzi dla zabawy odgrywał rolę starego czarnoksiężnika i zapomniał, że to tylko fantazja?

– Nie – sprostował Orphu. – Chcę powiedzieć dokładnie to, co powiedziałem. Co, jeżeli to naprawdę jest Prospero?

Mahnmut poczuł ukłucie niepokoju. Orphu sporo w ostatnim czasie przeszedł, stracił wzrok, został mocno poobijany, potraktowany potężną dawką promieniowania jonizującego i niemal roztrzaskał się podczas twardego wodowania w falach północnego oceanu. Być może zaczynał tracić rozum.

– I nie, ja wcale nie zwariowałem – dodał Orphu z niesmakiem w głosie. – Posłuchaj mnie.

– Prospero jest postacią literacką – powiedział powoli, cierpliwie Mahnmut. – Tworem fikcyjnym.

Znamy go wyłącznie dzięki bankom pamięci z informacjami dotyczącymi ludzkiej kultury i historii.

A same te archiwa opuściły Ziemię wraz z pierwszymi morawcami, dwa tysiące ziemskich lat temu.

– Zgoda – przytaknął Orphu. – Prospero jest postacią fikcyjną, podobnie jak greccy bogowie są wytworami wyobraźni mitycznej. I spotkaliśmy ich tutaj tylko dlatego, że to ludzie lub postludzie bawią się w przebieranki. Ale jeśli



nie? Jeżeli mamy do czynienia z prawdziwym Prospero i...

prawdziwymi antycznymi bóstwami?

W tej chwili Mahnmut przestraszył się nie na żarty. Mierzył się już w duchu z grozą sytuacji, w której, w razie śmierci Orphu, musiałby kontynuować wyprawę na własną rękę, lecz ani razu nie przyszła mu do głowy możliwość znacznie gorsza. Naprawdę bardzo nie chciałby realizować ostatniego etapu misji w towarzystwie ślepego, kalekiego i w dodatku obłąkanego towarzysza.

Zaczął się zastanawiać, czy gdyby do tego doszło, zdołałby go po lądowaniu porzucić.

– To znaczy co? Ci bogowie, czy kimkolwiek są odziani piloci rydwanów, mieliby nie być udającymi mityczne postacie postлюдźmi? – zapytał Mahnmut.  
– Więc kim? Sugerujesz, że to...

obcy? Starożytni Marsjanie, których z jakiegoś powodu nie odkryto Zapomnianej Erze, kiedy tę planetę badano po raz pierwszy? Co ty pleciesz?

– Nie plotę. Stawiam tylko pytanie: co, jeśli greccy bogowie są po prostu greckimi bogami? – odparł Orphu spokojnie. – Co, jeżeli Prospero to najzwyczajniej w świecie Prospero, a Kaliban to Kaliban? Mam tylko nadzieję, że ich nie spotkamy.

– Mhm – mruknął Mahnmut. – Interesujące rzeczy prawisz.

– Cholera jasna! Nie traktuj mnie z góry! – warknął Orphu. – Jak dobrze się znasz na teleportacji kwantowej?

– Pamiętam mniej więcej teorię – odparł Mahnmut. – Wiem też, że cała ta planeta aż wrze od kwantowej aktywności.

– Tunele – rzucił Orphu.

– Co takiego?

– Tunele czasoprzestrzenne. Kiedy efekty kwantowe osiągają taką skalę, nawet na kilka nanosekund, powstaje przypominająca tunel czasoprzestrzenny osobliwość. Wiesz chyba, czym jest osobliwość?

– Tak, wiem – prychnął poirytowany Mahnmut. Nie podobał mu się ton przyjaciela. – Znam definicje tuneli czasoprzestrzennych, osobliwości, czarnych dziur i wiem, na czym polega kwantowa teleportacja. Znam również wpływ tego wszystkiego, z wyjątkiem teleportacji, na zakrzywienie czasoprzestrzeni. Tylko jaki to ma, do diabła, związek z bogami w togach

i latającymi rydwanami? Tutaj, na Marsie, mamy do czynienia z postludźmi. Być może faktycznie powariowali, być może posunęli swą ewolucję poza granicę obłądzenia, ale to postludzie.

– Nie wykluczam, że masz rację – przyznał Orphu. – Rozważmy jednak inną możliwość.

– To znaczy jaką? Że nagle ożyły fikcyjne postacie? Na Marsie?

– Czy wiesz, dlaczego morawieccy inżynierowie i naukowcy zaprzestali prac nad teleportacją kwantową jako metodą podróży międzygwiazdnych? – zapytał Orphu.

– Niedostateczna stabilność zjawiska – odpowiedział Mahnmut. – Znamy też świadectwa wypadku, do jakiego doszło na Ziemi około półtora tysiąca lat temu. Ludzie bądź postludzie bawili się właśnie takimi kwantowymi tunelami czasoprzestrzennymi. Coś poszło nie tak i boleśnie przekonali się o tym na własnej skórze.

– Wielu morawieckich obserwatorów sądzi, że Ziemianie oberwali właśnie dlatego, że wszystko poszło jak należy.

– Zgubiłem się.

– Teleportacja kwantowa to bardzo stara technologia – stwierdził Orphu. – Dawni ludzie eksperymentowali z nią jeszcze w dwudziestym i dwudziestym pierwszym stuleciu, na długo zanim wyewoluowali między nimi postludzie. Zanim Ziemia poszła w diabły.

– No i?

– Istotną cechą teleportacji kwantowej jest fakt, że nie pozwala ona na przesyłanie obiektów makroskopowych. W zasadzie teleportować można tylko przedmioty niewiele większe od pojedynczych fotonów, a prawdę mówiąc, i to jest niewykonalne. Przesyła się więc tylko komplet informacji o stanie kwantowym danego fotonu.

– A jaka jest według ciebie różnica pomiędzy informacją o stanie kwantowym obiektu czy osoby a nimi samymi?

– Żadna – zgodził się Orphu. – Na tym właśnie polega cały bajer. Po kwantowym teleportowaniu fotonu lub nawet perszerona, po drugiej stronie otrzymuje się jego idealny duplikat. Do tego stopnia idealny, że ta kopia praktycznie staje się oryginalnym fotonem.

– Lub perszeronem – wtrącił Mahnmut. Od dawna uwielbiał oglądać zdjęcia ziemskich koni, które według zebranych przez morawce danych, wymarły już tysiące lat temu.

– Jednak – mówił dalej Orphu – nawet jeśli przekażesz foton z miejsca na miejsce, zasady fizyki kwantowej pozostają nieubłagane. Teleportowana cząsteczka nie może przenieść ze sobą żadnej informacji. Nawet danych na temat własnego stanu kwantowego.

– Czyli cała zabawa staje się trochę bezsensowna, prawda? – zauważył Mahnmut.

Fobos zakończył właśnie swą krótką wędrówkę po marsjańskim niebie i zanurzył się pod obły horyzont planety. Deimos nadal parł przed siebie, w znacznie bardziej dostojnym tempie.

– Dokładnie ten wniosek wyciągnęli ludzie w dwudziestym lub dwudziestym pierwszym wieku – potaknął Orphu. – Potem jednak za igraszki z teleportacją kwantową wzięli się postludzie.

Najpierw na Ziemi, a później w swoich orbitalnych miastach, czy czymś tam, co fruwa wokół ich planety.

– Sugerujesz, że z większym powodzeniem? – odezwał się Mahnmut. – Przecież wiemy, że tysiąc czterysta lat temu spotkało ich coś złego. Dokładnie w tym samym okresie, kiedy Ziemię ogarnęła prawdziwa pożoga kwantowej aktywności.

– Rzeczywiście stało się tam coś złego – przyznał Orphu. – Ale nie z powodu fiaska eksperymentów z teleportacją. Postludzie, czy też ich myślące maszyny, stworzyli system transportu oparty o zasadę kwantowego splątania cząsteczek.

– Ach tak, słynne upiorne oddziaływanie na odległość – przypomniał sobie Mahnmut.

Nigdy nie interesował się fizyką jądrową, astrofizyką ani fizyką cząstek elementarnych. Fizyka nie bawiła go pod żadną postacią. Podobało mu się jednak sformułowanie Einsteina, którym uczony posłużył się, by podważyć teorię mechaniki kwantowej. Kiedy Einstein chciał pokonać kolegów w dyskusji, lub skrytykować teorie, z którymi nie mógł się zgodzić, robił to zawsze z umiejętnie dawkowaną złośliwością i nieodpartym wdziękiem.

– Właśnie – mruknął Orphu. Widać było, że nie lubi, kiedy ktoś mu przerywa. – Cóż, twoje upiorne oddziaływanie na odległość działa na poziomie kwantowym, a postludzie zaczęli przesyłać przez swoje portale stopniowo coraz większe obiekty.

– Na przykład perszerony? – rzucił Mahnmut. On z kolei nie cierpiał słuchać akademickich wykładów.

– Na ten temat archiwa milczą, chociaż, z drugiej strony, ziemskie konie musiały się gdzieś podziać, więc nigdy nic nie wiadomo. Słuchaj, Mahnmut, ja naprawdę mówię poważnie.

Zastanawiam się nad tym, odkąd opuściliśmy okolice Jowisza. Myślisz, że mógłbym dokończyć bez dalszych ironicznych wtrętów?

Mahnmutowi opadła szczeka. Orphu nie brzmiał już jak wariat. Mówił jak osoba poważna...

i urażona.

– Dobrze – powiedział. – Przepraszam. Zamieniam się w słuch.

– Wiadomo nam, że postludzie pracowali nad zjawiskami kwantowymi coraz bardziej intensywnie i właściwie na chybcika. Działo się to mniej więcej wtedy, gdy morawce porzuciły badania w tej dziedzinie, czyli około tysiąca czterystu ziemskich lat temu. Właśnie wówczas wybijali dziury w czasoprzestrzeni na prawo i lewo.

– Wybacz... – Mahnmut odezwał się tak łagodnie, jak tylko potrafił. – Sądziłem, że do czegoś takiego zdolne są tylko czarne dziury, tunele czasoprzestrzenne lub innego rodzaju osobliwości.

– Aktywne tunele kwantowe również – powiedział Orphu.

– Aktywne tunele? Przecież teleportacja kwantowa działa natychmiastowo – zauważył Mahnmut. W tej chwili naprawdę starał się zrozumieć. – Chyba nie ma innej możliwości?

– Słusznie. W splątanej parze cząsteczek bądź ich zespołów, przy każdej zmianie stanu kwantowego jednego elementu, natychmiastowo zmienia się stan kwantowy drugiego.

– Co zatem znaczy, że te tunele były aktywne? Otwarte przez jakiś czas? Sam mówisz, że...

tunelowanie odbywa się w jednej chwili? – zdziwił się Mahnmut.

– Po prostu mi zaufaj – poprosił Orphu. – Podczas teleportacji czegoś dużego, powiedzmy plastra sera, do wydarcia dziury w czasoprzestrzeni wystarczy już sama ilość przekazywanych danych o kwantach.

– Powiedz, jaką ilość informacji należy przesłać, żeby teleportować, założmy, trzygramowy plasterek żółtego sera?

– Dziesięć do dwudziestej czwartej bitów – odpowiedział Orphu bez zająknięcia.

– A w przypadku człowieka?

– Nie licząc wspomnień? Wyłącznie atomy? – Morawiec zło zastanowił się. – Dziesięć do dwudziestej ósmej kilobajta danych.

– Przecież to tylko cztery zera więcej – obliczył Mahnmut.

– Matko miłosierna! – jęknął Orphu. – Mówimy o rzędach wielkości. A to oznacza...

– Rozumiem, co to oznacza – uciał Mahnmut. – Tak się tylko wydurniam. Mów, słucham.

– Zatem mniej więcej tysiąc czterysta lat temu postludzie, to musieli być oni, jako że nasze sondy wykazały, że na Ziemi żyło podówczas ledwie około tysiąca dawnych ludzi. Stali się czymś w rodzaju utrzymywanego w ogrodach zoologicznych, wymierającego gatunku. Tak więc postludzie rozpoczęli program kwantowej teleportacji osób i maszyn, a także innych obiektów.

– Dokąd? – zapytał Mahnmut. – Dokąd mogli to wszystko wysłać? Na Marsa? Do układu słonecznego innej gwiazdy?

– Nie. Kwantowa teleportacja wymaga zastosowania nie tylko nadajnika. Potrzebna jest również stacja odbiorcza – powiedział Orphu. – W pierwszym okresie przesyłali co chcieli w obrębie Ziemi.

Ewentualnie do swoich orbitalnych miast. Niemniej, kiedy towar pojawiał się u celu, spotykała ich spora niespodzianka.

– Miała może coś wspólnego z muchą? – zapytał Mahnmut, którego wstydliwą tajemnicą było upodobanie do ziemskich filmów, nakręconych od końca dwudziestego wieku do kresu Zapomnianej Ery.

– Z muchą? – zdumiał się Orphu. – Dlaczego akurat z muchą?

– Nieważne. Więc co ich tak zaskakiwało?

– Po pierwsze, fakt, że kwantowa teleportacja rzeczywiście działa – odparł

Orphu. – Bardziej jednak istotne było odkrycie, że przenoszone obiekty, nieważne, ludzie, zwierzęta czy przedmioty nieożywione, niosą ze sobą informację. Dane na temat własnego stanu kwantowego. Wszelkie dane, których obiekty nie powinny w sobie zawierać. W tym wspomnienia istot ludzkich.

– A podobno mechanika kwantowa taką możliwość wyklucza.

– Bo wyklucza – przyznał Orphu.

– Czyli co? Znowu jakieś czary? – zapytał Mahnmut, czując dziwną niechęć na myśl o tym, co usłyszy zaraz od przyjaciela. – Chcesz powiedzieć, że mamy do czynienia z Prosperem i greckimi bóstwami?

– Owszem, to właśnie chcę powiedzieć, tylko bez twojej ironii – odparł morawiec z lo. – Nasi ówczesni naukowcy doszli do wniosku, że postłudzie faktycznie wymieniają elementy splątanych par obiektów lub osób na ich dokładne odpowiedniki. Tyle że pochodzące z innego wszechświata.

– Z innego wszechświata? – powtórzył słabym głosem Mahnmut. – Czyli równoległego?

– Znow tak, ale niezupełnie – odparł Orphu. – Nie ma tu mowy o nieskończonej lub prawie nieskończonej liczbie równoległych wszechświatów, jak głosiły dawne koncepcje. Jest ich tylko kilka, zdecydowanie skończona liczba. A te wszechświaty różnią się od naszego wyłącznie drobnym przesunięciem fazowym w przestrzeni kwantowej.

Mahnmut na dobre stracił wątek, lecz nie odezwał się słowem.

– Wynika z tego, że w grę wchodzi nie tylko wszechświaty równoległe – podjął próżniowy morawiec – ale także te stworzone.

– Stworzone? – powtórzył zbity z pantałyku Mahnmut. – Przez Boga?

– Nie, nie – sprostował Orphu. – Przez umysły geniuszy. Stworzone przez wybitne jednostki.

– Naprawdę nie rozumiem.

Także i Deimos już zaszedł. Marsjańskie wulkany piętrzyły się w blasku gwiazd. Zbite masy chmur snuły się po wyniosłych zboczach niczym szarawe ameby. Mahnmut sprawdził wskazania wewnętrznego zegara. Do świtu brakowało jeszcze godziny. Było mu zimno.

– Sam pewnie wiesz, jakiego odkrycia dokonali ziemscy naukowcy, którzy

tysiące lat temu badali umysł człowieka – powiedział Orphu. – Chodzi mi o badania prowadzone przed pojawieniem się postludzi. Nasze morawieckie umysły skonstruowano w bardzo podobny sposób, mimo że nie zostały oparte wyłącznie o organiczną materię.

Mahnmut sięgnął głęboko w pamięć.

– W dwudziestym pierwszym wieku ludzie posługiwali się już komputerami kwantowymi – powiedział. – Analizowali za ich pomocą biochemiczne wodospady zalewające synapsy mózgu.

Odkryli, że mózg... Chociaż nie, nie mózg, sam umysł, działa na odmiennych zasadach niż komputery. Okazało się, że nie jest chemiczną maszyną do zapamiętywania, lecz przypomina...

– Front falowy stojącej fali stanu kwantowego – dokończył za przyjaciela Orphu. – Ludzka świadomość, podobnie jak cały nasz wszechświat, jest niczym innym jak po prostu stojącą falą kwantową.

– I zaraz usłyszę, że to sama świadomość wytworzyła inne wszechświaty? – Mahnmut starał się rozumować logicznie, aczkolwiek racjonalne przesłanki prowadziły do zaskakująco absurdalnych wniosków.

– Nie. Na pewno nie świadomość dowolnie wskazanej osoby – wyjaśnił Orphu. – Chodzi o wyjątkowe umysły, same w sobie przypominające osobliwości, które są w stanie zaginać czasoprzestrzeń i prowokować kolaps fal prawdopodobieństwa w dyskretne stany alternatywne.

Mam teraz na myśli Prousta, Homera, Szekspira...

– Tak, jasne, tyle że to... to po prostu... – jękał się Mahnmut.

– Solipsyzm?

– Nie, po prostu idiotyzm – odparł mniejszy morawiec.

Na kilka kolejnych minut w gondoli zapanowało milczenie. Mahnmut domyślał się, że uraził przyjaciela, lecz nie było to w tej chwili najważniejsze. Wreszcie ponownie odezwał się przez radio.

– Czyli oczekujesz, że kiedy dotrzemy do Olympus Mons, zastaniemy tam duchy greckich bogów?

– Nie, nie duchy – odparł Orphu. – Sam widziałeś odczyty skanów aktywności kwantowej.

Kimkolwiek są mieszkańcy wulkanu, zryli Marsa kwantowymi tunelami jak

krety. A najwięcej ich odkryliśmy właśnie w pobliżu naszego celu. Pod względem kwantowym tamten teren jest tak poszatkowany, że lada chwila może implodować i pociągnąć za sobą sporą część Układu Słonecznego.

– Czyli według ciebie do tego właśnie służy Urządzenie? – zapytał Mahnmut. – Ma doprowadzić do implozji pól kwantowych, zanim osiągną coś w rodzaju masy krytycznej?

– Tego to ja nie wiem – przyznał morawiec z lo. – Niewykluczone.

– I myślisz, że właśnie coś takiego zniszczyło Ziemię i wyгнаło postludzi do orbitalnych miast?

Nieudana teleportacja kwantowa?

– Skąd, wręcz przeciwnie – rzucił Orphu. – Cokolwiek stało się wówczas na Ziemi, było rezultatem teleportacji najzupełniej udanej.

– To znaczy? – Mahnmutowi przemknęło przez myśl, że woli nie poznać odpowiedzi.

– Moim zdaniem ich kwantowe tunele sięgnęły rzeczywistości, której istnienia nie przewidzieli.

A potem coś z nich wylazło.

Tym razem cisza trwała aż do świtu.

\* \* \*

Słońce musnęło najpierw grzbiet balonu. Pomarańczowa tkanina rozblęsnęła nierzeczywistym blaskiem, zajaśniały fulerenowe liny. Niedługo potem promienie padły na stożki wulkanów, zagrały na lodzie i niczym leniwie ciekąca magma spłynęły złotą falą po wschodnich stokach. Rzednące chmury zaświeciły różem i złotem, oświetlając wewnętrzne morze Valles Marineris aż po wschodni horyzont. Wydawało się, że lazurytowy akwen rozcina skorupę planety na dwoje. Minutę potem jutrzienka zalśniła na wierzchołku Olympus Mons i Mahnmut spojrzał na piętrzący się na zachodzie szczyt. Niebywała góra przypominała podpływający ku nim z wolna, mieniący się złotem i czerwienią żagli galeon.

Nagle snop promieni odbił się od czegoś innego, znajdującego się znacznie bliżej i wyżej.



– Orphu! – zawołał Mahnmut. – Mamy towarzystwo!

– Rydwan?

– Nie wiem. Jeszcze za daleko. Patrzę w zbliżeniu, ale razi mnie słońce.

– Co zrobimy, jeżeli to jednak rydwan? Może nie powiedziałeś mi jeszcze o jakiejś tajnej superbroni?

– Tak, możemy ich ostrzelać ciętymi ripostami – fuknął Mahnmut, wpatrując się w ognistą iskierkę. Zbliżała się z wielką prędkością. – Chyba że mam odpalić Urządzenie?

– Nie. Myślę, że trochę na to za wcześnie – przyznał Orphu.

– Dziwię się, że Koros III wyprawił się na tę misję bez innej broni.

– Skąd wiesz, co wiózł u siebie na mostku? – zauważył morawiec z lo. – Ale słuchaj, przyszło mi do głowy coś innego.

– Co takiego?

– Pamiętasz o tej jego tajnej misji do pasa asteroid? Sprzed kilku lat?

– Pamiętam. – Nadlatujący pojazd jaśniał w słońcu niemal oślepiająco, lecz Mahnmut zdołał rozpoznać sylwetkę rydwanu. Holograficzne konie rwały co sił w kopytach.

– Może nie wysłano go tam, by szpiegował? – podsunął Orphu.

– To znaczy?

– Znaczy, że skałowce wykształciły w sobie coś, co my zaniedbaliśmy.

– Masz na myśli agresję? Wojowniczość? – upewnił się Mahnmut.

– Właśnie. Może Koros III nie był szpiegiem, a...

– Wybacz – przerwał przyjacielowi Mahnmut – ale mamy gościa. Rydwanem kieruje wysoka, człekokształtna istota.

Powietrze przeszył gwałtowny huk. Czasza balonu zafalowała. Rydwan przyhamował i okrążył gondolę, utrzymując stumetrowy dystans.

– Ta sama, która powitała nas na orbicie? – spytał najspokojniej na świecie Orphu.

Mahnmut obrzucił spojrzeniem pancierz bezradnego, uwięzowanego do pokładu przyjaciela, który nie miał nawet jednego sprawnego oka.

– Nie – odparł. – Tamten grecki bóg miał siwą brodę. Ten jest młody i gładko ogolony. Ma chyba ze trzy metry wzrostu. – Mahnmut uniósł dłoń i wyciągnął ją w starożytnym geście powitania, demonstrując jednocześnie, że

jest bezbronny. – Wiesz, on chyba...

Rydwan podfrunął bliżej. Trzymający lejce mężczyzna wyciągnął prawą ręką, zacisnął pięść i przesunął nią w powietrzu z prawej do lewej.

Czaszą balonu targnęła eksplozja, hel zaczął ulatywać spomiędzy strzępów płonącej tkaniny.

Mahmud chwycił się drewnianego relingu, by nie wypaść. Splątana, wirująca masa płonącego materiału, fulerenowych lin i sama gondola runęły w dół, ku majaczącemu trzynaście kilometrów poniżej płaskowyżowi Tharsis. Niewielki morawiec doznał wrażenia nieważkości, nogi wzleciały mu nad głowę. Szczątków balonu trzymał się tylko kurczowo zaciśniętymi dłońmi. Spadali swobodnie, dziko przy tym wirując.

Rydwan wraz ze swoim widmowym, holograficznym zaprzęgiem przeleciał prosto przez wciąż gorejącą, rwącą się czaszę. Woźnica – bóg – wyciągnął ramię i chwycił potężną garścią jedną z czarnych lin. I wtedy stało się coś niewyobrażalnego, nierealnego. Gondola, zamiast wyrwać mu ramię ze stawu, szarpnęła, zakołysała się i zawisła. Mimo że ważyła dobre kilka ton, młodzieniec swobodnie utrzymał ją jedną ręką. Drugą smagnął lejcami zaprężone do rydwanu konie.

Rydwan pociągnął ze sobą kołyszącą się na czterdziestometrowej linii gondolę zniszczonego balonu, zawrócił i poleciał na zachód, w kierunku Olympus Mons.

# 36

## *Basen Śródziemny*

Po czerwonej gliniastej drodze jechali już mniej więcej godzinę. Pełzacz coraz głębiej zanurzał się między pola i doliny Basenu Śródziemnego. Było ciemno, spadł ulewny deszcz. Szklaną kulą kabiny wstrząsały jaśniejące na niebie pioruny.

Korzystając z blasku kolejnej błyskawicy, Daeman wskazał palcem krzyże i wiszące na nich człekokształtne postacie.

– Kto to? Ludzie?

– Nie, nie ludzie – odparła Savi. – To kalibany.

– Musimy się zatrzymać – rzucił chłopak, nim kobieta zdążyła dodać choć słowo.

Pełzacz przystanął. Przewodniczka włączyła przednie reflektory oraz zamontowane nad ich głowami szperacze, po czym zdjęła z twarzy noktowizyjne gogle.

– Co się stało? – spytała. Na twarzy Daemana malowała się rozpacz.

– Padam z głodu – oświadczył.

– Mam w plecaku dwa batoniki, zawierają sporo cukru i...

– Umieram z pragnienia – rzucił chłopak.

– Zabrałam też butelkę wody. Możemy też otworzyć kabinę i nałapać chłodnej deszczówki...

– Potrzebuję skorzystać z toalety. – Daeman kontynuował wyliczankę. – Natychmiast.

– No cóż – powiedziała kobieta. – Pełzacz został wyposażony w wiele udogodnień, ale o pokładowej toalecie zapomnieli. Myślę, że chwila postoju

zrobi dobrze nam wszystkim.

Musnęła dwa wirtualne przyciski i pole siłowe zniknęło. Krople deszczu zaczęły bębnić o szkło, segment ściany usunął się na bok. Świeże, czyste powietrze pachniało wilgocią pól i roślinami.

– Mam się załatwić na dworze? – Daeman nie próbował nawet skrywać grozy. – Tam? Na zewnątrz?

– Na polu, wśród kukurydzy – poradziła Savi. – Nikt cię tam nie zobaczy. – Sięgnęła do plecaka i wyjęła z niego zwinięte w rolkę chusteczki. Oderwała kilka i wręczyła chłopakowi.

Popatrzył na nie w najwyższym zdumieniu.

– Sam chętnie rozprostuję nogi – powiedział Harman i sięgnął po chusteczki. – Chodź, Daeman.

Panowie na prawo, panie na lewo.

Wysmyknął się z kabiny i zszedł po stalowej drabince. Młodszy towarzysz ruszył za nim, przez cały czas ściskając chusteczki niczym magiczny amulet. W następnej kolejności wysiadła staruszka, która zsunęła się na dół z dużo większą gracją niż chłopak.

– Ja też pójdę z wami na prawo – rzuciła. – Schowam się w innym rzędzie kukurydzy, ale lepiej, żebym się za bardzo nie oddalała.

– Ale dlaczego? – zdziwił się Daeman, lecz zaraz potem zauważył w dłoni przewodniczki czarny przedmiot. Pistolet. – Ach, tak...

Wsunęła broń za pas i odeszli od pełzacza. Przekroczyli płytki rów, przeszli pas błotnistej ziemi i zanurzyli się między wysokie źdźbła kukurydzy. Deszcz z każdą chwilą przybierał na sile.

– Przemokniemy do suchej nitki. A ja nie mam ze sobą samosuszających się ubrań... – poskarżył się Daeman.

Savi podniosła wzrok. Skacząca z chmury na chmurę błyskawica rozdarła niebo, głuchy grzmot targnął całym wielkim basenem.

– Ja pamiętałam o termoskórach. Mam je w plecaku. Kiedy wrócimy do pełzacza, przebierzecie się, a wasze ciuchy tymczasem przeschną.

– Prawdziwy magiczny plecak. Masz w nim jeszcze coś ciekawego? – zapytał Harman.

Staruszka pokręciła głową.

– Parę batoników. Zapasowe magazynki. Latarkę i kilka samodzielnie sporządzonych map. Poza tym termoskóry. Butelkę z wodą. Spakowałam też swoją ulubioną bluzę na zmianę, i to w zasadzie wszystko.

Daemanowi śpieszyło się na stronę, ale zatrzymał się na skraju kukurydzianego pola. Rozejrzył się.

– Czy to bezpieczna okolica? – zapytał.

– Wojniksów tutaj nie spotkasz. – Savi wzruszyła ramionami.

– A te, no... Jak je wcześniej nazwałaś?

– Kalibany – przypomniała Savi. – Nie. Dzisiejszej nocy nie musisz się nimi przejmować.

Chłopak pokiwał głową i wszedł za pierwszy rząd kukurydzy. Wysokie źdźbła przerastały go o dwa lub nawet trzy metry. Krople ulewnego deszczu uderzały z głuchym stukotem o szerokie liście.

Wycofał się.

– Tam jest strasznie ciemno.

Harman zniknął między strzelistymi łodygami. Także Savi oddalała się już w przeciwnym kierunku, lecz zatrzymała się, zawróciła i podała Daemanowi latarkę.

– Mnie wystarczą błyskawice.

Chłopak precyzyjnie przeszedł między rozkołysanymi roślinami i zagłębił w pole na jakieś osiem, dziesięć rzędów. Chciał oddalić się od drogi i rowu na tyle, by nikt nie mógł go zobaczyć. Po zastanowieniu -tak dla pewności – przeszedł jeszcze dziesięć kolejnych. Wypatrzył miejsce, w którym ziemia wydawała się mniej podmokła niż gdzie indziej, i rozejrzył się dokoła. Oparł latarkę o grubą łodygę i jej promień strzelił pionowo ku górze, zupełnie jak niebieskie światło w Jerozolimie. Daeman rozpiął spodnie, opuścił je i przykucnął, po czym wykopał dłońmi w ziemi płytką jamkę. Jak Savi nazwała ten koszmar? – spróbował sobie przypomnieć. Biwak?

Kiedy skończył – mimo barbarzyńskich warunków doznał niesamowitej ulgi – jak umiał najstaranniej posłużył się przemoczonymi chusteczkami. Zabiegi okazały się niewystarczające, więc cisnął rozmiękłe papierki do błotnistej dziury i sięgnął do wypchanej kieszeni bluzy. Wyciągnął z niej trzydziestocalowe pasmo tkaniny, z którym nie rozstawał się ani na chwilę.

Całun turyński.

W blasku podświetlonych snopem światła z latarki liści przyjrzał się delikatnie utkanemu kawałkowi lnu i finezyjnie wplecionym w materiał, mikroskopijnym układom scalonym, które przekazywały turyński spektakl prosto do umysłu odbiorcy. Oglądaniu zmagania Trojan i Achajów oddawał się z przerwami już od wielu lat, lecz od momentu spotkania z prawdziwym Odyseuszem – o ile brodacz faktycznie był królem Itaki, co przecież wydawało się mało prawdopodobne – rozgrywające się pod Troją wydarzenia przestały go interesować. Odyseusz nie tylko przespał się z Hanną, dziewczyną, którą chłopak planował uwieść, ale też zamieszkał teraz na Dworze Ardis, z głównym obiektem jego romansowych podchodów, Adą. Daeman zważył całun w dłoni, jakby nad czymś się zastanawiał.

A, do diabła z tym. Podtarł się – sprawiło mu to nadspodziewaną przyjemność, przynajmniej w tak pośredni sposób zdołał Greka poniżyć – wrzucił całun do dołka, zagrzebał wszystko pod warstwą błota, podciągnął spodnie i poprawił bluzę. Spróbował umyć ręce mokrymi od deszczu liśćmi kukurydzy, po czym podniósł latarkę i ruszył z powrotem przez pole.

Przemierzył mniej więcej dwadzieścia rzędów, lecz zagony kukurydzy nie miały końca. Trzydzieści pięć rzędów dalej nabrał już pewności. Pomylił kierunki. Zawrócił natychmiast, starając się ustalić właściwą trasę – wystarczyło przecież ruszyć z powrotem po własnych śladach w błocie. Kilka razy jednak obrócił się bezradnie w ciemności i zupełnie stracił orientację. A śladów nigdzie nie było.

Pioruny tymczasem były coraz częściej, także deszcz przybierał na sile.

– Halo! – zawołał Daeman. Odczekał sekundę, a kiedy nikt mu nie odpowiedział, wykrzyknął raz jeszcze: – Pomocy! Zgubiłem się! – Słowa utonęły w huku kolejnego grzmotu.

Znów się rozejrzał. Wybrał kierunek, który wydawał mu się najlepszy, i pobiegł wśród wysokiej kukurydzy. Wściekłymi uderzeniami krótkiej latarki rozgarniał stojące mu na drodze źdźbła.

Zapomniał o liczeniu mijanych rzędów, lecz bez wątplenia pokonał ich czterdzieści lub pięćdziesiąt.

W końcu przystanął.

– Ratunku! Tutaj jestem!

Tym razem niebo milczało, ale i tak nie otrzymał odpowiedzi. Nie słyszał niczego poza grzechotem deszczu i młaśnięciami swych przemokniętych, miejskich butów w śliskim błocie.

Ruszył przed siebie, zatrzymując się za każdym rzędem roślin. Rozglądał się czujnie na boki, wypatrując świateł czy ruchu. Nie pomyślał nawet, że każdy krok oddala go od dwójki towarzyszy.

Po kilku minutach stracił oddech i po raz kolejny przystanął.

– Pomocy!

Piorun trafił w ziemię niecałą milę dalej. Grzmot, niczym fala uderzeniowa, przetoczył się nad kukurydzianym polem. Daeman odczekał, mrugając, by odzyskać wzrok, i po chwili zauważył, że po prawej stronie gęstwina się przerzedza. To musiał być skraj pola.

Przebiegł czym prędzej jakieś piętnaście rzędów i wypadł na niewielką przesiekę.

Owszem, udało mu się dotrzeć na skraj pola, lecz zupełnie nie ten, na który liczył. Polanka miała wymiary około dwudziestu stóp na trzydzieści. Na jej środku stał metalowy krzyż, sięgał sześć, może osiem stóp ponad łodygi kukurydzy. Daeman omiół go promieniem latarki, od podstawy wzwyż.

Stwór nie został na krzyżu zawieszony, lecz tkwił w nim wciśnięty nagim tułowiem, niczym w przepołowionej rurze. Nieosłonięte ramiona wyciągały się wzdłuż poprzecznych belek. Daeman przyjrzał się uważniej i latarka zadygotała mu w dłoni.

Żadną miarą nie był to człowiek – w każdym razie nie przypominał zwykłych, znanych Daemanowi ludzi. Człękokształtna istota była rozebrana i oślizła, pokrywały ją zielonkawe łuski.

Barwą nie przypominała jednak zielonych rybek. Chłopak zawsze wyobrażał sobie, że taki właśnie odcień przybierały gnijące zwłoki, nim konserwatornie położyły kres tego rodzaju barbarzyństwu natury. Drobne, liczne łuski lśniły w świetle latarki. Stworzenie było muskularne, lecz jego mięśnie miały osobliwy kształt i zostały dziwacznie rozmieszczone – ramiona były zbyt długie, przedramiona nadmiernie wychudzone, przeguby rozrośnięte. Kłykcie wyglądały na obrzmiałe.

Zamiast paznokci ukrzyżowane monstrum miało żółte pazury. Grubsze od ludzkich uda i trójpalczaste, dziwnie rozcapierzone stopy.

Istota była zdecydowanie samcem – obscenicznie wystawione na widok intensywnie różowy penis i moszna zwisały pod twardym, umięśnionym jak tarka brzuchem. Cała sylwetka przywodziła na myśl żółwia lub rekina, obdarzonego niemal ludzkimi genitaliami. Mocny tors, węzowa szyja i łysa głowa różniły się od ludzkich najbardziej. Deszcz spływał po pokrytych łuskami muskułach, opływał ścięgna, ściekał po czarnym metalowym krzyżu.

Głęboko osadzone oczy kojarzyły się naraz z rybami i małpami, zamiast nosa wyciągało się pod nimi coś jak pysk lub skrzela. Poniżej, w lekko rozchylonych ustach Daeman zauważył długie żółte zęby-znów ani ludzkie, ani zwierzęce. Rybie, potworne. Niebieskawy język, dłuższy niż u człowieka, co chwila poruszał się na boki. Chłopak przesunął snop światła wyżej i niemal krzyknął z przerażenia.

Stworzenie otworzyło oczy – podłużne, kocie. Pośrodku widniały wąskie szczeliny pionowych źrenic. Istota... – jak je Savi nazwała? Kalibany? – poruszyła się w wydrążonym krzyżu i rozwarła długie palce. Światło zagrało na szponach. Nogi i tułów zadrżały, jakby wyrwany ze snu potwór próbował się przeciągnąć.

Kaliban nie był skrupowany. Gdyby postanowił rzucić się na chłopaka, nie mogło go powstrzymać.

Daeman chciał uciec, lecz okazało się, że nie potrafi odwrócić się do monstrum plecami. Stwór poruszył się raz jeszcze. Prawa dłoń wraz z większą częścią ramienia oderwała się od poziomej belki krzyża. Błoniaste stopy – co chłopak spostrzegł dopiero w tej chwili – również wyposażone były w żółte pazury.

Za jego plecami rozległ się głośny trzask – był pewien, że to pobratymcy kalibana, ci, którzy zesli już ze swoich krzyży. Odwrócił się na pięcie, gotów spojrzeć napastnikom prosto w ślepie. Uniósł latarkę jak maczugę, przez co zrobiło się przed nim zupełnie ciemno.

Pośliznął się – a może to po prostu nogi odmówiły mu posłuszeństwa? – i padł kolanami w błoto.

Zebrało mu się na płacz, lecz chyba nie zdążył nawet zaszlochać. Po kilku



krótkich sekundach spomiędzy roślin wyłonił się pełzacz, niczym gigantyczny pajak górował nad Daemanem, źdźbłami kukurydzy, krzyżem i nieruchomym kalibanem. Osiem reflektorów pojazdu zaświeciło oślepiającym blaskiem. Chłopak osłonił twarz dłońmi. Jak zdał sobie potem sprawę, bardziej po to, by ukryć łzy, niż ochronić oczy.

\* \* \*

Przebrani już w termoskóry mężczyźni spoczywali wygodnie wyciągnięci na skórzanych siedzeniach. Staruszka ułożyła się na obłej, szklanej ścianie kabiny. Jedli w milczeniu batony, przekazywali sobie butelkę z wodą i przez jakiś czas po prostu przyglądali się szalejącej na zewnątrz burzy. Daeman poprosił Savi, by odwiozła go jak najdalej od pola i ukrzyżowanego potwora.

Przejechali więc milę lub dwie po rdzawej, bitej drodze, po czym zjechali na pobocze i wyłączyli wszystkie systemy pojazdu poza polem siłowym i pobłyskującymi słabo wyświetlaczami wirtualnego pulpitu.

– Co to było? – zapytał wreszcie Daeman.

– Kaliban, mówiłam ci przecież – odpowiedziała Savi. Przewodniczka urządziła się na ścianie kokpitu bardzo komfortowo, leżała z wciśniętym pod głowę plecakiem.

– Pamiętam jak się nazywają – warknął chłopak. – Chcę wiedzieć, czym są. Kobieta ciężko westchnęła.

– Jeżeli zacznę wyjaśniać ci jedno, zaraz będę musiała tłumaczyć coś innego. Wy, elojowie, macie tak nikłe pojęcie o świecie. Właściwie żadnego.

– Zaczynij może od tego, dlaczego nazywasz nas elojami? – zasugerował Harman, podnosząc nieco głos.

– Podejrzewam, że początkowo była to obelga – odpowiedziała kobieta. Błysnęło i jaskrawe światło uwydatniło jej zmarszczki. Burza oddaliła się już na tyle, że grzmot doleciał dopiero po dłuższej chwili. – Chociaż, szczerze mówiąc, nim zaczęłam tak was nazywać, posługiwałam się tym słowem wobec moich pobratymców.

– Co oznacza? – nacisnął Harman.

– To określenie z bardzo dawnej opowieści, spisanej w starożytnej książce

– powiedziała przewodniczka. – Pochodzi z historii o podróżniku w czasie, który wybiera się w daleką przyszłość i stwierdza, że ludzkość wyewoluowała w dwie odmienne rasy. Jedna była łagodna i leniwa.

Spędzali czas, wygrzewając się w promieniach słońca. To właśnie elojowie. Drugą grupę stanowiły istoty brzydkie, potworne, pracowite, oddane technologii, lecz żyjące w mrokach jaskiń. Ci nazywali się morlokami. Morlokwie produkowali dla elojów żywność, budowali schronienia, szyli im odzież. Tak rozpieszczani elojowie tyli, obrastali w tłuszcz. A wówczas morlokwie ich pożerali.

Pola ponownie rozświetliła błyskawica, bledsza i znacznie słabsza od poprzednich.

– Więc tak właśnie wygląda teraz nasz świat? – odezwał się Daeman. – My jesteście elojami, a kalibany i wojniak są morlokami? Czy oni nas zjadają?

– Żałuję, ale to wszystko nie jest aż tak proste – odparła staruszka. Zniosła się cichym, wyczerpanym z humoru śmiechem.

– Czym więc są kalibany? – zapytał Harman.

Zamiast odpowiedzieć, kobieta zwróciła się do chłopaka: – Daeman, możesz pokazać Harmanowi sztuczkę, której cię nauczyłam?

– Którą? – zawahał się Daeman. – Bliskosieć czy dalekosieć?

– Kochanie, przecież wiemy, gdzie jesteśmy – rzuciła ironicznie przewodniczka. – Pokaż mu dalekosieć.

Chłopak skrzywił się, lecz posłuchał. Poprosił Harmana, by wyobraził sobie trzy niebieskie kwadraty wewnątrz trzech czerwonych kółek, i nagle nad dłońmi obu mężczyzn zaświeciły niebieskie owalne wyświetlacze.

– A teraz pomyśl o kimś – polecił Daeman. Towarzyszyło temu dziwne wrażenie, jeszcze nigdy nikogo nie uczył. Może z wyjątkiem pewnych technik seksualnych. – O kimkolwiek – dodał. – Po prostu wyobraź sobie dowolną osobę.

Harman popatrzył z powątpiewaniem, lecz skupił się. W owalu nad jego ręką pojawił się ukazany z lotu ptaka Dwór Ardis. Na ganku rezydencji, w otoczeniu grupki symbolicznie odwzorowanych mężczyzn i kobiet stała stylizowana postać kobiety.

– To Ada – zauważył Daeman. – Pomyślałeś o Adzie.

– Niesamowite – zachwycił się Harman. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w obraz. – Teraz pomyślę o Odyseuszu – oświadczył.

Obrazek się zmienił. Oddalił, przybliżył. Ostatecznie jednak nie zobaczyli nikogo.

– Savi mówiła, że Odyseusz nie jest zarejestrowany w dalekosieci – podpowiedział Daeman. – Wróc do Ady. Sprawdzimy, co robi.

Harman skoncentrował się raz jeszcze. Kreskówkowy wizerunek dziewczyny pojawił się na łące, mniej więcej sto metrów od Dworu Ardis. Ada dołączyła właśnie do tłumu innych postaci, otaczających półkolem puste miejsce.

– Ciekawe, co się tam dzieje. – Chłopak wpatrywał się w wyświetlacz. – Jeżeli ta biała plama faktycznie przedstawia Odyseusza, to być może stary barbarzyńca właśnie coś wszystkim opowiada.

– A Ada go słucha, bądź ogląda jakiś jego występ – dodał Harman. Podniósł wzrok znad wyświetlacza. – Tylko jaki to ma związek z moim pytaniem, Savi? Kim są kalibany? I dlaczego wojniksy chciały nas zabić? O co w tym wszystkim chodzi?

– Kilka stuleci przed ostatnim faksowaniem – Savi zaplotła dłonie na piersi – poziom wiedzy postludzi niesłychanie wzrósł. Ich naukowe osiągnięcia były w tym okresie niezrównane. Podczas straszliwej epidemii rubikonu po prostu uciekli z Ziemi i skryli się w orbitalnych pierścieniach. Nie wypuścili jednak z rąk władzy na planecie. Co więcej, uznali się za panów całego wszechświata.

Następnie pokryli powierzchnię Ziemi siecią ograniczonego przesyłu energii i informacji, którą nazywacie siecią portali faksowych, i zaczęli eksperymentować, chociaż lepiej byłoby powiedzieć, że igrac, z podrózkami w czasie, teleportacją kwantową i innymi niebezpiecznymi koncepcjami.

Opierali się przy tym na bardzo starych teoriach naukowych, niektóre pochodziły jeszcze z dziewiętnastego wieku. Fizyka czarnych dziur, teoria tuneli czasoprzestrzennych, mechanika kwantowa i tak dalej. Przede wszystkim jednak liczyło się dla nich dwudziestowieczne odkrycie, że wszystko, co istnieje, sprowadza się w istocie do informacji. Dane, świadomość, materia, energia.

Wszystko jest informacją.

– Nie rozumiem – przyznał poirytowany Harman.

– Daeman, pokazałeś już Harmanowi funkcję dalekosieci. Może zademonstrujesz mu teraz wszechsieć?

– Wszechsieć? – powtórzył zaniepokojony chłopak.

– No wiesz, cztery niebieskie trójkąty nad trzema czerwonymi kółkami, nad czterema zielonymi trójkątami.

– Nie! – zaprotestował Daeman. Wyłączył myślą swój wyświetlacz. Niebieska poświata zgasła.

Savi popatrzyła na starszego mężczyznę.

– Jeżeli chcesz przynajmniej zacząć pojmować, co tu dzisiaj robimy, dlaczego postludzie na zawsze opuścili Ziemię i skąd wzięły się kalibany i wojniksy, wyobraź sobie te figury. Wiem, że wzór nie jest łatwy, ale wszystko zależy od wprawy.

Harman zerknął niepewnie na chłopaka, lecz po chwili opuścił powieki i ściągnął brwi.

Daeman z całych sił skupił się na tym, by nie zobaczyć w duchu wymienionych kształtów. Zmusił się do wyobrażenia sobie nagiego ciała nastoletniej Ady, przypomniał sobie ostatni raz, gdy kochał się z dziewczyną, karzącą go matkę...

– Mój Boże! – wykrzyknął nagle Harman.

Chłopak spojrzał na towarzysza. Mężczyzna poderwał się na równe nogi, odszedł chwiejnie od siedzenia i z rozdziawionymi ustami rozglądał się na wszystkie strony.

– Co widzisz? – spytała szeptem Savi. – Co słyszysz?

– Boże... Mój Boże... – jęknął Harman. – Widzę... Chryste, widzę wszystko. Dosłownie wszystko.

Energię... Rozśpiewane gwiazdy... Słyszę, jak kolby kukurydzy rozmawiają między sobą... i z samą Ziemią.. Widzę, że... Pełzacz jest wypełniony maleńkimi mikroorganizmami... Bezustannie go naprawiają, studzą... Widzę... O, Boże... Moja dłoń!

Mężczyzna wpatrywał się we własną rękę z miną wyrażającą naraz grozę i zachwyt.

– Jak na pierwszy raz wystarczy-stwierdziła przewodniczka. – Pomyśl „wyłącz”.

– Nie... Jeszcze chwilę... – wydyszał Harman. Wpadł na szklaną ścianę kabiny i przeciągnął po niej słabnącymi palcami, jakby chciał wydrapać sobie przejście na zewnątrz. – To... takie... piękne...

Mogę prawie...

– Wyłącz! – krzyknęła staruszka.

Mężczyzna zamrugął, oparł się ciężko o szybę i zwrócił ku nim pobladłe oblicze.

– Co to było? – szepnął. – Widziałem.. Wszystko. I wszystko słyszałem.

– Ale niczego nie rozumiałeś – skwitowała Savi. – Podobnie jak ja, kiedy korzystam z wszechsieci. Możliwe, że nawet postludzie nie rozumieli tego do końca.

Harman zrobił kilka kroków i osunął się na swój fotel.

– Ale skąd się to wzięło?

– Tysiące lat temu – powiedziała kobieta – prawdziwi dawni ludzie opracowali prymitywne środowisko informacyjne zwane Internetem. Po jakimś czasie postanowili je opanować i stworzyli coś, co określili mianem Tlenu. Nie chodzi tu o gaz, lecz o sztuczne inteligencje przenikające cały Internet, kierujące nim, odpowiadające za połączenia, wymianę oraz indeksowanie danych.

Potrafiły też wynajdywać w Internecie inne osoby bądź informacje.

– Opowiadasz o powstaniu bliskosieci, prawda? – wtrącił Daeman. Ręce chłopaka drżały, mimo że nie korzystał dzisiaj z dalekosieci ani tym bardziej wszechsieci.

Savi skinęła głową.

– W każdym razie jej załączka. Ostatecznie Tlen wyewoluował w noosferę, inaczej logosferę, czyli datasferę obejmującą swoim zasięgiem całą planetę. To jednak postludziom nie wystarczyło.

Połączyli ten superrozwinęty Internet, noosferę, z biosferą Ziemi, z ogółem żyjących na niej organizmów. Każde zwierzę i roślina, każdy erg energii planety, po powiązaniu z noosferą stworzyły kompletne, totalne środowisko informacyjne Ziemi, przenikające wszystko jednocześnie.

Narodziła się rozumna omnisfera, której brakowało jedynie samoświadomości i tożsamości. Tyle że głupi postludzie obdarzyli ją samoświadomością. Nie tylko zaprojektowali dla niej sztuczną inteligencję, lecz pozwolili, by wykształciła własną, odrębną osobowość. I ta supernoosfera nadała sobie imię. Prospero. Może słyszeliście już kiedyś to słowo?

Daeman pokręcił głową i rzucił okiem na Harmana, lecz ten, choć odczytany, również zaprzeczył.

– Nieważne – rzuciła przewodniczka. – W każdym razie postludzie doczekali się... przeciwnika, którego nie byli w stanie sobie podporządkować. A na tym się jeszcze nie skończyło.

Wykorzystywali samoulepszące się programy i inne projekty, pozwalali kwantowym komputerom realizować własne cele. Trudno w to uwierzyć, ale zdołali stworzyć stabilne tunele czasoprzestrzenne, posiadli tajemnicę podróży w czasie, a także zaczęli przysyłać dawnych ludzi.

Traktowali ich niczym myszy w laboratorium. Własnych nieśmiertelnych jestestw nie ryzykowali.

Wykorzystując zjawisko kwantowej teleportacji, wysyłali ich przez czasoprzestrzeń.

– A gdzie tu związek z kalibanami? – Harman nie rezygnował.

Daeman był pewien, że towarzysz wciąż nie może zapomnieć tego, co ujrzał podczas połączenia z wszechsiecią.

Savi się uśmiechnęła.

– Noosferą, Prospero, albo jest największym ironistą świata, albo zupełnie nie wie, czym jest ironia. Nadał rozumnej biosferze imię Ariel...To imię ziemskiego ducha... i wspólnie stworzyli kalibany. Wytypowali pewien szczerp ludzkości, nie dawnych ludzi, nie postludzi i nie elojów, i przemienili ich ewolucyjnie w potwory, które widzieliście dzisiaj na krzyżach.

– Tylko po co? – spytał Daeman. Z trudem wypowiedział nawet tak krótkie zdanie.

Staruszka wzruszyła ramionami.

– Siły policyjne. Prospero jest istotą nastawioną pokojowo, za taką się przynajmniej uważa. Jego kalibany to jednak prawdziwe monstra. Zabójcy.

– Do czego ich potrzebowaliśmy? – Tym razem odezwał się Harman.

– Do powstrzymania wojników – wyjaśniła przewodniczka. – Do przegrania z Ziemi postludzi, by nie wyrządzili dalszych szkód. By wymuszali realizację każdej decyzji i kaprysu Prospera i Ariela.

Daeman usilnie starał się pojąć. Bez skutku.

– Więc dlaczego ten stwór wisiał na krzyżu? – zapytał wreszcie.

– Nie wisiał – sprostowała Savi. – Po prostu w nim siedział. Ładował się. Właśnie do tego te krzyże służą.

Harman pobladł tak bardzo, że Daeman zaniepokoił się o jego zdrowie.

– A po co postludzie stworzyli wojniksy?

– Ależ oni ich nie stworzyli – oświadczyła kobieta. – Wojniksy przybyły skądinąd. Nikt nie wie, komu służą. Realizują jakiś zupełnie inny plan.

– Zawsze sądziłem, że to zwykłe maszyny – rzucił Daeman. – Podobnie jak serwitory.

– Nie – odparła Savi.

Harman wyjrzał w noc. Deszcz ustał. Burzowe chmury odpłynęły nad odległy horyzont. Grzmoty z wolna cichły. Wśród strzępów obłoków zaświeciły pierwsze, nieliczne gwiazdy.

– Kalibany strzegą Basenu przed wojnikami – wyszeptał.

– Tak, wojniksy trzymają się z dala między innymi dzięki nim. -Savi pokiwała głową. Wydawała się zadowolona, jak nauczycielka, która stwierdziła nagle, że jej uczeń nie jest jednak skończonym durniem.

– Ale dlaczego w takim razie kalibany nas nie zabiły? – zapytał Harman.

– Kwestia naszego DNA – odparła staruszka.

– Naszego czego? – zdziwił się Daeman.

– Nieważne, kochani. Wystarczy wam wiedzieć, że pozwoliłam sobie pożyczyć od was po kilka włosów, dodałam swoje i dlatego wciąż jeszcze żyjemy. Zawarłam z Arielem pewną umowę. Tym razem pozwoli nam przejść, w zamian za co ja uratuję duszę Ziemi.

– Spotkałaś się z Arielem? Z tym duchem ziemi? – Harman otworzył szeroko oczy.

– Cóż, nie osobiście – przyznała przewodniczka. – Pogawędziliśmy sobie poprzez interfejs łączący biosferę z noosferą. Dobiliśmy targu.

Te słowa upewniły Daemana ostatecznie. Staruszka ześwirowała. Rzucił okiem na Harmana. Mina starszego towarzysza wyrażała to samo przekonanie.

– Nieważne – skwitowała Savi. Uklepała plecak jak poduszkę, ułożyła się i zamknęła oczy. – Wy też powinniście się przespać, młodzi przyjaciele. Jutro musicie być wypoczęci. Dlatego że przy odrobinie szczęścia polecimy wysoko, bardzo wysoko. Aż na samą orbitę.

Zanim zdążyli się wymienić kolejnym znaczącym spojrzeniem, kobieta zaczęła pochrapywać.



# 37

## *Ilion i Olimp*

Nie mogę tego zrobić. Nie mam wystarczająco wielkich jaj, jestem zbyt tchórzliwy, brak mi skłonności do okrucieństwa. Mimo że zależy od tego los Troi, Hektora i mój własny, nie umiem porwać jego synka.

Przed świtem teleportuję się do domu trojańskiego księcia. Byłem już tutaj dwa dni wcześniej – pod postacią Dolona, nieżyjącego w tej chwili włócznika – kiedy Hektor szukał swojej żony i dziecka. Zapamiętałem wtedy rozkład pomieszczeń i tekuję się bezpośrednio do pokoju dzieciennego, sąsiadującego z sypialnią Andromachy. Niespełna roczny syn Hektora leży w przepięknie rzeźbionej, osłoniętej moskitierą kołysce. Obok śpi ta sama piastunka, którą widziałem w towarzystwie Andromachy na murze, gdy Hektor nieumyślnie przestraszył dziecko odbiciem w swoim wypolerowanym do połysku hełmie. Kobieta leży wyciągnięta na kanapie, odziana w cienką, prześwitującą koszulę nocną, udrapowaną z finezją godną grafik Beardsleya.

Delikatny strój przewiązany jest szarfą na grecko-trojańską modłę, tuż pod piersiami, które dzięki temu zabiegowi wydają się jeszcze większe. Śpiącą obmywa poświata stojącego na trójnogu koksownika, przy którym grzeją się strzegący tarasu wartownicy. Już wcześniej domyśliłem się, że opiekunka Skamandriosa jest również jego mamką. To istotne, ponieważ powodzenie mojego planu zależy od tego, czy uda mi się porwać ją razem z chłopcem. Andromacha zostanie, po czym objawi się jej „Afrodyta” i przekaze, iż dziecko porwali bogowie w charakterze kary za nieokreślone przewiny Trojan. Doda także, że jeśli Hektor chce synka odzyskać, powinien wyprawić się na Olimp i odebrać go siłą... i tak dalej, i dalej.

Najpierw jednak muszę uprowadzić dziecko i piastunkę – podejrzewam, że kobieta może się okazać silniejsza ode mnie. Z całą pewnością ma większe doświadczenie w walce wręcz.

Postanawiam więc, że w razie konieczności obezwładnię ją paralizatorem, aczkolwiek zupełnie mi się to nie uśmiecha. Potem teleportuję oboje na to coraz gęściej zaludnione wzgórze w starożytnej Indianie, odszukam Nightenhelsera – wciąż nie wiem, co począć z Patroklosem – i poproszę go, żeby do mojego powrotu zaopiekował się malcem i mamką.

Czy Nightenhelserowi uda się opanować stadko przez kilka dni, tygodni lub nawet miesięcy, jakie muszą upłynąć, zanim to wszystko wreszcie się skończy? Biorąc pod uwagę szanse, w sparingu dwudziestowiecznego profesora literatury starożytnej z trojańską piastunką z około tysiąc dwusetnego roku przed naszą erą postawiłbym raczej na kobietę. I to niemałą kwotę. Ale tym niech się już martwi Nightenhelser. Muszę mieć haka na Hektora. Potrzebuję go podejść, by uznał, że musi wystąpić przeciwko bogom, podobnie jak dzięki „śmierci” Patroklosa zdołałem zwerbować do samobójczej krucjaty Achillesa. A wspomniany hak leży w tej chwili tuż przede mną, pogrążony we śnie.

Mały Skamandrios, którego mieszkańcy Ilionu nazywają czule Astianaktem „panem i obrońcą miasta”, cichutko gaworzy i pociera maleńkimi piąstkami rumiane policzki. Mimo że mam na sobie zapewniający niewidzialność Hełm Hadesa, zamieram w bezruchu i spoglądam na opiekunkę.

Kobieta jednak śpi w najlepsze. Wiem natomiast, że gdyby maluch zapłakał, zbudziłaby się w jednej chwili.

Nie mam pojęcia dlaczego, ale zsuwam hełm z głowy. Staję się widzialny. Poza moimi dwiema ofiarami w pomieszczeniu nie ma nikogo, a oni oboje już za kilka sekund znajdują się dziesięć tysięcy mil stąd i nie wyjawiają mojego rysopisu rysownikom trojańskiej policji.

Starając się zachować ciszę, podchodzę do kołyski i zdejmuję moskitierę. Wiejąca z dalekiego morza bryza nieco się wzmaga. Zasłony w drzwiach na taras falują, kołysze się cieniutka siatka nad chłopcem. Malec otwiera niebieskie oczy i patrzy prosto na mnie. Jego buzię rozświetla nagły uśmiech, chłopczyk wdzięczy się do swojego porywacza, a przecież zawsze sądziłem, że niemowlęta boją się obcych, a już na pewno takich obcych, którzy

pojawiają się w ich pokoju w samym środku nocy. Ale co ja wiem o dzieciach? Własnych z żoną nie mieliśmy, a wszyscy moi studenci byli już niemal dorosłymi ludźmi, patykowatymi i pryszczatymi włochaczami, którzy nie radzili sobie w relacjach z innymi. W każdym razie aż do dzisiaj nie podejrzewałem nawet, że tak małe dzieciaki w ogóle potrafią się uśmiechać.

Skamandrios jednak się uśmiecha. Za moment zacznie hałasować i będę musiał złapać ich oboje i czym prędzej się tekować. Czy uda mi się teleportować ze sobą dwójkę pasażerów? Dowiemy się już za chwilę. Potem wrócę i wykorzystam resztę energii bransolety, by na trzy minuty przybrać postać Afrodyty, której ustami przedstawię żonie Hektora ultimatum.

Czy Andromacha wpadnie w histerię? Czy zacznie krzyczeć i szlochać? Wątpię. W końcu całkiem niedawno widziała, jak Achilles morduje jej ojca i siedmiu braci. Była świadkiem zniewolenia własnej matki, która potem zmarła, próbując urodzić dziecko gwałciciela. Widziała, jak intruzi bezczeszczą i zamieszkują jej rodzinny dom, a mimo wszystko wytrzymała i w dodatku urodziła mężowi ślicznego, zdrowego syna. Teraz dzień w dzień żegna ruszającego do boju Hektora, przeczuwając w głębi serca, że los ukochanego został już z woli okrutnych bogów przypieczętowany. Nie, Andromacha nie jest słabą kobietą. Nawet pod postacią Afrodyty powinienem zwrócić baczną uwagę na jej rękawy. Jeżeli ukrywa w nich sztylet, kto wie, w jaki sposób powita wieść o porwaniu dziecka.

Wyciągam ręce po Skamandriosa. Brudne paznokcie moich dłoni zawisają kilka cali od różowego ciała. Cofam je.

Nie mogę tego zrobić.

Nie potrafię.

Oszołomiony własną bezsilnością w obliczu nadciągającej nieuchronnie śmierci – nie tylko mojej, lecz wszystkich, gdyż ukarani zostaną nawet zwycięscy Grecy-wychodzę chwiejnym krokiem z sypialni Skamandriosa i nie wkładam nawet z powrotem Hełmu Hadesa.

Biorę do ręki teleportacyjny medalion, lecz ogarnia mnie wahanie. Dokąd miałbym się teraz udać? Nie wiem, co robi Achilles, lecz to nie ma już żadnego znaczenia. Sam jeden Olimpu nie zdobędzie, bogów nie pokona nawet cała achajska armia, o ile nie zawrą wcześniej pokoju z Trojanami. W ogóle

cały szczywany plan przekabacenia mężobójcy może wziąć w łeb – niewykluczone, że Hektor ze swymi hordami rozbije Greków już wkrótce, o świcie, gdyż cierpiący po śmierci Patroklosa Achilles wciąż będzie rwać sobie włosy z głowy i szaleć w odosobnieniu.

W tej chwili Trojanie zupełnie go nie obchodzą. Ciekawe też, czy kiedy nie pojawi się tajemniczy człowiek, który według słów Ateny miał zaprowadzić go do Hektora i wskazać im obu drogę na Olimp, Achilles zorientuje się, że padł ofiarą podstępu? Prawdopodobnie tak. A niedługo potem złoży mu wizytę prawdziwa Atena. Zechce sprawdzić co się dzieje. Bogini zapewni szybkonogiego mężobójcę o swej niewinności i być może – to wciąż tylko możliwość – fabuła „Iliady” potoczy się właściwym torem.

Nie, to też już nieważne.

Cały mój idiotyczny plan poszedł właśnie do diabła. Podobnie jak szanse na przeżycie doktora Thomasa Hockenberry'ego. Już po mnie.

Dokąd jednak mam się udać, dokąd powinienem się przenieść, by poczekać, aż odnajdzie mnie rozwścieczona Muza bądź ozdrowiała Afrodyta? Odwiedzić Nightenhelera i wkurzonego Patroklosa? Przekonać się jak szybko bogowie wytropią mój kwantowy ślad, gdy tylko zrozumieją, co zrobiłem... co zamierzałem zrobić?

Nie. W ten sposób niepotrzebnie naraziłbym Nightenhelera. Niech sobie żyje w starożytnej Indianie i zaludnia ziemię wraz z uroczymi indiańskimi dziewczycami. Może nawet założy uniwersytet i będzie wykładać literaturę antyczną – chociaż większość opisywanych przez Greków i Rzymian wydarzeń nie miała jeszcze miejsca. Mam nadzieję, że kolega zdoła się w jakiś sposób dogadać z Patroklosem, którego nie mam zamiaru razić prądem po raz drugi, tylko po to, żeby odstawić go z powrotem do namiotu Achillesa.

„Prima aprilis!” – mogłaby powiedzieć moja trzyminutowa wersja Afrodyty. – „Widzisz? Twój przyjaciel jest zdrow i cały. Mam nadzieję, że nie żywisz urazy, co?”.

Tak, lepiej będzie, jeśli zostawię ich w spokoju.

Zatem dokąd? Na Olimp? Muza wciąż będzie tam na mnie polować, wysledzą mnie radarowe oczy Zeusa, Afrodyta się obudzi... Nie, nie na Olimp. Nie dzisiaj.

Wreszcie przychodzi mi do głowy jedno miejsce, kręcę obwódka medalionu i przenoszę się tam natychmiast, by nie dać sobie szansy na zmianę decyzji.

Jestem widzialny i w zalanej miękkim blaskiem świec komnacie Helena dostrzega mnie natychmiast. Unosi się oparta łokciem o poduchę.

– Hock-en-ber-riii? – wita mnie.

Stoję bez słowa. Wciąż nie wiem, dlaczego się do niej tekowałem. Jeżeli Helena zawezwie strażę, lub rzuci się na mnie z tym swoim sztyletem, nie będę mieć sił się bronić. Czuję się zbyt wyczerpany, by choć próbować ratować się teleportacją. Nie zastanawia mnie nawet, dlaczego o czwartej trzydziści nad ranem w jej sypialni palą się świece.

Helena podchodzi do mnie, lecz nie wyciąga noża. Zdążyłem już zapomnieć, jak piękną jest kobietą – jej smukła, delikatna sylwetka, widoczna przez prześwitującą szatę sprawia, że ciało biuściastej mamki Skamandriosa wydaje się w porównaniu tłuście i niezgrabne.

– Hock-en-ber-riii? – powtarza cicho, znów słyszę swoje słodko zniekształcone nazwisko, tak trudne do wymówienia dla starożytnych Greków.

Zbiera mi się prawie na płacz, kiedy uświadamiam sobie, że Helena Trojańska jest jedynym człowiekiem na świecie – z wyjątkiem Nightenhelsera, który jednak może już nie żyć – który wie, jak się nazywam.

– Jesteś ranny, Hock-en-ber-rii?

– Ranny? – udaje mi się wydukać. – Nie, nie jestem ranny.

Helena prowadzi mnie do sąsiadującego z komnatą pokoju kąpielowego. Tam właśnie ujrzałem ją po raz pierwszy. Tutaj również płoną świece, w wannie czeka woda i widzę w niej swoje odbicie – przekrwione oczy, pokryte szczecina policzki, zmęczenie. Dociera do mnie, że nie spałem od... Ile to minęło? Nie, nie pamiętam.

– Usiądź – prosi Helena i osuwam się ciężko na marmurowy stopień prowadzących do wanny schodków. – Co tu robisz, Hock-en-ber-riii?

– Próbowałem znaleźć rozstrzygający moment – odpowiadam, z trudem dobywając słowa, po czym opisuję jej swą bezsensowną rozgrywkę z Achillesem i porwanie Patroklosa. Przedstawiam plan obrócenia herosów przeciwko bogom, który miał ocalić... wszystkich i wszystko.

– Ale Patroklos żyje? – upewnia się Helena, wpatrując się we mnie

przenikliwymi czarnymi oczyma.

– Tak. Po prostu przeniosłem go... w inne miejsce.

– Przeniosłeś? Podróżując tak, jak podróżują bogowie? – dopytuje się Helena.

– Tak.

– Lecz nie zdołałeś w ten sam sposób uprowadzić Astianakta, syna Hektora?

Otępiały kręcę głową na boki.

Na twarzy i w pięknych oczach kobiety pojawia się wyraz zamyślenia. Helena zapada w głęboką zadumę. Nie sędzę, że mi uwierzy. Do diabła, za kogo ona mnie uważa? Dlaczego poprzednim razem obdarzyła mnie swoją przyjaźnią – „przyjaźń” traktuję tu jako eufemizm opisujący długą namiętą noc. Co ze mną pocznie?

Jakby w odpowiedzi na ostatnie pytanie, Helena podnosi się z miejsca, rzuca mi posępne spojrzenie i wychodzi z pomieszczenia. Dolatuje mnie jej wołanie, słyszę różne imiona i już wiem, że za niecałą minutę do jej apartamentu wpadną strażnicy. Unoszę dłoń do wiszącego mi na szyi medalionu.

Zupełnie nie wiem, dokąd się tekować.

Wciąż mam jeszcze energię w paralizatorze, lecz nie sięgam po niego, nawet kiedy Helena powraca w towarzystwie kilku innych osób. Nie są to jednak wartownicy, a służki. Niewolnice.

Zaraz potem zaczynają mnie rozbierać. Ubrudzone ubrania składają na stertę pod ścianą. Inne dziewczyny wnoszą do pokoju wysokie dzbany z parującą wodą i napełniają wannę. Pozwalam im odebrać sobie bransoletkę, lecz zachowuję medalion. Co prawda, nie powinienem tej zabawki moczyć, ale wolę go mieć przez cały czas pod ręką.

– Wykąpiesz się, Hock-en-ber-riii – oświadcza Helena Trojańska. Podnosi krótką, błyszczącą brzytwę. – A potem osobiście cię ogolę. Proszę, wypij ten napój. Przywróci ci siły i podniesie na duchu. – Wręcza mi kielich jakiegoś gęstego płynu.

– Co to jest? – pytam.

– Ulubiony trunek Nestora. – Helena parska śmiechem. – W każdym razie

tak stary dureń twierdził, kiedy odwiedzał mojego męża, Menelaosa. Wzmocni cię.

Wącham, mimo że wiem, że zachowuję się jak skończony cham.

– Z czego jest zrobiony?

– Z wina, startego sera i ziaren jęczmienia – odpowiada Helena, delikatnie ujmując moje złożone dłonie wraz z kielichem, i unosi je wyżej. Białe palce kobiety mocno kontrastują z moją opaloną, brudną skórą. – Dodałam też nieco miodu, żeby nie był zbyt gorzki.

– Zupełnie jak Kirke – zauważam i rechoczę głupkowato.

– Jak kto?

– Nieważne. – Kręcę głową. – Postać z „Odysei”. Irri... irry.. irrelewantne. – Piję. Napój kopie niczym muł z Missouri. Podświadomie zaczynam się zastanawiać, czy tysiąc dwieście lat przed Chrystusem żył na terenach Missouri choć jeden muł.

Młode służące rozebrały mnie do naga. Musiałem wstać, by mogły pozbawić mnie bluzy i bielizny. Nie mam nawet siły, żeby się wstydzić, a w głowie szumi mi napój Heleny.

– Wykąp się, Hock-en-ber-riiii – prosi Helena i podaje mi rękę. Zanurzam się w głębokiej, parującej wannie. – Zaraz cię ogolę.

Woda jest tak gorąca, że krzywię się jak mały chłopiec. Opuszczam się powoli, nie chcę zanurzyć krocza. Robię jednak i to – wyczerpanie nie pozwala mi walczyć z grawitacją, a kiedy opieram się plecami o nachyloną, marmurową ściankę, służki Heleny pokrywają moje zarośnięte policzki i szyję warstwą spienionego mydła. Nie przejmuję się nawet bliskością brzytwy, tym że ostrze kołysze się tuż przy moim gardle, przy oczach. Ufam Helenie.

Ulubiona mikstura Nestora dodała mi sił, więc uznaję, że jeżeli Helena zaproponuje mi łożę, nie omieszkam z zaproszenia skorzystać. Do świtu została jeszcze mniej więcej godzina. Przymykam oczy. Tak tylko, na chwilę. Na parę sekund.

\* \* \*

Kiedy podnoszę powieki, jest już późne przedpołudnie. Co najmniej. Przez

niewielkie, umieszczone wysoko na ścianach okna wpada jasne światło dnia. Jestem czysty, ogolony, a nawet wyperfumowany. Nie leżę jednak w łóżu Heleny, lecz na zimnej kamiennej posadzce pustego pomieszczenia. Jestem też nagi – zupełnie nagi. Teleportacyjny medalion gdzieś zniknął.

Świadomość wpływa do mojego umysłu powoli, niczym strużka wody wypełniająca przeciekającą misę. Zauważam, że przywiązano mnie skórzanymi pasami do żelaznych pierścieni, wmurowanych w ściany i podłogę. Podobne więzy biegną od moich nadgarstków – związanych i wyciągniętych nad głowę – do ścian. Kostki i rozchylone nogi w identyczny sposób przymocowano do dwóch wpuszczonych w posadzkę pierścieni.

Pozycja, w jakiej mnie unieruchomiono, byłaby krępująca i niepokojąca nawet gdybym był sam.

Mam jednak towarzystwo. Stoi nade mną pięć kobiet. Wbijają we mnie uważne spojrzenia. Na żadnej z twarzy nie widzę uśmiechu. Odruchowo próbuję zakryć genitalia i szarpnię za paski, lecz te są krótkie i nie mogę nawet opuścić dłoni. Nie jestem też w stanie złączyć ud. Po chwili dostrzegam, że kobiety są uzbrojone w sztylety, aczkolwiek niektóre mają na tyle długie ostrza, że spokojnie mógłbym je nazwać mieczami.

Znam te kobiety. Obok stojącej pośrodku Heleny widzę Hekubę, żonę króla Priama, siwowłosą lecz nadal atrakcyjną matkę Hektora i Parysa. Obok czeka Laodike, córka królowej i małżonka wojownika imieniem Helikaon. Z lewej strony Heleny rozpoznaję Teano, córkę Cisseusa, żonę trojańskiego jeźdźca Antenora oraz – co zapewne w tej sytuacji bardziej istotne – naczelną kapłankę trojańskiej świątyni Ateny. Jestem pewien, że Teano nie będzie zachwycona na wieść, że nędzny śmiertelnik wykradł postać i głos bogini, w służbie której spędziła całe życie. Przyglądam się ponurej minie kapłanki i domyślam się, że musiała już o tym usłyszeć. Oczywiście obecna jest też Andromacha, żona Hektora, kobieta, której dziecko planowałem porwać i unieść na wygnanie aż do Indiany. Spogląda najsurowiej ze wszystkich. Miarowo poklepuje się w dłoń płazem ostrego jak brzytwa sztyletu. Dostrzegam w jej oczach wyraźne zniecierpliwienie.

Helena przysiadła obok, na niskiej sofie.

– Hock-en-ber-riiii... Musisz powtórzyć wszystkim historię, którą



opowiedziałeś już mnie. Powiesz kim jesteś. Dlaczego śledzisz przebieg wojny. Jacy są naprawdę bogowie i co planowałaś zrobić dzisiejszej nocy.

– Czy mogłybyście mnie najpierw rozwiązać? – Język mam jak z drewna. Podała mi jakiś narkotyk.

– Nie. Mów. I pamiętaj, że chcemy usłyszeć tylko prawdę. Teano otrzymała od Ateny dar odróżniania słów szczerych od kłamstwa, nawet u ludzi mówiących z tak barbarzyńskim akcentem jak twój. Zaczynaj natychmiast. Nie pomiń żadnego szczegółu.

Waham się. Być może najlepiej będzie, jeżeli zamknę dziób na kłódkę?

Teano opada przy mnie na jedno kolano. Jest śliczną dziewczyną o jasnoszarych oczach, identycznych jak oczy jej bogini. Dwustronne ostrze sztyletu kapłanki jest krótkie, szerokie i bardzo zimne. Tego ostatniego dowiaduję się, kiedy wsuwa mi nóż pod jądra i podnosi je takim ruchem, jakby składała bogom ofiarę na srebrnej tacy. Czubek sztyletu leciutko przebija skórę. Po moim kroczu spływa kropelka krwi. Całe ciało instynktownie próbuje się odsunąć, skurczyć. Wbrew okolicznościom udaje mi się nie krzyknąć.

– Powiedz wszystko, nie pomiń niczego – szeptce arcykapłanka Ateny. – Po pierwszym kłamstwie nakarmię cię lewym z twoich orzeszków. Po drugim zjesz prawy. Trzecie kłamstwo skończy się tak, że rzucę psom na pożarcie całą resztę.

No cóż, mówię wszystko. Opowiadam kim jestem i o tym, że bogowie wskresili mnie, bym im służył jako scholiasta. O Olimpie. O swoim buncie wobec Muzy i zamachu na Afrodytę i Aresa, o planie zwrócenia Achillesa i Hektora przeciw bóstwom... o wszystkim. Czubek noża ani drgnie.

Stal się nie nagrzewa.

– Przybrałaś postać bogini Ateny? – pyta szeptem Teano. – Posiadasz taką moc?

– Nie ja, tylko moje przybory – odpowiadam. – Nie jestem pewien, czy wciąż działają. – Zamykam oczy i zaciskam zęby, czekając na cięcie, szarpnięcie i odgłos młaśnięcia o podłogę.

– Powiedz Hekubie, Laodike, Teano i Andromasze, jak wedle ciebie będzie wyglądać najbliższa przyszłość. Jaki będzie nasz los.

– Przecież bogowie nie mogli udzielić władzy wieszczenia komuś takiemu – wtrąca Hekuba. – Nie jest nawet cywilizowany. Posłuchajcie tylko jak mówi... Bar, bar, bar...

– Sam przyznał, że pochodzi z daleka – zauważa Helena. – To nie jego wina, że jest barbarzyńcą.

Wysłuchaj jednak, szlachetna córo Dymasa, co ma do powiedzenia o przyszłych wypadkach. Mów, Hock-en-ber-rii.

Oblizuję usta. Oczy Teano są przejrzyste i szare jak Morze Północne, to oczy żarliwego wyznawcy, oczy żołnierza Waffen SS. Hekuba oczy ma czarne i nie pobłyskuje w nich tak przenikliwa inteligencja jak w spojrzeniu Heleny. Laodike ma ciężkie, opuszczone powieki, Andromacha z kolei spogląda oczyma jasnymi i gorącymi, świdrującymi mnie z niebezpieczną siłą.

– Co właściwie chcecie wiedzieć? – pytam. Cokolwiek powiem, będzie dotyczyło ich przyszłego losu, przeznaczenia ich mężów, miasta i dzieci.

– Całą prawdę. Wszystko, co się według ciebie wydarzy – mówi Helena.

Waham się tylko przez sekundę, próbuję nie zwracać uwagi na ostrze feministki Teano, przytknięte do najbardziej intymnych okolic mojego ciała.

– To, co powiem, nie będzie wizją przyszłości – tłumaczę – a raczej wspomnieniem opowieści, która opisywała wasze dzieje, dla mnie będące już przeszłością.

Zdaję sobie sprawę, że moje słowa nie mogą mieć dla nich większego sensu. Zastanawiam się, czy mój akcent – akcent? Wydawało mi się, że starożytną greką władam znakomicie – nie przeszkodzi im w odbiorze. Opowiadam jednak o najbliższych dniach i miesiącach.

Mówię, że Ilion upadnie, a jego ulice spłyną krwią, i że domy ich wszystkich pochłoną płomienie pożarów. Wyjawiam Hekubie, że jej mąż Priam zostanie zamordowany pod posągami Zeusa we własnej, prywatnej świątyni. Andromacha dowiaduje się, że jej mąż Hektor zostanie zgładzony przez Achillesa, kiedy nikt z miasta nie zdobędzie się na odwagę i nie stanie u boku jej ukochanego. Dodaję, że Achilles będzie włóczył zwłoki Hektora wokół murów za rydwanem, a potem odwiezie je do achajskiego obozu, gdzie obsikają je żołnierze, a psy rozszarpią zębami.

Tłumaczę, że za kilka tygodni jej syn, Skamandrios, zostanie zrzucony

z najwyższego punktu miejskich fortyfikacji i roztrzaska sobie głowę na skałach. Opowiadam, że na tym jej cierpienia się nie zakończą, ponieważ zostanie uprowadzona jako branka na greckie wyspy i dożyje swych dni, podając posiłki mężczyznom, którzy zabili Hektora, spalili jej miasto i zamordowali synka. Że skończy, słuchając ich dowcipów i milcząc, kiedy starzejący się achajscy herosi będą snuć opowieści o chwalebnych dniach gwałtów i rabunków.

Laodike i Teano opisują gwałt dokonany na Kasandrze i tysiącach innych trojańskich kobiet i

dziewcząt. Mówię, że dalsze tysiące wybiorą śmierć od miecza, przedkładając ją nad pohańbienie.

Kapłanka słyszy ode mnie, że Odyseusz z Diomedesem wykradną z ukrytej świątyni Ateny święte palladium, a potem powrócą z przemożnymi siłami, by zniszczyć samą świątynię. Teano, wciąż trzymająca nóż przy moich jądrach, dowiaduje się też, że Atena nie zrobi nic – zupełnie nic – by ukrócić te gwałty, kradzieże i orgię świętokradztwa.

Zwracając się do Heleny, ponownie opisuję jej ze szczegółami śmierć Parysa i późniejszą niewolę kobiety w domu byłego męża, Menelaosa.

Kiedy powiedziałem już wszystko, co pamiętam z „Iliady”, podkreśliłam, że nie mam pewności, czy to wszystko rzeczywiście się wydarzy. Dodaję też, że wiele opisanych w eposie zdarzeń potwierdziło się przez dziewięć lat, w trakcie których obserwowałem wojnę. Wreszcie milknę.

Mógłbym jeszcze opowiedzieć o wędrowce Odyseusza, o zabójstwie Agamemnona po powrocie do domu, a nawet zrelacjonować „Eneadę” Wergiliusza i moment ostatecznego triumfu Troi – założenie Rzymu, lecz nic z tego nie mogłoby ich zainteresować. Wreszcie kończę swą jeremiadę i zapada cisza. Żadna z pięciu kobiet nie płacze. Ani jedna nie spogląda na mnie w tej chwili inaczej, niż kiedy rozpoczynałem opowieść.

Wyczerpany, zmęczony, zamykam oczy i czekam na wypełnienie własnego losu.

Pozwalają mi się ubrać. Helena rozkazuje służkom przynieść dla mnie czystą bieliznę i bluzę.

Następnie bierze kolejno do ręki wszystkie moje narzędzia – teleportacyjny

medalion, paralizator, Hełm Hadesa i morfującą bransoletkę – i pyta, czy są elementem podarowanej mi przez bogów mocy. Rozważam kłamstwo – najbardziej zależy mi na odzyskaniu Hełmu Hadesa – lecz ostatecznie mówię prawdę.

– Czy cały ten rynsztunek zadziała, gdybyśmy to my spróbowały się nim posłużyć? – pyta Piękna Helena.

W tym miejscu mocno się waham. Naprawdę nie mam pojęcia. Czy bogowie sprawili, że paralizator i bransoletka aktywują się dopiero po sprawdzeniu odcisków palców? Rozwiązanie wydaje się sensowne i przydatne, zwłaszcza gdyby któryś scholiasta zginął przypadkiem w trakcie bitwy. Żaden z nas nigdy nie zapytał. Poza tym korzystanie z medalionu i bransoletki wymaga niejakego treningu, i to właśnie tłumaczę kobietom. Hełm Hadesa prawdopodobnie zadziała na każdym, jest przecież kradziony. Helena zatrzymuje wszystko, pozostawiając mi jedynie wpleciony w płaszcz pancerz i skórzany napierśnik. Bezcenne podarki bogów wkłada do niewielkiego haftowanego woreczka. Reszta Trojanek kiwa z aprobatą głowami. Wychodzimy.

Opuszczamy dom Heleny – piątka kobiet i ja – i ruszamy przez zalane południowym słońcem ulice ku świątyni Ateny.

– Co zamierzacie? – pytam, kiedy śpieszę skonsternowany przez tłoczne ulice i alejki w towarzystwie piątki ponurych kobiet w czarnych szatach, wypisz wymaluj przypominających burki dwudziestowiecznych muzułmanek. Raz po raz zadzieram głowę i wpatruję się w niebo nad dachami budynków. W każdej chwili spodziewam się ujrzeć rydwan Muzy.

– Milcz – syczy Helena. – Porozmawiamy, kiedy Teano otoczy nas ciszą, by naszych słów nie usłyszeli nawet bogowie.

Przed wejściem do świątyni Teano przynosi mi czarną szatę i nalega, bym ją przywdział. Po chwili do gmachu wchodzi tylnymi drzwiami szóstka kobiet. Postronnego obserwatora mógłby zdziwić jedynie fakt, że jedna z nich ma na nogach żołnierskie sandały. Kroczymy po pustych korytarzach.

W trojańskim przybytku Ateny nie byłem jeszcze nigdy. Kiedy zerkam przez uchylone drzwi do głównej sali, nie spotyka mnie rozczarowanie. Wielkie, przestronne pomieszczenie w większej części tonie w ciemnościach,

oświetlone jest jedynie wiszącymi koszykami, na których płoną węgle, i wotywnymi świecami. Panujący tu zapach kojarzy mi się z katolickim kościołem – ta charakterystyczna woń kadzidła, palonego w przepaścistym wnętrzu, gdzie milkną nawet echa.

Tam jednak, gdzie w kościele znajdowałby się ołtarz, zamiast wszechobecnych podobizn Marii z dzieciątkiem, góruje przytłaczający posąg Ateny – posąg wysoki co najmniej na trzydzieści stóp, wyrzeźbiony z białego kamienia lecz pomalowany w krzykliwe kolory. Czerwone wargi, rumieniec na policzkach, różowawa cera. Szare oczy bogini wyglądają na wykonane z macicy perłowej. Atena jest wyposażona w szczerozłotą, starannie i kunsztownie grawerowaną tarczę, napierśnik z inkrustowanej złotem polerowanej miedzi. W pasie opasuje ją wykonana z lapis-lazuli szarfa, a w dłoni dźrzy długą na czterdzieści stóp brązową włócznię. Statua wywiera kolosalne wrażenie, aż przystaję w otwartych drzwiach i z zachwytem omiatam spojrzeniem całe sanktuarium.

Spoglądam na miejsce tuż przy świętych, obutych w sandały stopach bogini. Tam właśnie Ajaks Mały schwyta i zgwałci Kasandrę, córkę Priama.

Helena zawraca, bierze mnie za ramię i zdecydowanym ruchem pociąga w głąb korytarza.

Przemyka mi przez myśl, że mogę być pierwszym mężczyzną, który zobaczył wewnątrz iliońskiej świątyni Ateny. Bo przecież palladium i całego przybytku strzegą i doglądają jedynie młode dziewice. Chwytam surowe spojrzenie kapłanki Teano i przyspieszam kroku. Ona z pewnością nie jest dziewicą – to w końcu żona zapalczywego Antenora. Z tą kobietą nie byłoby mądrze zadzierać.

Schodzę za trojankami po ocienionych schodach i po chwili stajemy w przestronnej piwnicy, oświetlonej jedynie przez kilka świec. Teano rozgląda się, odgarnia wiszący na ścianie gobelin, wyciąga z kieszeni szaty dziwnego kształtu klucz, wkłada go w pozornie lity mur i część ściany odsuwa się na bok, odsłaniając kolejne, bardziej strome i oświetlone blaskiem pochodni schody.

Teano pogania nas wszystkich gestem.

W piwnicznym korytarzu otwiera się czworo drzwi. Mnie kapłanka kieruje

do najdalszego, jak na standardy tej świątyni wręcz ciasnego pomieszczenia. Mierzy sobie być może dwadzieścia stóp na dwadzieścia. Jedynymi meblami są tutaj ustawiony na środku drewniany stół, cztery prawie niedające światła trójnogi w narożnikach i samotny posąg Ateny, wykonany bardziej prymitywnie i znacznie mniejszy niż rzeźby w górnej części świątyni. Ta bogini nie ma nawet czterech stóp wysokości.

– Oto prawdziwe palladium, Hock-en-ber-riii – szeptce Helena, wskazując święty posążek, wyrzeźbiony w kamieniu, który pewnego dnia spadł z nieba, co stanowiło dowód przychylności, jaką Atena darzy Troję. Według wiekowej przepowiedni, jeżeli palladium zostanie skradzione, Ilion czeka niechybny upadek.

Teano i Hekuba gromią Helenę morderczymi spojrzeniami. Moja kochanka – cóż, raczej moja przygoda na jedną noc – wysypuje zawartość worka na blat i zasiadamy na drewnianych stołkach.

Przed nami leżą Hełm Hadesa, morfująca bransoleta, paralizator i teleportacyjny medalion.

Właściwie jedynie ten ostatni wygląda, jakby się jeszcze do czegoś nadawał. Na resztę nie zwróciłbym uwagi nawet na wyprzedaży.

– Powiedz temu... mężczyźnie – Hekuba zwraca się do Heleny – że musimy się przekonać, czy jego słowa były prawdziwe. Czy te zabawki rzeczywiście zawierają w sobie boską moc. – Matka Hektora i Parysa bierze do ręki bransoletkę.

Oczywiście wiem, że sama jej nie uruchomi, lecz i tak wolę ostrzec.

– Zapas energii wystarczy tylko na kilka minut. Lepiej ich nie zmarnuj.

Staruszka rzuca mi zjadliwe spojrzenie. Laodike sięga po paralizator i obraca go w białych dłoniach.

– Czy tą właśnie bronią ogłuszyłeś Patroklosa? – pyta. Wcześniej nie odezwała się przy mnie ani razu.

– Tak.

– Jak ona działa?

Pokazuję jej wszystkie przyciski i uczę jak przekręcić rączkę. Jestem głęboko przekonany, że gadżet został zaprojektowany tak, by nikt poza mną nie mógł się nim posłużyć. Bogowie nie mogli przecież popełnić takiej

nieostrożności. Gdybym go zgubił, mógłby go znaleźć ktoś niepowołany, ktoś kto choćby przypadkiem odgadłby gdzie trzeba nacisnąć i jak kręcić. Zaczynam więc tłumaczyć Laodike i pozostałym, że boskimi narzędziami mogę się posługiwać tylko ja.

Laodike wymierza paralizatorem prosto w moją pierś i stuka palcem w rękojeść.

Dawno temu, jeszcze w Indianie, wybraliśmy się z Susan na pieszą wędrówkę po hrabstwie Brown. Szliśmy właśnie po łące na wzgórzu, kiedy dziesięć kroków dalej uderzył piorun. Przewrócił mnie na ziemię i przez kilka dobrych minut byłem w zasadzie półprzytomny. Wydarzenie stało się wkrótce przedmiotem dowcipów – śmialiśmy się, gdy o nim rozmawialiśmy. Ostatecznie, jakie szanse ma człowiek na podobne przeżycie – niemniej na wspomnienie tamtego grzmotu za każdym razem zasycha mi w ustach.

Porażenie, jakie zafundowała mi Laodike, jest jeszcze gorsze.

Czuję się tak, jakby ktoś wbił mi w klatkę piersiową rozgrzany pogrzebacz. Spadam ze stołka i ląduję bez czucia na kamiennej posadzce. Pamiętam jeszcze, że moje kończyny dygotały dziko, zupełnie jak w ataku padaczki. Zaraz potem tracę przytomność.

\* \* \*

Kiedy dochodzę do siebie, cały obolały, z szumem w uszach i pulsującą głową, cztery kobiety nie zwracają na mnie najmniejszej uwagi. Wpatrują się w pusty kąt pomieszczenia.

Cztery? Przecież była ich piątka. Siadam i potrząsam głową. Próbuję skupić wzrok. Tak, brakuje Andromachy. Być może pobiegła po pomoc, znaleźć uzdrowiciela. Chyba że uznały, że nie żyję.

Nagle w pustym narożniku, który tak intensywnie obserwują pozostałe Trojanki, materializuje się Andromacha. Żona Hektora zdejmuje Hełm Hadesa i wyciąga go przed siebie.

– Hełm Śmierci działa zupełnie jak w starych mitach – odzywa się. – Tylko dlaczego bogowie podarowali go komuś takiemu? – Kobieta wskazuje mnie skinieniem głowy.

Wykonane ze skóry i metalu nakrycie głowy wraca na stół.

Teano unosi z blatu medalion.

– Nie umiemy się tym posłużyć – rzuca. – Naucz nas.

Dopiero po chwili uświadamiam sobie mgliście, że kapłanka zwraca się do mnie.

– Dlaczego? – Podnoszę się na równe nogi i podpieram o blat. – Dlaczego miałbym pomagać którejkolwiek z was?

Helena wstaje z miejsca, podchodzi do mnie i muska moje przedramię. Odsuwam się gwałtownie.

– Hock-en-ber-riii – mruczy jak kotka. – Czyżbyś nie rozumiał, że to bogowie cię do nas przysłali?

– O czym ty mówisz? – rozglądam się lękliwie dokoła.

– Spokojnie, tutaj bogowie nie mogą nas podsłuchać – zapewnia Helena. – Ściany tej sali wyłożono ołowiem. A bóstwa nie są w stanie przeniknąć ołowiu wzrokiem ani słuchem. Wiemy o tym już od wielu stuleci.

Mrużę oczy. Właściwie wcale nie musi kłamać. W końcu rentgenowski wzrok Supermana też nie przenikał ołowiu. Tylko po co budować w świątyni Ateny bogoodporne pomieszczenia?

Jako następna zbliża się do mnie Andromacha.

– Hock-en-ber-riii, przyjacielu Heleny, my wszystkie, Trojanki wraz z Heleną, już od lat próbujemy położyć kres tej wojnie. Jak dotąd jednak nasze plany spełzają na niczym, gdyż mężczyźni, Achilles, Argiwowie, mężowie i ojcowie Ilionu, są od nas silniejsi i odpowiadają wyłącznie przed bóstwami.

Ale teraz bogowie wysłuchali naszych najskrytszych modłów i zesłali nam ciebie. Z twoją pomocą uda nam się odmienić bieg wydarzeń. Ocalimy nie tylko miasto i życie własne oraz naszych dzieci, lecz również całą ludzką rasę. Wyzwolimy się z jarzma okrutnych i kapryśnych bóstw.

Kręcę głową i zanoszę się krótkim śmiechem.

– Dostrzegam, o pani, w twoim rozumowaniu pewną niedoskonałość. Po co bogowie mieliby przysyłać wam mnie na pomoc, skoro próbujecie ukrócić ich władzę? Nie widzę w tym sensu.

Pięć Trojanek przygląda mi się przez chwilę w milczeniu. Ciszę mąci głos Heleny.



– Więcej jest bogów na ziemi i w niebie, niż się ich śniło waszym filozofom, Hock-en-ber-riii.

Przez moment spoglądam jej głęboko w oczy. Ostatecznie uznaję, że to musi być zbieg okoliczności. Ewentualnie mam coś ze słuchem. W końcu nadal bolą mnie porażone ładunkiem paralizatora mięśnie.

– Dajcie mi te narzędzia. – Postanawiam zaryzykować.

Kobiety podsuwają ku mnie Hełm Hadesa, paralizator, morfującą bransoletę i medalion.

Podnoszę paralizator i kieruję go obronnym gestem w ich stronę.

– Więc na czym polega wasz plan? – pytam.

– Mój mąż za nic nie dałby wiary, gdybym mu powiedziała, że bogini Afrodyta porwała dla okupu Skamandriosa i jego mamkę – stwierdza Andromacha. – Hektor spędził w służbie Olimpijczyków całe swoje życie. A nie jest przy tym takim egocentrykiem jak mężobójca Achilles. Hektor uznałby, że bogowie chcą się po prostu upewnić co do jego lojalności, że wystawiają go na próbę. Chyba że Afrodyta lub inny bóg zabiliby nasze dziecko na oczach świadków, być może na oczach samego Hektora. Gdyby do tego doszło, jego gniew nie miałby sobie równych. Dlaczego nie zabiłeś mojego syna?

Na tak postawione pytanie nie jestem w stanie odpowiedzieć. Wyręcza mnie Andromacha.

– Jesteś sentymentalnym durniem – rzuca opryskliwie. – Sam powiedziałaś, że jeżeli nie zmienisz boskiego planu, Skamandrios roztrzaska się na skałach pod murami miasta.

– To prawda.

– A mimo to nie chcesz zabić skazanego z góry na śmierć chłopca, nawet ze świadomością, że tylko w ten sposób zakończysz tę wojnę i jednocześnie zwyciężysz we własnym sporze z bóstwami.

Słaby jesteś, Hock-en-ber-riii.



– To również prawda – przytakuję.

Hekuba zaprasza mnie gestem, bym usiadł, lecz ja wciąż stoję, nadal nie opuszczam paralizatora.

– W jaki sposób zamierzacie doprowadzić do zawarcia pokoju? – pytam, choć boję się odpowiedzi. Czy Andromacha zgładzi własne dziecko, by zrealizować plan? Patrzę jej w oczy, lecz to, co w nich dostrzegam, wcale mnie nie uspokaja. Przeciwnie.

– Przedstawimy ci nasz plan – obiecuje stara królowa Hekuba – lecz przedtem musisz dowieść, że działają też dwie ostatnie zabawki bogów. – Wskazuje palcem morfującą bransoletę i medalion.

Obrzucam je ostrożnym spojrzeniem. Wsuwam bransoletkę na rękę. Zostały mi trzy minuty.

Skanuję postać Hekuby i morfuję.

Prawdziwa królowa znika, w jednej chwili przejąłem przestrzeń jej kwantowej fali prawdopodobieństwa.

– Czy to wam wystarczy za dowód? – odzywam się głosem Hekuby. Unoszę przegub Trojanki i demonstruję im bransoletę. Dobywam z jej szaty paralizator.

Czwórka kobiet wydaje z siebie stłumiony jęk. Cofają się wstrząśnięte co najmniej tak, jak gdybym zabił staruszkę uderzeniem miecza. Chociaż na pewno są bardziej poruszone. Śmierci zadanej mieczem widziały już nadto.

Wyłączam morfowanie i Hekuba pojawia się na swoim poprzednim miejscu. Mruga gwałtownie, mimo że nie miała przecież świadomości upływającego czasu. Zaczynają między sobą paplać z ożywieniem. Zerkam na wirtualny wyświetlacz bransolety. Zostało jej dwie minuty i dwadzieścia osiem sekund pracy.

Zawieszam na szyi teleportacyjny medalion. Na szczęście, to urządzenie nie ma – tak mi się przynajmniej wydaje – ograniczonego zapasu energii.

– Czy mam się stąd teleportować i wrócić, byście mi wreszcie uwierzyły? – pytam.

Królowa odzyskuje pewność siebie.

– Nie – decyduje. – Powodzenie naszych planów, także twojego, zależy od tego, czy zdołasz niezauważony przenieść się na Olimp i stamtąd powrócić. Czy mógłbyś zabrać tam jedną z nas?

W tej chwili?

Waham się przez moment.

– Mógłbym – przytakuję – ale Hełm Hadesa zapewni niewidzialność tylko jednej osobie. Gdyby któraś z was pojawiła się na Olimpie, bogowie mogliby ją zobaczyć.

– W takim razie musisz dostarczyć nam dowód, coś, co nas przekona, że rzeczywiście odwiedziłeś siedzibę bogów-stwierdza Hekuba.

– Co na przykład? Nocnik Zeusa? – Rozkładam bezradnie ręce.

Zszokowane kobiety cofają się o krok. Zupełnie jakbym powiedział coś bardzo niestosownego.

Zaraz potem uświadamiam sobie, że w tej epoce bluźnierstwo nie jest tak powszechną rozrywką, jaką było za mojego poprzedniego życia, pod koniec dwudziestego wieku. I nie bez powodu. Tutejsi bogowie są aż nazbyt prawdziwi, a rzucanie pod ich adresem obelg pociąga za sobą rzeczywiste konsekwencje. Zerkam ukradkiem na ściany, w nadziei że ołowiane płyty faktycznie chronią nas przed spojrzeciami Olimpijczyków. Nie obawiam się kary za głupi żart o nocniku, ale martwi mnie fakt, że przecież planujemy tu bogobójstwo.

– Kiedy towarzyszyłam Afrodycie podczas sądu Parysa – odzywa się półgłosem Helena – bogini rozczesywała swe lśniące pukle pięknym, srebrnym grzebieniem. Jestem przekonana, że wykuł go jeden z olimpijskich mistrzów. Udaj się do jej komnat w siedzibie bogów i przynieś nam ten grzebień.

Zaczynam tłumaczyć coś, co raz już mówiłem – że przecież Afrodyta przebywa teraz w leczniczej kadzi – ale już po chwili uświadamiam sobie, że to żadne usprawiedliwienie, bo nie wzięła ze sobą grzebienia.

– Zgoda – mówię, po czym wsuwam Hełm Hadesa na głowę i łapię za medalion. – Tylko nie odchódźcie stąd pod moją nieobecność. – Hełm opadł na mnie, zanim się tekowałem, więc ostatnie słowa dobiegają z pustki.

\* \* \*

Nie mam pewności, gdzie szukać prywatnych komnat Afrodyty – bogini

prawdopodobnie mieszka w jednym z tych białych i wielkich niczym świątynie domów nad brzegiem jeziora w kraterze.

Pamiętam za to moment, gdy wzięła mnie na stronę i niemal uwiodła. To wtedy powiedziała, że muszę zgładzić Atenę. Muza zaprowadziła mnie wówczas na spotkanie w pokoju przylegającym do wielkiej sali Dworu Bogów. Nawet jeżeli nie było to jej właściwe mieszkanie, to przynajmniej coś w rodzaju olimpijskiego buduaru.

Materializuję się w ogromnym gmachu i wstrzymuję oddech.

Balkony i antresole są puste, wokół panuje półmrok, a olbrzymi, holograficzny basen pokazuje w tej chwili zwyczajny, trójwymiarowy szum. Niemniej zauważam kilku bogów, w tym Zeusa. Dostyc to zaskakujące, nie spodziewałem się, że Gromowładny opuści swój punkt obserwacyjny na górze Ida, skąd zwykł obserwować rozgrywające się na polu bitwy jatki. Tymczasem siedzi tutaj, na swym złotym tronie. Pozostałe bóstwa – sami mężczyźni – stoją tuż obok. Wśród nich dostrzegam Apolla.

Wszyscy mają przynajmniej trzy metry wzrostu. Wylądowałem czterdzieści stóp od nich, niewidzialny dzięki Hełmowi Hadesa, lecz i tak omal nie uciekłem w popłochu. Przecież mogli usłyszeć mój oddech. Wszyscy jednak skupiają się na czymś zupełnie innym.

U stóp tronu, w środku kręgu boskich postaci, spoczywa coś, co, mówiąc oględnie, mocno kontrastuje z otoczeniem. Wielka podziurawiona skorupa rozmiarów forda model expedition, przypominająca kształtem pancierz gigantycznego kraba. Obok niej leżą dwa futurystycznie wyglądające urządzenia, którym asystuje pobłyskujący w świetle płomieni niewysoki robot. Robot w pewnym sensie człekokształtny i w dodatku mówiący – po angielsku. Bogowie słuchają, lecz natychmiast staje się dla mnie jasne, że nie są zbyt zadowoleni.

*Atlantydo i orbita okołozemska*

– Naprawdę nie rozumiem, dlaczego postludzie nazwali to miejsce Atlantyda – przyznał Harman.

Siedząca przed pulpitem pełzacza Savi rzuciła na niego okiem.

– Widzisz, dla mnie znakomita większość ich decyzji też pozostaje nieodgadniona.

Daeman oderwał się na moment od pożeranego właśnie ostatniego batona.

– A cóż was tak w tej nazwie dziwi? Atlantyda to Atlantyda, i co?

– Mapy z Zapomnianej Ery – odpowiedział Harman – Atlantykiem nazywają wielkie morze na zachód stąd, poza Dłoni Herkulesa. My natomiast znajdujemy się teraz w basenie zajmowanym wcześniej przez Morze Śródziemne, nie Atlantyck.

– Nie? – Daeman uniósł brew.

– Nie.

– I co z tego? – rzucił chłopak.

Starszy mężczyzna wzruszył ramionami i umilkł. Pałeczkę przejęła Savi.

– Możliwe, że postludzie ochrzcili tę bazę wiedzeni zwykłym kaprysem – zasugerowała. – Natomiast jak przez mgłę przypominam sobie pewnego pisarza, żyjącego jeszcze przed Zapomnianą Ery. Nazywał się Platon i był autorem opowieści o mieście bądź królestwie zwanym Atlantyda, które miało się znajdować właśnie w tej okolicy. Oczywiście, jeszcze kiedy basen zalany był morzem.

– Platon – powtórzył Harman w zadumie. – Tak, czytałem kilka książek, w których się to imię pojawia. Znalazłem też ilustrację. Tyle że przedstawiała

psa.

Savi pokiwała ze zrozumieniem głową.

– Cóż, ikonografia Zapomnianej Ery bywa niekiedy trudna do odczytania.

– Psa? A co to jest pies? – zaciekawiał się Daeman i upił łyk wody z butelki. Zdążył już pochłonąć baton, ale tak skromny poczęstunek nie mógł zaspokoić jego głodu. Innych zapasów nie mieli.

– Gatunek niewielkiego ssaka. Dawniej był szeroko rozpowszechniony. Ludzie trzymali je w domach – wytłumaczyła staruszka. – Nie wiem dlaczego wyginęły, być może również wykończył je wirus rubikonu.

– Coś jak koń? – pyta chłopak. Aż do niedawna uważał wielkie, przerażające stwory ze spektaklu turyńskiego za wytwór fantazji autora.

– Psy były mniejsze i bardziej kudłate – odparła Savi. – Natomiast obu tych gatunków już nie ma.

Daemana przebiegł dreszcz.

– Dlaczego więc postludzie sprowadzili z powrotem dinozaury – zapytał – a nie psy i te niesamowite konie z całunu?

– Jak już mówiłam – przypomniała Savi. – Większość decyzji postludzi wymyka się mojemu zrozumieniu.

\* \* \*

Obudzili się niedługo po świcie i przez cały dzień jechali na północny zachód. Droga z czerwonej gliny wiodła wśród pól, na których rosły wszystkie rośliny uprawne jakie znał Daeman. Zauważył także liczne nieznane mu gatunki. Przecięli dwie płytkie rzeki, a raz pokonali głęboki kanał o ścianach z permabetonu. Pełzacz, wyposażony w wielkie koła i elastyczne podwozie z żelaznych prętów, radził sobie z podobnymi przeszkodami bez trudu.

Na polach uwijały się serwitory. Swojski widok nieco uspokoił Daemana, przynajmniej do momentu, gdy uświadomił sobie, że większość z nich jest olbrzymia. Niektóre miały nawet piętnaście stóp wysokości i były szerokie na co najmniej siedem stóp – serwitorów takich rozmiarów nie widział nigdy w życiu. Im dalej zapuszczali się w głąb Basenu, tym bardziej niecodziennie wyglądały zarówno uprawy, jak i opiekujące się nimi maszyny.

Pełzacz gnał pomiędzy łanami wysokich zielonych roślin. Savi powiedziała, że to pola trzciny cukrowej. Jakiś czas temu droga stała się dla pojazdu zbyt wąska i szóstka kół gniotła strzeliste łądygi. W pewnej chwili Harman zauważył szarozielone, człekokształtne istoty, przekradające się po obu stronach drogi. Poruszały się niczym duchy, tak szybko i płynnie, że łądygi gęsto rosnącej trzciny nawet nie falowały.

– Kalibany – stwierdziła przewodniczka. – Wątpię, żeby nas zaatakowały.

– Wcześniej mówiłaś, że masz pewność. Że niby coś załatwiłaś? – przypomniał Daeman. – Wiesz... to całe de ena, które podkradłaś z naszych włosów.

Savi uśmiechnęła się pod nosem.

– Umów z Arielem nigdy nie można być pewnym. Myślę za to, że gdyby kalibany miały nas napaść, zaatakowałyby już wczorajszej nocy.

– A pole siłowe pełzacza nie wystarczy? Nie powstrzyma ich? – spytał chłopak.

Staruszka zbyła go wzruszeniem ramion.

– Kalibany to nie wojniksy. Są od nich znacznie bardziej inteligentne. Zawsze mogą czymś zaskoczyć.

Daeman zadygotał i zapatrzył się na pola. Tylko przelotnie udawało mu się dostrzec kryjące się wśród roślin blade sylwetki. Wreszcie pełzacz zostawił zagony trzciny cukrowej za sobą i wspiał się na niskie wzniesienie. Droga przed nimi wiodła przez oziminę, której łądyżki sięgały nie wyżej niż piętnaście czy szesnaście cali. Uprawy falowały w podmuchach wiejącego od zachodu wietrzyka.

Kalibany, w grupkach liczących przynajmniej kilkanaście sztuk, wybiegły z trzciny za nimi i pomknęły śladem pojazdu, utrzymując stały dystans mniej więcej sześćdziesięciu metrów. Gdy tylko wyskoczyły z gęstwiny, opadły na cztery kończyny.

– Straszny widok, naprawdę – stwierdził chłopak.

– Kaliban też nie wzbudziłby w tobie zachwyty – mruknęła przewodniczka.

– Przecież to są kalibany, nie? – zdziwił się Daeman. Staruszka znowu zaczęła mówić od rzeczy.

Kobieta tylko się uśmiechnęła i poprowadziła pełzacz ponad leżącymi



w poprzek drogi sześcioma rurami, przez które coś płynęło ze wschodu na zachód lub na odwrót.

– Ponoć wszystkie kalibany są klonami oryginalnego Kalibana, trzeciej obok Prospera i Ariela osoby Trójcy Gai.

– Ponoć! – prychnął chłopak. – Powtarzasz tylko plotki. Naprawdę niczego w życiu nie dowiedziałaś się sama? Z pierwszej ręki? Te twoje opowiadki z przeszłości brzmią absurdalnie.

– Naturalnie. Niektóre – przytaknęła Savi. – Fakt, że urodziłam się ponad tysiąc pięćset lat temu, nie oznacza, że żyłam przez cały ten czas. Dlatego relacjonuję wam to, co słyszałam i przeczytałam.

– Jak to, nie żyłaś? – zainteresował się Harman. Spojrzał wyczekująco.

Savi roześmiała się, lecz Daeman nie usłyszał w jej śmiechu wesołości.

– Widzicie, jestem lepiej przystosowana do nanonapraw niż wy, elojowie. Nikt jednak nie może żyć wiecznie. Ani nawet przez ponad tysiąc lat. Większość czasu spędzam niczym Drakula, śpiąc w kriogenicznych kapsułach w takich miejscach jak Golden Gate. Na zewnątrz wychodzę tylko od czasu do czasu, orientuję się w sytuacji, próbuję wymyślić sposób na uwolnienie przyjaciół z niebieskiego promienia w Jerozolimie. A potem z powrotem wskakuję do lodu.

– Czyli ile w sumie lat spędziłaś... żyjąc? – Harman pochylił się.

– Niecałe trzysta – oznajmiła przewodniczka. – A i tyle wystarczyło, by wyczerpać siły mojego ciała. A także umysłu. I duszy.

– Kim jest ten Drakula? – wtrącił Daeman.

Savi nie odpowiedziała. Pełzacz mknął na północny zachód.

\* \* \*

Wcześniej poinformowała towarzyszy, że ich cel znajduje się mniej więcej trzysta mil od miejsca, w którym wjechali do Basenu – krainy zwanej dawniej Izraelem. Daeman nigdy w życiu tego słowa nie słyszał. Oczywiście stwierdzenie „trzysta mil” dla Harmana nie znaczyło prawie nic, a Daeman nie mógł sobie takiej odległości wyobrazić zupełnie, jako że podróże w zaprzężonych w wojniksy kabrioletach i bryczkach nie przekraczały nigdy

dwóch mil. Większe dystanse chłopak zawsze pokonywał dzięki portalom. Przecież wszyscy korzystali z faksów.

Niemniej w południe mieli za sobą już pół drogi. Wtedy jednak skończył się gliniasty szlak, wjechali na nierówny teren i pełzacz zwolnił. Nierzadko musieli zboczyć z trasy nawet na kilka mil.

Savi nawigowała za pomocą niewielkiego przyrządu z plecaka, a odległości sprawdzała na odręcznie sporządzonej, noszącej wyraźne ślady wielokrotnego składania i rozkładania mapie.

– Czemu nie posłużysz się po prostu lokalizatorem? – zapytał Daeman.

– Tutaj, w Basenie, tylko dalekosieć i wszechsieć działają jak należy – odpowiedziała przewodniczka. – Z bliskosiecią jest gorzej, a miejsce, do którego was wiozę, nie zostało zarejestrowane w banku danych. Dlatego korzystam z mapy i tego starożytnego narzędzia...

Nazywa się kompas. Przydatna rzecz.

– Na jakiej zasadzie działa? – zaciekawił się starszy mężczyzna.

– Czary.

Ta odpowiedź wystarczyła Daemanowi w zupełności.

Zjeżdżali niżej i niżej. Dno Basenu opuszczało się z każdym kilometrem. Równe rzędy roślin na polach zniknęły, zastąpione głębokimi rowami, połaciami kamienistej gleby oraz zagajnikami bambusów i wysokich paproci. Kalibany zniknęły im z oczu, chociaż kiedy tylko wyjechali z terenów rolniczych, zaczął padać deszcz i stwory mogły się kryć za zasłonami lejącej się z nieba wody.

Od czasu do czasu pełzacz mijał osobliwe obiekty – kadłuby statków z drewna i stali, miasto powalonych jońskich kolumn, migocące w szarym podłożu starożytne przedmioty z plastiku, bielejące kości morskich stworzeń oraz kilka wielkich zardzewiałych cystern, które Savi nazwała „okrętami podwodnymi”.

Po południu ulewa zelżała i na północnym wschodzie ukazał im się masyw wysokiego płaskowyżu. Poprzecinane wąwozami stoki wznosiły się łagodnie, przypominały raczej zbocza górskiego łańcucha niż nadmorskie urwisko. Na samej górze coś się zieleniło.

– Tam właśnie jedziemy? – zapytał Daeman.

– Nie – odparła Savi. – To jest Cypr. Straciłam tam dziewictwo. W przyszyły wtorek wypada tysiąc czterysta osiemdziesiąta druga rocznica.

Mężczyźni wymienili się znaczącymi spojrzeniami. Zachowali jednak dość zdrowego rozsądku, by sprawy nie drażnić.

Późnym popołudniem znaleźli się jeszcze niżej. Teren był tu podmokły, a po bokach ponownie pojawiły się uprawne pola. Roślin doglądały serwitory o niecodziennych kształtach, lecz żaden z nich nawet nie spojrzał za pędzącym pełzaczem. Większość automatów była zresztą pozbawiona oczu. W pewnej chwili szlak przecięła szeroka na przynajmniej dwieście metrów rzeka. Savi zamknęła szczelnieabinę, przez co stracili dostęp do przyjemnie świeżego powietrza, upewniła się że pole siłowe jest włączone, i zjechała z brzegu. Koryto okazało się głębokie – na samym środku mieli nad sobą mniej więcej czterdzieści stóp wody. W takich warunkach nawet silne światła szperaczy z trudem przebijały się przez panujący na dnie mrok i chmury szlamu.

Mimo że rzeka nie była największa, prąd rwał silniej niż Daeman się spodziewał. Pełzaczem rzucało na boki i przewodniczka musiała mocno napracować się przy wirtualnych sterach, by utrzymać stały kurs. Chłopak pomyślał, że gdyby mieli choć trochę mniejsze koła, słabszy silnik lub mniej elastyczne podwozie, wartki nurt uniósłby ich na zachód.

Gdy wyjechali na północny brzeg, pełzacz zostawił za sobą długą na trzydzieści stóp smugę błota.

Ze stalowych osi spływały kaskady wody.

– Nie wiedziałem, że pełzacz może jeździć pod wodą – rzekł Harman.

– Ja też nie – rzuciła Savi. Skręciła na północny zachód i dodała gazu.

Pierwsze konstrukty energetyczne pojawiły się niedługo potem. Jako pierwszy zauważył je Harman.

Najbliższe z rozedrganych urządzeń migotało trzydzieści metrów po lewej stronie drogi, na skrawku wolnej przestrzeni za bambusowym zagajnikiem. Savi zatrzymała pojazd, żeby mogli wysiąść i lepiej przyjrzeć się widowisku. Oczywiście Daeman nie miał specjalnej ochoty oddalać się od pełzacza, mimo że ostatnie kalibany pokazały im się kilka godzin temu. Harman jednak bardzo chciał zobaczyć konstrukt z bliska, a chłopak nie czuł się pewnie w pojedynkę, więc ostatecznie zszedł za towarzyszami po stalowej drabince i ruszył przez

pole ku jaśniejącemu obiektowi. Po tylu godzinach siedzenia w bezruchu szło mu się dość dziwnie.

Energetyczny konstrukt był mały – liczył sobie może dwadzieścia stóp długości i osiem lub dziesięć wysokości. Był żółtopomarańczowy i przecinały go poruszające się zielone żyłki. Z owalnej części głównej wyrastały na ich oczach liczne wypustki, płynnie przybierały niesamowite kształty, po czym ponownie wchłaniała je macierzysta masa. Całość unosiła się mniej więcej cztery stopy nad ziemią. Daeman zatrzymał się dwadzieścia kroków przed konstruktem. Staruszka i Harman podeszli blisko.

– Co to właściwie jest? – zapytał mężczyzna, oglądając ze wszystkich stron nieustannie przeobrażający się obiekt.

– Dotarliśmy już na przedmieścia Atlantydy – powiedziała Savi – chociaż zostało nam jeszcze jakieś sześćdziesiąt mil drogi. Właśnie z tego materiału postludzie budowali swoje naziemne stacje.

– A co to za materiał? – rzucił Harman. Wyciągnął dłoń ku złotemu, błyszczącemu jajku. – Mogę dotknąć?

– Część konstruktyw jest w stanie lekko porazić prądem. Ale nie wszystkie. Tak czy inaczej nie zagraża to życiu. Spróbuj, ręki nie stracisz.

Mężczyzna pogładził obłą, lśniąca powierzchnię. Zaraz potem jego dłoń wniknęła do wnętrza i pośpiesznie ją wycofał. Z palców spłynęły mu nieforemne, płynne żółte i pomarańczowe grudki, które natychmiast powróciły do konstruktu.

– Zimne – stwierdził. – Nawet bardzo zimne. – Skrzywił się i rozruszał palce.

– W zasadzie jest to jedna wielka cząsteczka – poinformowała Savi. – Aczkolwiek nie mam pojęcia jak to możliwe.

– Jaka znowu cząsteczka?! – zawołał Daeman.

Kiedy ręka Harmana zniknęła w konstrukcje, cofnął się o kilka kroków i musiał teraz prawie krzyżeć. Raz po raz oglądał się za siebie. Co prawda, przewodniczka miała za paskiem pistolet, lecz jak na gust Daemana bambusowy las szumiał stanowczo zbyt blisko. W dodatku zrobiło się już niemal ciemno.

– Cząsteczki, inaczej molekuly, to malutkie klocki, z których składa się

wszystko, co nas otacza – wyjaśniła kobieta. – Są tak maleńkie, że bez pomocy specjalnych soczewek nie można ich zobaczyć.

– Tę tutaj widzę wyraźnie bez żadnej pomocy – zauważył Daeman. Stwierdził w duchu, że niektóre rozmowy z Savi przypominają dyskusje z małym dzieckiem. Tak przynajmniej podejrzewał, nie miał bowiem wielu doświadczeń z małymi dziećmi.

Trójka wędrowców wróciła do pełzacza. Miękkie promienie zachodzącego słońca rozszczepiały się w kulistej szybie kabiny i grały na stalowym zawieszaniu wysokich kół. Wierzchołki stratocumulusów, sunących daleko na wschodnim niebie, w pobliżu wzgórza zwanego Cyprem, jaśniały złocistym blaskiem w blasku ustępującego dnia.

– Większa część Atlantydy jest zbudowana z energii zamrożonej w takich właśnie makromolekułach – powiedziała staruszka. – Opracowali tę technologię, bawiąc się kwantami.

Konstrukty zawierają też pewną ilość materii, jaką naukowcy z Zapomnianej Ery nazywali materią egzotyczną. Nie znam jednak dokładnych proporcji i nie wiem jak się coś takiego wytwarza. Wiem tylko, że właśnie ona umożliwia ich miastom, czy stacjom, jak zwał, tak zwał, zmienianie postaci.

Potrafia się przemieszczać z jednej kwantowej rzeczywistości do innej.

– Nie rozumiem – przyznał Harman, wybawiając od tego obowiązku Daemana.

– Niedługo zobaczycie na własne oczy. Miasto powinno być widać już z tego sporego wzniesienia na horyzoncie. Dojedziemy tam przed nocą.

Wsiedli do pełzacza i zajęli miejsca. Zanim jednak Savi uruchomiła silnik, odezwał się Harman.

– Byłaś już tutaj – raczej stwierdził, niż zapytał.

– Owszem.

– Pamiętam również, że opowiadałaś, że nigdy nie poleciałaś do pierścieni. Czy nie po to odwiedziłaś Atlantyde poprzednim razem?

– Naturalnie – odpowiedziała Savi. – Zresztą nadal uważam, że rozwiązanie problemu moich uwięzionych w strumieniu neutrin przyjaciół mogę znaleźć właśnie tam, na górze. – Skinęła głową ku jaśniejącym na wieczornym niebie pierścieniom R i B.

– Tyle że za pierwszym razem ci się nie udało – zauważył Harman. – Dlaczego?

Przewodniczka obróciła fotel i popatrzyła mu w oczy.

– Opowiem ci wszystko, pod warunkiem, że powiesz mi, po co ty chcesz lecieć na pierścieniu.

Z jakiego powodu poświęciłeś temu marzeniu taki kawał życia?

Harman jeszcze przez moment wytrzymywał spojrzenie staruszki. Ostatecznie jednak odwrócił wzrok.

– Z ciekawości – rzucił.

– Nie wierzę – skwitowała Savi. Wciąż spoglądała wyczekująco.

Harman ponownie zwrócił się ku staruszce i Daeman uświadomił sobie, że na twarzy starszego towarzysza jeszcze nigdy nie odcisnęły się tak intensywne emocje.

– Masz rację – warknął Harman. – Nie robię tego z czystej ciekawości. Chcę się dostać do konserwatorni.

– Chcesz dłużej żyć... – szepnęła Savi.

Mężczyzna zacisnął pięści.

– Tak. Chcę dłużej żyć. Nie chcę, kurwa, umierać zaraz po Piątej Dwudziestce. Pragnę żyć! Chcę, by Ada urodziła mi dziecko, i chcę móc obserwować, jak ono dorasta, mimo że ojcowie zwykle tego nie robią. Jestem chciwym, zachłannym draniem. Chcę więcej życia! I jak? Zadowolona?

– Owszem – stwierdziła przewodniczka i popatrzyła na Daemana. – A ty, Daeman Uhr, dlaczego wybrałeś się z nami na tę wyprawę?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Gdyby w pobliżu był portal, faksowałbym się do domu bez chwili wahania.

– Cóż, w tym ci nie pomogę – powiedziała Savi. – Przykro mi.

Zignorował ironię w jej głosie.

– A dlaczego zabrałaś nas ze sobą? – zapytał staruszkę. – Znasz przecież drogę, wiedziałaś gdzie szukać pełzacza. Do czego byliśmy ci potrzebni?

– Na twoim miejscu też bym zadała to pytanie – powiedziała kobieta. – Ostatnim razem, kiedy odwiedziłam Atlantyde, przyszedł tu na piechotę. Z północy. Działo się to sto pięćdziesiąt lat temu. Wówczas wzięłam ze sobą

dwie elojki, nie, przepraszam, to jednak dość obraźliwe.

Towarzyszyły mi dwie młode kobiety. One były naprawdę po prostu ciekawe świata.

– I co się stało? – zapytał Harman.

– Zginęły.

– W jaki sposób? – rzucił Daeman. – Kalibany?

– Nie. Kalibany zabiły i pożarły mężczyznę i kobietę, którzy przywędrowali tu ze mną jeszcze wcześniej, niemal trzysta lat temu. Wówczas nie miałam pojęcia, w jaki sposób nawiązać kontakt z biosferą, z Arielem. Nie umiałam wykorzystać DNA.

– Czemu zawsze prowadzisz ze sobą dwie inne osoby? Czy trójka ma jakieś znaczenie? – zainteresował się Harman.

Daeman uznał, że pytanie jest dziwne. Osobiście wolałby poznać więcej szczegółów na temat śmierci wspomnianych towarzyszy. Czy staruszce chodziło o to, że umarli na dobre? A może normalnie trafili do konserwatorni?

– Harman Uhr. – Przewodniczka zaśmiała się. – Stawiasz dzisiaj wyjątkowo celne pytania.

Niedługo się przekonasz. Zrozumiesz, dlaczego za każdym razem brałam dwie inne osoby. Robię tak od swojej pierwszej wyprawy do Atlantydy, którą odbyłam ponad tysiąc lat temu. Zresztą odwiedzałam nie tylko Atlantydę. Zawędrowałam też do innych postludzkich stacji. Byłam w Himalajach, na Wyspie Wielkanocnej. Badałam również tę na biegunie południowym. Była z tym masa zabawy, ponieważ do żadnej z tamtych baz nie można podlecieć Sonikiem bliżej niż na trzysta mil.

Daeman przestał jej słuchać. I tak nie mówiła nic o zabijaniu i pożeraniu.

– Ale nigdy, za żadnym razem, nie znalazłaś statku kosmicznego czy promu, którym mogłabyś polecieć na pierścienie? – spytał Harman. – Mimo tylu prób?

– Nie znalazłam dlatego, że statki kosmiczne nie istnieją – oświadczyła Savi.

Uruchomiła wirtualny pulpit, wrzuciła bieg i pojechali na północny zachód. Słońce zalało zachodni horyzont czerwienią.

Miasto postludzi ciągnęło się na wyschniętym dnie morza całymi milami. Jarzące się energetyczne wieże wyciągały się na tysiąc stóp pod niebo

i powoli opadały. Pełzacz toczył się między energetycznymi obeliskami, szybującymi kulami, wiodącymi donikąd czerwonymi schodami z czerwonej energii. Mijali pojawiające się i znikające błękitne rampy, zapadające się w siebie niebieskie piramidy, rozkołysane na wszystkie strony olbrzymie zielone torusy, podpierane pulsującymi, żółtymi prętami. Oglądali niezliczone wielobarwne sześciiany i stożki.

Tym razem, gdy Savi zatrzymała pojazd i otworzyłaabinę, nawet Harman zawahał się przed wyjściem na zewnątrz. Staruszka dopilnowała, by założyli termoskóry, i wyciągnęła ze schowka trzy osmotyczne maski.

Noc zapadła już niemal na dobre. Do wirujących na czarno-fioletowym niebie pierścieni dołączyły gwiazdy. Bijąca od energetycznego miasta luna oświetlała pola uprawne w promieniu pięciu mil.

Savi poprowadziła ich ku czerwonym schodom. Wspięli się na makromolekularne stopnie, które wytrzymały ich ciężar z łatwością, aczkolwiek Daeman miał wrażenie, że stąpa po wielkich gąbkach.

Sto stóp nad dnem osuszonego morza schody kończyły się czarną platformą, wykonaną z matowego, nieodbijającego światła metalu. Na środku kwadratowego podestu stały trzy starożytne, drewniane krzesła z wysokimi oparciami i miękkimi czerwonymi obiciami.

Rozmieszczono je w równych odległościach wokół czarnej, otwierającej się centralnie w platformie dziury. Stały tyłem do niej.

– Siadajcie – poprosiła Savi.

– To ma być jakiś dowcip? – rzucił chłopak.

Staruszka pokręciła głową i zajęła miejsce na krześle zwróconym na zachód. Harman usiadł bez słowa. Daeman obszedł dokoła cały podest i dopiero po chwili podszedł do ostatniego wolnego krzesła.

– Co teraz? – zapytał. – Czekamy na coś, czy jak? – Spojrzał na pobliską wieżę, smukłą i żółtą, sięgającą na setki stóp wzwyż. Energetyczny budulec co chwila zmieniał kształt, niczym prostokątna chmura.

– Usiądź, sam zobaczysz – poleciła Savi.

Daeman niepewnie opadł na siedzenie. Plecy i grube oparcia krzesła były gęsto pokryte finezyjnymi rzeźbieniami. Na lewym podłokietniku widniał biały, okrągły włącznik. Podobny-z tym że czerwony – znajdował się na



prawym. Rozsądek podpowiedział chłopakowi, by ich nie dotykać.

– Policzę do trzech – podjęła przewodniczka. – Na „trzy” wciśnijcie biały przycisk. Daemanie, na wypadek gdybyś okazał się daltonistą, chodzi o ten z lewej strony.

– Nie jestem ślepy, do diabła.

– Dobrze, już dobrze – uspokoiła staruszka. – Raz, dwa...

– Czekaj! Czekaj! – zawołał chłopak. – Co się stanie, kiedy nacisnę ten biały guzik?

– Zupełnie nic – odparła kobieta. – Ale musimy je wcisnąć jednocześnie. Właśnie o tym się przekonałam, kiedy przybyłam tutaj samotnie. Raz, dwa, trzy.

Wszystkie przyciski szczęknięły jednocześnie.

Daeman poderwał się z krzesła, przebiegł na skraj platformy, skoczył na sąsiedni czerwony podest, pokonał jeszcze trzydzieści kroków i dopiero wtedy zatrzymał się i obejrzał. Z otworu pomiędzy fotelami, do wtóru ogłuszającego trzasku, wystrzelił snop energii.

– Kurza twarz! – zawołał, lecz towarzysze nie mogli go usłyszeć.

Widok skojarzył się chłopakowi z błyskawicą. Wystrzępiona kolumna światła, grubości około metra, wynurzała się z czarnej dziury i biła pionowo prosto w ciemne niebo. Wyciągała się, rosła, coraz wyżej i wyżej... w pewnym punkcie chyliła się łukiem ku zachodowi, niczym absurdalna, rozżarzona do białości nić. Błyskawica zwężała się, niemal niknęła z oczu, lecz w jakiś sposób pozostawała widoczna i wydawało się, że łączy ziemię z...

I rzeczywiście łączyła. Kiedy Daeman to sobie uświadomił, ogarnął go strach tak wielki, że omal nie popuścił. Błyskawica łączyła Ziemię z sunącym tysiące mil wyżej pierścieniem R, z jedną z tworzących go gwiazd, ruchomych światełek okrążających planetę z zachodu na wschód.

– Wracaj tu! – wydarła się Savi, przekrzykując trzaski wyładowań niezwyklego pioruna.

Powrót zabrał Daemanowi dobre kilka minut. Dopiero po tym czasie zdołał podejść do porzuconego drewnianego krzesła, którego długi na pięćdziesiąt stóp cień kładł się na obu platformach, czarnej i czerwonej. Chłopak szedł,

osłaniając dłonią oczy. Oślepiająca błyskawica przez cały czas syczała i skwierczała. Nigdy potem nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego właściwie posłuchał przewodniczki, ani wyjaśnić, dlaczego zrobił to, co zrobił w następnej kolejności.

– Odliczę jeszcze raz. Też do trzech. Tym razem wciskamy czerwony! – zawołała Savi. Siwe, krótkie włosy sterczały jej na głowie we wszystkie strony, wiły się węzowymi ruchami. – Raz, dwa...! – krzyczała, by mogli ją usłyszeć mimo elektrycznego trzasku.

Nie zrobię tego, powtarzał w duchu Daeman niczym mantrę. Niech to sobie wybiją z głowy.

– Trzy! – rozległ się okrzyk kobiety. Wcisnęła czerwony przycisk. Harman nacisnął swój.

Nie! – przemknęło chłopakowi przez myśl. Niemniej mocno naparł na czerwone kółko w oparciu.

Drewniane krzesła wystrzeliły ku niebu, wirując wokół syczącej, rozedrganej błyskawicy. Polecieli tak szybko, że nad dnem dawnego morza przetoczył się huk towarzyszący przekraczaniu bariery dźwięku. Zadygotał nawet masywny pełzacz. Sekundę, niecałą sekundę potem, zniknęli pod niebem, a biała nić energii wiła się i wyginała w ślad za trzema malejącymi na orbicie, świecącymi punkcikami.

*Olimp, Ilion i Olimp*

Widok małego robota jest czymś fascynującym i korci mnie, by zostać na Dworze Bogów trochę dłużej. Chciałbym ustalić, co się tu dzieje. Nie podchodzę jednak bliżej, gdyż w olbrzymiej, cichej sali bogowie mogliby mnie usłyszeć. Rozmowa toczy się w tej chwili w klasycznej grece – w każdym razie Zeus i jego towarzysze mówią w swoim języku, do którego zdążyłem już przywyknąć – lecz dolatują mnie tylko urywki zdań: – ...małe automaty... zabawki... z Wielkiego Morza Śródładowego... powinno się zniszczyć...

Nie zakradam się ku nim także dlatego, że pamiętam po co się tutaj przeniósłem. Grzebień Afrodyty. Bez względu na wszystko muszę wrócić na spotkanie z Trojankami. Od mojego następnego kroku może zawisnąć los tysięcy ludzi, więc wycofuję się chyłkiem, zostawiam bogów i cudaczne maszyny, po czym skręcam w długi korytarz, prowadzący do apartamentu, gdzie ledwie kilka dni temu po raz pierwszy osobiście rozmawiałem z boginią miłości. Czy naprawdę minęło tylko parę dni? Cóż, mówiąc oględnie, sporo zdążyło się przez ten czas wydarzyć.

Głosy Olimpijczyków słychać we wszystkich zakamarkach Dworu Bogów i kiedy wślizguję się do buduaru Afrodyty, serce mam na wysokości gardła. Wnętrze wygląda identycznie jak podczas mojej pierwszej wizyty – nie ma tu okien, światło zapewniają trójnogi z węglami, poza sofą jest tu tylko kilka innych mebli, w tym jaśniejący delikatnie niebieski ekran na biurku. Przedtem ekran skojarzył mi się z monitorem komputera, więc podchodzę, by lepiej mu się przyjrzeć. Miałem rację.

Prostokąt błękitnego światła unosi się kilka cali nad marmurowym blatem. Nie widać co prawda windowsowego menu start, ale za to na samym środku bieleje kółko, zapraszające mnie, bym za jego pomocą aktywował ekran.

Niczego nie naciskam.

Pamiętam, że osobiste przybory Afrodyty leżały na niewielkim stoliku obok szafy, i mam nadzieję – tylko nadzieję – że czeka wśród nich jej grzebień. Nadzieja okazuje się płonna. Znajduję jedynie srebrną broszę i kilka srebrzystych rurek – czyżby boskie pomadki do ust? – a także przepięknie grawerowane srebrne lusterko. Grzebienia brak.

Cholera jasna. Nie mam pojęcia, gdzie na zielonym szczycie Olimpu znajduje się dom Afrodyty, a przecież bóstw o drogę nie zapytam. Przyjmując wyzwanie Heleny, podjąłem ryzyko i już wiem, że zupełnie mi się to nie opłaciło. Wtem jednak dociera do mnie, że istotą wyzwania było dowieść, że jestem w stanie przenieść się na Olimp i z powrotem. W dodatku nagli mnie czas. Skąd mam wiedzieć, jak wielką cierpliwością skłonne są wykazać się moje Trojanki?

Łapię więc lusterko. Nawet go nie oglądam, tylko od razu wyobrażam sobie pomieszczenie w lochach iliońskiej świątyni Ateny i przekręcam obwódkę teleportacyjnego medalionu.

Kiedy się materializuję, zamiast pięciu zastaję na miejscu siedem kobiet. A upłynęło ledwie parę minut. Wszystkie cofają się na mój widok, lecz tylko jedna zakrzyknęła z przestachem i zasłania usta dłońmi. Udaje mi się rozpoznać w niej Kasandrę, najbardziej urodziwą z córek króla Priama.

– Przyniosłeś nam grzebień, Hock-en-ber-rii? Dowiodłeś, że potrafisz odwiedzać Olimp jak sami bogowie? – pyta Hekuba.

– Nie miałem czasu go szukać – odpowiadam. – W zamian przynoszę to. – Wręczam lusterko stojącej najbliżej ze wszystkich Laodike, córce Hekuby.

– Tak. Zdobienia na srebrnej rączce są rzeczywiście podobne do tych na grzebieniu – zaczyna Helena – ale...

Milknie w pół zdania, ponieważ Laodike głośno się zachłystuje i niemal wypuszcza lusterko z dłoni. Uwalnia ją od niego kapłanka Teano. Wpatruje się, blednie i bez słowa przekazuje żonie Hektora. Andromacha spogląda w zwierciadło i okrywa się rumieńcem. Teraz to Kasandra wyrywa

zwierciadełko, unosi i zerka, po czym raz jeszcze głośno krzyczy.

Hekuba ściąga brwi i odbiera błyskotkę Kasandrze. Na pierwszy rzut oka widać, że obie panie za sobą nie przepadają. Naturalnie rozumiem, z jakiego powodu – Kasandra, obdarzona przez Apolla zdolnością wieszczania, namawiała Priama, by zaraz po narodzinach zgładził dziecię Hekuby, Parysa. Już będąc dziewczynką, przewidywała kataklizm, jaki spotka miasto wskutek uprowadzenia Heleny i nieuchronnej wojny. Tradycja jednak mówi, że wraz z darem jasnowidzenia Apollo obłożył dziewczynę specyficzną klątwą. Nikt i nigdy nie chciał jej uwierzyć.

Hekuba wlepia wzrok w lusterko.

– O co chodzi? – pytam. Zaczynam podejrzewać, że zwierciadło jest z jakiegoś powodu trefne.

Helena odbiera je matce Hektora i wręcza mnie.

– Sam zobacz, Hock-en-ber-rii. Widzisz?

Faktycznie. Moje odbicie jest jakieś... dziwne. Widzę siebie, lecz to nie do końca jestem zwyczajny ja. Mocniej zarysowana szczęka, mniejszy nos, bardziej wyraziste oczy i kości policzkowe, wybielone zęby...

– Wszystkie to zobaczyłyście? – pytam. – Własne twarze, ale znacznie piękniejsze?

– Tak – przyznaje Helena. – Lusterko Afrodyty ukazuje jedynie piękno. Chyba tak właśnie wyglądałybyśmy jako boginie.

Nie potrafię sobie wyobrazić, że akurat Helena może stać się jeszcze piękniejsza, lecz przytakuję skinieniem i muskam zwierciadło palcem. Nie, to nie szkło. Materiał jest miękki, ustępliwy, trochę jak powierzchnia ciekłokrystalicznego monitora.

Zresztą może właśnie tak jest. Grawerowany uchwyt może skrywać potężne mikroprocesory, które dzięki wyspecjalizowanym algorytmom graficznym dopasowują symetrię odbić, idealizują proporcje i inne cechy, dopasowując je do ludzkiego wyobrażenia o perfekcyjnej urodzie.

– Hock-en-ber-rii – podejmuje Helena – pozwól, że przedstawię ci dwie kolejne kobiety, które pomogą ocenić, czy nas nie okłamujesz. Młodsza, córka Priama, zwie się Kasandra. Starsza nosi imię Herofile, czyli „ulubienica Hery”. Jest najstarszą z wieszczek i kapłanką Apolla Sminteusa. To właśnie

ona wiele lat temu zinterpretowała sen Hekuby.

– O jakim śnie mowa? – pytam.

Odpowiada mi Hekuba, nie obdarzając przy tym Herofile i Kasandry nawet jednym spojrzeniem.

– Kiedy nosiłam w łonie swe drugie dziecko, Parysa, przyszła do mnie nocna wizja. Śniłam, że wypchnęłam z łona żagiew, która podpaliła Ilion. Wybuchł pożar, który strawił nasze miasto do cna. Dziecko moje przeobraziło się w erynię-jak niektórzy powiadają, córkę Kronosa, inni jako jej ojca wskazują Forkysa, a jeszcze kolejni widzą w niej latorośl Hadesa i Persefony. Powszechna zgoda panuje jednak co do tego, że erynie są córami śmierć niosącej Nocy. Moja ognista erynia nie miała co prawda skrzydeł, lecz mimo wszystko podobna była harpiom. Zionęła siarczanym tchnieniem. Z oczu broczyła trującą żółcią. Jej głos brzmiał niczym ryk przerażonej krowy. Za pasem nosiła wysadzany mosiężnymi ćwiekami pejcz. W jednej dłoni dzierżyła pochodnię, drugą ścisnęła węża, a zamieszkiwała w Krainie Umarłych i przyszła na świat, by pomścić zniewagi, jakich doznały wszystkie matki świata. Trojańskie psy zwiastowały jej nadejście zboląłym skowytem.

– No żeż... – mówię. – Świetny sen, nie ma co.

– Zrozumiałam, że owa erynia jest dzieckiem, które potem otrzymało imię Parys – podejmuje stara jędza, Herofile. – Kasandra również to przeczuła. Zaleciła, byśmy uśmiercili dziecko, gdy tylko wychynie spomiędzy ud matki. –

Wiekowa kapłanka świdruje Hekubę płomiennym spojrzeniem. – Niemniej nasza rada nie została wysłuchana.

Skłócone kobiety rozdziela Helena.

– Hock-en-ber-riii, wszystkie jak tu stoimy ujrzałyśmy w swych wizjach gorejącą Troję. Nie wiemy jednak, które z tych widzeń są tylko dziećmi lęku o nas same, o dzieci i mężów, a którymi rzeczywiście chcieli nas przestrzec bogowie. Podobnie jest z tobą i twoimi wieszczzeniami. Musimy osądzić, czy mówisz prawdę. Kasandra ma do ciebie kilka pytań.

Odwracam się ku wymienionej dziewczynie. Jest wyjątkowo chudą blondynką, lecz mimo wszystko – sam nie rozumiem na czym to polega – nadal pozostaje oszałamiająco pociągająca. Ma podbiegłe krwią, obgryzione paznokcie, bez przerwy nerwowo splata i rozplata palce. Jej oczy są równie

przekrwione jak obwódki palców. Nie potrafi wytrwać w bezruchu nawet chwili. Mam wrażenie, że oglądam zdjęcia dwudziestowiecznej gwiazdy filmowej, która trafiła niedawno na odwyk.

– Ciebie nie wyśniłam, cherlaku – odzywa się.

Ignoruję obelgę, milczę.

– Niemniej zadam ci pytanie – kontynuuje. – Przyśnił mi się niegdyś król Agamemnon i jego małżonka Klitajmestra. Wystąpili w tym majaku pod postacią wspaniałych zwierząt. Byka i krowy.

Cóż ten sen mówi tobie, wieszczu?

– Nie jestem wieszczem – przyznaję. – Rzecz w tym, że wasza przyszłość jest moją przeszłością.

Wiem za to, że ujrzałaś Agamemnona pod postacią byka, ponieważ, kiedy powróci do Sparty, zostanie zarżnięty jak ofiarny byk.

– Zginie we własnym pałacu?

– Nie – odpowiadam. Zaczynam się czuć jak kiedy broniłem magisterki w Hamilton College. – Agamemnon zginie w domu Ajgistosa.

– Z czyjej ręki? I z czyjej woli? – nalega Kasandra.

– Klitajmestry.

– Dlaczego, nasz niewieszczku?

– Klitajmestrze nie spodoba się, że złoży w ofierze ich córkę, Ifigenię.

Kasandra wciąż nie spogląda na mnie przychylnie, lecz kiwa głową pozostałym Trojankom.

– A cóżes wyśnił, o proroku, na temat mojej przyszłości? – pyta ironicznie.

– Zostaniesz brutalnie zgwałcona. Tutaj, w tej świątyni – mówię.

Kobiety wstrzymują oddech. Podejrzewam, że posunąłem się za daleko. Ale cóż, chciała wiedźma prawdy, to ją dostała.

Kasandra jednak nie wydaje się ani trochę poruszona. Ba, sprawia wrażenie zadowolonej.

Naturalnie, przychodzi mi na myśl. Oglądała tę scenę od bardzo dawna, raz za razem. Nikt dotąd nie dawał posłuchu jej przestrogom. Rozmowa z człowiekiem, który jej wierzy i wszystko potwierdza, musi stanowić dla dziewczyny miłą odmianę.

Niemniej, kiedy się odzywa, w jej głosie nie słyhać ukojenia.

– A kto ma mnie w tej świątyni pohańbić?

– Ajaks.

– Ajaks Mały czy Ajaks Wielki? – pada następne pytanie. W tej chwili Kasandra sprawia już wrażenie neurotyczki. Niepokoi się, co sprawia, że dostrzegam w niej naraz piękno i niezwykłą wątlność.

– Mały – odpowiadam. – Ajaks z Lokrydy.

– Czym będę, chłopczyku, zajęta, kiedy mnie podejdziesz?

– Ukrywaniem palladium, będziesz je próbowała ochronić – odpowiadam, wskazując stojącą dziesięć stóp dalej figurkę.

– I ujdzie mu to na sucho? Mężczyzno?

– Utonie po drodze do domu – mówię. – Jego okręt roztrzaska się na Skałach Gyrajskich.

Większość uczonych uważa, że był to znak od Ateny.

– Znak? Lecz czego? Czy bogini zgładzi go w gniewie wywołanym moim wstydem, czy może z powodu zbezczeszczenia świątyni? – naciska Kasandra.

– Tego już nie wiem. Pewnie chodzi o świątynię.

– Kto będzie świadkiem dokonanego na mnie gwałtu, mężczyzno?

Tutaj muszę rzecz przemyśleć.

– Odyseusz – odpowiadam po chwili, żalonym tonem studenta błagającego los, by udzielona odpowiedź okazała się poprawna.

– Kto poza Odyseuszem, synem Laertes, będzie tej nocy świadkiem mej hańby?

– Neptolemos – mówię po kolejnym momencie wahania.

– Syn Achillea? – wtrąca Teano z drwiącym uśmiechem. – Przecież on ma dziewięć lat i został w Argos.

– Nie – prostuję. – Lat ma siedemnaście i jest znamienitym wojownikiem. Po śmierci Achillea zostanie wezwany ze Skyros i weźmie udział w walkach. Neptolemos ukryje się wraz z Odyseuszem w brzuchu drewnianego konia.

– Jakiego drewnianego konia? – pyta Andromacha.

Ona nie wie, jednak widok rozszerzających się źrenic Heleny, Herofile i Kasandry podpowiada mi, że te trzy kobiety oglądały już konia trojańskiego w swych wizjach.

– Czy ten Neptolemos nosi jakieś inne imię? – wtrąca Kasandra głosem



oddanego sprawie prokuratora.

– Następne pokolenia zapamiętają go jako Pyrrosa – mówię i jednocześnie staram się wyłuskać z pamięci wszystkie stosowne urywki dzieł dawnych autorów. Fragmenty cyklików, „Cyprii”

Proklosa i mojego ukochanego Pindara. Swoją drogą Pindara dawno już nie czytałem.– Neptolemos nie wróci po wojnie do dawnego domu Achillesa na Skyros – dodaję. – Pożegluje do Molosii, po zachodniej stronie wyspy, której późniejsi władcy uznają się za jego potomków i zaczną go nazywać Pyrrosem.

– Czy w noc upadku Troi dopuści się jeszcze innych występków? – naciska Kasandra.

Przyglądam się tej złożonej z kobiet Ilionu ławie przysięgłych. Żona Priama, jego córka, matka Skamandriosa, kapłanka Ateny, obdarzona mocą przewidywania przyszłości Herofile. Obłożona klątwą wizjonerka, Kasandra i Helena, żona Menelaosa i Parysa. Chyba wolałbym trafić pod ocenę ławników z procesu OJ. Simpsona.

– Pyrros, znany obecnie jako Neptolemos, zamorduje tej nocy króla Priama w świątyni Zeusa – odpowiadam. – Strąci także małego Skamandriosa z miejskich murów, gotując mu pewną śmierć na skałach. Następnie osobiście uprowadzi Andromachę na okręt z niewolnikami. Mówiłem o tym wszystkim już przedtem.

– A czy ta noc nadejdzie niedługo? – dopytuje się Kasandra.

– Tak.

– Dziela nas od niej lata i miesiące czy ledwie tygodnie i dni?

– Tygodnie i dni – odpowiadam. Zaczynam w duchu obliczać, kiedy dokładnie Achilles zabije Hektora, co doprowadzi do upadku Troi, o ile oczywiście wydarzenia wrócą na opisane w „Iliadzie”

tory. Tak czy inaczej, chwila jest nieodległa.

– A teraz powiedz nam, mnie powiedz, mężczyzno, jaki los spotka mnie po gwałcie, którego Achajowie dopuszczą się na Ilionie i moim ciele? – pyta Kasandra.

Waham się. Język mam jak z drewna.

– Pytasz o swój los? – dukam.

– Tak, o swój los, mężczyzno z przyszłości – syczy piękna blondynka. –

Rozumiem, że kiedy zostanę już zgwałcona, nie zostawią mnie tutaj, skoro Andromacha pójdzie w niewolę, a szlachetna Helena na powrót trafi w ręce rozgniewanego Menelaosa. Co spotka Kasandrę? Mów, mężczyzno!

Próbuję zwilżyć językiem spierzchnięte wargi. Czy Kasandra widziała swą własną przyszłość? Nie mam pojęcia czy otrzymany od Apolla dar umożliwia jej oglądanie czegokolwiek więcej ponad upadek Troi. Ktoś, wydaje mi się, że był to Robert Graves, uczonego i pisarza, przełożył imię Kasandry jako „ta, która oplata mężczyzn”. Dziewczyna jest jednak również osobą mocą boskiej klątwy skazaną na bezwarunkowe mówienie prawdy. Postanawiam postąpić tak samo.

– Jesteś piękną kobietą. Agamemnon uczyni z ciebie swoją konkubinę – przyznaję ledwie słyszalnym szeptem. – Uwiezie cię do swego domu, gdzie zostaniesz jego... nałożnicą.

– Czy urodzę mu dzieci jeszcze przed przybyciem do Grecji?

– Tak mi się wydaje – mówię, lecz nawet w moich uszach te słowa brzmią niedorzecznie. Homer raz po raz miesza mi się w głowie z Wergiliuszem, fragmenty Wergiliusza myślę z dziełami Ajschylosa, a oni wszyscy płaczą się z Eurypidesem. Do diabła, za tę historię brał się przecież nawet Szekspir. – Powijesz mu dwóch synów – dodaję po chwili milczenia. – Teledamosa i... hmm... tego, no... Pelopsa.

– A na miejscu? Kiedy już dopłyniemy do Sparty, do domu Agamemnona? – podpowiada Kasandra.

– Klitajmestra zabije cię za pomocą tego samego topora, którym zgładzi Agamemnona – odpowiadam głosem bardziej piskliwym niż mógłbym sobie życzyć.

Dziewczyna rozciąga usta w uśmiechu. I nie jest to uśmiech przyjemny.

– Zetnie mu głowę już po mojej śmierci czy przed nią?

– Po – rzucam. Bo co, do kurwy nędzy? Skoro ona może to znieść, mogę i ja. I tak już prawdopodobnie po mnie. Obiecuję sobie jednak, że nim powalę mnie na ziemię, pogłaszczę paralizatorem przynajmniej kilka tych dziwek. – Klitajmestra będzie musiała cię przez chwilę gonić – dodaję – ale w końcu cię dopadnie. I ciebie również skróci o głowę. A potem zabije twoich synków.

Przez długą chwilę siódemka kobiet wpatruje się we mnie bez słowa. Nie potrafię odczytać znaczenia ich spojrzeń. Za żadne skarby nie usiadłbym

z żadną do pokera.

Ciszę przerywa Kasandra.

– Tak, ten mężczyzna zna przyszłość. Nie mam pewności, czyjego wizje i pojawienie się tutaj są boskim darem czy podstępem, mającym ujawnić naszą zdradę. Musimy jednak powierzyć mu swoją tajemnicę. Musimy zaufać. Na nic innego nie mamy czasu. Ilion wkrótce upadnie.

Helena kiwa głową.

– Hock-en-ber-rii, skorzystaj ze swego medalionu i udaj się do obozowiska Achajów. W godzinie następnej zmiany wart w Ilionie sprowadź Achillesa do przedsionka pokoju dziecięcego w domu Hektora.

Szybko obliczam w myślach. Gong obwieszczający kolejną zmianę straży na miejskich murach powinien zabrzmieć mniej więcej w pół do dwunastej. Zostało mi około godziny.

– A jeżeli Achilles nie zechce za mną pójść? – odpowiadam pytaniem.

Spojrzenia, jakimi obrzucają mnie kobiety, zawierają w sobie cztery miarki pogardy i trzy miarki politowania.

Teleportuję się czym prędzej.

Nie powinienem był się na to zgadzać. To głupota, a poza tym boję się spotkania z Achillesem.

Podczas quizu, jaki urządziła mi Kasandra, bez przerwy jednak dręczyła mnie ciekawość związana z małym robotem z Olimpu. Oczywiście widywałem już w siedzibie bogów rozmaite dziwaczne zjawiska – o samych bóstwach nie wspominał, choć również są niezwykle – na przykład tego niesamowitego, przypominającego wielkiego owada Uzdrowiciela. Niemniej ten robocik, o ile rzeczywiście był to automat, wyglądał jak przybysz z innego świata. Raczej nie należał do żadnej z dwóch rzeczywistości, pomiędzy którymi przemieszczałem się przez ostatnie dziewięć lat. Nie był częścią świata Olimpijczyków ani realiów wojny trojańskiej. Co więcej, przypominał coś, co mogło powstać w moim świecie. Moim dawnym świecie. Tym prawdziwym. Nie, nie pytajcie, skąd wzięłem to przekonanie. Humanoidalne roboty oglądałem dotąd tylko w filmach science fiction.

No cóż – powtarzam sobie w duchu – obiecałem, że przedstawię Hektorowi Achillesa dopiero za godzinę. Naciągam na głowę Hełm Hadesa

i teleportuję się z powrotem do Dworu Bogów.

Drobny robot i reszta urządzeń, w tym ta wielka maszyna w kształcie kraba, zdążyły już zniknąć, lecz Zeus wciąż siedzi na tronie. Otaczają go bogowie, zebrani jeszcze liczniej niż przedtem.

Wypatruję między nimi patrona wojny Aresa, którego ostatnio widziałem w leczniczej kadzi, tuż obok pojemnika ze zdrowiejącą Afrodytą.

Matko miłosierna! Gdzie w takim razie jest Afrodyta? Przecież ona może mnie zobaczyć, nawet kiedy mam na głowie hełm. Poleciała Muzie wydać mi tę zabawkę jedynie dlatego, że sama potrafi mnie zobaczyć mimo ukrycia. Czy bogini miłości również opuściła już kadejkę? Chryste Panie!

Pod okiem siedzącego na tronie Zeusa Ares wydziera się na pozostałych bogów.

– Wydarzeniami pod Troją zawładnął jakiś obłąd! – woła. – Nie było mnie ledwie kilka dni, a wy już pozwoliliście wojnie wymknąć się spod kontroli! Tam włada sam Kaos! Achilles zabił Agamemnona i przejął dowództwo nad wojskami Achajów. Hektor został zmuszony do odwrotu, a przecież wiecie, że zgodnie z wolą naszego pana Zeusa, zwyciężyć mieli Trojanie.

Agamemnon nie żyje? Achilles wodzem? Cholera jasna. Coś mi mówi, że nie czytamy już Iliady.

– A co wiadomo o automatach, które doprowadzono przed twoje oblicze, Zeusie? O tych...

morawcach? – pyta Apollo, którego słowa zwielokrotniają się echem w przestronnej sali.

Na balkonach i antresolach pojawiają się kolejne bóstwa. W holograficznym basenie widać obłąkańczą rzeź, do jakiej dochodzi wzdłuż linii frontu oraz w obozie Argiwów. Ja jednak koncentruję się na potężnej, muskularnej postaci siedzącego na złotym tronie siwobrodego Ojca Bogów. Jego grube nadgarstki wyglądają jak wyrzeźbione w marmurze z Carrary przez samego Rodina. Znajduję się na tyle blisko, że dostrzegam na obnażonym torsie Zeusa pojedyncze siwe włoski.

– Weź głęboki wdech, Apollo, łuczniku szlachetny – pada tubalna odpowiedź Gromowładnego. – Wydałem rozkaz, by oba automaty zostały zlikwidowane. Jak myślę, Hera zdążyła już to polecenie wykonać.

Czy może być jeszcze gorzej?

Ledwie zdołałem zadać sobie to pytanie, do sali wchodzi Tetyda – matka Achillesa – i moja Muza. A między obiema boginkami dumnie kroczy Afrodyta.

# 40

## *Pierścień równikowy*

Daeman krzyczał przez całą drogę ku niebu.

Wrzeszczeli również Savi i Harman – na pewno się darli, innej możliwości nie było – tyle że chłopak słyszał jedynie siebie. Kiedy tylko krzesła strzeliły pionowo w górę, po czym nachyliły się, wirując przez cały czas wokół błyskawicy – w pewnej chwili Daeman zawisł twarzą w dół dziesięć tysięcy stóp nad Basenem Śródziemnym (krzyczał nieprzerwanie) – poczuł działanie dwóch potężnych sił. Pierwszą było związane z przyśpieszeniem przeciążenie, które próbowało wprasować go w oparcie. Drugą z tych sił był stały, równomierny nacisk, zapewne skutek działania jakiegoś pola siłowego. Nie tylko utrzymywało go na czerwonej tapicerce krzesła, lecz napierało mu na twarz i klatkę piersiową, wciskało się do ust i płuc.

Krzyczał bez przerwy.

Krzesła bezustannie obracały się wokół grubego wyładowania czystej, świecącej białą energią, w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. W pewnej chwili chłopak spojrzał prosto na gwiazdy i pierścienie. Nie przestał się drzeć, gdyż wiedział, że siedzenia obrócą się znowu i tym razem na pewno spadnie, w dodatku ze znacznie większej wysokości niż jeszcze przed chwilą.

Nie spadł, lecz kiedy znów zwrócił się przodem ku Ziemi, gdy krzesło uniosło się wyżej, darł się nadal. Tym razem na macierzystą planetę. Trajektoria lotu krzesła spłaszczyła się w tej chwili niemal zupełnie, sunęli praktycznie równolegle do widniejącej daleko poniżej powierzchni. Nad środkową Azją zapadła już noc, lecz wysokie, ciągnące się na wiele mil

cumulusy były oświetlane od wewnątrz krótkimi rozbłyskami piorunów, zalewających jasnością czerwony ład poniżej, którego skrawki widać było pomiędzy perłowymi chmurami. Daeman oczywiście nie miał pojęcia, że patrzy właśnie na środkową część Azji. Siedzenia nie przestawały się obracać wokół strugi wyładowań, ukazując chłopakowi punkciki gwiazd, pierścienie i coraz wyraźniej widoczną, cienką powłokę atmosfery – wylecieli już ponad jej wewnątrz warstwy! – a na zachodzie ponownie wzeszło słońce. Jego promienie rozszczepiały się w obłej soczewce powietrza, zalewając ziemię jaskrawymi czerwieniami i smugami żółci.

Przebili się już przez dziewięćdziesiąt dziewięć procent atmosfery, lecz o tym Daeman również nie wiedział. Pole siłowe zapewniało mu tlen, zabezpieczało jego ciało przed rozszarpaniem przez siłę odśrodkową i, tworząc ochronną bańkę powietrza, pozwalało chłopakowi krzyczeć. Gdy zdał sobie sprawę, że zbliżają się do pierścienia R, był już porządnie zachrypnięty.

Pierścień wyglądał odmiennie niż Daeman go sobie wyobrażał, lecz, bez reszty zaprzątnięty kurczowym ściskaniem oparcia i wrzaskiem, nawet nie zwrócił na to uwagi. Żył dotąd w przekonaniu, że pierścienie R i B składają się z tysięcy świetlistych, szklanych zamków, przez których ściany można oglądać postludzi zajętych bankietowaniem i innymi właściwymi sobie zajęciami. Rzeczywistość przedstawiała się zupełnie inaczej.

Większość świecących obiektów, ku którym wznosili się z oszałamiającą prędkością, wzdłuż uginającej się, wijącej błyskawicy, była skomplikowanymi konstrukcjami złożonymi z lin, wsporników oraz długich szklanych rur. Nie przypominały orbitujących domostw, a raczej skomplikowane anteny. Niektóre z tych struktur wieńczyły błyszczące kule energii, w których centrum widniały czarne pulsujące rdzenie. Inne stanowiły rusztowania dla gigantycznych zwierciadeł – rozwrzeszczany Daeman uświadomił sobie, że ich panele ciągną się całymi milami – odbijające bądź wysyłające w kierunku dalszych luster niebieskie, żółte i mlecznobiałe strugi energii. Migotliwe pierścienie i kule – na pierwszy rzut oka sprawiające wrażenie wykonanych z tego samego egzotycznoenergetycznego budulca co budynki Atlantydy – utrzymywały pozycję dzięki pulsacyjnym wystrzałom laserów i silników manewrowych, które posyłały w przestrzeń stożkowe smugi rozjarzonych cząsteczek. Żadna

z tych struktur nie wyglądała na ewentualną siedzibę postludzi.

Kontur Ziemi zakrzywiał się coraz bardziej wyraźniej, niczym z wolna napinający się łuk. Słońce ponownie skryło się na zachodzie i niebo eksplodowało gwiazdami, nieco tylko ciemniejszymi od jasnych budowli w pierścieniu. Daleko poniżej Daemana – wzbili się na co najmniej kilkaset mil – majaczył górski łańcuch. Przysypane śniegiem wierzchołki kąpały się w poświacie gwiazd i postludzkich budowli. Na zachodzie, tuż przy półkolistej krawędzi planety, pobłyskiwały wody oceanu. Nagle krzesła zwolniły obroty. Chłopak wyciągnął szyję i zadarł głowę.

Pomiędzy mrowiem kojarzących się z antenami konstrukcji i zwierciadeł sunęła góra, na której wznosiło się błyszczące miasto.

Daeman przestał krzyczeć, gdyż siedzenia gwałtownie się nachyliły, a pole siłowe naparło z jeszcze większą energią i wcisnęło go w krzesło. Chwilę później spostrzegł, że prowadzący ich wirujący snop energii kończy się właśnie w tym zbudowanym na gigantycznej skale mieście.

Tutejsze budowle nie zostały skonstruowane z energetycznej materii. Wyglądały na szklane, a każda z setek tysięcy szyb i soczewek była oświetlona od wewnątrz. Skojarzyły się chłopakowi z wielkimi japońskimi lampionami. Przestraszył się nagle, że roztrzaskają się o jedną z najwyższych wież, wznoszących się na skraju tej orbitalnej góry. Zderzenie wydawało się nieuniknione. W tej samej chwili jednak krzesło odwróciło się do góry nogami, uścisk pola siłowego pozbawił go tchu i wyhamowali z taką prędkością, że w oczach zrobiło mu się najpierw czerwono, potem ciemno i znów czerwono.

Nie zatrzymali się jednak i Daeman wrzasnął raz jeszcze, mimo że prawie stracił głos. Uderzyli w ścianę budynku, który musiał sobie liczyć przynajmniej sto pięter.

Nie rozległ się brzęk tłuczonego szkła, nie doszło też do katastrofy. Ściana budowli ugięła się miękko i wchłonęła ich, tworząc długi świecący lejek, którym krzesła wraz z pasażerami, niczym w gumowej elastycznej rynnie, przejechały aż do pomieszczenia otoczonego sześcioma białymi, jarzącymi się ścianami. Błyskawica zgasła. Krzesła poszybowały na boki. Pole siłowe zniknęło.



Daeman krzyknął po raz ostatni, spadł na twardą podłogę i przejechał po niej bezwładnie. Odbił się, zderzył z twardą ścianą, wzniosł pod powałę, po czym znów twardo grzmotnął o posadkę.

Wtedy przestał widzieć cokolwiek.

\* \* \*

Spadał.

Ocknął się z poczuciem, że spada, koziółkuje. Tak przynajmniej podpowiadały mu ciało i umysł.

Zsunął się z krzesła? Spada na Ziemię? Otworzył usta do krzyku, lecz zamknął je zaraz, gdy stwierdził, że unosi się w powietrzu. Savi i Harman trzymali go za ręce.

Unosi się? Spada! Szarpnął się, wierzgnął, lecz towarzysze – również szybujący w białym pomieszczeniu – obrócili się zwinnie wraz z nim i nie rozluźnili chwytu.

– Wszystko jest dobrze – zapewniła staruszka. – Znajdujemy się w stanie nieważkości.

– W czym? – zachłysnął się Daeman.

– W stanie nieważkości. Straciliśmy ciężar. Proszę, załóż to. – Savi wręczyła chłopakowi zabraną z pełzacza, osmotyczną maskę.

Już wcześniej ktoś naciągnął mu na twarz kaptur termoskóry, która sama z siebie nasunęła się także na jego dłonie. Skonfundowany chłopak zamachał nieporadnie rękoma, próbował się bronić, lecz starsi towarzysze założyli mu wreszcie przezroczystą maskę na nos i usta.

– Spokojnie. Te aparaty stosuje się zwykle w przypadku pożaru lub skażenia powietrza – powiedziała Savi – ale również w próżni powinny wystarczyć na kilka godzin.

– W próżni? – powtórzył oszołomiony Daeman.

– Miasto postludzi nie wytwarza już własnej grawitacji i straciło większość powietrza – powiedział Harman. – Kiedy jeszcze byłeś nieprzytomny, przecisnęliśmy się na moment przez ścianę. Powietrza jest dość, by dało się w nim pływać, ale na oddychanie to jednak za mało.

Wystarczy, by się unosić? Przepisnęli się przez ścianę? – powtórzył chłopak w myślach.

Koszmarne bolała go głowa. Zwariowali. Oboje.

– Co to znaczy, że nie wytwarza już własnej grawitacji? To w ogóle możliwe? – zapytał.

– Podejrzewam, że ciążenie na tej asteroidzie uzyskiwano dzięki systemowi pól siłowych – stwierdziła Savi. – Sama skała jest za mała, by wytworzyć odpowiednio silną grawitację, a wewnątrz miasta i cała zabudowa wyglądają tak, jakby mieszkańcy rozróżniali górę i dół.

Daeman nie zapytał, czym jest asteroida. W zasadzie niewiele go to obchodziło.

– Możemy już wracać? – zapytał, lecz zaraz potem dodał: – Ale na tym krześle nie usiądę za nic.

Uśmiech Savi dało się zauważyć nawet przez osmotyczną maskę. Wierzchnie okrycie zdjęła już wcześniej, by brzoskwiniowa termoskóra działała bardziej efektywnie, i pod cienkim jak warstwa farby skafandrem wyraźnie było widać, jak kościste jest jej stare, wychudzone ciało. Także i Harman miał na sobie tylko termoskórę. Daeman popatrzył po sobie i uświadomił sobie, że towarzysze rozebrali i jego. Zielony kombinezon uwypuklał naturalne krągłości chłopaka. Głosy przewodniczki i starszego mężczyzny słyszał w słuchawkach, podobnie jak własne, schrypnięte słowa.

– Te krzesła jeszcze przez jakiś czas donikąd nie polecą. – Savi skinęła głową w stronę, gdzie unosiły się w powietrzu strzępy czerwonej tapicerki i połamane deszczułki.

– Nie wierzę, że postludzie podróżowali do tego miasta wyłącznie takimi krzesłami – rzucił Harman. Nieznaczone drżenie jego głosu zdradziło Daemanowi, że nie tylko on fatalnie zniósł niedawną przejażdżkę.

– Wiesz... Może bardzo lubili kolejki górskie – zauważyła Savi.

– A co to jest...? – zaczął chłopak.

– Nieważne – ucięła staruszka. Sięgnęła po plecak, który przez całą drogę na pierścień trzymała na kolanach. – Gotowi? Przejdziemy przez ścianę i spotkamy postludzi.

\* \* \*

Przebicie się przez ścianę okazało się łatwe. Daeman miał wrażenie, że przenika przez elastyczną błonę lub kurtynę ciepłego wodospadu.

Pływał. W powietrzu. Nawet po trzydziestu minutach treningu chłopak czuł się dziwnie.

Początkowo machał rękoma i nogami wyjątkowo niezgrabnie, przez co wywijał efektowne koziołki i zderzał się często z twardymi krawędziami. Ostatecznie jednak nauczył się odbijać od ścian i innych twardych powierzchni stopami, dzięki czemu udawało mu się pokonywać nawet sto stóp za jednym zamachem, a drobne poprawki kursu wprowadzał w locie delikatnymi ruchami dłoni.

Budynki okazały się w środku połączone, za to blask, który Daeman wziął wcześniej za wewnętrzną iluminację, był tylko złudzeniem. Źródło ciepłego światła stanowiły same szyby.

Przestronne pomieszczenia – pierwsza jasna hala, w której znaleźli się po przeniknięciu przez membranę w ścianie, miała tysiąc stóp wysokości i co najmniej czterysta stóp szerokości – tonęły w półmroku, którego nie rozpraszała poświata odległych okien. Daeman miał wrażenie, że płynie pod wodą. Doznanie nurkowania wzmagala obecność rozrośniętych na czterdzieści i pięćdziesiąt stóp roślin, kołyszących się delikatnie i powoli niczym wodorosty.

Szybując, Daeman czuł, jak rzadka jest składająca się z resztek powietrza atmosfera miasta.

Mimo że termoskóra pokrywała ciało chłopaka dokładnie, docierał do niego panujący na zewnątrz ziąb, niemal przenikający przez cieniutką powłokę kombinezonu. Szyby od wewnątrz pokrywała cienka powłoka lodu, a miejscami unosiły się swobodnie kryształki szronu, wyraźne niczym drobinki kurzu w promieniach światła wpadających przez witraże katedry.

Na pierwsze ciała natknęli się już po pięciu minutach.

Wiosłując wszystkimi kończynami, szybowali nad powierzchnią porośniętą dawniej ziemskimi roślinami. Trawą, drzewami, krzewami i kwiatami gatunków, jakich Daeman nigdy przedtem nie oglądał. Większość uschła

dawno temu, przeżyły jedynie te wysokie, falujące sennie wodorosty.

Hala, w której się znajdowali, przypominała park. Pozbawione barier platformy, balkony i tarasy świadczyły o tym, że sztuczna grawitacja w mieście musiała być raczej umowna. Mieszkańcy fruwali kiedy tylko chcieli. Wystarczyło im odbić się od podłoża, przelecieć pionowo sto stóp i wylądować w wybranym punkcie. Na wielu podestach leżały oszronione stoły, powywracane krzesła, puchate kanapy i stojące gobeliny.

Oraz zwłoki.

Savi wyskoczyła w górę i podleciała na jeden z balkonów. Dawniej musiał się z niego roztaczać znakomity widok na wąski wodospad, wylewający się z tarasu zawieszzonego na permabetonowej ścianie czterysta bądź pięćset stóp powyżej. Teraz z wodnej kaskady pozostała jedynie zlodowaciała, koronkowa siateczka lodu, pod którą wśród stołów unosiły się w powietrzu ciała.

Kobiety. Z całą pewnością były to kobiety, aczkolwiek stopień mumifikacji zwłok poważnie utrudniał rozpoznanie płci.

Biologiczny rozkład w zasadzie nie nastąpił, swoje zrobił jednak niesamowity mróz i niemal zupełny brak powietrza. Zwłoki wyschły i pozostały w niezmiennym stanie od dnia śmierci.

Daeman podleciał do najbliższych – zaplątanych w siatkę, która w dawnych czasach musiała stanowić ozdobny parawan, oddzielający wodospad od wypoczynkowego tarasu – i uznał, że kobiety zmarły bardzo dawno temu. Bez wątplenia musiało upłynąć kilkaset lat od chwili, kiedy oddychały, śmiały się spacerowały, brodziły w szczątkowej grawitacji, która według Savi wynosiła jedną dziesiątą ziemskiej, i robiły wszystko, co robili postludzie. Dopiero potem wydarzyło się... Co właściwie się tu wydarzyło? Spojrzał w zakonserwowane – choć zamrożone i zbielełe – oczy, wycierające z zasuszonych oblicz. Przyglądał się im, jakby w nadziei, że znajdzie w tych twarzach odpowiedź. Oczywiście jednak milczały, więc po chwili odchrząknął i zapytał: – Co je zabiło?

– Sam się właśnie zastanawiam – odparł Harman, szybujący przy innym skupisku zwłok. Błękit jego skafandra niemal oślepił w kontraście z cmentarnym półmrokiem otoczenia i szarością ciał. – Może gwałtowna dekompresja?

– Nie. – Savi pokręciła głową. Przewodniczka pochyliła się nad jedną z umarłych. – W gałkach ocznych brak popękanych naczynek, poza tym nie widzę śladów uduszenia. Także bębenki mają całe. Gdyby doszło do nagłej dekompresji, objawy byłyby jednoznaczne. Patrzcie tutaj.

Podlecieli bliżej. Staruszka wcisnęła trzy palce w poszarpaną ranę na szyi zaschniętego ciała. Gdy wsunęła je do końca, zdjęty obrzydzeniem Daeman odepchnął się nogami w tył. Nie chciał tego oglądać. Zdążył jednak zauważyć, że podobne rany widnieją również na gardłach pozostałych zwłok. Na szyjach, udach, tułowiach.

– Padlinożercy? – zastanowił się Harman.

– Nie, raczej nie – odparła przewodniczka. Przelatując od ciała do ciała, przyglądała się ranom. – Na pewno też nie rozkład. Nie wydaje mi się, by bakterie miały tu sprzyjające warunki do życia nawet zanim powietrze wyciekło i zrobiło się zimno. Zresztą może postludzie w ogóle nie mieli w organizmach bakterii – szepnęła.

– Jak to możliwe? – zapytał Daeman.

Przewodniczka pokręciła głową. Poszybowała do dwóch trupów, zaplątanych w krzesła platformę wyżej. W ich brzuchach ziały większe rany. W rzadkim, lodowatym powietrzu kołysały się strzępy ubrań.

– Coś wyżarło im brzuchy.

– Słucham? – Daeman zauważył, że jego głos zabrzmiał w słuchawkach termoskór niezwykle głucho.

– Moim zdaniem, one wszystkie... wszyscy postludzie zmarli wskutek odniesionych ran – oświadczyła Savi. – Coś wyżarło im gardła, brzuchy i serca.

– Słucham? – powtórzył chłopak.

Staruszka nie odpowiedziała. Wyciągnęła z plecaka pistolet i przyczepiła go do lepkiej łąty na udzie termoskóry. Wskazała im szeroką aleję w centrum miasta, a dokładniej jej łagodny zakręt, miejsce oddalone o jakieś pół mili.

– Tam się coś rusza – powiedziała i nie czekając na reakcję towarzyszy, wybiła się w powietrze i poszybowała przodem.

# 41

## *Olympus Mons*

W pierwszych momentach po ich pojmaniu – kiedy jasnowłosy bóg z rydwanu zniszczył balon i zaczął holować gondolę w kierunku Olympus Mons – Mahnmur uznał, że powinien czym prędzej uruchomić Urządzenie. Niech się dzieje co chce.

Nie miał jednak do niego dostępu.

Podobnie jak do nadajnika. Orphu również był poza zasięgiem małego morawca. Całą energię musiał poświęcić trzymaniu się relingu gondoli, sunącej pod marsjańskim niebem z prędkością bliską prędkości dźwięku. Gdyby Mahnmur nie przytroczył Urządzenia, nadajnika i Orphu z lo wszelkimi sznurami, linami i kawałkami drutu, jakie tylko mógł znaleźć, spadliby w dwunastokilometrową otchłań dzielącą gondolę od płaskowyżu rozciągającego się pomiędzy najbardziej wysuniętym na północ wulkanem Tharsis – Ascraeusem – a Morzem Tetydy.

Bóg w maszynie – wciąż trzymający jedną ręką ważącą tony i opasaną dodatkowo grubymi linami gondolę – skierował rydwan wyżej, wyleciał nad morze i rozpoczął podejście ku Olympus Mons od północnego stoku. Nawet Mahnmur – który wisiał kurczowo uczeplony manipulatorami burty gondoli i rozpaczliwie wywijał krótkimi nogami – stwierdził w duchu, że pejzaż jest niesamowity.

Większość terenu pomiędzy wulkanami Tharsis a Olympus Mons przesłaniało zbite kłębowisko chmur. Ponad warstwę obłoków wznosiły się jedynie potężne stożki. Niewielkie, wstające właśnie na południowym wschodzie słońce jasno oświetlało ocean i zalewało chmury złocistym

blaskiem.

Promienie odbijały się w Morzu Tetydy tak jaskrawo, że Mahnmur musiał podkręcić filtry polaryzacyjne. Sam Olympus Mons, spiętrzony na brzegu oceanu, oszałamiał swym ogromem – niemal niekończący się stożek, pokryty lodowymi polami i zwieńczony niewiarygodnie zazielenionym szczytem z kilkoma błękitnymi jeziorami rozlewającymi się w szerokiej kalderze.

Rydwan obniżył lot i Mahnmur ujrzał u podnóża północno-zachodnich zboczy wulkanu niemal czterokilometrowej wysokości pionowe urwiska. Mimo że klify niknęły w cieniu, morawiec dostrzegł również maleńkie drogi i budynki zajmujące wąski pas plaży – wąski wydawał się tylko ze względu na odległość, w rzeczywistości złocisty ocean i klify oddalone były od siebie o dwie bądź nawet trzy mile. Dalej na północ, wśród fal, widniała powstała podczas terraformowania planety wyspa Lycus Sulci, przypominająca kształtem podnoszący się w stronę Olympus Mons łeb wielkiego jaszczura.

Mahnmur przekazał to wszystko Orphu. Opisywał widoki bezgłośnie, na prywatnym kanale radiowym.

– Na pewno jest czym cieszyć oczy. Wolałbym jednak, żebyśmy tę wycieczkę odbyli na własną rękę – odpowiedział większy morawiec.

O tym, że mimo wszystko nie przybyli tu w celach turystycznych, Mahnmur przypominał sobie, kiedy bóg skierował rydwan jeszcze niżej, ku wierzchołkowi gigantycznego wulkanu. Trzy tysiące metrów nad śnieżnymi stokami przeniknęli barierę pola siłowego – czujniki morawca zarejestrowały wstrząs ozonowy i różnicę potencjałów. Po chwili pojazd wyrównał lot i spokojnie poszybował ku zielonemu, trawiastemu lądowisku.

– Przepraszam, że nie zauważyłem go wcześniej. Może gdybym był bardziej spostrzegawczy, udałoby się tego wszystkiego uniknąć – odezwał się Mahnmur, zanim wyłączył radio przed lądowaniem.

– Nie twoja wina – odpowiedział Orphu. – My, wielbiciele literatury, często dajemy się wodzić takim typom za nos. Wiesz, *deus ex machina*.

\* \* \*

Kiedy znaleźli się już na ziemi, jasnowłosy bóg bezceremonialnie złapał

Mahnmuta za kark i zaniósł do największego wnętrza, jakie mały morawiec widział w życiu. Inni bogowie zajęli się transportem Orphu, nadajnika i Urządzenia. Jeszcze bardziej liczna grupa zebrała się po chwili w gigantycznej sali, gdzie w towarzystwie Zeusa przysłuchiwali się relacji boga z rydwanu, opowiadającego o pojmaniu dwóch intruzów. Mahnmut nabrał pewności, że porywacze faktycznie mają się za olimpijskie bóstwa, i zrozumiał, że nie przypadkiem wybrali na swoją siedzibę wierzchołek Olympus Mons. Na korzyść tej hipotezy przemawiały także wyświetlone we wnękach hologramy oraz roje bogów i bogiń. Schodziło się ich coraz więcej. W pewnej chwili przemówił naczelny bóg – ten, którego morawiec uznał za Zeusa. Niestety, perorował w niezrozumiałym języku, być może w klasycznej grece. Mahnmut odpowiedział kilkoma zdaniami po angielsku. Wszyscy bogowie, zarówno ci starzy, siwobrodzi, jak i Olimpijska młodzież, jak jeden mąż zmarszczyli brwi. Widać było, że nie dotarło do nich nawet jedno słowo morawca. Mahnmut złażał się w duchu za to, że nigdy nie ściągnął sobie oprogramowania językowego z bazą danych antycznej lub choćby dwudziestowiecznej greki. Ale cóż, kiedy zaczynał swoją podwodną, naukową przygodę na pokładzie „Mrocznej damy”, akurat te języki nie wydawały się szczególnie przydatne.

Spróbował więc porozumieć się z nimi po francusku. Następnie przeszedł do niemieckiego.

I rosyjskiego. Przetestował japoński. Posługiwał się wszystkimi językami dostępnymi w jego skromnym archiwum danych lingwistycznych i w każdym z nich formułował jedno i to samo zdanie: „Przybywam w pokojowych zamiarach. Nie jestem wrogo nastawiony”. Wreszcie Zeus uniósł potężną dłoń i nakazał mu gestem milczenie. Bogowie zaczęli rozmawiać między sobą. Nie sprawiali wrażenia zadowolonych.

– Co się dzieje? – zapytał Orphu przez radio.

Korpus morawca z lo spoczywał pięć metrów dalej, obok pozostałych dwóch urządzeń z gondoli.

Porywacze nie domyślili się, że porysowana i mocno sfatygowana skorupa zawiera rozumną istotę.

Potraktowali Orphu jak zwykły łup. Właśnie z tego powodu Mahnmut,



przemawiając do nich, posłużył się liczbą pojedynczą. Rozumiał, że bez względu na to, co bogowie postanowią zrobić z nim, istnieje niewielka szansa, że przyjacielowi uda się uciec, aczkolwiek przy braku oczu, uszu, nóg i manipulatorów zadanie nie należało do łatwych.

– Bogowie się naradzają – odpowiedział. – Nie rozumiem, co mówią.

– Powtórz mi kilka ich słów.

Mahnmut przekazał Orphu parę wyrazów obcego języka.

– To specyficzny dialekt antycznej greki – oświadczył morawiec z lo. – Mam go w swojej bazie danych. Rozumiem ich.

– Podeślij mi tę bazę – poprosił Mahnmut.

– Przez radio? – zdziwił się Orphu. – Na to potrzeba przynajmniej godziny. Myślisz, że mamy aż tyle czasu?

Mahnmut powiódł spojrzeniem po twarzach pięknych mężczyzn. Wsłuchał się w wyszczebiwane przez nich ostre, rwane sylaby. Stwierdził, że zbliżają się do momentu podjęcia decyzji.

– Nie – odparł.

– Po prostu cytuj mi zdanie po zdaniu. Przełożę je i wspólnie uzgodnimy odpowiedź. Potem przekażę ci, co masz mówić – zaproponował Orphu.

– I będziemy to robić na bieżąco?

– A czy mamy jakiś wybór?

Bóg, który ich pojmał, zwrócił się właśnie do siedzącego na złotym tronie brodacza. Mahnmut powtórzył przyjacielowi, co usłyszał, i po ułamku sekundy odebrał tłumaczenie. Naradzili się, po czym zapamiętał przekazane przez Orphu greckie sylaby. Procedura z pewnością nie należała do najbardziej wydajnych.

– ...sprytny automacik, a reszta łupu jest dla mnie bez wartości, Zeusie – powiedział wysoki, jasnowłosy bóg. Musiał sobie liczyć przynajmniej dwa i pół metra wzrostu.

– Apollo, mistrzu srebrnego łuku, nie powinieneś tych zdobyczy lekceważyć. Być może, kiedy dowiemy się skąd i w jakim celu się tu znalazły, okażą się cenne. Zniszczony przez ciebie balon z pewnością nie był zwykłą zabawką.

– Ja również nie jestem zabawką – wtrącił Mahnmut. – Przybywam

w pokojowych zamiarach. Nie jestem wrogo nastawiony.

Bogowie popatrzyli na morawca, wymienili się spojrzeniami i zaczęli między sobą szemrać.

– Wysocy są? – zapytał przez radio Orphu.

Mahnmut pośpiesznie opisał mieszkańców Olimpu.

– Niemożliwe – skwitował morawiec z lo. – Ludzki szkielet przestaje efektywnie wypełniać swą rolę już powyżej dwóch metrów wzrostu. Trzy metry są absolutnie wykluczone. Osobom o takim wzroście popękałyby piszczele.

– Na Marsie panuje słabsze ciężenie – przypomniał przyjacielowi Mahnmut. – Co prawda, silniejszego nigdy nie doświadczyłem, ale i tak grawitacja jest tu mniej więcej trzy razy mniejsza niż na Ziemi.

– Sugerujesz, że przybyli tu z Ziemi? – zdziwił się Orphu. – Raczej mało prawdopodobne, chyba że...

– Przepraszam – rzucił Mahnmut. – Nie mam teraz do tego głowy.

Siedzący na tronie Zeus zaniósł się krótkim śmiechem i pochylił ku morawcowi.

– Czyli nasza mała zabaweczka potrafi gadać po ludzku.

– Potrafię – potwierdził Mahnmut za pomocą podsuwanych przez Orphu słów. Żaden z morawców nie miał pojęcia, jaki tytuł przysługuje bogu wszystkich bogów, królowi Olimpu i panu wszechświata. Postanowili nie ryzykować żadnego.

– Uzdrowiciele też mówią – prychnął ze wzgardą Apollo. Zwrócił się do Zeusa: – Nie potrafią za to myśleć.

– Ja mówię i myślę – zapewnił Mahnmut.

– Niebawale – rzucił Zeus. – A czy ta mała, myśląca i mówiąca istota ma jakieś imię?

– Nazywam się Mahnmut i jestem morawcem – przedstawił się Mahnmut. – Marynarzem z lodowatych oceanów Europy – dodał z naciskiem.

Zeus zachichotał, lecz był to chichot na tyle grzmiący, że zadrżała cała zewnętrzna powłoka Mahnmuta.

– No proszę. A któż jest twym ojcem, morawcu Mahnmucie?

Gorączkowy namysł nad problemem zajął morawcom całe dwie sekundy.

Ustalili, że postawią na uczciwość.

– Nie mam ojca, Zeusie.

– Zatem jesteś zabawką – skwitował Gromowładny i zmarszczył czoło. Krzaczaste, siwe brwi niemal zbiegły się nad orlim nosem.

– Nie jestem zabawką – zaprotestował Mahnmur. – Jestem po prostu osobą o konstrukcji odmiennej od waszej. Podobnie jak mój przyjaciel, Orphu z lo, morawiec próżniowy, zwykle pracujący w przestrzeni okalającej jego ojczysty księżyc. – Wskazał na skorupę.

W ślad za jego gestem pomknęły spojrzenia wszystkich obecnych bóstw. Orphu osobiście nalegał, by Mahnmur ujawnił jego obecność. Uparł się, że bez względu na wynik chce podzielić los przyjaciela.

– Jeszcze jedna mała osóbką, tyle że pod postacią pokiereszowanego kraba? – Tym razem Zeus już się nie zaśmiał.

– Owszem – przytaknął Mahnmur. – Czy teraz ja mogę poznać imiona tych, którzy nas pojмали?

Zeus się zawahał. Apollo zaprotestował, lecz król bogów ostatecznie ukłonił się kpiarsko morawcom i zaczął wskazywać kolejne bóstwa.

– Oto mój syn Apollo. Jego już poznaliście. Obok niego stoi ten, który robił tak wiele hałasu, zanim dołączyłeś do rozmowy. Ares. Mroczna postać za plecami Aresa to Hades, mój brat, również syn Kronosa i Rei. Po prawicy widzicie syna mej żony, Hefajstosa. A ten dostojny bóg stojący obok twojego przyjaciela skorupiaka jest drugim z mych braci. Zwie się Posejdon i przybył specjalnie, by uczcić wasze przybycie. Przy jego boku, z wieńcem złotych wodorostów na szyi stoi Nereus, również bóstwo morskich odmętów. Za plecami szlachetnego Nereusa możesz dostrzec Hermesa, posłańca i zabójcę gigantów. Widzę, że na dwór wciąż ściągają kolejni bogowie... i boginie, lecz to wyżej wymieniona siódemka przeprowadzi nad wami sąd.

– Sąd? – powtórzył Mahnmur. – Ani mój przyjaciel Orphu z lo, ani ja... Nie popełniliśmy przeciwko wam najdrobniejszego wykroczenia.

– Wręcz przeciwnie! – Zeus zaśmiał się i przeszedł na czystą angielszczyznę. – Przybyłeś z okolic Jowisza, mały morawcu, robociku, zapewne w niecnych zamiarach. Ja sam, wraz z moją córą Ateną, zestrzeliłem wasz statek i muszę przyznać, że byłem święcie przekonany, iż wszyscy

zginęliście. Twarde z was paskudy. Niemniej dzisiaj spotka was ostateczny koniec.

– Władasz mową tego stworzenia? – rzucił ostro Ares. – Potrafisz mówić w tym barbarzyńskim narzeczu?

– Twój ojciec włada wszystkimi językami wszechświata, patronie wojny – ofuknął go Zeus. – Zamilcz.

Parter przestronnej sali i większość balkonów prędko wypełniały się bóstwami obojga płci.

– Odprowadzić tę pso-człowieko-maszynę i beznogiego kraba do zamkniętego pomieszczenia – rozkazał Zeus. – Ja tymczasem skonsultuję się z Herą i innymi, których rady cenię. Niebawem zdecydujemy, co z nimi począć. Oba pozostałe przedmioty zanieście do skarbcza. Ich wartość ocenimy w swoim czasie.

Do Mahnmuta podeszli Apollo i Nereus. Morawiec rozważył dwie nasuwające się możliwości – walkę i ucieczkę. Mógł zyskać nieco czasu, zaskakując bogów promieniem wmontowanego w przegub lasera o niskiej mocy, lub mógł puścić się biegiem na czworakach. W tej pozycji, zwłaszcza na krótkich dystansach, mógł rozwijać całkiem sporą prędkość. Niewykluczone, że zdołałby wymknąć się z dworu, wskoczyć do jeziora w kalderze i ukryć się w głębinie. Zerknął jednak na Orphu, którego bez większego wysiłku wynosiła już czwórka bezimiennych bogów.

Ostatecznie pozwolił, by i jego wytaszczyli niczym wielką, metalową lalkę.

\* \* \*

Według wskazań wewnętrznego zegara Mahnmuta, na przybycie kata czekali w pozbawionym okien magazynie trzydzieści sześć minut. Pomieszczenie było przestronne, otoczone grubymi na sześć stóp ścianami z marmuru, dodatkowo wzmocnionymi – morawiec dowiedział się o tym dzięki swoim czujnikom – polem siłowym, zdolnym przetrzymać eksplozję taktycznego pocisku nuklearnego.

– Najwyższy czas uruchomić Urządzenie – nadał Orphu przez radio. – Nie wiem, co się wtedy stanie, ale zawsze to lepsze niż pozwolić, by zniszczyli

nas bez walki.

– Zrobiłbym to, gdybym miał jak – odparł Mahnmut. – To ustrojstwo nie zostało wyposażone w system zdalnego sterowania, a ja nie pomyślałem, żeby coś takiego zainstalować, bo za bardzo zaprzętnęła mnie konstrukcja gondoli balonu.

– Niewykorzystane okazje... – zadudnił Orphu. – A, do diabła z tym. Nikt nie powie, że się nie staraliśmy.

– Ja się jeszcze nie poddałem – oświadczył Mahnmut.

Przez chwilę przechadzał się w tę i z powrotem. Sprawdził drzwi, zwracając szczególną uwagę na ich krawędzie. Wejście również zostało zabezpieczone polem siłowym. Gdyby Orphu miał ramiona, być może zdołałby wyszarpnąć te drzwi z zawiasów... Być może.

– A co Szekspir ma do powiedzenia na temat takiego końca? – zapytał Orphu. – Czy „Will poeta”

kiedykolwiek pożegnał się z Młodzieńcem?

– W zasadzie to nie – przyznał Mahnmut, zajęty obmacywaniem ścian organicznymi palcami. – Rozstali się na niezbyt przyjaznej stopie. Ich związek wypalił się, kiedy dla obu stało się jasne, że sypiają z tą samą kobietą.

– To jakiś żart? – zdziwił się Orphu.

– Co? – Mahnmut znieruchomiał.

– Nie, nic. Nieważne.

– A co na to twój ukochany Proust? – Mahnmut odbił piłeczkę.

– *Longtemps, je me suis couche de bonne heure* - wyrecytował Orphu z ło.

Mahnmut nie przepadał za francuskim, który kojarzył mu się ze smarem gęstniejącym w trybach.

Miał go jednak w archiwum i szybko przetłumaczył: „Przez długi czas kładłem się spać wcześniej”.

– Reszta jest milczeniem – odparł Mahnmut po dwóch minutach i dwudziestu dziewięciu sekundach.

Magazyn stanął otworem i do środka weszła dwumetrowego wzrostu bogini. Zamknęła za sobą drzwi i włączyła z powrotem pole siłowe. W rękach trzymała srebrny jajowaty przedmiot, którego dwie czarne końcówki były wymierzone prosto w morawce. Mahnmut instynktownie zrozumiał, że niczego

nie wskóra, nawet jeśli się na nią rzuci. Cofnął się kilka kroków i złożył dłoń na skorupie Orphu, mimo że doskonale zdawał sobie sprawę, iż przyjaciel tego nie poczuje.

– Nazywam się Hera – odezwała się bogini po angielsku. – Przychodzę, by uwolnić was, nędzne morawce, od wszelkiego cierpienia. Raz na zawsze. Nigdy za waszą rasą nie przepadałam.

Coś błysnęło, Mahmmut poczuł wstrząs i zapadła ciemność.

# 42

## *Olimp i Ilion*

Na widok wchodzących do Dworu Bogów Tetydy, Afrodyty i mojej Muzy, w pierwszym odruchu chcę się tekować z Olimpu jak najdalej. Zaraz potem uświadamiam sobie jednak, że Afrodyta zapewne cieszy się takimi samymi mocami, jakimi obdarzyła mnie. Nie tylko może mnie zobaczyć, ale i wytropić w kwantowym kontinuum, śledząc towarzyszące teleportacji zaburzenia. Gdybym przeniósł się w tej chwili, nagła fluktuacja mogłaby zwrócić jej uwagę. Poza tym, mam tutaj coś do załatwienia.

Na palcach odsuwam się na stronę i staję tak, by tłum wysokich Olimpijczyków zasłonił mnie przed wzrokiem nowo przybyłych bogiń. Znikam za masywną kolumną, po czym wymykam się na korytarz. Z sali wyraźnie słyszę pokrzykiwanie Aresa, nadal gniewnie domagającego się informacji na temat przebiegu wojny pod jego nieobecność.

– Ojczyźnie Zeusie – odzywa się Afrodyta – mimo że wciąż nie zaleczyłam w pełni swych straszliwych ran, poprosiłam o uwolnienie z leczniczej kadzi, ponieważ musiałam pilnie do ciebie przybyć.

Doniesiono mi bowiem, że jeden ze śmiertelników skradł teleportacyjny medalion, a także zapewniający niewidzialność Hełm Śmierci, wykuty osobiście przez znamienitego Hadesa.

Obawiam się, że ów osobnik może nam wielce zaszkodzić.

Zbite w gęstą ciżbę bóstwa wydają z siebie okrzyki oburzenia, zarzucają Afrodytę nagłymi pytaniami.

No to po herbacie. Straciłem ostatnią ewentualną przewagę.

Wciąż pod osłoną roztaczanego przez hełm pola puszczam się biegiem

przez długi korytarz, na pierwszym skrzyżowaniu skręcam w lewo i pędzę przed siebie. Zupełnie nie mam pojęcia dokąd się kieruję, wiem tylko, że moją jedyną nadzieją jest znaleźć Herę. Z poślizgiem zatrzymuję się na kolejnym rozwidleniu. Z wielkiej sali dolatuje mych uszu coraz głośniejsza wrzawa. Przymykam oczy i zaczynam się modlić – wcale nie do tych świi z Olimpu. Modłę się po raz pierwszy, odkąd w wieku dziewięciu lat dowiedziałem się, że moja matka zachorowała na raka.

Gdy podnoszę powieki, spostrzegam Herę. Bogini mija skrzyżowanie korytarzy, sto metrów na lewo ode mnie.

\* \* \*

Podeszwy moich sandałów klapią o marmurową posadzkę. Odgłos rozchodzi się echem po długich krużgankach. Wysokie, złote trójnogi rzucają blask tańczących płomieni na ściany i sufity. Nie staram się już nawet zachowywać cicho – w tej chwili muszę przede wszystkim dogonić Herę.

Wzburzony tłum z wielkiej sali podnosi coraz większy rwetes. Przez moment zastanawiam się, w jaki sposób Afrodyta ukryje przed bóstwami swój udział w moim spisku. W końcu to ona mnie wyposażyła i poleciła szpiegować, a potem zgładzić Atenę. To jednak żadna zagadka. Bogini miłości potrafi łączyć jak z nut, a ja zginę, nim zdołam komukolwiek powiedzieć prawdę. Afrodyta okryje się chwałą bohaterki, która przestrzegła bogów przed zdradą.

Idąca szybko Hera zatrzymuje się w pół kroku i spogląda przez ramię. Zwolniłem już przed chwilą i teraz stoję chwiejnie na palcach, starając się nie zdradzić nawet szmerem. Żona Zeusa ściąga brwi, rozgląda się, po czym przesuwając dłoń po wysokich na dwadzieścia stóp metalowych drzwiach. Rozlega się szum, ukryty mechanizm zamka zwalnia zapadki i drzwi otwierają się do wewnątrz. Z trudem udaje mi się przekraść do środka, za boginią, która pośpiesznie zamyka za sobą drzwi. Szuranie moich sandałów tonie w podniesionych, z każdą sekundą bardziej donośnych nawoływaniach z głównej sali. Hera dobywa ukrytej w połach szaty broni – oręż przypomina egzotyczną muszlę, szarą i gładką, z dwoma groźnie wyglądającymi otworami.



Poza nami w pomieszczeniu znajdują się tylko mały robot i ta dziwna skorupa w kształcie kraba.

Robot cofa się przed boginią. Rozumie, jaki czeka go los. Składa swą dziwnie ludzką dłoń na skorupie kraba i wtedy uświadamiam sobie, że to również jest robot. Nie mam pojęcia skąd te maszyny się tutaj wzięły, ale z pewnością nie pochodzą z Olimpu – jestem o tym święcie przekonany.

– Nazywam się Hera – przedstawia się małżonka Zeusa – Przychodzę, by uwolnić was, nędzne morawce, od wszelkiego cierpienia. Raz na zawsze. Nigdy za waszą rasą nie przepadałam.

Zanim przemówiła, nie byłem pewien co zrobić. Ostatecznie mam do czynienia z Herą, żoną i siostrą Zeusa, królową bogów, boginią tak potężną, że być może tylko Atena mogłaby się z nią równać. Niewykluczone, że do działania pchnęło mnie stwierdzenie „Nigdy za waszą rasą nie przepadałam”. Urodziłem się przecież w połowie dwudziestego wieku, dożyłem dwudziestego pierwszego i tego rodzaju wypowiedzi słyszałem aż za często.

Bez względu na prawdziwy powód decyzji, wyciągam paralizator i rażę arogancką dziwkę prądem.

Nie byłem pewien, czy pięćdziesiąt tysięcy woltów zadziała na boginię. Zadziałało. Ciałem Hery wstrząsa gwałtowny spazm, Olimpijka upada i jednocześnie uruchamia swą jajowatą broń. Strzał niszczy świecące na suficie panele. W pomieszczeniu zapada nieprzenikniona ciemność.

Wsuwam elektrodę paralizatora do rączki i przygotowuję kolejny ładunek. Niczego jednak nie widzę, w pokoju nie ma nawet okna. Stąpam naprzód i prawie przewracam się o ciało Hery.

Sprawia wrażenie nieprzytomnej, lecz wciąż podryguje na posadzce. Nagle ciemność przecinają dwa snopy rażącego światła. Zsuwam z głowy Hełm Hadesa i ukazują mi się własne ręce.

– Nie świeć mi po oczach! – rzucam w stronę małego robota. Światło bije prosto z jego piersi.

Promienie odsuwają się na bok.

– Jesteś człowiekiem? – pyta maszyna.

Dopiero po sekundzie uświadamiam sobie, że odezwała się po angielsku.

– Tak – odpowiadam. Bardzo dziwnie się czuję, mówiąc po tak długim

czasie w ojczystym języku.

– A wy kim jesteście?

– Obaj jesteście morawcami.

Robocik podchodzi bliżej. Kieruje swe reflektory na Herę. Powieki bogini zaczynają już drżeć.

Pochyłam się, podnoszę z podłogi jej broń i chowam ją do kieszeni.

– Nazywam się Mahnmut-dodaje robot. Jego czarna głowa nie sięga mi nawet do piersi. Na metalicznie połyskującej plastikowej twarzy brakuje oczu, lecz w ich miejscu widnieje ciemny, poziomy pasek. Odnoszę wrażenie, że robot bacznie mi się przygląda. – A to mój przyjaciel, Orphu z lo.

Głos ma cichy i miękki, może tylko nieznacznie męski, ale za to wcale nie sztuczny, nie brzmi jak automaty z filmów. Wskazuje splekaną, długą na przynajmniej piętnaście stóp skorupę, zajmującą sporą część pokoju.

– Czy... Orphu... żyje? – pytam.

– Żyje. Niestety, stracił oczy i manipulatory – odpowiada niewielki robot. – Przekazuję mu naszą rozmowę przez radio. Powiedział właśnie, że bardzo mi miło cię poznać. Gdyby dysponował oczami, byłbyś pierwszym człowiekiem, jakiego w życiu zobaczył.

– Orphu z lo – powtarzam. – Jest chyba taki księżyc Saturna, prawda?

– Jowisza – prostuje Mahnmut.

– Cóż, was również bardzo przyjemnie poznać – mówię – ale teraz musimy się stąd wydostać.

Pogawędki zostawmy na potem. Ta krowa już się budzi. A za chwilę zaczną jej szukać. Bogowie nie są dziś w najlepszych humorach.

– Krowa – powtarza robot. Spogląda na Herę. – Niezwykle komiczne – stwierdza i oświetla reflektorami wyjście. – Obawiam się, że krowa zamknęła za sobą drzwi stodoły. Masz może coś, czym można je otworzyć? Albo wysadzić od wewnątrz z zawiasów?

– Nie – przyznaję. – Ale nie musimy korzystać z drzwi. Podaj mi rękę... łapę... no... jak zwał, tak zwał.

Robocika ogarnia wahanie.

– Czy zamierzasz nas może przenieść stąd za pomocą kwantowej teleportacji?

– To wy słyszeliście o tekowaniu? – dziwię się.

Mała figurka zwraca się ku nieruchomemu krabowi, którego pancerz sięga sporo ponad moją głowę.

– Jesteś w stanie zabrać nas obu?

Tym razem to ja się waham.

– Nie wiem. Raczej nie. Tak duża masa...

Hera jęczy i wije się u naszych stóp. To znaczy u moich stóp i tych nieznacznie przypominających ludzkie nogi, dolnych kończyn Mahnmuta.

– Daj rękę – ponaglę. – Trafisz w bezpieczne miejsce, z dala od Olimpu. Najpierw przeniosę cię, a potem wrócę po twojego przyjaciela.

Robocik cofa się o krok.

– Zanim się zdecyduję, muszę mieć pewność, że zdołamy uratować i Orphu.

W korytarzu rozlegają się podniesione głosy. Czyżby już mnie szukali? Pewnie tak. A czy Afrodyta umożliwiła reszcie bóstw dostrzeżenie istot ukrytych pod Hełmem Hadesa? Może po prostu rozproszyli się i na chybił trafił przeszukują Dwór Bogów w poszukiwaniu niewidzialnego śmiertelnika? Hera przekręca się na bok, z jej ust wyrывa się zbolące westchnienie. Nadal gwałtownie mruga, lecz zdecydowanie odzyskuje przytomność.

– Niech cię cholera – mruczę i ściągam płaszcz z ramion. Odpinam od pancerza lewitacyjną uprząż. – Poświeć mi tu, proszę.

Hmm, czy do robota należy mówić „proszę”? Z drugiej strony, ten cały Mahnmut nie powiedział, że jest robotem, tylko morawcem. Cokolwiek to znaczy.

Pojedyncze paski upręży są stanowczo zbyt krótkie, bym mógł opasać zwalistego kraba, lecz spletam ze sobą wszystkie trzy elementy i mocuję klamry do pęknięć w skorupie. Nieborak Orphu wygląda, jakby od lat służył terrorystom za tarczę na strzelnicy. Metaliczny korpus pokrywają niezliczone, wystrzępione na brzegach otwory.

– No dobrze – stwierdzam wreszcie. – Przekonajmy się, czy to coś da – mówię i włączam uprząż.

Wielotonowy zapewne krab kołysze się, stuka krawędziami o marmurową posadzkę, po czym unosi się nad nią i zamiera na wysokości dziesięciu cali.

– A teraz sprawdzimy, czy z tak okazałym ładunkiem poradzi sobie mój

medalion – podejmuję, chociaż nie sędzę, by Mahmmut zrozumiał. Wręczam mu paralizator. – Jeżeli krowa drgnie przed moim powrotem, lub jeżeli ktokolwiek wejdzie przez drzwi, wyceluj i naciśnij tutaj. Powstrzymasz przynajmniej jednego napastnika.

– Prawdę mówiąc – odpowiada Mahmmut – muszę jeszcze odebrać dwie rzeczy, które nam ukradli. Wydaje mi się, że bardziej bym skorzystał, gdybyś dał mi to zapewniające niewidzialność urządzenie. Czy jest jakaś szansa, że zechcesz mi go użyczyć? – Oddaje mi paralizator.

– Kurde – mruczę pod nosem.

Głosy rozlegają się tuż za drzwiami. Rozluźniam pancerz, ściągam skórzany hełm i podaję go robotowi. Czy gadżet Hadesa zadziała na maszynę? I czy powinienem go uprzedzić, że Afrodyta i tak będzie w stanie go zobaczyć? Nie, na wyjaśnienia brakuje już czasu.

– Gdzie mam cię szukać po powrocie?

– Teleportuj się w ciągu najbliższej godziny na bliższy brzeg kalderowego jeziora. – odpowiada robot. – Sam cię tam znajdę.

Drzwi stają otworem. Mahmmut znika.

Kiedy uciekałem z Nightenhelserem i Patroklosem, wystarczyło, że ich obu dotknąłem, a pole tekujące ogarnęło całą naszą trójkę. Oczywiście bezwładnego Patroklosa mocno przycisnąłem do siebie ramieniem. Teraz przywieram całym ciałem do pancerza Orphu i zarzucam na niego wyciągnięte jak najdalej ramię. Wyobrażam sobie cel podróży i przekręcam obwódkę medalionu.

Pod nogami mam piasek. W oczy rażą mnie jaskrawe promienie słońca. Masywny Orphu teleportował się wraz ze mną i lewituje dziesięć cali nad ziemią. To dobrze, ponieważ wylądował tuż nad niewielkimi skałkami. Nie wydaje mi się, by można się teleportować do wnętrza fizycznego obiektu, ale cieszę się, że nie musieliśmy tego sprawdzać akurat dzisiaj.

Przeniosłem się na plażę w obozie Agamemnona, lecz o tak późnej godzinie poranka między namiotami nie ma praktycznie nikogo. Słońce zalewa brzeg kolumnami światła przebijającymi się przez sunące po niebie burzowe chmury. W ich blasku jaśnieją kolorowe namioty, widać długie czarne okręty, a także achajskich strażników, którzy aż podskakują, zdumieni naszym nagłym

przybyciem. Bitewny zgiełk rozlega się kilkaset metrów od obozu. Staje się jasne, że obie armie wciąż zmagają się za linią greckich umocnień. Być może Achilles powiódł Argiwów do kontrataku.

– Tę muszlę uświęcili bogowie! – wołam do wartowników, którzy przyklękli i opuścili ku mnie swe włócznie. – Każdego, kto jej dotknie, spotka pewna śmierć. Gdzie jest Achilles? Był tutaj?

– A kto pyta? – rzuca ostro najwyższy i najbardziej włochoaty z wojowników. Podnosi włócznie.

Z trudem rozpoznaję w nim Guneusa, wodza Enienów i Perebian z Dodony. Szkoda mi czasu na roztrząsanie, dlatego stoi akurat na straży obozowiska.

Powalam Guneusa uderzeniem paralizatora i zwracam się do jego zastępcy, krzywonogiego sierżanta.

– Może ty zechcesz mi wskazać drogę do Achillesa?

Wojownik wbija drzewce włóczni w piach, pada na jedno kolano i na moment skłania przede mną głowę. Pozostali wartownicy, po chwili wahania, idą za jego przykładem.

Ponownie pytam, gdzie jest Achilles.

– Przez cały poranek boski Achilles chodził po plaży, budził śpiących Achajów i ostrymi krzykami zagrzewał do walki dowódców – opowiada sierżant. – Następnie wyzwał na pojedynek Atrydów i pokonał ich obu. Teraz zwołał spotkanie najwyższych wodzów i radzą nad wojennymi planami.

Niektórzy mówią, że chce zaatakować sam Olimp.

– Zaprowadźcie mnie do niego – rozkazuję.

Kiedy wojownicy wyprowadzają mnie poza obóz, zerkam jeszcze na skorupę Orphu z ło. Wciąż unosi się nad piaskiem, pozostali strażnicy z respektem trzymają się od niego na dystans.

Wybucham głośnym śmiechem.

Niewysoki sierżant spogląda na mnie pytająco, lecz niczego mu nie tłumaczę. Chodzi o to, że po raz pierwszy od dziewięciu lat kroczę przez równinę Ilionu w swoim własnym ciele, nie pod cudzą postacią, a jako Thomas Hockenberry. Niesamowite uczucie.

# 43

## *Pierścień równikowy*

Tuż zanim znaleźli konserwatornię, Daeman zaczął narzekać na dręczący go głód. I faktycznie umierał z wycieńczenia. Jeszcze nigdy nie musiał tak długo obywać się bez posiłku. Ostatnim, co zjadł, było te kilka nędznych kęsów batona. Prawie dziesięć godzin wcześniej.

– Przecież gdzieś w tym mieście musi być coś do jedzenia – marudził.

Trójka wędrowców sunęła w powietrzu przez wymarłe, orbitalne osiedle. Świecące w suficie szklane panele ustąpiły zwykłemu, przezroczystem szybom, za którymi widzieli obracającą się z wolna, usianą postludzkiemi budowlami asteroidę. Weszła też Ziemia, szybowała nad horyzontem, a bijący od niej blask oświetlał puste wnętrza, unoszące się swobodnie martwe ciała, zasuszone rośliny i kołyszące się łagodnie wodorosty.

– No, naprawdę. Muszą mieć tu jakieś jedzenie – powtórzył chłopak. – Choćby konserwy, coś suszonego... Cokolwiek.

– Jeżeli nawet, będą to zapasy sprzed setek lat – zauważyła Savi. – Zmumifikowane tak samo jak postludzie.

– Gdybyśmy znaleźli serwitory, na pewno by nas nakarmiły – rzucił Daeman i natychmiast zorientował się, że palnął głupotę.

Harman i staruszka nie uraczyli go odpowiedzią. Wlecieli na niewielką polankę pośród zdziczałych wodorostów. W tej okolicy atmosfera wydawała się nieco bardziej gęsta, aczkolwiek Daeman nie zdjął termoskóry ani osmotycznej maski. Nawet mając ją na twarzy czuł paskudny smród mroźnego powietrza.

– Jeżeli znajdziemy jakiś portal – odezwał się Harman – po prostu

faksujemy się do domu.

Niebieski kombinezon podkreślał muskulaturę mężczyzny, lecz Daeman spostrzegł również widoczne pod maską załężki zmarszczek wokół jego podkrążonych oczu. Towarzysz wyglądał znacznie starzej niż jeszcze dzień wcześniej.

– Nie jestem pewna, czy są tutaj portale – odparła Savi. – Zresztą, nawet gdybym mogła, nie faksowałabym się z powrotem.

Harman obrzucił ją zdziwionym spojrzeniem. W jednym ze szklanych paneli ponownie pojawiła się Ziemia i miękka poświata planety załała ich twarze.

– Sądzisz, że będziemy mieli jakiś wybór? Sama powiedziałaś, że krzesła zaniosą nas tylko w jedną stronę.

Przewodniczka rozciągnęła usta w uśmiechu.

– W bazach danych sieci faksów nie ma już mojego kodu. A jeżeli nawet, został tylko po to, by dało się mnie wykasować. Obawiam się też, że od chwili gdy wojniksy nakryły nas w Jerozolimie, to samo może dotyczyć i was. Co więcej, jeżeli nawet wasze dane wciąż są ważne i udałoby się nam jakimś cudem znaleźć działające urządzenie faksowe, bo tutaj zwykłych portali nie będzie, a ja zostanę i odeślę was do domu, to i tak nie wierzę, że się uda.

Harman westchnął.

– W takim razie musimy wymyślić coś innego. – Rozejrzał się po ciemnym mieście, powiódł wzrokiem po zamrożonych zwłokach i połączeniach falujących wodorostów. – Wiesz, Savi? Nie tak wyobrażałem sobie pierścienie.

– Wiem – przyznała staruszka. – Wszyscy je sobie inaczej wyobrażaliśmy. Nawet za moich czasów uważaliśmy te tysiące światełek na nocnym niebie za dowód, że w orbitalnych miastach wciąż mieszkają miliony postludzi.

– Jak sądzisz, ile było takich miast? – zaciekawiał się Harman. – Poza tym?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Może jeszcze jedno w pierścieniu biegunowym. A może w ogóle żadnego. Zaczynam podejrzewać, że kiedy postludzi spotkał holokaust, było ich najwyżej kilka tysięcy.

– W takim razie, czym były te wszystkie maszyny i urządzenia, które mijaliśmy po drodze? – zapytał Daeman. Wcale nie był zainteresowany odpowiedzią, ale chciał zająć czymś myśli i zapomnieć o burczącym brzuchu.

– Zapewne rodzaj akceleratorów cząstek – wyjaśniła staruszka. – Postludzie mieli prawdziwą obsesję na punkcie podróży w czasie. Tysiące takich wielkich akceleratorów wytwarzały tysiące maleńkich tuneli czasoprzestrzennych, które postludzie wzmacniali i stabilizowali. To te wirujące kule, które pewnie zauważyłeś na czubkach większości akceleratorów.

– A te potężne zwierciadła? – dopytał mężczyzna.

– Efekt Casimira – powiedziała Savi. – Lustra kierują ujemną energię w głąb tuneli czasoprzestrzennych, by nie zapadły się w siebie i nie zmieniły w czarne dziury. Dysponując stabilnymi tunelami, postludzie mogli przez nie podróżować do dowolnego punktu czasoprzestrzeni, w którym został uprzednio zainstalowany odbiornik.

– Na przykład do innych układów gwiazdnych? – spytał Harman.

– Raczej nie. Moim zdaniem postludzie nigdy nie wysyłali sond poza nasz układ. Co prawda na długo przed moim urodzeniem rozesłali na kresy Układu Słonecznego inteligentne, zdolne do kierowania własną ewolucją roboty. Potrzebowali ich do eksploatacji złóż mineralnych na asteroidach, ale statków międzygwiazdnych nie konstruowali. Ani załogowych, ani automatycznych.

– Czyli dokąd podróżowali tymi swoimi tunelami? – zdziwił się Harman.

Savi wzruszyła ramionami.

– Myślę, że ich badania w dziedzinie kwantów...

– Cholera jasna! – przerwał jej krzyk Daemana. Chłopak miał serdecznie dosyć tej bezsensownej gadaniny. – Jestem głodny! Muszę coś zjeść!

– Poczekaj – rzucił Harman. – Tam coś jest! – Wyciągnął palec przed siebie.

– Konserwatornia – stwierdziła Savi.

\* \* \*

Nie pomyliła się. Coraz bardziej wyczerpani wędrowcy przepłynęli, wymachując nogami, jeszcze pół mili wśród zalanego bladym światłem, wymarłego miasta, które przypominało podwodne ruiny. Przestali już zwracać uwagę na fruujące dokoła, zszarzałe mumie postludzi. W końcu ujrzeli



wyraźnie. Prostopadłościan z przejrzystego plastiku był zamontowany na jednej ze świecących ścian, mniej więcej trzysta stóp nad nimi. Wewnątrz, na przestrzeni setek metrów, ciągnęły się rzędy znajomo wyglądających zbiorników leczniczych, w których spoczywały nagie ludzkie ciała.

Krzętały się przy nich serwitory. Widząc znajome kształty, Daeman niemal zapłakał. Wszystko było zalane sterylnym, szpitalnym światłem.

– Zaczekajcie... – wydyszał chłopak.

Wiosłując rękoma i nogami popłynęli wzdłuż ściany przez rozrzedzone, toksyczne powietrze.

Pomagali sobie, odbijając się od słupków, tarasów, martwych drzew i wszystkiego, co tylko dawało oparcie. Daeman opadał z sił. Nigdy dotąd nie napracował się tak ciężko.

Savi, chociaż wyraźnie spieszo jej było wzbić się ku świetlistemu wejściu konserwatorni, zawróciła i podleciała do zdyszanego chłopaka. Harman intensywnie wpatrywał się w przezroczyste ściany konserwatorni, wyglądał jakby dręczyło go palące pragnienie.

Staruszka podała Daemanowi butelkę. Bez wahania, nie czekając na pozwolenie, wypił resztkę wody. Zaschło mu w gardle i był koszmarnie wycieńczony.

– Obiecałem Adzie, że zabiorę ją ze sobą – odezwał się półgłosem Harman. Popatrzyli na niego. – Byłem przekonany, że znajdziemy statek kosmiczny. – Zmieszany, wzruszył ramionami. – Obiecałem, że przelecimy po drodze przez Ardis i ją zgarniemy.

– Przecież i tak była na ciebie wściekła – zauważył Daeman pomiędzy kolejnymi haustami powietrza. Miał wrażenie, że osmotyczna maska przepuszcza stanowczo za mało powietrza.

– To prawda – przyznał Harman.

Savi odepchnęła od siebie pokąsane, szare zwłoki, które wychynęły spod kęp wodorostów.

Zmrożone, bielejące oczy spojrzały na nich z wyrzutem.

– Szczerze wątpię, że Ada byłaby zadowolona, gdyby się tutaj z nami znalazła – stwierdziła.

Wskazała w stronę konserwatorni. – Ale ty, Harmanie, powinieneś się

cieszyć. W końcu od dawna właśnie tego pragnąłeś, prawda? Chciałeś dotrzeć do konserwatorni i wyblagać kilka dodatkowych lat życia?

– Można to ująć i tak – zgodził się Harman.

Staruszka skinęła głową w stronę martwego ciała.

– Coś mi jednak podpowiada, że nie z postludźmi będziesz musiał negocjować.

– Myślisz, że konserwatornia działa automatycznie? – zapytał mężczyzna. – Że od kilkuset lat pracują tu wyłącznie serwitory? Konserwują sprzęt, faksują nas z Ziemi i regenerują przez wyznaczone pięć Dwudziestek, byśmy mogli dożyć końca swego nędznego, marnego życia?

– Myślę, że trzeba tam pójść i się przekonać – skwitowała przewodniczka.

Do jasnego, przezroczystego prostopadłościanu dostali się, przeciskając się przez białe kwadratowe drzwi z półprzepuszczalnego materiału, przypominające prowadzącą do miasta służbę.

Rzeczywiście trafili do najprawdziwszej konserwatorni. Jasne pomieszczenie nie tylko było wypełnione powietrzem, ale panowało w nim również ciśnienie, równe być może jednej dziesiątej ziemskiego. Kiedy Daeman znalazł się w środku, natychmiast upadł, zaskoczony siłą grawitacji.

Stanął na czworakach. Ta nagła zmiana, w dodatku do krzepiącej obecności serwitorów i przerażenia wywołanego ponowną wizytą w konserwatorni, tak niedługo po przygodzie z allozaurem, sprawiła, że kolana odmówiły mu posłuszeństwa i podniósł się dopiero po chwili.

Savi i Harman zaczęli krążyć między zbiornikami. Staruszka zsunęła z nosa maskę i odetchnęła na próbę.

– Zbyt rozrzedzone – oceniła. – Co gorsza, koszmarnie śmierdzi. – Jej głos zabrzmiał dziwnie piskliwie. – Ta śladowa atmosfera jest tu zapewne do czegoś potrzebna, ale oddychać się nią nie da. Zostańcie w maskach.

Daemanowi nie trzeba było powtarzać; maski nawet nie dotknął.

Serwitory, zajęte pracą przy licznych wirtualnych pulpitych, całkowicie ignorowały ludzi.

Przejrzyste rurki i przewody dostarczały do zbiorników i wyprowadzały z nich dwie ciecze, czerwoną i zieloną. Harman zaglądał do każdej z długich na dziesięć stóp krytych wanien.

Skojarzyły mu się z sarkofagami. Zamknięte wewnątrz ciała wydawały się niemal idealne, lecz z drugiej strony nie do końca rozwinięte. Miały zbyt miękką i oślizłą skórę. Czaszki i okolice łonowe były pozbawione owłosienia, bezbarwne jeszcze oczy patrzyły ślepo. Tylko kilka zanurzonych w płynie ciał zbliżało się do końca procesu – z twarzy tych nielicznych pacjentów wyzierały gałki o już kolorowych tęczęwkach, wciąż były mętne, lecz zdradzały pierwsze przebłyski inteligencji.

Daeman szedł na końcu. Od zbiorników trzymał się z daleka. Przyglądając się tym protoludziom, przypominał sobie mgliste obrazy sprzed kilku dni, kiedy sam trafił do jednego z takich sarkofagów.

Wzdrygnął się, zrobił krok w tył i wpadł na jakiś blat. Szybujący obok serwitorka nie zareagował na gwałtowny ruch, po prostu chłopaka wyminął.

– Ich oprogramowanie ewidentnie nie przewiduje kontaktów z ludźmi przebywającymi poza zbiornikami – zauważyła Savi. – Z drugiej strony, gdybyśmy im uporczywie przeszkadzali, mogłyby spróbować się nas pozbyć.

Nagle na jednej z kadzi zamigotało zielone światełko. Wewnątrz spoczywało w pełni zrekonstruowane ciało młodej dziewczyny o niebieskich oczach i rudych włosach na głowie

kroczy. Płyn wewnątrz zaczął gwałtownie bulgotać. Mgnienie później kobiety już nie było. Po kilku sekundach w zbiorniku zmaterializował się nowy pacjent – błądy mężczyzna z martwym, matowym spojrzeniem i ziejącą w czole raną.

– Czyli w każdym z tych sarkofagów jest portal! – zawołał Daeman. Niemal natychmiast uświadomił sobie, że to przecież oczywiste. Właśnie w ten sposób ludzie trafiali do konserwatorni po każdej skończonej Dwudziestce lub gdy doznawali poważnych obrażeń. I kiedy ginęli. – Możemy z nich skorzystać – dodał.

– Mogłoby się wam udać – odparła Savi, nisko pochylona nad jedną z kadzi – a może i nie.

Skuteczność faksowania zależy od kodu konkretnego ciała w zbiorniku. Urządzenie mogłoby was nie rozpoznać i po prostu... usunąć.

Pojemnik ze świeżym ciałem wypełnił się barwnymi płynami. Z jednego z bocznych otworów w sarkofagu wypłynęły ławice maleńkich, niebieskich

robaków, które po krótkiej chwili otoczyły zwłoki. Zaczęły się wwiercać w uszkodzoną czaszkę. Wpełzały też pod białą, opuchniętą skórę.

– I co? Nadal chcesz się tam kłaść? – Savi spojrzała na Harmana.

Mężczyzna podrapał się po podbródku, zmrużył oczy i powiódł spojrzeniem ponad rzędami jasno oświetlonych sarkofagów.

– Jezu Chryste! – rzucił nagle i wskazał coś ręką.

Trójka wędrowców ruszyła powoli, na pół lecąc, na pół idąc w słabym, lecz wyraźnie obecnym ciężeniu. Daeman nie dowierzał własnym oczom.

Po tej stronie konserwatorni mniej więcej jedna trzecia zbiorników była co prawda wypełniona płynem, lecz brakowało w nich ciał. Zwłoki za to – tudzież ich kawałki – leżały rozrzucone wszędzie dokoła: na posadzce, na stołach, na pulpitych kontrolnych, na obudowach wyłączonych serwitorów. W pierwszej chwili Daeman uznał – miał wielką nadzieję – że widzą po prostu zmumifikowane szczątki postludzi. Nadzieja okazała się płonna. Nie były to mumie ani trupy postludzi.

W konserwatorni ktoś urządził sobie szwedzki stół.

Tuż przed nimi, na długim blacie, były rozłożone świeże ludzkie organy wewnętrzne – białe, różowe, czerwone, wilgotne, ociekające krwią. Ujrzeni kilkanaście niedawno wyciągniętych z sarkofagów i wypatroszonych, wciąż jeszcze mokrych, zwłok mężczyzn i kobiet – pozbawiono je wnętrzości. Krwawe żebra były częściowo ogryzione. Pod stołem walała się ludzka głowa.

Błękitne oczy wpatrywały się przed siebie z zastygłym wyrazem przerażenia na widok tego czegoś lub kogoś, kto zaczął pożerać ich ciała. Tyłem do stołu stał wysoki obrotowy fotel, przed którym piętrzył się niewysoki stos poszarpanych zębami, ludzkich dłoni.

Zanim ktokolwiek zdołał wypowiedzieć choć słowo, fotel się obrócił. W pierwszej chwili Daeman uznał, że spoczywa na nim jeszcze jedno martwe ciało, lecz to ciało było zielonkawe, nienaruszone i najzupełniej żywe. Zamrugwały żółte ślepie. Drgnęły nieproporcjonalnie wydłużone przedramiona, rozcapierzyły się uzbrojone w długie szpony palce. Gadzi jęzor oblizwał długie kły.

– Mniemałeś, że jestem taki jak ty? – odezwał się stwór; chłopak domyślił

się, że ma przed sobą prawdziwego Kalibana. – Otóż pomyliłeś się.

Savi i Harman chwycili Daemana i mocno odepchnęli się nogami od podłoża. Chłopak zaczął wrzeszczeć, dokładnie tak samo jak wcześniej na krześle. Przelecieli całą długość konserwatorni, nie próbując nawet wyhamować, wbili się w białą ściankę drzwi i przeniknęli na drugą stronę.

Ledwie znaleźli się na zewnątrz, w lodowatej próżni miasta, poczuli, że termoskóry szczelniej opasują ich ciała. Z całych sił odbili się od przezroczystej ściany i poszybowali w dół liczącej sobie trzysta stóp przepaści.

Gdy znaleźli się już sześćdziesiąt stóp nad powierzchnią miasta, zatrzymali się na platformie i uwolnili ręce Daemana. Chłopak zdążył w locie zauważyć, że unoszące się dokoła mumie mają na gardłach i brzuchach identyczne rany jak te, które widniały na ciałach ludzi pożartych w konserwatorni. Zrobiło mu się niedobrze i poczuł, że zaraz zwymiotuje prosto w maskę.

Dwójka towarzyszy znalazła podparcie dla stóp, wyskoczyli i popłynęli przed siebie w ciemność.

Chłopak desperackim ruchem zerwał maskę z twarzy i zwymiotował w rozrzedzone, cuchnące powietrze. Od razu poczuł ból bębenków, oczy zaczęły wychodzić mu z orbit, lecz zdążył nałożyć maskę z powrotem. Czując fetor żółci i własnego strachu, machnął nogami i pofrunął za Savi i Harmanem. Jednakże wcale nie chciał uciekać. Miał ochotę zwinąć się, skulić w ciasną kulkę i ponownie zwymiotować. Nawet jednak on rozumiał, że nie ma wyboru. Dziko wiosłując ramionami, obejrzał się przez ramię, w kierunku jaśniejszej za nim konserwatorni. Byle dalej od niej. Płynął, biegł i wierzgał, by ocalić życie.

\* \* \*

Kaliban dopadł ich w najciemniejszym zakamarku miasta, gdzie dziko rosnące wodorosty kołysały się ospale do rytmu nadawanego przez siebie Coriolisa wywoływaną powolnymi obrotami asteroidy.

Wszystkie otaczające ich ściany wykonane były z przejrzystych szyb, za którymi co kilka minut pojawiała się upstrzona białymi chmurami Ziemia.

Kiedy znikła, w oknach widać było tylko lodowato płonące gwiazdy i ciemność. Kaliban nadszedł właśnie w ciemności.

Trójka wędrowców skuliła się w mroku.

– Widzieliście może, czy wyszedł z konserwatorni? – szepnęła zdyszana Savi.

– Nie.

– Kiedy uciekaliśmy, w ogóle na nic nie patrzyłem – odparł cicho zmęczony Harman.

– Czy to był jeden z kalibanów? – zapytał Daeman i uświadomił sobie, że po policzkach spływają mu łzy. Nawet nie spróbował ich ukryć. Zadał to pytanie, by uchwycić się resztek nadziei.

– Nie – odpowiedziała staruszka tonem, który odebrał mu wszelki optymizm. – To był Kaliban.

Kaliban we własnej osobie.

– A te ciała... – zaczął Harman. – Czy to ludzie, którzy dobiegli Piątej Dwudziestki?

– Widziałam wśród nich też młodsze zwłoki – wyszeptała przewodniczka. Z pistoletem w dłoni obracała się na wszystkie strony, wpatrzona w ciemność pomiędzy pasmami falujących wodorostów.

– Być może ten potwór dawniej pożerał tylko najstarszych – zasugerował półgłosem Harman. – Tylko potem się rozzuchwalił. Zaczął się niecierpliwie. Zgłodniał.

– Jezu Chryste, Jezu Chryste, Jezu Chryste – powtarzał Daeman. Bezwiednie, nie znając znaczenia słów, recytował najstarszą modlitwę ludzkości. Ze strachu szczekał zębami.

– Nadal jesteś głodny? – spytała staruszka. Być może uznała, że dawka czarnego humoru nieco chłopaka uspokoi. – Bo ja nie.

– A ja i owszem. – Głos Kalibana rozległ się w słuchawkach termosków. Potwór wypłynął spomiędzy zarośli, zarzucił na trójkę wędrowców sieć, wytrącił Savi broń z dłoni i pociągnął ich za sobą niczym wyłowione z wody ryby.

*Olympus Mons*

Nie mając w zasięgu nadajnika przyjaciela, Mahnmur czuł się dziwnie. Miał wielką nadzieję, że Orphu nie spotkało nic złego.

Bogowie wpadli do magazynu sekundę po tym, jak człowiek – który nie raczył się nawet przedstawić – teleportował się na zewnątrz. Co prawda, Mahnmur nie wierzył w niewidzialność – poza tą, jaką zapewnia porządna powłoka maskująca – lecz bóstwa, które wypełniły tłumnie pomieszczenie i przyklęły wokół Hery, rzeczywiście go nie zobaczyły. Morawiec przemknął się pomiędzy opalonymi łydkami i połami białych szat i ruszył przez labirynt korytarzy. Dokonał przy tym odkrycia, że chodzenie na dwóch nogach, kiedy jest się niewidzialnym, jest sztuką niełatwą.

Raz po raz zerkał w dół, by sprawdzić, gdzie stawia stopy, lecz tych po prostu nie było. Po chwili opadł na czworaki i potruczał dalej.

Ponieważ bogowie niosący Orphu do celi mieli po drodze wiele kłopotów z nieporęcznym ładunkiem, Mahnmur zdążył się zorientować, gdzie ukryli nadajnik i Urządzenie. Pomieszczenie znajdowało się w jednym z bocznych korytarzy, kilka zakrętów od ich więzienia.

Gdy dotarł na miejsce, korytarz okazał się pusty – aczkolwiek w sąsiednich przejściach i na pobliskich skrzyżowaniach bogowie pojawiali się dość często. Mahnmur włączył swój niskoenergetyczny laser w przegubie i zaczął rozcinać drzwi. Wkrótce uświadomił sobie, że widok, jaki zastałby bóg, który zabłądziłby do tego korytarza, byłby dość niecodzienny – dwudziestocentymetrowy czerwony promień unoszący się w powietrzu i wypalający okrągły otwór w mechanizmie zamka.

Laser Mahnmuta nie mógł przebić wrót skarbcza na wylot, lecz wyciął zgrabne, pięciocentymetrowej średnicy kółko nad zamkiem. Czuły słuch morawca pozwolił mu ocenić, kiedy zapadki ustąpiły, i zaraz potem drzwi uchyliły się do wewnątrz. Mahnmut wszedł i zamknął je za sobą. Ledwie kilka sekund później, w wiodącym do pomieszczenia korytarzu rozległy się spieszne kroki. Poszli dalej. Morawiec zdjął skórzany Hełm Hadesa, by wreszcie zobaczyć swoje ręce i nogi.

Wnętrze znacznie różniło się od pustej celi, do której wtrącono go wcześniej. Pomieszczenie było głębokie na przynajmniej dwieście metrów, powała wisiała mniej więcej sto metrów nad jego głową i cała ta przestrzeń została wypełniona sztabami złota, wysokimi górami monet, kuframi klejnotów, stertami połyskujących błyskotek z brązu, marmurowymi posągami bogów i ludzi, wielkimi muszlami, z których wysypywały się na gładką posadzkę mlecznobiałe perły, rozmontowanymi rydwanami ze szczerego złota, szklanymi kolumnami pełnymi lapis-lazuli i setkami innych kosztowności, skrzących się w blasku węgla żarzących się na dziesiątkach złotych trójnogów.

Mahnmut nie zwrócił na bogactwa większej uwagi. Podbiegł prosto do nadajnika i Urządzenia.

W porównaniu z resztą skarbów oba przedmioty wyglądały niepozornie. Nie miał możliwości wynieść ich na zewnątrz. Nawet niewidzialność nie mogła się na wiele zdać, gdyby poszukujący go bogowie ujrzeli w korytarzu samodzielnie szybujące aparaty. Wiedział, że musi działać szybko.

Odsunął więc Urządzenie na bok, znalazł na obudowie nadajnika właściwe gniazdo, podłączył się i uruchomił sprzęt standardowym sygnałem o niskim napięciu.

Prymitywna sztuczna inteligencja aparatu przyjęła polecenie i nanowęglowa powłoka opadła na podłogę, odsłaniając skomplikowane mechanizmy. Mahnmut cofnął się, a nadajnik z iście akrobatycznym wdziękiem przekoziółkował naprzód, rozprostował trzy nogi statywu, rozłożył wysięgniki z Czewkowowską *felschenmass* i na koniec rozwinął ośmiometrowej średnicy okrągłą antenę z metalowej siatki. Morawiec ucieszył się w duchu, że nie uruchomił urządzenia w mniejszym pomieszczeniu.

Skarbiec jednak, choć przestronny, podobnie jak cela nie posiadał okien.



Poza tym, bardzo możliwe, że znajdował się pod powierzchnią, pod tonami marmuru, granitu i innych marsjańskich skał, które mogły skutecznie uniemożliwić transmisję. Nawet gdyby, to nad głową nie było gwiazd, według których mogłaby zorientować się antena. Talerz obracał się raz po raz z cichym szmerem silniczków. Mahnmur obserwował bezowocne próby urządzenia z narastającym niepokojem – nie tylko dlatego, że w korytarzach coraz częściej rozlegały się gniewne wołania. W końcu skarbiec będzie jednym z pierwszych miejsc, gdzie bogowie zaczną szukać zbiegów – być może nawet teleportują się tu bezpośrednio – zaraz gdy tylko się upewnią, że Hera żyje. Jeżeli nadajnik nie zdoła zaraz namierzyć celu, misja Mahnmura i Orphu dobiegnie w zasadzie końca. W tej chwili wszystko zależało już tylko od stopnia wyrafinowania sprzętu.

Okręga antena zakołysała się, obróciła, dopasowując po raz ostatni pozycję, i zamarła uniesiona w stosunku do podłoża na mniej więcej siedemdziesiąt stopni. Obok gniazd nadajnika pojawił się wirtualny panel z kontrolkami i przełącznikami. Zajaśniały zielone lampki.

Mahnmur podłączył się i przerzucił do nadajnika całą dotyczącą wyprawy zawartość swych banków pamięci – każdą przeprowadzoną z Orphu rozmowę, wszystkie strzępki dialogów z Korosem III, Ri Po i bóstwami, wszystkie obrazy i filmy, jakie zarejestrował od dnia opuszczenia układu Jowisza. Przesyłał te dane za pomocą szerokopasmowego kabla, więc procedura zajęła mu niecałe piętnaście sekund.

Czujniki Mahnmura odebrały wzrastające w nadajniku natężenie pola energetycznego, wytwarzanego przez zawartą w wysięgnikach antymaterię. Nie mógł mieć pewności, czy nie wykryją tego również bogowie. Mało istotne, przecież, tak czy inaczej, znajdą go już za kilka minut lub nawet wcześniej. I tak nie mógł Urządzenia wynieść poza skarbiec, o wielkim gmachu nie wspominając. Mógł je uruchomić od razu lub później. W obu przypadkach znajdzie się w samym centrum wydarzeń.

Niemniej to nie nad Urządzeniem powinien się teraz zastanawiać. Skarcił się w duchu. Nadajnik był znacznie ważniejszy.

Niezliczone kontrolki zajaśniały zielenią, wskazując, że sprzęt jest już w pełni naładowany, dane zostały odpowiednio zakodowane, a cel transmisji

– okołojowiszowa przestrzeń lub nawet Europa – zlokalizowany. Taką przynajmniej miał nadzieję.

Wtem ktoś załomotał do drzwi.

Dlaczego po prostu się po mnie nie teleportują? – przemknęło morawcowi przez myśl, ale nie zaczął problemu rozważać głębiej. Zamienił dłonie na metalowe wtyczki, znalazł stosowne gniazdo i wysłał do urządzenia aktywującą przekaz komendę o napięciu trzydziestu dwóch woltów.

Z talerza wystrzelił żółty, szeroki na osiem metrów promień. Kolumna czystej energii wypaliła dziurę w powale i przebiła się przez trzy kolejne piętra, aż wreszcie pomknęła ku gwiazdom. Zaraz potem zgasła, a sam nadajnik uległ cichej autodestrukcji, zmieniając się w grudę stopionego metalu.

Mimo że awaryjne filtry polaryzacyjne w soczewkach Mahnmuta zareagowały już po kilku nanosekundach, i tak na krótki moment oślepl. Kiedy po chwili podniósł wzrok i spojrzał przez ukośne, dymiące na brzegach dziury wypalone w kolejnych poziomach budowli, ujrzał niebo i po raz pierwszy ośmielił się poczuć nadzieję.

Bogowie wysadzili drzwi i skarbiec zasnuły kłęby dymu i pary.

Morawiec skrzętnie skorzystał z tej ulotnej zasłony. Złapał Urządzenie – na Ziemi ważyłoby około dziesięciu kilogramów, w słabszym ciężeniu Marsa było trzykrotnie lżejsze – kucnął, ścisnął z całych sił sprężyny w tylnych kończynach, ignorując przy tym zalecenia eksploatacyjne własnych projektantów, po czym wyskoczył ku górze przez wybity w marmurze i granicie piętnastometrowy tunel o ścianach ociekających stopioną skałą.

W tej części Dworu Bogów dach był płaski i Mahnmur popędził po nim tak szybko jak tylko mógł na dwóch nogach. Ucieczka na otwartą przestrzeń dodała mu siłę, uskrzydliła go. Urządzenie przyciskał lewą ręką do korpusu.

Na niebieskim niebie ponad wierzchołkiem Olympus Mons roily się dziesiątki powożonych przez bóstwa rydwanów. Jedna z maszyn zakręciła, obniżyła lot i pomknęła dziesięć metrów nad dachem, z oczywistym zamiarem zmiążdżenia robota kołami. Mahnmur zbyt późno uświadomił sobie, że zapomniał założyć Hełm Hadesa. Ścigający bogowie mieli go jak na talerzu.

Korzystając z niemal całej pozostałej mu energii – uznał, że o uzupełnieniu

jej zasobów pomyśli nieco później – Mahnmut spiął kończyny i skoczył raz jeszcze. Przeleciał przez ciała holograficznych rumaków i kopnął zaskoczoną boginię prosto w pierś. Zatoczyła się w tył i wypadła z rydwanu.

Przez chwilę wymachiwała jeszcze alabastrowymi ramionami w powietrzu, po czym ciężko runęła na twarde dach Dworu Bogów.

Mahnmut strawił trzy dziesiąte sekundy na badanie wyświetlonego ponad relingiem wirtualnego pulpitu sterowniczego, po czym chwycił manipulatorami za stery i mocno przechylił pojazd na prawą burtę. Sunące w pościgu, pilotowane przez pokrzykujących bogów rydwany nadlatywały ze wszystkich stron. Zawracały, nurkowały i wzbijały się wyżej, by odciąć zbiegowi drogę ucieczki.

Mahnmut nie miał szans uciec z Mons Olympus w powietrzu, lecz wcale nie planował odlatywać.

Moment później niebezpiecznie zbliżyło się do niego pięć wrogich rydwanów. W powietrzu zaświstały chmury tytanowych strzał – naprawdę strzelali z łuków! Mahnmut wyleciał nad taflę olbrzymiego jeziora w kalderze. Chwycił Urządzenie i wyskoczył dokładnie w momencie, gdy jego pojazd trafiła pierwsza z wypuszczonych przez Apolla strzał. Maszyna eksplodowała ledwie kilka metrów nad nim. Mahnmut spadał do wody otoczony kroplami topiącego się w locie złota i płonącymi akumulatorami. Tuż zanim uderzył w taflę, lunął deszcz układów scalonych. Sonar wskazał, że kaldera ma głębokość ponad dwóch kilometrów.

Może i wystarczy, pomyślał morawiec. Przebił powierzchnię, wysunął płetwy, mocniej przytulił do siebie Urządzenie i zanurkował.

# 45

## *Równina Ilionu, Ilion*

Doskonale wiem, że powinienem od razu wrócić po małego robota, i wcale nie czuję się świetnie, zwlekając, ale mam tu pełne ręce roboty.

Strażnicy prowadzą mnie do Achillesa. Heros wkłada właśnie pancerz i szykuje się do boju w otoczeniu wodzów, których armie otrzymał w schedzie po Agamemnonie. Dokoła czekają Odyseusz, Diomedes, sędziwy Nestor, obaj Ajaksowie-ta sama załoga co zwykle. Brakuje tylko Atrydów – Agamemnona i Menelaosa. Czy Ares rzeczywiście wykrzyczał na Olimpie prawdę? Czy to możliwe, by Achilles zgładził króla Agamemnona, pozbawiając tym samym jego żonę, Klitajmestrę, okazji do dokonania krwawej zemsty i odbierając temat setkom przyszłych dramatopisarzy? Czyżby Kasandra zdołała cudem uniknąć swego żałosnego losu?

– W imię Hadesa, kimże jesteś? – warczy mężobójca, szybkoconogi Achilles, gdy z sierżantem docieramy wreszcie do celu.

Ponownie uświadamiam sobie, że Grecy widzą po prostu Thomasa Hockenberry'ego, faceta o wątłych, przygarbionych ramionach, zarośniętego i uwalanego brudem, pozbawionego płaszcza, miecza i uprząży lewitacyjnej. Achilles ma przed sobą niechlujnego piechocińca w zmatowiałym, brązowym napierśniku.

– Jestem człowiekiem, którego przybycie zapowiedziała ci matka, bogini Tetyda. To ja mam cię poprowadzić do Hektora, a potem ku zwycięstwu nad boskimi zabójcami Patroklosa – odpowiadam.

Słyszac te słowa, wszyscy zebrani herosi i oficerowie cofają się o krok. Naturalnie, o śmierci Patroklosa Achilles musiał im powiedzieć, lecz być

może nie zdradził jeszcze zamiaru wypowiedzenia wojny Olimpijczykom.

Mężobójca czym prędzej odciąga mnie na stronę, z dala od kręgu czujnie nasłuchujących, strudzonych wojowników.

– Skąd mam mieć pewność, że to właśnie ciebie zwiastowały słowa mej matki? – dopytuje młody półbóg. Mam wrażenie, że od wczoraj wyraźnie się postarzał, świeże oblicze młodzieńca w ciągu jednej nocy przecięły nowe zmarszczki.

– Dowiodę tego, wskazując ci drogę do celu – tłumaczę.

– Na Olimp? – W oczach Achillesa pojawia się niezbyt zdrowy błysk.

– W swoim czasie i tam – zapewniam szeptem. – Zgodnie ze słowami Tetydy, musisz przedtem zawrzeć pokój z Hektorem i przekonać go, by poparł twą sprawę.

Achilles krzywi się i spluwa na piach.

– Dzisiaj nie jestem w stanie rozmawiać o pokoju. Dzisiaj trzeba mi wojny. Walki i krwi bogów.

– By wystąpić zbrojnie przeciw nim, musisz najpierw zakończyć ten jałowy konflikt z bohaterską Troją – przekonuję.

Achilles odwraca się i wskazuje palcem odległy front. Spostrzegam sunące ponad fosą achajskie proporce, zmierzające do miejsca, gdzie jeszcze noc wcześniej obozowali obrońcy Ilionu.

– Przecież widzisz, że jesteśmy górą! – woła Achilles. – Dlaczego mam prosić Hektora o pokój, skoro już za kilka godzin mogę go wybebeszyć swą włócznią?

– Postąpisz, jak zechcesz, synu Peleusa. – Wzruszam ramionami. – Ja zostałem tu zesłany, żeby pomóc ci pomścić śmierć Patroklosa i odzyskać jego ciało oraz wyprawić mu należyty pogrzeb.

Skoro twą wolą jest coś innego, muszę się pożegnać. – Odwracam się do Greka plecami i ruszam przed siebie.

Achilles dopada mnie, przewraca na piasek i dobywa noża tak błyskawicznie, że nie zdążyłbym wyciągnąć paralizatora nawet gdyby od tego zależało moje życie. Co gorsza, może rzeczywiście zależy, gdyż ostry jak brzytwa sztylet muska mi krtań.

– Masz czelność mnie znieważać?

Odpowiadam bardzo cicho i spokojnie, by nie zaciąć skóry na gardle.

– Nie ubliżyłem nikomu, Achillesie. Zostałem przysłany, by pomóc ci pomścić Patroklosa. Jeżeli takie właśnie jest twoje życzenie, zrobisz co powiem.

Achilles świdruje mnie przez dłuższą chwilę wzrokiem, po czym wstaje, wsuwa sztylet do pochwy i pomaga mi dźwignąć się na nogi. Odyseusz wraz z pozostałymi dowódcami obserwują nas bez słowa. Stoją trzydzieści stóp dalej i zapewne zżera ich piekielna ciekawość.

– Jak cię zwa? – pyta Achilles.

– Hockenberry – przedstawiam się, otrzepując piasek z tyłka, po czym pocieram szyję w miejscu, którego dotykała klinga. – Syn Duane'a – dodaję, by uczynić zadość miejscowym obyczajom.

– Niecodzienne to imię – mamroce mężobójca – lecz żyjemy w niezwykłych czasach. Witaj Hockenberry, synu Duane'a. – Wyciąga dłoń i ściska moje przedramię tak mocno, że odcina mi krążenie.

Na ile mogę, staram się ów gest odwzajemnić.

Achilles zwraca się z powrotem ku oficerom i adiutantom.

– Odziewam się właśnie w bitewny strój, synu Duane'a. Kiedy skończę, udam się z tobą choćby i w otchłań Hadesu.

– Na początek poprzestańmy na Ilionie – sugeruję.

– Pójdź, poznasz mych towarzyszy i generałów, którzy trafili pod moją komendę po klęsce Agamemnona. – Prowadzi mnie w kierunku Odyseusza i reszty.

– Czy Agamemnon nie żyje? I Menelaos? – pytam.

Achilles kręci głową z pośępnym spojrzeniem.

– Nie, nie zabiłem Atrydów, mimo że dzisiejszego ranka pokonałem ich obu w pojedynkach.

Jednego po drugim. Są obici i poranieni, lecz to wszystko powierzchowne obrażenia. Dogląda ich uzdrowiciel Asklepios. W zamian za darowanie życia przyrzekli mi posłuszeństwo, lecz ja im nie dowierzam. Nie zaufam im już nigdy.

Następnie mężobójca przedstawia mnie Odyseuszowi i pozostałym herosom, których potajemnie obserwowałem od dziewięciu lat z okładem.

Wszyscy kolejno ściskają moje przedramię i kiedy powitał mnie ostatni ze starszych oficerów, palce i nadgarstek mam całkowicie zdrętwiałe.

– Boski Achillesie – odzywa się Odyseusz. – Dzisiejszego ranka zostałeś naszym królem i przysięgaliśmy ci wierność. Wiesz, że w razie potrzeby pójdziemy za tobą nawet i na sam Olimp, by odbić ciało naszego druha Patroklosa, porwane przez zdradziecką Atenę. Uczynimy to, mimo że postępek bogini ledwie mieści się w naszych głowach. Trzeba ci jednak wiedzieć, że twoi wojownicy i generałowie są głodni. Achajowie muszą napęłnić żołądki. Od świtu walczą z Trojanami, spali niewiele bądź zgoła wcale i odpędzili siły Hektora spod naszych czarnych okrętów, z dala od szanca i umocnień. W tej chwili wszak dręczy ich głód, doskwiera im znużenie.

Poleć Taltybiosowi przyrzadzić pieczeń z dzika dla dowódców. Wycofaj wojowników. Pozwól im się najeść i...

Achilles bez mała naskakuje na syna Laertesą.

– Mówisz mi o jedzeniu? Postradałeś rozum, Odyseuszu? Nie pragnę dziś pokarmu, lecz rzezi.

Chcę krwi oraz płaczu, jęków umierających ludzi i mordowanych bogów.

Odyseusz nieznacznie skłania głowę.

– Achillesie, synu Peleusa, najznamienitszy wśród Achajów. Jesteś ode mnie silniejszy i dalece przewyższasz mnie w sztuce władania włócznią, lecz możliwe, że przerastam cię mądrością, gdyż dodają mi jej długie lata doświadczenia i wprawa w rozstrzyganiu niełatwych kwestii. Otwórz swe serce na moją radę, nasz nowy władco. Nie pozwól, by twoi lojalni Achajowie, Argiowowie i Danajowie szturmowali mury Ilionu z pustymi brzuchami. Co ważniejsze, nie wszczynaj wojny z Olimpijczykami, mając pod sobą wygłodzoną armię.

Achilles zastanawia się.

Odyseusz dostrzega szansę na wygłoszenie argumentu rozstrzygającego.

– Nie chcesz chyba, Achillesie, by twoi herosi, ci mężowie co do jednego gotowi polec w walce o pomszczenie Patroklosa, ginęli z głodu miast z rąk nieśmiertelnych bóstw?

Achilles składa na ramieniu Odyseusza mocarną dłoń i po raz kolejny uświadamiam sobie, że mężobójca znacznie przerasta przysadzistego stratega.

– Odyseuszu, doradco mój roztropny – zaczyna młody król – przekaz Tałtybiosowi, by poderżnął gardziel najbardziej dorodnemu dzikowi i zawiesił go na rożnie nad największym ogniem, jaki twoi ludzie zdołają rozniecić. Następnie zabijcie tyle zwierząt, ile tylko zdołają pochłonąć achajscy wojownicy. Przygotowaniem i przebiegiem uczty pokierują moi wierni Myrmidonowie. Dopilnuj jednak, by nikt tego dnia nie składał ofiary bogom. Nie wazcie się rzucać w płomienie pierwszych kąsków. Dzisiaj bóstwa otrzymają od nas jedynie groty włóczni i ostrza mieczy. Dla odmiany posmakują wyłącznie ochłapów.

Mężobójca rozgląda się i dodaje donośnie, by usłyszeli go wszyscy obecni oficerowie.

– Nasyćcie się, przyjaciele. Nestorze! Niech twoi synowie, Antilochus i Trazymedes, przekażą wiadomość o uczcie walczącym. Niech zabiorą ze sobą Megesa, syna Fyleusa, Merionesa i Toasa, Likoedesa, syna Kreona, oraz Melanippusa. Dzisiejszego dnia w południe żaden achajski wojownik nie powinien obyc się bez wina i mięsiwa! Ja sam wdzieję tymczasem pancerz i oddalę się wraz z Hockenberrym, synem Duane'a, by przygotować się do nadchodzącej wojny z Olimpijczykami.

Achilles odwraca się na pięcie i wchodzi do namiotu, w którym szykował się, kiedy dotarłem do obozowiska. Przywołuje mnie skinieniem.

Czekając, by nowy król się odział i przysposobił do walki, przypominam sobie wszystkie chwile, gdy Susan, moja żona, stroiła się i malowała przed przyjęciami, na które zwykle docieraliśmy spóźnieni. W tego rodzaju sytuacjach ponaganie nie zdaje się na nic – można jedynie wykazać się cierpliwością.

Mimo wszystko raz po raz sprawdzam godzinę, zastanawiając się nad losem małego robota, którego zostawiłem na Olimpie – miał na imię Mahnmut. Zastanawiam się, czy bogowie już go zniszczyli, czy go zabili. Z drugiej strony sam przecież oświadczył, że mogę wrócić nad jezioro w dowolnym momencie następnej godziny. To znaczy, że wciąż jeszcze mam ponad trzydzieści minut.

Tylko w jaki sposób mam się przenieść na Olimp bez żadnej ochrony, bez Hełmu Hadesa?

Wiedziony odruchem oddałem go robotowi, a teraz mogę tę impulsywną



decyzję przyplacić życiem. Teraz może mnie zobaczyć dowolne z bóstw. Oczywiście, powtarzam sobie w duchu, Afrodyta zdołałaby mnie wysledzić nawet gdyby hełm został przy mnie. Muszę się tam po prostu tekować, szybko odszukać Mahnmuta i czym prędzej zniknąć. W tej chwili najbardziej liczy się jednak to, co dzieje się tutaj i w Ilionie.

A tutaj dzieje się tyle, że Achilles wciąż się ubiera.

Zauważam, iż mężobójca odziewa się, zgrzytając przy tym zębami. Oczywiście, nie tyle odziewa się sam, ile pozwala się odziewać sługom, niewolnikom i adiutantom. Nie wyobrażam sobie, by nawet najbardziej pedantyczny ze średniowiecznych rycerzy obchodził się ze swoim rynsztunkiem z tak odświętną pieczołowitością, jak czyni to dzisiaj Achilles, syn Peleusa.

Najpierw wsuwa na nogi pięknie rzeźbione nagolenniki, które kojarzą mi się z ochraniaczami, jakie nosiłem w szkolnej drużynie baseballa. Te jednak nie zostały wykonane z taniego plastiku.

Heros przywdziewa prawdziwe arcydzieła z brązu, spinane na kostkach kunsztownymi srebrnymi kłaniami.

Następnie zakłada na szeroki tors napierśnik i przerzuca sobie przez ramię pochwę z mieczem.

Niezwykle ostra klinga tej broni również została wykuta z brązu i wypolerowana tak doskonale, że mogłaby posłużyć za lustro. Rękojeść miecza jest inkrustowana srebrnymi guzami. Podejrzewam, że zdołałbym to ostrze ewentualnie dźwignąć, gdybym przykucnął i chwycił ją oburącz. Tak podejrzewam.

Przychodzi czas na wielką, okrągłą tarczę. Ów przerośnięty puklerz składa się z dwóch warstw brązu i dwóch warstw cyny – metalu bardzo rzadkiego w tych czasach – rozdzielonych warstwą złota. To właśnie tej, gładkiej i skrzęcej się tarczy Homer poświęcił całą księgę „Iliady”. Stała się tak słynna, że inspirowała również wielu późniejszych poetów. Przypomina mi się ukochany wiersz Roberta Gravesa. Co najdziwniejsze, oglądana na żywo tarcza ani trochę nie rozczarowuje. Niech wystarczy że powiem, iż pokrywające ją, ułożone w koncentryczne kręgi grawerunki przedstawiają motywy z całej duchowej spuścizny antycznej Grecji. Na zewnętrznym

pierścieniu widzimy rzekę Okeanos, a potem, w kierunku środka, pojawiają się kolejno Miasto Pokoju i Miasto Wojny, prowadzące do kulminacji w postaci centralnie umieszczonych wyobrażeń Ziemi, morza, Słońca, Księżycy i gwiazd. Tarcza została wypolerowana przez rzemieślników tak doskonale, że nawet w półmroku namiotu błyszczy niczym szklana kula heliografu.

Na samym końcu Achilles sięga po noszący ślady wielu bojów hełm i wsuwa go sobie na głowę.

W myśl legendy kitę z końskiego włosa osadził na nim osobiście bóg ognia, Hefajstos. Podobnie zdobione hełmy nosili bowiem nie tylko Trojanie, lecz także Achajowie. Opisy nie kłamały również w tym, że te złociste włosy na szczycie hełmu lśnią przy każdym ruchu jak żywe płomienie.

Achilles, któremu do pełni rynsztunku brakuje już tylko włóczni, podskakuje w miejscu niczym rozgrywający drużyny futbolu amerykańskiego, sprawdza, czy wszystkie paski zostały należycie związane i dopięte. Mężobójca obraca się na pięcie, testując kłamry nagolenników i napierśnika.

Chce mieć pewność, że trzymają solidnie i nie krępują przy tym swobody ruchów. Będzie przecież musiał wykonywać uniki, zwroty, a także z łatwością manewrować włócznią. Potem przebiega kawałek, zwracając uwagę na sznurówki sandałów i umocowanie hełmu. Kiedy stwierdza, że wszystko leży jak trzeba, unosi tarczę, sięga na plecy i dobywa miecza. Wykonuje te ruchy tak płynnie, jakby powtarzał je codziennie od urodzenia.

Wreszcie klinga wraca do pochwy.

– Jestem gotów, Hockenberry-oznajmia mężobójca.

Oficerowie odprowadzają nas na plażę, gdzie zostawiłem Orphu. Strażnicy nawet na krok nie zbliżyli się do skorupy, która nadal unosi się nad piaskiem na mojej lewitacyjnej uprzęży.

Postanawiam ten ostatni fakt wykorzystać i dać skromny pokaz magicznej mocy. Chcę wzbudzić podziw Odyseusza, Diomedesa i reszty. Odrobina szacunku nikomu nie może zaszkodzić. Poza tym, zdaję sobie sprawę, że większość Achajów, którzy nie są tak zaślepieni gniewem jak Achilles, wcale nie jest zachwycona myślą o wystąpieniu przeciwko nieśmiertelnym bogom, których czcili i poważali odkąd tylko nauczyli się myśleć. Teoretycznie

wszystko co pomoże skonsolidować władzę, jaką nad tą armią sprawuje Achilles, przysłuży się również mnie.

– Chwyć mnie za ramię, synu Peleusa – mówię cicho. Kiedy Achilles spełnia prośbę, przekręcam obrzeże medalionu i znikamy.

Helena przykazała mi spotkać się z Trojankami w domu Hektora, w przedsionku dziecięcego pokoju Skamandriosa. Znam już to miejsce, więc wyobrażam je sobie bez trudu. Do pustego pomieszczenia przybywamy o kilka minut za wcześnie – zmiana warty na murach Ilionu odbędzie się dopiero za cztery czy pięć minut. Za oknem widać centrum Troi. Gwar ulicy – stukot zaprzęzonych w woły wózków, tętent końskich kopyt, dolatujące z targowiska okrzyki, szmer tysięcy par sandałów na bruku – wszystkie te swojskie odgłosy tworzą przyjemnie kojące tło.

Achilles nie wygląda na zaskoczonego zjawiskiem kwantowej teleportacji. No tak. Dociera do mnie, że życie tego młodzieńca pełne było przejawów boskiej magii. W końcu jego wychowawcą i nauczycielem był, do cholery, centaur. Mając świadomość że znalazł się w paszczy Iwa, reaguje, po prostu składając dłoń na rękojeści miecza, którego jednak nie dobywa. Obrzuca mnie pytającym spojrzeniem, jakby chciał zapytać „Co teraz?”.

Zatem teraz zza drzwi dziecięcego pokoju dobiega nas przeraźliwy, zboląły okrzyk. Poznaję ten głos, to Hektor, aczkolwiek jeszcze nigdy nie słyszałem, by aż tak zawodził. Płaczą również uskarżające się kobiety. I znów woła Hektor, jakby zdjęty przedśmiertnym bólem.

Nie czuję specjalnej ochoty, by zajrzeć za te drzwi, lecz decyzję podejmuje za mnie Achilles.

Z dłonią zaciśniętą na rękojeści wysuniętego do połowy miecza wchodzi do środka. Idę za nim.

Od razu spostrzegam, że są tutaj wszystkie moje Trojanki – Helena, Hekuba, Teano i Andromacha. Kiedy wchodzimy, nie zaszczycają nas nawet jednym spojrzeniem. Oczywiście jest i Hektor, zakuty w przykurzony i zachlpany krwią pancerz, lecz i on nie podnosi wzroku na swego największego wroga. Achilles przystaje i spogląda tam, gdzie patrzą wszyscy obecni.

Ręcznej roboty, rzeźbiona kołyska leży na boku. Pokrywają ją krwawe smugi, spływające na marmurową posadzkę i plamiące moskitierę. Ciało

małego Skamandriosa, z czułością nazywanego Astianaktem, dziecka niespełna rocznego, leży na podłodze. Porąbane na małe kawałki. Brakuje mu głowy. Także ręce i nogi zostały odcięte od korpusu. Jedna pulchna dłoń trzyma się co prawda ramienia, lecz druga leży obok, ucięta w nadgarstku. Becik malca, z delikatnie wyhaftowanym na piersi wzorem rodowego herbu Hektora, jest przesiąknięty krwią. Tuż obok spoczywa ciało mamki.

Tej samej, którą widziałem na miejskim murze, a potem – poprzedniej nocy – spokojnie śpiącą w tym samym pokoju. Mam wrażenie, że sponiewierał ją wielki, dziki kot. Wyzute z życia ramiona nadal próbują sięgnąć kołyski, jakby chciała ochronić niemowlę.

Służące nieustannie łkają i zawodzą. Nie zważając na nie, odzywa się Andromacha, której głos jest co prawda przytłumiony, lecz tchnie zarazem przeraźliwym spokojem.

– Mój panie i mężu, tej zbrodni dopuściły się dwie boginie. Afrodyta i Atena.

Hektor unosi głowę. Jego częściowo skryta pod hełmem twarz wygląda jak maska uosabiająca groźbę i strach. Szeroko otwarte oczy wojownika są okolone czerwonymi obwódkami.

– Atena? Afrodyta? Jak to możliwe? – Rozdziawia usta, z których kapie ślina.

– Przyszłam tu ledwie godzinę temu i usłyszałam ich rozmowę z niańką – odpowiada Andromacha. – Pallas Atena osobiście stwierdziła, że Zeus domaga się ofiary z naszego ukochanego Skamandriosa. Co gorsza, użyła sformułowania „roczne cielątko na rzeź”. Próbowałam tłumaczyć, płakałam i błagałam, lecz Afrodyta zmusiła mnie do milczenia. Przypomniała, że woli Gromowładnego nie należy się sprzeciwiać. Dodała, że bogowie nie są zadowoleni z dotychczasowego przebiegu wojny i z tego, że nie zdołałeś ubiegłej nocy podpalić czarnych okrętów. Ta ofiara miała być dla nas przestrogą. – Wskazuje leżące na posadzce zwłoki chłopczyka.

– Posłałam za tobą najbardziej chyżych niewolników. Mieli sprowadzić ciebie i moje przyjaciółki, które teraz tu widzisz. Chciałam, by dodały mi sił przed twoim powrotem. Mężu kochany, potem nie wchodziłyśmy tutaj już ani razu. Czekałyśmy na ciebie.

Hektor wiecie po nas śmiertelnie wstrząśniętym spojrzeniem, lecz po milczącym Achillesie wzrok Trojanina tylko się prześlizguje. Wydaje mi się, że w tej chwili nie dostrzegłby nawet gotującej się do ataku kobry. Nadal widzi tylko ciało Skamandriosa – bezgłowe, zalane krwią, tę samotną zaciśniętą piąstkę. Wreszcie dobywa ze ściśniętego gardła kilka słów.

– Andromacho, ukochana małżonko, dlaczego nie leżysz martwa u boku niańki, dlaczego nie próbowałaś ocalić naszego dziecka przed gniewem nieśmiertelnych bogiń?

Andromacha zwiesza głowę, targa nią bezgłośny szloch.

– Atena zatrzymała mnie w drzwiach, wzbroniła mi wstępu niewidzialną ścianą. Dopiero potem boginie zrobiły, co chciały.

Łzy kobiety rosą jej dekolt. Zauważam, że w miejscach, do których tuliła do siebie zwłoki martwego dziecka, czerwienią się krwawe plamy. Oczywiście w tej chwili nie ma to znaczenia, ale przypominam sobie telewizyjne ujęcia Jackie Kennedy z tamtego pamiętnego listopadowego dnia, gdy byłem jeszcze nastolatkiem.

Hektor nawet nie drgnie. Nie próbuje żony przytulić, nie pociesza jej. Służki zawodzą coraz bardziej przenikliwie, lecz trojański książę milczy jeszcze przez chwilę. Wreszcie unosi zryte bliznami, umięśnione ramię, zaciska potężną pięść i wykrzykuje pod niebo.

– Wypieram się was, bogowie! Od tej chwili, Ateno, Afrodyto i Zeusie, wy wszyscy bogowie, którym dotąd służyłem, jesteście moimi wrogami! – Wygraża zamkniętą dłonią.

– Hektorze... – odzywa się Achilles.

Zwracają się ku niemu twarze wszystkich obecnych. Przerażone niewolnice głośno zawodzą.

Helena unosi rękę do ust, ze znawstwem i wprawą udaje zaskoczenie. Hekuba krzyczy wniebogłosy.

Hektor sięga po miecz, uwalnia klingę z pochwy i na jego obliczu maluje się coś bliskiego uldze.

Niemal widzę jego myśli: „Oto ktoś, na kim wyładuję wściekłość. To jego zabiję”. Wszystko to widać w jednym spojrzeniu księcia.

Achilles unosi bezbronne dłonie.

– Hektorze, mój bracie w żałobie. Przybywam tu dzisiaj, by z tobą współczuć i wspomóc cię w słusznej walce.

Hektor już spinał się do skoku, lecz widząc brak reakcji Greka, kamienieje i spogląda niepewnie.

– Zeszłej nocy-ciągnie Achilles, nie opuszczając pokrytych pęcherzami rąk  
– Pallas Atena pojawiła się w mym namiocie, w obozie Myrmidonów i zamordowała najdroższego z moich przyjaciół. Zabiła Patroklosa, którego ciało uprowadziła na Olimp, by tam rzucić je sępom na pożarcie.

– Widziałeś to na własne oczy? – pyta Hektor, nie zdejmując dłoni z rękojeści miecza.

– Rozmawiałem z nią. Wszystko odbyło się przy mnie – mówi Achilles. – To ona jest winna.

Zgładziła Patroklosa tak samo, jak zrobiła to z twoim dzieckiem. I podała ten sam powód. Sama mi o tym powiedziała.

Hektor spogląda na swój miecz, jakby to broń go zdradziła.

Achilles występuje naprzód. Garstka kobiet rozstępuje się przed nim jak morze. Achajski mężobójca wyciąga prawicę, jego palce bez mała muskają czubek hektorowego miecza.

– Szlachetny Hektorze, mój wrogu i skrwawiony jak ja bracie – odzywa się półgłosem. – Czy staniesz u mego boku w tej nowej wojnie, którą musimy stoczyć, by pomścić bliskich naszym sercom?

Hektor wypuszcza broń z dłoni. Brązowa klinga brzęczy dźwięcznie na marmurowej posadzce, rękojeść zastyga w kałuży krwi Skamandriosa. Trojanin nie jest w stanie wydusić z siebie choć słowa. Rusza naprzód, niemal agresywnie, lecz tylko ściska przedramię Achillesa, bardzo mocno, i

nie wypuszcza go, jakby się bał upaść. Podejrzewam, że moją rękę urwałyby bez problemu.

Przyznaję, że przez cały czas obserwuję ukradkiem Andromachę. Kobieta szłocha bezgłośnie.

Pozostałe Trojanki patrzą z niedowierzaniem, zdumione.

Ty to zrobiłaś? – zwracam się w myślach do żony Hektora. Zamordowałaś własne dziecko, by wojna potoczyła się wedle twojej myśli?

Zdjęty odrazą cofam się przed nią o krok, lecz wtedy przychodzi mi do

głowy myśl, że innego wyjścia nie było. Nie miała wyboru. Potem jednak spoglądam na rozsiezione ciało Astianakta „Władcy miasta”, zabitego Skamandriosa i wykonuję jeszcze jeden krok w tył. Pewne jest jedno: nawet gdybym żył tysiąc lat, dziesięć tysięcy, nigdy tych ludzi nie zrozumieć.



Dokładnie w tej samej chwili, w dziecięcym pokoju materializują się Olimpijczycy. Atena, w towarzystwie mej Muzy i Apolla.



– Co się tu dzieje? – rzuca Pallas Atena. Wysoka na dwa i pół metra bogini tchnie arogancją, widać ją w postawie i spojrzeniu, słysząc w tonie głosu.

Muza wskazuje mnie palcem.

– To on! Tam jest! – woła.

Apollo napina cięciwę srebrnego łuku.

*Pierścień równikowy*

Ukryte pośród starych kanałów i systemów utylizacyjnych miasta leże Kalibana było ciemne, wilgotne i ciepłe. Panującą w grocie tropikalną temperaturę zapewniał rozkład organicznej materii, wśród której uwijały się niewielkie istoty, dogląające rosnących na torfie, rozłożystych roślin.

Kaliban przebił cienką, lodową powłokę, przepłynął przez poprowadzoną w skale asteroidy rurę i wynurzył się w swym długim i wąskim legowisku. Zawiesił sieć z jeńcami na haku i rozciął ją, po czym ustawił trójkę oszołomionych, niestawiających oporu ludzi na skałach, sterczących z bulgocącego bajora. Wyciągnął się na brzuchu na porośniętej paprociami, omszałej rurze, spuścił łapy w ciepłe błoto i podparłszy głowę na wielkich, zaciśniętych pięściach, powiódł wzrokiem po twarzach Savi, Harmana i Daemana.

Kiedy potwór ich schwytał, chłopak nie zapanował nad zwieraczami. Popuścił. Termoskóra wchłonęła płyn i wyschła niemal natychmiast. Po moczu nie został nawet najmniejszy ślad, lecz Daeman rumienił się na samo wspomnienie.

Jaskinia Kalibana była wypełniona powietrzem, co więcej panowało w niej większe ciśnienie niż w reszcie miasta. Potwór zerwał z ich twarzy osmotyczne maski tak szybko, tak raptownie wymachując uzbrojonymi w pazury ramionami, że żaden z wędrowców nie zdążył zareagować.

Stali na oślizłych kolumnach, ponad śmierzącym bagnistym oczkiem. W powietrzu unosił się swąd odchodów i zgnilizny. Kaliban jednak oddychał nim jak najśłodszymi perfumami. Od czasu do czasu szczyrzył się wyzywająco

w ich stronę. Prowokował. Już po chwili wyzbyli się wątpliwości. Panujący w pieczarze rybi swąd przynajmniej w części bił od tej przerażającej istoty.

Dotąd Daeman bał się kalibanów z Basenu Śródziemnego, lecz teraz zrozumiał, że tamte monstra są ledwie marnymi cieniami ohydy jaką przedstawiał sobą prawdziwy, oryginalny Kaliban. O ile tym właśnie stworem był. Nie przerastał ich rozmiarami, lecz jego kształty zdejmowały chłopaka odrazą, wszystkie te zęby, kły i poruszające się miękko niczym macki kończyny. Obrzydliwość. Na pierwszy rzut oka Kaliban wydawał się stworzeniem niezgrabnym, niemal nieporadnym, ale kiedy płynął w lodowatym, rozrzedzonym powietrzu wymarłego miasta, wykazał się niebywałą sprawnością błoniastych stóp i dłoni. Krępującą ich sieć trzymał w przerośniętych, ostrych zębach i od czasu do czasu łąpał oczami na szamocącą się trójkę wędrowców.

– Co chcesz z nami zrobić? – odezwała się Savi, gdy już stanęli na wynurzających się z podziemnego bagniska filarach. Spojrzała prosto w oczy obserwującego ich czujnie Kalibana.

Daeman zauważył, że staruszka trzyma w dłoni pistolet. Musiała go chwycić w ostatniej chwili.

Nie, nie celowała w napastnika. „Zastrzel go!” – wykrzyczał do niej w myślach. „Zabij ten koszmar!”.

Wyciągnięty wygodnie na skałach Kaliban leżał tak blisko, że wyraźnie czuli jego cuchnący, śmierdzący zgnilizną oddech.

– Burzy włosy i brodę – syknął. – Teraz spadł kwiat ze złotą pszczołą w środku, a teraz owoc, by wziąć go i pożreć.

– To jakiś wariat – szepnął przez radio Harman.

Kaliban się uśmiechnął.

– Mówi sobie, co ślina mu niesie, dotyka Boga, jak zwała Go matka. Bowiem mówienie o Nim drażni Go, ha! Skąd On ma wiedzieć! Teraz jest czas drażnić!

– O jakim Nim mówisz? – rzuciła staruszka. Jak na osobę uwięzioną w zamieszkaną przez bestię cuchnącej jaskini odezwała się bardzo spokojnie.

– Powiedz nam, Kalibanie? Chyba że to o sobie mówisz w trzeciej osobie?

– On to On – wyszeptał potwór i wygodniej rozparł się na wymoszczonym

mchami legowisku. – Niekiedy tylko bywa Setebosem.

Gdy wypowiedział to imię, padł płasko na rurę i nakrył głowę rękoma, jakby chcąc uchronić się przed ciosem. Niewielkie, pokryte łuskami stworzenie ześliznęło się z pluskiem z jego ciała do bajora. Z błocka podniosły się żółte opary.

– Kim jest Setebos? – zapytał Harman, starając się mówić równie spokojnie jak Savi. – Twoim panem? Przyrowadzisz go tutaj, byśmy mogli porozmawiać o swoim uwolnieniu? Chętnie z nim pomówimy.

Kaliban uniósł rękę, podrapał rurę wszystkimi kończynami i warknął tak głośno, że słowa poniosły się aż pod kamienny sufit grotu.

– Setebos, boski Setebos! On mieszka, myśli, w księżycowym chłodzie.

– Na Księżycu? – zdziwiła się Savi. – Twój Setebos mieszka na ziemskim Księżycu?

– Myśli, on zrobił księżyc i słońce do pary – wymamrotał potwór. – Ale nie gwiazdy, gwiazdy są skądinąd; wiatry, obłoki zrobił, meteory, także tę wyspę, to co na niej żyje, Wężowe morze dokoła wszystkiego.

– Co on pieprzy? – zapytał szeptem Daeman staruszkę. – Zwariował, prawda? Mówi jakby o jakimś bóstwie.

– Chyba faktycznie ma na myśli boga – odpowiedziała ściszone głosem Savi. – A w każdym razie istotę, którą za boga uważa.

– Kto lub co stworzyło tego potwora? Bo przecież nie Bóg – mruknął Daeman.

Kaliban zastrzygł niekształtnymi, prześwitującymi uszami.

– Sykoraks, myśli, moja matka, stworzyła mnie, śmiertelny kasek. Prospero, myśli, milczący sługa Ciszy, uczynił go sługą sługi. Myśli jednak, że Setebos, jak ośmiornica wieloramienny, straszny przez to, co czyni, wpierw patrzy w górę, widzi, że nie zrówna temu, co żyje cicho i szczęśliwie, ale ozdabia ten świat, małpuje prawdziwy, jak owoc róży małpuje winorośl.

– Ten świat, Kalibanie? Ten maleńki jak bombka świat? – upewniła się Savi. – Chodzi ci o miasto na asteroidzie? Tutaj na pierścieniu R?

Zamiast udzielić odpowiedzi, Kaliban spiął się niczym pokryty łuskami dziki kot i podpełzał bliżej.

Żółte ślepie wpatrywały się w nich drapieżnie z odległości kroku.

– Myśli, znają Prospera?

– Znam Ariela, osobowość biosfery – stwierdziła Savi. – To Ariel pozwolił nam wjechać do Atlantydy i przybyć tutaj. Wolno nam tu być. Zapytaj Ariela.

Kaliban parsknął śmiechem i odwrócił się na plecy. Z oślizłej rury nie zsunął się do cuchnącej wody jedynie dzięki szponom i błoniastym stopom.

– Wysoka czapła jest jego Arielem. Myśli, jako Prospero każe mu iść na ryby i tam przepaść.

Złowił morskiego, ciężkiego potwora, poskromił jakoś, wyłupił mu oczy, rozszczępił płetwy i trzyma kalekę w skalnej szczelinie i zwie... Kalibanem.

– Co on, do cholery, wygaduje? – rzucił Daeman do towarzyszy. – Ten stwór jest szalony. Zastrzel go, Savi. Strzelaj.

– Ja chyba... rozumiem – wyszeptał Harman. – Ten „on” z jego słów to Kaliban. Mówi o sobie w trzeciej osobie. Savi, ta twoja logosfera, Prospero, w jakiś sposób go uwięziła... I uczyniła to przy pomocy Ariela, uosobionej biosfery Ziemi.

– A Kaliban potem oślepił jakieś niewielkie morskie stworzenie, być może jaszczurkę podobną do tych, jakie żyją w tej mazi pod nami... i nazwał to zwierzę Kalibanem – dodała staruszka dziwnym tonem, nieobecny, niemal speszonym, jakby przeciągający się przed nimi żółtooki stwór zdołał ją w jakiś sposób zahipnotyzować. – Bawi się w swojego pana, Prospera – dokończyła półgłosem.

Kaliban ponownie się zaśmiał i podrapał po boku. Daeman zauważył pod jego pachami szare skrzela. Na przemian otwierały się i zamykały, niczym rozchylające się lubieżnie wargi.

– Podejrzał raz Prospera nad księgą, pana na wyspie, dumnie beztroskiego – syknął. – Uszył księgę z liści, podrażniony, wystrugał różdżkę i nadał jej imię, i włożył jako czarodziejską szatę wygarbowaną, miękką skórę rysia.

– Rysia?

– Savi, zastrzel go wreszcie – syknął Daeman. – Zabij go, zanim on zabije nas.

– Kalibanie... – Staruszka zwróciła się do potwora łagodnie jak do dziecka. – Co się stało z żyjącymi w tym mieście postludźmi?

Kaliban zaniósł się szlochem. Z pyska pociekł mu śluz.

– Setebos... – szepnął, ponownie spoglądając pod powagę pieczary, jakby się przestraszył, że ktoś może go podsłuchać. – Setebos kazał mi dać trzy nogi kukle w miejsce chorej, lub wyrwać zdrową, niech leży jak jajko. Czy to nie rozkosz, śmiertelniczko, polować na postów, pić wywar, by splukać smak ich ciał, jasnym, ożywionym mózgiem mieszając glinę i tłukąc ją? Tak On. Tak On!

– Mój Boże – westchnęła Savi i osunęła się na swój nierówny, szorstki filar. Sprawiała wrażenie, jakby zastanawiała się, czy nie skoczyć w toń odpychającego bajora.

– Co? – spytał szeptem Daeman. – O co chodzi?

– To Kaliban zabił postludzi – odpowiedziała ściszym głosem przewodniczka. W słabym świetle kanałów wydawała się jeszcze starsza niż zwykle. – Zrobił to na rozkaz tego Setebosa. A być może Prospera. Kaliban traktuje ich obu niczym bogów. Czci ich. Niewykluczone również, że w ogóle nie ma żadnego Setebosa, że to tylko rodzaj rytualnego określenia samego Prospera.

Monstrum przestało pociągać nosem i rozpromieniło się. Kąciki jego paszczy powędrowały ku górze.

– Myśli, to nie przesądza, czy jest zły, czy dobry, srogi czy czuły: jest silny i pański.

– Kto taki? – zapytała staruszka. – Masz na myśli Setebosa czy Prospera? Komu służysz, Kalibanie?

– On straszny jest, patrz na Jego wyczyny! Półroczną pracę psuje jedną burzą. Wiem, że nie lubi mnie.

– Ale kto cię nie lubi? – Harman zaczął się niecierpliwić.

Daeman stwierdził w duchu, że trzeba być szaleńcem, żeby próbować rozmawiać z tak obłąkaną istotą.

– Zastrzel go – wysyczał.

Savi uniosła lekko pistolet, lecz nie wymierzyła.

– Myśli, że posty zrobiły tunel czasoprzestrzenny – powiedział Kaliban. – Setebos sprowadził larwy, a Prospero z larw uczynił bogów. Setebos wykuł w kamieniu twarz Prospera i wysłał zeki, żeby go dobrze ulokowały. Moja matka twierdziła, że Cisza zrobiła wszystko, Setebos mógł tylko ją drażnić.

Lecz później, widzi, chciał, by słabość drażnić, kto ją tworzył. Jeśli nie, czemu oczu nie zrobił z rogu, jak u Kalibana, by żaden cień nie mógł ich przebić? Główną od śniegu skorupą nie przykrył, jak mojej, ciała nie nabił łuskami, jak ostre pancerze rekinów? Tak psuć Mu zabawę! On jest Jedyny, to On wszystko stwarza.

– Co to za jeden? Ten, o którym wciąż mówisz? – nacisnęła przewodniczką. Kaliban zrobił taką minę, jakby miał się ponownie rozpłakać.

– Mój ślepy potwór kocha tego, kto kładzie mu mięso na nosie. Setebosowi podoba się praca z wielkim wysiłkiem, wszystkimi rękami.

– Kalibanie – odparła Savi, znów zwróciła się do potwora jakby rozmawiała z małym dzieckiem – jesteśmy zmęczeni i chcemy wracać do domu. Czy mógłbyś nam w tym pomóc?

Dopiero teraz na pysku stwora odmalowało się coś innego niż skierowana do całego świata i siebie samego nienawiść.

– Tak, pani, Kaliban drogę zna i dobrze wam życzy. Ale znacie Go i nie możecie pokonać, pewni wyniku.

– Powiedz nam po prostu, jak... – zaczęła staruszka.

– Osądź to po sobie – przerwał jej Kaliban, z każdą chwilą bardziej ożywiony. Przykucnął na tylnych łapach, długie ramiona opadły mu swobodnie, wyrastające z knykci kolce drapały porastający rurę mech. – Oto zabawa: odkryć jak lub zginąć! Więc przypodobać Mu się? Jak Prospero? Niech wskaże sposób! Tego On nie robi!

– Kalibanie, jeżeli zabierzesz nas do domu, moglibyśmy... – Savi spróbowała ponownie. Lufa pistoletu powędrowała kilka centymetrów wyżej.

– Wszyscy muszą zginąć! – wykrzyknął Kaliban. Potwór spiął uda i mocniej przejechał pięściami po rurze. – Myśli, Prospero sprowadza tu przebiegłego Odyseusza, a Setebos każe mu błędzić.

Prospero nocą kieruje swoje krzyki ku Jowiszowi w niebiosach. Puści ludzie trafiają na Marsa, ale Setebos wszystko naprawia gniewem fałszywych bogów. Oto zabawa: odkryć jak lub zginąć!

Kaliban przeskoczył na skraj rury, objął ją nogami, opuścił się w dół i wygarnął z mazi albinotyczną jaszczurkę. Gad miał wyłupione ślepia.

– Savi... – rzucił Harman.

– Nic nie chce ginąć – jęknął Kaliban i zazgrzytał zębami. – Zwierzęta na wyspie kryją się w drzewach, uchodzą, nurkują, na Jego łasce. Te Mu dogadzają, kiedy... Nie próbuj dwa razy tak samo!

– Zabij go, Savi – powiedział Daeman donośnie, jego słowa odbiły się echem od ścian jaskini.

Stara kobieta przygryzła wargę, lecz uniosła broń.

– Patrz! Leży płasko i czci Setebosa! – Zaciśnął zęby poprzez górną wargę.

Kaliban uwolnił oślepioną jaszczurkę, która wskoczyła do bajora, lecz po drodze odbiła się jeszcze o kolumnę, na której stała przewodniczka.

– Patrz na Jego wyczyny! – warknął potwór i skoczył.

Savi pociągnęła za spust. Kilkaset kryształowych pocisków uderzyło w pierś Kalibana, rozdzierając ciało niczym papier. Stworzenie zaskowyczało, spadło na kamień obok Savi i oplotło ją nieproporcjonalnie długimi łapami. Jedno kłapięcie potężnych szczęk wystarczyło. Kaliban przegryzł jej kark, niemal odrywając głowę od ciała. Staruszka nie zdążyła nawet krzyknąć. Jej ciało zwiotczało w objęciach potwora. Pistolet wypadł z martwych palców i zniknął z pluskiem w bagnisku.

Broczący krwią Kaliban zadarł uwalany czerwienią pysk. Ponownie zawył i łypnął żółtymi ślepiami na ściany groty. Zaraz potem, ściskając zwłoki Savi pod pachą, zanurkował w bulgocącym ścieku.



*Dwór Ardis*

Ada zaczęła się poważnie martwić w dzień Pierwszej Dwudziestki Hanny, kiedy odwiozła przyjaciółkę do faksowężła i odprowadziła ją wzrokiem do pawilonu, w którym młodsza dziewczyna zniknęła wraz z dwoma serwitorami i wojniksem.

Troska o los Harmana zaczęła ją dręczyć już drugiego dnia po odlocie mężczyzny z Daemanem i Savi. Naturalnie, nie spodziewała się, że kochanek wróci prawdziwym statkiem kosmicznym i zgodnie z obietnicą zabierze ją na pierścienie. To była tylko dziecięca fantazja, której nawet sam Harman nie mógł traktować poważnie. Oczekiwała jednak, że sonik z trójką podróżników pojawi się z powrotem po dwóch, najwyżej trzech dniach. Czwartej doby niepokój przerodził się w gniew.

Kiedy od wyjazdu Harmana minął tydzień, dziewczyna ponownie zaczęła się obawiać-jeszcze nigdy w życiu nie czuła tak dojmującego, niedającego jej spokoju lęku. Nie mogła spać. Po dwóch tygodniach zupełnie już nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć.

Czternastego dnia rano, kiedy znajomi – a Dwór Ardis odwiedzały w tym okresie całe tabuny ludzi – również nie przynieśli żadnych wieści o zaginionej trójce, Ada kazała wojniksowi zawieźć się kabrioletem do portalu i po krótkim wahaniu – bo przecież faksowanie nie mogło jej wyrządzić krzywdy, prawda? – przeniosła się do Krateru Paryskiego i odwiedziła domicyl matki Daemana.

Ze strachu o syna kobieta odchodziła już od zmysłów. Owszem, chłopakowi zdarzało się całymi tygodniami balować, a na rok przed Pierwszą

Dwudziestką wybrał się na całomiesięczną wyprawę po nowe okazy motyli do kolekcji, lecz zawsze przysyłał wiadomości o planowanym terminie powrotu. Tym razem Daeman nie dał nawet jednego znaku życia już od dwóch tygodni.

– Nie, moim zdaniem nie mamy się czym martwić – pocieszyła ją Ada i poklepała po ramieniu. – Daemanem zaopiekuje się nasz przyjaciel Harman, a ta kobieta, Savi, nie pozwoli, by spotkało ich cokolwiek złego. – Te słowa z pewnością pomogły matce chłopaka, lecz sama dziewczyna bała się coraz bardziej.

Dzisiaj, dwa tygodnie po wizycie w Kraterze, wracała właśnie do domu. Stęskniła się już za Hanną, lecz oczekiwała jej powrotu ze spokojem. W konserwatorni przyjaciółki nie mogło spotkać nic złego. Pograżona w myślach jechała kabrioletem.

W ciągu ostatnich czterech tygodni Dwór Ardis przeżywał prawdziwy najazd. Z Krateru Paryskiego powróciła nocą, więc dzisiejsza przejażdżka była dla dziewczyny pierwszą od miesiąca okazją, by przyrzeć się swemu domowi z oddali. Zmiany były oszałamiające.

Starą, bielejącą na wzgórzu rezydencję otaczały dziesiątki wielobarwnych namiotów.

Przemawiającego na rozległej łące za domem Odyseusza słuchało początkowo dziesięciu, najwyżej dwudziestu gości naraz. Dziesiątki jednak zmieniły się w setki, a wreszcie w tysiące osób faksujących się z jego powodu do Ardis. Ada dysponowała tylko kilkunastoma kabrioletami i bryczkami, w dodatku pojazdy – podobnie jak dziwnie ospałe wojniksy – coraz częściej szwankowały wskutek przewożenia dniami i nocami niesłabnącego strumienia gości z portalu i z powrotem. Kilkoro pierwszych słuchaczy Odysa zgłosiło się na ochotnika i koczowali teraz przy pawilonie na zmianę, zachęcając przybywających, by mimo wszystko przebyli tę koszmarną odległość dwóch kilometrów piechotą. I goście godzili się spacerować. Kiedy wyjeżdżali, również wracali o własnych siłach, po to tylko, by po kilku dniach lub wręcz godzinach pojawić się z powrotem, w towarzystwie rzesz własnych znajomych. Najczęściej do Ardis przybywali mężczyźni.

Gdy bryczka Ady zatrzymała się na zatłoczonym podjeździe przed głównym gmachem Ardis, dziewczyna uświadomiła sobie, że jej dom stanowi ledwie

jeden z elementów rozrastającego się miasteczka. W namiotach – rozbiły je wojniksy, lecz opiekowali się nimi już sami ludzie – urządzono kuchnie, jadalnie, sypialnie i toalety. Odyseusz nauczył ich, że latrynę należy wykopać z dala od obozu. W pewnym momencie tego szaleństwa dziewczynę odwiedziła matka. Szybko poczuła się przytłoczona widokiem mas ludzi przybywających do dworu jak na targ, natychmiast faksowała się do własnego domicylu w Ułanbacie i już stamtąd nie wróciła.

Ada poczęstowała się chłodnym napojem, zaproponowanym jej przez jednego z mieszkających w Ardis na stałe wolontariuszy – młody chłopak miał na imię Reman i podobnie jak wielu słuchaczy zapuszczał właśnie brodę – i udała się na łąkę, gdzie Odyseusz pięć razy dziennie przemawiał i odpowiadał na pytania wciąż gęstniejących tłumów. Korciło ją, by przerwać aroganckiemu barbarzyńcy te bezsensowne wywody i zapytać na oczach wszystkich, dlaczego on, wielki Odyseusz nie pofatygował się nawet, by pożegnać młodą kobietę, która czciła go niemal jak boga.

Ubiegłej nocy, na przyjęciu z okazji Pierwszej Dwudziestki Hanny- obchodzono je zawsze na dzień przed kluczową datą, kiedy jubilat faksował się do konserwatorni – Odyseusz pojawił się tylko na moment. Ada wyraźnie widziała, że Hannah poczuła się mocno dotknięta. Młoda dziewczyna wciąż się w Odyseuszu durzyła, mimo że mężczyzna pozostawał wobec niej obojętny.

Odkąd wrócili ze swej eskapady, Hannah nie odstępowała Odysa na krok, lecz on w zasadzie jej nie zauważał. Kiedy wzgardził gościnnością Ady i zbudował sobie obozowisko w lesie, Hannah próbowała tam z nim zamieszkać, lecz barbarzyńca uparł się, że powinna nocować we dworze.

Hannah towarzyszyła mu całymi dniami, gdy biegał, ćwiczył i potem jeszcze, kiedy urządzał zapaśnicze pojedynki ze swymi uczniami. Ona również biegała, pokonywała ścieżki zdrowia, a nawet zgłaszała ochotę do walk. Niemniej Odyseusz ani razu nie zgodził się spróbować sił z piękną, młodziutką dziewczyną.

Na urodzinowym bankiecie, zorganizowanym przy ustawionym pod wielkim dębem stole, każdy z kilkunastu gości wygłosił tradycyjną mowę – składali Hannie gratulacje z okazji pierwszej wizyty w konserwatorni, życzyli dobrego zdrowia i szczęścia na całe życie. Kiedy jednak nadeszła kolej Odyseusza,

mężczyzna burknął po prostu „Nie idź tam”, przez co Hannah popłakała się później w sypialni Ady. Rozważała nawet rezygnację z odwiedzin w konserwatorni, planowała ukryć się jakoś przed serwitorami, które w tym samym czasie haftowały jej uroczystą, okolicznościową suknię. Naturalnie, nie miała wyboru. Wszyscy w odpowiednim momencie udawali się do konserwatorni. Była tam Ada. Harman również, już cztery razy. Nawet nieobecny Daeman stawił się w konserwatorni dwa razy – raz po skończeniu Pierwszej Dwudziestki, drugi raz wskutek nieszczęsnego incydentu z allozaurem. Konserwatornia nie omijała nikogo.

Kiedy Hannah zeszła następnego ranka na dół, ubrana jedynie w odświętną bawełnianą szatę, ozdobioną tradycyjnym, haftowanym symbolem kaduceusza – dwoma niebieskimi wężami wijącymi się wokół kostura – Odyseusz nawet nie przyszedł się pożegnać.

Ada wściekała się na niego przez całą podróż dorożką do faksportalu. Hannah cicho popłakiwała, choć próbowała ukryć łzy przed przyjaciółką i siedziała odwrócona. Ada uważała Hannę za jedną z najtwardszych kobiet na świecie – artystka i sportsmenka, ryzykantka i rzeźbiarka. Dzisiaj jednak rozkleiła się niczym mała, zagubiona dziewczynka.

– Może zwróci na mnie uwagę, kiedy wrócę z konserwatorni? – odezwała się w pewnym momencie. – Może jutro uzna mnie za prawdziwą kobietę?

– Może – powiedziała Ada, która powtarzała sobie właśnie w myślach, że mężczyźni są samolubnymi, egoistycznymi i zadufanymi w sobie świniami, które nie przepuszczą żadnej okazji, by dać temu dobitny dowód.

Dwa serwitory wyfrunęły z pawilonu, wzięły Hannę za ręce i odprowadziły do portalu.

Dziewczyna wydawała się w tej chwili niezwykle krucha i delikatna. Dzień wstał piękny. Na błękitnym niebie nie było nawet jednej chmurki. Wiał lekki, zachodni wietrzyk. Gdyby jednak nastrój Ady miał wpływ na pogodę, nastąpiłoby oberwanie chmury. Sama nie miała pojęcia, skąd bierze się nękające ją poczucie nadciągającej katastrofy. Przecież odprowadzała już do konserwatorni mnóstwo znajomych, przy okazji wielu Dwudziestek. Sama również odbyła tę podróż, z której zapamiętała jedynie mgliste wrażenie unoszenia się w ciepłej kąpieli. Niemniej, kiedy Hannah pomachała jej ręką na

pożegnanie, zanim porwał ją teleportacyjny portal, Ada poczuła wzbierające w oczach łzy. Gdy wracała samotnie do domu, jej wściekłość na Odyseusza dodatkowo się pogłębiła. Nie tylko zresztą na niego, była zła również na Harmana i wszystkich facetów świata.

Tak więc, słuchając wykładu wygłaszanego przez Odyseusza przed audytorium złożonym z oddanych wyznawców i nowo przybyłych ciekawskich, Ada nie czuła się jak grzeczna studentka.

Niewysoki brodacz był odziany w tunikę i sandały. Z mieczem u boku siedział oparty o pień własnoręcznie ściętego drzewa. Ludzie stali lub wyciągali się wygodnie na trawie wszędzie dokoła, na całym opadającym ku rezydencji zboczu. Słuchaczy były setki. Część mężczyzn miała na sobie identyczne tuniki jak Odyseusz, spięte takimi samymi, szerokimi skórzanymi pasami. Większość zapuszczała brody i wąsy – rzecz za życia Ady zupełnie niesłychana.

Odyseusz odpowiadał właśnie na pytania. Ada dobrze знаła jego rozkład dnia. Najpierw, godzinę po wschodzie słońca, wygłaszał pięćdziesięciodziesięciminutową przemowę, po której na dłuższy czas znikał. Następnie – przed obiadem – odpowiadał na pytania i wątpliwości, po południu występował ponownie, a długie wieczory po zmierzchu poświęcał na dalsze pytania zainteresowanych. W tej chwili dochodziła pora obiadu.

– Nauczycielu, dlaczego musimy się dowiadywać, kim są nasi ojcowie? Nigdy dotąd nikomu nie wydawało się to ważne – podniósł rękę młody chłopak. Jeden z nowych słuchaczy.

Ada, która w ciągu ostatniego miesiąca obserwowała Odyseusza bardzo często, zauważyła, iż tłumacząc swoje koncepcje, mocno gestykuje i raz po raz wskazuje palcem słuchaczy, jakby dla podkreślenia wagi argumentów. Opalone ramiona i nogi Greka wyglądały na niezwykle silne.

Dziewczyna z niejakim zdziwieniem spostrzegła, że niektórzy z jego brodatych uczniów również wyglądają na bardziej ogorzałych i muskularnych niż jeszcze przed kilkunastoma dniami. W lesie na szczycie wzgórza Odyseusz zbudował tor przeszkód – ścieżkę zdrowia zastawioną przyrządami z pniaków i lin, pełną wypełnionych błotem rowów. Zarządził przy tym, że każdy, kto dwukrotnie wysłucha jego wykładów, musi trenować na tym torze

przynajmniej godzinę dziennie. Początkowo, po pierwszych kilku próbach, wielu mężczyzn – a także część uczennic Odyseusza – ten pomysł wyśmiało, lecz teraz codziennie spędzali na ćwiczeniach lub bieganiu kilka godzin. Ada nie mogła się temu nadziwić.

– Czy, nie znając własnych ojców, możecie poznać samych siebie? – odpowiedział Odyseusz swoim niskim i spokojnym, lecz dobitnym głosem, który zawsze docierał do wszystkich słuchaczy. – Ja nazywam się Odyseusz i jestem synem Laertes. Mój ojciec jest królem, lecz także rolnikiem.

Kiedy widziałem go po raz ostatni, klęczał w ziemi i sadił drzewo w miejscu, w którym wykarczował inne drzewo, bardzo stare, olbrzymie, lecz uszkodzone uderzeniem pioruna. Gdybym nie znał swojego ojca, gdybym nie wiedział, kto był jego ojcem i ile ci ludzie byli warci, co stanowiło sens ich życia i za co byli gotowi umrzeć, jak mógłbym poznać siebie?

– Opowiedz nam raz jeszcze o *arete* - odezwał się ktoś z pierwszego rzędu.

Ada poznała w nim Petyra, jednego z najstarszych słuchaczy Odyseusza. Petyr lata chłopięce miał już za sobą – dziewczyna oceniała go na męczyznę po Trzeciej Dwudziestce – więc broda urosła mu już prawie tak bujna jak samemu Odyseuszowi. Ada miała wrażenie, że Petyr nie opuścił Dworu Ardis odkąd usłyszał pierwsze wystąpienie barbarzyńcy, drugiego lub trzeciego dnia po przybyciu Greka, kiedy gości dało się jeszcze policzyć na palcach obu rąk.

– *A rete* to nic więcej jak doskonałość i dążenie do niej we wszystkich dziedzinach życia – oświadczył Odyseusz. – Postępowanie zgodne z *arete*, to rodzaj poświęcania swych działań, a właściwie całego życia, ideałowi. Poświęcania się poszukiwaniom tego ideału i zdolności rozpoznania go we właściwym momencie.

Jakiś siedzący w dziesiątym rzędzie nowicjusz, mężczyzna z nadwagą i kojarzący się Adzie z Daemanem, wybuchnął śmiechem.

– W jaki sposób mamy osiągać doskonałość we wszystkim, nauczycielu? I po co? To musi być okropnie męczące. – Rozejrzał się dokoła, spodziewając się gromkiego aplauzu sąsiadów, lecz odpowiedziały mu tylko milczące spojrzenia słuchaczy, którzy po chwili zwrócili się na powrót ku Odyseuszowi.

Greki uśmiechnął się szeroko – biel mocnych zębów ostro kontrastowała ze

zbrązowiałymi od słońca policzkami i krótką, siwą brodą.

– Naturalnie, że nie da się osiągnąć doskonałości we wszystkim, przyjacielu, ale próbować trzeba.

Poza tym, jak można tego nie pragnąć?

– Przecież nie da się doskonalić wszystkiego naraz. – Grubas się zaśmiał. – Trzeba dokonywać wyborów i skupiać się na tym co najważniejsze. – Nowicjusz uściśnął siedzącą obok niego dziewczynę, najwyraźniej swoją bliską przyjaciółkę i kobieta się roześmiała. Ona również okazała się jedyną rozbawioną osobą.

– Zgoda – przytaknął Odyseusz – lecz takie postępowanie stanowi wyraz lekceważenia wobec wszystkich czynności, w których nie wykazujesz *arete*. Zastanów się nad jedzeniem. Jeść należy zawsze tak, jakby to miał być ostatni posiłek w życiu. Każdą potrawę powinno się przyrządzać tak, jakby miało się po niej nigdy nie skosztować ni kęsa. Składanie ofiar bogom? Przystępujcie do tego tak, jakby od tej jednej ceremonii, od włożonej w nią energii, pobożności i skupienia zależało życie waszych rodzin. Miłość? Owszem, kochajcie, jakby to była najważniejsza rzecz na świecie, lecz uczynicie z tego uczucia ledwie jedną z gwiazd na konstelacji doskonałości, którą zwą *arete*.

– Ja z kolei nie rozumiem koncepcji *agonu*, Odyseuszu – odezwała się siedząca w trzecim rzędzie młoda znajoma Ady. Peaen była osobą inteligentną i cechowała się dotąd sceptycznym podejściem do rzeczywistości, lecz na słuchaniu wykładów Greka spędzała już czwarty dzień.

– *A gon* polega po prostu na porównywaniu ze sobą możliwych do porównania rzeczy-odpowiedział Odys cicho, lecz wyraźnie – i na osądzeniu, czy są sobie równe, lepsze bądź gorsze.

W dynamice *agonu* uczestniczą wszystkie istniejące we wszechświecie byty. – Wskazał pień, o który się opierał. – Czy to drzewo było wyższe, niższe, czy może równe... o, tamtemu?

Skierował palec ku wysokiemu drzewu na skraju lasu. W cieniu jego konarów stał nieruchomy wojnik. Jak wszystkie wojniksy na Dworze Ardis, tak i ten nie zbliżał się już do Greka.

– Drugie drzewo wciąż jest żywe! – zawołał pulchny nowicjusz, który wcześniej dyskutował z nauczycielem. – Jasne więc, że jest lepsze od

uschniętej kłody.

– Czy według ciebie wszystkie żywe istoty są lepsze od umarłych? – odpowiedział pytaniem Odyseusz. – Wielu z was ogląda spektakl turyński. Widzieliście toczony pod Ilionem bitwy. Czy żyjący obecnie handlarz gnojem jest lepszym człowiekiem od martwego Achillesa?

– Porównujesz rzeczy niemożliwe do porównania! – zawołała jedna ze słuchaczek.

– Ależ oczywiście, że możliwe – odparł Odys. – Obaj są ludźmi. Obaj przyszli na świat. I obaj umrą. Nie ma większego znaczenia, że jeden wciąż oddycha, a drugi przeszedł już w cień Hadesu.

Musimy umieć porównywać ludzi i z tego też powodu powinniśmy znać swych ojców. Ojców i matki. Własne dzieje. Opowieści z przeszłości.

– Co i tak nie przywróci twojemu pniakowi życia, nauczycielu – zauważył Petyr. Tym razem roześmiała się większość zebranych na wzgórzu słuchaczy.

Odyseusz śmiał się wraz z nimi. Po chwili pokazał wróbla, siedzącego na jednej z kilku gałęzi, których Grek nie odrąbał od powalonego pnia.

– Masz rację. To drzewo jest martwe. Nie po prostu martwe ale, co ważne, martwe od niedawna.

Jednak już w tej chwili widać, że użyteczność tego drzewa, jego przydatność rozumiana w kontekście *agonu*, przewyższyła użyteczność żywego drzewa z lasu. W oczach tego ptaszka.

A także z perspektywy owadów, które drążą teraz pień powalonego giganta. Jak również dla myszy, nornic i większych stworzeń, które niebawem zbudują w tym pniu swe domy.

– Tylko kto w takim razie jest ostatecznym arbitrem *agonu*? – zapytał poważnym tonem dojrzały mężczyzna z piątego rzędu. – Ptaki, robaki czy ludzie?

– Wszystkie istoty – wyjaśnił Odyseusz. – Każda ma swoją kolej. Niemniej jedynym ważnym sędzią jesteście wy sami.

– To chyba zbyt arogancja, prawda? – rzuciła kobieta, w której Ada rozpoznała przyjaciółkę matki. – Kto nas wybrał na sędziów? Kto dał nam prawo osądzać?

– Sam wszechświat. Na drodze piętnastu miliardów lat ewolucji –



stwierdził Odyszeusz. – To dzięki niemu otrzymaliście oczy, którymi patrzycie. On dał wam dłonie, byście mogli chwytać i ważyć.

Serce, ośrodek czucia. Oraz umysł, który podpowiada reguły oceny. I jeszcze wyobraźnię, pozwalającą wam poznawać wyroki ptaków i owadów, a nawet drzew. Co więcej, osądów należy dokonywać, kierując się *arete*. Wierzcie mi, tak samo postępują insekty, ptaki i rośliny. W ich świecie nie ma miejsca na przeciętność. Zbyt krótko żyją. Nie zamartwiają się własną arogancją, kiedy wybierają partnerów, wrogów i domy.

Greki zwrócił uwagę uczniów na wróbla, który właśnie zniknął w dziupli otwierającej się w powalonym pniu.

– Nauczycielu – odezwał się chłopak z tylnych rzędów – dlaczego każesz mężczyznom codziennie ćwiczyć zapasy?

Ada stwierdziła, że na dzisiaj ma już dosyć. Dopiła napój i wróciła do domu, przystając jeszcze na werandzie, skąd powiodła wzrokiem po rozległym trawiastym dziedzińcu, na którym przechadzały się dziesiątki pogrążonych w rozmowach gości – słuchaczy Odysa. Jedwabne poszycia namiotów falowały łagodnie na ciepłym wietrzyku. Serwitorki krążyły między ludźmi, lecz niewiele osób przyjmowało ich poczęstunki. Odyszeusz wprowadził zasadę, by ludzie, którzy słuchają jego wystąpień więcej niż raz, nie korzystali z pomocy serwitorków i wojniksów. Ten zakaz początkowo spłoszył wielu chętnych, lecz potem zainteresowanych znowu zaczęło przybywać.

Ada uniosła wzrok na błękitne niebo. Na widok świecących blado pierścieni jej myśli uleciały ku Harmanowi. Tak bardzo się na niego wściekła, kiedy wspomniał o ciąży i wybieraniu nasienia.

O tym po prostu się nie rozmawiało. Ten temat mogła poruszyć jedynie matka z córką i tylko raz w życiu. A jeszcze ta kretyńska wzmianka o genach ómy. Przecież wszyscy wiedzą, że kobiety dokonywały wyboru ojca wiele lat po zapłodnieniu, już od niepamiętnych czasów. Zachowanie Harmana było takie nieprzyzwoite, wręcz... obsceniczne.

Ostatecznie jednak co innego sprawiło, że Ada bez żalu i ciepłego słowa – za to z kilkoma słowami gorzkimi – wyprawiała go na wycieczkę z Savi i Daemanem. Dziewczynę wzburzyły słowa kochanka, który oświadczył wprost, że chce zostać ojcem jej dziecka... Nie powiedział, że chce znaleźć się

w gronie mężczyzn, spośród których nasienia Ada wybierze to jedno... Harman wyraźnie chciał uczestniczyć w wychowywaniu potomka, chciał, by dziecko wiedziało, że właśnie on jest ojcem.

Pogładziła się lekko po brzuchu. Serwitorki nie przekazały jej jeszcze wiadomości z konserwatorki, że może zająć w ciążę. Nie wyraziła jednak wcale takiej ochoty i nie zapisała się nawet na listę oczekujących. W tej chwili cieszyła się po prostu, że w najbliższym czasie nie stanie przed koniecznością wyboru – jak to nazwał Harman? – dawki nasienia. Przypomniła sobie jednak mężczyznę. Jego bystre, kochające spojrzenie, łagodny i jednocześnie zdecydowany dotyk. Stare, lecz pełne wigoru ciało... Ponownie musnęła brzuch.

– Aman – wyszeptała – syn Ady i Harmana.

Zniesmaczona pokręciła głową. Najwyraźniej ostatnie tygodnie, spędzone na wysłuchiwaniu bezsensownej gadaniny Odyseusza, odcisnęły na niej swe piętno. Wczoraj po zmroku poczuła, że ma dość, i kiedy tłumy uczniów Greka rozeszły się do namiotów i pawilonu faksowężła – większość udała się do rozłożonego wokół jej domu obozowiska – zapytała go wprost, jak długo jeszcze zamierza pozostać w Ardis.

Stary mężczyzna obdarzył ją smutnym uśmiechem.

– Już niedługo, moja droga.

– Tydzień? – Ada nie rezygnowała. – Miesiąc? A może rok?

– Nie aż tak długo – odparł Odyseusz. – Zostanę tu, dopóki niebo nie spadnie nam na głowy. Do chwili, gdy na twoim podwórzu pojawią się nowe światy.

Rozdrażniona nonszalanckim tonem, poczuła olbrzymią pokusę, by rozkazać serwиторom, żeby wyrzuciły włochatego barbarzyńcę z jej włości. Rozmyśliła się jednak i usunęła do swojej sypialni – ostatniego bastionu prywatności na dworze, który tak nagle stał się miejscem publicznym. Położyła się do łóżka i leżała, wściekając się na Harmana, za którym jednocześnie tęskniła i o którego los coraz bardziej się obawiała.

Teraz zwróciła się w stronę drzwi wejściowych, lecz kątem oka zauważyła jakiś dziwny ruch na niebie i zadarła głowę. W pierwszej chwili pomyślała, że po prostu podświadomie zwróciła uwagę na obracające się powoli

pierścienie, lecz gdy ponownie uniosła wzrok, ujrzała następną świetlną smugę – przypominała ślad diamentowego rysika na szklanym sklepieniu nieba. Zaraz potem śmignęła jeszcze jedna iskierka, jaśniejsza, pozostawiająca za sobą szerszy szlak. I kolejna – tak jaskrawa, że Ada wyraźnie zobaczyła ciągnące się za świetlistym punkcikiem płomienie. Kilka sekund później, przez dziedziniec przewaliło się echo trzech głuchych grzmotów. Przechadzający się po trawniku słuchacze Odyseusza zamarli i popatrzyli w górę. Przystanął nawet niezmordowanie obsługujące gości serwitory i czujne wojniksy.

Za domem rozległy się krzyki i wrzaski. Ludzie zaczęli wskazywać na niebo.

Lazurowy firmament przecinały setki świecących smug-jasnych, płomienistych, czerwonych linii, sunących pod wszystkimi możliwymi kątami z zachodu na wschód. Co chwila rozbłyskiwały kolorowe pióropusze ognia, a światem targały przeraźliwe grzmoty.

Niebo spadało im na głowy.

# 48

## *Ilion i Olimp*

Decydująca rozgrywka tej wojny rozpoczyna się tutaj, w pokoju zamordowanego chłopczyka.

Bogowie bez wątpienia już tysiące razy wcześniej teleportowali się w ten sposób, by rozmówić się ze śmiertelnikami – arogancka, wyniosła Atena, potężny i pewny siebie Apollo oraz moja Muza, sprowadzona prawdopodobnie po to, by rozpoznała Hockenberry'ego, zbuntowanego scholiastę.

Dzisiaj jednak, zamiast spotkać się z ludzką bojaźnią i czcią, zamiast namawiać śmiertelnych głupców, by wyrzynali się wzajemnie jeszcze ciekawszymi metodami, zostają natychmiast zaatakowani.

Muza wskazuje mnie palcem.

– To on! – woła i Apollo unosi łuk.

Zanim jednak ma szansę przyłożyć srebrną strzałę do cięciwy, Hektor rzuca się naprzód i tnie mieczem. Łuk rozpada się na dwie części. Heros podchodzi do boga krok bliżej i wbija klingę głęboko w jego brzuch.

– Stój! – krzyczy Atena i aktywuje pole siłowe, lecz jest już za późno. Szybkonogi Achilles znalazł się po drugiej stronie niewidzialnej bariery i siecze boginię od ramienia do pasa, jednym potężnym uderzeniem.

Atena wrzeszczy i jej krzyk jest tak głośny, że większość śmiertelników w pokoju – w tym ja – pada z bólu na kolana i zasłania sobie uszy dłońmi. Ale nie Hektor, nie Achilles. Ci dwaj wydają się w tej chwili głusi na wszystko, poza wewnętrzną burzą własnego gniewu.

Apollo wykrzykuje sztucznie wzmocnionym głosem jakąś przestrozę i unosi

prawe ramię – nie jestem pewien, czy chce Hektora odepchnąć, czy razić go boską błyskawicą – lecz wojownik nie czeka, by przekonać się o jego zamiarach. Ścisną miecz oburącz i uderza z lewa na prawo, wygląda to jak backhand Andre Agassiego z najlepszego okresu. Odrąbana ręka Apolla spada na ziemię w strugach złocistego boskiego ichoru.

Po raz drugi w życiu widzę wijącego się w agonii Olimpijczyka – Apollo zmienia kształt. Traci postać pięknego, podobnego ludziom bóstwa i przeobraża się w czarny wir, z którego dolatuje skowyt tak potężny, że słudzy czmychają z dziecięcego pokoju, a ja po raz drugi osuwam się na kolana. Piątka Trojanek – Andromacha, Laodike, Teano, Hekuba i Helena – dobywa ukrytych w szatach sztyletów. Rzucają się na Muzę.

Atena – jej sylwetka również traci stabilność, zaczyna się rozmywać – wpatruje się przez chwilę w swoje rozpięte piersi i krwawiący brzuch, po czym wyciąga prawą rękę i strzela z palców promieniem energii, który powinien był obrócić głowę Achillesa w kulę plazmy. Achaj jednak uchyla się z nadludzką szybkością – jego DNA i organizm zostały z pomocą nanotechnologii ulepszone przez samych bogów – i tnie mieczem nogi Ateny. Ściana za jego plecami eksploduje i staje w ogniu. Atena broni się lewitacją – unosi się nad podłogę i zawisa w powietrzu – lecz ostrze Achillesa zdążyło już rozciąć boskie mięśnie i kości. Noga bogini kołysze się nad posadzką na wąskim skrawku skóry.

Tego ryku już nie wytrzymuję i na minutę tracę przytomność. Wcześniej jednak zdołałem zobaczyć, jak moja Muza – osoba, przed którą drżałem od bardzo długiego czasu – ucieka biegiem z pokoju, zdjęta paniką do tego stopnia, że zapomina, że może się teleportować. Piątka Trojanek pędzi za nią z nożami w rękach.

Odzyskuję świadomość, gdy potrząsa mną Achilles.

– Uciekli! – warczy Grek. – Tchórzliwe gównojady zbiegły na Olimp. Zabierz nas do nich, Hockenberry. – Chwyta mnie za pasek napierśnika, podrywa bez trudu nad podłogę, potrząsa i podsuwa mi pod brodę czubek zbroczonego krwią bogini miecza. – W tej chwili! – dodaje surowo.

Zdaję sobie sprawę, że wszelkie próby oporu skończą się dla mnie śmiercią – w oczach Achillesa majaczy obłąd, skurczone źrenice wyglądają jak łebki

od szpilek – lecz w tej samej chwili Hektor łapie przedramię Greka i naciska je do momentu, gdy moje stopy dotykają z powrotem posadzki.

Achilles wypuszcza mnie i zwraca się gwałtownie ku świeżo zyskanemu, trojańskiemu sojusznikowi. Przez moment jestem w zasadzie pewien, że los wróci na dobrze znany mi szlak i Achilles zaszlachtuje Hektora tu i teraz.

– Towarzyszu – odzywa się trojański książę, wyciągając do Greka prawicę.  
– Pamiętaj, że naszym prawdziwym i wspólnym wrogiem są bogowie.

Achillesowi udaje się opanować.

– Wysłuchaj mnie! – rzuca głośniej Hektor, tonem przemawiającego do wojsk marszałka. – Obaj pragniemy podążyć za rannymi bóstwami na Olimp i polec tam w chwalebnej bitwie, w której wystąpimy przeciwko samemu Zeusowi.

Grecki wojownik nadal sprawia wrażenie obłąkanego. W jego oczach widać głównie białość.

Niemniej słucha. Na razie.

– Musimy wszakże pamiętać, że nasza piękna śmierć będzie zarazem oznaczać śmierć wszystkich naszych pobratymców – ciągnie Hektor. – By dokonać zemsty należycie, trzeba nam najpierw zwołać armie, zamknąć Olimp w oblężeniu i pokonać wszystkich bogów naraz. Achillesie, zwołaj swych ludzi!

Achilles otrząsa się i zwraca ku mnie.

– Ty! – syczy. – Czy zdołasz swoimi czarami przenieść mnie do obozu Achajów?

– Tak – odpowiadam łamiącym się głosem.

Helena wraz z pozostałymi kobietami wracają do cuchnącego śmiercią pokoju dziecka. Na ostrzach ich noży nie ma złotych plam boskiego ichoru. Muza zdołała się wymknąć.

– Przemów do swoich – Achilles spogląda Hektorowi w oczy. – Zabij każdego oficera, który spróbuje się twej woli sprzeciwić. Ja uczynię to samo wśród Argiwów. Spotkamy się za trzy godziny na tym stromym grzbiecie ponad Ilionem. Wiesz, o którym mówię. Wy, miejscowi, nazywacie go Wzgórzem Chwastów. Bogowie oraz my, Achajowie, widzimy w nim kurhan amazonki Myrine.

– Dobrze znam to miejsce – potakuje Hektor. – Przywiedź ze sobą tuzin najlepszych dowódców, Achillesie. Reszcie wojowników każ się zatrzymać pół mili od wzgórza, dopóki nie ustalimy wspólnej strategii.

Achilles odsłania białe zęby. Trudno mi ocenić, czy to szeroki uśmiech, czy może złowrogo się szczerzy.

– Czyżbyś mi nie ufał, synu Priama?

– W tej chwili nasze serca łączą się w bezbrzeżnym gniewie i bezdennym smutku – odpowiada trojański książę – Ty oplakujesz Patroklosa, ja wylewam łzy po stracie syna. Jesteśmy teraz braćmi w obłędzie, lecz trzy godziny to czas wystarczająco długi, by ostygł żar nawet tak silny jak nasz.

Masz u swego boku Odyseusza, najbardziej przebiegłego stratega na świecie, którego chytrności i forteli obawia się cała Troja. Skąd mogę mieć pewność, że syn Laertes nie namówi cię do zdrady?

Achilles niecierpliwie potrząsa grzywą.

– Dobrze zatem, lecz spotkajmy się już za dwie godziny. Przywiodę ze sobą najbardziej zaufanych wodzów. A ci Achajowie, którzy nie wyprawiają się ze mną przeciwko bogom, jeszcze przed zmrokiem staną się cieniami w Hadesie.

Odwraca się od Hektora i ściska moje przedramię tak mocno, że muszę zdusić okrzyk bólu.

– Przenieś mnie do obozu, Hockenberry.

Niezgrabnie sięgam do medalionu.

\* \* \*

Powiewy wiatru przegoniły lewitującą skorupę Orphu ćwierć mili dalej. Zapędziły ją nad wodę, pomiędzy dwa czarne okręty. Muszę zostawić Achillesa z jego oficerami i po niego wrócić.

Pożyczam od greckich wartowników linę i uwiązuję ją do lewitacyjnej upręży, dzięki której bez trudu przeciągam splekanego i podziurawionego robota z powrotem na plażę. Bohaterowie „Iliady”

przyglądają się temu w zdumieniu.

W obozie – naturalnie – toczy się zacięta dyskusja. Diomedes tłumaczy Achillesowi, że połowa armii szykuje już statki do powrotu, podczas gdy cała

reszta gotuje się na śmierć. Myśl o przeciwstawieniu się bogom – a co dopiero o czynnym wystąpieniu przeciwko nim – wydaje się Grekom nie tylko szaleństwem, lecz bluźnierstwem. Zresztą widywali już bóstwa w akcji. Również Diomedes jest bliski sprzeciwienia się Achillesowi.

Achilles, korzystając ze swej słynnej biegłości w sztuce retoryki, przypomina oficerom o pojedynkach z Agamemnonem i Menelaosem, po których został prawowitym głównodowodzącym achajskich armii. Przywołuje śmierć Patroklosa. Wysławia męstwo i lojalność generałów. Wskazuje, że bogactwa Mionu są niczym w porównaniu ze skarbami, jakie czekają na Olimpie. Przynależy, że zabije każdego, kto mu się sprzeciwi. Dodaje, że jest w stanie tę groźbę spełnić. Przemawia bardzo przekonująco, lecz uczestnicy narady pozostają w minorowych nastrojach.

Wszystko się popieprzyło. Według mojego pierwotnego planu, herosi mieli wypowiedzieć bogom posłuszeństwo i położyć kres wojnie. Achajowie mieli odpłynąć do Grecji, a Trojanie żyć dalej w spokoju i otworzyć bramy potężnego miasta dla kupców i podróżnych. Wyobrażałem sobie coś na podobieństwo Miasta Pokoju, wyrytego na środku tarczy Achillesa. Zakładałem też – miałem nadzieję – że Achilles z Hektorem kornie poświęcą się w imię większego dobra. Nie myślałem, że wciągną do swej walki dziesiątki lub nawet setki tysięcy innych ludzi.

Na panewce spalił nawet mój zamiar doprowadzenia do śmiertelnych *aristeiów* Hektora i Achillesa z bogami. Chciałem przenieść obu wojowników po kolei na Olimp, w tajemnicy przed bóstwami, i sprawić, by herosi wspólnie spadli na karki Olimpijczyków niczym grecko-trojańska burza. Niestety, wskutek potyczki z Apollem i Ateną w dziecięcym pokoju Skamandriosa straciliśmy i tę ostatnią okazję na zaskoczenie przeciwnika.

I co teraz?

Zerkam na zegarek. Obiecałem małemu robotowi, że po niego wrócę. Tyle że w tej chwili Dwór Bogów i cały Olimp w ogóle musi przypominać gniazdo wściekłych szerszeni. Szanse na to, że uda mi się niezauważenie tekować na Olimp i z powodzeniem zwiać, zmalały do zera. Co zrobią Achilles z Hektorem, jeżeli już się nie pojawią?

To już nie moje zmartwienie. Podnoszę ręce, by wsunąć na głowę Hełm



Hadesa, lecz przypominam sobie, że pożyczyłem go Mahnmutowi. Z ciężkim westchnieniem wyobrażam sobie zachodni brzeg jeziora na szczycie Olimpu i teleportuję się.

\* \* \*

Nie pomyliłem się. Tu rzeczywiście jest jak w gnieździe szerszeni. Na niebie roją się latające we wszystkie strony rydwany. Dziesiątki bogów stoją na brzegu, część wskazuje coś palcami, inni siekają toń jeziora laserowymi lancami. Woda wrze jeszcze parę kilometrów od plaży. Bóstwa wykrzykują wzmocnionymi głosami, przekazują rozkaz Zeusa, który polecił wszystkim zgromadzić się w głównej sali Dworu Bogów. Mnie wciąż nikt nie spostrzegł – pomaga mi panujące dokoła zamieszanie – lecz to kwestia kilku minut. Lada chwila ktoś zauważy śmiertelnego intruza stojącego bez pozwolenia na równo przyciętym trawniku ich elitarnego klubu.

Nagle, kilka metrów ode mnie, strzelają w powietrze strugi wrzątku, pomiędzy którymi dostrzegam niewyraźny zarys, widzialny jedynie dlatego, że po jego niewidocznej powierzchni ściekają krople wody. Zaraz potem pojawia się sylwetka małego czarnego robota i Mahnmut oddaje mi Hełm Hadesa.

– Najlepiej będzie, jeśli oddalimy się bez zbędnej zwłoki – stwierdza po angielsku.

Kiedy odbieram skórzany hełm nie cofa ręki. Podaje mi ją, bym mógł go złapać i objąć kwantowym polem medalionu. Chwytam robota za przedramię i natychmiast głośno krzyczę.

Metal, plastik, czy inny jeszcze materiał, z którego została wykonana jego powłoka, rozgrzał się w jeziorze. Moja prawa dłoń od razu czerwienieje i pokrywa się pęcherzami.

Dwa rydwany zawracają prosto na nas. Trzaskają błyskawice. W powietrzu rozchodzi się woń ozonu.

Łapię robota za ramię i przekręcam obwódkę medalionu. Zdaję sobie sprawę, że żaden z nas nie ujdzie z tej historii z życiem, lecz pokrępiam się myślą, że przynajmniej udało mi się dotrzymać obietnicy. Wróciłem po Mahnmuta. Dobrze i to.

# 49

## *Pierścień równikowy*

Przez pierwsze dwa tygodnie żywili się łowionymi w zanieczyszczonym bajorze jaszczurkami.

Schudli tak bardzo, że ich termoskóry skurczyły się o całe dwa rozmiary.

Śmierć Savi wstrząsnęła Daemanem i Harmanem do tego stopnia, że przez minutę po ucieczce Kalibana – który uniósł ze sobą zwłoki ich przyjaciółki – siedzieli po prostu otępiali na kamiennych kolumnach, ze wzrokiem wlepionym w cuchnącą wodę. Daemanowi tłukła się w głowie jedna, jedyna myśl: Kaliban wróci i nas zabije. Kaliban wróci i nas zabije. Z odrętwienia wyrwał go Harman, który skoczył do ścieku i zniknął.

Daeman zawyłby z przerażenia, lecz nie znalazł w sobie wystarczającej siły. Wpatrywał się nieruchomo w falującą tafłę brudnego bagniska. Miał wrażenie, że minęło wiele minut. Wreszcie jednak Harman wyskoczył na powierzchnię, gwałtownie łapiąc powietrze i plując. W dłoniach ścisnął trzy przedmioty – dwie osmotyczne maski i pistolet Savi. Wyczołgał się na skalną półkę i Daeman, którego początkowy paraliż zdążył ustąpić, zszedł do towarzysza.

– Ta breja ma tylko dziesięć stóp głębokości – stwierdził zdyszany Harman.  
– Całe szczęście, bo inaczej w życiu nic bym tam nie znalazł. – Podał Daemanowi maskę. Swoją naciągnął na głowę, ale nie zasłonił nosa i ust. Zważył w dłoni pistolet.

– Działa jeszcze? – zapytał łamiącym się głosem chłopak.

Bał się stać tak blisko wody. Był przekonany, że lada moment wynurzy się ze ścieku długa łapa Kalibana i porwie go na dno. Wciąż miał w uszach

obrzydliwy odgłos, z jakim szczęki potwora przegryzły szyję i rdzeń kręgowy staruszki.

– Możemy się przekonać tylko w jeden sposób – szepnął Harman. Głos męczyzny również drżał, aczkolwiek Daeman nie miał pojęcia, czy ze strachu, czy może z zimna.

Harman przypomniał sobie, jak posługiwała się pistoletem przewodniczka, chwycił go w ten sam sposób, złożył palec na spuście i pociągnął. Pod przeciwległą ścianą groty trysnęła z bajora nieregularna fontanna, setki drobnych pocisków rozdarły taflę.

– Świetnie! – zawołał Daeman i okrzyk odbił się echem w całej jaskini. Pieprzyć Kalibana!

– Gdzie plecak Savi? – spytał szeptem Harman.

Chłopak wskazał miejsce tuż za filarem, na którym stała przewodniczka. Podbiegli do plecaka i przetrząsnęli jego zawartość. Również latarka była wciąż sprawna. Znaleźli też trzy magazynki do pistoletu, każdy z siedmioma ładunkami kryształowych pocisków. Harman pomanewrował przy broni i po chwili udało mu się ją otworzyć. Sprawdził ile zostało mu strzałów. Dwa.

– Myślisz, że on... ten potwór... zginął? – zapytał półgłosem chłopak i obejrzał się przez ramię na oba wyloty pieczary, którymi przepływał ściek. Było dość ciemno, jedynym źródłem światła w grocie było lśnienie fosforyzujących grzybów. – W końcu Savi strzeliła z bardzo bliska. Trafiła go w pierś. Może zdechł?

– Nie – odparł Harman. – Kaliban nie zginął. Załóż maskę. Musimy znaleźć wyjście.

Podziemny strumień prowadził ich z groty do groty, każda kolejna jaskinia była większa od poprzedniej. Wyglądało na to, że górna warstwa asteroidy, podłoże kryształowego miasta, jest dziurawa jak ser. W niezliczonych pieczarach i tunelach biegły rury. Plamy krwi znaleźli na skałach już w drugiej grocie.

– Savi czy Kalibana? – wyszeptał chłopak.

Harman wzruszył ramionami.

– Może obojga. – Omiótł promieniem latarki płaskie, kamienne brzegi brudnego kanału. Po dziesięciu metrach z obu stron podłoże niknęło

w ciemności. Znacznie bliżej mężczyzn snop światła wyłowił z mroku żebra, miednice, piszczele i samotną, wpatrującą się w nich pustymi oczodołami czaszkę.

– O Boże, Savi! – zachłysnął się Daeman. Pośpiesznie naciągnął maskę i przygotował się do skoku w nurt ścieku.

Harman złapał go mocno za ramię.

– Nie sędzę – powiedział i podszedł bliżej do kości. Poświecił dokoła. Na skalnych półkach leżało więcej szkieletów. – Te szczątki są stare. Muszą tu leżeć od wielu miesięcy lub nawet lat. Kto wie, może od całych dekad.

Podniósł dwa żebra i przyjrzał się im dokładniej. Zbielałe kości mocno kontrastowały z błękitem jego termoskóry. Daeman zauważył na nich ślady zębów i zadrżał.

– Przepraszam – szepnął.

Harman pokręcił głową.

– Obaj jesteśmy w szoku, w dodatku dręczy nas głód. Od ponad dwóch dni nie mieliśmy nic w ustach. – Wyciągnął się na brzuchu na skraju strumienia i spojrzał do wody.

– Może w mieście coś znajdziemy... – zaczął Daeman.

Ręka Harmana strzeliła pod powierzchnię. Rozległ się plusk i coś gwałtownie zatrzepotało.

Chłopak odskoczył, przekonany, że właśnie wrócił Kaliban. Po chwili jednak obejrzał się do tyłu i zobaczył, że Harman ściska oburącz białą jaszczurkę. Ta nie została pozbawiona oczu jak gad, który wskazał potworowi Savi. Spoglądała na nich okrągłymi koralikami różowych ślepi.

– Wolne żarty – rzucił Daeman.

– Nie.

– Nie możemy marnować na te stworzenia pocisków... – podjął chłopak.

Harman mocno złapał jaszczurkę tuż nad tylnymi łapami i uderzył jej łbem o kamień.

Daeman ściągnął maskę. Był pewien, że znowu zwymiotuje. Na szczęście, opanował mdłości.

W targanym skurczami żołądku rozległo się tylko głośnie burczenie.

– Szkoda, że Savi nie spakowała noża – mruknął Harman. – Pamiętasz ten

poręczny sztylet, który Odyseusz miał ze sobą na moście? Przydałby się taki.

Zdjęty odrazą chłopak przyglądał się towarzyszowi, który wypatrzył wśród ludzkich kości skałkę rozmiarów pięści i zaczął obtłukiwać jej krawędź. Kiedy uzyskał kształt z grubsza przypominający ostrze, odrąbał jaszczurce głowę i zaczął ściągać białą skórę.

– Nie dam rady tego zjeść – oświadczył Daeman.

– Sam mówiłeś, że w mieście nie ma jedzenia – przypomniał przykucnięty nad zdobyczą Harman.

Chłopak ze zdziwieniem stwierdził, że skórowanie jaszczurki nie jest czynnością tak krwawą, jak mogłoby się wydawać.

– Jak chcesz ją ugotować?

– Obawiam się, że nijak. Savi nie miała ze sobą zapalek, brakuje też paliwa, a w mieście nie ma tlenu – odparł Harman.

Oderwał z gadziego udka kawałek czerwonego mięsa, obejrzał je w świetle latarki, po czym wrzucił sobie do ust. Zacerpnął nieco wody do butelki, popił i przełknął.

– I jak smakuje? – zaciekawiał się Daeman, aczkolwiek odpowiedź malowała się na twarzy mężczyzny wyraźnie.

Harman oderwał mniejszy kęs i podał chłopakowi. Zanim Daeman się przemógł i zjadł, upłynęły dwie minuty. Nie zwymiotował. Jaszczurka smakowała jak słonawy śluz z delikatną rybią nutą.

Ściśnięty żołądek poprosił o dokładkę.

Harman podał mu latarkę.

– Połóż się na brzegu. Światło je wabi.

Ciekawe czy wabi też Kalibana? – zastanowił się chłopak, lecz wyciągnął się na skraju wody i poświecił w głąb ścieku. Z latarką w lewej dłoni przygotował się do polowania na podpływające węzowymi ruchami pod powierzchnię albinotyczne gady.

– Zamienimy się w kalibany – burknął.

W ciemności rozległo się mlaskanie Harmana, który co chwila odgryzał kolejny kawałek mięsa.

– Nie, nie zamienimy się – odparł mężczyzna.

\* \* \*

Z jaskiń wyszli dwa tygodnie później – bladzi, zarośnięci i wychudzeni mężczyźni z wytrzeszczonymi oczyma. Aż tyle czasu potrzebowali, by znaleźć właściwą rurę. Wyłynęli, przebili pokrywającą niewielką sadzawkę warstewkę lodu i wynurzyli się w jasno oświetlonym, kryształowym mieście.

Co ciekawe, to Daeman nalegał na powrót z podziemnego labiryntu.

– W jaskiniach łatwiej jest się obronić przed Kalibanem – zauważył Harman.

Z kawałka materiału plecaka sporządzili prowizoryczną kaburę i nosili w niej pistolet. Sypiali na zmianę. Podczas gdy jeden układał się pod ścianą, drugi trzymał straż z latarką i bronią w pogotowiu.

– Trudno – odparł chłopak. – Musimy wreszcie uciec z tej asteroidy.

– Wiesz, może Kaliban właśnie umiera? – zasugerował Harman.

– Albo odzyskuje siły – odpowiedział Daeman.

Upodobnili się do siebie. Daeman stracił swą dawną pulchność. Obu wyrosła broda. Zarost chłopaka był ciemniejszy i bardziej bujny niż Harmana.

– Wszystko jedno – dodał. – Trzeba się stąd wydostać.

– Nie mogę wrócić do konserwatorni.

– Nie wiem, czy mamy inne wyjście. Możliwe, że nigdzie indziej nie znajdziemy portali.

– Nic mnie to nie obchodzi – rzucił Harman. – Moja noga nie postanie w tej rzeźni. Poza tym, portale z konserwatorni służą do przesyłania ciał. Węzły na pewno reagują jedynie na kody konkretnych osób.

– No to je przeprogramujemy – oświadczył chłopak.

– Niby jak?

– Nie mam pojęcia. Przyjrzymy się serwitorom przy pracy. Zrobimy to co one.

– Savi mówiła, że nasze kody mogą już nie działać – przypomniał mężczyzna.

– Ale pewności nie miała. Sama straciła możliwość faksowania ponad tysiąc lat temu.

W najgorszym razie zbadamy dokładnie całe miasto.

– Tylko po co? – zdziwił się Harman. Już jakiś czas temu zaczęła go nękać bezsenność i był w wyraźnie kiepskim nastroju.

– Bo możemy znaleźć statek kosmiczny – zauważył chłopak.

Harman zaczął się śmiać. Z początku cicho, lecz po chwili stracił nad sobą panowanie. Zaniósł się głośnym rechotem, tak gwałtownym, że w końcu pociekły mu łzy. Zapłakał. Daeman uszczypnął go w ramię.

– Chodźmy – powiedział. – Przecież wiemy, która rura prowadzi na powierzchnię. Idź za mną.

Jeśli zajdzie potrzeba, zniszczymy krę kilkoma strzałami i wyjdziemy do miasta.

\* \* \*

Kolejne dwa tygodnie spędzili na badaniu pozostałych dzielnic miasta postludzi. Sypiali w pustych pokojach i schowkach, czuwali na zmianę. Daemanowi za każdym razem śniło się, że spada, i budził się, wymachując rękoma i nogami, zmagając się z nieważkością. Domyślał się, że Harmana dręczą podobne koszmary, ponieważ starszy mężczyzna również nie mógł porządnie się wyspać. Raz po raz wyrywał się ze snu, chwycił łapczywie powietrze i młócił bezradnie kończynami.

Kryształowe miasto okazało się zupełnie wymarłe. Wieże po drugiej stronie asteroidy były bardziej finezyjnie zdobione i wyposażone w większą liczbę tarasów i zamkniętych pomieszczeń.

Wszędzie unosiły się w powietrzu zmumifikowane, nadjedzone zwłoki postludzkich kobiet. Mimo że przed wyjściem z podziemi wypchali plecak mięsem oprawionych i pokrojonych w cienkie plastry białych jaszczurek, bez przerwy nękał ich głód. Zdarzało się nawet, że Daemanowi burczało w brzuchu na widok niektórych, zaszuszonych, lecz wciąż mięsistych trupów. Mniej więcej co trzy dni brak wody zmuszał ich do powrotu nad lodowate bajora w jaskiniach.

Mimo że za każdym zakretem spodziewali się natknąć na Kalibana, znaleźli tylko kilka unoszących się w powietrzu kropel krwi, która mogła należeć do potwora. Trzeciego dnia po wyjściu z podziemi, kiedy ich oczy zdołały

wreszcie przywyknąć do jasnego blasku świecącej za szymbami w suficie Ziemi, zauważyli oderwaną w nadgarstku rękę – szymbowała niczym bład pająk przy jednej z gęstych kęp wodorostów. Uznali, że mogła należeć do Savi. Tej samej nocy – „nocami”

nazywali krótkie, dwudziestominutowe okresy, gdy Niebieska Planeta znikwała za oknami miasta – usłyszeli straszliwe, dobiegające od strony konserwatorni wycie. Bardzo przypominało głos Kalibana. Odnieśli wrażenie, że skowyt przenosi się raczej przez sam grunt asteroidy i egzotyczny budulec wznoszących się dokoła wież niż w mocno rozrzedzonym powietrzu.

Po miesiącu od ich przybycia do tego orbitalnego piekła przemierzyli już niemal całe kryształowe miasto. Wyjątek stanowiły dwa miejsca – dalsza część konserwatorni, dokąd nie dotarli wskutek spotkania z potworem oraz długi, tonący w ciemności korytarz otwierający się w zaokrąglonym punkcie asteroidy, tuż nad jej północnym biegunem. Wąskie przejście – miało najwyżej dwadzieścia metrów szerokości – pozbawione było okien i porastała je gęstwina łagodnie falujących wodorostów. Zgodnie uznali, że jest to idealna kryjówka dla liżącego się z ran Kalibana i kiedy za pierwszym razem stanęli przed wylotem korytarza, uznali, że na razie bezpieczniej będzie zbadać inne okolice postludzkiego osiedla.

Nie znaleźli niczego przydatnego. W mieście nie było statków kosmicznych, innych śluz, sterowni, dodatkowych konserwatorni, magazynów żywności ani ujęć pitnej wody. Ostatecznie, gdy w plecaku został im już tylko jeden gnijący kawałek jaszczurki, stanęli przed wyborem. Mogli wrócić do jaskiń i uzupełnić zapasy, bądź udać się do konserwatorni i spróbować skorzystać z tamtejszych faksowęzłów. Oczywiście wciąż niezbadany pozostawał też ciemny, zarośnięty wodorostami korytarz.

– Głosuję za korytarzem – oświadczył Harman.

Wycieńczony Daeman skinął głową.

Trzymając się za ręce, płynęli z trudem między splątanymi łodygami. Tego dnia pistolet przypadł chłopakowi. Przy każdym gwałtowniejszym ruchu którejś z kęp kierował ku niej wylot broni.

W ciemnym przejściu, gdzie nie docierała nawet łuna miasta, jedynym źródłem światła była latarka Savi. Obu mocno niepokoił stan baterii, lecz



żaden nie przyznał się do tych obaw na głos. Daeman powtarzał sobie, że przecież w większości jaskiń rosną fosforyzujące grzyby, w których blasku mogli nawet polować na jaszczurki, lecz nie miał specjalnej ochoty wracać do podziemnej kostnicy, gdzie dobrze się czuły tylko albinotyczne gady. Dwie noce wstecz zainteresował się otaczającą ich rozrzedzoną atmosferą.

– Jak myślisz, co by się stało, gdybym zdjął maskę?

– Po prostu byś umarł – odparł Harman. Mężczyzna był chory. Ludzie nie byli przyzwyczajeni do chorób, jako że na Ziemi likwidowała je konserwatornia. Teraz, mimo sprawnego działania termoskóry, targały nim silne dreszcze. – Tak, na pewno byś umarł.

– Szybko?

– Raczej powoli – powiedział Harman. Jego błękitny kombinezon był pokryty mułem z kanałów i plamami krwi jaszczurek. – Udusiłbyś się, ale w mieście jest jednak trochę tlenu, więc męczyłbyś się dłuższą chwilę.

Chłopak pokiwał głową.

– A gdybym zdjął termoskórę, a maskę zostawił?

– Wtedy śmierć przyszlaby szybciej – ocenił mężczyzna. – Zamarzłbyś po minucie, góra dwóch.

Daeman nie odpowiedział i wydawało mu się, że Harman zapadł w drzemkę. Po chwili jednak towarzysz odezwał się ponownie.

– Obiecuj, że jeśli się zdecydujesz, powiesz mi o tym zawczasu, dobrze?

– Dobrze.

W pewnym miejscu wodorosty zbiły się w tak ciasny gąszcz, że zastanawiali się nad powrotem, lecz wspólnym wysiłkiem – jeden odciągał zbite rośliny na bok, a drugi wciskał się głębiej – zdołali przebyć kolejne dwieście metrów ciemnego korytarza. Wreszcie drogę – czego się z góry spodziewali – zagroziła im ściana. Daeman omiótł jednak otoczenie światłem latarki i po chwili poszukiwań znaleźli wbudowany w czarną przegrodę biały prostokąt. Daeman – to on miał przy sobie broń – przedarł się przez półprzepuszczalną błonę jako pierwszy.

– Co tam jest? Widzisz coś?! – zawołał Harman. Sam czekał w korytarzu.

– Oczywiście, że widzi – odpowiedział mu głos w słuchawkach. Głos nie należał do Daemana. – Widzi same cuda i dziwy.

# 50

## *llion*

– Opowiedz mi jeszcze raz, co widzisz – poprosił Orphu. W tej chwili nie rozmawiali przez radio, spięli się kablem.

Mahnmut siedział na skorupie większego morawca i wyglądał jak drobnej postury dżokej na grzbiecie wielkiego, unoszącego się nad ziemią słonia. Przepustowość łącza pozwoliła Orphu w kilka sekund przesłać przyjacielowi bazę danych języka greckiego oraz tekst „Iliady”.

– Przywódcy obu armii spotkali się na wzgórzu pod Troją – zaczął Mahnmut. – My stoimy tuż za delegacją Greków. W jej skład wchodzi Achilles, Hockenberry, Odyseusz, Diomedes, obaj Ajaksowie, Nestor, Idomeneus, Toas, Tlepoemos, Nireus, Machaon, Polipoetes, Meriones i kilka innych osób. Co prawda, Hockenberry przedstawiał ich wszystkich, ale zrobił to szybko i części imion nie dosłyszałem.

– Jakto? Nie ma Menelaosa i Agamemnona?

– Nie. Atrydzi zostali w obozie, gdzie nadal dochodzą do siebie po pojedynkach z Achillesem.

Hockenberry mówił, że opiekuje się nimi Asklepios, tutejszy uzdrowiciel. Bracia mają pogruchotane żebra, trochę niegroźnych ran, jakieś sińce i otarcia. Wylizają się. Aha, Menelaos ma dodatkowo wstrząśnienie mózgu, dostał od Achillesa tarczą w głowę. Według scholiasty wstaną na nogi już za dzień lub dwa.

– Ciekawe czy ten cały Asklepios pomógłby mi odzyskać oczy i rękę. – Orphu zarechotał.

Mahnmut nie wiedział co powiedzieć.

– A Trojanie? – podjął z niekłamaną ciekawością większy morawiec. Mahnmur tak zawsze wyobrażał sobie ton głosu ludzkiego dziecka: radosny, pełen entuzjazmu, niemal szczęśliwy. – Kogo na to spotkanie przysłali?

Mahnmur stanął na spękanej obudowie przyjaciela i wyjrzał ponad głowami achajskich herosów.

– Delegacji przewodzi naturalnie Hektor – powiedział. – Nietrudno go poznać w tym wysokim hełmie z czerwoną kitą. Ma też na sobie czerwony płaszcz. Zupełnie jakby bojowym rynsztunkiem rzucał bogom wyzwanie do walki.

Mahnmur już wcześniej zrelacjonował Orphu scenę, którą znał z opowieści Hockenberry'ego.

Hektor z Andromachą przeszli wśród tysięcy wojowników Ilionu, niosąc w dłoniach zmasakrowane zwłoki ich małego synka, Skamandriosa, spowite w zakrwawione, królewskie beciki.

Demonstrowali zabitego chłopca wszem wobec. Hockenberry mówił, że chociaż przed tym ponurym pochodem wielu Achajów wciąż zamierzało wsiąść na czarne okręty i uciec na pełne morze, to kiedy ujrzeli zamordowane dziecko księżęcej pary wszyscy – zarówno Trojanie, jak i Grecy – zapalali żądzą zbrojnego odwetu na bóstwach, nawet za cenę zawarcia sojuszu z niedawnym przeciwnikiem.

– No dobrze, a kto przybył z Hektorem? – zapytał Orphu.

– Tuż obok niego stoi Parys. Następnie mamy sędziwego doradcę, Antenora i króla Priama we własnej osobie. Obaj starcy trzymają się nieco na uboczu, nie wchodzą Hektorowi w paradę.

– Wydaje mi się, że obaj synowie Antenora, Akamus i Archelochus zginęli już jakiś czas temu – przypomniał Orphu – z ręki Ajaksa z Telamonu, Ajaksa Wielkiego.

– Tak, chyba tak – zgodził się Mahnmur. – Bratanie się z wrogami musi stanowić dla nich nie lada wyzwanie. Właśnie ściskają sobie przedramiona na powitanie. A Ajaks Wielki rozmawia z Antenorem jak gdyby nigdy nic.

– Cóż, to wszystko zawodowi żołnierze – zauważył Orphu. – Wychowują synów z myślą o wojnach i zdają sobie sprawę z ryzyka. Kogo jeszcze wziął ze sobą Hektor?

– Na przykład Eneasza – powiedział mniejszy morawiec.

– Ach, „Eneida”. – Orphu westchnął z lubością. – Jego przeznaczeniem jest... było... zostać jedynym ocalałym członkiem królewskiego rodu Troi. Umknie... umknął z płonącego miasta, zabierając ze sobą swojego syna, Askaniusza i nieliczną grupkę obywateli. Po wielu perypetiach to oni założą Rzym. Wedle Wergiliusza, Eneasza wkrótce...

– Nie wybiegajmy może w przyszłość – przerwał przyjacielowi Mahnmut.

– Jak to powiedział Hockenberry, karty zostały rozdane na nowo. Nie pamiętam, by w „Iliadzie” znajdował się fragment opisujący sojusz Greków i Trojan, planujących beznadziejną krucjatę przeciwko mieszkańcom Olimpu.

– Racja – przyznał Orphu. – Kogo jeszcze widzisz w świecie Hektora?

– Otrioneusa – powiedział Mahnmut. – To narzeczony Kasandry.

– Mój Boże – rzucił wielki morawiec. – Otrioneus ma przecież zginąć dziś wieczorem lub jutro.

Powali go Idomeneus podczas bitwy o greckie okręty.

– Nowe rozdanie – przypomniał Mahnmut. – Moim zdaniem do starcia w greckim obozie w ogóle już nie dojdzie.

– Wyliczaj.

– Deifobos, kolejny z synów Priama – powiedział Mahnmut. – Zbroję wypolerował na tę okazję tak starannie, że kiedy na niego patrzę, muszę włączać filtry polaryzacyjne. Obok Deifobosa widzę tego gościa z Pedaeonu, zięcia Priama. Zaraz, jak on się nazywa... Imbrius!

– Rany – rzucił Orphu. – Imbrius za kilka godzin padnie zastrzelony przez Teukrosa.

– Daj wreszcie spokój! – syknął Mahnmut. – Jeszcze cię ktoś usłyszy.

– Podśłuchają rozmowę po kablu? – Orphu zarechotał głucho. – Nie kpij, stary druhu. Chyba że ci Grecy i Trojanie dysponują lepszym sprzętem, niż opowiadałeś.

– Tak czy inaczej przestań, bo mieszasz mi w głowie – burknął mniejszy morawiec. – Według tej twojej głupiej „Iliady”, z ludzi, którzy pojawili się na tym wzgórzu, co najmniej połowa ma polec za dzień lub dwa.

– Po pierwsze, to nie jest moja głupia „Iliada”, a po drugie...

– Gramy nowe rozdanie – uciał Mahnmut. – Oho!

– Co się dzieje?

– Negocjacje dobiegły właśnie końca. Hektor i Achilles zbliżają się do siebie... ściskają sobie przedramiona... Wielki Boże!

– No co? Mówże!

– Słyszysz to? – jęknął Mahnmut.

– Nie. – Orphu spochmurniał.

– Przepraszam cię, przepraszam – rzucił pośpiesznie Mahnmut. – Ja nie tak dosłownie... Nie chciałem cię urazić. Chodziło mi o... Przepraszam.

– Dość już – syknął Orphu. – Czego nie usłyszałem?

– Obie armie, Grecy i Trojanie, podniosły wrzawę. Hałas jest wprost ogłuszający. Rany boskie.

Setki tysięcy Achajów i obrońców Ilionu... Wiwatują wspólnie... Wymachują proporcami, wywijają w powietrzu mieczami, włóczniami i chorągwiami... Tłum ciągnie się aż pod mury miasta. Tam zresztą, na blankach, również stoją gapie. Widzę stąd Andromachę, Helenę i resztę Trojanek, o których opowiadał Hockenberry. One też wołają. Pozostali Achajowie, ci dotąd niezdecydowani, którzy zostali przy okrętach, wyszli teraz zza fosy i dołączyli do reszty. Ależ to jest hałas!

– Za to ty wcale nie musisz się drzeć – skomentował oschle Orphu. – Przypominam, że rozmawiamy przez kabel. Co się dzieje?

– Wiesz... Właściwie niewiele – przyznał Mahnmut. – Dowódcy i oficerowie podają sobie ręce.

W Troi biją w dzwony i gongi. Wojownicy mieszają się ze sobą, Grecy i Trojanie spotykają się na ziemi niczyjej, poklepują się po ramionach, przedstawiają sobie wzajemnie... Co więcej, wszyscy wyglądają na gotowych do walki, tyle że...

– Nie mają z kim walczyć – dokończył za przyjaciela Orphu.

– Właśnie.

– Może bogowie wcale nie zechcą pojawić się na placu? – zasugerował większy morawiec.

– Szczerze wątpię – odparł Mahnmut.

– A może Urządzenie rozniesie Olimp na miliony kamyków?

Mahnmut zastanowił się nad taką ewentualnością. Widział bogów i boginie,

tysiące rozumnych, myślących istot. Nie pałał radością na myśl o dokonaniu masowego ludobójstwa.

– Ile zostało nam czasu, zanim ten twój prowizoryczny zapalnik uruchomi Urządzenie? – zapytał Orphu, mimo że odpowiedź musiał znać już wcześniej.

Mahnmut sprawdził czas.

– Pięćdziesiąt cztery minuty.

Nagle niebo zasnuły ciężkie kłęby czarnych chmur. Wyglądało na to, że bogowie raczyli się jednak pojawić.

Nurkując w toni kalderowego jeziora na szczycie Olympus Mons, Mahnmut nie żywił większej nadziei na przetrwanie. Potrzebował tylko kilku chwil, by przygotować Urządzenie do rozruchu – może do detonacji? – i stwierdził, że głębiny i panujące pod wodą ciśnienie pozwolą mu zyskać odpowiednią ilość czasu.

Nie pomylił się. Po zejściu na osiemset metrów poczuł się jak w domu. Ciśnienie zaczęło przyjemnie ugniatać każdy milimetr kwadratowy jego konstrukcji. Wypatrzył skalną półkę na zachodniej ścianie głębokiej kaldery, gdzie zdołał odetchnąć, zamocować i przygotować Urządzenie. Bogowie nie ścigali go w odmętach. Mahnmut nie miał pojęcia czy nie lubili pływać, czy też niezbyt rozsądnie uznali, że siekąc jezioro promieniami laserów i wiązkami mikrofal, wywabią go na powierzchnię. Nie wiedział i zupełnie go to nie interesowało.

Podczas gwałtownie przerwane go lotu balonem nie chciało mu się konfigurować zdalnego detonatora, więc musiał zrobić to teraz, mając nad głową osiemset metrów wody, w ciemności, oświetlając jajowate, makromolekularne Urządzenie zamontowanymi na piersi reflektorami. Zdjął z transmetalowej obudowy pokrywę i wykorzystał kilka własnych części – jeden z czterech akumulatorów pomógł uzyskać niezbędne napięcie. Sygnał aktywujący wymagał trzydziestu dwóch woltów. Jeden z trójki odbiorników radiowych skończył przyspawany laserem do panelu kontrolnego, a sam zapalnik czasowy wykonał, korzystając ze swojego zewnętrznego chronometru.

Na koniec przymocował jeszcze prymitywny czujnik zbliżeniowo-ruchowy, przerobiony z własnego transpondera. Zrobił to po to, by Urządzenie zadziało, gdyby spróbował przy nim manipulować ktokolwiek niepowołany.

Jeżeli te nędzne podróbki bogów zdecydują się po mnie zanurkować, odpalę ustrojstwo ręcznie, pomyślał, siedząc na skale osiemset metrów pod taflą jeziora. Nie chciał jednak dokonywać samozniszczenia – o ile Urządzenie rzeczywiście było bombą – ani spędzić w głębinach całego dnia.

Ten człowiek, Hockenberry, obiecał że po niego wróci, więc Mahnmut cierpliwie czekał. Bardzo chciał spotkać się z Orphu. Poza tym ich misja – a ściśle rzecz biorąc, misja nieżyjących Korosa III i Ri Po-polegała na dostarczeniu Urządzenia jak najbliżej Olympus Mons i nadaniu informacji o tym fakcie w okolicy Jowisza. Oba założone cele zostały już zrealizowane. Przynajmniej w pewnym sensie, zatem morawiec z lo i Mahnmut wykonali swoje zadanie.

W takim razie, dlaczego nadal ukrywam się prawie kilometr pod powierzchnią tego jeziora?

Przypomniawszy sobie bulgoczącą powierzchnię, wyobraził sobie rozwścieczonych bogów strzelających laserami do wody i zaśmiał się. Przecież ta woda i tak powinna wrzeć. W końcu na wierzchołku Olympus Mons powinna panować doskonała próżnia.

Wreszcie nastąpiła pora umówionego powrotu człowieka i – o dziwo – Hockenberry przybył mu w porę na ratunek.

\* \* \*

– Opisz mi Ziemię – poprosił Orphu na Wzgórzu Chwastów. Mahnmut zsunął się już z jego skorupy i ciągnął lewitującego przyjaciela za sobą na uwiązanej do uprząży linie. – I powiedz raz jeszcze, naprawdę sądzisz, że jesteśmy właśnie na Ziemi? – dodał.

– Jestem co do tego przekonany – stwierdził Mahnmut. – Pasuje grawitacja, zgadza się skład atmosfery, słońce ma mniej więcej właściwą wielkość, a roślinność odpowiada tej, którą znam z archiwów. No i są tutaj ludzie, aczkolwiek ci, których dotąd widziałem, wyglądają tak, jakby regularnie uczęszczali do najlepszej siłowni w Układzie Słonecznym.

– Naprawdę tacy ładni? – upewnił się większy morawiec.

– Owszem, o ile ludzi można nazwać ładnymi – przyznał Mahnmut. – Ale

kto wie? Nigdy przedtem nie widziałem nawet jednego *homo sapiens*. Jak na razie, jedynie Hockenberry przypomina przeciętne osobniki z zachowanych w archiwach zdjęć, filmów i hologramów.

– A myślisz, że... – zaczął Orphu.

– Ciii – nadał Mahnmur przez radio. Kabel łącznościowy odłączył już przedtem, by móc zejść z obudowy przyjaciela. Nad pobojowiskiem wciąż gęstniały zwały chmur. – Achilles przemawia właśnie do wojowników zjednoczonej armii.

– Rozumiesz, co mówi?

– Jasne, że rozumiem. Bazy danych zadziałały od razu, aczkolwiek znaczenie niektórych idiomów i kolokwializmów wnioskuję tylko z kontekstu.

– Twierdziłeś, że są ich tysiące. Przemawia przez jakiś megafon?

– Ten człowiek ma żelazne płuca – wyjaśnił Mahnmur. – Oczywiście w przenośni. Ale jestem pewien, że słychać go nawet nad samym morzem i na murach Troi.

– O czym mówi? – zaciekawił się Orphu.

– Wypieram się was, o bogowie... i tak dalej i dalej... głosem monarszym nakażę zniszczenie...

i spuszczę psy wojny... znowu nudy... – zacytował mniejszy morawiec.

– Chwilka – wtrącił Orphu. – Naprawdę przywołał wers z Szekspira?

– Nie, nie – sprostował Mahnmur. – Tłumaczę dość swobodnie.

– No proszę. A już myślałem, że odkryliśmy grubszą aferę. Wiesz, prawa autorskie, plagiaty i tak dalej. Kiedy uruchomi się Urządzenie?

– Jeszcze czterdzieści jeden minut – powiedział Mahnmur. – Czyżby szwankował ci...

– Co jest? – rzucił Orphu.

\* \* \*

Gromowładny zjawił się w połowie buńczucznej mowy Achillesa. Grecki heros zamilkł. Dwieście tysięcy twarzy ludzkich i jedno oblicze robota zgodnie uniosło się ku trojańskiemu niebu.

Zeus wyleciał spod zgęstniałych, ciemnych chmur w złotym rydwanie,



zaprężonym w cztery przepiękne, holograficzne rumaki. Stojący obok Achillesa i Odyseusza Teukros, najprzedniejszy wśród Achajów łucznik, przymierzył i wypuścił pod niebo strzałę, lecz boski zaprzęg frunął zbyt wysoko, a poza tym – Mahmmut nie miał najmniejszych wątpliwości – chroniło go pole siłowe.

Strzała zakreśliła w powietrzu łuk i spadła w gąszcz krzewów u podnóża wzniesienia, na którym zebrali się przywódcy obu armii.

– Poważycie się wystąpić przeciw mnie?! – Okrzyk Zeusa przetoczył się po dawnym polu bitwy, odbił od miejskich murów i dotarł nad morze. – Przekonacie się więc, jaka jest kara za pychę!

Rydwan wzbił się wyżej, przyśpieszył i odleciał na południe. Król bogów skierował się w stronę majaczącej na horyzoncie Góry Ida. Być może tylko dysponujący teleskopowym wzrokiem Mahmmut zdołał dostrzec niewielką, srebrną kulę, jaką Gromowładny wyrzucił za burtę w odległości mniej więcej piętnastu kilometrów od miasta.

– Padnij! – ryknął mały morawiec po grecku, pełną mocą głośników. – Jeśli wam życie miłe, rzućcie się na ziemię! I nie patrzcie na południe!

Kilka osób posłuchało.

Mahmmut chwycił linę i, taszcząc za sobą Orphu, pognał na skraj wzgórza, ku oddalonemu o trzydzieści metrów głazowi. Lepszej osłony w pobliżu nie było.

Błysk oślepił tysiące ludzi. Filtry kamer Mahmmuta zadziałały automatycznie, kiedy natężenie światła podskoczyło z sześciu do trzystu. Nie zatrzymał się nawet na chwilę. Orphu podskakiwał za nim na sznurze niczym olbrzymia zabawka.

Fala uderzeniowa dotarła na pole w kilka sekund po rozbłysku. Z południa podniosła się ściana kurzu, w której wyraźnie widać było fale gęstniejącego, rozpędzonego powietrza. Zerwał się huraganowy wicher. Jeszcze przed chwilą powiewy osiągały najwyżej pięć kilometrów na godzinę, teraz pędziły z prędkością co najmniej stu. Setki namiotów poderwały się z ziemi i wzbiły pod niebo. Spanikowane konie umknęły właścicielom. Bielejące na morzu grzbiety fal zostały w jednej chwili zdmuchnięte w dal.

Fala uderzeniowa pospołu z hukiem powaliły na ziemię wszystkich –

wszystkich z wyjątkiem Hektora i Achillesa. Wzmoczone gwałtownie ciśnienie przygniatało, wprawiając w drgania ludzkie kości i mechaniczne części morawców. Mahnmut poczuł dygotanie swych organicznych narządów.

Wydawało się, że wyje i ryczy sama ziemia, oburzona bezczelnością ludzi. Setki wojowników stojących dwa kilometry od wzgórza ogarnęły płomienie, a ich ciała zerwały się w powietrze, z którego na tysiące skulonych, uciekających na północ Greków i Trojan spłynęły już jedynie popioły.

Część trojańskich murów zadygotała i runęła, pociągając ze sobą dziesiątki ludzi. Kilka drewnianych wież miasta buchnęło ogniem. Jedna – ta, z której Hockenberry obserwował pożegnanie Hektora z żoną i synem – osunęła się z łoskotem na ziemię.

Achilles i Hektor unieśli ręce do twarzy i osłonili oczy przed straszliwym błyskiem, który rzucił na Wzgórze Chwastów długie na sto metrów cienie obu wojowników. Stojące na kurhanie amazonki Myrine wielkie głązy zadygotały, pochylały się i upadły, miażdżąc uciekających Achajów i Trojan.

Błyszczący hełm Hektora stracił swą bujną czerwoną kitę z końskiego włosia, wyszarpiętą przez huraganowy powiew, jaki zerwał się zaraz po przejściu fali uderzeniowej.

– Czy coś się stało? – zapytał Orphu.

– Tak. Stało się – odpowiedział szeptem Mahnmut.

– Wyczułem przez obudowę wibracje i nagły wzrost ciśnienia – dodał Orphu.

– Nie dziwię się.

Morawiec z lo nie został porwany przez wiatr wyłącznie dlatego, że Mahnmut uwiązał go zawczasu do największej skały, jaką zdołał znaleźć po zawietrznej stronie głązu, za którym się schronili.

– Co...? – podjął Orphu.

– Momencik – przerwał przyjacielowi Mahnmut.

Przypominająca wielki grzyb chmura rozrosła się już na dziesięć kilometrów pod niebo. Ku stratosferze wznosiły się słupy dymu i tony radioaktywnego śmiecia. Ziemią kołysały tak gwałtowne wstrząsy wtórne, że nawet Achilles z Hektorem woleli przyklęknąć, niż pozwolić się powalić jak dziesiątki tysięcy ich żołnierzy.

Atomowy kłęb przekształcił się w twarz.

– Chcecie wojny, śmiertelnicy?! – ryknęło brodate oblicze Zeusa, wryte w unoszącej się, skotłowanej, z wolna rozwiewającej chmurze. – Nieśmiertelni bogowie chętnie wam pokażą jak należy wojować.

# 51

## *Pierścień równikowy*

Prospero miał na sobie powłóczystą, granatową szatę, ozdobioną jaskrawymi haftami, przedstawiającymi galaktyki, planety, gwiazdy i komety. W naznaczonej wątrobowymi plamami prawej dłoni dzierżył rzeźbioną laskę. Lewą rękę oparł na opasłej, grubej na stopę księdze. Zdobny fotel z szerokimi oparciami nie był co prawda tronem w ścisłym sensie, lecz i tak przydawał siedzącemu na nim magowi władczej aury, dodatkowo podkreślanej przez lodowate spojrzenie oczu. Prospero był niemal zupełnie łysy. Tylko tuż za uszami i z tyłu głowy rzadkie pasma siwych włosów spływały lokami na kołnierz płaszcza. Głowa księcia tkwiła na wychudłej z wiekiem starczej szyi, lecz rysy mężczyzny wciąż wyrażały żelazną wolę i siłę charakteru. Całości dopełniały obojętne, lub być może wręcz okrutne, niewielkie oczy, wydatny orli nos i ostro zaznaczony podbródek, nieokolony zwałami tłuszczu czy obwisłymi policzkami. Wąskie, drwiąco uniesione ku górze wargi czarnoksiężnika zdradzały skłonność do ironii. Prospero był – naturalnie – hologramem.

Daeman spojrzał na Harmana, który przecisnął się gwałtownie przez półprzepuszczalną ściankę i upadł na podłogę, zaskoczony nagłym skokiem ciężenia. Sam chwilę wcześniej przewrócił się z identycznego powodu. Starszy mężczyzna zobaczył, że Daeman siedzi w wygodnym fotelu i oddycha bez osmotycznej maski, więc zdjął i swoją. Odetchnął głęboko świeżym powietrzem, po czym ruszył chwiejnym krokiem ku drugiemu wolnemu siedzeniu.

– Tutejsza grawitacja wynosi jedną trzecią ziemskiej – odezwał się

Prospero – ale wy, po miesiącu spędzonym praktycznie w stanie nieważkości, musicie się u mnie czuć jak na Jowiszu.

Goście nie skomentowali.

Pomieszczenie było zbudowane na planie koła o średnicy około piętnastu metrów i pokrywała je przeszklona kopuła. Daeman nie zauważył jej podczas lotu na krzesłach, ponieważ zbliżali się ku asteroidzie od jej południowego bieguna, a teraz znaleźli się na północnym. Całość musiała z zewnątrz przypominać długą i wąską metalową łodygę, na której końcu kołysał się szklany grzyb.

Jedynym źródłem światła był tu lśniący słabym blaskiem okrągły, wirtualny pulpit sterowniczy, widniejący na środku pokoju, za plecami Prospera. Z zewnątrz wlewała się pod kopułę poświata Ziemi, Księżycy i gwiazd. W efekcie było na tyle jasno, że chłopak zdołał docenić arcyzm, z jakim wyszyto hafty na szacie maga oraz rzeźbienia pokrywające długą, wyslizganą przez lata użytkowania laskę.

– Ty jesteś Prospero – odezwał się Harman. Opięta niebieską termoskórą pierś mężczyzny gwałtownie falowała.

Także i Daeman poczuł zawroty głowy, gdy tylko odetchnął świeżym powietrzem. Miał wrażenie, że zachłysnął się mocnym, aromatycznym winem.

Czarnoksiężnik skinął głową.

– Ale nie jesteś prawdziwy – dodał Harman, mimo że gospodarz wydawał się najzupełniej konkretny. W słabym ciężeniu haftowany płaszcz spływał po ciele czarnoksiężnika pięknymi, pełnymi życia fałdami.

– To również prawda. – Prospero wzruszył ramionami. – Jestem jedynie nagrany echem cienia majaku. Ale widzę was i słyszę, mogę prowadzić z wami rozmowę i współczuć wam z powodu perypetii, jakie stały się waszym udziałem. Nie wszystkie prawdziwe istoty mogłyby to o sobie powiedzieć.

Daeman obejrzał się przez ramię. Dłoń z pistoletem oparł swobodnie na kolanie.

– Czy przyjdzie po nas Kaliban?

– Nie – odparł Prospero. – Mój dawny sługa wciąż się mnie lęka. Boi się tego mówiącego wspomnienia po mnie. Gdyby była z nim na tej wyspie błękitnooka wiedźma, która go powiła, przeklęta kwantowa jędza Sykoraks,

dopadłaby was w okamgnieniu. Ale Kaliban nadal żyje w strachu przede mną.

– Prospero – podjął Daeman – musimy się stąd wydostać. Chcemy wrócić na Ziemię. Cali i zdrowi. Czy mógłbyś nam pomóc?

Starzec oparł swój kostur o fotel i uniósł sędziwe dłonie.

– Być może.

– Tylko być może? – dopytał chłopak.

Prospero pokiwał głową.

– Będąc echem odbicia cienia, nie mogę niczego zrobić osobiście. Jestem jednak w stanie podzielić się z wami wiedzą. Do czynów przejdziecie wedle własnej woli, o ile ją rzecz jasna posiadacie. Niewielu waszych pobratymców może się pochwalić silną wolą.

– W jaki sposób możemy się stąd wydostać? – rzucił Harman.

Prospero przesunął dłonią nad księgą i ponad wirtualnym pulpitem za jego plecami pojawił się inny hologram. Przedstawiał asteroidę i kryształowe miasto, oglądane z perspektywy kilku mil.

Wzniesione ze złocistego szkła wieże obracały się powoli wraz z wielką, wirującą wokół własnej osi skałą. Daeman rzucił okiem na błękitno-białą Ziemię, która ukazała się właśnie za szybą kopuły, i zrozumiał, że holograficzny obraz ukazuje asteroidę w czasie rzeczywistym.

– Patrzcie! – wykrzyknął Harman i wskazał coś palcem. Odruchowo zerwał się z miejsca, lecz ciężenie sprawiło, że zachwiał się i przytrzymał oparcia fotela. – Patrzcie! – powtórzył.

Chłopak zobaczył. Na tarasie zawieszonym pięćset lub sześćset stóp nad poziomem gruntu, na wieży, przez którą dostali się do miasta, zalany rzucanym przez Ziemię blaskiem lśnił metalowy kadłub sonika.

– Szukaliśmy tylko w mieście – szepnął Daeman. – Nie przyszło nam do głowy, że ktoś mógł zaparkować pojazd na zewnątrz.

– Wygląda zupełnie jak sonik, którym poleciliśmy do Jerozolimy – zauważył Harman, kiedy pochylił się, by lepiej obejrzeć hologram.

– Bo to jest ten sam sonik – powiedział Prospero. Mag ponownie ruszył dłonią i obraz zniknął.

– Niemożliwe! – zaprotestował Daeman. – Savi twierdziła, że soniki nie są w stanie dolecieć do pierścieni.

– Po prostu nie miała o tym pojęcia – stwierdził starzec. – Ariel uwolnił wasz pojazd spod usypanych przez wojniksy kamieni i zaprogramował go do lotu na orbitę.

– Ariel? – powtórzył chłopak. Był wycieńczony i dręczył go okrutny głód. Poszukał w pamięci. – Ten Ariel? Uosobienie ziemskiej biosfery?

– I tak można go nazwać. – Prospero uśmiechnął się łagodnie. – Savi nigdy nie zetknęła się z nim osobiście. Kontaktowali się wyłącznie za pośrednictwem wszechsieci. Staruszka przez cały czas uważała, że Ariel jest osobowością męską, podczas gdy w rzeczywistości najczęściej wciela się w postać kobiety.

Po cholereę on o tym opowiada? – przemknęło Daemanowi przez myśl.

– Czy możemy tym Sonikiem wrócić na Ziemię? – postanowił się upewnić.

– Tak sędzę – odpowiedział Prospero. – Wydaje mi się, że Ariel zaprogramował pojazd, by odwiózł waszą trójkę do Dworu Ardis. Znowu *deus ex machina*, widzicie. Wcale mi się nie podoba, że sonik tu przyleciał.

– Dlaczego nie? – zdziwił się Harman. – Ach. – Zrozumiał i pokiwał głową. – Kaliban.

– Właśnie – rzucił Prospero. – Gdyby mój niegdysiejszy, potworny sługa wyszedł w otwartą próżnię bez skafandra lub termoskóry artretyzm wkręciłby mu się w stawy, a próżnia ściągnęłaby kurczami mięśnie i skórę wyszczypała w sińce. Zapomniał się niestety i przegryzł kombinezon nieszczęsnej Savi[7].

– W zeszłym miesiącu miał mnóstwo okazji, by zdobyć dwa całe skafandry. – Daeman odezwał się tak cicho, że jego szept utonął w szumie klimatyzacji.

Ziemia za szybami zniknęła i pomieszczenie załała gwiazdna poświata. Nad Prosperem wzeszedł sierp księżyca.

– Zapewne by to zrobił, lecz nie jest bogiem – powiedział mag. – Savi nie zdołała go co prawda zabić, ale poważnie go zraniła. Kaliban uciekł głęboko pod powierzchnię, by wyzdrowieć, znalazł schronienie w najgłębszych grotach, gdzie okłada swe rany mułem i odzyskuje siły, pijąc krew jaszczurek.

– Jedliśmy i piliśmy to samo, co on – zauważył Daeman.

– Owszem. – W uśmiechu starego Prospera błysnęły żółte zęby. – Ale wam ta strawa nie przypadła do gustu.

– Czy możemy do tego sonika jakoś się dostać? – zapytał Harman. – I

jeszcze... Masz może coś do jedzenia?

– Odpowiedź na twoje drugie pytanie brzmi: nie – odparł Prospero. – Na tej skalistej wyspie przez ostatnie pięćset lat jada jedynie Kaliban. Na pierwsze pytanie odpowiem jednak twierdząco.

Wysoko na wieży znajdziecie błonę, przez którą wyjdziecie na taras lądowiska. Dzięki termoskórom możecie... powiadam: możecie... zdążyć uruchomić pojazd i włączyć program autopilota.

Pamiętacie jak się tę maszynę obsługuje?

– No, chyba... przyglądałem się Savi... w sensie... – wyjąkał Harman. Potrząsnął głową, jakby wpadł w pajęczynę. W jego spojrzeniu znać było takie samo potężne wyczerpanie, jakie nękało Daemana. – Poradzimy sobie. Musimy. Innego sposobu nie ma.

– Żeby dotrzeć do tej wieży, będziecie musieli przejść przez konserwatornię i przetrwać ewentualne spotkanie z Kalibanem – powiedział Prospero. Starzec powiódł badawczym spojrzeniem po twarzach obu gości. – Czy przed ucieczką musicie zrobić coś jeszcze?

– Nie – stwierdził Harman.

– Tak – rzucił chłopak.

Zdołał wstać z fotela i niepewnym krokiem podszedł do obłej, szklanej ściany. Ujrzał własne odbicie – był śmiertelnie wychudzony i zarośnięty, lecz w jego oczach zajaśniał świeży, nieobecny dawniej blask.

– Musimy zniszczyć konserwatornię – powiedział Daeman. – Rozwalimy ją, cholera, w drobny mak.

7 Podobne słowa wypowiada Prospero w „Burzy” W. Szekspira.



*Ilion i Olimp*

Z jakiegoś powodu pędzę wraz z uciekającymi ze Wzgórza Chwastów Trojanami ku otwartej w Bramie Skajskiej furcie, będącej teraz najważniejszą drogą wejściową do miasta. Wiatr wciąż okrutnie zawodzi, słyszymy go wyraźnie, mimo że wszyscy jesteśmy nadal częściowo ogłuszeni grzmiotem wybuchu. Gdy po raz ostatni rzucam okiem za siebie na atomowy grzyb-tłum żołnierzy Ilionu bezceremonialnie popycha mnie naprzód – zauważam, że kolumna dymu i popiołów zaczyna pod naporem wiatru nachylać się ku południowemu wschodowi. W kapeluszu grzyba można się jeszcze przez chwilę dopatrzeć podobieństwa do twarzy Zeusa, lecz powiewy i bezwład samej chmury rozmywają i te ostatnie rysy.

Ciążba napiera, ginie mnóstwo stratowanych ludzi, więc Hektor rozkazuje strażom otworzyć Bramę Skajską na oścież, czego Ilion nie widział od ponad dziewięciu lat. Tysiące uciekających wojowników wlewają się za mury.

Argiwo wie umknęli w kierunku okrętów. Podczas gdy Hektor próbuje przywołać do siebie i uspokoić zdjętych paniką wojowników, zauważam, że Achilles stara się zatrzymać uciekających gremialnie Greków. W „Iliadzie” szalejący po śmierci Patroklosa Achilles – ten homerycki półbóg – zmaga się z wylewającą rzeką i zwycięża. Wznosi tamę z trupów powalonych przez niego Trojan.

Tym razem jednak, tutaj, Achilles nie jest w stanie pohamować tego istnego tsunami Achajów.

Musiałby zacząć ich zabijać całymi setkami, a na to się nie zdobędzie.

Zbity tłum mieszkańców Ilionu unosi mnie w głąb miasta i zaczynam

żałować, że rzuciłem się do ucieczki. Powiniennem był przebić się przez hordy wystraszonych żołnierzy w kierunku wzgórza, na którym widziałem tego małego robota, Mahnmuta, kryjącego się za głazami w pobliżu kurhanu Myrine. Czy robocik – jak one się nazywają? Morawce? – czy więc morawiec wie, że Zeus posłużył się bronią jądrową, niewykluczone, że termonuklearną? Nagle przed oczyma staje mi wspomnienie z poprzedniego życia (w ciągu ostatniego tygodnia nie jest to rzadkość): Susan próbuje mnie zaciągnąć na wykład podczas jednej z interdyscyplinarnych konferencji na uniwersytecie w Indianie. Uparła się, bym wysłuchał naukowca nazwiskiem Moravec, który prezentował teorie dotyczące autonomicznej sztucznej inteligencji. Na imię miał chyba Fritz... A może Hans?

Oczywiście nie dałem się na to namówić. W końcu od zawsze zajmowałem się wyłącznie literaturą antyku. Co mi po wykładzie z nauk ścisłych?

Cóż, teraz tym bardziej nie ma to żadnego znaczenia.

Jakby dla podkreślenia mojej ostatniej myśli, z północy nadlatuje pięć rydwanów – dobrze wiem, z której stacji teleportacyjnej skorzystali piloci. Zaczynają krążyć nad Ilionem, na wysokości trzech bądź czterech tysięcy stóp. Nawet korzystając z maksymalnego zbliżenia, nie umiem rozpoznać małych figurek kierujących połyskliwymi maszynami. Widzę jedynie, że przybyli bogowie obu płci.

Moment później rozpoczyna się bombardowanie. Wyjące potępieńczo strzały spadają na miasto niczym smukłe i srebrne rakiety balistyczne. Przy zetknięciu z ziemią wybuchają, wzbijając w powietrze pył i dym. Rozlegają się wrzaski. W kategorii starożytnych miast Troja jest wielka, lecz strzały padają raz za razem – uświadamiam sobie, że są wypuszczane z łuku Apolla, aczkolwiek strzelcem jest Ares. Zauważyłem go, kiedy obniżył nieco lot, by ocenić skalę zniszczeń. Po niedługim czasie wrzaski i eksplozje słychać już we wszystkich dzielnicach otoczonej murami metropolii.

Dociera do mnie, że nie tylko straciłem kontrolę nad przebiegiem wypadków, lecz utraciłem również kontakt ze wszystkimi, z którymi powiniennem teraz porozmawiać i się naradzić. Ze wszystkimi osobami, którym obiecałem pomoc. Achilles znalazł się zapewne trzy mile ode mnie, wśród swych ludzi, których próbuje powstrzymać przed ucieczką na pełne morze. Ze

strony obozu Achajów dolatuje łoskot kolejnych eksplozji – konwencjonalnych tym razem, nie atomowych – i biorąc je pod uwagę, nie mam bladego pojęcia, w jaki sposób heros zdoła przemówić swym armiom do rozumu.

Hektora też nigdzie nie widzę, a potężne skrzydła Bramy Skajskiej znów zaczynają się zamykać – jakby Trojanie sądzili, że zdołają w ten sposób powstrzymać atak bogów. Biedny Mahnmur i Orphu – ten jego milczący przyjaciel – zostali już jak sądzę zniszczeni. Nie wydaje mi się, by cokolwiek miało szansę ocaleć pod tak zaciekle, niebiańskim ostrzałem.

Wybuchy wstrząsają głównym targiem miasta. Trojańscy żołnierze w hełmach z czerwonymi kitami pędzą, by obsadzić mury, lecz przecież wróg nie stoi pod nimi. Złoty rydwan ponownie obniża lot, wyrównuje tuż poza zasięgiem łuczników i pięć srebrnych strzał uderza jak pociski „Scud” w okolice południowego muru, w główną studnię Ilionu i, zdaje się, prosto w pałac Priama.

Obrazy, jakie mam przed oczyma, coraz bardziej przypominają telewizyjne relacje z drugiej wojny w Iraku. Tuż nim zapadłem na raka, napatrzyłem się na nie w CNN do przesytu.

Hektor! Bohater Troi zapewne próbuje właśnie zaprowadzić porządek w swoich szeregach, lecz jako że nie może wydać im żadnego sensownego rozkazu poza tym, żeby szukali wszelkiej możliwej osłony, wydaje się prawdopodobne, że wrócił do domu, by upewnić się czy Andromacha jest bezpieczna. Przypominam sobie ten pusty, zalany krwią dziecięcy pokój i krzywię się zdjęty obrzydzeniem, mimo że stoję na zadymionej, hałaśliwej ulicy bombardowanego miasta. Książęca para nie miała nawet czasu na wyprawienie synkowi pogrzebu.

Chryste Panie, czy to wszystko przeze mnie?

Rydwan przelatuje nisko nad dachami. Wybuch niszczy blanki na głównym murze i wyrzuca w powietrze kilkunastu żołnierzy w czerwonych płaszczach. Na bruk spada deszcz poszatkowanych ciał, grad ludzkiego mięsa zasypuje pobliskie budynki.

Nagle uderza mnie następne wspomnienie. Przypominam sobie podobny horror, który wydarzy się na tym świecie za trzydzieści dwa stulecia, dwa tysiące jeden krwawych lat po narodzinach Chrystusa. Oczyma duszy widzę

spadające na asfalt ciała, ścianę pyłu i fragmentów budynków, ścigającą tysiące spanikowanych ludzi. Główna arteria Ilionu wygląda w tej chwili identycznie.

Różnice sprowadzają się do mody i architektury.

Historia nie uczy nas niczego. Nic się nie zmienia.

Puszczam się biegiem w stronę domu Hektora. Wokół biją kolejne pociski, niszczą plac za bramą, z której dopiero co wyskoczyłem. Z kupy gruzu, która jeszcze przed chwilą była piętrowym budynkiem, wychodzi małe, słaniające się dziecko. Nie potrafię stwierdzić, czy to chłopczyk, czy dziewczynka. Twarz dziecka jest zalana krwią, a kędzierzawe włosy pokrywa gruba warstwa kurzu.

Zatrzymuję się i przyklękam, by chwycić dziecko w ramiona. Dokąd mógłbym je zanieść? Przecież w Troi nie ma szpitala! Nagle jednak nadbiega kobieta w czerwonej chuście na głowie. Uprzedzając mnie, bierze dziecko na rękę. Ścieram z czoła zalewające mi oczy strużki potu i ruszam chwiejnym krokiem dalej, ku rezydencji księcia Ilionu.

Zniknęła. Nie ma jej. Z całego pałacu Hektora zostało tylko rumowisko i kilka ziejących w ziemi dziur. Raz po raz muszę osuszać brwi, ale nawet kiedy widzę wyraźnie, nie wierzę własnym oczom.

Boskie strzały zmiotły z powierzchni cały kwartał. Trojańscy wojownicy natychmiast zaczęli przeszukiwać zgliszcza, rozkopują kamienie włóczniami i prowizorycznymi łopatami. Dumne czerwone kity poszarzały od unoszącego się w powietrzu kurzu. Żołnierze tworzą żywy łańcuch i przekazują sobie z rąk do rąk zwłoki i części ciał. Wynoszą je na ulicę.

– Hock-en-ber-riii – dobiega do mnie głos. Ktoś już dobrą chwilę powtarza moje nazwisko.

Wreszcie chwyta mnie za rękaw. – Hock-en-ber-riii!

Odwracam się, mrugam, by strącić z rzęs świeże krople potu, i spoglądam w otępieniu prosto na Helenę. Jest brudna, ma zbryzganą krwią suknię, włosy w nieładzie. Jeszcze nigdy nie widziałem równie pięknego widoku. Tuli się do mnie, biorę ją w ramiona.

Odsuwa się gwałtownie.

– Czy to poważne rany, Hock-en-ber-riii?

– Co?

– Czy twoje rany są groźne?

– Nie jestem ranny – odpowiadam.

Helena gładzi mnie po twarzy, a kiedy odrywa dłoń, widzę na jej palcach świeżą krew. Dotykam swej skroni – wyczuwam głębokie rozcięcie, kolejne znajduję pod włosami. Uświadamiam sobie, że obie dłonie również mam całe w czerwieni. To nie pot zalewał mi czoło i oczy, tylko krew.

– Nic mi nie jest – dodaję i wskazuję dymiącą ruinę. – Hektor? Andromacha?

– Nie było ich tutaj, Hock-en-ber-riiii! – Helena przekrzykuje laments rannych i pokrzykiwanie ratowników. – Hektor odprawił rodzinę do świątyni Ateny. Tam, w piwnicach, będą bezpieczni.

Spoglądam poza kłęby dymu i widzę wysoki dach. Świątynia wciąż stoi. Oczywiście, myślę.

Bogowie nie zbombardują poświęconych sobie przybytków. Ucierpiałoby na tym ich pieprzone ego.

– Teano zginęła – dodaje Helena. – Hekuba też nie żyje. I Laodike.

Bezsensownie powtarzam po niej imiona zabitych. Imię kapłanki Ateny. Imię kobiety, która ledwie kilka godzin temu przystawiła do moich jaj zimny sztylet. Imię żony i córki Priama. Trzy z moich Trojanek straciły życie już teraz. A nalot rozpoczął się przecież tak niedawno.

Nagle ogarnia mnie panika i odwracam się gwałtownie na pięcie. Panujący w mieście harmider brzmi jakoś inaczej. Nie słychać wybuchów.

Stojący na ulicach mieszkańcy miasta przekrzykują jeden drugiego i wskazują palcami pod niebo.

Cztery z piątki rydwanów zniknęły już wcześniej. Teraz odlatuje piąty, zdaje się, że ten, z którego Ares zarzucił Troję wybuchowymi strzałami. Rozpływa się nad północnym horyzontem. Teleportuje się z powrotem na Olimp. Rozglądam się. Zrujnowane budynki, dymiące leje, zasłany skrwawionymi ciałami bruk. I całe to zniszczenie spowodował tylko jeden bóg z jednym łukiem i kilkoma strzałami. Co zrobią w następnej kolejności? Może zaatakują bronią biologiczną?

Olimpijski mistrz łucznictwa – prawdopodobnie dochodzący teraz do siebie w leczniczej kadzi – jest przecież szeroko znany z karania

śmiertelników zarazą.

Unoszę dłoń do medalionu.

– Gdzie jest Hektor? – pytam Helenę. – Muszę go odszukać.

– Wyszedł z miasta przez Bramę Skajską wraz z Parysem, Eneaszem i Deifobosem – tłumaczy dziewczyna. – Powiedział, że chce znaleźć Achillesa, nim wszyscy stracą zapal do walki.

– Muszę go odszukać – powtarzam, po czym odwracam się w stronę bramy.

Helena pociąga mnie za rękę i znów patrzymy sobie w oczy.

– Hock-en-ber-riii – szepce, przyciąga moją twarz ku swojej i całuje mnie na środku tłocznej, rozwrzeszczanej ulicy. Kiedy wargi tej pięknej kobiety odrywają się od moich, nie jestem w stanie zareagować, nie zdołałem się nawet wyprostować. – Hock-en-ber-riii – słyszę ponownie swoje nazwisko. – Skoro już musisz umrzeć, umrzyj jak mężczyzna.

Odwraca się i odchodzi środkiem ulicy. Nie ogląda się ani razu.

*Pierścień równikowy*

Kiedy holograficzny Prospero wstał i wykonał pierwszy krok, Daeman zdziwił się tylko trochę. Mag sięgnął po długą laskę i podszedł powoli do szklanej ściany kopuły. Gdy uniósł głowę i przyjrzał się kawalkadzie gwiazd, ich blada poświata podkreśliła zmarszczki znaczące mu szyję i policzki. Bliskie kontakty ze starcami – ostatnio dość częste – przyprawiały chłopaka o mdłości. Nieprzyjemne doznania potęgował również temat rozmowy. Spróbował wyobrazić sobie świat, w którym on wraz z przyjaciółmi – i matką! – starzeliby się podobnie jak Savi lub jak ten pokryty starczymi plamami hologram. Po plecach przebiegł mu dreszcz przerażenia.

Zaraz potem przypomniał sobie ohydę sarkofagów, niebieskie czerwie i jadalnię Kalibana.

Czy nie byłoby łatwiej po prostu zabić potwora, a konserwatorni nie niszczyć?

Nie, uświadomił sobie, mimo że głód i zmęczenie mąciły mu myśli. Konserwatornia była miejscem straszliwym bez względu na perspektywę. Cały system wierzeń związanych z Pięcioma Dwudziestkami opierał się na założeniu, że w dniu setnych urodzin ludzie wstępują do pierścieni, gdzie dołączają do postludzi i wraz z nimi cieszą się wygodnym, nieskończonym życiem. Daeman wrócił myślami do szarych, na pół pożartych trupów unoszących się w rzadkim, cuchnącym powietrzu miasta i parsknął śmiechem.

– Co cię tak bawi? – zapytał Prospero, zerkając na niego przez ramię.

– Nic – odparł Daeman. Miał ochotę wybuchnąć płaczem. Ewentualnie coś zniszczyć. Druga możliwość wydawała się bardziej kusząca.

– W jaki sposób możemy zniszczyć konserwatornię? – zapytał Harman. Starszy mężczyzna chorobliwie dygotał. Twarz błyszczała mu od potu. Był jeszcze bledszy niż Daeman.

– Znakomite pytanie, w jaki sposób? – Prospero oparł się na kosturze i popatrzył na przybyszy. – Macie ze sobą materiały wybuchowe? Jakąkolwiek broń poza pistoletem? A może jakieś narzędzia?

– Nie – przyznał Harman.

– Tutaj niczego podobnego nie znajdziecie – zastrzegł sędziwy mag. – Postłudzie osiągnęli poziom ewolucji wykluczający wszelkiego rodzaju konflikty czy wojny. Wyeliminowali także konieczność korzystania z narzędzi. Wszystko robiły za nich serwitory.

– One nadal działają – zauważył Daeman.

– Tylko w obrębie konserwatorni – powiedział czarnoksiężnik. Powolnym krokiem wrócił do wirtualnej konsoli. – Zastanowiliście się nad losem tych setek bezradnych ludzi w sarkofagach?

– Mój Boże... – wyszeptał Harman.

Chłopak podrapał się w policzek. Poczul pod palcami coraz dłuższy zarost. O dziwo, wrażenie okazało się przyjemne.

– My nie możemy faksować się z powrotem na Ziemię przez sarkofagi – odezwał się – ale domyślam się, że obecnych pacjentów można jakoś odesłać?

– Oczywiście – odparł Prospero. – O ile zdołasz przekonać do tego serwitory. Albo jeśli osobiście przejmiesz kontrolę nad faksowężłami. Z tym jednak wiąże się pewien kłopot.

– Jaki? – zapytał odruchowo chłopak, lecz niemal natychmiast zrozumiał o co chodzi.

Prospero uśmiechnął się posepnie i pokiwał głową.

– Wrócić mogą tylko dwie grupy ludzi. Ci, którzy dopiero co trafili do konserwatorni, i ci, których proces regeneracji dobiegł właśnie końca. Natomiast wszyscy pozostali, pacjenci, nad którymi pracują niebieskie czerwie... – Urwał i dokończyła za niego cisza.

– Co więc możemy zrobić? – odezwał się Harman. – Przecież przez cały czas jedni przybywają, inni wracają... W trakcie leczenia są setki osób.



– Jeżeli Prospero się nie myli i damy radę przejąć kontrolę nad faksowężłami – odpowiedział mu Daeman – moglibyśmy wyłączyć przyjmowanie nowych pacjentów, a potem odsyłać po kolei wyleczonych. Aż do ostatniego. Obaj byliśmy już w sarkofagu po skończonych Dwudziestkach. Ile czasu zajmuje cały proces? Dwadzieścia cztery godziny? I pewnie jakieś czterdzieści osiem w przypadkach krytycznych, jak na przykład pożarcie przez allozaura, prawda?

– W takich sytuacjach nie można mówić o leczeniu czy odnowie – wtrącił Prospero. – Zostałeś odtworzony, odbudowany od zera. Sarkofagi dokonały tego, wykorzystując pobrane z banków faksowężłów dane pamięciowe, zarchiwizowanego DNA i organicznych części zamiennych.

Niemniej masz rację, nawet najtrudniejsze wypadki zajmują konserwatorni najwyżej dwie doby.

Daeman rozłożył ręce i spojrzał na Harmana.

– Czyli wystarczą nam dwa dni i po kłopotcie.

– O ile zdołamy przejąć kontrolę nad konserwatornią i procesem faksowania – dodał z powątpiewaniem starszy mężczyzna.

Mag oparł się wygodniej w fotelu.

– Jak już mówiłem, osobiście nie jestem w stanie nic zrobić, ale mogę służyć wam informacjami – powiedział starzec. – Nauczę was zasad działania faksowężłów w sarkofagach.

– Ale sami nie będziemy mogli z nich skorzystać? – ponowił pytanie Harman. Widać było, że nie jest zachwycony perspektywą powrotu na pokładzie sonika.

– Nie – odparł Prospero.

– A czy możemy przeprogramować serwitory tak, by same zajęły się faksowaniem? – zainteresował się chłopak.

– Nie – powtórzył czarnoksiężnik. – Będziecie musieli je wyłączyć lub zniszczyć. Na szczęście, nie zostały zaprogramowane do walki.

– Podobnie jak my. – Harman się zaśmiał.

Prospero wstał i obszedł fotel.

– Wręcz przeciwnie – stwierdził półgłosem. – Wy umiecie walczyć. Ludzie, bez względu na poziom ucywilizowania, zawsze są do tego zdolni. Wystarczy

jedynie uruchomić dawno zapomniane programy.

Obaj przybysze wymienili się spojrzeniami. Harmana ponownie przeszedł dreszcz.

– Zabijanie nosicie w genach – podjął Prospero. – Chodźcie, pokażę wam narzędzie zniszczenia.

\* \* \*

Hologram maga nie był w stanie samodzielnie obsługiwać skomplikowanej, wirtualnej konsoli, lecz pokazał Daemanowi i Harmanowi przełączniki, suwaki i pokręta, których mieli użyć. Po chwili nad pulpitem zmaterializował się trójwymiarowy, obracający się obraz. Gdy nabrał ostrości, rozpoznali go natychmiast.

– To jedno z urządzeń, które widzieliśmy po drodze na asteroidę – powiedział Daeman.

– Akcelerator liniowy z pierścieniowym kolektorem czasoprzestrzennym – wyjaśnił Prospero. – Postludzie byli z tych urządzeń niezwykle dumni. Jak sami widzieliście, stworzyli ich tysiące.

– Czyli co? – odezwał się Harman. – Chcesz powiedzieć, że system ziemskich faksowęzłów jest sterowany właśnie przez te akceleratory?

Prospero zmarszczył krzaczaste brwi i pokręcił głową.

– Sieć portali działa wyłącznie na Ziemi. Nie przesyła przez czasoprzestrzeń fizycznych obiektów ani ciał, wyłącznie dane. Te kolektory są z kolei niczym pająki siedzące pośrodku stworzonej przez postludzi sieci teleportacyjnej.

– No i? – zapytał Harman. – Przecież my chcemy po prostu wrócić na Ziemię.

– Chwyć zielony wolant i naciśnij dwukrotnie ten okrągły, czerwony przycisk – poprosił starzec.

Daeman posłuchał. Holograficzny model akceleratora ożył. Z silników manewrowych buchnęły stożki płomieni. Odrzut wprawił złożoną maszynę w ruch obrotowy. Po chwili uruchomił się drugi zespół dysz i akcelerator wyhamował. Okrągły kolektor, pośrodku którego widać było połyskujący

wylot tunelu czasoprzestrzennego, przez cały czas pozostał w niezmienionej pozycji. Daeman pochylił się nad pulpitem i zauważył, że pierścień kolektora został zamontowany na ruchomych przegubach. Wyciągnął rękę i dotknął obrazu. Kiedy muskał kolejne elementy urządzenia, wyświetlacz je przybliżał i opatrywał etykietami – przewód powrotny, wtryskiwacz, silniki manewrowe. Wszystkie nazwy brzmiały jednakowo obco. Daeman cofnął dłoń i ponownie ujrzeli hologram akceleratora w całości.

– System sterowania położeniem, orbitalne silniki manewrowe – odezwał się Prospero. – Asteroida krąży po stałej orbicie. Gdyby kiedykolwiek spadła na Ziemię, wywołałaby kataklizm zagrażający przetrwaniu wielu gatunków żywych stworzeń. Za to akceleratory i zwierciadła Casimira znajdowały się w ciągłym ruchu.

– I kontrolowano je właśnie stąd – wtrącił Daeman.

Prospero pokiwał głową.

– Stąd i z innych orbitalnych miast.

Harman i chłopak raz jeszcze spojrzeli po sobie znacząco.

– Czyli postludzie zbudowali więcej takich osiedli? – upewnił się mężczyzna.

– Dokładnie trzy – potaknął mag. – W pierścieniu równikowym znajduje się jeszcze jedno i dwa w biegunowym.

– I mieszkają w nich postludzie? – spytał chłopak, który nagle dostrzegł szansę na zmianę planów. Być może zdołają uniknąć całego tego zniszczenia i nie będą musieli kłaść kresu modelowi życia opartemu o Pięć Dwudziestek.

– Nie. – Prospero wrócił na swój wysoki fotel. – Nie ma też innych konserwatori. Wyłącznie mieszkańcy tego miasta interesowali się losem zmodyfikowanych ludzi dawnego typu. – Skinął dłonią ku wschodzącej z prawej strony Ziemi. Jasna poświata planety zalała całe pomieszczenie.

– Więc wszyscy postludzie zginęli – szepnął chłopak.

– Nie, oni nadal żyją – sprostował mag. – Po prostu się przenieśli.

Daeman popatrzył na łuk unoszącej się Ziemi i czerń kosmosu otwierającego się nad cienką, migotliwą warstewką atmosfery.

– Dokąd?

– Najpierw na Marsa – powiedział czarnoksiężnik i zachichotał, widząc

puste spojrzenia swych gości. – Czy współcześni ludzie wiedzą gdzie leży Mars? Czym w ogóle jest?

– Nie – odpowiedział niezrażony własną ignorancją Daeman. – A czy postłudzie planują stamtąd wrócić?

– Szczerze wątpię. – Uśmiech Prospera nie gasł.

– W takim razie nie ma to żadnego znaczenia, prawda? – rzucił Harman. – Prospero, czy chciałeś zasugerować, byśmy posłużyli się tym... akceleratorem cząstek czasoprzestrzennych... nie pamiętam nazwy... jak bronią?

– Bronią ostateczną – dopowiedział Prospero. – Konwencjonalne materiały wybuchowe i inne rodzaje broni nie wyrządziłyby kryształowemu miastu i asteroidzie żadnych poważniejszych szkód.

Tutejsze wieże zaprojektowano tak, by wytrzymały nawet bezpośrednie uderzenie meteorytu. Za to trzykilometrowa, rozpędzona konstrukcja z egzotycznej materii, dodatkowo wzmocniona tunelem czasoprzestrzennym... Tak, coś takiego jest dla naszych potrzeb jak znalazł. Zwłaszcza, jeżeli skierujecie akcelerator bezpośrednio na konserwatornię.

– A czy Kaliban to przeżyje? – zapytał Daeman.

Prospero wzruszył ramionami.

– Już w przeszłości ratowały go podziemne tunele i jaskinie asteroidy. Niewykluczone jednak, że zderzenie z akceleratorem doprowadzi do wyginięcia gatunku kalibanów.

– Może ucieknie jeszcze przed katastrofą? – zasugerował Harman.

– Musiałby dowiedzieć się o soniku i zdobyć jedną z waszych termosków – odparł mag z niepokojącym uśmiechem.

Odnieśli wrażenie, że uważa ten scenariusz za możliwy.

– Jak długo akcelerator będzie tu leciał? – zaciekawił się chłopak.

– To już zależy od tego, jak go zaprogramujecie. Może lecieć szybko albo powoli – stwierdził Prospero. Wstał z miejsca i wszedł w wirtualną konsolę. Nogi starca zniknęły w pulpicie. Wyciągnął rękę i rękaw powłóczystej szaty zsunął się wzdłuż przedramienia. Kościsty palec wymierzył w drugi koniec konstrukcji akceleratora. – Tu znajdują się silniki manewrowe, najsilniejsze, jakie kiedykolwiek powstały. Nauczę was nimi sterować, dzięki czemu zdołacie dokładnie wycelować.

Obaj wykonywali polecenia maga, który wskazywał jak należy obrócić akcelerator i zaprogramować tak zwane koordynaty trajektorii i deltę V. Ręka Daemana zawisała nad przyciskiem opisanym jako „Start”.

– Nie powiedziałaś ile będziemy mieć czasu. – Spojrzał na Prospera.

Holograficzny czarnoksiężnik złożył dłonie w piramidkę.

– Myślę, że pięćdziesiąt godzin wystarczy. Dostaniecie godzinę na dotarcie do konserwatorni i przejęcie nad nią kontroli. Czterdzieści osiem na regenerację nowo przybyłych i bezpieczne odesłanie ich na Ziemię. Ostatnią godzinę wykorzystacie na przejście do sonika i ucieczkę. Potem nastąpi koniec tego małego świata.

– Mamy nie spać przez ponad dwie doby? – zdziwił się Harman.

– Odradzam odpoczynek – stwierdził Prospero. – Kaliban prawdopodobnie spróbuje was zabić.

Nie liczcie, że da wam choć chwilę wytchnienia.

Harman wymienił się z Daemanem spojrzeniami.

– Możemy na zmianę trzymać straż, spać i jeść – zauważył chłopak. Podniósł pistolet i schował go do plecaka. – Nie damy Kalibanowi szansy.

Starszy mężczyzna pokiwał głową. Nie wyglądał na przekonanego, w jego oczach znać było krańcowe wyczerpanie.

Daeman raz jeszcze popatrzył na holograficzne odwzorowanie akceleratora i wyciągnął kciuk ku włącznikowi.

– Prospero, powiedz, że jesteś pewien, że nie doprowadzimy do wyginięcia życia na Ziemi lub czegoś podobnego?

– Owszem, życie, jakie dotąd znaliście, dobiegnie końca. – Mag zachichotał. – Ale nie wydarzy się nic takiego jak uderzenie asteroidy i wymieranie gatunków. Tak podejrzewam. Cóż, pożyjemy, zobaczymy.

Chłopak zerknął na Harmana, który stał z dłońmi zanurzonymi po przeguby w wirtualnej konsoli.

– Zrób to – rzucił starszy mężczyzna.

Daeman nacisnął przycisk. Osiem wielkich dysz holograficznego akceleratora zajaśniało jaskrawymi, błękitnymi płomieniami jonowego ciągu. Potężną konstrukcję przebiegło drżenie, po czym ruszyła z wolna naprzód – zmierzała prosto na nich.

– Żegnaj, Prospero. – Chłopak wziął do ręki plecak i skierował się ku półprzepuszczalnej błonie w wyjściu.

– Co to, to nie – odparł mag. – Jeżeli dotrzecie do konserwatorni, będę tam na was czekać. Za nic nie chciałbym przegapić wydarzeń następnych pięćdziesięciu godzin.

*Równina Ilionu i Olimp*

Opuszczam płonące miasto i udaję się na poszukiwanie Achillesa.

Od bramy aż po wybrzeże niepodzielnie panuje chaos. Trojanie i Achajowie wydobywają ciała z dymiących kraterów, dziurawiących równinę od murów aż po plażę. Oszołomieni wojownicy pomagają rannym towarzyszom wrócić do Ilionu, bądź przejść przez fosę do greckiego obozu.

Podobnie jak w wypadku większości nalotów – również w mojej dawnej epoce – bombardowanie choć wyglądało straszliwie, szkód spowodowało stosunkowo niewiele. Wedle mojej pobieżnej oceny zginęło kilkaset osób – wliczając w tę liczbę żołnierzy obu stron i cywilnych mieszkańców Troi. Większość jednak wyszła z bombardowania cała i zdrowa, zwłaszcza tutaj, gdzie nikomu nie spadały na głowę kruszące się mury i ściany miejskich budynków.

Wspinając się na Wzgórze Chwastów, zauważam idącego w moją stronę małego robota.

Mahnmut prowadzi za sobą lewitującą skorupę przyjaciela niczym mały chłopiec ciągnący na sznurku zabawkową ciężarówkę. Sam nie wiem czemu, lecz kiedy ujrzałem ich żywych, zalała mnie fala radości – aczkolwiek „żywi” to nie najlepsze sformułowanie, być może sensowniej byłoby powiedzieć „działający”. Zebrało mi się na płacz.

– Hockenberry – odzywa się Mahnmut – zostałeś ranny. Czy to coś poważnego?

Dotykam czoła i skóry na głowie. Krwawienie niemal ustało.

– Nie. Drobne draśnięcie.

– Czy wiesz może, co spowodowało ten potężny wybuch?

– Eksplozja ładunku jądowego – odpowiadam. – Możliwe, że termonuklearnego, ale mimo hałasu, to chyba jednak zwykła bomba atomowa. Chyba nieco większej mocy niż ta zrzucona na Hiroszimę. Nie wiem zresztą, nie znam się na tym.

Zaintrygowany Mahnmut przechyła głowę.

– Skąd pochodzisz, Hockenberry?

– Z Indiany – odpowiadam bez zastanowienia.

Robot czeka na dalsze wyjaśnienia.

– Jestem scholiastą – podejmuję, zdając sobie sprawę, że każde moje słowo Mahnmut przekazuje drogą radiową swojemu niememu towarzyszowi. –

Bogowie odtworzyli mnie ze skrawków wspomnień oraz starych kości i DNA, które pobrali ze znalezionych na Ziemi pozostałości moich zwłok.

– Pamięć z DNA? – rzucił Mahnmut. – Coś tu nie gra.

– Nieważne. – Macham niecierpliwie ręką. – Tak czy inaczej, jestem żywym trupem. Żyłem w drugiej połowie dwudziestego stulecia, umarłem chyba na początku dwudziestego pierwszego.

Mieszają mi się daty. Zresztą, do niedawna w ogóle pamiętałem bardzo niewiele, dopiero ostatnio zaczęły do mnie wracać obrazy z przeszłości. –

Kręcę głową. – Jestem żywym trupem.

Mahnmut wpatruje się we mnie tym swoim metalicznym paskiem na głowie. Po chwili kiwa głową z namysłem i kopie mnie – dość mocno, przyznaję – w lewą piszczel.

– Kurde! – wołam, podskakując na prawej nodze. – Dlaczego mnie kopiesz?

– Według mnie do trupa wciąż ci daleko, Hockenberry – stwierdza mały robot. – W jaki sposób trafiłeś tutaj aż z Zapomnianej Ery? Większość morawieckich naukowców jest zdania, że podróże w czasie są niemożliwe, o ile nie rozwinie się prędkości podświetlnej lub nie przeleci się zbyt blisko czarnej dziury. Tak się właśnie przeniosłeś?

– Nie wiem – przyznaję. – Wiem natomiast, że to naprawdę nie ma znaczenia. Rozejrzyj się! – Wskazuję unoszące się nad miastem dymy i rozszalały na równinie Ilionu chaos. Pierwsze greckie statki odbijają już od



brzegu.

Mahnmut potakuje skinieniem. Mimo że jest robotem, sposobem gestykulacji zdecydowanie przypomina człowieka.

– Orphu chciałby wiedzieć, dlaczego bogowie przerwali nalot – mówi.

Zerkam na zniszczoną obudowę drugiego robota. Niełatwo mi pamiętać, że w tym poobijanym żelastwie kryje się świadomy umysł.

– Przekaż mu, że nie mam pojęcia. Być może chcą się nacieszyć widokiem wylęknionych, uwijających się ludzi i dopiero kiedy się nasycą, wrócą, by zadać *coup de grace*... To po francusku i znaczy...

– Wiem, co znaczy – przerywa mi Mahnmut. – Znam francuski. Ku własnemu utrapieniu. Przez całe bombardowanie Orphu cytował mi zupełnie niestosowne ustępy z Prousta. Co teraz, Hockenberry? Masz jakiś plan?

Spoglądam ku obozowisku Achajów. Płonące namioty, pierzchające na wszystkie strony ranne konie, rojący się bezładnie ludzie, przygotowywane do rejsu okręty. Część statków kołysze się już na falach i odbija od plaży pod rozwiniętymi żaglami.

– Chciałem odszukać Achilleusa i Hektora – odpowiadam. – Chociaż coś mi mówi, że w tych warunkach może mi to zająć dobre kilku godzin.

– Za osiemnaście minut i trzydzieści pięć sekund – oświadcza Mahnmut – wydarzy się coś, co może wszystko zmienić.

Obrzucam robota pytającym spojrzeniem.

– Tam, w Jeziorze Kalderowym, zainstalowałem.. Urządzenie – ciągnie mały morawiec. – Przywieźliśmy je z Orphu z układu Jowisza. Umieszczenie go na Olimpie było głównym celem naszej misji, aczkolwiek nie my mieliśmy się tym zająć... ale to już inna historia. Tak czy inaczej, za siedemnaście minut i pięćdziesiąt dwie sekundy Urządzenie się uruchomi.

– To bomba, tak? – rzucam ochrypłym głosem. Nagle w ustach zabrakło mi śliny. Nie zdołałbym pluć nawet pod groźbą śmierci.

Mahnmut wzrusza ramionami w ten swój niepokojąco ludzki sposób.

– Tego nie wiemy – przyznaje.

– Nie wiecie?! – wydzieram się na niego. – Nie wiecie?! Jak mogliście zainstalować jakieś...

jakieś... Urządzenie i włączyć zapalnik, skoro nie macie pojęcia, jak

zadziała? To jakaś kpina!

– Być może masz rację – mówi Mahnmur – ale właśnie po to zostaliśmy tu przysłani przez morawce, które zaplanowały przebieg misji... To znaczy, tam przysłani....

– Ile mówiłeś, że zostało czasu? – Łapię za skórzaną opaskę na przegubie, w której noszę ukryty zegarek. Wyposażona w mikroukłady scalone i małe wyświetlacz holograficzny bransoleta sprawuje się jak dotąd bez zarzutu.

– Siedemnaście minut i osiem sekund – odpowiada mały robot. – Odliczanie trwa.

Ustawiam minutnik i nie wygaszam holograficznego wyświetlacza.

– Cholera jasna – mruczę pod nosem.

– Celna uwaga – zgadza się Mahnmur. – Zamierzasz teleportować się z powrotem, Hockenberry?

Na Olimp?

Zapytał, gdyż chwyciłem za kołyszący mi się na szyi medalion, ale zrobiłem to tylko dlatego, że chciałem zaoszczędzić kilka minut i tekować się do greckiego obozu, by poszukać Achillesa. Pytanie morawca skłania mnie jednak do zastanowienia.

– Może faktycznie powinienem – mówię. – Ktoś musi sprawdzić, co knują bogowie. Chyba mógłbym się jeszcze ten raz zabawić w szpiega.

– A co potem? – pyta robot.

Moja kolej na wzruszenie ramion.

– Potem wrócę po Achillesa i Hektora. Następnie... cóż, znajdemy, powiedzmy, Odyseusza, Parysa, Eneasza i Diomedesa. Wtedy będę mógł przenieść front na teren bóstw, teleportuję herosów na Olimp parami, jak Noe zwierzęta do arki.

– Moim skromnym zdaniem wojskowa logistyka nie jest twoją najmocniejszą stroną – zauważa Mahnmur.

– A ty jesteś może znakomitym strategiem, mały robocie?

– Nie, prawdę powiedziawszy znam się w zasadzie tylko na batyskafie, który zatonął w marsjańskim oceanie i na sonetach Szekspira – tłumaczy Mahnmur i na chwilę milknie. – Orphu właśnie powiedział, że z tą znajomością sonetów mocno przesadziłem.

– W marsjańskim oceanie? – powtarzam, zdziwiony.

Połykliwa, metaliczna głowa unosi się w moją stronę.

– Nie wiedziałeś, że Olimp jest w rzeczywistości marsjańskim wulkanem?

Olympus Mons?

Mówiłeś przecież, że pracujesz tu już dziewięć ziemskich lat, chyba dobrze pamiętam?

Dostaję zawrotów głowy. Świat wiruje tak gwałtownie, że muszę przysiąść na niewielkim głazie.

Inaczej ocknąłbym się za moment na ziemi.

– Mars... – szepczę. Dwa księżyce, potężne wulkaniczne stożki, rdzawa gleba, niskie ciśnienie, które sprawiało mi zawsze tyle przyjemności, kiedy wracałem do koszar po pracowitym dniu na równinie. – Mars. – O ja pierdzielę! – Mars!

Mahnmur nie komentuje. Być może wyczuł, że jak na jeden dzień najadłem się już dość wstydu.

– Chwilka – podejmuję. – Na Marsie nie ma przecież błękitnego nieba, oceanów, drzew, nie ma zdatnej do oddychania atmosfery. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym, widziałem w telewizji lądowanie pierwszego Vikinga. Wiele lat później oglądałem jak utknął przy skale ten mały łazik, Sojourner. Nie pokazywali żadnych mórz, roślin. Nie było powietrza.

– Terraformowali go – stwierdza Mahnmur. – Stosunkowo niedawno.

– Kto go terraformował? – syczę i słyszę, że w moim pytaniu pojawił się naraz gniew i lęk.

– Bogowie – odpowiada morawiec, chociaż sam nie wydaje się do końca przekonany.

Zerkam na zegarek. Piętnaście minut i trzydzieści osiem sekund. Podsuwam wyświetlacz pod kamery małego robota, pod jego oczy, czy cokolwiek kryje pod tym metalicznym paskiem, i znacząco postukuję w bransoletę.

– Mahnmur, co się wydarzy za piętnaście minut? Tylko nie wmawiaj mi, że tego nie wiecie.

– Naprawdę nie wiemy – upiera się morawiec.

– Cóż, sprawdzę, co się dzieje na górze – oświadczam i chwytam medalion.

– Zabierz mnie ze sobą – prosi Mahnmut. – To ja ustawiłem zapalnik i powinienem tam być, kiedy Urządzenie się włączy.

Waham się przez moment. Spoglądam na wielką skorupę za plecami robota.

– Wyłączysz je? – pytam.

– Nie. Na tym polegała moja misja. Dostarczyć i uruchomić Urządzenie. Jeżeli jednak zapalnik zaszwankuje, będę musiał włączyć je ręcznie.

– Mahnmut, czy rozmawiamy w tej chwili... przynajmniej mocno teoretycznie... o końcu świata?

Milczenie morawca mówi mi wystarczająco wiele.

– Myślę, że przez kolejne... hmm... czternaście minut, trzydzieści dziewięć sekund powinienś zostać przy Orphu – tłumaczę. – Jest w tak marnym stanie, że jeśli mu nie powiesz, może przegapić nawet koniec świata.

– Orphu mówi, że jak na scholiastę, jesteś dość zabawny, Hockenberry – przekazuje Mahnmut. – Tak czy inaczej, uważam, że powinienem teleportować się razem z tobą.

– Po pierwsze – tłumaczę – tracisz na tę gadaninę nasz cenny czas. Po drugie, mam tylko jeden Hełm Hadesa, a nie chcę, żeby bogowie mnie nakryli, kiedy zobaczą obok spacerującego robocika.

Po trzecie... Żegnaj.

Nasuwam na głowę skórzany hełm, przekręcam w dłoni krawędź medalionu i znikam.

Tekuję się prosto do Dworu Bogów.

Wygląda na to, że zebrali się wszyscy, z wyjątkiem Ateny i Apolla. Ci dwoje zapewne pływają w tej chwili w leczniczych kadziach, z oczami i pachami oblepionymi rojowiskiem zielonych czerwi.

Kilka sekund, jakie mi zostały, nim wszystko pójdzie w diabły, wykorzystuję na obserwację. Bóstwa przygotowały się już do wojny – gdziekolwiek spojrzę migocą złote napierśniki, połyskują groty włóczni oraz wielkie, wypolerowane tarcze. Dokoła kołyszą się pierzaste hełmy. Zeus stoi przy swoim złocącym się pysznie rydwanie. Posejdon wdział na siebie czarną zbroję. Hermes i Hefajstos czekają uzbrojeni po zęby, Ares wciąż ściska w dłoni srebrny łuk Apolla. Widzę też zakutą w olśniewający strój ze złota i brązu Herę. A Afrodyta wskazuje mnie palcem... Cholera jasna!

– Scholiasto Hockenberry! – grzmi Zeus, patrząc na mnie przez całą długość zatłoczonej sali. – Ani kroku!

Rozkaz Gromowładnego jest niesłychanie skuteczny. Martwieje każdy mój mięsień, wszystkie ścięgna mam jak sparaliżowane, nieruchomieją komórki. Ogarniający mnie nagle chłód mrozi serce, w moim ciele ustają nawet ruchy Browna. Moja dłoń nie unosi się w kierunku medalionu nawet o cal. Zamieniam się w posąg.

– Odebrać mu Hełm Hadesa, teleporter i wszystko inne – dodaje Zeus.

Ares z Hefajstosem podbiegają natychmiast i zdierają ze mnie ubranie. Staję nagi na oczach tłumu bogów i bogiń. Skórzany hełm wraca do dyszącego z wściekłości Hadesa, który w swej czarnej, chitynowej zbroi o niespotykanym kształcie przypomina straszliwego, śmiertelnie niebezpiecznego żuka. Król bogów podchodzi, podnosi z podłogi medalion i przygląda się mu, jakby chciał go zmiażdżyć w swej potężnej garści. Ares i Hefajstos nie pozostawiają mi nawet zegarka i bielizny.

– Możesz się ruszyć – mówi Zeus.

Padam na marmurową posadzkę i zalegam na niej zdyszany, trzymając się za serce, które na nowo podejmuje swój bieg. Czuję w piersi klucie tak ostre, że podejrzewam zawał. Ostatkiem sił zdołałem się powstrzymać i nie zsikałem się publicznie.

– Odprowadzić go – prycha Gromowładny i odwraca się do mnie plecami.

Wysoki na dwa i pół metra bóg wojny, Ares, łapie mnie bezceremonialnie za włosy i wywleka na korytarz.

*Pierścień równikowy -*

Myśli, On. – Wśród panującego w konserwatorni mroku rozległ się głos Kalibana – Nauczyłby tę wygadana parę co znaczy musi! Rób co każe Pan...Tak On.

– Gdzie on do diabła jest? – warknął Harman.

Większa część konserwatorni była pogrążona w ciemności, światło było tylko z sarkofagów, z których jedno po drugim znikaly ciała pacjentów. Daeman przeczesal już całą salę, od błony w drzwiach po stół kanibala. Nigdzie nie znalazł źródła szeptu.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział po chwili chłopak. – Może siedzi w przewodach wentylacyjnych. Albo przeoczyliśmy jakieś inne drzwi. Wiem tylko, że jeżeli pokaże się w świetle, zabiję go natychmiast.

– Z pewnością możesz do niego strzelić – odezwał się holograficzny Prospero, stojący przy stole w pobliżu pulpitu kontrolnego sarkofagów. – Nie wiadomo jednak, czy zdołasz go zabić. Diable nasienie! Żadnym wychowaniem nie da się zmienić tej natury. Tyle starań i ludzkiej wyrozumiałości, a wszystko na nic!

Przez dwa dni i dwie noce, czterdzieści siedem i pół godziny, sto czterdzieści cztery obroty asteroidy wokół własnej osi, obaj mężczyźni nadzorowali proces odsyłania na Ziemię zregenerowanych ludzi. Zostało już tylko około tuzina osób. Nauczyli się wywoływać holograficzny obraz akceleratora liniowego zmierzającego w ich stronę ze stałym, również liniowym przyśpieszeniem. W tej chwili olbrzymie urządzenie mogli już oglądać przez górne okna konserwatorni. Z przodu lśnił wylot

czasoprzestrzennego tunelu, na rufie jarzyły się błękitnym światłem dysze silników. Prospero i wirtualne wyświetlacze zgodnie podawali, że do zderzenia zostało bez mała dziewięćdziesiąt minut, lecz instynkt i wzrok podpowiadały im coś zupełnie innego, więc po jakimś czasie przestali po prostu spoglądać ku górze.

Kaliban ukrywał się gdzieś w pobliżu. Daeman nawet na chwilę nie zdejmował wyposażonej w noktowizyjne gogle maski i dodatkowo pomagał sobie latarką Savi. Gdy świecił nią pod stół, widział bielejące na podłodze kości.

Byli przekonani, że najbardziej niebezpieczną, najgorszą częścią zadania będzie przejście ze sterowni Prospera do konserwatorni. Bali się ponownej wędrówki przez gąszcz wodorostów, gdzie za każdym zakrętem mógł na nich czyhać Kaliban. Dwukrotnie w cieniach poruszyło się coś szarozielonego i chłopak dwa razy wystrzelił. W pierwszym przypadku cel odpłynął, w drugim wyplątał się z zarośli, martwy. W szarym cielsku tkwiły kryształowe pociski. Uwięzione wśród wodorostów ciało postczłowieka.

Teraz jednak – po kolejnych czterdziestu siedmiu i pół godzinie bez snu, gdy posilali się jedynie gnijącym mięsem jaszczurek-zrozumieli, że podróż do konserwatorni wcale nie była najgorsza.

Najgorsza okazała się właśnie ostatnia godzina. Dobrze przynajmniej, że po drodze przystanęli przy wejściu do podziemnej jaskini, gdzie zawzięcie kopiąc i okładając sople kolbą pistoletu, skruszyli lód i napełnili butelkę kulistymi kroplami cuchnącej, brudnej, lecz jakże upragnionej wody. Dobrze i to. Do tej chwili zdążyli już jednak wypić cały zapas, a żaden z nich nie mógł ponownie opuścić konserwatorni. Zresztą wyjść nie było tak łatwo – zdjęli z sarkofagów plastikowe płachty i zakleili nimi półprzepuszczalne drzwi pomieszczenia. Dzięki temu, gdyby Kaliban spróbował dostać się tą drogą do konserwatorni, zaalarmowałby ich dźwięk rozdieranego tworzywa. Języki mieli jak z drewna, a głowy rozbolały ich koszmarne wskutek pragnienia, wyczerpania, niedostatku świeżego powietrza i nieustannego lęku.

Kilkanaście obsługujących konserwatornię serwitörów nie sprawiło większych kłopotów. Kilku pozwolili zajmować się dalej odsyłaniem zregenerowanych w sarkofagach ludzi, podczas gdy inne – które, wykonując

swe zwykłe zadania, tylko by przeszkadzały – po prostu unieruchomili. Do jednego Daeman strzelił z pistoletu, lecz okazało się to błędem. Kryształowe strzałki zdarły z obudowy serwitora płatki farby i odłamki metalu, zniszczyły jedno oko i strzaskały też jeden z manipulatorów, lecz nie zniszczyły go. Problem rozwiązał Harman. Wypatrzył w armaturze sarkofagów ciężką rurę, oderwał ją – ze zniszczonej instalacji wypłynął ciekły tlen, którego kałuża natychmiast zaczęła parować – i okładał serwitora tak długo, póki ten drugi nie znieruchomiał.

Pozostałe odprawili w stan spoczynku w podobny sposób.

Ledwie uruchomili holograficzny wyświetlacz komunikacyjny, nad pulpitem sterowniczym konserwatorni pojawił się Prospero. Mag pomógł im przeprogramować faksowężły w sarkofagach.

W pierwszej kolejności odcięli do nich dostęp z Ziemi. Następnie, jak najszybciej odesłali z powrotem ludzi, którzy dopiero co zostali teleportowani i ich kuracja nie zdążyła się jeszcze rozpocząć. Prospero ogłosił, że nie ma żadnej metody na przyspieszenie pracy niebieskich czerwi i działania kolorowego płynu, więc sarkofagi z pacjentami w trakcie regeneracji zostawili w spokoju. Z sześciuset sześćdziesięciu dziewięciu zbiorników w konserwatorni zajętych było w tej chwili tylko trzydzieści osiem – trzydzieści sześć zajmowali ludzie wymagający poważnych zabiegów, a dwa ciała należały do świętujących Dwudziestki jubilatów, których odnowa rozpoczęła się, zanim Harman z Daemanem zdążyli wyłączyć sterujące faksowaniem komputery.

– Setebosowi podoba się praca – ponownie doleciał ich syk niewidocznego Kalibana.

– Zamknij się! – zawołał głośno chłopak.

Szedł pomiędzy rozświetlonymi od wewnątrz sarkofagami, starając się nie odrywać od podłoża w odczuwalnym, lecz słabym ciężeniu w konserwatorni. Wszędzie dokoła tańczyły cienie, lecz żaden nie wydawał się dostatecznie konkretny, by Daeman zdecydował się na strzał.

Potwór wciąż szeptał w ciemnościach.

– Zaczyna coś robić: układa stos darni i wtyka w niego bryłki miękkiej kredy, i rybim zębem ryje księżyc w każdej, i jeszcze wtyka zwiędłe igły



z drzewa, i wieńczy wszystko czerepem leniwca, który zdechł w lesie – zbyt trudno go zabić – dla samej pracy, nie chcąc z niej pożytku. Któregoś dnia znów to rozrzuci: tak On.

Harman wybuchnął śmiechem.

– Co się stało? – Daeman poszybował z powrotem do wirtualnej konsoli, nad którą stał zamknięty w holograficznej sferze Prospero. Wszędzie dokoła wałały się części i odnóża serwitatorów. Wyglądało to trochę jak dziwaczna parodia skrytego w cieniu stołu kanibala.

– Myślę, że już czas, byśmy się stąd wynieśli. – Harman potarł przekrwione oczy. – Zaczynam rozumieć ten jego bełkot.

– Prospero – zaczął chłopak, sunąc wzrokiem przez gęstwinę cieni, igrających pomiędzy podświetlonymi sarkofagami. – Kim jest ten cały Setebos, o którym raz po raz wspomina Kaliban?

– To bóg jego matki – wyjaśnił czarnoksiężnik.

– Wspominałeś kiedyś, że jego matka wciąż żyje. – Daeman również przetarł wolną ręką oczy.

Z drugiej nie wypuszczał pistoletu. Wzrok coraz bardziej mu się mącił, i nie tylko z powodu wypełniających konserwatorię oparów kałuży ciekłego tlenu.

– Owszem, Sykoraks żyje – przytaknął Prospero. – Ale nie na tej wyspie. Już nie.

– No a Setebos? – dopytał chłopak.

– Jest wrogiem Ciszy. Serce bijące gorzko, czekające. Podobnie jak dwójka jego wyznawców.

Przerwał im dźwięk automatycznego alertu. Harman włączył wirtualny pulpit. Kolejną trójkę uleczonych – w każdym razie prawie uleczonych – ludzi odesłano na Ziemię. W konserwatoriach zostało trzydziestu pięciu pacjentów.

– Skąd się wziął ten cały Setebos? – zainteresował się Harman.

– Został sprowadzony z ciemności wraz z wojnikami i innymi stworzeniami – powiedział Prospero. – Ktoś popełnił błąd w obliczeniach.

– Czy Odyseusz jest jednym z tych stworzeń z ciemności? – spytał chłopak.

Prospero parsknął śmiechem.

– O nie, ten biedak trafił tu obłożony klątwą. Przybył z rozstajów, na które umknęła większość postludzi. Odyseusz został skazany na błądzenie w czasie,

na długotrwałą wędrówkę. Przeklęła go okrutna dama, którą ja znam jako Ceres, a Odyseusz poznał, i to bardzo blisko, pod imieniem Kirke.

– Czegoś tu nie rozumiem – zdziwił się Harman. – Przecież Savi mówiła, że spotkała Odyseusza zupełnie niedawno. Znalazła go w jednym ze swoich kriokokonów.

– Wszystko prawda – zgodził się Prospero – lecz zarazem i kłamstwo. Savi wiedziała o podróży Odyseusza i zdawała sobie sprawę, dokąd chce dotrzeć. Wykorzystali siebie nawzajem.

– Ale on naprawdę jest tym Achajem ze spektaklu turyńskiego? – upewnił się Daeman.

– I tak, i nie – odparł Prospero w swój irytująco dwuznaczny sposób. – Spektakl ukazuje rozszczępienie w czasie i rozgałęziającą się opowieść. Odyseusz pochodzi z jednej z wersji tej historii, owszem. Ale nie, nie jest Odyseuszem ze wszystkich legend.

– Nadal nie wyjaśniłeś, kim dokładnie jest Setebos – zwrócił uwagę Harman. Powoli tracił cierpliwość.

Z sarkofagów zniknęła szóstka kolejnych zregenerowanych ludzi. Pozostało dwadzieścia dziewięć osób. Do chwili, gdy musieli ruszyć ku Sonikowi, mieli już tylko dwadzieścia minut. Akcelerator liniowy dotarł tak blisko asteroidy, że widzieli go za oknem bez konieczności wzmocnienia obrazu.

Wylot czasoprzestrzennego tunelu przypominał migoczącą kulę, na przemian rozbłyскиwał i gasł.

– Bóg Setebos jest patronem czystej, niczym nieskrępowanej władzy – odpowiedział mag. – Zabija kogo chce. Łaskę okazuje wiedziony kaprysem. Zgładził niezliczone istoty, lecz czyni to bez planu i porządku. Jest bóstwem jedenastego wrzeźnia. Bóstwem Auschwitz.

– Słucham? – wtrącił Daeman.

– Mniejsza z tym. – Starzec pokręcił głową.

– On może lubić to, co Mu dogadza – mówi – sam lubi, co robi Mu dobrze. Czemu? Bo dobrze.

– Szlag by cię trafił! – ryknął chłopak. – Nie, ja zaraz znajdę tego drania!

Ścisnął mocniej pistolet i pobiegł w stronę zaciemnionej części konserwatorni. Na Ziemię wróciło pięciu kolejnych pacjentów. Sarkofagi

opróżniły się z głośnym szumem. Na faksowanie czekały jeszcze dwadzieścia cztery osoby.

Zwłoki leżały na podłodze i na stole, części ciał spoczywały też na fotelu. Daeman trzymał latarkę w lewej dłoni, broń niósł w prawej. Mimo że patrzył przez wzmacniające światło gogle termoskóry nadal widział jedynie cienie wśród cieni. Czekał. Obserwował. Czyhał na najdrobniejszy choćby ruch w kąciku oka.

– Daeman! – zawołał Harman.

– Chwileczkę.

Wciąż czekał niczym przynęta wystawiona na żer drapieznika. Chciał sprowokować Kalibana do ataku. W pistolecie zostało jeszcze pięć ładunków, a z doświadczenia wiedział, że jeżeli przytrzyma spust dłużej, wystrzeli je wszystkie jeden za drugim. Był w stanie naszpikować sukinsyna pięcioma tysiącami kryształowych strzałek. Gdyby tylko...

– Daeman!

Odwrócił się ku towarzyszowi.

– Co? Widzisz Kalibana?! – krzyknął.

– Nie – odparł mężczyzna – coś znacznie gorszego.

Daeman usłyszał huk zaworów ciśnieniowych, rozległy się stłumione dźwięki alarmów. Coś się działo z sarkofagami. Harman wskazał migocące na wirtualnej konsoli czerwone lampki.

– Sarkofagi opróżniają się przed czasem.

– To Kaliban – domyślił się Prospero. – Znalazł sposób na zatrzymanie dopływu substancji odżywczych. Tych dwudziestu czterech ludzi nie zdołamy już uratować.

– Cholera! – wydarł się Harman i uderzył pięścią w ścianę.

Chłopak wrócił między sarkofagi i omiół je promieniem latarki.

– Poziom płynu spada błyskawicznie! – zawołał do mężczyzny.

– Faksujemy ich w tej chwili!

– Na Ziemię trafiłyby zwłoki pełne rojących się czerwi – stwierdził Daeman. – Musimy uciekać!

– Przecież Kalibanowi o to właśnie chodzi – odparł Harman.

Chłopak nie widział konsoli. Znalazł się w ostatnim rzędzie zbiorników,

w ciemności, w którą bał się dotąd zapuszczać. Pistolet ciążył mu w dłoni. Snop światła latarki skakał z sarkofagu na sarkofag.

Prospero zaczął mamrotać swym starczym głosem: *S ynu, w yglądasz, jakbyś był zgnębiony C zym ś przykrym . D osyć już, rozpogodź czoło.*

*N asza zabaw a skończona. A ktorzy B yli ducham i, zgodnie z zapow iedzią, I rozplynęli się w zw iew nym pow ietrzu.*

*A jak ulotna m ateria tych w izji, Jak nasze bezcielesne w idow isko, T ak i pałace św ietne, w ieże w chm urach, W zniosłe św iątynie, ba, cały ten glob Z e w szystkim , co m a na sw ojej pow ierzchni, K iedyś rozw ieje się, nie zostaw iając S trzępu m gły naw et. Jesteśm y surow cem , Z którego sny się w yrabia, a życie T o chw ıla jaw y m iędzy...[ 8]*

– Kurwa mać! Zamknij się! – krzyknął chłopak. – Harman, słyszysz mnie?

– Tak – odpowiedział pochylony nad pulpitem mężczyzna. – Daeman, musimy iść. Zapomnij o tych ludziach. Straciliśmy ich. Nie możemy już nic dla nich zrobić.

– Harman, ale posłuchaj! – Daeman zatrzymał się między sarkofagami, światło latarki znieruchomiało. – W tym zbiorniku...

– Daeman, w tej chwili! Konserwatornia traci zasilanie... Kaliban je odciął.

Jednocześnie, jakby na potwierdzenie jego słów, holosfera zgasła i Prospero zniknął. Wnętrza sarkofagów zalała czerń. Ciemniała też wirtualna konsola.

– Harman! – wykrzyknął z cieni Daeman. – W tym sarkofagu leży Hannah!

8 Przełożył St. Barańczak.

## *Równino llionu -*

Muszę znaleźć Achillesa i Hektora. – Mahnmut zwrócił się do Orphu. – Zostawię cię tu, na Wzgórzu Chwastów.

– Pewnie, czemu by nie? Może bogowie uznają mnie za zwykły, szary głaz i nie zbombardują. Czy mógłbyś jednak wyświadczyć mi dwie przysługi?

– Naturalnie.

– Po pierwsze, nie zrywaj ze mną kontaktu. Kiedy nie wiem co się dzieje, czuję się w tej ciemności bardzo samotny. Doskwiera mi to zwłaszcza teraz, gdy wiem, że za moment włączy się Urządzenie.

– Możesz być spokojny.

– Po drugie, przywiąż mnie, dobrze? Ta cała lewitacyjna uprzęż bardzo mi się podoba, chociaż za cholerę nie wiem na jakiej zasadzie działa, ale nie chciałbym, żeby wiatr zepchnął mnie znowu do morza.

– Już się tym zająłem – zapewnił mniejszy morawiec. – Przytroczyłem się do największego kamienia, jaki znalazłem na kurhanie amazonki Myrine.

– Fantastycznie – podziękował Orphu. – A tak przy okazji, nie wiesz przypadkiem, kim ta amazonka była? I dlaczego usypano jej grobowiec tuż za murami llionu?

– Nie mam zielonego pojęcia – przyznał Mahnmut.

Zostawił przyjaciela i pomknął na czterech łapach przez równinę, w kierunku obozowiska Achajów. Mijane po drodze grupki greckich wojowników obrzucały go zaciekawionymi spojrzeniami.

By odszukać herosów, nie musiał przeczesywać całej plaży. Obaj dopiero co przekroczyli most spinający brzegi fosy. Prowadzili oficerów i mniej

więcej dwa lub trzy tysiące wojowników na środek dawnego placu boju. Mahnmut uznał, że należy zachować pewne kanony, i przed powitaniem wstał.

– Mała maszyno – przywitał się Achilles – gdzie twój pan, syn Duane'a?

Mahnmut musiał przetrwać pytanie.

– Hockenberry? – upewnił się po chwili. – Po pierwsze, on nie jest moim panem. Żaden człowiek nie jest moim panem, tak jak ja nie jestem człowiekiem. Po drugie, udał się na Olimp, by sprawdzić, co gotują nam bogowie. Obiecał, że niebawem wróci.

– Świetnie. Wieści o poczynaniach wrogów bardzo się nam przydadzą. – Achilles błysnął w uśmiechu białymi zębami.

– Dolonowi nie wyszło to na zdrowie – zauważył stojący między Hektorem i Achillesem Odyseusz.

Diomedes zaśmiał się zza ich pleców. Hektor skrzywił się nieładnie.

– Dolon został wysłany na przespiegi przez Hektora ostatniej nocy, kiedy sprawy przybrały dla Greków wyjątkowo niekorzystny obrót – odpowiedział przez radio Orphu.

Mimo że dzięki bazom danych od przyjaciela Mahnmut rozumiał już grekę i sam także potrafił się tym językiem posługiwać, nadal przekazywał wszystkie rozmowy towarzyszowi.

– Diomedes z Odyseuszem pojмали Dolona podczas własnego nocnego wypadu – ciągnął Orphu.

– Najpierw obiecali, że nie spotka go żadna krzywda, a kiedy Trojanin wyjawiał wszystko, co wiedział, Diomedes ściał mu głowę. Podejrzewam, że Odyseusz przypomniał tę sytuację, ponieważ nadal nie dowierza Hektorowi i...

– Ucisz się – rzucił Mahnmut, zapominając odezwać się przez radio. Pośpiesznie zmienił częstotliwość. – Próbuję się skupić.

Co prawda, wszystkie morawce potrafiły wykonywać kilka czynności jednocześnie, ale historyczne dywagacje Orphu wydatnie mu przeszkadzały.

– Coś powiedział? – burknął Hektor.

Trojański książę nie był w najlepszym nastroju. Mahnmut uświadomił sobie, że heros stracił w bombardowaniu matkę i przyrodną siostrę, aczkolwiek nie był wcale pewien, czy wiadomość o ich śmierci już do niego dotarła. Możliwe, że miał po prostu zły dzień.

– Nic takiego, krótka modlitwa do moich bogów – usprawiedliwił się morawiec.

Odyseusz przyklęknął na jedno kolano i zbadał dotykiem ramiona, tors, głowę i pancerz Mahnmuta.

– Niesamowite – pochwalił. – Nie wiem jakie bóstwo cię wykuło, ale to kawał przedniej roboty.

– Dziękuję – odparł Mahnmut uprzejmie.

– Zdaje się, że wpadłeś w sam środek zaginionego dramatu Becketta – skomentował Orphu.

– Zamknijże się! – rzucił mały morawiec i zaraz nadał po angielsku: – Cholera, znów zapomniałem przełączyć się na twój kanał.

– Interesująca to modlitwa – zauważył Odyseusz i wstał na równe nogi. – Szczególnie ciekawi mnie oświadczenie, że nie jest się człowiekiem. Muszę ją sobie zapamiętać.

– Szybkonogi Achillesie – podjął Mahnmut po grecku – czy mógłbym zapytać o twe zamiary?

– Postanowiliśmy wyzwać bogów na pojedynek – odparł wódz Achajów. – Ich samych przeciwko nam obu lub ich armię nieśmiertelnych, którzy starliby się z naszymi szeregami. Dozwolimy im wybrać.

Morawiec potoczył spojrzeniem po kilkutyśnej armii Greków, którzy wyszli za Achillesem z obozu. Zauważył wielu rannych. Z drugiej strony zbliżał się oddział Trojan. W najlepszym wypadku tysiąc ludzi.

– To są te wasze... szeregi? – spytał Mahnmut.

– Wkrótce dołączą następni – odparł Achilles. – Mała maszyna, jeśli spotkasz Hockenberry'ego, syna Duane'a, przekaż mu, by szukał mnie na pierwszej linii.

Achilles i Hektor zabrali ze sobą achajskich dowódców i odmaszerowali. Morawiec musiał odskoczyć, by nie stratowali go obciążeni rynsztunkiem wojownicy.

– Zaraz!!! – zawołał, nadmiernie wzmacniając przy tym głos.

Achilles, Hektor, Odyseusz, Diomedes, Nestor i wszyscy pozostali odwrócili się z powrotem.

Żołnierze, którzy zdołali wyprzedzić morawca, rozstąpili się na boki.

- Za trzydzieści sekund coś się wydarzy – obwieścił Mahnmut.
- Co takiego? – zagrzmiał Hektor.
- Nie wiem – stwierdził mały morawiec. – Nie wiem nawet, czy cokolwiek tu odczujemy. Cholera, nie mam też pojęcia, czy na takiej głębokości mój zapalnik zadziała.
- Zdajesz sobie sprawę, że nadajesz to tylko przez radio? – odezwał się Orphu.
- Przepraszam – rzucił Mahnmut i dodał na głos, w języku wojowników: – Zaczekajcie, sami się przekonacie. Jeszcze tylko osiemnaście sekund.
- Oczywiście, Grecy nie odmierzali czasu w minutach i sekundach, lecz morawiec miał nadzieję, że wiernie przeliczył jednostki.
- Nawet jeżeli wybuch rozerwie Marsa na kawałki – powiedział Orphu – ta Ziemia istnieje chyba w innym czasie lub nawet innym wszechświecie. Z drugiej strony, ci tak zwani bogowie połączyli to miejsce z Olympus Mons tysiãcem tuneli kwantowych.
- Dziewięć sekund – ogłosił Mahnmut.
- Ciekawe, jak eksplozja Marsa wyglądałaby oglądana za dnia z Azji Mniejszej? – nadał Orphu. – Mógłbym przeprowadzić błyskawiczną symulację.
- Cztery sekundy – podał mały morawiec.
- Oczywiście. Pożyjemy, zobaczymy. To znaczy, ty zobaczysz.
- Sekunda.



*Olimp*

Nie pamiętam, byśmy się z Aresem i Hefajstosem tekowali sprzed Dworu Bogów, lecz inaczej być nie mogło. Pomieszczenie, do którego mnie przywlekli i wtrącili – moja cela – znajduje się na jednym z górnych pięter niesamowicie wysokiego budynku, wznoszącego się na wschodnim stoku Olimpu. Bogowie zatrzasnęli za sobą drzwi, a w ścianach nie otwierają się żadne okna. Drugie wyjście prowadzi jednak na balkon, wiszący nad mierzącą setki stóp pionową przepaścią. Na północy rozlewa się ocean. Popołudniowe światło sprawia, że morze wygląda jak tafla oszlifowanego brązu. Daleko, bardzo daleko po wschodniej stronie majaczą trzy wulkany. Trzy marsjańskie wulkany.

Mars. Spędziłem tu tyle lat. Chryste Panie... Mars.

Owiewa mnie chłodniejszy powiew. Drzę. Na nagich ramionach i udach pokazuje się gęsia skórka, jestem pewien, że pokryła też obnażone pośladki. Stopy stygną na mroźnym jak lód marmurze.

Wciąż szczypie mnie skóra na głowie, naciągnięta, kiedy Ares szarpał mnie za włosy. W dodatku ucierpiała moja duma. Złapali mnie i rozebrali bez najmniejszego trudu. Jak dziecko.

Za kogo ja się miałem? Od tak dawna żyłem wśród bogów i superbohaterów, że wyleciało mi z głowy, że jestem tylko zwykłym, szarym kolesiem. Zwłaszcza w tej chwili.

To chyba te bajery namieszały mi we łbie – lewitacyjna uprząż, pancerz scholiasty, morfująca bransoleta, teleportacyjny medalion, szkła kontaktowe z powiększeniem, mikrofon kierunkowy, paralizator i Hełm Hadesa. Dzięki

kilku odpicowanym gadżetom mogłem przez kilka dni zgrywać prawdziwego herosa.

Teraz już po wszystkim. Przyszedł tatuś i zabrał zabawki. Co więcej, tatuś bardzo się gniewa.

Przypominam sobie o bombie Mahnmuta i z nawyku zerkam na nagi przegub, na którym zwykle nosiłem zegarek. Cholera. Zabrali mi i to. Niemniej do detonacji ustrojstwa morawca zostały już prawdopodobnie tylko minuty. Wychyłam się ponad balustradą, lecz kalederowe jezioro znajduje się po drugiej stronie budynku i pewnie nie zobaczę nawet błysku. Ciekawe, czy fala uderzeniowa zmiecie ten gmach z wierzchołka Olimpu, czy może tylko wywoła w nim pożar? Zalewa mnie świeża fala wspomnień z dawnych czasów-telewizyjne zdjęcia ludzi, skaczących na pewną śmierć z płonących nowojorskich wieżowców. Zaciskam powieki i mocno pocieram skronie, próbuję się pozbyć nieproszonych obrazów. Niestety, wszystkie te zabiegi sprawiają jedynie, że wizje nabierają wyrazistości. Do diabła, przemyka mi przez myśl, gdyby pozwolili mi pożyć jeszcze choć kilka tygodni, gdybym sam sobie na to pozwolił, gdybym nie bawił się boskimi zabawkami, nie igrał z losem tak wielu osób, być może wróciłoby do mnie całe poprzednie życie. A może i śmierć.

Drzwi celi otwierają się z hukiem i pojawia się Zeus. Przychodzi sam. Wracam do pustego pomieszczenia.

Chcielibyście może poznać przepis na utratę poczucia własnej wartości? To proste, wystarczy stanąć nago i boso przed Bogiem Bogów, odzianym w wysokie buty, złote nagołenniki i pełną bitewną zbroję. Poza innymi oczywistymi różnicami, dzieli nas jeszcze kwestia wzrostu. Mam metr siedemdziesiąt trzy-dawniej musiałem bez końca wszystkich uświadamiać, w tym własną żonę, że wcale nie jestem niski, tylko średniego wzrostu. Zeus natomiast tego popołudnia mierzy sobie zapewne ponad cztery metry. Drzwi mojego więzienia wyglądają, jakby zostały zaprojektowane dla koszykarzy noszących na barana innych koszykarzy, a wchodzący Zeus i tak musiał pochylić głowę, by się zmieścić. Zatrząskuje drzwi i zauważam, że w olbrzymiej garści nadal ściska mój teleportacyjny medalion.

– Scholiasto Hockenberry – odzywa się po angielsku – czy zdajesz sobie

sprawę, jakich przysporzyłeś nam kłopotów?

Przez moment próbuję mu spojrzeć buńczucznie w oczy, lecz ostatecznie zadowolam się powstrzymaniem gwałtownego dygotania obnażonych nóg. Zimno i strach sprawiają, że mój penis i jądra kurczą się gwałtownie do rozmiarów malutkiej marchewki i szklanych kulek.

Zeus taksuje mnie spojrzeniem od stóp do głów.

– Mój Boże – rzuca, jakby zauważył zmiany mojej anatomii. – Wy, dawni ludzie, byliście tak straszliwie brzydcy. Jak to możliwe, że jesteś tak chudy, że widać ci żebra, a jednocześnie masz brzuch wypukły jak bęben?

Przypominam sobie, że Susan mówiła czasem, że mam tyłek jak odwrócona litera B, ale w jej ustach był to czuły komplement.

– Skąd znasz angielski? – pytam drżącym głosem.

– Zamknij się!!! – grzmi Ojciec Bogów.

Obcesowym gestem wskazuje mi balkon i wychodzi zaraz za mną. Jest tak potężny, że ledwo się obok niego mieszczę. Wciskam się w kąt tarasu i staram się nie patrzeć w dół. Wystarczyłoby, żeby rozgniewany bóg podniósł mnie i przerzucił przez balustradę. Podejrzewam, że, spadając, wrzeszczałbym i wymachiwał kończynami przez dobre pięć minut.

– Skrzywdziłeś moją córkę – warczy Zeus.

Którą? – zastanawiam się rozpaczliwie. Spiskowałem przeciwko Afrodycie i Atenie, ale dochodzę do wniosku, że Gromowładny ma jednak na myśli Atenę. Zawsze była jego ulubienicą. Zresztą, jakie to ma właściwie znaczenie? Knowania przeciwko dowolnemu bóstwu – o planowaniu obalenia ich władzy w ogóle już nawet nie mówię – muszą zostać ukarane śmiercią. Ponownie wyglądam ponad poręczą. Dokładnie pod nami wije się we mgle kryształowy szyb windy. Bez powiększających szkieł nie widzę jednak spalonych koszar scholiastów. Chryste Panie, naprawdę cholernie tu wysoko.

– Czy wiesz, Hockenberry, co się dzisiaj wydarzy? – pyta Zeus.

Uznaję, że to retoryczne pytanie. Bóg opuszcza ramiona i składa dłonie na kamiennej balustradzie. Palce ma długie jak moje przedramię.

– Nie – przyznaję.

Spogląda na mnie.

– Cóż, to pewnie nieprzyjemne uczucie po tylu latach życia scholiasty –

stwierdza dudniącym głosem. – Dotąd zawsze wiedziałeś co się stanie, znałeś przyszłość zasłoniętą nawet przed bogami.

Musiałeś się czuć jak jedna z Mojr.

– Czuję się jak dupek – prostuję.

Zeus kiwa głową. Po chwili wskazuje rydwany wzbijające się jeden za drugim z wierzchołka Olimpu. Są ich setki.

– Dzisiejszego popołudnia – podejmuje bóg – zniszczymy ludzkość. Nie tylko tych pyszałków z Troi, lecz wszystkie istoty ludzkie. Na całym świecie.

Cóż mogę na to odpowiedzieć?

– To chyba lekka przesada... – udaje mi się wreszcie wykrztusić. Podejrzewam, że ten brawurowy komentarz wywarłby znacznie silniejsze wrażenie, gdybym nie wygłosił go drżącym głosem zdenerwowanego chłopczyka.

Zeus jeszcze przez moment spogląda na sunące w powietrzu rydwany, patrzy też na tłum zakutych w złote zbroje Olimpijczyków, czekających, by wsiąść do swych pojazdów.

– Posejdon, Ares i parę innych osób od wieków próbują mnie nakłonić, bym potraktował cały rodzaj ludzki jak złośliwy szczep wirusów i po prostu go zlikwidował – mówi Gromowładny tubalnym głosem, bardziej do siebie niż do mnie. – Zresztą wszyscy się niepokoiimy. Ludzkość w swym heroicznym okresie martwiłaby każdego boga wszechświata. Zbyt często dochodzi do mieszania ras. Pieprząc się ze śmiertelnikami, przekazaliśmy potworkom w rodzaju Heraklesa czy Achillesa stanowczo zbyt wiele ulepszonych nanotechnologicznie DNA.

– Dlaczego mi o tym opowiadasz? – dziwię się.

Zeus przygląda mi się z góry, dosłownie i w przenośni. Wzrusza ramionami, tymi potężnymi barami, wiszącymi dwa i pół metra nad moją głową.

– Dlatego że niedługo będziesz martwy, więc mogę mówić swobodnie. Na Olimpie, scholiasto Hockenberry, nie ma trwałych przyjaźni. Nie ma godnych zaufania sojuszników, tudzież wiernych partnerek... niezmiennie są tutaj jedynie interesy. A w moim interesie leży pozostać władcą bogów i panem wszechświata.

– Domyślam się, że masz z tym urwanie głowy – komentuję kąśliwie.

– Zgadza się – potakuje Zeus. – Tak właśnie jest. Jeśli nie dowierzasz mnie, zapytaj Setebosa, Prospero lub Ciszę. Hockenberry, czy masz jakieś ostatnie pytania, chciałbyś się czegoś dowiedzieć, nim zginiesz?

– Prawdę mówiąc, owszem – odpowiadam. Ku memu wielkiemu zdumieniu, głos przestał mi się łamać, uspokoiły się też kolana. – Chciałbym wiedzieć, kim wy, bogowie, naprawdę jesteście? Skąd pochodzicie? Bo że nie jesteście prawdziwymi greckimi bóstwami, to jasne.

– Nie jesteście? – prycha Zeus. Jego uśmiechu, w którym pomiędzy kosmykami srebrzystej brody połyskują białe i ostre zęby, za nic nie nazwałbym ojcowskim.

– Kim jesteście? – pytam ponownie.

Z piersi Zeusa wszechmogącego wyrywa się westchnienie.

– Obawiam się, że na tę opowieść nie wystarczy nam czasu. Żegnaj, scholiasto Hockenberry. – Gromowładny odrywa dłonie od poręczy i odwraca się ku mnie.

Okazuje się, że miał rację – nie mamy czasu na opowieść, ani na nic innego. Cały wysoki budynek zaczyna się nagle chybotać, kruszyć, jęczeć. Samo powietrze gęstnieje i się marszczy. Złote rydwany chwieją się w locie, dolatują mnie krzyki i wrzaski zgromadzonych daleko poniżej bogów i bogiń.

Zeus odpycha się chwiejnie od balustrady, upuszcza teleportacyjny medalion na marmurową posadzkę i wyciąga potężne ramię, by oprzeć się o ścianę, Wysoka wieża trzęsie się w posadach, rozkołysana odchyła się o co najmniej dziesięć stóp od pionu.

Bóg podnosi wzrok.

Błękit przecinają smugi. Dudnią naddźwiękowe grzmoty. Pręga za pręgą pokrywa marsjańskie niebo. Ponad Olimpem, ponad naszymi głowami, na tle modrego nieboskłonu pojawia się kilka ogromnych, wirujących kul; są czarne niczym kosmos i czerwone jak magma. Przypominają wydarte w niebie dziury, z każdą chwilą opuszczają się niżej.

Niżej i niżej. Podobne sfery o nierównych brzegach zauważam na ziemi. Wirują u podnóża Olimpu, a każda z nich zajmuje powierzchnię co najmniej piłkarskiego boiska. Nadlatują również znad północnego oceanu, niektóre rozcinają brzuchami morskie fale.

Z osiadających na lądzie kul wysypują się mrówki. Tysiące mrówek. Po chwili uświadamiam sobie, że widzę ludzi. Czyżby prawdziwi ludzie?

Na niebie, pomiędzy rydwanami, pojawiają się teraz kanciaste kształty czarnych maszyn.

Niektóre przerastają rozmiarami pojazdy bogów, a wszystkie wyglądają nieludzko i złowróźnie. To bez wątpienia maszyny bojowe. Kolejne ogniste smugi przecinają górne warstwy atmosfery, mkną w stronę Olimpu niczym balistyczne pociski międzykontynentalne.

Zeus unosi pięści ku niebu wygraża intruzom. Pochyla się i ryczy do biegających w dole figurek bogów.

– Egida! Aktywować Egidę!

Bardzo chętnie zostałbym trochę dłużej. Miło byłoby się przekonać, co takiego postanowił włączyć i jak to wszystko się potoczy, ale mam na głowie ważniejsze sprawy. Rzucam się głową naprzód na brzuch, prosto pomiędzy potężne łydki Gromowładnego, prześlizguję się po gładkich marmurowych płytach, chwytam porzucony medalion i wolną ręką obracam jego obwódkę.

*Pierścień równikowy*

Początkowo nie byli w stanie uwolnić Hanny z sarkofagu. Ciężka rura nie zostawiła na giętkim szkle nawet rysy. Daeman trzykrotnie wystrzelił w pokrywę z pistoletu, lecz kryształowe strzałki odbiły się tylko bezsilnie i rozleciały rykoszetami po całej konserwatorni, niszcząc delikatne urządzenia, siekąc wyłączone serwitory i o mały włos nie raniąc obu mężczyzn.

Wreszcie Harman wspiął się na wierzch sarkofagu i posługując się rurą w charakterze dźwigni, podważył i oderwał wieko. Naciągnął kaptur termoskóry, założył osmotyczną maskę i wskoczył do środka, gdzie, brodząc w wyciekającym płynie, wziął Hannę na ręce. Ponieważ zasilanie padło zupełnie-nie działały już lampy, a sarkofagi gasły jeden po drugim – pracowali, przyświecając sobie latarką.

Wreszcie położyli dziewczynę na wilgotnej podłodze. Naga i mokra, pozbawiona włosów, z wrażliwą, świeżą skórą wydawała się krucha jak pisklą. Na szczęście oddychała – z trudem, płytko i niepokojąco gwałtownymi haustami, lecz o własnych siłach. Gorzej, że nie byli jej w stanie obudzić.

– Myślisz, że przetrzyma? – rzucił Daeman.

Pozostałe dwadzieścia trzy osoby w konserwatorni już nie żyły bądź właśnie umierały. Nie mieli możliwości dotrzeć do nich na czas.

– Skąd ja mam wiedzieć? – odparł zdyszany Harman.

Chłopak rozejrzał się dokoła.

– Ogrzewanie też już zdechło. Za kilka minut temperatura spadnie poniżej zera i zrobi się tu tak zimno, jak w całym mieście. Musimy ją czymś okryć.

Nie wypuszczając pistoletu z dłoni, lecz już bez wcześniejszej ostrożności,

nie wypatrując Kalibana, Daeman pobiegł przez ciemniejącą miarowo konserwatornię. Widział dokoła ludzkie kości, rozkładające się zwłoki, nieruchome serwitory, potłuczone retorty, próbówki i przewody, ale nie znalazł niczego, co chociaż trochę przypominałoby koc. Ostatecznie oddał kwadratowy kawałek przezrzystego plastiku, którym wcześniej zablokowali wejście, i wrócił.

Hannah nadal nie odzyskała przytomności, w dodatku targały nią gwałtowne dreszcze. Harman tulił ją do siebie i próbował rozgrzać, pocierając gołymi rękoma, lecz te zabiegi niewiele dawały.

Jak mogli najdokładniej, otulili jej chude, blade ciało plastikową płachtą, lecz już po chwili stało się jasne, że cienka osłona nie zapewni dziewczynie ciepła.

– Musimy coś zrobić. Inaczej Hannah umrze – wyszeptał Daeman.

Z mroku pomiędzy wygaszonymi sarkofagami dobiegało jakieś szuranie. Chłopak nawet nie podniósł broni. Konserwatornię wypełniały opary ciekłego tlenu i innych cieczy.

– I tak wszyscy niebawem umrzemy – zauważył Harman. Znaczącym gestem wskazał szklany panel w suficie.

Daeman zadarł głowę. Biała gwiazda, będąca w rzeczywistości długim na dwie mile akceleratorem liniowym, znajdowała się już blisko, bardzo blisko.

– Ile zostało czasu do zderzenia? – spytał.

Harman pokręcił głową.

– Zegary wysiadły wraz z zasilaniem.

– Kiedy zaczęły się kłopoty, mieliśmy jeszcze mniej więcej dwadzieścia minut.

– Tak – zgodził się Harman. – Ale ile czasu minęło od tamtej pory? Dziesięć minut? Piętnaście?

Dziewiętnaście?

Chłopak popatrzył przez szyby w suficie. Ziemi nie było. Za oknami zobaczył tylko płonące zimnym ogniem gwiazdy, w tym tę największą, pędzącą wprost na nich.

– Pamiętam, że widziałem wtedy Ziemię – zauważył. – Czyli nie mogło upłynąć więcej niż dwadzieścia minut. Kiedy Ziemia pojawi się z powrotem...



Biało-niebieski łuk planety wypłynął ponad skraj jednego z paneli.

– Musimy iść – dokończył Daeman.

W ciemności za ich plecami rozległy się kolejne szmery, coś stuknęło. Chłopak odwrócił się gwałtownie i poderwał broń, lecz Kaliban wciąż się nie pokazał.

Ciążenie w konserwatorni słabło z każdą chwilą; zebrane w kałużach płyny odrywały się od podłogi i wzbijały w powietrze, gdzie przybierały amorficzne kształty, by ostatecznie zebrać się w kule. Snop światła latarki omiatał wilgotne powierzchnie.

– Jak to iść? – zdumiał się Harman. – Mamy ją tutaj zostawić?



Powieki dziewczyny nie były do końca zamknięte, wzyierały spod nich

białka oczu. Drgawki co prawda nieco osłabły, lecz Daeman uznał, że nie wróży to nic dobrego.

Chłopak już wcześniej założył maskę-tłenu w konserwatorni było akurat tyle, że mogli oddychać, lecz po wyłączeniu zasilania w konserwatorni, jak w uszkodzonej zamrażarce, rozszedł się fetor zepsutego mięsa.

– Mamy tylko dwie termoskóry. – Podrapał się w zamyśleniu po brodzie. – Nie możemy jej przenieść do sonika. Umarłaby z wychłodzenia już w mieście, o otwartej próżni nie wspominał.

– Sonik jest wyposażony w pole siłowe i ogrzewanie – przypomniał szeptem Harman. – Gdy lataliśmy na dużych wysokościach, Savi zawsze je włączała. – Zsunął maskę i jego oddech uniósł się w powietrze gęstą mgiełką. Broda i wąsy porosły mu soplami lodu. W oczach mężczyzny widniało zmęczenie tak krańcowe, że Daeman nie był w stanie na niego patrzeć bez żalu.

Chłopak pokręcił głową.

– Savi opowiedziała mi, jak zimno jest w kosmosie i co próżnia robi z ludzkim ciałem. Hannah umrze, zanim zdążymy włączyć pole siłowe.

– A zapamiętałeś może, jak się je uruchamia? – spytał Harman. – I jak się w ogóle tym cholerstwem lata?

– Nie... nie pamiętam – przyznał chłopak. – Przyglądałem się Savi, kiedy pilotowała, ale nie przyszło mi do głowy, żeby się uczyć. A ty pamiętasz?

– Ja jestem taki... zmęczony. – Mężczyzna potarł skronie.

Hannah znieruchomiała na dobre. W tej chwili wyglądała jak nieżywa. Daeman zsunął z dłoni rękawicę termoskóry i przyłożył rękę do piersi dziewczyny. W pierwszej chwili przestraszył się, że naprawdę umarła, ale po chwili wyczuł nikłe bicie serca, delikatne jak u małego ptaszka.

– Harman – rzucił zdecydowanie – zdejmuj termoskórę.

Harman podniósł głowę i otworzył szeroko oczy.

– Tak – powiedział głucho – masz rację. Ja już swoje pięć Dwudziestek przeżyłem. Hannah zasługuje na więcej niż...

– Nie, kretynie.

Chłopak pomógł towarzyszowi wyplątać się z obcisłego kombinezonu. Zimne powietrze mroziło mu odsłoniętą twarz i dłonie; nie potrafił sobie wyobrazić, jak czułby się w tych warunkach nago.

Tlenu było mniej z każdą chwilą, atmosfera rzedła, a ich głosy brzmiały słabiej i bardziej piskliwie.

– Będziecie się wymieniać. Odlicz do pięciuset, a potem rozbierz ją i ogrzej siebie. Rób tak bez przerwy, chyba że Hannah umrze.

– A ty gdzie wtedy będziesz? – wydyszał Harman.

Oswobodził się już z termoskóry i próbował ubrać nieprzytomną dziewczynę. Ręce trzęsły mu się jednak tak bardzo, że znowu musiał skorzystać z pomocy Daemana. Skafander w jednej chwili dopasował się do ciała Hanny, która ponownie zaczęła drżeć, mimo że strój nie pozwalał jej tracić ciepła. Harman przyłożył jej do twarzy swoją osmotyczną maskę.

– Ja przyprowadzę sonik – wyjaśnił, oddychając z trudem Daeman. Podciągnął maskę, żeby pozbawiony słuchawek termoskóry Harman mógł go słyszeć. Podał mu pistolet. – Trzymaj. To na wypadek, gdyby wrócił Kaliban.

Podniósł z podłogi rurę, którą wcześniej otworzyli sarkofag.

– Tutaj nie przyjdzie. – Starszy mężczyzna dyszał ciężko, czerpał powietrze rwanymi haustami. – Zacznie od ciebie, a nas pożre potem, kiedy przyjdzie mu ochota.

– Mam nadzieję, że przyprawimy go o ciężką niestrawność – zażartował chłopak. Założył maskę, odbił się od podłoża i poszybował w stronę wyjścia.

Dopiero kiedy przebił się przez membranę w drzwiach – wcześniej rozerwał ostrym końcem rury zabezpieczającą wejście plastikową folię – uświadomił sobie, że nie wytłumaczył Harmanowi, na czym dokładnie polega plan. Zamierzał przyprowadzić pojazd do konserwatorni, przebić się Sonikiem przez szklaną ścianę i zabrać towarzyszy. Cóż, teraz już za późno, żeby wracać, pomyślał.

Kiedy miesiąc temu – wydawało się, że upłynęła cała wieczność – wędrowali po kryształowym mieście we trójkę, Daeman miał kłopot z nadążeniem za resztą. Teraz jednak płynął w rzadkim powietrzu niczym istota stworzona do życia w niskim ciśnieniu, zrodzona w kosmosie wydra.

Bezbłędnie odnajdował miejsca, od których mógł się odpychać, świetnie dobierał momenty wybicia, wiosłował trzema wolnymi kończynami, oszczędzając energię, starał się przesadnie nie wysilać. Raz po raz wykonywał piruety i salta, lądował na szczeblach, stołach, nawet na ciałach postludzi,

skąd wyskakiwał ponownie i kontynuował wędrówkę.

Mimo wszystko posuwał się zbyt wolno. Spoglądając na okna kryształowego miasta, czuł, że przegrywa wyścig z czasem – świecące szyby ciemniały z każdą minutą, gasły. Kępy wodorostów, miejskie tarasy, całe otoczenie – wszystko zalewała gęsta ciemność. Za żadnym z okien nie widział rozpędzonego akceleratora. Ciekawe czy usłyszę, kiedy przebije się przez dach, czy może powietrze jest już zbyt rzadkie i dźwięki przestały się rozchodzić? Otrząsnął się z tych myśli. Wiedział, że zderzenia z wielką machiną nie przegapi na pewno.

Mało brakowało, a poleciałby za daleko. W pewnym momencie uniósł głowę i stwierdził, że znalazł się bezpośrednio pod strzelającą w ciemność, liczącą sobie setki pięter kryształową wieżą.

Wylądował, chwycił rurę oburącz i przyjrzał się wieży przez noktowizyjne soczewki termoskóry.

Szybowały tam ludzkie kształty, niektóre pod pływały dość blisko, lecz ich bezwładne ruchy sugerowały, że są to raczej zwłoki postludzi, a nie Kaliban. Być może.

Daeman wsunął rurę pod pachę, przypomniał sobie sposób, w jaki skakał Kaliban, przykucnął, podparł się rękoma i wybił czterema kończynami, zużywając całą siłę, jaka mu jeszcze pozostała.

Poszybował ku górze, lecz leciał powoli, stanowczo zbyt niemrawo. Kiedy zrównał się z pierwszym tarasem, zawieszonym siedemdziesiąt lub osiemdziesiąt stóp nad powierzchnią asteroidy, wciąż miał wrażenie, że stoi w miejscu. Gdy wpatrzony w cienie odepchnął się po raz kolejny od barierki, uświadomił sobie jak bardzo osłabł.

Rozumiał też, że cieni dokoła jest zdecydowanie za dużo. Kaliban mógł się na niego rzucić z dowolnego z tonących w mroku tarasów, lecz na to Daeman nie mógł już nic poradzić. Nie mógł oddalić się od ściany wieży i zapewniających możliwość wybicia balkonów. Przy każdym skoku leciał najpierw szybko, a potem stopniowo zwalniał, zbliżając się do kolejnej balustrady. Czuł się jak żaba pokonująca staw po liściach nenufarów – oczywiście te liście wykonano z metalu i kamienia.

Nagle wybuchnął głośnym śmiechem. Przecież jego termoskóra – pod

warstwą błota, kurzu, krwi i szlamu – była zielona. Naprawdę wyglądał jak nieporadna, koścista żaba, skacząca po dziesięć pięter w górę, z tarasu na taras. Śmiech wrócił do słuchawek kombinezonu głuchym, strasznym echem. Daeman umilkł i znów słyszał już tylko swój ciężki oddech.

Nagle poczuł ukłucie lęku. Wykonał w locie salto. Może już minąłem poziom lądowiska?

Powierzchnia wydawała się niesłychanie odległa – dzieliło go od niej co najmniej tysiąc stóp – a sonik czekał na... Zaraz, które to było piętro? Z łomocącym sercem spróbował sobie przypomnieć holograficzny obraz, jaki pokazał im Prospero. Pięćset stóp od powierzchni? Siedemset?

Zdjęty grozą na myśl o tym, że pobłądził, poczuł mdłości. Odleciał trochę dalej od ściany i przyjrzał się szklanym panelom. Większość szyb jaśniała obrzydliwym, gasnącym pomarańczem.

Na tej wysokości tylko niektóre okna były przejrzyste. Grała w nich poświata Ziemi. Nigdzie jednak nie widział nawet śladu białej, półprzepuszczalnej błony. Widziałem te drzwi na hologramie czy po prostu je sobie wymyśliłem?

Zatrzymał się. Zerwał z twarzy osmotyczną maskę. Poczuł, że musi wymiotować.

Nie masz na to czasu, idioto, skarcił się w duchu i spróbował głęboko odetchnąć, lecz powietrze było zbyt rzadkie, zimne i zatechłe. Na pół przytomny założył maskę z powrotem. Dlaczego nie wziąłem ze sobą latarki? Ach tak, uznałem że przyda się Harmanowi. Przecież musi się opiekować Hanną... Musi uważać na Kalibana...Tylko że teraz nie widzę tych kurewskich okien!

Rozpaczliwie opanował rozszalały oddech, uspokoił się. Zanim grawitacja zaczęła ściągać go w dół, odbił się i wiosłując ramionami, odpłynął jeszcze dalej od ściany i obrócił się na plecy, niczym oglądający gwiazdy pływak.

Jest! Dodatkowe pięćdziesiąt stóp wyżej, na bliższej ścianie wieży. Ten biały kwadrat w panelu z nieprzezroczystego szkła.

Chłopak wykonał piruet, przycisnął rurę podbródkiem do piersi i, wymachując rękoma, ruszył naprzód. Gdyby nie zdołał teraz dobić do najbliższego balkonu, opadłby co najmniej dwieście stóp niżej, a nie sądził, by

znalazł w sobie energię, żeby tę stratę nadrobić.

Doszybował do balkonu, chwycił rurę lewą ręką i wybił się nogami pionowo ku górze. Wyliczył ruch tak świetnie, że zatrzymał się dokładnie na wysokości białej membrany. Zdyszany, mrugając gwałtownie, by strzepnąć z powiek krople potu, wyciągnął prawą dłoń i przebił nią cienką błonę.

W dotyku przypominała lepka gazę.

– Dzięki ci, Boże – wysapał.

Kaliban wpadł na niego dokładnie w tej chwili. Wyskoczył z cienia pod balkonem piętro wyżej.

Rozcapierzył długie, chwytne ramiona i nogi. Kły zabłyśły złowrogo w świetle Ziemi.

– Nie-jęknął Daeman, kiedy poczuł, jak oplatają go kończyny i palce potwora.

Szczęki kłapnęły, próbując sięgnąć szyi. Chłopak w ostatniej chwili zdołał osłonić krtanią prawym przedramieniem – zęby Kalibana rozdarły ciało i zatrzymały się na kości. Zwarci w uścisku, splątani i szamocący się ze sobą, otoczeni tryskającymi na wszystkie strony w niskim ciśnieniu fontannami krwi, spadli na niższy taras. Potoczyli się w ciemności, zderzając się ze szkłem, plastikiem, drewnem i zmarzniętymi na kość zwłokami postludzi.

*Równino llionu*

Możliwe, że to Mahnmut jako pierwszy zauważył, co się dzieje na niebie, morzu i ziemi dokoła llionu. Oczywiście stało się tak tylko dlatego, że czegoś się spodziewał. Czegoś, bo nie miał pojęcia, co dokładnie ma się wydarzyć. Jednakże tego, co zobaczył, nie wyśniłby nawet w najdzikszych snach.

– Co widzisz? – spytał Orphu przez radio.

– Ten, no...

Kilka tysięcy stóp nad llionem zawisła kilkusetmetrowej średnicy wirująca kula. Druga, podobna, pojawiła się po krótkiej chwili tuż nad równiną pomiędzy miastem a Wzgórzem Chwastów.

Mahnmut odwrócił się ku morzu i ujrzał trzeci sferyczny obiekt materializujący się nad obozowiskiem Achajów. Czwarty uformował się nad falami, kilka mil od brzegu, tuż przed umykającymi okrętami Greków. Piątą i szóstą kulę morawiec zauważył na północ i południe od miasta.

– No mów, co widzisz? – nacisnął Orphu.

– Hmm... wiesz... – zaczął Mahnmut.

W pierwszej chwili kule migotały całym spektrum barw. Następnie pokryły je jaskrawe, fraktalowe wzory, które z kolei przeobraziły się w obrazy Olympus Mons ukazanej z różnych odległości, z rozmaitych kątów i pod licznymi perspektywami. Przez każdą ze sfer widać było marsjański wulkan i błękitne niebo planety. Jedna z kul wbiła się w równinę i wyglądało to tak, jakby widoczny na jej powierzchni marsjański grunt stanowił przedłużenie trojańskiej ziemi. Wielka sfera na zachodzie spłaszczyła się, zamieniła w wiszące na niebie koło, po czym zanurzyła w falach, aż marsjański ocean



zrównał się poziomem z Morzem Śródziemnym. Woda przepływała pomiędzy oboma światami swobodnie. Załogi achajskich statków pośpiesznie próbowały zebrać żagle, marynarze porzucili wiosła, lecz opatrzone wysokimi dziobami okręty nie zdołały wytracić prędkości na czas i przepłynęły przez wyznaczoną pianistymi bałwanami granicę, prosto na północny ocean Marsa, na którego odległym brzegu majaczyły ośnieżone stoki Olympus Mons.

Morawiec rozejrzał się. Wszędzie widział gigantyczny, marsjański wulkan, nawet w tych kulach, które zamienione w okrągłe portale szybowały teraz nad Ilionem.

– Co się dzieje?! – Zniecierpliwiony Orphu podniósł głos.

– Eee... – spróbował Mahnmut ponownie.

Wtem z portali wyfrunęły roje czarnych obiektów. Wylatywały z okrągłych bram na niebie, z okręgu rozcinającego morze, nawet z portalu tkwiącego w ziemi, przypominającego teraz łukowato sklepioną bramę, otwierającą się niecałe sto metrów przed Achillem, Hektorem i ich oddziałami. Czarne sylwetki rozcinały niebo niczym gigantyczne szerszenie – kanciaste, rogate, niewiele większe niż Orphu, napędzane pulsacyjnymi silnikami zamontowanymi od spodu, na burtach i rufie. Na grzbietach maszyn Mahnmut zauważył czarne, przeszklone kokpity oraz anteny komunikacyjne i rozliczne systemy bojowe – pociski, działka, bomby, miotacze promieni. Skoro tak wyglądały nowoczesne modele bojowych rydwanów, to bogowie musieli dość szybko przeskoczyć kilka poziomów rozwoju technologicznego.

– Mahnmut!!! – wydarł się Orphu.

– Przepraszam – odpowiedział mniejszy morawiec. Jąkając się, opisał pokrótce chaos, jaki zapanował na niebie, morzu i równinie. Wydarzenia toczyły się tak szybko, że ledwie nadążał z relacją.

– Co na to Achilles i Hektor? Jak się zachowują Grecy i Trojanie? – pytał Orphu. – Rzucili się do ucieczki?

– Niektórzy, owszem – odpowiedział Mahnmut. – Większość Achajów wokół mnie i Trojan zgrupowanych przy twoim wzgórzu pędzi ku najbliższemu z portali. Wbiegają do niego.

– Wbiegają? – powtórzył Orphu z lo. Mahnmut nigdy jeszcze nie słyszał w głosie przyjaciela tak wielkiej konsternacji.

– Tak. Przykład wojownikom dali Achilles i Hektor. Najpierw przez chwilę krzyczeli, wygrażali, wygrażali niebu włóczniami i tarczami, a potem... cóż... przebiegli na drugą stronę. Podejrzewam, że zobaczyli wierzchołek Olympus Mons, poznali go i... po prostu... poszli do ataku.

– Zaatakowali marsjański wulkan? – Orphu nie mógł wyjść ze zdumienia.

– Zaatakowali Olimp, siedzibę swych bogów – poprawił Mahnmut, który również wydawał się mocno zmieszany. – O rany!

– O rany? Co znowu? – zaciekawiał się Orphu.

– Ten okrągły portal za nami – wydukał Mahnmut. – Ten, przez który przepłynęły dziesiątki greckich okrętów...

– Tak, pamiętam, wspomniałeś...

– Tyle że widzę za nim teraz nie dziesiątki, a setki statków...

– Greckich? – dopytał większy morawiec.

– Nie. Większość to statki Emzeteli.

– Małych zielonych ludzików? – Orphu brzmiał w tej chwili jak prymitywny komputerowy syntezytor ludzkiej mowy. Każde słowo wypowiadał tak, jakby usłyszał je pierwszy raz w życiu.

– Tysiące Emzeteli. Na setkach statków.

– Płyną felukami? – upewnił się Orphu.

– Felukami też. Inni żeglują wielkimi barkami, którymi transportowali kamienne głowy. Są też większe i mniejsze żaglowce... W każdym razie wszystkie kierują się ku Olympus Mons, wraz z okrętami Achajów.

– Tylko po co? – zdziwił się większy morawiec. – Dlaczego zeki płyną z Grekami na Olimp?

– Mnie nie pytaj! Ja tu tylko pracuję! – fuknął zirytowany Mahnmut i na moment umilkł. – O, o!

– O, o?

– Na niebie pojawiły się ogniste smugi, jakby spadł deszcz meteorów.

– Bogowie znowu bombardują?

– Nie mam pojęcia.

– W którą stronę?

– Co? – rzucił Mahnmut.

Gdyby jego projektanci pomyśleli o wyposażeniu go w zuchwę, na pewno

otworzyłby w tej chwili szeroko usta. Niebo pokryła siateczka ognistych linii, wśród których unosiły się koliste portale, ukazujące Olympus Mons. Pod nimi śmigły we wszystkie strony kanciaste, odrzutowe pojazdy, z każdą chwilą obniżające lot. Tysiące wojowników z Troi i Grecji pokonało pierwszy portal w ślad za Achillesem i Hektorem. Kolejne dziesiątki tysięcy obrońców Ilionu i ich sojuszników zajęły obronne pozycje na miejskich murach i pod nimi, tuż za Bramą Skajską. Rozległo się bicie gongów.

Poniosło się miarowe dudnienie bębnow. W powietrzu dało się wyczuć skrzyżowanie energii, dokoła było słychać bojowe pokrzykiwania. Zakuci w lśniące zbroje Achajowie odbiegli, by zająć swoje dawne umocnienia. Tysiąc trojańskich łuczników na blankach naciągnęło cięciwy i wymierzyło prosto w niebo. Z przystani w obozie Achajów wyszło w morze kolejne dwadzieścia czarnych okrętów. Mahnmur nie był w stanie obracać się dostatecznie szybko, by zobaczyć wszystko.

– W którą stronę spadają te meteory? – doprecyzował Orphu. – Z zachodu na wschód, ze wschodu na zachód? Z północy na południe?

– A jakie to ma do cholery znaczenie? – warknął Mahnmur. – Nie. Dobrze, przepraszam. Spadają ze wszystkich stron jednocześnie. Pocięły niebo w kratkę.

– Czy którekolwiek skierowane są na Ilion?

– Nie, raczej nie. W każdym razie nie bezpośrednio... Zaraz... Wiesz, coś widzę... Widzę, za czym się te ogniste smugi ciągną... Chwilka, przybliżę... Wielkie nieba, to przecież...

– Statek kosmiczny? – podsunął Orphu.

– Tak, Orphu! – wyszeptał Mahnmur. – Ma stateczniki, kadłub, wyjący silnik... Wygląda trochę jak rakieta ze starych komiksów. Zawisła w powietrzu na słupie żółtego ognia. Reszta meteorów to również statki... Też się zatrzymały, zawisły... jeden nieco obniżył lot. O, o!

– Znowu jakieś o, o? – wtrącił większy morawiec.

– Ostatni statek najwyraźniej ląduje – podjął Mahnmur. – Podobnie jak cztery czy pięć tych mniejszych, czarnych pojazdów.

– Mówisz? – rzucił Orphu spokojnie, być może nawet z nutą wesołości.

– Lądują na wzgórzu! Tuż obok ciebie! Praktycznie na tobie, Orphu!

Trzymaj się, wracam!

Mahnmut puścił się biegiem na czterech kończynach. Gnał jak najszybciej potrafił w kierunku wzniesienia, na którym żółte wyziewy statku kosmicznego wzbijały chmury pyłu i kamyków na sto stóp w powietrze. Kiedy w pobliżu kurhanu osiadły kolejne maszyny, stracił przyjaciela z oczu w tumanie kurzu. Kanciaste, czarne pojazdy wypuszczały z brzuchów skomplikowanej konstrukcji, przypominające trójnogi podwozia. Lufy statków-szerszeni obracały się, namierzały Orphu.

Mahnmut zauważył to chwilę przed tym, jak wbiegł w kurzawę, gdzie nie widział już niczego.

– Ja się stąd nie ruszam – odpowiedział Orphu. – Tylko uważaj, żebyś nie nadwerężył sobie w biegu hydrauliki, stary druhu. Wydaje mi się, że wiem co to za jedni.

*Pierścień równikowy*

Szczepiony z Kalibanem Daeman tarzał się na podłodze ciemnego tarasu. Miał wrażenie, że przeciwnik próbuje oderwać mu ramię. Wcale się zresztą nie mylił. Potwór naprawdę chciał odgryźć mu rękę. Jedyne metalowe włókna w tkaninie termoskóry i natychmiastowa reakcja samoreperującego się kombinezonu powstrzymały kły Kalibana przed rozszarpaniem mięśni i wyłamaniem kości ze stawów. Nawet ten skafander jednak nie mógł go chronić wiecznie.

Walczący wpadali na stoły, turlali się wśród trupów postludzi, odbili się w słabym ciężeniu od dźwigara, a następnie od szklanej ściany wieży. Kaliban ani na chwilę nie rozluźnił chwytu. Mocno trzymał chłopaka przy sobie, wpijając się w niego długimi palcami i zwinnymi, błoniastymi stopami.

W pewnej chwili bestia zniecka otworzyła szczęki, cofnęła zaśliniony pysk i powtórnie zaatakowała szyję Daemana. Chłopak raz jeszcze zatrzymał kły prawym przedramieniem. Poczul zęby wbijające się w tę samą kość i głośno jęknął. Odbili się na powrót w kierunku barierki balkonu. Mimo że tkanina termoskóry natychmiast zaczęła zamykać wszelkie nieszczelności, z rany trysnęły kuliste krople krwi, pękające przy zderzeniu z kombinezonem Daemana i łuskami Kalibana.

Na sekundę zakleszczyli się pod barierką tarasu. Człowiek wpatrywał się w żółte ślepiea bestii, oddalone od jego oczu jedynie o kilka cali. Daeman doskonale zdawał sobie sprawę, że gdyby nie jego pokąsane przedramię, Kaliban w mgnieniu oka przegryzłby osmotyczną maskę i oderwał zębiskami twarz. W głowie słyszał jednak coś zupełnie innego, powtarzające się raz po

raz proste zdanie, wyrażające prosty, zdumiewający fakt: „Nie boję się”.

Teraz nie było już konserwatorni, która automatycznie faksowałaby jego martwe ciało i naprawiła je w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Na Daemana nie czekały już usłużne, niebieskie czerwie – cokolwiek się wydarzy, będzie nieodwracalne.

Nie boję się.

Miał przed sobą zwierzęce uszy, zwilżone gęstą śliną wargi, pokryte łuską barki. Walczył ze stworzeniem silnym, wręcz stworzonym do fizycznych zmagania. Przed oczyma stanął mu obraz z jaskini... Obłeśnie różowa, naga moszna i penis potwora.

W momencie kiedy Kaliban rozwarł paszczę, by kłapnąć nią po raz kolejny, chłopak zrozumiał, że trzeciego ataku na tętnicę nie zdoła już powstrzymać. Swobodną, lewą ręką sięgnął w dół, wymacał miękkie kulki i zacisnął garść. Z taką siłą nie ścisnął jeszcze niczego w życiu.

Potwór nie zacisnął kłów na jego krtani. Odrzucił łeb do tyłu i ryknął tak głośno, że nawet w skrajnie rozrzedzonym powietrzu wieży poniosło się wyraźne echo. Stwór spróbował się uwolnić. Daeman pochylił głowę, opuścił drugie ramię – krwawiło, lecz wciąż zachował władzę w palcach – i ścisnął raz jeszcze, tym razem oburącz. Kaliban wił się i wierzgał, ciągnąc za sobą trzymającego z całych sił chłopaka. Daeman wyobraził sobie, że wyciska dłońmi – swymi ludzkimi dłońmi – przecier z pomidorów, że wyciska sok z pomarańczy. Myślał o wyciekającym, pryskającym mięszu i trzymał nieprzerwanie – cały jego świat ograniczył się w tej chwili do woli trzymania i ściskania. Kaliban znów ryknął, zamachnął się długą łapą i uderzył chłopaka tak mocno, że ten rozluźnił chwyt i odfrunął w tył.

Przez kilka następnych sekund zamroczony ciosem Daeman nie był w stanie się bronić. Nie wiedział nawet, gdzie się znajduje. Potwór jednak nie wykorzystał cennej okazji. Wymachując ramionami, skowycząc boleśnie i trzymając się za krocze, próbował się skulić w locie. Uniósł wysoko pokryte łuską kolana. Kiedy człowiek odzyskał wzrok, zobaczył, że Kaliban czmychnął z powrotem w stronę balkonu, chwycił barierkę i odepchnął się od niej, by jednym skokiem pokonać dzielące ich piętnaście stóp. Pazury długich łap przebyły już połowę dystansu.

Daeman rozłożył ręce i zaczął po omacku szukać pomiędzy otaczającymi go krzesłami i stołami.

Jego palce trafiły na porzuconą żelazną rurę. Chwycił ją mocno oburącz, wziął szeroki zamach i z dzikim okrzykiem uderzył Kalibana w skroń. Rozległ się satysfakcjonujący trzask i łeb potwora odskoczył w bok, a wywijające w powietrzu łapy i koziółkujący tors wpadły z rozpędu na chłopaka.

Człowiek zdołał jednak – mimo że raniona ręka zaczynała odmawiać mu posłuszeństwa – odepchnąć bestię na bok. Wypuścił rurę, skoczył na barierkę tarasu i wybił się z całych sił prosto w górę, ku czekającej trzydzieści stóp wyżej półprzepuszczalnej membranie, ku wyjściu z wieży.

Zbyt wolno.

Bardziej nawykły do życia w warunkach niskiego ciężenia, rozjuszony i gnany nienawiścią gorącą ponad wszelką ludzką miarę, Kaliban wykorzystał siłę czterech kończyn oraz bezwładu, odbił się od ściany wieży, chwycił palcami stóp poręcz, przykucnął, wystrzelił pionowo w górę i wyprzedził Daemana w drodze do białych drzwi.

Chłopak, wiedząc, że w tym wyścigu nie wygra, złapał w locie dźwigar sterczący piętnaście stóp od wyjścia i wyhamował. Kaliban wylądował na półce, rozpostarł ramiona i zasłonił dostęp do białego kwadratu własnym ciałem. Daeman nie miał możliwości go ominąć ani przedrzeć się przez barierę tych szerokich barów i ostrych jak brzytwa pazurów. Ból poszarpanego ramienia uderzył go nagle z siłą elektrycznego wyładowania. Raniona ręka drętwiała coraz szybciej, zwiastując nadchodzące osłabienie i nieuchronny szok.

Kaliban odchylił głowę, zaryczał donośnie, wyszczerzył zęby i zaczął nucić.

– Czego ja nie cierpię, On ma wręcz za święte, Co ja zjadam skrzętnie, On przytula chętnie. Tyś mi nie kamratem, tylko mięsnym gnatem!

Stało się jasne, że skoczy na Daemana, gdy tylko chłopak odwróci się i spróbuje ucieczki.

Daeman zauważył na piersi potwora świeże blizny i uśmiechnął się ponuro pod nosem. Savi dała mu popalić, pomyślał. Nie sprzedała skóry za bezcen.

Ja też nie poddam się bez walki.

Zamiast uciekać, Daeman przeczołgał się na koniec dźwigara, przykucnął, zebrał ostatki energii, pochylił głowę i wybił się gwałtownie, mierząc prosto w pierś Kalibana.

Lot zajął mu dwie lub trzy sekundy, lecz zaskoczony potwór na moment znieruchomiał. Jedzenie nigdy nie zachowywało się tak bezczelnie – przecież zwierzyzna nie powinna rzucać się na łowcę.

Mgnienie później Kaliban uświadomił sobie, że obiad sam zmierza mu w objęcia – a co więcej, przynosi ze sobą wymarzoną termoskórę – i rozciągnął wargi w złośliwym, wygłodniałym uśmiechu, w którym ukazał wszystkie kły. Potwór rozłożył ramiona i nogi i objął nimi nadlatującego człowieka. Daeman wiedział, że przeciwnik nie rozluźni chwytu, dopóki go nie zabije i nie pożre.

Przez błonę w drzwiach przelecieli razem, Daeman odniósł wrażenie, że rozrywa kleistą firankę.

Kaliban zaczął ryczeć jeszcze w rozrzedzonej atmosferze wieży, lecz tuż za membraną jego krzyk urwał się gwałtownie i przeszedł w lodowatą ciszę. Ponownie koziółkowali w próżni spleceni.

Trzymali się kurczowo, lewa dłoń człowieka napierała od dołu na żuchwę potwora, próbując utrzymać z dala groźne kły. Chłopak ocenił, że musi wytrzymać jakieś osiem, może dziesięć sekund.

Wystawiona na działanie próżni termoskóra zareagowała natychmiast – zacisnęła się, dokładnie oplotła ciało Daemana i skurczyła, przeobrażając w rodzaj ciśnieniowego skafandra. Zlikwidowane zostały nawet cząsteczkowej średnicy pory, którymi mogły uciekać w przestrzeń krew, powietrze i ciepło. Osmotyczna maska rozpostarła przezroczystą szybkę i ustawiła obieg wraz z systemem oczyszczania oddechu właściciela na stuprocentową wydajność. Przewody chłodzące termoskóry wchłonęły zlewający Daemana pot i skierowały go z ogromną prędkością tam, gdzie na kombinezon padały promienie słońca. Jednocześnie przesłały większość ciepła w okolice zacienione, wystawione na dwustustopniowy mróz. Wszystko to wydarzyło się w ułamku sekundy i Daeman niczego nawet nie zauważył. Całą uwagę poświęcił powstrzymaniu pyska i szczęk Kalibana. Rozumiał, że nie może pozwolić, by kły ponownie zbliżyły się do jego gardła i ręki.



Kaliban okazał się zbyt silny. Potrząsnął łbem, uwolnił go od słabnącego z każdą chwilą naporu Daemana i otworzył paszczę do zwycięskiego ryku, po którym – był już pewien – rozszarpie ofierze krtań.

Powietrze wytrysnęło z płuc i ust potwora niczym woda z przedziurawionego bukłaka. Drobinki śliny zamarzały w locie, gdy tylko wyleciały z rozwartego pyska. Kaliban spróbował zatkać dłońmi uszy, lecz nie zdążył – bębunki pękły, a w próżnię strzeliły kuliste kropelki krwi, które natychmiast zaczęły wrzeć. Niecałe dwie sekundy później zagotowała się również krew w żyłach potwora.

Ślepia mu obrzmiały, z kanalików łzowych strzyknęło jeszcze więcej krwi. Kaliban na przemian otwierał i zamykał paszczę niczym wielka ryba, charczał bezgłośnie, próbując zaczerpnąć nieistniejącego powietrza. Oczy stworzenia zaczęły zamarzać, pokryły się białawym nalotem lodu.

Daeman wywinął się z uścisku przeciwnika i potoczył po zewnętrznym balkonie wieży – niemal oderwał się przy tym od posadzki i pofrunął w kosmos, lecz zdążył w porę złapać się ogrodzenia ze stalowej siatki. Następnie, ręka za ręką, podciągnął się do miejsca, gdzie na metalowej płycie czekał uwiązany sonik. Wyglądał tak swojsko. Daeman nie chciał uciekać. Nie chciał zostawić Kalibana żywego. Miał ochotę zostać i wykończyć szamocącego się potwora własnymi rękoma.

Niestety, jedna z tych rąk była w tej chwili zupełnie bezużyteczna – poszarpane prawe ramię zwisało bezwładnie, gdy chłopak przeszybował ostatnie dziesięć stóp do pojazdu. Harman!

Hannah! – przemknęło mu przez myśl.

Pozbawiony jakiegokolwiek ochrony przed próżnią człowiek już by w tej chwili nie żył. Daeman nie znał się na zbyt wielu rzeczach, lecz to jedno podpowiadał mu instynkt. Tyle że Kaliban nie był człowiekiem. Wypluwając z siebie krew i zamrożone powietrze, niczym koszmarna kometa, której powierzchnia wrze wystawiona na palące promienie słońca, potwór wirował i wymachiwał panicznie ramionami. W pewnym momencie wyczuł pod stopami powierzchnię balkonu i odepchnął się gwałtownym kopnięciem, które przeniosło go z powrotem przez półprzepuszczalną błonę drzwi, do wypełnionego rzadkim powietrzem i względnie cieplejszego wnętrza wieży.

Daeman nie miał czasu obserwować Kalibana. Wyciągnął się na wymoszczonym miękką wykładziną miejscu pilota i spojrzał na metalową półkę, nad którą powinien lśnić wirtualny pulpit.

Nie lśnił.

W jaki sposób się to uruchamia? Co mam zrobić, jeśli mi się mimo wszystko uda? Jak Savi odpalała tę maszynę?

W głowie miał całkowitą pustkę. Zmącił mu się wzrok. Przed oczyma zatańczyły czarne plamy.

Oddychał zbyt szybko. Był bliski omdlenia i przez cały czas próbował sobie przypomnieć, jak staruszka włączała panel sterowniczy i silnik sonika. Nie, zupełnie nic nie pamiętał.

„Spokojnie, tylko spokój może nas uratować”. Głos należał do niego, lecz był jakiś inny: starszy, opanowany, wręcz rozbawiony. „Nie denerwuj się”.

I o dziwo uspokoił się. Najpierw wziął w karby oddech, następnie zmusił wysiłkiem woli do wolniejszego biegu serce, na koniec skupił zarazem wzrok i umysł.

Może Savi posługiwała się jakąś komendą głosową? Cholera, to w próżni nie zadziała. Nie ma powietrza, nie ma dźwięków – staruszka kiedyś im to wyjaśniała. A może to Harman tłumaczył?

Ostatnio uczył się od wszystkich. No dobrze, ale skoro nie głosem, to jak? Uspokoił się jeszcze bardziej, po czym zamknął oczy i przypomniał sobie Savi startującą do ich pierwszego wspólnego lotu, z jej domu na górze lodowej.

Przesunęła ręką pod tą osłoną, tuż przy uchwycie, i wszystko zagrało.

Daeman poruszył lewą dłońią. Wirtualny pulpit sterowniczy zmaterializował się jak na zawołanie.

Wciąż tylko jedną ręką, co chwila opuszczając powieki, by bardziej skutecznie wyteżyc pamięć, Daeman wciskał kolejne przyciski na migającym kolorowo panelu. Uruchomił pole siłowe, które wcisnęło go w miękkie poduszki leżanki. Moment później rozległ się jakiś ryk i chłopak poderwał głowę, lecz to po prostu powietrze wypełniało zamkniętą w polu siłowym przestrzeń. Mechanizmy odpowiedziały na ruch jego palców. Wraz z tlenem powróciły dźwięki.

– Sterowanie ręczne czy autopilot? – rozległo się pytanie.

Chłopak uniósł ostrożnie maskę i niemal zaszlochał, czując pierwszy od miesiąca haust świeżego, słodkiego powietrza.

– Ręczne – odpowiedział.

Tuż przed nim wyświetlił się lśniący holograficzny wolant. W dotyku wydawał się najzupełniej konkretny. Daeman podniósł sonik dziesięć stóp nad metalowy taras, o elastycznych linach cumowniczych przypomniał sobie dopiero, kiedy ujrzał, jak odtruwają zerwane w otwarty kosmos.

Pchnął dźwignię, dodał mocy rufowym silnikom manewrowym, po czym zauważył, że zszedł z kursu i zamiast na szklany panel, leci prosto na stalową ścianę. Czym prędzej wyrównał lot i z prędkością około czterdziestu mil na godzinę wbił się w półprzepuszczalną membranę.

Kaliban czekał na balkonie. Potwór skoczył, mierząc prosto w głowę Daemana. Wycelował bezbłędnie, lecz powstrzymało go pole siłowe. Odbił się od niewidzialnej przeszkody i wyleciał na środek szybu.

Oswajając się ze sterami, chłopak wykonał szeroki zwrot. Obracając dźwignią, dodał więcej mocy. Kiedy Kaliban uniósł głowę i otworzył krwawiące ślepie, sonik leciał już z prędkością siedemdziesięciu mil na godzinę. I z tą prędkością dziób pojazdu wbił się w pierś potwora, odrzucając go w tył na przeciwległą ścianę, gdzie wyrznął tułowiem o dźwigar i osunął się po szybie.

Daeman bardzo chętnie zostałby i pobawił się z ofiarą dłużej – prawdę powiedziawszy, pragnienie zemsty paliło go znacznie bardziej niż ziejąca w prawym ramieniu rana – ale pamiętał, że tam w dole umierają jego przyjaciele. Przechylił sonik i zanurkował ku oddalonej o ponad dziewięćdziesiąt pięter powierzchni.

Na dole ledwie zdołał poderwać dziób – sonik otarł się brzuchem o ziemię, skosił kępę wodorostów i poderwał ku górze chmurę zasuszonej trawy. Daeman opanował pojazd i zredukował prędkość. Trasę do konserwatorni, na której przebycie o własnych siłach strawił dwadzieścia wyczerpujących minut, pokonał teraz w trzy minuty.

Wejście okazało się dla sonika zbyt wąskie. Chłopak cofnął wiszącą w powietrzu maszynę, dodał mocy i przemienił półprzepuszczalną membranę w drzwiach w błonę w pełni przepuszczalną. Za Sonikiem wpadł do

konserwatorni warkocz szklanych odłamków, kawałków metalu i sztucznych tworzyw. Daeman prowadził między wygaszonymi, pustymi sarkofagami. Krzywił się, widząc w niektórych bielejące zwłoki martwych ludzi, którym nie zdążyli w porę przyjść z pomocą. Chwilę później zatrzymał silnik, wyłączył pole siłowe i wyskoczył na podłogę, tuż przy dwóch leżących nieruchomo ciałach.

Harman zostawił swą niebieską termoskorę Hannie, na ostatnie minuty zachował dla siebie jedynie osmotyczną maskę. W świetle reflektorów sonika nagi mężczyzna wydawał się śmiertelnie blady i posiniaczony. Dziewczyna leżała z szeroko rozwartymi ustami, jakby zastygłymi w ostatniej, daremnej próbie zaczerpnięcia powietrza. Daeman nie tracił czasu. Nie sprawdził, czy towarzysze żyją. Nadal posługując się jedną ręką, podjął ich kolejno z ziemi i ułożył w leżankach po obu stronach miejsca pilota. Wyskoczył jeszcze na moment, wcisnął na tył pojazdu plecak Savi, a pistolet rzucił na oparcie własnej wnęki. Zaraz potem wrócił i włączył z powrotem pole siłowe.

– Czysty tlen – polecił automatycy sonika, gdy zaszumiało powietrze.

Czysta i świeża mieszanka natychmiast zgęstniała. Chłopakowi zakręciło się w głowie. Na chybił trafił przejrzał kilka opcji wirualnego pulpitu, wyłączył parę ostrzeżeń, aż wreszcie znalazł włącznik ogrzewania. Z konsoli i wentylatorów popłynął ciepły powiew.

Jako pierwszy zaczął kasłać Harman. Dziewczyna dołączyła do niego po kilku sekundach.

Zamrugali w oszołomieniu, unieśli powieki i skupili spojrzenia na Daemanie.

Chłopak rozciągnął usta w głupkowskim uśmiechu.

– Gdzie... gdzie... – wychrypiał Harman.

– Spokojnie – odezwał się Daeman, kierując sonika powolnym lotem ku wyjściu konserwatorni. – Nie śpieszy się.

– Śpieszy... właśnie... Akcelerator... liniowy...

– Kurwa mać! – rzucił Daeman. Na śmierć zapomniał o pędzącym ku kryształowemu miastu urządzeniu. Ani razu nie spojrzął za okna, by sprawdzić ile czasu zostało do zderzenia.

Pchnął wolant i ustawił przepustnicę na maksymalną moc. Przebił się przez

uszkodzone już wcześniej drzwi i pomknął ku wylotowi wieży.

\* \* \*

W wieży po Kalibanie nie było śladu. Daeman skierował pojazd szerokim łukiem, wyleciał na zewnątrz i zakręcił pionowo w górę, już w otwartej przestrzeni.

– Jezu Chryste – jęknął Harman.

Hanna wrzasnęła – był to pierwszy dźwięk, jaki wydała odkąd uwolnili ją z regeneracyjnego sarkofagu.

Dwumilowy masyw akceleratora znalazł się już tak blisko, że okalający wylot czasoprzestrzennego tunelu pierścień przesłaniał dwie trzecie nieba, w tym słońce i gwiazdy.

Czterodyszowe silniki manewrowe pluły ogniem na całej długości kadłuba, dokonując ostatnich przed zderzeniem korekt kursu. Daeman nie miał pojęcia o nazewnictwie części akceleratora, ale widział je w tej chwili wszystkie niezwykle szczegółowo: połyskujące belki krzyżowe, pierścienie podziurawione wskutek niezliczonych uderzeń mikrometeorytów, zwoje chłodnic, długi, miedziany przewód zwrotny ponad rdzeniem, odległe iniektory oraz obracającą się, przypominającą kolorem ziemię i morze kulę spętanego w pierścieniu tunelu. Całość rosła im w oczach, gasząc ostatnie widoczne gwiazdy. Na kryształowe miasto padł olbrzymi cień urządzenia.

– Daeman... – zaczął Harman.

Chłopak już jednak zareagował, raz jeszcze otworzył przepustnicę na maksimum, wykonał pętlę nad wieżą, miastem i kamienną powierzchnią asteroidy, po czym zanurkował ku wielkiemu, błękitnemu łukowi Ziemi. W tym samym czasie akcelerator pokonał ostatnie kilkaset metrów swej wędrówki.

Przez moment, gdy manewrowali jeszcze nad miastem, wieże znalazły się nad nimi, zaraz potem zostały w tyle. Właśnie wtedy rozpędzona masa zderzyła się z osiedlem postludzi i powierzchnią asteroidy. Kulisty wylot tunelu czasoprzestrzennego wbił się w budynki i ściany miasta na sekundę bądź dwie, zanim wbiła się w nie wykonana z egzotycznej materii reszta konstrukcji urządzenia.

Tunel zapadł się w siebie, a akcelerator złożył niczym akordeon i przez moment wydawało się, że nic wielkiego się nie zdarzy. Zaraz potem jednak moc kolizji dała o sobie znać. Trójka uciekinierów obejrzała się za siebie.

Wszystko rozgrywało się bezgłośnie, i to wstrząsnęło Daemanem najbardziej – niezmacona cisza tej chwili. Żadnych wibracji. Żadnych efektów, towarzyszących zwykle wielkim katastrofom na Ziemi. Nic nie wskazywało, że kryształowe miasto dewastuje kataklizm.

Bo to był kataklizm.

Eksplozja rozerwała była siedzibę postludzi na miliony odłamków. Roztopione, jarzące się szkło i płonący gaz buchnęły rozszerzającą się we wszystkie strony kulą. Wielkie, przypominające balony płomienie strzelały na milę, na dziesięć mil w próżnię, jakby próbowały pochwycić nurkujący sonik.

Po chwili gigantyczny pożar zapadł się w siebie – wyglądało to jak puszczonej wstecz film. Płomienie wkrótce pożarły wszystkie resztki tlenu i zgasły.

Budowle wzniesione po drugiej stronie asteroidy oderwały się wskutek uderzenia od powierzchni swego małego świata i rozleciały na kawałki. Szkło, stal i pulsujące kawały egzotycznej materii frunęły i zderzały się ze sobą, urządzając własne, ograniczone orgie zniszczenia, akcentowane co chwila kolejnymi niemymi wybuchami i ozdabiane pożerającymi same siebie ognistymi kulami.

Sekundę po zderzeniu cała długa na milę asteroida zadygotała, posyłając w ślad za pozostałościami miasta koncentrycznie rozchodzące się tumany gazu i pyłu. Moment później rozpadła się na kawałki.

– Prędzej! – ponaglił Harman.

Daeman nie miał pojęcia co robi. Prowadził sonik pełnym gazem ku Ziemi, o włos wygrywając wyścig z płomieniami, odłamkami i falami zmrożonych gazów. W pewnej chwili cały wirtualny panel usiały rozkrzyczane czerwone, żółte i zielone światełka ostrzeżeń. Co gorsza, z zewnątrz zaczęły dolatywać pierwsze dźwięki – podejrzanie brzmiące trzaski i syk, które w ciągu kilku sekund przeszły w ogłuszający ryk. Najbardziej złowróżbna okazała się pomarańczowa łuna, która wykwitła na krawędziach pojazdu i błyskawicznie zmieniała się w ognistą kulę, naznaczoną błękitnymi, elektrycznymi

wyładowaniami.

– Coś się stało?! – zawołała Hannah. – Gdzie my jesteśmy?

Chłopak udał, że nie słyszy. Nie wiedział jak opanować przyspieszenie i stery sonika. Huczało coraz bardziej natarczywie, płomienie wokół kadłuba gęstniały z każdą chwilą.

– Co to? Sonik jest uszkodzony? – zawołał ze swego miejsca Harman.

Daeman pokręcił głową. Awarii raczej nie doznali. Podejrzewał, że hałas i ogień mają coś wspólnego z błyskawicznym wchodzeniem pojazdu w atmosferę Ziemi. Przypomniał sobie, jak pewnego razu w Kraterze Paryskim, w domicylu przyjaciela – sam miał wówczas sześć czy siedem lat-wbrew przestrogom matki, zjechał po długiej poręczy. Spadł na podłogę i przejechał gołymi rękoma i kolanami po grubym dywanie. Okropnie zapiekło i już nigdy podobnego wyczynu nie powtórzył. Także i teraz za dziwne zachowanie pojazdu mogło odpowiadać tarcie.

Uznał, że nie warto przedstawiać nowej teorii przyjaciołom. Nawet jemu wydała się dość niemądra.

– Zróbcze coś! – Harman przekrzyczał rozlegające się ze wszystkich stron trzaski i szum.

Włosy i zarost obu mężczyzn stanęły dęba, powietrze niosło coraz więcej elektrycznych ładunków. Hannah – bezwłosa, pozbawiona nawet brwi – rozglądała się szeroko otwartymi oczyma, jakby wybudziła się ze złego snu i stwierdziła, że znajduje się w znacznie gorszym koszmarze niż przed chwilą.

Tuż zanim szum z zewnątrz zagłuszył wszelkie inne dźwięki, Daeman krzyknął w stronę pulpitu.

– Autopilot!

– Potwierdź przejście w tryb sterowania automatycznego. – Obojętny głos maszyny był niemal niesłyszalny w ryku płonących na kadłubie gazów. Mimo osłony pola siłowego chłopak czuł, że temperatura niebezpiecznie wzrasta. Żar nie zwiastował nic dobrego.

– Potwierdzam! Autopilot! – zawołał.

Pole siłowe wgniotło trójkę ludzi w leżanki, otuliło ich dokładnie, a sonik obrócił się do góry nogami. Silniki na dziobie zagrały z taką mocą, że od wibracji Daemanowi zaczęły dzwonić zęby.

Rozpoczęli gwałtowne hamowanie. Przeciężenie wlało w jego ranną rękę świeżą falę bólu.

– Potwierdź wejście w atmosferę na zaprogramowanej trajektorii – poprosił autopilot stonowanym głosem wyzutego z uczuć geniusza.

– Tak! – ryknął Daeman. Rwała go szyja, miał wrażenie, że lada moment trzaśnie mu kręgosłup.

– Czy to było potwierdzenie? – upewnił się sonik.

– Potwierdzam! – wrzasnął chłopak.

Odpaliły kolejne dysze manewrowych silniczków. Pojazd zaczął skakać niczym płaski kamień po tafli stawu. Jeszcze dwukrotnie ogarnęły go płomienie, po czym w zupełnie niezrozumiały sposób wyrównał lot.

Daeman uniósł głowę.

Wciąż lecieli. Znajdowali się bardzo wysoko. Zobaczył przed sobą krzywiznę Ziemi, sunęli tak wysoko, że górskie łańcuchy rozpoznał jedynie po bieli śniegu, kontrastującej z otaczającymi ją plamami brązu i zieleni. Niemniej lecieli. I otaczało ich powietrze.

Daeman radośnie zakrzyknął, wyciągnął dłoń i uścisnął Hannę, znów zawołał i gestem zwycięzcy uniósł zaciśniętą pięść. Nagle spojrzał ku górze i zamarł. Nie opuścił nawet ręki.

– O, cholera! – rzucił.

– Co znowu? – zapytał Harman. Mężczyzna wciąż miał na sobie tylko osmotyczną maskę, zwisającą teraz bezwładnie na szyi. Po chwili i on uniósł wzrok.

– O, cholera! – powtórzył, kiedy popatrzył tam, gdzie przyjaciel.

Pierwsza z tysięcy ognistych kul – odłamek konstrukcji kryształowego miasta, akceleratora bądź zniszczonej asteroidy – z grzotem przeleciała niecałą milę od nich, ciągnąc za sobą długi na dziesięć mil, płomienisty ogon plazmy. Szarpnięty podmuchem sonik gwałtownie zachybotał.

Z płonącego nieba spadały kolejne meteory.



# 61

## *Równino llionu*

Mahnmut dotarł na Wzgórze Chwastów dokładnie w chwili, gdy ze statku kosmicznego, który wylądował pomiędzy mniejszymi, przypominającymi szerszenie pojazdami, wysiadło dziewięć wysokich, czarnych postaci. Istoty zeszły po rampie, prosto w podniesiony z ziemi podmuchem dysz tuman kurzu. Nieznajomi wyglądali jak człekokształtne owady. Mierzyli sobie około dwóch metrów wzrostu i byli ukryci pod lśniącymi pancerzami z przywodzącego na myśl chitynę duraplustu. Okoliczny pejzaż odbijał się w czarnych kaskach jak w onyksowym zwierciadle.

Ramiona obcych skojarzyły się Mahnmutowi z oglądanymi w archiwum zdjęciami odnóży wielkich żuków – zakrzywione, wyposażone w groźne haczykowate wypustki, kolce i igły. Każdy niósł skomplikowaną wielolufową broń, która musiała ważyć przynajmniej piętnaście kilogramów.

Krocząca na czele postać przystanąła w chmurze opadającego pyłu i wymierzyła palcem prosto w Mahnmuta.

– Ty tam, mały morawcu! Czy to jest Mars? – zapytała, posługując się międzyksiężycową wersją uproszczonego angielskiego. Komunikat naraz usłyszał i odebrał przez radio.

– Nie – odparł Mahnmut.

– Nie? Mieliśmy lądować na Marsie.

– Nie wylądowaliście na Marsie. – Mahnmut przekazywał wszystko Orphu.

– Wydaje mi się, że jesteśmy na Ziemi.

Wysoki, stojący w wojskowej pozie przybysz potrząsnął czarnym hełmem, jakby odpowiedź morawca zupełnie go nie usatysfakcjonowała.

– Skąd pochodzisz? Z Callisto?

Mahnmut wyprężył się jak struna.

– Nazywam się Mahnmut i pochodzę z Europy. Do niedawna dowodziłem batyskafem badawczym „Mroczna dama”. A to jest Orphu z Io.

– Czyżby morawiec próżniowy?

– Owszem.

– Co się stało z jego oczami, czujnikami, manipulatorami i resztą kończyn? Kto mu tak pokieroszował obudowę?

– Orphu jest weteranem wojennym – odpowiedział Mahnmut.

– Mieliśmy się zgłosić do Korosa III. Morawca z Ganimesesa – oświadczył ukryty w pancerzu nieznajomy. – Zaprowadźcie nas do niego.

– Koros uległ zniszczeniu – powiedział Mahnmut. – Zginął na polu chwały.

Wysoka postać zamarła. Mały morawiec odniósł wrażenie, że rozmówca porozumiewa się z pozostałą ósemką onyksowych wojowników na prywatnym kanale radiowym. Po chwili obcy spojrział z powrotem na Mahnmuta.

– W takiej sytuacji chcemy pomówić z Ri Po, morawcem z Callisto – rzucił władczy tonem.

– On również został zniszczony. I uprzedzając wszelkie dodatkowe pytania, czy mógłbym wiedzieć, z kim rozmawiam?

– To skałowce – odezwał się na ich paśmie Orphu. – Jesteście skałowcami, nieprawdaż? – dodał już na ogólnodostępnej częstotliwości. Od tak dawna nie komunikował się z nikim poza Mahnmutem, że mniejszy morawiec aż drgnął, słysząc go na tym kanale.

– Wolimy być nazywani morawcami z Pasa – odparł oficer, spoglądając na poobijaną skorupę. – Powinniśmy ewakuować cię do polowego centrum serwisowego, dziadziu. – Skinął na swoich żołnierzy, którzy natychmiast ruszyli w stronę Orphu.

– Stać! – rozkazał Orphu tonem tak zdecydowanym, że wysokie postacie zamarły w pół kroku. – To ja zdecyduję, kiedy się wycofam. A jeśli jeszcze raz nazwiesz mnie „dziadziem”, zrobię sobie z twoich obwodów podwiązki. Tą misją kierował Koros III. Po jego śmierci dowodzenie przejął Ri Po. On także poległ. Z tego wynika, że w tej chwili decydujący głos należy do Mahnmuta z Europy i do mnie, Orphu z Io. Podaj mi swój stopień, skałowcu.

– Centurion Mep Aho, na rozkaz.

Mep Aho? – powtórzył w myślach Mahnmut.

– Ja jestem komandorem – warknął Orphu. – Czy masz jeszcze jakieś wątpliwości co do hierarchii, żołnierzu?

– Absolutnie żadnych – przyznał skałowiec.

– Więc teraz wysłuchamy raportu. Co tu robicie i dlaczego uznaliście, że jesteśmy na Marsie – podjął Orphu, wciąż tym samym, nieznoszącym sprzeciwu basem. Mahnmut miał wrażenie, że ton przyjaciela ociera się momentami o infradźwięki. – Powiedziałem, teraz, centurionie Aho.

Skałowiec posłusznie wykonał polecenie. Zaczął pośpiesznie tłumaczyć, podczas gdy nad ich głowami przelatywało coraz więcej przypominających szerszenie pojazdów. Z miasta wyszły kolejne setki trojańskich wojowników, którzy z wystawionymi zza uniesionych tarcz włóczniami ruszyli z wolna ku zbiegowisku na Wzgórzu Chwastów. Kilkaset metrów na południe liczne oddziały Trojan i Achajów wciąż przekraczały otwarty portal i kierowały się ku lodowatym stokom Olimpu, widocznym za wyciętym w niebie i ziemi półkolem.

Centurion Aho okazał się osobą konkretną. Potwierdził to, co Orphu opowiedział Mahnmutowi podczas przelotu w okolicach Pasa Asteroid. Sześćdziesiąt ziemskich lat wcześniej Koros III został wysłany na Pas przez pochodzącego z Pwyll morawca Asteague/Che i zarząd Konsorcjum Pięciu Księżyców. Celem wyprawy Korosa nie było jednak przeprowadzenie misji szpiegowskiej, tylko nawiązanie kontaktów dyplomatycznych. Morawiec spędził na Pasię ponad pięć lat, latał z asteroidy na asteroidę, przy czym stracił większość załogi. Negocjował z klanowymi przywódcami wojowniczych skałowców i dzielił się z nimi obawami jowiszowych naukowców, dotyczącymi terraformowania Marsa oraz pierwszych odebranych sygnałów świadczących o nasileniu na tej planecie aktywności kwantowej. Skałowce wyraziły zainteresowanie. Jako że nikt nie wiedział, kto za tym stoi – choć wstępnie podejrzewano postludzi z Ziemi – Koros III i morawce z Pasa uzgodnili, że odpowiedzialnych za zmiany na Marsie należy nazywać NIM-ami – Nieznanymi Istotami z Marsa.

Mieszkańcy Pasa znacznie bardziej obawiali się wyraźnych – choć trzeba

przyznać, niewiarygodnych – świadectw błyskawicznego terraformowania planety, niż powstania kwantowych tuneli, których zresztą nie mogli wykrywać ze względu na swój ograniczony poziom rozwoju technologicznego. Będąc rasą morawców wojowniczych i odważnych, już przedtem wysłali na Czerwoną Planetę (podówczas już wcale nie czerwoną) sześć flot ekspedycyjnych.

Z owych eskapad nie powrócił ani jeden statek. Żaden nie zdołał nawet wejść na marsjańską orbitę. Coś – do niedawna skałowce nie miały pojęcia co – niszczyło ich eskadry, zanim dotarły do celu.

Koros III zyskał sobie zaufanie klanowych przywódców dzięki zabiegom dyplomatycznym, wrodzonemu męstwu, przebiegłości i kilku zwycięskim pojedynkom. Mając zapewniony posłuch, wyłożył sformułowany przez Konsorcjum Pięciu Księżyców plan. W pierwszej, ustalonej na około pięćdziesiąt lat fazie skałowce miały zaprojektować i wyhodować w oparciu o własne, wyjątkowo odpowiednie do zadania DNA, nową odmianę morawców bojowych. Równocześnie spoczęła na nich odpowiedzialność za stworzenie nowoczesnych pojazdów bojowych, zdolnych do działań zarówno w próżni, jak i planetarnej atmosferze. Tymczasem bardziej rozwinięte morawce z Konsorcjum, przy pomocy swych naukowców i inżynierów, zobowiązały się odłożyć w czasie próby podboju przestrzeni międzygwiazdnej, a wszystkie środki przeznaczyć na stworzenie własnego generatora i stabilizatora tuneli czasoprzestrzennych.

W ramach fazy drugiej planu – miała się rozpocząć we właściwym momencie, gdy marsjańska aktywność kwantowa osiągnie alarmującą skalę – Koros III zamierzał osobiście stanąć na czele niewielkiej grupy jowiszowych morawców i niepostrzeżenie wylądować na Czerwonej Planecie.

W myśl założeń miał umieścić generator w samym centrum zakłóceń. W efekcie nie tylko ustabilizowałby kwantowe tunele NIM-ów, lecz również stworzyłby nowe, łączące Marsa z Pasem Asteroid, gdzie oczekiwałyby już na sygnał wyprodukowane w fabrykach Konsorcjum odbiorniki.

Ostatnia faza przewidywała, że skałowce wyślą nowo powstałymi tunelami własną flotę i wojska, których zadaniem byłaby identyfikacja, pokonanie, podporządkowanie i poznanie zamiarów NIM-ów, oraz eliminacja grożącej

całemu Układowi Słonecznemu nadmiernie podwyższonej aktywności kwantowej.

– W założeniu nic prostszego – skomentował Mahnmut. – Zidentyfikować, pokonać, podporządkować i poznać zamiary. W praktyce jednak nie udało się wam nawet trafić na właściwą planetę.

– Podróż poprzez tunele kwantowe okazała się wyzwaniem bardziej złożonym, niż przewidywaliśmy – przyznał Mep Ahoo. – Musieliśmy popełnić błąd w nawigacji. Zapewne weszliśmy w jeden z tuneli NIM-ów, ominęliśmy Marsa i wylądowaliśmy... tutaj. – Oficer powiódł wzrokiem dokoła.

Jego żołnierze zauważyli wchodzących na wzgórze trojańskich wojowników. Podnieśli broń.

– Nie strzelajcie – uprzedził Mahnmut. – To nasi sojusznicy.

– Sojusznicy? – zdziwił się skałowiec i zwrócił lśniąca szybką hełmu w kierunku nadciągającego muru zjeżonych włóczniami tarcz.

Po chwili jednak pokiwał głową, wydał przez radio komendę i lufy osobliwej broni powędrowały w dół.

Trojanie nie odpowiedzieli tym samym.

Szczerząc się trafem Mahnmut poznał trojańskiego dowódcę. Usłyszał jego imię wcześniej, podczas przydługiej prezentacji oficerów.

– Perimucie, synu Megasa! – zawołał po grecku. – Nie atakujcie. Czarni wojownicy są naszymi przyjaciółmi i sprzymierzeńcami w walce.

Tarcze i włócznie pozostały w pełnej gotowości. Stojący w drugiej linii łucznicy nie podnieśli łuków, lecz strzały spoczywały w gotowości na lekko naciągniętych cięciwach. Czekali tylko na sygnał do salwy. Długie na metr, zatrute i zębate pociski nie wyrządziłyby opancerzonym skałowcom większej szkody, lecz Mahnmut nie miał zamiaru poddawać podobnym testom własnej powłoki.

– Przyjaciółmi i sprzymierzeńcami w walce, tak? – zadrwił Perimus. Spod wypolerowanego na wysoki połysk brązowego hełmu, za osłoną nosa, policzków, czoła i wydłużoną gardą na karku, widać było jedynie pałające gniewem oczy, wąskie usta i mocno zarysowany podbródek. – Jakże mogą być naszymi przyjaciółmi i sprzymierzeńcami, mała maszyna, skoro nie są nawet ludźmi? To dotyczy również ciebie, zabaweczko.

Mahnmut nie wymyślił stosownej odpowiedzi. Postawił na inną kartę.

– Dzisiejszego ranka widziałeś mnie w towarzystwie Hektora, synu Megasa.

– Towarzyszył ci również mężobójca Achilles! – zawołał Trojanin.

Łucznicy unieśli łuki. W morawca i skałowce wymierzyło co najmniej trzydzieści grotów.

– Jak mam sprawić, by mi zaufał? – nadał Mahnmut do Orphu.

– Perimus, syn Megasa – odpowiedział z namysłem większy morawiec. –

Gdyby wypadki potoczyły się torem nakreślonym w „Iliadzie”, Perimusowi zostałyby jeszcze dwa dni życia. Potem zabiłby go Patroklos, który w tej samej potyczce zgładziłby Autonosa, Eheklosa, Adrestosa, Elazosa, Muliusa i Pliartesa.

– Niestety, dwóch dni nie mamy – odparł Mahnmut. – Większość wymienionych przez ciebie wojowników, Autonos, Mulus i pozostali, stoi teraz przed nami w pełnej gotowości do ataku. Ze słów Hockenberry'ego wynika również, że nie mamy co liczyć na wsparcie Patroklosa, chyba że ruszy do nas wpływ z Indiany. Jakies inne pomysły?

– Powiedz im, że skałowce są wykutymi przez Hefajstosa paziami, wezwanymi przez Achillea na pomoc w wojnie przeciwko bogom.

– Paziami... – powtórzył Mahnmut po grecku. – Nie mam tego rzeczownika w bazie. To nie do końca synonim sługi czy niewolnika, a poza tym...

– Po prostu mu to powiedz – warknął Orphu. – Jeżeli się nie pośpieszysz, Perimus rozkaże naszpikować ci wątrobę strzałami.

Mahnmut nie miał co prawda wątroby, lecz sens przesłania zrozumiał.

– Perimusi, szlachetny synu Megasa – podjął – te czarne postacie są paziami. Zostali wykuci przez Hefajstosa i przybyli na wezwanie Achillea, by wspomóc nasz wojenny trud.

Trojański oficer popatrzył spode łba.

– Ty również jesteś takim... paziem? – syknął.

– Powiedz, że tak – nadał Orphu.

– Tak.

Perimus wydał zwięzłą komendę. Łucznicy opuścili broń i zdjęli strzały z cięciw.

– Homer pisze – odezwał się większy morawiec – że paziowie to rodzaj androidów stworzonych z ludzkich organów w kuźni Hefajstosa. Bogowie i niektórzy śmiertelnicy wykorzystywali ich w charakterze robotów.

– Twierdzisz, że w „Iliadzie” pojawiają się androidy i morawce? – zdumiał się Mahnmur.

– W „Iliadzie” jest wszystko – odparł Orphu i zwrócił się do dowódcy skałowców. – Centurionie Aho, macie na statku generatory pola siłowego?

Wysoki oficer stanął na baczność.

– Tak jest, komandorze.

– Wyślij drużynę do Ilionu, to właśnie to miasto nieopodal, i osłonicie je ustawionym na pełną moc polem siłowym – rozkazał Orphu. – Za pomocą drugiego generatora zabezpieczycie obóz Achajów, ten na wybrzeżu.

– Na pełną moc, komandorze? – upewnił się centurion.

Mahnmur zdawał sobie sprawę, że zasilenie obu pól pochłonie całą moc reaktora statku skałowców.

– Na pełną moc – powtórzył Orphu. – Chcę, żeby pole chroniło cele przed atakami laserów, maserów, pocisków balistycznych, konwencjonalnych, nuklearnych, termonuklearnych, oraz przed bronią neutronową, plazmową, antimaterią i strzałami. Chodzi o bezpieczeństwo naszych sojuszników, centurionie.

– Wedle rozkazu. – połyskliwa czarna postać odwróciła się do swego oddziału i wydała rozkazy przez radio.

Kilkunastu nowych żołnierzy zniosło po rampie masywne generatory. Dwa oddziały ruszyły marszobiegami do wyznaczonych obiektów i po chwili na wzgórzu został tylko centurion Aho oraz oba morawce. Przypominające szerszenie pojazdy cicho zabrzęczały, wzbijały się w powietrze i w pełnej gotowości do odparcia ataku zaczęły patrolować okolicę.

Perimus podszedł bliżej. Kita jego błyszczącego lecz miejscami poobijanego już hełmu ledwie sięgała rzeźbionej piersi pancerza skałowca. Trojanin uniósł pięść i postukał w duraplastowy napierśnik.

– Bardzo interesująca zbroja – ocenił i zwrócił się do Mahnmura. – Mały paziu, zamierzamy pójść do walki u boku Hektora. Chcesz do nas dołączyć? – Wskazał wielkie wydarte niebu i ziemi półkole.

Przez portal maszerowało coraz więcej Trojan i Greków. Nie biegli, lecz dostojnie kroczyli, z zachowaniem szyku. Słońce – ziemskie po jednej stronie, marsjańskie po drugiej – grało na metalowych okuciach rydwanów, odbijało się w tarczach i malowało proporce. Groty włóczy lśniły złowieszczo.

– Tak – odpowiedział Mahmmut. – Chcę. – Zwrócił się przez radio do przyjaciela: – Poradzisz tu sobie sam, dziadziu?

– W razie czego obroni mnie centurion Mep Ahoo – odparł Orphu.

Mahmmut zszedł ze wzgórza u boku Perimusa – w ciągu dziewięciu lat wojny porastające zbocza chwasty zostały niemal zupełnie wydeptane. Niewielki oddział ruszył śladem Hektora. Na dole zatrzymali się na widok dziwnej postaci. Nagi, pozbawiony zarostu mężczyzna o zmierzwionych włosach, rozglądał się lekko otumanionym wzrokiem. Szedł ostrożnie, uważając, by nie urazić na kamieniach pokaleczonych stóp. Na sobie miał tylko zawieszony na szyi medalion.

– Hockenberry? – upewnił się Mahmmut. Powoli tracił zaufanie do swych układów optycznych.

– Obecny! – Scholiasta się wyszczerzył. – Siemasz, Mahmmut – przywitał się i dodał po grecku: – Witaj, Perimusi, synu Megasa. Jestem Hockenberry, syn Duane'a, przyjaciel Hektora i Achillesa.

Spotkaliście się dziś rano, pamiętasz?

Aż do tej chwili Mahmmut nie widział nagiego człowieka. Miał nadzieję, że przez długi, bardzo długi czas nie zobaczy następnego.

– Co ci się stało? – jęknął. – Gdzie twoje ubranie?

– Długo by mówić – odparł Hockenberry. – Ale zanim przejdziemy przez tę dziurę w niebie, uda mi się pewnie przedstawić skróconą wersję. – Uśmiechnął się i spojrzał na Trojanina. – Synu Megasa, czy mógłbym dostać od twoich ludzi jakieś odzienie?

Perimus rozpoznał Hockenberry'ego od razu i zapewne przypomniał sobie o szacunku, z jakim podczas narady na wzgórzu odnosili się do scholiasty Achilles z Hektorem. Obejrzał się na swych ludzi.

– Odziejcicie szlachetnego męża! – zawołał. – Przynieść mi tu najlepszy płaszcz, nowe sandały, świetną zbroję, świeżo wypolerowane nagolenice i wypraną bieliznę!



Z szeregu włóczników wystąpił Autonos.

– Mężny Perimusię, nie mamy zapasowego stroju ani zbroi.

– Więc się rozbierz i oddaj mu swoje! – zagrzmał trojański oficer. – Tylko wszy najpierw wybij. To rozkaz!

# 62

## *Ar dis*

Późne popołudnie zmieniło się w wieczór, a niebo wciąż spadało im na głowy.

Ada wybiegła na trawnik przed dworem i spojrzała na rozcinające chmury krwawe smugi. Raz po raz rozlegały się grzmoty, hurgot niósł się echem po zalesionych wzgórzach i w dolinie rzeki.

Dziewczyna stanęła nieruchomo pośród krzyczących gości. Uciekający słuchacze Odyseusza roztrącali w panice stoły. Biegli w stronę drogi i odległego pawilonu faksowężła.

Po chwili obok dziewczyny przystanął Grek. Przypominali zagubioną w morzu chaosu dwuosobową wyspę spokoju.

– Co to jest? – wyszeptwała Ada. – Co się dzieje?

Nad ich głowami przez cały czas sunęło co najmniej kilkanaście ognistych linii, niekiedy wieczorne niebo zupełnie niknęło w płomieniach.

– Sam nie jestem pewien – odparł barbarzyńca.

– Myślisz, że ma to jakiś związek z Savi, Harmanem i Daemanem?

Brodacz popatrzył jej w oczy.

– Niewykluczone.

Większość szkarłatnych smug przelatywała i znikła bez śladu, lecz w pewnej chwili jedna z nich – jaśniejsza od pozostałych, sunąca z wyraźnym, przenikliwym świstem, przypominającym odgłos tysiąca drapiących po szkle paznokci – uderzyła tuż za wschodnim horyzontem. Ognisty kłęb podniósł się pod chmury. Chwilę później przetoczył się nad nimi potężny huk – znacznie głośniejszy niż poprzedni odgłos. Dziewczyna poczuła wibracje aż w zębach. Zerwał się porywisty wicher.

Z wiekowego wiązu posypał się deszcz liści. Większość rozbitych na łączce przy podjeździe namiotów wzbijała się w powietrze.

Ada uchwyciła się mocnego ramienia Odyseusza tak mocno, że spod jej paznokci pociekły strużki krwi. Nie zauważyła tego, on nie skomentował.

– Chcesz wejść do środka? – zapytał po dłuższej przerwie.

– Nie.

Podniebny spektakl podziwiali jeszcze przez godzinę. Większość gości umknęła. Nie mogąc znaleźć bryczki, kabrioletu ani wojnika, czmychali pieszo. Z Adą i Odyseuszem pozostało około siedemdziesięciu osób, zebranych na łagodnym zboczu przed domem. Kilka kolejnych obiektów uderzyło w ziemię, ostatni gruchnął tak potężnie, że z okien Ardis posypały się szyby, grad szklanych odłamków zamigotał w świetle wieczora.

– Tak bardzo się cieszę, że Hannah jest bezpieczna w konserwatori – powiedziała Ada.

Odyseusz popatrzył na nią.

O zachodzie wyszedł z budynku jeden z gości, mężczyzna imieniem Petyr, i ogłosił, że serwitory przestały działać.

– Jak to przestały działać? – rzuciła Ada z niedowierzaniem.

– Po prostu, przestały działać – powtórzył. – Nie pracują. Zepsuły się.

– Bzdura – syknęła dziewczyna. – Serwitory się nie psują.

Mimo że deszcz meteorów jaśniał w blasku zachodzącego słońca znacznie piękniej niż za dnia, Ada oderwała wzrok od widowiska i poprowadziła Odyseusza i Petyra z powrotem do dworu. Szli ostrożnie, uważając na rozbite szkło i płaty odkruszonego tynku.

Dwa serwitory spoczywały nieruchomo na posadzce w kuchni, trzeciego znaleźli w sypialni na piętrze. Ich komunikatory milczały, manipulatory leżały bezwładnie, niewielkie dłonie w białych rękawiczkach zwiślały smętnie po bokach. Próbowali wydawać polecenia, trącać, nawet kopać – wszystko na próżno, serwitory nie reagowały. Trójka ludzi wyszła za dom, na dziedzińcu natrafili na kolejne dwie ofiary awarii.

– Widziałaś kiedykolwiek popsutego serwitora? – zaciekał się Odyseusz.

– Nigdy – przyznała Ada.

Podeszło do nich kilkoro słuchaczy.

– Czy to już koniec świata? – spytała młoda kobieta, Peaen. Pytanie nie miało konkretnego adresata.

Odpowiedział jej Odyseusz, przekrzykując nieustanny łoskot meteorów.

– Zależy od tego, co na nas spada. – Wskazał mocnym, krótkim palcem na pierścienie R i B, ledwie widoczne zza przesywających niebo fajerwerków.

– Jeżeli to tylko kilka większych akceleratorów lub jakieś inne urządzenia kwantowe, powinniśmy przeżyć. Ale jeśli rozpadła się jedna z czterech asteroid, na których mieszkali postludzie... Cóż, wówczas faktycznie możemy mieć na karku koniec świata... przynajmniej w dotychczasowym kształcie.

– Co to jest asteroida? – dopytał Petyr, jeden z bardziej dociekliwych uczniów Greka.

Odyseusz pokręcił głową i zbył pytanie machnięciem ręki.

– Kiedy się to okaże? – odezwała się Ada.

Brodacz westchnął.

– Myślę, że za kilka godzin. Najpóźniej jutro wieczorem.

– O końcu świata nigdy nie myślałam poważnie – podjęła dziewczyna. – Ale nie przyszłoby mi do głowy, że skończy się w ogniu.

– Nie. Jeżeli świat rzeczywiście się skończy, zniszczy go lód.

Wszyscy obecni popatrzyli na niego.

– Nuklearna zima – mruknął Grek pod nosem. – Jeśli w Ziemię uderzy jedna z tych asteroid, lub chociaż jej odpowiednio duży fragment, w atmosferę podniesie się tak wiele zanieczyszczeń, że temperatura spadnie w kilka godzin o trzydzieści lub czterdzieści stopni. Być może nawet bardziej.

Niebo zasnują chmury pyłu. Najpierw spadnie z nich deszcz, który wkrótce przeobrazą się w opady śniegu, trwające przez wiele miesięcy lub wręcz stuleci. A planeta, ze znanej wam od tysiąca pięciuset lat tropikalnej szklarni zmieni się w lodowcową pustynię.

Lecący tuż nad horyzontem niewielki meteor rozciął niebo i spadł wśród drzew na północy.

Powietrze cuchnęło od dymu. Gdziekolwiek Ada spojrzała, widziała migocące w dali płomienie.

Przemknęło jej przez myśl, że zupełnie nie zna otaczającego ją świata. Co się kryje w lasach rosnących na północ od Ardis? Nigdy nie oddaliła się od

dworu dalej niż na kilka mil. Podobnie rzecz się miała z innymi węzłami. Zawsze zresztą towarzyszyła jej eskorta wojniksów.

– Gdzie są wojniksy? – rzuciła nagle.

Nikt nie miał pojęcia. Dziewczyna zabrała Odyseusza i obeszli cały teren. Rozejrzeli się na podjeździe, sprawdzili na polach i rozciągającej się pod wzgórzem łące, zwykle patrolowanej przez wojniksy. Nie spotkali ani jednego. Wszyscy z ich niewielkiej grupki zgodnie przyznali, że wojniksy zniknęły zanim jeszcze spadł deszcz meteorów.

– Wreszcie ci się udało. Przepłoszyłeś je – spróbowała zażartować Ada.

– Nie ma się z czego cieszyć. – Odyseusz pokręcił głową.

– Wydawało mi się, że ich nie lubisz – zauważyła dziewczyna. – Przecież jednego rozplatałeś już pierwszego dnia.

– One coś knują. Być może właśnie nadeszła ich pora.

– Co?

– Nie, nic, Ada Uhr. – Ujął jej dłoń i poklepał krzepiąco.

Taki ojcowski gest, pomyślała Ada i nagle zalała się łzami. Jak głupia. Nie mogła przestać myśleć o Harmanie i o tym, jak poczuła się oburzona i dezorientowana, gdy oświadczył, że chce by wybrała go na ojca dziecka i że chciałby, by poznało oboje rodziców. Wówczas pomysł wydał się jej absurdalny – wręcz obrzydliwy – teraz jednak uznała, że jest bardzo, naprawdę bardzo rozsądny.

Uścisnęła dłoń Odyseusza i pozwoliła sobie na cichy płacz.

– Spójrzcie! – wykrzyknęła Peaen.

Meteor spadał prosto na Ardis. Nie świecił równie intensywnie jak pozostałe, obniżał lot pod bardziej płaskim kątem. Za nim także jaśniała ognista smuga, lecz wyglądała jak zwykły płomień.

Różniła się od tych wyjących, rozżarzonych linii, jakie na ciemniejszym niebie kreśliły inne spadające obiekty.

Świecący meteor zatoczył krąg na niebie i spadł. Runął gdzieś w lesie opodal łąki.

– Mało brakowało – powiedziała Ada. Serce waliło jej jak młotem.

– To nie był meteor – stwierdził Odyseusz. – Zostańcie tutaj. Pójdę się rozejrzeć.

– Idę z tobą – oświadczyła dziewczyna. – To moja ziemia – dodała, gdy mężczyzna otworzył usta, by zaprotestować.

Wspięli się na wzgórze. Na niebie, w stopniowo gęstniejącym wieczornym mroku, wciąż grały nieme płomienie.

\* \* \*

Ogień i dym tańczyły tuż za granicą lasu na skraju łąki. Ada i Odyseusz nie musieli jednak przeszukiwać ciemności między drzewami. Jako pierwsza dostrzegła ich dziewczyna – dwóch brodatych, wynędzniałych mężczyzn wyszło z gęstwiny prosto ku nim. Jeden z nich był zupełnie nagi. Błada skóra niemal lśniła w cieniu. Żebra dało się bez trudu policzyć już z odległości pięćdziesięciu stóp. Niósł kogoś na rękach – chyba łyse, odziane w niebieski strój dziecko. Drugi z wychudłych mężczyzn miał na sobie zieloną termoskórę – Ada rozpoznała kombinezon w jednej chwili – podartą i tak brudną, że pod plamami trudno było wypatrzyć oryginalną barwę tkaniny.

Prawe ramię mężczyzny zwisało bezwładnie u boku, a nadgarstek i zwróconą naprzód dłoń oblepiała ciemnoczerwona, zakrzepła krew. Obaj z trudem trzymali się na nogach. Słaniając się, brnęli przed siebie powoli, noga za nogą.

Odyseusz wysunął z pochwy swój krótki miecz.

– Nie! – Ada złapała go za rękę i zmusiła do opuszczenia broni. – Nie! Przecież to Harman z Daemanem! – Puściła się biegiem przez wysoką trawę.

Na widok zbliżającej się dziewczyny pod Harmanem ugięły się nogi. Odyseusz przebiegł ostatnie dwadzieścia kroków i przechwycił brzemień z rąk upadającego. Daeman osunął się na kolana.

– To Hannah. – Odyseusz ułożył półprzytomną dziewczynę na miękkim poszyciu. Dwoma palcami zmierzył jej puls na szyi.

– Hannah? – powtórzyła Ada.

Kobieta na trawie nie miała włosów ani rzęs. Spod mrugających gwałtownie powiek rzeczywiście jednak wyglądały oczy jej młodszej przyjaciółki.

– Cześć, Ado – odezwała się.

Ada przyklęła na ziemi i pochyliła się nad Harmanem. Pomogła mu odwrócić się na plecy.

Kochanek odwdzińczył się jej słabym uśmiechem. Twarz miał pokrytą sińcami i zadrapaniami, zarośnięte policzki i czoło znaczyły plamy zastygłej krwi. Oczy zapadły głęboko, cera przybrała niezdrowy, blady odcień, a kości policzkowe sterczały stanowczo zbyt wyraźnie. Wstrząsany chorobliwymi dreszczami, wbił w nią spojrzenie rozpalonych gorączką oczu.

– Nic mi nie jest – zapewnił, szczękając zębami. – Boże, jak dobrze cię wreszcie zobaczyć.

Daeman wrócił w znacznie gorszym stanie. Dziewczyna nie mogła uwierzyć, że dwaj poobijani, poranieni i wychudzeni mężczyźni są tymi samymi, którzy miesiąc wcześniej wybrali się na przyjemną wycieczkę. Chłopak zakołysał się na kolanach. Podparła go ramieniem.

– Gdzie Savi? – zapytał Odyszeusz.

Harman pokręcił ze smutkiem głową. Wycieńczenie nie pozwalało mu mówić.

– Kaliban – wyszeptał Daeman.

Deszcz meteorów wyraźnie osłabł. Odgłosy uderzeń dolatywały teraz zza wschodniego horyzontu, nad którym jednak ogniste smugi przemykały coraz rzadziej. Kilkanaście linii śmignęło z zachodu na wschód, lecz przypominały już bardziej sierpniowe Perseidy niż gwałtowne bombardowanie z późnego popołudnia.

– Zanieśmy ich do domu – zdecydował Odyszeusz.

Wstał, wziął Hannę na ręce i podsunął dłoń podnoszącemu się z kolan Daemanowi. Ada pomogła Harmanowi uklęknąć i dźwignąć się na nogi. Podtrzymała go ramieniem i wspólnie ruszyli przez łąkę ku jaśniejącemu w mroku dworkowi. Słuchacze Greka i znajomi Ady rozpalili w oknach świece.

– Ta rana nie wygląda najlepiej. – Kiedy schodzili po stoku, Odyszeusz spojrzął na rękę Daemana. – W środku będzie jaśniej, rozetnę termoskórę i obejrzę cię dokładniej.

Ada musnęła wolną ręką zakrwawione ramię Daemana. Wychudły chłopak jęknął i niemal zemdlał z bólu. Nie upadł jedynie dzięki oparciu w mocnym

ciele Odyseusza i dziewczynie, która chwyciła go w pasie. Chłopak na chwilę przystanął i gwałtownie zamrugał, lecz po chwili zebrał się w sobie, rzucił jej uśmiech i ruszył dalej.

– To poważne obrażenia. Powinniście zostać faksowani do konserwatorni – rzuciła Ada. Już drugi raz tego wieczoru zebrało się jej na płacz. Zupełnie nie pojęła zachowania obu mężczyzn, którzy nagle zaczęli się śmiać.

Z początku jakby nieśmiało, zbolałymi głosami – właściwie bardziej zanosili się kaszlem niż śmiechem – lecz po chwili donośnie, szczerze, z każdą chwilą głośniej. Brodacz sprawiali wrażenie pijaków, ubawionych zrozumiałym wyłącznie dla siebie dowcipem.



# 63

## *Olimp*

Olympus Mons, najwyższy z marsjańskich wulkanów wznosi się na siedemnaście mil ponad otaczające go równiny i niedawno powstały ocean. U podstawy średnica wulkanicznego stożka wynosi ponad czterysta mil. Zieleniący się wierzchołek góry sięga trzykrotnie wyżej niż ziemski Mount Everest. Zbocza Olympus Mons, za dnia pokryte bielejącym śniegiem i lodem, wieczorami, w promieniach zachodzącego marsjańskiego słońca zalewają się krwawą czerwienią. Od północno-wschodniej strony wulkanu strzelają ku górze pionowe, wysokie na siedemnaście tysięcy stóp urwiska.

Tego konkretnego wieczoru długi cień góry wybiega niemal do linii trzech widocznych na mglistym horyzoncie wulkanów płaskowyżu Tharsis. Wijący się po zboczu szyb kryształowej windy został rozcięty na pół, równo jakby ostrzem gilotyny. Egida. Pobliskujące w rdzawym świetle wieczoru, potężne, siedmiowarstwowe pole siłowe, generowane osobiście przez Zeusa, chroni przed atakiem całej masyw wulkanu.

Tuż pod klifem, w pobliżu miejsca, gdzie góra podkrada się do stworzonego sto pięćdziesiąt lat wcześniej północnego oceanu, ponad tysięczna rzesza Olimpijczyków szykuje się do boju. Ponad kamienistą plażą i płaskowyżem krąży setka złotych rydwanów. Napędzane przez niewidzialne siły, z pozoru zaprzężone w niezwykle silne rumaki pojazdy zapewniają masom bogów ochronę przed atakiem z powietrza.

Na czele armii nieśmiertelnych widać mierzące dwadzieścia stóp postacie. To Zeus i Hera, mąż i żona, zakuci we wspaniałe zbroje, dzierżący wspaniałe tarcze, wyposażeni w broń wykutą przez Hefajstosa i innych boskich

rzemieślników. Wysokie hełmy małżonków odlano ze wzmocnionego specjalnymi stopami metali złota, w które wprawiono mikroskopijną sieć układów scalonych.

Chwilowo brakuje jeszcze Ateny i Apolla, wszystkie pozostałe bóstwa stawiły się jednak w komplecie...

Jest Afrodyta, której uroda olśniewa nawet mimo bojowego rynsztunku. Ma na sobie wysadzany drogocennymi kamieniami hełm; krótki łuk bogini został przystosowany do strzelania kryształowymi strzałami, których wydrażone groty są wypełnione trującym gazem.

Pojawił się też Ares, szczerzący zęby pod ozdobionym czerwoną kitą hełmem. Cieszy się na nadchodzącą rzeź, przeczuwa jej bezprecedensową skalę. W dłoni dzierży srebrny łuk Apolla i kołczan pełen samonaprowadzających się na źródła podczerwieni strzał, umożliwiających zniszczenie bądź zabicie dowolnego celu.

Nie mogło zabraknąć Posejdona – boga wstrząsającego ziemią – potężnego, mrocznego i tchnącego siłą. Władca mórz przywdział zbroję po raz pierwszy od tysięcy lat. Gigantycznego topora, który kołysze się w jego lewej dłoni, nie dźwignęłoby nawet i dziesięciu mężów z pomocą Achillesea.

Do armii dołączył również Hades – bóg bardziej mroczny od Posejdona, zarówno charakterem, usposobieniem jak i barwą bojowego stroju. Czerwone oczy goreją głęboko za osłonami hełmu.

Towarzystwa swemu panu dotrzymuje Persefona, zakuta w zbroję z lapis-lazuli. W długich, białych palcach ściska drzewce najeżonego kolcami tytanowego trójzębu.

Na wojenny zew odpowiedział także Hermes – smukły zabójca, zamknięty w czerwoną zbroję o owadzych kształtach. Gotów w każdej chwili teleportować się na pole bitwy, zadać śmierć i

wycofać się, zanim oczy śmiertelnych wychwycą jego postać; jedynym śladem po jego wizycie będzie skrwawiony trup ofiary.

Zjawiła się również Tetyda. Oczy bogini są czerwone od płaczu, lecz i ona posłusznie wdziała pełną zbroję, gotowa na jedno skinienie Zeusa zgładzić Achillesea, własnego syna.

Jest i Tryton ukryty w wielowarstwowej, czarno-zielonej zbroi. To

zapomniany Satyr ze starych światów – postrach z rogiem z muszli, gwałciciel chłopców i dziewcząt, bóstwo czerpiące rozkosz ze strącania w morskie odmęty zbrukanych przez niego, dziecięcych ciałek.

Przybyła zakuta w złotą zbroję Artemida – bogini łowów. Zabrała ze sobą łuk, gotowa i chętna przelać litry ludzkiej krwi w akcie zemsty za rany zadane jej ukochanemu bratu, Apollinowi.

Jest Hefajstos w zbroi z płomieni, gotów podpalić każdego śmiertelnika.

Obecni są wszyscy bogowie z wyjątkiem wciąż przechodzących kurację Apolla i Ateny. Szereg za szeregiem wielkich, zbrojnych, milczących postaci. Czekają w cieniach urwiska. Inne bóstwa krążą nad nimi w latających rydwanach. Jeszcze wyżej, nad całą okolicą pobłyskuje Egida – broń tyleż defensywna, co przydatna w ataku. Tarcza Zeusa wciąż gromadzi energię.

Na ziemi niczyjej, tuż za lśniącą ścianą Egidy, wbijającą się w kamienistą glebę i biegnącą w głąb Marsa, leżą dwa martwe cerberydy. Dwugłowe potwory o psich kształtach i długich na ponad dwadzieścia stóp cielskach – uzbrojone w zębiska z chromowanej stali, z zamontowanymi w pyskach chromatografami gazowymi – padły trupem kilka godzin wcześniej, zabite przez Achillesa i Hektora. Herosi oznajmili w ten sposób swoje przybycie pod Olimp.

Sto stóp dalej stoją wypalone zgliszcza koszarów scholiastów. Za nimi zebrała się armia ludzkości, licząca tego wieczoru sto dwadzieścia tysięcy wojowników.

Siły Hektora zgromadziły się w karnym szyku od strony lądu. Czterdzieści tysięcy najznamienitszych obrońców Ilionu. Parys otrzymał rozkaz pozostania w mieście. Starszy brat powierzył mu zadanie ochrony domostw i obywateli starożytnej stolicy. Co prawda, morawce roztoczyły nad metropolią swoje pole siłowe, lecz Hektor oświadczył, iż znacznie lepszą gwarancję bezpieczeństwa zapewnią miastu ludzka odwaga i brązowe groty włóczy. Poza Parysem przybyli wszyscy inni wodzowie wraz ze swymi oddziałami.

Nieopodal Hektora stoi Deifobos – zaufany brat głównodowodzącego. Ma pod sobą dziesięć tysięcy doborowych włóczy. W pobliżu zajął pozycje Eneas, który przestał być już ulubieńcem mojr i stara się teraz wykuć swój los na nowo. Za jego kontyngentem widać szlachetnego Glaukosa,

komenderującego czekającymi w szeregach rydwanami i jedenastoma tysiącami rwących się do boju, dzikich Lików.

Pod Olimp ściągnął również Askaniusz z Askanii, współdowodzący wojskami Frygijczyków. Młody dowódca przywdział zbroję z brązu i skóry. Gorąco pragnie okryć się chwałą, walcząc na czele czterech tysięcy dwustu Askanijczyków, z braku krwi śmiertelnych gotowych przelać dzisiaj złoty ichor bogów.

Za plecami trojańskich żołnierzy zebrała się grupka mężczyzn zbyt starych i zbyt ważnych, by walczyć w pierwszej linii, aczkolwiek również w pełnym rynsztunku i chętnych z woli wszechświata oddać dziś życie. To królowie Ilionu i ich doradcy. Na ich czele stoi Priam zakuty w legendarną zbroję wykutą z metalu uzyskanego z meteorytu. U boku ma sędziwego Antenora, rodzica licznych trojańskich herosów, z których wielu zdążyło już paść w walce.

W pobliżu Antenora zajęli miejsca czcigodni bracia Priama: Lampos i Klytius. Jest z nimi siwobrody Hiketaon, który aż do dzisiaj ze wszystkich Olimpijczyków najbardziej poważał boga wojny Aresa. Za jego plecami widać członków szacownej starszyny Ilionu, Pantousa i Tymoetesa.

Wraz z nimi przybyła nieodrywająca wzroku od męża, odziana w czerwień niby żywy proporzec krwi i żałoby, piękna Andromacha, małżonka Hektora i matka zamordowanego Skamandriosa, dziecka zwanego przez obywateli Troi Astianaktem – Panem Miasta.

W centrum rozciągniętego na trzy mile szeregu wojsk góruje nad wszystkimi dowodzący ponad osiemdziesięcioma tysiącami zahartowanych w bojach Achajów Achilles, złoty syn Peleusa, mężobójca. Powiada się o nim, że z wyjątkiem jednej tajemnej słabości jest wojownikiem niepokonanym. Tego wieczoru, odziany w kompletną zbroję, emanuje nadludzką siłą i niemal nieludzkim gniewem. Sprawia wrażenie nieśmiertelnego. Po jego prawicy nie stanął nikt. To wyraz szacunku dla pamięci o ukochanym przyjacielu wojownika i towarzyszu broni, Patroklosie, który-powtarzają niektórzy – niecałe dwadzieścia cztery godziny temu poniósł makabryczną śmierć z ręki Ateny.

Kilka kroków za tym wolnym miejscem zebrała się niezwykła trójca.

Agamemnon, Menelaos i Odyseusz. Na ciałach obu Atrydów wciąż widać ślady obrażeń odniesionych w pojedynkach z Achillesem. Ranione lewe ramię Menelaosa nie pozwala mu utrzymać tarczy, lecz odsunięci od władzy wodzowie uznali, że nie mogą w taki dzień opuścić swych dawnych podkomendnych.

Zatopiony w myślach Odyseusz wiedzie spojrzeniem po zebranych armiach i leniwie gładzi zarost.

W tłumie achajskich wojowników można wypatrzeć greckich bohaterów ocalałych z gorzkiego, dziewięcioletniego konfliktu. Pieszo bądź w rydwanach stoją na czele swoich oddziałów.

Diomedes, odziany jak zwykle w lwią skórę, ściska w dłoni maczugę większą od przeciętnego dorosłego mężczyzny. Ajaks Wielki, chodząca wieża oblężnicza, góruje nad wszystkimi w szeregu.

Ajaks Mały trwa na czele oddziału zawodowych zabójców z Lokrydy. Rzut kamieniem od nich stoi niezrównany włócznik Idomeneus, dowodzący oddziałem legendarnych wojowników z Krety.

Nieopodal pręży w rydwanie pierś Meriones. Widać, że nie może doczekać się bitwy, do której pojedzie u boku Teukrosa, przyrodniego brata Ajaksa Wielkiego i wybornego łuczника.



Na prawej flance Achajów, tuż nad brzegiem oceanu, zbrojni zwracają

głowy w wysokich hełmach ku swemu wodzowi i zarazem najstarszemu z obecnych dzisiaj greckich oficerów – chytremu Nestorowi, poskramiaczowi koni. Nestor, spowity w czerwony płaszcz, wysunął się na czoło w swym zaprzężonym w cztery rumaki rydwanie. To on jako pierwszy padnie lub jako pierwszy przedrze się przez szyki nieśmiertelnych. Tuż za nim, również rwąc się do walki, czekają w bojowych pojazdach synowie Nestora. Antilochus – dobry przyjaciel Achilleśa – i jego wyższy, przystojniejszy brat, Trazymedes.

Stawiło się tego dnia jeszcze stu innych wodzów. Każdy z dumą nosi imię własne i swego sławetnego ojca. Razem prowadzą dziesiątki tysięcy żołnierzy, z których każdy ma szlachetne imię i potrafi opowiedzieć zawiłą historię swych dziejów. Ci wojownicy poniosą dziś te imiona ku chwale i życiu, bądź zabiorą je ze sobą do Domu Śmierci.

Na prawo od mas Achajów stoją na brzegu tysiące milczących, zielonych zeków – małych zielonych ludzików, które wylały się ze swych barek, feluk i kruchych żaglowców i rozproszyły po plaży. Przyplłynęły ze śródładowego morza Valles Marineris i Oceanu Tetydy. Wydarzeniom dzisiejszego dnia postanowiły się przyjrzeć z powodów znanych tylko sobie i być może istocie znanej jako Prospero lub nieznanemu bóstwu imieniem Setebos. Ich nieme sylwetki stoją na obmywanej łagodnymi falami plaży. Jak dotąd, ani Grecy, ani Trojanie, ani nieśmiertelni nie nawiązali z nimi kontaktu.

Pół mili od brzegu, za zekami, na zaróżowionych blaskiem marsjańskiego zachodu falach kołysze się setka achajskich okrętów. Żagle smętnie zwisają, wiosła zostały wciągnięte do luków.

Obwieszane tarczami burty jeżą się grotami włóczni. Obecności ponad trzytysięcznej załogi można się domyślić jedynie dzięki widocznym z brzegu, połyskującym w promieniach słońca hełmom wojowników i masie żółtych, czerwonych, purpurowych i niebieskich kit.

Pomiędzy statkami złociste morze rozcinają czarne, kolczaste płetwy oraz peryskopy. Tuż pod powierzchnią krążą czujnie trzy morawieckie okręty podwodne, przystosowane do przewożenia pocisków balistycznych.

Za plecami sojuszniczej armii, w długim na dwie mile, swobodnym szyku czeka piechota morawców z Pasa. Dwadzieścia siedem tysięcy zakutych w czarne, owadzie zbroje żołnierzy szykuje do boju broń ciężką i lekką.

Obsadzone przez skałowców baterie artylerii konwencjonalnej i energetycznej zostały rozmieszczone nawet do piętnastego kilometra za linią frontu. Ich lufy i promienniki mierzą w Olimp i zebranych pod nim nieśmiertelnych. Ponad szeregami ludzi i morawców krąży sto szesnaście przypominających szerszenie myśliwców. Część pod osłoną systemów maskujących, inne tak samo czarne jak zaraz po przybyciu, nonszalancko ukazujące się wszystkim Trojanom, Grekom i bogom. Wedle skałowców, po marsjańskiej orbicie krąży sześćdziesiąt pięć bojowych statków kosmicznych. Niektóre stacjonują tuż za cienką warstwą planetarnej atmosfery, pozostałe oddalone są o kilka milionów mil, czekają za marsjańskimi księżycami Fobosem i Deimosem. Dowodzący lądowymi siłami skałowców morawiec zgłosił Mahnmutowi – który następnie przekazał informacje Achillesowi i Hektorowi – że zainstalowane na pokładach tych pojazdów bomby, pociski, generatory pola siłowego i jednostki broni energetycznej zostały uzbrojone, namierzyły cel i mogą zostać w każdej chwili użyte. Naturalnie, herosi zupełnie tych danych nie zrozumieli, więc nie przywiązali do nich większej wagi.

Nieco na uboczu, na połaci płaskiego terenu w pobliżu Achillesa, po prawej Odyseusza i Atrydów, zajęli pozycje Mahnmut, Orphu i Hockenberry. Mahnmut już wcześniej obejrzał gromadzące się wojska i z pomocą Trojanina Perimusa zdobył rydwan, którym przetransportowali większego morawca przez kwantowy portal. Orphu pokonał drogę ciągnięty za greckim pojazdem niczym.

wedle jego własnych słów, „zepsuta przyczepa kempingowa”. Mahnmut nie do końca zrozumiał porównanie – nie dysponował aż tak obszernymi archiwami dotyczącymi Zapomnianej Ery jak przyjaciel – lecz obiecał sobie, że kiedyś ten termin sprawdzi. O ile przeżyje.

Scholiasta, doktor Thomas Hockenberry, ma na sobie płaszcz trojańskiego oficera, zbroję i tradycyjny strój. Mimo że wygląda na szczerze zafascynowanego szansą oglądania tych wydarzeń, ma pewne kłopoty z ustaniem w miejscu. Tysiące wojowników – wszyscy, od prostych włóczników, po szlachetnego Achillesa – oczekują na dołączających do obu armii maruderów w niemal zupełnym bezruchu, lecz Hockenberry co chwila



przestępuje z nogi na nogę.

- W porządku? – pyta Mahmmut półgłosem, po angielsku.
- Chyba coś mi wlało w gacie – odpowiada równie cicho scholiasta.

\* \* \*

Armie są już w komplecie. Wokół panuje niesamowita cisza – mimo zgromadzonych tak licznie wojsk słychać jedynie szmer odległych fal, leniwie oblewających usianą kamykami plażę. Czasem zarzy któryś z zaprzężonych do bojowych wozów koni. Szemrze lekki, marsjański zefirek owiewający urwiste zbocza Olimpu, posykują krążące pod niebem rydwany, nieco głośniej brzęczą owadzie myśliwce skałowców. Od czasu do czasu, gdy poruszy się jeden z żołnierzy, brzęknie metalowa zbroja. Najbardziej wyrazistym dźwiękiem jest jednak milczenie dziesiątków tysięcy niespokojnych ludzi, siłą woli próbujących opanować odruchowo przyśpieszone oddechy.

Zeus wychodzi na czoło swej armii. Granicę Egidy przekracza krokiem olbrzyma przechodzącego przez falującą zasłonę wodospadu.

Achilles wkracza na ziemię niczyją i staje twarzą w twarz z Ojcem Bogów.

- Masz coś do powiedzenia, zanim umrzesz wraz z całym swym gatunkiem?
- rozlega się grzmiący głos Gromowładnego. Mówi swobodnie, lecz tak głośno że słychać go na całym polu. Ani jedno słowo nie umyka nawet załogom kołyszających się na morzu greckich okrętów.

Achilles zastanawia się, zerka przez ramię na stojące za jego plecami szeregi, spogląda poza Zeusa w stronę Olimpu i boskich zastępów, po czym zadziera głowę i patrzy górującemu nad nim bogowi prosto w oczy.

- Poddajcie się – mówi – a oszczędzimy życie waszym boginiom. Zamiast zabijać, uczynimy z nich niewolnice i kurtyzany.

# 64

## *Dwór Ardis*

Daeman przespał całe dwie doby. Z niespokojnego snu wyrywał się tylko, kiedy Ada karmiła go bulionem lub gdy pojawiał się Odyseusz i pomagał mu się umyć. Obudził się również na krótko w popołudnie, kiedy Grek postanowił go ogolić i przeciągał brzytwą po pokrytym pianą zaroście chłopaka. Daeman był jednak zbyt wyczerpany, by rozmawiać. Nie zwracał również uwagi na rozlegające się na niebie grzmoty, towarzyszące meteorom, których deszcz powracał co noc. Nie ocknął się, kiedy lecący z prędkością kilku tysięcy mil na godzinę odłamek rozorał łąkę za domem, dokładnie w miejscu, w którym Odyseusz prowadził w ciągu ostatnich tygodni swoje wykłady.

Wskutek eksplozji powstał głęboki na dziewięć stóp krater o średnicy piętnastu metrów. Fala uderzeniowa wysadziła z ram ostatnie ocalałe we dworze szyby.

Na dłużej obudził się dopiero w południe trzeciego dnia po powrocie. Ada siedziała na skraju jego łóżka – które było właściwie jej łóżkiem – a Odyseusz stał oparty o futrynę ze splecionymi na piersi rękoma.

– Witaj, Daeman Uhr. Witaj z powrotem – odezwała się cicho dziewczyna.

– Dziękuję, Ada Uhr – odpowiedział chłopak. Ochrypl i, by wydusić z siebie te kilka słów, zużył nieprzyzwoitą ilość energii. – Harman? Hannah?

– Oboje mają się lepiej – powiedziała. Daeman dopiero teraz spostrzegł jak zielone są jej oczy. – Harman wstał już z łóżka. Rano zszedł na śniadanie. Hannah na nowo uczy się chodzić. Wygrzewa się właśnie na słońcu przed domem.

Chłopak pokiwał głową i przymknął powieki. Czuł przemożną pokusę, by

nie otwierać oczu i znowu odpłynąć w sen. We śnie ból nie dawał mu się tak bardzo we znaki, a na jawie prawe ramię paliło żywym ogniem. Nagle jednak podniósł powieki i zerwał z siebie kołdrę. Ogarnęła go przerażająca pewność, że amputowali mu rękę i dręczą go już tylko bóle fantomowe.

Ramię było na swoim miejscu. Owszem, czerwone, opuchnięte i pokryte bliznami, ale było tam, gdzie być powinno. Zadane przez koszmarnie kły Kalibana rany zostały zaszyte grubą nicią.

Spróbował poruszyć palcami. Zabolalo tak, że aż jęknął, lecz palce posłuchały, a ramię powędrowało z wolna ku górze. Zdyszany opuścił je na kołdrę.

– Kto to zrobił? – zapytał po chwili. – Kto mnie pozszywał? Serwitory?  
Odyseusz podszedł do łóżka.

– Ja założyłem te szwy – oświadczył.

– Serwitory nie działają – dodała Ada. – Wszystkie, bez wyjątku. Faksowężły nie uległy awarii, więc docierają do nas wieści z całego świata. Serwitory się zepsuły, a wojniak się zniknęły.

Daeman ściągnął brwi. Próbował zrozumieć. Bez powodzenia. Do pokoju wszedł Harman.

Podpierał się laską. Chłopak zauważył, że starszy przyjaciel wciąż nosi zarost, aczkolwiek brodę miał schludnie przystrzyżoną. Nowo przybyły usiadł na krześle przy pościeli i ścisnął lewą dłoń Daemana. Chłopak przymknął oczy i bez słowa odwzajemnił uścisk. Kiedy na powrót podniósł powieki, wytoczyło się spod nich kilka łez. To ze zmęczenia, powiedział sobie w duchu.

– Deszcz meteorów z dnia na dzień słabnie – odezwał się Harman. – Niestety, są ofiary. I to śmiertelne. W samym tylko Ułanbacie zginęła setka ludzi.

– Zginęli? – powtórzył Daeman. Myśl o śmierci przez długi czas wydawała mu się nierealna.

– Będziecie musieli od nowa nauczyć się grzebać zmarłych – podjął Odyseusz. – Koniec z bzdurami o szczęśliwej wieczności wśród żyjących w pierścieniach postludzi. Niektórzy już teraz chowają swych bliskich i opatrują rannych.

– Co z Kraterem Paryskim? – wyjąkał Daeman. – Co z moją matką?

– Nic się jej nie stało – zapewniła Ada. – Akurat tamto miasto nie ucierpiało. Codziennie pojawiają się u nas gońcy z wiadomościami. Przysłała ci list. Boi się faksować, dopóki wszystko się nie uspokoi. Wiele osób jest podobnego zdania. Teraz, gdy nie mamy serwitorów ani wojniksów, przy powszechnym braku prądu, większość osób unika podróży. Oczywiście niektórych zmuszają okoliczności.

– Nie ma prądu, a faksowężły działają? – zdziwił się Daeman. – Jak to możliwe? I gdzie się podziały wojniksy? Co się w ogóle dzieje?

– Nie wiemy – przyznał Harman. – Ale deszcz meteorów nie spowodował... jak to nazwał Prospero? Wymierania gatunków? Z tego powinniśmy się cieszyć.

– No tak – powiedział Daeman, lecz pomyślał coś zupełnie innego.

Czyli Prospero i Kaliban byli prawdziwi, a Savi naprawdę nie żyje. To jednak nie był sen.

Ponownie poruszył ramieniem i ból dobitnie potwierdził przykry wniosek.

Do pokoju weszła ubrana w prostą białą koszulę nocną Hannah. Na głowie dziewczyny pojawił się już delikatny meszek. Cała jej twarz nabrała życia, przez co bardziej przypominała człowieka niż gdy uwolnili ją z konserwatorni. Podeszła do leżącego chłopaka i, uważając, by nie urazić rannej ręki, pochyliła się i mocno pocałowała go w usta.

– Dziękuję ci, Daeman. Dziękuję – powiedziała, kiedy już się wyprostowała. Podała mu maleńką niezapominajkę, którą zerwała na trawniku przed domem. Chłopak niezgrabnie sięgnął po kwiat lewą dłonią.

– Proszę bardzo – odparł. – Podobał mi się ten pocałunek. – Nie skłamał. On, zawołany kobieciarz, poczuł się jak po pierwszym pocałunku życia.

– Ciekawe – podjęła Hannah, rozwijając całun turyński. – Znalazłam go przy tym starym dębowym stole, ale przestał działać. Wypróbowałam też dwa inne. Nic. Nie możemy już nawet oglądać spektaklu.

– Może po prostu wojna dobiegła końca – zauważył Harman, który przysłonił sobie twarz całunem i zaraz go odrzucił. – A wraz z nią skończyło się widowisko.

Odyseusz, który od paru chwil wyglądał przez okno na błękitne niebo i zielony dziedziniec, odwrócił się ku towarzyszom.

– Nie wydaje mi się – stwierdził. – Moim zdaniem prawdziwa wojna dopiero się rozpoczęła.

– A ty się na tym znasz? – zapytała Hannah. – Przecież mówiłeś, że nigdy nie korzystałeś z całunu.

Greki wzruszył ramionami.

– To ja i Savi rozdaliśmy całuny ludziom. Dziesięć lat temu. Prototyp przywiozłem z... bardzo daleka.

– Po co to zrobiliście? – zaciekawiał się Daeman.

– Zbliżał się wybuch wojny. Uznałem, że mieszkańcy Ziemi powinni poznać jej grozę i piękno.

Chciałem też, byście dowiedzieli się czegoś o bohaterach tej historii. Żebyście poznali Achillesa, Hektora i pozostałych. Również mnie samego.

– Dlaczego? – Hannah nadal nie rozumiała.

– Ponieważ nadciąga wojna – odparł Odyseusz.

– Przecież my nie jesteśmy w nią zamieszani – zauważyła Ada.

Odyseusz splótł ramiona na piersi.

– Ale będziecie. Na razie linia frontu przebiega bardzo daleko stąd, ale wkrótce się to zmieni.

Będziecie musieli wziąć w tej wojnie udział, czy wam się to podoba, czy nie.

– Mielibyśmy walczyć? – spytała Ada. – Przecież nie potrafimy się bić. I wcale nie chcemy się uczyć.

– Już za kilka tygodni te sześćdziesiąt osób, które zostały w Ardis, pozna niezbędne podstawy – zapowiedział Grek. – Czy zechcą nowe umiejętności wykorzystać? Nie wiem. To już zależy wyłącznie od nich. Jak zawsze. –

Zwrócił się do Harmana: – Możesz mi nie wierzyć, ale wasz sonik da się naprawić. Zabrałem się już za to i myślę, że za tydzień, najdalej dziesięć dni, będzie gotów do lotu.

– Nie chcę oglądać walczących ludzi – rzuciła Ada. – Nie chcę iść na wojnę.

– Bardzo słusznie – pochwalił Odyseusz.

Dziewczyna skłoniła głowę. Próbowwała ukryć cisnące się do oczu łzy. Kiedy oparła się o łóżko, Daeman wsunął jej w dłoń niezapominajkę od

Hanny. Zaraz potem odpłynął w sen.

\* \* \*

Ocknął się w mroku. We wpadającej przez okno księżycowej poświacie blasku ujrzał majaczącą obok łóżka sylwetkę. Kaliban! Daeman odruchowo poderwał prawą rękę i zacisnął pięść.

Ramieniem natychmiast szarpnął potężny ból, zobaczył gwiazdy.

– Spokojnie – odezwał się Harman, pochylił się i ułożył wygodniej zabandażowane ramię przyjaciela. – Wszystko jest dobrze, Daemanie.

Chłopak ciężko dyszał, rana rwała tak bardzo, że zbierało mu się na wymioty.

– Wydawało mi się, że to...

– Wiem. – Harman pokiwał głową.

Daeman podciągnął się i usiadł.

– Myślisz, że zginął?

– Nie wiem. – Harman pokręcił głową. – Sam się zastanawiałem, co się z nim stało... Z nimi.

– Z nimi? – Chłopak uniósł brew. – Masz na myśli Savi?

– Nie... to znaczy tak. Rzeczywiście codziennie ją wspominam... Ale chodziło mi o Prospera. O ten jego hologram, który, jak sam powiedział, był jedynie echem cienia czegoś zupełnie innego.

– Co w związku z nim?

– Moim zdaniem to był prawdziwy Prospero – szepnął Harman i nachylił się ku Daemanowi. – Podejrzewam, że został uwięziony w tym postludzkim mieście, na tej asteroidzie, którą nazywał „wyspą”. Obaj byli jej więźniami, on i Kaliban.

– Kto miałby ich uwięzić?

Harman wyprostował grzbiet, oparł się i westchnął.

– Tego, niestety, nie wiem. Ostatnio w ogóle często się okazuje, że nie mam o niczym najmniejszego pojęcia.

Daeman pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Sporo czasu zabrało nam uświadomienie sobie, że tak naprawdę nic nie

wiemy, prawda?

Starszy mężczyzna parsknął śmiechem. Kiedy się odezwał, mówił już poważnie.

– Obawiam się, że pomogliśmy im odzyskać wolność.

– Mówisz, że ich... uwolniliśmy? Kalibana i Prospera? – wyszeptał Daeman. Jeszcze chwilę temu chciało mu się jeść, wręcz umierał z głodu. Teraz odniósł wrażenie, że brzuch wypełniła mu lodowata woda.

– Tak.

– Uwolniliśmy lub zabiliśmy, nie zapominaj – zauważył chłopak.

– Racja. – Harman wstał z krzesła i poklepał młodego przyjaciela po ramieniu. – Pójdę już, powinieneś się wyspać. Dziękuję ci.

– Za co?

– Dziękuję – powtórzył Harman i zamknął za sobą drzwi.

Daeman wyciągnął się na łóżku. Mimo wyczerpania sen nie chciał przyjść. Nasłuchiwał dolatujących zza wybitych okien odgłosów nocy – koncertu świerszczy, śpiewu nieznanych nocnych ptaków, kumkania żab mieszkających w niewielkim stawie za dworem, szelestu poruszanych lekkim powiewem liści. Po chwili ze zdziwieniem stwierdził, że usta same rozciągnęły się w uśmiechu.

Jeżeli Kaliban przeżył, to wielka szkoda. Aleja również przeżyłem. Wciąż żyję!

Wreszcie udało mu się zasnąć i spał jak kamień, bez snów, dopóki Ada nie obudziła go godzinę po świcie. Przyniosła rekonwalescentowi śniadanie. Pierwsze porządne śniadanie od pięciu tygodni.

\* \* \*

Cztery dni później, w chłodny, lecz niezwykle urokliwy wieczór, Daeman przechadzał się właśnie po ogrodzie, gdy ze wzgórza zeszli ku niemu Ada, Harman, Hannah, Odyseusz, Petyr i Peaen.

– Sonik jest już na chodzie – powiedział Grek. – Nie wiem, czy wszystkie systemy działają jak należy, ale lata. Chcesz może obejrzeć próbny lot?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Nieszczerólnie. Ale chciałbym się dowiedzieć, do czego zamierzasz go wykorzystać.

Odyseusz zerknął na Petyra, Paen i Harmana.

– Najpierw wybiorę się na rekonesans po okolicy – powiedział. – Sprawdzę, jak duże szkody wyrządziły meteory. Chcę się też przekonać, czy sonik dowiezie mnie na wybrzeże i z powrotem.

– A jeśli nie? – wtrącił Harman.

– Wtedy wrócę do domu piechotą.

– A gdzie jest twój dom, Odyseusz Uhr? – spytał Daeman. – I jak długo musiałbyś do niego iść?

Odyseusz uśmiechnął się, lecz w jego spojrzeniu zagościł dojmujący smutek.

– I tak byś nie uwierzył... – powiedział półgłosem. – Nie uwierzyłbyś...

Na czele pochodu złożonego z dwojga młodych uczniów i Hanny, brodaty Grek ruszył z powrotem w kierunku dworu.

Harman i Ada zostali z Daemanem. Spacerowali nieśpiesznym krokiem.

– Co on kombinuje? – Chłopak zwrócił się do Harmana. – Poważnie pytam...

– Chce znaleźć wojniksy – wyjaśnił mężczyzna.

– I co zrobi wtedy?

– Nie wiem. – Harman nie musiał już podpierać się laską, lecz przyzwyczał się do jej noszenia i teraz skosił nią rosnący między kwiatami chwast.

– Dawniej pielity serwitory – zauważyła Ada. – Teraz staram się dbać o ogród sama, ale mam na głowie tyle innych obowiązków. Gotowanie, pranie i wszystko inne...

Harman roześmiał się głośno.

– W tych czasach ciężko o dobrą służbę – powiedział i objął Adę w pasie.

Dziewczyna obdarzyła go spojrzeniem, którego Daeman nie zdołał zinterpretować. Był jednak pewien, że przekazała mężczyźnie coś istotnego.

– Skłamałem przed chwilą – przyznał Harman. – Chyba obaj doskonale wiemy, że Odyseusz chce rozpocząć walkę przeciwko wojnikom, powstrzymać je przed realizacją planów.



– Tak. – Chłopak pokiwał głową. – Rozumiem.

– Skorzysta z tej okazji, by przygotować słuchaczy do prawdziwej wojny – dodał Harman, spoglądając w stronę bielejącego na wzgórzu dworku. – Pokaże nam w ten sposób, jak należy walczyć, zanim ogarnie nas ten większy konflikt. Powiedział, że sami się zorientujemy kiedy ten moment nadejdzie. Wspomniał, że pojawią się wirujące kule, a w niebie otworzą się dziury, które powiodą nas ku nowym światom, a mieszkańców innych światów wpuszczą do nas.

– Tak, słyszałem te jego opowieści – powiedział Daeman.

– To wariat – stwierdził Harman.

– Nie – sprzeciwił się chłopak. – Wcale nie.

– Pójdiesz za nim na wojnę? – zapytał Harman i Daeman odniósł wrażenie, że to samo pytanie mężczyzna już po wielokroć zadawał samemu sobie.

– Nie przeciwko wojniksom – odpowiedział. – Chyba że nie będzie innego wyjścia. Najpierw muszę zwyciężyć w zupełnie innej bitwie.

– Wiem. – Harman pocałował Adę. – Zobaczymy się w domu – dodał, po czym odwrócił się i ruszył w drogę powrotną. Wchodząc pod górę, wciąż nieznacznie utykał.

Chwilę potem Daeman opadł z sił. Znalazł drewnianą ławkę, z której roztaczał się widok na łąkę, i mającą w wieczornym cieniu dolinę rzeki. Usiadł z niekłamaną ulgą. Ada zajęła miejsce obok.

– Harman cię rozumiał – odezwała się. – Ja nie. O jakiej bitwie mówiłeś?

Chłopak wzruszył ramionami, wstydził się poruszać ten temat.

– Daeman? – Dziewczyna wyraźnie dała tonem do zrozumienia, że nie zamierza wstać z ławki, póki nie otrzyma odpowiedzi, a on nie miał na tyle energii, by przed nią uciec.

– W mieście zwanym Jerozolimą znajduje się wymierzony w niebo kolosalny reflektor – podjął po dłuższej chwili. – W snopie jego światła uwięziono ponad dziewięć tysięcy ludzi. Pobratymców Savi. Dziewięć tysięcy Żydów. Nie wiem, co to ostatnie słowo znaczy, ale tak właśnie ich nazywała.

Ada przyjrzała mu się uważniej. Wciąż nie rozumiała. Chłopak uświadomił sobie, że przecież nie poznała jeszcze tego epizodu ich przygód. Daeman

z Harmanem z wolna uczyli się na nowo sztuki opowiadania. Gawędy pozwalały wypełnić spędzane przy świecach wieczory czymś ponad zmywanie naczyń.

– I widzisz, zanim zagarnie nas zwiastowana przez Odyseusza wojna – odezwał się cichym, lecz zdecydowanym głosem – zanim będę musiał wziąć udział w jakimś wielkim konflikcie, którego sensu nie rozumiem, uwolnię te dziewięć tysięcy ludzi z ich przekłętogo, świetlnego więzienia.

– W jaki sposób?

Daeman zaniósł się śmiechem. Śmiał się swobodnie i bez skrępowania. Takiego śmiechu nauczył się dopiero w ciągu ostatnich dwóch miesięcy.

– Wiesz co? Nie mam, cholera, pojęcia.

Wstał z trudem z miejsca, przyjął podsunięte ramię dziewczyny i ruszyli razem pod górę, w kierunku dworu. Mimo że od wieczornego posiłku dzieliła ich cała godzina, kilkoro uczniów Odyseusza zajęło się już rozpalaniem latarni ustawionych na wyniesionym przed dom stole. Dzisiaj, zgodnie z grafiką dyżurów, Daeman miał pomagać w kuchni i chłopak zastanawiał się właśnie, za jakie danie będzie odpowiedzialny. Miał szczerą nadzieję, że za sałatkę.

– Daeman? – Ada przystanęła i popatrzyła przyjacielowi w oczy.

Zatrzymał się i odwzajemnił jej spojrzenie. Zdawał sobie sprawę, że Harman zdobył jej serce niepodzielnie i na zawsze, lecz z jakiegoś niezrozumiałego powodu ta świadomość sprawiała mu wiele przyjemności. Możliwe, że po prostu cierpiał wskutek niedawnych ran i zmęczenia, lecz nie miał już ochoty chodzić do łóżka z każdą napotkaną kobietą. Z drugiej strony trudno było o pewność. W końcu od dnia deszczu meteorów nie poznał żadnej nowej dziewczyny.

– Daemanie, jak to zrobiłeś? – zapytała Ada.

– Ale co takiego?

– Jak zabiłeś Kalibana?

– Nie jestem pewien, czy go zabiłem – przyznał chłopak.

– W każdym razie pokonałeś go. Chcę się dowiedzieć w jaki sposób – rzuciła natarczywie, niemal agresywnie.

– Miałem tajną broń – odpowiedział Daeman, który pojawił się dopiero w tej chwili.

– Jaka?

Na porośniętym trawą zboczu kładły się długie i miękkie, wieczorne cienie. Niebo nad Dworem Ardis ciemniało, lecz chłopak dostrzegł ponad ramieniem Ady zbierające się na horyzoncie czarne chmury.

– Gniew – powiedział po dłuższej chwili. – Miałem swój gniew.

# 65

*Indiana, 1200 r.p.n.e.*

Mniej więcej trzy tygodnie od wybuchu wojny, która ma położyć kres wszystkim wojnom – mówię poważnie! – postanawiam skorzystać ze swojego złotego medalionu i teleportuję się na drugi koniec świata. Pamiętam złożoną Nightenhelserowi obietnicę. Przynależem, że po niego wrócę, a ja lubię w miarę możliwości dotrzymywać słowa.

Wyruszyłem w środku nocy według czasu iliońsko-olimpijskiego. Wyszedłem z narady zwołanej przez Achilleusa w jednym z nowych, zdolnych wytrzymać eksplozję namiotów. Brali w niej udział wszyscy wodzowie, którzy zdołali do tej pory przeżyć. Przeniosłem się wiedziony kaprysem – było już jasne, że kwantowa teleportacja stanie się wkrótce tylko wspomnieniem. Kiedy materializuję się w słoneczny poranek na trawiastym wzgórzu w prehistorycznej Ameryce Północnej, czuję się mocno oszołomiony. Ostatnio wokół Ilionu zieleń roślin to nieczęsty widok, na krwawych równinach Marsa nie ma jej w ogóle.

Schodzę w stronę szemrzącej u stóp wzniesienia strugi. Pokonuję strumień i zagłębiam się między drzewa rosnącego po drugiej stronie lasu. Mrugam w jasnym świetle, nieco wstrząśnięty panującą w tej okolicy ciszą. Nie słysząc wybuchów, wrzasków umierających ludzi, bogowie nie teleportują się zniecka pomiędzy rżące panicznie konie i pokrzykujących wojowników. Przez pierwsze minuty niepokoję się ewentualnością spotkania z Indianami, lecz potem wybucham śmiechem. Śmieję się z siebie samego. Co prawda, przestałem już nosić pancerz, nie mam także magicznego Hełmu Hadesa ani morfującej bransolety, lecz zbroja z duraplastu i brązu, którą mam dzisiaj na

sobie, została już po wielokroć przetestowana. Umiałbym też posłużyć się kołyszającym się u mojego pasa mieczem oraz przewieszonym przez ramię łukiem. Oczywiście, gdybym spotkał Patroklosa, gdyby heros zdołał się w jakiś sposób uzbroić i gdyby nadal żywił do mnie urazę – a przecież wszyscy achajscy bohaterowie są niezwykle pamiętliwi – żadną miarą nie byłbym faworytem bukmacherów.

A tam. Pieprzyć to. Jak to ładnie powiada Achilles – chyba że podłapałem zwrot od centuriona Mep Ahoo – jak się nie przewrócisz, to się nie nauczysz.

– Nightenhelser! – wołam w głąb lasu. – Keith!

Mimo że nawołuję raz po raz, znajduję kolegę dopiero po godzinie, i to tylko dlatego, że zupełnym przypadkiem – mniej więcej pół mili od wzgórza na które się tekowałem – wpadam na polanę, gdzie rozłożyła się indiańska wioska. Członkowie tego plemienia nie mieszkają w skórzanych tipi, a w prymitywnych chatach, wzniesionych z wygiętych gałęzi, liści i czegoś, co wygląda na darń. Takich konstrukcji jest tu ledwie sześć, pomiędzy nimi płonie ognisko. Nagle zaczynają ujadać psy, kobiety podnoszą rwetes i biorą swoje dzieciaki na ręce, a sześciu Indian sięga po proste łuki i, mierząc we mnie, napina cięciwy.

Sięgam więc po swój piękny łuk z drewna cedru – ręczna robota niezrównanych rzemieślników z odległego Argos-jednym płynnym ruchem nakładam na cięciwę piękną, ręcznie wykonaną strzałę i celuję w tubylców, gotów naszpikować ich wątroby, podczas gdy ich pociski, te śmieszne zaostrome kijaszki, będą się odbijać od mojej zbroi. No, chyba że dostanę w twarz lub oko. Albo w szyję. Albo...

Nightenhelser, odziany w identyczne zwierzęce skóry, jakie mają na sobie szczuplejsi od niego wojownicy, wpada między nas i wykrzykuje w stronę Indian kilka gardłowych sylab. Mężczyźni wciąż patrzą na mnie raczej ponuro, lecz opuszczają broń. Odpowiadam podobnym gestem.

Nightenhelser podchodzi do mnie ostrożnym krokiem.

– Cholera jasna, Hockenberry! Co ty tu robisz?!

– Ratuję cię?

– Nie ruszaj się – rzuca, po czym wypowiada kilka kolejnych sylab w mowie tubylców: – Zaczekajcie też na mnie, zanim podacie tę pieczeń z psa.

Zaraz wracam – dodaje w klasycznej grece.

Bierze mnie za łokieć i odprowadza między drzewa, z powrotem w kierunku strumienia, poza zasięg spojrzeń z osady.

– Greka? – dziwię się. – Pieczone psy?

Przyjaciel odpowiada tylko na pierwsze pytanie.

– Posługują się tu bardzo trudnym językiem. Uczę się, ale idzie mi jak po grudzie. Okazało się, że łatwiej jest wpoić im grekę.

Parskam śmiechem, lecz nagle staje mi przed oczyma wizja archeologów, którzy za trzy lub cztery tysiące lat, podczas prowadzonych w Indianie wykopalisk, znajdą w szczątkach indiańskiej wioski kawałki ceramicznych naczyń z wyrytymi motywami z wojny trojańskiej.

– No co? – rzuca Nightenhelser.

– Nic. Zupełnie nic.

Siadamy na niezbyt wygodnych głazach po drugiej stronie strugi i rozmawiamy.

– Jakie wieści z wojny? – pyta Nightenhelser.

Zauważam, że zrzucił kilka kilogramów. Wygląda zdrowo, jest wyraźnie szczęśliwy. Ja z kolei wyglądam zapewne dokładnie tak, jak się czuję: jestem brudny i zmęczony.

– Z której wojny? Bo od pewnego czasu toczymy zupełnie nową.

Nightenhelser nigdy nie był gadatliwy. Także i teraz unosi brew.

Opowiadam mu więc o tej ostatniej wojnie w dziejach, pomijam jedynie najbardziej koszarne wydarzenia. Nie chcę zacząć się trząść lub płakać przy moim dawnym koledze.

Nightenhelser słucha cierpliwie przez kilka minut.

– Jaja sobie robisz, prawda? – odzywa się wreszcie.

– Ależ skąd. – Kręcę głową. – Sądziś, że byłbym w stanie coś takiego zmyślić? Ja?

– Nie, masz rację – potakuje Nightenhelser. – Fantazja nigdy ci specjalnie nie służyła.

Trochę mnie zabolalo, lecz nie komentuję.

– I co teraz zrobisz? – pyta.

Wzruszam ramionami.

– Uratuję cię?

Nighthenheler wybucha śmiechem.

– Z tych opowieści wynika, że ratunek bardziej jest potrzebny tobie. Po co miałbym wracać?

Teraz, w sam środek tej nowej wojny?

– Może z zawodowej ciekawości? – podsuwam.

– Wiesz, ja specjalizowałem się w „Iliadzie” – przypomina Nighthenheler.

– A z tego, co mówisz, wnoszę, że ta historia dobiegła już końca. – Kręci głową i pociera policzki. – Jak w ogóle można oblec Olimp?

– Achilles z Hektorem znaleźli sposób – odpowiadam. – Słuchaj, ja muszę lecieć z powrotem.

Tekujesz się ze mną? Nie jestem ci w stanie obiecać, że zdołam tu kiedykolwiek wrócić.

Scholiasta ponownie kręci głową.

– Zostanę.

– Rozumiesz chyba – tłumaczę powoli i po grecku, na wypadek gdyby kolega wyszedł z wprawy w posługiwaniu się angielskim – że nie jesteś tutaj bezpieczny. Chodzi mi o wojnę. Jeżeli potoczy się nie po naszej myśli, cała Ziemia zostanie...

– Tak, słuchałem cię z uwagą – mówi Nighthenheler. – Tak czy inaczej, zostaję.

Podnosimy się z kamieni. Muskam medalion, lecz po chwili opuszczam dłoń.

– Znalazłeś sobie kobietę.

Nighthenheler wzrusza ramionami.

– Pokazałem członkom szczepu kilka sztuczek z morfującą bransoletą, paralizatorem i innymi zabawkami. Wywarłem na nich spore wrażenie. Chyba że tylko udawali. – Uśmiecha się ironicznie.

– To mały klan, żyjący w wielkiej, pustej krainie, Thomas. W promieniu wielu mil nie ma tutaj żadnych innych ludzi. Myślę, że przyda im się trochę świeżych genów.

– No cóż, w takim razie bierz się do roboty. – Poklepuję kolegę po ramieniu. Znowu dotykam medalionu, ale coś przychodzi mi do głowy. – Gdzie

masz bransoletę? I paralizator?

– Wszystkie gadżety zabrał Patroklos – wyjaśnia Nightenhelser.

Tknięty złym przecuciem oglądam się przez ramię i składam dłoń na rękojeści miecza.

– Nie bój się. Poszedł sobie już dawno temu – uspokaja mnie Nightenhelser.

– Poszedł sobie? Dokąd?

– Wspominał o powrocie do Ilionu, do swego przyjaciela Achillesa – odpowiada scholiasta. – Kiedy zapytał, w którą stronę powinien iść, wskazałem na wschód. Darował mi życie i... po prostu poszedł.

– Jezu – szepczę. – Pewnie jest w tej chwili gdzieś na środku Atlantyku.

– Znając go, to zupełnie niewykluczone.

Nightenhelser podaje mi rękę, ściskam ją. Dotyk dłoni drugiego mężczyzny wywołuje we mnie dziwne doznania. Od tyłu tygodni witam się i żegnam, chwytając towarzyszy za przedramię.

– Żegnaj, Hockenberry, nie sądzę, byśmy się jeszcze kiedyś spotkali.

– Raczej nie – mówię. – Żegnaj, Nightenhelser.

Sięgam po medalion i już mam przekreślić obwódkę, kiedy scholiasta – były scholiasta – kładzie mi rękę na ramieniu.

– Hockenberry? – Odrywa dłoń, na wypadek gdybym się nagle tekował, nie chce się przypadkowo przenieść – Czy Ilion jeszcze stoi?

– O tak – odpowiadam. – Ilion jeszcze stoi.

– Przedtem zawsze wiedzieliśmy, jak ułoży się przyszłość – zauważa Nightenhelser. – Znaliśmy ją przez całe dziewięć lat. Zmieniały się ewentualnie błahostki. Wiedzieliśmy co zrobią bogowie i ludzie. Kto i kiedy polegnie. Kto wyjdzie z kolejnej bitwy zwycięsko.

– Wiem.

– Właśnie to jest jednym z powodów, dla których muszę zostać tutaj, z nią.

– Patrzy mi w oczy. – Nie mam pojęcia co się wydarzy za godzinę ani następnego ranka. Nie wiem co będzie. Cudowne uczucie.

– Rozumiem – mówię. Najzupełniej szczerze.

– A czy ty wiesz, co wydarzy się tam? – pyta. – W tym twoim nowym świecie?



– Ni cholery – odpowiadam i dociera do mnie, że uśmiecham się szeroko, radośnie i zapewne wyglądam jak dzikus. Opadła już ze mnie cała otoczka cywilizowanego scholiasty, naukowca. – Ale się z wielką chęcią przekonam.

Przekręcą medalion i znikam.

# Podziękowania

Pracując nad niniejszą powieścią, wspomagałem się licznymi przekładami „Iliady”, szczególnie jednak chciałbym wyróżnić następujących tłumaczy: Roberta Faglesa, Richmonda Lattimore’a, Alexandra Pope’a, George’a Chapmana, Roberta Fitzgeralda i Allena Mandelbauma. Ich przekłady cechują wielowymiarowe piękno i niezwykła głębia talentu.

Jeśli natomiast chodzi o pozostałe odnoszące się do homeryckiego eposu dzieła literackie, zarówno poetyckie, jak i prozatorskie, to wybitnie przysłużyły się „Ilionowi” utwory W.H. Audena, Roberta Browninga, Roberta Gravesa, Christophera Logue’a, Roberta Lowella i lorda Alfreda Tennysona.

Za prace naukowe i komentarze do „Iliady” winien jestem podziękowania Bernardowi Knoxowi, Richmondowi Lattimore’owi, Malcolmowi M. Willcockowi, A.J.B. Wace’owi, F.H. Stubbingsowi, C. Kerenyiemu i niezliczonym innym członkom homeryckiej *scholii*.

Za pełne polotu uwagi zawarte w pracach dotyczących Szekspira i wiersza Browninga „Kaliban o Setebosie” dziękuję ze szczególną wdzięcznością Haroldowi Bloomowi, W.H. Audenowi i redaktorom wyboru „Norton Anthology of English Literature”. Czytelników zainteresowanych audenowską interpretacją utworu Browninga odsyłam do pracy Edwarda Mendelzona „Later Auden”.

Wnioski Mahnmuta dotyczące cyklu sonetów Williama Szekspira oparłem w głównej mierze na cudownej książce Helen Vendler „The Art of Shakespeare’s Sonnets”.

Inspiracje do uwag Orphu wygłaszanych na temat dzieła Marcela Prousta zaczerpnąłem z pracy Rogera Shattucka „Proust’s Way. A Field Guide to In Search of Lost Time”.

Czytelnikom, których Mahnmut natchnął podobnym upodobaniem do

Szekspira, polecam gorąco książkę Harolda Blooma „Shakespeare. The Invention of the Human”, a także Hermana Golloba „Me and Shakespeare: Adventures with the Bard”, oraz Parka Honana „Shakespeare: A Life”.

Za szczegółowe mapy Marsa (przed terraformowaniem) moja serdeczna wdzięczność należy się NASA i kierowanemu przez tę agencję Jet Propulsion Laboratory. Pewne informacje zaczerpnąłem też z wydawnictwa National Geographic Society, zatytułowanego „Uncovering the Secrets of the Red Planet”, pod redakcją Paula Raeburna ze wstępem i komentarzami Matta Golombecka. Prawdziwą kopalnię wiedzy stanowił dla mnie także „Scientific American”, w szczególności artykuły takie, jak „The Hidden Ocean of Europa” Roberta T. Pappalardo, Jamesa Heada i Ronalda Greeleya (październik 1999) (Wyd. polskie Ukryty ocean Europy, „Świat Nauki”, marzec 2000). „Quantum Teleportation” Antona Zeilingera (kwiecień 2000) oraz „How to Build a Time Machine” Paula Daviesa (wrzesień 2002). (Wyd. polskie Jak zbudować wehikuł czasu, „Świat Nauki”, listopad 2002).

Na koniec dziękuję Clee Richeson, za pomoc w opanowaniu tajników konstrukcji drewnianego pieca odlewniczego.

# Od autora

Gdy w dzieciństwie wyciągaliśmy z bratem z pudła żołnierzyki, nie widzieliśmy nic niestosownego w odgrywaniu starć, w których ramię w ramię brali udział szaro-niebiescy wojacy z okresu wojny secesyjnej i dzielni chłopcy z czasów drugiej wojny światowej. Wydaje mi się, że udawało nam się to dzięki wcześnie rozwiniętej umiejętności, którą John Keats ochrzcił „zdolnością negatywną”. (We wspomnianych walkach brali też udział wiking, kowboj, Indianin i uzbrojony w granaty rzymski centurion, te jednak postaci tworzyły nasz Pluton Komandosów Temporalnych. Niektóre anomalie wymagają mimo wszystko tego, co spece z Hollywood nazywają „tłem”).

Opowiedziana w „Ilionie” historia, jak uznałem, wymagała nieco większej spójności. Czytelnik, który podobnie jak ja, przygodę z Homerem rozpoczynał od cudownego przekładu „Iliady” pióra Richmonda Lattimore’a (1951), zauważy z pewnością, że Achilleus i Aias zamienili się w Achilleusa i Ajaksa (Wielkiego i Małego). Pod tym względem zgadzam się z tłumaczeniem Roberta Faglesa. Być może istotnie owe zlatynizowane wersje imion znacznie odbiegają od greckich oryginałów (np. Akhilleus, Akhaianowie i Argeioi), jednak wierniejsze formy nazw niepokojąco brzmią w naszych uszach jak „kocie chrząknięcia”. Jak zauważa Fagles, żaden przekład nie będzie idealnym odwzorowaniem pierwowzoru, a dzieła Homera czyta się płynniej, jeżeli tłumacz powróci do ustanowionej przez angielskich poetów zasady stosowania łacińskich odpowiedników imion herosów i bóstw.

Wyjątek uczyniłem – znów w zgodzie z Faglesem – w przypadku imion, które Rzymianie zmienili zupełnie. Nie uśmiechało mi się pisanie o Ulissiesie zamiast Odyseuszu, czy też, dajmy na to, zastąpienie Ateny Minerwą. W „Iliadzie” niewiarygodnie pięknie przełożonej przez Alexandra Pope’a na formę heroiczných dwuwierszy, tłumaczowi nie przeszkadza, gdy Jupiter

wyżywał się na Aresie (miast na Marsie), lecz moja „zdolność negatywna” nie jest mimo wszystko rozwinięta aż do tego poziomu. Wygląda na to, że warto niekiedy pobawić się samymi tylko zielonymi żołnierzami.

Z myślą o czytelnikach, którzy podobnie jak ja mają kłopoty z liczbą występujących w powieści bogów, bogiń, herosów i innych postaci, przygotowałem spis postaci.

# Dramatis Personae

## *Achajowie (Grecy)*

Achilles – syn Peleusa i bogini Tetydy, najbardziej niebezpieczny i zażarty w walce spośród achajskich herosów. Z woli przeznaczenia stanął przed wyborem: mógł wybrać się pod Troję i zginąć z ręki Hektora, lub zapomniany wieść życie długie, lecz przeciętne.

Odyseusz – syn Laertesa, władca Itaki, mąż Penelopy, chytry strateg, ulubieniec bogini Ateny.

Agamemnon – syn Atreusa, najwyższy wódz Achajów, małżonek Klitajmestry. To właśnie on, domagając się od Achillesa wydania niewolnicy Bryzeidy, doprowadził do wybuchu centralnego w „Iliadzie” konfliktu.

Menelaos – młodszy syn Atreusa, brat Agamemnona, mąż Heleny.

Diomedes – syn Tydeusa, achajski oficer. Wojownik groźny w walce na tyle, że poświęcona mu *aristeia* (wyodrębniona w eposie opowieść demonstrująca bojową sprawność herosa) ustępuje w „Iliadzie” jedynie relacji z ostatniego starcia Achillesa.

Patroklos – syn Menoteusa, ukochany przyjaciel Achillesa. Według „Iliady” jego przeznaczeniem jest śmierć z ręki Hektora.

Nestor – syn Neleusa, najstarszy z achajskich wodzów, „z ust jego słodsze płyną wyrazy od miodu”. Z lubością wygłasza długie tyrady.

Fojniks – syn Amyntora, stary nauczyciel i przyjaciel Achillesa. Postać, która z niewyjaśnionych przyczyn odgrywa doniosłą rolę podczas poselstwa do Achillesa.

## *Trojanie (obrońcy Ilionu)*

Hektor – syn Priama, przywódca i największy z trojańskich herosów, mąż Andromachy, ojciec małego Skamandriosa (czule zwanego przez Trojan Astianaktem, „Panem Miasta”).

Andromacha – małżonka Hektora, matka Skamandriosa. Kobieta królewskiego rodu. Jej ojciec i bracia zostali zamordowani przez Achillesa.

Priam – syn Laomedona, król Ilionu (Troi), ojciec Hektora, Parysa i licznych innych potomków.

Parys – syn Priama, brat Hektora, utalentowany żołnierz i kochanek. Parys uprowadził ze Sparty Helenę, żonę Menelaosa, co stało się przyczyną wybuchu wojny trojańskiej.

Helena – małżonka Menelaosa, córka Zeusa, jej legendarna uroda stała się przyczyną wielu porwań.

Hekuba – żona Priama, królowa Troi.

Eneasza – syn Anchizesa i Afrodyty, przywódca Dardanów. W wywodzącej się z „Iliady” tradycji jego przeznaczeniem jest zostać królem rozproszonych po klęsce Trojan.

Kassandra – córka Priama, ofiara gwałtu, nosząca ciężkie brzemie proroczego daru.

### *Bogowie olimpijscy*

Zeus – król bogów, małżonek i jednocześnie brat Hery, ojciec mnóstwa dzieci, zarówno Olimpijczyków, jak i śmiertelnych. Syn Tytanów Kronosa i Rei – Tytanów, których odsunął od władzy i wtrącił do Tartaru, najgłębszego rejonu krainy umarłych.

Hera – żona i siostra Zeusa, sojuszniczka Achajów.

Atena – córka Zeusa, silna obrończyni Achajów.

Ares – bóg wojny, sprzyja Trojanom.

Apollo – bóg sztuki, medycyny i chorób, „pan srebrnego łuku”, czołowy sprzymierzeniec Trojan.

Afrodyta – bogini miłości, stronniczka Trojan, intrygantka.

Hefajstos – bóg ognia, olimpijski rzemieślnik i budowniczy, syn Hery; pożąda Ateny.

### *Dawni ludzie*

Ada – właścicielka Dworu Ardis, kilka lat temu obchodziła swą Pierwszą Dwudziestkę.

Harman – jedyny obecnie człowiek na Ziemi posiadający umiejętność czytania; jako że ma już dziewięćdziesiąt dziewięć lat, do Ostatniej Dwudziestki pozostał mu tylko rok.

Daeman – pulchny wielbiciel kobiecych wdzięków i zapalony kolekcjoner motyli. Dobija powoli Drugiej Dwudziestki.

Savi – Żydówka Wieczna Tułaczka, jedyny prawdziwy człowiek dawnego typu, tysiąc czterysta lat wcześniej ominęło ją Ostatnie faksowanie.

### *Morawce*

*(autonomiczne, rozumne organizmy biomechaniczne, wysłane w czasach Zapomnianej Ery przez ludzi ku zewnętrznym rubieżom Układu Słonecznego)*

Mahnmur – badacz głębin lodowatych mórz Europy, jednego z księżyców Jowisza; kapitan batyskafu „Mroczna Dama”; wielbiciel i znawca sonetów Szekspira.

Orphu z Io – ważący osiem ton, długi na sześć metrów morawiec, przypominający kształtem wielkiego, pancernego kraba; został zaprojektowany do funkcjonowania w głębokiej próżni, pracuje w siarkowym torusie Io. Wielbiciel Prousta.

Asteague-Che – pochodzący z Europy naczelny integrator Konsorcjum Pięciu Księżyców.

Koros III – człekokształtny, opatrzoney fulerenową powłoką i owadzimi oczyma



morawiec z Ganimedesa. Dowódca wyprawy morawców na Marsa.  
Ri Po – zupełnie nieprzypominający kształtem człowieka morawiec z Callisto, nawigator.  
Centurion Mep Ahoo – oficer, skałowiec z Pasa Asteroid.

### *Pozostałe istoty*

wojniksy – tajemnicze dwunożne stworzenia, służący i strażnicy Dawnych Ludzi. Pochodzą spoza Ziemi.  
MZL (Małe Zielone Ludziki, emzetele, zeki) – chlorofilowi robotnicy z Marsa, obarczeni zadaniem stawiania tysięcy wielkich, kamiennych głów.  
Prospero – awatar samoświadomej logosfery Ziemi.  
Ariel – awatar samoświadomej biosfery Ziemi.  
Kaliban – monstrualny pupil Prospera.  
kalibany – podrzędne klony Kalibana, strażnicy Basenu Śródziemnego.  
Sykoraks – wiedźma, matka Kalibana. Według słów Prospera znana także pod imieniem Kirke.  
Setebos – okrutny i kapryśny bóg Kalibana „jak ośmiornica wieloramienny”. Pochodzi spoza Układu Słonecznego.  
Cisza – bóstwo Prospera (być może), nemezis Setebosa, istota, o której nie wiadomo nic.